

Ta książka po raz pierwszy oddaje w pełni głos kobietom z Ravensbrück,  
jedynego nazistowskiego obozu koncentracyjnego dla kobiet.

ANNE APPLEBAUM, LAUREATKA NAGRODY PULITZERA

SARAH HELM  
**KOBIETY  
Z RAVENSBRÜCK**

ŻYCIE I ŚMIERĆ W HITLEROWSKIM OBOZIE  
KONCENTRACYJNYM DLA KOBIET



Prószyński i S-ka



SARAH HELM  
KOBIECY  
Z RAVENSBRÜCK

ŻYCIE I ŚMIERĆ W HITLEROWSKIM OBOZIE  
KONCENTRACYJNYM DLA KOBIECY

przekład

Katarzyna Bażyńska-Chojnacka i Piotr Chojnacki

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
IF THIS IS A WOMAN  
Inside Ravensbruck: Hitler's Concentration Camp for Women

Copyright © 2015 Sarah Helm  
All rights reserved  
First published in Great Britain in 2015 by Little, Brown

Projekt okładki  
Ewa Wójcik

Zdjęcia na okładce  
© United States Holocaust Memorial Museum

Redaktor prowadzący  
Adrian Markowski

Redakcja  
Jarosław Skowroński

Korekta  
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8097-292-6

Warszawa 2017

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Tym, które odmówiły*

*Zastanówcie się, czy to jest kobieta,  
Bez włosów i bez nazwiska,  
Z pustką w oczach i wyschłym łonem,  
Jak zimowa żaba,  
I nie ma już siły, by pamiętać.  
Pomyślcie, że tak było:  
Przekazuję wam te słowa.*

Primo Levi, *Czy to jest człowiek*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Primo Levi, *Czy to jest człowiek*, tłum. Halszka Wiśniowska, Kraków 1978, s. 7.

## Prolog

Z berlińskiego lotniska Tegel do Ravensbrück jedzie się niewiele ponad godzinę. Gdy udawałam się tam po raz pierwszy, w lutym 2006 roku, padał gęsty śnieg, a na obwodnicy Berlina jakaś ciężarówka wpadła w poślizg, więc podróż trwała dłużej.

Heinrich Himmler często jeździł do Ravensbrück, nawet w tak paskudną pogodę jak ta. Reichsführer SS miał w tamtej okolicy przyjaciół i mógł przejazdem wpadać na inspekcję obozu. Rzadko wyjeżdżał bez wydania nowych rozkazów. Raz nakazał, aby do zup więźniarek dodawano więcej warzyw korzeniowych. Innym razem stwierdził, że zabijanie nie postępuje dostatecznie szybko.

Ravensbrück był jedynym nazistowskim obozem koncentracyjnym wybudowanym dla kobiet. Nazwę wziął od pobliskiej wsi, która przylega do miasteczka Fürstenberg i leży około 80 kilometrów na północ od Berlina, w bok od drogi do Rostoku leżącego na wybrzeżu Bałtyku. Kobiety przyjeżdżające do obozu nocą czasem przeczuwały, że są blisko morza, ponieważ czuły sól w powietrzu; czuły też piasek pod stopami. Gdy nastawał świt, ich oczom ukazywał się obóz wzniesiony nad jeziorem i otoczony lasem. Himmler lubił umieszczać swoje obozy w miejscach naturalnie pięknych – i najlepiej nie na widoku. Dziś obóz nadal pozostaje w ukryciu; przerażające zbrodnie, do których tam doszło, i odwaga ofiar są w większości nieznane.

Ravensbrück został otwarty w maju 1939 roku, zaledwie cztery miesiące przed wybuchem wojny, a Rosjanie wyzwolili go sześć lat później – jako jeden z ostatnich obozów, do których dotarli alianci. W pierwszym roku przebywało tu co najmniej 2 tysiące więźniarek, z których prawie wszystkie były Niemkami. Wiele aresztowano z powodu opozycji wobec Hitlera – na przykład komunistki i świadkowie Jehowy, które nazywały Hitlera antychrystem<sup>2</sup>. Inne naziści po prostu uznali za istoty niższe i chcieli je odciąć



od społeczeństwa: prostytutki, przestępczynie, bezdomne i Cyganki. Później obóz przejął tysiące kobiet schwytanych przez nazistów w krajach okupowanych, w tym wiele członkiń ruchu oporu. Przywożono tu także dzieci. Mały odsetek więźniarek – około 10 procent – stanowiły Żydówki, ponieważ formalnie obóz nie był przeznaczony dla Żydów.

W szczytowym punkcie w Ravensbrück więziono 45 tysięcy kobiet; przez ponad sześć lat istnienia obozu przez jego bramy przeszło około 130 tysięcy kobiet; były bite, głodzone, zamęczane pracą na śmierć, trute, rozstrzeliwane i zagazowywane. Szacuje się, że liczba ofiar śmiertelnych obozu wynosi od 30 tysięcy do 90 tysięcy; prawdziwa liczba leży prawdopodobnie gdzieś pośrodku, ale zachowało się tak niewiele materiałów SS dotyczących obozu, że nikt nigdy nie pozna realnej wielkości. Masowe zniszczenie dokumentacji Ravensbrück to kolejny powód, dla którego historia obozu pozostaje mało znana. W ostatnich dniach esesmani palili teczki wszystkich więźniarek w krematorium lub w ogniskach, razem ze zwłokami. Popioły wrzucono do jeziora.

Po raz pierwszy usłyszałam o Ravensbrück, kiedy pisałam książkę o Verze Atkins, agentce brytyjskiej tajnej organizacji, Zarządu Operacji Specjalnych (Special Operations Executive – SOE). Zaraz po wojnie Vera na własną rękę zorganizowała poszukiwania Brytyjek z SOE, które zostały zrzucone na spadochronach nad terytorium okupowanej Francji, aby wesprzeć ruch oporu; wiele z nich zaginęło. Vera zaczęła tropić ich ślady i odkryła, że kilkanaście z nich trafiło do niewoli i zostało wywiezionych do obozów koncentracyjnych.

Starłam się zrekonstruować poszukiwania Very i zaczęłam badania od jej osobistych dokumentów, które spoczywały w brązowych kartonowych pudłach w domu jej szwagierki Phoebe Atkins w Kornwalii. Na jednym z pudeł widniał napis: „Ravensbrück”. W środku znajdowały się odręczne notatki z rozmów z osobami, które przeżyły, oraz z podejrzanymi esesmanami – były to moje pierwsze materiały źródłowe dotyczące obozu. Przekartkowałam dokumenty. „Rozebrali nas do naga i zgolili nam włosy”, powiedziała Verze jedna z kobiet. W niebo unosił się „słup dławiącego niebieskawego dymu”.

Ocalałe kobiety mówiły o obozowym szpitalu, gdzie „więźniarkom wstrzykiwano do rdzenia kręgowego zarazki syfilisu”. Inne opisywały kobiety, które przybyły do obozu po „marszu śmierci” w śniegu z Auschwitz. Agent



SOE więziony w Dachau napisał, że ponoć kobiety z Ravensbrück zmuszono do pracy w burdelu w Dachau.

Wiele razy wspomiano o młodej strażniczce Binz o „jasnych, równo przystrzyżonych włosach”. Inna była wcześniej nianią w Wimbletonie. Według brytyjskiego śledczego więźniarki należały do „europejskiej elity”; znalazła się wśród nich bratanica generała de Gaulle’a, była brytyjska mistrzyni kobiet w golfie i wiele polskich arystokratek.

Zaczęłam sprawdzać daty urodzeń i adresy ocalałych kobiet – a także strażniczek – na wypadek gdyby któraś z nich jeszcze żyła. Ktoś dał Verze adres pani Chatenay, „które wie o sterylizacji dzieci w bloku 11”. Doktor Louise Le Porz spisała wyczerpujące oświadczenie, w którym twierdziła, że obóz wybudowano na ziemi należącej do Himmlera, w pobliżu jego prywatnego *Schloss*. Podała jako miejsce zamieszkania Mérignac w Żyrondzie, ale z daty urodzenia wynikało, że raczej już nie żyje. Kobieta z Guernsey, Julia Barry, mieszkała w Nettlebed w Oxfordshire. Innych adresów nie udało się odczytać. Ocalała kobieta z Rosji pracowała prawdopodobnie „na oddziale matki i dziecka na dworcu kolejowym w Leningradzie”.

Na dnie pudła znalazłam odręczne spisy więźniarek przeschmuglowane przez Polkę, która sporządzała w obozie notatki, oraz szkice i mapki. „Polki miały najlepsze informacje”, głosił dopisek. Okazało się, że autorka listu od dawna nie żyje, jednak znajdowały się w nim londyńskie adresy żyjących jeszcze więźniarek.

Na pierwszą wyprawę do Ravensbrück zabrałam te szkice, w nadziei, że pomogą mi zorientować się na miejscu. Ale w miarę jak śnieg sypał coraz mocniej, zastanawiałam się, czy w ogóle dotrę do obozu.

Wielu osobom nie udało się próba odnalezienia tego miejsca. Przedstawiciele Czerwonego Krzyża, którzy próbowali namierzyć obóz w chaosie ostatnich dni wojny, musieli zawrócić z powodu fali uchodźców podążających w przeciwną stronę. Kilka miesięcy po wojnie, kiedy Vera Atkins jechała tą drogą, gdy zaczynała swoje śledztwo, została zatrzymana na rosyjskim punkcie kontrolnym; obóz znajdował się w radzieckiej strefie okupacyjnej, gdzie obowiązywał zakaz wstępu dla obywateli innych państw alianckich. W tym czasie poszukiwanie zaginionych kobiet przez Verę stało się już elementem szerszego brytyjskiego śledztwa w sprawie obozu, które doprowadziło do pierwszych procesów zbrodniarzy wojennych z Ravensbrück

w Hamburgu w 1946 roku.

W latach pięćdziesiątych, gdy zaczęła się zimna wojna, Ravensbrück pozostało za żelazną kurtyną, która rozdzieliła ocalałych – Wschód od Zachodu – i przecięła historię obozu na dwoje.

Za plecami Zachodu miejsce stało się świątynią komunistycznych bohaterek, a ich nazwiskami nazywano ulice i szkoły w całym NRD.

Tymczasem na Zachodzie Ravensbrück dosłownie zniknęło z pola widzenia. Ocalałe kobiety, historycy i dziennikarze z Zachodu nie mieli dostępu do obozu. We własnych krajach były więźniarki walczyły o publikacje swoich historii. Źródła były trudno dostępne. Zapisy z procesów hamburskich sklasyfikowano jako „tajne” i zamknięto na trzydzieści lat.

„Gdzie to było?”, takie pytanie padało najczęściej, kiedy zaczęłam pisać o Ravensbrück, a także: „Dlaczego tam był osobny obóz dla kobiet? Czy trzymano tam Żydówki? Czy był to obóz zagłady? Pracy niewolniczej? Czy ktoś stamtąd wciąż żyje?”.

W tych krajach, skąd pochodziło najwięcej ocalałych kobiet, ich grupy próbowały ocalić wspomnienia. Szacuje się, że w Ravensbrück więzionych było 8 tysięcy Francuzek, tysiąc Holenderek, 18 tysięcy Rosjanek i 40 tysięcy Polek. Jednak z różnych przyczyn w każdym z tych krajów ich historia nie była popularyzowana.

Zdumiewająca jest ignorancja w Wielkiej Brytanii, z której nie więcej niż 20 kobiet trafiło do obozu, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych. Brytyjczycy mogą znać Dachau, pierwszy obóz koncentracyjny, i być może Bergen-Belsen, dlatego że wyzwolili go brytyjscy żołnierze, a także z powodu przerażającej sytuacji, jaką uchwycili na filmie, który wywarł trwałe piętno na świadomości Brytyjczyków. No i skojarzenia budzi jeszcze Auschwitz, synonim gazowania Żydów.

Po przeczytaniu materiałów Very zaczęłam szukać innych pisanych relacji na temat obozu dla kobiet. Historycy głównego nurtu – prawie wyłącznie mężczyźni – nie mieli praktycznie nic do powiedzenia. Nawet książki pisane o obozach po zakończeniu zimnej wojny dotyczą wyłącznie męskiego świata. Wtedy przyjaciółka z Berlina pożyczyła mi ogromny zbiór artykułów napisanych w większości przez kobiety, przedstawicielki niemieckiego świata nauki. W latach dziewięćdziesiątych feministki-historyczki zaczęły walkę. Ich

książka obiecywała, że „uwolni kobiety od anonimowości, która kryje się za słowem: więźniarka”. Lawinowo ruszyły dalsze badania, w miarę jak inni autorzy – zwykle Niemcy – wybierali wąskie zagadnienia dotyczące Ravensbrück i badali je „naukowo”, co nie przyczyniało się do popularyzacji wiedzy o obozie. Znalazłam wzmiankę o *Księżce Pamięci*, która zapowiadała się o wiele bardziej obiecująco, i podjęłam próby skontaktowania się z autorką.

Natrafiłam na garść pamiętników więźniarek, głównie z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, które zalegały na tylnych półkach bibliotek publicznych, często opatrzone sensacyjnymi okładkami. Okładka wspomnień nauczycielki literatury francuskiej, Micheline Maurel, przedstawia ponętą kobietę, w typie dziewczyny Bonda, na tle drutu kolczastego. Książka o Irmie Grese, jednej z pierwszych strażniczek Ravensbrück, nosi tytuł *Piękna bestia*. Język tych pamiętników wydaje się staroświecki i na pierwszy rzut oka sztuczny. Jeden z autorów pisze o „lesbijkach o okrutnych twarzach”, a inny o „zewzwiężczeniu” niemieckich więźniarek, „które trzeba traktować jako podstawową cechę rasy”. Tego rodzaju uwagi wprowadzały zamęt; wyglądało to tak, jakby nikt nie wiedział, jak opowiedzieć tę historię. W przedmowie do jednego z tych pamiętników francuski pisarz François Mauriac napisał, że Ravensbrück był „ohydą, o której świat postanowił zapomnieć”. Być może powinnam zająć się pisaniem o czymś innym. Pojechałam do Yvonne Baseden, jedynej żyjącej więźniarki, o której wówczas wiedziałam, żeby zapytać ją o zdanie.

Yvonne była jedną z kobiet z SOE Very Atkins, schwytaną, gdy pomagała ruchowi oporu we Francji, po czym wysłaną do Ravensbrück. Chętnie opowiadała o walce w ruchu oporu, natomiast za każdym razem gdy poruszałam temat Ravensbrück, mówiła, że „nic nie wie”, i zmieniała temat.

Tym razem powiedziałam Yvonne, że planuję książkę o obozie, licząc na to, że powie coś więcej, ale ona spojrzała na mnie z przerażeniem.

– Och nie – powiedziała. – Nie może pani tego zrobić.

Spytałam dlaczego.

– To jest zbyt straszne. Nie może pani napisać o czymś innym? Co pani powie dzieciom, kiedy spytają, co pani robi? – spytała.

Czy nie sądzi, że tę historię powinno się opowiedzieć?

– O, tak. Ludzie nic nie wiedzą o Ravensbrück. Nikt nigdy nie chciał się o tym dowiedzieć od chwili, kiedy wróciliśmy.

Popatrzyła w okno.

Gdy wychodziłam, dała mi małą książeczkę. Był to kolejny pamiętnik, ze szczególnie okropną obwolutą przedstawiającą dwie splecione czarno-białe postacie. Yvonne jej nie czytała, zepchnęła to na mnie. Wyglądało to tak, jakby chciała, by zniknęła jej z oczu.

Kiedy dojechałam do domu, okazało się, że koszmarna obwoluta spadła, odkrywając zwykłą niebieską okładkę. Czytałam pamiętnik, nie zakładając jej z powrotem. Autorką była młoda francuska prawniczka Denise Dufournier, która napisała prostą i poruszającą relację o przetrwaniu na przekór wszystkiemu. „Ohyda” nie była jedynym elementem historii Ravensbrück, który został zapomniany; podobnie rzecz się miała z walką o życie.

Kilka dni później w mojej automatycznej sekretarce rozległ się głos mówiący po francusku. Była to doktor Louise Le Porz (obecnie Liard) z Mérignac, o której myślałam, że nie żyje. Zaprosiła mnie do siebie, do Bordeaux, gdzie obecnie mieszkała. Miałam u niej zostać tak długo, jak będę chciała, gdyż jest wiele do opowiedzenia. „Ale proszę się pośpieszyć, mam dziewięćdziesiąt trzy lata”.

Niedługo potem nawiązałam kontakt z Bärbel Shindler-Saefkow, autorką *Księgi Pamięci*. Bärbel, córka więzionej niemieckiej komunistki, sporządziła bazę danych więźniarek; przejechała wiele kilometrów, żeby zestawić listę nazwisk ukrytych w tajnych archiwach. Przesłała mi adres Walentyny Makarowej, białoruskiej partyzantki, która przeżyła marsz śmierci z Auschwitz. Walentyna odpisała mi i zaproponowała spotkanie u niej, w Mińsku.

Kiedy dojechałam do przedmieść Berlina, śnieżycy nieco się uspokoiła. Minęłam drogową na Sachsenhausen, gdzie mieścił się obóz koncentracyjny dla mężczyzn, co oznaczało, że znajdowałam się na właściwej drodze. Sachsenhausen utrzymywało bliskie kontakty z Ravensbrück. Obóz dla mężczyzn wypiekał chleb dla kobiet; bochenki codziennie pokonywały tę drogę. Na początku każda kobieta otrzymywała co wieczór pół bochenka. Pod koniec wojny dawano im zaledwie kromkę, a „darmozjady” – jak naziści nazywali te, których chcieli się pozbyć – nie dostawały nic.

Oficerowie SS, strażnicy i więźniowie krążyli często między obozami, gdy administratorzy Himmlera próbowali maksymalnie wykorzystać zasoby. Na

początku wojny wydzielono obóz kobiecy w Auschwitz – a później w innych obozach męskich; Ravensbrück zaś zapewniło i wyszkoliło strażniczki. Pod koniec wojny kilku wysokich oficerów SS z Auschwitz odesłano do pracy w Ravensbrück. Więźniarki również przekazywano między obozami. Skutkiem tego, chociaż Ravensbrück miało typowy żeński charakter, zwyczajnie dzieliło z obozami męskimi.

Imperium SS Himmlera było rozległe: w połowie wojny istniało już aż 15 tysięcy nazistowskich obozów, które obejmowały obozy pracy tymczasowej i tysiące podobozów powiązanych z głównymi obozami koncentracyjnymi, rozrzuconych po Niemczech i Polsce. Największe i najstraszniejsze były te zbudowane w 1942 roku w ramach „ostatecznego rozwiązania”. Szacuje się, że do końca wojny naziści eksterminowali 6 milionów Żydów. Fakty związane z ludobójstwem Żydów są obecnie tak dobrze znane i tak przytłaczające, że wielu ludzi uważa, iż program eksterminacji Hitlera obejmował wyłącznie zagładę Żydów.

Ludzie, którzy pytają o Ravensbrück, często są zaskoczeni, że tak wiele zabitych tam kobiet nie było Żydówkami.

Dziś historycy rozróżniają poszczególne obozy, ale etykiety mogą być mylące. Ravensbrück często opisuje się jako obóz „pracy niewolniczej”; termin ten pomniejsza horror, jaki się tam rozgrywał, a być może przyczynia się również do jego marginalizacji. Z pewnością było to miejsce pracy niewolniczej – fabrykę miał tam Siemens, elektryczny gigant – ale praca niewolnicza stanowiła tylko etap na drodze ku śmierci. Ówczesne więźniarki nazywały Ravensbrück obozem śmierci. Francuzka, która przeżyła, etnologa Germaine Tillion, nazwała go obozem „powolnej zagłady”.

Za Berlinem droga na północ przebiega między białymi polami, po czym wpada między drzewa. Od czasu do czasu mijałam porzucone państwowe gospodarstwa rolne, pozostałości po komunistycznych czasach.

W głębi lasu śnieg utworzył zasy, co utrudniło szukanie drogi. Kobiety z Ravensbrück często wysyłano w zasypany śniegiem las, by wycinały drzewa. Śnieg oklejał ich drewniaki tak, że szły niczym na raketach śnieżnych, a kostki wykrecały im się przy każdym kroku. Strażniczki spuszczały ze smyczy wilczury, a one rzucały się na więźniarki, które upadły.

Nazwy leśnych wiosek zaczęły brzmieć znajomo – czytałam o nich w swoich

materiałach. Ze wsi Altglobow pochodziła strażniczka o równo przyszyżonych włosach, Dorothea Binz. Potem pojawiła się iglica kościoła w Fürstenbergu. Z centrum miasteczka obóz był niewidoczny, ale wiedziałam, że jest na przeciwległym brzegu jeziora. Więźniarki mówiły, że widziały iglicę, kiedy przechodziły przez bramę obozu. Przejechałam obok dworca w Fürstenbergu, gdzie kończyło się tak wiele tragicznych podróży pociągiem. Pewnej lutowej nocy w bydlęcych wagonach przyjechały tu czerwonoarmistki z Krymu.

Po drugiej stronie Fürstenbergu do obozu prowadziła brukowana leśna droga – zbudowana przez więźniarki. Z lewej strony pojawiły się domy o dwuspadowych dachach; z mapy Very wynikało, że mieszkały w nich strażniczki. Jeden przerobiono na schronisko młodzieżowe, gdzie zamierzałam przenocować. Oryginalny wystrój z czasów wojny dawno zniknął i zastąpiły go nowoczesne sprzęty, chociaż dawne mieszkanki nadal nawiedzały swoje stare pokoje.

Z prawej strony otworzył się widok na jezioro: ogromne, białe i zamrożone. Przede mną ukazała się siedziba komendanta i wysoki mur. Kilka minut później stałam u wejścia do kompleksu. Przed bramą rozciągała się ogromna biała przestrzeń ograniczona linią drzew – lip, które, jak się później dowiedziałam, zasadzono podczas budowy obozu. Usadowione niegdyś pod nimi baraki zniknęły. Za czasów zimnej wojny Rosjanie wykorzystywali obóz jako bazę dla pułku czołgów i usunęli większość budynków. Radzieccy żołnierze grali w piłkę nożną w miejscu obozowego placu apelowego. Słyszałam o radzieckiej bazie, ale nie spodziewałam się takich zniszczeń.

Obóz Siemens, kilkaset metrów za południowym murem, był zarośnięty i trudno dostępny, podobnie jak podobóz Jugendschuttlager Uckermark przekształcony w obóz zagłady. Próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądały, ale nie musiałam wyobrażać sobie zimna. Więźniarki stały tutaj, na placu apelowym, przez wiele godzin w cienkich ubraniach. Schroniłam się w „bunkrze”, kamiennym budynku więziennym, w którego celach podczas zimnej wojny urządzono izby pamięci zmarłych komunistek. Nazwiska wryto w błyszczącym czarnym granicie.

W jednej sali robotnicy demontowali wystawę i urządzali ją na nowo. Teraz, kiedy Zachód przejął obóz, historycy i archiwiści pracowali nad nową

interpretacją i nową ekspozycją.

Za murami obozu znalazłam inne, bardziej osobiste miejsca pamięci. Obok krematorium znajdowało się długie przejście między wysokimi murami, nazywane aleją rozstrzeliwań. Leżał tutaj mały bukiet róż; zwiędłyby do tej pory, gdyby wcześniej nie zamarzły. Przyczepiono do nich tekturkę z nazwiskiem.

Małe bukietki kwiatów znajdowały się też w krematorium, leżały na piecach, a na brzegu jeziora ktoś rozrzucił kilka róż. Ponieważ obóz ponownie był dostępny dla wszystkich, były więźniarki przychodziły wspominać nieżyjące przyjaciółki. Musiałam znaleźć więcej ocalałych kobiet, póki jeszcze był czas.

Teraz zrozumiałam, czym powinna być ta książka: biografią Ravensbrück, która zaczyna się na początku i kończy na końcu, składającą rozbitą historię w całość, najlepiej jak będę potrafiła. Książką, która rzuci światło na nazistowskie zbrodnie na kobietach i pokaże jednocześnie, jak zrozumienie tego, co wydarzyło się w obozie dla kobiet, rozszerza wiedzę o historii nazistów.

Tyle źródeł uległo zniszczeniu, tyle zapomniano i zniekształcono. Jednak spora część się zachowała i przez cały czas nowe fakty wychodzą na światło dzienne. Zapisy z brytyjskich procesów od dawna są jawne i zawierają bogactwo szczegółów; dokumenty sądowe przechowywane za żelazną kurtyną również udostępniono. Po zakończeniu zimnej wojny Rosjanie częściowo otworzyli archiwa i w kilku europejskich stolicach można dotrzeć do niebadanych wcześniej dokumentów. Ocalałe kobiety ze Wschodu i z Zachodu dzielą się wspomnieniami. Dzieci więźniarek zadają pytania, znajdują listy i ukryte pamiętniki.

Najważniejsze w tej książce będą głosy samych więźniarek; to one prowadziły mnie podczas rekonstrukcji wydarzeń. Kilka miesięcy później, wiosną, wróciłam na rocznicową ceremonię upamiętniającą wyzwolenie, żeby spotkać się z Walentyną Makarową, która przeżyła marsz śmierci z Auschwitz i napisała do mnie z Mińska. Miała niebieskobiałe włosy i twarz ostrą jak wykuta z kamienia. Kiedy spytałam, jak udało jej się to przeżyć, rzekła: „Ponieważ wierzyliśmy w zwycięstwo”, tak jakby powinno to być dla mnie oczywiste.



Gdy stałam przy alejce straceń, na krótko błysnęło słońce. W koronach lip gruchały gołębie, próbując przekrzyczeć odgłosy pojazdów. Wtoczył się autobus z francuskimi uczennicami, dziewczęta ustawiły się dookoła i paliły papierosy.

Patrzyłam przez zamrożone jezioro na iglicę kościoła w Fürstenbergu. W oddali robotnicy krzatali się w warsztacie skutniczym; latem turyści wypływali łodziami na jezioro, nie wiedząc, że na dnie spoczywają prochy. Wiatr toczył po lodzie czerwoną różę.

2 W dalszej części książki stosujemy nazwy „badaczki Pisma Świętego” i „bibelki”, występujące we wspomnieniach Polek więźniarek Ravensbrück i w opracowaniach dotyczących obozu (przyt. tłum.).

# Część pierwsza

# Rozdział 1

## Langefeld

Jest rok 1957. Dzwoni dzwonek do mojego mieszkania – pisze Grete Buber-Neumann, była więźniarka Ravensbrück. – Otwieram drzwi. Przede mną stoi starsza kobieta, oddycha ciężko, w dolnej szczęce brakuje jej zębów. «Nie pamiętasz mnie? – bełkocze. – Jestem Johanna Langefeld, była strażniczka w Ravensbrück». Ostatni raz widziałam ją czternaście lat wcześniej w jej gabinecie w obozie. Pracowałam jako jej obozowa sekretarka [...]. Modliła się do Boga o siłę, aby powstrzymać dziejące się zło, ale kiedy do gabinetu wchodziła Żydówka, jej twarz tchnęła nienawiścią [...].

Siada ze mną przy stole. Mówi, że żałuje, iż nie urodziła się chłopcem. Opowiada o Himmlerze, którego wciąż nazywa «Reichsführerem». Mówi przez wiele godzin, błąka się po różnych latach i próbuje mi wytłumaczyć swoje postępowanie”<sup>3</sup>.

\*\*\*

Na początku maja 1939 roku mały konwój ciężarówek wyłonił się spomiędzy drzew na polanie koło małej wsi Ravensbrück, położonej głęboko w lesie w Meklemburgii. Ciężarówki jechały wzdłuż jeziora aż do chwili, gdy ich koła zaczęły buksować i zapadać się po osie w rozmokłym piasku. Ludzie wyskakiwali, by wyładować skrzynie.

Wyskoczyła też kobieta w mundurze, szarej bluzie i spódnicy. Stopy zatonęły jej w piasku, ale się wyswobodziła, podeszła kawałek w górę zbocza i rozejrzała się dookoła. Ścięte drzewa leżały obok połyskującej tafli wody. W powietrzu unosił się zapach trocin. Panował upał i nigdzie nie było cienia. Z prawej strony, na oddalonym brzegu jeziora, leżało miasteczko Fürstenberg.

Na brzegu tłoczyły się hangary dla łodzi. Widać było iglicę kościoła.

Na przeciwległym krańcu jeziora, na lewo od kobiety, wznosił się ogromny szary mur, wysoki na pięć metrów. Leśna przecinka wiodła prosto do wyniosłej bramy z żelaznych prętów na lewo od zabudowań. Znajdowały się tam tablice z napisem: „Przejście zabronione”<sup>4</sup>. Kobieta – średniego wzrostu, krępa, o brązowych falujących włosach – ruszyła z determinacją w stronę bramy.

Johanna Langefeld przyjechała z małą grupą strażników i więźniami, aby dostarczyć zaopatrzenie i rozejrzeć się po nowym obozie koncentracyjnym dla kobiet; obóz miał zostać uruchomiony na dniach, a Langefeld była *Oberaufseherin* – naczelniczką. Widziała już wcześniej wiele zakładów karnych dla kobiet, ale nigdy takiego miejsca, jak to.

Przez ostatni rok Langefeld pracowała jako starsza strażniczka w Lichtenburgu, średniowiecznej twierdzy koło Torgau nad Łabą. W Lichtenburgu – przekształconym na tymczasowy obóz dla kobiet na czas budowy Ravensbrück – zatłoczone sale i wilgotne lochy były ciasne i niezdrowe; nieodpowiednie dla więźniarek. Ravensbrück był nowy i specjalnie przystosowany. Kompleks zajmował 2,5 hektara i oferował dość miejsca dla pierwszego tysiąca kobiet, którego się tam spodziewano, i na zapasową przestrzeń.

Langefeld przekroczyła żelazną bramę i przeszła się po piaszczystym *Appellplatz*, obozowym placu apelowym. Miał rozmiary boiska do piłki nożnej i zapewniał dość przestrzeni do musztrowania całego obozu naraz. Nad głową Langefeld, na słupach, znajdowały się głośniki, chociaż teraz dało się słyszeć jedynie odgłos wbijanych gwoździ. Mury zasłaniały widok na wszystko dookoła, prócz nieba.

W przeciwieństwie do obozów męskich w Ravensbrück nie przewidziano wieżyczek obserwacyjnych na murach ani stanowisk karabinów. Ale po wewnętrznej stronie muru granicznego przymocowano ogrodzenie z drutu, opatrzone tablicami przedstawiającymi czaszki ze skrzyżowanymi piszczelami, z ostrzeżeniem o wysokim napięciu. Tylko za południowym murem, z prawej strony Langefeld, teren wznosił się na tyle wysoko, że pozwalał zobaczyć czubki drzew na wzgórzu.

W kompleksie przeważały ciężkie szare baraki. Drewniane bloki ustawione w regularnych szeregach były parterowe, z małymi okienkami; zajmowały

teren przy placu apelowym. Dwa rzędy identycznych bloków – choć niektóre nieco większe – wznosiły się po obu stronach głównej ulicy, nazywanej „Lagerstrasse” – Lagrową.

Langefeld obejrzała po kolei wszystkie bloki. W pierwszym bloku z lewej tuż za bramą mieściła się kantyna SS wyposażona w świeżo wyszorowane krzesła i stoły. Również na lewo od placu apelowego znajdował się obozowy *Revier*, izba chorych lub infirmeria. Za placem weszła do łaźni zaopatrzonej w kilkadziesiąt pryszniców. Na jednym końcu stały pudła pełne pasiaków, a kilka kobiet rozkładało na stole w stosy kolorowe trójkąty z materiału.

Obok łaźni pod tym samym dachem mieściła się kuchnia obozowa, która lśniła od ogromnych stalowych garnków i czajników. Następnym budynkiem był magazyn osobistych ubrań więźniów, czyli *Effektenkammer*, gdzie na stole leżały wielkie brązowe papierowe torby, a dalej *Wäscherei*, pralnia, z sześcioma pralkami wirnikowymi – Langefeld wolałaby więcej.

W pobliżu wybudowano ptaszarnię. Heinrich Himmler, Reichsführer SS, który kierował obozami koncentracyjnymi i wieloma innymi sprawami w nazistowskich Niemczech, chciał, żeby jego obozy były jak najbardziej samowystarczalne. Miała się tu znajdować królikarnia, kojec dla kur i warzywniak, jak również sad i ogród kwiatowy. Już przesadzano tu krzewy agrestu, wykopane z ogrodów w Lichtenburgu i przetransportowane ciężarówkami. Do Ravensbrück przewieziono także zawartość latryn z Lichtenburga, która miała posłużyć za nawóz. Himmler wymagał również, aby jego obozy wspólnie mobilizowały zasoby. Ponieważ w Ravensbrück nie było pieców chlebowych, bochenki przyjeżdżały codziennie z Sachsenhausen, obozu męskiego położonego 80 kilometrów na południe.

*Oberaufseherin* przespacerowała się Lagerstrasse, która zaczynała się na drugim końcu placu apelowego i prowadziła na tyły obozu. Bloki mieszkalne rozkładały się wzdłuż Lagerstrasse szczytami do ulicy, w idealnym szyku, tak że okna jednego bloku wychodziły na ścianę następnego. W ośmiu blokach po każdej stronie „ulicy” miały zamieszkać więźniarki. Przed pierwszym blokiem zasadzono czerwone kwiaty – szaławie; młode lipy wyrastały w regularnych rzędach między pozostałymi.

Podobnie jak w innych obozach koncentracyjnych, w Ravensbrück wykorzystano regularną siatkę, dzięki czemu więźniowie byli zawsze widoczni, co oznaczało mniej liczne strażę<sup>5</sup>. Przydzielono tu 30 strażniczek

i 12 esesmanów, wszystkimi dowodził Sturmbannführer Max Koegel.

Johanna Langefeld uważała, że poprowadzi obóz koncentracyjny dla kobiet lepiej niż mężczyzna, a z pewnością lepiej niż Max Koegel, którego metodami gardziła. Jednak Himmler wyraził się jasno, że Ravensbrück powinno być, ogólnie rzecz biorąc, prowadzone według tych samych zasad, co obozy dla mężczyzn, a to oznaczało, że Langefeld i jej strażniczki odpowiadały przed komendantem z SS.

W dokumentach nie figurowało żadne oficjalne stanowisko, ani jej, ani strażniczek. Kobiety właściwie nie podlegały mężczyznom, nie miały ani odznak, ani rang, traktowano je po prostu jako „personel pomocniczy” SS. Większość z nich nie posiadała broni, chociaż niektóre strażniczki grup pracujących na zewnątrz uzbrojone były w pistolety, a wiele miało psy. Himmler uważał, że kobiety boją się psów o wiele bardziej niż mężczyźni.

Mimo tego władza Koegela w obozie nie miała być absolutna. Na razie był tylko nowo mianowanym komendantem i odebrano mu niektóre kompetencje. Na przykład nie planowano żadnego obozowego więzienia ani „bunkra” do karania więźniarek sprawiających kłopoty, jak w każdym obozie dla mężczyzn. Nie mógł również wydać rozkazu „oficjalnej” chłosty. Rozzłoszczony tymi ograniczeniami Koegel napisał do przełożonych z SS z żądaniem większej władzy przy nakładaniu kar na więźniarki, ale odmówiono mu.

Langefeld jednak, która wierzyła bardziej w musztrę i dyscyplinę niż bicie, podobały się te zarządzenia, szczególnie że uzyskała duże ustępstwa w codziennym zarządzaniu. W obszernym obozowym regulaminie, *Lagerordnung*, widniał zapis, że naczelniczka będzie doradzać schutzhaftlagerführerowi (zastępcy komendanta) w „sprawach kobiecych”, chociaż te nie zostały dokładniej określone<sup>6</sup>.

Langefeld weszła do baraku mieszkalnego i rozejrzała się dookoła. Jak wiele innych rzeczy tutaj rozplanowanie miejsc do spania stanowiło dla niej nowość; w przeciwieństwie do wieloosobowych cel lub dormitoriów, z którymi miała wcześniej do czynienia, tutaj w każdym bloku miało spać ponad 150 kobiet. Wnętrza baraków były urządzone identycznie: dwie wielkie sypialnie – A i B – po obu stronach umywalni z rzędem dwunastu umywalek i dwunastu toalet, oraz wspólna sala dzienna, gdzie więźniarki miały jeść.

Przestrzeń sypialną zapełniały trypoziomowe prycze z desek. Każda więźniarka dostawała siennik wypełniony wiórami, poduszkę oraz

prześcieradło i niebiesko-biały koc złożony w nogach łóżka.

Wartość musztry i dyscypliny zaszczipiano Langefeld od najwcześniejszych lat. Urodziła się w marcu 1900 roku jako Johanna May, córka kowala, w Zagłębiu Ruhry, w miasteczku Kupferdreh. Wychowywano ją razem z siostrą w surowym luteranizmie; rodzice wpajali im znaczenie gospodarności, posłuszeństwa i codziennej modlitwy. Podobnie jak wiele innych grzecznych protestanckich dziewcząt Johanna wiedziała już, że jej przeznaczeniem życiowym będzie rola obowiązkowej żony i matki: *Kinder, Küche, Kirche* – dzieci, kuchnia, kościół – brzmiało rodzinne *credo* w domu Mayów. Jednak już od dzieciństwa Johanna pragnęła czegoś więcej. Rodzice zapoznawali ją też z niemiecką przeszłością. W niedzielę po kościele opowiadali o upokarzającej francuskiej okupacji ich ukochanego Zagłębia Ruhry za Napoleona i rodzina padała na kolana, by modlić się do Boga o pomoc w przywróceniu Niemcom świetności. Uwielbiała swą imienniczkę, Johannę Prohaskę, bohaterkę wojen wyzwoleniczych, która w męskim przebraniu walczyła z Francuzami.

Wszystko to Johanna Langefeld powiedziała Grete Buber-Neumann, byłej więźniarce, w której mieszkaniu we Frankfurcie zjawiała się po latach, „próbując wyjaśnić swoje postępowanie”. Grete, która przebywała w Ravensbrück cztery lata, była zaskoczona wizytą eksnaczelniczki w 1957 roku; ujęła ją jednak opowieść Langefeld o jej „odysei” i spisała ją.

W 1914 roku, gdy wybuchła I wojna światowa, Johanna, wówczas czternastoletnia, wiwatowała ze wszystkimi, kiedy młodzi mężczyźni z Kupferdreh maszerowali, by spełnić marzenie o przywróceniu Niemcom wielkości. Szybko zorientowała się, że ona i wszystkie Niemki mają niewielką rolę do odegrania. Dwa lata później, gdy stało się jasne, że wojna tak szybko się nie skończy, Niemkom nagle nakazano pracować w kopalniach, fabrykach i biurach; w ten sposób zyskały na „tyłach” szansę, by sprawdzić się w męskich zawodach; jednak miały stracić te miejsca pracy, kiedy mężczyźni wrócą do domu.

Dwa miliony Niemców poległo na polach bitew, ale sześć milionów przeżyło w okopach i Johanna obserwowała, jak żołnierze wracają do Kupferdreh – niektórzy okaleczeni, a wszyscy upokorzeni. Warunki kapitulacji narzuciły Niemcom spłatę reparacji wojennych, które nadwerężyły gospodarkę i napędziły hiperinflację; w 1924 roku jej ukochane Zagłębie Ruhry znów trafiło pod okupację Francuzów, którzy „kradli” niemiecki węgiel w ramach



kary za niewypłacone reparacje. Rodzice Johanny stracili oszczędności, a ona została bez grosza i szukała pracy. W 1924 roku znalazła męża, górnika Wilhelma Langefeld, który zmarł dwa lata później na chorobę płuc.

Wówczas „odyseja” Johanny zachwiała się; „zagubiła się na kilka lat”, pisała Grete. W połowie lat dwudziestych przeżywała ponury okres, którego nawet nie potrafiła opisać; wspomniała tylko o związku z mężczyzną, który porzucił ją w ciąży, i o tym, że musiała zdać się na opiekę protestanckich stowarzyszeń charytatywnych.

Kiedy Langefeld i miliony podobnych do niej kobiet walczyły z losem, inne Niemki w latach dwudziestych doznały wyzwolenia. Z amerykańskim wsparciem finansowym Republika Weimarska ustabilizowała kraj i wkroczyła na nową drogę liberalizmu. Kobiety otrzymały prawo wyborcze i po raz pierwszy wstępowały do niemieckich partii politycznych, głównie lewicowych. Zainspirowane Różą Luksemburg, główną organizatorką komunistycznego Związku Spartakusa, dziewczęta z klasy średniej, w tym Grete Buber-Neumann, obcinały na krótko włosy, oglądały sztuki Bertolta Brechta i wędrowały po lasach z towarzyszami z Wandervogel, ruchu młodzieżowego, rozmawiając o rewolucji. Tymczasem w całym kraju kobiety z klasy robotniczej zbierały pieniądze na „Czerwoną Pomoc”, wstępowały do związków zawodowych i rozdawały pod bramami fabryk ulotki strajkowe.

W 1922 roku w Monachium, gdzie Adolf Hitler obwinił „obzartego Żyda” o prowokowanie wewnętrznych konfliktów w Niemczech, wcześniej dojrzała Żydówka Olga Benario uciekła z domu, by dołączyć do komunistycznej komórki, wyrzekając się rodziców, zamożnych przedstawicieli klasy średniej<sup>7</sup>. Miała czternaście lat. Po kilku miesiącach ciemnooka uczennica prowadziła towarzyszy przez bawarskie Alpy; kąpali się w górskich potokach, czytali Marksa przy ognisku, a potem planowali komunistyczną rewolucję w Niemczech. W 1928 roku nagle okryła się sławą, kiedy wdarła się do gmachu berlińskiego sądu i pomogła uciec ważnemu niemieckiemu komuniście, któremu groziła gilotyna. W 1929 roku Olga wyjechała z Niemiec do Moskwy, gdzie przeszła szkolenie, po czym udała się do Brazylii, by zorganizować tam rewolucję.

Wracając do umęczonej doliny Ruhry, Johanna Langefeld była samotną matką bez przyszłości. W 1929 roku krach na Wall Street zapoczątkował światowy kryzys i wepchnął Niemcy w nowe i głębsze problemy ekonomiczne, które

doprowadziły do wyrzucenia z pracy na bruk milionów ludzi i wywołały powszechne niepokoje. Langefeld najbardziej obawiała się, że jeśli popadnie w ubóstwo, zabiorą jej syna, Herberta. Jednak zamiast dołączyć do grona nędzarzy, zdecydowała się zacząć im pomagać, zwracając się ku Bogu. „Głębokie zaangażowanie religijne kierowało nią, gdy zwróciła się ku pracy na rzecz najuboższych z najuboższych”, powiedziała wiele lat później Grete przy kuchennym stole we Frankfurcie. Znalazła pracę w opiece społecznej, uczyła prac gospodarczych bezrobotne kobiety i „redukowane prostytutki”<sup>8</sup>.

W 1933 roku Johanna Langefeld odkryła nowego zbawcę w osobie Adolfa Hitlera<sup>9</sup>. Program Hitlera w kwestii kobiecej nie mógł być wyraźniejszy: Niemki mają siedzieć w domu, wychowywać jak najwięcej aryjskich dzieci i we wszystkim słuchać mężów. Kobiety nie pasowały do życia publicznego; obowiązywał je zakaz wykonywania wielu zawodów i miały ograniczony dostęp do uniwersytetów.

W latach trzydziestych tego rodzaju poglądy pokutowały w wielu europejskich krajach, ale nazistowski język był w kwestiach kobiet wyjątkowo toksyczny; zausznicy Hitlera nie tylko otwarcie gardzili „głupią”, „gorszą” płcią niewieścią, ale żądali wręcz „odseparowania” kobiet od mężczyzn, gdyż nie widzieli dla nich prawie żadnego zastosowania – tylko czasem mogły służyć jako elementy dekoracyjne, no i oczywiście rodzić dzieci<sup>10</sup>. Żydzi nie byli jedynymi kozłami ofiarnymi Hitlera odpowiedzialnymi za niemieckie słabości: kobiety, które wyemancypowały się w latach Republiki Weimarskiej, padały ofiarą oskarżeń o odbieranie pracy mężczyznom i demoralizowanie kraju.

Mimo to Hitler potrafił porwać miliony Niemek, które pragnęły, by ten „mężczyzna z hartowanej stali” przywrócił dumę i porządek w Rzeszy. Tego rodzaju wielbicielki – wśród których było wiele głęboko wierzących, a wszystkie rozpalone antysemitką propagandą Josepha Goebbelsa – w 1933 roku tłumnie stawiły się w Norymberdze na wiecu zwycięstwa; w tłum wmiszał się amerykański dziennikarz William Shirer. „Hitler wjechał do średniowiecznego miasta dziś o zachodzie słońca wzdłuż falang szaleńczo wiwatujących nazistów [...]. Dziesiątki tysięcy flag ze swastykami zasłoniło gotyckie piękno placu [...]”. Późnym wieczorem pod hotelem Hitlera: „Byłem wstrząśnięty widokiem twarzy, szczególnie twarzy kobiet [...]. Patrzyły na niego jak na Mesjasza [...]”<sup>11</sup>.

Jest niemal pewne, że Langefeld oddała głos na Hitlera. Pragnęła, by jej kraj podniósł się z kolan. Podobał jej się również głoszony przez Hitlera nowy „szacunek dla życia rodzinnego”. Poza tym Langefeld miała osobiste powody, by być wdzięczną nowemu reżimowi: po raz pierwszy miała stałą pracę. Dla kobiet, szczególnie niezamężnych matek, wiele dróg kariery zawodowej pozostawało zamkniętych, z wyjątkiem tej, jaką obrała Langefeld. Z opieki społecznej awansowała do pracy w więziennictwie. W 1935 roku kolejny awans zapewniło jej stanowisko *Hausmutter* w Brauweiler, zakładzie dla prostytutek koło Kolonii. Posada zapewniała dach nad głową i darmową opiekę dla Herberta.

Jednak wydawało się, że już w Brauweiler nie akceptowała wszystkich nazistowskich metod pomocy dla „najuboższych z najuboższych”. W lipcu 1933 roku weszła w życie ustawa o zapobieganiu chorobom dziedzicznym u dzieci, która legalizowała masową sterylizację jako sposób na wyeliminowanie słabych, chorych, przestępców i psychicznie chorych. Führer uważał, że wszyscy ci degeneraci żerują na publicznych finansach i należy ich usunąć, aby wzmocnić *Volksgemeinschaft*, wspólnotę Niemców czystej krwi. W 1936 roku naczelnik Brauweiler, Albert Bosse, oświadczył, że 95 procent jego więźniarek „nie nadaje się do resocjalizacji i należy je wysterylizować ze względów moralnych oraz dla ochrony zdrowia narodu”.

W 1937 roku Bosse zwolnił Langefeld. W aktach Brauweiler jako przyczyna figuruje kradzież, ale była to prawie na pewno przykrywka dla jej oporu wobec stosowanych w placówce metod. Dokumentacja wykazuje również, że do tamtej pory Langefeld nie zapisała się do partii nazistowskiej, co stanowiło warunek zatrudnienia w więziennictwie.

„Szacunek” Hitlera dla życia rodzinnego nigdy nie ogłupił Liny Haag, żony posła z ramienia partii komunistycznej do zgromadzenia Wirtembergii. Gdy 30 stycznia 1933 roku usłyszała w radiu, że Hitler został kanclerzem, była pewna, że nowa policja bezpieczeństwa, Gestapo, przyjdzie zabrać jej męża: „Na naszych wiecach ostrzegaliśmy kraj przed Hitlerem. Spodziewaliśmy się powszechnego powstania, ale nic takiego nie nastąpiło”.

A potem, 31 stycznia, o piątej rano, kiedy Lina z mężem spali, faktycznie nadeszły zbiry. Zaczęła się obława na „czerwonych”. „Hełmy, rewolwery, pałki. Deptali po czystuśkiej pościeli z odrażającą gorliwością. Nie byli obcy – znali nas, a my znaliśmy ich. Wyrastali tu, mieszkali – sąsiedzi, ojcowie rodzin. Zwykli, najzwyklejsi ludzie. I patrzyli teraz na nas z głęboką

nienawiścią, z odbezpieczonymi pistoletami w dłoniach”.

Mąż Liny zaczął się ubierać. Dlaczego tak szybko wkłada płaszcz, zastanawiała się Lina. Zamierza wyjść bez słowa?

– Co się dzieje? – spytała go.

– Nic takiego – odparł, wruszając ramionami.

– Jest posłem do parlamentu! – krzyknęła do policjantów z pałkami.

Wybuchnęli śmiechem:

– Słyszeliście to? Komunista, jesteś po prostu komunista, ale teraz wypienimy was jak robactwo.

Lina odciągnęła płaczące dziecko, dziesięcioletnią Katie, od okna, kiedy zabierali ojca.

– Myślę, że ludzie długo nie będą tego tolerować – powiedziała Lina<sup>12</sup>.

Cztery tygodnie później, 27 lutego 1933 roku, gdy Hitler wciąż walczył o umocnienie władzy swojej partii, doszło do podpalenia niemieckiego parlamentu, Reichstagu. Oskarżono komunistów, chociaż wiele osób podejrzewało, że ogień podłożyły nazistowskie zbiry, aby zyskać pretekst do sterroryzowania politycznych przeciwników w kraju. Hitler od razu wydał dekret w sprawie „prewencyjnych aresztowań”, co oznaczało, że każdego można uwięzić za „zdradę” na czas nieokreślony. Zaledwie 15 kilometrów na północ od Monachium miał zostać otwarty obóz dla przetrzymywania „zdrajców”.

Uruchomiony 22 marca 1933 roku Dachau był pierwszym nazistowskim obozem koncentracyjnym. Przez następne tygodnie i miesiące policja Hitlera chwytła każdego komunistę lub podejrzanego o bycie komunistą i przewoziła tam, aby go złamać. Zgarniała też socjaldemokratów, członków związków zawodowych, jak również wszystkich innych „wrogów państwa”.

Niektórzy, głównie wśród komunistów, byli żydowskiego pochodzenia, jednak w pierwszych latach nazistowskich rządów władze nie zamykały wielu Żydów; ci, którzy trafili do pierwszych obozów koncentracyjnych, znaleźli się tam, podobnie jak pozostali, za sprzeciwianie się Hitlerowi, a nie za pochodzenie. Na początku jedynym celem obozów koncentracyjnych było zmiżdżenie wszelkiej wewnętrznej opozycji; dopiero gdy ta sprawa została załatwiona, reżim mógł skupić się na pozostałych celach. Zadanie łamania opozycjonistów powierzono osobie mającej ku temu odpowiednie predyspozycje: Heinrichowi Himmlerowi, Reichsführerowi SS, który został

też szefem policji oraz Gestapo.

Heinrich Luitpold Himmler nie wyglądał na szefa policji: drobnej budowy, korpulentny, z cofniętym podbródkiem, w nijakich okularach w złotej oprawie osadzonych na spiczastym nosie. Urodził się 7 października 1900 roku jako drugi z trzech synów Gebharda Himmlera, zastępcy dyrektora w szkole pod Monachium. Wieczory rodzina spędzała w wygodnym monachijskim mieszkaniu, synowie pomagali Himmlerowi seniorowi w porządkowaniu kolekcji znaczków pocztowych lub słuchali opowieści o bohaterskich wyczynach dziadka żołnierza, podczas gdy matka, gorliwa katoliczka, szyła w kącie.

Młody Heinrich znakomicie spisywał się w szkole, ale inni uczniowie wyzywali go od kujonów i często zastraszali; na gimnastyce ledwo sięgał do poręczy, więc nauczyciele zmuszali go do wykonywania morderczych karnych przysiadów, podczas gdy koledzy patrzyli i szydzili z niego. Wiele lat później w męskich obozach koncentracyjnych Himmler wprowadził torturę polegającą na tym, że więźniów zmuszano do skakania żabką, aż padali, po czym natychmiast kopniakiem stawiano ich na nogi, by nie przewracali się na dobre.

Po ukończeniu szkoły Himmler marzył o karierze wojskowej, ale chociaż służył krótko jako kadet, delikatne zdrowie i słaby wzrok nie pozwoliły mu na przejście kursu oficerskiego. Studiował więc rolnictwo i hodowlę drobiu, a umysł jego opanowało kolejne romantyczne marzenie, powrót do „Heimatu” – niemieckiej ojczyzny – gdy w wolnym czasie wędrował po ukochanych Alpach, często z matką, lub studiował astrologię i genealogię; zapisywał wówczas każdy najdrobniejszy szczegół codziennego życia w dzienniku. „Myśli i zmartwienia gonią mi się w głowie”, narzekał.

Zbliżający się do dwudziestki Himmler zwykł besztuć się za własne niedoskonałości, społeczne i seksualne. „Jestem żalosnym pleciugą”, pisał, a gdy chodziło o seks: „Utrzymuję się w ryzach za pomocą żelaznego wędzidla”<sup>13</sup>. W latach dwudziestych wstąpił do monachijskiego męskiego Towarzystwa Thule, które dyskutowało o korzeniach aryjskiej dominacji i zagrożeniu ze strony Żydów. Należał również do różnych monachijskich prawicowych organizacji paramilitarnych. „Tak miło znów włożyć mundur”, pisał. W szeregach partii narodowosocjalistycznej ludzie zaczęli mówić

o nim: „Heinrich wszystko naprawi”. Przerastał wszystkich zdolnościami organizacyjnymi i przywiązaniem do szczegółów, okazało się też, że jest mistrzem w odgadywaniu życzeń Hitlera. Himmler odkrył, że warto być „chytrym jak lis”.

W 1928 roku ożenił się z pielęgniarką, siedem lat starszą od niego Margarete Boden. Urodziła im się córka Gudrun. Sprawy zawodowe Himmlera również ruszyły naprzód i w 1929 roku został szefem SS (*Schutzstaffel*), paramilitarnej formacji, której zadaniem było początkowo chronienie Hitlera. Gdy w 1933 roku Hitler doszedł do władzy, Himmler przekształcił SS w siły elitarne. Miały się zajmować między innymi kierowaniem nowymi obozami koncentracyjnymi.

Hitler proponował wykorzystywać obozy koncentracyjne jako miejsca internowania, a potem miażdżenia opozycji. Wzorował się na obozach koncentracyjnych, których w czasie południowoafrykańskich wojen w latach 1899–1902 Brytyjczycy używali do przetrzymywania masowo internowanych. Jednak styl działania nazistowskich obozów stworzył Himmler, który osobiście ustalił miejsce dla prototypowej instytucji w Dachau. Sam również wybrał komendanta Dachau, Theodora Eickego, który został dowódcą jednostek Totenkopf, „Trupiej Główni”, jak nazywano obozową służbę wartowniczą SS – nosili na czapkach plakietkę z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, aby głosić swą lojalność wobec śmierci. Himmler powierzył Eickemu opracowanie projektu terroryzowania wszystkich „wrogów państwa”.

Tym właśnie Eicke zajmował się w Dachau: stworzył szkołę dla esesmanów, którzy nazywali go „papą Eickem”, gdzie ich „hartował” przed wysłaniem do innych obozów. Hartowanie oznaczało, że musieli się nauczyć nigdy nie okazywać słabości wrogowi, a tylko „pokazywać zęby” – czyli nienawidzić. Wśród pierwszych rekrutów Eickego znajdował się Max Koegel, przyszły komendant Ravensbrück, który przyjechał do Dachau szukać pracy po odsiedzeniu krótkiego wyroku za defraudację.

Koegel urodził się jako syn pasterza w południowobawarskim górskim miasteczku Füssen, słynnym z wytwarzania lutni i z gotyckich zamków. W wieku dwunastu lat został sierotą i dzieciństwo spędził na wypasaniu owiec, po czym ruszył szukać pracy w Monachium, gdzie wpadł w towarzystwo prawicowych *Völkische* i w 1932 roku wstąpił do partii nazistowskiej. „Papa Eicke” szybko wymyślił, jak wykorzystać Koegela,

wówczas trzydziestoosmioletniego i już dostatecznie zahartowanego.

W Dachau Koegel poznał innych esesmanów, na przykład Rudolfa Hössa, innego rekruta, który miał zostać komendantem Auschwitz i który odegrał również swoją rolę w Ravensbrück. Höss wspominał później pobyt w Dachau z sympatią, opowiadał o całym personelu SS, który nauczył się „młować Eickego” i zawsze pamiętać o jego zasadach, które im „weszły w ciało i krew”<sup>14</sup>.

Eicke odniósł taki sukces, że wkrótce powstało kilka kolejnych obozów na wzór Dachau. Jednak w tamtym czasie nikt, ani Eicke, ani Himmler, ani ktokolwiek inny, nie myślał nawet o obozie koncentracyjnym dla kobiet; przeciwniczek Hitlera nie traktowano na tyle poważnie, by uznać je za zagrożenie.

Podczas czystek Hitlera zatrzymano tysiące kobiet. Wiele wyemancypowało się w latach Weimaru – członkinie związków zawodowych, lekarki, wykładowczynie, dziennikarki. Często były to komunistki lub żony komunistów. W areszcie doświadczały złego traktowania, ale nie trafiały do obozów typu Dachau ani też nikt jeszcze nie wpadł na pomysł utworzenia kobiecych podobozów przy męskich. Zamiast tego kobiety przetrzymywano w więzieniach lub przerobionych zakładach poprawczych, gdzie panował reżim surowy, ale znośny.

Wiele kobiet aresztowanych z przyczyn politycznych wywieziono do Moringen, przekształconego poprawczaka koło Hanoweru. Sto pięćdziesiąt przebywających tam kobiet spało w niezamykanych salach sypialnych, a strażniczki wysługiwały się nimi i wysyłały, na przykład, po wełnę do robótek. Na więziennym korytarzu terkotały maszyny do szycia. Osobno od innych stał stół „znakomitości”, w tym znanych posłanek do Reichstagu i żon przedsiębiorców.

Mimo to, jak oszacował Himmler, kobiety należało torturować inaczej niż mężczyzn; prosty fakt, że mąż ginął, a dzieci odbierano – zwykle do nazistowskich rodzin zastępczych – był dla większości kobiet dostatecznie bolesny. Cenzura wykluczała apelowanie o pomoc.

Barbara Fürbringer, gdy dowiedziała się, że jej mąż, komunista, poseł do Reichstagu, został zamęczony na śmierć w Dachau, a dzieci oddano do nazistowskiej rodziny zastępczej, próbowała zawiadomić siostrę w Ameryce:



*Kochana Siostrze,  
Niestety, źle się u nas dzieje. Theodor, mój ukochany mąż, cztery miesiące temu zmarł nagle w Dachau. Troje naszych dzieci umieścili w państwowym domu opieki społecznej w Monachium. Jestem w żeńskim obozie w Moringen. Nie mam ani feniga.*

Cenzura odrzuciła ten list, więc napisała drugi:

*Kochana Siostrze,  
Niestety nie wiedzie nam się tak, jak byśmy tego pragnęli. Theodor, mój ukochany mąż, zmarł cztery miesiące temu. Troje naszych dzieci mieszka w Monachium, Brennerstrasse 27, ja przebywam w Moringen, koło Hanoweru, Breitestrasse 32. Byłabym wdzięczna, gdybyś przesała mi trochę pieniędzy<sup>15</sup>.*

Himmler uznał, że jeśli łamanie mężczyzn będzie dość przerażające, to każdy w końcu ulegnie. I ogólnie rzecz biorąc, okazało się to prawdą, jak wkrótce zauważyła Lina Haag, aresztowana kilka tygodni po mężu i umieszczona w innym więzieniu. „Czy nikt nie widział, w jaką stronę nas kierowali? Czy nikt nie dostrzegął bezwstydnego demagogii artykułów Goebbelsa? Ja to widziałam, nawet przez grube więzienne mury; jednak coraz więcej i więcej ludzi na zewnątrz ustawiało się w szeregu”.

W 1936 roku władza nie tylko całkowicie wyeliminowała opozycję, ale podporządkowała też sobie organizacje humanitarne i niemieckie Kościoły. Niemiecki Czerwony Krzyż został pozyskany do sprawy nazistowskiej; na zebraniach Czerwonego Krzyża obok jego flagi powiewała swastyka, a strażnicy konwencji genewskiej, Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża, prowadzili inspekcje obozów Himmlera, czy też raczej bloków pokazowych, i wydawali zgodę na ich funkcjonowanie. Zachodnie stolicy uznały, że nazistowskie obozy koncentracyjne i więzienia są wewnętrzną sprawą Niemiec i nie będą się wtrącać. W połowie lat trzydziestych przywódcy państw zachodnich nadal uważali, że największe zagrożenie dla światowego pokoju stwarza komunizm, a nie nazistowskie Niemcy.

Jednak pomimo braku większej opozycji w kraju i za granicą w pierwszych dniach panowania Führer uważnie obserwował opinię publiczną.

W przemówieniu, które wygłosił w ośrodku szkoleniowym SS w 1937 roku, stwierdził: „Zawsze wiem, że nie wolno mi zrobić kroku, który musiałbym cofnąć. Musicie mieć nos, by zwietrzyć sytuację, by spytać: «A co teraz ujdzie mi na sucho, a co nie ujdzie mi na sucho?»”<sup>16</sup>.

Nawet nagonka na niemieckich Żydów postępowała na początku wolniej, niż życzyło sobie wielu członków partii. W pierwszych latach Hitler wydawał ustawy, które odbierały Żydom możliwości zatrudnienia i uczestniczenia w życiu publicznym, podsycając nienawiść i prześladowania, ale miał nadejść taki czas, jak uważał, że posunie się jeszcze dalej. Himmler miał „nosa” i wywęszył właściwy moment.

W listopadzie 1936 roku Reichsführer SS, który wówczas był nie tylko szefem SS, ale też policji, musiał uporać się z międzynarodową burzą, jaka wybuchła o niemiecką komunistkę, która w hamburskim porcie zeszła z pokładu parowca prosto w ręce oczekujących gestapowców. Była w ósmym miesiącu ciąży. Nazywała się Olga Benario. Długonoga dziewczyna z Monachium, która swego czasu uciekła z domu, aby przyłączyć się do ruchu komunistycznego, teraz miała 35 lat i miała stać się symbolem dla komunistów na całym świecie.

Po przeszkoleniu w Moskwie na początku lat trzydziestych Olga została wybrana do Kominternu (Międzynarodówki Komunistycznej), a w 1935 roku Stalin przydzielił jej zadanie pomocy w zorganizowaniu zamachu na prezydenta Getulia Vargasa w Brazylii. Operacją kierował legendarny brazylijski przywódca rebeliantów Luis Carlos Prestes. Powstanie miało doprowadzić do komunistycznej rewolucji w największym kraju Ameryki Południowej, co zapewniłoby Stalinowi przyczółek w Ameryce. Jednak na podstawie poufnych informacji zdobytych przez brytyjski wywiad spisek udało się powstrzymać, Olgę aresztowano i wraz ze współkonspiratorką Elise Ewert odesłano z powrotem Hitlerowi „w prezencie”<sup>17</sup>.

Z hamburskiego nabrzeża Olgę zabrano do berlińskiego więzienia przy Barminstrasse, gdzie cztery tygodnie później urodziła córkę, Anitę. Komuniści z całego świata wszczęli kampanię na rzecz ich uwolnienia. Sprawa zyskała szeroki rozgłos, głównie dlatego, że ojcem dziecka był słynny Carlos Prestes, przywódca nieudanego spisku; para zakochała się w sobie i pobrała w Brazylii. Historii przejmującego tonu dodawały odwaga i uroda smagłej, smukłej Olgi.

Zła prasa za granicą nie była pożądana, szczególnie że był to rok igrzysk w Berlinie i władze ciężko pracowały nad poprawą wizerunku kraju<sup>18</sup>. Szefowie Gestapo próbowali najpierw zażegnać spór, proponując, by dziecko przekazać matce Olgi, Żydówce Eugenii Benario, która nadal mieszkała w Berlinie, ale Eugenia nie chciała dziecka; dawno temu wyrzekła się córki komunistki i teraz wyrzekła się również wnuczki<sup>19</sup>. Himmler zgodził się zatem, by Anitę wzięła matka Prestesa, Leocadia, i w listopadzie 1937 roku brazylijska babcia zabrała dziecko z więzienia przy Barminstrasse. Osamotniona Olga pozostała w celi.

Pisząc do Leocadii, wytłumaczyła, że nie zdążyła się przygotować na rozdzielenie z córką: „Więc proszę mi wybaczyć stan rzeczy Anity. Otrzymałaś opis jej rytmu dnia i tabelę wagi? Staralam się prowadzić tabelę najlepiej, jak mogłam. Czy z jej organami wewnętrznymi wszystko w porządku? Co z kośćmi – małymi nóżkami? Pewnie ucierpiała z powodu niezwykłych okoliczności mojej ciąży i pierwszego roku swojego życia”<sup>20</sup>.

Od 1936 roku liczba kobiet w niemieckich więzieniach stale rosła. Pomimo represji Niemki nadal działały w podziemiu, a wiele inspirował teraz wybuch hiszpańskiej wojny domowej. Wśród kobiet zabranych do żeńskiego „obozu” w Moringen w połowie lat trzydziestych najwięcej było komunistek i posełek do Reichstagu, ale znalazły się też indywidualistki działające w małych grupach i samotnie, jak niepełnosprawna graficzka Gerda Lissack, która projektowała antynazistowskie ulotki. Ilse Gostynski, młoda Żydówka, która pomagała w swojej drukarni przy drukowaniu artykułów atakujących Führera, została aresztowana przez pomyłkę. Gestapo polowało na jej siostrę bliźniaczkę, Else, ale Else była w Oslo i organizowała trasy ucieczki dla żydowskich dzieci, więc funkcjonariusze zabrali Ilse.

W 1936 roku pięćset niemieckich gospodyń domowych wzięło Bible, założyło na głowy schludne białe chustki i przyjechało do Moringen. Kobiety, badaczki Pisma Świętego, protestowały, kiedy ich mężowie dostali powołanie do wojska. Hitler to antychryst, mówiły; Bóg rządzi ziemią, nie Führer. Ich mężowie i inni badacze Pisma Świętego zostali wywiezieni do najnowszego obozu Hitlera, Buchenwaldu, gdzie dostali po dwadzieścia pięć batów skórzanym pejcem. Jednak Himmler wiedział, że jego esesmani nie są dość twardzi, żeby poturbować niemieckie gospodynie, więc w Moringen badaczkom Pisma Świętego Bible odebrał naczelnik więzienia – miły

emerytowany żołnierz utykający na jedną nogę.

W 1937 roku w życie weszło prawo przeciwko *Rassenschande* – dosłownie „zhańbieniu rasy” – które zakazywało intymnych kontaktów osobom pochodzenia żydowskiego z Niemcami, co wywołało napływ Żydówek do Moringen. Potem w drugiej połowie 1937 roku przebywające tam kobiety dostrzegły nagły wzrost liczby bezdomnych, które przyjeżdżały „utykające, niektóre w bandażach, a inne z krwawymi ranami”. W 1938 roku przywieziono tu też wiele prostytutek.

Else Krug była jak zwykle w pracy, kiedy do drzwi przy Corneliusstrasse 10 załomotali policjanci z Düsseldorfu, krzycząc, że ma otworzyć; była druga nad ranem 30 lipca 1938 roku. Naloty policji nie były niczym niezwykłym i Else nie miała powodu do obaw, chociaż ostatnio nocne wizyty stały się częstsze. Nazistowskie prawo nie zakazywało prostytucji, ale policja szukała wszystkich możliwych pretekstów; może któraś kobieta nie miała aktualnych badań na syfilis albo jakiś oficer chciał dostać namiar na nową komórkę komunistyczną w dokach Düsseldorfu.

Niektórzy oficerowie z Düsseldorfu znali te kobiety osobiście. Else Krug zawsze miała wzięcie: albo z powodu świadczenia nietypowych usług – specjalizowała się w sadomasochizmie – albo w związku z upodobaniem do plotek; zawsze wiedziała, co w trawie piszczy. Else wylądowała na ulicach Düsseldorfu dziesięć lat wcześniej – bez pracy, daleko od domu i bez grosza przy duszy.

Jednak szybko okazało się, że nalot z 30 lipca był inny od poprzednich przy Corneliusstrasse. Przerażeni klienci łapali bezładnie swoje rzeczy i na wpół ubrani wybiegali w noc. Tej samej nocy podobny nalot odbył się w pobliskim domu, gdzie pracowała Agnes Petry. W ręce policji wpadł również mąż Agnes, lokalny sutener. Po kilkakrotnym przeczesaniu Bahndamm oficerowie wyłapali w sumie dwadzieścia cztery prostytutki, które o szóstej rano znalazły się za kratkami bez podania terminu zwolnienia.

Kobiety na posterunkach policji traktowano różnie. Oficer dyżurny – sierżant Peine – znał większość z nich jako regularne bywalczynie jego cel na jedną noc. Sięgnął po ogromną czarną księgę, zarejestrował je skrupulatnie jak zwykle, spisał nazwiska, adresy i rzeczy osobiste. Jednak w kolumnie „powód aresztowania” Peine starannie wpisał przy każdym nazwisku: *Asoziale*,

„aspołeczna” – nigdy wcześniej takiego określenia nie używano<sup>21</sup>. Na końcu kolumny, również po raz pierwszy, napisał na czerwono: „Transport”.

Naloty na burdele, takie jak te w Düsseldorfie, kontynuowano wszędzie w Niemczech przez cały 1938 rok, kiedy nazistowskie czystki przeciwko niepożądanemu marginesowi społecznemu wkroczyły w nowy etap. Rozpoczęła się realizacja programu *Aktion Arbeitsscheu Reich* (kampania przeciwko uchylającym się od obowiązku pracy dla Rzeszy), wymierzona w osoby uznane za społecznych wyrzutków. W sposób niezauważony przez świat zewnętrzny i bez informacji w kraju ponad 20 tysięcy „aspołecznych” – „włóczęgów, prostytutek, unikających pracy, żebraków i złodziei” – aresztowano i skierowano do obozów koncentracyjnych,

W połowie 1938 roku do wybuchu wojny wciąż jeszcze pozostawał rok, ale niemiecka wojna przeciwko własnym niepożądanym obywatelom już się zaczęła. Führer dał do zrozumienia, że kraj musi być „czysty i silny”, gdy przygotowuje się wojny, więc trzeba pozbyć się „bezużytecznych gąb”. Od chwili gdy Hitler doszedł do władzy wprowadzono na masową skalę sterylizację psychicznie chorych i społecznych „degeneratów”. W 1936 roku Cyganów zamykano w rezerwatach tworzonych w pobliżu dużych miast. W 1937 roku tysiące „notorycznych przestępców” władze zesłały do obozów koncentracyjnych bez procesu. Hitler zatwierdził metody, ale realizatorem kampanii był jego szef policji i SS Heinrich Himmler. To również Himmler wezwał w 1938 roku do zamykania „aspołecznych” w obozach koncentracyjnych.

Wybór czasu był znaczący. Jeszcze sporo przed 1937 rokiem obozy, założone najpierw jako miejsce przetrzymywania opozycji politycznej, zaczęły się opróżniać. Komuniści, socjaldemokraci i inni zgarnięci w pierwszych latach rządów Hitlera zostali w większości zmiażdżeni i większość tych złamanych ludzi odesłano do domu. Himmler, który sprzeciwiał się tym masowym zwolnieniom, uznał, że jego imperium grozi upadek, więc zaczął szukać nowego zastosowania dla swoich obozów.

Do tej pory nikt poważnie nie rozważał wykorzystania obozów koncentracyjnych do innego celu niż dławienie opozycji politycznej, ale wypełniając je przestępcami i społecznym marginesem, Himmler zaczął znowu rozbudowę swojego imperium. Uważał siebie za kogoś więcej niż szefa policji; zawsze mocno interesował się nauką – ze wszystkimi formami

eksperymentów, które mogłyby pomóc w zachowaniu idealnie czystej rasy aryjskiej. Gromadząc degeneratów w obozach, zaczął budować swoją centralną rolę w najambitniejszym eksperymencie Führera: oczyszczenia niemieckiej puli genetycznej. Ponadto nowi więźniowie mieli stanowić źródło siły roboczej potrzebne do odbudowy Rzeszy.

Charakter i przeznaczenie obozów koncentracyjnych miały się teraz zmienić. W miarę jak spadała liczba niemieckich więźniów politycznych, mógł napływać margines społeczny, by ich zastąpić. Wśród napływających po raz pierwszy miało być wiele kobiet – prostytutek, drobnych złodziejek, bezdomnych – tyle samo, co mężczyzn.

Teraz rozpoczęła się budowa specjalnie przystosowanych obozów koncentracyjnych nowej generacji. A ponieważ Moringen i inne zakłady dla kobiet stały się przepełnione i kosztowne, Himmler zaproponował obóz koncentracyjny dla kobiet. W jakimś momencie 1938 roku spotkał się z doradcami, aby wybrać lokalizację. Padła propozycja, prawdopodobnie ze strony przyjaciela Himmlera, gruppenführera Oswalda Pohla, wysokiego rangą administratora SS, żeby obóz powstał w Meklemburgii, nad jeziorem obok wsi Ravensbrück. Pohl znał tę okolicę, ponieważ miał tam posiadłość.

Rudolf Höss później twierdził, iż ostrzegał, że miejsce jest za małe: liczba kobiet będzie wzrastać, szczególnie kiedy wybuchnie wojna<sup>22</sup>. Inni podkreślali, że ziemia jest tam podmokła i budowa obozu będzie trwała długo. Himmler odrzucił sprzeciwy. Tylko 80 kilometrów na północ od Berlina, więc blisko na inspekcje, a poza tym i tak często jeździł tamtędy, aby odwiedzić Pohla lub wpaść do przyjaciela z dzieciństwa, słynnego chirurga SS Karla Gebhardta, który prowadził klinikę w Hohenlychen, 8 kilometrów od Ravensbrück.

Dlatego Himmler zarządził, aby więźniowie obozu w Sachsenhausen pod Berlinem jak najszybciej zaczęli prace przy budowie. Tymczasem z obozu koncentracyjnego w Lichtenburgu koło Torgau, opróżnionego już prawie do połowy, ostatni więźniowie mieli zostać przewiezieni do nowego, otwartego w lipcu 1937 roku, obozu dla mężczyzn w Buchenwaldzie. Do czasu zakończenia budowy Ravensbrück kobiety skierowane do tego obozu koncentracyjnego miały przebywać w Lichtenburgu.

W zakratowanym wagonie kolejowym Lina Haag nie miała pojęcia, dokąd ją

wiozą. Po czterech latach w więziennej celi ona i wiele innych kobiet dowiedziały się tylko, że zostaną „przetransportowane”. Co kilka godzin pociąg zatrzymywał się na stacji, ale ich nazwy – Frankfurt, Stuttgart, Mannheim – nie dawały żadnej wskazówki. Lina patrzyła na „zwykłych ludzi” na peronach – widok, jakiego pozbawiona była od lat – a zwykli ludzie patrzyli na „te widmowe postacie o pustych oczach i matowych włosach”. Nocą kobiety przeprowadzano do lokalnych więzień. Linę przerażały strażniczki. „To było nie do pomyślenia, że w obliczu takiego nieszczęścia mogły plotkować i śmiać się na korytarzach. Wiele jest pobożnych, ale pobożnością szczególnego rodzaju. Wyglądają, jakby chowały się za plecami Boga, zniesmaczone własną podłością”.

Kobiety z zakładu w Moringen dołączyły do pociągu i przerażone zbiły się w gromadkę. W Stuttgarcie doprowadzono lekarzkę Doris Maase z tłumem prostytutek z Düsseldorfu<sup>23</sup>. Doris, opisana w aktach Gestapo jako „czerwona studentka”, miała pół grzebienia, który pożyczyła Linie. Dookoła trajkotały „ladacznice” i „wiedźmy”, chociaż Lina wyznała Doris, że po czterech latach w więzieniu pewnie również wygląda jak „ladacznica”.

W Lichtenburgu czekali już esesmani w rękawiczkach z kozłej skóry i z rewolwerami. Towarzyszyła im Johanna Langefeld. Po zwolnieniu z poprawczaka w Brauweiler Langefeld została zatrudniona przez biuro Himmlera z propozycją awansu na dozorczynię w Lichtenburgu. Langefeld stwierdziła potem, że wzięła tę pracę, wierząc, że nadal będzie mogła wypełniać swoje powołanie, czyli „reedukować prostytutki”, co było oczywistym kłamstwem: zaproponowali jej awans, wyższe zarobki i mieszkanie dla niej i dziecka<sup>24</sup>. W każdym przypadku Brauweiler już pokazało Langefeld, że prostytutki i inne kobiety z marginesu mają być wyeliminowane ze społeczeństwa, a nie reedukowane.

Do Lichtenburga przyjechała Helen Krofges, kobieta, którą Langefeld mogła pamiętać jeszcze z czasu zakładu poprawczego. Krofges trafiła najpierw do więzienia w Brauweiler za niepłacenie pieniędzy na wychowanie swoich dzieci. Teraz została skierowana do Lichtenburga, ponieważ była „niezdolna do poprawy”, jak odnotowano w jej aktach policyjnych, i dlatego, że z powodu „jej skłonności do niemoralnego i aspołecznego sposobu życia należy chronić przed nią *Volksgemeinschaft* [wspólnotę czystej rasy]”<sup>25</sup>.

Nawet urzędnik, który rejestrował kobiety w Lichtenburgu, nie mógł



zrozumieć sensu zamykania tych przegranych osób. Anges Petry, członkini grupy z Düsseldorfu, przyjechała „bez grosza przy duszy”, zanotował w jej wpisie rejestracyjnym. Miała przy sobie tylko fotografię męża. Na jej teczce zapisał słowo *Stutze*, co oznaczało osobę „na utrzymaniu państwa”. „Nie można jej odesłać z powrotem? – zapytał listownie szefa policji w Düsseldorfie. – Czy nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc?”.

Lina Haag już dawno straciła nadzieję, że ktoś im pomoże. 12 marca 1938 roku Niemcy zaanektowały Austrię, a niedługo potem do twierdzy zaczęły przyjeżdżać austriackie buntowniczkini, w tym lekarka, śpiewaczka operowa i cieśla; wszystkie bito i poniżano. „Skoro świat nie zaprotestował przeciwko brutalnej aneksji terytorium państwa, czyż jest możliwe, że ktoś zaprotestuje przeciwko biciu tych nieszczęsnych kobiet, które śmiały się głośno temu sprzeciwić?”, pytała Lina.

Więści, że w twierdzy przebywa Olga Benario, znana ze świetlanych czasów komunistycznego ruchu oporu, wzbudziły w niektórych kobietach nadzieję. Olga przyjechała sama z Berlina gestapowską furgonetką i pod eskortą doprowadzona została do lochów w Lichtenburgu. Komunistkom udało się z nią skontaktować i zastały ją kompletnie załamana odebraniem dziecka. Szmugłowały do jej celi wiadomości i drobne prezenty. Wspominając błyskotliwy najazd Olgi na salę sądową z 1928 roku, niektóre kobiety marzyły o ucieczce, ale Lina Haag twierdziła, że takie próby są „bez sensu”. „Führer zawsze zostaje na szczycie, a my jesteśmy tylko biednymi diablicami – opuszczonymi, nieszczęsnymi diablicami [...]”<sup>26</sup>. Potem Cyganka Katharina Waitz, akrobatka występująca na trapezie, próbowała sforsować mur twierdzy. Strażnicy schwytali ją i pobili. Komendant Lichtenburga, Max Koegel, lubił bić. Lina wspominała, że w Wielkanoc bił trzy nagie kobiety „dopóty, dopóki kompletnie opadł z sił”.

1 października 1938 roku, tego samego dnia, kiedy wojsko Hitlera zajęło Kraj Sudecki, Koegel polewał więźniarki wodą z węża. Prowadzono je na dziedziniec, aby wysłuchały zwycięskiej mowy Hitlera, ale badaczki Pisma Świętego odmówiły zejścia po schodach, więc strażniczki zawlokły je siłą, ciągnąc starsze kobiety za włosy. Gdy zabrzmiał pruski marsz, ktoś wyszeptał „nadciąga wojna” i twierdza nagle wybuchła. Wszystkie badaczki Pisma Świętego zaczęły historycznie krzyczeć, padać na kolana i modlić się. Straże biły, więźniarki oddawały. Koegel rozkazał wyciągnąć węża

przeciwpożarowe i strumienie skierować na tłum; kobiety przewracały się, a wtedy dopadały je psy. Kurczowo wczepione w siebie prawie tonęły, „jak przemoknięte myszy”, powiedziała Marianne Korn, jedna z tych, które się modliły<sup>27</sup>.

Niedługo po tym buncie Himmler przyjechał do twierdzy sprawdzić, czy przywrócono porządek. Reichsführer SS kilkakrotnie wizytował Lichtenburg; zabierał też ze sobą przywódczynię nazistowskiego ruchu kobiet, Gertrud Scholtz-Klink, aby pokazać jej swoje więźniarki. Podczas tych wizyt czasem zarządzał zwolnienia. Przy którejś okazji wypuścił Linę Haag, pod warunkiem że nie będzie opowiadać, jak ją traktowano<sup>28</sup>.

Himmler przeprowadził również inspekcję strażniczek. Musiał zauważyć, że Johanna Langefeld ma pewien autorytet – umiejętność uspokajania więźniarek bez zbędnego zamieszania – skoro wyznaczył ją na przyszłą przełożoną strażniczek w Ravensbrück.

Miejscowe dzieci jako pierwsze zorientowały się, że coś będzie się budować na północnym brzegu Schwedtsee – jeziora Schwedt – ale kiedy powiedziały o tym rodzicom, ci kazali im milczeć na ten temat. Do 1938 roku dzieci bawiły się w krzakach nad jeziorem, gdzie drzewa rosły rzadziej i było dobre miejsce do kąpieli. Pewnego dnia usłyszały, że mają tam więcej nie przychodzić. Przez kilka następnych tygodni mieszkańcy Fürstenbergu – na którego peryferiach leżała mała wioska Ravensbrück – widzieli, jak Hawelą barki przywożą materiały budowlane.

Ravensbrück, 80 kilometrów od Berlina, na południu historycznej Meklemburgii, było, jak zdecydował w 1938 roku Himmler, dobrą lokalizacją na obóz koncentracyjny. Miało odpowiednie połączenie kolejowe i wodne. Fürstenberg, otoczony przez trzy jeziora – Röblinsee, Baalensee i Schwedtsee – przecinała Hawela, która przepływając przez miasteczko, rozdzielała się na kilka kanałów.

Na wybór Himmlera wpłynął też inny czynnik: naturalne piękno okolicy. Reichsführer wierzył, że oczyszczanie niemieckiej krwi powinno przebiegać w bliskości natury, a orzeźwiający powietrze niemieckich lasów odegrało główną rolę w mitologii *Heimat* – niemieckiej ojczyzny. Buchenwald – czyli „las na plaży” – umieszczono w słynnym, gęsto zalesionym okręgu blisko Weimaru, a kilka innych obozów również świadomie umieszczono w pięknych

okolicach. Zaledwie parę tygodni przed otwarciem Ravensbrück miejscowe wody ogłoszono „naturalnym źródłem dla aryjskiej rasy”. Fürstenberg zawsze słynął z miłośników przyrody, którzy przyjeżdżali tu popływać łódką po jeziorze lub zwiedzić miejscowy barokowy pałac.

Na początku lat trzydziestych miasteczko na krótko stało się twierdzą komunistów, a kiedy naziści próbowali tu założyć przyczółek, doszło do kilku walk ulicznych; jednak zanim jeszcze Hitler został kanclerzem, opozycję wypleniono. Naziści osadzili swojego burmistrza, a nazistowski pastor Märker przejął miejski kościół ewangelicki. „Niemieccy chrześcijanie” Hitlera, silni na obszarach wiejskich, organizowali nacjonalistyczne imprezy i parady.

Pod koniec lat trzydziestych z Fürstenbergu zniknęli prawie wszyscy Żydzi. Hotelarka Eva Hamburger, Żydówka, przeciwstawiła się wygnaniu, ale po pogromie *Kristallnacht*, „nocy kryształowej” z 9 na 10 listopada 1938 roku, sama się wyprowadziła. Tej nocy w Fürstenbergu zniszczono żydowski cmentarz i zdemolowano hotel Evy Hamburger. Niedługo potem lokalna gazeta poinformowała, że sprzedana została ostatnia żydowska nieruchomość przy Röbinsee 3.

Podobnie jak większość niemieckich miasteczek Fürstenberg bardzo ucierpiał wskutek kryzysu, więc budowa obozu koncentracyjnego oznaczała dla mieszkańców miejsca pracy i ożywienie handlu. Fakt, że więźniami miały być kobiety, nie wydawał im się kontrowersyjny. Valesca Kaper, żona sklepikarza w średnim wieku, była prężnie działającą przywódczynią miejscowego *Frauenschaft* (nazistowskiego związku kobiet) i często prowadziła odczyty o tym, że makijaż, palenie i alkohol to zło; tłumaczyła też, że „aspołeczni” stanowią ciężar dla państwa. Joseph Goebbels wygłosił nawet w Fürstenbergu przemówienie do mieszkańców: „Ponieważ rodzina jest podstawowym źródłem siły narodu, kobieta jest jego rdzeniem i jądrem”.

Wiosną 1939 roku, gdy zbliżała się data otwarcia obozu, kobiety zachęcano do „służby na tyłach”, do czego zaliczała się praca w charakterze strażniczek w obozie koncentracyjnym, jednak oficjalnie nie pojawiły się ogłoszenia o rekrutacji; faktycznie oficjalnie w ogóle nie było mowy o obozie. Tylko mała wzmianka w „Leśnych Nowinach” o „wypadku w pobliżu miejsca dużej budowy” świadczyła o tym, że obóz w ogóle powstawał.

Na początku maja odbył się koncert muzyki Haydna i Mozarta, a miejscowe Gestapo zorganizowało wydarzenie sportowe: konkurs w strzelaniu i rzucie

granatem do celu. Kino wyświetliło komedię miłosną. Gazeta poinformowała, że po ciężkiej zimie potrzebne są datki na pomoc; pojawiały się też ogłoszenia o bankructwach.

Przez cały ten czas służa na rzece otwierała się raz po raz dla barek wożących materiały, a obozowy mur stał się wyraźnie widoczny z brzegu jeziora, na którym leżało miasto. Gotowość do pracy zgłosiło kilka miejscowych kobiet, w tym Margarete Mewes, pokojówka i młoda matka. W pierwszą niedzielę maja Fürstenberg tradycyjnie obchodził Dzień Matki. *Frau Kaper* wręczała Krzyże Matki wszystkim kobietom, które urodziły więcej niż czworo dzieci, odpowiadając na wezwanie Hitlera, by rozmnażać rasę aryjską.

15 maja, w słoneczne przedpołudnie, kilka niebieskich autobusów przemknęło przez miasto i skręciło w stronę „placu budowy”<sup>29</sup>. Jeszcze przed świtem tego dnia te same niebieskie autobusy przejechały przez bramę zamku w Lichtenburgu, 500 kilometrów na południe. Chwilę później przez zamkowy most zwodzony zaczął wypływać rząd kobiet w ciemnych sukienkach, ściskających niewielkie torby; postacie kierowały się do pojazdów. Noc była jasna, ale wewnątrz autobusów panowały całkowite ciemności. Kobiety wcale nie pragnęły jednak oglądać mrocznej, ciężkiej sylwetki zamku znikającej za nimi, chociaż nie miały pojęcia, co je czeka.

Niektóre ośmieliły się mieć nadzieję, że na końcu podróży spotka je coś lepszego, a ta podróż – jak każda podróż – oferowała powiew wolności, choć więźniarki polityczne dostały ostrzeżenie, że nie mają wielkich szans na jakąkolwiek poprawę losu. Kolejne posunięcie Hitlera, wkroczenie do Pragi, dokonało się w marcu. Mężowie, bracia, ojcowie, synowie umierali szybciej niż dotąd w Buchenwaldzie, Sachsenhausen i Dachau. Kilka kobiet niosło w torbach oficjalne zawiadomienia o śmierci bliskich, razem ze zdjęciami dzieci i paczkami listów.

Żydówki myślały o schwytych podczas „nocy kryształowej”<sup>30</sup>. Jednak paradoksalnie właśnie z powodu swego pochodzenia mogły mieć w tamtym czasie większą nadzieję niż inne. Groza *Kristallnacht* sześć miesięcy wcześniej zniszczyła psychicznie niemieckich Żydów i zszokowała obserwatorów na świecie; świat nie interweniował, ale zaoferował więcej wiz dla rozpaczliwie pragnących ucieczki. Naziści zachęcali Żydów do opuszczania kraju, ponieważ mogli przejmować majątek ruchomy i nieruchomy

wyjeżdżających. Sześć miesięcy po listopadowym pogromie ponad 100 tysięcy niemieckich Żydów wyemigrowało, a jeszcze więcej czekało na dokumenty, aby pójść w ich ślady.

Żydzi w więzieniach i obozach dowiedzieli się, że również mogą wyemigrować, jeśli dowiodą, że mają wizę i pieniądze na podróż. Wśród osób oczekujących na dokumenty znajdowała się Olga Benario. Chociaż matka z nią zerwała, brazylijska macocha Olgi, Leocadia, jak również siostra Carlosa Prestera, Ligia, niezmordowanie pracowały nad sprawą Olgi po tym, jak udało się uwolnić jej córkę, Anitę.

Tuż przed wyjazdem z Lichtenburga Olga napisała do Carlosa przebywającego w brazylijskim więzieniu. „W końcu nadeszła wiosna i zielone czubki drzew ciekawie zaglądają na dziedziniec naszego więzienia. Bardziej niż czegokolwiek innego brakuje mi odrobiny słońca, piękna i szczęścia. Czy przyjdzie taki dzień, że znów będziemy razem z Anitą Leocadią, wszyscy troje, szczęśliwi? Wybacz mi te myśli, wiem, że muszę być cierpliwa”.

Gdy w Meklemburgii nastał świt, słońce przedarło się przez szpary w brezencie i więźniarkom poprawił się humor. Austriaczki śpiewały. Kiedy autobusy dojechały do Ravensbrück, było już południe i panował duszny upał. Kobiety łapczywie wdychały powietrze. Autobusy skręciły z drogi i zatrzymały się. Drzwi się rozsunęły i te siedzące z przodu zobaczyły połyskliwe jezioro. Wnętrze autobusu wypełnił zapach sosnowego lasu. Niemiecka komunistka Lisa Ullrich dostrzegła „słabo zaludnioną wioskę położoną nad małym idyllicznym jeziorem otoczonym koroną ciemnego świerkowego lasu”<sup>31</sup>.

Serca kobiet „podskoczyły z radości”, wspominała Lisa, ale zanim wszystkie autobusy zdążyły się zatrzymać, rozległy się krzyki, wrzaski, strzelanie z biczów i szczekanie psów. „Powitał nas potok rozkazów i wyzwisk, gdy zaczęłyśmy wysiadać. Spomiędzy drzew wyszły hordy kobiet – strażniczek w spódnicach, bluzach i czapkach, z pejcami, niektóre prowadziły skowyczące psy wyrywające się do autobusów”.

Podczas wysiadania kilka kobiet upadło, a te, które zatrzymały się, by im pomóc, zostały poszczute psami lub wychłostane. Jeszcze nie wiedziały, że obozowa zasada brzmi, iż pomoc drugiemu jest przestępstwem. „Dziwki, śmierdzące krowy, wstawać, ruszać się. Leniwe dziwki”. Kolejną zasadą było,

że więźniarki zawsze musiały się ustawiać piątkami. „*Achtung, Achtung. Piątkami zbiórka. Ręce wzdłuż boków*”.

Rozkazy odbijały się echem od drzew, a na te, które zostawały w tyle, spadały kopniaki wojskowych buciorów. Zesztywniałe z przerażenia, z oczami wbitymi w piaszczysty grunt, kobiety robiły wszystko, aby nie zwracać na siebie uwagi. Unikały też nawzajem swojego wzroku. Niektóre pojękiwały. Kolejny trzask pejcza i zapadła kompletna cisza.

Dobrze wyćwiczona rutyna SS spełniła swoje zadanie – zasianie maksymalnej grozy w chwili przyjazdu więźniów. Jeśli ktoś myślał choćby o stawieniu oporu, od razu porzucił tę myśl. Rytuał przeprowadzono setki razy w męskich obozach koncentracyjnych, a teraz po raz pierwszy na brzegu Schwedtsee. Te, które przyjechały później, miały jeszcze gorzej, w środku nocy lub w śniegu, nie rozumiejąc języka. Ale wszystkie więźniarki Ravensbrück doznały traumy przyjazdu; wszystkie będą pamiętać własne milczenie.

\*\*\*

Pierwsza grupa stała w milczeniu i upale przez jakieś dwie godziny<sup>32</sup>. Gdy zaczęło się odliczanie, Maria Zeh ze Stuttgartu podnosi wzrok i widzi kwitnący rzepak<sup>33</sup>. Dostaje w twarz. *Die Nase nach vorne!* – wrzeszczy strażniczka: nos przed siebie.

Kobiety liczone, potem jeszcze raz i jeszcze – kolejna lekcja do wyuczenia: jeśli ktoś zaburzy szereg, upadnie lub jeśli w liczeniu nastąpi pomyłka, zaczyna się od nowa. „A zanim wymaszerujemy, naczelniczka dostaje kartkę papieru z liczbą”, wspomina Lisa Ullrich. Naczelniczką jest Johanna Langefeld. Stała z boku, teraz sprawdza liczby. Daje kobietom sygnał do marszu. Widoczna jest również pękata postać Maxa Koegela.

Więźniarki szły przed siebie, mijając na wpół zbudowane wille z lewej strony, ale prawie nie zauważały otoczenia. Weszły na ogromną polanę, gdzie wycięto każde drzewo i wyrwano każde źdźbło trawy, zostawiając tylko piasek i błoto. Na tej pustyni stał masywny szary mur. Kobiety przeszły przez bramę i uświadomiły sobie, że znalazły się w nowym obozie.

– *Achtung! Achtung!*, piątkami zbiórka!

Stały na pustym piaszczystym obszarze wyznaczonym na plac apelowy.

Wdychały zapach świeżego drewna i farby. Dookoła stały surowe drewniane baraki. Niektóre kobiety dostrzegły rabatki z czerwonymi kwiatkami. Słońce zachodziło. Brama się za nimi zamknęła.

[3](#) Buber-Neumann, *Die erloschene Flamme*.

[4](#) Widok, jaki ujrzała Langefeld podczas pierwszej wizyty w obozie, został zrekonstruowany na podstawie świadectw pierwszych przybyszów, na przykład Hanny Sturm (przyjechała z przednią strażą), *Die Lebensgeschichte einer Arbeiterin*; Maase, WO 309/416 i BAL B162-9896/9828; Gostyńskiej, zeznanie świadka, WL P.III.h.No.159; Marii Hauswirth, WL P.III.h.No.948; Clary Rupp, wspomnienia, ARa. Układ zabudowań pokazuje także pierwsze mapy i album zdjęć SS, ARa.

[5](#) Pod koniec 1939 roku w obozie było 55 strażniczek, a pod koniec wojny już 330. Heike, *Johanna Langefeld*.

[6](#) O roli i postawie Johanny Langefeld mówi jedyne jej znane przesłuchanie, datowane na 26 i 31 grudnia 1945 roku, w US National Archives (NARA, NAW RG, 338-000-50-11). Zob. też: Johannes Schwartz *Geschlechtsspezifischer Eigensinn* oraz *Das Selbstverständnis Johanna Langefeld als SS-Oberaufseherin* [w:] *Tatort KZ*, red.Fritz, Kavčič i Warmbold; Hike, *Johanna Langefeld*; Müller, *Die Oberaufseherinnen*. Langefeld opisało mi kilka byłych więźniarek, w tym: Edith Sparmann, Wojciecha Zeiske (z domu Buraczyńska), Maria Bielicka, Fritzi Fruh (z domu Jaroslavsky), Irma Trksak i Barbara Reimann. Rudolf Höss zamieścił swoją opinię w *Autobiografii*, s. 136.

[7](#) Zob. Anna-Jutta Pietsch, *Jacob-Klar-Straße I: das Elternhaus von Olga Benario* [w:] *Ausgegrenzt-Entrechtet-Deportiert: Schwabing und Schwabinger Schicksale 1933 bis 1945*, red. Ilse Macek, Monachium 2008. W latach dwudziestych ojciec Olgi, Leo, prawnik i socjaldemokrata, walczył o prawa strajkujących kobiet w monachijskich sądach, co podsyciło radykalne skłonności u córki. Mężczyzną, któremu umożliwiła ucieczkę, był Otto Braun, wysoka figura w tajnych służbach Komunistycznej Partii Niemiec.

[8](#) Langefeld pracowała najpierw jako nauczycielka gospodarstwa domowego w Neuss koło Düsseldorfu. Jej dokument tożsamości wystawiony w Brauweiler (w Archiv des Landschaftsverbands Rheinland) wskazuje, że zaczęła w przytułku w 1935 roku. Informacja dzięki uprzejmości Hermanna Danersa.

[9](#) Według Langefeld nauki boskie równały się nauczaniu Hitlera. Na początku lat trzydziestych kościół luteranski w jej rodzinnym miasteczku Kupferdreh stał się twierdzą Deutsche Christien, fanatycznych nazistowskich chrześcijan. Zob. Busch, *Kupferdreh und seine Geschichte*.

[10](#) Naziści powoływali się na badania naukowe, które wykazały, że kobiety mają mniejsze mózgi niż mężczyźni i dlatego są istotami niższymi.



[11](#) Shirer, *Berlin Diary*.

[12](#) Haag, *How Long the Night*.

[13](#) Dzienniki Himmlera, cyt. za: Padfield, *Himmler*.

[14](#) Höss, *Autobiografia*, s. 104.

[15](#) Cyt. w: Hertz, *The Womens's Camp in Moringen*.

[16](#) Cyt. za: Koonz, *Mothers in the Fatherland*.

[17](#) Brytyjski wywiad udaremnił również komunistycznym protestantom próbę odbicia Olgi z parowca, kiedy przybił do portu w Southampton w drodze do Hamburgu. Moskwa z wyprzedzeniem wysłała sygnał do brytyjskiej partii komunistycznej w Londynie i wezwała do zorganizowania protestów w porcie, ale informację przechwyciło MI6 i parowiec popłynął prosto do Niemiec, bez postoju. Szczegóły w aktach British Security Service dotyczących Arthura Ernesta Ewerta z komórki Kominternu. Był mężem Elise Saborowski Ewert (*alias Sabo*), która weszła na podkład parowca z Olgą; KV 2/2336.

[18](#) Na przykład przez rozpoczęciem igrzysk wyłapano wszystkich Cyganów w Berlinie. Aby usunąć ich z ulic, zamknięto ich w dużym obozie na bagnach na berlińskim przedmieściu Marzhan.

[19](#) Mimo tego nadal trwały protesty przeciwko przetrzymywaniu Olgi, w londyńskim Hyde Parku odbył się marsz komunistów i ich sympatyków, z udziałem para z Partii Pracy, lorda Listowela.

[20](#) *Anos Tormentosos*, red. Prestes i Prestes. Fragmenty listów Olgi pochodzą z tej książki, jak również z kolekcji dokumentów Ruth Werner, przyjaciółki i biografki Olgi (BA NY 4502).

[21](#) Akta osobowe Kriminalpolizei i Gestapo, NRW. Zob. też: Schikorra, „... ist als Asoziale anzusehen”.

[22](#) Höss opisuje spotkanie w sprawie Ravensbrück, kiedy omawiał z Pohlem i Eickem szczegóły budowy. Wiele ocalałych więźniarek żywiło przekonanie, że ziemia, na której zbudowano obóz, stanowiła prywatną własność Heinricha Himmlera. Nie wypłynęły żadne źródła na ten temat, ale niedawno, podczas omawiania prawnych kwestii budowy w tym miejscu supermarketu, odnaleziono dokumenty wskazujące, że właścicielem ziemi była monachijska filia SS, w której Himmler miał swoje interesy na długo przed powstaniem planów zbudowania obozu. ARA, Plany.

[23](#) Akta policyjne, LAV NRW. Została aresztowana w Düsseldorfie, kiedy próbowała nawiązać kontakt z komunistycznym ruchem oporu.



[24](#) Przesłuchanie Langefeld, 26 i 31 grudnia 1945 roku, NARA, NAW RG 338-000-50-11. Kilka innych strażniczek twierdziło, że dano im do zrozumienia, iż ich zadaniem będzie „reedukacja” kobiet, zob. Pietsch, BAL B 162/981; Zimmer, WO 309/1153.

[25](#) Akta policyjne, LAV NRW 2034/177.

[26](#) Haag, *How Long the Night*; także wywiad z autorką.

[27](#) Zob. raporty w: GZJ. Potraktowanie wodą z węży badaczek Pisma Świętego wspominała z przerażeniem większość więźniarek, które przeżyły Lichtenburg. Zob. też: Haag, *How Long in the Night*; Maase, WO 309/416.

[28](#) Gostynski, naoczny świadek, WL P.III.h, nr 159, twierdziła, że inspekcje odbywały się co roku. Pewnego razu zobaczyła Himmlera z bliska i zapamiętała jego „przerażające oczy [...] złe, zimne i szare”.

[29](#) Niektórzy twierdzą, że 15 maja nastąpiło oficjalne otwarcie obozu, ale że pierwszy duży transport – 867 kobiet z Lichtenburga – przyjechał 18 maja. Inni mówią, że transporty nadjeżdżały stopniowo przez pierwszy tydzień. W tej kwestii nie ma zgodności. Zob. Heike, *Johanna Langefeld*.

[30](#) Dziesiątki tysięcy niemieckich Żydów trafiło do obozów koncentracyjnych po „nocy kryształowej”, ale kobiet naziści nie zatrzymywali, prawdopodobnie z obawy przed ostrymi sprzeciwami i ponieważ w owym czasie nie mieli dla nich dość miejsca w więzieniach.

[31](#) Ullrich, „Für Dich”, ARa.

[32](#) Relacje o przyjeździe, pierwszych dniach w obozie i o zasadach oraz procedurach zob. m.in. Gostynski, zeznanie świadka, WL P.III.h, nr 159; Wachstein, raport wiedeński, ARa; Ullrich, „Für Dich”, ARa; Sturm, *Die Lebensgeschichte einer Arbeiterin; ...und dennoch blühten Blumen*, red. Schwartz i Szepansky.

[33](#) Maria Zeh, wywiad w: Walz, *Und dann kommst Du dahin an einem schönen Sommertag*.

## Rozdział 2

### *Sandgrube*

Ręce po bokach. Piątkami zbiórka. Patrzeć przed siebie”. Grupami więźniarki maszerują do nowych budynków na prawo od bramy, gdzie zaczyna się następny rytuał: kąpiel. Pierwsza grupa wchodzi do środka i widzi stoły: za nimi siedzą strażniczki, przy nich leżą stosami pasiaki. Wszystko musi działać się płynnie. Kobiety zaczynają się rozbierać.

– *Schnell, schnell!*...

Niektóre stoją tam w pasach higienicznych na biodrach i patrzą na strażniczki, które krzyczą:

– Zdejmować wszystko!

Zdejmują więc wszystko; rzeczy lądują w dużych brązowych papierowych torbach z ubraniami i wszystkimi przedmiotami osobistymi. Więźniarki oddają ostatnie zdjęcia, fotografie dzieci, haftowane chusteczki, szydełkowe czapki, małe koszyczki, wiersze, grzebienie. „Dopóki nic im nie zostanie”. Również ślubne obrączki.

Całkiem nagie znów wpatrują się we własne stopy, aż nagle któraś podnosi wzrok i krzyczy na widok esesmanów, którzy stoją i się gapią. Śmieją się i wykrzykują obelgi, widząc upokorzenie kobiet.

Potem przychodzą fryzjerki, a część kobiet zostaje odepchnięta na bok. *Beeilt euch, beeilt euch!* – ruszać się, ruszać. Wybranym więźniarkom ogolono włosy prawie do skóry. Potem przychodzi inna kobieta. Każe tym samym kobietom rozstawić nogi i goli im włosy łonowe.

W ciągu kilku godzin od przyjazdu, 15 maja 1939 roku, pierwsze z 867 więźniarek przewiezionych z Lichtenburga do Ravensbrück zostało rozebranych, umytych, skontrolowanych, czy nie mają wszy, a w wielu przypadkach ogolonych, gdyż *Oberaufseherin* nie chciała tu żadnego

robactwa. Więźniarki następnie przywdziały obozowy strój: płócienną suknię i kaftan w biało-niebieskie pasy, białą chustkę, pończochy i drewniaki.

Każda otrzymała numer, wydrukowany na małym białym kawałku materiału. Odpowiadał numerowi, jaki dostały przy przyjęciu do Lichtenburga – od 1 do 867. Wręczono im też kolorowy trójkąt z filcu. Dostały po igle z nitką i kazano im przyszyć trójkąty na lewym rękawie kaftana. Trójkąt, tak zwana łata (winkiel), określał kategorię więźniarki: czarny dla „aspołecznych” – prostytutek, żebraczek, drobnych złodziejek, lesbijek; zielony dla zawodowych przestępczyń; czerwony dla więźniarek politycznych; fioletowy dla badaczek Pisma Świętego; żółty dla Żydówek. Żydówki miały jeszcze podkategorie w zależności od przyczyny aresztowania. Wszystkie nosiły żółty trójkąt, jednak te określane jako *Pol. Jude* – aresztowane z powodów politycznych – miały żółty trójkąt na czerwonym tle. Wśród Żydówek politycznych największą grupę stanowiły aresztowane za *Rassenschande*, kontakty intymne z nie-Żydami; takich było 97. Żydówki aresztowane jako aspołeczne nosiły żółty trójkąt na czarnym tle.

Kiedy numery i trójkąty zostały przyszyte, przez megafony rozległo się wycie syreny, które wzywało kobiety ponownie na *Appellplatz*, po czym kategoriami pomaszerowały do odpowiednich bloków, prowadzone przez swoje blokowe. Żydówki poszły do *Judenblock*, z wyjątkiem Olgi Benario, którą zabrano gdzie indziej.

W blokach każda dostała pryczę, miskę, talerz, aluminiowy kubek, nóż, widelec i łyżkę oraz ściereczkę do ich wycierania i polerowania. Każda smuga oznaczała raport do Langefeld, która wydawała dokładne instrukcje, jak należy polerować. Zgodnie z obozowym *Lagerordnung* do Langefeld należała pełna kontrola nad „sprawami kobiecymi”, co obejmowało całkowitą władzę nad blokami mieszkalnymi; Koegel i esesmani nie mieli tam wstępu bez towarzystwa strażniczki<sup>34</sup>.

Dostały szczotkę i kubek do mycia zębów, bryłkę mydła i mały ręcznik. Zgubienie któregoś przedmiotu równało się „raportowi” do *Oberaufseherin*. Każdej przydzielono półeczkę do przechowywania rzeczy; jeśli coś znalazło się nie na miejscu, oznaczało to „raport”.

Ścieleniem łóżka rządziło wiele zasad. Należało to zrobić w „pruskim stylu”, tak jak w innych obozach, ale i w tym punkcie Langefeld miała własne szczegółowe instrukcje: poduszka musiała leżeć równoległe do krawędzi

łóżka; materac należało uklepać idealnie płasko, czego nie dało się zrobić, ponieważ wypchany był drewnianymi wiórami.

Kobiety wspominały, że szczególnej precyzji wymagało złożenie niebiesko-białego koca. „Koc musiał leżeć dokładnie na wysokości poduszki, w równej odległości od każdego boku łóżka, idealnie prostopadle i równoległe – wspominała Fritzi Jaroslavsky, austriacka więźniarka. Kiedy to opowiadała, nerwowo skubała obrus. – Jeśli choćby o centymetr zachodził na materac, oznaczało to, że zaraz przybiegnie strażniczka, wrzeszcząc: «Leniwa krowo, głupia dziwko!»; będzie kopała i szarpała ofiarę i krzyczała: «Raport!»”<sup>35</sup>.

Najgorsze ze wszystkiego były zasady obowiązujące na apelu. O piątej rano syrena budziła obóz, więźniarki wymaszerowały z bloków i ustawiały się piątkami, z rękami wzdłuż boków; stały wyprostowane jak żołnierze, podczas gdy trwało odliczanie. Nawet na początku procedura trwała pół godziny, żeby uzyskać właściwą liczbę, a o piątej rano lodowaty wiatr wiał od jeziora i przenikał przez płócienny ubiór. „*Achtung, Achtung!* Ręce wzdłuż boków, piątkami zbiórka”. Langefeld czasem przeprowadzała apel osobiście, ale zwykle zlecała zadanie swojej zastępczyni, Emmie Zimmer, która również wcześniej pracowała w Lichtenburgu. Pięćdziesięcioletnia Zimmer, która miała „ciężką rękę” – lubiła policzkować – przechodziła wzdłuż szeregów z wielką teczką dokumentów, którą waliła więźniarki po głowie za najmniejszy ruch lub wydany dźwięk. Czasem, zwykle gdy była pijana, Zimmer – nazywana przez więźniarki „ciotką Emmą” – kopała też ciężkimi butami.

Langefeld nigdy nie biła i nie kopała, chociaż czasem wymierzała policzek, szczególnie gdy wysłuchiwała „raportu”. Kobieta, która popełniła wykroczenie, trafiała do biura *Oberaufseherin*, by usłyszeć zarzuty – zagubiony kubek, źle złożony koc – i wytłumaczyć się z nich. Langefeld wydawała następnie decyzję, a jeśli zarzut został udowodniony, wymierzała winnej policzek i wyznaczała karę, którą mogło być czyszczenie toalet, ale ulubioną karą naczelniczki była stójka, stanie kilka godzin bez jedzenia. Jeśli ukarana zemdląca, leżała długo, zanim ją zabrano. W poważniejszych przypadkach Langefeld potrafiła zakładać kaftan bezpieczeństwa i polewać wodą.

Kiedy Zimmer przeprowadziła poranne odliczanie, kobiety wracały do bloków, gdzie wydawano czarny płyn, udający kawę, i kawałek chleba, co stanowiło dzienny przydział; można było wszystko zjeść od razu lub odłożyć

na półkę na później. Ponownie rozbrzmiewały syreny i zaczynała się selekcja do drużyn roboczych. Więźniarki ponownie ustawiały się w szeregach, po czym szły po narzędzia i ruszały do kopania piasku lub budowania drogi, śpiewając jednocześnie niemieckie pieśni marszowe. Wieczorem po powrocie znów odbywało się liczenie.

Po kilku dniach do Ravensbrück przewieziono już większość więźniarek z Lichtenburgu. Poznały zasady Langefeld i ustalony porządek. Ubrania więźniarek z brązowych papierowych toreb powędrowały do prania, po czym zostały wyprasowane ogromnym parowym żelazkiem. Każdy przedmiot następnie wrócił do torby ze swoim numerem i wszystko przekazano do *Effektenkammer*, magazynu obok.

„Efekt” składał się z czterech pomieszczeń. W jednym stał długi stół na kozłach, gdzie wysypywano ubrania i przedmioty więźniarek, żeby je posortować. W przyległym znajdowało się biuro z dwoma biurkami i dwiema maszynistkami oraz wielka stalowa szafa z setkami kart katalogowych, na których wpisywano nazwisko i numer więźniarki, każdą posiadaną sztukę odzieży i wszystkie przedmioty; kopia szła do biura Langefeld<sup>36</sup>.

Cenne przedmioty zamykano w stalowej szafie dla bezpieczeństwa i starannie odnotowywano. Złożone ubrania trafiały do nowych toreb z brązowego papieru, a torby zawieszano na wieszakach; wieszaki umieszczone były na relingach na ogromnym strychu nad biurem Langefeld. Gdy któraś kobieta zostawała zwolniona, szła do „efektu”, gdzie podawała swój numer pracownicy, a ta szła na strych i zdejmowała odpowiednią torbę za pomocą haka na długim kiju.

Kiedy później zaczęły przyjeżdżać więźniarki z Polski, Rosji i Francji, niektóre miały ze sobą walizki pełne dobytku; wszystko pakowano do toreb i przeprowadzano taką samą procedurę, opowiadała Edith Sparmann, więźniarka, pół Niemka, pół Czeszka, która pracowała w *Effektenkammer*. Torby były ogromnymi grubymi papierowymi workami zeszytymi z boków. W jednym magazynie leżały wyłącznie takie brązowe papierowe torby, gotowe na przybycie dużych transportów. „Później było tam wiele cennych przedmiotów”, powiedziała Edith, która wspominała, że Langefeld często przychodziła do „efektu” przeglądać rzeczy. „Nie była taka zła jak inne. Pozwoliła mojej matce zatrzymać ślubną obrączkę”<sup>37</sup>.

W pierwszych dniach w obozie więźniarkom przydzielano również zadania

w kuchni i starannie obliczano racje przypadające na każdy blok, w zależności od stanu osobowego z poprzedniego wieczora. W rewirze, szpitalu obozowym, każda kobieta przechodziła badanie ginekologiczne, a jeśli któraś miała syfilis, jak Agnes Petry, dozorczyńni odnotowywała ten fakt w jej aktach<sup>38</sup>. Gdy badanie wykazywało ciążę, kobietę odwożono do pobliskiego szpitala w Templinie, gdzie miała urodzić dziecko. Dziecko następnie szło do adopcji, a kobieta wracała do obozu.

Stan po pierwszych siedmiu dniach – obejmujący nowo przybyłe razem z tymi z Lichtenburga – wynosił 974 więźniarek w obozie. Z tego 114 kobiet otrzymało czerwone „łaty” (polityczne); 388 badaczek Pisma Świętego dostało fioletowe; 119 – zielone (recydywistki); 240 – czarne (aspołeczne); 137 – żółte (Żydówki); niektóre kategorie się pokrywały<sup>39</sup>. Odtąd każda przybyła otrzymywała kolejny numer, więc strażniczki oraz inne więźniarki zawsze wiedziały, na podstawie numeru, która była w obozie najdłużej, a która dopiero przyjechała. Pierwszą więźniarką, która dostała „prawdziwy” numer Ravensbrück (to znaczy nie przeniesiono jej z Lichtenburga), była trzydziestosiedmioletnia niemiecka nauczycielka aresztowana za działalność w komunistycznym ruchu oporu, Clara Rupp. Przyjechała 25 maja i otrzymała numer 1415.

Pod koniec pierwszego tygodnia pisarki sporządziły kopie wszystkich kart nowo przybyłych i włączyły do dokumentacji, a ich odzież zapakowana w brązowe papierowe worki zawisła nad głową Langefeld. Jednak praca Langefeld dopiero się zaczynała.

Biuro Johanny Langefeld w jednym ze zwykłych bloków, tuż obok bramy, nie było tak duże jak rozległa murowana kwatera komendanta, ale znajdowało się w idealnym miejscu. Zza biurka miała widok na plac apelowy i mogła cały czas obserwować, co się na nim dzieje.

Jej biuro miało wielu pracowników. Szeregi urzędniczek i pisarek siedziały przy biurkach, a więźniarki stały w kolejce, by przedstawić powód aresztowania, historię medyczną i najbliższych krewnych – i wszystko to zapisywano w kilku osobnych teczkach. Następnie posłaniec Langefeld zanosił kopie dokumentacji do odpowiednich sekcji w obozie.

W pierwszych dniach było do rozwiązania mnóstwo spraw administracyjnych. Z wydziałów policji napływały zapytania. „Czy KZ

[*Konzentrationslager*, obóz koncentracyjny] zapłaci za bilet kolejowy więźniarki?”, chciała wiedzieć policja z Hamburga. „Czy Düsseldorf ma wysłać czapkę?” Napływały listy od niemieckiego Czerwonego Krzyża przekazujące pytania o więźniarki, które przysły z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Córka, Tanja Benesch, chciała otrzymać wieści na temat matki, Susi. A Langefeld przekazała Maxowi Koegelowi, że obozowe pralki służą wyłącznie do prania pasiaków i bielizny więźniarek; swoje rzeczy niech sobie pierze gdzie indziej.

Więźniarki przydzielano do pracy. Hanna Sturm, austriacka komunistka, z zawodu stolarz, zajmowała się budową ogrodzenia i wbijaniem gwoździ. Występowały liczne problemy dyscyplinarne. Inna Austriaczka, Marianne Wachstein, przyjechała w koszuli nocnej i nie wiedziała, kim jest.

Hedwig Apfel, która twierdziła, że jest śpiewaczką operową i pochodzi z Wiednia, pierwszego dnia zrzuciła swój materac na podłogę i niemal nie przestawała krzyżeć. Kilka dni później obóz uruchomił ogólnokrajowy pościg za Kathariną Waitz, Cyganką, akrobatką występującą na trapezie, która znowu uciekła, choć nikt nie wiedział, w jaki sposób.

Badaczki Pisma Świętego znów przysporzyły problemów Maxowi Koegelowi, tym razem odrzucające jego propozycję zwolnienia. W zamian za to kobiety miały podpisać dokument, że wyrzekają się swojej wiary, ale wszystkie odmówiły, powtarzając, że Führer jest antychrystem. W dużym stopniu z powodu ich buntu w Lichtenburgu Koegel zażądał stworzenia bloku karnego w Ravensbrück. Kilka tygodni przed otwarciem obozu powiedział swojemu przełożonemu z SS Theodorowi Eickemu: „Nie uda się utrzymać porządku, dopóki te rozhisteryzowane wiedźmy nie zostaną spacyfikowane. Zwykłe pozbawienie jedzenia nie złamie ich bez dodatkowej formy rygorystycznego uwięzienia”<sup>40</sup>.

Chociaż jego pierwszą prośbę władze odrzuciły, Koegel zapewnił sobie w końcu zgodę na przekształcenie zwykłego bloku mieszkalnego w „blok karny”, czyli *Strafblock*, w którym zamknięto kilka „rozhisteryzowanych wiedźm”. Blok karny umiejscowiono w oddaleniu od innych bloków, za drutem kolczastym. Więźniarki trafiały tam za przestępstwa w rodzaju powtarzającego spóźniania się na apel, niedbałego pościelenia pryczy lub za odmowę wykonania rozkazu. Mieszkancki bloku karnego musiały przez wiele godzin wykonywać wyczerpujące prace w najgorszych komandach, bez dni



wolnych. Stosowano wobec nich kary w rodzaju zawiązywania w kaftan bezpieczeństwa lub polewania wodą.

Do szczytu bloku karnego dobudowano z drewna kilka izolatek. Berlińskie Gestapo wymagało ich do przetrzymywania więźniarek, które nadal musiały być przesłuchiwane, chociaż władze obozowe umieszczały tam też inne kobiety, na przykład Marianne Wachstein, Austriaczkę, która przyjechała w koszuli nocnej. Do izolatki trafiła za to, że nie chciała podpisać dokumentu aresztowania i protestowała, że pogwałcone zostały jej prawa człowieka.

Marianne tłumaczyła później, że odmówiła złożenia podpisu, ponieważ nie miała pojęcia, za co trafiła do obozu; dwadzieścia cztery godziny wcześniej ocknęła się nieprzytomna w więziennej celi w Wiedniu, gdzie policja zamknęła ją za „obrazę” Führera. „Następną rzeczą, jaką pamiętam, było, jak prowadzili mnie w koszuli nocnej do pociągu. Uszczypnęłam się, myśląc, że śnię. Nie śniłam jednak, to była prawda”<sup>41</sup>.

Strażnik w pociągu powiedział jej, że jedzie do szpitala psychiatrycznego. „Ucieszyłam się”. Potem pociąg minął Salzburg, „a ja uświadomiłam sobie, że wiozą mnie do Niemiec. Bardzo się zdenerwowałam, nie mogłam stać ani chodzić”. Strażnik krzyczał na nią i bił po głowie. „Zaczęłam wymiotować. Złapał mnie, postawił na nogi, rzucił na ławkę i zatrzasnął drzwi”. Zanim się zorientowała, Marianne trafiła do Ravensbrück i próbowano ją zmusić do podpisania dokumentu, którego nie pozwolono jej przeczytać. „Powiedziałam sobie, że Bóg mnie pomści, a komuniści odegrają się na nazistach za to, co robią”.

To w tym momencie Marianne trafiła przed oblicze komendanta i dostała 42 dni „zaostzonego aresztu” – maksymalny wymiar, zgodnie z regulaminem bloku karnego, który obejmował kilka stron. Skazane na izolatkę, „w zwykłym wymiarze” dostawały siennik i koc do celi, odrobinę światła; raz dziennie przynoszono im chleb i kawę, ciepły posiłek przysługiwał co cztery dni. Więźniarki w „zaostrzonym wymiarze” obowiązywały te same racje żywnościowe, ale siedziały w ciemnej celi, bez materaca i koca; tylko wiadro i nic więcej.

Koegel decydował w sprawach bloku karnego bez konsultowania się z Langefeld, chociaż jej zastępczyni Emma Zimmer, która nadzorowała blok, informowała naczelniczkę na bieżąco. Według Ilse Gostynski niektóre dozorkynie były tak niezadowolone z warunków panujących w obozie



w pierwszych dniach, że musiały zostać oddalone. Wśród strażniczek, które przyjechały z Lichtenburga, była jedna „lesbijka, bardzo przyzwoicie odnosiła się do więźniarek, ale często chodziła pijana”, więc zwolniono ją za to, że zachowywała się zbyt „uprzejmie”. Trzy kolejne odeszły, „bo nie mogły tego dłużej wytrzymać”.

Sama Langefeld stwierdzi później, że kiedy przyjechała do Ravensbrück, wierzyła, że będzie się zajmować „reedukacją prostytutek”. Tak naprawdę nie mogła odmówić tego awansu, szczególnie że propozycję złożył sam Reichsführer SS. Była najważniejszą kobietą w obozowym imperium Himmlera. A same warunki bytowe przedstawiały się tak atrakcyjnie, że trudno byłoby się oprzeć.

Na widok swoich kwater Langefeld i pozostałe dozorcynie musiały przeżyć miłe zaskoczenie. Kilka z nich było wdowami lub rozwódkami i, podobnie jak Langefeld, przeniesiono je tu z Lichtenburga po kilku latach pracy w więzieniach lub zakładach dla kobiet. Kobieta w średnim wieku, Ella Pietsch, wyszkolona na więzienną dozorczynię, nie miała dokąd iść, podobnie jak Jane Bernigau, która wcześniej pracowała w sierocińcach. Obie ubiegały o pracę w Ravensbrück dla zarobków i zabezpieczenia socjalnego.

Inne były wyrzuconymi z pracy robotnicami fabrycznymi. Otilie Lotz została zatrudniona przez przypadek. Po śmierci męża Lotz przeprowadziła się do Lichtenburga, żeby być bliżej córki; znalazła pracę jako urzędniczka w zamku i awansowała na dozorczynię.

Kobięcy personel został zakwaterowany w eleganckich willach o spadzistych dachach przy lesie sosnowym, z widokiem na jezioro, zaledwie sto metrów od obozowego muru. Miały blisko do obozu, ale na tyle daleko, by po pracy się od niego odciąć. Część tych domów dopiero się budowała, a dookoła kręciły się pracujące więźniarki – nosiły cegły z zacumowanych w jeziorze barek – ale niektóre wille były już ukończone. Wnętrza urządzono stylowo. Z centralnie położonych schodów wchodziło się do pokoi, gdzie wisiały piękne zasłony i nowe obicia. W pokojach mieszkały po dwie kobiety i każda miała dla siebie szafę i komodę.

Apartament naczelniczki był większy – i pozwolono jej sprowadzić Herberta, wówczas jedenastoletniego. Miał uczęszczać do miejscowej szkoły. Matkom obiecano darmowe miejsca w przedszkolu dla pracowników, które wkrótce miało ruszyć – kilka przywiozło dzieci ze sobą.

Wyżej wśród drzew rozmieszczono większe wille oficerów SS, otoczone

dużymi ogrodami. W willi Koegela, w której mieszkał z żoną, Margą, znajdowały się parkiety i rzeźbione eleganckie schody. W domu komendant zawiesił poroża i inne myśliwskie trofea; poroża wisiały również na werandzie.

Kwatery personelu SS, nieco oddalone od obozu, w ładnej okolicy, stanowiły wspólną cechę wszystkich obozów. W założeniu chodziło o zachętę dla esesmanów, by dobrze czuli się w domowym zaciszu. W Ravensbrück męska obsługa miała własne boiska sportowe, a kobiety mogły latem pływać łódką po jeziorze lub urządzać pikniki w lesie.

Młode kobiety oprócz zarobków i warunków przyciągało jeszcze coś innego: perspektywa poznania przystojnego oficera SS; lesbijkom – znacznej mniejszości – Ravensbrück oferował dobre możliwości spotkania innej kobiety, szczególnie w czasie, gdy homoseksualizm był piętnowany. Rekrutki z zadowoleniem odkryły też dobrze zaopatrzoną kantinę dla personelu, a w pięknym miasteczku Fürstenberg kino, kilka barów i salon fryzjerski oferowały powiew wielkiego świata. Zaraz po przyjeździe kobiety wysłały pocztówki do rodzin i przyjaciół, w których pisały z dumą o swojej nowej pracy. Kilka byłych dozorczyń zachowało albumy ze zdjęciami i dzienniki pisane w czasie pobytu w Ravensbrück, zawierające zdjęcia ich „luksusowo” wyposażonych mieszkań.

Przewodniczki psów, które miały w obozie specjalny status, robiły sobie zdjęcia ze swoimi zwierzętami. Gertrud Rabenstein, nazywana w Lichtenburgu „Żelaznym Gustawem”, zachowała zdjęcia z Brittą, owczarkiem niemieckim, na tle zewnętrznego muru<sup>42</sup>. Rabenstein była rozwiedziona i straciła opiekę nad synem. Założyła album, aby pokazać mu kiedyś swoje życie w obozie. Obok zdjęć Gertrud z Brittą znajdowały się radosne fotografie matki i syna na wakacjach.

Podczas powojennego procesu Rabenstein jej syn składał zeznania i powiedział, że motto jego matki brzmiało: „Bądź twardy. Bądź twardy. Bycie twardym jest dobre. Nie wolno być sentymentalnym”. Twierdził, że zwykle opowiadała mu historię, jak kiedyś zobaczyła kowala przy pracy, bijącego młotem w kawałek żelaza, i obserwowała, jak metal stawał się coraz twardszy. „To było dobre”<sup>43</sup>.

Dozorczyńnie zainstalowały się i Langefeld rozdzieliła zadania. Niektóre zostały blokowymi, inne miały pilnować drużyn roboczych. Langefeld

pouczyła wszystkie, jak mają się zachowywać: na przykład nie wolno im było stać ze skrzyżowanymi ramionami lub siedzieć w obecności więźniarek, za plotkowanie traciło się pracę. Mogły odwiedzać męskie kwatery tylko za zgodą Langefeld.

Jednak jeśli chodzi o szersze kwestie dotyczące traktowania więźniarek, szybko stało się jasne, że wiele strażniczek – szczególnie tych nadzorujących drużyny robocze – poddało się kierownictwu Koegela, a nie jej. Ze swojego gabinetu Langefeld widziała kobiety gromadzące się codziennie na piaszczystym placu z krwawiącymi nogami i rękami. I nawet ze swojego mieszkania słyszała ich krzyki.

Edith Fraede pozwalała psu warczeć i kłapać pyskiem na kobiety znajdujące się między bramą obozu a wybierzyskiem piasku, *Sandgrube*, jak go nazywano. Jeśli przerażona więźniarka upuściła łopatę, Fraede obalała nieszczęsną kopniakiem na ziemię lub podnosiła łopatę i waliła nią ofiarę po plecach. Fraede miała trzydzieści lat i była dużą blondynką. Rabenstein zwykle czekała, aż zacznie się praca, zanim spuszczała psa, do tego czasu trzymała Brittę na smyczy.

W pierwszych dniach przewodniczki psów nie panowały nad zwierzętami. Nie miały doświadczenia w pracy z nimi, a wiosną i latem suki zwykle mają ruję<sup>44</sup>. Jeśli więc więźniarka upadła lub podbiegła w stronę jeziora, aby się napić wody, psy ciągnęły tak mocno, że prawie zrywały się ze smyczy.

W tym czasie wybierzysko znajdowało się za murem obozowym nad jeziorem, blisko miejsca, gdzie budowano domy esesmanów.

Gdy komanda dotarły do wybierzyska, ustawiały się w szeregu i zaczynały wybierać piasek łopatami. O dziewiątej słońce już paliło i pot spływał pracującym po plecach. Musiały nabierać piach na łopatę z jednej kupy i przetrzucać na drugą, dopóki cały piasek nie został wybrany. Potem przewalały go dalej, a dozorcynie krzyczały: „*Schnell, schnell*, leniwe dziwki!”. Kolejna drużyna przetrzucała piasek metr, dwa w górę zbocza. „Pełne łopaty, pełne łopaty. Śmierdzące krowy. Męty. Dzwiki. Śmierdzące krowy”. Łopaty były za krótkie albo za długie, albo krzywe lub złamane.

Czasem drużyna musiała wrzucić piasek do wagonika i przeciągnąć go na prowizoryczne tory. Wagonik wówczas ruszał siłą własnego ciężaru i kobiety próbowały go zatrzymać, przechylając na bok, wtedy wagonik się przewracał,

a zawartość rozsypywała. Musiały załadować piach od nowa. W miarę jak temperatura rosła, dozorcynie krzyczały i przeklinały coraz głośniej; biły kobiety po plecach i kopały te, które przechodziły obok.

Inne komanda wyładowywały koks i kamienie z barki zacumowanej na jeziorze. Kobiety dźwigały ciężkie worki na plecach, a na wzniesieniu kolejna drużyna przetaczała kamienny walec, by wyrównać grunt pod budowę drogi. Był jeden ogromny walec i jeden mały. Do uchwytów walca przymocowano liny, kobiety chwyciły za nie i ciągnęły. Przynajmniej to ubijanie drogi miało sens. Przewalanie piasku z górki na górkę – nie<sup>45</sup>.

Wkrótce więźniarki zniechęciły się piasek. Badaczki Pisma Świętego uważały, że praca została zaplanowana szczególnie dla nich, „aby zmusić je do porzucenia ich Boga”<sup>46</sup>, ale pozostałe widziały, że to Żydówki cierpią najbardziej: były słabsze i mniej nawykłe do ciężkiej pracy, twierdziły. W południe kobiety w *Sandgrube* były spalone słońcem na ramionach i czołach, a usta miały spieczone. Gdy piasek dostawał się do drewniaków, ocierał im podeszwy stóp pokryte pęcherzami. *Sandgrube* wkrótce naznaczone było krwią.

Rabenstein i Britta nadzorowały grupę rozładunkową. Stały na zboczu, obserwowały więźniarki dźwigające worki z węglem lub kamieniem i załadowujące je na wózki ustawione na brzegu jeziora. Kobiety wpychały wózki na wzgórze do hałdy, ale żeby się tam dostać, musiały pokonać prowizoryczny mostek z desek. Często starsze kobiety spadały z desek do wody. Wówczas dozorcynie wrzeszczały i kopały je. Pewnego dnia kobieta uderzyła Rabenstein w głowę motyką, aby się obronić. Trafiła do bloku karnego i nikt już więcej jej nie zobaczył.

Czasem Rabenstein wybierała losowo grupę kobiet, ustawiała je w szeregu za stosem kamieni i kopała. Albo też kazała więźniarce wydobywać ziemię spod kamieni, aż stos zaczynał się zapadać. Więźniarka musiała kopać aż do całkowitego zawalenia się stosu i zostawała pogrzebana żywcem. Rabenstein uważała to za zabawę i nazywała ją *Abdecken* – spadający dach<sup>47</sup>. Po wszystkim więźniarkę, posiniaczoną i podduszoną, wyciągały koleżanki. Stojąc na krześle w drewnianej celi, Marianne Wachstein obserwowała podobną „zabawę” odbywającą się pod jej oknem:

Wyjrzałam i zobaczyłam taką sytuację: słaba młoda kobieta – później dowiedziałam się, że nazywała się Langer, chorowała na toczeń i miała świeże szwy na nosie – odmówiła kopania

piasku. Zaciągnęli ją, trzymając w pasie, pod studnię i potraktowali strumieniem wody. Zakopali ją w kupie piachu tak, że wystawała jej tylko głowa. Sypali jej piaskiem na głowę i w twarz. Ona starała się wydostać. Zabawa trwała tak długo, że kilka razy schodziłam z krzesła i siadałam<sup>48</sup>.

Wachstein zauważyła, że wszystkiemu przyglądają się dozorcynie, a także jeden z wysokich rangą ludzi komendanta.

Austriaczka Hanna Sturm, stolarz, wkrótce zaczęła pomiary obozu. Nie wszystkie więźniarki przydzielano do drużyn pracujących na zewnątrz obozu; umiejętności Hanny – oprócz stolarstwa znała się też na ślusarce i szklarstwie – były zbyt cenne, by tracić je na bezcelowe prace, więc wykorzystano ją jako „złotą rączkę”, co pozwoliło jej powęszyć po biurach i blokach i zdobyć nieco przedmiotów – a to starą gazetę, a to nóż – które przeschmuglowała do swojego baraku. Jedną z pierwszych i najlepszych zdobyczy był egzemplarz *Wojny i pokoju* z pozaginanymi rogami. Goebbels dawno temu zakazał czytania książek Tolstoja oraz innych wywrotowych dzieł autorów takich jak Kipling, Hemingway, Remarque i Gide. Książki zostały spalone lub wykorzystane jako papier toaletowy, a Hanna swój egzemplarz zdobyła prawdopodobnie z zapasu papieru w ubikacji. Liczyła na to, że uda jej się przeczytać książkę razem z koleżankami.

Biorąc pod uwagę, że każdą minutę dnia wyznaczały teraz wycie syren i rygorystyczne zasady, niełatwo było porozmawiać z przyjaciółkami. Więźniarki nie miały zakamarków, ukrytych uliczek, gdzie mogły się wślizgnąć i zaszyć. W blokach kobiety były tak ciasno upakowane i tak uważnie obserwowane – oraz zmuszane do ciągłego bycia w ruchu – że indywidualne kontakty lub formowanie grup stanowiło rzecz niemal niemożliwą, a o to dokładnie chodziło w takiej, a nie innej organizacji baraku mieszkalnego.

Lekarka Doris Maase nienawidziła nieustannego towarzystwa tłumu, a swoje żale starannie zakamuflowała w liście do domu: „Żałuję, że nie jestem tak skonstruowana, by głupota i tępota nie przeszkadzały mi tak bardzo, ale nic na to nie mogę poradzić. Może to zabrzmie paradoksalnie, ale z czasem pragnie się zostać pustelnikiem, zamiast tkwić ciągle w otoczeniu ludzi”<sup>49</sup>.

Blokami zarządzały dozorcynie nazywane blokowymi, i to one egzekwowały dyscyplinę. Czasem, przed wyłączeniem światła, jeśli blokowej nie było w pobliżu, Hanna Sturm stukała w pryczę poniżej, gdzie leżała jej koleżanka, komunistka Käthe Rentmeister, a Käthe dawała znać kolejnej

towarzyszce, Tilde Klose, która sypiała pod nią. Kobiety mogły wtedy zamienić słowo o najnowszych znaleziskach Hanny; od czasu do czasu, jeśli blokowa miała dobry humor, pozwalała na chwilkę rozmowy.

Jedna czy dwie z nowo mianowanych blokowych – najczęściej z zieloną lub czarną „łata” – od początku zachowywały się jak tyranki; pewne nazwiska – Kaiser, Knoll i Ratzeweit – miały złą opinię wśród więźniarek politycznych jeszcze z czasów Lichtenburga. Jednak większość z przybyłych na początku spędziła w więzieniach wiele lat i nauczyła się sobie radzić, bez względu na pochodzenie. Różne kolory „łaty” na pasiastych kaftanach nie mogły zmienić ich we wrogów w ciągu jednej nocy.

Niedziele przynosiły nieco oddechu. Nie każdy w te dni miał wolne od pracy: żydowski blok, 11., i więźniarki z bloku karnego pracowały jak zwykle. W południe odbywały się również apel i sprzątanie. Jednak późnym popołudniem więźniarki udawały się na obowiązkowy „spacer” – wymuszone rekreacyjne maszerowanie po Lagerstrasse w rytm muzyki. Strażnicy z wartowni przy bramie podłączali do megafonów niemieckie radio, które nadawało pieśni marszowe, co pozwalało przynajmniej kobietom swobodnie porozmawiać, gdyż dozorkynie nic nie słyszały.

Po marszu można było czasem poleżeć spokojnie na pryczy, uprać ubranie i pobyć kimś „normalnym”. W niedzielę więźniarkom przysługiwała porcyjka dzemu, kawałek margaryny i kiełbaska. Jeśli któraś miała tyle szczęścia, że rodzina przysłała jej pieniądze, mogła je wydać w umiejscowionym przy kantine dla personelu obozowym sklepie, zaopatrzonym w herbatniki, pastę do zębów i mydło. W „czasie wolnym” grupa Hanny próbowała zebrać się razem za blokiem, żeby czytać książkę; jedna czytała na głos, inna pilnowała, czy nikt nie idzie. Nie mogły uwierzyć, że miały tyle szczęścia, by znaleźć Tołstoja w obozie koncentracyjnym<sup>50</sup>.

W niedziele więźniarki czytały również listy z domu i mogły na nie odpisać. Miały prawo do jednego listu na miesiąc, a zanim wybuchła wojna, o ile nie wspominały o polityce i obozie, mogły pisać długie listy. W listach do domu Doris Maase opowiadała, że czyta książki. Doris pracowała jako pielęgniarka w rewirze, gdzie spędzała również noce. Kobiety mogły też dostawać paczki z domu, w tym książki, funkcjonowała nawet obozowa biblioteka, zawierająca dopuszczone publikacje, w tym kilka egzemplarzy *Mein Kampf*.

„Dziś próbowałam mieć niedzielę – pisała Doris do siostry w czerwcu 1939

roku. – Czytałam *A lasy wiecznie śpiewają* [Trygve] Gulbrannssena”. Mąż Doris, Klaus, był w Buchenwaldzie, więc para wymieniała między sobą ocenzone listy, czytając między wierszami. Jako więzień Buchenwaldu Klaus przynajmniej wiedział, przez co przechodzi Doris; oczywiście nie mogła mu napisać o okrucieństwach rozgrywających się na jej oczach.

Wiemy z zeznania Klause, że Doris obserwowała przez okna rewiru, jak drużyny robocze wychodziły przez bramę pod nadzorem oficera SS, który świadomie przeprowadzał je przez ogromną kałużę, i zaczynały już pracę mokre.

W czerwcu koleżanka Olgi Benario, Sabo (Elise Saborowski Ewert), konspiratorka z brazylijskich czasów, nagle zachwiała się i upadła podczas pracy w *Sandgrube*. Sabo została zgwałcona i była torturowana w brazylijskim więzieniu, i nigdy nie odzyskała sił po tych przejściach. Fraede kopnęła ją, ale Sabo nie mogła wstać i w końcu zaniesiono ją do rewiru, gdzie pomogła jej Doris. „Maase, gdzie jest Maase?!”, codziennie rozlegał się krzyk w punkcie opatrunkowym. „Jest tyle rzeczy, o których nie mogę mówić, tak wiele czeka na ciebie”, napisała w liście do Klause.

List Doris do siostry z innej niedzieli pełen był radości z powodu wieści z domu: „Na początku nie mogłam uwierzyć, że istnieje jeszcze coś tak miłego – czułam się prawie tak, jakbym tam była” – ale starania, by to, co pisała, brzmiało radośnie, nie mogły przytłumić jej obaw o krewnych pozostających w świecie na zewnątrz. Ojciec Doris, również lekarz, był Żydem, a ona wiedziała, że gdy przyjdzie wojna, ta gałąź jej rodziny będzie zagrożona; nowe prawa uniemożliwiały normalne życie w Niemczech, a ojciec Doris miał zakaz wykonywania zawodu. Chociaż jej matka nie była Żydówką – co tłumaczy nieco lepsze traktowanie Doris w obozie niż innych Żydówek – rosła presja na osoby pozostające w „mieszanych małżeństwach”, aby przeprowadzały separację lub emigrowały.

W pewnym momencie Doris pyta: „Czy rodzice odpoczywają tak, jak powinni? Przypuszczam, że kwitną już róże i co dzień jest co innego do zebrania w ogrodzie”, ale z następnego listu dowiedziała się, że jej matka i ojciec „pojechali za kanał”, i czekała na nowiny.

„U mnie wszystko w porządku”, pisała Doris do siostry, i prawie można było jej uwierzyć, ponieważ ciągnęła: „Mam teraz długie włosy, starannie zaplecione i wyraźnie rozkwitam, w środku i na zewnątrz” – choć nie sposób stwierdzić, co miała na myśli, pisząc „rozkwitam”. Wiadomo z jej ostatniego



zeznania, że pod koniec czerwca temperatury w *Sandgrube* były nieznośnie wysokie i do Doris trafiały kobiety z poparzeniami, ranami i pęcherzami. Jeszcze bardziej niepokojące były przeraźliwe krzyki dobiegające teraz z bloku karnego. Więźniarki niedawno odkryły, że Olga jest przetrzymywana w dusznej drewnianej celi. Doris napisała w liście do domu: „Moi kochani, jest tak gorąco”.

To Ilse Gostynski odkryła, że Olga przebywa w więziennej izolatce. Ilse dostała za zadanie opróżnianie wiader w celach i udało jej się zamienić kilka słów z Olgą, którą znała z Lichtenburga i której historia wywarła na niej wielkie wrażenie. Ilse zapamiętała Olgę jako „młodą kobietę z Monachium, bardzo piękną, bardzo inteligentną. W Ravensbrück była traktowana źle, nie dawali jej prawie nic do jedzenia”<sup>51</sup>.

Drewniane cele o rozmiarze dwa na dwa metry, zbudowane z cienkich desek, nie miały żadnej wentylacji. Olga miała tylko siennik wypchany słomą i wiadro. Ilse powiadomiła o losie Olgi Hannę Sturm, a ta zdobyła herbatniki i chleb, które Ilse przeszmułowała przy okazji kolejnego opróżniania wiadra. Towarzyszki wymieniły informacje. Gdyby Zimmer ją zobaczyła, Ilse również zostałaby zamknięta. „Zostawiałam jej słodycze albo kartkę ze słowami pocieszenia od koleżanek więźniarek [...]. Była w złym stanie”, wspominała Ilse.

Niedługo po znalezieniu Olgi Ilse dowiedziała się, że zostanie zwolniona, więc przepadła pośredniczka w kontaktach z Olgą.

Być może najbardziej zadziwiającym „normalnym” aspektem obozu było to, że nawet kiedy okrucieństwa się nasilały, więźniarki regularnie zwalniano. Dzięki angielskim kontaktom Ilse uzyskała wizę. Kiedy dowiedziała się, że wychodzi, zgłosiła się najpierw do *Effektenkammer*, gdzie pobrała ubrania, w których przyjechała do obozu, oraz kosztowności, po czym została wypuszczona. Tego samego dnia Ilse wsiadła do pociągu do Berlina, a po tygodniu czy dwóch jechała już kolejnym pociągiem do Hoek van Holland, skąd promem przepłynęła przez kanał La Manche do Harwich na wybrzeżu Essex. Tam spotkała się z przyjaciółmi komunistami, którzy wcześniej zapewnili dokumenty konieczne do uwolnienia z obozu.

Bezpieczna w Anglii Ilse opowiedziała przyjaciołom o Oldze Benario i ponaglała ich, by skontaktowali się z rodziną męża Olgi w Brazylii; Ilse uważała, że jej własny przypadek stwarza nadzieję, że rodzinie uda się



uwolnić Olgę, ale muszą zdobyć dla niej wizę, zanim wybuchnie wojna. Kilka miesięcy po przyjeździe do Anglii Ilse jako Niemka została uznana za obywatelkę wrogiego państwa i trafiła do obozu dla internowanych na wyspie Man.

Po wojnie Ilse wyszła za mąż i urodziła córkę, Marlene. Odnalazła też bliźniaczkę, Else, która spędziła wojnę, ukrywając się w Norwegii. Po pewnym czasie siostry dowiedziały się, że ich rodzice zginęli w Auschwitz, a ich los podzieliło wielu przyjaciół. W 1951 roku Ilse próbowała spisać swoją historię, opowiedzieć o latach spędzonych w Moringen, Lichtenburgu i Ravensbrück. Ponieważ jednak nie potrafiła opisać „niekończącego się strachu i cierpienia”, napisała w posłowniu do czytelników: „Gdy czytałam ponownie moją relację, zrobiło mi się przykro, że nie udało mi się oddać prawdziwej tragedii obozu koncentracyjnego”.

Córka Ilse, Marlene, twierdziła, że po spisaniu relacji Ilse już nigdy więcej nie mówiła o obozie. „Cierpiała z bólu i poczucia winy wobec tych, które nie miały tyle szczęścia, żeby się stamtąd wydostać, zanim zaczęło się najgorsze”. W kawiarence w północnym Londynie Marlene, artystka, trzyma obraz, na którym namalowała Ilse i Else jako niemieckie mieszkanki w muślinowych sukienkach, „zanim się zbuntowały i uciekły biwakować do lasu, żeby czytać Marksa”, mówi Marlene.

Na innym obrazie, zatytułowanym *Kraty*, Marlene przedstawiła matkę w ostatnich dniach życia, gdy śpi w łóżku. „Na starość znów wypiękniała – opisuje Marlene. – Opiekujemy się nią jak dzieckiem, a ona nie mówi i nie uśmiecha się. Widzę cień obozu kładący się na ostatnich chwilach jej życia, jak niezłałatwiona sprawa. W innym miejscu i czasie ten cień mógł położyć się na mnie lub na moim dziecku. Czy wiedziałabym, jak być dzielną?”

Po wyjeździe Ilse do Anglii liczba przybywających do obozu zaczęła rosnać. Wśród nowo przybyłych znalazła się czeska dziennikarka Jožka Jabůrková, aresztowana w Pradze dzień po inwazji niemieckiej, 16 marca 1939 roku. Gdy stolica Czech upadła, cały opór został stłumiony, intelektualiści wzięci na celownik, a gazety zamknięte, w tym „Rozsévačka”, komunistyczne czasopismo kobiece, w którym pracowała Jožka.

Po przyjeździe do obozu Jožka cierpiała na okropne bóle głowy, ponieważ podczas przesłuchania była bita po głowie, ale koleżanki komunistki szybko

się nią zajęły<sup>52</sup>. Jej pojawienie się podniosło morale w bloku politycznych, gdzie jej nazwisko było już znane. Ze swojej strony Jożka ucieszyła się, że Olga Benario ciągle jeszcze jest tu, w obozie; działała w kampanii na rzecz uwolnienia Olgi.

Hanna zaprosiła Jożkę do grupy czytającej Tołstoja i Czeszka nie tylko roztaczała przed nimi wizje rychłej rewolucji komunistycznej, ale również opowiadała baśnie; kiedyś wydała zbiór baśni pod tytułem *Ewa w Krainie Czarów*.

28 czerwca przybył największy transport więźniów od otwarcia obozu dwa miesiące wcześniej. W środku nocy 450 Cyganek z Burgenlandu w Austrii wmaszerowało przez bramy, wiele w koszulach nocnych, niektóre spięte razem łańcuchem, inne w ciąży lub prowadzące dzieci. Większość miała długie, czarne warkocze, wszystkie krzyczały i płakały.

Ponieważ wojna na pełną skalę była już nieunikniona, Hitler otworzył nowy front w wojnie rasowej i rozkazał wyłapać trzy tysiące austriackich Sinti i Romów, którzy na ogół mieszkali w Burgenlandzie, dawniej węgierskim, od pokoleń<sup>53</sup>. Kobiety i mężczyźni wyciągnięto z łóżek i bez ostrzeżenia wywieziono; po czym podzielono według płci. Piętnastoletnia Bella była w koszuli nocnej, gdy ją wyprowadzili; „moja ciężarna matka biegła za samochodem i krzyczała, żeby się zatrzymał”. Większość kobiet stłoczono w świetlicy w Pinkafeld, gdzie czekały miejscowe zbiry udające policję oraz niemieccy esesmani. Wiele zostało zgwałconych przez „wiejskie SS”, jak nazywano miejscowych sługusów Hitlera. Ciężarówki przewiozły kobiety do więzienia pod Grazem. Przed wyjazdem dowódca policjantów eskortujących konwój dał Belli kanapkę. „Powiedział: «Weź ją», ale ja odparłam: «Nie, nie będę jeść». Powiedział: «Owszem, będziesz. Wiem, jak boli głód», więc wzięłam”.

W więzieniu Feldbach w Grazu znajdowali się strażnicy z policyjnymi psami. Zwiezione tam kobiety pochodziły z licznych wsi Burgenlandu i wszystkie mówiły o tym samym terrorze. Giselę Sarkozi złapali razem z siostrą: „Przyszli w środku nocy, byli wszędzie, SS, i burmistrz przyszedł też; był «szychą» Hitlera. Walili do drzwi i po prostu wywlekali ludzi. Nie pozwolili nam się ubrać”. Giselę zawieźli do miasteczka Oberwart, dokąd matka przywiozła jej ubranie; stamtąd zabrano ją do Grazu.

Theresia Pfeifer z siostrą Anną zostały wypędzone z domu, potem związane

i skute kajdankami po próbie ucieczki. Znalazły się w bydlęcym wagonie i jechały dwa dni i dwie noce. Mężczyzn odstawiono do Dachau, kobiety do Ravensbrück. Kiedy pociąg zatrzymał się w Fürstenbergu, panowały egipskie ciemności, więc nikt nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Wszędzie stali esesmani z psami.

„Kazali nam ustawić się parami, potem zaprowadzili do łaźni. Musiałyśmy rozebrać się na oczach esesmanów. Wszystkie pochlipywałyśmy i płakałyśmy. Mówili nam, że mamy być cicho albo nas zastrzelą”. Theresii obcięli warkocze i ogolili resztę owłosienia. Dostała czarny filcowy trójkąt, który kazali jej przyszyć do pasiastej sukienki więziennej. Kilka krzyczących kobiet zabrali do bloku karnego, gdzie rozprawiła się z nimi Zimmer. Pozostałe zakwaterowano w barakach i następnego dnia rano wyruszyły do *Sandgrube*, wraz z resztą.

W lipcu wszyscy w Niemczech wiedzieli, że wkrótce dojdzie do ataku na Polskę. Etnicznych Niemców mieszkających w Polsce ściągano do Rzeszy, nasiliła się propaganda Goebbelsa przeciwko Polakom, a obozowe stráže podsycaly nienawiść przeciwko „brudnym Słowianom”. Dozorczynie rozmawiały też o mężach, braciach i synach powołanych do służby na froncie. Nawet pastor Märker, ksiądz z Fürstenbergu, zgłosił się do wojska na ochotnika<sup>54</sup>.

Ponieważ sam obóz funkcjonował w rygorze wojennym, najwyżsi rangą wojskowi regularnie przeprowadzali w nim inspekcje, poddając ciężkiej próbie Langefeld. Po tym, jak przez kilka godzin prowadziła paradę przy okazji inspekcji Luftwaffe, oficer podobno zapytał: „Gdzie jest komendant? Nie słyszę osoby komenderującej”. Na co Langefeld odparła, że nie musi krzyczeć.

Tuż przed wybuchem wojny w obozie zastrzono środki bezpieczeństwa na wypadek „buntu”. Blok karny się zapełnił, a dookoła placu apelowego po wiele godzin stały kobiety bez butów, twarzą do muru, w ramach tak zwanej stójki, kary za „przestępstwa”.

W bloku politycznym grupa komunistek ledwo mogła ze sobą rozmawiać, ponieważ wszędzie czaili się szpiedzy Koegela. Pewna donosicielka poinformowała, że Jožka Jabůrková upuściła ścierkę do ubikacji, co doprowadziło do zapchania kanalizacji. Znienawidzona za „arogancką twarz”

Jożka zawsze dostawała najgorszą robotę. Teraz musiała stać przez wiele godzin twarzą do muru.

Potem 18 lipca rozeszła się wieść, że cela Olgi Benario jest pusta; wyprowadzili ją z obozu gestapowcy. Towarzyszki z grupy czytającej Tołstoja uważały, że zabrano ją do Berlina na przesłuchanie przez tajną policję Hitlera. Fakt, że usunięto ją z obozu tuż przed wybuchem wojny, świadczy o tym, jak bardzo naziści obawiali się komunistycznego ruchu oporu – mówiły sobie – i jak wysoka cena jest ciągle wyznaczona za głowę Olgi. Nowsze źródła wskazują na inne wytłumaczenie: prawdopodobnie opuściła obóz w lipcu 1939 roku nie z powodu dalszych przesłuchań, lecz dlatego, że Gestapo zgodziło się ją zwolnić.

Dowód, że Olga miała wyjść na wolność, pochodzi z zachowanego raportu Gestapo dotyczącego opuszczenia przez nią obozu w Ravensbrück, w tym dziwnie dokładnego opisu jej ubioru: „Wielokolorowa sukienka z czerwonym paskiem, czarny płaszcz o długości trzy czwarte, beżowe pantofle, jasne pończochy, w rękach żółta torba”<sup>55</sup>. Najwyraźniej przed wyjazdem wydano jej w *Effektenkammer* cywilne ubranie; w 1939 roku Ravensbrück w cywilnych ubraniach opuszczaly tylko kobiety zwolnione.

Anita Benario Prestes, córka Olgi, która mieszka dziś w Brazylii i jest wykładowczynią na uniwersytecie Rio de Janeiro, ma kolejne dowody świadczące o tym, że jej matka miała zostać uwolniona. Anita oczywiście była za małą, żeby zrozumieć, o co chodzi w negocjacjach o uwolnienie Olgi, ale babka Leocadia i ciotka Ligia opowiedziały jej później, co się wydarzyło. Przekazały też Anicie korespondencję z Gestapo, jak również list, który napisała do nich oraz do Carlosa jej matka.

Podczas gdy Carlos Prestes nadal przebywał w brazylijskim więzieniu, Leocadia i Ligia kontynuowały kampanię na rzecz wydostania Olgi z Ravensbrück. Na początku miały niewielką nadzieję, opowiadała Anita, ale zachęcił je list od Ilse Gostynski z Anglii, która namawiała je do dalszych starań. I tak w czerwcu 1939 roku obie kobiety napisały kolejny list do niemieckich władz z prośbą o uwolnienie Olgi. Niedługo potem otrzymały odpowiedź z niemiecko-żydowskiego biura emigracyjnego, że Gestapo chętnie zwolni Olgę „pod jednym warunkiem: że natychmiast wyemigruje za ocean”. List sugerował nawet usłudze, że rodzina powinna „jak najszybciej postarać się o meksykańską wizę” dla Olgi.

Leocadia pojechała do Meksyku i udało jej się uzyskać, choć z pewnym opóźnieniem, wizę oraz inne meksykańskie dokumenty. Wszystko przesłała do Niemiec przez Nowy Jork, jak to się wówczas odbywało. „Miała nadzieję, że moja matka wyjdzie na wolność, ale wiedziała, że czasu jest bardzo mało. Wybuch wojny uniemożliwiłby wyjazd Olgi do nas”, mówiła Anita. Leocadia została w Meksyku i czekała na potwierdzenie z Berlina, że wiza dotarła, ale 25 sierpnia jeszcze nie nadeszła. „Była zrozpaczona – powiedziała Anita. – I moja matka też”.

Anita wiedziała, co czuła matka, z listów Olgi do Leocadii i Carlosa, w których boleśnie wyraźnie daje się odczytać jej rozpaczliwe pragnienie, by wrócić do dziecka odebranego jej w berlińskiej celi w 1937 roku. Próbując być matką na odległość, wypytywała w listach o każdy szczegół zdrowia i pielęgnacji córki, przekazywała Leocadii instrukcje, żeby Anita przebywała na słońcu, miała włosy obcięte na krótko i nosiła proste ubrania. „Nie może uważać się za kogoś wyjątkowego”. Olga martwiła się też, że Anita nie będzie w stanie nauczyć się języka brazylijskiej rodziny. „W więzieniu mogłam przynajmniej mówić do niej po francusku. Bo widzisz, do dzieci umiałam mówić tylko w języku mojej matki – a poza tym przypuszczam, że mój dawny optymizm sprawiał, iż miałam nadzieję, że nas nie rozdzielią”<sup>56</sup>.

W połowie sierpnia 1939 roku, miesiąc po wyjeździe z Ravensbrück, Olga dalej czekała w więzieniu w Berlinie na potwierdzenie, że dokumenty potrzebne do wyjazdu już dotarły. Pozwolono jej czytać nazistowską gazetę „Völkischer Beobachter” i wiedziała, że wojna jest nieuchronna. Gdy rozpoczną się działania wojenne, nie będzie najmniejszej szansy na wyjazd z Niemiec.

„Nie gniewaj się na mnie, ale popadłam w najczarniejszy pesymizm”, napisała 15 sierpnia do Leocadii. Następne listy świadczą o tym, że straciła nawet wolę pisania: „Wiesz, najpierw złościłam się, że taka mała jest ta kartka, ale teraz widzę, że nie mam nic więcej do napisania. Ucałuj ode mnie moje najdroższe dziecko tysiąc razy”.

Gdy Olga czekała w Berlinie, jej koleżanki w Ravensbrück przeżywały nowy horror. Krótko po wyjeździe Olgi z obozu grupa Hanny Sturm została przyłapana na czytaniu Tołstoja. Hanna została wezwana do Koegela, który miał jej wyznaczyć karę, i tam zobaczyła donosicielkę, która je wydała, więc

splunęła na nią; wtedy Koegel uderzył Hannę w twarz i zapewnił, że „nauczy ją dyscypliny”. Następną rzeczą, jaką Hanna zobaczyła, była ciemna drewniana cela, taka, w jakiej wcześniej siedziała Olga.

Hanna Sturm była przygotowana lepiej od innych kobiet do życia w tych izolatkach. Urodzona w ubogiej rodzinie rolniczej z Burgenlandu, należącej do mniejszości czeskiej, od ósmego roku życia pracowała w polu, a gwoździe w płot wbijała, zanim nauczyła się czytać. Jako młodą kobietę przyciągnął ją „czerwony Wiedeń” i podczas zamieszek w latach trzydziestych w Austrii wstąpiła do związku zawodowego i uczestniczyła w antyfaszystowskich starciach, często łądując za kratkami. Zaliczyła również uwięzienie w lochach Lichtenburga. Jednak Hanna nigdy nie widziała niczego przypominającego tę drewnianą celę, a kiedy później spisywała swoją historię, jej wspomnienia z pierwszego pobytu w izolatce były bardziej żywe niż cokolwiek, co jej się przydarzyło wcześniej. Relacja Hanny Sturm jest również bezcenna, ponieważ tylko dwie więźniarki zostawiły świadectwo z uwięzienia w pierwszym drewnianym bloku z izolatkami w Ravensbrück, który pod koniec 1939 roku rozebrano, a istniejące na ten temat źródła zostały zniszczone.

Pomijając kilka szpar w ścianie, w celi Hanny panowały kompletne ciemności. Wyglądała jak „małe pudełko”, wspominała, długie na dwa metry i tyle samo szerokie. Ponieważ Hanna została skazana na areszt „o zaostrozonym rygorze”, nie miała materaca i musiała siedzieć na gołej podłodze. Posiłek dostawała raz w tygodniu, w czwartki. W pozostałe dni przysługiwało jej tylko 100 gramów chleba i kubek tak zwanej kawy.

W celi Hanna zamykała oczy i próbowała przyzwyczaić się do ciemności. Gdy potrzebowała skorzystać z toalety, przesuwiała się wzdłuż ściany do ustawionego w tym celu wiadra. Ale mimo że nic nie widziała, słyszała każdy dźwięk.

Nie minęło wiele czasu, jak usłyszała krzyki i wrzaski na podwórzu. Przystawiła oko do szczeliny w ścianie i zobaczyła, że krzyczy Cyganka, którą strażnicy wlekli do bloku karnego, bliska obłądu z przerażenia. Potem rozległy się odgłosy bicia i krzyki Zimmer: „Czekaj, zaraz cię wpakuję w kaftan, to się zamkniesz, ty dziwko!”. Hanna rozpoznała też inny znajomy głos: Margot Kaiser, niemieckiej więźniarki, pomocnicy Zimmer, której nienawidził cały obóz. Kaiser poszła po kaftan. Krzyki nagle ustały i Hanna słyszała już tylko ciche pochlipywanie, a potem nic. Zimmer przypomniała sobie o Cygance dopiero kilka godzin później; z jej wrzasków dało się wywnioskować, że

znalazła ją martwą w sąsiedniej celi.

Hanna słyszała, jak Zimmer mówi: „Leży tam, martwa jak pies”<sup>57</sup>. Zimmer wrzeszczała na Kaiser i inne, żeby przyszły jej pomóc. Hanna nie usłyszała nic więcej, ale inne więźniarki widziały, jak strażniczki wyciągają za włosy zakrwawione i pokryte igłami sosnowymi zwłoki Cyganki z bloku karnego i wloką do pralni.

Więźniarki dowiedziały się później, że Cyganka popadła w szaleństwo, ponieważ wyszarpali jej z ramion sześciotygodniowe niemowlę. Kobieta karmiła dziecko swoim mlekiem, więc piersi jej nabrzmiały i stwardniały, co sprawiało jej dodatkowy ból. Nikt nie znał nazwiska Cyganki i nigdzie w oficjalnych dokumentach nie pojawiła się notatka o jej śmierci. Być może była pierwszą więźniarką zamordowaną w Ravensbrück, chociaż według obozowych akt jako pierwsza zmarła w obozie inna Cyganka z transportu z Burgenlandu, pięćdziesięcioletnia Amalie Pfeiffer.

Śmierć Amalie została odnotowana i lekarz wystawił nawet świadectwo zgonu, które się zachowało. Według tego dokumentu 24 sierpnia 1939 roku o 16.00 Amalie Pfeiffer, z domu Károlyi, urodzona 5 lipca 1890 roku (Cyganka), zamieszkała w Neustift an der Lafnitz (Austria), zmarła w obozie koncentracyjnym dla kobiet Ravensbrück. Przyczyna śmierci: „samobójstwo poprzez zadanie sobie ran kłutych w lewą tętnicę szyjną”<sup>58</sup>.

Po śmierci Cyganki blok ucichł. Hanna znalazła sposób, żeby ulepszyć swoją celę. Zimmer nie obszukała jej dość dokładnie, a Hanna zawsze w ubraniu ukrywała coś przydatnego, tym razem nożyczki. Ściany celi były tak cienkie, że udało jej się obluzować deski, dzięki czemu mogła szeptem kontaktować się z kobietą zamkniętą obok. Jedną z sąsiadek, Lene, powiedziała Hannie, że jest badaczką Pisma Świętego. Wówczas Zimmer usłyszała głosy i wrzasnęła: „Zamknąć się, małpy!”.

Po jakimś czasie Hanna usłyszała z celi po przeciwnej stronie wybuchy obłąkańczego śmiechu. „Tam musi być oddział dla chorych psychicznie”, pomyślała, ale zauważyła, że „wariatka” śmieje się za każdym razem, gdy słyszy głos Zimmer. Hanna podsłuchiwała dozorczyńnię i dowiedziała się, że kobieta to Hedwig Apfel, artystka, być może śpiewaczka operowa. Apfel była Żydówką i rodzina zapłaciła nazistom fortunę, żeby załatwić jej uwolnienie. Hanna wiedziała również o Amerykance przetrzymywanej w celi, która „modliła się głośno, cały czas używając niezrozumiałych słów” –



przypuszczalnie angielskich<sup>59</sup>. „Amerykanką” mogła być konspiratorka – koleżanka Olgi, Sabo, która wiele lat mieszkała w Kanadzie i latem została umieszczona w bloku karnym. Za każdym razem gdy Sabo się modliła, rozlegał się histeryczny śmiech Hedwig Apfel.

Hedwig prowokowała Zimmer. Gdy Zimmer otwierała drzwi, Hedwig czekała z wiadrem na nieczystości i chlustała jej zawartością w twarz. Zimmer wrzeszczała: *Judensau!* (żydowska świnio)<sup>60</sup>. Hedwig ją przedrzeźniała: *Judensau, Judensau*. Czasem Hedwig wybiegała z celi na otwartą przestrzeń bloku karnego i wówczas Margot Kaiser musiała ją ganiać.

Hanna do tej pory zrobiła już ponownie użytek z nożyczek i wydlubiała w ścianie celi dziury, przez które mogła zaglądać do sąsiednich izolatek. Jakoś w tym czasie pewnego dnia Zimmer otworzyła drzwi do celi Hanny i wepchnęła do środka Hedwig Apfel. Hedwig chichotała, ale wyraźnie bała się ciemności. Kiedy zorientowała się w mroku, że w pomieszczeniu znajduje się Hanna, spytała ją, czy umie tańczyć. Hanna odparła, że woli śpiewać. Hedwig zaintonowała „Dla ciebie, gdyż jesteś jedną z nas”. A Hanna pomyślała sobie: „Może ona wcale nie jest wariatką”. Hedwig rzekła: „Tylko udaję, że zwariowałam. *Die Alte* [„stara” – Zimmer] boi się mnie, odkąd oblałam ją nieczystościami. Następnym razem napluję jej w twarz i zobaczysz, jak będzie uciekać”.

Od tej chwili Apfel i Sturm się zaprzyjaźniły, co musiało być nie po myśli Zimmer; zabrała Hedwig i Hanna znów została sama. Hedwig została w ogóle zabrana ze swojej celi, a tę zajęła inna kobieta, z którą Hanna również próbowała się zaprzyjaźnić.

Zapukała w ścianę i spytała:

- Kim jesteś?
- Mam na imię Susi, a ty?
- Jestem Hanna.

Następnego dnia Hanna dowiedziała się, że Susi to austriacka komunistka, Susi Benesch. Kobieta była bardzo chora, na całym ciele miała pęcherze. Nie mogła leżeć ani siedzieć, w nocy cały czas chodziła, więc nikt w bloku nie mógł spać. Pewnego dnia Zimmer zabrała Susi z celi i wysłała ją na cały dzień do pracy. Myślała najwyraźniej, że gdy kobieta się zmęczy przy noszeniu kamieni, to będzie spała całą noc. Wieczorem po powrocie Susi powiedziała Hannie: „Ciężko jest nosić kamienie. Ale przynajmniej widziałam słońce



i byłam z ludźmi”. Następnego dnia Susi nie wróciła. Hanna znów nie miała z kim rozmawiać i straciła poczucie czasu. Ale słyszała przechodzących ludzi, czasem docierały do niej strzępy rozmów i krzyki.

Jedną z więźniarek, której kroki musiała słyszeć Hanna, była Marianne Wachstein; ta, która przyjechała w nocnej koszuli z Wiednia. Podobnie jak Hanna Marianne zostawiła szczegółową relację z czasu spędzonego w drewnianych celach, a wiele jej wspomnień pokrywa się ze spostrzeżeniami Hanny, chociaż swoje świadectwa składały w różnych okolicznościach.

Hanna mogła opowiedzieć swoją historię dopiero po wojnie, ale Marianne spisała nieocenzurowaną relację już sześć miesięcy po wydarzeniach. W lutym 1940 roku Wachstein została nieoczekiwanie zwolniona, aby zeznawać w Wiedniu na procesie męża, żydowskiego przedsiębiorcy, oskarżonego przez nazistowski sąd o korupcję. Opisała swoje przeżycia kilka tygodni po uwolnieniu, kiedy odzyskiwała siły w wiedeńskim szpitalu. Jej relacja ma zatem wyjątkowe znaczenie, ponieważ pochodzi z tamtego okresu. „Obóz Ravensbrück koło Fürstenbergu to obóz pracy niewolniczej”, tak brzmiał jej początek...

Byłyśmy tam zmuszane (z powodu złego stanu psychicznego nie mogłam pracować) do pracy przy przeciąganiu walców za pomocą lin i uchwytu. Za ten uchwyt kobiety musiały złapać i ciągnąć. Przenosiły piasek w drewnianych nosidłach, pracowały w upale dziewięć godzin dziennie. Trzy razy, a w sobotę dwa razy dziennie odbywał się apel. Cały obóz stał rzędami przed barakami, na baczność jak żołnierze, z rękami wzdłuż ciała, dopóki *Frau Oberaufseherin* [Langefeld] nie policzyła obecnych. W obozie jest siedemnaście baraków, w tym jeden dla Żydówek<sup>61</sup>.

Potem Marianne opowiada o przyjeździe do Ravensbrück i opisuje, co ją spotkało w drewnianej celi. Nie było tam światła. Dozorczyni Zimmer wpadała i wrzeszczała: „Teraz sobie pogłodujesz, nie wydostaniesz się stąd!”. Marianne odpowiedziała: „Jeśli taka jest wola boska, umrę tutaj”. Na to Zimmer zabrała ją do korytarza i kazała się rozebrać do samej koszuli. „Wsadziła mnie w kaftan. Ręce związała mi tak mocno, że spuchły. Wzięły mnie za gardło i wrzuciły z powrotem do celi. Przez kaftan zemdlałam, potem tylko wyłam”.

Gdy Marianne odzyskała przytomność, szarpał nią mężczyzna w mundurze. Był to zastępca Koegela, Egon Zill, który walił ją w nos i po nogach, a Zimmer ciągnęła za włosy. Ponieważ wciąż była w kaftanie, nie mogła się

bronić, więc znowu zemdląca z bólu; ocknęła się we własnych ekskrementach, bez kaftana. Noc spędziła w celi, w samej koszuli nocnej, szcękając zębami z zimna.

Następnego dnia dali jej koc, a trzeciego siennik wypchaną słomą i kolejny koc, ale nic do jedzenia. Potem Marianna dowiedziała się, że została skazana na kolejne trzy tygodnie aresztu za „krzyki w celi i leżenie we własnych ekskrementach”.

Podobnie jak Hanna Sturm, Marianne poznała Hedwig Apfel. I tak jak Hanna, w ramach kary musiała z nią dzielić celę. Jednak w przeciwieństwie do Hanny Marianne nie miała wątpliwości, że Hedwig Apfel jest obłąkana. Kiedy Zimmer podchodziła do ich drzwi, Apfel wylewała na nią wodę i pluła na drzwi oraz na siennik. „Ma biegunkę, a w ogóle nie dba o czystość. Pluje sobie w ręce i rozciera ślinę po twarzy”.

W celi była prycza i Apfel spała na górze. Nocą zeszła i usiadła na łóżku Marianne, ale Marianne nie chciała się zaprzyjaźnić i kazała jej odejść. Apfel zdarła więc koce z Marianne i rozwaliła jej pryczę na kawałki. „I gada przez całą noc, bluźniąc. A ręce, ramiona i nogi ma chude jak pająk”.

Z powodu hałasu dozorcynie bały się wejść do celi. Trzeciego dnia „obłąkana” Apfel usiadła na górnej pryczy, wylała swoją kawę Marianne na głowę, rozrzuciła rzeczy i krzyczała na nią. Zimmer otworzyła drzwi, ale nie miała odwagi wejść do środka. W końcu Zimmer wysłała do celi Margot Kaiser, która wyprowadziła Marianne; została zamknięta w pojedynczej celi, po czym zwolniona z aresztu i odesłana do bloku.

Na początku września, długo po tym, jak Marianne Wachstein opuściła blok karny, Hanna nadal tam przebywała, zamknięta w ciemności i bez nadziei na uwolnienie. Straciła poczucie czasu, ale nadal zaglądała przez dziury do sąsiednich cel, by sprawdzić, czy ktoś tam jest. Jedna z tych izolatek wyglądała na o wiele wygodniejszą niż jej własna; znajdowało się tam łóżko z kocem i stołek, ale ciągle stała pusta. Trochę później – Hanna nie wie, ile czasu minęło – usłyszała, że ktoś w celi mówi i rozpoznała głos. Była to Olga Benario.

Tak jak obawiały się Leocadia i Olga, w ostatnich dniach sierpnia meksykańska wiza Olgi utknęła na poczcie – faktycznie nie została wysłana z Nowego Jorku. 1 września niemieckie wojska wkroczyły do Polski

i wybuchła wojna, co zniweczyło wszelkie szanse Olgi na wyjazd z Niemiec. 8 września Gestapo odtransportowało ją z powrotem do Ravensbrück.

Obozowe władze (z niewytłumaczalnych przyczyn) uznały, że Olga nie stanowi już tak dużego zagrożenia, więc złagodziły jej warunki; dostawała regularnie jedzenie i mogła odbierać pocztę, w której przyszła koperta z meksykańskiego konsulatu w Hamburgu z kopią wizy. Olga jednak wiedziała, że jest już za późno – w każdym razie kopie i tak nie załatwiały sprawy.

13 września Olga napisała do Leocadii i Ligii pod nowymi i ostrzejszymi zasadami wojennej cenzury:

*Moje najdroższe!*

*Jestem z powrotem w obozie Ravensbrück. Dostałam zgodę na wjazd do Meksyku z konsulatu meksykańskiego w Hamburgu, ale obawiam się, że jest ona obecnie bezużyteczna. Jednak wiem, że nadal robicie dla mnie wszystko, co w Waszej mocy. Przekażcie załączony list Carlosowi i napiszcie mi, proszę, coś więcej o Anicie.*

*Najserdeczniejsze pozdrowienia, ucałujcie ode mnie moje dzieciątko*

*Wasza Olga*

Hanna, kiedy tylko nadarzyła się okazja, dała znać Oldze o swoim istnieniu przez dziurki, które wydlubiała w ścianie. Benario była bardzo zaskoczona, że tuż obok znajduje się jej przyjaciółka. Powiedziała, że dowiedziała się o aresztowaniu grupy czytającej Tołstoja, gdy tylko wróciła do obozu.

Hanna powiedziała, że ją głodzą, więc Olga zaproponowała, że podzieli się z nią jedzeniem. Kobietom udało się powiększyć nieco dziurę w ścianie i Olga dała Hannie kawałek chleba – tak jak Hanna przemycała Oldze jedzenie, kiedy kilka miesięcy wcześniej ona sama była głodzona. „Potrzebujesz czegoś ciepłego do jedzenia, ale jak to zrobić? – zastanawiała się Olga. – Musisz chyba przystawiać usta do dziury, a ja cię nakarmię. Rano dam ci chleb, zaraz po tym, jak Zimmer przyniesie kawę”.

Potem Olga powiedziała Hannie, że ma dla niej złe wieści, ale musiały szybko skończyć rozmowę, gdyż *die Alte* wróciła. Te złe wieści to była wiadomość o wybuchu wojny. Zamknięta w odosobnieniu Hanna nie miała o tym pojęcia, więc Olga przekazała jej wszystko, czego dowiedziała się w Berlinie. Wkrótce wiedział już o tym cały blok izolatek, ponieważ Zimmer

„świętowała i chełpiła się przed więźniarkami «wspaniałymi» nowinami o nazistowskich podbojach, które postępowały z każdym kolejnym dniem wojny”.

[34](#) Zob. Wicklein, BAL B162/9808, oraz Maase, BAL B162–9896/9828.

[35](#) Wywiad autorki.

[36](#) Według więziennej sekretarki w chwili wyzwolenia obozu pięć lat później rozłożone na podłodze akta jednej z więźniarek pokrywały 3 metry kwadratowe.

[37](#) Wywiad autorki.

[38](#) Obozowa karta zdrowia Agnes Petry, ITS Bad Arolsen. Po wojnie karty zdrowia więźniarek Ravensbrück przeszły w posiadanie ITS. Karty te, zaopatrzone w numery więzienne, nazwiska i daty urodzenia oraz szczegóły dotyczące zdrowia, pozwoliły potwierdzić tożsamość niektórych kobiet.

[39](#) Liczby za: Strebel, *Ravensbrück*.

[40](#) Koegel do Eickego, ARa.

[41](#) Wachstein, raport wiedeński, ARa.

[42](#) von Luenink, WO 309/416.

[43](#) Insa Eschebach, *Das Fotoalbum von Gertrud Rabenstein* [w:] Erpel (red.), *Im Gefolge der SS*.

[44](#) Schiedlausky, zeznania z procesu (WO 235/309). Zeznania zawierają głównie liczne relacje o przypadkach poważnych pogryzień przez psy.

[45](#) Natomiast jeńcy w nowych męskich obozach Himmlera w Mauthausen i Flossenbürgu pracowali w kamieniołomach i wydobywali granit na przebudowę Berlina w nową urojoną stolicę Hitlera – Germanię.

[46](#) Berta Hartmann i Klara Szwedler, *Bei der Sandarbeit*, w: Hesse, Harder (red.), *...und wenn ich...*, zeznanie Anny Kanne i innych w raportach dostarczonych przez GZJ.

[47](#) von Luenink, WO 309/416.

- [48](#) Wachstein, raport wiedeński, ARa.
- [49](#) Maase, Listy, Studienkreis Deutscher Widerstand, 1933–1945.
- [50](#) Sturm, *Die Lebensgeschichte einer Arbeiterin*.
- [51](#) Gostynski, relacja naocznego świadka, WL P.III.h. nr 159.
- [52](#) Werner, *Olga Benario*.
- [53](#) Skorzystałam z relacji opublikowanych pod pseudonimami w: Amesberger, Halbmayr, *Vom Leben und Überleben*. Rozmawiałam też z Rudolfem Sarkozim o jego matce Pauli oraz z Romką z Burgenlandu Ceiją Stoiką, która najpierw została wysłana do Auschwitz, później do Ravensbrück. Zob. też Friedlander, *The Origins of Nazi Genocide*; Thurner, *National Socialism and Gypsies in Austria*.
- [54](#) Strony z kroniki kościelnej Fürstenbergu za lata wojny zostały wyrwane, prawie na pewno przez Märkera, który chciał zataić swoją działalność.
- [55](#) Rozkaz przewozowy Gestapo, 20 lipca 1939, w: VVN, *Olga Benario*. Opowieść o próbie uwolnienia Olgi znajduje się w korespondencji rodzinnej, opowiedziała mi ją również Anita Leocadia Prestes. Zob. też: Apel, *Olga Benario – Kommunistin, Jüdin, Heldin?* [w:] Eschebach, Jacobeit i Lanwerd (red.), *Die Sprache des Gedenkens*.
- [56](#) Obecnie Anita nie zna ani słowa po niemiecku i musiała zlecić przetłumaczenie listów matki na portugalski.
- [57](#) Świadkiem zabójstwa anonimowej Cyganki była również Doris Maase. WO 309/416.
- [58](#) Kopia aktu zgonu, ITS/ANF/KL Ravensbrück Indiv-Unterlagen.
- [59](#) Sturm, *Die Lebensgeschichte einer Arbeiterin*.
- [60](#) Więźniarka Berta Mauer (i wiele innych) twierdziła, że Zimmer zwykle była „podminowana i pijana”, BAL B162/9809.
- [61](#) Wachstein, raport wiedeński, ARa.

## Rozdział 3

### Blokowe

Doris Maase miała dobry widok ze swojego okna w rewirze. Obserwowała dozorczyńnię i esesmanów wchodzących w porze obiadu do kantyny dla personelu i widziała potem, jak wieczorem wychodzą jako „flirtujące pary”. Na początku września 1939 roku, zaraz po wybuchu wojny, Doris wyrzała i zobaczyła więźniarkę biegnącą wprost na „druty” – ogrodzenie podłączone do prądu. Próbowwała się zabić, ale młoda jasnowłosa dozorczyńni powstrzymała ją i zaciągnęła do bloku karnego, bijąc przez całą drogę. Doris dowiedziała się, że nadzorczyni to Dorothea Binz: „Widziałam, jak Binz odciąga chudą jak szkielet kobietę i bije ją prętem po nagich udach. Takie okrucieństwo u tak młodej i ładnej dziewczyny zrobiło na mnie niezatarte wrażenie”<sup>62</sup>.

Skłonność Binz do okrucieństwa wkrótce dała się odczuć całemu obozowi. A przecież dopóki nie dostała tu pracy, niczym się nie wyróżniała. Dorothea Binz, córka leśniczego, była jedną z kilku miejscowych dziewcząt, które latem zostały zatrudnione w obozie<sup>63</sup>. Rekrutki te różniły się od kobiet, które pięć miesięcy wcześniej przyjechały z więźniarkami z Lichtenburga. Nie miały doświadczenia w pracy w zakładach karnych, a wiele było tak młodych, że nie nabrały jeszcze doświadczenia życiowego w ogóle, zanim naziści doszli do władzy. Obóz był ich pierwszym miejscem pracy.

Dorothea od zawsze mieszkała w lesie pod Fürstenbergiem, uczęszczała do miejscowych szkół i kościołów, bawiła się na leśnych szlakach, ganiała dziki, latem kąpała się w jeziorze, a zimą jeździła na łyżwach po zamarznętej tafli. Jej rodzina wielokrotnie się przeprowadzała, a w połowie lat trzydziestych osiedliła się w Altglobsow, ubogiej wiosce 5 kilometrów od Ravensbrück, gdzie mieszkańcy ledwo wiązali koniec z końcem, ścinając drzewa lub pracując na roli. Jako nowo przybyłych, rodzinę Binzów uważano za obcych,

szczególnie że Walterowi Binzowi jako leśniczemu wiodło się lepiej, no i miał większy dom.

W wieku dziesięciu lat Dorothea z przyjaciółkami wstąpiła do Bund Deutscher Mädel (Związku Niemieckich Dziewcząt), sekcji żeńskiej nazistowskiej młodzieżówki Hitlerjugend. W szkole obowiązywał wówczas nazistowski program nauczania, który uczył dzieci pogardy dla Żydów i piętnowania marginesu społecznego, chociaż istnieją pewne dowody na to, że rodzice Dorothei nie popierali idei Hitlera. Walter Binz nieustannie podpadał pracodawcom, prawdopodobnie dlatego, że nie chciał zapisać się do NSDAP – co należało do obowiązków urzędników rządowych i państwowych. Wiadomo też było, że leśniczy wcześniej stawał przed sądem za nielegalne polowania; był też nałogowym alkoholikiem, podobnie jak jego żona, Rose. Binzowie nie tyle spotykali się z niechęcią, ile sąsiedzi mieli się przed nimi na bacności, często też słyszeli krzyki i wrzaski dochodzące z ich domu. To nie była szczęśliwa rodzina.

Dorothea miała również osobiste przejścia: jako nastolatka zachorowała na gruźlicę, co nie było niczym niezwykłym w wilgotnym klimacie tego nisko położonego obszaru, ale dziewczyna ciężko to przeszła i wiele miesięcy spędziła w szpitalu dla gruźlików, co spowodowało luki w jej wykształceniu i uniemożliwiło zdobycie przydatnych kwalifikacji.

Napiętnowana jako nosicielka gruźlicy, z zakazem wykonywania wielu zawodów, Dorothea po szkole zaczęła pracę jako pomoc kuchenna, więc kiedy pojawiła się możliwość zatrudnienia w charakterze dozorczyńi w nowym obozie koncentracyjnym, skwapliwie skorzystała z okazji. Później, po kolejnych awansach, ze śmiechem opowiadała innym nadzorczyniom, że ojciec mówił jej, by nie brała tej pracy, ale ona uznała perspektywę za kuszącą: mieszkać z dala od domu, w wygodnej kwaterze, mieć dobrą pensję i elegancki mundur. Dorothea wpadła też w oko młodym oficerom SS, którzy stacjonowali w pobliskim ośrodku szkoleniowym i wstępowali na drinka do gospody w Altglobsow. Wysoka, szczupła blondynka o okrągłych policzkach i zadartym nosie uważana była za miejscową piękność.

Inne miejscowe dziewczyny również chętnie skorzystały z okazji. Margarete Mewes z Fürstenbergu, matka trójki dzieci, podjęła pracę w tym samym czasie, co Binz, podobnie córka rolnika, Elisabeth Volkenrath.

Gdy wybuchła wojna, cały obozowy personel SS otrzymał wytyczne, by zaostrzyć dyscyplinę. Według Rudolfa Hössa, wówczas oficera

w Sachsenhausen, w tym samym dniu, gdy siły niemieckie wkroczyły do Polski, sam Eicke zwołał cały wyższy rangą personel obozów koncentracyjnych i oświadczył zgromadzonym, że od tej pory każdy rozkaz musi być dla nich „święty i nawet najcięższy i najtrudniejszy musi być bezzwłocznie wykonany”. Höss wspominał, że Eicke powiedział też, że „twarde prawa wojny mają swoje wymagania”. Odtąd zadaniem obozowego personelu SS jest „ochrona państwa Adolfa Hitlera – przede wszystkim wewnątrz kraju – przed wszelkimi niebezpieczeństwami” – czyli poskramianie osób zamkniętych w obozach jest równie ważne dla przyszłości Rzeszy, jak walka na froncie.

„On, Eicke, żąda, aby wszyscy dowódcy wychowywali pełniących służbę w obozach żołnierzy formacji zapasowych w duchu nieubłaganej surowości w stosunku do więźniów [...]. Tylko SS może uchronić państwo narodowosocjalistyczne przed wszelkimi wewnętrznymi niebezpieczeństwami. Wszelkim innym organizacjom brakuje niezbędnej do tego surowości”<sup>64</sup>.

Koegel dobrze zrozumiał wytyczne Eickego. Wrogowie w Ravensbrück – 1 września 1939 roku 1607 kobiet – nie byli liczni, ale Koegel okazał zaleconą bezwzględność każdemu z nich. Z dnia na dzień ich szeregi rosły. 16 września przyjechała grupa więźniarek politycznych, wśród nich Luise Mauer, kurierka Komunistycznej Partii Niemiec, która ryzykując życie, przewoziła listy przez granicę. Luise miała w sobie niewiele bojowego ducha po tym, jak musiała wiele godzin stać za bramą obozu w ulewnym deszczu, zanim została rozebrana, odwszona i ostrzyżona w „łaźni”, a resztki buntu ulotniły się, kiedy skierowano ją do najbardziej wyczerpującej pracy: wybierania łopatą węgla z dna barek. Wszystkie te „wrześniowe więźniarki” trafiły do specjalnego bloku, by nie skaziły całego obozu swoimi niebezpiecznymi spiskami<sup>65</sup>.

Jednak po zmiżdżeniu komunistek najbardziej znieawidzoną grupą stały się Polki – pierwsi prawdziwi „wrogowie” z zewnątrz. Po wkroczeniu do Polski niemieckie siły przystąpiły nie tylko do grabienia polskiej ziemi i dobytku, lecz także do wyłapywania i mordowania przedstawicieli elit, w tym ogromnej liczby nauczycielek, członkiń związków, ziemianek, działaczek społecznych, żon oficerów i dziennikarek.

Te „Słowianki” były tak „brudne”, że kiedy przekroczyły bramy Ravensbrück, zostały brutalnie „odszorowane” do czysta, wysłane do bloku karnego i do pracy przy przerzucaniu cegieł, „dopóki ręce im nie spłyną krwią



i nie zrobią się szorstkie”, jak to ujęła Maria Moldenhawer, polska arystokratka i instruktorka przysposobienia wojskowego w warszawskich szkołach dla dziewcząt<sup>66</sup>.

Aby zasiać jeszcze większą nienawiść, obozowe władze rozpowszechniały plotki, że Polki obcinały języki niemieckim żołnierzom albo wsypywały im do herbaty truciznę. Renée Skalska wydłubywała ponoć oczy niemieckim dzieciom, jak opowiadały dozorcynie, chociaż jej jedyną zbrodnią było to, że uczyła historii Polski w poznańskiej szkole.

Jednak pierwszymi „wewnętrznymi wrogami”, które zbuntowały się w Ravensbrück, nie były więźniarki z Polski, lecz najstarszy i najbardziej znienawidzony wróg Koegela: badaczki Pisma Świętego. Te same religijne kobiety, które stawiały opór w Lichtenburgu, teraz odmówiły wykonania jego rozkazu, czyli szycia toreb dla żołnierzy. W obozie powstała szwalnia, gdzie miały wykorzystać swoje umiejętności, ale one zaprotestowały, twierdząc, że praca dla wojska jest wbrew ich pacyfistycznym zasadom. Komendant znów wpadł w szal.

Fakt, że Maxa Koegela nawet teraz do szewskiej pasji doprowadzały nie te „komunistyczne dziwki” czy „słowiańskie robactwo” ani „żydowskie suki”, lecz te religijne „wiedźmy”, wiele mówi o poglądach komendanta. Zastosowano wobec nich każdą groźbę i zadano każdą karę, żeby tylko wyrzekły się wiary, składając podpis we wskazanym miejscu. Aby rozbić ich jedność, władze rozproszyły je po różnych blokach, ale one natychmiast przystąpiły do nawracania innych, więc ponownie umieszczono je razem. W ramach kary na ich blokową komendant wyznaczył znienawidzoną Käthe Knoll, budzącą grozę nosicielką zielonej „łaty”, która, jak głosiła plotka, zamordowała własną matkę. Jednak formularze nadal leżały niepodpisane w biurze Langefeld.

Sama Langefeld wydawała się nieporuszona; pod pewnymi względami te szanowane gospodynie domowe były wzorowymi więźniarkami, które nie przysparzały jej problemów. Być może właśnie dlatego, że były „wzorowymi niemieckimi paniami domu”, Koegel nie potrafił ich zastraszyć tak jak komunistek, Żydówek, Słowianek i prostytutek – i właśnie to doprowadzało go do furii.

Trudno było zlekceważyć protest badaczek Pisma Świętego, ponieważ jesienią 1939 roku stanowiły ponad połowę kobiet w obozie i Koegel zażądał

większych uprawnień, aby je poskromić, oraz większego, mniej prymitywnego budynku więziennego. Teraz, gdy zaczęła się wojna, Ravensbrück powinno otrzymać takie same bloki karne, jak męskie obozy koncentracyjne.

Jesienią 1939 roku wreszcie dostał zgodę na budowę nowego więzienia. Do budowy ściągnięto mężczyzn z obozu w Sachsenhausen, chociaż Koegel uważał, że badaczki Pisma Świętego powinny im pomagać. Nowy budynek składał się z dwóch poziomów – jednego zagłębionego w ziemi – miał 78 cel i zastąpił drewnianą budowlę, w której ciągle więziona była Hanna Sturm.

Po prawie trzech miesiącach w odosobnieniu Hanna straciła poczucie czasu, ale wiedziała, że przyszła jesień, ponieważ w jej celi zrobiło się lodowato zimno, a ona ciągle nosiła cienką letnią sukienkę. Olga już dawno temu zniknęła z sąsiedniej celi, ale Hanna nadal słyszała Hedwig Apfel. Za każdym razem gdy Mewes, nowa nadzorkzyni bloku karnego, wchodziła do celi Hedwig, śpiewaczka operowa krzyczała, śmiała się i rzucała jej dzbankiem w twarz.

Od wybuchu wojny zwiększyła się liczba więźniarek w bloku karnym, więc Emma Zimmer dostała Mewes do pomocy przy roznoszeniu jedzenia i patrolowaniu bloku w nocy. Przygnębiająco brutalna Mewes miała troje dzieci, każde z innym mieszkańcem Fürstenbergu, czego Hanna dowiedziała się, podsłuchując plotkujące dozorkzynie. Przynajmniej, myślała Hanna, mogła być wdzięczna losowi, że zabrano Margot Kaiser. W nowym reżimie komendanta dwudziestoletnia więźniarka z Chemnitz, oznaczona zielonym trójkątem, awansowała i była teraz najpotężniejszą spośród wszystkich przetrzymywanych w obozie kobiet.

W męskim obozie koncentracyjnym Margot Kaiser zostałaby nazwana „kapo” („zaufany” brygadzysta) albo „starszym kapo”. Tutaj, w Ravensbrück, nie używano tego terminu, jednak praktyka włączania więźniarek do codziennych zadań związanych z prowadzeniem obozu kwitła podobnie jak w Buchenwaldzie, Dachau i Sachsenhausen. Funkcyjne więźniarki częściej nazywano oficjalnymi określeniami – blokowa nadzorowała blok, sztabowa – izbę, ale wszystkie asystowały SS, tak jak kapo w obozach męskich<sup>67</sup>. Te funkcje więźniarek istniały od samego początku, jednak jesienią 1939 roku, wśród nowych zaostreń, system kapo zacieśnił się i stworzył nową hierarchię. Wprowadzono nowe stanowisko, *Lagerläuferin* – obozowej

goniec – która zajmowała się przekazywaniem wiadomości. Komendant wyznaczył też „naczelną więźniarkę” – Margot Kaiser. Oficjalna nazwa funkcji brzmiała *Lagerälteste*, starsza obozu, ale więźniarki nazywały Kaiser *Lagerschreck* (postrach obozu).

System kapo był kluczowy dla działania obozów. Z jednej strony pozwalał na oszczędność personelu i pieniędzy: bez tych chętnych pomocników SS nie byłoby w stanie zapanować nad liczną gromadą więźniów w obozach. Ale, jak tłumaczył Rudolf Höss w autobiografii, kapo to był ktoś więcej niż darmowy pracownik. „Im liczniejsze antagonizmy i im bardziej zażarte walki o władzę, tym łatwiej można kierować”<sup>68</sup>. Dziel i rządź – to główna zasada nie tylko w wielkiej polityce, ale też w obozie koncentracyjnym. A więźniowie funkcyjni w żaden sposób nie reprezentowali potrzeb i pragnień więźniów. Ich zadaniem było posłuszne wykonywanie rozkazów SS; gdy tego nie robili, tracili funkcję. I była to pułapka, jak tłumaczył sam Heinrich Himmler w przemówieniu do oficerów armii niemieckiej. „Kapo musi zmuszać ludzi do marszu – powiedział – a jeśli nie wykona zadania, wyślemy go z powrotem do bloku, gdzie jego towarzysze więźniowie pobiją go na śmierć”.

Od samego początku system w obozie kobiecym działał równie dobrze jak w męskim; nie brakowało więźniarek chętnych, by wziąć łapówkę w postaci lepszego ubrania, większych racji żywnościowych i własnego łóżka. Podobnie jak w obozach męskich kobiety kapo nosiły zielone opaski na ramionach, co wskazywało na ich uprzywilejowaną pozycję i dawało im większą swobodę. Na początku, tak jak w obozach męskich, wybrane kobiety często nosiły zielone trójkąty; współpraca z kryminalistami, żeby zapanować nad więźniami politycznymi, stanowiła najbardziej oczywisty sposób na wprowadzenie w życie zasady „dziel i rządź”. Doświadczenia z męskich obozów dowiodły, że „zieloni” są najgorliwsi we współpracy. „Zielony” kapo w Mauthausen, August Adam, kryminalista z gangu przestępczego, dostał zadanie przydzielania do pracy nowo przybyłych i chełpił się później, że wybierał prawników, księży, profesorów i mówił do nich: „No więc tutaj ja dowodzę. Świat stanął na głowie”. Potem bił ich szpicrutą i wysyłał do *Scheisskompanie* – drużyny czyścicieli latryn.

Oznaczone zielonymi „winklami” kobiety z Ravensbrück nigdy nie należały do tej samej ligi co August Adam; wybrane na kapo były raczej niezaradnymi kobietami, które życie zmusiło do drobnych kradzieży, nielegalnej aborcji albo

które po prostu unikały pracy. Nawet Käthe Knoll – kapo od samego początku pobytu w Lichtenburgu – jak się później okazało, nie zamordowała matki, lecz została aresztowana za „zhańbienie rasy”, czyli związek z Żydem; żyła również z drobnych przestępstw. Margot Kaiser, nowa *Lagerschreck*, nie zamordowała nikogo przed przyjazdem do Ravensbrück. Jako nastolatka zajmowała się oszustwami i kradzieżami, aż w końcu trafiła do pracy w zakładach zbrojeniowych, skąd uciekła. Jednak do momentu gdy wyjeżdżała z Ravensbrück, pobiła na śmierć co najmniej dziesięć kobiet, do czego przyznała się podczas powojennego procesu.

Chociaż osoby z zielonymi trójkątami sprawowały najwyższą władzę, w Ravensbrück zatrudniano w systemie kapo również dużą liczbę czarnych „łat”, szczególnie w blokach; pod tym względem kobiecy obóz różnił się od męskiego. Wśród oznaczonych czarnymi trójkątami Ravensbrück miał użyteczny typ, jakiego brakowało w męskich obozach: *Puffmutter* – burdelmame. Langefeld lubiła przydzielać funkcje tym kobietom: jeśli *Puffmutter* potrafiła kierować burdelem, poradzi sobie z blokiem w Ravensbrück.

Philomena Müssgueller, czterdziestojednoletnia prostytutka, która przez wiele lat prowadziła dom publiczny w Monachium, ochoczo wyrwała się z chaosu bloku aspołecznych, by utrzymywać porządek jako blokowa wśród „politycznych”, szczególnie że gwarantowało jej to dodatkową porcję kiełbasy i własne łóżko. Philomena już wcześniej miała własną brygadę czarnozielonych „winkli” – przypochlebających się jej zwolenniczek – i razem dysponowały dostateczną siłą, by z łatwością utrzymywać w ryzach grupę czerwonych „łat”.

Marianne Scharinger, Austriaczka aresztowana za przeprowadzanie nielegalnych aborcji, została blokową w bloku żydowskim, a prostytutka z Düsseldorfu, Else Krug, otrzymała cenną funkcję, czyli nadzór nad piwnicą z ziemniakami. Chociaż obieranie stosów warzyw w ściśle określonym czasie było wyczerpującym i nużącym zadaniem, wiele kobiet starało się o tę pracę, ponieważ dawała szansę zwinięcia ziemniaka, kapusty lub brukwi. Od wybuchu wojny więźniarki dostawały niecałą chochlę zupy dziennie, a Else założyła szmuglującą siatkę, dzięki czemu udawało się dostarczać do bloku dodatkowe warzywa.

W miarę jak władza kapo rosła, nikt nie pogardzał nimi bardziej niż niemieckie i austriackie czerwone „łaty”. „Wrześniowa więźniarka”, Louise

Mauer, była dręczona przez blokową, prostytutkę o nazwisku Ratzeweit, „podłą” postać, smagającą biczem i wrzeszczącą na kobiety, które nie wstały na poranny apel. Ratzeweit lubiła wybierać sobie starsze kobiety i wyżywała się na przykład na Lisel Plucker, więźniarce politycznej; w rezultacie Lisel kilkakrotnie próbowała się zabić, wchodząc na druty pod prądem.

Maria Wiedmaier, która organizowała komitety Czerwonej Pomocy z ramienia partii komunistycznej, nigdy nie musiała wykonywać poleceń takiej szumowiny jak Müssgueller. „Zimmer otaczała się zielonymi łąkami – powiedziała – i wykorzystywała ich podłość oraz brutalne metody”<sup>69</sup>. Esesmani wykorzystywali też kapo jako donosicielki; jedna z nich przyuważyła Minnę Rupp, nowo przybyłą niemiecką komunistkę, jak wykrada pół marchewki, i doniosła na nią do Koegela, więc Minna trafiła do bloku karnego. Więźniarki rzadko mogły się spotykać, o ile w ogóle, ponieważ *Spitzel* (informatorki) obserwowały i donosiły nie tylko Koegelowi, ale również Langefeld.

Johanna Langefeld też doceniała system kapo, szczególnie że Koegel nieustannie próbował podważyć jej autorytet. W pierwszych sześciu miesiącach istnienia obozu *Oberaufseherin* stoczyła kilka potyczek z komendantem, a teraz nowe obozowe więzienie – czyli „bunkier” – miało powstać wbrew jej woli.

Langefeld równie gorliwie jak inni realizowała edykt Himmlera o „ochronie ojczyzny przed wewnętrznymi wrogami”. Widok kobiet stojących wiele godzin na zimnie i deszczu demonstrował jej dążenie do utrzymywania żelaznej dyscypliny. Mimo to metody Koegela nie były jej metodami, a później powie amerykańskim śledczym, że od zawsze wiedziała, że komendant był sadystą, chociaż jej zeznania świadczą o tym, że równie mocno denerwowało ją, gdy Koegel nie informował jej o swoich planach, jak i jego brutalność.

Przede wszystkim komendant – za jej plecami – zapewnił sobie prawo skazywania kobiet na blok karny i bunkier bez konsultacji. Co gorsza, dozorcynie – poza przydzielonymi do pracy – nie mogły bez zgody Koegela wchodzić do nowego murowanego bunkra. Aby przeciwstawić się tym afrontom, Langefeld zorganizowała własny system władzy w blokach mieszkalnych, kuchni, pralni i magazynie ubraniowym, umieszczając na kluczowych stanowiskach lojalne wobec niej kapo. I osobiście wybrała cały personel więzienny. Dużo czasu spędziła na obserwowaniu kobiet na

Lagerstrasse i czytaniu ich akt. Słuchała meldunków swoich informatorów, często innych kapo.

Doris Maase twierdziła później, że od pierwszych miesięcy Johanna Langefeld werbowowała „zaufane” wśród prostytutek. Jeśli dowiadywała się, że blokowa nie panuje nad sytuacją, pozbawiała ją funkcji. Następnie Langefeld przechodziła przez Lagerstrasse podczas apelu i wybierała inną kobietę, która przyciągnęła jej wzrok.

Jesienią 1939 roku Langefeld szukała nowej blokowej do bloku żydowskiego. Panował tam chaos: kobiety spóźniały się na apel, wszawica była największa, jedzenie rozrzucane. Sytuacji nie poprawiało to, że w bloku umieszczono też grupę osieroconych cygańskich dzieci. Nawet Doris Maase opisywała mieszkanki żydowskiego bloku jako „hołotę”, gdy obserwowała kobiety stojące w szeregu przed rewirem.

Od początku żydowskie więźniarki świadomie traktowano gorzej niż inne grupy. Żydówki, stanowiące zaledwie dziesięć procent wszystkich więźniarek, władze umieściły w osobnym bloku na końcu Lagerstrasse i nieustannie prześladowały. Racje żywnościowe miały mniejsze, pracowały dłużej, nie przysługiwał im dzień wolny. Nic więc dziwnego, że wiele Żydówek wkrótce się rozchorowało, cierpiały najbardziej z powodu opuchniętych nóg, przechodziły załamania nerwowe i chorowały na infekcje dróg oddechowych. Wielu dokuczały rany od pobicia. Dozorczynie z nocnej zmiany miały w zwyczaju siadać w kantine i rozmawiać o tym, co przeczytały o „żydowskich zdirach” i „bogatych żydowskich dziwkach”, po czym szły i biły pierwszą żydowską „świnie, dziwkę lub sukę”, jaką zobaczyły.

Wybuch wojny doprowadził do eskalacji prześladowań, co zauważyła Marianne Wachstein, kiedy wróciła do bloku po pobycie w izolatce. Zobaczyła chore wyganiane przez blokowe wczesnym rankiem na mróz, zmuszane do stania na apelu z atakami padaczki; niektóre mdlały, stojąc za karę wiele godzin w deszczu. „Żydówka o nazwisku Rosenberg, która wówczas mieszkała po stronie B baraku żydowskiego, odbywała karę stójki w bloku przy drzwiach i oknach otwartych podczas silnego mrozu – mimo że miała słabe płuca – opowiadała Marianne. – Została ukarana za niewłaściwe pościelenie łóżka”<sup>70</sup>.

Obawa przed stójką stała się obsesją Marianne, ponieważ sama mogła

ledwo chodzić i stać. Po przyjeździe do obozu w czerwcu „ludzki” lekarz SS zwolnił ją z apeli, ale jesienią nowy lekarz kazał jej w nich uczestniczyć. Marianne sprzeciwiła się i zażądała, by najpierw ją dokładnie zbadał, ale ten odmówił „i wyrażał się niegrzecznie i pogardliwie o Żydach”, a pielęgniarka siedząca za biurkiem „przytakiwała mu z szyderczym uśmieszkiem”. Marianne rzekła: „Powiem ludziom z zagranicy, jak się traktuje ludzi w obozie koncentracyjnym”, a wtedy lekarz złapał ją i wyrzucił na zewnątrz. „O tym też powiem”, obiecała Marianne, wierząc, że wkrótce uda się zaradzić złu, którego doświadczała.

Po tym incydencie Marianne wróciła do bloku i powiedziała koleżankom: „Lekarz złożył przysięgę i musi zbadać mnie, Żydówkę, tak samo jak bada Aryjki, kiedy sprawdza, czy są zdrowe, czy nie”, a wszystkie się z tym zgodziły, w tym Edith Weiss, Modesta Finkelstein, Leontine Kestenbaum i cała wiedeńska „hołota”.

Narastanie antysemityzmu w obozie nie dziwi, biorąc pod uwagę nasilenie prześladowań Żydów w całej Rzeszy. Führer jeszcze nie był gotowy do wydania rozkazu wyłapania wszystkich niemieckich Żydów – nie tylko dlatego, że nie istniały jeszcze konkretne plany, dokąd ich wysłać – ale prześladowania zintensyfikowały się, a gdy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna, 500 tysięcy niemieckich Żydów znalazło środki, aby wyjechać z Niemiec; 250 tysięcy zostało, w tym dwie trzecie stanowiły kobiety – wdowy, rozwódki, samotne matki, pozbawione środków do życia i bezdomne, bez szans na zdobycie wizy, za to z wysokim ryzykiem, że zostaną schwyte przez policję i oskarżone, jak Herta Cohen, o zbrodnię „skażenia niemieckiej krwi”.

Do zatrzymania, opowiadała Herta podczas jednego z wielu policyjnych przesłuchań, doszło w restauracji Bremer Hafen w Essen, gdzie poszła na kufel piwa.

Była piąta po południu. Usiadłam przy pustym stoliku. Przy sąsiednim siedzieli dwaj mężczyźni w mundurach. Szarych mundurach. Podeszli do mojego stolika i usiedli. Również poprosili o piwo. Jeden wyszedł. A drugi został. Kiedy zostaliśmy sami, powiedziałam mu, że jestem Żydówką, ale nie miało to dla niego znaczenia i został. Postawił mi drinka. Trochę zakrećło mi się w głowie. Po dwóch godzinach wyszłam, a mężczyzna zapłacił za drinki. Po drodze do domu zapytał, czy chciałabym się napić piwa niedaleko mojego mieszkania, przy Adolf Hitler Strasse<sup>71</sup>.



Zaprosił ją do siebie. „Powiedziałałam, że nie mogę, ponieważ jestem Żydówką. A on na to, żebym była spokojna, bo nie ma to znaczenia. Zostałam u niego. Dał mi więcej piwa. Następnego dnia rano leżałam obok niego. Nie wiem, co stało się z moim ubraniem. Następnego ranka uprawialiśmy seks”.

Przesłuchujący chce usłyszeć więcej, wypytuje, co się dokładnie stało, gdzie i jak – „Czy to był pełny stosunek seksualny? [...] Czy był w środku? [...] Czy był całkowicie w środku?”. Ponieważ odpowiedzi go nie satysfakcjonowały, następnego dnia wznowiono przesłuchanie. Herta odpowiada: „Musiałam zmyć z siebie nasienie”, a pytania trwały dalej, aż wreszcie, gdy nie było więcej nic do powiedzenia, wysłali ją do Ravensbrück. Jako „przyczynę aresztowania” w jej aktach podano „skażenie niemieckiej krwi”.

Niektóre porzucone pół Niemki, pół Żydówki w desperacji próbowały uciekać przez holenderską granicę, jednak podróżujące samotnie kobiety budziły podejrzliwość. *Frau Kroch* z Lipska poświęciła własną szansę na wolność i wysłała przodem męża z dziećmi, a sama została, by zacierać ślady. Kiedy wybrzeże było puste, chciała do nich dołączyć, ale została aresztowana i wysłana do Ravensbrück. Niemiecka więźniarka polityczna, którą kiedyś znała, rozpoznała ją pewnego dnia w obozie. „Ogolili jej włosy i szła boso. Nigdy nie zapomnę smutnego spojrzenia, jakie mi posłała”.

Mathilde ten Brink nigdy nie miała nadziei na wydostanie się, ponieważ nie posiadała dokumentów. Mathilde była pięćdziesięcioletnią bezdomną z Osnabrück. Straciła pracę sprzątaczką w rodzinnym sklepie, który został zniszczony podczas nocy kryształowej, co tłumaczy również utratę *Reichspass*, paszportu Rzeszy. W każdym razie holenderska policja aresztowała ją w Emmerich i przekazała Gestapo. Raport niemieckiej policji stwierdzał, że jest „niezamężna, 138 cm wzrostu, słaba”. Miała żydowskie rysy. „Bardzo duży nos. Duże uszy. Brak zębów. Mówi po niemiecku i słabo po holendersku”. Mathilde nie miała „dzieci i domu”, głosił raport policyjny, zawierający też kilkadziesiąt stron urzędowej korespondencji z czasu, zanim Mathilde wysłano do Ravensbrück, podobnie jak raport dotyczący Irmy Eckler, Żydówki oskarżonej o *Rassenschande*<sup>72</sup>. Irma i jej „aryjski” mąż – który również wylądował w więzieniu – mieli dwie małe córki, które im odebrano; jedna mieszkała teraz z rodzicami Irmy, druga trafiła do nazistowskiego sierocińca.

Irma dostawała tylko strzępy informacji o dziewczynkach w ocenianych



listach od rodziców. Z jej odpowiedzi wynika, że Irma należała do drużyny pracującej na zewnątrz, ponieważ pisała, że widuje dzieci na wrotkach – zapewne ze wsi lub z rodzin esesmanów, bawiące się w ogrodach przy willach:

*Droga Mutti,*

*bardzo cieszę się z twojego listu. Tak, tak sobie wyobrażam Ingrid. Będzie kiedyś potrafiła zadbać o siebie w życiu. Chyba modne jest jeżdżenie na wrotkach. Tutaj, w pracy, często widuję dzieci na wrotkach. Teraz będziesz porządkować ogródek. Nie wspominasz już o emigracji?*

*Gorące pozdrowienia i całusy dla mojej wrotkarki*

*Wasza Irma Mutti<sup>Z3</sup>*

Kiedy jednak Doris Maase opisywała blok żydowski jako hołotę, nie miała na myśli tylko tych najbardziej zdesperowanych kobiet, ale też brak dyscypliny, organizacji, wspólnego celu. Chociaż łączyła je religia, niewiele to dla nich znaczyło; rzadko też podzielały przekonania polityczne. W bloku 2. i 3. komunistki i inne więźniarki polityczne planowały, jak 7 listopada uczcić rocznicę rewolucji bolszewickiej, ale grupka żydowskich komunistek z bloku 11. została napiętnowana przez inne Żydówki jako „czerwone”, a te z kolei wyzywały „burżuazyjne” wiedenki i zwracały się przeciwko prostytutkom. Mniejszość Żydówek mogła się pocieszać, że znalazły się tu z powodu walki z faszyzmem, o czym starały się nie zapominać Maria Wiedmaier i jej towarzyszki, kiedy dzień w dzień ustawiały się w szeregu.

Po kilku tygodniach od wyjścia z izolatki Marianne Wachstein ponownie próbowała ustalić, dlaczego znalazła się w obozie, i ponownie trafiła przed oblicze komendanta. Najwyraźniej nadal myślała, że może Koegel nabrał rozsądku, ale zamiast tego „Herr Director wziął leżącą przed nim teczkę i walnął mnie kilka razy po rękach, i zrozumiałam, że nie wolno mi się bronić”. Koegel wysłał Wachstein z powrotem do izolatki i kazał Langefeld zrobić porządek w bloku „żydowskich dziwek”.

Reakcja Langefeld była radykalna. Pozbawiła funkcji blokową baraku żydowskiego i wyszła podczas apelu na Lagerstrasse, by wybrać nową. Jednak zamiast podejść do „kryminalnych” lub „aspołecznych”, zbliżyła się do Żydówek i obserwowała je z milczącym obrzydzeniem. Johanna Langefeld

nienawidziła Żydów tak jak wszyscy, ale jedna z tych kobiet wyróżniała się na tle pozostałych. Olga Benario prezentowała się efektownie nawet w więziennym pasiaku, a Langefeld znała Olgę i jej historię jeszcze z czasu Lichtenburga. Wywołała ją z szeregu, kazała stanąć na baczność i oświadczyła, że od teraz jest nową blokową bloku żydowskiego. Do tej pory żadnej więźniarce politycznej – Żydówce lub nie – nie przypadł zatruty kielich władzy nad koleżankami więźniarkami.

SS spaliło wszystkie dokumenty dotyczące wyznaczania kapo i innych więźniów funkcyjnych, więc nie zachowały się żadne oficjalne informacje o tym, dlaczego Olga została blokową. Relacje więźniów z bloku 11. są nieliczne, ponieważ niewiele żydowskich więźniarek przeżyło wojnę.

Po wojnie komunistki, koleżanki Olgi, próbowały wyjaśnić, dlaczego została mianowana blokową, ale ich wersje wydarzeń nie zawsze są wiarygodne. Jednak na początku lat pięćdziesiątych większość niemieckich komunistek, które przeżyły wojnę, zamieszkała w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie spisały historię obozu, mając w głowie jeden cel: słać odwagę komunistycznego ruchu oporu.

W Niemczech Wschodnich heroizm obozowych komunistek został rozpropagowany, aby pomóc w budowie obrazu kraju jako bastionu walki z faszyzmem. Olga Benario, autentyczna rewolucjonistka Stalina, stanowiła jądro tej narracji; jej imieniem nazywano ulice, szkoły i budynki w całym NRD. Jednak pewne elementy historii Olgi nie pasowały do schematu, szczególnie jej funkcja blokowej – co oznaczało realizowanie rozkazów SS.

Aby stonować wymowę mianowania Olgi, komunistyczni historycy nie wspominali, że funkcja wiązała się z przywilejami, i tłumaczyli, że przyjęcie jej nie oznaczało kolaboracji, lecz stanowiło dowód, iż SS zabrakło innych sposobów, by ją złamać – zrobili Olgę blokową, aby „ściągnąć na nią nienawiść”, twierdzili. Po objęciu funkcji Olga obróciła rolę blokowej na swoją korzyść, przedstawiając tym „żydowskim burżujkom okropności faszyzmu”, pisała Ruth Werner, pierwsza biografka Olgi<sup>74</sup>.

Werner, która nie była w Ravensbrück, ale szkoliła się razem z Olgą w Moskwie, oparła swoją biografię na wywiadach z ocalałymi komunistkami i opisywała inne żydowskie więźniarki, które komunistkami nie były, jako „zdziczałe kobiety” o „egoistycznym podejściu, kradnące ubrania i koce”, co

dowodziło – gdyby ktoś potrzebował dowodu – że antysemityzm szerzył się również wśród niemieckich komunistek w obozie. Sama Olga nie była w pełni Żydówką, co sugerowały niektóre jej towarzyszki. Maria Wiedmaier stwierdziła, że wyglądała jak „Aryjka” i była prawdopodobnie „pół-Aryjką”.

Komunistyczny powojenny kult Olgi osiągnął szczyt podczas inauguracji miejsca pamięci w Ravensbrück w 1959 roku, kiedy tłumy zebrały się u stóp odlanej z brązu statuy zwanej *Tragende* („Kobieta podtrzymująca”), przedstawiającej wychudzoną kobietę na piedestale, trzymającą w ramionach bezwładne ciało innej kobiety. *Tragende* – to miała być Olga Benario. Stojąca tam do dziś Olga wydaje się odległa, surowa i zimna, zupełnie nie przypomina torturowanej Olgi – żony i matki – która w październiku 1939 roku przyjęła funkcję blokowej.

Nie ma wątpliwości, że po powrocie z Berlina we wrześniu Olga znajdowała się na granicy wytrzymałości. Trzy lata spędzone za kratkami, z czego większość w osamotnieniu, osłabiły ją zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Wróciła do Ravensbrück, gdzie grupa komunistyczna została już niemal do końca rozbita. Hanna Sturm ciągle siedziała w bunkrze. Jej najdroższa przyjaciółka i towarzyszka rewolucjonistka Sabo zmarła, prawdopodobnie wskutek zapalenia płuc, choć niektóre relacje twierdzą, że została pobita na śmierć. Jožka Jabůrková była poważnie chora. A wiarę w Stalina podkopały doniesienia, że zawarł pakt z Hitlerem.

Olga przeżywała również cierpienia osobiste. Dawno temu odrzuciła swoją żydowskość, ale teraz wszystko, co ją spotykało, wynikało właśnie z pochodzenia. Jak radziła sobie z tym konfliktem – czy tęskniła za blokiem komunistek i dawnymi koleżankami, czy zbliżyła się do współwyznawczyń w bloku 11.? – tego nie dowiemy się nigdy. Ani tego, jak bardzo obawiała się o bezpieczeństwo matki i brata, z którymi zerwała stosunki. Ciotka, siostra matki, uciekła do Ameryki, ale matka i brat Olgi nadal przebywali w Monachium. Jednak bez wątpienia największą rozpacz budził fakt, że legły w gruzach jej nadzieje na spotkanie z Anitą i Carlosem.

Olga mogła odmówić przyjęcia funkcji blokowej – pokazała w przeszłości, że ma odwagę dokonywać tego rodzaju aktów nieposłuszeństwa – ale to wszystko działo się, zanim została matką. Gdyby odmówiła, groziłoby jej rozstrzelanie, a w najlepszym razie umieszczenie w bunkrze, gdzie byłaby

odcięta od poczty i wiadomości o Anicie. Nie miała pojęcia, czy pojawi się jeszcze jakaś szansa na emigrację.

Nie wiadomo, kiedy dokładnie Olga została blokową, ale musiało to być przed 14 października 1939 roku, kiedy to napisała do Carlosa, że czasem ma możliwość przeczytać gazetę, co stanowiło jeden z przywilejów funkcyjnych, oraz spotkać się z koleżankami. „Kilka tygodni w Berlinie – dodała – przypomniało mi, że najtrudniejszą rzeczą jest być samą. Tutaj mam koleżanki, które martwią się, czy mam co jeść”. Olga niepokoiła się, jak sobie radzi Carlos, ponieważ wiedziała, że ciągle przebywa w odosobnieniu. „Spacerujesz, gimnastykujesz się? Naprawdę przygnębia mnie myśl, że jesteś sam”. Jak zwykle, w liście wracała też do Anity. „Śnię o Tobie i naszej maleńkiej raz po raz, ale potem rano tak trudno wstać”.

*Achtung! Achtung!*, krzyczy Olga, gdy rozbrzmiewa poranne wycie syren. W październiku temperatura spada szybko i chociaż w bloku stoi piec, nie można z niego korzystać. Kilka kobiet nie chce wstać, więc Olga nimi potrząsa. Jeśli się spóźnią, zostaną pobite przez dozorczyńnię, ostrzega. Przy *Kesselkolonne*, wózku z kotłem, tworzy się ścisk. Szybko piją „kawę”. Olga krzyczy: „Wychodzić, wychodzić! Apel, apel!”. Zbyt chore, żeby pracować, zostają, ale wszystkie pozostałe wychodzą; o 4.30 kobiety z bloku 11. stoją pod gwiazdami. „*Achtung! Achtung!* Zbiórka piątkami!” – i pojawiają się „wrony” w czarnych wełnianych zimowych czapkach, pilnujące, żeby blokowe nie myliły się przy liczeniu.

Jedna po drugiej kobiety z zielonymi opaskami – Ratzeweit, Müssgueller, Scharinger, a teraz również Benario – zgłaszają stan Langefeld. Liczba podana przez Olę zostaje sprawdzona i zaakceptowana. Kobiety wracają do bloków, żeby pościelić łóżka przed wyjściem drużyn roboczych. Olga patrzy, jak maszerują, potem wypełnia swoją księgę raportową. Jako blokowa prowadzi chore z bloku do rewiru, gdzie ustawiają się w kolejce w nadziei, że obejrzy je lekarz. Olga zamienia słowo z Doris Maase i przekazuje wiadomość dla Marii Wiedmaier z bloku 3.

Cały dzień Olga ma różne zadania do wykonania: rejestrację nowo przybyłych, przeliczanie pończoch, majtek i kamizelek przed wysłaniem do pralni, zapisywanie racji, wszystko pod czujnym okiem dozorczyńni. Gdy w południe więźniarki wracają, wydaje zupę i znowu je przelicza, a kiedy

wracają pod koniec dnia, musi je znowu policzyć. Wieczorny apel jest najgorszy, ponieważ w ciągu dnia kobiety znikają – na przykład chowają się w bloku – więc liczenie rozpoczyna się raz po raz; jeśli zaginiona się nie znajdzie, wszystkie czekają, jedzenie stygnie, a na dworze robi się coraz zimniej. Kobiety osuwają się na ziemię, a Olga stoi i patrzy, jak są bite przez dozorczynię, Fraede.

Po wieczornej zupie kobiety wloką się do umywalni i walczą o dostęp do ubikacji. Rozbierają się i wspinają na sienniki. Olga chodzi w tę i z powrotem. Niektóre śpią w ubraniu, żeby ochronić się przed zimnem. Olga musi je nakłonić do rozebrania się, bo inaczej, jak im grozi, będzie raport. Inna kobieta pojękuje, skarży się na bolące nogi. Mówi Benario, że jest niewidoma. Olga ogląda jej spuchnięte i sine kostki i pokazuje, jak je rozciągnąć, by złagodzić ból.

O 21.00 blok jest zamknięty i strażnicy SS zostawiają kobiety same do rana. Teraz Olga zwołuje przyjaciółki, rozmawiają. Ma własne łóżko i szafkę. Jest tu Rosa Menzer z Drezna, którą Olga знаła z Lichtenburga, oraz Lena i Lenza, dwie młode towarzyszki.

W niedzielę, kiedy czujność strażników SS słabła, towarzyszki Olgi spotykały się, by pisać razem listy i rozmawiać o rodzinach. Rosa, szwaczka, nie umiała pisać, więc Olga lub inna koleżanka pisała za nią, a Rosa rewanzowała się, pokazując im, jak włożyć papier za koszulę, by utrzymać ciepło.

Olga przynosi listy od Carlosa i wszystkie omawiają jego poglądy filozoficzne, a także co Olga powinna mu odpisać. Rozmawiają o Anicie. Wszystkie zgadzają się, że Anita powinna dołączyć do kolektywu najszybciej, jak to możliwe. Olga pisze: „To ważne dla jej charakteru. Znam tu kogoś, kto to potwierdza”.

Dni mijają. Olga coraz lepiej poznaje kobiety, kiedy spaceruje wśród prycz, a one rozpoznają ją i czekają na jej przyjście; nawet wiedeńskie „burżujki” nie nazywają już Olgi czerwoną lub bolszewicką „krową”, ponieważ pomaga im, mówi, żeby jadły powoli, by lepiej zaspokoić głód, żeby nawzajem iskały sobie głowy. „Nie poddawajcie się – mówi – trzymajcie się blisko siebie, wtedy jest cieplej”.

Olga wykorzystuje każdą chwilę na rysowanie. Jako blokowa może mieć przy sobie papier, rysuje więc miniaturowe mapki, które pozwalają kobietom śledzić postępy wojny. Oznacza front ołówkiem, a małymi strzałkami wskazuje

ruchy wojsk niemieckich i ich marsz w głąb Polski; przerywana linia zakreśla okupowane przez nazistów ziemie. Olga czerpie informacje ze strzępków „Völkischer Beobachter”, które przemycają dla niej Maria Wiedmaier i Doris Maase.

Olga przepięknie rysuje i kobiety z bloku oglądają jej szkice z podziwem. Nowa więźniarka, Käthe Leichter przyjechała z Wiednia. Wie dużo i opowiada Oldze, co dzieje się w świecie na zewnątrz; mówi, że zanim ją aresztowali, austriacka prasa podała, że do Bożego Narodzenia Churchill będzie błagał o pokój.

Wszystkie kobiety z bloku szybko polubiły Käthe; śpiewa im i recytuje wiersze. Niektóre twierdzą, że zna każdy wiersz, jaki został napisany. Jest starsza od Olgi i próbuje jej pomóc.

I chociaż Käthe wcale nie jest „towarzyszką” – socjaldemokratka to nie komunistka – dwie kobiety mają ze sobą wiele wspólnego, podobnie jak wszystkie inne tutaj; gdzieś żyją ich dzieci i rodziny. Pewnego wieczoru Käthe opowiada o swoich ostatnich dniach spędzonych w Wiedniu. Jej mężowi i dwóm synkom udało się przedostać przez czeską granicę i są teraz w Paryżu. Käthe rozpacza, że pozwoliła im ruszyć przodem, a sama nie podążyła szybciej ich śladem. Wie, że dotarli do Paryża, ponieważ dostała od nich list przez ciotkę z Wiednia, ale martwi się, jak długo Paryż pozostanie wolny i dokąd będą musieli uciekać dalej. Käthe recytuje kolejny wiersz, tym razem własny, do wymyślonego „brata” w męskim obozie koncentracyjnym.

*Bracie, czy wczoraj w nocy byłeś z żoną i dziećmi?*

*Ja byłam z dziećmi.*

*Przykryłam je i rzekłam:*

*„Mamusia niedługo wróci, bądźcie grzeczne i nie płaczcie”.*

*Światło lampy pada na książkę i łóżko.*

*Siedzimy cicho, mąż i ja, żeby nie zbudzić dzieci,*

*Podskoczyłam przerażona. Blade światło księżyca oświetliło żelazne prycze.*

*I leżę tutaj, pośród wielu, tak cicha, samotna i zmarznięta.*

*Ja w Ravensbrück, ty w Sachsenhausen, w Dachau, w Buchenwaldzie<sup>75</sup>.*

W listopadzie Olga przestała wysyłać listy. Dzięki innej żydowskiej

więźniarce, Idzie Hirschkron, wiemy dlaczego. Ida, aresztowana w lipcu 1939 roku w Wiedniu za podziemną działalność, przyjechała do Ravensbrück w październiku. Trafiała do bloku żydowskiego i została tam do września 1941 roku, kiedy niespodziewanie ją wypuszczono. „Moje uwolnienie musiało być pomyłką – napisała później – ponieważ gdy tylko wróciłam do Wiednia, Gestapo od razu zaczęło mnie znowu szukać. Musiałam więc nielegalnie żyć w ukryciu”<sup>76</sup>. Idzie udało się uniknąć ponownego schwytania, a po wojnie opisała swoje przeżycia w obozie. Najbardziej żywym wspomnieniem było „zamknięcie” w żydowskim bloku, które zaczęło się 10 listopada 1939 roku.

W tym dniu wszystkie Żydówki zostały zamknięte w bloku 11. Strażnicy zaryglowali drzwi, a okna zabili deskami. Nikt nie wiedział dlaczego. „Nie mogłyśmy wchodzić z bloku, nie dostawałyśmy poczty, nie pisałyśmy listów, byłyśmy kompletnie odcięte od świata zewnętrznego”. Nawet apele odbywały się w bloku, prowadziła je Emma Zimmer. „Gdy Zimmer wchodziła do bloku, nasze serca zaczynały bić szybciej. Obrzucała nas podłymi wyzwiskami – «żydowska świnia», «żydowska hołota», «banda leniwych Żydówek». Jednocześnie Zimmer biła nas ze wszystkich sił, na chybił trafił, te, które przypadkiem znalazły się obok niej”.

Trwało to kolejne dni. Ida nie wyjaśniła, jak ani jak często kobiety dostawały jedzenie i wodę, ale na pewno siedziały w ciemnościach, „przerażone tym, co je czeka”, a dzień w dzień przychodziła Zimmer, krzyczała na nie i biła je. „Przez cały ten czas nie miałyśmy dość powietrza, ale nie wolno nam było otworzyć okien. Byłyśmy na wpół oszalałe ze strachu”.

Koszmar trwał trzy tygodnie; trwałyby zapewne dłużej, gdy nie Olga. „Potem nasza blokowa Olga Benario Prestes ośmieliła się spytać Zimmer, kiedy skończy się ta sytuacja nie do zniesienia”. Było to bezprecedensowe zuchwalstwo. Do tej pory żadna więźniarka – a już na pewno nie blokowa – nie śmiała zaczepić dozorczyń, a według Idy protest Olgi doprowadził Zimmer do wściekłości.

„Zimmer wrzeszczała jak szalona i złożyła raport do komendanta Koegela o buncie. Kazała wszystkim stanąć na baczność i krzyczała: «Wszystkie zostaniecie rozstrzelane, Żydówki jedne!». Wśród więźniarek wybuchł chaos i panika”. Ale Koegel nie kazał rozstrzelać więźniarek. Groźby stanowiły „sadystyczną drobną przyjemność Zimmer – opowiadała Ida. – Zamiast tego musiałyśmy wziąć łopaty i iść przesypywać piasek”.

Jakiś czas później kobiety dowiedziały się, co doprowadziło do zamknięcia bloku żydowskiego. 8 listopada 1939 roku, dwa dni wcześniej, Georg Elser, trzydziestosześcioletni stolarz z Wirtembergii, próbował zabić Hitlera i prawie mu się udało. Umieścił bombę w monachijskiej piwiarni Bürgerbräukeller, gdzie przemawiał Führer, ale przez zbieg okoliczności wybuch nastąpił dziesięć minut po wyjściu Hitlera i zabił przypadkowych widzów. W odwecie wszyscy Żydzi w obozach koncentracyjnych zostali ukarani.

Świadectwo Idy Hirschcron, niedostępne komunistycznym historykom piszącym po wojnie, jest wyjątkową relacją z bloku żydowskiego z okresu zamknięcia. Bez niego nie wiedzielibyśmy o bohaterskim czynie Olgi, która zażądała zakończenia tortur. Po proteście Benario karę odwołano i strażnicy odtworzyli drzwi bloku.

Hirschcron opowiedziała jednak, że wysłanie więźniarek do łopat nie było łagodniejszą karą. Dozorczynie w *Sandgrube* zadbały o to, żeby kobiety cierpiały tam od rana do nocy. „Wypuszczaly psy na więźniarki, dochodziło do okropnych pogryzień. Ja sama często pomagałam odprowadzić do obozu zakrwawione kobiety. Trafiały też do szpitala z ciężkimi odmrożeniami”.

Wśród tych więźniarek znajdowały się kobiety w starszym wieku, w tym jedna niewidoma, chociaż nie wiadomo, czy była to ta sama niewidoma, którą Olga zajęła się w bloku. „Kobieta miała tak spuchnięte stopy, że nie była w stanie wykonywać pracy, do jakiej nas wysłali. Zimmer złapała więc niewidomą za kark i biła, potem znów podnosiła i biła dalej ręką, a następnie rzuciła nią o ziemię i zostawiła tam, jęczącą z bólu”.

Dopiero 20 grudnia Olga mogła znowu napisać do Leocadii i Ligii, chociaż list był bardzo krótki. Dziękowała im, że „ciągle robią dla niej wszystko” i za telegram, który wysłały w dzień trzecich urodzin Anity – 27 listopada – w czasie zamknięcia bloku; „ucałujcie ode mnie Anitkę”.

Pomimo „buntu”, według innej żydowskiej więźniarki, która ocalała, Alice Bernstein, Olga zachowała w grudniu funkcję blokowej. Alice była sztabową w bloku 11. i wspominała incydent z Olgą, do jakiego doszło przed Bożym Narodzeniem. Tego ranka pozwoliła pospać trzyletniej Cygance nieco dłużej niż zwykle. „Dziecko było chore i blokowa, Olga Benario-Prestes, okryła je wełnianym kocem”. Dziewczynkę znalazł esesman Johann Kantschuster. „Złapał dziecko za włosy, zawlókł je nad jezioro i utopił”<sup>77</sup>.



[62](#) Maase, BAL B162/9828.

[63](#) Zob. Duesterberg, *Von der „Umkehr aller Weiblichkeit*”, oraz Johannes Schwartz, *Handlungsräume einer KZ-Aufseherin*. Zob. też Dorothea Binz – *Leiterin des Zellenbaus und Oberaufseherin* [w:] Erpel (red.), *Im Gefolge der SS*. Wiele więźniarek szybko dostrzegło u niej oznaki sadyzmu: Erika Buchmann twierdziła, że Binz biła „dotąd, aż zobaczyła krew płynącą z nosa i ust”. Używała również „obcasów wojskowych butów” do kopania kobiet leżących na ziemi. WO 235/318.

[64](#) Höss, *Autobiografia*, s. 81. O zmianie reżimu po wybuchu wojny w innych obozach zob. Sofsky, *The Order of Terror*; Kogon, *The Theory and Practice of Hell*.

[65](#) Luise Mauer zostawiła dwa ważne świadectwa; jedno w Ludwigsbergu (BAL B162/9809) i w: Elling, *Frauen im deutschen Widerstand*.

[66](#) Moldenhawer, Lund 420. O pierwszych przybyłych z Polski zob. też W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 59–61.

[67](#) O systemie kapo w Ravensbrück zob. A. Neumann, *Funktionshäftling im Frauenkonzentrationslager Ravensbrück* [w:] Röhr i Bergkamp (red.), *Tod oder Überleben?*

[68](#) Höss, *Autobiografia*, s. 119.

[69](#) Wiedmaier, zeznanie, ARa.

[70](#) Wachstein, raport wiedeński, ARa.

[71](#) LAV NRW R RW – 58/54910.

[72](#) LAV NRW R RW 58/63779.

[73](#) Eckler, *Die Vormundschaftsakte*.

[74](#) Werner, *Olga Benario*. Koleżanka Olgi, Ruth Werner (urodzona jako Ursula Ruth Kuczynski), została jedną z najsłynniejszych tajnych agentek Związku Radzieckiego. Pod kryptonimem Sonia pracowała po wojnie z niemieckim szpiegiem atomowym Klausem Fuchsem i przekazywała tajniki brytyjskiej i amerykańskiej bomby jądrowej do Moskwy.

[75](#) Ze zbiorów rodziny Leichterów.

[76](#) Hirschcron, WO 309/694.

[77](#) Samulon (z domu Bernstein), BAL B162 9818.

## Rozdział 4

### Wizyta Himmlera

4 stycznia 1940 roku Heinrich Himmler rozkazał kierowcy jechać na północny zachód od Berlina, oblodzonymi drogami wiodącymi do meklemburskich lasów i do Ravensbrück<sup>78</sup>. Po obfitych nocnych opadach śniegu i przy mrozie dochodzącym do minus dwudziestu stopni Celsjusza podróż była niebezpieczna, tym bardziej że zasy często blokowały drogi. Zważywszy na pogodę oraz sytuację wojenną, szczególnie w Polsce, można by sądzić, że w styczniu 1940 roku wizyta w małym obozie koncentracyjnym w Ravensbrück musiała znajdować się na szarym końcu listy priorytetów Reichsführera. Jednak Himmler lubił odwiedzać swoje obozy, a to miała być jego pierwsza wizyta od otwarcia Ravensbrück w maju poprzedniego roku.

Adolf Hitler okazywał niewielkie zainteresowanie obozami koncentracyjnymi – według źródeł nigdy żadnego nie odwiedził – jednak znajdowały się one w centrum imperium Himmlera; cokolwiek rozgrywało się za ich murami, działo się za jego zgodą. Obsesja Himmlera z dzieciństwa – dbałość o szczegóły – urosła w potrzebę zarządzania swoim imperium z przesadną drobiazgowością, szczególnie w obozach. Jako Reichsführer SS zajmował się wszystkim, od wartości kalorycznej posiłków więźniów po rozdział stanowisk w SS; zawsze odrzucał ludzi, których drzewo genealogiczne sugerowało niearyjskie geny. A podczas wizyt lubił spotykać się z więźniami twarzą w twarz – tego czy tamtego zrużać osobiście albo kogoś uwolnić.

Zła pogoda nie mogła odstraszyć Himmlera od wizyty w Ravensbrück; lubił zagłębiać się w mroźne pustkowia, często przejmował kierownicę swojego mercedesa kabrioletu. Nawet teraz dach był opuszczony, a Himmler ciepło opatulony. Tutejsze lasy bardzo różniły się od bawarskich Alp, które znał z dzieciństwa, z huczącymi wodospadami i bajkowymi zamkami, ale równinne

lasy były również rdzennie niemiecką ziemią i mógł szukać w nich mistycznej obecności swych przodków.

Jechał również odwiedzić przyjaciół. Nie tylko Oswald Pohl, szef wydziału gospodarczego SS, miał posiadłość koło Ravensbrück; kilku innych wysoko postawionych nazistów również miało tu rezydencje i regularnie przyjeżdżali do nich na polowanie. Jednak Himmler uważał krwawe sporty za „mordowanie z zimną krwią niewinnych i bezbronnych zwierząt”<sup>79</sup>. Krytykując „ogara” Hermanna Göringa, powiedział kiedyś swojemu zaufanemu masażystie Felixowi Kerstenowi: „Proszę sobie wyobrazić, *Herr Kersten*, że jakiś biedny jelen pasie się spokojnie i nagle wyskakuje myśliwy ze strzelbą i zabija to nieszczęsne zwierzę. Czy to sprawiłoby panu przyjemność, *Herr Kersten*?”. Himmler zatrudnił Kerstena, by łagodził chroniczne bóle brzucha, na które Reichsführer cierpiał od dzieciństwa. Urodzony w Estonii masażysta – Himmler nazywał go „moim czarnym Buddą” – miał za zadanie rozmasowywać bolesne miejsca i wysłuchiwać teorii pacjenta o rasie panów.

Nikt z nazistowskiej elity nie wierzył w ideologię rasy panów bardziej fanatycznie niż Reichsführer SS i nikt nie miał też takiej obsesji na tle powiązanych z tematem teorii; Himmler sypał szczegółowymi informacjami o hinduskim mistycyzmie i masonerii oraz ich związkach z ideami higieny rasowej, co brytyjski historyk Hugh Trevor-Roper, który badał życiorys Himmlera, skomentował tak: „Z tak zawężoną pedanterią, tak sztywnym antykwaryzmem studiował Himmler te bzdury, że wielu mogło mylnie podejrzewać, iż jest jakimś naukowcem”. Jednak Trevor-Roper podkreślił, że gdyby Himmler był tylko maniakiem, „nie usłyszelibyśmy o nim”. Jako zarządca działał „wysocze skutecznie”<sup>80</sup>.

Zaledwie kilka tygodni po wybuchu wojny Hitler nagroził skuteczność Himmlera funkcją Komisarza Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny, co narzuciło na niego obowiązek usunięcia wszystkich niechcianych ludzi z okupowanej Polski i przekształcenia jej terytorium w idealną przestrzeń życiową dla genetycznie oczyszczonej niemieckiej superrasy. W styczniu realizacja zadania była w toku; deportował już wielu mieszkańców Kraju Warty i gdańskiego „korytarza” i rozpoczął zasiedlanie tego obszaru etnicznymi Niemcami przewożonymi z krajów bałtyckich. Polskie elity zostały wyłapanie, a dwa miliony polskich Żydów przeniesione do rezerwatów w tak zwanym Generalnym Gubernatorstwie, utworzonym z części okupowanych

ziem polskich. Führer nie postanowił jeszcze, dokąd ci Żydzi w końcu trafią, ale wiele osób z najbliższego otoczenia Hitlera zakładało, że udadzą się dalej na wschód lub wywiezie się ich do Afryki – pojawił się pomysł przesiedlenia ich do francuskiej kolonii na Madagaskarze.

Uruchomiwszy największy eksperyment społeczny w dziejach, Himmler znalazł teraz czas, aby pojechać do Ravensbrück i sprawdzić przebieg lokalnych doświadczeń. Zaplanował również spotkanie w Ravensbrück z Oswaldem Pohlem, który rozpoczął realizację własnego eksperymentu. W pobliskiej rezydencji Pohl próbował hodować różne gatunki drobiu, a Himmler, który również się tym interesował, chciał go o to i owo wypytać.

Chrzęst kół w zamrzniętych koleinach zaalarmował obóz, że Himmler się zbliża. Drużyny więźniarek brnących po kolana w śniegu odśnieżały drogę. Na zamrzniętym jeziorze pracowały inne kobiety i wyrąbywały lód do obozowego magazynu. Najśłabsze upadały na lód, ciągnęły za sobą siekiery w odmrożonych dłoniach. „Ich martwe ciała często trzeba było wykuwać z lodu”, wspominała Luise Mauer.

Samochód zahamował przed siedzibą komendanta. Koegel, świeżo awansowany do stopnia sturmbannführera i oficjalnie mianowany komendantem, wyszedł na powitanie. W towarzystwie kroczącej za nimi Johanny Langefeld mężczyźni przeszli przez bramę obozu, by przeprowadzić inspekcję ustawionych w szeregu podekscytowanych dozorczyń. Następnie Himmler udał się do gabinetu, aby wysłuchać szczegółów buntu badaczek Pisma Świętego. Odmowa szycia wojskowych toreb na listy w ciągu ostatnich tygodni przekształciła się w pełnowymiarowy protest, którego Koegel nie potrafił przełamać, dlatego chodził wściekły.

Wiele więźniarek wspominało potem protest, charakteryzujący się niezwykłym uporem religijnych kobiet. Najpierw musiały stać na mrozie i śniegu przez wiele godzin, dopóki kilka nie upadło z odmrożeniami. Gdy tylko nowy murowany bunkier był gotowy, Koegel zamknął w nim więźniarki, po dziewięć w celi, w kompletnych ciemnościach, bez jedzenia. Jednak nawet wtedy żadna z nich się nie wyłamała.

Teraz Koegel zaapelował do Himmlera o większe kompetencje, aby złamać badaczki Pisma Świętego. Jedynym sposobem, upierał się, jest bicie. Losowe bicie odbywało się codziennie, ale Koegel poprosił o zgodę na zastosowanie *Prügelstrafe*, metody wykorzystywanej w męskich obozach. Takie „oficjalne” bicie polegało na przywiązaniu więźnia plecami do góry do drewnianego

kozła (*Bock*) i wymierzeniu mu dwudziestu pięciu batów w pośladki biczem ze skóry wołowej. Do tego rodzaju kar Himmler musiał upoważnić osobiście, a do tej pory stale Koegelowi odmawiał. Nigdzie nie odnotowano, dlaczego wstrzymał wprowadzenie tej kary w Ravensbrück, ale wiadomo, że Johanna Langefeld uważała chłostę za niepotrzebną i otwarcie wyrażała swój sprzeciw.

Himmler zażądał pokazania mu badaczek Pisma Świętego w celach, zanim wyda decyzję. Koegel był dumny z nowego więzienia. Murowany budynek otoczony młodymi sosenkami wyglądał na trudny do sforsowania. Dorothea Binz, córka leśniczego, i Maria Mandl, bardziej doświadczona austriacka dozorczyń, zostały wybrane do prowadzenia nowego bunkra, co dało im władzę niemal równą Johannie Langefeld – a strach budziły nawet większy niż ona. Bez zgody Koegela nie mogła tu wejść żadna inna dozorczyń.

Gdy Himmler przyjechał do obozu 4 stycznia 1940 roku, badaczki Pisma Świętego siedziały w bunkrze już od trzech tygodni. Dozorczyń otworzyła drzwi. Himmler i Koegel spojrzeli w ciemność na grupkę zagłodzonych, zmarzniętych więźniarek słoczonych w wilgotnej, śmierdzącej celi. Kobiety się modliły. Himmler podobno powiedział, że „są w kiepskiej kondycji”.

W tej pierwszej grupie znajdowały się Erna Ludolph i Marianne Korn; ich białe chustki ledwo było widać, gdy modliły się w ciszy w lodowatym mroku. Obie kobiety spędziły w więzieniach pięć lat za odmowę wyrzeczenia się wiary; obie zostały potraktowane wodą z węża jak „tonące myszy” podczas buntu w Lichtenburgu.

Był to dwudziesty pierwszy dzień ich zamknięcia w bunkrze, kiedy pojawił się Himmler, wspominała Erna Ludolph. „Pozwolił dozorczyńom otworzyć drzwi i przeraził się na nasz widok”. Potem przemówił: „Nie widzicie, że wasz Bóg was porzucił? Możemy z wami zrobić, co zechcemy”. Jedna z badaczek Pisma Świętego w celi odpowiedziała: „Bóg nas ocali. A jeśli nie – i tak nie będziemy służyć tobie”. Himmler zatrzymał się przy następnej celi. Znów kazał otworzyć drzwi i zajrzał do środka. Zapytał młodą kobietę, Ruth Bruch, czy jest gotowa wyrzec się wiary. Powiedziała: „Będę postępować według boskich zasad”. „Wstydz się, dziewczyno”, rzekł Himmler, odwrócił się i odszedł<sup>81</sup>.

Himmler i Koegel szli Lagerstrasse, a komendant poruszał inne sprawy, z których wiele wyniknęło wraz z rozwojem sytuacji wojennej. Na przykład

zatrzymania w Polsce oznaczały, że lada dzień napłynie duża liczba Polek; wkrótce będzie trzeba dobudować baraki mieszkalne.

Blok żydowski był już wypakowany do granic możliwości, podobnie jak blok karny, który zapełniał się kolejnymi aspołecznymi. Rewir nie radził sobie z liczbą chorych, do lekarza stała kolejka, w większości kobiet z czarnymi lub zielonymi „winklami”, poranionych. Według komendanta wszystkie były „wiedźmami, dziwkami i sukami”, ale Himmler rzadko używał takiego języka; dla niego było one „darmozjadami”, „niegodnymi, by żyć”<sup>82</sup>. Chociaż Koegel jeszcze o tym nie wiedział – sprawa należała do ściśle tajnych – Himmler już miał takie plany; w styczniu 1940 roku rozpoczęła się likwidacja istot niewartych, by żyć – nie w obozach koncentracyjnych, lecz w niemieckich sanatoriach, pod hasłem eutanazji.

W partii od dawna znano zamiar Hitlera wyplenienia w Niemczech chorych psychicznie i upośledzonych fizycznie – w tym niewidomych, niesłyszących, niemych i epileptyków – aby oczyścić rasę (i zaoszczędzić fundusze publiczne), ale Führer jak zawsze zachowywał ostrożność i miał się na baczności przed opinią publiczną w kraju i za granicą. Wiedział, że żadne prawo nie upoważnia do programu masowych zabójstw, bez względu na to, jak będzie zakamuflowany, ale wojna miała przysłonić zbrodnię<sup>83</sup>. Z tego powodu Hitler czekał z rozkazem rozpoczęcia „eutanazji” do października 1939 roku, kiedy wojna już nabierała rozmachu. Wciąż nie wiadomo było, jak zachowa się opinia publiczna, więc przygotowana przykrywka musiała oszukać zarówno Niemców, jak i ewentualnych obserwatorów za granicą.

Po pierwsze, w kancelarii Hitlera powstało specjalne biuro do spraw „eutanazji” o kryptonimie T4, od adresu biura położonego przy berlińskiej Tiergartenstrasse 4. Ośrodki zagłady założono przy istniejących szpitalach i sanatoriach – pięć w Niemczech i jeden w anektowanej Austrii – a „komisja” lekarska, w najgłębszej tajemnicy, miała diagnozować nieuleczalne choroby i zaburzenia psychiczne.

Władze zastosowały wiele praktycznych środków, aby zamaskować swe działania. Powstała „spółka z ograniczoną odpowiedzialnością do przewozu inwalidów w interesie publicznym” w celu zapewnienia transportu, a personel szpitalny w sanatoriach pouczone, jak wysyłać kłamliwe listy do rodzin zmarłych.

Trudniejsze było pytanie, w jaki sposób zabijać. W Polsce wszystkich

chorych psychicznie Himmler rozkazał rozstrzelać, ale w Niemczech masowe strzelanie do pacjentów sanatoriów było wykluczone: wyszłoby na jaw, co się dzieje. Po wielu dyskusjach wśród najlepszych lekarzy zapadła decyzja o zastosowaniu tlenku węgla. Jednym z pomysłów było wpuszczanie trującego gazu do szpitalnych sal ze śpiącymi pacjentami. Inni sugerowali wprowadzanie gazu do specjalnie uszczelnionych komór przez sitka prysznicowe. Postanowiono wypróbować pomysł w jednym z wybranych ośrodków zagłady T4. Wynik okazał się zadowalający i prawie na pewno Himmler dowiedział się o tym przed wyjazdem do Ravensbrück.

Po zakończeniu inspekcji Himmler chętnie wrócił do gabinetu Koegela, gdzie czekał jego kolega Pohl, by porozmawiać o drobiu. Johanna Langefeld również liczyła na to, że uda jej się zamienić słowo z Himmlerem, więc weszła do gabinetu, gdy tylko zaczęła się rozmowa z Pohlem. Chciała wywrzeć nacisk na Himmlera, żeby odrzucił żądanie Koegela dotyczące wprowadzenia *Prügelstrafe*, jednak gdy znalazła się w środku, natknęła się na osobliwą scenę, którą po wojnie opisała Grete Buber-Neumann:

W jednym z pokoi siedziby komendanta Himmler siedział z człowiekiem, który zajmował się prowadzeniem kurników w pobliskiej posiadłości Pohla. Znajdowali się tu również najwyżsi rangą zarządcy obozowi i kilka dozorczyń. Himmler był głęboko pogrążony w rozmowie o hodowli kurczaków z punktu widzenia badań genetycznych, ale też z punktu widzenia rolnika. Pohl przyprowadził ze sobą głównego hodowcę drobiu, żeby i on porozmawiał z Himmlerem<sup>84</sup>.

Langefeld próbowała porozmawiać z Himmlerem o żądaniu Koegela, by wydać zezwolenie na oficjalną chłostę, i miała nadzieję, że Reichsführer zgodzi się z jej zastrzeżeniami, ale jej argumenty trafiały w próżnię. „Zamiast mnie słuchać, z entuzjazmem dyskutował o hodowaniu idealnie czystych rasowo kurczaków”.

Langefeld powiedziała Grete, że miała świadomość, iż Koegel za jej plecami próbuje nakłonić Himmlera do *Prügelstrafe*. „To wtedy Langefeld zrozumiała, kim naprawdę jest Koegel: sadystycznym kryminalistą”, skomentowała Grete. Komendant stwierdził nawet, że bicie jest potrzebne, aby chronić samą Langefeld: powiedział Himmlerowi, że „więźniarka zaatakowała ją nożem, co było nieprawdą”.

Przytaczając dalej relację Langefeld, Grete stwierdziła, że według niej



Langefeld była już w tym momencie życia obozowego „kompletnie zagubioną kobietą”. „W jej umyśle toczył się konflikt między moralnością i niemoralnością. Z jednej strony popierała rasowe szaleństwo nazistów i antysemityzm, ale z drugiej strony dręczyło ją poczucie winy z powodu kobiet skazywanych na kary cielesne”.

Langefeld została w gabinecie Koegela i w końcu udało jej się porozmawiać z Reichsführerem. „Ale kiedy usłyszał wszystko, co chciał usłyszeć na temat kurczaków, zignorował wywody Langefeld i wydał rozkaz, że w przyszłości chłosta powinna być stosowana w Ravensbrück”, opowiadała Grete.

Jednak to nie więzione badaczki Pisma Świętego zostały jako pierwsze ukarane biciem. Himmler rozkazał Koegelowi wypuścić je z bunkra i przydzielić do ciężkiej pracy na śniegu. Najwyraźniej zrozumiał to, co nie docierało do Koegela: że żadne bicie nie zmusi badaczek Pisma Świętego do wyrzeczenia się wiary. Ponadto, pomijając ich odmowę pracy na rzecz wysiłku wojennego lub uznania Führera, były wzorowymi więźniarkami; ich wiara nie dopuszczała kłamstwa lub ucieczki i doskonale wykonywały prace domowe. Niedługo po wizycie w obozie Himmler rozkazał, by badaczki Pisma Świętego zatrudniać jako sprzątaczkę w domach esesmanów – zaproponował nawet Oswaldowi Pohlowi, żeby wykorzystywał je do prac domowych w jego posiadłości.

Przed wyjazdem z Ravensbrück Himmler podpisał rozkaz uwolnienia niemieckiej komunistki, która w lipcu próbowała uciec i od tamtej pory przebywała w bloku karnym. Jej uwolnienie miało nastąpić za trzy miesiące, 20 kwietnia, w pięćdziesiąte pierwsze urodziny Hitlera. Uwalnianie więźniów w urodziny Führera było tradycją.

Miesiąc po wizycie Himmlera odbyło się pierwsze *Prügelstrafe*. Ofiarami były Mariechen Öl i Hilde Schulleit, które przyłapano na kradzieży garnuszka smalcu<sup>85</sup>. Himmler osobiście zaaprobował karę cielesną; zgodnie z nowymi rozkazami wymierzenie kary za każdym razem wymagało zgody Reichsführera<sup>86</sup>.

Zgodnie z rozkazem chłóście towarzyszył lekarz i naczelniczka, Langefeld. Koziół został ustawiony w jednej z cel w bunkrze; kobiety przywiązano do niego twarzą do dołu i po podwinięciu sukienki wymierzono im po dwadzieścia pięć batów. Tym razem Koegel osobiście użył bicia z wołowej skóry.

W czasie gdy w życie weszła kara *Prügelstrafe*, do zwolnionych przez badaczki Pisma Świętego cel bunkra trafiło wiele nowych więźniarek. Marianne Wachstein, uwięziona w drewnianej celi latem poprzedniego roku, nadal protestowała przeciwko takiemu traktowaniu, więc na początku lutego 1940 roku znalazła się w bunkrze. I tak jak opisała pierwsze więzienie, i tym razem sporządziła dokładny opis nowego, a ponieważ i tę relację spisała zaraz po uwolnieniu – nastąpiło to trzy tygodnie później – szczegóły miała świeżo w pamięci. Pisząc, przeskakiwała nawet z czasu przeszłego na teraźniejszy, jakby czuła, że opisywane wydarzenia ciągle jeszcze trwają.

Marianne opowiadała, że na początku lutego 1940 roku została wezwana do Langefeld i usłyszała, że dopuściła się zbrodni „zniesławienia państwa” i za karę spędzi dwadzieścia osiem dni w nowym bunkrze. Kiedy zaprotestowała, usłyszała, że karę „wymierzył sam Koegel”.

Wsadzili ją do celi, „nie zwracając uwagi na fakt, że mam pokrwawione i przemarznięte stopy, że można mi policzyć każde źebro, tak wychudłam, a w niektórych miejscach skóra wisi na mnie jak pusty worek”. Zemdląca i Zimmer próbowała ocucić ją, „lejąc wodą przez otwór do podawania jedzenia”. Kiedy to się nie udało, Zimmer kazała pomocnicy dźgać Marianne miotłą przez ten sam otwór. „Kiedy się ocknęłam od ciosów, byłam cała mokra i musiałam zostać na lodowatym zimnie w przemoczonej sukience i pończochach – w izolatce siedziało się bez butów – przez kilka dni”.

Dozorczyni o nazwisku Kolb otworzyła drzwi celi Marianne, żeby ją znieważać.

*Frau Kolb* rzekła: „Śmierdzi tu”. Odparłam: „Proszę mi wybaczyć, *Frau Aufseherin*, ale to niemożliwe, myję się trzy razy dziennie”. Na to ona: „Wszyscy Żydzi śmierdzą”, a ja poczułam, że jeśli powiem jeszcze choć słowo, uderzy mnie, więc milczałam. Kiedy znowu otworzyła drzwi, żeby dać mi jedzenie, znowu powiedziała: „Śmierdzisz”, po czym szybko zamknęła drzwi.

Marianne natknęła się w bunkrze na inne więźniarki, w tym Alnę Schulze, „Aryjkę, którą pobili tak mocno, że krzyczała z bólu całą noc: «Moje oczy, moje oczy!», bo bała się, że straci wzrok”. „Wariatka”, śpiewaczka operowa Hedwig Apfel, przebywała w odosobnieniu od czasu drewnianych cel; Marianne słyszała jej krzyki.

Niedola więźniarek stale się pogłębiała. „Wilgotna, kompletnie ciemna” cela Marianne znajdowała się poniżej poziomu gruntu.

Byłam w celi 15 tak wilgotnej, że ścianę z oknem pokrywała czarna pleśń. W więziennej izolatce nie pozwalają nic robić. Ani czytać, ani pisać, masz tylko siedzieć. Nie wolno chodzić. Ani rozgrzewać się w inny sposób. Zima była bardzo mroźna. Chociaż starałam się być twarda, przemarzałam, trzęsłam się z zimna, szczękałam zębami, a wszystko to w kompletnych ciemnościach. Zesłali mnie do bloku więziennego z krwawiącą stopą.

Po kilku dniach Marianna wyszła na wolność. Gdy opuszczała celę, usłyszała krzyczącą Apfel. „Ona nie brzmiała już jak istota ludzka, bardziej jak zwierzę. Myślę, że była tam jeszcze inna chora psychicznie kobieta, ponieważ czasem dawało się słyszeć również drugi głos, także pozbawiony ludzkich cech”. W relacji napisała, że dokładnie o siedemnastej 23 lutego 1940 roku „Bóg zabrał mnie stamtąd i przetransportował tutaj”. „Tutaj” – to był wiedeński szpital, gdzie dochodziła do siebie. Podróż do Wiednia zupełnie nie przypominała koszmarnej jazdy do obozu w koszuli nocnej sprzed dziewięciu miesięcy.

Gdy Marianne czekała w berlińskim więzieniu na miejsce w pociągu, lekarz posmarował jej odmrożone stopy maścią, a w innych więzieniach po drodze do Wiednia przyjęto ją z dużą życzliwością i „bardzo dobrym jedzeniem”, w jednym przypadku były to nawet „dwie kromki prawdziwego żytniego chleba z masłem”.

Po przyjeździe do Wiednia Marianne została przyjęta do szpitala. Warunki jej powrotu pozostają niejasne, ale wiadomo, że powodem jej zwolnienia było wezwanie na świadka w wiedeńskim sądzie w procesie męża, którego sądzono na podstawie sfingowanych zarzutów o korupcję, związanych z interesami jej żydowskiej rodziny. Ponieważ jednak była chora, nie mogła zeznawać natychmiast, więc sąd udzielił jej zgody na leczenie, a w szpitalu znalazła w sobie dość sił, by spisać relację z pobytu w Ravensbrück, adresując ją do urzędnika sądowego – hofrata dr. Wilhelma.

Marianne nie bała się, że trafi z powrotem do obozu, więc nie próbowała nawet cenzurować opisu, przedstawiła też swoją relację jako zeznanie. I tak jak w Ravensbrück wierzyła, że może zaprotestować u komendanta SS, jakby ten przybywał z normalnego świata, teraz wydawało jej się, że wiedeńskie sądy wysłuchają jej ostrzeżeń i oskarżą nazistowskich sprawców na podstawie jej zeznania. Sugerowała nawet, by prawnicy skontaktowali się z innymi świadkami z obozu, którzy potwierdzą jej słowa, i wymieniła kilka

przedstawicielek austriackiej żydowskiej „hołoty”, w tym Toni Hahn, Ami Smauser, Louise Olhesky i Kate Piscaul. Wymieniła również austriacką więźniarkę Susi Benesch – „komunistkę i Aryjkę” – która razem z nią siedziała w bunkrze.

„Jednak aby przesłuchać te kobiety, należy najpierw wydostać je z Ravensbrück, ponieważ na miejscu nie śmiałyby powiedzieć prawdy z obawy przed średniowiecznymi karami, w tym chłostą, biciem i kaftanem bezpieczeństwa”, pisała Marianne.

Kiedy Marianna spisywała sprawozdanie z pobytu w Ravensbrück, nie miała pojęcia, do czego doprowadzą wydarzenia, których była świadkiem. W owym czasie pierwsze komory gazowe, zamówione w ramach nowego programu eutanazji Hitlera, dopiero powstawały. Relacja Marianne tym samym dotyczy czasu sprzed Holocaustu, a jej niewinność jest uderzająca. Jednak Marianne uważała, że była świadkiem kielkowania potwornej zbrodni i że Bóg uwolnił ją, aby mogła powiedzieć o tym światu.

Jednak niedługo po spisaniu relacji Marianne Wachstein znów została zesłana do Ravensbrück, a w lutym 1942 roku zginęła właśnie w jednej z komór gazowych. Ktokolwiek dostał jej zeznanie w Wiedniu, ukrył je na czas wojny i ostrzeżenie Marianne dla świata wyszło na światło dzienne dopiero w latach pięćdziesiątych, kiedy anonimowa osoba przekazała je do archiwum obozowego miejsca pamięci.

[78](#) Philip, Schnell, *Kalendarium*.

[79](#) Kersten, *Memoirs*.

[80](#) Trevor-Roper, *The Last Days of Hitler*.

[81](#) Erna Ludolph, „*Das war der Weg, den ich gehe wolte*” – *Hafterfahrungen in den Frauen-KZ Moringen, Lichtenburg, Ravensbrück und andere Wrinnerungen von Erna Ludolph* [w:] Hesse, Harder (red.) „...und wenn ich...”, i wiele relacji z protestu badaczek Pisma Świętego w zeznaniach z procesu i wspomnień.

[82](#) Określeń tych naziści sami nie wymyślili: innych terminów, takich jak „puste ludzkie łupiny” i „zbędny balast”, powszechnie używano w eugenicie niemieckiej i innych krajów, szczególnie Stanów Zjednoczonych, od XIX wieku.

[83](#) Hitler powiedział w 1935 roku, że kiedy wybuchnie wojna, poradzi sobie z problemem chorych psychicznie. „Uważał, że w czasie wojny łatwiej będzie zastosować środki dla rozwiązania problemu i z mniejszymi oporami, ponieważ otwarta opozycja, której należy się spodziewać po Kościele, nie uzyska w czasie wojny takiego zasięgu, jak w czasie pokoju”, przyznał Karl Brandt, jego osobisty lekarz, na procesie lekarzy w Norymberdze. Według Brandta bodźcem do rozpoczęcia programu była petycja z 1939 roku wystosowana do Hitlera przez ojca ułomnego dziecka z prośbą o „łagodne zgładzenie”. Brandt udał się do Lipska, by zobaczyć dziecko. „To dziecko urodziło się niewidome i upośledzone umysłowo – przynajmniej tak mi się wydawało – do tego bez nogi i części ręki”. Cyt. za: Mitscherlich, Mielke, *Death Doctors*.

[84](#) Buber-Neumann, *Die erloschene Flamme*.

[85](#) Phillip, Schnel, *Kalendarium*.

[86](#) Binz, razem z kilkoma innymi oskarżonymi, zeznała, że każdą chłostę, w tym liczbę batów, Himmler musiał zaaprobować osobiście. Potwierdzał to „rozkaz o karach cielesnych” Himmlera odkryty po wojnie (WO 309/217). Na początku personel stosował się do „ustnych rozkazów” Reichsführera dotyczących procedur, później zostały one spisane.

## Rozdział 5

### Dar Stalina

W lutym 1940 roku pociąg z Moskwy zatrzymał się po radzieckiej stronie mostu w Brześciu Litewskim. Z wagonu wygramoliło się kilka postaci, ślizgając się na oblodzonych stopniach. Jedna po drugiej zeskakiwały z ostatniego schodka w głęboki śnieg. Dwudziestu czterech pasażerów, w tym dwie kobiety, stało, patrząc na most i zastanawiając się, co ich tam czeka<sup>87</sup>.

Wszyscy byli Niemcami, byłymi komunistami, zostali zwolnieni z gułagu, a teraz Stalin przekazywał ich z powrotem Hitlerowi. Ci mężczyźni i kobiety byli darem dla przywódcy Niemiec, tym razem w ramach paktu nazistowsko-radzieckiego.

Jedną z kobiet była trzydziestodwuletnia Margarete Buber-Neumann, wdowa po Heinzu Neumannie, niegdyś czołowej postaci niemieckiego komunizmu; teraz Heinz już nie żył, padł ofiarą czystek Stalina<sup>88</sup>. W latach trzydziestych Neumann, podobnie jak inni przedstawiciele komunistycznej elity Niemiec, dużo czasu spędzał w Moskwie. Grete, jego żona, również zwolenniczka komunizmu, pojechała tam za mężem w 1933 roku. Zatrzymali się w słynnym hotelu Lux, gdzie zagraniczni komuniści – w tym Olga Benario – zebrali się, aby złożyć hołd na dworze Stalina; następnie para udała się do Hiszpanii, gdzie mieli wydawać komunistyczną gazetę, ale zamiast tego zaangażowali się w bratobójczą walkę między niemiecką partią komunistyczną a Moskwą. Neumann drażnił Stalina z powodów, których nigdy nie zrozumiał. Podobnie jak miliony innych osób, został ogłoszony wrogiem ludu, a po powrocie do Moskwy aresztowany i rozstrzelany w 1937 roku po procesie pokazowym. Rok później radzieckie władze aresztowały również Grete i wysłały ją do obozu pracy w Karagandzie, na stepie kazachskim.

Egzekucja męża i dwa lata w gułagu złamały Grete. Przed wyjazdem za granicę spędziła z innymi jakiś czas w Moskwie, gdzie doprowadzono ją do

lepszego stanu, żeby wyglądała na mniej więcej zdrową i żeby naziści nie powzięli podejrzeń co do traktowania więźniów. Jednak nic nie mogło przywrócić jej wiary w komunizm. Wracała do rodzinnych Niemiec jako zgorzkniała kobieta, pełna obrzydzenia dla Stalina i wystraszona, co przyniesie jej powrót do ojczyzny. Naziści z pewnością ją ukarzą za zdradę państwa w latach aktywnej działalności komunistycznej.

Niemcy zabrali więźniów pod eskortą i zapakowali do ciężarówki, która skierowała się do Lublina. Tam przez kilka dni więźniowie byli trzymani na Zamku, w samym sercu starego miasta. Z okien Grete mogła obserwować skutki pierwszych sześciu miesięcy wojny. Większa część miasta została obrócona w gruzy, a na rozkaz Odilo Globocnika, szefa policji w Lublinie, Żydów spędzono na teren za Zamkiem, gdzie powstało getto.

W zamkowym więzieniu Grete dowiedziała się od innych więźniów – zakonnic, studentów, profesorów, lekarzy – o nazistowskim terrorze i poznała polskich komunistów, którzy ciągle mieli nadzieję uciec na wschód, do Moskwy, wierząc, iż tam znajdą ocalenie. Próbowała rozwiać ich złudzenia co do Stalina, ale gdy poruszała ten temat, „ich twarze kamieniały”.

Niemcy przenieśli Grete na zachód, do więzienia Gestapo przy Alexanderplatz w Berlinie. Nazywane „Alex”, działało jako punkt rozdziału więźniów do obozów koncentracyjnych. Każdej nocy kobiety rozmawiały o „KZ” i o tym, kiedy tam pojedą. W piątki odczytywano listę tych, które miały być odesłane następnego dnia. W pewien piątek żydowska lekarka Jacoby usłyszała swoje nazwisko. Tej nocy powiesiła się na bojlerze, ale ktoś ją zauważył i odciął. Następnego dnia wyjechała do Ravensbrück.

Tutaj, w Alexie, Grete poznała młodą komunistkę, Niemkę Lotte Henschel, dla której Rosja Radziecka ciągle była krajem nadziei. Lotte wypytywała Grete o jej tamtejsze przeżycia, a kiedy wysłuchała opowieści Buber-Neumann, usiadła na materacu i rozplakała się. „To po co teraz mamy żyć?”, spytała.

W piątek 1 sierpnia 1940 roku Grete usłyszała swoje nazwisko na liście wysyłkowej do KZ, a następnego dnia wyruszyła w drogę do Ravensbrück. W transporcie było pięćdziesiąt kobiet, jednak ślad zachował się tylko po dwóch. Jedną, którą Grete wzięła za prostytutkę, oświadczyła, że jedzie tylko na reedukację i zostanie wypuszczona za trzy miesiące. Drugą była badaczką Pisma Świętego, która wyglądała jak nauczycielka i ciągle się modliła.

Późnym rankiem wysiadły z pociągu na stacji w Fürstenbergu. Psy warczały,

gdy kobiety pakowały się do ciężarówek, które zawiozły je do Ravensbrück. Grete z fascynacją i przerażeniem patrzyła na obóz, który od razu skojarzył jej się z Karagandą. Wysokie ogrodzenie z drutu, wartownicy, krzyki – Rosjanie krzyczeli: *Dawaj, dawaj!*, a Niemcy: *Raus, raus!* – wszystko wyglądało znajomo. Ale przy bliższym poznaniu ujawniły się pewne różnice.

Obóz nazistowski był mniejszy. W chwili przyjazdu Grete w obozie przebywało około 4 tysięcy kobiet; w samej Karagandzie przetrzymywano 35 tysięcy osób. Syberia zawsze kojarzyła jej się z zimą, porą roku, w której ją opuściła – ogromny, szary, zamarznięty obóz, gdzie armie więźniów, w większości mężczyzn, trudziły się na stepie pod stalowoszarym niebem.

Kiedy Grete dotarła do Ravensbrück, był początek sierpnia i w obozie panowało późne lato; za bramami przejrzyste wody Schwedtsee obmywały trzciny kołysane ciepłym letnim wiatrem. W środku, ku swemu zdumieniu, zobaczyła grządki jasnoczerwonych kwiatów; za nimi, wzdłuż uliczki, stało szesnaście pomalowanych drewnianych baraków, a za każdym z nich rosło młode drzewko.

Alejki przy bramie wysypane były piaskiem, świeżo zagrabionym w wyszukane wzory. Na lewo, koło wieży strażniczej, mieściła się ptaszarnia. Przechadzały się tam pawie i skrzeczały papugi. W Karagandzie nie było kwiatów ani zielonej trawy, ale mimo tego to miejsce wydawało się upiorne, a przez kilka chwil panowała tu kompletna cisza.

Wrzaski i okrzyki rozległy się znowu, gdy obok przechodziła kolumna kobiet, i Grete po raz pierwszy zobaczyła więźniarki: nie powłóczące nogami sylwetki – mężczyzn pomieszanych z kobietami – z gułagu, lecz kobiety w równych szeregach, każdą w czystej białej chustce na głowie, w pasiastych sukienkach i granatowych fartuchach. „Lewa, prawa. Lewa, prawa. Głowy do góry. Ręce wzdłuż boków. Równo w szeregu”. Beznamiętne twarze. Wszystkie wyglądały identycznie. Zawyły syreny. Kobiety maszerowały teraz kolumnami po pięć w szeregu ze wszystkich stron. Niektóre na ramionach dźwigały łopaty, a co było dla niej najdziwniejsze, śpiewały „głupie marszowe piosenki”. Wszystko wyglądało tu bardzo po prusku, a Grete знаła pruski styl, ponieważ wychowała się w Poczdamie.

Im dalej, tym więcej dostrzegała „pruskiej akuratności”. Pisarki zarejestrowały nowo przybyłe, ostemplowały teczki, sprawdziły akta, potem jeszcze raz sprawdziły. Niektóre kobiety wykrzykujące rozkazy nosiły takie same pasiaste ubrania i najwyraźniej same były więźniarkami. Także w gułagu



więźniowie wykonywali większość prac. Grete przywykła widywać Rosjan w tych rolach – nazywano ich „brygadzystami” i zwykle byli to mężczyźni. Widok kobiet, w dodatku Niemek, w funkcji „brygadzystek”, czym „niektóre wyraźnie się delektowały”, ją zaszokował.

Również kobieta, która sprawdziła teraz głowę i włosy łonowe Grete na obecność wszy, była więźniarką, badaczką Pisma Świętego. Metodycznie przeszukiwała włosy, wywijając nożyczkami, ale nic nie znalazła i Grete ominęło golenie. Kobiety towarzyszące przy prysznicach nosiły białe fartuchy i też były więźniarkami.

W obozie radzieckim więźniów dzielono na politycznych i kryminalnych. Tutaj istniało wiele kategorii, jak zorientowała się Grete, kiedy zobaczyła małe kolorowe trójkąty. Jako „polityczna” dostała czerwony trójkąt i numer 4208.

Po prysznicu Grete stanęła przed lekarzem obozowym, który smagał szpicrutą swoje buty z cielejącej skóry. Doktor Sonntag, świeży nabytek, wywołał Grete z szeregu:

- Czemu tu jesteś? – spytał.
- Za politykę – odparła.
- Bolszewicka jędza – burknął. – Wracać do szeregu.

Wkrótce Grete nosiła strój taki sam, jak maszerujące więźniarki: pasiasta sukienka, niebieski fartuch, biała chustka. Latem nie przysługiwały buty, więc jej grupa szła boso po ostrym żwirze do bloku kwarantanny. Z pozostałymi pięćdziesięcioma nowo przybyłymi Grete czekała na zewnątrz, pocierając podszwami stóp ziemię, żeby odgarnąć ostre kamienie.

Za barakami zobaczyła wysoki obozowy mur obwiedziony pięcioma rzędami drutu kolczastego. Południowe słońce oświetliło czarne tablice z namalowanymi na żółto czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami. Wcześniej tego dnia, jak słyszała, jakaś Cyganka wbiegła na druty. „Później zobaczysz, gdzie to było. Kiedy ściągali ciało, jej oderwane palce zostały na drutach”.

Gardłowy głos wykrzykiwał nazwiska z akcentem, który Grete rozpoznała jako szwabski. Kobieta była blokowa, więźniarka polityczna z czerwonym „winklem” oraz zieloną opaską na ramieniu. Grete uznała ją za odpychającą, ktoś powiedział, że nazywa się Minna Rupp.

Wewnątrz bloku rzędy kobiet robiły na drutach szare skarpety. Ponieważ rosła liczba nowych więźniarek, nowo przybyłe przetrzymywano osobno, dopóki nie zakończył się proces rejestracji; czekając, robiły skarpety dla

żołnierzy. Barak „wydawał się jak pałac” w porównaniu z glinianymi lepiankami z gułagu. Grete musiała skorzystać z toalety; okazało się, że są tutaj normalne ubikacje i umywalki, podobnie jak meble – stołki, stoły i szafki. Nowe dostały zestaw naczyń – kubek, łyżkę i miskę – oraz dwa wełniane koce, białe prześcieradło i długą koszulę nocną w biało-niebieskie pasy. Poznały zasady dotyczące mycia, jedzenia i ścielenia łóżka.

Później Grete dowiedziała się od innych więźniarek o wielu, wielu innych zasadach wprowadzonych przez Minnę Rupp. Rupp traktowała zadrapanie na menażce jako sabotaż i zgłaszała to jako przestępstwo, za które groziło bicie lub bunkier. Kobiety nie mogły uśmiechać się do siebie, podawać rąk – te występki blokowa karała stójką na zewnątrz.

Blokowa sprawdzała nawet bieliznę kobiet, na wypadek gdyby próbowały upychać sobie papier dla zachowania ciepła. Nocą nie wolno było chodzić do toalety i cały czas musiała panować absolutna cisza. Ale nic nie miało dla Minny Rupp większego znaczenia niż ścielenie łóżka. Fałda na kocu oznaczała całą niedzielę ścielenia łóżka za karę. Powtarzające się uchybienia prowadziły do bloku karnego lub bunkra oraz dwudziestu pięciu batów, a Minna Rupp wiedziała, jaki to koszmar, z własnego doświadczenia, ponieważ sama została zesłana do bloku karnego po kradzieży połowy marchewki. Wymierzono jej również karę cielesną.

Towarzyszki Grete w bloku dla nowo przybyłych były głównie Polkami, przedsiębiorczymi kobietami, w większości nauczycielkami. Przebywały w obozie już od kilku tygodni i nauczyły się, jak sobie radzić. Jedną z nich, nauczycielka muzyki, pokazała Grete trik ze ścieleniem łóżka. Używała deseczki do wyrównywania materaca, dzięki czemu Rupp nie miała się do czego przyczepić. Wszystkie nienawidziły blokowej. Do niedawna tylko aspołeczne i kryminalne obejmowały obozowe funkcje, ale ostatnio doszło do przewrotu, dowiedziała się Grete, i teraz funkcje obejmowały również komunistki, na przykład Rupp.

Mijały dni, Grete unikała komunistek. Prawdopodobnie niektóre znała z dawnych czasów i bała się spotkania z nimi. Podobnie jak inne komunistki, które poznała przed wyjazdem do Rosji, żadna z nich nie chciała słyszeć o tym, co miała do powiedzenia o Stalinie. Nie podobało im się, że Grete przyjechała z Moskwy. Były podejrzliwe.

Po tygodniu doszło do ostatecznej rozgrywki. Grete dziergała skarpetki, kiedy do bloku weszła grupa więźniarek z czerwonymi „łatami” i wywołała ją

na zewnątrz. Wśród nich znajdowała się Minna Rupp. Trójka zabrała Grete do pomieszczenia sypialnego, gdzie zwykle w ciągu dnia nie wolno było przebywać więźniarkom, i zaczęły przesłuchanie.

– Aresztowali cię w Moskwie? Za co?

Grete uświadomiła sobie, że bierze udział w politycznym przesłuchaniu w imieniu komunistek przebywających w obozie. Odpowiadała szczerze i opowiedziała im historię stalinowskich prześladowań.

– No dobra – powiedziała Minna Rupp. – Jesteś trockistką i tyle.

Oznaczało to, że Rupp uważa Grete za zdrajczynię prawdziwej stalinowskiej sprawy. Od tej chwili była bojkotowana. Grete ponownie została wrogiem, tym razem dawnych niemieckich towarzyszek, a obecnie współwięźniarek w nazistowskim obozie koncentracyjnym.

„Komunistyczny przewrót”, który doprowadził do usunięcia ze stanowisk kapo więźniarek z zielonymi i czarnymi trójkątami, stanowił główny punkt zwrotny w początkowym okresie funkcjonowania obozu<sup>89</sup>. Doszło do niego wiosną 1940 roku. Do tej pory esesmani praktykowali wybieranie na kapo społecznych i kryminalnych; wyznaczenie w listopadzie Olgi Benario na blokową stanowiło wyjątek. Potem, na początku roku, więźniarki polityczne podjęły świadomą decyzję, by zastąpić zielone i czarne „łaty” na stanowiskach. Miały ku temu kilka powodów.

W styczniu 1940 roku obleczony skórą szkielet wykuśtykał z bunkra i spojrzął w niebo. Hanna Sturm, austriacka stolarz i zagorzała komunistka, wyszła na wolność po sześciu miesiącach w izolatce. Żyła w ciemnościach, na głodowych racjach i znajdowała się na granicy śmierci.

Po powrocie do bloku Hanna zrelacjonowała koleżankom horror, jaki przeżyła w bunkrze, i jak praktycznie wydano ją na śmierć. W najgorszych zimowych miesiącach zachorowała. Nie mogła jeść i tak osłabła, że leżała na ziemi. Pewnego dnia usłyszała, jak pod drzwiami celi Zimmer mówi: „Może już tam kopnęła w kalendarz”, ale Hanna „nie chciała zrobić Zimmer tej przyjemności”. Wmuszała w siebie kawałki chleba. Nieprzeżute kęsy wypluwała, ale udało jej się przełknąć dość papki, żeby powoli odbudować siły.

Pewnej niedzieli zmianę miała zaprzyjaźniona dozorczyńni o imieniu Lena. Hanna wiedziała, że „Lenchen”, jak ją zdrobniale nazywała, sprzyja jej,

ponieważ poznały się, zanim Sturm trafiła do bunkra. Raz czy dwa chodziła reperować okno w willi komendanta, a Lenchen powiedziała do Hanny: „Zobacz, jak tu sobie esesmani dobrze żyją, a my harujemy i klepiemy biedę”.

Teraz Lenchen otworzyła celę Hanny i powiedziała:

– Ach, to ty tu jesteś. Wyglądasz bardzo źle, co się dzieje?

– Jestem chora, bardzo chora – odpowiedziała Hanna.

– Jak by ci tu pomóc? Tutaj umrzesz, to pewne.

Lenchen przemyśliła Hannie trochę jedzenia i leków, a następnego dnia sprowadziła nawet lekarza, żeby ją zbadał – lekarza, który był w obozie od niedawna. Doktor stwierdził, że Hanna prawdopodobnie ma tyfus. Jednak siły zaczęły jej wracać i wtedy nieoczekiwanie, pod koniec stycznia 1940 roku, w jej celi zjawiał się Koegel.

– Chcesz wrócić do swojego bloku? – spytał.

– Tak, proszę pana – odpowiedziała Hanna.

– No to wychodzisz. Ale ostrzegam cię, nie chcę już nigdy więcej o tobie słyszeć.

Koleżanki bardzo ucieszyły się z powrotu Hanny, ale wygląd tej silnej niegdyś Austriaczki, z której teraz zostały sama skóra i kości, był kolejnym dowodem na to, w jak trudnym położeniu wszystkie się znalazły.

Od czasu gdy Hanna trafiła do izolatki, wiele innych towarzyszek komunistek przekroczyło granicę wytrzymałości. Jedna rzuciła się na druty, a nowym utrapieniem stało się oficjalne bicie na specjalnym koźle. Niejaka Irma von Strachwitz została zamknięta w bunkrze za wznoszenie okrzyków „Heil Österreich!”. Kiedy nadal krzyczała, wymierzono jej 50 batów i zmarła. Niedługo wszyscy wiedzieli już o więźniarce zbitej na śmierć. Ira Berner, niemiecka komunistka, powiedziała: „Widziałam kobietę, której ciało stanowiło jedną wielką krwawą masę, więc nie mogła siedzieć przez kilka tygodni. Wiele miało uszkodzone wątroby i inne obrażenia”.

Największy szok ze wszystkich wywołało „nieoficjalne” bicie austriackiej komunistki Susi Benesch. Rosemarie von Luenink, więźniarka polityczna, widziała, jak do tego doszło:

Rozładowywałyśmy wtedy cegły z barki. Benesch była tak słaba, że nie mogła więcej dźwigać i upadła. Rabenstein poderwała ją z ziemi siłą, załadowała kamień na jej ramię, a ta znowu upadła, tym razem na dobre. Rabenstein podniosła wtedy kamień i spuściła go na głowę Benesch. Benesch zmarła na miejscu, a my zobaczyłyśmy krew wypływającą jej z ust

i wywieszony język<sup>90</sup>.

Po zamordowaniu Susi morale komunistek podupadło i Käthe Rentmeister, jedna z weteranek, postanowiła przywrócić im dumę. Zwołała spotkanie najwierniejszych towarzyszek w bloku 1., żeby przedyskutować problem. Przed obozem wszystkie długi czas spędziły w więzieniu. W latach dwudziestych nabyły doświadczenia, działając w związkach zawodowych i komunistycznych młodzieżówkach, na korytarzach Reichstagu lub komitetach Czerwonej Pomocy. Większość miała mężów, braci i ojców w obozach. Brat Käthe Rentmeister siedział w Sachsenhausen – to między innymi on budował Ravensbrück. Maria Wiedmaier była z nich wszystkich najbardziej zahartowana. Pracowała w partyjnych tajnych służbach i organizowała strajki w Holandii i Francji. W 1935 roku Gestapo poinformowało ją, że nie żyje mężczyzna, którego kochała. Maria nie chciała uwierzyć, więc zabrali ją na cmentarz i ekshumowali zwłoki, żeby mogła się przekonać, po czym zamknęli ją z powrotem<sup>91</sup>.

Kobiety zgodziły się, że Koegel ich nie złamał, ale chociaż nie istniała możliwość obrony przed SS, z pewnością mogły oprzeć się osobom typu Margot Kaiser, *Lagerschreck*, oraz kryminalnym kapo z zielonymi i czarnymi „łatami”. Każda z nich w pewnym momencie została wydana esesmanom przez jedną z „bandytek” Kaiser. Polityczne z czerwonymi trójkątami nie mogły się swobodnie spotkać, żeby ktoś nie doniósł Kaiser, podczas gdy aspołeczne i kryminalne „szmaty” okradaly więźniarki i cieszyły się przywilejami niedostępnymi dla innych.

Gdyby komunistkom udało się zostać kapo, ich życie mogłoby się poprawić. Nie było to niemożliwe, szczególnie że miały powody przypuszczać, iż Johanna Langefeld trzyma ich stronę. Langefeld ostatnio uległa prośbom kobiet, by więźniarki polityczne mieszkały razem w bloku 1. *Oberaufseherin* aprobowała ich metody utrzymywania porządku, a jedna czy dwie główne aktywistki zyskały jej zaufanie. Wszyscy wiedzieli, że Langefeld toczy prywatną wojnę z SS. Potrzebowała nowych sojuszników, również wśród więźniarek.

Niektóre sprzeciwiały się pracy dla esesmanów, ale inne twierdziły, że blok żydowski zmienił się, odkąd blokową została Olga Benario. Żydówki trzymały teraz głowy wyżej, organizowały czytanie poezji i mówiły nawet

o wystawieniu sztuki.

Gdyby komunistki nie sięgnęły po władzę, uprzedziłyby je inne więźniarki. Funkcyjnymi były Czeszki, a Langefeld faworyzowała nawet niektóre Polki. Maria Wiedmaier utrzymywała kontakt z Olgą, która zachęciła je do działania; ich obowiązkiem jako komunistek jest przetrwać. Maria powiedziała, że powinny starać się o funkcje nie tylko w blokach, ale też w kuchni i biurach, żeby pod przykrywką pracy zdobywać informacje. Podobnie jak Olga, Maria przeszła szkolenie w Moskwie i nie zapomniała, jak się infiltruje – nie zapomniała tego nigdy, co później wykazały jej akta Stasi<sup>92</sup>.

Hanna Sturm opracowała plan. Kilka tygodni po tym, jak wyszła z bunkra, dostała przydział do pracy w piwnicy z zapasami SS, gdzie rządziły „aspołeczne” kapo. Więźniarki w piwnicy często oskarżano o kradzież. Hanna zaproponowała, aby zrobić przywódczynię tamtejszego gangu aspołecznych. Wraz z kilkoma innymi więźniarkami ukradły z zapasów papierosy i alkohol i schowały to wszystko w bloku prominentki z zielonym trójkątem. Postarały się, by informacja trafiła do Langefeld.

Spisek dał lepsze rezultaty, niż oczekiwały. Wściekła, że aspołeczne kapo zawiodły jej zaufanie, Langefeld pozbawiła wszystkie funkcji i wysłała Margot Kaiser do bloku karnego. Późną wiosną najwięcej wpływowych stanowisk zajęły więźniarki polityczne, a komunistka Babette Widmann zastąpiła Kaiser na najwyższej więźniarskiej funkcji, *Lagerälteste*. Nikt nie zainteresował się losem odsuniętych; komunistki skupiły się na sobie.

Barbara Reimann, młoda komunistka z Hamburga, została aresztowana w 1940 roku za pisanie do niemieckich żołnierzy na froncie listów, w których zachęcała ich do zaprzestania walki. Do obozu przybyła niedługo po tym, jak więźniarki komunistki przejęły funkcje, i spotkała wiele towarzyszek gotowych jej pomóc. Minna Rupp, wówczas blokowa w baraku kwarantanny, dała znać nowej *Lagerälteste*, że przyjechała Barbara, i za pośrednictwem Langefeld udało się ją przenieść do bloku politycznego. Tutaj starsze wiekiem Niemki – niektóre znała jako matki swoich koleżanek i kolegów ze szkoły – wzięły ją pod swoje skrzydła<sup>93</sup>.

Nic dziwnego, że świeżo umocnione komunistki robiły wszystko, by nikt nie podkopał ich wpływów. Kiedy w sierpniu rozeszły się wieści, że do obozu przybyła Grete Buber-Neumann, która opowiada kłamstwa o Stalinie, zapadła decyzja, by ją potępić i uznać za trockistkę. Komunistki twierdziły później, że

pewnego poranka esesman postawił Grete przed nimi jak trofeum i powiedział: „Chcecie się dowiedzieć, jak zły może być obóz koncentracyjny? To zapytajcie ją o obozy Stalina”. Według Marii Wiedmaier to Olga Benario zaproponowała bojkot Grete, a komitet komunistek się z nią zgodził.

Jednak córka Grete wątpi, by to Olga skazała na ostracyzm jej matkę. Obie kobiety spotkały się na krótko w Moskwie w latach trzydziestych w hotelu Lux. „Moja matka zawsze podziwiała Olę”, mówi Judith Buber Agassi, siedząc w zalanej słońcem wili na izraelskim wybrzeżu. Mimo tego Judith podkreśla, że matka była zawsze rozgoryczona traktowaniem jej przez resztę komunistycznej kliki.

Było to najgorsze dla mojej matki. Uważała komunistki za bigotki. Nikt, kto nie był komunistą, nie miał wartości, nawet w obozie. Jeśli kobieta trafiła do obozu dlatego, że była prostytutką, badaczką Pisma Świętego lub Żydówką, tak samo. Komunistki stanowiły ograniczoną bandę. Mama nie mogła tego strawić. Po wojnie twierdziły, że pomagały Żydówkom w obozie. Ale oczywiście nie było to możliwe. Nie mogły pomagać.

Nie było to do końca prawdą, że nieżydowskie więźniarki polityczne nie mogły pomagać Żydówkom. Przez Langefeld i kobiety z jej najbliższego kręgu nowe polityczne kapo zbierały informacje, które mogły przekazywać Żydówkom. Maria Wiedmaier przemycała listy Olgi, w których mogła pisać do Carlosa i Leocadii swobodniej niż przez obozową pocztę. Ponadto Żydówki najwyraźniej same wierzyły, że nowe kapo z czerwonymi trójkątami mogą im pomóc, i właśnie dlatego nie tylko Olga, ale też inne żydowskie przywódczynie z bloku 11. poparły przejęcie władzy przez więźniarki polityczne.

Käthe Leichter zachwycała blok żydowski recytacjami i opowieściami od chwili, gdy przybyła do obozu jesienią 1939 roku, i przez ten czas wyrobiła sobie opinię w obozie. Socjaldemokratka Käthe nie była wtajemniczona w istnienie komunistycznego wywiadu, lecz miała swoje własne kontakty i w kwietniu dowiedziała się, że jej dawna przyjaciółka z Wiednia, również socjaldemokratka, Rosa Jochmann, także przyjechała do obozu. Käthe zorganizowała spotkanie z koleżanką zaraz po jej przyjeździe. Powiedziała jej, że ona, Rosa, zostanie blokową.

Rosa wspominała później: „Nie wolno nam było rozmawiać z Żydówkami,

ale oczywiście robiłyśmy to. Pierwszego dnia, zaraz gdy przyjechałam, Käthe spacerowała się ze mną po obozie, powiedziała mi, co planuje, i dała instrukcje”<sup>94</sup>. Käthe była pewna, że Rosa jest stworzona do funkcji blokowej, ponieważ z dawnych czasów znała jej silny charakter.

Fakt, że Rosa Jochmann i Käthe Leichter spotkały się w Ravensbrück, był sam w sobie nadzwyczajny. Kobiety znały się wcześniej w końcu lat dwudziestych z rady robotniczej w Wiedniu, kiedy walczyły o poprawę warunków pracy kobiet. Pochodziły z różnych sfer. Rosa, urodzona w 1901 roku, była córką praczki i hutnika, jako czternastolatka zaczęła pracować w fabryce. Gdy skończyła dwadzieścia lat, była już aktywną działaczką związków zawodowych i została przewodniczącą Socjalistycznego Związku Kobiet Austrii.

O cztery lata młodsza od Rosy, Käthe Leichter urodziła się w Wiedniu w 1905 roku. Pochodziła z zamożnej, kulturalnej żydowskiej rodziny, ale zerwała z burżuazyjnymi korzeniami i wyjechała do Heidelbergu w Niemczech studiować socjologię u filozofa Maxa Webera. Kiedy wybuchła I wojna światowa, Käthe organizowała pacyfistyczne protesty i wysłano ją z powrotem do Austrii; po dojściu do władzy naziści anulowali jej doktorat.

Kiedy prawa kobiet podniosły się na liście priorytetów austriackich liberałów, obie kobiety stanęły na czele kampanii, chociaż Rosa, wierząca w akcje protestacyjne, nie zgadzała się z poglądami Käthe, która opowiadała się za negocjacjami i nakłaniała do nich klasy pracujące. Mimo tego zaprzyjaźniły się i pracowały razem, dopóki nowe austriackie faszystowskie władze nie zakazały działalności. Na początku 1938 roku, kiedy aneksja (*Anschluss*) Austrii przez Hitlera wydawała się już nieunikniona, obie działały aktywnie w antynazistowskim ruchu oporu, więc ciągle groziło im aresztowanie; żadna nie skorzystała jednak z szansy ucieczki.

Mąż Käthe Leichter, Otto, redaktor antyfaszystowskiej gazety, z dwoma synami wyjechał do Francji, gdzie miała do nich dołączyć, ale z niezrozumiałych dla rodziny powodów – prawdopodobnie dlatego, że ciężko jej było porzucić matkę, nadal mieszkającą w Wiedniu, a być może dlatego, że nie wierzyła, że mogą ją schwytać – Käthe opóźniła wyjazd. Wreszcie wykupiła bilet na pociąg, ale wieczorem w przeddzień wyjazdu została aresztowana.

Kiedy Rosa Jochmann przybyła do Ravensbrück jakieś sześć miesięcy po



Käthe, ze zdumieniem zastała tam przyjaciółkę, a jeszcze bardziej zaskoczyło ją to, co od niej usłyszała. Później przytoczyła słowa Käthe, co pozwala nam poznać argumenty stojące za rozpaczliwą decyzją więźniarek, aby współpracować z SS w pierwszych latach funkcjonowania obozu.

Gdy Käthe usłyszała o przyjeździe Rosy, od razu zaczęła negocjować przydzielenie jej funkcji blokowej; samo to pokazuje, jak duży wpływ udało się uzyskać niektórym więźniarkom – nawet żydowskiej socjaldemokratce. Powiedziała Rosie:

„Nie zapominaj, że to coś zupełnie innego niż działalność w radzie związków zawodowych w kraju. Będziesz długim ramieniem SS. I zawsze musisz się zgadzać z SS. A jeśli pobiją kogoś na śmierć na twoich oczach, musisz spytać bitej osoby: dlaczego to zrobiłaś?”

I tak dalej. Jednocześnie musisz próbować nie dopuścić do tego, by dozorczyńni złożyła raport. I jako blokowa masz stać w rogu podczas apelu i wrzeszczeć na wszystkich: „Uwaga! Wszyscy patrz na dozorczyńnię!”<sup>95</sup>.

Käthe powiedziała Rosie, że dozorczyńni często wskazuje więźniarkę w szeregu za pomocą laski dlatego, że czegoś nie przyszyła właściwie, lub z innych abstrakcyjnych powodów. „I na twoich oczach bije kobietę prawie na śmierć”, rzekła Käthe.

„Stoisz obok i musisz udawać, że też jesteś wściekła na więźniarkę, i mówisz: „Dlaczego to zrobiłaś, co ty sobie wyobrażasz?”. Musisz udawać, że też jesteś wściekła. Ale musisz próbować odciągnąć dozorczyńnię na bok i powiedzieć jej: „*Frau Aufseherin*, nie rozumiem tego, ona zwykle zachowuje się dobrze”. I zasugerować, żeby nie dawała jej do raportu. „Dam jej sprzątaninę ubikacji. Albo każę jej nosić jedzenie przez dwa miesiące”. Musisz zawsze zgadzać się z SS. Zawsze.

Najbardziej ze wszystkiego zaszokował Rosę brutalny pragmatyzm Käthe w kwestii pozycji Żydówek. Pod koniec swojej tyrady Käthe zwróciła się do Rosy: „Jeśli SS będzie chciało, żebyś powiedziała «Wy śmierdzące Żydówki», to co zrobisz?”.

Powiedziałam: „Powiem, że nie, Käthe. Możesz sobie robić, co chcesz, ale ja tego nie powiem”. A Käthe odparła: „Nie możesz więc zostać blokową. Nie poradzisz sobie z tym. Ja musiałam tak mówić”.

Käthe przekazała mi instrukcje. Powiedziała: „Nie możesz sprzeciwiać się SS. Oni są głupi, źli i okrutni. Ale będziesz mogła pomagać, tylko współpracując z nimi, postępując dyplomatycznie

i przyznając im rację”. I to była prawda. Käthe Leichter miała rację.

Przekonanie Käthe, że współpraca z SS to jedyny sposób na przetrwanie, odzwierciedla jej wiarę w negocjacje, podobnie jak doświadczenie w obozowej drużynie pracy „gwiazd”. Komando „gwiazd” – nazwane tak dlatego, że w jego skład wchodziły arystokratki i primadonny – w pewnym momencie zostało zostawione samo sobie i więźniarki robiły, co chciały. Clara Rupp (niespokrewniona z Minną), niemiecka komunistka i nauczycielka, była jedną z „gwiazd” i napisała takie oto wspomnienie:

Oprócz oszukiwania dozorczyń więźniarki najbardziej lubiły łamać zasady. Niektóre grupy były w tym tak dobre, że prawie w ogóle nie musiały martwić się esesmanami. Raz zdarzyło się tak, że więźniarka przemycała przepiękną gałązkę azalii z oddziału ciężarnych do bloku politycznych. Kradzież odkryto, ponieważ tego dnia nie dostarczano świeżych kwiatów dla komendanta. Ale więźniarki zorganizowały akcję tak dobrze, że przemytniczek nie schwytano, co sprawiło im wiele radości<sup>96</sup>.

Tego rodzaju sztuczki, mówi, było o wiele łatwiej przeprowadzić później, kiedy liczba więźniarek w obozie rosła tak szybko, że rządy terroru SS stały się chaotyczne, bardziej rozproszone. Podobnie jak wiele kobiet, które przebywały w obozie od początku do końca, Clara uważała pierwsze lata za najbardziej przerażające, ponieważ kontrola SS sięgała do każdego zakątka życia: wszyscy „żyli w stałym zagrożeniu”.

A mimo to, mówi Clara, w 1940 roku grupa kobiet na krótko zyskała wolność. Budowały nową drogę do obozu, kiedy nagle usłyszały, że mają odłożyć narzędzia, ponieważ skończyły się materiały budowlane. Ponieważ nie było pracy – i żadnej szansy na ucieczkę – nie przydzielono im strażniczki. Pilnowała ich zaprzyjaźniona kapo z zielonym trójkątem o imieniu Clara.

Więźniarka Żydówka Käthe Leichter zaczyna rozmawiać z zielonym „winklem”. I Käthe mówi kobiecie, że wojna wkrótce się skończy, że Hitler jest skończony, a kapo – dobroduszna kobieta osadzona w obozie za przeprowadzanie aborcji – uwierzyła jej. Wkrótce to my przewodziłyśmy zielonym „łatom”, a nie odwrotnie. A stało się tak głównie dzięki Käthe z Wiednia. Przewodziła grupie i dysponowała ku temu odpowiednimi predyspozycjami. Ponieważ była Żydówką, nie mogła dostawać gazet, ale zdobywały je dla niej koleżanki z różnych miejsc. Kiedy Käthe dostaje gazetę, zapomina o niebezpieczeństwie, otwiera ją, czyta dokładnie, a czasem zapomina, gdzie się znajduje.

Inna więźniarka, Niemka Elizabeth Kunesch, potwierdziła sprawozdanie Clary o budowie drogi. Była w obozie od początku i pamięta komando do dziś, szczególnie kobietę o imieniu Käthe. „Käthe była Żydówką, bardzo inteligentną i bardzo uprzejmą. Często nam śpiewała, kiedy dźwigałyśmy kamienie, i starała się, byśmy zapomnieli o bólu”.

Według Clary w drużynie gwiazd była też prawdziwa księżniczka; kucharka doniosła na nią, że mówi złe rzeczy o Hitlerze; bardzo była muzykalna. „Jak ją poprosisz, zanuci ci partię każdego instrumentu z orkiestry”.

Była jeszcze w obozie inna doktor uniwersytecka, Maria, „chodząca encyklopedia”, która codziennie wieczorem przez godzinę uczyła Clare historii Anglii:

Była to wielce oryginalna postać: wysoka, pocętkowana brązowymi krostami, często z wszawicą i z dość dużym brzuchem. Owijała się wszystkim, czym mogła, aby ochronić się przed zimnem, ale zwykle na próżno. Wiele niemądrych kobiet szydziło z niej, ale te inteligentniejsze chętnie się z nią przyjaźniły. Uwielbiałam sposób, w jaki opisywała tęsknotę za otwartym niebem, łąkami i lasami.

Przebywała też w obozie Anni z Pragi, dawniej sekretarka Tomáša Masaryka, prezydenta Czechosłowacji w okresie międzywojennym. „Zawsze znała wszystkie obozowe plotki”. Nawet jeśli czekała je ciężka praca, gwiazdy maszerowały ze śpiewem. „Jeśli Księżniczka ma szczególnie dobry nastrój, śpiewa arię *Rozyny z Figara*”. Zaprzyjaźniona kapo z zielonym „winklem” rozdzielała zadania „na nasze mrugnięcie”. Kobiety rozmawiały o filozofii i literaturze.

Codziennie na jakimś odcinku budowanej przez nas bez końca drogi odbywała się jakaś dyskusja. Pewnego razu prawie wszystkie siedziałyśmy akurat w rowie i układałyśmy kamienie, a kiedy już odśpiewałyśmy Mozarta, Beethovena i Brucknera, Maria zaczęła wykład o romantyzmie. Tak się zasłuchałyśmy, że nie zauważyłyśmy dozorczyń wychodzącej z pralni. Nastąpiłam Marii na stopę, a ona natychmiast zaczęła mnie rugać, patrząc na wyraz naszych twarzy. Dozorczyń zdecydowała się wyżyć na mnie i wrzasnęła: „Ja ci pokażę, jak się pracuje, poczekaj tylko!”, i zabrała mnie do pralni, gdzie musiałam pracować brudne prześcieradła i worki po węglu.

„Gwiazdy” mówiły o rychłym powrocie do domu, rozmawiały o Marksie albo o sporze w bloku żydowskim między komunistkami a socjaldemokratkami. Słuchały, jak Käthe dyskutuje z Olgą o tym, czy kapitalizm zawiera ziarna własnej destrukcji.

Niektóre mówią, że nie docenia się potęgi Hitlera. Czasem wysyłają nas do pracy, nawet jak pada deszcz, ponieważ jesteśmy w połowie roboty i trzeba ją skończyć. Nasza drużyna była najlepszą drużyną roboczą ze wszystkich; pracowałyśmy dla siebie, nie dla nazistów. Käthe była naszą prawdziwą przywódczynią. Działała energicznie i odnosiła się do nas z sympatią. Jednego dnia mówi nam, że ma plan, jak zainstalować silnik w taczce. Serdecznie się wszystkie uśmieśliśmy. Pokazuje nam listy od dwóch ukochanych synków.

Kathy Leichter, wnuczka Käthe i córka jednego z tych ukochanych synków, mówi, że jeszcze dziś rodzina zastanawia się, dlaczego Käthe nie wyjechała z Austrii, kiedy jeszcze miała na to szansę. „Mogła znaleźć bezpieczne schronienie z innymi – twierdzi Kathy, filmowiec, która mieszka na Upper East Side w Nowym Jorku. – Większość kobiet nie sądziła, że coś im grozi. Ale Käthe wiedziała o tym. Kiedy więc śledzi się jej historię, każdy ma ochotę krzyknąć cały czas: «Wsiadaj do pociągu! No, dalej, wsiadaj! Na litość boską, czemu jeszcze nie jedziesz?! Wyjeżdżaj, Käthe!». Ale ona nie wyjeżdża”.

Spytałam, jaka według niej była Käthe. „Myślę, że trochę ją przypominam”, mówi Kathy, kobieta o długich czarnych lokach opadających na ramiona i wielkich ciemnych oczach.

Ale ona była większa. Taka męska kobieta. I podobnie jak ja, taka kobieta z zawodem, godząca go z opieką nad dziećmi. Zgłębiała wychowanie dzieci i prawa pracujących w domu, rozmawiała ze szwaczkami, pytała o ich problemy. Próbowwała sprawić, że świat będzie lepszy, szczególnie dla kobiet, a w Ravensbrück kontynuowała swoje dzieło. Znała się na kulturze. Potrafiła wymienić każdy obraz w Luwrze. Ale też trudno było do niej dotrzeć. Zawsze szukam jej głosu. Był stłumiony. Czasem wychwytyuję pojedyncze dźwięki. We wspomnieniach innych osób lub w jej wierszach. Albo sztuce<sup>97</sup>.

Dzięki Käthe „gwiazdy” wiedziały wszystko o sztuce. „Tylko blok żydowski mógł zorganizować coś takiego”, powiedziała Clara. Sztuka nazywała się *Schumm Schumm*, a cały scenariusz został spisany w złagodzonej wersji, na wypadek gdyby został odkryty. Käthe, razem z inną austriacką Żydówką, prawniczką Hertą Breuer, opracowały prawdziwy scenariusz; tekstu należało nauczyć się na pamięć i powtórzyć tylko w dniu wystawienia. Sztuka opowiadała o żydowskiej parze i ich córce; wyszli oni z obozu koncentracyjnego. Zostali wygnani na wyspę, gdzie żydowskie cechy uważano za boskie, a Żydów traktowano jako ród królewski. Znalazło się w niej kilka aluzji do obozu: matka Żydówka zemdląła po przybyciu i ocuciło ją dopiero: *Appell, Appell* – szeptane do ucha.

Przygotowania do premiery wywołały wielkie podekscytowanie i nieżydowskie więźniarki pomagały żydowskim aktorkom, szczególnie przy produkcji kostiumów, które „wykonywały z niczego z miłością i dbałością”, wspominała Clara – z kawałków i gałganków podwędzonych przez inne więźniarki. Kobiety miały suknie z lawendowych szali przywiezionych przez czeskie więźniarki „i zorganizowanych dla nas przez przyjaciółki”, opowiadała Clara. Bizuterię i ozdoby wykonały ze srebrnego i złotego papieru, również dostarczonego przez zaprzyjaźnione więźniarki, podobnie jak papier na męskie fraki. Dzicy mieszkańcy wyspy nosili spódniczki z trawy; Cyganki z drużyny pracującej przy produkcji plecionych mat dostarczyły materiał.

Sztuka została wystawiona w bloku żydowskim w niedzielne popołudnie. Wśród publiczności znalazło się wiele blokowych i sztabowych z innych baraków, a ponieważ przyszły one, zwykle więźniarki przyszły również.

Następnego dnia doszło do katastrofy. W bloku 2. dozorczyńnie przyłapały inną grupę więźniarek na tańcu, a kiedy postawiono je do raportu, poskarżyły się, że skoro blok żydowski wystawia sztukę, to dlaczego one nie mogą tańczyć?

W pierwszej chwili wydawało się, że cały żydowski blok zostanie ukarany wraz ze wszystkimi uczestniczkami, ale po „negocjacjach” skończyło się na tym, że kara spadła tylko na zaangażowane w przedstawienie. Clara nie mówi, kim były ukarane, ale rzeczą oczywistą jest, że wszystkie pochodziły z bloku żydowskiego i na pewno znalazły się wśród nich organizatorki przedsięwzięcia, Käthe Leichter i Herta Breuer, oraz Olga Benario – blokowa baraku żydowskiego.

Teraz nieżydowskie koleżanki już nic nie mogły dla nich zrobić, bez względu na pozycję zaprzyjaźnionych kapo. Sześć mogło sobie wybrać karę: 25 batów lub sześć tygodni w bunkrze. Wybrały bunkier i zostały zamknięte w jednej małej celi. Dostawały jedzenie tylko raz na cztery dni. Kobiety po uwolnieniu były „strasznie wyniszczone”, powiedziała Clara. „Jedna powiedziała nam: «Byłam taka głodna, nie mogłam znieść dźwięku czyjegoś żucia. Najbardziej znienawidzona była ta, która zachowała sobie coś do jedzenia, podczas gdy inne już nic nie miały. Bo żuła». Ostrzegały nas, żebyśmy unikały bunkra za wszelką cenę. Były naprawdę w fatalnym stanie”.

[88](#) Neumann był drugim mężem Grete. Był Żydem, podobnie jak jej pierwszy mąż, Rafel Buber, syn żydowskiego filozofa religii Martina Bubera. Siostra Grete, Babette, również wyszła za Żyda. „Być może obie wyszły za Żydów w ramach protestu przeciwko ojcu – twierdzi Judith Buber Agassi, córka Grete. – Ich ograniczony umysłowo ojciec [dyrektor poczdamskiego browaru] nie lubił Żydów”.

[89](#) Na temat „komunistycznego przewrotu” zob. Sturm, *Die Lebensgeschichte einer Arbeiterin* i zeznanie (DÖW 4676 1–6); oraz: zeznanie Rentmeister 30 kwietnia 1947 roku na procesie Landgericht Dresden przeciwko Knoll, BstU Ast 32/48. Zob. też: Anette Neumann, *Funktionshäftlinge im Frauenkonzentrationslager Ravensbrück* [w:] Röhr i Bergkamp (red.), *Tod oder Überleben?*; Strebel, *Ravensbrück*.

[90](#) von Luenink, WO 309/416. Córka Susi, Tanja, dowiedziała się o śmierci matki, kiedy wysłana przez nią kartka urodzinowa wróciła z adnotacją o jej śmierci. Jako przyczynę podano atak serca. Korespondencja Benesch, DÖW 02110 i 08815.

[91](#) Haag, *How Long the Night*.

[92](#) Po wojnie Marię Wiedmaier i kilka innych komunistek, które uczestniczyły w zebraniu na pryty Käthe Rentmeister, Stasi zwerbowała do działalności szpiegowskiej na Zachodzie.

[93](#) Wywiad autorki.

[94](#) Rosa Jochmann, „*Wenn der Elferblock voll gewesen ist, dann...*”, [www.doew.at/erinnern/biographien/erzaehlte-geschichte/haft-1938-1945/rosa-jochmann-wenn-der-elferblock-voll-gewesen-ist-dann](http://www.doew.at/erinnern/biographien/erzaehlte-geschichte/haft-1938-1945/rosa-jochmann-wenn-der-elferblock-voll-gewesen-ist-dann).

[95](#) Tamże.

[96](#) Clara Rupp, wspomnienia. ARA.

[97](#) Wywiad autorki.

## Rozdział 6

### Else Krug

Po kilku tygodniach od przyjazdu do obozu Grete Buber-Neumann stała na placu apelowym i czekała na decyzję, czy zostanie wybrana na blokową. Polskie przyjaciółki nakłoniły ją, by przyjęła funkcję.

W sierpniu 1940 roku przejmowanie władzy przez czerwone trójkąty zaszło dalej, niż ktokolwiek mógł przewidzieć: nie tylko komunistki dostały obozowe funkcje, które wcześniej pełniły społeczne i kryminalne, ale też inne polityczne, o różnych przekonaniach. Polki, w obawie, że na własną rękę nigdy nie zapewnią sobie tych stanowisk, miały jednak nadzieję wykorzystać spisek na swoją korzyść, wysuwając własne kandydatki; uznały, że Grete posiada właściwe kwalifikacje. Liczyły na to, że to ona zostanie ich blokową w miejsce znienawidzonej Minny Rupp, ale ten plan nie wypalił.

„Czekałam w szeregu z innymi kobietami na placu, stojąc na baczność. Langefeld podeszła i poddała nas szczegółowej kontroli; wypytywała o powód aresztowania i jak długo jesteśmy w obozie. Wybrała kilka z nas, w tym mnie, i powiedziała, że idę do bloku 2.”

Kiedy Grete powiedziała Polkom, dokąd została skierowana, były przerażone. W bloku 2. mieszkały najgorsze społeczne. Faktycznie, przekonała się, że wejście do tego bloku przypominało „znalezienie się w klatce z dzikimi zwierzętami”. Jej pierwszym zadaniem było wydanie czarnym „winkłom” zupy. Gdy próbowała to zrobić, głodne kobiety kłębiły się wokół, wyciągając miski, i krzyczały: „No, dalej! Nasz stół pierwszy!”. Grete podniosła chochlę i zamarła w panice. Nie miała pojęcia, jak zapanować nad niebezpiecznym tłumem.

Kiedy polityczne odsunęły społeczne i kryminalne od władzy, nie liczyły się z tym, że przyjdzie im żyć między nimi jako ich blokowe, ale esesmani, dając politycznym władzę nad społecznymi, po raz kolejny zastosowali zasadę

„dziel i rządź”. Polityczne, wyznaczone na blokowe aspołecznych, były przerażone. Kiedy Nanda Herbermann została blokową w bloku aspołecznych, zastała tam osoby „niczym z Sodomy i Gomory”. Brud ją odrzucał: „Zabierały swoje miski na prycze i załatwiały w nie małe i duże potrzeby”. Moralne zepsucie przerażało ją bardziej, szczególnie lesbijstwo. Nanda żyła pod kloszem, pracowała dla biskupa Münster i przy wydawaniu antynazistowskiej katolickiej gazety. „Niedola sprawiła, że stały się twarde i egoistyczne”, powiedziała.

Wiele z nich było prawdziwymi potworami, zawsze się ich bałam; moralnie leżały na dnie, a oprócz tego wykazywały się przebiegłością i nie stroniły od kłamstwa, przez co były niebezpieczne. Inne były jeszcze dziećmi, wyrzutkami społeczeństwa, które pod terrorem SS mogły tylko stać się jeszcze gorsze<sup>98</sup>.

Czasami zdesperowane kobiety rzucały się na druty „i rano ich zwęglone zwłoki zwisały z ogrodzenia elektrycznego”. Bertha Teege, niemiecka komunistka, zobaczyła takie wiszące ciało w dniu przyjazdu do obozu, w lipcu 1940 roku: „Młoda aspołeczna z Wiednia próbowała uciec. Jej zwisające z drutów zwłoki pokazano nam dla odstraszenia”.

Bertha, która знаła niektóre przebywające w obozie więźniarki polityczne, wkrótce została blokową w bloku 9., również bloku aspołecznych. Przejęła obowiązki po usuniętej monachijskiej *Puffmutter* Philomenie Müssgueller, ofierze spisku, która trafiła do bloku karnego. Teege zastała w swoim bloku podział: aspołeczne po jednej stronie, Cyganki po drugiej. Kontrolowanie ich stanowiło „herkulesową pracę”, ale wkrótce dogadała się z koleżanką komunistką z dawnych czasów, Luise Mauer, wówczas blokową „bloku notorycznych kryminalistek”: „doprowadziłyśmy do porządku, co mogłyśmy, zdobywałyśmy różne rzeczy i nigdy nie dawałyśmy się przyłapać”. Obie nawiązały kontakty z „obozową administracją”<sup>99</sup>.

Cyganki, mówiła Bertha Teege, łatwiej poddawały się kontroli niż prostytutki. „Cyganki były jak posłuszne dzieci, sprzeczały się, walczyły między sobą, a potem znowu przyjaźniły”. Aspołeczne jednak miały zrujnowane zdrowie i nie można było sobie z tym poradzić. Ponad 80 procent z nich cierpiało na choroby weneryczne oraz na gruźlicę.

Teege nie mówi jednak, kim były te aspołeczne. Podobnie jak jej koleżanki polityczne, chyba nigdy nie pytała o nazwisko. Oprócz słynnych kapo, jak



Müssgueller, Kaiser i Knool, obozowe kryminalistki prawie nigdy nie miały nazwisk. SS i same więźniarki uważały te kobiety za anonimowy tłum. Więźniarki zwykle używały w odniesieniu do nich języka esesmanów: były więc „aspołecznymi”, „szkodnikami”, „wiedźmami” lub – jak twierdziła Grete – „dzikimi bestiami”.

Nawet kiedy wspomniano akt życzliwości jakiejś kapo dla czarnego lub zielonego „winkła”, rzadko wymieniano ją z nazwiska, chociaż Edith Sparmann wspominała o swojej blokowej o przydomku „Goldhansi”. Goldhansi była miłą dla Edith, która przyjechała do obozu jako młodzianka dziewczyna i została rozdzielona z matką. „Goldhansi znalazła mamę i zorganizowała nasze spotkanie”, opowiadała Edith. Goldhansi prawdopodobnie straciła funkcję w wyniku spisku.

Chociaż wiemy bardzo dużo o tym, co więźniarki polityczne myślały o aspołecznych, nie wiadomo nic na temat, jakie zdanie o nich miały aspołeczne. W przeciwieństwie do więźniarek politycznych nie zostawiły żadnych wspomnień. Rozmowa o tym po wojnie wiązałaby się z ujawnieniem przyczyny umieszczenia w obozie i jeszcze większym wstydem. Gdyby zaoferowano im za to jakąś rekompensatę, być może niektóre by się przełamały, ale nikt z taką propozycją nie wystąpił.

Niemieckie stowarzyszenia założone po wojnie w celu niesienia pomocy osobom, które przeżyły obozy koncentracyjne, zdominowali więźniowie polityczni. I czy działały na komunistycznym Wschodzie, czy na Zachodzie, ich władze nie widziały powodu, by pomagać „aspołeczny”. Te więźniarki nie zostały aresztowane jako „bojowniczk” z faszyzmem, więc bez względu na to, ile wycierpiały, nie kwalifikowały się do pomocy finansowej ani żadnej innej. Ich losem nie zainteresowali się też zachodni alianci. Chociaż tysiące aspołecznych zmarło w Ravensbrück, żadna ocalała z czarnym lub zielonym „winklem” nie złożyła zeznań ani w Hamburgu, ani podczas innych późniejszych procesów zbrodniarzy wojennych.

Dlatego te kobiety po prostu zniknęły: dzielnice czerwonych latarni, z których pochodziły, zostały zrównane z ziemią przez alianckie bomby, więc nikt nie wie, dokąd poszły. Przez kilka dziesięcioleci badacze Holocaustu również nie opisali historii aspołecznych; w obozowych historiach doczekały się ledwie wzmianek. Odnalezienie żyjących byłych więźniarek z tej grupy okazało się

szczególnie trudne, ponieważ nie tworzyły żadnych związków ani grup wsparcia. Dziś, kiedy zapuka się do drzwi w Bahndamm, jednej z niezniszczonych przedwojennych dzielnic czerwonych latarni w Düsseldorfie, można usłyszeć tylko gniewne: „Spadaj stąd”.

Dopiero w latach dziewięćdziesiątych badacze zaczęli apelować, by ujawniły się aspołeczne, które przeżyły obóz, ale odezwała się garstka, żadna nie podała prawdziwego nazwiska, żadna, jak twierdziły, sama nie była prostytutką. Käthe Datz przyznała, że trafiła do obozu jako „unikająca pracy”; pewnego dnia opuściła dzień pracy w fabryce, żeby zająć się chorą matką.

Powiedzieli, że jestem zdrajczynią i że popełniłam zbrodnię. Potem dołączyli mnie do masowego transportu, więc płakałam. W naszej grupie znalazło się wiele pracujących dziewcząt – prostitutek. Pamiętam, jak szły na wysokich obcasach brukowanymi uliczkami Fürstenbergu w drodze do obozu. Pamiętam, co mówili do tych kobiet: „Wy świnię, damy wam nauczkę”, kopali je i bili<sup>100</sup>.

A jednak, dzięki nazistowskiej biurokracji, zachowało się nieco wskazówek, kim były te kobiety. Policyjny system rejestracji, wprowadzony przez Himmlera, był tak rozbudowany, aby nadzorować, a potem eksterminować niemiecki margines społeczny, że bombardowania brytyjskiego lotnictwa nie zniszczyły wszystkich dokumentów. Najbardziej rozbudowana biurokracja funkcjonowała w Kolonii, gdzie mieściła się jedna z największych dzielnic czerwonych latarni w Niemczech. Po części dlatego, że te kobiety dostarczały usług na rzecz armii, znajdowały się pod ścisłym nadzorem i kontrolą. W 1942 roku alianckie bombowce zrównały miasto z ziemią, ale podczas powojennych porządków część akt policyjnych wykopano spod ruin i przekazano do archiwum w pobliskim Düsseldorfie, gdzie przeleżały nieprzeczytane przez prawie siedemdziesiąt lat.

Tutaj znajdują się akta Anny Sölzer. Na policyjnym zdjęciu z 1941 roku, gdy miała zaledwie dwadzieścia lat, jest piękną dziewczyną w filcowym ciemnym kapeluszu. Znaleziona w pokoju, w którym mieszkała sama, została aresztowana pod zarzutem roznoszenia chorób wenerycznych. Nie miała dokumentów, ponieważ uległy zniszczeniu w zbombardowanym domu, gdzie mieszkała wcześniej. Oficer aresztujący zastał ją w pokoju samą, „ale wiemy, że przychodzili tam mężczyźni – zanotował. – Na początku odmawiała wyjścia z łóżka i pójścia na posterunek, mówiąc, że nie chce”<sup>101</sup>.

Anna była w piątym miesiącu ciąży. Twierdziła, że nie wie, kim jest ojciec dziecka. Ponieważ ciężarnej nie można było osadzić w więzieniu, do czasu narodzin dziecka obowiązywał ją nadzór policyjny, a potem została aresztowana.

Akta zawierają oświadczenie Anny złożone w ramach ankiety o „genetycznej historii” rodziny. Nie знаła swojego ojca. Gdy miała sześć lat, zmarła jej matka. „Do ósmego roku życia przebywałam w sierocińcu. Trafiłam do domu, gdzie nauczyłam się pracować przy rodzinie jako pomoc domowa, ale płacili tak marnie, że poszłam do fabryki”. Ale nawet tam zarabiała tylko 20 marek na tydzień, dlatego zaczęła pracować jako prostytutka. Raport policyjny zawierał informację, że Anna pochodziła z „genetycznie bezwartościowej” rodziny i wykazywała się *widerspenstiges freches Benehmen* – samowolnym, zuchwałym zachowaniem.

Anna powiedziała policji, że chciała kontynuować pracę prostytutki do porodu. „Znajdę pracę dla dobra dziecka. Wiem, że policja mnie obserwuje. Jeśli zrobię coś złego, zabiorą mnie do KZ”. W ciąży zachorowała i zwróciła się o pomoc do ojca dziecka. „Ale on był żonaty i miał rodzinę”. Kiedy urodził się chłopczyk – Bodo – zabrali go do sierocińca w Kolonii. Niedługo potem Annę wywieziono do Ravensbrück.

W teczce Anny znajduje się również telegram od władz w Ravensbrück do Gestapo z Kolonii z informacją, że 28 grudnia 1944 roku o 16.00 Anna zmarła na gruźlicę. Gruźlica z całą pewnością panowała w obozie, ale w 1944 roku często podawano taki powód śmierci, aby zatuszować morderstwo. Gestapo z Kolonii dostało standardowy list obozowy, wysyłany w takich przypadkach: „Proszę poinformować rodzinę o jej śmierci. Nie mogą zobaczyć ciała i nie dostaną prochów ze względów higienicznych”. Gestapo z Kolonii odpisało do KZ Ravensbrück, że jedynym członkiem rodziny Anny jest jej syn Bodo, wówczas trzyletni. „Dziecko dziedziczy wszystko. Obecnie mieszka w sierocińcu. Proszę przesłać mu jej dobytek przez Wydział do spraw Młodocianych w Kolonii”.

Z ruin udało się też odgrzebać historię życia Otilie Gorres. Otilie przebywała w ośrodku opiekuńczym od drugiego roku życia. Nie pracowała w chwili, gdy ją aresztowano, i „całymi dniami piła w barach”, twierdził przesłuchujący gestapowiec, który uznał rodzinę Otilie za „genetycznie upośledzoną”. Przedmioty odebrane jej podczas przyjęcia do obozu – broszka i grzebień –

trafiły do magazynu, twierdziła notatka. Ottilie zginęła w Ravensbrück<sup>102</sup>.

Z akt wygląda o wiele więcej kobiecych twarzy, wszystkie opowiadają podobne historie. Elisabeth Fassbender wychowała się w sierocińcu w Kolonii i została aresztowana za kradzież płaszcza. Również zmarła w Ravensbrück.

Od początku aspołeczne w obozie stanowiły około jednej trzeciej całkowitej liczby więźniarek i przez pierwsze lata prostytutki, bezdomne i „unikające pracy” ciągle napływały przez obozowe bramy. Przeludnienie w blokach aspołecznych szybko rosło, robił się bałagan, a potem nastąpił brud i choroby.

Nienawykłe do kierowania się zasadami aspołeczne częściej niż inne dawały się przyłapać na drobnych uchybieniach, takich jak niewłaściwe pościelenie łóżka, za co czekało je bicie na kozle lub blok karny, skąd wracały w jeszcze gorszym stanie. Z zeznania Berthy Teege wynika, że część politycznych blokowych oraz dozorczyń chętniej składała raporty o wykroczeniach aspołecznych.

Bertha skarży się, że w żaden sposób nie mogła pomóc tym kobietom, ponieważ zawsze „walczyły, kombinowały i leniły się”, a także nie chciały podporządkować się regułom. Teraz kobiety wysyłano do bloku karnego nawet za skrócenie sukienki, wyskubanie brwi albo podcięcie włosów, zauważyła. „Dziwne to bardzo, ale aspołeczne robiły takie rzeczy z próżności... w większości lesbijki”. Pewna młoda dziewczyna trafiła do bloku karnego za lenistwo. „Rozchyliła przede mną suknię i pokazała mi piersi – wyżarte przez mróz i robactwo. Następnego dnia rano już nie żyła”.

Po napadzie na magazyn kantyny SS winą obarczono aspołeczne i wszystkie musiały stać przez wiele godzin bez jedzenia, podczas gdy przeszukiwano blok, „padały więc jak muchy”. Rewizja nic nie wykazała. „Nie znaleziono nic oprócz żalonych sekretnych wiadomości i liścików miłosnych aspołecznych”.

Nowe polityczne blokowe najbardziej uderzył nie bałagan w blokach aspołecznych, ale lesbijstwo szerzące się w ścisłości stłoczonych ciał. Nanda Herbermann nie ma wątpliwości, że lesbijski seks najczęściej dotyczył bloków aspołecznych. Obserwowała te kobiety w zdumieniu i modliła się za „zgubione dusze”. „Robiły ze sobą najbardziej niemoralne rzeczy”.

Tłumaczyła ten fakt tym, że więźniarki te były tak „niemoralne”, że „jedyne, co im zostało, to seksualność”. Nie było tu żadnych mężczyzn. Esesmani

piętnowali więźniarki, więc kontakty seksualne z nimi oznaczały dymisję. Jedynymi mężczyznami widocznymi w obozie w początkach jego istnienia byli więźniowie sprowadzeni z Sachsenhausen i Dachau do budowy nowych bloków. Męska siła robocza była tak potrzebna, że latem 1942 roku zainstalowano więźniów we własnych barakach i pojawił się mały męski obóz na tyłach kobiecego. Jednak ten męski obóz znajdował się za murem i otoczono go drutem kolczastym; kontakty seksualne były w zasadzie wykluczone, chociaż się zdarzały<sup>103</sup>.

Lesbijstwo przyjmowało różne formy. Niektóre z więźniarek nie ukrywały się ze swoimi preferencjami. Chociaż kobiecy homoseksualizm nie stanowił powodu do aresztowania, kilka więźniarek uzyskało w aktach adnotację *lesbisch* i nosiło białe trójkąty. Wiele zdeklarowanych lesbijek nie próbowało nawet ukrywać swojej orientacji, niektóre przybierały nawet męskie imiona – Max, Charlie, Jules – i czasem polowały na kobiety, które nie były lesbijkami, ale stanowiły łatwą zdobycz. Inne kobiety oferowały seks za jedzenie. Grete знаła lesbijską „ prostytutkę”, Gerde; „ więźniarki zносиły jej swoje racje margaryny i kiełbasy”.

Jednak zgodnie z obserwacjami Nandy wiele kobiet uprawiało seks z samotności. Niektóre z tych „ zgubionych dusz” – Gisela, Freda i Thea – szukały nawet uczucia u samej Nandy. Zarzucały jej ramiona na szyję, „ szarpał nimi ból z powodu zmarnowanego życia”. Jedna kobieta umarła w ramionach Nandy; „ zjadła ją choroba”. Thea była chora i nocami prześladowała blok, strasząc śpiące kobiety. „ Thea – wspominała Nanda – ty już sama nie wiesz, co robisz”.

Pewnej nocy spałam na pryczy, a ty pobiłaś mnie pięściami. Stałaś tam owinięta kocami. Chciałam cię powstrzymać, ale ruszyłaś naprzód, wyskoczyłaś przez okno i pobiegnęłaś w noc, a kilka z nas za tobą, zanim wreszcie udało nam się cię złapać. Była mroźna zimowa noc. Przyszli esesmani i wsadzili Theę w kaftan. Przyszli z psami. Musiałam iść z tobą do bloku karnego, gdzie na moich oczach założyli ci kaftan. I nie wyszłaś już żywa z domu śmierci.

Käthe Datz, „ unikająca pracy”, przetrwała samotność w bloku aspołecznych częściowo dzięki temu, że miała przyjaciółkę, Helgę. Kobiety były razem, kiedy je golono. „ Po wyjściu spod prysznic ledwo ją poznałam. Mówi: « Hej, to ja ». « To naprawdę ty? », pytam”. Käthe przemyciła małe grzebyki i kiedy włosy zaczęły jej odrastać, czesała się nim, usuwając przy okazji gnidy.

Mogli mi zabrać wszystko, oprócz mojego małego grzebyka. Czesalam się codziennie. Widać było czerwone ślady, i wykańczało to ludzi, którzy nie mogli znieść już drapania przez cały czas. Nie dawali nam żadnej maści. Nie można było iść do lekarza z wszawicą. Dostawały więc egzemy. Oprócz mnie. Ja poradziłam sobie z problemem wszy. Inne zaczęły się poddawać. Siedziały w kącie. Rano wydawano nam kawę – wodę z czymś. Wiele kobiet nie dostawało nawet tego. Kiedy widziano, że są niemal wycieńczone, nie dawano im nic więcej. Czekali, aż umrą, a potem je zabierali.

Aspołeczne, które szukały pociechy w seksie, najwyraźniej nie potrafiły oddawać się miłości po cichu. Inne więźniarki często mówiły o trzęsących się, a nawet załamujących się nocą pryczach. A ponieważ lesbijstwo w obozie było przestępstwem (choć poza obozem nie), przyłapanie trafiały do bloku karnego, gdzie, jak to ujęła Bertha Teege, „odchylenia seksualne wymykały się spod kontroli”.

Erika Buchmann, od 1942 roku blokowa bloku karnego, powiedziała, że uprawianie miłości w bloku karnym odbywało się czasem „bezwstydnie i bez skrępowania”, ale pary szukały też prywatności. „Jeśli któraś musiała nocą skorzystać z toalety, musiała stać i czekać, ponieważ pary zamykały się w małych kabinach”.

Grete Buber-Neumann również szokował lesbijski seks, ale zachowywała większe opanowanie od innych, być może dlatego, że w gułagu otworzyły się jej oczy na pewne sprawy. Według Grete prostytutkom wiodło się tam o wiele lepiej, dlatego że w gułagu przebywali również mężczyźni, więc mogły nadal „uprawiać swój zawód”. Tutaj, w Ravensbrück, prostytutki „nawykłe do czuwania w nocy i nieregularnego funkcjonowania obozowa dyscyplina łamała i odczuwiała”.

Bardziej szokujące niż seks było dla Grete to, że kobiety ciągle na siebie donosiły. „Jednego dnia przysięgały sobie dożgonną przyjaźń, a następnego kłóciły się i stawały wrogami. Cały dzień kobiety oskarżały się nawzajem i obrzucały najgorszymi wyzwiskami. Najdotkliwszą obelgą dla ich zawodowego honoru stanowiło oskarżenie, że były tanie. «Patrzcie, kto to mówi – zaczynało się zwykle. – Dawala pijakom w bramie za markę od numerka»”.

A jednak, podobnie jak w przypadku Nandy, krytycyzm Grete maskował również jej sympatię do tych kobiet. Być może wynikało to z przyjaźni z Else Krug.

Kiedy latem 1940 roku Grete po raz pierwszy weszła do bloku 2. i próbowała wydać zupę, spanikowała w obliczu groźnego tłumu. Ale potem, ku jej zdumieniu, z tłumu wystąpiła jakaś więźniarka i zaprowadziła porządek. „Potężna kobieta z żywymi brązowymi oczami, stanowczym podbródkiem i głosem jak sierżant sztabowy”, tak Grete opisała swą wybawicielkę, która nagle wskoczyła na stołek i wrzasnęła: „Jeśli natychmiast nie ustawicie się w kolejce jak należy i nie dacie nowej blokowej spokoju, kotły wrócą do kuchni i żadna nic nie dostanie!”. Jej słowa zadziały jak zakłęcie, stwierdziła Grete. „Po tym nie miałam już żadnych problemów – przez jakiś czas”.

Grete była tak wdzięczna tamtej kobiecie za pomoc, że wspomniała o niej w pamiętniku. Nazywała się Else Krug, a ponieważ pomogła Grete, a później zaprzyjaźniła z nią, Else Krug jako jedna z nielicznych prostytutek w Ravensbrück zyskała nazwisko.

Grete, jako nowo przybyła, nie wiedziała, że Else była już znaną postacią w obozie; przyjechała z pierwszym transportem z Lichtenburga i jako jedna z pierwszych więźniarek z czarnym „winklem” dostała funkcję kapo i prowadziła drużynę pracującą w kuchennej piwnicy z zapasami – zachowała stanowisko po spisku komunistek. Zatem jako więźniarka o pewnej pozycji w bloku Else podczas posiłków zajmowała miejsce u szczytu stołu w pomieszczeniu dziennym, obok blokowej. To właśnie tu miały z Grete szansę porozmawiać i lepiej się poznać.

Else często nawiązywała do swojej przeszłości, opowiadała o życiu prostytutki w Düsseldorfie, zawsze z błyskiem w oku. Specjalizowała się w sadomasochizmie, o czym opowiadała w najdokładniejszych szczegółach. Czasem zwracała się do Grete: „Co powiesz na małe studia ludzkiej natury?” – i zaczynała wspominać. „Do tej pory uważałam się za dość oświeconą osobę – wspominała Grete – i czytałam nawet literaturę fachową na ten temat, ale opowieści Else o tym, z jakimi życzeniami się spotykała, wykonując swój zawód, i jak sobie z nimi radziła, sprawiały, że włosy stawały mi dęba”.

Mimo wszystko Grete podziwiała Else. „Opowiadała o swoich przeżyciach w prosty, rzeczowy sposób, z zawodową dumą w głosie. Wiedziała, kim jest, i starała się ze wszystkich sił być dobra w tym, co robi”. Else nigdy nie „marudziła” ani nie twierdziła, że po wyjściu na wolność się zmieni. Zamiast tego rozmyślała: „Jeszcze parę lat w obozie i będzie mi trudno zarobić 300 marek w noc. Ach, będę musiała wymyślić coś specjalnego, żeby dać radę”.

Grete dowiedziała się również, że Else bardzo dobrze radzi sobie z zarządzaniem komandem kuchennym i jest z tego dumna. Praca w tej drużynie cieszyła się wielkim powodzeniem, gdyż stwarzała szansę przemycenia kilku marchewek, ziemniaków i brukwi, a czasem konserwy lub dżemu – ale też wiązało się z nią wielkie ryzyko przyłapania lub donosu ze strony czyhających na stanowisko więźniarek politycznych. Prawdopodobnie głównym powodem, dla którego Else Krug zachowała stanowisko po spisku, mimo oczerniającej kampanii Hanny Sturm, było to, że potrafiła utrzymać w ryzach komando – wyłącznie aspołeczne – i zapewnić sprawiedliwy podział łupów. Else stała się matką dla swojej kuchennej drużyny, zyskała sobie jej lojalność, zauważyła Grete.

Raz w miesiącu, jak wszystkie więźniarki, aspołeczne mogły napisać do bliskich, a do zadań blokowych należało czytanie wszystkich listów. Te do matek najbardziej chwytaly za serce. Więźniarka pisała: „Kochana mamo, wiem, że przyniosłam ci ogromny wstyd, ale napisz do mnie, chociaż słowo. Taka jestem nieszczęśliwa. Kiedy stąd wyjdę, zacznę wszystko od nowa; naprawdę zacznę. Wyślij mi jakiś znak”. Czasem w sobotę, kiedy przychodziła poczta, niespodziewanie któraś z nich dostawała odpowiedź, „gdy serce matki drgnęło, a wtedy łzy płynęły strumieniami; ale w niedzielę zapominały o wyrzutach sumienia i znowu rzucały bluzgami”.

Jednak w większości przypadków kobiety nie dostawały żadnej odpowiedzi – albo dlatego, że listy nie dotarły do adresatów, albo że rodzina się ich wyrzekła. Niektóre więźniarki w ogóle nie pisały, ponieważ dawno temu straciły kontakt z rodzinami i nigdy nie miały odwagi powiedzieć im, co się z nimi dzieje, tak jak prawdopodobnie stało się w przypadku Else. Z innych źródeł wiadomo, że Lina Krug, matka Else, nie miała pojęcia, gdzie przebywa jej córka.

Rodziny aspołecznych więźniarek same nie miały szans wytropić kobiet. Zazwyczaj nie miały one stałego adresu, a zresztą ich krewni sami często siedzieli za kratkami. Po wojnie, jeśli zaginione kobiety nie wróciły, takie rodziny raczej milczały. Krewni mogli się domyślać, dokąd trafiły drogie im osoby, ale nie widzieli celu, żeby to nagłośnić; rodziny nie otrzymały zatem ani pomocy, ani rekompensaty.

Jednak matka Else nagłośniła sprawę. Po wojnie zgłosiła do niemieckiej organizacji pomagającej ofiarom wojny, komunistycznej Vereinigung der Verfolgten des Naziregimes (VVN, Organizacja na rzecz Ofiar Faszyzmu), że



szuka informacji o córce. Lina Krug najwyraźniej nie wiedziała, że jej córka pracowała jako prostytutka ani też dlaczego została aresztowana. Po prostu zwróciła się do VVN o jakiegokolwiek dane. List ujawnia też pewne szczegóły pochodzenia Else, przedstawia historię zupełnie inną od stereotypowych losów, jakie można przeczytać w nazistowskich aktach policyjnych.

List podaje, że Elisabeth (Else) urodziła się 3 marca 1900 roku w Merzig w Zagłębiu Saary. Jej rodzina mieszkała w pobliskim miasteczku Neudorf-Altenkessel. Ojciec Else, Jacob Krug, był mistrzem krawieckim, szanowanym w społeczności<sup>104</sup>.

W jakimś momencie w latach dwudziestych dziewczyna wyprowadziła się z domu i zamieszkała w Düsseldorfie. Lina nie wyjaśnia, kiedy i dlaczego to się stało, ale z innych dokumentów wiadomo, że Jacob Krug zmarł młodo, więc prawdopodobnie Else wyruszyła szukać pracy, gdy rodzina straciła głównego żywiciela. W latach dwudziestych bezrobotne, dorastające lub młode kobiety tłumnie udawały się do miast, by pracować w bogatych rodzinach jako pomoce domowe.

Nie wiadomo, kiedy Else zajęła się prostytutką, ale prawdopodobnie, tak jak wiele innych dziewcząt, po prostu potrzebowała pieniędzy. Nie mogła powiedzieć matce, w jaki sposób zarabia, więc zapewne dlatego ich kontakt się urwał. W jakim momencie została prostytutką trudno ustalić, ale dzięki zachowanym nazistowskim dokumentom wiemy, że w 1938 roku pracowała w burdelu w Düsseldorfie, pod adresem Corneliusstrasse 10, czyli w samym sercu miejskiej dzielnicy czerwonych latarni.

Podobnie jak akta osobowe prostytutek, spod ruin niemieckich miast wydobyto również liczne rejestry policyjne, a wśród nich rejestr dzienny z 1938 roku policji z Düsseldorfu. Mocno sfatygowany tom odnotowuje każdy nalot na burdele w mieście przeprowadzony w tym roku. Naloty odbywały się co miesiąc i za każdym razem w dzienniku odnotowywano około 25 stałych zatrzymanych, po czym odsyłano je do domu.

Raz po raz pojawiają się te same adresy i te same nazwiska. Burdel przy Corneliusstrasse miał częste naloty. Niektóre prostytutki wciągnęli do interesu mężowie, którzy często byli alfonsami. Większość miała przy sobie rzeczy osobiste – kilka fenigów i kapelusz, które wykładały na biurko i kwitowały podczas przyjmowania do aresztu. Jedną z osób regularnie zatrzymywanych przy Corneliusstrasse była Else Krug, która miała przy sobie torebkę.

Pewnej nocy, 30 lipca 1938 roku, na burdel przy Corneliusstrasse 10 odbył się kolejny nalot, ale tym razem podejrzane nie zostały zwyczajowo odesłane do domu. Na podstawie nowego prawa Himmlera „o społecznych” trafiły do aresztu w ramach jednego z pierwszych masowych aresztowań tego rodzaju, co oznaczało, że rychło wyjadą do Ravensbrück. Przed opuszczeniem komisariatu Else Krug pokwitowała odbiór torebki, jak zwykle stanowczym, wyraźnym charakterem pisma.

W drugim roku pobytu w Ravensbrück Else nie miała kontaktu z matką już od co najmniej czterech lat, może nawet więcej. Potem straciła wszelką szansę napisania do domu, nawet jeśli chciała. Jedna po drugiej – od przewrotu czerwonych „łat” – społeczne kapo traciły funkcje, a kiedy ktoś zgłosił akcje przemytnicze Else, ona również straciła stanowisko w kuchennej piwnicy. Odsiedziała wyrok w bloku karnym, dźwigała za karę cegły i rozładowywała barki z węglem, ale to jej nie złamało, twierdzi Grete, której czasem udawało się zamienić słowo z przyjaciółką przez drut kolczasty bloku karnego.

„Grete – powiedziała jej kiedyś Else – oni myślą, że mogą mnie złamać pracą, ale myślą się; jestem twarda, dam sobie radę lepiej niż ktokolwiek z nich”.

Okrucieństwo w bloku karnym przybierało teraz najgorsze formy. Nowa dozorczyń, Gertrud Schreiter, córka piekarza z Kolonii, biła skórzanym pasem. „Stała się potworem”, mówiły kobiety, a więźniarki powiedziały później, że kobiety z bloku karnego łatwo było potem rozpoznać, ponieważ okrucieństwo „zmieniało je w bestie”: „z ich twarzy i postawy zniknęły ostatnie resztki łagodności”.

Pod koniec 1940 roku Koegel postanowił wykorzystać swoje bestie i rozkazał im przeprowadzić karne bicie na koźle. Teraz chłostę stosowano już tak często, że Dorothea Binz i Maria Mandl były przepracowane i potrzebowały pomocy. Gdyby się zgodziły, kobiety z bloku karnego dostałyby dodatkowe porcje jedzenia i wróciłyby do swoich bloków. Nie brakowało ochotniczek. Nie brakowało też chętnych do wymierzenia kary cielesnej akrobatce Katharinie Waitz, która po raz trzeci próbowała uciec.

Po dwóch pierwszych próbach Katharina spędziła wiele miesięcy w bloku karnym, po czym w 1941 roku znowu spróbowała się wydostać. Tym razem ucieczka była tak spektakularna, że więźniarki opowiadały o niej jeszcze długo

potem. Pod osłoną ciemności, nie alarmując strażników i psów, wymknęła się z bloku karnego i przedostała do esesmańskiej kantyny. Weszła na dach budynku i używając poduszki i koca, aby nie dotknąć drutów pod napięciem, wspięła się na ogrodzenie i przeskoczyła na drugą stronę. Wykorzystując umiejętność chodzenia po linie, pokonała pięć rzędów drutu kolczastego i wdrapała się na czterometrowy mur, również używając poduszki i koca, by dostać się na szczyt. Stamtąd wykonała skok na wolność, ale rano strażnicy znaleźli koc w drucie kolczastym i poduszkę na dachu kantyny.

Więźniarki, które zapamiętały szczegóły ucieczki Kathariny, wspominały również sprowadzenie jej z powrotem. Podczas gdy strażnicy jej szukali, cały obóz odbył stójkę, ale najbardziej ucierpiał blok karny, z którego Katharina uciekła: kobiety musiały stać bez jedzenia do chwili, gdy uciekiniarka zostanie schwyta.

Trwało to trzy dni i noce. Czwartego ranka znaleźli ją w Fürstenbergu. Polujące na nią dozorcynie z psami otoczyły akrobatkę, za nimi trzymał się Koegel. Winną postawiono przed jego oblicze. Była cała pogryziona, pokryta krwią i błotem.

Doris Maase, wyglądająca przez okno rewiru, widziała, jak Koegel zaprowadził Katharinę do bloku karnego i powiedział oszalałym z głodu i wściekłości więźniarkom: „Macie ją. Zróbcie z nią, co chcecie”<sup>105</sup>. Inna więźniarka słyszała, jak mówił: „Dajcie ją bestiom, niech się bestie z nią zabawią”, a gdy przekazał Katharinę w ręce kobiet z bloku karnego, „najgorsze z nich zawlokły ją do łaźni, wyzywały, po czym pobiły na śmierć nogami od stołków”. Jej ciało „musiało wyglądać okropnie”, stwierdziła Doris Maase, ponieważ po raz pierwszy w historii obozu zwłoki odniósł do obozowego lekarza, doktora Sonntaga, personel medyczny, nie więźniarki.

Niedługo po śmierci Kathariny Koegel znowu urządził zbiorowe bicie, również tym razem dla boku karnego. Badaczki Pisma Świętego, dbające o króliki w klatkach, odmówiły zbierania wełny, ponieważ miały być z niej zrobione żołnierskie płaszcze, więc była to praca na rzecz wysiłku wojennego. Koegel wpadł w szal i skazał je na chłostę, ale do tylu skazanych potrzebował więcej rąk, więc zaapelował o ochotniczki z bloku karnego. Ponownie zaproponowano dodatki motywacyjne i ochotniczki się znalazły, ale Koegel potrzebował ich więcej.

Być może z powodu mocnej budowy ciała albo ze względu na jej wyniosłą

dumę Koegel wybrał sobie Else Krug na wykonującą karę. Tak jak innym zaproponowano jej zwolnienie z bloku karnego, lecz Else odmówiła. Koegel wezwał Else do gabinetu i Grete usłyszała, co wydarzyło się potem.

Koegel nie przywykł do sprzeciwu więźniarek, więc wpadł w furję, krzyczał na Else i kazał jej słuchać rozkazu.

– Nie, panie komendancie – powiedziała Else. – Nie uderzę innej więźniarki.

– Co, ty brudna dziwko? Myślisz, że możesz tu sobie grymasić? Traktuję to jako odmowę wykonania rozkazu.

Else drgnęła, lecz trwała w ponurej determinacji.

– Wyprowadzić tę dziwkę – warknął Koegel. – Popamiętasz mnie jeszcze, zobaczysz.

[98](#) Herbermann, *The Blessed Abyss*.

[99](#) Zeznanie Teege, „Hinter Gitter und Stacheldraht”, ARa 647.

[100](#) Cyt. za: Schikorra, „...ist als Asoziale anzusehen”.

[101](#) LAV NRW R BR 2034/83.

[102](#) Historia opisana w aktach w Landesarchiv NRW, podobnie jak losy Elisabeth Fassbender i wielu innych „aspołecznych”. Zob. też: Schikorra, *Kontinuitäten*.

[103](#) Maria Bielicka, polska więźniarka, twierdziła, że prostytutki z bloków aspołecznych czasem miały kontakty z mężczyznami z podobozu męskiego. „Wiedziały, jak to zrobić. Jedną przyłapali, trafiła do bunkra i dostała 25 batów”.

[104](#) Korespondencja z akt VVN, BA.

[105](#) Maase, WO 309/416, i wzmianki w zeznaniach wielu więźniarek.

## Rozdział 7

### Doktor Sonntag<sup>106</sup>

Olga, tak jak wszystkie więźniarki, żyła w ciągłym niemal strachu przed zimą. Tylko w pierwszych tygodniach wiosny przestawała dręczyć się myślami o zimie, ale jej listy pokazują, że już latem zaczynała nękać ją wizja pierwszych śniegów. „Życie latem jest dla mnie o wiele łatwiejsze i mam nadzieję, że nie spędzę tu kolejnej zimy”, pisała do Leocadii i Ligii w czerwcu 1940 roku.

Latem, gdy żyło się łatwiej, pojawiały się u niej przyjemniejsze myśli o Anicie. „Pozwólcie jej na dużo ruchu. Czy umiejętnościami, charakterem, przypomina mnie lub swojego ojca?”

Pojawiła się też nadzieja na uwolnienie, o czym świadczy wzmianka o przelewie pieniędzy. Optymizm ten mogły pobudzić niedawne doniesienia o uwolnieniu Żydówek Idy Hirschkron i Marianne Wachstein.

Jednak wkrótce po tym liście Olga trafiła do bunkra za udział w przedstawieniu w bloku 11. Brak listów od lipca do listopada 1940 roku sugeruje, że ona i pięć innych winowajczyń siedziały zamknięte aż do zimy, a ta również miała być ciężka: dozorcynie znajdowały zamrożone zwłoki na podłodze w celach bunkra. Listopadowy list Olgi do Carlosa – ten nadal przebywał w brazylijskim więzieniu – zawiera aluzje o uwięzieniu. „Oto kilka zdań jako znak życia dla ciebie [...] jeśli ktoś przetrwał tyle czasu, to powinien przetrwać jeszcze trochę”.

Gdy Olga wyszła z bunkra, odkryła wiele zmian. Trwała budowa warsztatów. W obozie przebywało tysiąc więźniarek więcej, dobudowano dwa nowe baraki. Polki stanowiły największą grupę i zyskały najmocniejszą pozycję.

Zdjęta z funkcji blokowej Olga trafiła do drużyny wyładowującej cegły. Dzień w dzień jeziorem Schwedt przyływały barki wyładowane nowymi

materiałami budowlanymi. Kobiety tworzyły ludzki łańcuch i przekazywały sobie cegły z rąk do rąk, dopóki cały ładunek nie został przeniesiony. Olga miała stwardniałe ręce, ale delikatne dłonie innych były pocięte do krwi, potem dochodziły przemarznięcia i odmrożenia. Niektóre mogły zdobyć papierowe bandażę lub odrobinę jodyny z rewiru, ale nie Żydówki. Naczelnym lekarzem Walter Sonntag odmawiał leczenia Żydówek.

W grudniu Olga znów dostała wiadomość od Carlosa, a Leocadia dołączyła zdjęcie Anity. „Moja słodka kruszynka zupełnie już nie przypomina malucha, jakiego znałam – odpisała. – Śledzę wydarzenia w gazetach, gdy tylko mam okazję”. Nakłaniała Carlosa, by nie tracił nadziei. „Jeśli chodzi o mnie, przygotowuję się na przetrwanie zimy”.

Fakt, że Olga miała dostęp do gazet, świadczył o tym, że znów nawiązała kontakt z koleżankami z innych bloków. Wspomniane wydarzenia to bez wątpienia atak Hitlera na Francję, Belgię i Holandię. W „Völkischer Beobachter” mogła czytać propagandowe artykuły, że Wielka Brytania lada moment zacznie błagać o pokój. Hitler zawarł nawet pakt z Japonią i Włochami.

Ale jak długo mógł przetrwać najważniejszy pakt Hitlera – ze Stalinem? Dla Olgi i jej towarzyszek była to najistotniejsza kwestia ze wszystkich. Kobiety rozmawiały między sobą, że cel Stalina wkrótce stanie się jasny. Olga zaktualizowała swój mały atlas, w którym zaznaczała zmiany przebiegu frontu, i używając skrawków papieru, zaczęła tworzyć własną miniaturową obozową gazetę.

W kalendarzu Reichsführera pod datą 14 stycznia 1941 roku widnieje: „Himmler wyjechał z Berlina o 10.30 i spędził dzień i noc w Ravensbrück”<sup>107</sup>. Rok po tej wizycie Himmler ponownie przemierzał zamrażające meklemburskie lasy, tym razem w obozie spędzał noc. Najprawdopodobniej nocował nie w samym Ravensbrück, ale 8 kilometrów dalej, w małej leśnej rezydencji Brückenthin, którą kupił i gdzie zainstalował swą kochankę, Hedwig Potthast. Dwudziestosiemioletka była jego sekretarką od 1936 roku, a kiedy pogorszyły się relacje Himmlera z żoną Margą, para została kochankami. Nazywał ją „Häschen-Bunny” (Zajaczek)<sup>108</sup>.

Fakt, że Himmler utrzymywał kochankę, pozostawał w całkowitej zgodzie z jego poglądami na relacje pozamałżeńskie. To sam Himmler w 1937 roku

zapropował koncepcję domów *Lebensborn* („źródło życia”) – instytucji, gdzie oficerowie SS mogliby prokreować poza małżeństwem z wybranymi Aryjkami, aby zapewniać stałą „produkcję” idealnie aryjskich dzieci. W 1940 roku wydał specjalny rozkaz prokreacyjny, w którym nakazywał niemieckim żołnierzom podejmować stosunki pozamałżeńskie, aby produkować jak najwięcej dzieci i zasilać pulę genową. Nie ma potrzeby zachowywać tajemnicy, twierdził.

Jego własna prokreacja była zupełnie inną sprawą. Być może przez wzgląd na Häschen – wydaje się, że darzył ją prawdziwym uczuciem – ich spotkania organizował z pełną dyskrecją, więc na miłosne gniazdo wybrał dom w lesie na skraju tej maleńkiej wsi<sup>109</sup>. Chociaż Brückenthin leżało w odosobnieniu, znajdowało się w wygodnym miejscu, zaledwie 8 kilometrów od Ravensbrück – Himmler zawsze mógł połączyć wizytę u Häschen z inspekcją obozu jako przykrywką. Po drugiej stronie jeziora znajdowała się wieś Comthurey, gdzie gospodarstwo miał zaprzyjaźniony „hodowca drobiu”, Oswald Pohl; żona Pohla obiecała zatroszczyć się o Häschen. Osiem kilometrów dalej leżała wieś Hohenlychen, gdzie mieściła się słynna klinika SS. Często można tam było spotkać najwyższych oficerów i nazistowskich polityków, leczonych przez profesora Karla Gebhardta, który bardziej niż chętnie pomagał staremu przyjacielowi Himmlerowi, opiekując się jego ukochaną.

Chociaż Himmler myślał głównie o Häschen, styczniowa wizyta w Ravensbrück była dla niego ważna. Miał do omówienia ważne obozowe sprawy, a przede wszystkim chciał się spotkać z Walterem Sonntagiem, naczelnym lekarzem SS. Więźniarki oczyściły ze śniegu nawet ozdobny ogródek pod gabinetem doktora Sonntaga; rewir został wyszorowany od fundamentów po dach, a cały obóz pachniał mokrym drewnem.

Od ostatniej wizyty Himmlera zmieniły się priorytety. Polska została pokonana i przechodziła zmiany, aby stać się obiecaną przez Führera niemiecką utopią. Dla przetrzymywania polskich przeciwników powstał nowy obóz koncentracyjny w Oświęcimiu – Auschwitz. A dwa miliony Żydów wygnano z domów i osadzono w gettach lub w rezerwach na obszarze okupowanej Polski, w tak zwanym Generalnym Gubernatorstwie.

Jak dotąd nie padła jeszcze oficjalna propozycja – poza prywatnymi rozważaniami – co dalej zrobić z Żydami. Ponieważ Hitler planował atak na Związek Radziecki – całe ogromne terytorium rosyjskie miało przejść w ręce

niemieckie – jednym z pomysłów było wywiezienie Żydów na kraniec kontynentu i pozostawienie ich tam. Jednak takie rozwiązanie stwarzało pewne problemy: należało w jakiś sposób sprawić, żeby Żydzi stali się bezpłodni, inaczej nigdy nie udałoby się ich zlikwidować. Nic więc dziwnego, że na początku 1941 roku w głowie Himmlera kiełkowała myśl o masowej sterylizacji. Toczył dyskusje z wybranymi lekarzami, czy eksperymenty w tym kierunku można przeprowadzić tutaj, w Ravensbrück.

W obliczu perspektywy otwarcia nowego frontu na Wschodzie Himmler myślał również o tym, jak Ravensbrück i inne obozy mogą lepiej wykorzystać swoje możliwości dla wsparcia wysiłku wojennego. W początkach funkcjonowania obozu ciężka praca stosowana była głównie jako metoda torturowania i zaprowadzania dyscypliny, ale wyglądało na to, że wojna potrwa dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał, więc pracą więźniów należało zarządzać bardziej użytecznie.

Himmler rozmyślał też intensywnie nad powiazaną kwestią, czyli co zrobić z więźniami, którzy nie są w stanie pracować. Niedawno minął rok od wprowadzenia w życie programu „eutanzji” T4, a w tym czasie 35 tysięcy niemieckich mężczyzn, kobiet i dzieci uważanych za wrzody na zasobach narodowych zginęło od tlenku węgla pompowanego do komór gazowych ukrytych w niemieckich sanatoriach. W Polsce techniki T4 adaptowano również, aby eliminować psychicznie i fizycznie upośledzonych w specjalnie przystosowanych ruchomych komorach gazowych umieszczonych na ciężarówkach.

Reichsführer nie miał władzy nad programem eutanazji T4, ale konsultowano się z nim podczas jego realizacji. Zaledwie kilka tygodni przed wizytą w Ravensbrück Himmler osobiście interweniował, kiedy wybuchł kryzys w zamku Grafeneck na południowy zachód od Stuttgartu, jednym z ośrodków zagazowywania T4.

W grudniu 1939 roku przekształcono w komorę gazową starą zamkową wozownię i w ciągu 12 miesięcy przywieziono do Grafeneck na śmierć 10 tysięcy psychicznie i fizycznie chorych mężczyzn i kobiet. Jednak pod koniec 1940 roku autobusy należące do „Spółki z o.o. do przewozu inwalidów w interesie publicznym” zaczęły przyciągać uwagę i miejscowy sędzia informował o poważnych niepokojach. „Od kilku tygodni we wsiach położonych w okolicy Grafeneck krążą pogłoski, że w zamku dzieją się złe rzeczy – napisał. – Pacjenci przyjeżdżają, ale potem już ich nie widać, nikt ich



nie odwiedza, a szczególne podejrzania budzi widoczny często dym”<sup>110</sup>.

W listopadzie miejscowa arystokratka i gorliwa nazistka Else von Löwis napisała do szefów partii list z prośbą o przekazanie Hitlerowi, że morderstwa wystawiają na próbę lojalność miejscowej ludności. Przypuszczała, że Führer nic nie wie o zabijaniu, ponieważ nie wyszło żadne sankcjonujące je prawo. „Należy uregulować prawnie władzę nad życiem i śmiercią”, stwierdziła. Morderstwa robią „przerazające wrażenie” na miejscowych ludziach. Ludzie pytają: „Dokąd nas to zaprowadzi i jakie będą tego granice?”<sup>111</sup>.

List Else von Löwis dotarł do Himmlera, który od razu interweniował. Pismo uderzało w czułe miejsce, ponieważ potwierdzało ryzyko prowadzenia masowych morderstw obywateli w pobliżu miejsc zamieszkania zwykłych Niemców, co nie mogło przejść niezauważone.

Himmler nakazał „natychmiastową dezaktywację” Grafeneck, aby uciszyć niepokoje. „W procesie musiał gdzieś nastąpić błąd, skoro wiedza przedostała się do wiadomości publicznej”, stwierdził. Najwyraźniej błędem było to, że fakty wyszły na jaw, a nie samo zabijanie: niedługo po zamknięciu Grafeneck władze uruchomiły w Niemczech nowe ośrodki zagłady, tym razem lepiej zakonspirowane. I rozwijał się nie tylko sam program „eutanzji” T4; Himmler planował też przejście metod gazowania. Nie minęło wiele czasu od epizodu w Grafeneck, gdy napisał do szefa T4, Philippa Bouhlera z kancelarii Hitlera, z pytaniem „czy personel i bazę T4 da się wykorzystać w obozach koncentracyjnych i w jaki sposób?”<sup>112</sup>.

Gdy Himmler wszedł do świeżo wyszorowanego rewiru w Ravensbrück na rozmowę z doktorem Sonntagiem, na własne oczy przekonał się, że rośnie potrzeba zrobienia porządku z „darmozjadami”. Małe oddziały zapełniały blade twarze, a na korytarzu pokotem leżały wycieńczone nagie kobiety czekające na leczenie. Jednak nowe plany związane z gazowaniem były jeszcze prawdopodobnie zbyt nieokreślone – i tajne – aby je omawiać z obozowym lekarzem. Zamiast tego Himmler skupił się podczas rozmowy z doktorem Sonntagiem na pilniejszej ówczasie kwestii – rzeźnicze.

Kilka tygodni wcześniej Himmler poinstruował swojego głównego chirurga Grawitza, aby nakazał Sonntagowi rozpocząć eksperymenty na prostytutkach z Ravensbrück, które pomogą znaleźć sposób na leczenie rzeźączki, i żądał sprawozdań z wyników tych prób<sup>113</sup>. Himmlera od dawna fascynowały eksperymenty medyczne, a wybuch wojny nadał jego zainteresowaniu nowy

cel – zwiększyć średnią długość życia niemieckich żołnierzy. A gdzie lepiej przeprowadzać doświadczenia niż na ludzkich królikach doświadczalnych w obozach koncentracyjnych? W męskim obozie w Sachsenhausen naziści prowadzili na więźniach próby z gazem musztardowym, aby znaleźć sposób na leczenie żołnierzy zatrutych na froncie, a na więźniach w Dachau testowano podawanie powietrza z coraz mniejszą zawartością tlenu, aby sprawdzić, na jakiej wysokości pilot umrze.

Obecność w Ravensbrück zarazonych prostytutek dawała szansę na zbadanie metod leczenia syfilisu i rzeżączki. Himmler zachęcał żołnierzy do korzystania z burdeli na froncie. Regularny seks, twierdził, zwiększy ich motywację do walki, szczególnie jeśli będą chronieni przed chorobami wenerycznymi. Ale teraz rozżłościła go informacja od Sonntaga, że eksperymenty jeszcze nie ruszyły. Grawitz najwyraźniej nie przekazał rozkazu Sonntagowi, ponieważ albo zapomniał, albo sądził, że niedostatecznie wykwalifikowani obozowi lekarze w rodzaju Sonntaga nie podołają zadaniu.

Główną specjalizacją Sonntaga była stomatologia i miał ograniczone kwalifikacje medyczne, ale Himmler miał o nim wysokie mniemanie, ponieważ to on prowadził eksperymenty z gazem musztardowym w Sachsenhausen. Sonntag bez wahania wszczepiał śmiertelne bakterie w skórę zdrowych więźniarek, co wywoływało okropną opuchliznę i nieznośny ból. Reichsführer SS wydał zatem Sonntagowi dyspozycje, by niezwłocznie rozpoczął próby w Ravensbrück.

Doktor Walter Sonntag, wysoki mężczyzna w nieskazitelnym czarnym mundurze z czaszką, symbolem SS Totenkopf, na czapce, prezentował niezły widok, gdy szedł Lagerstrasse do obozowego szpitala, ze szpicrutą wetkniętą w cholewę wysokiego skózanego buta. Więźniarki wspominały jego orli nos, kanciaste rysy i wielkie uszy. Zapamiętały też jego niezwykłą siłę: uderzona przez niego kobieta zawsze padała na ziemię.

Walter Sonntag, syn listonosza, urodził się w 1907 roku w Metz, w ówczesnie niemieckiej, a obecnie francuskiej Lotaryngii. Nacjonalizm wychowującego się w spornym rejonie przygranicznym Sonntaga – Niemcy i Francja rywalizowały o Lotaryngię od wieków – rozkwitał od najwcześniejszych lat życia. Po wybuchu I wojny światowej znane mu miasteczka znów stały się sceną rzezi. Zgodnie z warunkami traktatu

wersalskiego dotyczącymi przesiedlenia Sonntagowie, podobnie jak tysiące innych upokorzonych Niemców, musieli się przenieść i zacząć nowe życie. Ojciec znalazł pracę w gospodarstwie i Walter spędził dzieciństwo na zabawach ze zwierzętami. Po ukończeniu szkoły postanowił poprawić swój los, kształcąc się na dentystę.

Chociaż Sonntag na początku wybrał karierę w stomatologii, później zmienił kierunek na medycynę ogólną, skuszony bez wątpienia wysoką pozycją, jaką lekarze cieszyli się w nowej rasowej wojnie Hitlera. Szybko zapisał się do NSDAP i razem z setkami innych studentów medycyny zaciągnął się do SS. Niemieccy lekarze, którzy zgłosili się do SS, stanowili największy odsetek wśród przedstawicieli wszystkich profesji.

W połowie lat trzydziestych narodowosocjalistyczna etyka rasowych czystek stanowiła rdzeń medycznego programu nauczania. Nazistowscy lekarze mieli leczyć „całą” niemiecką rasę, a nie skupiać się na jednostkach. I dla poprawienia zdrowia publicznego od lekarzy wymagano eliminacji rasowych podludzi lub osobników nieczystych genetycznie, co miało umożliwić oczyszczenie się i rozkwit niemieckiej puli genowej.

W 1939 roku Walter Sonntag rozpoczął pracę doktorską z „medycyny społecznej”, w której porównywał idee Führera z teoriami Spartan i naukowców średniowiecznych, którzy wybiliby trędowatych, gdyby nie powstrzymały ich skrupuły natury religijnej. Wyraził również swoje poglądy na sterylizację: „Reprodukcja genetycznie upośledzonych i marginesu społecznego doprowadzi nieuchronnie do pogorszenia całego narodu. Sterylizacja niepożądanych i eliminacja jak największej ich grupy jest zatem humanitarnym projektem, który zapewni ochronę wartościowszych warstw społeczeństwa”<sup>114</sup>. Wiara katolicka najwyraźniej nie powstrzymywała już Sonntaga, jak również fakt, że jego siostra, Hedwig, chorowała na stwardnienie rozsiane, przewlekłą chorobę autoimmunologiczną, którą uważała za karę boską za małżeństwo z protestantem.

Jedną z anomalii nazistowskiego systemu był fakt, że obozy koncentracyjne w ogóle potrzebowały takiej instytucji, jak szpital. Wszystko, co dotyczyło obozów, wydawało się zaprojektowane w celu szkodzenia zdrowiu więźniów i ostatecznego uśmiercenia ich w ten czy inny sposób, ale na pewno nie leczenia. A jednak, jeśli istniało założenie, że młode więźniarki mają być

wykorzystywane do pracy niewolniczej, leczenie ich z drobnych chorób miało sens. Ponadto nazistów przerażały choroby zakaźne szerzące się wśród stłoczonych, niedożywionych więźniów i bali się, że rozprzestrzenia się one na całą ludność. Dlatego jedną z funkcji szpitali było stworzenie metody zapobiegania zabójczym zarazom.

Kiedy Sonntag zaczął pracować w Ravensbrück, rewir wciąż jeszcze wykazywał podobieństwa do normalnego szpitala. Lecznica mieściła się w zwykłych barakach i miała sześćdziesiąt łóżek dla najciężej chorych. Personel mierzył im temperaturę i wszystkie chore z gorączką poniżej 39 stopni wracały do pracy. Na oddziale znajdowała się w pełni wyposażona sala operacyjna, jak również apteczka, rentgen i laboratorium. Przestrzegano zasad higieny, regularnie zmieniano pościel. Funkcjonowała „przychodnia”, w której teoretycznie każda więźniarka mogła uzyskać poradę lekarza, gdy odstała swoje w kolejce. Dwie lekarki, doktor Jansen i doktor Gerda Weyand, kształciły się w zacnych szkołach medycznych. Pod ich kierunkiem pracowała wykwalifikowana pielęgniarka Lisbeth Krzok, „siostra Lisa”, oraz kilka innych *Schwestern*, które nosiły brązowe mundury związku pielęgniarek Rzeszy.

Jednak nie było nic normalnego w szerokim wachlarzu ran i schorzeń kobiet ustawiających się co rano piątkami pod wejściem do szpitala; uskarżały się one na pogryzienia przez psy, rany cięte od bicia i odmrożenia. Nic normalnego nie było również w sposobie, w jaki siostra Lisa, nazywana w szpitalu „Straszydłem”, wrzeszczała na więźniarki, żeby je uciszyć, zrywała z nich ubrania i biła, gdy stały w kolejce. Doktor Jansen godzinami siedziała nad kubkiem z kawą i plotkowała, aż skończyły się godziny dyżuru i pacjentki odchodziły z kwitkiem. Ale druga lekarka, Gerda Weyand, okazywała więźniarkom więcej cierpliwości, była bardziej ludzka. Pytała je o objawy, badała i nigdy nie biła ani nie wyzywała.

Sama obecność personelu więziarskiego nadawała rewirowi pewną atmosferę normalności. Jak w całym obozie, także i tutaj werbowano więźniarki do pomocy, a z czasem to one prowadziły faktycznie administrację rewiru. Przy stoliku w korytarzu siedziały więźniarki pielęgniarki z bandażami, maściami i lekami. Ze wszystkich sił starały się uporać z tłoczącymi się więźniarkami i ich bąblami, egzemą i ranami. Lekarka więźniarka Doris Maase, która nocowała w szpitalu, reagowała na krzyki jeszcze długo po tym, jak wszyscy sobie poszli.

W archiwum siedziała kobieta z gęstymi rudymi włosami i jasnymi oczami. Za nią na ścianie wisiało zdjęcie słonecznika wycięte z czasopisma, które zostawił lekarz SS. Milena Jesenská, dziennikarka, przyjechała niedawno z Pragi, a kiedyś była kochanką Franza Kafki. Teraz zajmowała się spisywaniem wyników wymazów pobieranych od aspołecznych więźniarek w ramach programu testowego Sonntaga. Była tu też Erika Buchmann, wysoka, niebieskooka blondynka. Dawna sekretarka posła komunistów do Reichstagu pracowała teraz w sekretariacie rewiru i przepisywała na maszynie długie listy chorych dostarczane co rano przez blokowe.

Kobiety te – Maase, Buchmann, Jesenská – musiały zachować czystość, by pracować w szpitalu, więc mieszkały w uprzywilejowanym bloku i mogły zmieniać ubranie częściej niż zwykle więźniarki. Podobnie jak pozostały personel więziński nosiły specjalne opaski na ramieniu – w przypadku pracowników rewiru żółte – co pozwalało im swobodniej poruszać się po obozie. Ta swoboda i możliwość pomagania niektórym więźniarkom pozwalała im poczuć odrobinę normalności. Jednak po przybyciu doktora Sonntaga nic już nie mogło być normalne.

Pierwszego dnia patrzyły, jak szedł wzdłuż kolejki oczekujących kobiet i kopał najsłabsze albo walił szpicrutą, aż płakały z bólu. Jednej kazał się rozebrać i kopnął ją w brzuch. Jednak bardziej niż brutalność przerażał je uśmiešek na jego twarzy.

W to, że Sonntag był sadystą, żadna ze współpracujących z nim w szpitalu więźniarek nigdy nie wątpiła. Najwyższą przyjemność czerpał z wyrywania innym zdrowych zębów. Przychodziła kobieta z bolącym zębem; a on zamiast tego wyrywał jej zupełnie zdrowy trzonowiec. „Ekstrakcje wykonywał bez znieczulenia. W całym szpitalu słychać było przeraźliwe krzyki. Gdy wychodził z gabinetu, biła od niego satysfakcja”, wspominała Erika Buchmann<sup>115</sup>.

Po wojnie Erika w zeznaniach opisywała wszelkie możliwe okrucieństwa popełniane w Ravensbrück, ale żadnego nie zapamiętała tak wyraziście, jak sposobu, w jaki Sonntag potraktował wycieńczoną kobietę, która zimą 1940 roku zgłosiła się do niego z odmrożeniem.

Stał przed kobietą z bambusowym kijem w rękach. Uderzył ją nim w rany wywołane przez odmrożenie. Uderzeniem rozerwał bandaże, które wówczas wykonywano już z papieru. Gmerał końcówką kija w otwartych, krwawiących, zaropiałych ranach. Sprawiało mu to ogromną

przyjemność.

Sonntaga najbardziej cieszyła każda szansa wydania opinii, że kobieta wytrzyma karę cielesną. Do obowiązków obozowego lekarza należała ocena, czy więźniarka skazana na 25 uderzeń na koźle jest dość silna fizycznie, by przeżyć bicie. Regulamin stwierdzał, że kobiety z wysoką temperaturą lub ciężko chore w ogóle nie powinny być bite, lecz Sonntag zawsze wysyłał je na kozioł. Zarządzał przerwę w chłóście tylko w przypadku, gdy kobieta traciła przytomność; wtedy sprawdzał jej puls, a gdy go na powrót wyczuwał, kazał wznowiać wykonywanie kary. Zawsze kiedy wychodził z celi, gdzie odbywało się bicie, był w szczególnie dobrym nastroju.

Nie chodziło tylko o to, że Sonntag lubował się zadawaniem cierpienia więźniarkom; wyraźnie się nimi brzydził. Nienawidził ich, a chwilami zdawało się nawet, że się ich bał; pilnował, żeby pacjentki trzymano od niego z daleka, co tłumaczy dlaczego – o ile w ogóle je badał – robił to kijem. Jednak wśród obrazów sadyzmu przewijały się też inne wspomnienia, pokazujące go jako postać groteskową i śmieszoną. Był rozpustnikiem i złodziejem – wykradał jedzenie z więźniarskich paczek żywnościowych – lubił przechadzać się i pokazywać ze swoim kijem. Często widywano go, jak pijany błąkał się po obozie.

„Pamiętam, jak kobieta zgłosiła się ze złamanym palcem, zmiądzonym podczas wyładunku cegieł, a dokładnie w tym samym momencie ze szpitala wyszedł Sonntag, zataczając się. Był pijany”, opowiadała więźniarka Maria Apfelkammer<sup>116</sup>. Pijany był też innym razem, kiedy jeździł na rowerze wokół stołu operacyjnego. Wybryki Sonntaga drażniły Koegela. Jako główny lekarz Sonntag nie chciał uznać władzy Koegela. Uważał, że komendant jest wulgarny i nieokrzesany, podobnie jak większość jego podwładnych. Szczególnie nienawidził Koegela za to, że odmówił mu upragnionego mieszkania nad jeziorem. Ponieważ Sonntag był kawalerem, Koegel wyznaczył mu wynajęty pokój w Fürstenbergu.

I tak jak Walter Sonntag lubił zadawać ból, nie mógł znieść, gdy inni okazywali życzliwość chorym i cierpiącym. Pewnego dnia przyłapał Verę Mahnke, jak próbowała podać przez drut kolczasty kawałek chleba przyjaciółce, Żydówce, przebywającej w bloku karnym: „Przechodził doktor Sonntag i nie pytając, co robię, zaczął wrzeszczeć: «Ty stara świnió! Ty kupo gówna! Dajemy chlebek Żydówce, co?!» i zaczął mnie bić pięściami. Kopał

mnie i bił, aż zemdlałam”<sup>117</sup>.

Sonntag w szczególności nienawidził Żydów. Z okna gabinetu z obrzydzeniem obserwował, jak pod koniec dnia wracały Żydówki pracujące przy przerzucaniu cegieł, czarne od brudu, mokre od potu, powłóczące nogami w ciężkich drewniakach. Lato nie obchodziło się lepiej niż zima z drużyną przerzucającą cegły. Wszystkie były spalone słońcem, a te, które dopiero niedawno trafiły do obozu, przedstawiały obraz nędzy i rozpacz.

„Twarze, nagie ramiona i nogi miały wściekle czerwone, ręce zwisające wzdłuż boków były otarte i zakrwawione”, wspominała Doris Maase.

Czasem kierująca komandem ceglany zatrzymywała się przy rewirze i prosiła o bandaże, choć wiedziała, że nigdy nie należy tego robić, gdy po okolicy kręcił się Sonntag. Ale nawet jeśli udało się zdobyć bandaże, kobiety nie mogły ich zmieniać, więc po kilku dniach rany ropiały i wdawała się gangrena. Pewnego dnia Erika Buchmann zobaczyła, jak do szpitala wlecze się na czworakach kobieta z tej drużyny. „Widok był przerażający. Bandaże zwisały na niej w strzępach. Ale Sonntag zabronił jej pomóc”.

Innym razem przechodziła Olga Benario. Ręce miała obtarte i zakrwawione, ale zamiast ją zwyzywać i skopać, ku zaskoczeniu wszystkich Sonntag okazał jej współczucie i zaproponował pomoc. Po dwóch latach w obozie Olga nadal wywierała ogromne wrażenie na personelu i innych więźniarkach. Może Sonntag zauważył jej wysoką, smagłą postać na Lagerstrasse, kiedy rozmawiała z Doris Maase. Najwyraźniej w jakimś momencie przyciągnęła jego uwagę: „Sonntag, najgorszy drań, pozwolił jej nosić rękawiczki”, wspominała Maria Wiedmaier<sup>118</sup>.

Sonntag okazywał również zainteresowanie, a czasem nawet niechętny szacunek, niektórym więźniarkom, które pracowały w rewirze. Chociaż Doris Maase była w połowie Żydówką, liczył się z jej medycznym doświadczeniem. „Maase, Maase, gdzie jest Maase?”, wołał, tak jak inni wołali przed nim. Zrobił z Eriki Buchmann swoją osobistą sekretarkę i rzadko spuszczał ją z oka, tak bardzo polegał na jej umiejętnościach. Nie ukrywał też zafascynowania czeską dziennikarką Mileną Jesenską i zawsze próbował zwrócić na siebie jej uwagę. Pewnego dnia zaproponował jej resztki ze swojego śniadania, ale ona odmówiła, nie dziękując<sup>119</sup>. Innego dnia zatrzymał ją w korytarzu i połaskotał pod brodą swą bambusową laską, na co, ku jego zaskoczeniu, Milena wyrwała mu kij i rzuciła na ziemię. Opowiadała później, jak Sonntag patrzył jej



w twarz i widział w niej gniew i nienawiść. Po tym zarzucił swe podchody, ale nadal przymykał oko, kiedy Milena pomagała więźniarkom.

Kobiety, które pracowały dla Sonntaga, z pewnością zyskiwały pewne wpływy, a nawet władzę. Maase mogła przemycać medykamenty. Jesenská czasem podmieniała karty pacjentek z chorobami wenerycznymi, żeby uratować je od skalpela Sonntaga. Buchmann miała możliwość wykreślić chore pacjentki z drużyn roboczych. Ale za tę szansę pomagania więźniarkom płaciły wysoką cenę: przez większość czasu musiały pomagać Sonntagowi. Stały, trzymając strzykawkę, podawały mu narzędzia chirurgiczne, robiły notatki dla Berlina i spisywały listy.

Po wizycie Himmlera w styczniu 1941 roku Sonntag zaczął sporządzać nowe listy. Na początku spisywał kobiety chore na rzeżączkę i syfilis i próbował znaleźć metodę leczenia tych chorób. Nie zachowały się źródła dotyczące sposobów przeprowadzania eksperymentów, ale wszyscy wiedzieli, co się dzieje. Zadaniem Mileny Jesenskiej było przechowywanie rejestru kobiet cierpiących na choroby weneryczne. Za każdym razem gdy przyjeżdżała nowa więźniarka z podejrzeniem infekcji, pobierano od niej próbkę krwi i wysyłano do laboratorium w Berlinie. Wynik Milena odnotowywała w karcie i znając „barbarzyńskie metody leczenia”, jak je nazywała, Sonntaga, starała się, gdy tylko mogła, fałszować wyniki lub gubić je.

Sonntag próbował również swych sił w sterylizacji. Do tej pory Himmlerowi przedstawiono już kilka nowych pomysłów masowej sterylizacji. Dermatolog Adolf Pokorny twierdził, że wyciąg z tropikalnej rośliny zwanej *Caladium seguinum* (ucho słonia; kaladium) wywołuje bezpłodność, a Himmler tak się zainteresował tą sugestią, że próbował uprawiać tę roślinę w szklarni, aby zbadać jej działanie na więźniarkach. Inną opcją była sterylizacja mężczyzn i kobiet poprzez wystawianie ich na duże dawki promieniowania rentgenowskiego. Himmler największą wiarę pokładał w pracach profesora Carla Clauberga, który próbował sterylizować kobiety, wstrzykując im do macicy środki drażniące. Himmler spytał Clauberga, ile czasu potrzeba, żeby wysterylizować tysiąc kobiet, i zasugerował potem, że może wypróbować metodę w Ravensbrück<sup>120</sup>.

Tymczasem Sonntag wykorzystywał własne metody – i tym razem nie wiadomo dokładnie jakie – ale wydaje się, że króliki doświadczalne wybierał sobie losowo. Doris Maase zauważyła, że Sonntag nie mógł znieść myśli, że



polskie lub czeskie więźniarki nie potrafiły mówić po niemiecku, więc kiedy jedna z nich oświadczyła, że nie zna tego języka, powiedział: „To wariatka” – i wyznaczył ją do sterylizacji. Hanna Sturm wspominała, że Sonntag zabrał dwie cygańskie dziewczynki w wieku od dziewięciu do jedenastu lat i próbował je wysterylizować. Po operacji zabrała je z powrotem do ich bloku. „Śłaniały się całą drogę przez obóz. Dzień czy dwa później znaleziono je martwe na pryczy”.

Do Ravensbrück przyjeżdżało coraz więcej kobiet w ciąży. Od pierwszych dni Himmler nalegał, aby w obozie nie odbywały się porody, więc kobiety odwożono do szpitala na zewnątrz, by tam urodziły, ale wzrastająca ich liczba sprawiała, że kontrola nad ciężarnymi stawała się nieskuteczna. Dlatego zaszła konieczność przeprowadzania aborcji w rewirze. Z braku przeszkolonego personelu zabiegi przeprowadzała *Schwester Lisa* i często się jej nie udawały. Siostra Lisa „dała się zauroczyć Sonntagowi”, jak twierdziły więźniarki: zdawało się, że czerpie radość z najokrutniejszych czynów, i popisowała się nimi przed innymi, jak wspominała Erika Buchmann:

Pamiętam, jak pewnego dnia na salę operacyjną na poród trafiła wyjątkowo piękna młoda Cyganka, a potem usłyszeliśmy, że umarła. Siostra Lisa zażądała, żebym poszła i sprawdziła, co się stało. Odmówiłam, ale *Schwester Lisa* chwyciła mnie za ramię i postawiła przed łóżkiem, zerwała z ciała prześcieradło i musiałam zobaczyć coś, czego nie chciałam. Sądzę, że kobieta nie może uczynić nic gorszego żywym lub martwym, niż zrobiła to siostra Lisa. To był czysty sadyzm. Ciągle widzę złośliwy uśmiezek siostry Lisy na widok mojego przerażenia<sup>121</sup>.

Jednak nie tylko na siostrę Lisę podziałał urok Sonntaga. Kilka miesięcy po jego przybyciu do obozu więźniarki zauważyły, że zmieniło się zachowanie lekarki Gerdy Weyand. Na początku Weyand odnosiła się do więźniarek przyzwoicie, a do niektórych wręcz przyjaźnie, ale odkąd zjawił się Sonntag, coraz bardziej obojętniała na swoje lekarskie obowiązki i coraz mniej obchodziło ją cierpienie pacjentek.

Wkrótce stało się jasne, że Sonntag i Weyand połączył płomienny romans. Przed rozpoczęciem procesu w Hamburgu Weyand napisała do Eriki z prośbą, by zeznawała na jej korzyść. Erika odmówiła i przypomniała jej o okrucieństwach, w jakich brała udział. „Nigdy też nie zapomnę, jak w szpitalu, w gabinecie Sonntag, oddawaliście się godzinami uciechom, bardzo hałaśliwie, nie bacząc na to, że po drugiej stronie ściany leżały chore

kobiety z gorączką, które potrzebowały odpoczynku”.

Latem 1941 roku Gerda Weyand i Walter Sonntag wzięli ślub. Tym samym Sonntag poprawił swoją pozycję w SS i para przeniosła się do eleganckiej willi z centralnym ogrzewaniem, na trawiastym stoku nad jeziorem. W tym czasie atrakcyjnie położona enklawa SS stała się idyllicznym miejscem dla rodzin. Małżonkowie mogli zostawiać dzieci w przedszkolu prowadzonym na brzegu jeziora przez badaczki Pisma Świętego, a sami szli do pracy w obozie, oddalonym o kilka minut spacerem. Starsze dzieci uczyły się w miejscowej szkole w Fürstenbergu.

Sonntagowie, podobnie jak inne rodziny SS, mieli własną służbę domową dobieraną spośród godnych zaufania więźniarek; wybrali sobie Hannę Sturm. Jakiś czas później Gerda napisała do Waltera: „Nigdy nie byłam bardziej szczęśliwa niż w Ravensbrück”, ale Hanna Sturm przyznała później, że często widziała, jak Sonntag bił Gerdę<sup>122</sup>. Czasem upijał się tak mocno, że zapominał o obecności Hanny i na jej oczach tłukł świeżo poślubioną żonę.

Pewien pogląd na życie Sonntagów w Ravensbrück daje sam Walter w listach pisanych do Gerdy po wyjeździe z obozu w grudniu 1941 roku. Wówczas Max Koegel, który nienawidził Sonntaga, zdołał się go pozbyć; lekarz został wysłany na front pod Leningrad. Jednak Sonntagowie odmówili oddania willi SS, pomimo wysiłków Koegela. Gerda Weyand, w ciąży z pierwszym dzieckiem, została w Ravensbrück do porodu.

W listach spod Leningradu Walter Sonntag często rozwodził się o życiu w Ravensbrück. Zwracał się do żony „Grubasku”, pytał o willę, meble, samochód i kurczaki: „Mój kochany Grubasku [...] dbaj o wszystko. Czy samochód stoi w garażu? Czy okna mają zamknięte okiennice? Jak zamierzasz pogodzić ze sobą psa, kurczaki i gołębnik?”. Pyta, czy ma pokwitowanie za wino warte 200 marek, które kupił u miejscowego handlarza.

Listy Sonntaga ociekają goryczą i złością na to, jak potraktowano go przed wyjazdem, szczególnie przyjmując nową lekarkę, Hertę Oberheuser, która, jak uważał, świadomie go lekceważyła. „Droga Gerdo, nie masz pojęcia, jak często myślę o tobie i martwię się, jak radzisz sobie beze mnie, zdana całkowicie na łaskę tej furiatki Oberheuser i jej świty”. Zalecał Gerdzie, żeby się nie przepracowywała, ponieważ „nikt ci nie podziękuje. Nie trać czasu na pracę dla bandy bękartów” – miał tu na myśli personel SS.

W jednym z listów złości się, że Gerda jest traktowana na równi z innymi

żonami esesmanów, a nawet dozorczyńiami. „Zawsze pamiętaj o ich wykształceniu – pisze. – Kochany Grubasku, jesteśmy kilometry ponad tym tłumem. Kiedy Koegel i inni stawiają Cię na tym samym poziomie co dozorczyńie, w obliczu ich wykształcenia i pochodzenia, nie bądź zaskoczona”. W miarę upływu czasu listy te przybrały groźniejszy ton. Pyta żonę, dlaczego nie pisze – „Czy to tak wiele pisać do mnie?”. A co z jego paltem na leningradzką zimę? Czy zapłaciła rachunek za jego wino?

W jakimś momencie w połowie 1941 roku doktor Sonntag zaczął zabijać. Czy Gerda Weyand wiedziała, że jej mąż morduje ludzi z zimną krwią, nie jest jasne, ale Doris Maase na nocnym dyżurze w rewirze była świadkiem, jak wchodził do budynku ze strzykawką. Gdy wykonywał iniekcję pacjentce z przyczyn medycznych, prosił ją o pomoc. W innych przypadkach tego nie robił. „Słyszeliśmy, jak wchodził do sali, a następnego dnia rano w tejże sali znajdowałyśmy trupa”<sup>123</sup>.

Do lata 1941 roku śmierć zbierała coraz większe żniwo wśród więźniarek Ravensbrück – były wycieńczone niewolniczą pracą, osłabione przez choroby, bite, zmarznięte. Teraz, po raz pierwszy, władze obozu zaczęły przeprowadzać planowe egzekucje. Sonntag wstrzykiwał śmiertcionośną substancję, prawdopodobnie benzynę lub fenol. I w tym przypadku nie ma dowodów, czy działał na bezpośrednie rozkazy, ale najprawdopodobniej tak, a rozkazy wydawał sam Himmler.

Wiosną 1941 roku Himmler przyspieszył z planem rozszerzenia programu eutanazji na obozy koncentracyjne. Szef T4 Philipp Bohler ochoczo przystał na prośbę o wykorzystanie personelu i instalacji do zabijania darmożjadów. Już w kwietniu 1941 roku dokonywano selekcji więźniów Sachsenhausen do zagazowania i planowano włączenie do programu innych obozów. Tymczasem lekarze w różnych obozach Himmlera dostali instrukcje, by zaczęli zabijać bezużytecznych więźniów – chorych psychicznie i nieuleczalnie chorych – za pomocą zastrzyków.

Świadkiem iniekcji była też więźniarka Bertha Teege, komunistka, która jako goniec obozowy miała szansę zobaczyć więcej niż inni.

Pewnego dnia kazali iść do mi do bloku karnego z dozorczynią Zimmer. Powiedzieli, że więźniarka zanieczyściła celę. Zimmer powiedziała: *Die Sau muss weg* – ta świnia musi odejść. Zimmer kazała mi zabrać kobietę do szpitala. Położyli ją w łóżku. Na drugi dzień była martwa.

Widziałam ciało. Umarła od zastrzyku<sup>124</sup>.

Pewnego dnia młoda prostytutka ze stolarskiego komanda Hanny Sturm powiedziała, że nie może więcej pracować, bo „pęka jej głowa”. Powiedziała Hannie, że Sonntag ją wezwał i pobrał wymaz z pochwy, mówiąc, że to do badania pod kątem chorób wenerycznych. Kazał jej się obrócić, powiedział: „Twój czas nadszedł” – i zrobił jej zastrzyk w górną część uda. Po kilku godzinach kobieta zmarła. „Pokazałam ciało polskiej więźniarce lekarce. Było bardzo zdeformowane. Powiedziała, że dziewczynie wstrzyknięto benzynę”.

W tamtym okresie zachowanie Sonntaga uderzyło kilka więźniarek jako jeszcze bardziej złowieszcze, nie tylko z powodu zabójstw, ale też z powodu tego, jak zwracał się do ludzi. Wyglądało to tak, jakby rozsadzał go jakiś sekret. Więźniarka, która zgłosiła się do niego w tym czasie ze skaleczoną nogą, wspominała, jak „w stanie upojenia alkoholowego” wyznał jej z dumą, że na razie zajmuje się podpisywaniem aktów zgonów, ale „pewnego dnia przyjdzie czas, kiedy zabijemy wszystkich”.

Innym razem rozkazał osobistej sekretarce Erice Buchmann, aby przeszła się po blokach i sporządziła listę wszystkich więźniarek z zielonym i czarnym trójkątem – kryminalnych i społecznych – które miały tatuaże. „Musiałam osobiście obejrzeć tatuaż i powiedzieć mu, co przedstawia: głowę węża itp. Zajmowałam się tym w niedziele. Dwa czy trzy razy spytałam go, do czego mu to potrzebne. Szeroko się uśmiechnął i rzekł: «Słodkie małe obrazeczki zawsze mogą się przydać»”.

Erika wspominała później, że nigdy nie powiedziała wówczas innym więźniarkom o listach tych tatuaży; pracownicy szpitala rzadko opowiadały o tym, co widziały. Gdyby usłyszała to jakaś donosicielka, straciłyby funkcję. Poza tym nie były przygotowane, aby uchwycić znaczenie wszystkiego, co rozgrywało się na ich oczach. Kiedy Sonntag poprosił Erikę o listę wytatuowanych więźniarek, dał wskazówkę co do tego, co miało się rozegrać. Jednak dopiero po wojnie, podczas procesu w Buchenwaldzie, dowiedziała się, że SS robiło z wytatuowanej skóry zamordowanych więźniarek zakładki do książek, portfele i inne przedmioty.

Pod koniec lata kilka kobiet z komanda nosicielek cegieł padło ofiarą morderczego szału Sonntaga. Większość z nich upadła pod ciężarem

przerzucanego piasku lub cegieł; już nie nadawały się do pracy. Pewnego dnia Olga wróciła z przerzucania cegieł z wychudzoną do granic kobietą w ramionach, tak leciutką, jakby była dzieckiem. Olga poszła z nią do szpitala, prawdopodobnie w nadziei, że zastanie tam Doris Maase, ale natknęła się na samego doktora Sonntaga, który zobaczył ją przez okno gabinetu.

Bez względu na to, jaka iskierka ludzkich uczuć skłoniła jakiś czas temu Sonntaga, żeby opatrzyć ręce Olgi i dać jej rękawiczki, teraz widok Olgi – Żydówki – szukającej pomocy dla wycieńczonej istoty spoczywającej w jej ramionach, zrobił na Sonntagu zupełnie inne wrażenie. Prośba Olgi wystarczyła, by doprowadzić go do niekontrolowanego ataku wściekłości. Wypadł ze szpitala, wrzeszcząc: „żydowska świnia!” i „żydowska dziwka!”, i szalał po placu.

Potem skopał Olgę i przewrócił ją na ziemię, razem z kobietą, którą niosła.

Według jej przyjaciółki, Marii Wiedmaier, sam Sonntag ciężko pobił Olgę. Dozorczynie zabrały ją i została skazana na kolejną odsiadkę w izolatce w bunkrze. Nie wiadomo, ile czasu tym razem tam spędziła, ale Maria Wiedmaier twierdziła, że było to kilka tygodni.

Listy Olgi, jak zwykle, dostarczają pewnych informacji o momencie rozgrywania się wydarzeń. W maju 1941 roku napisała do Carlosa: „Od jesieni do wiosny żyje się tu tylko nadzieją, a potem znowu myśli tylko o następnej zimie. Jak długo jeszcze? Tylko ta kwestia dręczy nasze umysły”. Jednak od maja do września nie napisała żadnego listu do Carlosa i Leocadii, co sugeruje, że napaść Sonntaga na Olgę i wątłą kobietę, którą niosła, nastąpiła mniej więcej w czerwcu. Prawie na pewno spędziła to lato w ciemnej izolatce w obozowym bunkrze, pozbawiona możliwość pisanie i otrzymywania listów, i całkiem sama.

Nie udało się ustalić, kim była kobieta niesiona przez Olgę ani co się z nią stało. Ale do dziś pozostaje upamiętniona jako wychudzona postać w ramionach Olgi w *Tragende*, posągu, który patrzy na wody jeziora w Ravensbrück.

<sup>106</sup> Większość zeznań Sonntaga z procesu w Hamburgu znajduje się w WO 309/416, ale rozrzucone są one również po innych aktach w TNA.

<sup>107</sup> Witte i in. (red.), *Dienstkalender*.

[108](#) Himmler, *The Himmler Brothers*. Miejscowi historycy uważają, że dom w Brückenthin zbudowali więźniowie. Dokładnie nie wiadomo, kiedy dokładnie Himmler kupił ziemię i kiedy wprowadziła się Häschen. Zanim Himmler zdobył Brückenthin, zatrzymywał się prawdopodobnie z nią w nowym eksperymentalnym gospodarstwie, które założył blisko Ravensbrück i gdzie hodował żywy inwentarz. Dziś w Brückenthin mieści się ośrodek kolonijny dla dzieci; szczegóły tamtejszych schadzek Himmlera i Häschen zostały ujawnione w „Schweriner Volkszeitung” 30 czerwca 2003 roku.

[109](#) Rodzice Häschen nie byli zadowoleni ze związku córki z Himmlerem, dlatego nalegała na zachowywanie go w tajemnicy.

[110](#) Cyt. za: Friedländer, *The Origins of Nazi Genocide*.

[111](#) Tamże.

[112](#) Tamże.

[113](#) Himmler do Grawitza, 3 lutego 1940 roku, cyt. za: Witte i in.(red.), *Dienstkalender*.

[114](#) Zob. Stoll, *Walter Sonntag*.

[115](#) Zeznanie Buchmann, 23 stycznia 1948, WO 309/416.

[116](#) Apfelkammer, BAL B162/9818.

[117](#) Vera Mahnke, WO 309/416.

[118](#) Zeznanie Wiedmaier, 6 lipca 1958 roku, ARa.

[119](#) *Dictators*.

[120](#) W Norymberdze ujawniono, że Rudolf Brandt, osobisty lekarz Himmlera, napisał 10 lipca 1942 roku do Clauberga z prośbą, by przyjechał do Ravensbrück i wypróbował na Żydówkach masową sterylizację „według pańskiej metody”. Brandt powiedział, że w 1941 roku „tajemnicą poliszynela” był plan Hitlera eksterminacji wszystkich Żydów. Celem eksperymentów ze sterylizacją było znalezienie alternatywy dla całkowitej eksterminacji. W obliczu braku siły roboczej pomysł zakładał sterylizację 3 milionów Żydów zdolnych do pracy. Cyt. za: Mitscherlich, Mielke, *Death Doctors*.

[121](#) Zeznanie Buchmann, 23 stycznia 1948 roku, WO 309/416.

[122](#) Archiwum rodziny Sonntagów.

[123](#) WO 309/416.

[124](#) Oświadczenie Teege, „Hinter Gitter und Stacheldraht”, ARa 647.

## Rozdział 8

### Doktor Mennecke

Latem 1941 roku przez trzy tygodnie Ravensbrück wyglądało jak zaczarowane. Strażnicy wyszli i zamknęły się za nimi bramy. Zapanował spokój. Więźniarki słyszały śpiew ptaków. Bertha Teege, niedawno awansowana na główną kapo (*Lagerälteste*), twierdziła, że wszystko to zaczęło się, gdy się okazało, że jedna z aspołecznych powłóczy nogą i nie może nią poruszać. Po kilku godzinach liczba kulejących wzrosła. „Te kobiety wydają się sparaliżowane”, zameldowała Bertha Johannie Langefeld<sup>125</sup>. Gdy paraliż się szerzył, esesmani spanikowali, ponieważ obawiali się, że to polio.

Więźniarki się nie bały. Nogi puchły z powodu nowych nocnych zmian w nowej szwalni, mówiły niektóre. Inne uznały, że to histeria. Max Koegel zrzucił winę na eksperymenty lekarza. Wiele osób słyszało, jak przeklinał Sonntaga i oskarżał go o zarażenie całego obozu.

O pierwszej w nocy następnego dnia ktoś obudził Berthę Teege i dał jej klucze do kuchni oraz bloku karnego. Obóz obowiązuje teraz kwarantanna, dowiedziała się, a ona obejmuje nad nim pieczę: „Oto jak podatne na panikę były władze”. Transporty więźniarek zawieszono do odwołania, a kobiety w obozie miały zakaz opuszczania baraków. Esesmański personel nie zamierzał wchodzić do kompleksu, dopóki tajemnicza zaraza nie zniknie.

Przez następne dni w obozie panował osobliwy spokój. „Sparaliżowane” aspołeczne zgromadzono w jednym bloku, który otoczono kordonem, ostrzegając, by miejsce omijać z daleka. Jednak pewna więźniarka nie zamierzała omijać z daleka zarażonych. Milena Jesenská, urzędniczka szpitalna, która tak bezwstydnie odrzucała awanse Sonntaga, zaprzyjaźniła się z wieloma chorymi przebywającymi w rewirze. Teraz postanowiła im pomóc, a nikt nie stawał jej na drodze.

Latem 1941 roku Milena Jesenská była prawdopodobnie najbardziej



charyzmatyczną postacią w obozie. Chora na artretyzm i przewlekłą chorobę nerek, na pierwszy rzut oka wyglądała na starszą niż czterdzieści trzy lata, ale jej duch pozostawał niezłomny. Płomiennie rude włosy nadal rosły jej gęste i długie, a oczy były blaskiem osoby, która nigdy nie podporządkuje się zasadom. Grete Buber-Neumann powiedziała, że miała w sobie taką pewność siebie, która zdawała się chronić ją przed ciosami SS. Kulenie się lub strach prowokowały ciosy, ale na apelu Milena zawsze grzebała się z ustawianiem w szeregu, czym denerwowała dyżurną dozorczynię, która ruszała w jej stronę, by uderzyć, ale kiedy napotykała wzrok Jesenskiej, odwracała się i odchodziła.

Milena zdobyła sobie też grono wielbicieli. „W obozie słabsze kobiety często skupiały się wokół tych, które promieniowały siłą”, opowiadała Grete. Ona sama, chociaż nie należała do słabych, była emocjonalnie okaleczona i również ciągnęło ją do Mileny<sup>126</sup>. W tym zaczarowanym okresie ich przyjaźń rozkwitła w prawdziwe uczucie i – w przypadku Grete – w głęboką i trwałą miłość.

Każdego dnia Grete szła za Mileną do „bloku zakaźnego”. Siadały na schodku i rozmawiały w sierpniowym słońcu. Tutaj Grete usłyszała o dzieciństwie Mileny spędzonym w latach dwudziestych w Pradze, o jej zamożnej czeskiej rodzinie – wykształconej matce i ojcu, profesorze chirurgii szczękowej na Uniwersytecie Karola. Dowiedziała się o losach młodej Mileny, prowokacyjnej autorki tekstów o anarchicznym uroku, która pytała czytelników w jednym z pierwszych artykułów: „Czy widzieliście kiedyś twarz więźnia za kratami? Wolność znajduje się za oknem. Niebo znajduje się za oknem. Po drugiej stronie drzwi jest tylko rzeczywistość”<sup>127</sup>.

W 1922 roku Milena związała się z kręgiem urodzonych w Czechach niemiecko-żydowskich pisarzy, których przyciągnęło praskie towarzystwo kawiarniane. Poznała Franza Kafkę i czytała jego teksty, wówczas mało znane. Nawiązali romans w 1922 roku, kiedy Kafka zaczął pisać *Zamek*, powieść, w której główny bohater, K, przyjeżdża do wioski, gdzie panuje złowroga biurokracja urzędująca w pobliskim zamku.

Jednak Milena najwięcej opowiadała Grete o *Przemianie* Kafki; przetłumaczyła to opowiadanie na czeski. Zapoznała Grete z historią Gregora Samsy, niezrozumianego przez otoczenie kupca; u Kafki zmienia się on w wielkiego robala, którego rodzina ukrywa w łóżku, ponieważ się go

wstydzi. W swojej wersji historii Milena upiększyła niektóre fragmenty, szczególnie opisy choroby robaka, „gdy w jego rany wdawało się zakażenie od brudu i roztoczy i został, nieszczęsny, porzucony na samotną śmierć”.

Romans Mileny z Kafką, gwałtowny i pełen udręk, nie przetrwał. W czasie kiedy byli razem, pisarz zachorował na gruźlicę, a w 1924 roku zmarł. Od tego momentu Milena sama zatopiła się w dziennikarstwie i walce o sprawiedliwość społeczną. Podobnie jak wiele osób z jej otoczenia popierała komunizm, a w połowie lat trzydziestych jako jedna z pierwszych wśród swoich rówieśników zwróciła uwagę na docierające do Pragi doniesienia o czystkach Stalina.

W 1937 roku Milena, do tej pory dwukrotnie zamężna, z córką, wyrzuciła legitymację partii komunistycznej, chociaż jej nienawiść do faszyzmu rosła z dnia na dzień, w miarę jak coraz wyraźniej rysowała się inwazja niemiecka. W czasie kiedy wojsko Hitlera wmaszerowało do Kraju Sudeckiego, antyfaszystowskie teksty Mileny były tak ostre, że jej aresztowanie wydawało się nieuchronne i w końcu została zatrzymana przez Gestapo wraz z większością praskiej inteligencji.

W obozie rozczarowanie Stalinem zbliżyło Milenę i Grete, ale łączyło je więcej niż tylko rozwiane złudzenia polityczne. Grete fascynowała nie tylko egzotyczna przeszłość Mileny, ale też jej zachowanie. Milena szybko zrozumiała, że to Grete, a nie ona, ma najbardziej niezwykłą historię z nich wszystkich, ponieważ w wieku czterdziestu jeden lat miała za sobą uwięzienie przez obu najstraszniejszych dyktatorów świata. Milena, mówiła Grete, „potrafiła wspaniale zadawać pytania i umiała wygrzebać z mojej pamięci rzeczy, o których dawno zapomniałam. Nie zadowalała się słuchaniem o przebiegu wydarzeń, chciała zobaczyć ludzi, których spotkałam podczas mojego długiego marszu przez radzieckie więzienia”.

A im więcej kobiety rozmawiały, tym lepiej Milena rozumiała, że kiedy „to wszystko się skończy”, obie muszą napisać własną książkę. „Miała pomysł na książkę o obozach koncentracyjnych obu dyktatur: o milionach istot ludzkich niewolonych w imię socjalizmu oraz w imię dobrobytu i chwały rasy panów. Nosiłaby tytuł: «Wiek obozów koncentracyjnych»”. Rozmowa odbyła się w 1941 roku, zanim zbudowano komory gazowe w Auschwitz i zanim świat zewnętrzny zaczął mieć jakiegokolwiek pojęcie o Gułagu Stalina.

Jednak dla Grete Milena była nie tylko bratnią duszą, ale też sojusznikiem. Rok po tym, jak Grete przyjechała z łagru, obozowe komunistki nadal ją

bojkotowały, a teraz, jak relacjonowała, odtrąciły również Milenę za to, że ośmieliła się zadawać z trockistowską zdrajczynią, Buber-Neumann, która rozpowiada kłamstwa o Związku Radzieckim.

Trudno się dziwić, że uczucia te osiągnęły szczyt latem 1941 roku; w czerwcu Hitler w końcu zerwał pakt ze Stalinem i do Rosji wkroczyły wojska niemieckie w ramach operacji „Barbarossa”. Wśród obozowych komunistek zapanował optymizm, były przekonane, że Armia Czerwona odeprze atak i wkrótce wszystkie zostaną uwolnione. Milena i Grete nie podzielały ich pewności. Według Grete ich sceptycyzm prowokował dalsze ataki twardogłowych, które nazywały ich „wrogami klasowymi”.

Chociaż niektóre komunistyczne działaczki faktycznie zwróciły się w obozie przeciwko Milenie, szersza społeczność czeskich więźniarek – wiele podobnie jak ona pisarek, ale też tancerek, muzyczek, artystek, które często znała od lat – uwielbiała ją za jej wdzięk i odwagę, bez względu na różnice polityczne. W październiku 1941 roku do Ravensbrück przyjechała czeska działaczka ruchu oporu Anička Kvapilová, była kierowniczką działu muzycznego praskiej biblioteki miejskiej. Gdy zszokowana i zrozpaczona stała pod rewirem, spojrzała w górę i zobaczyła uśmiechniętą twarz zwróconą ku niej i innym przerażonym nowo przybyłym oczekującym na badania. Anička wspominała: „Kobieta zatrzymała się na chwilę na schodkach do rewiru, uśmiechnęła się do nas i powiedziała po czesku: «Witajcie, dziewczęta»”. Anička nie znała Mileny z Pragi, ale słyszała o niej i odgadła, że to właśnie ona. „Miała błyszczące rude włosy. Pośród tego całego bestialstwa była to pierwsza ludzka rzecz, jaka mi się przydarzyła”<sup>128</sup>.

Podczas zaczarowanych tygodni latem 1941 roku inne więźniarki również cieszyły się swobodą. Polityczne wychodziły na spacer, spotykały się z koleżankami Żydówkami i odwiedzały chore. Komunistka *Jožka Jabůrková* napisała zbiór bajek dla przyjaciółki Tilde Klose, która chorowała na gruźlicę. W bloku żydowskim Olga pracowała nad swoim miniatlasem.

Jako pełniąca obowiązki naczelniczki Bertha Teege pozwalała więźniarkom wykorzystać czas kwarantanny. „Badaczki Pisma Świętego zdobyły nielegalnie Biblię – wspominała – aspołeczne śpiewały na całe gardło, zawodowe przestępczynie się kłóciły, Cyganki tańczyły, wykonywały figury akrobatyczne, biły się i zaprzyjaźniały na powrót, wszystko naraz, a Polki odwiedzały się nawzajem”.

Esesmani z radością pozwolili swym cenionym więźniarkom prowadzić obóz. Do tego stopnia ufali kobietom w rodzaju Berthy Teege i innym funkcyjnym, że strażnicy po prostu odeszli, mając pewność, że sprawy wewnątrz będą prowadzone skutecznie, a obóz pozostanie pod kontrolą. Taka demonstracja zaufania pokazuje, w jakim stopniu SS udało się przerzucić sprawy codziennego funkcjonowania obozu na same więźniarki.

Od czasu spisku komunistek rok wcześniej na funkcje zwerbowano wiele politycznych. Obecnie więźniarki nie tylko prowadziły bloki, pracowały też w kuchni, serwowały posiłki w esesmańskiej kantine i prowadziły żłobek dla dzieci esesmanów. Inne pracowały w magazynie, a kilka w rewirze jako pielęgniarki, położne i pracownice techniczne. Nie tylko Niemki i Austriaczki zapewniły sobie dobre stanowiska: w rewirowym gabinecie rentgenowskim pracowały Polki, a w laboratorium Czeszki.

Najszybszy wzrost zatrudnienia nastąpił w obozowych biurach. W miarę jak rosła liczba więźniarek, konieczna stała się rozbudowa biurokracji, a Koegel potrzebował sekretarek. Ponieważ pisanie na maszynie, stenografią, księgowością i prowadzeniem archiwów zajmowały się kobiety, w Ravensbrück nie było kłopotu ze znalezieniem wykwalifikowanych urzędniczek. Kobiety, które kiedyś spisywały wystąpienia członków zarządów albo prowadziły księgi związków zawodowych, teraz spisywały listy przybyłych do obozu lub wystawiały miejscowym rolnikom faktury za pracę więźniarek.

W *Schreibstube*, kancelarii mieszczącej się obok siedziby komendanta, pracowały wyłącznie więźniarki. Jeśli chciały, mogły z dobrym skutkiem wykorzystać swoje przywileje: przekazać blokowym nazwiska nowo przybyłych, ostrzec przed planowanym obcięciem racji żywnościowych lub o wizycie ważnych osobistości.

Więźniarki z kancelarii cieszyły się licznymi przywilejami. Ponieważ pracowały u boku esesmanów, musiały myć się częściej od zwykłych więźniarek, przysługiwały im lepsze ubrania i jedzenie. Wszystkie mieszkały w bloku 1., gdzie miały lepsze warunki i gdzie mieszkał również personel funkcyjny – blokowe, sztabowe, pracowniczki rewiru i inne. Mając kontakty w kancelarii, blokowe również powiększały wpływy i władzę i latem 1941 roku najmocniejszą pozycję zapewniła sobie Rosa Jochmann, austriacka przywódczyni związkowa, ówczasie zaś blokowa bloku 1.

Chociaż Rosa początkowo nie dawała się przekonać Käthe Leichter do

objęcia funkcji blokowej, dostrzegła jednak korzyści tego układu. W owym czasie „cały obóz znajdował się w rękach więźniarek”, powiedziała później. Rosa dysponowała takimi wpływami, że kiedy pewnego razu młoda dozorczyńca poszła do Langefeld z pomniejszą skargą na blok 1., Rosa też poskarżyła się na strażniczkę, że przekracza swoje kompetencje, więc funkcjonariuszka dostała reprimendę. Według więźniarek Rosa Jochmann „nie potrafiła zrobić nic złego”. Prowadziła blok 1. tak dobrze, że teraz zawsze jej barak wybierano na pokazowy; gości z zewnątrz – wysoko postawionych nazistów, dyplomatów z neutralnych krajów, przemysłowców, członków Niemieckiego Czerwonego Krzyża, oficerów Wehrmachtu – prowadzono do bloku Rosy, aby przekonali się, jak cywilizowany jest ten obóz koncentracyjny.

Jednak jesienią 1941 roku najpotężniejszymi więźniarkami w obozie były do spółki *Lagerälteste* Bertha Teege i Luise Mauer, niemieckie komunistki. Bertha dzierżyła stanowisko od stycznia 1941 roku, ale latem nastąpił taki nawał pracy, że trzeba było ją podzielić na dwie osoby. Często widywane u boku Langefeld lub krążące po Lagerstrasse z wiadomościami, obie były później niezmiennie wspomniane jako duet.

Na pierwszy rzut oka trudno wytłumaczyć awans Berthy i Luise; niczym nie różniły się pod względem pochodzenia od zwykłych niemieckich komunistek w obozie. Bertha, córka wytwórcy mebli, pracowała przed wojną jako księgowka, potem przyłączyła się do komunistycznej opozycji i wyszła za komunistę z lokalnego parlamentu. Urodziła dwoje dzieci. Luise, fryzjerka, również poślubiła komunistycznego polityka i pracowała dla partii jako kurierka. Miała córkę. Historie aresztowania i uwięzienia obu kobiet przypominały wszystkie inne, a po przybyciu do obozu nie uczyniły na nikim żadnego wrażenia.

A jednak, według opinii Langefeld, Bertha Teege i Luise Mauer były oczywistymi kandydatkami. Komunistki będą postępowały zgodnie z rozkazami, a od czasu „spisku” kobiety te okazały się godnymi zaufania pracownikami. Obie były uzdolnione; obie po trzydziestce, obie po przejściach przed obozem: więzienia, separacja z dziećmi. Ich opór został w pełni przełamany. Luise Mauer przeżywała dalsze zniechęcenie w obozie z powodu długich okresów pracy w drużynach o najbardziej wyczerpujących zadaniach.

Przybyła do obozu rok później Bertha Teege przyjrzała się karom nakładanym na różne więźniarki i przestawiła się szybko na tryb przetrwania.

Niedługo po przyjeździe Bertha zobaczyła w bunkrze kilka ciał przymarzniętych do kamiennej podłogi. „Wezwali pracowników szpitala, żeby «odskrobać zwłoki»”, wspominała i dodała, że wówczas rozumiała: „Lepiej nie okazywać przerażenia, jeśli samemu jest się uwięzionym”.

Na początku 1941 roku, kiedy w obozie przeprowadzono pierwszą egzekucję, Teege wezwano do pomocy, co gorliwie uczyniła. Ofiarą była Polka, Wanda Maciejewska, skazana na śmierć za „terroryzm” w Polsce. Miała doprowadzić ją na miejsce koło bunkra, gdzie esesmani dokonali rozstrzelania. Następnym zadaniem było rozebranie ciała, które obozowy karawan odwiózł do krematorium w Fürstenbergu. Teege zaniosiła zakrwawioną odzież ofiary do *Effektenkammer*, gdzie miała zostać wyprana i wydana innej więźniarce<sup>129</sup>.

W sierpniu 1941 roku Johanna Langefeld tak bardzo ufała Bercie Teege, że kiedy SS wystraszyło się polio, to jej przekazała klucze do obozu. Trzy tygodnie później Berta musiała je zwrócić. Epidemia skończyła się równie nagle, jak wybuchła, wywołana prawdopodobnie przez masową histerię lub świadomy wybieg społecznych, żeby wywołać zamieszanie. Teraz wybuchła nowa panika, lecz tym razem powód był prawdziwy.

Przez całą jesień 1941 roku – Doris Maase twierdzi, że wszystko zaczęło się w lipcu – doktor Sonntag sporządzał nowe listy, ale nikt nie wiedział, w jakim celu. Ze *Schreibstube* wyszły plotki, że lekarz działa na bezpośredni rozkaz Berlina. Na liście znalazły się głównie starsze i chore więźniarki. Teege i Mauer zaprowadziły je do łaźni, gdzie musiały się rozebrać i przeparadować nago przed Sonntagiem. Potem wróciły do bloków, a do łaźni wezwano następną grupę. Wiele chorowało na syfilis lub rzeżączkę. Część wezwano z bloku żydowskiego. Wyselekcjonowano również kobiety chore na gruźlicę, w tym kapo „gwiazdorskiej” drużyny roboczej. Nikt nie wiedział, co będzie dalej.

Niepewność to jedna z najgorszych rzeczy; najmniejsze zmiany wywoływały niepokój. Od czasu inwazji na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku niepewności było więcej niż kiedykolwiek. Skurczyły się racje żywnościowe; krążyły pogłoski, że może zabraknąć chleba. Sklep w kantynie nie miał już nic na sprzedaż i mówiono, że lada moment przestanie działać poczta.

Dalszą niepewność wywoływało przepełnienie. Napływało coraz więcej

więźniarek – głównie Polek, ale też niemieckich politycznych i społecznych – i liczba ich wzrosła do siedmiu tysięcy. Co tydzień więźniarki musiały przenosić się do bloku, który mógł je pomieścić, a to prowadziło do rozdzielania przyjaciółek. Niektóre dzieliły nawet siennik. Władze ograniczyły dostęp do pryszniców do jednego razu na cztery tygodnie. Na jedną kobietę przypadał jeden koc zamiast dwóch, a zbliżała się zima.

Kobiety z listy Sonntaga zostaną uwolnione, twierdziły niektóre. Z pewnością będą zwolnienia: aby zapobiec „zarazie”, niektórym gruźliczkom powiedziano, że wyjdą, w tym trzem komunistkom, Lotte Henschel, Tilde Klose i Linie Bertram. Sekretarka rewiru Erica Buchmann wyszła z obozu latem, najwyraźniej wskutek kaprysu Himmlera. W lipcu na wolność odeszła Doris Maase.

Jednak więźniarki pracujące w magazynie, *Effektenkammer*, nic nie wiedziały o żadnych zwolnieniach na podstawie list Sonntaga, a one dowiedziałyby się o tym pierwsze, ponieważ wydawały ubrania wychodzącym na wolność więźniarkom. Z drugiej strony odbiór własnych ubrań nie gwarantował uwolnienia, o czym również wiedziały pracownice magazynu. Polska działaczka podziemia Wanda Maciejewska, rozstrzelana w lutym, musiała odebrać odzież i założyć ją przed egzekucją – farsa ta miała zatuzszować morderstwo.

W trzecim tygodniu listopada listy doktora Sonntaga zawierały już ponad 250 nazwisk. 19 listopada przyjechał z Berlina mężczyzna w garniturze. Nikt nie wiedział, kim jest, ale Emmy Handke, sekretarka ze szpitala, dowiedziała się, że to psychiatra. Jedna z pracownic kancelarii usłyszała, że ma zarezerwowany pokój w hotelu w Fürstenbergu.

Minęło prawie dziewięć miesięcy od chwili, gdy Himmler napisał do Philippa Bouhlera, szefa kancelarii Hitlera, z pytaniem, czy można wykorzystać „personel i instalacje T4 w obozach koncentracyjnych”. Personel stanowili niemieccy psychiatrzy i lekarze, którzy wybierali upośledzonych do programu „eutanzji”; instalacje to były komory gazowe urządzone dla celów programu w sanatoriach. Zainteresowanie Himmlera wykorzystaniem komór gazowych T4 wynikało głównie z rosnącej konieczności zwalniania przestrzeni w obozach. Ponieważ ciągle dojeżdżali więźniowie zdolni do pracy niewolniczej na rzecz niemieckiego wysiłku wojennego, pojawiła się

paląca bardziej niż kiedykolwiek potrzeba eliminacji niezdolnych do pracy – darmozjadów.

Kilka tygodni po wysłaniu listu do Bouhlera Reichsführer dostał zgodę na wykorzystanie zasobów T4. Jednak nowymi seriami zagazowań nie miały kierować biura T4 z kancelarii Führera, lecz Inspektorat Obozów Koncentracyjnych Himmlera z siedzibą w Oranienburgu, na północnych peryferiach Berlina. Od tej pory stosowano nową nazwę dla masowych mordów: *Sonderbehandlung 14f13*. *Sonderbehandlung*, „traktowanie specjalne”, było eufemizmem SS i policji używanym w odniesieniu do zabijania. W obozowym inspektoracie kod „14f” oznaczał więźnia, który zmarł w obozie. Podgrupa „14f14” oznaczała egzekucję, a „14f8” samobójstwo. Nowy „14f13” wskazywał na śmierć przez zagazowanie.

Realizacja programu 14f13 rozpoczęła się wiosną od próby przeprowadzonej w męskim obozie w Sachsenhausen, mieszczącym się tuż obok inspektoratu Himmlera w Oranienburgu. W kwietniu 1941 roku do obozu przyjechała komisja lekarska i zaczęła selekcję. Z powodu wycieku informacji dotyczących gazowania ludzi w Grafeneck pięć miesięcy wcześniej operację w Sachsenhausen otoczono jeszcze ściślejszą tajemnicą, ale dzięki listom pisany przez członka komisji lekarskiej ocalały pewne szczegóły.

Friedrich Mennecke, psychiatra z T4, pisał codziennie do żony Evy i opowiadał jej o swojej pracy w Sachsenhausen. Zatrzymał się w hotelu Eilers w Oranienburgu, w „dużym i ładnym pokoju”, a jego współpracownicy z Tiergartenstrasse 4 dojeżdżali codziennie na przedmieścia S-Bahnem. Jego praca była „bardzo, bardzo interesująca”, a popołudniami chodził na kawę i ciastko z komendantem. Po czterech dniach Mennecke ze współpracownikami „rozpatrzyli” od 250 do 400 więźniów<sup>130</sup>.

Kilka tygodni później wskazani przez Menneckiego w Sachsenhausen więźniowie zostali przewiezieni do Sonnenstein koło Drezna, ośrodka z komorami gazowymi, również ukrytego w sanatorium. Był to kolejny punkt zwrotny w eskalacji nazistowskiego programu zagłady; po raz pierwszy więźniowie obozu koncentracyjnego zginęli w wyniku zagazowania. Usatysfakcjonowany Himmler nakazał personelowi 14f13 – i współpracownikom z T4 – rozpocząć selekcję więźniów w innych obozach, by przetransportować ich do komór gazowych.

Latem jednak ponownie zbuntowała się opinia publiczna i gazowanie



przerwano. Tym razem niepokoje wzbudził nowy ośrodek zagazowywania przy szpitalu dla umysłowo chorych w Hadamarze koło Limburga. Instytucja zajmowała dawny franciszkański klasztor, a komory gazowe umieszczono w jednym skrzydle, jednak i tym razem przykrywka zawiodła. W czerwcu 1941 roku biskup Limburga napisał:

Kilka razy w tygodniu przyjeżdżały do Hadamaru autobusy pełne ofiar. Dzieci z pobliskiej szkoły znają te pojazdy i mówią: „O, znowu jedzie mordercze pudło”. Albo wywołują się po imieniu i krzyczą: „Jesteś głupkiem, pójdziesz do pieca w Hadamarze!”. Starsi ludzie mówią: „Nie wysyłajcie mnie do państwowego szpitala. Kiedy wykończą chorych umysłowo, przyjdzie kolej na następnych darmozjadów, a będą to starzy ludzie”<sup>131</sup>.

Nie dało się też ukryć dużej liczby urn, które nagle pojawiły się w krematoriach w całym Niemczech. Wstrząśnięci krewni dowiadywali się, że ich bliscy, zwykle pacjenci szpitala psychiatrycznego, niespodziewanie zmarli; nie można było przechować ciała z powodu ryzyka zakażenia, więc należało je spalić. W wielu przypadkach urny trafiały do niewłaściwej rodziny, niektóre otrzymywały dwie. Najbardziej przerażające, szczególnie dla katolików, było to, że ich bliskich w ogóle skremowano.

Wiosną i latem 1941 roku przez Niemcy przeszła fala milczącego protestu. Rodziny umieszczały jednakowe nekrologi w gazetach, wyrażając niewiarę w „niezrozumiałe” wieści o nagłej śmierci bliskiej osoby. Prawnicy działający w imieniu rodzin pacjentów nadal przebywających w placówkach twierdzili, że „oszukuje się” rodziny „straszonym programem”, a dla zatajenia sytuacji wykorzystuje się „kiepski kamuflaż”. Odpowiedzialni za to „zatracili rozróżnienie między dobrem i złem”, napisał katolicki ksiądz.

3 sierpnia 1941 roku doszło do najpoważniejszego protestu. Clemens August Graf von Galen, biskup Münster, potępił morderców z ambony: „bezpłodny życie” nie jest powodem do morderstwa. W owym czasie artykuły o tajemniczych mordach i „przykrywkach” zaczęły pojawiać się w zagranicznej prasie, głównie w „New York Timesie”.

Protesty zaczęły się w niedogodnym momencie dla Hitlera. 22 czerwca 1941 roku siły niemieckie wkroczyły do Rosji i Führer skupił się na Armii Czerwonej. Niepokoje wewnętrzne prowadziły zatem do rozproszenia uwagi. Mimo tego, nie chcąc prowokować szerszych zamieszek, ponieważ dojrzewały już bardziej ambitne plany masowej zagłady, w sierpniu Hitler zapowiedział,

że przerwie krajowy program eutanazji. Protesty publiczne szybko wygasły i znów mógł się skoncentrować na najważniejszym celu: pokonaniu Stalina i unicestwieniu 3 milionów rosyjskich Żydów.

Własne oddziały śmierci SS, *Einsatzgruppen*, Specjalne Grupy Operacyjne, udały się na tyły wojsk niemieckich, gdzie zajmowały się likwidowaniem rosyjskich Żydów i przez całe lato Reichsführer wyjeżdżał na podbite ziemie radzieckie, by nadzorować działania. Oddziały stosowały głównie masowe rozstrzeliwania. Na początku rozkaz Hitlera obejmował tylko strzelanie do mężczyzn – być może uważał, że jego plutony egzekucyjne nie były wystarczająco „uodpornione” i „nawykłe do własnego okrucieństwa”, jak to ujął biograf, by strzelać do kobiet i dzieci<sup>132</sup>. Jednak pod koniec lipca Himmler wydał rozkaz, by rozstrzeliwać również kobiety i dzieci z rodzin rosyjskich Żydów.

Podczas wizyty w Mińsku 15 sierpnia Reichsführer zażyczył sobie obserwacji masowego rozstrzeliwania. Stał przy rowie i patrzył, jak grupy Żydów i partyzantów – mężczyzn i kobiet – ginęły od strzałów i wpadały do dołu. Pewien żołnierz powiedział później: „Po pierwszej salwie przyszedł Himmler i osobiście zaglądał do rowu, by sprawdzić, czy ktoś nie przeżył. Powiedział do mnie: «Poruczniku, proszę dobić tego». Himmler stał tuż obok mnie, gdy wykonywałem rozkaz”.

Jeśli nawet Himmler miał jakieś zastrzeżenia co do objęcia kobiet swoimi nowymi planami gazowania więźniów w obozach koncentracyjnych w Rzeszy, po Mińsku pozbył się wszelkich obiekcji. Wczesną jesienią 1941 roku wydał upoważnienie do wznowienia selekcji w obozach koncentracyjnych w ramach nowego planu zabijania 14f13, a Ravensbrück miało zostać objęte programem.

Rozkaz zatrzymania programu eutanazji, wydany przez Hitlera latem, nigdy nie był tym, czym się wydawał. Mordowanie upośledzonych dorosłych Niemców w komorach gazowych w sanatoriach w dużej mierze ustało, ale tylko po to, by ułagodzić Kościół, a „eutanazje” przeniesiono do innych instytucji i dokonywano ich przy użyciu innych metod, zwykle przez wstrzykiwanie śmiertelnych substancji. Dzieci truto lub głodzono na śmierć.

Tymczasem Himmler przejął wolne moce przerobowe komór gazowych T4, by wykorzysta je do pozbycia się „darmozjadów” z obozów. W listopadzie 1941 roku doktor Mennecke, lekarz T4, który dokonał pierwszej selekcji

więźniów 14f13 w Sachsenhausen, dostał skierowanie do pracy w Ravensbrück. Do obozu przyjechał w najściślejszej tajemnicy, ale znamy datę, 19 listopada 1941 roku, ponieważ wtedy wysłał pierwszy list do żony z Fürstenbergu. Podróżował pociągiem, w łóżku hotelowym panoszyły się pchły, spacer do obozu trwał długo i była mgła.

Friedrich Wilhelm Heinrich Mennecke, syn kamieniarza, urodził się w 1904 roku koło Hanoweru. W chwili wybuchu I wojny światowej miał dziesięć lat i machał na pożegnanie ojcu, który mimo swych czterdziestu dwóch lat dostał powołanie na front. Trzy lata później Friedrich widział powrót ojca do domu, ciężko rannego i z nerwicą frontową. Złamany życiem inwalida zmarł w wieku pięćdziesięciu lat, zostawiając w ubóstwie żonę i dwoje dzieci.

Po ukończeniu szkoły Friedrich nie mógł iść na studia i podjął pracę jako komiwojazer. Dopiero później, z pomocą krewnych, zrealizował swoje ambicje medyczne. Kiepski student, ale oddany nazista, wyspecjalizował się w psychiatrii i w 1939 roku został dyrektorem Państwowego Szpitala Psychiatrycznego Eichberg, gdzie poznał Evę Wehlan, młodszą o dziesięć lat technik medyczną, z którą się ożenił. W lutym 1940 roku, gdy ruszyła realizacja programu eutanazji T4, został zaproszony na konferencję w Berlinie. Razem z innymi dwunastoma lekarzami miał wyselekcjonować „żywych niewartych, by żyć” w szpitalach dla umysłowo chorych. Ponieważ wszyscy pozostali „bez wahania zgodzili się” wykonać zadanie, Mennecke poszedł w ich ślady.

Kiedy w 1941 roku program T4 rozciągnięto na obozy koncentracyjne, z nową kategorią 14f13, ponownie przydały się jego umiejętności. Jest powód, by podejrzewać, że w przypadku Ravensbrück tajemnicę zachowywano szczególnie ściśle, być może z powodu obaw Himmlera, że gazowanie kobiet na niemieckiej ziemi to pójście o jeden krok za daleko i wymagało specjalnego kamuflażu. Nie tylko Mennecke dostał instrukcje, aby nigdy nie wspominał, że pracował w Ravensbrück, ale też nazwę obozu pominięto we wszystkich dokumentach SS odnoszących się do nowego programu 14f13.

Oficjalne pismo datowane na 10 grudnia 1941 roku, jeden z kilku zachowanych dokumentów dotyczących 14f13, zawiera instrukcje dla dowódców SS o tym, jak i kiedy selekcjonować osoby do zagazowania. Zaadresowany był do komendantów Dachau, Sachsenhausen, Buchenwaldu, Mauthausen, Auschwitz, Flossenbürga, Gross-Rosen, Neuengamme i Niederhagen. List oznajmia, że „komisarze medyczni na krótko odwiedzą

wyżej wymienione obozy w celu przebadania więźniów”; kolejne wizyty odbędą się w pierwszej połowie stycznia 1942 roku<sup>133</sup>.

Pismo dostarcza szczegółowych informacji o tym, jak obozowi lekarze powinni dokonać wstępnej selekcji jeszcze przed przyjazdem komisji lekarskiej. Załączony został formularz „do wypełnienia na tym etapie”.

Pominięcie Ravensbrück na liście wyznaczonych obozów jest tym bardziej niezwykle, jeśli weźmie się pod uwagę, że do tej pory już odbyła się jedna wizyta „komisji lekarskiej”, a kolejna miała się lada moment rozpocząć. Należy zatem założyć, że dla zachowania akcji w tajemnicy informacje i załącznik otrzymywał Max Koegel osobiście we wcześniejszym terminie od pracownika Inspektoratu do spraw Obozów. Ta ogromna tajemniczość wywołała zamieszanie w obozie i zaciemniła po wojnie przebieg wydarzeń. Do dziś wiele szczegółów tego wczesnego etapu nazistowskiego ludobójstwa pozostałoby nieudokumentowane, gdyby nie fakt, że doktor Friedrich Mennecke zapisywał bardzo dokładnie wszystko, co się działo, w listach wysyłanych – czasem dwa razy dziennie – do żony.

Pierwszy list Menneckiego z Ravensbrück (datowany w Fürstenbergu w Meklemburgii, w środę 19 listopada 1941 roku, godzina 19.15) nadaje ton. Jakby rozmawiał z Evą – i będzie faktycznie z nią rozmawiał, dosłownie za moment – zaczyna:

*Moja najdroższa Mamusko!*

*Właśnie zamówiłem rozmowę telefoniczną, zastanawiam się: jak długo przyjdzie czekać? Opowiem ci wszystko przez telefon, ale gwoli uzupełnienia piszę też ten list. Na obiad zamówiłem pieczoną dziczyznę, ale teraz wypiję toast za ciebie. Na zdrowie! Straszna dziś mgła, nic nie widać na 100 metrów. Angole nie będą mogli atakować w taką pogodę<sup>134</sup>.*

Opisuje, jak mu minął dzień, zaczynając od Berlina przy Tiergartenstrasse 4, gdzie zjadł śniadanie z przełożonymi, w tym lekarzami Paulem Nitschem i Wernerem Heydem, „którzy zachowywali się bardzo, bardzo przyjaźnie” i „przesyłają ci pozdrowienia”. Nitsche i Heyde poinstruowali też Menneckiego w kwestii przyszłych planów. Dowiedział się, że z Ravensbrück pojedzie do Buchenwaldu, a potem do męskiego obozu koncentracyjnego na

wschodzie, Gross-Rosen. „Zajmie to panu około czternastu dni, ponieważ w KZ można załatwić 70–80 dziennie”, mówi Evie, odnosząc się do niezwykłego tempa wybierania ofiar do zagazowania w obozach w porównaniu ze szpitalami i zakładami dla obłąkanych, gdzie pracował wcześniej.

Mennecke wyruszył do pracy w Ravensbrück. Przed podróżą pociągiem zjadł smażoną kielbasę, „50 gramów mięsa” (odniesienie do kartek na mięso) z ziemniakami i kapustą. W Fürstenbergu najpierw udał się do hotelu, potem do obozu.

Przy głównej bramie Mennecke został przedstawiony Koegelowi, który mu powiedział, że ma do zbadania tylko 259 więźniarek, co oznaczało „pracę dla dwóch ludzi zaledwie na dwa dni”; do Menneckego miał dołączyć jego współpracownik, Curt Schmalenbach, chociaż Menneckego irytowała ta perspektywa – „Poradziłbym sobie z tym sam”. Mennecke mówi Evie, że jeśli skończy do soboty, pojedzie prosto do Weimaru, czyli Buchenwaldu. „Tam będzie chyba więcej pracy – pisze, mając na myśli większą liczbę więźniów – więc będziemy badać we trzech”.

„Wypiłem kawę z *Adju* [adiutantem] – w kantine oficerskiej – i omówiliśmy grafik pracy [selekcji], zamówiłem piwo”. Koegel zalecił Menneckemu zmianę hotelu z powodu robactwa i przeniesienie się do lepszego, chociaż w pobliskiej knajpie „przebywa wielu odrażających żołnierzy”.

Kończąc list – najwyraźniej w tym momencie odbyła się zamówiona rozmowa – Mennecke wspomina o ofensywie na Wschodzie: „Liczymy na szybki postęp. Tutejsi ludzie uważają, że wojna skończy się do następnego lata. Miejmy nadzieję. Połóż się już do łóżka i śnij słodko. Gorące całusy, wiele, wiele, wiele całusów od wiernego Fritza Pa”.

21 listopada w czwartek wypadł pierwszy dzień pracy Menneckego w Ravensbrück. Przekazuje Evie te same obsesyjne szczegóły, gdy dorzuca bieżący komentarz: „Siadam do obiadu, jest zupa z soczewicy z bekonem i omlet na deser”. Z tego listu dowiadujemy się nieco więcej o jego pracy. Spotkał się z lekarzem SS Sonntagiem i sturmbannführerem SS Koegelem, a podczas spotkania „stało się jasne, że liczbę ludzi, o których mowa [czyli wyznaczonych do zabicia], trzeba powiększyć o kolejnych 60 czy 70”. Sonntag najwyraźniej zbyt wąsko zinterpretował kategorię „darmozjadów” i błąd ten teraz Mennecke naprawiał, zwiększając liczbę, co stanowiło pewną niedogodność – musiał zostać do poniedziałku.

Mimo tego Mennecke jest zadowolony z sytuacji, prace przebiegają „płynnie” – nie tylko dlatego, że nie musi zbyt wiele robić. Sonntag przyprowadza mu „klientki” i krótko opisuje ich zachowanie, więc „praca idzie płynnie”. Musi tylko wypełnić rubryki w formularzu: „Nagłówki rubryk są już wpisane, więc notuję jedynie diagnozę, najważniejsze symptomy itd.”. I Mennecke mówi z zadowoleniem, że po rozmowie z doktorem Heydem w Berlinie pozbył się Schmalenbacha, który nie przyjedzie wcale.

Po obiedzie poszedł na przyjemny spacer z Koegelem i Sonntagiem – „zwiedzamy obory z bydłem” – a później zjadł w kantynie oficerskiej kolację z Sonntagiem, na którą podano trzy rodzaje kiełbasek. Przed pójściem spać pisze: „Pójdę teraz na mały spacer, wyślę ten list, żeby dotarł dziś w nocy. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku, jako i u mnie. Czuję się wspaniale. Przyjmij kolejną porcję gorących całusów od panicza i uściski od wiernego Fritza Pa”.

Mijają dni, a listy Menneckego mnożą się wraz z coraz dokładniejszymi informacjami o posiłkach, hulankach, kartkach żywnościowych, rezerwacjach podróży, pokojach hotelowych, czarnorynkowych transakcjach i innych drobiazgach, pomieszanymi z opisami podpisywania wyroków śmierci na kobiety. Powodem tego zalewu szczegółów mogło być poczucie historycznej misji. W niektórych listach pojawiał się zwrot „Ten, kto pisze, żyje” albo „Będą one [listy] świadectwem tych najwspanialszych czasów ze wszystkich”. Listy z pewnością pokazują, z jaką łatwością potrafił wymazać obozowe tło z pola widzenia: po dwóch latach odhaczania upoważnienia do „zagłady z litości” Mennecke tak przywykł do własnego okrucieństwa, że już nawet nie musiał oglądać „klientów”.

Czasem nazywał więźniarki „towarem”. Z całą pewnością nigdy nie odnosił się do nich jak do kobiet. Wiadomo, że potrafił obrzucać kobiety obelgami, gdyż w jednym z listów nazywa szwagierkę bolszewiczką, ponieważ „chleje i się łajdaczy”, ale „klientki” nie wywoływały takiej reakcji, a kiedy wpisywał ich dane w formularze, stawały się zwykłymi „kartkami”, które trzeba na czas odesłać do Berlina. Ani też Eva nie wykazywała zainteresowania „klientkami”. W odpowiedziach do swojego „drogiego Fritza Pa” Eva pyta, „czy dużo dziś pracowałeś” albo „kiedy uda ci się to skończyć?”, i opowiada o własnych posiłkach oraz myszy na piętze.

Chociaż Mennecke ledwo zwracał uwagę na „klientki”, „klientki” uważnie obserwowały Menneckego. Wieczorem po przyjeździe psychiatry Emmy Handke z rewiru miała dostarczyć dokumenty wszystkich pacjentek. „Musiałyśmy przekazać akta osobowe wszystkich Żydówek, zawodowych przestępczyń, nieuleczalnie chorych i tych z syfilisem”<sup>135</sup>. Przez następnych kilka dni kobiety te zabierano grupami do łaźni, gdzie doktor Mennecke siedział z piórem za stołem, na którym piętrzyły się formularze; za nim stał doktor Sonntag.

Każda kobieta musiała się rozebrać i przejść przed nim nago. Emmy dowiedziała się później, że niektórym z nich zadawał pytania: „Na przykład Żydówce, czy jest mężatką i czy ma z tego związku dzieci i tak dalej”. Inna sekretarka z kancelarii, Maria Adamska, słyszała, że kobiety musiały paradować nago przed komisją w odległości około 7 metrów. To nie było prawdziwe badanie lekarskie.

Według Emmy pierwszą grupę stanowiły kobiety z syfilisem i prostytutki. Inne twierdziły, że jako pierwsze poszły Żydówki z wadami genetycznymi i nieuleczalnie chore. Wszystkie zgadzały się, że wezwane na początku kobiety znajdowały się na listach Sonntaga.

Wkrótce zapanowała nowa trwoga: więźniarki zauważyły, że wzywają kobiety nie tylko z list Sonntaga. Zdrowe mieszkanki bloku żydowskiego, między innymi Käthe Leichter i Olga Benario, musiały przejść przed komisją. Sonntag nigdy nie okazywał zainteresowania zdrowymi. Käthe zameldowała Rosie Jochmann:

Powiedziała, że wiele Żydówek z bloku 11. musiało stanąć nago wzdłuż pięćsetmetrowej linii przed lekarzami. Ale lekarze na nie wcale nie patrzyli. Jeden z nich podszedł do Käthe i spytał: „*Frau doktor* Leichter, jakie ma pani wykształcenie?”, a ona odparła: „Filozofia i ekonomia polityczna”. Na to lekarz rzekł: „Filozofia się pani przyda”.

Potem przyszła kolej na badaczki Pisma Świętego. Niektóre zabrano do łaźni prosto z kozła, gdzie dostały bicie. Komisja zbadała kobiety z obozowego szpitala podejrzane o choroby płuc; lekarze z Berlina powiedzieli im, że kierują je „na dalsze leczenie”. Ku przerażeniu komunistek przed komisję wezwano Lotte Henschel, Tilde Klose i Linę Bertram – trzy towarzyszkę, którym obiecano uwolnienie z powodu gruźlicy. Każdej chorej groziło ryzyko selekcji.

Clara Rupp, która pracowała wówczas w rewirze, była tak przerażona, że nie mogła spać. „Zwróciłyśmy uwagę, że każda, która zgłasza się do szpitala, bez względu na powód, dostaje diagnozę choroby genetycznej lub podejrzenie gruźlicy”. Zwykle rozpoznanie było sfabrykowane. „Aby pozbyć się z obozu możliwie jak najwięcej osób, władze wszelkimi środkami zwiększały liczbę chorych. Od razu zrozumialiśmy, że to oszustwo, i ostrzegłyśmy koleżanki, żeby nie przychodziły do rewiru”.

Również część esesmańskich pielęgniarek rozumiała, co się dzieje. Jedna z nich rzekła do Clary: „Kiedy te transporty się rozkręcą, obóz szybko opustoszeje”. Spytałyśmy jej, co ma na myśli, a ona rzekła: „Nie mogę zdradzić prawdy, a nie chcę was okłamywać”.

Aspóeczne czekał nowy horror. Czarne „łaty” trafiały na listy już nie tylko z powodu syfilisu lub rzeżączki; selekcje władze wykorzystywały również jako rodzaj kary. Na przykład te, które zgodziły się wykonywać karę bicia dla Maxa Koegela, komisja pominęła przy selekcji, ale Else Krug, prostytutka, która odmówiła Koegelowi przeprowadzenia chłosty badaczek Pisma Świętego, została wyznaczona. Gdy Else przechodziła nago przed Friedrichem Mennecke, w uszach musiały jej brzęczeć słowa Koegela: „Popamiętasz mnie jeszcze, zobaczysz”.

Mennecke dowiedział się o rozszerzeniu kryteriów selekcji, kiedy, ku jego irytacji, mimo wszystko w obozie pojawił się jego współpracownik z T4, Schmalenbach. Co gorsza, przywiózł ze sobą jeszcze jednego pracownika T4, doktora Meyera, a swoją obecność wytłumaczył nowymi instrukcjami: liczba wyselekcjonowanych więźniarek miała teraz wynieść dwa tysiące – ponad sześć razy więcej niż początkowy cel Menneckiego – 320. Nawet Menneckiego zaskoczyła nowa wyznaczona liczba. Napisał do Ewy: „Mamy tu zrobić więcej, niż przewidywano na początku: dwa tysiące formularzy!”.

Jego zaskoczenie – zdumienie wręcz – jest wiele mówiące; po dwóch latach bycia lojalnym trybikiem w maszynie T4 nawet Mennecke dostrzegł, że został wymanewrowany. Przez cały program „eutanzji” przez zagazowanie sumiennie wystawiał diagnozy osobnikom niegodnym, by żyć, zgodnie z ustalonymi kryteriami, ale teraz kryteria się zmieniły. Nie tylko skierowano go do selekcji więźniów w obozach koncentracyjnych, zamiast upośledzonych w sanatoriach, jak wcześniej, ale też wytyczne dotyczące wyboru więźniów



rozszerzały się co kilka dni.

Od chwili przyjazdu docelowe liczby podawane Menneckemu ciągle wzrastały, na początku z 259 do 328 – prawdopodobnie na osobisty rozkaz Himmlera. Szacując, że – podobnie jak jego żołnierze wykonujący egzekucje w Rosji – Mennecke do tej pory „przywykł do własnego okrucieństwa”, Himmler podwyższył liczbę do 2 tysięcy.

Zważywszy, że wówczas w obozie przebywały 6544 więźniarki, nowy cel oznaczał, iż „litościwie zgładzonych” zostanie jedna trzecia kobiet w Ravensbrück. Mennecke zorientował się teraz, że jego diagnozy były stratą czasu: liczby ustalono w Berlinie i to go rozzłościło. Berlin nie dbał o to, które „kartki” wybierze, skarżył się Evie. To „chaos”, pisał. „Kto za to odpowiada w Berlinie?”

Mimo to Mennecke wykonywał swoje obowiązki. Razem ze Schmalenbachem i Meyerem starali się szybko zrealizować zadanie. Zaczęli rywalizować, który wypełni najwięcej „kartek”. Mennecke napisał Evie, że „do jedenastej przed południem tamci dwaj wypełnili tylko 22 formularze, podczas gdy ja sam zrobiłem do południa 56!”. Przynajmniej mogli oszczędzić czas, odhaczając „klientki” żydowskiego pochodzenia. Tutaj również obowiązywały nowe instrukcje. Nie tylko podniesiono docelową liczbę, ale też trzech lekarze dostali z Berlina nakaz, aby nie kłopotać się badaniem Żydówek, jak zeznał Mennecke na powojennym procesie.

Mennecke, na ławie oskarżonych w 1947 roku podczas norymberskiego procesu lekarzy, prowadzonego we Frankfurcie, złożył zeznanie niemal równie szczere jak listy do żony. Opisał na przykład, jak w listopadzie 1941 roku dostał nagle instrukcje, aby do „litościwej zagłady” wybierać więźniarki „na podstawie politycznej i rasowej” oprócz „przyczyn medycznych”. Od tej chwili lekarze nie badali Żydówek, tylko dołączali je do wyselekcjonowanych wyłącznie na podstawie pochodzenia. Sąd skazał Menneckego na powieszenie, ale lekarz zmarł w celi. Dwa dni wcześniej odwiedziła go żona i powszechnie uważano, że przekazała „Fritzowi Pa” środek umożliwiający samobójstwo.

Wieczorem przed wyjazdem z Ravensbrück do następnego wyznaczonego miejsca, Buchenwaldu, Mennecke zjadł kolację z żoną doktora Sonntaga, Gerdą. Tego dnia napisał do Evy, że zajadał w kantynie oficerskiej wołowinę z kapustą i ziemniakami. Potem na kolację mięso, chleb i herbatę, a na koniec przed snem dwa kawałki ciasta w kawiarence. Przypomniał Evie, że nazajutrz wyjeżdża, i powiedział, że personel obozu ma zamiar sam znaleźć pozostałe

1500 „klientek”. On sam nie mógł dokończyć zadania, nie tylko dlatego, że Berlin odwołał Schmalenbacha i Meyera, zanim misja zostało wykonana.

Formularze podpisane już przez Menneckego odesłano do Berlina z jego adnotacjami. Do każdego załączono fotografię więźniarki z nabazgroloną z tyłu uwagą, jakby chciał pamiętać, kto jest kim. Zachowała się garstka tych fotografii, a uwagi sugerują, wbrew wrazeniu, jakie można odnieść na podstawie listów, że czasem interesował się „klientkami”. Na jednym zdjęciu napisał: „Anna Sara, Żydówka, Czeszka, działaczka marksistowska, zajadła nienawidzi Niemców, miała związki z angielskim ambasadorem”. Na innym: „Charlotte Sara, urodzona we Wrocławiu, rozwiedziona, Żydówka, katoliczka, pielęgniarka, próbowała zataić żydowskie pochodzenie i nosiła krzyżyk”.

Po tym, jak komisja lekarska wyjechała z Ravensbrück, wśród więźniarek zapanował lęk innego rodzaju. W listopadzie 1941 roku esesmani rozstrzelali kolejne trzy Polki – matkę i dwie córki – a na początku grudnia przeprowadzili egzekucję kolejnych Polek. Strzały dały się słyszeć w całym obozie, a niedługo potem do magazynu trafiły zakrwawione ubrania.

Każda kobieta w obozie zastanawiała się, czy dożyje końca zimy. Więźniarki pracujące w drużynach zewnętrznych miały kończyny sine i napuchnięte od odmrożeń. W grudniu w liście do Carlosa Olga napisała: „Pragnę tylko, by tak potrzebne siła psychiczna i kondycja fizyczna pozwoliły mi przetrwać nadchodzącą zimą. Pytanie brzmi jedynie, czy będzie to moja ostatnia zima”.

Wieści z frontu sugerowały, że wojna będzie trwała i trwała, a wizja ta doprowadzała każdą więźniarkę do rozpacz. Na Wschodzie Armia Czerwona broniła linii przebiegającej przez Rostów, Moskwę i Stalingrad, a 7 grudnia, po ataku Japonii na Pearl Harbor, do wojny dołączyła Ameryka.

Kobiety z bloku żydowskiego już miały wszelkie powody do obaw w związku z przedłużaniem się wojny. W październiku 1941 roku Hitler rozkazał deportować wszystkich niemieckich Żydów; pociągi na Wschód wyjeżdżały z Hamburga i Berlina. Listy do żydowskich więźniarek mówiły o znikaniu całych rodzin. A wraz z wiadomościami o deportacjach Żydów przyszło obwieszczenie, że niemieccy Żydzi nie będą już mogli emigrować, finansowani z zewnątrz lub nie. Dla Olgi oznaczało to, że zwolnienie i wyjazd do Meksyku lub gdziekolwiek indziej stały się mrzonką.

A jednak, pomimo rozpacz, widok rannych niemieckich oficerów

wracających z frontu i zatroskane twarze esesmanów wysyłanych w ich zastępstwie przypominały więźniarkom, że na Wschodzie fala może się w końcu odwrócić. Olga nadal pracowała nad miniatlasem. Jej najnowsze mapy pokazywały wypieranie przez Stalina Niemców spod Rostowa i Leningradu. Na jednej stronie umieściła schemat z gazety przedstawiający ostatnie pozycje sił wokół Moskwy; na odwrocie wycinka znajdowała się informacja o śmierci niemieckiego żołnierza z datą 10 grudnia 1941 roku.

Listy Olgi z tego okresu wcale nie są do końca pesymistyczne:

Bardzo często chce mi się śmiać, gdy pomyślę, jakaż byłaby to dla ciebie niespodzianka, gdybyś zobaczył, jaką kobietą się stałam. Ale nauczyłam się tutaj doceniać prawdziwą wartość wszystkiego, co jest ludzkie, wyzyna, do jakich wznieść się może ludzka dusza [...]. Masz nowe zdjęcie Anity? Niedługo sama będzie potrafiła do nas napisać.

Jednak w tym samym liście Olga przyznaje, że wiara w lepszą przyszłość teraz chwilami ją przerasta: uważa, że „buduje zamki na piasku, myśląc o naszej wspólnej przyszłości”.

W grudniu nadal nie było żadnych wieści o losie kobiet wybranych przez Menneckego i nie zrobiono nic, by wybrać dodatkowe 1500 więźniarek potrzebnych do wypełnienia jego list. Przyczyną bezczynności mógł być wyjazd doktora Sonntaga, który udał się na front pod Leningradem. Przyjęta na jego miejsce lekarka Oberheuser prawdopodobnie była za młoda, aby powierzyć jej tak ważną funkcję, jak selekcja na śmierć. Ale chwilowa ulga nie potrwiała długo.

Mniej więcej na tydzień przed Bożym Narodzeniem władze przestały udawać, że do selekcji więźniów potrzebny jest lekarz, i Max Koegel otrzymał nakaz, by osobiście wypisał nazwiska. Komendant zastosował metodę delegowania i zlecił to zadanie blokowym.

Koegel postąpił bezprecedensowo i zebrał razem wszystkie blokowe, żeby ogłosić im, co ma się wydarzyć. Rosa Jochmann opisała zbiórkę jako „apel dla blokowych”<sup>136</sup>. Z całą pewnością wydarzenie było niezwykle – być może jedyne w swoim rodzaju – i wywołało falę złych przeczuć, która szybko zmieniła się w niedowierzanie i przerażenie, kiedy kobiety zrozumiały, co właśnie słyszą. „Koegel powiedział nam – relacjonowała Rosa – że musimy wskazać wszystkie kobiety, które są chore lub nie mogą pracować, ponieważ

trzeba je wysłać do sanatorium. Skinął głową na bunkier i dodał: «Jak tego nie zrobicie, skończycie tam i wiecie, co to oznacza»».

Przed komendantem stało dwadzieścia kobiet, najbardziej uprzywilejowane więźniarki w obozie. Prawie wszystkie zdobyły wpływy po przejściu funkcji kapo na początku roku. Stały przed niemożliwym wyborem. Koegel już wcześniej mógł liczyć na ich współpracę i najwyraźniej ufał, że małym podstępem sprawi, iż będą również dokonywać selekcji do komór gazowych. Wszystko to obserwowała Langefeld z dwoma zaufanymi *Lagerälteste*, Berthą Teege i Luise Mauer, u boku. Te dwie dostały własne instrukcje: miały zebrać od blokowych nazwiska i przekazać je Langefeld, której z kolei Koegel powiedział, że odpowiada za całą akcję.

Nigdy się nie dowiemy, jak dokładnie zareagowały blokowe; jedynymi świadkami były te z nich, które przeżyły wojnę, a one, dokładnie z tego powodu, że znalazły się na „apelu” i odegrały swoją rolę, miały skłonność do manipulowania prawdą. Niektóre przyznały, że przekazały listy nazwisk, inne odrzuciły sugestię, a część próbowała się usprawiedliwić: lepiej, że to one sporządziły listę, niż gdyby selekcji dokonało SS.

Nanda Herbermann, pisarka, katoliczka i blokowa aspołecznych, powiedziała, że wybrała dziesięć czy dwanaście schorowanych aspołecznych, ponieważ wówczas wierzyła, że naprawdę zostaną zabrane do sanatorium. Rosemarie von Luenink, szubowa, twierdziła, że jej blokowa nie zgodziła się wybrać nikogo. Minna Rupp, komunistka ze Szwabii, blokowa, która dręczyła Grete Buber-Neumann po jej przybyciu do obozu, również odmówiła dostarczenia nazwisk.

Grete nie zaprzeczyła, że wybrała nazwiska – była wówczas blokową badaczek Pisma Świętego – ale stwierdziła, że zrobiła to, wierząc w zapewnienia Koegela. „Dostałyśmy rozkaz, żeby podać nazwiska więźniarek kalekich od urodzenia, moczących się w nocy, z amputowanymi kończynami, chorych umysłowo i cierpiących na astmę oraz gruźlicę. SS zapewniło nas, że przetransportuje je do obozu, gdzie praca jest lżejsza”. Jednak oświadczenie Grete jest nietypowo lakoniczne. I trudno się nie zastanawiać, dlaczego, skoro naprawdę nie podejrzewała złowrogich intencji, tak rozpaczliwie walczyła wraz z Mileną, aby Lotte Henschel usunąć z pierwszej listy selekcyjnej.

Lotte Henschel była jedną z trzech niemieckich komunistek, które wczesną jesienią dostały obietnicę uwolnienia z powodu gruźlicy, ale potem znalazła

się na liście selekcyjnej Waltera Sonntaga. Greta poznała Lotte w „Alexie”, berlińskim więzieniu, przed wywiezieniem do Ravensbrück, i od tamtej pory trzymały się razem. Milena zaprzyjaźniła się z Lotte w rewirze, gdzie młoda niemiecka komunistka również pracowała, i to właśnie tam Milena patrzyła, jak choroba atakuje Lotte. Wiedząc wówczas, że pacjenci z gruźlicą są uwalniani, Milena uknuła podstęp, by załatwić Lotte wypuszczenie z obozu, i podmieniła próbkę śliny koleżanki na taką, która wskazywała na gruźlicę. Jednak sztuczka obróciła się przeciwko nim, ponieważ kiedy Sonntag zaczął opracowywać listy, jako pierwsze wciągał na nie osoby chore na gruźlicę.

Milena za zachętą Grete na próżno próbowała odwrócić decyzję dotyczącą Lotte. „Milenę zdręczały wyrzuty sumienia – opowiadała później Grete. – Miała więcej próbek śliny, oczywiście z negatywnym wynikiem, i błagała Sonntaga, żeby wypuścił Lotte [ze szpitala], ponieważ w cudowny sposób ozdrowiała”. Walter Sonntag – tuż przed wyjazdem pod Leningrad – w końcu się zgodził i wykreślił Lotte z listy”. Od śmierci ocalił Lotte tylko fakt, że Sonntag znał ją osobiście, ponieważ pracowała w rewirze”, powiedziała Grete, chociaż, oczywiście, nie powiedziała nam, czyje nazwisko trafiło na listę w miejsce Henschel.

Historia Lotte Henschel miała później ciąg dalszy. Według samej Lotte to prawdopodobnie Gerda Sonntag, żona Sonntaga, ostatecznie ocaliła jej życie. Lotte pracowała w rewirze, kiedy Gerda Weyand pracowała tam jako lekarz SS, zanim wyszła za Waltera Sonntaga. W owym czasie Gerda, uważana za przyzwoitą osobę, przyjaźnie odnosiła się do Lotte.

Po wojnie Gerdzie, podobnie jak jej mężowi, postawiono zarzuty popełnienia zbrodni wojennych, szczególnie w związku z transportami śmierci, a ona w swojej obronie twierdziła, że nic o nich nie wiedziała. Lotte złożyła zeznanie przeciwko Gerdzie, mimo że lekarka uratowała jej życie. Fakt, że Weyand pomogła przy usunięciu jej nazwiska z listy selekcyjnej, twierdziła Lotte, stanowi dowód na to, iż znała prawdę o transportach. Co więcej, „gdyby [Gerda Weyand-Sonntag] naprawdę sprzeciwiała się zbrodni, nie ocalałyby tylko mnie, ale też inne kobiety” – uwaga odnosiła się do pozostałych dwóch komunistek z gruźlicą, które miały wyjść na wolność, Tildy Kloze i Liny Bertram. „I wyjechałaby z obozu i odeszła od męża. Ale tego nie zrobiła. Została tam i wspierała go”.

Przypadek Lotte Henschel nie stanowi jedynego dowodu na to, że blokowe wiedziały – lub przynajmniej miały mocne podstawy, by podejrzewać – że

wybór na listę oznaczał śmierć. Jeszcze bardziej obciążające były zeznania obozowych sekretarek zajmujących się rejestracją zmarłych i inną pracą papierkową. Władze na tyle ceniły wysoko wykształconą Polkę Marię Adamską, że powierzyły jej stanowisko sekretarki w obozowym biurze politycznym, gdzie odbywała się rejestracja wszystkich zgonów.

Do końca 1941 roku nie zachodziła potrzeba, aby obóz posiadał własne archiwum. Akty zgonu trafiały do małego publicznego archiwum w domu ludowym w Ravensbrück. W grudniu 1941 roku jednak utworzono nowe archiwum, „Ravensbrück 11”, które podlegało bezpośrednio komendantowi. Maria Adamska zauważyła później, że archiwum powstało dokładnie w tym samym czasie, kiedy nadszedł rozkaz sporządzenia kolejnych list chorych i niepełnosprawnych.

Inna sekretarka, austriacka więźniarka Hermine Salvini, dostarczyła jeszcze więcej dowodów na to, co się szykuje. Hermine, która pracowała w obozowym „wydziale opieki społecznej”, zajmowała się korespondencją więźniarek z najbliższymi krewnymi. W czasie kiedy tworzone były listy, miała sporządzić setki formularzy podających fałszywe przyczyny śmierci. Według Rosy Jochmann Hermine powiedziała innym blokowym, że kazano jej to zrobić. „Powiedziała nam, że w biurze kazali im wystawić 1500 kopii formularza o następującej treści: «W załączeniu informujemy państwa, że ... zmarła w Ravensbrück w wyniku zakrzepu»”.

Rosa należała do tych, które twierdziły później, że od początku wiedziały, iż Koegel kłamał w kwestii sanatorium, i omawiała sprawę z innymi. „Rozumiałyśmy, że sytuacja jest bardzo poważna. Mówiłam o tym moim koleżankom politycznym i postanowiłyśmy nie wybierać nikogo”. Chociaż nie powiedziała, kim były „koleżanki polityczne”, to wydaje się prawdopodobne, że rozmawiała o tym z Käthe Leichter, tak jak o wszystkim innym. Przecież była to jej przyjaciółka jeszcze z czasów Wiednia, z którą stoczyła tyle kampanii o prawa kobiet i która pierwsza zasugerowała jej, by przyjąć funkcję blokowej, żeby mogła robić „coś dobrego”, nawet jako ramię wykonawcze SS. Dla Käthe, która już paradowała przed „komisją lekarską”, sytuacja dwa lata później musiała wyglądać zupełnie inaczej. Rosa poszła do Langefeld i powiedziała jej, że nie będzie selekcionować. „Langefeld nic nie powiedziała – opowiadała Rosa. – Chyba rozumiała”.

Bertha Teege i Luise Mauer po wojnie również wygłosiły oświadczenia i twierdziły, że odmówiły wykonania rozkazu, chociaż z całej grupy kobiet

zeznanie dwóch *Lagerälteste* jest prawdopodobnie najbardziej sprzeczne. W jednym oświadczeniu Luise tłumaczyła, że ona i Bertha „dostały rozkaz, by spisać wszystkie więźniarki niezdolne do pracy”, co wskazuje na to, że miały tylko uzupełnić listy dostarczone przez blokowe własnymi wyselekcjonowanymi. Luise mówi w kolejnym oświadczeniu, że ona i Bertha zostały „zwolnione z obowiązku i że Langefeld zgodziła się, aby w związku z odmową nie zostały ukarane”.

Jednak przy innej okazji Luise przedstawia bardziej dwuznaczną relację. Twierdzi, że ona i Bertha najpierw skonsultowały się z innymi blokowymi, po czym poszły do Langefeld z prośbą o zwolnienie z obowiązku. Tym razem, mówi Luise, „*Frau* Langefeld rozzłościła się naszą odmową i zagroziła karą, jeśli się tym nie zajmujemy”.

Bertha Teege nic nie mówi na temat sporządzania list, ale twierdzi w innym miejscu, że spodziewała się uwolnienia z obozu w styczniu, kiedy miała się odbyć kolejna wizyta Himmlera. Poprzedniczka Teege na stanowisku *Lagerälteste* wyszła na wolność rok wcześniej, a ona objęła funkcję, spodziewając się, że zostanie zwolniona „tak jak Babette Widmann”. W każdym przypadku listy z pewnością zostały spisane, czy to przez kapo, czy *Lagerälteste*, albo jedne i drugie, lecz do Bożego Narodzenia nie było nadal śladu Menneckego.

Boże Narodzenie 1941 roku zostało dobrze zapamiętane z powodu okropnego wiatru, który hulał po obozie, i wyjątkowo siarczystego mrozu, choć bez śniegu. W Wigilię nocna zmiana dozorczyń w szwalni pozwoliła każdej grupie narodowej odśpiewać kolędę, więc Niemki zaczęły *Stille Nacht*. Na początku Polki nie chciały dołączyć, ale potem zmieniły zdanie i zaśpiewały *Bóg się rodzi*, ale kiedy dotarły do słów „podnieś rękę, Boże Dziecię”, zaczęły płakać i przerwały śpiew<sup>137</sup>.

W drodze powrotnej do bloków wigilijna nocna zmiana robotnic minęła choinkę postawioną przez dozorczyń przy Lagerstrasse; miała nawet świece. A w domach esesmanów Hanna Sturm, austriacka stolarz, ustawiła choinki dla oficerów i ich rodzin. Tej nocy więźniarki przekazały sobie drobne upominki. Niektóre wykonały gwiazdki i żłóbki ze słomy. Gwiazdkowym prezentem Olgi dla Marii Wiedmaier był jej miniaturowy atlas.

<sup>125</sup> Zeznanie Teege, „*Hinter Gitter und Stacheldraht*”, ARa 647.

[126](#) *Dictators*.

[127](#) Hayes (red.), *The Journalism of Milena Jesenska*.

[128](#) Anička Kvapilová, cyt. za: Buber-Neumann, *Milena*.

[129](#) Zob. W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 171 (tu podana data 1 lutego – przyp. tłum.).

[130](#) Chroust (red.), *Friedrich Mennecke*.

[131](#) Friedländer, *The Origins of Nazi Genocide*.

[132](#) Longerich, *Heinrich Himmler*.

[133](#) Cyt. za: Mitscherlich, Mielke, *Death Doctors*.

[134](#) Chroust (red.), *Friedrich Mennecke*.

[135](#) Cyt. za: Strebel, *Ravensbrück*.

[136](#) Relację więźniarek z przebiegu wydarzeń w obozie po wyjeździe Menneckiego udało mi się zestawić na podstawie wywiadów, szeregu zeznań w WO 235/416 i WO 235/318 oraz tekstu Rosy Jochmann, *Wenn der Elferblock voll gewesen ist, dann* [...], [www.doew.at/erinern/biographien/erzaehlte-geschichte/half-1938-1945/rosa-jochmann-wenn-der-elferblock-voll-gewesen-ist-dann](http://www.doew.at/erinern/biographien/erzaehlte-geschichte/half-1938-1945/rosa-jochmann-wenn-der-elferblock-voll-gewesen-ist-dann). Zob. też: *Dictators*; Herbermann, *The Blessed Abyss*; wspomnienia Clary Rupp, ARA; zeznanie Teege, „Hinter Gitter und Stacheldraht”, ARA 647; oraz Luise Mauer, BAL 162/9809, i Elling, *Frauen im deutschen Widerstand*.

[137](#) *I boję się snów*, s. 50.



## Rozdział 9

### Bernburg

Na początku stycznia 1942 roku śnieg padał prawie bez przerwy i pokrył dachy bloków piętnastocentymetrową warstwą, ale w dniu przyjazdu Fritzi Jaroslavsky niebo było bezchmurne. Fritzi przyjechała pociągiem z Wiednia w towarzystwie tylko jednego strażnika. Rozkoszowała się widokiem błękitnego nieba. Miała zaledwie siedemnaście lat, a ostatnie dwanaście miesięcy spędziła w gestapowskim więzieniu za pomoc ojcowskiej komórce ruchu oporu.

W nowym 1942 roku do obozu przywożono coraz więcej i więcej schwytanych działaczek podziemia z zagranicy, w związku z nowym niemieckim planem, aby wyrugować buntowników z krajów okupowanych przez Rzeszę. Ojciec Fritzi, Eduard Jaroslavsky, socjaldemokrata i robotnik w fabryce, był jednym z tysięcy Austriaków, którzy – trzy lata po Anschlussie – wciąż działali w podziemiu. Fritzi uważała pomaganie mu za rzecz oczywistą. Wiele jej przyjaciółek postąpiło tak samo. Odgrywała „najzwyczajniejszą rolę – nic szczególnego”. Odbierała tajne wiadomości z samoobsługowej pralni koło biura, gdzie pracowała jako sekretarka; pralnia służyła jako skrzynka kontaktowa, do której docierały wiadomości dla komórki jej ojca. „Kierowniczką od czasu do czasu dzwoniła do mnie i mówiła: «Pani pranie jest gotowe», a ja wiedziałam, że dotarła wiadomość i muszę ją odebrać. Znosiłam ją ojcu”<sup>138</sup>.

Na początku stycznia 1941 roku Gestapo aresztowało kierowniczkę i zabrało książkę telefoniczną pralni z nazwiskami członków komórki. Fritzi spędziła następny rok w wiedeńskim w więzieniu. W czerwcu 1941 roku odwiedziła ją matka i przekazała, że ojciec został ścięty w Berlinie. „Spytali mamę, czy chce odzyskać jego prochy, i kazali jej za to zapłacić. Nie miała pieniędzy”.

Strażnik, który towarzyszył Fritzi w pociągu z Wiednia do Ravensbrück,

powiedział jej, że odprowadzał również jej ojca na egzekucję. Mimo wszystko był dla Fritzi miły i zapewniał ją, że tam, dokąd zmierza, nie ma się czego obawiać; będzie pracowała w polu. Na początku obóz nie wydawał jej się bardziej przerażający od gestapowskiego więzienia. Ku jej zdumieniu inne Austriaczki czekały, by ją powitać. Wiedziały, że jedzie: więźniarki pracujące w kancelarii zobaczyły dalekopis z kwatery głównej Gestapo w Wiedniu i dały znać Rosie Jochmann.

Siatka komunistek również przechwyciła informację o jej przyjeździe – przybyła świeżo z austriackiej stolicy Fritzi stanowiła potencjalne źródło informacji; sama Olga Benario i Maria Wiedmaier znalazły ją w bloku kwarantanny. „Powiedzieli mi, że chcą ze mną porozmawiać dwie ważne więźniarki”, opowiedziała mi Fritzi w swoim mieszkaniu w Wiedniu. W obozie bardzo młodziutka, teraz, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, pozostała jedną z najmłodszych żyjących byłych więźniarek. „Kazały mi wyjść na zewnątrz, ponieważ chciały ze mną rozmawiać na Lagerstrasse. Wyprowadzono mnie i dostrzegłam dwie postacie przy rogu bloku. Można było rozmawiać, ale my szczególnie zadbałyśmy, aby nikt nie mógł nas podsłuchać. Spytały, czy mam jakieś wieści z Austrii”.

Wspomnienie Fritzi o Oldze i Marii w akcji, podczas zbierania informacji, daje rzadką możliwość przyjrzenia się, jak te były radzieckie agentki wywiadu – Żydówka i nie-Żydówka – współpracowały ze sobą, cały czas próbując wykorzystać swoje umiejętności.

– Bardzo mi zaimponowały – przyznała. – Wiele wiedziały i widać było, że są tu od dawna. Oczywiście ogromnie je podziwiałam. Byłam wtedy bardzo młoda.

– Jak wyglądały?

– Jedna ciągle się uśmiechała i powiedziała mi, że mam tu przyjaciół. Myślę, że to była Olga. Ale głównie chciały wysłuchać wszystkiego, co wiedziałam, a nie miałam im zbyt wiele do powiedzenia. Przez dwanaście miesięcy siedziałam przecież w więzieniu.

Mimo tego Fritzi opowiedziała o aresztowaniach w podziemiu i deportacjach Żydów z Austrii, o których usłyszała w więzieniu. W pociągu słyszała, jak pasażerowie rozmawiają o alianckich bombardowaniach Zagłębia Ruhry i oporze radzieckich wojsk pod Moskwą. „I powiedziałam im o działalności ojca oraz o tym, co się z nim stało. Rozmowa była dla mnie przyjemna. Miałam wrażenie, że zaopiekują się mną”.

Kilka dni później Rosa Jochmann zorganizowała przeniesienie Fritzi do bloku 1. i przydział pryczy nad swoim miejscem. Fritzi wiedziała, że ma szczęście, iż udało jej się opuścić blok kwarantanny, gdzie przebywały „kobiety wszelkiego rodzaju”, a tutaj, w bloku 1., spotkała kobiety, które rozumiały się nawzajem. Mogły rozmawiać o ludziach w ojczyźnie. „Czułam się bardziej, jakbym mieszkała z przyjaciółkami. Łatwo było stwierdzić, kto jest kim w obozie. Te z innych bloków nie wyglądały tak czysto i nie były tak dobrze odżywione jak mieszkanki bloku 1.”.

Rosa potrafiła zdobyć dla więźniarek różne rzeczy; czasem miały nawet węgiel do palenia w piecyku. Fritzi załatwiła przydział do pracy w kancelarii. „Sądzę, że w pewien sposób mi matkowała. Tak, zawsze dbała o interes najmłodszych”. Wszystkie kobiety w bloku dobrze się sprawowały, żadna nie kradła, chociaż raz przyłapano jedną, która podbierała chleb z szafki, i ktoś doniósł dozorczyńni. „Dziewczyna dostała 25 batów i trafiła do bunkra, gdzie zmarła”.

Rosa rano serwowała kawę, a wieczorem zupę w pokoju dziennym. „Pozwalała nam po cichu rozmawiać – opowiadała Fritzi. – O dziennej pracy albo o wiadomościach z domu”. Niektóre Niemki miały na froncie mężów i braci, część straciła w ostatnich bombardowaniach rodziny lub przyjaciół.

Rozdziałem jedzenia przy stole Fritzi zajmowała się Anni Wamser, niemiecka komunistka, do której obowiązków należał podział chleba i rozłożenie go na półki więźniarek. Przy tym samym stole siedziała też Maria Wiedmaier, a także niemiecka przyjaciółka Rosy, Cäzilie Helten – zdrobniale Cilli. Rosa i Cilli rzadko rozstawały się w obozie, powiedziała Fritzi; po wojnie otwarcie żyły razem jako lesbijska para w Wiedniu.

Za pośrednictwem Rosy Fritzi wkrótce poznała Austriaczki z innych bloków. *Frau Lange* była żoną mężczyzny, który działał w podziemnej komórce jej ojca, Żydówką, chociaż aresztowano ją za działalność w ruchu oporu. Fritzi spotykała ją na Lagerstrasse i trochę rozmawiała. „Wszystkie rozpaczliwie potrzebowałyśmy wszelkich wieści ze świata zewnętrznego, ale jeśli któraś pytała o mojego ojca, zaczynałam płakać”.

Tyrolka Fini Schneider, mniej więcej trzydziestoletnia Żydówką, wzięła Fritzi pod swoje skrzydła. Fritzi z ogromną czułością wspomina te przyjaźnie, które zawiązały się w pierwszych tygodniach w obozie: stanowiły jedną „austriacką rodzinę”. Często widywała Rose Jochmann spacerującą z Käthe Leichter, „rozmawiały w skupieniu”.

Mniej więcej w tym czasie obóz odwiedził Himmler, co Fritzi zapamiętała z powodu pogłoski, że Reichsführer zaproponował Rosie uwolnienie, ale ona odmówiła. „Słyszałyśmy, jak mu powiedziała, że jest potrzebna w obozie, i nie chciała wyjechać”. Spytałam, czy Fritzi uważa, że to prawda.

– To mogła być prawda. Ale nikt nie lubił o tym mówić.

Na styczniową wizytę Himmlera z niecierpliwością czekała Bertha Teege, która liczyła na uwolnienie. „Kobiety z politycznego były zdenerwowane. Zastanawiały się, kogo tym razem spotka szczęście”, wspominała. Ale „Reichsheini”, jak Bertha nazywała Himmlera, „był w złym nastroju”. Najpierw rozgniewał się na widok nieogolonego esesmana, potem wpadł w furję na wiadomość o słabej wydajności szwalni. Przed wyjazdem Himmler przyszedł do bloku 1. i trochę poprzekomarzał się z Rosą Jochmann: „Czemu tu jeszcze jesteś? Resocjalizuj się lepiej” – i to tyle; wyjechał i nie uwolnił nikogo.

W dzienniku Himmlera nie ma wzmianki o styczniowej wizycie, chociaż jest notatka o rozmowie telefonicznej z Maxem Koegelem: „We wtorek 13 stycznia 1942 roku o dwunastej w południe SS-Sturmbannführer Kögel zadzwonił do Himmlera z informacją o kolejnym buncie badaczek Pisma Świętego. Kobiety odmówiły pracy na rzecz wysiłku wojennego i dostały po 25 albo 50 batów. Miały spać przy otwartych oknach bez sienników i przykrycia i zostały ukarane odebraniem racji żywnościowych<sup>139</sup>. Protest ten oznaczał nową fazę protestów odłamu „ekstremalnych bibelek”, jak je nazywano, ponieważ każde zadanie interpretowały jako wkład w wysiłek wojenny. W tym przypadku odmówiły rozładunku słomy: słoma była przeznaczona dla koni, konie służyły Wehrmachtowi, a Wehrmacht walczył na wojnie.

Jednak sam protest badaczek Pisma Świętego z pewnością nie ściągnąłby Himmlera do Ravensbrück. W pierwszym tygodniu stycznia 1942 roku znowu był w Rosji, a po powrocie do Niemiec miał wiele rzeczy do zrobienia. Pracował nad kwestią „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”, która miała zostać omówiona 20 stycznia na konferencji pod kierunkiem Reinharda Heydricha w Wannsee, na przedmieściach Berlina. Heydrich był wówczas szefem Reichssicherheitshauptamt (RSHA – Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy) oraz protektorem Czech i Moraw.

To prawdopodobnie radziecki kontratak na przedmieściach Moskwy jesienią

1941 roku ostatecznie skłonił Hitlera do sformalizowania koncepcji wymordowania europejskich Żydów. W pierwszych dniach wojny rozważał możliwość przeniesienia Żydów na Madagaskar lub gdzieś do Afryki, ale ten pomysł już dawno odrzucono, a teraz Sowieci zniweczyli nadzieje Hitlera na zagnanie Żydów na Wschód, na podbite ziemie radzieckie.

Nie wiadomo, kiedy Hitler formalnie zdecydował o Zagładzie. Führer zawsze deklarował, że zlikwiduje Żydów, ale aż dotąd nie skryształizowało się żadne rozwiązanie. Masowe rozstrzelanie Żydów radzieckich udowodniło, że metoda jest nieskuteczna i źle wpływa na morale w armii. Z kolei komory gazowe doskonale sprawdziły się w programie „eutanzji”, co dowiodło, że masowe zabijanie niewinnych cywilów było technicznie realne i niemieccy urzędnicy oraz niemiecka biurokracja mogli zaadaptować metodę do tego celu.

Do lata 1941 roku w komorach gazowych T4 zginęło co najmniej 80 tysięcy Niemców. Chociaż Hitler ogłosił, że program wstrzymano, niektóre ośrodki gazowania w niemieckich sanatoriach wykorzystywano do usuwania niechcianych więźniów z obozów koncentracyjnych, zgodnie z założeniami programu 14f13. A przed grudniem 1941 roku – kiedy zwołano konferencję w Wannsee – użyto już gazu do wymordowania Żydów deportowanych do nowego obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem, koło Łodzi. Ofiary gazowano tam, pompując spaliny silnikowe do kabin na ciężarówkach, zamienionych w komory gazowe. Ponadto liczny personel T4 skierowano do Polski, by zbadał tam, jak metody gazowania wykorzystane w programie eutanazji w niemieckich sanatoriach można adaptować do zagłady europejskich Żydów.

Kwestie te przedstawiono podczas dyskusji w Wannsee i chociaż sam Himmler nie musiał uczestniczyć w konferencji, to jako człowiek, któremu Hitler powierzył nadzór nad masową zagładą, chciał prawdopodobnie znaleźć się w pobliżu. Wydarzenia w kobiecym obozie miały wpływ na temat omawiany w Wannsee. W tym samym czasie gdy została zwołana konferencja w Wannsee, miały się odbyć pierwsze zagazowania kobiet, więc inspekcja przygotowań w Ravensbrück wydawała się rozsądnym krokiem.

W okolicę ciągnęły też wówczas Himmlera powody osobiste. Wiadomo, że jego kochanka Hedwig Potthast („Häschen”, „Zajaczek”) spodziewała się pierwszego dziecka, które miało przyjść na świat w połowie lutego. Himmler zatem prawdopodobnie zgodnie ze swoim zwyczajem postanowił połączyć inspekcję w Ravensbrück z wizytą u Häschen – albo w oddalonym o 8 kilometrów Brückenthin, albo w pobliskiej klinice Hohenlychen. Uzgodniono,

że tam właśnie urodzi się dziecko, a tamtejszy naczelny lekarz Karl Gebhardt zgodził się osobiście odebrać poród.

5 stycznia 1942 roku wiadomość, że komisja lekarska wraca do Ravensbrück, wywołała zamęt w obozie. Fritzi wspomina, że niedługo po jej przyjeździe ludzie zaczęli mówić, że ma stać się coś strasznego, „ale nikt nie wiedział co”. Rosa Jochmann na pryczy piętro niżej była na skraju załamania. „Widziałam, że zamartwiają się głównie starsze kobiety. Dużo rozmawiały”. Przy Lagerstrasse grupa Austriaczek, przede wszystkim młodych Żydówek, ciągle o tym rozmawiała. Fritzi opowiadała:

Fini Schneider się nie bała. Wiedziała, że mają ją gdzieś przewieźć, ale powiedziała mi, że będzie jej tam lepiej. Była taką piękną młodą kobietą. Ciągle ją widzę, jak się do mnie uśmiecha przy Lagerstrasse. Zawsze była zadowolona i pełna optymizmu, ale może po prostu próbowała ukryć przede mną strach.

Po powrocie do Ravensbrück Mennecke cierpiał na nagniotki, jak napisał w liście z 5 stycznia do swojego „najdroższego kochania”: „Oto jak spędziłem dziś dzień. O 9.30 zjadłem śniadanie i poszedłem do miasta po sprawunki; na poczcie kupiłem znaczek na gazetę, którą ci przesyłam, kupiłem kilka pocztówek, ponieważ pocztówki i papier listowy stały się trudno dostępne! Potem kupiłem dwa opakowania plastrów na odciski”. Bardzo zgłodniał, więc „teraz pójde najpierw coś zjeść. Mniam!”<sup>140</sup>.

Po sześciotygodniowej nieobecności Mennecke zastał zmiany. Sonntag wyjechał na front wschodni, a nowy lekarz, Gerhard Schiedlausky, powitał Menneckiego wieścią, że właśnie urodziło mu się dziecko.

Schiedlausky dostał jeden z tych „pięknych domów” w enklawie SS, a Sonntag „na pewno marzył właśnie straszliwie w Leningradzie”, napisał Mennecke do swej żony Evy. Z racji właśnie trwającego kontraktaku pod Moskwą w kantine oficerskiej panowały ponure antyrosyjskie nastroje. Mennecke również nienawidził Rosjan: „Rosjanie rodzą się i wychowują w brudzie. Jedno ludzkie życie [w Związku Radzieckim] jest warte tyle, ile zwierzęcia gorszego sortu”.

Ponieważ zagadał się z majorem SS nazwiskiem Vogl, który właśnie stracił nogę w bitwie pod Rostowem i znajdował się w drodze do kliniki Hohenlychen, zaczął pracować dopiero o 14.20: „zrobiłem tylko 30 teczek”.

Złożył meldunek przez telefon Nitschemu i Heydemu, ale nie przejęli się i byli „bardzo mili, pytali, jak się miewasz”. Mennecke powiedział Evie, że miał dostarczyć aktualne akta do Berlina 15 stycznia. „W połowie stycznia jadę do Gross-Rosen” – miał na myśli kolejny etap selekcji w męskim obozie w Gross-Rosen. List kończył tak: „Wróciłem do hotelu o 17.15. Przebrałem się, namoczyłem stopy i zająłem się nagniotkami”.

Następnego dnia Mennecke obejrzał 181 „klientek” – „wszystkie Aryjki z licznymi wyrokami. Teraz wyjeżdża stąd 70 Aryjek i 90–100 Żydówek” – a on miał nadzieję, że teczki trafią do Berlina na czas, do środy rano. „Z bólem słucham nowin o radzieckim postępie na Krymie. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze”.

8 stycznia list Menneckiego do „mamuśki” zaczyna się od zwyczajowego opisu obiadu, po którym udał się na spacer po śniegu. Wieczorem męczył go hałas dochodzący z sąsiedniego pokoju, gdzie „esesmani ze swoimi dziewczynami pili jedną butelkę wina za drugą”.

9 stycznia o 9.50 złożył ponowny „raport”: „Tatuś prezentuje ci się jako wyszorowany do czysta prosiaczek. Cóż to za wspaniałe uczucie zmyć z siebie czterotygodniowy brud – ale jeszcze milej, gdy zrobi to Mamuśka!”. Udał się na „połów” kolejnych „kartek” do dokumentacji, a potem następnego dnia pojechał do pobliskiej kliniki SS Hohenlychen, gdzie spotkał się z mężczyzną, który oznajmił mu, że wysłał „towar dobrze zapakowany w drewnianym pudle” – prawdopodobnie mając na myśli czarnorynkowy alkohol.

12 stycznia Mennecke szykował się do wyjazdu. „Moja droga Evo-Mutti, to mój ostatni list do ciebie z Fürstenbergu. Zaczynam go pisać dokładnie o północy w piżamie”. W ostatnim dniu pracy „kartki zostały starannie ułożone w porządku alfabetycznym i spakowane. Pożegnałem się z komendantem, zapłaciłem rachunek za obiad (1 marka 5 fenigów) i oddałem moje talony za dziś i jutro”. Spakował też walizki. „O, tak! Tatuś doskonale to potrafi. Myślę nawet, że tym razem mogę być naprawdę z siebie dumny, ponieważ wszystko zmieściło się bez problemu. Mundur założę na siebie, a wszystkie cywilne ubrania są w walizce”. I tak Friedrich Mennecke wyjechał z Ravensbrück po raz ostatni.

\*\*\*

W niedzielę 1 lutego nasiliły się plotki. Personel *Effektenkammer* dostał stos nowych cywilnych ubrań, a nikt nie wiedział po co. Coraz więcej rozmawiano o „liście”. Sekretarki z kancelarii mówiły o *Sondertransport*, transporcie specjalnym, ponieważ takie słowo pojawiło się w dokumentach, ale nikt nie wiedział, co to oznacza. Fini powiedziała Fritzi, że widziała swoje nazwisko na liście. „A przynajmniej tak sądziła – mówiła Fritzi. – Bardzo się bałam, ale Fini powiedziała mi, żebym się o nią nie martwiła. Wierzyła, że jedzie do sanatorium”.

*Frau Lange* też znajdowała się na liście, jak również – mówiono – Käthe Leichter. Ale Käthe wcale się nie denerwowała, a jeśli nawet, to nic po sobie nie pokazywała i szybko każdemu mówiła, że wszystko będzie dobrze. Każda, która wiedziała, że znalazła się na liście, czuła przerażenie, ale przyjaciółki z mocą powtarzały plotki, że jada pracować do fabryki zbrojeniowej. Wszystkie zapewniały się nawzajem, ale nikt nie czuł się uspokojony.

W szpitalu było już jasne, że nie zostanie oszczędzona żadna chora ani inwalidka, a zabrania spodziewały się wszystkie czarne i zielone „łaty”, jednak lista zmieniała się cały czas, więc ciągle była nadzieja. Niektóre mówiły o ucieczce lub buncie, ale Teege i Mauer przekazały rozkaz – prawdopodobnie od Langefeld – że mają zachować spokój. Sama Langefeld rzadko pojawia się w relacjach z tych strasznych dni, a jeśli już, to jako osoba obserwująca z daleka, często myłona ze swoją zastępczynią Zimmer.

Fritzi wspomina, że Rosa Jochmann bynajmniej nie zachowywała spokoju. Ponieważ spała na dolnej pryczy, dostrzegła rosnące wzburzenie Rosy. Widziała też, jak szuka okazji do rozmowy z Käthe Leichter. Sama Rosa twierdziła później, że Käthe mówiła o nakręceniu filmu o tym wszystkim. „Nikt nam nie uwierzy – twierdziła Käthe – musimy więc zrobić film i pokazać wszystkim, co tutaj naprawdę się wydarzyło. I zobaczycie, nawet kiedy to wszystko się skończy, nikt na nie uwierzy”. Rosa skomentowała później: „Wtedy gazowanie jeszcze się nie zaczęło, ale Käthe wiedziała, że nastąpi”.

Wieczorem 3 lutego, we wtorek, więźniarki wyszły na apel, nie było jednak wątpliwości, że wyjazd transportu specjalnego nastąpi lada moment. Gdy zgasły światła, wiele kobiet spodziewało się, że transport wyjedzie następnego dnia. Kiedy więźniarki policzono na apelu, lista nazwisk wróciła do biura i jak zwykle trafiła do Zimmer, ale ta zamiast przekazać ją urzędnicze, by podyktowała nazwiska do przepisania, zrobiła to osobiście.



Polka, Ojcumiła Falkowska, która pracowała w kantine dla personelu, zyskała dokładne wiadomości na temat listy, ponieważ ją widziała. Zimmer przyszła do kantyny na kolację. „Kazała mi dać większe porcje niektórym grupom dozorczyń – powiedziała Ojcumiła. – Dozorczynie Zimmer była nieuważna i zostawiła listę z nazwiskami na stole, więc skorzystałam z okazji i rzuciłam na nią okiem. Sprawdziłam, że na liście nie ma polskich nazwisk i że w większości trafiły na nią więźniarki z bloku karnego”<sup>141</sup>.

Kierowcy SS, von Rosenberg, Huber, Karl i Doering, jak również szef transportu Josef Bertl jedli w kantine i rozmawiali o wyznaczonym na następny dzień transporcie. „Tam, dokąd jadą, nie będą potrzebowały niczego”, rzekł jeden z nich. Ojcumiła miała również kierowcom wydać większe porcje, „aby wynagrodzić im okropne zadanie”.

Kiedy nocna warta skończyła ostatni obchód, w blokach panowała cisza, ale mało kto spał. Na pryzkach odbywały się narady, co robić, a więźniarki przemykały się między blokami, żeby się pożegnać. Rosa Jochmann odwiedziła Käthe Leichter.

W bloku żydowskim Rosa zastała ogólne przerażenie. Cała grupa wiedeńska – Marianne Wachstein, Modesta Finkelstein i Leontine Kestenbaum – spodziewała się wyjazdu, jak również Herta Cohen i inne niemieckie Żydówki społeczne oskarżone o skażenie niemieckiej krwi. Tylko mała grupa żydowskich więźniarek politycznych, w tym przyjaciółka Rosy, Käthe Leichter, najwyraźniej wciąż tkwiła w niepewności. „Dziewięćdziesiąt procent bloku 11 było przekonane, że umrze – wspominała później Rosa. – Ale Käthe powiedziała: «Popatrz na nie wszystkie, całkiem oszalały. Jesteśmy za silne, żeby nas zabić. Zabiorą nas do pracy w kopalni lub coś w tym rodzaju»”. Rosa nigdy nie dowiedziała się, czy Käthe mówiła tak, żeby tym, które zostają, było łatwiej, czy naprawdę w to wierzyła. „Nigdy nie dowiem się, co naprawdę myślała Käthe. To było dla mnie najgorsze pożegnanie w życiu”.

Tego wieczora Bertha Teege poinformowała przywódczynię komunistyczne o tym, co ma się stać – prawdopodobnie dowiedziała się o wszystkim od Langefeld. Wyselekcjonowane pójdą rankiem do łaźni na kolejne badanie lekarskie. Blok żydowski z całą pewnością zostanie wezwany razem z innymi.

Bertha i Maria Wiedmaier zdecydowały, że tę potwierdzoną wiadomość należy przekazać Oldze, i poszły do bloku żydowskiego poszukać koleżanki. Kiedy powiedziały Benario o planie zebrania więźniarek w łaźni we

wczesnych godzinach porannych, od razu odpowiedziała: „To oznacza koniec”. Bertha i Maria próbowały ją uspokoić. Maria wspominała: każda z nas upierała się, że to może być kolejny przydział do pracy, ale Olga rzekła: „Nie, to transport likwidacyjny [*Vernichtungstransport*]”<sup>142</sup>. Maria Wiedmaier wspominała: „Olga stwierdziła, że skoro to «oznacza pewną śmierć», to spróbuje uciec”.

O drugiej w nocy światło paliło się tylko w wartowni, gdzie Jane Bernigau na nocnej zmianie czekała na instrukcje. Potem przyszedł rozkaz od Langefeld, lub być może od Zimmer, że Bernigau ma iść do łaźni. Bernigau została starannie wybrana do zadania: ta trzydziestotrzylatka dopiero wróciła ze szkolenia w Mauthausen i czekała na awans. W łaźni Langefeld – albo znów, być może, Zimmer – powiedziała jej: „Przygotuj kobiety do transportu”.

Więźniarki zbudzono krzykami. Wiele dostało rozkaz do wyjścia. Pobudka nastąpiła wcześniej, niż się spodziewały, więc zostały zaskoczone. Najpierw z bloku miały wymaszerować Żydówki, ale nie wszystkie wezwano. Wśród tych, które zostały, znalazła się Olga Benario. Grupę tę zaprowadzono nie do łaźni, lecz do bloku karnego. Eugenia von Skene, więźniarka bloku karnego, powiedziała, że przewodniczka psa Edith Fraede przyprowadziła kobiety do bloku na rozkaz Zimmer. Duża grupa więźniarek bloku karnego również dostała wezwanie i wszystkie razem – Żydówki i te z bloku karnego – przeszły przez obóz do łaźni położonej przy bramie. Tutaj dołączyły do nich badaczki Pisma Świętego i aspołeczne.

W rewirze zapanowało szaleństwo. Wszystkie zdolne do poruszania pacjentki – astmatyczki, gruźliczki, cierpiące na delirium i choroby weneryczne – wypędzono na zewnątrz, niektóre o kulach i w okularach. Te, które nie mogły wstać, zostały w łózkach lub legły na podłodze w oczekiwaniu na zabranie. W łaźni Langefeld (albo Zimmer) odczytała długą listę nazwisk. Bernigau z koleżankami miały rozebrać i przeszukać więźniarki i kazać im założyć cywilny ubiór. „Składał się z sukienki, żakietu i bielizny. Stare stroje poszły do pralni i trafiły do nowych więźniarek”, powiedziała Bernigau. Po dziesięciu minutach pod bramy zajęchały ciężarówki.

Przez cały ten czas pozostałe więźniarki miały zostać w blokach i nie wyglądać, ale personel rewiru widział kierowców czekających w ciężarówkach. Milena Jesenská wyjrzała przez okno w szpitalu, gdy dano sygnał do przeniesienia chorych. Grete opowiadała później: „Milena

powiedziała mi, jak brutalnie wyciągali pacjentki z łóżek, rzucali na siennik na podłodze i przenosili do ciężarówek. Od tego momentu wiedziała już, dokąd zdążają ciężarówki”. W rewirze została tylko Lotte Henschel, przyjaciółka Mileny i Grete, której nazwisko w ostatniej chwili udało się usunąć z listy. „Wszystkie pacjentki ze szpitalnych izolatek skierowali do transportu, z wyjątkiem mnie i jednej umierającej Polki”, opowiadała Lotte.

Emmy Handke również obserwowała wszystko z rewiru i zauważyła, że oprócz starszych kobiet i inwalidek zabierają też młode dziewczyny „idealnie zdrowe”. „Musiałam nawet pomóc kilku kobietom wejść na ciężarówki. Przejęli je esesmani. My zostałyśmy zdrętwiałe ze strachu, że stanie się coś strasznego – sparaliżowane kobiety, jak bydło, stłoczone na ciężarówce z całą resztą”.

Luise Mauer i Bertha Teege, obozowe kapo, również pomagały przy załadunku ofiar. „Razem z Berthą zanosiliśmy na noszach kulejącą więźniarkę z bloku 1. do bramy obozu, gdzie czekała ciężarówka”, opowiadała Luise. Zastępca komendanta, Meier, uderzył Berthę w twarz za pomoc niepełnosprawnej więźniarce.

Nawet teraz pozostające więźniarki próbowały zamienić ostatnie słowo z odjeżdżającymi przyjaciółkami, a ofiary starały się przekazać nabazgrane wiadomości, pamiątki albo choć kilka słów dla swoich rodzin. Fritzi zapamiętała Fini siedzącą na tyle ciężarówki i machającą do niej z uśmiechem. „Nawet wtedy myślała, że udaje się w lepsze miejsce – jestem tego pewna”.

Maria Apfelkammer, pracownica magazynu odzieżowego, widziała, jak do ciężarówek idą jej dwie niemieckie przyjaciółki, komunistki Tilde Klose i Lina Bertram, obie cierpiące na gruźlicę, które miały zostać uwolnione razem z Lotte Henschel. Widziała również, jak odchodzi inna jej przyjaciółka: Mina Valeske ledwo szła, ale udało jej się wgramolić do ciężarówki za pomocą laski.

Rosa Jochmann wyszła pomachać koleżankom. „Wtedy zobaczyłam idącą Lagerstrasse, w zimnie i pod gwiazdami, Käthe. «Roso – rzekła Käthe – jeśli naprawdę nigdy nie wrócę do domu, zajmij się, proszę, moimi trzema chłopcami»”. Rosa wiedziała, że „trzech chłopców” to mąż i dwóch synów. „I zobaczyłam, jak moja droga przyjaciółka Käthe Leichter wchodzi do ciężarówki. Nadal nie wiedziałam, czy myślała o tym, że idzie na śmierć”.

Cały obóz – dozorcynie i więźniarki – stał w milczeniu, gdy zatrzasnęły się klapy na tyłach ciężarówek, zabrzączały łańcuchy mocujące i pojazdy

odjechały.

Następnego dnia życie obozowe toczyło się dalej, ale więźniarki odnotowały brak kobiet, które zniknęły. Rosa Jochmann zajrzała do bloku żydowskiego, „kompletnie opustoszałego”. „Badaczki Pisma Świętego mogły się uratować. Wszystkie mogły podpisać dokument stwierdzający, że wyrzekają się swojej wiary. Ale zrobiło to tylko pięć z tysiąca”. Rewir również stał pusty – została jedynie Lotte. Zniknęła połowa więźniarek z bloku karnego.

Nigdy nie udało się ustalić dokładnie, ile kobiet wyjechało tej nocy ani kim były. Największą szansę, aby się tego dowiedzieć, miały obozowe sekretarki, które zajmowały się pracą papierkową. Maria Adamska twierdziła, że zaraz po odjeździe ciężarówek kazano jej wyszukać dokumenty wskazanych więźniarek oraz że chodziło głównie o Żydówki, starsze i chore kobiety. Ich akta przeniesiono do nowego archiwum obozowego i leżały tam jakiś czas, po czym wróciły do wydziału politycznego i zostały zamknięte w stalowej szafie. Wrażenie Rosy, że żydowski blok opustoszał całkiem, było mylne, ponieważ kilkadziesiąt kobiet zostało, w tym Olga.

Nikt nie wiedział, dokąd odwieziono kobiety i co się z nimi stało. Na rozkaz Koegela tego wieczora więźniarki sekretarki miały odnotować na teczkach te, które wyjechały: *Sondertransport* (transport specjalny) lub *Sonderbehandlung* (traktowanie specjalne); a w niektórych przypadkach po prostu: „przeniesiona do innego obozu”.

Następnego dnia więźniarki nie były ani trochę mądrzejsze, jak poinformował Koegel Himmlera, kiedy spotkali się trzy dni później.

\*\*\*

W przeciwieństwie do styczniowej wizyty Himmlera w obozie następne spotkanie Reichsführera z Koegelem zostało odnotowane w dzienniku. Notatka z 7 lutego 1942 roku mówi: „Wizyta RFSS Himmlera u obersturmbannführera Koegela i profesora Crinisa”<sup>143</sup>. Profesor Max de Crinis był naczelnym psychiatrą T4.

Wpis w dzienniku jest intrygujący z dwóch powodów. Po pierwsze, co niezwykle, nie podano miejsca spotkania. Ponieważ nie padła konkretnie nazwa Ravensbrück, możliwe, że do rozmowy doszło w prywatnym pociągu Himmlera, którym zwykle poruszał się w tamtym czasie. Jednak, co bardziej

prawdopodobne, spotkali się w klinice SS w Hohenlychen. Karl Gebhardt zgodził się odebrać poród Hedwig Potthast i wiadomo było, że Häschen mogła urodzić w każdej chwili. Możliwe zatem, że Himmler i tym razem postanowił połączyć sprawy służbowych mordów z wizytą u niej. Hohenlychen było spokojnym miejscem do rozmowy, a Gebhardt z pewnością potrafił zachować dyskrecję.

Temat rozmowy, „badaczki Pisma Świętego”, również był ciekawy. Bez wątpienia Koegel chciał się poskarżyć na religijne kobiety – jak zawsze – ale wydaje się zaskakujące, że trzy dni po transporcie do gazu 4 lutego badaczki Pisma Świętego stanowiły priorytet dla Himmlera lub Koegela, a jeśli tak było, co miał z tym wspólnego Max de Crinis?

De Crinis, Austriak, był *éminence grise* nazistowskiego programu eutanazji i prawdopodobnie głównym medycznym mózgiem stojącym za gazowaniem ludzi w ramach programu T4. Friedrich Mennecke zeznał na jego procesie, że Crinis był obecny, gdy lekarze T4 spotkali się w lutym 1940 roku, żeby zatwierdzić plan eutanazji. Profesor należał też prawdopodobnie do najwyższych nazistowskich kręgów i miał bliskie kontakty z Reinhardem Heydrichem.

Nie da się stwierdzić, o czym Himmler rozmawiał z Crinsem. Jednak biorąc pod uwagę szczegółową wiedzę Crinisa na temat „eutanazji” przez zagazowanie, można rozsądnie założyć, że rychło miało się rozpocząć gazowanie Żydów. Obecność Crinisa na tym spotkaniu symbolizowała związek między programem mordowania niepełnosprawnych (T4), zabijaniem bezużytecznych więźniów w obozach koncentracyjnych (14f13) i podjętą trzy tygodnie wcześniej w Wannsee decyzją o zagazowaniu europejskich Żydów. Wszystkie trzy programy zagłady stanowiły etapy w ewolucji nazistowskiego ludobójstwa, a metody wykorzystane we wszystkich trzech – szczególnie uśmiercanie gazem – były podobne. Nawet teraz współpracownicy Crinisa z T4 przebywali w Polsce i badali, jak mogą wykorzystać swoje doświadczenia w zabijaniu Żydów w nowych planowanych obozach zagłady. I bez wątpienia de Crinis miał wiele do powiedzenia na temat gazowania bliżej ojczyzny, w tym kolejnych akcji gazowania kobiet z Ravensbrück.

Priorytet przy gazowaniu ludzi w Niemczech stanowiła konieczność zachowania tajemnicy. Korzyść z przeprowadzania zagłady Żydów tysiące kilometrów dalej na wschód polegała na oddaleniu od niemieckiej opinii publicznej, ale gazowanie kobiet z Ravensbrück odbywało się w jednym

z ośrodków gazowania T4 na terytorium Rzeszy. W obliczu protestów w pobliżu tych ośrodków najważniejsze było to, aby nikt o niczym nie wiedział.

Fakt, że nie wyciekły żadne informacje o operacji w Ravensbrück, musiał bardzo ucieszyć Himmlera i de Crinisa. Przywódcy kościelni patrzyli w drugą stronę, mieszkańcy Fürstenbergu nie zwrócili uwagi na ciężarówki, które wyjechały z obozu, a według meldunku Koegela nikt – a z pewnością więźniarki – nie wiedział, dokąd się udały. Sekret pierwszych nazistowskich masowych morderstw na kobietach przez zagazowanie był dobrze strzeżony – z wyjątkiem tego, że jeszcze kiedy mężczyźni rozmawiali, w samym Ravensbrück tajemnica się wysypała, w sensie dosłownym.

Dzień lub dwa po zabraniu kobiet te same ciężarówki, które je odwiozły, zjawily się z powrotem i podjechały pod magazyn. Otwarto paki, a z nich wysypała się beładna mieszanina ubrań, kul, temblaków, sztucznych szczęk, okularów i lasek. Więźniarki sortujące ten bałagan odkryły ubrania i osobiste rzeczy wywiezionych. I ponownie magazyn stał się źródłem wieści, a brzmiały one: te kobiety zginęły.

Nie same ubrania o tym świadczyły. Aby zataić operację, przed wyjazdem z obozu kobietom kazano zdjąć obozowy strój z numerami identyfikacyjnymi i założyć przypadkowe ubrania cywilne. Jednak w stosie ubrań, które wróciły, znalazły się przedmioty należące do więźniarek i dobrze znane ich przyjaciółkom w obozie: temblaki, kule, okulary – przedmioty, bez których właścicielki nie mogły się obyć.

Maria Apfelkammer przeżyła wstrząs, kiedy wyciągnęła ze stosu laskę należącą do jej przyjaciółki Miny Valeske, tę samą, z którą na oczach Marii kuśtykała do ciężarówki. Miała nawet wyskrobany obozowy numer Miny. Znalazły się też jej charakterystyczne okulary. Luise Mauer wspominała: „Nasza przyjaciółka *Frau Turner* z bloku 1. nie mogła chodzić bez kul. Teraz kule tu były, co świadczyło, że nie pojechała do domu opieki. I po co wróciłyby protezy zębowe, gdyby ich właścicielki nadal żyły?”.

Luise relacjonowała, że badaczki Pisma Świętego pracujące przy rozładunku ciężarówki powiedziały jej, że znalazły listę wywiezionych z krzyżykiem przy każdym nazwisku. W rewirze położna, więźniarka Gerda Quernheim, wspominała, że do szpitala wróciły protezy nóg i pasy przepuklinowe. „Wszystkie rozpoznałyśmy i od razu wiedziałyśmy, że właścicielki na pewno nie żyją”.

Nawet dozorcynie były zdumione. Emma Zimmer spytała komendanta, dlaczego rzeczy wróciły. To własność obozu, odpowiedział jej. „Uwierzyłam mu, ale wątpliwości tkwiły we mnie nadal – powiedziała później. – W 1942 roku czułam, że nie wszystko jest w porządku”.

Dozorczyńni Jane Bernigau stwierdziła, że w tamtym czasie strażniczki nie znały celu transportu, ale po odjeździe ciężarówek „ciągle o tym myślały”. Kilka dni później, kiedy wróciły ubrania, personel obozowy mógł się zorientować, że był to transport „kandydatek na śmierć” [*Todeskandidaten*], powiedziała Bernigau i dodała: „Szefostwo SS milczało jak grób”.

Rosa Jochmann przyznała, że nikt nie wątpił, co się właśnie wydarzyło.

Pół godziny po powrocie ciężarówek wszyscy w obozie już o tym wiedzieli i każdy wiedział też, że kobiety nie żyją. Zapanowała przygniatająca cisza. Kobiety nie rozmawiały ze sobą – nawet prostytutki. Zwykle w niedziele więźniarki miały godzinę, kiedy mogły wspólnie śpiewać, ale tej niedzieli wszystkie milczały. Na apel wszystkie stały się posłusznie. Blokowe nie musiały krzyczeć.

Cztery tygodnie później rozeszły się plotki, że ciężarówki znowu wróciły po ludzi. Teraz każdy rozumiał, że *Sondertransport* z 4 lutego stanowił tylko początek. Na tym etapie zaczęły się spekulacje o tym, dokąd kobiety zostały wywiezione. Niektóre pogłoski mówiły, że naprawdę do nowego obozu koncentracyjnego. Ale Eugenia von Skene podsłuchiwała, jak jeden z esesmanów mówił, że ten nowy obóz znajduje się w niebie.

Najbardziej popularna pogłoska głosiła, że zabrano je do Buch na przedmieściach Berlina, gdzie mieścił się ośrodek badań medycznych. Luise Mauer dowiedziała się, że w Buch przeprowadzano na kobietach eksperymenty medyczne. Inne twierdziły, że zabijano je prądem. Hanna Sturm spytała obozowego lekarza o cel transportów. „Powiedział, że więźniarki trafiły do sanatorium w Buch”. „Usłyszałyśmy od esesmana – opowiadała Maria Adamska – że kobiety zabrano do szpitala w Buch i zginęły tam od wstrząsów elektrycznych. Jeden esesman widział to własne oczy”.

W jakimś momencie jedna z kobiet – a być może kilka naraz – wpadła na pomysł, żeby następne wyselekcjonowane więźniarki ukryły w ubraniach informacje, dokąd je wywieziono. Zakładając, że proces przebiegnie według ustalonego wzoru, miały napisać na malutkich karteczkach, dokąd trafiły i co widziały. Karteczki, prawdopodobnie wetknięte pod podszewki, wróciłyby

z ubraniami do obozu, a ich koleżanki wiedziałyby, czego szukać.

Drugi transport otoczono dwa razy większą tajemnicą. Personel esesmański wyciągnął lekcję z poprzednich wpadek. Tym razem wcześniej odebrano kobietom wszystkie osobiste drobiazgi w rodzaju obrączek ślubnych, jak również protezy, więc „wiedziałyśmy, które pojedą”, powiedziała Eugenia von Skene<sup>144</sup>. Jednak kilka ochotniczek zrealizowało tajny plan przekazania wiadomości. Po przeszukaniu więźniarek od stóp do głów przed wyjazdem z obozu ich koleżanki pracujące w łaźni ukryły maleńkie karteczki i ołówki w miejscach, gdzie kobiety mogły je znaleźć przed wyjazdem.

W drugim transporcie znalazły się w większości Żydówki oraz kobiety z zielonymi i czarnymi „winkłami”. Nanda Herbermann wspominała: „Zabrali wiele moich prostytutek z bloku 2, przeważnie te chore, słabe, niezdolne do pracy całymi dniami”. Luise Mauer stwierdziła, że tym razem wywieźli dużo zielonych i czarnych „łat” – „poza bijącymi”, czyli tymi kryminalnymi i prostytutkami, które godziły się wykonywać kary cielesne na koźle.

Jedną z kobiet, które odmówiły bicia, była przyjaciółka Grete, prostytutka z Düsseldorfu Else Krug. Else przebywała w bloku karnym od czasu, kiedy latem odmówiła wymierzenia kary badaczkom Pisma Świętego. Teraz trafiła na listę drugiego *Sondertransport*. Zgodziła się przemycić wiadomość. Rosa wspominała, że tym razem selekcja objęła też piękną i mądrą Żydówkę o imieniu Bugi i ona również zgłosiła się do zadania. Więźniarki dokładnie zanotowały, co te dwie miały na sobie w chwili wyjazdu.

Zgodnie z przewidywaniami kilka dni później ciężarówka wróciła i więźniarki szybko wyłowiły ze stosu ubrania Else i Bugi. Maria Apfelkammer opowiedziała, że najpierw znaleziono wiadomość Else. Maria nie powiedziała nam, co było w jej liściku, ale wyraźnie napisała nazwę Buch. Maria wspominała: „Wszystkie podejrzewałyśmy, że kobiety zamordowano, ale nie miałyśmy żadnego konkretnego dowodu do czasu listu od Else Krug, ukrytego pod podszewką zakietu, który wrócił z innymi rzeczami z Buch”.

Liścik Bugi nie wspominał o Buch. Na maleńkiej karteczce wetkniętej za zakładkę spódnicy Bugi napisała: „Jedziemy przez Bernau. Teraz jesteśmy w Dessau. Bardzo ładne domy”. Tutaj tekst się urywał. Bernau to przedmieścia Berlina, a Dessau miasto na południowy zachód od stolicy. Kolejna wiadomość pochodziła od Austriaczki. Luise Mauer wspominała, że kartka została ukryta w rękawie i jej treść brzmiała: „Jesteśmy w Dessau. Kazali nam



ić do łaźni, mamy dostać nowe ubrania i przydział do pracy”.

Żadna z wiadomości nie zawierała jednoznacznej informacji o celu podróży. Else potwierdziła podejrzenia w kwestii Buch, ale niektóre wymieniały Dessau, położone nieco dalej od Buch. Bez względu na to, co znaczyły te wiadomości, wszystkie stanowiły potwierdzenie śmierci, a kiedy wieści o tym się rozeszły, obóz znów pogrążył się „w tej samej przygniatającej ciszy co poprzednio”, powiedziała Rosa Jochmann.

Tymczasem więźniarki pracujące w biurach zyskały niepodważalne dowody. Maria Adamska wspomina, że kiedy zaczęły przychodzić listy od rodzin kobiety wywiezionych ciężarówkami, personel pod nadzorem SS musiał ponownie wyciągnąć teczki ze stalowej szafy, aby wysłać odpowiedzi. W każdej znajdował się akt zgonu, a jako przyczynę podawano jedną z licznych chorób.

Wszędzie jako miejsce śmierci widniało Ravensbrück. Daty różniły się, ale wszystkie były późniejsze – czyli kilka tygodni naprzód od dnia, w którym wywieziono kobiety. Emmy Handke powiedziała, że więźniarki zatrudnione w kancelarii osobiście wpisywały w rubrykę fałszywą przyczynę śmierci. Wspominała, że personel kilka tygodni wypełniał tylko te formularze. „Były cztery różne potencjalne przyczyny śmierci: niewydolność serca, zapalenie płuc, problemy z krążeniem; można też było wpisać: «wszystkie wysiłki lekarzy, aby ją uratować, poszły na marne». Więźniarki wypełniające formularze mogły same wybrać, którą chorobę chcą wpisać”.

Obozowe sekretarki przygotowywały również listy do najbliższych krewnych z powiadomieniem o śmierci więźniarki i fałszywą przyczyną zgonu, fałszywą datą i miejscem śmierci. Informowały również rodziny, że mogą odebrać prochy bliskiej osoby w urnie w zamian za drobną opłatę; nie mogą natomiast zobaczyć ciała z powodu groźby infekcji.

Kolejne tygodnie przyniosły kilka następnych *Sondertransporte*. Maria Adamska twierdzi, że wyjeżdżały co cztery dni do końca marca, ale inni świadkowie podali, że trwały aż do maja. Najdokładniejsze szacunki wskazują, że w sumie było 10 transportów, w każdym około 160 kobiet, co łącznie daje 1600 ofiar. Po pierwszych transportach coraz trudniej było przewidzieć, co będzie dalej – władze nie trzymały się jednego wzoru. Nanda Herbermann mówi, że na koniec brali już „wszystkie kategorie”. Prawie wszystkie niemal do ostatniego dnia przed zabraniami wykonywały niewolniczą pracę. Większość mogła jeszcze spokojnie przeżyć dwadzieścia

lat:

Zabierali nie tylko chore na gruźlicę czy prostytutki z syfilisem. Nie, wśród nich znajdowały się też zdrowe osoby, które, może przez niebywale trudną egzystencję w obozie, przeżyły zapaść nerwową lub atak serca wywołane nieznośnymi udrękami. Były też takie, które pracowały z całą resztą przez lata, ale nie stanowiły okazów zdrowia.

O drugiej lub trzeciej nad ranem padała komenda zameldowania się do transportu i zaczynały się krzyki. „Kobiety, które wcześniej nie spodziewały się niczego złego, teraz z przerażającą pewnością wiedziały, co je czeka – te krzyki brzmią mi w uszach do dziś. I sposób, w jaki je pakowano do ciężarówki! Na pożegnaniu usłyszały obelgi w rodzaju «ty śmierząca świni» albo «wy wściekłe suki»”.

Prawdopodobnie gdzieś w marcu przyszła kolej na Olgę: jej najbliższa przyjaciółka Maria Wiedmaier była pewna, że Olga wyjechała z trzecim transportem. W każdym razie wiadomo, że było to po 19 lutego, ponieważ tego dnia – pięć dni po swoich urodzinach – napisała list do Ligii i Leocadii oraz załączyła wiadomość dla Carlosa.

List do Leocadii, teściowej, oraz siostry Carlosa Ligii zaczyna od podziękowań za telegram z życzeniami urodzinowymi, który dotarł 14 lutego. O desperacji Olgi świadczy poruszenie jeszcze raz kwestii emigracji. Musiała wiedzieć, że wszystkie wyjazdy zostały wstrzymane, ale prosi: „Jeśli chodzi o mój wyjazd na emigrację, poruszcie niebo i ziemię, ponieważ z przykładu innych wiem, że mimo ogólnej sytuacji nadal jest to możliwe”. Prosi też o przekazanie Carlosowi jej ostatniego listu.

*Mój kochany Karli,*

*Właśnie dostałam twój list z 12 października. Podziwiam, jak szybko robisz postępy w niemieckim, i jestem naprawdę wzruszona twoimi staraniami. Ostatnio nasza korespondencja znowu ucierpiała, nie mogłam również nic pisać. Ale wiemy, że naszej bliskości nie osłabią zewnętrzne trudności.*

*Na razie czerpię przyjemność z coraz dłuższych dni i liczę, że zima wkrótce się skończy. Uwierz mi na słowo, że nigdy wcześniej styczeń i luty nie dłużyły mi się tak, jak w tym roku. Bardzo schudłeś? Masz jakieś siwe włosy? Co czytasz? Listy to dla mnie jedyny jasny punkt, tylko że z miesiąca na miesiąc dostaję ich coraz mniej. Dostałam relację z trzecich urodzin Anity [27*

*listopada] i czytam ją raz po raz. Jakież to jednak dziwne, że w snach widzę ją ciągle jako malutkie dziecko, które znałam, a nie tę dużą dziewczynkę, która wychowuje się w Meksyku. Mielibyśmy tyle tematów do rozmowy w kwestii jej wychowania... Jak zawsze ściskam cię z miłością, z całego serca*

*Twoja Olga<sup>145</sup>*

Maria Wiedmaier dowiedziała się od Berthy Teege, że Olga jest na liście, i poszła jej o tym powiedzieć, ale Benario już to odgadła.

Kiedy spotkałam się z Olgą dziesięć minut później, od razu wiedziała, o co chodzi. Była opanowana i próbowała mnie uspokoić. Mówiła o Carlosie, o partii, o Anicie. Staralam się ją przekonać, że nie idzie na śmierć, że zobaczy jeszcze Carlosa i Anitę. W końcu zrozumiałam, że najlepsze, co mogę zrobić, to wysłuchać jej. Obiecałam jej, że zaopiekuję się Anitą. Miała małe zdjęcie córki i zabrała je ze sobą.

Maria powiedziała, że Olga odjechała w poniedziałek o drugiej w nocy, jak to zwykle bywało. Bertha Teege z „kilkoma towarzyszkami” poszła z grupą z bloku żydowskiego do łaźni. „Olga obiecała: «Jeśli dojdzie do tego, że będą chcieli nas zabić, będę walczyć»”.

Olga obiecała również ukryć wiadomość w ubraniu. Kilka dni później ciężarówka wróciła i więźniarki znalazły liścik od Olgi. Brzmiał tak: „Ostatnim miastem było Dessau. Kazali nam się rozebrać. Nie traktują źle. Do widzenia”. Cztery tygodnie później w kancelarii pojawiła się lista osób „przeniesionych do innego obozu”, znajdowało się na niej nazwisko Olgi. „To była ostatnia rzecz, jakiej się o niej dowiedziałam”.

W kwietniu pojawiły się konkretniejsze dowody na to, że dokonuje się zagłada. Kilka rodzin dostało do tej pory informacje z obozu o śmierci bliskiej osoby z fałszywym miejscem i przyczyną śmierci, a kilka odebrało rzekome prochy. Niektórzy członkowie rodzin napisali do innych krewnych przebywających w obozie – sióstr lub kuzynek – które nie padły ofiarą selekcji, z informacją, że dostali prochy zmarłej, i z prośbą o więcej informacji.

Urny wysłano nawet do Wiednia. Pod koniec marca „ciocia Lenzi”, krewna Käthe Leichter – nadal działająca jako pośrednik przekazujący listy Käthe z obozu do jej męża i synów w Nowym Jorku – dostała z obozu list

z informacją o śmierci Käthe. Krótka wiadomość głosiła, że Leichter zmarła 17 marca, a z notką przyszła urna z jej prochami. Ciocia Lenzi napisała do przyjaciół rodziny również przebywających w Nowym Jorku z prośbą o przekazanie fatalnych wieści Ottonowi i chłopcom, ponieważ takie informacje lepiej przekazywać osobiście. Sama ciocia Lenzi również była wstrząśnięta. Napisała do kuzynki:

Wszelkie nasze nadzieje i cała radość życia legły w grobie razem z naszą ukochaną Käthe. Teraz muszę zająć się jej ostatnią posługą. Jakże inny spotkał ją koniec od tego, jaki można sobie było wyobrazić – ponownego połączenia z drogą Katherl. Jej ostatnie listy pełne były bezinteresownej miłości i troski o nasze dobro. Teraz ten głos umilkł na zawsze<sup>146</sup>.

Ciocia Lenzi dodała, że nie otrzymała informacji, jak zmarła Käthe, i przekazała ją dalej taką, jak sama dostała. Zawierała, oczywiście, zwykłe kłamstwa – Käthe zmarła ponoć z powodu „zatrzymania akcji serca”; miejsce śmierci: Ravensbrück. Franz Leichter wspomina, że kiedy on, jego brat i ojciec usłyszeli nowiny, przez jakiś czas wierzyli w wersję z niewydolnością serca, nie mając lepszej.

Wiele innych osób – krewnych więzionych komunistek, katoliczek, badaczek Pisma Świętego, prostytutek, unikających pracy, Żydówek i nie-Żydówek – w całych Niemczech również otrzymało listy z informacją o śmierci krewnej wraz z urną z fałszywymi prochami. Rosa Menzer zmarła na „raka macicy”, dowiedziała się jej rodzina. Ilse Lipman zabił „udar”.

Urzędniczki z Ravensbrück często nie miały pojęcia, kogo poinformować o losie społecznych, ponieważ adresy rodzin zwykle pozostawały nieznane. W przypadku Żydówek można było założyć z dużym prawdopodobieństwem, że rodzina została deportowana. Jednak zasada nakazywała, że najbliższa rodzina musi zostać powiadomiona, więc listy i rzeczy osobiste przesyłano do miejscowego komisariatu policji, który miał je przekazać dalej. Wśród przedmiotów należących do Żydówki Sary Henni Stern znajdowało się kilka miedzaków. Kiedy lokalnym funkcjonariuszom nie udało się odnaleźć krewnych, poradzono im, aby przekazali je na rzecz Rzeszy. Julius ten Brink, który przez trzy lata ubiegał się o uwolnienie siostry Mathilde, dostał urnę i tobolek z rzeczami, wśród których wymieniono „jeden płaszcz, jedną parę pończoch, jeden kaftan; trzy pary majtek”.

Chociaż wszystkie oficjalne pisma wysłane do rodzin zmarłych w wyniku

farsy 14f13 były groteskowe, list, jaki otrzymała rodzina Herty „Sary” Cohen, wyróżnia się na ich tle również z przyczyn historycznych<sup>147</sup>. Herta Cohen była Żydówką aresztowaną w 1940 roku za stosunki seksualne z policjantem z Düsseldorfu i skażenie jego niemieckiej krwi. Odjechała ciężarówką na zagazowanie wiosną 1942 roku. Kilka tygodni później policja w Düsseldorfie otrzymała list podpisany przez komendanta Ravensbrück Maxa Koegela. Policja miała znaleźć siostrę Herty, poinformować ją o śmierci Herty na „wylew” i powiedzieć jej, że jeśli chce odzyskać prochy siostry, musi najpierw się upewnić, że znajdzie miejsce na lokalnym cmentarzu. Rodzina powinna następnie wysłać list z potwierdzeniem, że załatwiła kwaterę, wraz z odpowiednią zapłatą. Jeśli list nie dojdzie do Ravensbrück w ciągu dziesięciu dni, wówczas urna zostanie zniszczona.

Podczas gdy ta biurokratyczna szopka zapewnia kolejne, jeszcze tragiczniejsze szczegóły historii, istnieje druga strona listu do Cohenów, która nadaje mu wartość historyczną. Podpisany przez Koegela list dotyczący losu Herty Cohen stanowi być może jedyny udokumentowany dowód na to, że transporty z Ravensbrück stanowiły element programu gazowania ludzi 14f13.

Niemal na pewno Himmler osobiście rozkazał urzędnikom SS nigdy nie używać tajnego kryptonimu 14f13 w korespondencji dotyczącej Ravensbrück; biorąc pod uwagę, że gazowanie kobiet było sprawą szczególnie delikatną, Reichsführer jeszcze bardziej zwiększył nacisk na zachowanie wszystkiego w tajemnicy. W przypadku Herty jednak zaniedbano środki ostrożności. Być może dlatego, że list zaadresowany został do policji, uznano go za dość bezpieczny, by odnotować kryptonim, albo może po prostu ktoś ten fakt przegapił. Bez względu na powód, w górnym prawym rogu listu Koegela, obok daty (13 marca 1942), znajduje się wiele mówiący symbol „14f13”, co sygnalizowało każdemu zorientowanemu, że podana przyczyna śmierci Herty, „wylew”, tak starannie wpisana poniżej, jest wyssana z palca: Herta zginęła w komorze gazowej.

Na początku lata nocne krzyki w obozie ustały, a transporty wstrzymano, ale więźniarki nadal nie wiedziały dokładnie, w jaki sposób zginęły ich towarzyszki. Do końca wojny wiele więźniarek w Ravensbrück wierzyło w pogłoski, że kobiety wywiezione w transportach w 1942 roku zginęły w szpitalu lub sanatorium w Buch pod Berlinem. Jeszcze podczas pierwszego

procesu w Hamburgu w 1946 roku część kobiet wymieniała Buch jako miejsce śmierci koleżanek. Do dziś nie udało się wyjaśnić wielu spraw związanych z Buch, szczególnie w odniesieniu do nazistowskich eksperymentów medycznych prowadzonych w tamtejszym szpitalu. Nie można wykluczyć, że część ofiar wywożono do Buch albo dla eksperymentów, albo tylko przejściowo, przed przetransportowaniem do innych ośrodków gazowania. Jednak niedługo po wojnie wypłynęły nowe lokalizacje miejsc, gdzie naziści gazowali ludzi.

Kiedy po protestach Kościoła latem 1941 roku Hitler zreorganizował program eutanazji, zamknięto dwa ośrodki gazowania, ale niedługo potem uruchomiono dwa nowe. Jeden mieścił się w byłym sanatorium w Bernburgu, urokliwym niemieckim miasteczku na południe od Berlina nad Soławą. W czasie wojny nie istniał żaden powód, aby więźniarki z Ravensbrück myślały o Bernburgu lub jakimkolwiek innym ośrodku „eutanazji” jak o możliwym miejscu docelowym; potem jednak, kiedy podczas procesów lekarzy w Norymberdze i w innych miejscach zaczęła się rysować historia programu T4, ludzie zaczęli łączyć fakty. Odkryto dowody, że w 1940 roku sanatorium w Bernburgu wyposażono w komorę gazową zamaskowaną jako pomieszczenie z prysznicami. W tym pomieszczeniu o powierzchni 14 metrów kwadratowych zagazowanych zostało ponad 8 tysięcy osób. Obok komory gazowej mieściło się krematorium z dwoma piecami, prosektorium i kostnicą.

Ujawniono dowody, że pierwsze ofiary naziści przywieźli tutaj z domów starców, ale później napływali więźniowie z obozów koncentracyjnych. Gdy dowiedziały się o tym grupa Niemek, które przeżyły Ravensbrück, z Marią Wiedmaier na czele, postanowiły zbadać sprawę dokładniej, licząc, że uda się ustalić, co ostatecznie stało się z ich koleżanką Olgą Benario i innymi komunistkami wywiezionymi w transportach.

Kobiety, w większości członkinie organizacji VVN (Ofiary Faszyzmu), pamiętały sekretne liściki przemycane przez przyjaciółki, z których wiele brzmiało: „Ostatni przystanek Dessau”. Rzut oka na mapę pozwala stwierdzić, że Dessau leży po drodze do Bernburga, więc napisały do biura burmistrza w Bernburgu z prośbą o udostępnienie wszelkich dowodów na to, że w komorze gazowej ginęły tutaj również więźniarki z Ravensbrück. Biuro odpisało, że wszystkie dokumenty dotyczące zabijania ludzi gazem zniszczono przed końcem wojny. Korespondencja odkryta w Gross-Rosen i Buchenwaldzie zawierała szczegóły transportów wysyłanych z tych obozów

do Bernburga, ale listy dotyczące Ravensbrück zostały spalone.

Zagadkę mógł wyjaśnić jedynie Irmfried Eberl, dyrektor ośrodka zagłady w Bernburgu w czasie funkcjonowania tam komory gazowej. Eberl miał stanąć przed sądem w 1948 roku, ale popełnił samobójstwo przed rozpoczęciem procesu. Wiedział, że czeka go wyrok śmierci: po tym, jak pracował w Bernburgu, Eberl był pierwszym komendantem Treblinkii, obozu zagłady dla Żydów.

Z upływem czasu były więźniarki Ravensbrück dowiadywały się coraz więcej o Bernburgu. Na innym procesie lekarz stamtąd ujawnił, że w ośrodku gazowano nie tylko mężczyzn, lecz także kobiety. „Kiedy przyjeżdżały więźniarki, od razu musiały się rozebrać – stwierdził. – Z naszego gabinetu szły prosto do tak zwanych natrysków, gdzie były usypiane tlenkiem węgla”.

W 1967 roku dozorczyńni z Ravensbrück, Ella Pietsch, zeznawała podczas śledztwa dotyczącego Bernburga. W 1941 i 1942 roku Pietsch pełniła funkcję dozorczyńni w obozowej szwalni, gdzie więźniarki nagle wywoływano alfabetycznie po nazwisku i kazano im wychodzić. Strażniczki wściekały się z tego powodu, ponieważ zostawały z uszczuploną zmianą robotnic. „Zawsze było od dwóch do sześciu takich, które nie wracały do rana”, opowiadała. Pietsch miała z tym taki kłopot, że w końcu spytała esesmana, dokąd zabierają kobiety, i usłyszała, że „do nowego obozu”.

Dozorczyńniom nie wolno było zadawać takich pytań, ale Pietsch nie straciła funkcji. „Dowiedziałam się, że nowym obozem jest obóz w Bernsdorfie, w okolicy Halle. Zagazowywali tam ludzi”. Dzień później Pietsch poprawiła sama siebie i zmieniła zeznanie: „Ten obóz nie nazywał się Bernsdorf, tylko Bernburg”. Najwyraźniej esesman wyjawiał jej sekret.

Wiele rodzin kobiet zabitych w Bernburgu nigdy nie poznało prawdy; inne nie wiedziały, jak do niej dotrzeć. Jednak dziesięć lat po wojnie Lina Krug, matka Else, z determinacją zaczęła dążyć do zdobycia informacji. Podobnie jak reszta, Lina dowiedziała się, że jej córka zmarła w obozie koncentracyjnym na chorobę serca, ale ta wiadomość nie miała sensu. Przede wszystkim nie rozumiała, dlaczego jej córka, dobra katoliczka, która odeszła z domu wiele lat temu, aby znaleźć pracę, miałyby trafić do obozu koncentracyjnego. Powątpiewając w historię o jej śmierci, w 1950 roku Lina napisała do organizacji ocalałych ofiar VVN z pytaniem, czy nie wiedzą, dlaczego Else została aresztowana i w jaki sposób zmarła.

Jako organizacja komunistyczna VVN nie przywykło do próśb ze strony

rodzin prostytutek, ale Else stanowiła wyjątek. Opowieść o odważnym czynie prostytutki z Düsseldorfu krążyła po całym obozie, wiadomo było również, jak zginęła. Kobiety z VVN napisały zatem do Liny Krug z informacją, że Else nosiła czarny trójkąt jako aspołeczna. Tak oto prawdopodobnie Lina dowiedziała się, że jej córka została prostytutką. VVN mogło również przekazać matce, że jej córka wykazała się „wzorową” odwagą<sup>148</sup>. Else przeciwstawiała się esesmanom przy kilku okazjach. Odmówiła bicia koleżanek i za to wysłali ją na śmierć.

Niedługo po wojnie mąż i dwóch synów Käthe Leichter, Franz i Henry, przyjechali do Wiednia i poznali prawdę o jej śmierci. Dowiedzieli się też, że niedługo po otrzymaniu wieści o ich matce ciocia Lenzi – pośredniczka – trafiła do Auschwitz, gdzie zginęła w komorze gazowej.

Fritzi Jaroslavsky, wiedeńska działaczka podziemia, zabrana do obozu jako nastolatka, nigdy nie poznała losu Fini Schneider, z którą zaprzyjaźniła się w Ravensbrück. Ostatni raz widziała Fini uśmiechniętą dzielnie na tyle ciężarówki. Zawsze przypuszczała, że musiała umrzeć, ale nigdy tak naprawdę się o tym nie dowiedziała.

Gdy spotkałyśmy się w Wiedniu, pokazałam jej listę Austriaczek, których prochy zwrócono krewnym z Wiednia, oraz listę cmentarzy wiedeńskich, na których pochowano prochy. Na liście znajdują się nazwiska Fini oraz Käthe Leichter. Fritzi wzięła listę do ręki i przez dłuższą chwilę studiowała ją w milczeniu. Potem powiedziała, że nie może zrozumieć, w jaki sposób prochy trafiły do Wiednia. Jej matka musiała zapłacić, żeby zwrócono jej prochy ojca. Kto miałby zapłacić za prochy Fini? W tamtym czasie nie żyła już cała jej rodzina.

Do Rio nie nadeszła ani oficjalna notatka o śmierci Olgi, ani urna, i dopiero po zakończeniu wojny, kiedy Carlos wyszedł z więzienia, dowiedział się, że Olga nie żyje, chociaż musiał to już podejrzewać, gdy w lutym 1942 roku przestały przychodzić listy od niej. Jeśli oficjalna wiadomość dotarła do matki Olgi w Monachium, nigdy się tego nie dowiemy, ponieważ w 1942 roku Eugenia wraz z bratem Olgi Ernestem została deportowana do obozu koncentracyjnego Theresienstadt (Terezín) i oboje zginęli później w komorze gazowej w Auschwitz.

<sup>138</sup> Wywiad autorki.



[139](#) Witte i in. (red.), *Dienstkalender*.

[140](#) Chroust (red.), *Friedrich Mennecke*.

[141](#) Falkowska, Raport dla komisji historycznej, Instytut Pamięci Narodowej, Polska.

[142](#) Oprócz zeznań i wspomnień cytowanych powyżej wydarzenia, jakie nastąpiły, zostały opisane na podstawie zeznań Wiedmaier, ARa, świadków i dozorczyń w procesie hamburskim (np. Quernheim, Zimmer i Bernigau, BAL B162/9811, i Apfelkammer, BAL B162/9818).

[143](#) Witte i in. (red.), *Dienstkalender*.

[144](#) von Skene, WO 235/316.

[145](#) W biografii *Olga* Fernando Morais przytacza inny ostatni list, w którym Olga żegna się i pisze o „przygotowywaniu na śmierć”. Nie ma jednak śladu po tym liście w archiwach i jego autentyczność wydaje się wątpliwa.

[146](#) Dokumenty rodziny Leichterów.

[147](#) LAV NRW R RW-58/54910.

[148](#) Listy Liny Krug, akta VVN, BA.

## Część druga

## Rozdział 10

### Lublin<sup>149</sup>

Niemiecka policja przyszła po Marię Bielicką w środku nocy, gdy spała w mieszkaniu rodziców w Warszawie. Miała dziewiętnaście lat. Był styczeń 1941 roku, a przez ostatnie osiemnaście miesięcy – od chwili ataku nazistów na Polskę – Maria wspierała ruch oporu w Warszawie i okolicach, rozprawdzając podziemną prasę. Wydał ją inny członek grupy. Kobieta, którą znała, torturami zmuszono do mówienia.

„Policjanci wyłamali drzwi, weszli do mieszkania i powiedzieli, że mam iść z nimi. Musiałam się przy nich ubrać, a mama wymknęła się do kuchni i spakowała mi w szkolną teczkę rzeczy, których mogłam potrzebować w więzieniu: trochę wędliny, podpaski higieniczne i bochenek chleba. Cała matka Polka”.

Maria spotkała się ze mną w swoim mieszkaniu w londyńskim Earls Court w 2010 roku. Stwierdziła, że wcześniej rzadko rozmawiała o obozie. Kiedy po wojnie zamieszkała w Anglii, nikt nie wierzył w to, co miała do powiedzenia. „Tutaj nikt nie chciał słyszeć o obozach”. Od tamtej pory „zaczęła nowe życie” i pracę w Barclays Bank. Obecnie, w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat, Maria chciała mówić. Zdiagnozowano u niej nowotwór trzustki i pozostało jej niewiele życia.

Wyjęła zdjęcie ojca, którego w 1917 roku aresztowali Rosjanie za to, że walczył o niepodległość Polski. Jej matka sprzedała wszystko i zabrała małą Marię ze sobą do Moskwy, aby przekupić Rosjan i wydostać męża z więzienia. „I udało jej się! W ten oto sposób walka o Polskę przechodziła z pokolenia na pokolenie. Rodzice poznali się przy szmuglowaniu zakazanych książek”. Wskazuje na tłum w tle fotografii: „A tu trwa rosyjska rewolucja”.

Spytałam, czy matka nie przestrzegła jej przed wstąpieniem do ruchu oporu, gdy wybuchła II wojna światowa, ale uśmiechnęła się tylko: „Musi pani

zrozumieć, że na prawie półtora wieku Polska zniknęła z map. Nasze matki wychowywały nas w poczuciu, że nasz kraj nie może zostać znowu unicestwiony. Wychowywały córki w przekonaniu, że ruch oporu jest tak samo dobry dla młodych kobiet, jak dla mężczyzn”.

Kiedy 1 września 1939 roku zaczął się *Blitzkrieg* Hitlera przeciwko Polsce, szybko stało się jasne, że Führerowi nie chodzi tylko o militarne zwycięstwo, lecz także o zlikwidowanie Polski jako takiej i włączenie jej do Niemiec. Za czołgami szły formacje „trupiej czaszki” SS, które miały „wyczyścić” Polskę, pozbawić ją przywództwa, pogrzebać historię i tożsamość kulturową. W każdym mieście, miasteczku i wsi, które leżały na drodze armii niemieckich, zamykano szkoły, uniwersytety i ratusze, wyłapywano nauczycieli, księży, lekarzy i lokalnych przedstawicieli elit, torturowano ich i rozstrzeliwano.

Płeć nie grała roli, ofiarą padali zarówno mężczyźni, jak i kobiety. O ile naziści początkowo czuli pewien opór przeciwko brutalnemu traktowaniu Niemek, w Polsce nie mieli zahamowań. Faktycznie podczas natarcia Niemcy traktowali kobiety tak źle, że po wojnie nawet te, które potem trafiły do Ravensbrück, pamiętały wszystko, co je spotkało w Polsce w pierwszych dniach wojny, dokładniej niż to, co przeżyły później w obozie.

Stanisława Michalik została zatrzymana w swoim domu w Terespolu i zabrana z bratem, księdzem, do najbliższej kwatery Gestapo. Tam spotkała miejscowego naczelnika stacji, dyrektora prywatnej szkoły i całą miejską inteligencję. Przez kilka dni słyszała krzyki przesłuchiwanym mężczyznom i widziała, jak wracają złamani i zakrwawieni. Musieli obciąć swoje włosy i je zjeść. Potem przyszła jej kolej. „Katowali i mnie, zaciskałam mocno zęby z bólu, a jak zemdlałam, kopali mnie w brzuch lub wylewali kubły wody i zaczęli od początku”<sup>150</sup>.

Stanisława widziała w przelocie brata, w sutannie podartej na strzępy. Przywieźli inne kobiety, w tym jej znajomą z Terespolu: „Kiryłowa była osobą tęgą, toteż ciało poodbijane od kości odpadało jej całymi kawałami”. Więźniarkom może czasem oszczędzano maltretowania fizycznego, ale za to często musiały patrzeć z bliska, co dzieje się z mężczyznami. Jedna widziała, jak z jej znajomego lekarza zostały „krwawe strzępy”. Jadwiga Jezierska, studentka socjologii więziona na warszawskim Pawiaku, była świadkiem, jak

szef Gestapo zastrzelił mężczyznę, a potem kazał więźniarkom oglądać ciało. „Zdjął z niego ubranie i paradował z nagim”<sup>151</sup>.

Kiedy siły niemieckie wdarły się daleko w głąb Polski, Lublin szykował się na rzeź. To wśród wykładowców i studentów tego uniwersyteckiego miasta narodził się jeden z najsilniejszych ruchów oporu. Kiedy rozeszły się wieści, że płonie Księgarnia Świętego Wojciecha na Starym Mieście, studenci rzucili się gasić pożar<sup>152</sup>. Wanda Wojtasik, mocna siedemnastolatka, zorganizowała żywy łańcuch ludzi, którzy przekazywali sobie książki z rąk do rąk. Krysia Czyż, zaledwie piętnastoletnia, wpadła na pomysł, żeby książki zabezpieczyć w podziemiach klasztoru Kapucynów. Odtąd obie dziewczyny razem działały w ruchu oporu. Wanda roznosiła ulotki, a jej nowa przyjaciółka Krysia pomagała w schronie przeciwlotniczym. Pewnego razu dzięki swej harcerskiej pomysłowości podczas nagłego porodu w czasie nalotu podwiązała pępowinę sznurówką.

Tajne komórki organizowali sami wykładowcy i rodzice studentów. Matka Krysi, Maria, zajmowała wysokie stanowisko w lubelskiej Armii Krajowej. Podczas I wojny światowej służyła w szpitalu polowym przy Legionach i wszystko, czego się nauczyła, przekazywała Krysi. Ojciec Krysi, Tomasz, nauczyciel, przystąpił do programu tajnego nauczania, w ramach którego kontynuowano kształcenie dzieci mimo zamkniętych szkół. Nauczanie również stanowiło formę oporu: miało sprawić, że bez względu na to, ilu Polaków zginie, polska historia i kultura przetrwają.

Michał Chrostowski, radykalny intelektualista, prowadził salon dla lubelskich muzyków, pisarzy i artystów. Jego dwie córki, osiemnastoletnia Grażyna i dziewiętnastoletnia Pola, planowały założenie konspiracyjnego pisma „Polska żyje”. Pola, wysoka i ciemnowłosa, była dziennikarką, a Grażyna, dziewczyna o kręconych jasnych włosach, interesowała się poezją i sztuką.

Tajna organizacja nie miała szans z miejscowym dowódcą SS i policji, Odilo Globocnikiem, który na początku 1940 roku zmiażdżył polską opozycję i zesłał mężczyzn do pierwszego nazistowskiego obozu koncentracyjnego na polskim terytorium, w Oświęcimiu. Wśród nich znalazł się Michał Chrostowski<sup>153</sup>. Niedługo potem Pola i Grażyna też zostały aresztowane i zabrane na przesłuchanie „Pod Zegar”, jak nazywano więzienie Globocnika

przy ul. Uniwersyteckiej, od zegara znajdującego się nad wejściem. Inne kobiety wyłapano w odległych wsiach i przywieziono do Lublina saniami, powożonymi przez Niemców w kozuchach.

W maju 1941 roku do więzienia w lubelskim Zamku trafiły Krysia i Wanda. Przebywały tu również Grażyna i Pola. Nazistowscy sędziowie usłyszeli zmyślane zarzuty przeciwko nim i wydali wyroki śmierci. Od czasu do czasu wykrzykiwano nazwisko i zabierali kobietę na egzekucję. 21 czerwca 1941 roku wezwano Grażynę i Polę wraz z osiemnastoma innymi skazanymi, ale kiedy strażnik zaprowadził je na miejsce egzekucji, przyszedł komendant więzienia Dominik, Ślązak, który mówił po polsku, i gniewnie kazał odprowadzić kobiety z powrotem do cel, mówiąc, że to nie jest dobry dzień na takie rzeczy; właśnie rozpoczął się niemiecki atak na Związek Radziecki.

Kobiety czekały na wywołanie swoich nazwisk lub obserwowały przez okno, jak na dole mężczyźni – często bracia, ojcowie lub mężowie – ustawiani są w szeregu przed wywiezieniem do Auschwitz. Niektóre pisały wiersze lub rysowały nawzajem swoje portrety na papierze przemyconym przez zaprzyjaźnione polskie strażniczki. Grażyna napisała liścik do ciotki: „Napisz, jeśli dowiesz się czegoś o Papie, dwudziestego drugiego zabrali go do obozu”<sup>154</sup>. Krysia szmugłowała też wiadomości do matki, a ona odpowiadała.

Niektóre liściki dziewcząt, tak maleńkie, by dało się je ukryć między palcami<sup>155</sup>, niedawno odnaleziono i znalazły się na wystawie lubelskiego muzeum „Pod Zegarem”. Córka Krysi, Maria, znalazła maleńkie karteczki ukryte w starej cukiernicy babci. Na ścianach muzeum wiszą też portrety, w tym Krysi Czyż w okularach na piegowatym nosie, który Grażyna narysowała w więzieniu na Zamku. Wiszą tam również rysunki Krysi, w tym kilka starannie narysowanych map przedstawiających różne drogi z Ravensbrück do domu w Polsce.

We wrześniu 1941 roku z Lublina wyjechał do Niemiec pociąg pełny polskich więźniarek<sup>156</sup>. Gdy wchodziły do wygodnych pasażerskich wagonów, czuły się szczęśliwe po raz pierwszy od początku wojny, wierząc, że zmiana będzie na lepsze. Leokadia Kwiecińska wspominała: „Zdawało nam się, że nigdzie nie może już być gorzej niż w zatłoczonym, zawszonym Zamku, gdzie śmierć co dzień zbierała hojne żniwo. Toteż z pewnego rodzaju ulgą przyjęliśmy we wrześniu wiadomość, że szykuje się kobiecie transport do

obożu pracy [...]. Gdy usłyszałam swoje nazwisko wśród kobiety wyznaczonych do transportu, poczułam raczej ulgę [...]. Pozostanie na miejscu nie wróżyło nic dobrego, a odjazd w nieznane dawał jakąś nadzieję zmiany, może na lepsze?”<sup>157</sup>.

Wyjeżdżały wkrótce po wybuchu wojny na Wschodzie i wszędzie widać było oznaki tego, co się dzieje, chociaż one nie potrafiły ich odczytać. Z ciężarówki wiozącej je na dworzec widziały tłumy Żydów stłoczonych w lubelskim getcie. Pod miastem, na Majdanku, zobaczyły ogromną budowę; nie wiedziały, że wkrótce powstanie tam nowy obóz koncentracyjny.

Bez względu na to, co miała przynieść przyszłość, kobiety cieszyły się, że przynajmniej ocalały życie. Jechały do Niemiec, ale cóż mogło być gorszego od tego, co przeszły do tej pory? Mieliby je wieźć setki kilometrów na śmierć? Gdyby mieli je zabić, zrobiliby to na Zamku, tego były pewne.

Na peronie krewni próbowali podrzucić ostatnie przesyłki. Dopiero gdy pociąg zaczął się rozpędzać, do dziewcząt dotarło, że wyjeżdżają z Polski i nie wiedzą, czy kiedykolwiek wrócą, więc rzucały pośpiesznie liściki przez okna wagonu – do matki lub siostry – w nadziei, że znalazcy przekażą wiadomości. Przez hałas pociągu Wanda krzyknęła do Krysi: „Musimy, musimy! Słyszysz? [...] Musimy wrócić!”<sup>158</sup>. Grażyna trzymała się blisko Poli. Powiedziała przyjaciółce, że od tej pory zawsze trwała u boku Poli.

Po kilku godzinach pojawiła się na horyzoncie zrujnowana bombardowaniami Warszawa i do pociągu dołączono więcej wagonów dla kobiet z Pawiaka. Wśród nich znajdowała się Maria Bielicka, dziewczyna ze szkolną teczką zapakowaną przez matkę. „Później mama przysłała mi kolejną paczkę, a w niej palto zimowe i buty, którą pozwolili mi zabrać do pociągu do Niemiec”.

Było już ciemno, kiedy pociąg wyjeżdżał z Warszawy, wspominała Maria. „Śpiewałyśmy, żeby się rozweselić, i pamiętam, że jedna melodia spodobała się strażnikowi, więc miałyśmy trochę zabawy jego kosztem. Kiedy przejeżdżałyśmy przez Łódź, śpiewałyśmy «Hitler wisi na krawacie», a strażnik uśmiechał się nadal, ponieważ nic nie rozumiał. Zawsze znajdowałyśmy sobie takie drobiazgi, które trzymały nas przy życiu. Można rzec, dziewczęce psoty”.

Pociąg jechał, a wśród pasażerek rozeszła się wieść od warszawianek, że jadą do miejsca zwanego Ravensbrück. Inne kobiety z Warszawy Niemcy już

tam wywieźli, a niektórym udało się przemycić tę informację przyjaciółkom ze stolicy. Przejechały przez Poznań. Któraś wyrzuciła przez okno kolejny liścik. „Jedziemy w nieznaną przez Kutno na Poznań”<sup>159</sup>.

Gdy przekraczają niemiecką granicę i wyjeżdżają z Polski, Krysia przysypia, ale budzi ją płacz przyjaciółki: „Dobry Boże, pozwól mi umrzeć w Polsce”. Grażyna pisze wiersz, a Wanda próbuje się zorientować, dokąd dokładnie jadą. O drugiej w nocy mijają powoli Berlin, pogrążony w całkowitych ciemnościach z powodu zaciemnienia.

O świcie 23 września dziewczyny budzą się z drzemki i widzą, że pociąg jedzie przez las i mija połyskliwe jezioro. Potem zauważają świeżo zaorane pola, na których pracują mężczyźni i kobiety. Prawie pośrodku pola pociąg nagle się zatrzymuje. Jest peron i mała stacja: Fürstenberg. Chwila ciszy, po czym nagle powietrze rozdzierają krzyki, gdy na peronie pojawiają się „olbrzymie, wysokie blondyny” z warczącymi psami.

Hałas się nasila, olbrzymki otwierają drzwi i wywlekają kobiety, na peronie tworzy się kłębowisko ludzi, walizek i pakunków. „Zbiórka piątkami, zbiórka piątkami”. Szczekające psy zostają spuszczone ze smyczy. Wanda, Krysia, Grażyna, Pola, Maria, wszystkie stają w szeregu, ale z tyłu któraś się potknęła i krzyczy z bólu. Nikt się nie rusza. Kobieta, która się przewróciła, zostaje skopana. Zapada cisza. To ten przerażający rodzaj ciszy, jeszcze go nie rozumieją, ale będą jej teraz doświadczać raz po raz. „Dlaczego nie rzuciłam się z gołymi pięściami na te straszne baby?”, myśli Wanda w duchu. Nie pomaga świadomość, że są wszystkie razem. Wręcz przeciwnie, upokorzenie trudniej znieść. Wanda wspominała: „Przez moment zagrała gorąca nienawiść; a jednak skoczę na tę najbliższą, niech tam”. Czarna peleryna zbliża się. „Jeżeli uderzy mnie albo Krysię, albo Władkę, to... Patrzyłam jej prosto w twarz...”<sup>160</sup>. Dozorczynie odwraca wzrok i przechodzi dalej. Kiedy maszerują do obozu, kobiety modlą się bezgłośnie szepcąc. Patrzą na las, na jezioro i na ogromne, ponure baraki ustawione w idealnie równych rzędach; kiedy podchodzą bliżej, zauważają symetryczne klomby czerwonych kwiatów przy niektórych barakach i rzędy małych drzewek.

Gdy czekają z bagażami na placu apelowym, widzą przechodzące więźniarki w obozowych pasiakach z narzędziami w rękach. Największy budynek wygląda i pachnie jak kuchnia. Chude postacie przemykają obok i pokazują na



migi, żeby zjadły wszystko, co mają w torbach, ponieważ zostanie to im zabrane. Przybyłe pokazują w odpowiedzi, że się z nimi podzielą. Postacie wyglądają na przerażone. Potrząsają głowami i szepczą: „Bunkier, bunkier” – ale nowo przybyłe nie wiedzą, co to oznacza.

Kiedy czekają w upale, niektóre przysiadają na torbach i zostają zgonione przez strażników. Czekają do późnego popołudnia i wreszcie zostają zabrane do łaźni. Strażnicy patrzą, jak się rozbierają. „Podchodzą do nas blisko, wysocy, z bagnetami – wspominała Maria Bielicka. – Podoba im się. Oczywiście, że im się podoba – patrzenie na nasze młode ciała – ale chyba nie pod kątem seksualnym, chyba bardziej chodzi im o władzę nad nami”.

Maria opisuje, co stało się z jedną z nich, ze starszą, otyłą kobietą, którą nazywały babcią Filipską:

Po prysznicu próbowała wbić się w kaftan, który był na nią za mały. Miała ogromny biust i ci mężczyźni ryczeli ze śmiechu, gdy szarpała się z ubraniem. Była wszędzie bardzo okrągła i jeden z nich podszedł i zaczął bagnetem bawić się jej piersiami: podnosił je i patrzył, jak się kołyszą. Wszyscy znowu ryknęli śmiechem.

Podobnie jak inne nowo przybyłe, teraz Polki były golone. „To ty, Wando?”, spytała Krysia. „Czy to Grażyna?” Zniknęły loki Grażyny. „Wyglądałyśmy jak klauni, niektóre w sukienkach do kostek, inne do kolan”, opowiadała Maria.

Przewracali się w drewniakach, próbując złapać równowagę. Przechodziły inne więźniarki, które udawały, że nie widzą nowo przybyłych. „One w ogóle nie miały twarzy! – zauważyła Wanda. – Boże, jeżeli jeszcze jesteś nad tym światem, daj nam zachować własną twarz w tym strasznym miejscu”. Krysia na pewno myślała o tym samym. Chwyciła Wandę za rękę. „One są wszystkie jednakowe”, wyszeptała<sup>161</sup>.

Zofia Kawińska powiedziała, że z przyjazdu zapamiętała tylko wrzaski olbrzymek. Gdy czekały znowu na zewnątrz, podeszło do nich kilka polskich więźniarek i rozmawiało z jedną czy dwoma, które znały z Warszawy. „Przygotujcie się. Bądźcie silne”, powiedziały nowo przybyłym. Maria Bielicka rozpoznała koleżankę z Warszawy, Marię Dydyńską. „Maria przerażała się na nasz widok i tym mnie wystraszyła – jakby coś wiedziała”.

Podeszła do nich inna postać i wyszeptała: *Sondertransport* – transport specjalny. Złowieszczy szept powtarzał się echem: *Sondertransport, Sondertransport*.

Na początku wydawało się, że temu transportowi specjalnemu nie przytrafi się nic nadzwyczajnego. Po „kąpeli” dostały czerwone trójkąty ostemplowane czarną literą „P”. Prawie wszystkie przybyłe z zagranicy trafiały do kategorii politycznej, a nadrukowana litera oznaczała narodowość. Kobiety z Warszawy i Lublina dostały numery od 7521 do 7935. Wanda upewniła się, że przydzielono jej numer obok Krysi; miały 7708 i 7709. Nowe przemaszerowały piątkami do odizolowanego drutem kolczastym bloku na kwarantannę. Kwarantanna stanowiła normalną praktykę przez kilka miesięcy, ponieważ esesmani obawiali się, że kobiety z Polski mogą przynieść tyfus.

Z powodu rosnącego zatłoczenia coraz trudniej było zachowywać czystość, więc władze wprowadziły nowe zasady: sprawdzanie czystości podeszew obuwia, utworzenie drużyny szukającej wszy. Ponieważ Polki uważano za brudaski, nowo przybyłe musiały kilka razy dziennie szorować swój blok ryzowymi szczotkami.

Na początku dbałość o czystość wywoływała radość. W lubelskim Zamku pchły gromadziły się czarnymi rojami, a tutaj były białe prześcieradła i każda kobieta miała własne sztućce oraz ściereczkę do ich czyszczenia. Jedna z blokowych w bloku kwarantanny, Niemka Hermina, ciągle nękała kobiety, ale przynajmniej strachem zapewniała porządek, jakiego nie widziały od miesięcy.

Podczas kwarantanny więźniarki nie pracowały. Dni mijały im na siedzeniu w baraku. Wcześniej wszystko im zabrano – śniegowce, szkicowniki, ołówki – zaraz po przyjeździe rzeczy te zostały opisane i oddane do magazynu. Krzyżyki zdarto z szyj. Jeśli któraś miała własną szczoteczkę do zębów, mogła ją zachować. Oraz, jeśli miały, podpaski higieniczne; materiałowe, zapewniane przez obóz, się skończyły. Ale większość kobiet przestała miesiączkować dawno temu z powodu szoku wywołanego aresztowaniem.

Teraz żyły w nudzie, nie robiły nic, siedziały w jadalni stłoczone na ławkach albo na podłodze. Wymyślały różne gry i wsłuchiwały się w rytm obozowego życia – syreny, tupot stóp, okrzyki: *Raus! Raus! Achtung!* oraz wycie psów. Rano i wieczorem dostawały pół kubka kawy. Zgadywały, że musiała być robiona z żołądźi albo częściowo z rzepy. Chleb miał konsystencję gliny i pomieszany był z wiórami. Południowy posiłek składał się z miseczki ziemniaków w łupinach z rozgniecioną brukwią lub burakiem pastewnym.

Kiedy o 21.00 syreny ogłaszały ciszę nocną i Hermina zaciągała zasłonę wokół swojej części sali, dziewczęta leżały blisko siebie, szeptem

rozmawiały o rodzinach i zastanawiały się, co z nimi będzie. Modlitwy były zakazane. Pobudkę obwieszczały syreny o czwartej rano. Mieszkanki bloku kwarantanny nie wychodziły na zewnątrz, ale zerkały przez okno na kobiety wylewające się z innych bloków i stojące po kilka godzin, często w deszczu. Krysia nazywała apele „paradami śmierci”. „Ale przynajmniej mogły patrzeć w gwiazdy”, powiedziała Wanda.

Od czasu do czasu dziewczęta widziały postacie przemykające koło bloku. Nagle te same postacie wybiegały z rogów, podbiegały do czegoś, podnosiły to i wpychały sobie do ust. Albo padały na czworaki i zlizywały coś z ziemi, potem odbiegały z powrotem. Wydawało się, że te postacie są same. Nazywano je – ironicznie – *Goldstücke*: „złote monety”. Gdy *Goldstücke* wałęsały się dookoła, inne więźniarki omijały je, a czasem spychały ze swojej drogi.

Od tej pory każda grupa przyjeżdżająca do obozu mogła opisywać podobne postacie w obozie, ponieważ ich liczba stale rosła, ale Polki pierwsze określiły *Goldstücke* jako osobną kategorię. Strażnicy nazywali je *Schmuckstücke*, czyli bezużyteczne, „darmozjady”<sup>162</sup>. Faktycznie były po prostu najbiedniejszymi z najbiedniejszych w obozie. Denise Dufournier, francuska więźniarka, która trafiła do Ravensbrück w 1944 roku, opisuje *Schmuckstücke* jako „najbardziej żałosne, brudne i obdarte”. Zawsze z pustymi menażkami, „przypominały biednych z każdego kraju na świecie”.

Rok wcześniej esesmani usuwali te więźniarki z Lagerstrasse; teraz stało im się to obojętne. Gromada *Goldstücke* czy też *Schmuckstücke* zawsze czekała pod blokiem kuchennym, kiedy *Kesselkolonne*, nosicielki zupy, zaczynała roznosić ją po blokach. Kobiety czekały na każdą rozlaną kroplę, która trafiała się często, ponieważ kotły – olbrzymie żeliwne gary – ważyły tonę i więźniarki z trudem mogły utrzymać je prosto na taczce. Pokrzykiwały więc na *Goldstücke*, aby trzymały się z daleka – albo rozleją za dużo i wszystkie wylądują w bunkrze.

Czasem *Goldstücke* podchodziły za blisko drutu otaczającego blok kwarantanny i dziewczęta z Lublina odskakiwały ze wstrętem. „Spójrz”, powiedziała Krysia, kiedy pojawiły się po raz pierwszy. „Ona już się poddała”, odparła Wanda. I modliły się do Boga, żeby bez względu na to, co im się przytrafi, nigdy nie stały się takie, jak te kobiety.

Kilka dni po przybyciu dziewczęta z Lublina i Warszawy dostrzegły za

drutami bloku kwarantanny zupełnie inną grupę kobiet. Krysia, Wanda i inne słyszą, że tamte przedstawiają się jako ich rodaczki, które są już w obozie od dawna. Przyszły się z nimi przywitać i spytać o wieści z ojczyzny. Nawiązanie tego kontaktu łamało wszystkie zasady, ale Hermina musiała zostać przekupiona lub dostała rozkazy, aby dopuścić je do drutu, ponieważ nie zareagowała.

Te Polki, od dawna przebywające w obozie, wydają się w pierwszej chwili dziwne i obce. Nowe nazywają je „staruszkami” lub „starymi”, ponieważ niektóre posiwiały. Większość ma niskie numery, w okolicy 2500, co oznacza, że są w obozie od prawie dwóch lat.

Nowe są podejrzliwe wobec „starych” i czują nad nimi wyższość. Tamte zostały aresztowane po prostu za to, że mieszkały na spornym terytorium Polski, blisko granicy z Niemcami. Nie były w ruchu oporu, nie walczyły na wojnie. Są tu już od tak dawna, że ich skóra poszarzała. Niektórym rosną włosy na twarzach. Mają obcy akcent, kiedy mówią o obozie, używają obcych słów – *Sandgrube*, *Bock*. I mówią po niemiecku, językiem dozorczyń.

Jednak w czasie kilkutygodniowej kwarantanny, gdy „stare” przychodzą, podejrzlenia blakną. Dają dobre rady nowym: „Zawsze oszczędźcie połowę chleba na wieczór”. „Nigdy nie pijcie wody”. „Wybierajcie wszy”. Później „stare” przynoszą rozmaite drobiazgi, które „zorganizowały” – obozowe określenie na kradzież lub przemyt. Rok temu Polki znajdowały się tutaj na dole drabiny społecznej, ponieważ nie potrafiły nic „zorganizować”, ale od chwili przybycia transportu specjalnego we wrześniu 1941 roku ich pozycja zaczęła się zmieniać.

Trudno określić, kiedy dokładnie pierwsze polskie więźniarki zaczęły się wspinać w hierarchii Ravensbrück, ale dzięki polskiej hrabinie i jej opowieściom można prześledzić pierwsze zmiany ich losów. Na początku 1941 roku grupa Polek dołączyła do komanda niemieckich aspołecznych pracujących w piwnicy z warzywami. Podczas długiej nocnej zmiany siedziały na stosie brukwi i obierały ją, dopóki każda nie zapełniła dwudziestu pięciu wiader – ilości potrzebnej kuchni na zupełną następną dzień. Trudno było nie zasnąć, ale nie wolno im było odpocząć, dopóki praca nie została wykonana.

Któregoś dnia Polki zaczęły przy pracy recytować poezję i opowiadać różne historie. Zainteresowały one wszystkie obieraczki i wiadra zapełniały się z podwójną szybkością. Gdy polskie więźniarki zauważyły, jak szybko pracująca obok rosyjska drużyna oczyszcza warzywa, gawędziarki zaczęły

mówić głośniej i wyraźniej, przyciągając Rosjanki samym brzmieniem głosów i jeszcze bardziej przyśpieszając pracę<sup>163</sup>.

Nawet dozorczyńnie zdawały się słuchać, a wiadomość o tych gawędach dotarła do Johanny Langefeld, która szukała Polki na swoją tłumaczkę. Społeczność Polek rozrastała się tak szybko, że wkrótce stała się najliczniejsza w obozie, ale większość z nich nie mówiła po niemiecku i nie mogła zrozumieć poleceń, co często kończyło się biciem. Langefeld wolała być rozumiana i gdy usłyszała o jednej z polskich gawędziarek, wezwała Helenę Korewinę na rozmowę i wyznaczyła ją na swoją tłumaczkę<sup>164</sup>.

Do czasu gdy przyjechały studentki z Lublina i Warszawy, Polka z Poznania nie tylko zaimponowała Langefeld, ale też zjednała sobie zaufanie córki kowala. Na sugestię Korewiny Langefeld zatrudniła Polki jako blokowe i sekretarki w obozowych biurach. Sama Korewina wyrosła na najpotężniejszą więźniarkę w obozie.

Od chwili zakończenia czterotygodniowej kwarantanny kobiety muszą uczestniczyć w porannych apelach. Krysia mówi, że jest za zimno, żeby patrzeć w gwiazdy. Jedna dziewczyna ma wsunięty pod suknię ręcznik dla ochrony przed zimnem. Dozorczyńni to dostrzegają i uderza ją w twarz. Teraz to na nie wszyscy patrzą. Jako niedawno przybyłe do obozu budzą pewną zazdrość, jakby jeszcze tkwiło w nich coś ze świata zewnętrznego. Inne więźniarki starają się je dotknąć.

Po apelu grupa wraca do bloku, ustawia się w kolejce po kawę, ale jeszcze się nie nauczyły oszczędnie gospodarować chlebem, więc skończyło im się już 250 gramów otrzymane wczoraj wieczorem i nie mają nic do zjedzenia przed pracą.

Ponowne wyjście na plac apelowy, na apel grup roboczych: dowiadują się, że są „verfugami”, *Verfügs*. Jako *Sondertransport* nowe Polki mają zakaz pracy poza obozem, chociaż nikt nie mówi im dlaczego. Ustawiają się więc w szeregu z *Verfügbare*, dosłownie dostępnymi lub pozostałymi, chociaż według Polek oznaczało to: motłoch – więźniarki, które dostaną jakąkolwiek pracę, kiedy wszystkie lepsze zostały już rozdysponowane<sup>165</sup>.

I tak, gdy poszczególne komanda wychodzą przez obozowe bramy z kociołkami na zupę, Polki dołączają do *Verfügbare* i „kolonka” (skrót od *Kolonnenführerin*) wyczytuje ich numery. Niektóre „verfugi” próbują

załatwiać z „kolonkami”, żeby dały im najlepsze przydziały, ale nowo przybyłym przypada czyszczenie toalet, usuwanie łopatami błota lub przrzucanie cegieł. Przeludnienie wymaga nowych zasad dla komand<sup>166</sup>. Cegły, przrzucane od osoby do osoby, są liczone, aby na każdą taczkę przypadła konkretna liczba; sprawdzana jest ilość piasku na łopacie, nawet jeśli ręce krwawią od otarć.

Są takie, które wiedzą, o co chodzi, i takie, które nie wiedzą – nowe Polki nie wiedzą. Na przykład w komandzie przrzucającym cegły jeśli kobieta zemdleje, inne nie mogą jej pomóc, muszą podawać cegły dalej, nad nią, do następnej osoby w łańcuchu. A doświadczone Niemki rzucają teraz szybko, nowe Polki nie dają rady łapać, więc cegły spadają na nogi zemdlonych.

Polki muszą się jeszcze nauczyć, jak łapać cegły, aby nie ranić się o ostre kanty. Wkrótce ręce Wandy przypominają jedną wielką krwawą masę – ból jest tak wielki, że ręce same jej opadają, patrzy, jak krew kapie na ziemię. „Co się dzieje?” Wanda podnosi ręce, żeby pokazać dozorczyń. Po przerwie na posiłek – wodnista zupa w bloku – ta sama dozorczyń po cichu wyciąga ją z szeregu i na dzień lub dwa kieruje do noszenia koszy.

O 19.00 na dźwięk syren ponownie ustawiają się w kolejce po zupę z brukwi. O 20.15 rozbrzmiewa sygnał na szykowanie się do snu, a o 21.00 ogłasza ciszę nocną, nieobowiązującą dozorczyń z psami, które chodzą i sprawdzają, czy więźniarki nie założyły do spania dodatkowych ubrań. Winne są zrzucane na podłogę na pastwę psów. Dozorczyń wychodzi w noc, krzycząc: *Alles in Ordnung!*

W bloku dziewczęta próbują zrozumieć zasady, choćby tylko po to, żeby ich nie łamać. Najwyraźniej niemiecka własność jest święta, więc zbity kubek oznacza raport i prawdopodobnie karę cielesną. „Świeże” zbierają najokrutniejsze kary. Kobieta robi ocieplacze na stopy ze skrawków papieru dla ochrony przed mrozem. Dostaje dwadzieścia pięć kijów, chociaż teraz nie może pracować. Inna przerabia nieco suknię, żeby lepiej leżała. Zostaje wychłostana. A wszystkie zasady obowiązują od razu: na rozkaz trzeba wybiec z bloku „jakby się paliło”, inaczej można dostać karę polewania wodą, co zimą oznacza chodzenie cały dzień w zamrożonym ubraniu.

Ale te zasady nie mają żadnej logiki. Mnożą się z dnia na dzień. Czystość, mile widziana na początku, jest wymuszana nie dla higieny, ale w ramach jakiejś obłąkanej obsesji. Na przykład kobiety muszą polerować szklanki

brudnym fartuchem, ponieważ czysta ściereczka zostawia białe ślady. Zasady składania koców osiągnęły poziom absurdu. Nie tylko przykrycia należy wygładzać i wygładzać, ale wszystko. Większość niedzieli upływa na ścieleniu łóżek, składaniu koców, ręczników, ściereczek, serwetek w coraz bardziej skomplikowane figury.

Zasady wprowadzane są w życie całkowicie arbitralnie, w zależności od kaprysu blokowej. Jedna wprowadza zasadę, że na noc trzeba zostawiać szeroko otwarte okna, więc kobiety po przebudzeniu widzą na suficie szron, który topnieje i spada na łóżka. Czasem muszą odrywać od poduszek przymarznęte włosy. Inna blokowa lubi urządzać niezapowiedziane kontrole majątków pod kątem docieplania. Wpada wtedy nieoczekiwanie do części sypialnej bloku i każe wszystkim przemaszerować przed sobą z sukienkami zarzuconymi na plecy.

Jeszcze inna wpada w szal, jeśli więźniarka próbuje nadać jaki taki wygląd włosom. Często kara wymierzana jest jako nauczka dla innych, ponieważ teraz obóz jest tak duży, że nie wszystkie winowajczynie udaje się przyłapać. I tak siedemnastolatka męczy się dwa tygodnie w bunkrze tylko za to, że próbowała wyrównać grzywkę. W celi panuje lodowate zimno i dziewczynie wdaje się w nogi gangrena, więc trafia do rewiru na amputację, lecz lekarz przeprowadza operację za późno i chora umiera.

Zimą ogolone głowy nowo przybyłych zaczynają porastać włosami. Grażyna Chrostowska, poetka z Lublina, próbuje doprowadzić do porządku swoje odrastające włosy, ale widzi to dozorczyńni i Grażyna za karę znowu zostaje ogolona do gołej skóry. Najwięcej obozowych zasad ma na celu uniemożliwienie nawiązywania przyjaźni, czyli – w żargonie obozowym – integracji. Polki jako grupa są szczególnie winne łamania tych zasad, więc słyszą, że mają zakaz spotykania się i tylko raz dziennie mogą wymienić spojrzenia przez okno. Nie wolno im ścisnąć rąk na powitanie i rozmawiać między sobą bez pozwolenia.

Ale Halina Chorążyna, inżynier chemik z Warszawy, zna sposoby na obejście tych zasad i w Boże Narodzenie nawołuje dziewczyny, żeby zaśpiewały razem kolędy. „Tylko nie śpiewajcie głośno – szepce. – Śpiewajcie w myślach”. Śpiewają zatem bezgłośnie, otwierając jednocześnie usta, i czasem to działa<sup>167</sup>. Halina jest w obozie tyle samo czasu, co dziewczyny, ale jest już „starą” pod względem mądrości. Podobnie jak matki dziewcząt walczyła



w I wojnie światowej<sup>168</sup>.

Za sugestią Haliny kobiety postanawiają, że codziennie zrobią coś dla siebie, choćby najdrobniejszą rzecz, aby sobie pomóc, może to być na przykład uśmiech dla Grażyny, która martwi się o chorą siostrę, Polę. Przyjaciółki zauważają, że żadna z sióstr nie uśmiecha się, odkąd dostały wiadomość o śmierci ojca. Innego dnia Halina mówi: „Zaprzyjaźnijcie się z kimś samotnym”. Stanisława Michalik ma na dolnej pryczy nowo przybyłą Polkę, dziewczynę ze wsi, która bardzo cierpi. Pierwszej nocy zwierza się Stanisławie, że spodziewa się dziecka i jest przerażona, co się stanie.

Następnego dnia młodą Polkę zabierają do rewiru. Późnym wieczorem wraca do bloku i szłocha w ramionach Stanisławy. Mówi, że „wycięli z niej” dziecko<sup>169</sup>.

Zimą 1941 roku wszyscy w Ravensbrück wiedzieli już, że wszystkie ciążę są usuwane w rewirze. Regulamin mówi, że w obozie nie może urodzić się żadne dziecko. W czasach kiedy ciąża wśród przyjeżdżających trafiała się rzadko, wysyłano kobietę po prostu do szpitala w pobliskim Templinie do czasu porodu. Jednak dwa lata później liczba ciężarnych bardzo się zwiększyła z powodu ogromnego napływu do Niemiec tysięcy Polek wyznaczonych do pracy niewolniczej.

Od ataku w 1939 roku Niemcy urządzali łapanki i wysyłali Polaków do pracy w niemieckich gospodarstwach i fabrykach. W 1940 roku Hitler wydał dekret, że każda Niemka, która nawiąże kontakty intymne z Polakiem, zostanie publicznie ogolona na łyso i przeprowadzona ulicami „ku przestrodze dla innych”. Jednak piętno publicznego upokorzenia nie odstraszyło kobiet i ciężarne Niemki – podobnie jak polskie robotnice, które zaszły w ciążę z Polakami – odsyłano do Ravensbrück i poddawano przymusowej aborcji. Wszystkie dostawały czerwoną kategorię polityczną, ale aby je odróżnić od „prawdziwych” politycznych, dostawały pogardliwą etykietkę *Bettpolitische*, polityczno-łożkowa. Podobnie jak Żydówki zatrzymane za kontakty seksualne z Aryjczykami, kobiety te również otrzymały zarzut *Rassenschande*.

Aborcje przeprowadzał zwykle nowy lekarz obozowy, były chirurg marynarki Rolf Rosenthal. Wszystkie więźniarki pracujące w rewirze zapamiętały go jako rzeźnika. Hanka Housková, czeska więźniarka, pielęgniarka, wspominała, jak raz Rosenthal wyciął z ciała kobiety



pięciomiesięczny płód piłką chirurgiczną. Pewnego dnia doktor Božena Boudová, farmaceutka z Czech, usłyszała z sali operacyjnej okropne jęki i zobaczyła w wiadrze martwe dziecko z pępownią.

Rosenthalowi towarzyszyła przy zabiegach więźniarka Gerda Quernheim, nazywana „małą fretką”<sup>170</sup>. Quernheim urodziła się w Zagłębiu Ruhry i wiosną 1941 roku, w chwili przyjazdu do obozu, miała 34 lata. Ta doświadczona pielęgniarka i położna trafiła do obozu za przeprowadzanie aborcji, które poza obozem były nielegalne: dobre Aryjki miały robić wszystko, aby zwiększyć przyrost naturalny, a nie go obniżyć. Mimo to za same nielegalne aborcje Quernheim nie trafiłaby do obozu, ale dołożyła do tego obrazę Hitlera na własnym procesie.

Po przyjeździe do obozu Gerda została najpierw przydzielona do komanda odwszawiającego, czyli do golenia głów, ale dopiero kiedy dołączyła do komanda zajmującego się zbieraniem zwłok i przenoszeniem ich do miejsca, skąd zabierano je do krematorium w Fürstenbergu, zwróciła na siebie uwagę. Helena Strzelecka, Polka z tego samego komanda, wspominała, jak poszła z Gerdą do bunkra zabrać ciało badaczki Pisma Świętego z celi. „To był sam szkielet – wspominała Helena – leżący w wodzie”.

Za czasów Mandl i Binz horror bunkra nasilił się i tortury wodą stały się powszechne. W celi 64., zwanej celą śmierci, znajdował się kran. Więźniarki po biciu na koźle strażnicy rzucali na podłogę i odkręcali kran. Kobiety leżały w wodzie tak długo, że czasem zamarzały na śmierć. Tym razem spotkało to badaczkę Pisma Świętego. „Strażnik Hasse bawił się kluczami i drwił ze zmarłej – opowiadała Helena. – Kiedy włożyły ją do trumny, Quernheim rzekła: «Ty głupia bibelko. Teraz idziesz do swojego Jehowy»”. Potem dentysta wyrwał złote zęby. Duże ich ilości trafiały do Berlina”.

Po krótkim czasie Quernheim wybrano do pracy w rewirze u boku obozowych lekarzy. W zamian mogła jeść w kantynie esesmańskiej i to właśnie wtedy Doris Maase przezwała ją „małą fretką”.

Kiedy przyjechała nowa lekarka, Herta Oberheuser, prosiła Quernheim o pomoc przy wykonywaniu zastrzyków z trucizną, który to proceder Oberheuser kontynuowała po wyjeździe Sonntaga.

Niemiecka więźniarka Klara Tanke, inna pracownica rewiru, wspominała, że na początku 1941 roku przyjechał transport Holenderek – w większości komunistek – a wśród nich znajdowała się dwudziestokilkuletnia dentystka

chora na żółtaczkę. Klara wspominała: „Poprosiła mnie o tabletkę przeciwbólową, bo bardzo ją bolało. Nie mogłam jej pomóc. Holenderka poskarżyła się Oberheuser, a ta powiedziała: «Dam ci coś, co przyniesie ci spokój». Quernheim poszła do gabinetu lekarskiego po strzykawkę i na polecenie Oberheuser zrobiła zastrzyk ze śmiertelną trucizną. Ciało zabrano do pomieszczenia ze zwłokami”<sup>171</sup>.

Klara widziała również, jak doktor Oberheuser daje zastrzyk z trucizną osiemnastolatce z Bremerhaven, z którego też pochodziła. Kobieta została zabita za „moczenie łóżka”, stwierdziła Clara. I tym razem zastrzyk podała Quernheim.

Kiedy Rolf Rosenthal dowiedział się, że Quernheim jest wyszkoloną położną, kazał sobie pomagać przy aborcjach, legalnych w obozie, ponieważ więźniarki były „darmozjadami”. Przestępstwo, za które Quernheim została skazana, teraz stało się jej obowiązkiem: pomagała Rosenthalowi wywoływać poród, a potem zabijała płód – albo go dusząc, albo topiąc w wiadrze. W zamian zyskała więcej przywilejów, prawo do noszenia czystego fartucha i nocowania w rewirze.

Ilse Machová, inna Czeszka pracująca w szpitalu, opisywała, jak nocą Quernheim umieszczała zwłoki noworodków w tekturowych pudłach, zabierała je do obozowej kotłowni i wrzucała do pieca. Więźniarki widywały ją również za dnia, jak idzie do kotłowni, zwykle niosąc wiadro. Oto opis pielęgniarki, więźniarki Hanki Houskovej:

Często widywałyśmy nakryte ścierką wiadro Gerdy Quernheim ze zwłokami noworodków, z którym kursowała za dnia w tę i z powrotem. Raz niosła dwa wiadra. Innym razem byliśmy pewne, że z wiadra dobiegał płacz nowo narodzonego dziecka. Wybiegłyśmy na ten dźwięk na korytarz. Pojawił się doktor Rosenthal, spytał, co robimy, i kazał natychmiast wracać do pracy<sup>172</sup>.

Nie zachował się rejestr matek i zabitych dzieci, a po wojnie „łózkowo-polityczne”, które przeżyły, rzadko chciały poruszać ten temat, tak wielki wstyd nadal odczuwały. Jednak historia Leni Bitterhof, opowiedziana oficerowi śledczemu policji, znalazła się w nielicznych nazistowskich aktach policyjnych, jakie się zachowały.

W 1939 roku policja otrzymała cynk i założyła akta Leni, córki rolnika z Kleve w północno-zachodnich Niemczech. W 1941 roku Leni straciła męża

na froncie wschodnim. Według protokołu policyjnego po wyjeździe męża odwiedziła przyjaciółkę, która pracowała w zajezdzie. Poznała pracującego tam Polaka, Michała; pracowała tam również jego żona. Uśmiechnął się, ale „nie odwzajemniłam uśmiechu”<sup>173</sup>.

Kiedy dwa lata później spotkali się na ulicy, zaczęli rozmawiać. Tydzień później Michał odwiedził Leni w jej mieszkaniu i pocałował ją. „Polak również dotykał mnie niemoralnie podczas pieszczot, a ja się nie opierałam”. „Po nakłanianiu [przez policjanta] – ciągnęła – przyznałam, że podczas tego spotkania doszło między nami do zbliżenia seksualnego”. Były kolejne wizyty. Para uprawiała seks i „przyznaję, że dwa razy dałam Polakowi kawę i chleb”. Raz poszła do kina z Michałem i jego żoną, a potem „oni poszli do siebie, a ja sama wróciłam do domu”.

Leni przez jakiś czas nie miała wieści od Michała, chociaż wysłała mu świąteczną kartkę. W tym czasie wiedziała już, że spodziewa się jego dziecka. „Michał był ojcem. Nie miałam stosunków z innymi mężczyznami”. Michał dał jej bransoletkę, „którą niniejszym przekazuję policji”. W zamian za bransoletkę Leni dała Michałowi małą chusteczkę. „To była moja chusteczka i nie kupiłam jej specjalnie dla Michała”.

Powiedziała Michałowi o ciąży, a on obiecał rozwieść się z żoną i ożenić z nią. Ale Leni trafiła do Ravensbrück, gdzie została poddana aborcji, prawdopodobnie przez Rolfa Rosenthala.

Zimą z 1941 na 1942 rok polskie „verfugi” dostały oskardy i kazano im wylupywać zamrożony piasek, rozdrabniać bryły i przenosić w inne miejsce. Po wielkich opadach śniegu komando musiało iść na drugi kraniec jeziora, by wyciągać wózki, które zapadły się do połowy w błocie i lodzie. Kobiety musiały napełnić je śniegiem i wciągnąć po błocie na wzgórze, gdzie stały domy SS, wyrzucić śnieg i wrócić na dół, wszystko to pod czujnym okiem dozorczyń z psami.

Wanda zauważyła, że Krysia sobie nie radzi. Ogromne psisko rzucało się ku niej, kiedy upadła, więc Wanda szła za nią i nie widziała, że Krysia płacze, dopóki nie weszły na szczyt. To wtedy taczka wysunęła się z rąk Krysi i dozorczyń rzuciła się do niej z pejczem. Wanda instynktownie podskoczyła i osłoniła koleżankę ramieniem. Krzyknęła do dozorczyń: „Przecież to dziecko już nie może, czy pani tego naprawdę nie widzi?!”. Zaskoczona

dozorczyni spojrzała na nią i odeszła. Od tej chwili Wanda nigdy nie odstępowała Krysi na krok<sup>174</sup>.

Po sześciu miesiącach w obozie polskie studentki nauczyły się, jak obchodzić niektóre zasady. Na przykład zasada niedopuszczania do przyjaźni sprawiała, że kobiety zbliżały się jeszcze bardziej do siebie, w mniejszych, bezpieczniejszych grupach, i szukały innych sposobów na okazywanie sobie sympatii. Późną nocą w blokach czy też w porach posiłków młodsze Polki uczestniczyły w lekcjach organizowanych dla nich przez starsze koleżanki, często nauczycielki, aby nie zostały w tyle z nauką, kiedy wrócą do ojczyzny.

Zofia Pociłowska, rzeźbiarka, zaczęła robić różne drobiazgi dla przyjaciółek, wyciosując figurki złamanym patykiem lub czymkolwiek, co znalazła<sup>175</sup>. Pewnego dnia więźniarka z innego bloku „zorganizowała” Zofii nóż. Teraz mogła rzeźbić o wiele lepsze rzeczy, na przykład krzyżyk w kawałku węgla lub Matkę Boską wielkości paznokcia na rączce szczoteczki do zębów. Nagle Zofia stała się najpopularniejszą kobietą w bloku. Każda więźniarka chciała mieć rzeźbę, którą mogła się cieszyć i ukrywać w szczelinie w ścianie. Najbardziej poszukiwane były pierścienie z wygrawerowanym obozowym numerem.

Grażyna pisała kolejne wiersze i „dawała” je przyjaciółkom – chociaż nie miała papieru, aby je spisać, układała zwrotki podczas apelu. Stawała pośrodku piątki i wymyślone wersy przekazywała najbliższym sąsiadkom, a każda zapamiętywała linijkę lub dwie. „Ptaki wędrowne, ptaki przelotne, czemu wy tędy latacie [...] Nie tędy wasza droga/To lager, ziemia przeklęta przez ludzi i zapomniana przez Boga” – podczas gdy trwało odliczanie<sup>176</sup>. Janina Iwańska, inna zaprzyjaźniona lublinianka, potrafiła zapamiętać bardzo dużo. Czasem udało się zdobyć skrawki papieru i spisać wiersze.

Potem władze poczyniły kroki, aby położyć kres polskim przyjaźniom: rozbiły polską grupę i rozmieściły Polki w różnych blokach. Nowy blok Wandy i Krysi, numer 16, był pełen „prostytutek i złodziejek różnej narodowości, ordynarne, wrzaskliwe baby”, wspominała później Wanda. Dwa tygodnie później dziewczęta zostały przeniesione do bloku 11. Tutejsze mieszkanki, głównie Cyganki, dopuszczały się, jak to ujęła Wanda, ohydnych i nieludzkich aktów miłości lesbijskiej<sup>177</sup>.

Podczas rozmowy w jej krakowskim mieszkaniu z widokiem na staromiejski Rynek spytałam Wandę o te „nieludzkie akty”. Papież Jan Paweł II patrzył na

nas z portretu wiszącego na ścianie, a Wanda też patrzyła w milczeniu. Spytała, czy przyjechałam do Krakowa specjalnie, żeby o to zapytać. Ale był czas, kiedy Wandę Wojtasik dręczyły te „niehumanitarne akty” miłości lesbijskiej, tak samo, jak inne akty, do jakich dochodziło w obozie. W napisanym w 1945 roku pamiętniku napisała, że to w bloku 11. „przestała wierzyć w czułość i czystość” i że tam „el” – *lesbische Liebe*, miłość lesbijska – nabrało „realnego sensu”.

Mijają wieki, zanim Wandzie udaje się zasnąć. „Z początku nie wierzyłam, że to prawda. Patrzyłam zachłannie i z jakąś rozpaczą”. Wandzie do czasu udawało się ochronić Krysię przed patrzeniem na rozgrywające się sceny. Kryśka, powiedziała, była spokojną, śliczną, wdzięczną dziewczyną, nie tylko niewinną, ale też naiwną i ufną.

Wanda zastanawiała się jednak, „czy my po paru latach będziemy takie same”. Cyganka o imieniu Zorita wcisnęła Wandzie w rękę bardzo maleńki i bardzo cienki karteluszek. „Jeśli chcesz mnie kochać, przyjdź za róg dwunastki”, brzmiała informacja.

Zorita miała wygląd miękkiej kobietki o dużych, czarnych, aksamitnych oczach. Dopiero teraz zrozumiałam wymowę jej powłóczyстых spojrzeń. W pierwszej chwili ogarnął mnie śmiech: aha, więc miałam grać rolę „mana”, ale prędko przestałam się śmiać. To było wstrętne i smutne zarazem.

Propozycje sypały się nieprzerwanym ciągiem. Wanda miała wzięcie, jako „kobieta i jako mężczyzna”, gdy lesbijstwo „szerzyło się na prawach epidemii”. Nie tolerowała tego, mówiła, i zniszczyło to jej wiarę w niewinność najprostszych ludzkich gestów. A Kryśka też wszystko widziała. „Nie mogła nie zobaczyć wstrętnej, oblesnej sceny obok naszego łóżka. Długo płakała tej nocy i już nigdy nie przyszła do mnie na dobranoc do łóżka, a przynajmniej nie tak jak poprzednio”<sup>178</sup>.

Innym Polkom zapytanym o lesbijstwo jest nieco łatwiej mówić niż Wandzie Wojtasik. Większość otrzymywała niestosowne propozycje. A niektóre mówiły, jak Wanda, o czasie, kiedy lesbijski seks wybuchł w obozie niczym fala rozwiązłości – ale tylko wśród Niemek, Cyganek i Holenderek, zarzekały się, że nigdy wśród Polek.

„Były tam takie kobiety – opowiadała Maria Bielicka – i był to szok dla nas wszystkich, uczennic, ponieważ nic nie wiedziałyśmy o tych rzeczach.

Wychowywano nas bardzo surowo”. Jednak nie było tak dramatycznie, jak niektóre twierdzą, sugeruje Maria. „Zdarzało się to rzadko, nocami kobiety były zbyt zmęczone. Głównie w weekendy. Ale dyskretnie. Całowały się. Lizały nawzajem. Dotykały. Nic niezwykłego. Było wiele par. To był taki ich rodzaj przyjaźni, ale taki, którego wówczas nie rozumiałyśmy. W każdym razie miałyśmy ważniejsze powody do zmartwienia”.

Wczesną wiosną 1942 roku kobiety martwiły się, że zaczyna się głód<sup>179</sup>. Przydział chleba zmniejszono z 250 do 200 gramów, a zupy zrobiły się cieńsze. Katastrofalne zbiory wpłynęły na braki w zaopatrzeniu w całych Niemczech i zmniejszyły się racje wszystkich więźniów. Wanda próbowała chronić Krysię przed „ogłupiającymi, niekończącymi się rozmowami o jedzeniu”, rozmowami, które atakowały je zewsząd, gdy „kobiety, rozgorączkowane, z oczami chorobliwie błyszczącymi i wychudłymi twarzami, mówiły o jedzeniu”. Rozmowa mogła się zaczynać od wyjścia do teatru, a kończyła: „Ale potem gdzie była pani na kolacji?” i ruszała lawina szczegółów wyimaginowanej uczyty.

Nowo przybyłe zaczynały mieć włosy na twarzach, rękach i nogach, przybierały zboląły i ponury wyraz twarzy, z wyjątkiem chwil, gdy rozmawiały o jedzeniu. Irena Dragan widziała, jak kobieta schwytała ptaka, który wleciał między krokwie, i zjadła go na surowo.

Teraz *Goldstücke* były już w polskich blokach.

– W każdym bloku było ich kilka – opowiada Maria Bielicka. – Kiedy tylko pojawiała się jedzenie, zawsze można było je spotkać. Zawsze wypychano je na koniec kolejki i nigdy nie udało im się nic dostać. Sztubowe zawsze na nie naskakiwały. Wywodziły się ze wszystkich klas, ze wszystkich narodowości. Znałam jedną, której przed wojną całkiem dobrze się powodziło, ale zmiana okazała się dla niej tak radykalna, że nie potrafiła się zaadaptować. Była córką właściciela ziemskiego.

– Co się z nimi stało?

– Pewnego dnia błąkały się poza blokiem i po prostu zniknęły. Prawdopodobnie strażnicy je przyłapali i odesłali do bloku karnego.

– Czy któraś z waszego transportu skończyła w ten sposób?

– Nie, byłyśmy silną grupą. One były jedna tutaj, jedna tam. – Wskazuje przeciwległe rogi swojego mieszkania w Earls Court. – A różnica polegała na

tym, że kiedy przyjechałyśmy do obozu, przyjechałyśmy z niczym. Wszystko nam zabrali, z wyjątkiem okularów i lasek najstarszym. A one miały ze sobą rzeczy. Ale po sześciu miesiącach zaczęłyśmy znowu coś mieć”.

W jakimś momencie na początku 1942 roku Maria Bielicka została zabrana spośród *Verfügbar* przez samą Langefeld i skierowana do warsztatu introligatorskiego. Obóz był samowystarczalny i teraz więźniarki na miejscu oprawiały książki i akta. „Przeszła wzdłuż szeregu kobiet i spytała, czy ktoś kiedyś uczył się introligatorstwa. Miałam kiedyś jeden semestr w szkole, więc podniosłam rękę”. Pracując tam, Maria nie marzyła, a nowiny przynosiły jej znajome Czeszki zatrudnione w pobliskiej *Effektenkammer*.

Inne Polki również dostały lepsze posady. Polska *Verfüg* trafiła na przykład do hodowli królików, gdzie zajmowała się czyszczeniem klatek i zbieraniem wełny angorskiej, której czasem mogły trochę zdobyć. Kilka Polek, w tym Wanda i Krysia, zostały zabrane z *Verfügbar* do szwalni, gdzie robiły słomiane ocieplacze na buty dla personelu obozowego i żołnierzy *Waffen-SS*. Praca nie należała do najprzyjemniejszych, a kierownik szwalni, krawiec Fritz Opitz, był brutalem. Kobiety krztusiły się kurzem, gdy siedziały przy stołach, splatając słomę, która kaleczyła ręce. Ale przynajmniej przebywały w baraku, co zwiększało ich szanse na przeżycie.

Nikt nie miał żadnych wątpliwości, że młode Polki lepszą pracę zawdzięczają wpływom Heleny Korewiny. Minęło sześć miesięcy od przyjazdu *Sondertransport* i w tym czasie Korewina, polska hrabina, tłumaczka, zdobyła zaufanie Langefeld. Rzadko się rozstawały. „Langefeld żywiła ciepłe uczucia do Korewiny – wspominała pracownica biura naczelniczki. – Polegała na niej całkowicie i kierowała się jej osądem. Pewnego razu, kiedy trzeba było zorganizować grupę 52 kobiet do pracy poza obozem, Langefeld powiedziała do Korewiny: «Ty się tym zajmij i powiedz mi, jak wyszło». Tak to wyglądało. Nie trzeba dodawać, że kolonki [kapo komand] w komandach roboczych były w większości przypadków Polkami”<sup>180</sup>.

Polki płynnie władające niemieckim zajmowały również coraz więcej stanowisk w biurach i blokach. Maria Dydyńska pracowała w biurze Gestapo, gdzie widziała listy transportowanych więźniarek i przepisywała oficjalną korespondencję z Berlinem. Polska tancerka Ojcumiła Falkowska pracowała w kantynie. Polki zatrudniano obecnie we wszystkich miejscach w obozie, od



magazynu odzieżowego po kuchnię; sprzątały domy esesmanów. W blokach polskie blokowe egzekwowały teraz esesmańskie zasady.

Jednak, podobnie jak poprzedniczki, niewiele z nich wątpiło w to, że współpraca była słuszną decyzją.

Polska instruktorka wojskowa Maria Moldenhawer gratulowała nawet Niemcom, że „wreszcie uczciwie dostrzegli wartość Polek, które jako pracownice, w porównaniu z aspołecznymi, zdeprawowanymi Niemkami, budziły zaufanie u władz obozowych”.

Dzięki swoim wpływom w Wielkanoc 1942 roku Helena Korewina uzyskała zgodę Johanny Langefeld, aby polskie więźniarki zamieszkały w sąsiednich blokach. Co jeszcze bardziej zdumiewające, udało jej się utworzyć *Kunstgewerbe*, warsztat artystyczny, gdzie młode polskie artystki mogły pracować, malować, haftować i wykonywać drobne rzeźby. Warsztat mieścił się z boku baraku, w którym więźniarki plotły buty ze słomy i, na rozkaz Langefeld, był specjalnie chroniony przez zaprzyjaźnione dozorzynie.

Zofia Pociłowska opowiadała, że wiele dziewcząt, które pracowały przy butach, w tym Krysia, Wanda i Grażyna, zimą 1942 roku zostało przeniesionych do warsztatu artystycznego. W jaki sposób Helena Korewina przekonała Langefeld do zgody na warsztat artystyczny, nie da się stwierdzić. Być może pokazała naczelniczce przepiękne miniaturki, jakie dziewczęta wyprodukowały z niczego, i Langefeld potraktowała to jako formę pomocy dla nich.

Jak Langefeld przekonała Fritza Opitza, szefa szwalni, aby pozwolił na powstanie warsztatu artystycznego, nietrudno wyjaśnić: Opitz zabierał efekty pracy artystycznej i sprzedawał je. „Zamawiał nawet konkretne przedmioty dla swoich przyjaciółek. My robiłyśmy to, co chciał, a dozorzynie zabierały i pakowały”, relacjonowała jedna z ocalałych więźniarek. Pozostałe dozorzynie przymykały oko na proceder, wiedząc, że dostaną piękny portret albo malowaną laleczkę. Portrety autorstwa Grażyny wisiały wkrótce w domach esesmanów, a żony oficerów nosiły kunsztownie haftowane pantofle.

Polska studentka Wojciecha Buraczyńska wspomina, że Helena Korewina często zaglądała do warsztatu artystycznego i przyglądała się, jak pracują. „Korewina zawsze prezentowała się elegancko, nawet w obozowym stroju. Nie wiem jak, ale niektórzy ludzie to potrafią”. Na tym etapie Polki wiedziały już, że Langefeld do pewnego stopnia je chroni. „Zawsze wiedziałyśmy, że jest



naszym sojusznikiem. Zwalniała nas wcześniej z apeli, kiedy padał śnieg, i nigdy nie kazała nam stać dłużej, niż było to konieczne. Wiedziałyśmy, że nie jest stuprocentową esesmanką”.

Gdy Wojciecha opowiadała, szukała kopii ostatniego wiersza Grażyny. Był o słoneczniku, mówiła. Słoneczniki rosły za blokiem i dziewczęta widziały przez okno ich kołyszące się głowy. Wyciągnęła plik kartek, listów i rysunków, w tym szkic jej samej w wieku kilkunastu lat – „Grażyna narysowała go, kiedy pracowałyśmy w warsztacie w Ravensbrück”. I Wojciecha znalazła maleńki przedmiot, położyła go na dłoni i wyciągnęła do światła. To był krucyfiks wyrzeźbiony na końcu rączki białej szczoteczki do zębów.

[149](#) Część druga powstała głównie na podstawie wywiadów z Polkami, które przeżyły Ravensbrück, przede wszystkim Marią Bielicką, Wandą Półtawską (z domu Wojtasik), Wojciechą Zeiske (z domu Buraczyńska) i Zofią Cisek (z domu Kawińska).

Wykorzystałam również liczne relacje ocalonych Polek z Instytutu Polskiego w Lund, obecnie przechowywane w Bibliotece Uniwersytetu w Lund. Te długie, bezcenne relacje zostały spisane kilka miesięcy po wyzwoleniu z inicjatywy Zygmunta Łakocińskiego, historyka sztuki zamieszkałego w Lund. Zostały udostępnione dopiero w 1996 roku.

[150](#) Wspomnienia Stanisławy Michalik w: *Ponad ludzką miarę*, s. 250 i nast.

[151](#) Jezierska, Lund 402. O torturowaniu Polek, zanim trafiły do obozu, zob. też: W. Kiedrzyńska, *Wstęp* [w:] *Ponad ludzką miarę*, s. 16.

[152](#) Szczegóły spotkania Krysi i Wandy, podziemnej działalności i uwięzienia w Lublinie zaczerpnięte zostały z wywiadów autorki i wspomnień Wandy Półtawskiej, *I boję się snów*.

[153](#) G. Chrostowska, *Jakby minęło już wszystko*, oraz dokumenty w Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem”, filii Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

[154](#) Dokumenty Chrostowskich, Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem”, filia Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

[155](#) Wywiad autorki z Marią Wilgat.

[156](#) Wywiady autorki; *I boję się snów*; liczne relacje z Lund.

[157](#) Wspomnienia Leokadii Kwiecińskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 180.

[158](#) *I boję się snów*, s. 31.

[159](#) *I boję się snów*, s. 33.

[160](#) Tamże, s. 34–35.

[161](#) Tamże, s. 36.

[162](#) Określenie *Schmuckstücke* również było ironiczne. *Schmuck* oznacza błyskotkę, klejnot, więc *Schmuckstücke* to biżuteria. *Schmuck* to w jidysz również określenie „ubogiego człowieka”, co może tłumaczyć użycie określenia w tym kontekście. Strażnicy częściej nazywali te więźniarki *Stücke*, czyli „sztuka”. Zob. też Tillion, *Ravensbrück*: „ludzkie odpady, które Ravensbrück wyrzuciło na margines”. W żargonie Auschwitz najbiedniejszych z biednych nazywano „muzułmanami”. Prawdopodobnie przyczyną użycia tego określenia był rzekomy fatalizm muzułmanów, tłumaczy Sofsky w *The Order of Terror*. Na Majdanku nazywano ich „osłami”, w Dachau „kretynami”, w Mauthausen „pływakami”. Sofsky pisze, że w Ravensbrück używano również określenia *Muselweiber* (muzułmanka), ale nie natknęłam się na ten termin podczas moich badań.

[163](#) Wspomnienie Teresy Bromowicz w: U. Wińska, *Zwyciężyły wartości*, s. 136–137.

[164](#) Zob. W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 35–36; oraz *Dictators*.

[165](#) *I boję się snów*, s. 42; Wspomnienie Stanisławy Młodkowskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 314–315.

[166](#) Moldenhawer, Lund 117.

[167](#) Wywiad autorki z Marią Bielicką.

[168](#) Biogram Haliny Chorążyny zob. <http://www.ipsb.nina.gov.pl/index.php/a/halina-feliksa-starczewska> (przyp. tłum.).

[169](#) Michalik, Lund 117.

[170](#) Zeznania i wspomnienia Quernheim oraz Rosenthala są obszerne, zob. np. WO 309/416.

[171](#) Tank, BAL B162/455.

[172](#) Housková, BAL B 162/455.

[173](#) LAV NRW 3997. Przesłuchanie Leni Bitterhof (z domu Reinders), zaliczonej do kategorii społecznych, w kryminalnych aktach policyjnych. Była córką rolnika, piątym dzieckiem z jedenastu, i pracowała jako pokojówka w pobliskim Kleve. Jej mąż zginął na froncie 25 października 1941 roku. Wcześniej nie była skazana i nie interesowała się polityką.

[174](#) *I boję się snów*, s. 52–53.

[175](#) Wywiad autorki.

[176](#) Wywiad autorki. Wiersz *Ptaki* Grażyny Chrostowskiej:  
[http://tajchert.w.interiowo.pl/grazyna\\_chrostowska.htm](http://tajchert.w.interiowo.pl/grazyna_chrostowska.htm).

[177](#) *I boję się snów*, s. 58–59. O szerzącym się lesbijstwie zob. też: Moldenhawer, Lund 420; Morrison, Ravensbrück.

[178](#) *I boję się snów*, s. 58–61.

[179](#) Tamże, s. 55–57, 70–77; Dragan, Lund 239, Michalik, Lund 117.

[180](#) O wpływach Korewiny zob. W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 35–36.

## Rozdział 11

### Auschwitz

Wojciecha Buraczyńska nie była pierwszą, która zauważyła, że Johanna Langefeld nie „jest w stu procentach esesmanką”. Podobnie jak Polki, Grete Buber-Neumann, dawna komunistka, która później blisko współpracowała z Langefeld w obozie, postrzegала ją jako kobietę rozdartą między instynktem a przekonaniem. Z jednej strony mocno wierzyła w ideały narodowego socjalizmu i marzyła o dniu, kiedy Führer znowu uczyni Niemcy dumnymi i wielkimi. Do samego końca podziwiała również Himmlera i była pewna, że Reichsführer SS nie zdawał sobie sprawy ze zbrodni, jakich nazistowskie zbiry dopuszczali się w jego imieniu.

Z drugiej strony Johanna Langefeld nigdy nie porzuciła wiary, opowiadała Grete, i coraz trudniej było jej godzić luteriańskie wartości z esesmańskim terrorem, w którym musiała odgrywać swoją rolę: „Co rano przychodziła więc do obozu, modląc się i błagając Boga o siłę, aby zapobiegać dziejącemu się złu. Tragiczny konflikt”<sup>181</sup>.

Jednak pomimo rozdarcia wczesną wiosną 1942 roku życie Johanny Langefeld w Ravensbrück wydawało się ustabilizowane. Miała własne mieszkanie z widokiem na jezioro oraz szczęśliwy dom dla czternastoletniego wówczas Herberta, który uczęszczał do szkoły w Fürstenbergu razem z dziećmi innych dozorczyń i bawił się z nimi nad jeziorem. I pomimo sporów z Maxem Koegelem Johanna mogła mówić sobie, że przynajmniej Himmler nadal docenia jej zdolności, szczególnie umiejętność utrzymania pięciu tysięcy więźniarek w ryzach.

Co równie ważne przy bezproblemowym zarządzaniu, Langefeld z powodzeniem kierowała coraz liczniejszą grupą dozorczyń i potrafiła zadbać o ich dobre samopoczucie. Sprawna grupa więźniarek, głównie Niemek, Czeszek i Polek, pomagała prowadzić obóz.

Wiosną 1942 roku Langefeld wpadła nawet na pomysł założenia zakładu fryzjerskiego dla personelu, co zwiększyło jej popularność u wszystkich. Jako pierwsza usłyszała o tym więźniarka niemiecko-czeskiego pochodzenia Edith Sparmann. Pewnego dnia na Lagerstrasse więźniarki spytano, czy któraś jest wyszkoloną fryzjerką. Zgłosiła się Edith, która dotąd pracowała w „efekcie”, i została skierowana do gabinetu naczelniczki.

Na początku nie rozumiałam, więc wytłumaczyli mi, że będzie w obozie salon fryzjerski, żeby dozorcynie nie musiały za każdym razem chodzić do Fürstenbergu. Powiedziałam, że potrzebne będą szczotki, nożyczki, wałki, lokówki i suszarki. Poprosili, żebym tam pracowała. Pamiętam, że wieść błyskawicznie rozniosła się po Lagerstrasse i więźniarki z mojego bloku mówiły mi: „Zrobisz wielką karierę”<sup>182</sup>.

Salon powstał w starym warsztacie po przeciwnej stronie obozowego muru od łaźni, gdzie nowo przybyłym golono włosy. Trzy więźniarki pracowały tam przez cały dzień. Było mnóstwo pracy, ponieważ większość dozorczyń umawiała się przynajmniej raz na dwa tygodnie. „Lubiły przychodzić do obozowego salonu – opowiadała Edith – ponieważ było taniej niż w mieście i równie dobrze. W owym czasie modny był wałeczek Olimpi – podniosła rękę do czoła i zakręciła. – To był taki zawijas do czubka głowy”.

Edith dobrze poznała dozorcynie, ponieważ przychodziły do niej często. Zapamiętała Dorotheę Binz, chociaż Binz nie była stałą klientką. I pamiętała też Marię Mandl:

Wszyscy wiedzieli, kim były Binz i Mandl. Kiedy prowadziły bunkier, wołały osobiście bić, niż zlecać komuś to zadanie.

Binz krzyczała na ludzi, ale w salonie nie krzyczała na nas. Zachowywała się jak zwykła klientka salonu fryzjerskiego. Nie rozmawiała z nami, więźniarkami, mówiła nam tylko, co mamy zrobić – Binz również nosiła wałek Olimpi, ale o wiele dłuższy niż inne, o długości do ramion. Miała bardzo jasne włosy. Była naturalną blondynką. Wiele tleniło włosy, ale Binz tego nie potrzebowała.

I rozmawiała z innymi klientkami. Pytała, na jakiej zmianie pracują albo co robią wieczorami. Dla nas to były najnormalniejsze klientki.

Spytałam Edith, jaką fryzurę lubiła Johanna Langefeld, ale odpowiedziała, że Langefeld ani jej zastępczyni Edith Zimmer nigdy nie przychodziły do salonu. Nie robiła nic z włosami – po prostu spinała je z tyłu w „luźny kok”, opowiadała Edith.

3 marca 1942 roku Heinrich Himmler złożył kolejną wizytę w Ravensbrück. W jego kalendarzu odnotowano, że przyjechał o jedenastej i został na trzy godziny. Jego głównym celem tego dnia była rozmowa z Koegelem na temat problemu, jaki pojawił się w Auschwitz<sup>183</sup>.

Po konferencji w Wannsee, która odbyła się sześć tygodni wcześniej, plany eksterminacji Żydów rozwijały się szybko. Naziści utworzyli nowe obozy zagłady w Bełżcu, Treblince i Sobiborze. Nowy wydział RSHA (IVB4 – do spraw żydowskich i „ostatecznego rozwiązania”) pod kierunkiem Adolfa Eichmanna organizował eksterminację i właśnie miał wysłać pierwszy „oficjalny” transport Żydów do Auschwitz. W ciągu zaledwie trzech tygodni miało tam przyjechać 20 tysięcy Żydów ze Słowacji.

Na pierwszy rzut oka Ravensbrück nie miało z tym nic wspólnego. Obóz nie został wyznaczony na ośrodek zagłady Żydów ani obóz śmierci i zgodnie z nowymi planami w każdym przypadku Żydówki, które w przyszłości przyjechałyby do Ravensbrück, byłyby odsyłane do Auschwitz.

Jednak w ostatniej chwili uwagę Himmlera zwróciły dwa fakty. Po pierwsze, w słowackim transporcie do Auschwitz było 7 tysięcy kobiet. Po drugie, Auschwitz nie było przystosowane do zakwaterowania kobiet. Obóz przyjmował tylko mężczyzn, jak dotąd głównie bojowników ruchu oporu i radzieckich jeńców wojennych. Oczywiście w Ravensbrück nie było miejsca dla 7 tysięcy słowackich Żydówek, pomijając fakt, że Żydzi mieli już teraz zakaz przebywania na terytorium Niemiec.

Dlatego w ostatniej chwili Himmler rozkazał Rudolfowi Hössowi, komendantowi Auschwitz, żeby ewakuował część obozu wykorzystywaną dla radzieckich jeńców wojennych, z których niewielu już zostało po masowych egzekucjach, i przystosował ją na przybycie Żydówek. Obszar oddzielono od części męskiej murem i ogrodzeniem pod wysokim napięciem.

Fakt, że Himmler zadał sobie trud, aby oddzielić kobiety od mężczyzn w Auschwitz, może zaskakiwać, biorąc pod uwagę, że zgodnie z decyzjami podjętymi w Wannsee wszyscy Żydzi mieli zostać w przyszłości zagazowani. Jednak nie wszyscy mieli zginąć natychmiast. Auschwitz miało odgrywać podwójną rolę w „ostatecznym rozwiązaniu”: obozu pracy niewolniczej i zagłady. Żydzi nie będą trafiać do komory gazowej, dopóki będą zdolni do pracy.

A podczas ich pobytu w obozie pierwszorzędne znaczenie miało

rozdzielenie płci, by nie dopuścić do płodzenia kolejnych niechcianych istot. Separacja płci stanowiła też element kamuflażu: aby Żydzi przyjeżdżający do obozu nie wiedzieli, co ich czeka. Według Himmlera umieszczenie kobiet i mężczyzn w osobnych sekcjach mogło im się wydawać normalne, bardziej przypominając obóz pracy niewolniczej, do którego – jak im wmawiano – trafili.

Więźniarki w Auschwitz nie tylko miały być odseparowane od mężczyzn, lecz powinny też nimi zarządzać kobiety. To również miało sprawić wrażenie normalności, nie tylko w oczach więźniów, ale też dozorczyń. I właśnie w celu zwerbowania żeńskich strażniczek do Auschwitz na przyjazd pierwszego żydowskiego transportu Himmler 3 marca 1942 roku odwiedził Ravensbrück. Zapowiedział Koegelowi, że oczekuje przygotowania całego korpusu dozorczyń do nowej żeńskiej sekcji obozu w Auschwitz<sup>184</sup>. Oprócz tego tysiąc więźniarek z Ravensbrück miało tam pracować jako kapo. Miały być gotowe na 26 marca, czyli za trzy tygodnie, gdy przybędzie słowacki transport<sup>185</sup>.

Himmler powiedział również Koegelowi, że ponieważ w Auschwitz nikt nie ma doświadczenia w nadzorowaniu kobiet, cała odpowiedzialność administracyjna za nową kobiecą sekcję spadnie na władze Ravensbrück, a obóz będzie od tej pory szkolił wszystkie przyszłe dozorczynie dla Auschwitz. Himmler chciał, aby Johanna Langefeld pokierowała nową kobiecą sekcją Auschwitz: była najbardziej doświadczoną nadzorczynią, jaką miał.

Zmiany oznaczały ogromny wstrząs w Ravensbrück, ale Koegel naturalnie postąpił zgodnie z rozkazami Himmlera. Johanna Langefeld została wysłana na kilka dni do Auschwitz, aby obejrzała sobie obóz. Wczesnym rankiem 26 marca wyjechała znowu, pociągiem, tym razem z tysiącem więźniarek, które miały pracować jako kapo, i małą grupą wyszkolonych dozorczyń.

Dysponujemy jedynie garstką informacji o strażniczkach, które tamtego dnia wyjechały do Auschwitz, ale z czternastu wymienionych później przez Langefeld kilka słynęło z okrucieństwa<sup>186</sup>. Margot Drechsel odegrała główną rolę w łapaniach do komór gazowych w Bernburgu, a Elfriede Vollrath z Fürstenbergu była skora do bicia, podobnie jak dwudziestotrzyletnia Elisabeth Volkenrath.

Jednak dozorczynie, które wyjechały do Auschwitz, stanowiły mniejszość w porównaniu z grupą tysiąca kapo. Wśród nich znajdowało się około 50

badaczek Pisma Świętego oraz wiele więźniarek politycznych, głównie niemieckich komunistek, w tym ulubienice Langefeld: Bertha Teege i Luise Mauer. Była też liczna grupa „kryminalnych” i społecznych. Zaskakujące, że w nowym kobiecym obozie w Auschwitz za potrzebną uznano tak dużą liczbę kapo. Jednak biorąc pod uwagę brak wyszkolonych dozorczyń, najwyraźniej została podjęta – prawdopodobnie przez samego Himmlera – decyzja, aby te okrutne i zdesperowane więźniarki z Ravensbrück utrzymywały porządek w wybrany przez siebie sposób.

Nie zachowało się zbyt wiele szczegółów o tym, kim były te kobiety. Na liście pojawiło się kilka znanych nazwisk, w tym Philomena Müssgueller, monachijska burdelmama i znana z okrucieństwa kapo z bloku karnego, oraz inna znienawidzona prostytutka, Elfriede Schmidt<sup>187</sup>. Jednak biorąc pod uwagę ich dużą liczbę, większość trafiła na listę z przypadku. Na przykład w grupie znalazła się Agnes Petry, prostytutka z Düsseldorfu bez grosza przy duszy, złapana razem z Else Krug w pierwszej łapance na *Asoziale* w 1938 roku.

Else już nie żyła, kilka tygodni wcześniej odjechała z transportem do komory gazowej w Bernburgu za odmowę wykonania kary cielesnej na koleżankach więźniarkach. Teraz Agnes jechała do Auschwitz nadzorować więźniarki, które czekała taka sama śmierć, chociaż ani Agnes, ani żadna inna kobieta w pociągu w marcu 1942 roku nie mogła wiedzieć, co je czeka w nowym obozie.

Poza Polkami, które znały to miejsce z opowiadań, ponieważ ich krewni trafili tam za działalność w podziemiu, w marcu 1942 roku niewiele więźniarek w Ravensbrück słyszało o Auschwitz. Wydaje się, że sama Johanna Langefeld wiedziała niewiele. Po powrocie z wizyty powiedziała Teege i Mauer, że widziała więźniów w „okropnym stanie”, ale nic ponadto. Według Grete Buber-Neumann w tamtym czasie wiedza na temat Auschwitz była tak mierna, że w marcu 1942 roku kilka kobiet z Ravensbrück zgodziło się na ochotnika wyjechać tam jako kapo, licząc na lepsze warunki. Gdy pociąg jechał na wschód, mijając zniszczone polskie miasta, przynajmniej jedna kobieta zmieniła zdanie i zdołała uciec.

Chociaż niewiele wiadomo o tym, w jaki sposób dokonano wyboru kobiet z Ravensbrück do pracy w Auschwitz, mamy dość dużo informacji o tym, co się z nimi działo po przyjeździe, w dużej mierze dzięki Bercie Teege i Luise



Mauer, które zostawiły drobiazgowo relacje<sup>188</sup>.

Pociąg dotarł do Auschwitz późnym rankiem 26 marca, zaledwie kilka godzin przed spodziewanym pierwszym transportem Żydówek. Na początku kobiet z Ravensbrück nic nie zaskoczyło. Krajobraz wokół obozu był smutniejszy niż ten, do jakiego przywykły; zamiast lasów i jezior Ravensbrück widziały szare, puste równiny, z rozsianymi tu i ówdzie wsiami zrujnowanymi przez bombardowania. Sam obóz był o wiele większy, ceglane bloki surowsze niż znajome im malowane drewniane baraki. Gdy weszły za bramy, kobieca sekcja stała pusta.

Pierwszy otrzymany rozkaz – stanąć na baczność na Lagerstrasse – zupełnie ich nie zaskoczył. W rzeczywistości stały tak przez cztery godziny, dopóki nie schwytano kobiety, która uciekła, i nie wychłostano jej na ich oczach.

Wczesnym popołudniem przyjechały Żydówki z Popradu. Tak się złożyło, że z Ravensbrück przyjechało 999 kobiet, a tyle samo, 999 osób, liczyła pierwsza grupa słowackich Żydówek<sup>189</sup>.

„Słowaczki były dobrze odżywione, wykształcone i zadbane, miały niezwykle dużo bagażu”, wspominała Bertha Teege, która przywykła raczej do widoku żałosnych szkieletów, jakie zrobiło z Żydówek Ravensbrück, tak więc teraz nie mogła uwierzyć własnym oczom. Powiedziano jej, że Słowaczki zabrały bagaż, ponieważ dostały powiadomienie, że jadą na trzy miesiące do pracy w ramach Służby Pracy Rzeszy i powinny zabrać ubrania, pościel i jedzenie, wszystko o maksymalnej wadze 50 kilogramów. „Faktycznie – napisała później – wszystkie zabrały najlepsze rzeczy, jakie miały, i były całkowicie przekonane, że zostaną wykorzystane do pracy”.

Jednej z Żydówek upadła torba i po Lagerstrasse rozsypały się pomarańcze. „Oczy wyszły mi na wierzch”, wspominała Teege, która nie widziała pomarańczy od lat. Poinformowała o incydencie oficera SS Hansa Aumeiera i usłyszała: „Wypchaj się swoimi pomarańczami, idiotko”.

Słowaczkom kazano się rozebrać do naga, proces znany więźniarkom z Ravensbrück, ale tutaj nikt nie notował ich stanu posiadania. „W pierwszej chwili zastanowiliśmy się, dlaczego dobytek więźniarek zrzucano razem. Później kobiety powinny przecież dostać swoje rzeczy z powrotem”. Ubrania też kazali rzucić na jeden wielki stos, a żywność zabrali. Słowaczki ustawiły się potem nagie, gotowe na „kąpiel”, czyli wejście do balii o średnicy ośmiu metrów, w której sto kobiet musiało się umyć w tej samej wodzie”.

Badanie ginekologiczne, dość brutalne w Ravensbrück, tutaj przeprowadzały najbardziej gruboskórne aspołeczne prostytutki z Ravensbrück, którym kazano badać nie pod kątem chorób, ale ukrytej biżuterii. Niektóre Żydówki, bardzo młode, nawet czternastoletnie, były jeszcze dziewicami, a fakt ten budził zachwyty obserwujących wszystko esesmanów, którzy rzucali sprośne komentarze. Potem przyszedł lekarz SS i oświadczył, że nie wierzy, iż wszystkie te młode Żydówki są dziewicami, i że sprawdzi to sam.

Dostały ubrania, ale zamiast czystych pasiaków, jak w Ravensbrück, Słowaczki musiały założyć podarte, brudne i zawszone męskie stroje po Rosjanach, którzy mieszkali w ich blokach, zanim zostali straceni. Kobiety słoczono w opróżnionych blokach w takiej liczbie, że wiele nie miało własnej pryczy, o pościeli nie wspominając.

Bertha Teege napisała później, że ona i jej przyjaciółka Luise Mauer były „nieświadome”, do czego to zmierza: „Po kilku godzinach w Auschwitz nie miałyśmy pojęcia, co to wszystko oznacza”. Miną lata, zanim historycy ustalą znaczenie tych wydarzeń: przybycie transportu słowackich Żydówek 26 marca 1942 roku było pierwszym „oficjalnym” transportem żydowskim, który wysłał do Auschwitz Adolf Eichmann, człowiek zajmujący się realizacją „ostatecznego rozwiązania”.

Mimo wszystko, chociaż niemieckie komunistki i więźniarki nie miały o tym większego pojęcia, musiały zdawać sobie sprawę, że znajdują się w epicentrum jakiegoś nieznanego okropieństwa. „26 marca 1942 roku – nigdy nie zapomnę tej daty”, napisała później Bertha Teege. I chociaż „nie miały pojęcia”, te dwie więźniarki z Ravensbrück prawdopodobnie wcale nie były tak nieświadome, jak utrzymywały. W Ravensbrück musiały dopasować się do nazistowskich metod. Obie wiedziały, jak traktowano tam Żydówki, i obie były świadkami – i pomagały Langefeld przy organizowaniu selekcji do transportów śmierci 14f13.

Zatem bardziej niż inne były wyczulone na pewne oznaki. Przede wszystkim przywykły do maskarady urządzonej przez SS, aby ukryć, co naprawdę się dzieje. Zaledwie dwa dni po przyjeździe Słowaczek, gdy Bertha Teege pracowała w biurze Johanny Langefeld, dostała pudło z 700 listami napisanymi przez Słowaczki do bliskich. Wszystkim rozdano ołówki i kartki i obiecano im, że listy zostaną wysłane. Teraz Bertha dostała rozkaz, by spalić listy w piecu – i wykonała go pod nadzorem.

Przez kolejne osiem dni ze Słowacji przyjechało więcej transportów Żydów,

a w następnych tygodniach także z Rumunii, Węgier i Górnego Śląska; w związku z tym pod koniec kwietnia w nowej sekcji kobiecej Auschwitz przebywało 6700 więźniarek. Było to więcej niż w Ravensbrück – w kwietniu 1942 roku 5800 – i w miarę jak ich liczba rosła, Teege i Mauer zauważały więcej zapowiedzi tego, co czeka te kobiety. W obozie panowały tak straszne warunki, że niegdyś zadbane istoty były zawszone i pokryte pęcherzami wywołanymi świerzbem.

Opisy Teege i Mauer z kobiecej sekcji obozu potwierdził sam komendant Auschwitz Rudolf Höss. We wspomnieniach spisanych podczas oczekiwania na egzekucję kilka stron poświęcił kobiecemu obozowi, który wyraźnie go fascynował, bardziej niż inne części obozu. Warunki tutaj były okropne, twierdził, o wiele gorsze niż w męskim obozie, głównie z powodu przepełnienia w kobiecych blokach. Od początku więźniarki tam były stłoczone „aż po strychy”<sup>190</sup>. Nędzne urządzenia sanitarne wkrótce przestały wystarczać i kobiety załatwiały się gdzie mogły. Więzień wysłany z jakąś sprawą na stronę kobiecą przyniósł informację, że warunki w blokach żeńskich „przekraczają wszelkie wyobrażenie i wszystko jest czarne od wszy”. Kobiety umierały na tyfus albo popełniały samobójstwo.

Według opisów Teege i Mauer warunki w kobiecych komandach roboczych były gorsze od wszystkiego, z czym spotkały się w Ravensbrück. Przy pracy pilnowali ich strażnicy z psami, a esesmani patrolowali teren konno z pistoletami maszynowymi. Próbę ucieczki karano rozstrzelaniem na miejscu, a oficerowie ujmowali to w raportach, „aby zwrócić na siebie uwagę komendanta i dostać dzień przepustki w Katowicach”. Bertha Teege wiedziała o tym, ponieważ do jej zadań należało włączanie raportów do akt. Często pracujące nie miały nic do jedzenia, ponieważ chleb był spleśniały, a „bandyci z SS” tłumaczyli, że to był „łup z Francji” i nic więcej nie mają.

Kobiety z pierwszego słowackiego transportu zostały wysłane do pracy przy rozbiórce zbombardowanych domów w okolicy. „Miały je zrównać z ziemią – wspominała Bertha – rozbić ściany długimi i bardzo ciężkimi żelaznymi prętami”. Dochodziło do wielu zranień i wypadków śmiertelnych, a wracające kobiety stanowiły przerażający widok, pogryzione, pobite; często niosły ciała zmarłych koleżanek.

Teege i Mauer „krok po kroku” zapoznawały się z używanymi tutaj „środkami i metodami” i zroszczyły, że SS świadomie tworzy te warunki, aby

doprowadzić kobiety przebywające w obozie do śmierci. „Nie dawało się uciec przed horrorem – napisała Bertha – a w dodatku przed każdą stała perspektywa, że pewnego dnia sama stanie się ofiarą”.

Höss natomiast zrzucał odpowiedzialność za grozę obozu kobiecego na same więźniarki. „Z chwilą gdy kobiety osiągnęły pewien punkt krytyczny, wtedy szybko następował koniec – stwierdził. – Snuły się one po obozie jak bezwolne widma, popychane przez innych do chwili, gdy pewnego dnia cicho umierały. Te żywe trupy stanowiły straszny widok”<sup>191</sup>.

Höss chciał, żebyśmy mu wierzyli, iż te „snujące się bezwolne widma” stanowiły „straszny widok”. Nic nie mógł z tym zrobić, ciągnął, a winę za ten stan zrzucał na braki personelu i samą Langefeld. „Aby utrzymać właściwy porządek w tych rojących się mrowiskach, konieczne były inne siły aniżeli znajdujące się w mojej dyspozycji nieliczne nadzorkynie przydzielone przez Ravensbrück. [...] Ówczesna *Oberaufseherin*, p. Langefeldt [sic], mimo iż nie była w stanie sprostać sytuacji, uporczywie odrzucała wszystkie wskazówki *schutzhaftlagerführera* [kierownika obozu]”<sup>192</sup>.

Jednak, jak szybko zaczęły rozumieć Teege i Mauer, te kobiety, które nie chciały zgodnie z oczekiwaniami SS umrzeć po cichu, jawnie mordowano. W Ravensbrück od czasu do czasu dochodziło do rozstrzeliwań, ale przeprowadzano je na uboczu, pojedynczo i nie miały nic wspólnego z masowymi morderstwami, które praktykowano tutaj, o czym przekonała się Luise, kiedy przyjaciółka pozwoliła jej wyrzeć przez wizjer umieszczony w ścianie baraku. Tutaj zobaczyła 15–18 martwych kobiet, niektóre z dziećmi w ramionach. Esesmani strzelali do żywych i martwych.

Bertha Teege utrzymywała, że więźniowie w Auschwitz nie mieli pojęcia o gazowaniu. Brzmi to prawdopodobnie, ponieważ na tym etapie obozowa rzeź rozgrywała się w jednej komorze gazowej, rzadko używanej, w połowie ukrytej pod ziemią i porośniętej z wierzchu trawą. Kiedy dokonywano mordów, nikt nie miał prawa być w okolicy, ale pewnego dnia Bertha Teege podeszła to sprawdzić i usłyszała krzyki.

Po dwóch tygodniach w obozie Luise Mauer została wezwana do gabinetu Langefeld i dostała nakaz, by więźniarki „zniknęły” z Lagerstrasse. Zrobiła, co jej kazano, a kiedy wróciła do gabinetu, zastała tam tylko przyjaciółkę, Berthę. Wszyscy inni, w tym esesmani, wyszli. Pół godziny później przez Lagerstrasse przeszło około trzystu kobiet, dzieci i mężczyzn, młodych i starych, zdrowych

i chorych, niektórych poruszających się o kulach, pod eskortą esesmanów z psami. Zaprowadzono ich do tunelu, przypominającego przejście podziemne, prowadzącego do czegoś w rodzaju ogromnego silosu zaopatrzonego w szyby wentylacyjne. Powietrze wypełniły przeraźliwe krzyki; dzieci trwały najdłużej i przechodziły w kwilenie. Po piętnastu minutach zapadła cisza. „Wiedziałyśmy, że te trzysta osób właśnie zginęło”, powiedziała Luise Mauer. Prawdopodobnie była właśnie świadkiem pierwszego masowego gazowania więźniów w Auschwitz.

Godzinę później w gabinecie pojawiła się Johanna Langefeld, blada i rozkojarzona. Na widok Teege i Mauer z przygnębieniem spytała, czy widziały, co się stało. Potwierdziły, a ona powiedziała im, że nie wiedziała, iż tutaj ludzie są zabijani. „I na litość boską – dodała – nie mówcie nikomu, co widziałyście, bo was też zagazują”.

Prawie od razu złożyła protest do obergruppenführera Oswalda Pohla, szefa Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego SS, który akurat niedługo potem przeprowadzał inspekcję w obozie. Później powie amerykańskim śledczym: „Skorzystałam z pierwszej okazji, by poruszyć tę sprawę z generałem-porucznikiem Pohlem”<sup>193</sup>. Jednak Langefeld mówi ogólnikowo o charakterze poruszonych spraw. Z jej następnych komentarzy wynika, że jest wysoce nieprawdopodobne, aby poruszyła kwestię gazowania; rozmawiała raczej o zorganizowaniu administracji i skarżyła się, że nikt z nią nie konsultuje decyzji dotyczących obozu kobiecego.

Langefeld była przekonana, że jako główna dozorczyńca powinna dysponować wyłączną władzą w obozie kobiecym i że esesmani będą się trzymać z daleka. Gdyby funkcjonowała taka zasada, mogłaby, jak wierzyła, wpłynąć na poprawę warunków, podobnie jak starała się to robić w Ravensbrück. Jednak Pohl „nie odniósł się przychylnie” do jej skarg, powiedziała później.

Przekonana o swoich kierowniczych kompetencjach, Langefeld wystosowała kolejny protest, tym razem do kwatery głównej w Oranienburgu. W zeznaniu dla amerykańskich śledczych oświadczyła, że poprosiła kwaterę główną, aby potwierdziła, że „zgodnie z zasadami SS kwestie dotyczące kobiet rozstrzyga główna nadzorczyńca”. Kwatera się z nią zgodziła, opowiadała, ale miejscowy przedstawiciel SS – czyli Rudolf Höss – uchylił tę decyzję, co jeszcze bardziej podkopało jej autorytet w Auschwitz. W rezultacie poprosiła o odesłanie jej z powrotem do Ravensbrück, ale odmówiono jej i od tej pory

wybuchła prawdziwa walka o władzę między nią a Hössem.

Langefeld odmówiła wykonywania rozkazów esesmana Hansa Aumeiera, któremu Höss powierzył dowodzenie nią, a jednocześnie komendant nie zgodził się, by esesmani musieli wykonywać jej rozkazy. Tymczasem, jak opisuje Höss, warunki w obozie kobiecym stale się pogarszały, szczególnie że dozorczyńnie stawały się coraz bardziej zdeprawowane.

Problem polegał na tym, twierdził Höss, że podczas pobytu w Ravensbrück te kobiety „miały bardzo dobre warunki”: „Czyniono dla nich wszystko, aby tylko utrzymać je w kobiecym obozie koncentracyjnym i dzięki korzystnym warunkom życiowym móc zdobyć nowe”. W Ravensbrück, gdzie „nie było mowy o nadmiernym zagęszczeniu”, „nie przeciążano ich obowiązkami służbowymi”, podczas gdy w Auschwitz dozorczyńnie musiały pracować „w najcięższych warunkach”. „Już na samym początku – pisze Höss – większość z nich chciała uciekać z powrotem do spokojnego i wygodnego życia w Ravensbrück”. W ten sposób Langefeld zaczęła tracić kontrolę nad własnymi nadzorczyńiami, które „w tym rozgardiaszu [...] biegały jak rozdrażnione kwoki i nie wiedziały, co robić”<sup>194</sup>.

W samym szczycie tego chaosu badaczki Pisma Świętego, które również przyjechały z Ravensbrück jako kapo, zaczęły strajk głodowy i obwieściły: „Hitler i jego wasale są narzędziami diabła”. Kilka z nich powieszono, ale Höss zatrudnił te, które nie dołączyły do protestu, do pracy w swojej willi. Napisał później, że te religijne Niemki, które nazywał „biblijnymi pszczołami” lub „biblijnymi gąsienicami”, stanowiły miłą odmianę po innych więźniarkach: „Moja żona często mówiła, że nie mogłaby sama lepiej dbać o wszystko”<sup>195</sup>.

Nie minęło wiele czasu, pisze Höss, jak morale podupadło jeszcze bardziej. „Jedna z nadzorczyń upadła tak nisko, że utrzymywała stosunki płciowe z więźniami, przeważnie «zielonymi» kapo”<sup>196</sup>. Kobiety notorycznie uprawiały seks z tymi kapo, którzy w zamian obdarowywali je biżuterią wykradaną z hałd cennych przedmiotów zabranych Żydom.

Höss nie napisał jednak, że w tym samym procederze uczestniczyli też jego oficerowie, podobnie jak on sam. Nawiązał mianowicie romans z austriacką więźniarką Norą Hodys z Ravensbrück, która teraz pracowała w obozowym magazynie z biżuterią<sup>197</sup>. Pomagała mu szmuglować biżuterię poza obóz. W SS wszczęto wewnętrzne śledztwo, które szybko zarzucono, ale zanim do tego

doszło, okazało się, że Höss urządził sobie w jednym z kobiecych baraków pokój na spotkania z Hodys. Według dokumentów śledztwa Johanna Langefeld złożyła oświadczenie, chociaż nie odnotowano, co miała wówczas powiedzieć.

Jednak Langefeld potwierdziła, że jej możliwości wpływania na bieg wydarzeń w kobiecym obozie coraz bardziej podkopywało rozwiązanie zachowanie dozorczyń. Jest tu też wyraźny dowód na pijaństwa odbywające się w kantynie dla personelu Auschwitz, z udziałem strażniczek z Ravensbrück. Jak to ujęła później sama Langefeld: „Duża liczba dozorczyń dostawała się pod wpływ esesmanów, z którymi wchodziły w bliskie relacje”.

Teege i Mauer przyznały, że „wewnętrzne sprawy” w sekcji kobiecej wymknęły się teraz „spod kontroli”. W magazynie odzieżowym, gdzie pracowała Philomena Müssgueller, strażnicy i kapo „nabijali sobie kieszenie”. Jeśli chodzi o ich własne warunki życiowe, „brakowało wszystkiego”, a w ich prywatnym uprzywilejowanym bloku było „nawet okno w drzwiach, przez które strażnicy mogli zaglądać”.

W tym samym czasie obie więźniarki polityczne coraz usilniej namawiano, aby objęły funkcję dozorczyń. Bertha Teege powiedziała, że działo się tak dlatego, że wszystkie dozorczyńie w Auschwitz były „bardzo leniwe” i odmawiały nawet udziału w najpóźniejszym apelu, więc musiała chodzić na niego sama.

Wkrótce obie więźniarki komunistki dostały rozkaz dokonywania wstępnej selekcji do komór gazowych. To samo zadanie otrzymały wcześniej, w grudniu, w Ravensbrück. Przy tamtej okazji powiedziano im, że więźniarki wyjadą do sanatorium – kłamstwo, w które zdecydowały się wierzyć. W Auschwitz usłyszały to samo kłamstwo; usłyszały też, że ostateczną decyzję podejmą lekarze, „ale teraz wiedziałyśmy, że tym sanatorium była komora gazowa”; obie kobiety opowiadają, że odmówiły przeprowadzania selekcji. „Rozmawiałyśmy o tym szczerze z Langefeld”, powiedziała Teege i dodała, że Langefeld rozumiała ich argumenty i nie złożyła na nie raportu za niesubordynację. Zamiast tego załatwiła, że selekcji dokonali prawdziwi strażnicy.

Teege i Mauer twierdzą, że próbowały ostrzegać blokowe przed gazowaniem, żeby nakłaniały chore więźniarki, aby udawały zdolne do pracy, ale ich wysiłki rzadko kończyły się sukcesem. „Chodziłyśmy po barakach przed lekarzami i prosiłyśmy te starsze kobiety, żeby przynajmniej udawały, że



pracują, ale one mówiły tylko, że wszystko je boli”. Miały dylemat, czy powinny mówić więźniarkom, że te wybrane trafią do komór gazowych, „bo wtedy ryzykowałybyśmy życie”. Pewnego razu Mauer zachorowała na tyfus i omal sama nie poszła do gazu, ponieważ selekcje nie robiły wyjątku dla chorych nie-Żydówek.

Kolejnym zadaniem dwóch kobiet było zajmowanie się sprawami obozowych dzieci. Pewnego dnia przyprowadzono do nich czteroletniego chłopca i kazano znaleźć jego matkę. Znalazły ją i obserwowały „poruszające powitanie”. Następnego dnia matka i dziecko zostali zagazowani.

Przez cały ten czas w Langefeld, Teege i Mauer narastała coraz większa nienawiść do esesmanów, szczególnie Hansa Aumeiera, człowieka Hössa, który przychodził do kobiecego obozu pijany, przeklinał, napastował je i jeszcze bardziej podkopywał autorytet Langefeld.

18 lipca 1942 roku, w bardzo upalny dzień, cztery miesiące po przyjeździe kobiet z Ravensbrück, Auschwitz przygotowywało się na wizytę Heinricha Himmlera<sup>198</sup>. Reichsführer przyjechał z liczną świtą i zażądał dokładnego zwiedzania obozu. Najpierw powiadomił Hössa o swojej decyzji przyśpieszenia gazowania europejskich Żydów: odtąd program Eichmanna transportowania i zagłady Żydów będzie intensyfikowany z miesiąca na miesiąc. Obozy śmierci w Bełżcu, Treblince i Sobiborze już działały i planowane były kolejne centra gazowania ludzi.

Właśnie zakończyła się budowa obszernego kompleksu Birkenau, 2 kilometry od głównego obozu Auschwitz, i zamontowano tam nowe instalacje gazowe. Po inspekcji obozu w Birkenau, przeprowadzonej tego dnia, Himmler kazał Hössowi od razu podkręcić tempo gazowania – w ramach udowodnienia, że „dla oficera SS trudności nie istnieją”, napisał Höss<sup>199</sup>.

Himmler przeprowadził inspekcję nie tylko instalacji do zabijania, ale też fabryk wykorzystujących pracę niewolniczą, i zgodził się z Hössem w kwestii nowego systemu, który polegałby na wybieraniu użytecznych robotników spośród reszty: w przyszłości więźniowie przyjeżdżający pociągiem przechodziliby selekcję od razu po przybyciu, na rampie, i kierowani byliby albo do komory gazowej, albo do fabryk.

Lipcowa wizyta stworzyła również Himmlerowi szansę na rozwój swoich specyficznych zainteresowań rolnictwem; poprosił o możliwość obejrzenia obory w Auschwitz, gdzie wypił szklanekę mleka. Potem chciał zobaczyć



sekcję kobiecą, którą niedawno przeniesiono do Birkenau. Langefeld miała wówczas okazję osobiście zaprotestować u Reichsführera w związku z sytuacją kobiet w obozie i przygotowała się do zaprezentowania pięciu „zasłużonych” więźniarek, które zabrała ze sobą z Ravensbrück, w nadziei, że zapewni im szybkie uwolnienie. Czekala jednak, podczas gdy Himmler obserwował chłostę. W tym celu ustawiono stół na kozłach.

Według Berthy Teege, która pomagała przygotować ofiary, kobiety ustawiono w szeregu przed Himmlerem – w tym pięć badaczek Pisma Świętego, na wpół zagłodzonych z powodu strajku głodowego, oraz pięć Żydówek różnych narodowości, „które były dobrze zbudowane, co znaczące”. Siedem z tych więźniarek już wychłostano, ale reszta musiała czekać nago cały dzień, dopóki nie przyszła ich kolej.

„Pod wieczór przyjechali samochodami dżentelmeni, ze świątą zaciekawionych pieczeniarczy – wspominała Bertha Teege. – Himmler rzucił okiem na paradujące więźniarki, obejrzał prezentowane mu nagie kobiety, a potem większość czasu spędził na obserwowaniu chłosty”. Na koniec wydał rozkaz, by w przyszłości chłostę wykonywały nie dozorkynie, lecz więźniarki, tak jak praktykowano w Ravensbrück. „Ze smutkiem trzeba przyznać, że kilka brutalnych dziwek – nie można inaczej nazwać tych kobiet – zgłosiło się na ochotnika z wielkim entuzjazmem”, powiedziała Teege.

Himmler ze świątą podeszli następnie do szeregów więźniarek i Langefeld wystąpiła z propozycją uwolnienia jej kobiet. Według Teege i Mauer Himmler wyznaczył kandydatki do uwolnienia indywidualnie, pytając, dlaczego znalazły się w obozie. Mauer wytłumaczyła, że była komunistką, a jej mąż był członkiem parlamentu z ramienia Komunistycznej Partii Niemiec.

Himmler spytał: „Nadal jesteś komunistką?”, na co Mauer odpowiedziała twierdząco. „Jakie masz poglądy na narodowy socjalizm?” Mauer odparła, że jest już więziona od tak dawna, że ma kilka pozytywnych spostrzeżeń. Himmler powiedział, że powinna zaznajomić się z rządami nazistów i zostanie zwolniona po rocznej próbie, która będzie polegała na pracy kucharki dla SS. Inne miały wyjść na wolność na podobnych warunkach, chociaż Berthę Teege zwolniono szybciej.

Przepytywana przez Himmlera Teege obiecała, że „postara się być dobrą obywatelką”, i od razu została wysłana pod policyjnym nadzorem do domu rodzinnego w Berlinie. „Uścisnął nam ręce i poszedł”. Kilka dni później strażnik odprowadził ją do bramy. Pobiegła, nie zatrzymując się, do stacji

kolejowej.

Relacja Johannya Langefeld z tego dnia zawiera jeszcze jedną wymianę zdań z Himmlerem. Rozmowa jest wiele mówiąca, ponieważ rzuca światło na Langefeld i jej priorytety, ale również daje pojęcie o osobliwym sposobie myślenia Himmlera.

Rozmawiali o kwestii władzy Langefeld w obozie. Coraz bardziej martwił ją sposób, w jaki SS manipulowało jej kapo przywiezionymi z Ravensbrück i wykorzystywało przeciwko niej. Dla ilustracji tej uwagi Langefeld opowiedziała, że ostatnio rozsądzała sprawę dyscyplinarną żydowskiej więźniarki o nazwisku Gorlitz, posądzonej o kradzież jabłek<sup>200</sup>. Kiedy Langefeld zbadała sprawę, okazało się, że jedna z jej kapo, aspołeczna, kazała Gorlitz ukraść jabłko w czasie pracy. Johanna oczyściła Żydówkę z zarzutów i ukarała kapo, ale kapo poskarżyła się Hansowi Aumeierowi, który z kolei oskarżył Langefeld o chronienie *Judenweib*, Żydówki. Taka ingerencja jest niedopuszczalna, powiedziała Langefeld.

Himmler obiecał, że przyjrzy się sprawie, po czym przespacerował się wzdłuż szeregu więźniarek i zatrzymał przed wysoką jasnowłosą Niemką, aspołeczna. „Jak to się stało, że taka piękna kobieta jest aspołeczna? – spytał ją. – Dlaczego nie wyszłaś za mąż, nie masz rodziny i dzieci?” Aumeier przerwał mu w tym momencie i powiedział, że to właśnie ta „dziwka” od incydentu, o którym właśnie rozmawiał z Langefeld. Himmler spojrzał na Aumeiera i wysyczał: „Jak śmiesz nazywać kobietę tak wulgarnymi słowami?”.

Jednak według Hössa Himmler nie pozwolił, aby sprawy sekcji kobiecej wyglądały w ten sposób. Przed wyjazdem z obozu wydał szczegółowe rozkazy, że żeńskie kapo mają dostać więcej władzy, czym jeszcze bardziej podkopał pozycję Langefeld. Zdaniem Hössa kapo były „często kobietami budzącymi wstręt”, które „przewyższały [...] o wiele swoje męskie odpowiedniki w podłości, chamstwie i nikczemności”. Himmler wyraźnie się z tym zgadzał i polecił Hössowi, żeby je lepiej wykorzystał. Höss mówi, że Himmler obserwował „zielone” i „czarne” kobiety – prawdopodobnie podczas chłosty – i dostrzegł, że „te bestie będą wyładowywały swoje nikczemne instynkty na podległych im więźniarkach”. Uznał, że te kobiety są „odpowiednie na kapo dla Żydówek”<sup>201</sup>.

Po zakończeniu obchodu obozu Himmler odjechał z Auschwitz i nigdy

więcej tu nie wrócił.

[181](#) G. Buber-Neumann, *Die erloschene Flamme*.

[182](#) Wywiad autorki.

[183](#) Kalendarz biurowy Himmlera pod 3 marca 1942 roku zawiera wpis, że odwiedził FKL Ravensbrück między 11.00 a 14.00, zob. Witte i in. (red.), *Dienstkalender*.

[184](#) Zob. przesłuchanie Langefeld, 26 grudnia 1945 roku, NARA, NAW RG 338–000–50–11; również *Dictators* oraz Strebel, *Ravensbrück*.

[185](#) D. Czech, *Kalendarium*, s. 147–148.

[186](#) Polityczna więźniarka Klara Pförsch pojechała jako kapo i spośród dozorczyń wysłanych do Auschwitz zapamiętała Hasse i Dreschel, przy czym tę ostatnią nazwała „cholerną dziwką” (BAL B162/9809).

[187](#) WO 309/412. Zob. raport amerykańskich śledczych datowany na 19 kwietnia 1947 roku, który twierdził, że Philomena Muesgueller [sic] alias Mimi Heller została uwięziona i – według jej oświadczenia – była „oberkapo” w różnych obozach od 1939 roku. W Ravensbrück przyznała się do wykonywania kar cielesnych, a w Auschwitz kierowała „niesławnym komandem łaźiebny” (magazynami ubrań w komorach gazowych). Zapisy podają, że żydowskie więźniarki z Auschwitz oskarżyły Müssgueller o torturowanie i „doprowadzanie do śmierci”. Istnieją również zapiski o jej możliwej ekstradycji do sektora brytyjskiego, by tam stanęła przed sądem, jednak chyba nie została oskarżona i skazana. Podczas przesłuchania przez niemieckich śledczych w kwietniu 1965 roku określiła się jako „gospodyni domowa” z Oberpfalz. Przyznała, że była w Ravensbrück sztabową i stwierdziła, że w 1942 roku została „uwolniona”, podczas gdy w rzeczywistości dostała stanowisko w Auschwitz. Na późniejszym przesłuchaniu nie wspomniała, że była w Auschwitz i, najwyraźniej nieprzyciśnięta w tej sprawie, została zwolniona (BAL B162/9818).

[188](#) Raport Luise Mauer w: Elling, *Frauen im deutschen Widerstand*; zeznanie Teege, „Hinter Gitter und Stacheldraht”, ARa 647.

[189](#) Czech, *Kalendarium*, s. 147–148.

[190](#) Höss, *Autobiografia*, s. 135.

[191](#) Hoss, *Autobiografia*, s. 132.

[192](#) Tamże, s. 135–136.

[193](#) NAW RG 338-000-50-11. Zob. też: G. Buber-Neumann, *Die erloschene Flamme*.

[194](#) Tamże, s. 135–136.

[195](#) Tamże, s. 133–134.

[196](#) Tamże, s. 137.

[197](#) Zob. Langbein, *People in Auschwitz*.

[198](#) Zob. Höss, *Autobiografia*, s. 136, 277–281; Ress, *Auschwitz*.

[199](#) Höss, *Autobiografia*, s. 278.

[200](#) Zob. G. Buber-Neumann, *Die erloschene Flamme*, przesłuchanie Langefeld, grudzień 1945 roku, NARA, NAW RG 338-000-50-11; oraz Höss, *Autobiografia*, s. 280.

[201](#) Höss, *Autobiografia*, s. 132–133.

## Rozdział 12

### Szwalnia<sup>202</sup>

Kiedy w Auschwitz-Birkenau zaczęły działać nowe, powiększone komory gazowe, Helmut Kuhn, stolarz z Fürstenbergu, dalej robił trumny dla zmarłych więźniarek Ravensbrück. Konny karawan powożony przez *Herr* Wendlanda, właściciela przedsiębiorstwa przewozowego, woził trumny przez miasto do fürstenberskiego krematorium. W każdej trumnie znajdowała się metalowa przywieszka z nazwiskiem i numerem zmarłej więźniarki.

W zakładzie stolarskim *Herr* Kuhn wykonywał dla obozu różne przedmioty. Dziś nad dawnym warsztatem z widokiem na jezioro mieszka jego syn Erich. „Nie tylko trumny. Robiliśmy drzwi, półki, prycze. Jeździłem z ojcem mierzyć i ustawiać”. Erich Kuhn twierdzi, że nie widział zbyt wiele. „W tamtym czasie każdy skupiał się na sobie. Po prostu robiliśmy, co do nas należało, i wychodziliśmy”. Ale pamięta więźniarki idące przez miasto. „Kiedyś usłyszałem, że mieszkańcy pluli na przechodzące więźniarki, ale nie uwierzyłem w to. Większość ludzi szybko odwracała wzrok”.

Na stole leży stara książka zamówień. Erich kartkuje ją i czyta: „SS... zamówienie na drzwi... 301 marek. Dobrze się spisaliśmy. Niektóre drzwi wytrzymały do dziś”. Ale w połowie wojny urwały się zamówienia na trumny, ponieważ obóz zbudował własne krematorium. Tylko *Prominente*, ważne więźniarki, miały od tej pory trumny, mówi. „O resztę się nie troszczyli”.

Od samego początku Ravensbrück dążyło do samowystarczalności. Jako jedyny obóz kobiecy w mniejszym stopniu podlegało centralnym dyrektywom. Być może z tego powodu, że był mniejszy i miał drugorzędne znaczenie – przynajmniej na początku – obóz Ravensbrück rozwinął silniejsze lokalne powiązania.

W 1942 roku wyraźnie istniały więzi obozu z lokalną społecznością w różnych sferach. Więźniarki pracowały w pobliskich gospodarstwach,

zbierały buraki lub ziemniaki, miejskie warsztaty zatrudniały małe grupy innych na podstawie negocjowanych umów. Patrząc z okna szkolnej sali w Fürstenbergu, Wolfgang Stegeman widział kobiety maszerujące w pasiastych strojach. W jego klasie uczyły się też dzieci dozorczyń i esesmanów. „Przychodziły z obozu grupą. Niewiele z nimi rozmawialiśmy. Zazdrościliśmy im, ponieważ miały lepsze jedzenie”.

Ojciec Wolfganga prowadził miejską pralnię, gdzie dwadzieścia więźniarek pracowało przy praniu odzieży – wojskowej i więźniarskiej. „Ojciec czasem przemycał w ubraniach kawałki chleba. Nie rozumiałem, jak to możliwe, ale nie zadawałem pytań. Nikt o nic nie pytał”.

Plecione przez więźniarki buty ze słomy sprzedawano na lokalnym rynku. Przez chwilę *Kunstgewerbe*, warsztat artystyczny, sprzedawał zabawki do miejscowych szkół<sup>203</sup>. Czasem interesował się nimi sam Himmler. Przy okazji jednej z wizyt zatrzymał się i podziwiał kobiety przy pracy. Najbardziej podobał mu się zdobiony rydwan wyrzeźbiony z drewna. Potem przyszli strażnicy i zapakowali go, każdy wiedział, że pojechał do Reichsführera SS.

Obóz rozwinął najmocniejsze lokalne powiązania właśnie przez dozorczyń i ich rodziny<sup>204</sup>. Latem 1942 roku wzrosło zapotrzebowanie na dozorczyń, nie tylko dlatego, że sam Ravensbrück się rozbudował, ale ponieważ obóz szkolił też teraz pracownice do kobiecej sekcji Auschwitz.

Werbunek prowadzono na rozległym obszarze, ale wciąż zgłaszało się dużo miejscowych – dziewcząt w rodzaju Armii Grese, córki mleczarza z pobliskiej wsi. Irma, temperamentna dziewiętnastolatka, której matka popełniła samobójstwo, kiedy córka miała dwanaście lat, liczyła na pracę pielęgniarki, ale zamiast tego wylądowała w obozie. Zalety były oczywiste – mundur i darmowe mieszkanie – a teraz obóz oferował też dodatkowe korzyści, w tym salon fryzjerski na miejscu i bezpłatne bilety do kina w Fürstenbergu.

Same dozorczyń stanowiły najlepszą reklamę dla tej pracy. Ubrane w szare marynarki, spódnicospodnie, czapki i skórzane buty, chodziły główną ulicą Fürstenbergu, budząc zazdrość miejscowych dziewcząt. Od stycznia 1940 roku nosiły naszywki z orłem na lewym rękawie i czapce, co znaczyło, że pracują dla Rzeszy. Opiekunki psów spacerowały, popisując się ogromnymi owczarkami niemieckimi.

„Sądzę, że najbardziej kusił je mundur – twierdzi Ilse Wiernick, córka nauczyciela z Fürstenbergu. Jej rodzina miała krewnych w pobliskiej wsi,

Himmelfort. „Z Himmelfortu pochodziła jedna z dozorczyń i pamiętam, jak pewnego dnia przyjechała z wizytą w mundurze i cała wieś podziwiała ją i prawiała komplementy, jak ślicznie wygląda”.

W owym czasie wiele z nich nawiązało stosunki z esesmanami, kilka zaszło w ciążę. Jedna dozorczyń urodziła w obozie chłopczyka, wspomina Ilse, ale nie wyszła za mąż i nie pozwolono jej zatrzymać dziecka; oddała je na wychowanie siostrze.

Obóz leżał tak blisko miasteczka, że wszelkie zmiany za jeziorem oddziaływały na Fürstenberg. Latem 1942 roku tekstylny gigant z Dachau, Texled, otworzył tu nowe warsztaty i miejskie małe zakłady krawieckie upadły, a handel ustał. Urzędnicy z zakładów elektrycznych Siemens wynajęli pokoje w hotelu w Fürstenbergu i podobno planowali budowę fabryki w obozie, chociaż nikt nie wiedział, co to oznaczało dla miasta.

Tymczasem Herr Wendland miał coraz więcej pracy; jego konny karawan kursował coraz częściej<sup>205</sup>. W połowie roku kupił pojazd silnikowy, a jego księga zamówień na trumny się zapełniła – nie bez związku z tym był huk wystrzałów rozlegający się wśród drzew wczesnymi wieczorami. Godzinę lub dwie później esesman Arthur Conrad przychodził z przyjaciółmi na drinka w miejskim barze. Przechwalał się osiągnięciami: *Genickschuss* – strzał w tył głowy z pistoletu kalibru 7,65 mm, a jeśli zaszła konieczność – dobicie strzałem w serce.

Rozchodziły się ponure pogłoski, starsze kobiety błagały młode, aby nie brały posad dozorczyń, mówi Ilse Wiernick. Próbowaly przekonać Margarete Mewes, żeby rzuciła pracę. Mewes, matka trójki dzieci, pracowała w obozie już od trzech lat, ale nie chciała słuchać. „Kiedy wracała z pracy do domu, nie mogła zająć się dziećmi, po prostu padała na łóżko”.

Rodzina Ilse miała pomoc domową, Elli Hartmann, która też zatrudniła się jako dozorczyń, choć „moja matka próbowała ją powstrzymać”, opowiada Ilse. „Spytała, czy jej zdaniem naprawdę ta praca jest dla niej odpowiednia. Ale Elli powiedziała, że tam zarobi więcej, i poszła. Pamiętam, że nawiązała romans z esesmanem, który wyjechał na front. Elli była miłą dziewczyną. Jej mąż wrócił i wyjechali na Zachód”.

Plotki o tym, co dzieje się w Ravensbrück, dotarły również do okolicznych wsi. Dorothea Binz przyjeżdżała od czasu do czasu w odwiedziny do rodziny w Altglobsow. Jej matka często była pijana i kompletnie się od niej odcięła,

ale szkolna koleżanka Binz, Ilse Halter, wspomina, że jej matka pewnego razu próbowała przekonać Dorotheę, by dobrze przemyślała to, co robi. Dorothea miała wtedy dzień wolny i matka Ilse, osoba szanowana we wsi, poprosiła ją o wizytę u siebie w domu. „Chciała usłyszeć, co naprawdę dzieje się w obozie. Tyle historii krążyło o tym miejscu i mama chciała dowiedzieć się prawdy”, opowiadała Ilse, która była w domu, gdy przyszła Dorothea.

Dorothea powiedziała mamie, że plotki są nieprawdziwe. „Ależ *Frau* Schumann – rzekła – musi pani zrozumieć, że w obozie są kryminalistki i prostytutki oraz kobiety, które nadużywają religii. Są niewykształcone”. Mama udawała, że usatysfakcjonowały ją wyjaśnienia Dorothei, ale myślę, że się bała. Ojciec nie należał do partii, a mama była bardziej neutralna. To wtedy uświadomiłam sobie, że Dorothea kłamie. Spojrzałam na nią i zdziwiłam się, jak zmieniła się jej twarz, odkąd zaczęła tam pracować. Stała się twardsza. Z wyraźnymi zmarszczkami. Często o tym myślałam.

Dla więźniarek wyjazd Johnny Langefeld z Ravensbrück w marcu zasygnalizował pierwszą poważną zmianę w 1942 roku – zmianę na gorsze, szczególnie w przypadku Polek. Wyłącznie dzięki Langefeld Polki zyskały jakąś pozycję, a objęcie użytecznych funkcji w obozie „zredukowało pęd dozorczyń do wtrącania się we wszystko”, jak to ujęła Maria Moldenhawer<sup>206</sup>.

Na miejsce naczelniczki po Langefeld przyszła dwudziestotrzyletnia Austriaczka Maria Mandl, którą na stanowisku głównej dozorczyńi bunkra zastąpiła Dorothea Binz. Mandl uwielbiała się „wtrącać”. Szczególnie bawiło ją polowanie na loki podczas apeli. Przechodziła powoli wzdłuż szeregów i sprawdzała głowy, a jeśli znalazła lok, biła kobietę po głowie lub kopała ją leżącą na ziemi. Albo, w zależności od nastroju, wysyłała winowajczynię na golenie głowy i kazała jej paradować przed innymi z tabliczką na szyi: „Złamałam zasady i zakreśliłam włosy”.

Maria Bielicka widziała, jak Mandl skopała na placu apelowym Żydówkę na śmierć. „Zrobiła coś źle i najpierw została spoliczkowana i kopnięta”.

Ale potem wydarzyło się coś dziwnego. Miałam koleżankę, która pracowała przy sprzątanii w kwaterach dozorczyń. Jedna z głównych dozorczyń miała w pokoju fortepian. Pewnego dnia koleżanka weszła tam i usłyszała najpiękniejszą muzykę. Kobieta, która grała, całkowicie zatraciła się we własnym świecie – w ekstazie. I to właśnie ta dozorczyńi kilka dni wcześniej zamordowała Żydówkę.

Jednak mianowanie nowej naczelniczki Ravensbrück nie miało związku



z bardziej fundamentalnymi zmianami w obozowym reżimie, do jakich doszło wiosną 1942 roku – wprowadzenie tych zmian nakazał sam Reichsführer SS, a w związku z nimi od tej chwili obóz miał ściślej przynależeć do centralnej maszyny SS. I tym razem komentarz Marii Moldenhawer okazał się bardzo przenikliwy: „W owym czasie zaczęliśmy coraz wyraźniej rozumieć, że surowe dyrektywy pochodzą od władz centralnych. Władze obozowe wykonywały te rozkazy bezlitośnie, w przeciwieństwie do samowolnie zadawanych męczarni, jakie znałyśmy do tej pory”.

Pierwsze z tych nowych surowych dyrektyw dały się odczuć w obozie krótko po marcowej wizycie Himmlera. Chociaż bezpośrednim celem wizyty prawie na pewno było uzgodnienie oddelegowania dozorczyń z Ravensbrück do pracy w Auschwitz, Reichsführera w tamtym czasie bez wątpienia bardziej zajmowała możliwość szerszego wykorzystania pracy niewolniczej w obozach koncentracyjnych.

W rezultacie coraz więcej kobiet z Ravensbrück, wraz z więźniami z innych obozów, zatrudniano przy produkcji sprzętu wojskowego, ubrań i broni. Mając w pamięci ten nowy priorytet, Himmler objechał w marcu warsztaty i wpadł w furję, gdy odkrył, że kobiety zaprzęzone do kieratu nadal pracują tylko na ośmiogodzinnej zmianie. Wprowadzono więc jedenastogodzinne zmiany, podobnie jak nocne zmiany w szwalni i wyższe normy produkcji.

Podczas rozmów z komendantem Himmler ujawnił również, że zaczęły się rozmowy z niemieckim gigantem elektrycznym, Siemensem, i z urzędnikami z Luftwaffe, aby Siemens mógł założyć w Ravensbrück fabrykę wytwarzającą elektryczne oprzyrządowanie dla myśliwców. Plan miał ogromne konsekwencje dla więźniarek: wkrótce kobiety miały pracować niewolniczo w kluczowych sferach przemysłu zbrojeniowego. Umowa miała też skutki dla firmy Siemens & Halske, ponieważ cementowała już i tak bliskie relacje koncernu z reżimem nazistowskim. Fabryka Siemensa w Ravensbrück była jednym z pierwszych zakładów dużego niemieckiego koncernu umieszczonych w obozie koncentracyjnym, a pierwszym wykorzystującym niewolniczą pracę kobiet.

Firma Siemens & Halske została założona w 1847 roku i wystartowała jako przedsiębiorstwo rodzinne, a w latach trzydziestych XX wieku była już największą kompanią elektryczną w kraju. Aby zachować dominację na rynku, współpracowała z nazistowską Trzecią Rzeszą i zabezpieczyła sobie lukratywne kontrakty z armią. Kilku czołowych przedstawicieli firmy, w tym

Friedrich Lüschen, który kierował fabryką kabli, wstąpiło do SS, a jeden z dyrektorów, Rudolf Bingel, zaprzyjaźnił się z Heinrichem Himmlerem i znalazł się w kręgu jego przyjaciół – ulubionych niemieckich przemysłowców Reichsführera<sup>207</sup>.

W okresie poprzedzającym wojnę Siemens, mający siedzibę w Berlinie, stracił tysiące robotników powołanych do wojska. Aby uzupełnić braki, firma wykorzystywała do pracy niewolniczej ponad 3,6 tysiąca Żydów<sup>208</sup>. W nadziei, że praca dla Siemensa uchroni ich przed deportacją, Żydzi pracowali ciężko, a firma uważała ich za nieocenionych pracowników, szczególnie kobiety, które dzięki zwinnym palcom doskonale sprawdzały się przy pracach precyzyjnych<sup>209</sup>. Jednak na początku 1942 roku trwały już transporty niemieckich Żydów do komór gazowych w Polsce, a Siemens potrzebował nowej siły roboczej, więc perspektywa taniego zatrudnienia kobiet z Ravensbrück nie mogła pojawić się w lepszym momencie<sup>210</sup>. Co więcej, obóz był idealnie położony: poza zasięgiem alianckich bombowców, z doskonałymi połączeniami komunikacyjnymi i wygodnie dla głównej siedziby firmy w Berlinie.

Tydzień po marcowej wizycie Himmlera w 1942 roku Oswald Pohl, jego zarządca ekonomiczny, napisał do Siemensa z obietnicą udostępnienia do pracy 6 tysięcy kobiet z obozu. Prace przy budowie fabryki rozpoczęły się na początku lata.

Tymczasem Ravensbrück dowiedziało się o nowych dyrektywach Himmlera o pracy niewolniczej, z których część wprowadzono w życie wcześniej. Jedna z nich, przedstawiona w liście do Pohla, nakazywała założenie w męskich obozach burdeli, gdzie jako prostytutki pracowałyby kobiety z Ravensbrück. Po wizycie w kamieniołomach przy męskim obozie Mauthausen, gdzie wycieńczeni więźniowie padali jak muchy, Himmler wpadł na pomysł zachęcania więźniów do pracy nagrodą w formie kuponu na wizytę w burdelu. Zdaniem Himmlera dostęp do seksu „sprawi, że mężczyźni będą lepiej pracowali”<sup>211</sup>.

Niedługo po tym, jak rozkaz został wydany, lekarz z Ravensbrück, Gerhard Schiedlausky, zaczął selekcję kobiet według pewnych kryteriów. Wybranych powiedział, że wyjdą na wolność po sześciu miesiącach w burdelu. Większość z nich stanowiły Niemki z czarnymi „łatami”, sklasyfikowane jako społeczne i wysłane do Ravensbrück właśnie z tego powodu, że uprawiały prostytutkę.

Teraz te same kobiety mogły uzyskać wcześniejsze uwolnienie, pracując jako prostytutki w męskich obozach.

„Wybrane kobiety musiały być ładne, z dobrymi zębami, bez chorób wenerycznych i skórnych”, wspominał Schiedlausky<sup>212</sup>. Najpierw wyjechało dwanaście więźniarek skierowanych do burdeli w Mauthausen, cztery do Dachau, czternaście do Buchenwaldu i dwanaście do Flossenbürga. Edith Sparmann wspomina, że kobiety przyszły do magazynu po rzeczy. Nie miały zabrać swoich ubrań, lecz wybrać sobie te, które chciały, „aby wyglądać jak najlepiej”; towarzyszyły im dozorkynie.

Ze wszystkich nowych „dyrektyw centralnych” narzuconych obozowi w Ravensbrück w pierwszej połowie 1942 roku najbardziej zniechęcone były te wyznaczające nowe godziny i normy produkcji w szwalni. Warsztat ten, na przemysłowym obszarze z tyłu obozu, od dawna miał opinię najbardziej przerażającego miejsca pracy. Hałas maszyn ogłuszał, a powietrze zawsze było ciężkie od kurzu. Przez całe pomieszczenie ciągnęły się taśmociągi, a obok rzędy kobiet siedziały przy maszynach, szyjąc mundury dla Waffen-SS oraz obozowe pasiaki.

W każdym momencie szef zakładu, Austriak Gustav Binder, o przydomku Schinderhannes (od słynnego wyrzutka z Nadrenii, który został stracony w 1803 roku), mógł wyskoczyć ze swojego biura i rzucić narzędziem lub butem z wystającymi gwoździami prosto w twarz.

Po wizycie Himmlera wzmożły się męczarnie więźniarek. Fabryczne baraki powiększono, kobiety pracowały po jedenaście godzin i wprowadzono dwie zmiany – dzienną i nocną. Wyznaczono także nowe normy, które egzekwowali szefowie warsztatów – kierownik Fritz Opitz, jego zastępca Joseph Graf oraz Binder, brygadzysta. Wszyscy byli wykwalifikowanymi krawcami wyszkolonymi w siedzibie głównej Texled Dachau. Jako jedno z czterech największych przedsięwzięć SS, Texled, miało profesjonalny zarząd, wykorzystywało najnowocześniejszy sprzęt i polegało prawie całkowicie na niewolniczej pracy więźniów, co było bardzo opłacalne<sup>213</sup>. Oswald Pohl umieścił główną szwalnię Texledu w Ravensbrück, ponieważ szycie było „babską robotą”<sup>214</sup>.

Pod koniec kwietnia Fritz Opitz wyjechał do głównej siedziby Texledu w Dachau po instrukcje w sprawie nowych norm. Jednak Opitz, chociaż był

mistrzem krawieckim, ledwo czytał i pisał, więc to Graf, niedawno okaleczony na froncie wschodnim, i Binder opracowali harmonogram. Binder sam zasiadł do maszyny do szycia i uszył osobiście każdą sztukę odzieży, a Graf stał obok ze stoperem. W ten sposób opracowali minimalny czas potrzebny na każdy mankiet, każdy szew.

Ustalili normę na dwie i pół minuty na koszulę, co oznaczało minimalny urobek 180 sztuk odzieży na każdej zmianie, biorąc pod uwagę, że przy każdym z dziesięciu taśmociągów będzie pracować 57 kobiet przez jedenaście godzin, od siódmej rano do szóstej po południu. Nocna zmiana zaczynała się o siódmej wieczorem, a kończyła o szóstej rano następnego dnia, z jedną półgodzinną przerwą w połowie zmiany. Binder „przeszkolił” zatem kobiety w kwestii norm i zaczął od nocnej zmiany. Przy zaciemnionych przez cały czas oknach więźniarki siedziały przy maszynach, ze specjalnymi bawełnianymi kapciami na stopach, ułatwiającymi naciskanie pedałów.

„Dziś wieczorem mamy uszyć 180 koszul”, mówi Binder, stojąc obok pierwszej kobiety w rzędzie i odliczając sekundy na zegarku, gdy ta szyje swój kawałek koszuli. Kiedy nie udaje jej się wyrobić w czasie, uderza ją w twarz i strąca ze stołka. Pozostałe sześćset robotnic z drżeniem obserwuje Bindera, jego czerwoną twarz, wzburzoną, zalaną potem. Miał ogorzałą cerę i gruby kark. Sadza kobietę z powrotem na siedzenie i uruchamia maszynę, żeby spróbowała jeszcze raz; patrzy na zegarek. Po dwóch, trzech, czterech kolejnych nieudanych próbach kobieta była już tak zmaltretowana, że ledwo siedziała, ale za piątym razem jej się udało. Binder tak samo obszedł się z każdą kobietą w szeregu.

I przez chwilę norma jest wykonywana, więc Binder deleguje nadzór na zastępców i wycofuje się za drzwi wahadłowe prowadzące do biura, gdzie siedzi Graf i gdzie więźniarka nanosi dane o wydajności produkcji na wykres, pokazujący liczbę koszul, spodni i marynarek na koniec każdej zmiany. Jeśli linia idzie w górę, Binder i Graf z dumą meldują Opitzowi, że normy są realizowane, a Opitz przekazuje meldunek do Dachau. Ci ludzie nie odpowiadają przed komendantem obozu i chociaż mają baty, nie noszą esesmańskich mundurów, ponieważ są dumni z tego, że są krawcami, a nie zwykłymi esesmanami.

Jednak sytuacja stale jest niepewna, ponieważ harmonogramy są tak

precyzyjne, że taśmy muszą pracować na okrągło. Główna krojczyni, niemiecka więźniarka Maria Wiedmaier, komunistka od dawna przebywająca w Ravensbrück, musi więc na bieżąco zaopatrywać szwaczki w materiał. Ważne również jest, by szybko wymieniać złamane igły lub splątane nici, więc inna więźniarka, Czeszka Nelly, biega między maszynami i dokonuje napraw. Musi poruszać się szybko, aby szwaczki mogły skończyć swój element odzieży, zanim na taśmie podjedzie następny.

I ponieważ każda szwaczka po kolei doszywa swój kawałek, muszą pracować bez ustanku, poza półgodzinną przerwą. Dodatkowe wyjścia do toalety są dozwolone, ale zgodnie z grafikiem: dozorczyńni, która ma na liście 600 numerów więźniarek, wywołuje je po kolei w trakcie zmiany, ale nigdy nie udaje jej się dojść do końca, więc niektóre numery wcale nie zostają odczytane, a kobiety oddają mocz na siedząco. A za to czeka kara, często wielogodzinna stójka na zewnątrz, nocą, na mrozie; w kwietniu zabierano zimowe ubrania (pończochy i kaftany) i kobiety stały w cienkich bawełnianych sukienkach.

Ale często w środku zmiany taśma nagle zatrzymywała się, kiedy któraś kobieta zasnęła przy maszynie. Binder ustalił normy czasowe na swoim przykładzie, nieświadomy, że na wpół zagłodzone więźniarki pracują dwa razy wolniej i szybko tracą siły. Gdy tylko Binder słyszy, że taśma się zatrzymała, wypada z biura i ciska nożyczkami w śpiącą kobietę. Jeśli nie trafi, staje nad nią, chwyta za włosy, unosi i wali jej twarzą w maszynę, dopóki krew nie pójdzie jej z nosa.

Binder i Graf czasem wchodzą do zakładu razem, obaj pijani. Łapią starszą kobietę, oskarżają ją o jakiś występki, potem zaczynają bić i rzucają ją na stół tak, że spada z drugiej strony. Pewnego razu młoda więźniarka, może siostrzenica albo córka, próbuje pomóc starszej osobie, ale pijani krawcy chwytają ją, a Binder kopie ją w brzuch podkutymi wojskowymi butami. Teraz to ona upada, trzymając się za brzuch i krzycząc. Gdy praca zostaje wznowiona, dziewczyna nadal leży w tym samym miejscu. W końcu zabierają ją do rewiru, skąd przychodzi później informacja o jej śmierci<sup>215</sup>.

W ostatniej godzinie nocnej zmiany, kiedy szwaczki powinny już wyczekiwać na odpoczynek, pada na nie blady strach. Wszystkie wiedzą, że teraz uszyte sztuki odzieży zostaną policzone; wiedzą, co będzie, kiedy okaże się, że nie wykonały normy. Kiedy zatem milkną wszystkie maszyny i zapada

cisza, sześćset par oczu spogląda na drzwi Bindera. Nagle ze swojej nory wypada Schinderhannes, purpurowy na twarzy, z wytrzeszczonymi oczami, zaciśniętymi pięściami, wykrzykując przekleństwa. Wszyscy patrzą się na niego, gdy miota się od kobiety do kobiety, szarpiąc je za włosy i uderzając ich głowami o maszyny do szycia, dopóki całkowicie nie opadnie z sił<sup>216</sup>.

Cały warsztat będzie ukarany za niewyrobienie normy – prawdopodobnie kilkugodzinną stójką przed powrotem do baraków, by się przespać, albo nową, jeszcze wyższą normą, której w żadnym wypadku nie da się wykonać.

Niektóre szwaczki radziły sobie lepiej niż inne. Kiedy Grete Buber-Neumann znalazła się w warsztacie krawieckim, zauważyła młodą Ukrainkę, która czasem spoglądała znad swej maszyny i się uśmiechała. Podczas przerwy o północy Nina uczyła Grete ludowych piosenek, które czasem śpiewały razem przy pracy – maszyny tak hałasowały, że nikt nie mógł tego usłyszeć. I był też strażnik Siepel, Węgier, który próbował pomagać – krążył między kobietami i pokazywał im, jak wykonywać czynności. Kobiety pokochały go, aż pewnego dnia dowiedziały się, że wyruszył na front.

Któregoś razu kapo Maria Wiedmaier wzięła Grete na bok i zaoferowała jej lepszą pracę w biurze warsztatu. Maria mogła teraz to załatwić, ponieważ Binder wyróżniał ją za to, że pomagała mu realizować normy. Wiele niemieckich komunistek zachowywało się służalczo wobec SS, powiedziała Grete. Praca dawała tym kobietom cel, a one „wkładały serce i duszę w pracę dla maszyny wojennej”. Może nie jest to bardzo zaskakujące, gdyż wiele niemieckich więźniarek miało ukochanych na froncie, a rodziny na tyłach, w schronach przeciwlotniczych.

Maria Wiedmaier pracowała tak ciężko, że pewnego dnia Graf skomentował: „Co ja bym bez niej zrobił?”. Binder miał o niej tak wysokie mniemanie, że nawet wezwał ją na świadka na swoim procesie. Najwyraźniej czuł dumę ze swej pracy w Ravensbrück i chwalił się w sądzie swymi słynnymi „140 parami spodni dziennie”<sup>217</sup>.

– A czy to prawda, że to samo zadanie było wykonywane w ten sam sposób, według tych samych zasad, w te same dwie i pół minuty, codziennie? – zapytał Stephen Stewart, prokurator<sup>218</sup>.

– *Jawohl!* – odparł Binder.

Po skazaniu Bindera na śmierć jego żona złożyła apelację, stwierdzając, że

to on pracował pod presją, a nie więźniarki: one próbowały stale sabotować pracę. Więźniarki „złośliwie uszkodziły setki sztuk odzieży, tak by mój mąż nie mógł wykonać normy”. Czy sąd nie mógłby ocalić życia jej męża przez wzgląd na nią i ich dwójkę dzieci? Ale Binder został powieszony, a wraz z nim Graf i Opitz.

Było jednak ziarno prawdy w słowach Marthy Binder. Niezamierzonym skutkiem decyzji Himmlera, by wykorzystać więźniarki na rzecz wysiłku wojennego, stała się okazja do dokonywania sabotażu. Sabotowanie szufłowania piasku czy rozładowywania węgla nie miało sensu, ale niszczenie odzieży dla niemieckich żołnierzy było warte ryzyka.

Większość więźniarek w szwalni była zbyt wyczerpana, zbyt przestraszona konsekwencjami albo jedno i drugie, by choćby pomyśleć o sabotażu, a robotnice przy taśmie pracowały za bardzo na widoku, by ryzykować. W przykrawalni jednak, pod mniej ścisłym nadzorem, Katarzyna Kawurek wrzucała prawidłowo wycięte elementy munduru do śmieci, co rozwścieczało Bindera. „Binder pieklił się, nie mogąc się ich doliczyć – wspominała Katarzyna. – Wynosiłam też z przykrawalni zwoje materiałów na koszule i rękawice dla ausenów [strażników]”<sup>219</sup>.

I właśnie ta głupota Bindera umożliwiała sabotaż. Nacisk na to, by te same czynności wykonywać „w ten sam sposób każdego dnia”, stosował też przy sprawdzaniu gotowej odzieży. Codziennie kontrolowano te same części garderoby, a inne pomijano. Tak więc Wiktoria Ryczko, która przyszywała guziki do mundurów, zauważyła, że chociaż Binder zawsze upewniał się, czy są przyszyte dość mocno, i bił kobiety w głowę i twarz, jeśli nie były, nigdy nie sprawdzał rozmieszczenia guzików. Przyszywała tym samym guziki mocno, ale tak, że nie pasowały do dziurek.

Inna Polka, Krystyna Zaremba, odkryła, jak niszczyć nici, dokonując głębokich cięć przez całe szpulki. „Im więcej i lepiej udawało się coś psuć, tym lepsze miałyśmy humory przez cały dzień”<sup>220</sup>.

Najsukuteczniejszego sabotażu dokonywano w warsztacie kuśnierskim, uruchomionym na początku 1942 roku. Arktyczne warunki rosyjskiej zimy 1941/1942 roku nękały niemieckich żołnierzy odmrożeniami, a Ravensbrück stało się wówczas głównym producentem ciepłej odzieży dla wojska. Futro królików angorskich, hodowanych w klatkach za bramami obozu, już wykorzystywano do wykonywania czapek i rękawiczek, ale wtedy pojawiło



się dużo lepsze źródło surowca. W grudniu 1941 roku Himmler nakazał konfiskatę wszystkich futer posiadanych przez Żydów, zarządził też, by „wszelkiego rodzaju futra: owcze, zajęcze i królicze dostarczać do zakładów Waffen-SS w Ravensbrück koło Fürstenbergu”.

Rozkaz mówił też: „Ważne jest sprawdzanie odzieży, aby upewnić się, że nic nie zostało w niej ukryte ani zaszyte” – nawiązanie do wielkiej ilości gotówki i biżuterii ukrytych w kieszeniach i szwach odzieży.

Na początku 1942 roku do Ravensbrück zaczęły napływać kosztowne płaszcze, mufki, czapki i rękawiczki kupowane w najmodniejszych salonach od Paryża do Pragi. „Był to rodzaj lekcji niemieckich podbojów – powiedziała jedna z kuśnierek. – Czasem cała Europa leżała na naszych stołach. Mogłyśmy odczytywać metki ze wszystkich miast”. Były tam „piękne futra, haftowane niczym z muzeum”<sup>221</sup>.

Esesmani też byli pod wrażeniem, szczególnie kierownik zakładów odzieżowych. Fritz Opitz „zabierał pieniądze i złoto z odzieży i futer żydowskich kobiet i dzieci i żył jak król – napisała Maria Wiedmaier. – Upojony bogactwem, niemal nie krył się z rozpustą, więc w pokojach esesmanów odbywały się orgie z udziałem strażniczek”<sup>222</sup>.

Maria Biega zapamiętała Opitza, „obładowanego żydowskimi futrami”, jak bił robotnicę, polską nauczycielkę ze szkoły podstawowej, po twarzy, „aż jej krew spłynęła na podłogę warsztatu kuśnierskiego”<sup>223</sup>. Graf, kierownik szwalni, przyłączył się, bijąc kobietę gumową pałką.

Nocna zmiana w warsztacie kuśnierskim była uważana za najbardziej wyczerpującą ze wszystkich, ale dawała najlepszą okazję sabotażystkom: gdy esesmani skupiali się na łupach, nie dbali o wykonywanie normy. Futra szyto ręcznie, co bardziej sprzyjało psuciu odzieży niż szycie maszynowe. Robotnice, w tym wiele młodych Polek, nadzorowała społeczna prostytutka, która chodziła wzdłuż stołu, „unosząc nasze podbródki stopą, jeśli zaczynałyśmy przysypiać”<sup>224</sup>. Irena Dragan, Polka z warsztatu kuśnierskiego, opowiadała, że nogi prostytutki pokrywały wrzody i otwarte rany.

Futra nie zawsze były tak kosztowne i po miesiącach magazynowania często przyjeżdżały śmierdzące i zarobaczone. Część robotnic nie mogła znieść tego widoku. Pewna młoda kobieta poprosiła Irenę, by ją ukłuła igłą, żeby się „obudziła z koszmaru”. Inne jednak starannie szyły luźnymi szwami, świadome, że okrycia się rozpadną. Niekiedy wkładały do nich karteczki do



żołnierzy, że walczą w przegranej wojnie.

Kobiety często pracowały razem, uzgadniając, że potną najpiękniejsze futro na skrawki, które nazywały „drobnym makiem” lub „makaronem”: „musiałyśmy jednak być bardzo ostrożne z powodu Niemek, które z nami pracowały”, wspominała Irena. Inne działały nawet w dwunastoosobowych grupach, korzystając z rad weteranek, takich jak Halina Chorążyna, warszawska nauczycielka chemii, która wymyśliła, jak dziurawić futro anoraków tak, żeby się rozpadały<sup>225</sup>. Żeby nikt się nie zorientował, kładły na wierzch dobrze uszyty anorak, a wadliwe ukrywały pod spodem.

Pewnego dnia przyszedł rozkaz uszycia anoraku dla samego dowódcy Luftwaffe, Hermanna Göringa. Przeznaczono na to dobrane srebrne lisy. „Tę robotę dostały do wykonania Polki. Przy pracy oczywiście odpowiednio «urządziły» skórki. Anorak wypadł wspaniale”. Ale kiedy niemieckie więźniarki wytrzepały futro – co zawsze robiły przed spakowaniem, aby je zmiękczyć – dosłownie się rozlazło. „Wściekłość Niemców nie miała granic. Uznali jednak, że sami popełnili błąd, nakazując trzepanie delikatnych skórek. Uszło więc nam na sucho”<sup>226</sup>.

Kiedy nie udało się ukryć przewinienia, kary były surowe, „ale inne dalej robiły to samo”, stwierdziła Stanisława Schöneman-Łuniewska<sup>227</sup>, chociaż latem nocna zmiana zaczęła tracić część swych najodważniejszych sabotażystek.

Stanisława Michalik pamięta krwistoczerwony wschód słońca 18 kwietnia 1942 roku. „I dzisiaj czasami, kiedy zdarzy się taki dzień, jest mi strasznie smutno i serce ściska się z bólu”<sup>228</sup>. Wanda Wojtasik wspomina, że był to „śliczny słoneczny dzień” i niedługo po porannym apelu, a na pewno po tym, jak wróciła nocna zmiana, do bloku 11. weszła dozorczyńni i wywołała wiele numerów więźniarek<sup>229</sup>. Wezwane kobiety miały ustawić się *nach Vorne* – od frontu, koło budynków biurowych. Na liście nie znalazły się ani Stanisława, ani Wanda, ani najlepsza przyjaciółka Wandy, Krysia, ale wywołano kilka ich bliskich przyjaciółek, w tym Grażynę i Polę oraz inne przywiezione z lubelskiego Zamku.

Wiele Polek, które przeżyły, powiedziało później, że kiedy zaczęły się te pierwsze wywoływania, nie miały pojęcia, co ma się stać. Wezwanie *nach Vorne* mogło oznaczać zwykłą karę albo raport, mówiła Wanda Wojtasik.

Niezwykłe było to, że wywołano tak wiele osób naraz i zapanowała pewna nerwowość, ponieważ wszystkie kobiety pochodziły z *Sondertransport*, jednak większość uważała, że gdyby miały zostać rozstrzelane, stałoby się to zaraz po ich przywiezieniu, a nie sześć miesięcy później. A jednak słowo *Sondertransport* zawsze brzmiało złowieszczo i nigdy nie wytłumaczono kobietom jego znaczenia. A w grupie było wiele, które po aresztowaniu w Lublinie stanęły przed marionetkowym sądem Odilo Globocnika i dostały wyrok śmierci. Taki sfingowany proces sądowy, które zwykle odbywał się w kraju aresztowania, organizowano w pewnych przypadkach, kiedy schwytanego człowieka nazistowscy okupanci uważali za szczególnie niebezpiecznego lub odgrywającego ważną rolę w paramilitarnej grupie oporu<sup>230</sup>.

Jednak wybór osób, które miały zostać „skazane”, często był przypadkowy; spośród kobiet z transportu specjalnego niektóre nie wiedziały, czy zostały skazane, czy nie. Później okazało się, że część z nich miała w dokumentach odnotowane tylko: „Fanatyczna patriotka, zakaz powrotu do Polski”<sup>231</sup>. W każdym razie nie istniało żadne rozsądne wytłumaczenie, dlaczego kobiety z pierwszej listy zostały wywołane, a inne nie. Faktycznie przez cały okres funkcjonowania obozu nikomu nigdy nie udało się logicznie wytłumaczyć, dlaczego niektóre kobiety wezwano na egzekucję konkretnego dnia, a innych, które mogły się tego spodziewać – nigdy.

Część kobiet w bloku mogła mieć nawet nie bez powodu nadzieję, że wezwane zostaną uwolnione. W styczniu tego roku grupa dziesięciu bojowniczek ruchu oporu została wywołana z innego polskiego bloku i odesłana do Warszawy, gdzie miały wyjść na wolność – przynajmniej tak mówiono. Maria Bielicka, mieszkanka tego bloku, zapamiętała te wydarzenia dokładnie, ponieważ w tej grupie znalazła się Władysława Krupska, kobieta, która ją zdradziła.

Jednak w kwietniu, kiedy doszło do nowych wezwań, ani Maria, ani żadna inna kobieta z transportu specjalnego nie wiedziała jeszcze, że grupa odesłana w styczniu do Warszawy zostanie rozstrzelana. Dowiedziały się tego kilka tygodni później, kiedy kolejne Polki przyjechały z Warszawy i opowiedziały więźniarkom, co się stało, w tym również rozdzierającą serce historię o tym, jak prawie udało im się uciec.

W drodze do Warszawy zepsuła się ciężarówka i przewożone kobiety zostały

na chwilę bez nadzoru, gdy kierowca poszedł po pomoc. Kilka chciało uciec, ale Władysława Krupska przekonała je, by tego nie robiły, ponieważ i tak Niemcy je złapią i wówczas nie wyjdą na wolność. Po przyjeździe do Warszawy wszystkie kobiety – w tym Władysława – zostały rozstrzelane.

Chociaż wśród więźniarek zapanowała konsternacja, wydaje się, że kobiety wywołane z listy 18 kwietnia nie miały wątpliwości, co je czeka. W trakcie dnia wywołano następne. Stanisława Młodkowska przyszywała guziki obok jednej z nich, Zofii Grabskiej. Zofia właśnie wróciła z kilkudniowego pobytu w rewirze, gdzie leczyła zapalenie stawów. „Spoglądała właśnie w małe lustreczko (które nie wiem, jakim cudem zdobyła – wspominała Stanisława), uskarżając się, że rodzina na pewno nie poznałaby jej teraz, tak zmizerniała”.

W tej chwili weszła do warsztatu aufzejerka [nadzorczyńi] Erich, która zabierała zawsze na egzekucję. Z listy trzymanej w ręce wywołała Grabską i kazała jej wyjść. Zosia wstała chwiejnie, spojrzała żalnym wzrokiem na mnie, uśmiechnęła się smutno, rzuciła na stół lustreczko i ruszyła powoli w stronę aufzejerki. Wychodząc, zapomniała zdjąć „laczki” (kapsie z płótna, własność warsztatu), za co aufzejerka z wściekłością skopała ją w nogi<sup>232</sup>.

Grażyna też wiedziała, co się zaraz wydarzy. Poprzedniej nocy przyjaciółki dostały cynk z kancelarii, że może zostać wywołana na porannym apelu. Grażyna pracowała na nocnej zmianie, więc kiedy zasnęła, lubelska koleżanka, Janina Iwańska, przeszukała jej ubrania i skrytki w poszukiwaniu świstków papieru, na których spisywała wiersze, żeby na wypadek przeszukania była „czysta” – i żeby ocalić wiersze. Dwa dni wcześniej napisała wiersz o słoneczniku; „byłyśmy wtedy jednym krzykiem tęsknoty”, powiedziała Wanda Wojtasik<sup>233</sup>.

Grażyna coś przeczuwała, napisała Wanda. „Mówiła koleżankom, że wkrótce umrze”. Wanda wspomina, że większość dziewcząt „nie chciała uwierzyć w najgorsze – ale nie Grażyna”.

– Dlaczego Grażyna? – zapytałam.

– Grażyna była inna. Zawsze myślała, że niedługo umrze. Należała do osób o bardzo małej woli życia.

Jednak jeśli chodzi o wezwania z 18 kwietnia najbardziej zaskakujące pozostaje pytanie: dlaczego obozowe wygi – Polki i inne, które wszystko to widziały wcześniej – nie miały pojęcia, co ma się wydarzyć? A jeśli wiedziały – a z pewnością musiały wiedzieć – czemu nic nie powiedziały?

W owym czasie obozowe weteranki, szczególnie te, które pracowały w administracji, wiedziały, że *Sondertransport* i *Sonderbehandlung* to nazistowskie eufemizmy dla zabijania. W obozie stracono już co najmniej pięć Polek, i to w identyczny sposób. W każdym przypadku dzień wcześniej przybywał z Berlina specjalny kurier do komendanta z rozkazem przeprowadzenia egzekucji. W każdym przypadku wykorzystano skomplikowany kamuflaż, by przekonać kobiety, że zostaną zwolnione lub przewiezione do innego obozu.

Być może Polki weteranki chroniły młodsze towarzyszki przed prawdą, żeby ich nie przerazić. A może po prostu nie wiedziały, co powiedzieć, ponieważ nic nie mogły poradzić. W każdym razie najstarsze na długo przed 18 kwietnia musiały dostrzegać oznaki zbliżającej się masowej egzekucji. Tym razem planowano egzekucję tylu kobiet, że powstał specjalny pluton egzekucyjny, w którego skład wszedł między innymi Arthur Conrad. W esesmańskiej kantine Conrad chwalił się nawet, że dostał dodatkowy przydział żywności.

Wszelkie wątpliwości rozwiały się, gdy dzień wcześniej z Berlina przyjechał specjalny goniec, by wręczyć komendantowi rozkaz egzekucji z listą piętnastu nazwisk. Jak przyznała Maria Adamska, Polka zatrudniona w komendanturze, od tej pory każda sugestia, że dziewczęta zostaną przetransportowane do innego obozu, była „wyszukaną komedią”. Na tę farsę musiał jednak patrzeć cały obóz i role w niej odgrywało wiele więźniarek.

Pracownice *Effektenkammer* miały zebrać ubrania dziewcząt, by wszyscy mogli udawać, że pojedą do domu, mimo iż nie było polecenia zwrotu bagażu, które pojawiłoby się, gdyby naprawdę je zwalniano. Kobiety w kuchni miały przygotować prowiant na podróż, ale maleńkie porcje, które przygotowały, nie wystarczyłyby na drogę; zamiast tego posłano je do bunkra.

Kierowniczka bunkra Dorothea Binz, wraz z więźniarkami pomocniczkami – trzema badaczkami Pisma Świętego i polską tancerką Ojcumiłą Falkowską – czekała przy wejściu do bloku, by przyjąć kobiety. Ojcumiła, która do niedawna pracowała w kantine SS, trafiła do bunkra za szmugłowanie chleba, ale nie została zamknięta, tylko zatrudniona przez Binz jako tłumaczka. Ojcumiła mówiła później, że gdy spojrzała na polskie towarzyszki przy drzwiach, wiedziała, co się z nimi stanie. „Wiedziałam, że zostaną rozstrzelane, kiedy pojawiły się w cywilnych ubraniach i bez bagażu”<sup>234</sup>.

Ale nawet Ojcumiła nie ostrzegła w żaden sposób dziewcząt, zapewne

dlatego, że była pilnie obserwowana przez Binz, ale także dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć. Zamiast tego odegrała swoją rolę w farsie, wykonując polecenia Binz, wskazując kobietom ich cele i dając obiadową zupę.

Potem, jak to ujęła Ojcumiła, zaczęły się „formalności”. Binz sprawdziła tożsamość nowo przybyłych i odczytała wyrok śmierci; tłumaczyła Ojcumiła. „Po obiedzie nadjechała ciężarówka i ja oraz badaczki Pisma Świętego musiałyśmy załadować ją odpowiednią liczbą trumien”. Ojcumiła wyjaśniła, że tym razem przypadała jedna trumna na osobę, ale później, z oszczędności, wkładano do jednej po dwa ciała.

*Lagerführer* [komendant] przyszedł z pracownikiem wydziału politycznego i kierownikiem bunkra i z moją pomocą, jako tłumaczki, ostatecznie sprawdzili tożsamość. *Lagerführer* przez cały czas nie wypuszczał z ręki dokumentów. Ze swojego miejsca widziałam akta każdej więźniarki, czasem ze zdjęciami.

Przez całe popołudnie kobiety trzymane w celi, podczas gdy w obozie toczyło się normalne życie. O szesnastej przywieziono kawę, ale zanim więźniarki ją dostały, Dorothea Binz sama wyszła do zewnętrznego pomieszczenia i wyjęła jakąś miksturę. Ojcumiła widziała przez drzwi, jak domieszała ją do kawy.

Falkowska miała podać dziewczętom doprawiony napój i zachęcić je do wypicia. „Próbowałam dociec, co to był za płyn. Był przezroczysty i bez zapachu. Nie mogłam odczytać etykiety na butelce”. Przy następnej okazji, gdy Binz przygotowywała dawkę dla innej grupy, Ojcumiła zebrała się na odwagę i spytała, co to jest. „Ponieważ Binz już mi wówczas ufała, odparła, że to środek uspokajający. Powiedziała mi, że zanim zaczęli go stosować, więźniarki wykrzykiwały hasła i protestowały, gdy stały przed plutonem egzekucyjnym”.

Po wypiciu kawy wszystko poszło jak w zegarku. O 17.00 podjechała policyjna furgonetka. Skazane, jak nazywała je Ojcumiła, były już senne i trzeba było je prowadzić do samochodu. Tu kończy się sprawozdanie Falkowskiej, gdyż ona i trzy badaczki Pisma Świętego zostały zamknięte w celi i nie widziały nic więcej. Ale kiedy Polka wyszła z celi, ujrzała pozostawione płaszcze, torby i buty koleżanek. „Doszłam więc do wniosku, że zabrali je bosy”.

To potwierdzają inni świadkowie. Chociaż esesmani starali się usilnie ukrywać skazane, pewnym więźniarkom udało się na nie zerknąć. Według Grete Buber-Neumann tuż przed apelem nakazano opuścić Lagerstrasse. Wszystkim więźniarkom polecono udać się do bloków, drzwi zamknięto i nikt nie mógł stać przy oknie. Ale pracownice rewiru i kuchni obserwowały wyjście Polek z bunkra i przejście przez plac apelowy; były bose i w sukienkach, „jak średniowieczne pokutnice”<sup>235</sup>.

Gdy wychodziły za obozową bramę, „ogłądały się w naszą stronę”, a jedna z nich „odwróciła się i pokiwała”. Wanda Wojtasik, która mogła to widzieć, dostrzegła Polę Chrostowską, siostrę Grażyny, która „wskazała na niebo”<sup>236</sup>.

Miejsce straceń trzymano w tajemnicy, chociaż istnieją pewne wskazówki. Strażniczka Ella Pietsch, pracująca w komendanturze, zapamiętała, że gdy gawędziła pod koniec zmiany z przyjaciółką, nadzorczynią Grete Hofbauer, „pod oknem przejechała ciężarówka z więźniarkami i esesmanami w hełmach, trzymającymi karabiny”. Pojazd pojechał wzdłuż jeziora. „Hofbauer powiedziała, że więźniarki zostaną rozstrzelane”<sup>237</sup>.

Podczas swego procesu oficer SS Heinrich Peters zeznał, że w tym czasie rozkazano mu zebrać pluton do wykonania egzekucji i że kobiety dowożono na miejsce w zamkniętym samochodzie. Peter powiedział, że skazane przywiązywano do słupka i rozstrzeliwano. Naszkicował piaszczysty obszar w lesie za murami, na tyłach obozu.

W każdym razie w obozie dało się słyszeć strzały. Wiemy o tym, ponieważ znamy finał „komedii”, jak to nazywała Maria Adamska. To ona opowiedziała, co stało się potem.

Chociaż Lagerstrasse opróżniono na czas przeprowadzania skazanych, wkrótce po wieczornej syrenie więźniarki musiały wyjść na apel. „Na apelu o osiemnastej więźniarki usłyszały serię strzałów. Potem rozległo się dziewięć pojedynczych wystrzałów z rewolweru”<sup>238</sup>.

Grete Buber-Neumann potwierdziła tę sekwencję wydarzeń. „Stałyśmy tysiącami i czekałyśmy jak zwykle. Panowała cisza. I nagle, zza muru, rozległ się odgłos strzałów, po których, sekundę czy dwie później, nastąpiło kilka pojedynczych strzałów”.

Grete, która stała z niemieckimi więźniarkami politycznymi, mogła obserwować Polki. „Naprzeciwko nas stały kobiety z bloku polskiego, ich wargi poruszały się w bezgłośnej modlitwie. Mury obozu jak zwykle odbijały

wieczorne słońce, a stado wron usiadło na dachu komendantury”<sup>239</sup>.

<sup>202</sup> Historia warsztatu krawieckiego została spisana na podstawie relacji więźniarek, w tym: Wiedmaier, Relacja o warsztacie krawieckim, 29 grudnia 1946 roku, ARA; Alfredine Nenninger, „Erlebnisse in Frauenkonzentrationslager Ravensbrück und bei den Wirtschaftsbetrieben der Waffen-SS”, DÖW; Müller, *Klempnerkolonne; Dictators*; U. Wińska, *Zwyciężyły wartości*; relacje z Lund oraz zeznania Francuzek i Rosjanek.

<sup>203</sup> Dąbrowska, BAL B162/9813.

<sup>204</sup> Strebel, *Ravensbrück*.

<sup>205</sup> *Dictators*.

<sup>206</sup> Moldenhawer, Lund 420.

<sup>207</sup> Zob. Feldenkirchen, *Siemens*, oficjalna historia przedsiębiorstwa.

<sup>208</sup> Pod koniec 1942 roku Siemens mocno polegał na pracy Żydów w Berlinie. Żydzi byli trzymani oddzielnie i mieli mniej korzystne warunki pracy od innych. Tamże.

<sup>209</sup> Tamże.

<sup>210</sup> Kiedy zaczęły się deportacje, Carl Friedrich von Siemens poinformował jednego ze swych kierowników, Żyda, że z „przykrością” musi go zwolnić. Jednak von Siemens dodał, że gdyby sprzeciwił się polityce Hitlera, „ryzykowałby istnienie całej firmy Siemens”. Cyt. za: tamże.

<sup>211</sup> Himmler do Pohla, 23 marca 1942 roku, BA NS 19/2065. Zob. też: Sommer, *Warum das Schweigen?*

<sup>212</sup> Schiedlausky, WO 235/309.

<sup>213</sup> Zob. Strebel, *Ravensbrück*. Zeznania procesowe dzielą się na pierwszą, główną sprawę, w której oskarżony był Binder (WO 235/305–319), i na proces Opitza i Grafa z kolejnego roku (WO 309/1150).

<sup>214</sup> Cyt. za: Iris Nachum i Dina Porat, *The History of Ravensbrück Concentration Camp as Reflected in its Changing and Expanding Functions* [w:] Dublon-Knebel (red.), *A Holocaust Crossroads*.

[215](#) Istnieje wiele tego rodzaju relacji o zgonach. Zob. np. Ilse Gohring, Neeltje Epker, WO 235/433 i WO 309/1150.

[216](#) Zob. Alfredine Nenninger, „Frauenkonzentrationslager Ravensbrück Abteilung Industriebhof”, DÖW, Ravensbrück, k. 143.

[217](#) Część niemieckich więźniarek podobno dostawała za pracę w szwalni markę dziennie: dość, by zapłacić za małą pastę rybną albo trochę krewetek, które właśnie wtedy zaczęto sprzedawać w sklepiku obozowym.

[218](#) Stephen Stewart urodził się jako Stefan Strauss. Uciekł z Austrii do Anglii tuż przed Anshlussem.

[219](#) U. Wińska, *Zwyciężyły wartości*, s. 317–318.

[220](#) Tamże, s. 318.

[221](#) Dragan, Lund 239.

[222](#) Wiedmaier, WO 309/42. Opowiada ona także o mundurach przysyłanych do naprawy, „poplamionych krwią i odchodami”.

[223](#) Biega, BAL B162/9818.

[224](#) Dragan, Lund 239.

[225](#) Chorążyna zorganizowała też sabotaż w dziewiarstwie, tak przerabiając oczka, by w żołnierskich rękawicach i skarpetach robiły się dziury. Maria Bielicka opisała ją jako „myszkę. Siedziała tam. Bardzo silna myszka. Organizowała wszystko”.

[226](#) U. Wińska, *Zwyciężyły wartości*, s. 318.

[227](#) Tamże, s. 318.

[228](#) Wspomnienie Stanisławy Michalik w: *Ponad ludzką miarę*, s. 252.

[229](#) *I boję się snów*, s. 62.

[230](#) Na przykład tajnych agentów działających za liniami na rzecz sił alianckich – agentów brytyjskiego SOE (Special Operations Executive – Kierownictwo Operacji Specjalnych) – również czasem, choć nie



zawsze, skazywano na śmierć, po czym wysyłano do obozu.

[231](#) Bielicka. O egzekucjach Polek zob. W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 163–167.

[232](#) Wspomnienie Stanisławy Młodkowskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 324–325.

[233](#) *I boję się snów*, s. 41.

[234](#) Falkowska, Raport dla komisji historycznej, Instytut Pamięci Narodowej, Polska.

[235](#) *Dictators*.

[236](#) *I boję się snów*, s. 62.

[237](#) Pietsch, BAL b162/981.

[238](#) Adamska, WO 235/318.

[239](#) *Dictators*.

## Rozdział 13

### „Króliki”

Rankiem 27 maja 1942 roku SS-Obergruppenführer Reinhard Heydrich, protektor Czech i Moraw oraz szef policji bezpieczeństwa Hitlera, wsiadł do swego mercedesa kabrioletu i wyruszył do pracy na praskich Hradczanach. Jego kierowca zatrzymał się przy przystanku tramwajowym, gdzie Jozef Gabčík (Słowak), żołnierz czecho-słowackich sił zbrojnych, wyszkolony przez SOE, stanął przed pojazdem i próbował otworzyć ogień, jednak jego karabin się zaciął.

Drugi zamachowiec, Jan Kubiš (Czech), rzucił na auto Heydricha bombę, która wybuchła na prawym błotniku, wbijając odłamki, kawałki szkła, drutu i włókna z tapicerki w śledzionę Heydricha. Przewieziony do szpitala protektor został zoperowany w trybie pilnym przez miejscowych lekarzy, ponieważ naczelnym chirurgiem Himmlera, Karl Gebhardt, po którego posłano, nie mógł przyjechać na czas, by przeprowadzić operację. Po zabiegu stan Heydricha się ustabilizował, ale wkrótce przyszło pogorszenie.

Gdy temperatura rosła, zgorzel gazowa obejmowała rany i wytwarzała ropiejącą czarną opuchliznę. Gebhardt nie zdołał zatrzymać infekcji i pomimo morfiny Heydrich wił się w agonii; zmarł w boleściach 4 czerwca. Raport lekarski jako przyczynę śmierci podawał zmiany w kluczowych organach „wywołane przez bakterie i być może truciznę, wprowadzone do nich przez odłamki bomby [...] gromadzące się i rozmnażające”<sup>240</sup>.

Heydrich był wpływową postacią. Hitler pragnął zemsty. Niemieckie wojska traciły już grunt pod nogami na froncie wschodnim; teraz zaś ten atak uderzył w serce nazistowskiej maszyny, wskazując na jej wrażliwość. W całym Protektoracie zaczęły się masowe egzekucje podejrzanych, ale Hitler żądał symbolicznej ofiary z Czechów, kazał więc lokalnemu gestapo „brodzić we krwi” podczas poszukiwania zabójcy Heydricha.

9 czerwca fałszywy ślad skłonił śledczych do przypuszczenia, że morderca ukrywa się w Lidicach, wiosce oddalonej o 24 kilometry od Pragi. Dziesięć ciężarówek wypełnionych funkcjonariuszami policji bezpieczeństwa udało się do Lidic; spędzili wszystkich mężczyzn, ustawili pod ścianą stodoły i rozstrzelali. Wszystkie zabudowania podpalili i zrównali z ziemią; wszystkich pozostałych wewnątrz zabili. Kobiety i dzieci zabrali do pobliskiej sali gimnastycznej, gdzie dzieci rozdzielili z matkami, wyrywając niemowlęta z ich objęć, i wywieźli. Nieliczne dzieci o aryjskich rysach przeznaczono do adopcji w Niemczech, ale reszta zniknęła. Kilka dni później 195 kobiet z Lidic załadowano do bydłowych wagonów i powieszono na zachód, w nieznanym kierunku.

Świat szybko dowiedział się o okrucieństwach w Lidicach, ale nikt nie usłyszał o innych reperkusjach śmierci Heydricha, które nastąpiły za murami obozu Ravensbrück, jakieś 500 kilometrów na północ. W połowie czerwca więźniarki zaskoczył widok całej wioski zastraszonej i otepiały chłopek – dziewcząt, staruszek, matek, ciotek, sąsiadek, przyjaciółek – siedzących na placu apelowym przed kuchnią.

Vera Housková, czeska więźniarka polityczna, wspominała:

Ścisnęły węzłki z rzeczami, które pozwolono im zabrać – firankami, garnuszkiem smalcu. Siedziały tam, przerażone, spoglądając na nas – pasiaste sylwetki w oddali. Straciły wszystko – kraj, mężów, wioskę i dzieci – chociaż nie znały całej prawdy. Nie wiedziały, dlaczego to je spotkało ani dlaczego tu są. Nic nie wiedziały. My przynajmniej wiedziałyśmy, za co jesteśmy w obozie<sup>241</sup>.

Strażniczkom powiedziano, że te kobiety były zamieszane w śmierć Heydricha, i kazano je gnębić w najgorszy sposób. Jedna z mieszanek Lidic urodziła w obozowym szpitalu wkrótce po przyjeździe. „To był chłopczyk, urodzony zdrowo, a jego matka usłyszała dziecko i widziała, że przybywa na świat z zadowoloną buzią – opowiadała Vera Housková. – Kilka godzin później lekarze powiedzieli matce, że dziecko zmarło, i brutalnie ją pobili. Urodziła dziesięcioro dzieci, z których ośmioro już zginęło w masakrze w Lidicach”.

Inne wypadki też łączyły Ravensbrück ze śmiercią Heydricha. Gdy nasiliło się polowanie na zabójcę, pod ostrzałem znaleźli się również lekarze, którzy nie zdołali ocalić Heydrichowi życia. Hitler oskarżył Karla Gebhardta,

dyrektora kliniki SS w Hohenlychen, że nie wykorzystał nowego typu leków, sulfonamidów, kiedy opatrywał zakażoną ranę Heydricha.

Od paru miesięcy Niemcy ponosili bezprecedensowe straty na froncie wschodnim, gdzie tysiące ginęły z powodu zgorzeli gazowej wywoływanej wniknięciem szrapneli lub innych odłamków do rany, podobnie jak w przypadku Heydricha. Od dłuższego czasu nazistowscy medycy dyskutowali zażarcie, czy stosować nowe sulfonamidy, czy raczej natychmiast operować żołnierzy w szpitalach polowych, tym bardziej że alianci dysponowali już „cudownym lekiem” – nowo opracowaną penicyliną – która ratowała życie rannym<sup>242</sup>.

Gebhardt studiował wiadomości o sulfonamidach i był przekonany, że nie jest to penicylina. Teraz, w obliczu oskarżeń Hitlera, że nie uratował życia Heydrichowi, musiał zmienić opinię Führera. Wyjście znalazł Himmler. Rozkazał Gebhardtowi przeprowadzić eksperymenty, które raz na zawsze udowodnią skuteczność sulfonamidów w leczeniu zgorzeli gazowej. Doświadczenia miały być prowadzone pod auspicjami Ernsta Grawitza, głównego lekarza SS i prezesa Niemieckiego Czerwonego Krzyża, ale to Gebhardt miał nimi kierować, Himmler zaś dostarczyć „króliki” doświadczalne: młodych, zdrowych więźniów ze swych obozów.

W 1942 roku Himmler zaczął postrzegać eksperymenty medyczne jako kluczowe zadanie obozów koncentracyjnych. Oto pojawiła się szansa wykorzystania ludzkich królików doświadczalnych i doprowadzenia do śmiałych odkryć naukowych, których konserwatywna medycyna poza obozami nigdy sobie nie wyobrażała. W tym celu Himmler już wcześniej zebrał własny krąg ekspertów – uzdrowicieli, przemysłowców, specjalistów od medycyny alternatywnej – skupionych pod szyldem instytutu zwanego Ahnenerbe („Dziedzictwo Przodków”), który zbierał pieniądze na wsparcie co radykalniejszych projektów medycznych Reichsführera.

Karl Gebhardt nie interesował się Ahnenerbe ani jego ekscentrycznymi ideami<sup>243</sup>. Jego klinika musiała dbać o międzynarodową renomę. Założona w 1902 roku przez Niemiecki Czerwony Krzyż jako sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę (wśród nich była młoda Dorothea Binz), klinika w Hohenlychen rozrosła się w obszerny i elegancki kurort nad brzegiem jeziora, a pod kierownictwem Gebhardta przekształciła w znakomite centrum medyczne, specjalizujące się w medycynie sportowej i innowacyjnej chirurgii.

Usamodzieliła się podczas igrzysk olimpijskich w 1936 roku, zyskując basen, halę sportową i masażystów. Teraz placówka leczyła rannych żołnierzy, preferowali ją też najwyżsi dowódcy i esesmani.

Chociaż Gebhardt nie interesował się doświadczeniami ze zgorzelą gazową, nie mógł odmówić Heinrichowi Himmlerowi. Obaj mężczyźni przeszli razem długą drogę; dorastali wspólnie w Monachium, gdzie Gebhardt chodził do szkoły ze starszym bratem Heinricha, Gebhardem. I nikt nie mógł odmówić żądaniu Reichsführera SS, który wkrótce sprowadził Gebhardtowi pierwszą grupę „królików doświadczalnych”: więźniów z Sachsenhausen. Mężczyzn przywieziono na badania do Ravensbrück, ponieważ obóz znajdował się w dogodnej odległości od Hohenlychen. Nacięto im mięśnie nóg, wprowadzono niewielkie ilości bakterii, by wywołać zakażenie, a potem podawano sulfonamidy i sprawdzano rezultaty. Badania okazały się nieprzekonujące, a Himmler żądał kolejnych<sup>244</sup>.

Gebhardt i jego zastępca, Fritz Fischer, będą utrzymywać na norymberskim procesie lekarzy w 1947 roku, że nie mieli nic wspólnego z pomysłem wykorzystywania kobiet jako następnych królików doświadczalnych. Gebhardt twierdził nawet, że leżał chory w łóżku, gdy zapadła decyzja o wykorzystywaniu więźniarek. Dowiedział się o tym dopiero wtedy – opowiadał – kiedy przyszedł do niego spanikowany Fischer i „odrzucił jego [Gebhardta] zastrzeżenia i przedstawił instrukcje użycia kobiet w kolejnych eksperymentach. Co miałem zrobić?”.

Rozwścieczony nowinami Gebhardt od razu pośpieszył skonsultować się z Himmlerem, który przypadkiem „odwiedzał w okolicy jakichś krewnych”<sup>245</sup>. Himmler powiedział Gebhardtowi, że to on zdecydował o wykorzystaniu kobiet do eksperymentów, które jak dotąd „w zasadzie są nieszkodliwe”. Co więcej, kobiety, które osobiście wybrał, są idealne do tego celu: zdrowe młode Polki z Lublina. I zapewnił starego przyjaciela, że ponieważ dziewczęta te otrzymały wyrok śmierci, w zamian za poddanie się eksperymentom zostaną ulaskawione i uwolnione. Gebhardt powiedział przed sądem, że wówczas „ustąpił” i nakazał rozpocząć eksperymenty na Polkach.

Gebhardt nie podał przed sądem tożsamości krewnych, których Himmler odwiedzał w okolicy, a z całą pewnością chodziło o jego kochankę, Hedwig „Häschen” Potthast, i syna Helgego, który urodził się 15 lutego w Hohenlychen<sup>246</sup>. Po porodzie matka i dziecko zatrzymali się w pobliskiej

posiadłości Himmlera, Brückenthin. Tutaj byli bezpieczni od nalotów na Berlin i mieli blisko do lekarza. Karl Gebhardt nie tylko odebrał w lutym poród w Hohenlychen, ale też został ojcem chrzestnym Helgego, co jeszcze bardziej przypieczętowało więzy rodzinne.

Na początku lipca 1942 roku w Ravensbrück więźniarki zauważyły nowy sprzęt zainstalowany w sali operacyjnej; wszystkim kazano trzymać się od niego z daleka. Niedługo potem przyjechała ciężarówka pełna drewnianych kul. Niektórzy twierdzili, że w obozie powstanie filia sanatorium z Hohenlychen dla rannych oficerów. Nikt nie zwrócił uwagi, że na operacje przywożono tu więźniów z Sachsenhausen – tak ściśle byli strzeżeni.

Rankiem 22 lipca na placu apelowym wywołano 75 najmłodszych i będących w najlepszej kondycji kobiet z lubelskiego transportu. Niektóre wywołano z bloków zaraz po zakończeniu nocnej zmiany, inne prosto ze szwalni lub innych komand roboczych. Stefania Łotocka pracowała w warsztacie kuśnierskim, kiedy ją i kilka innych skierowano *nach Vorne*. Ustawily się piątkami. Chwilę później przyszedł Koegel z „niskim, grubym oficerem SS o rudych włosach i obwieszonym medalami”. Był to Karl Gebhardt. Towarzyszył mu wysoki szczupły mężczyzna o bardzo jasnych włosach i wielkich niebieskich oczach. Był to Fritz Fischer, jego asystent.

Stawili się też obozowi lekarze, Rolf Rosenthal i Gerhard Schiedlausky, jak również wysoka blondynka Herta Oberheuser. Nikt nigdy nie miał o niej do powiedzenia nic dobrego. Trzydziestoletnia Oberheuser, urodzona w Kolonii, była dermatologiem i na ochotnika zgłosiła się do Ravensbrück, żeby badać najostrzejsze przypadki chorób skórnych, ale w ogóle nie interesowała się pomaganiem więźniarkom; krzyczała na nie: „Ty świnię, ty krowo, nie podchodź do mnie, masz wszy!” – i tym podobne<sup>247</sup>. Szansa pracy z Gebhardtem mogła się okazać wielkim przełomem w jej karierze, chociaż więźniarki stojące rzędami na placu apelowym widziały, że Oberheuser stała na najniższym szczeblu lekarskiej drabiny.

Polki musiały unieść spódnice i lekarze zatrzymali się, by zbadać im nogi. Gdy to robili, „naśmiewali się i szydzili”. „Nie rozumialiśmy, dlaczego chcą oglądać nasze nogi. Może planowali jakieś nowe prace i potrzebne im były silne nogi. Byłyśmy zdumione”, opowiadała Maria Bielicka. Kobiety zostały odesłane do bloków i niczego więcej się nie dowiedziały, ale ruszyła lawina

plotek. Niektóre mówiły, że wybrano je na wymianę i zostaną odesłane do Szwajcarii. Inne, że SS szykuje się do masowej egzekucji.

Cztery dni później ta sama grupa 75 kobiet znowu została wezwana, tym razem do rewiru. Grupa Wandy Wojtasik stała w ostatnim szeregu, a ona dołączyła do końca ostatniej piątki. Przyszli ci sami lekarze. Koegel sprawdził nazwiska z listy, teatralnym gestem wskazał na więźniarki i przekazał listę grubemu mężczyźnie. Herta Oberheuser odczytała z listy pierwsze dziesięć nazwisk i te kobiety miały zostać, resztę odesłano do bloków.

Wandę wywołano z samego końca szeregu. „Pomyślałam tylko: «Sama, bez Krysi»”<sup>248</sup>. Lekarze jeszcze raz i dokładniej zbadali nogi tych kobiet i sześciu z nich, w tym Wandzie, kazali zostać na noc w szpitalu. Pozostałe cztery odesłano. Jedną z nich, Zofię Sokulską, studentkę prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, odrzucono z powodu nadmiernego wychudzenia. Z nieznanых przyczyn odrzucili też Marię Bielicką.

Odesłane kobiety były przerażone, nie wiedząc, co to oznacza. „Nie potrafiłyśmy dostrzec żadnego wzoru – powiedziała Maria Bielicka. – Nic nie miało sensu”. Do tej pory więźniarki z transportu specjalnego zdążyły przywyknąć do myśli o nieuchronnej śmierci. Od czasu egzekucji z 18 kwietnia wezwania następowały raz lub dwa razy w tygodniu, zwykle podczas apelu, a potem na wieczornym apelu słyhać było salwy wystrzałów.

Ale to było co innego. „Rozmawiałyśmy o tym całą noc – opowiadała Wacława Gnatowska. – Jeśli to miała być masowa egzekucja, po co te kolejne etapy?” Chudziutka prawniczka Zofia Sokulska nazywana Dziubą – która miała lepsze kontakty w obozie niż inne więźniarki – usłyszała, że planowane są jakieś eksperymenty, ale nic nie powiedziała pozostałym, żeby ich nie przestraszyć.

Dwa dni później dozorczyńni przysłała po tę samą szóstkę i zabrała ją z powrotem do rewiru. Tam kazano im poczekać. Wanda spojrzała na „zielonobią” Marię Gnaś.

- Co z nami zrobią? – spytała Maria.
- Rozwałka – odparła Wanda.
- Nieprawda! – prawie krzyknęła Gnaś.

Kobietom polecono się rozebrać i wykapać w ciepłej wodzie. To był taki luksus, że nie mogły się nim nacieszyć, jednak kiedy ujrzały sześć łóżek z czystą, wykrochmaloną pościelą, poczuły strach. Leżały, rozmawiając

„chaotycznie, żywo”. Wspominały. Zmęczona zastanawianiem się, co dalej, Wanda zamknęła oczy i obudziła się, usłyszawszy krzyk. „Nad Wandą [Kulczyk] stała jakaś czarna siostra z lśniącą brzytwą w ręku”. Wojtasik zerwała się. „Siostra uspokajająco powiedziała, że nic jej nie robi, tylko ogoli nogi”. „Do licha, po co oni przed śmiercią golą nogi?”, zastanawiała się Polka.

Kobiety kolejno dostają zastrzyk. Wandę Kulczyk na wózku wywożą z sali.

Następnego dnia szóstka, która została w rewirze, pojawiła się nagle na Lagerstrasse i poszła – czy raczej pokuśtykała – do swoich bloków. Wyraźnie znajdowały się pod wpływem środków odurzających. Wanda Wojtasik zachowywała się jak pijana. Otoczyły ją koleżanki z lubelskiej grupy:

- Czy naprawdę nic więcej wam nie robiono?
- Czy macie wszystko w porządku? [...]
- Nic nie czujecie w środku?
- A w głowie?

Wanda zaripostowała: „A tak, jak spałam, wyjęli mi piątą klepkę i zaraz zacznę gryźć”.

Ale brawura skończyła się na następnym apelu, kiedy Wanda zemdląca. Tamtej nocy tuliła się kurczowo do Krysi i pytała: „Co to będzie?”.

W sobotę 1 sierpnia 1942 roku tę samą szóstkę znów zabrano do rewiru. Znów zastrzyk i na wózku do sali operacyjnej. Oszołomiona anestetykiem Wanda myśli: *Wir sind doch keine Veruchskaninchen* – nie jesteśmy królikami doświadczalnymi.

Gdy Wojtasik się obudziła, leżała w łóżku z nogą w gipsie. Na nim napisano „III TK”. Pozostałe kobiety mają podobne oznaczenia. Na razie nic ich nie bolało, ale wieczorem pojawił się „potworny, nie do zniesienia – jak się zdawało – ból”. Jęczą i krzyczą. „Maryśka Gnaś tylko nie spała i co chwila pytała, szczękając zębami: – Widzisz? Ktoś stoi za oknem, to po mnie”. Maria Zielonka jęczała „O Jezu...”. Wanda krzyknęła do niej: „Milcz albo cię stłukę na kwaśne jabłko!”. Ich majaczenia zaniepokoiły niemieckie pielęgniarki w pokoju obok do tego stopnia, że następny razem lekarze wybierali więźniarki niemówiące po niemiecku.

Następnego dnia wieczorem Wanda dostrzegła za oknem twarz Krysi, która wymknęła się, by spojrzeć na przyjaciółkę. Wanda uśmiechnęła się do niej



słabo.

„Nogi spuchły, były czerwone, gorące”. Tak obrzękły, że gips wrzynał się w ciało. Oberheuser „starannie opisywała każdą nogę, nachylała się i wachała”. W poniedziałek dziewczętom zdjęto gips, nie wiedziały jednak, co im robili lekarze, gdyż głowy nakrywano im prześcieradłami. Czuły skrobanie i słyszały ropę spływającą do metalowych misek. Miały wrażenie, że usuwano coś z ran, zanim założono opatrunki i ponownie zagipsowano nogi.

Leżąc w sali, kobiety widziały „żółto-brązową, cuchnącą ciecz” sączącą się spod gipsu. „Teraz już nie trzeba było pochylać się, aby wachać nasze nogi”. Wszystkie cierpiały z pragnienia. W południe pielęgniarki przynosiły zwykły, skąpy obozowy posiłek, ale nocą kobiety były zamknięte. Zamykano też okiennice z obawy przed nalotami. Chore nie mogły się poruszać. Roje much brzęczały nad zaropiałymi ranami. Więźniarki traciły i odzyskiwały przytomność.

Mijały dni, koleżanki przybiegały pod okno. Któraś przynosi jabłko, inna żaglówkę wyrzeźbioną z trzonka szczotki do zębów. Jadwiga Kamińska, z grupy lubelskiej, organizuje pomoc. „Cokolwiek, by podtrzymać je na duchu”, mówi kobietom z bloku; Polki z kuchni proszone są o przeszmugłowanie dodatkowego jedzenia.

Jakieś trzy tygodnie po operacjach kobiety zabrano „do sali opatrunkowej i ułożono na stołach”. Zdjęto bandaż. „Po raz pierwszy zobaczyłam nasze rany. Wszystkie w tym samym miejscu, wzdłuż prawej kości strzałkowej, 4–6 cm powyżej kostki, nieszyte, długości około 15 cm”.

Leżą godzinami, pocąc się, z odsłoniętymi ranami. „Wreszcie przyszli. Jedenaście osób. Jedenastu zdrowych mężczyzn przyglądało się sześciu bezbronnym kobietom. Wanda wtedy po raz pierwszy ujrzała Gebhardta: „gruby, o nalanej twarzy, małych świdrujących oczkach, pulchnych rączkach założonych w tył”. Doktor Fischer musiał przyjść wprost z operacji, miał „na białym fartuchu plamy z krwi i gipsu”.

Jeden z przybyszów wyglądał na szczególnie ważnego: to Ernst Grawitz, naczelny lekarz SS i prezes Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Kolejno wachali ropiejące rany.

W szpitalu pojawiają się nowe „króliki”: Jadwiga Kamińska i kilka innych. Wanda i pozostałe dziewczęta próbują uspokajać nowo przybyłe, gdy leżą w łózkach i czekają na narkozę. Po operacji Jadwiga uśmiecha się i mówi, że nic ją nie boli. Wanda kiwa głową. Po paru godzinach Kamińska też wije się

z bólu.

Jedna z nowych nie mogła się obudzić, więc wezwana pielęgniarka zawołała lekarza dyżurnego, Rosenthala, który „wtłoczył się w rozchełstanej na kłaczastej piersi koszuli z podwiniętymi rękawami; zataczał się. Wziął z rąk siostry strzykawkę, zamierzył się w udo Krystyny i wbił igłę w poduszkę obok niej leżącą. Potem zaśmiał się nieprzytomnie [...] i z rechetem wytoczył z pokoju”. Wkrótce przysłała pielęgniarka i zrobiła więźniarce zastrzyk, po którym ta się ocknęła.

Zapada noc, okiennice zamknięto. Starsze „króliki” próbują się opiekować nowymi. Pielęgniarka zostawiła baseny i wiadro wody. Skacząc na jednej nodze, Wanda podaje baseny, ale wkrótce są pełne. Podaje świeżo operowanym wodę, dopóki nie opróżni wiadra, a potem podciąga się na łóżko, zostawiając za sobą „cienką smuzkę brązowożółtej ropy”.

Kobiety zastanawiały się, „co lepsze: operacja czy egzekucja”. Miały nadzieję, że królikom doświadczalnym egzekucja zostanie oszczędzona.

Na powojennym procesie Gebhardt i Fischer przedstawili własną relację z tej samej kontroli. Po eksperymentach na mężczyznach z Sachsenhausen, które nie dały jednoznacznego wyniku, lekarze podjęli decyzję, aby wszczepić w nogi kobiet większe ilości bakterii wraz z zanieczyszczeniami, szkłem i wiórami, by infekcja rozprzestrzeniła się szybciej. Lekarze wycinali ranę, oczyszczali ją wodą utlenioną, a potem leczyli różnego rodzaju sulfonamidami lub innymi lekami (albo niczym), a następnie znakowali nogi. Gebhardt nadal nie spodziewał się, że eksperymenty dadzą jakieś rezultaty, ale przynajmniej tym razem nikt nie mógł go oskarżyć, że użył za mało bakterii.

Po zbadaniu kobiet Gebhardt zgodnie ze swoimi oczekiwaniami odkrył, że i tym razem wyniki nie przyniosły rozstrzygnięcia. Pomimo rozległej infekcji nie pojawił się żaden dowód na to, że któraś kobieta lepiej zareagowała na konkretny lek niż na inny.

Jednak Ernst Grawitz, „ważny lekarz”, uznał, że obrażenia były o wiele za łagodne, żeby czegokolwiek dowieść. Rany wyglądały jak ugryzienia pcheł, protestował. „Ile mieliście zgonów?” „Żadnego”, odparł Gebhardt<sup>249</sup>. Grawitz rozkazał więc Fischerowi następnym razem strzelać badanym w nogę, a dopiero potem wszczepiać bakterie. Tylko to odda rzeczywistość ran z pola bitwy.

Po wyjeździe Grawitza Gebhardt i Fischer postanowili nie strzelać kobietom z następnej grupy w nogi. Zamiast tego zdecydowali wszczepić jeszcze większą ilość bakterii i doprowadzić do większego zakażenia, odcinając dopływ krwi do rany.

Kilka dni po pierwszej kontroli lekarskiej Wanda i inne pierwsze króliki doświadczalne zostały odesłane do bloków. Ledwo mogły chodzić. W blokach zaopiekowały się nimi koleżanki, ale zniknęło wiele znajomych twarzy – gdy króliki doświadczalne przebywały w rewirze, rozstrzelano kolejne kobiety z „transportu specjalnego”.

Krysia pielęgnowała Wandę. Koleżanki przynosiły jedzenie. Alfreda Prus, spokojna i miła dziewczyna, studentka z Zamościa, oddała Wandzie swoją dzienną rację chleba. Potem 20 września Alfreda i kilka innych musiały iść *nach Vorne*. Ponieważ było rano, pora, kiedy zwykle przeprowadzano selekcję do rozstrzelania, Irena Krawczyk była tak pewna, że zostanie wybrana, że trzęsa się i nie mogła się ubrać. Marta Baranowska, polska blokowa, pomogła jej zebrać resztki sił i wyjść.

Zamiast odprowadzić je do bunkra, poczekalni przed egzekucją, strażnicy zaprowadzili kobiety do rewiru, gdzie powitała je doktor Herta Oberheuser, która siedziała przy stole w czarnej pelerynie, z nogą założoną na nogę. Na oddziale spotkały polskie koleżanki, zajmujące teraz dwie sale; leżały plackiem, z nogami owiniętymi grubo bandażami, spod których wypływała zielonkawa, cuchnąca wydzielina.

„Stare” ofiary powiedziały nowym, że już czują się lepiej, ale wszystkie słyszały zawroźnienie zza sąsiednich drzwi. Następnego dnia ta grupa również dostała środki uspokajające. Alfreda Prus zaczęła śpiewać zwariowane piosenki o gorących nocach i palmach.

Stefania Łotocka obudziła się i zobaczyła, że nogi groteskowo jej spuchły<sup>250</sup>. Widziała tylko swoje stopy, pokryte ranami i pęcherzami wypełnionymi bezbarwnym płynem. Reszta nóg ginęła pod grubymi białymi bandażami. Sądziła, że ma temperaturę, i odczuwała nieznośny ból. W uszach jej szumiało i pulsowało. Czyżby amputowali jej nogi? I to okropne pragnienie, ale nikt o to nie dba, dopiero Jadwiga Kamińska, zoperowana wcześniej i teraz już nieco silniejsza, zwleka się z łóżka i z twarzą wykrzywioną z bólu skacze na jednej nodze, by pomóc najnowszej ofierze. Jadwiga przejęła po Wandzie funkcję

pielęgniarki królików doświadczalnych.

Rano przychodzi Herta Oberheuser, żeby pobrać krew z ucha i palca. Cofa się, kiedy dociera do niej, co widzi. Twarz ma jak maskę, szkliste oczy. Nie okazuje ani cienia litości i przez wiele dni nie zmienia opatrunków, więc kobiety czują, jakby pod gipsem gniły od środka, ale kiedy w końcu przychodzi do zmiany bandażu, następują tortury najgorsze ze wszystkich.

Opatrunki zwykle zmieniają lekarze z Hohenlychen, a podczas tego zabiegu zawsze zasłaniają kobietom twarze prześcieradłem. Ale zanim zakryją Stanisławę Młodkowską, ta dostrzega, że pielęgniarką trzymającą prześcieradło jest Gerda Quernheim, położna, zabójczyni dzieci. Nagle Stanisława czuje, że zrywają bandaż i rana otwiera się jeszcze bardziej, a lekarz coś z niej wyjmuje, jakby wydrapywał coś z okolic rany ostrym narzędziem, i ściska nogę. Kobieta mdleje.

Po powrocie na oddział Stanisława jęczy i Jadwiga Kamińska wali w drzwi, żeby sprowadzić pomoc. W końcu przychodzi doktor Oberheuser, podnosi koc Stanisławy, potrząsa jej głową, odchodzi i wraca ze strzykawką. Po zastrzyku Stanisława odżywa. Wkrótce jest na tyle silna, żeby martwić się o swoją przyjaciółkę, Alfredę Prus. Dziewczyna z Zamościa leży cicho. W jej małej twarzy Stanisława widzi tylko ogromne oczy, błyszczące od gorączki. Przy każdym ruchu Alfreda dostaje czkawki.

Coraz częściej i częściej w oknie sali szpitalnej pojawiają się koleżanki. Rozeszła się pogłoska, że Alfreda z Zamościa jest w fatalnym stanie. Jakimś cudem któraś więźniarka wkłada łyżkę marmolady do kubka Stefanii Łotockiej, a Stefania próbuje teraz nakłonić Alfredę, żeby ją zjadła, ponieważ pamięta, że matka mówiła jej, że to pomaga na czkawkę. Alfreda nie chce marmolady. „Mnie i tak to nie pomoże – mówiła – ja i tak umrę...”

Cztery dni później kobiety mającą od gorączki i regularnie zabierane są na salę operacyjną, gdzie dostają kolejne zastrzyki. Wołają o wodę, wargami tak zaschniętymi, że krwawią. W końcu Oberheuser rozkazuje przynieść wodę i kobiety piją chciwie, ale od tego popękane wargi pieką. W wodzie jest ocet, co jeszcze bardziej wzmacnia ich pragnienie, o czym doskonale wiedziała Oberheuser.

Piątego dnia nie dostają już zastrzyków. W pokoju obok wybucha zamieszanie, gdy Weronika Kraska straszliwie jęczy i głośno się rzuca na łóżku. Weronika, o którą mało kto się bał, ponieważ wydawała się bardzo silna, skarży się na sztywność karku. Dyżur ma doktor Schiedlausky, który

mówi, że nic nie może dla niej zrobić, ponieważ oddział jest zamknięty na noc.

Jadwiga Kamińska skacze do drugiej sali i wraca z wieścią, że Weronika jest okropnie sztywna i rzezi. Kod na jej nodze to E11. Jadwiga i część silniejszych kobiet pojmują, że kody muszą oznaczać jakiś rodzaj bakterii i że niektóre otrzymują silniejsze dawki niż inne. Sztywny kark może oznaczać tężec, który zabije Weronikę, chociaż ta jeszcze walczy.

Rano Weronika umiera. Zdaje sobie z tego sprawę. Ledwo mówi, a wodę trzeba jej wlewać między zaciśnięte szczęki. Przywołując resztkę sił, mówi przez zaciśnięte zęby coś o dwojce swoich dzieci. Gdy słowa cichną, w jej gardle rozlega się rżenie, a twarz kobiety tężeje. Wydaje ostatni straszliwy krzyk, nieludzki. Twarz wykrzywia jej okropny grymas, a głowa obraca się na sztywnej szyi.

Gerda Quernheim podbiega z igłą, wbija ją delikatnie, uwalniając Weronikę od cierpienia. Twarz chorej łagodnieje, a ciało z wolna się rozluźnia. W szpitalu zapada cisza.

Nowiny o śmierci Weroniki rozchodzą się szybko po blokach Polek, podczas gdy w rewirze dziewczęta martwią się o Alfredę Prus, która z minuty na minutę robi się bledsza. Jej kod to K1, a ktoś mówi, że to może być gangrena. Wciąż czkając, chora powtarza: „Ja umrę”.

Na zewnątrz wszyscy czekają na wiadomość o Alfredzie, a Eugenia Mikulska, która pochodzi z tego samego miasta, jak najszybciej biegnie do okna szpitala. Przed wojną razem z siostrą Alfredy uczyła się pielęgniarstwa. Alfreda odwraca się i widzi twarz Eugenii, krzepiąco uśmiechniętą. Następnego dnia Eugenia wraca do okna. Alfreda podnosi się i mówi: „Przypomnij o mnie naszym przyjaciółom w Zamościu”.

Wkrótce potem zabierają Alfredę na nowe nacięcie, a po powrocie jej rana silnie krwawi. Siennik czerwienieje, a pod łóżkiem zbiera się kałuża krwi. Pielęgniarka, zdjeta litością, przynosi jej kubek kawy z oficerskiej kantyny, ale to nic nie pomaga, więc pielęgniarka wzywa Oberheuser. Lekarka najwyraźniej wie, że Alfreda jest bliska śmierci, ponieważ próbuje jej zrobić zastrzyk, by powstrzymać krwotok. Najwyraźniej kobieta nie powinna jeszcze umrzeć. Może eksperyment wciąż się nie zakończył.

Zakończony czy nie, następnego ranka dwie pielęgniarki zabierają Alfredę. Kiedy ją wynoszą na noszach, zwraca głowę w kierunku Stefanii, koleżanki z sąsiedniego łóżka, uśmiecha się i mówi: „A widzisz. Mówiłam ci, że umrę”.

Chwilę później słyszą straszliwe, nieludzkie wycie Alfredy Prus. Krzyki są

tak przeszywające, że inne „króliki” doświadczalne sądzą, że cały obóz musiały usłyszeć, jak umierała.

[240](#) Cyt. w: MacDonald, *The Assassination of Reinhard Heydrich*.

[241](#) Hozáková, *Und es war doch*. Zob. też Russell, *The Scourge of the Swastika*, i Uwe Naumann (red.), *Lidice: Ein böhmisches Dorf*, Frankfurt 1983.

[242](#) Presja na wynalezienie cudownego leku wzrosła, gdy alianci zaczęli zrzucać nad niemieckimi liniami ulotki, głoszące, że ich żołnierzy leczy się sulfonamidami i penicyliną.

[243](#) Przesłuchiwany przez Amerykanów w październiku 1945 roku Gebhardt szydził z wysoko postawionych nazistowskich lekarzy, twierdząc, że w przeciwieństwie do niego wstąpił do SS dla osobistych korzyści. Gdyby on, Gebhardt, nie przeprowadził badań sulfonamidów, nie mieliby żadnych naukowych danych i zdani byłiby na niekompetentnego doktora Raschera, którego eksperymenty były „śmiechu warte”. Dla Himmlera doświadczenia stanowiły po prostu sposób na znalezienie „nowego sposobu” na zaimponowanie Hitlerowi, NARA M 1270.

[244](#) Hitler wspierał eksperymenty na więźniach obozów koncentracyjnych, mówiąc, że „nie powinni być całkowicie niedotknięci przez wojnę, podczas gdy niemieccy żołnierze poddawani są niemal nieznośnej presji, a nasza rodzima ziemia, kobiety i dzieci są zasypywane gradem bomb zapalających”.

[245](#) Cyt. za: Mitscherlich i Mielke, *Death Doctors*.

[246](#) Himmler, *The Himmler Brothers*. Był to trudny poród kleszczowy.

[247](#) Ostermann, zbiory Buchmann.

[248](#) Relacja Wandy Wojtasik za: *I boję się snów*, s. 78 i nast. Lekarze powiedzieli w Norymberdze, że podczas tej, jak to nazwali, drugiej fazy eksperymentów od września do początku października wybranych zostało 36 kobiet podzielonych na trzy grupy po 12. Zob. Mitscherlich i Mielke, *Death Doctors*.

[249](#) Mitscherlich i Mielke, *Death Doctors*.

[250](#) Opis dalszych wydarzeń za wspomnieniami Stefanii Łotockiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 219 i nast.

## Rozdział 14

### Eksperymenty specjalne

Zofia Kawińska mieszka na dziesiątym piętrze, z widokiem na dźwigi Stoczni Gdańskiej. Trafiała do drugiej grupy ofiar eksperymentów z sulfonamidami. Niska, przygarbiona postać, porusza się z trudem od czasu wojny. Pytam, czy nadal cierpi ból z powodu doświadczeń. „Trochę”, odpowiada, podając herbatę i ciasteczka.

Nachyla się, by pokazać blizny na nogach. „Wprowadzali bakterie, szkło i drzazgi i czekali”. Przeszywa mnie brązowymi oczami, jakby sprawdzała, czy jestem w stanie zrozumieć. „Ale nie cierpiałam tyle, co inne. Każdy w Polsce wrócił do domu poraniony”.

Po powrocie Zofia dowiedziała się, że ojciec zginął w Auschwitz. Został aresztowany równocześnie z nią w ich rodzinnym domu w Chełmie. „Ostatni raz widziałam go w ciężarówce jadącej na lubelski Zamek”, mówi, spoglądając ponad dźwigami oczami pełnymi łez.

Jej wspomnienia z obozu to seria wyraźnych obrazów.

Pamięta Binz. „Miała pieska, którego pieściła. Kochała go, ale lubiła bić ludzi. Dozorczynie nie miały wykształcenia”.

Zimno pamięta lepiej od głodu. „Szyliśmy futrzane rękawice dla pilotów, ale stopy miałyśmy jak bryły lodu. Na wiosnę zabierali nam buty”.

A kiedy mówi o eksperymentach, pamięta smród gnijących nóg. „Byliśmy z nim zamknięte, nie mogliśmy otwierać okien. To było gorsze niż smród rozkładających się trupów. Nasze własne nogi. To Oberheuser nas zamykała, ponieważ nie wolno nam było widzieć ważnych lekarzy. Ważni lekarze nie chcieli świadków, ponieważ wiedzieli, że zostaną za to rozstrzelani”.

– Jaka była Oberheuser?

– Kiedy się to zaczęło, zanim byliśmy zbyt chore, weszła, a my ją zapytałyśmy: „Coście zrobili z naszymi nogami? Nie będziemy mogli nosić

pończoch”.

– I co odpowiedziała?

– Nic. Uśmiechnęła się dziwnie.

Po dłuższej rozmowie spytałam Zofię, czy w Ravensbrück kiedykolwiek straciła wiarę. Milczy chwilę i patrzy. „Nie. Nie miałam mniejszej wiary. Wie pani, przyjechałyśmy do obozu z żelazną wolą przetrwania”. Zaciska małe piąstki na obrusie i rzuca kolejne spojrzenie – jakby znów chciała sprawdzić, czy rozumiem.

Po krótkim zawahaniu wstaje i przynosi coś: mały srebrny medalik z wizerunkiem Chrystusa. Należał do bliskiej przyjaciółki, która zmarła w Ravensbrück. Zofia zawsze ma go przy sobie. W obozie ukrywała go w dziesiątkach schowków, zakopując, wciskając za deski w ścianach, ale zawsze go odnajdywała. Nawet po wyjściu z rewiru odnalazła go gdzieś w bloku. To cud, że nie przepadł. „Chronił mnie”.

7 października 1942 roku wezwanie do szpitala dostała kolejna grupa królików doświadczalnych. Maria Plater-Skassa zapamiętała spadające jesienne liście. Genowefę Kluczek obudziła rankiem blokowa Marta Baranowska, która ze łzami w oczach wspięła się na jej trzecią, najwyższą pryczę, i powiedziała: „Dziecko, ubierz się i chodź”. Później dorzuciła: „Bądź dzielna!”. Pelagia Maćkowska wciąż wierzy, że obietnica powrotu do Polski, jeśli zgodzi się na operację, jest prawdziwa. Zobaczy męża i synów. Wszystkich Niemcy wywieźli do Auschwitz za działalność w ruchu oporu.

Wszystko rozegrało się jak wcześniej. Nowe „króliki” o ziemistych twarzach, wyszorowane do czysta, ustawiły się w szeregach, nie patrząc sobie w oczy. Wszystkie rozkoszowały się prysznicem, aż jedna z nich zaczęła płakać na wspomnienie swoje dzieci. Potem kazano im przejść nago przed lekarzem, zapewne Rosenthalem, który siedział na wózku z papierosem w ustach w otoczeniu niemieckich pielęgniarek. Nie zwracał na nie uwagi.

Kiedy nowe „króliki” położyły się do łóżek, prosiły Jadwigę Kamińską, żeby powiedziała im, co naprawdę stało się z ich koleżankami, Weroniką Kraską i Alfredą Prus, ale Jadwiga nie chciała im nic zdradzić w obecności Marii Kuśmierczuk, przyjaciółki Alfredy, która też leżała na łóżku. Maria, która znała Alfredę ze szkoły, miała operację kilka dni wcześniej, a na nodze zapisano jej ten sam kod, co Alfredzie – K1.



Doktor Rosenthal poszukał na ramieniu Pelagii żyły do iniekcji. *Gut, gut* – powiedział.

Dwa dni później obudziła się obolała. Jej noga była sinoczną kłodą. Tak jak wcześniej, kobiety słyszały krzyki innych, zanim same zaczęły krzyczeć. I tak jak wcześniej, niektóre dostały czkawki, a innym zeszywniał kark.

Chociaż procedury przebiegały identycznie, relacje ostatniej grupy sugerują, że zmieniło się zachowanie lekarzy. Na początku chętni do pracy przy eksperymentach doktora Gebhardta, teraz wydawali się znudzeni. Obserwacje „królików” zostawili w niewprawnych rękach doktor Oberheuser.

Codziennie rano Oberheuser przychodzi na oddziały, czasem pobiera krew, ale zwykle bez powodu. Zawsze towarzyszy jej obozowa pielęgniarka nazywana „kaczką”. Więźniarki przezywają ją tak, ponieważ ma kaczkowaty chód, inną nazywają szczurem. Wszystkie pielęgniarki krzywią się na smród, ale Oberheuser chyba już przywykła: „Jest szczęśliwa, zadowolona, uśmiech nie schodzi jej z twarzy”, pisze Pelagia.

Jest dzień zmiany opatrunku i Stefania Łotocka podgląda spod prześcieradła i widzi rozbawionych lekarzy. Z lewej strony stołu stoi Fischer. W prawej ręce trzyma błyszczący metalowy hak. Z prawej strony stoi Oberheuser z dużą nerką medyczną. Ma na sobie białą, dość przezroczystą jedwabną bluzkę, pod którą widać różową bieliznę. Na rękach ma złote bransoletki i pierścionki na palcach. Stoją i uśmiechają się do siebie, a Stefania dostrzega, że flirtują.

Przy zmianie opatrunku Pelagii słyszy pod prześcieradłem brzęk metalowych instrumentów i słyszy, jak Oberheuser mówi: *Gleich, gleich*.

Tymczasem w sali Zofia Kiecol miała czkawkę, a Kazia Kurowska, mocna dziewczyna ze wsi<sup>251</sup>, leżała nieprzytomna: szaroczarne nogi miała tak spuchnięte, że były cztery razy grubsze niż zwykle. Maria Kuśmierczuk, szkolna przyjaciółka Alfredy, z takim samym kodem na nodze jak ona, również była poważnie chora.

Ku zaskoczeniu wszystkich nagle grupa ta zaczęła dostawać lepsze jedzenie. „Najwidoczniej nie mamy siły do walki ze straszną chorobą, jaką nas zakażono, a przecież jesteśmy im na razie potrzebne jako obiekty doświadczalne”, uznaje Pelagia Maćkowska. Ale zapach jedzenia pomieszany ze smrodem nóg wywoływał u nich odruchy wymiotne. Zofia wymiotowała i ciągle miała czkawkę. Zofia i Leokadia Kwiecińska z sąsiedniego łóżka

zaprzyjaźniły się w szwalni. Zofia pytała Leokadię codziennie: „No i co, jak myślisz, czy wrócimy, czy tylko wrócimy?”.

Teraz Leokadia patrzy, jak pielęgniarki zabierają Zofię. Zabierają też Kazię. Ale Maria Kuśmierczuk, z tym samym kodem, co u jej przyjaciółki Alfredy, nadal jakimś cudem nie miała zakażenia. Zostało ich tylko dziewięć z dwunastu. „Ale musimy wytrwać!”, krzyczy któraś. I patrzą na Marię, którą skreślili już kilka dni temu, a ta dalej walczyła o życie.

Dziuba Sokulska, chuda prawniczka, usłyszała od Oberheuser, że lada moment poczuje się lepiej, tak się faktycznie dzieje, więc lekarka kieruje ją do zwijania bandaży w innej części szpitala. Również Stanisława Jabłońska odzyskuje siły – na tyle, że może opowiadać innym historie, aby odciągnąć ich myśli od gnijącego ciała.

W oknie pojawia się coraz więcej odwiedzających koleżanek. Wszyscy w obozie nazywają teraz operowane *Kaninchen* – „króliki”. Więźniarki z obozu podrzucały jedzenie, kawałki chleba, Polkom, które miały kontakty w rewirze, mówiąc: „To dla *Kaninchen*”, a te szmugłowały dary dalej. Na początku dziewczęta próbowały dyskredytować tę nazwę, ale jako „króliki” stały się sławne. Dozorczynie również nazywały je „królikami”, więc słowo weszło do oficjalnego słownika obozowego.

Kobiety spoza szpitala mogły pomóc „królikom”, nie tylko zbierając jedzenie. Zbierały również informacje. Podczas zwijania bandaży Dziuba Sokulska ma kontakt z polską lekarką Zofią Mączką z Krakowa, która pracuje w rewirze jako radiolog. Jak wszystkie więźniarki pielęgniarki i lekarki Zofia nie ma wstępu na oddział eksperymentalny, ale podgląda przez dziurki od klucza, podsłuchuje pod drzwiami i zagląda przez okna, zbierając informacje, które przekazuje Dziubie<sup>252</sup>. Lekarze przyjeżdżają samochodami z Hohenlychen. Za każdym razem przywożą bakterie w małych opisanych fiolkach, które Zofia widzi później puste. Zauważa papierowe rurki pokryte ropą, wykorzystywane do wprowadzania bakterii do ran, i to jej mówi, która pacjentka dostała jaką dawkę.

W laboratorium studentki medycyny, w tym polskie więźniarki, analizują próbki krwi i moczu i przekazują, czego się dowiedziały. Dzięki tym danym Zofia wie, że Weronika Kraska dostała śmiertelną dawkę tężca na długo przed śmiercią i że Alfreda oraz Kazimiera Kurowska zostały zakażone zgorzelą gazową w takich dawkach, że ich organizmy nie mogły się obronić.

Zofia przez kilka dni obserwowała agonię Kazi Kurowskiej przez dziurkę od klucza, gdy zgorzel gazowa niszczyła jej prawą nogę i obejmowała całą prawą stronę ciała. W końcu pielęgniarka Gerda Quernheim skróciła życie Kazi dużą dawką morfiny.

Kilka tygodni po rozpoczęciu operacji Zofia Mączka znalazła sposób na sporządzanie notatek, które ukrywała z pomocą koleżanek w warsztacie krawieckim. Pewnego dnia, powiedziała Dziubie, wykorzysta te zapiski, by skazać morderców. Dziuba chce informować świat od razu, chce powstrzymać zło, ale Zofia nie widzi na to szans. Wkrótce potem jednak Maria Bielicka dostaje taką szansę. Maria nie została „królikiem” i latem 1942 roku nadal pracowała w intrologatorni. Warsztat sąsiadował z *Effektenkammer*, gdzie pracowały trzy Czeszki; dziewczęta się zaprzyjaźniły.

Maria dowiedziała się, że Czeszki często odsyłają rodzinom ubrania straconych więźniarek. System był taki sam. Przynosili ubrania z magazynu i pakowały je w karton, opieczetowywany przez esesmanów. Strażnicy nigdy nie sprawdzali, ale tylko patrzyli na etykietę adresową na pudełku i wysyłali je. Pograżona w żałobie rodzina dostawała oddzielnie list od komendanta z informacją, że ich córka zmarła z przyczyn naturalnych.

Czeszki stwierdziły, że można przeszmygłować listy razem z odzieżą. Raz czy dwa oszukały nawet strażników, wysyłając ubrania dziewcząt, których nie stracono, razem z ukrytymi liścikami. „Wszyscy w tym czasie próbowali pomóc Polkom”, wspomina Maria.

Wszystkie zaszokowały te eksperymenty. Bały się, że je może spotkać to samo, więc spytały mnie, czy chciałabym wysłać do domu jakieś ubrania, bym mogła przekazać moim rodzicom wiadomość, co się dzieje. Oboje moi rodzice działali w warszawskim podziemiu. Pomyślałam, że to ogromna szansa, żeby opowiedzieć im o obozie.

Mając to na względzie, Maria i jej koleżanki narysowały mapę z oznaczeniem położenia obozu i jego plan. „Napisałyśmy o eksperymentach i egzekucjach, o wszystkim, o czym mogłyśmy, a Czeszki włożyły list w zawiniątko z moimi ubraniami. Powiedziałam im, by odesłały wszystko poza płaszczem i zimowymi butami – tak na wszelki wypadek. Strażnicy opieczetowali karton, ostemplowali oficjalną pieczęcią SS i wysłali”.

W późniejszym okresie wojny rodzice Marii zostali aresztowani

i rozstrzelani, więc nigdy by nie poznała ich reakcji na otrzymaną paczkę, gdyby nie przyjaciel, który mieszkał obok nich w Warszawie i był świadkiem jej otwarcia.

„Proszę sobie wyobrazić, co pomyśleli w pierwszej chwili – powiedziała Maria. – Pomyśleli, że musiałam zostać stracona. Ale mój przyjaciel powiedział, że ucieszyli się, gdy znaleźli list – że byłam taka sprytna!”

Maria miała nadzieję, że jej rodzice przekażą informację ruchowi oporu i że dotrze ona do wiadomości świata. „Ale dla nas, w obozie, to i tak było zwycięstwo. Oczywiście chcieliśmy opowiedzieć światu o zbrodniach, ale cieszyliśmy się, że również oszukałyśmy wroga. To było małe zwycięstwo. Właściwie to była całkiem duża rzecz. Czasem były to mniejsze rzeczy. Ale to one trzymały nas przy życiu”.

\*\*\*

Pod koniec października część kobiet przebywała na oddziale już od dwóch miesięcy. Pościel, niegdyś biała, była teraz szara i lepka. Stefania Łotocka próbowała owijać się szczelnie kocem wokół szyi, aby nie dobiegał jej smród z nogi, ale bez skutku.

Zostały okaleczone, a teraz również porzucone. Nawet Oberheuser rzadko wchodziła na oddział. Roje much pasły się na ropy, a białe bandaże pokrywały czarne robaki. Jeśli nie zabije ich nic innego, zrobi to brud, myślała Stefania, obserwując karaluchy w szparach ścian. Jednej z jej koleżanek ze „skłębionych włosów uformował się jakby koguci grzebień”.

Pewnego ranka Oberheuser przysłała na oddział, energiczna i ważna, z obwieszczeniem, że zostaną wykąpane i dostaną czyste koszule nocne. Wracał profesor. Chociaż spodziewano się go dopiero o czternastej, już wiele godzin wcześniej przygotowane kobiety leżały na specjalnych stołach w sali zabiegowej „jak ciała w kostnicy”. Każda miała na sobie obdartą koszulę nocną, a przed nimi wisiały karty, na których pięknym gotykiem wypisano kody. Gdy mijały godziny, ich rany bolały i krwawiły. Od czasu do czasu Oberheuser przestawiała karty: A1 A11, C1 C11, D1 D11, E1 E11.

Karl Gebhardt ze swymi lekarzami pojawił się późnym popołudniem. Wszyscy byli pijani. Gebhardt, w chełpliwym nastroju, pokazywał swe *Kaninchen* pozostałym, którzy dziwili się temu widokowi. „Patrzcie”, mówił,

dumnie wskazując na opuchnięte nogi i zaognione rany, a gdy wyjaśniał coś na stronie, pozostali ryknęli śmiechem i dziesiątki oczu patrzyły, robiąc notatki w myślach. Jedna z kobiet tak opisała Gebhardta: był „średniego wzrostu, gruby, o bladej, nalanej twarzy i małych oczkach. Ubrany był po cywilnemu, w granatowy sweter”<sup>253</sup>.

Za każdym razem gdy naczelny chirurg podchodził do którejś z kobiet, Fischer i Oberheuser wisieli mu na łokciu, próbując zrobić wrażenie raportem, a gdy skinął, Oberheuser „rozjaśniła się z radości”, jej twarz była „podekscytowana i zaczerwieniona”. Szybko znudzony się Oberheuser i pacjentkami, Gebhardt wyszedł<sup>254</sup>.

Tak jak jego personel, Gebhardt najwyraźniej stracił zainteresowanie przypadkami; wyniki, po raz kolejny, nie przyniosły nic nowego. Grawitz, dyrektor programu eksperymentalnego, tym razem nawet się nie pojawił. A człowiek, który wspierał doświadczenia z sulfonamidami, Heinrich Himmler, znalazł ciekawsze badania do przeprowadzenia.

Pod koniec października 1942 roku entuzjazm Himmlera wobec eksperymentów medycznych wzrastał. Zamiast lekarstwa na rany bitewne prosił Sigmunda Raschera, innego ulubionego lekarza, o znalezienie sposobów na odratowywanie marynarzy i lotników wyciągniętych z lodowatych mórz. Himmler czytał o metodach wykorzystywanych przez mieszkańców brzegów w minionych wiekach, by ratować załogi statków, które rozbiły się na Bałtyku. Wiejski lud często znał doskonałe remedia, napisał Rascher w liście, takie jak herbatki parzone z ziół.

Himmler kontynuował: „Myślę również, że żona rybaka mogła kłaść się do łóżka z na wpół zamarznętym mężem po tym, jak go uratowano, i ogrzewać go własnym ciałem”<sup>255</sup>. Kazał więc Rascherowi wypróbować tę metodę i wykorzystać prostytutki z Ravensbrück, wysłane do burdelu w Dachau, aby zapewniły to „ciepło ludzkiego ciała”. Na początku Rascher odrzucił pomysł, argumentując, że to nie zadziała, ale Himmler nalegał, a ponieważ Rascher też był bliskim przyjacielem Reichsführera i entuzjastą projektów Ahnenerbe, uległ.

Kilka miesięcy od założenia burdelu w Buchenwaldzie, gdzie pracowały kobiety z Ravensbrück, dom publiczny uruchomiono też w Dachau i tam również skierowano więźniarki z Ravensbrück. Z tej grupy kobiet Rascher

oddelegował cztery „ prostytutki ” do eksperymentów.

Jednak jedną z kobiet Rascher od razu odrzucił, ponieważ wyglądała zbyt nordycko. Napisał później, że „ wykazywała niepodważalnie nordyckie cechy rasowe: jasne włosy, niebieskie oczy, odpowiednią głowę i budowę ciała ”.

Spytałem tę dziewczynę, dlaczego zdecydowała się na pracę w burdelu. Dostałem taką odpowiedź: „ Żeby wydostać się z obozu koncentracyjnego, ponieważ obiecano mi i wszystkim innym ochotniczkom do burdelu, że po pół roku zostaniemy wypuszczone ”. Na mój sprzeciw, że przecież to wielki wstyd zgłosić się na ochotnika do prostytucji, usłyszałem: „ Lepsze pół roku w burdelu niż pół roku w obozie koncentracyjnym ”.

Rascher powiedział też, że kobieta opisała mu „ najosobliwsze warunki ” panujące w Ravensbrück, a inne potwierdziły tę relację.

Godzi w moje uczucia rasowe wystawianie jako prostytutki dla niższych rasowo osobników z obozu koncentracyjnego dziewczyny, która ma czysto nordycką urodę i którą prawdopodobnie, skierowawszy do odpowiedniej pracy, można sprowadzić na dobrą drogę. Dlatego odmawiam wykorzystania tej dziewczyny do moich eksperymentów<sup>256</sup>.

Zadowolony z innych kobiet z Ravensbrück, Rascher przygotowywał się do eksperymentów i na bieżąco informował Himmlera o postępach. Po pierwsze, ośmiu więźniów wsadzono do wielkiego zbiornika z niemal zamrażającą wodą i trzymano ich tam, dopóki nie zemdleli. Wszystkich nieprzytomnych wyniesiono ze zbiornika i poukładano w dużych łóżkach między dwiema nagimi kobietami z Ravensbrück. Kobiety miały się przytulić jak najmocniej do umierających mężczyzn. Całą trójkę strażnicy nakrywali kocami. W rezultacie mężczyźni szybko wrócili do sił. Kiedy tylko odzyskali świadomość, już jej nie tracili, ale „ bardzo szybko wykorzystali sytuację ”, jak to później ujął Rascher, i „ wtulili się w nagie kobiece ciała ”<sup>257</sup>.

Tempo wzrostu temperatury ciał mężczyzn było takie same, jakby do ogrzania ich użyto koców. „ Ale w czterech przypadkach mężczyźni odbyli z kobietami stosunek seksualny. Po zbliżeniu temperatura ciał wyziębionych mężczyzn rosła szybciej. Eksperymenty przy wykorzystaniu dwóch kobiet zamiast jednej wykazały jeszcze szybszy powrót do właściwej temperatury ciała, być może dlatego – sugerował Rascher – że kobiety miały wtedy mniejsze zahamowania i mocniej przytulały się do mężczyzny ”. W żadnym z przypadków rozgrzanie ciała mężczyzny nie było bardziej skuteczne niż gorąca kąpiel. A jeden

z mężczyzn doznał wylewu krwi do mózgu i zmarł.

Na początku listopada w Hohenlychen pojawił się Ludwig Stumpfegger i rozwiały się wszelkie nadzieje, że uda się położyć kres doświadczeniom w Ravensbrück. Dostęp do materiału kobiecego kusił Stumpfeggera do eksperymentowania na własną rękę: chciał łamać kości i sprawdzać, czy zrosną się z powrotem. Stumpfegger, również faworyt Himmlera, zaproponował takie eksperymenty Gebhardtowi. Gebhardt znał Stumpfeggera – pracowali razem w niemieckim zespole medycznym podczas igrzysk olimpijskich w Berlinie w 1936 roku – ale twierdził później, że sprzeciwił się propozycji Stumpfeggera, argumentując, że takie doświadczenia już były przeprowadzane<sup>258</sup>.

Stumpfegger uzyskał jednak zgodę Himmlera. Reichsführer ostatnio odwiedził domy rekonwalescencyjne dla żołnierzy i uznał, że można było zrobić więcej dla wspomnienia zrastania złamanych kości. Zaproponował Stumpfeggerowi, by prowadził badania na młodych Polkach z Ravensbrück.

2 listopada szesnastoletnia polska tancerka Basia Pietrzyk, ulubienica lubelskiego transportu, stała się jedną z pierwszych ofiar Stumpfeggera. Basia miała szczupłą, wdzięczną figurę, a ciemne włosy i czarne oczy zaskarbiły jej w polskim bloku przydomek „Pieprzyk”. Podczas operacji Stumpfegger usunął fragmenty kości z jej prawej i lewej piszczeli, po czym zagipsował nogi aż do pachwiny i napisał na gipsie kod 1A, znak początku serii eksperymentów. Zabrał odłamki kości Basi ze sobą samochodem do Hohenlychen, żeby je zbadać.

Ponownie operacje planowano przeprowadzać w tajemnicy, ale i tym razem sekret wyszedł na jaw. Radiolog Zofia Mączka nie tylko mogła obserwować, tak jak wcześniej, ale została nawet sprowadzona do pomocy, gdyż to jej polecono robić prześwietlenia przed każdą operacją i po niej.

Przez następne tygodnie, gdy coraz więcej Polek wzywano do rewiru, Zofia zauważyła trzy różne typy operacji: łamanie kości; przeszczepy kości i rozszczepianie kości. Łamanie trwało do trzech godzin; piszczele miażdżyli młotkiem na stole operacyjnym. Kości nastawiali – z pomocą klamer lub bez nich – a rany zszywali. Nogę wkładali w gips. Po kilku dniach gips usuwano i kościom pozwalano się zrastać bez niego. W innych operacjach wyjmowano po prostu całą kość strzałkową lub piszczelową.

W tym samym czasie rozpoczęły się operacje mięśni, również za sprawą Stumpfeggera. W tym przypadku ofiary wzywano kilka razy. Najpierw z golenia i uda pobierano fragment mięśnia, a w późniejszych operacjach pobierano coraz większe fragmenty.

Izabela Rek została wezwana do rewiru. Zobaczyła tam pięć koleżanek, już rozebranych, leżących twarzami do ściany, z termometrami w odbytach. Wkrótce dołączyła do nich jako szósta. Po zoperowaniu jednej z jej nóg (miała operacje obu nóg) doktor Rosenthal wziął ze stołu drut do robótek i stukał nim w obnażoną kość, podczas gdy Izabela na to patrzyła<sup>259</sup>.

Gdy seria nowych eksperymentów była w toku, z sali operacyjnej codziennie dochodziły odgłosy miażdżenia oraz rozszczepiania kości, czemu towarzyszyło gwizdanie Herty Oberheuser, szczególnie gdy w pobliżu był doktor Fischer.

Po pierwszej operacji Maria Grabowska miała wrażenie, jakby ktoś jej „przebijał kości goleniowe tępymi gwoździami, to znów czułam ostre świdrowanie w kościach”, co nawet w przybliżeniu nie odpowiadało temu, co jej zrobiono. Jak wspominała: „Ból ten momentami był tak przejmujący, że miałam wrażenie, jakby się serce kurczyło”. Kiedy Grabowską przywieziono na wózek pod drzwi sali, gdzie miała czekać na drugą operację, usłyszała ze środka odgłos wiercenia. Czekala godzinę, a gdy Oberheuser otworzyła drzwi, „miała na sobie biały fartuch cały z przodu zalany krwią”<sup>260</sup>.

Eugenię Mikulską trzymają pielęgniarki, gdy lekarze przecinają jej goleń, mimo iż najwyraźniej środek znieczulający nie zadziałał. Kilka dni później, gdy zebrała dość sił, by spojrzeć na swoją nogę, dostrzegła całkowicie odsłoniętą kość „od podkolana do pięty, a po obydwu jej stronach dwa zwały mięsa, zielonego, pokrytego cuchnącą ropą”. Wysłana potem na opatrunek, czeka pod salą operacyjną i słyszy ze środka krzyk przyjaciółki, Jadwigi Dzido; próbuje uciec, ale nogi nie dają rady jej unieść i upada. Przychodzi pielęgniarka i pyta: „Po co uciekasz? I ty tam pójdziesz jak ona, i ciebie też będzie krajał”<sup>261</sup>.

Zanim Rosenthal zacznie z Eugenią, zauważa jej drobne stopy i wysokie podbicie. Pyta, czy była baletnicą. „Nie, jestem pielęgniarką” – odpowiada więźniarka. „Och, *Krankenschwester*” – powtarza lekarz, nacinając mięsień. Gdy Eugenia wraca na oddział, wykrzykuje: „Nie ma Boga!”<sup>262</sup>, ale Jadwiga Dzido krzyczy jeszcze głośniejsze: „Szablę mi dajcie – szablę mi dajcie, chcę się



bronić! Cała Polska krwawi i ja krwawię – szablę mi dajcie!”, wykrzykiwała na okrągło<sup>263</sup>.

Jadwiga majaczy i silnie krwawi. Krew spływa z jej okaleczonej nogi, unieruchomionej metalową szyną, więc Eugenia zwleka się z łóżka, by jej pomóc, choć zatacza się i upada. Za trzecim podejściem dociera do Jadzi, robi jej ucisk i układa nogę tak, by zmniejszyć krwotok. Jednak Jadwiga wygląda na umierającą. Wkrótce przychodzi Oberheuser i z wyrazu jej twarzy widać, że myśli to samo.

Następnego dnia Dzido wciąż majaczy i słabnie, więc inna koleżanka, Stefania Łotocka, która czuje się lepiej, skacze na jednej nodze do drugiej sali, chce opowiedzieć koleżankom o Jadwidze. Gdy wraca do pokoju, staje jak wryta w drzwiach. Nad Jadwigą stoją Oberheuser i Gerda Quernheim ze strzykawką. „Patrzyłam w oczy Oberheuser – wspominała – i w myśli powtarzałam jedno zdanie: «Nie wolno ci jej zabić!...»”.

Pozostałe chore proszą: „Nie zabijajcie jej, ona nie umrze”. Niemki patrzą na Stefanię. Zapada cisza. Oberheuser odciąga rękę Gerdy od Jadwigi i wychodzą.

Stefania spogląda na Dzido i myśli, że jedyna nadzieja w tym, że wyjdzie z delirium. Cudem, niemal w tym samym momencie, Jadzia otwiera oczy, rozgląda po pokoju i pyta normalnym głosem: „Gdzie ja jestem? Co się ze mną dzieje?”.

Gdy przynoszą kolację, Łotocka nakłania Jadwigę do jedzenia<sup>264</sup>. Cztery lata później Jadwiga Dzido jest jednym z czterech polskich „królików doświadczalnych”, które składają zeznania w Norymberdze na procesie lekarzy.

„Króliki” w swoich relacjach opisują jatkę, jaką zgotowano im samym, ale również rzucają światło na inne okrucieństwa, do jakich w tym samym czasie dochodziło w rewirze. Wskazują zwłaszcza, jak coraz częściej i rutynowo lekarze z Ravensbrück używali zastrzyków do zabijania.

To, że lekarze i pielęgniarki w obozie sięgali po strzykawkę, by mordować okaleczone polskie „króliki”, nie dziwiło więźniarek zatrudnionych w szpitalu. Od czasów doktora Sonntaga zabijanie chorych zastrzykami było na porządku dziennym, a nowa ekipa lekarska – Schiedlausky, Oberheuser i Rosenthal – nie miała oporów przeciwko zabijaniu pacjenta poprzez wstrzyknięcie mu fenolu,

ewipanu czy nawet nafty. Wszystko to były skuteczne sposoby pozbywania się niepotrzebnych istnień<sup>265</sup>.

Mimo tego obserwacje „królików” jasno wskazują, że w 1942 roku praktyka mordowania zastrzykami gwałtownie się nasiliła. Więźniarka Gerda Quernheim, która była pielęgniarką, została upoważniona do dawania zastrzyków i robiła to wedle własnej woli. Polka, radiolog Zofia Mączka, uważała, że Quernheim być może zabija ofiary, „aby je uwolnić” od cierpienia, chociaż dodała: „To było niebezpieczne – straciła wewnętrzną kontrolę nad tym, kogo zabić, a kogo nie zabić”.

Inne pracownice rewiru uważały, że Quernheim dokładnie wiedziała, kogo zabić, i świadomie mordowała więźniarki we współpracy z Rolfem Rosenthalem. Na początku Rosenthal i Quernheim razem przeprowadzali aborcje i robili to nadal, ale od połowy 1942 roku więcej czasu spędzali na zabijaniu pacjentek zastrzykami z trucizną, co, jak zauważyły więźniarki, sprawiało im radość.

Praktyką stało się umieszczanie więźniarek przeznaczonych do iniekcji w małej sali rewiru, zwanej *Stübchen*. Czeska pielęgniarka, więźniarka Hanka Housková, wspomina, jak weszła do *Stübchen* w okresie eksperymentów medycznych:

Na łóżku leżała mała Cyganka. Pochylali się nad nią Gerda Quernheim i doktor Rosenthal. Dziecko zawołało mnie na pomoc, a ja podeszłam i zobaczyłam, jak Gerda Quernheim robi jej zastrzyk dożylny w rękę. Doktor Rosenthal trzymał rękę dziecka w gumowej opasce. Dziecko płakało i walczyło. Doktor Rosenthal krzyknął, żebym wyszła i albo posłucham, albo sama dostanę zastrzyk. Minęła chwila, a ja nadal słyszałam płacz dziecka; doktor Rosenthal i Gerda Quernheim wrócili do niej i dobiegł mnie ich nieprzyjemny chichot<sup>266</sup>.

Po wszystkim wyniesiono ciało Cyganki z sinymi plamami na ciele.

Milena Jesenská uważnie obserwowała Quernheim i Rosenthala. Aby zliczyć zamordowanych, nabrała nawyku otwierania trumien, które co rano stały przed rewirem. Pod koniec 1942 roku zaczęła rozróżniać zwłoki tych, które bez wątplenia zmarły nocą od zastrzyku. Ciało te nosiły „ślady zastrzyków podskórnych, miały zmiażdżone żebra, posiniaczone twarze i podejrzone braki w uzębieniu”, napisała Grete Buber-Neumann<sup>267</sup>. Jediną więźniarką, która mogła się nocą poruszać po rewirze, była Quernheim i wkrótce wyszło na jaw, że Rosenthal przychodził tam do niej i uprawiali seks. Potem często

mordowali więźniarkę – „nie tylko dlatego, żeby czerpać z tego perwersyjną przyjemność”, mówiła Milena, lecz także dla zysku. Jesenská była przekonana, że za dnia para wybierała ofiary – zwykle te ze złotymi zębami lub złotymi koronkami – które usuwali przed zabiciem kobiety, a potem Rosenthal sprzedawał złoto.

Inne więźniarki również miały świadomość, że morderstwa przez zastrzyki stały się teraz częstsze. „Często widziałam Quernheim, jak idzie ze strzykawką do *Stübchen*”, opowiadała czeska lekarka Božena Boudová, która sporządzała trujące roztwory. I Quernheim nie była jedyną, która pomagała esesmańskiemu lekarzowi przy morderstwach. „Każdy wiedział, że nie tylko lekarze wykonywali zastrzyki, ale też więźniarki, które były pielęgniarkami”.

Wczesną jesienią więźniarki zauważyły kolejny wzór w zabójstwach zastrzykami: ich ofiarami często padały Żydówki. Hitler rozkazał, że Niemcy mają stać się *judenfrei* – wolne od Żydów – do końca 1942 roku i dlatego Himmler również wydał dyrektywę, że każdy jego obóz na terytorium niemieckim ma być *judenfrei*. Jeden po drugim obozy odsyłały więźniów pochodzenia żydowskiego na wschód, w większości przypadków do Auschwitz<sup>268</sup>.

Podczas gazowania w Bernburgu, które przeprowadzono wczesnym latem 1942 roku, Ravensbrück zostało w dużej mierze oczyszczone z Żydówek, ale ciągle przyjeżdżały następne. Niektóre pochodziły z zagranicy – w tym 82 holenderskie Żydówki, które przyjechały latem. Jesienią, gdy obóz przygotowywał się do ostatecznej ewakuacji Żydówek, lekarze najwyraźniej dostali rozkaz, aby – przed oczyszczeniem – zlikwidować możliwie najwięcej więźniarek żydowskiego pochodzenia i tym samym zaoszczędzić na kosztach transportu. Magdalene Hoffmann, główna pielęgniarka, zauważyła, że obozowe władze kierowały Żydówki do najcięższych prac, takich jak kopanie grobów: „One często były chore, miały spuchnięte nogi, ale lekarzy i pielęgniarki SS obowiązywał zakaz udzielania im pomocy. W owym czasie personel szpitala zaczął podawać Żydówkom zastrzyki z heksobarbitalu, a przy podawaniu ich asystowała Gerda Quernheim”<sup>269</sup>. Hoffmann powiedziała, że sama dostała od Rosenthala rozkaz podania zastrzyków wszystkim Żydówkom chorym na dyzenterię i wszystkie z nich zmarły. W pierwszych dniach października ostatnie 522 Żydówki z Ravensbrück wywieziono do Auschwitz.

W listopadzie 1942 roku eksperymenty medyczne weszły w nową fazę i w rewirze rozpętało się jeszcze większe piekło. Po pierwsze na Polkach przeprowadzono drugą serię eksperymentów z bakteriami. Wkrótce na oddział eksperymentalny trafiły też więźniarki innych narodowości: przypadkowe kobiety – Ukrainki, Czeszki, Niemki – niektóre młode, niektóre starsze. Pielęgniarki nazywały je „wariatkami”, ale tak naprawdę nikt nie wiedział, dlaczego się tam znalazły. Polki próbowały się z nimi zaprzyjaźnić.

W grupie tej znalazła się Rosjanka, która była cała poczerwiała od odmrożeń i nie mogła mówić. Przyprowadzili też delikatną małą kobietkę, która kulila się i trzęsła, kiedy ktoś próbował się do niej zbliżyć. „Króliki” dowiedziały się, że była Jugosłowianką i że jej męża rozstrzelali w jej obecności.

Była też tu wiekowa Niemka – „zielona” – jak się okazało, śpiewaczka operowa. W młodości musiała być piękną kobietą, twierdziły wszystkie. Gdy lepiej się czuła, czasem zaśpiewała jedną lub dwie arie i oddawała swój chleb. Ale przez większość czasu miała zły nastrój i krzyczała głośno: *Hitler kaputt!* albo *Heil Hitler!*, chowała się pod kocem i śmiała.

Później jedna po drugiej młode „wariatki” znikwały i rozeszła się pogłoska, że medycy wzięli je do „eksperymentów specjalnych”. Te specjalne operacje przeprowadzał Stumpfegger, czasem w asyście Fischera, a polegały na amputacji całych kończyn. Ofiara dostawała śmiertelny zastrzyk na stole operacyjnym, a kończyny owinięte w serwety operacyjne jechały do Hohenlychen do dalszego wykorzystania.

Jedną z pierwszych ofiar „eksperymentów specjalnych” była Ukrainka o imieniu Hania<sup>270</sup>.

Hania powiedziała Polkom, że trafiła do Niemiec do pracy przymusowej i wiele godzin spędzała, stojąc na wilgotnej i zimnej podłodze w fabryce, przez co nabawiła się zapalenia stawów biodrowych i nie mogła dalej pracować – dlatego znalazła się w obozie. Mimo tego była silna i walczyła z Rosenthalem, ponieważ nie pozwalała podać sobie środków uspokajających, co obserwowały Polki. Kiedy podszedł do niej ze strzykawką, walczyła tak ostro, że Rosenthal musiał zawołać na pomoc niemiecką pielęgniarkę, Dorę, ale Hania dała radę obojgu.

Trzymała się boków łóżka, przez co nie mogli położyć jej na nosze, a kobieta używała całej siły, aby odepchnąć Rosenthala. Wtedy lekarz stracił panowanie nad sobą, podskoczył do Hani i uderzył ją w twarz tak mocno, że udało mu się

w końcu złapać ją za włosy, wrzeszcząc: „Ukraina, Ukraina!”.

Dziewczyna nadal stawiała opór, więc Rosenthal chwycił ją za koszulę nocną na karku i rzucił na nosze. Pielęgniarka Dora wycofała się, patrząc na to wszystko z przerażeniem, a potem odwróciła się i wybiegła.

Hania płakała i wołała matkę, kiedy ją wiazali i odwozili. Ukrainka nigdy nie wróciła. Jakiś czas później wróciła za to na oddział Dora i powiedziała lubliniankom, że wstydzi za Niemcy i nie chce już tu pracować. Po niedługim czasie Dora opuściła obóz. A zaraz potem drugiej Ukraince lekarz usunął cały obojczyk.

Jakby na sali operacyjnej obozowego szpitala mało było makabry, teraz więźniarki zauważyły, że Fischer i inni lekarze wynoszą do samochodów całe kończyny, ledwo zawinięte kocami, i wywożą do Hohenlychen. Kilka godzin po zabraniu Hani Zofia Mączka widziała, jak doktor Fischer wysiada z samochodu z Hohenlychen z jakąś odciętą nogą owiniętą w serwetę operacyjną.

I w tym przypadku Karl Gebhardt, główny chirurg, próbował zaprzeczać na procesie, że miał jakikolwiek związek z tymi operacjami, i w pewnym momencie nawiązał do „tych więźniarek z Ravensbrück, które ciągle robią mi wyrzuty, a ja nie wiem dlaczego”. Twierdził również, że to tylko Stumpfegger zajmował się „eksperymentami specjalnymi” na bezpośredni rozkaz Himmlera i dla uzupełnienia swych operacji pobierania wiórów kostnych. Reichsführer słyszał o badaniach pewnego rosyjskiego doktora z Kijowa, obejmujących przeszczep całych kończyn albo ich fragmentów, i chciał, by Stumpfegger skopiował tę technikę, lecz Gebhardt twierdził, że nic więcej nie wie<sup>271</sup>.

Ponieważ pod koniec wojny Stumpfegger popełnił samobójstwo i ponieważ wszystkie ofiary jego „specjalnego eksperymentu” już nie żyją, nic nie wiedzielibyśmy o tych przypadkach, gdyby nie zeznania Zofii Mączki i innych więźniarek.

Jednak podczas procesu kluczowe okazało się też zeznanie Fritza Fischera, gdy w krzyżowym ogniu pytań przyznał, że brał udział w przynajmniej jednej „operacji specjalnej”; mówił, że sprzeciwiał się jej „z powodów medycznych i humanitarnych”, ale dostał od Gebhardta rozkaz wykonania zabiegu i nie miał wyjścia.

Operacji poddano młodego Niemca, pacjenta z Hohenlychen, który z powodu guza stracił łopatkę i obojczyk, opracowano więc plan przeszczepienia mu

łopatki jednej z „wariatek” z Ravensbrück, „zapewniając mu spore szanse na przeżycie”.

Łopatkę należało pobrać od kobiety, która nie funkcjonowała normalnie z powodu wcześniejszej amputacji ręki. Pierwotnie Stumpfegger miał przeprowadzić amputację, ale w ostatniej chwili wezwano do tego Fischera.

Sąd usłyszał, że Fischer amputował łopatkę w Ravensbrück, zabił ofiarę zastrzykiem, pojechał do Hohenlychen z kością owiniętą w koc i przekazał ją Gebhardtowi. Zapytany przez sędziego, czy łopatka należała do mężczyzny, czy do kobiety, Fischer powiedział, że nie wie: „obiekt” był zakryty podczas operacji.

W Hohenlychen Gebhardt wszył łopatkę choremu pacjentowi z pomocą Stumpfeggera i jeszcze jednego lekarza. Operowany później zmarł. Podczas procesu nie ustalono tożsamości ofiary, a sąd usłyszał po prostu, że łopatkę „usunięto chorej umyślowo więźniarce obozu”<sup>272</sup>.

Zimą na oddziały eksperymentalne przywieziono więcej „chorych psychicznie” kobiet. Jedną z nich, Czeszkę, pewnego dnia krzyczała tak głośno, że polski „królik”, Stanisława Czajkowska, świeżo przywieziona z sali operacyjnej, obudziła się z narkozy, pytając: „Co się dzieje? Co się dzieje?”. Wspominała później: „Nie wyobrażałam sobie, że można doprowadzić człowieka do takiego stanu udręczenia, bezsilności, niemocy, kiedy jedyną ulgą wydaje się krzyk”<sup>273</sup>.

Ktoś później powiedział Polkom, że Czeszkę przywieziono do Ravensbrück z Lidic, wioski, która została spalona przez Niemców. „Króliki” znalazły sposób, by porozumieć się z Czeszką, i dowiedziały się, że podczas pacyfikacji jej dom został spalony z dziećmi w środku. Dzieci wzywały matkę na pomoc, ale Niemcy nie pozwolili jej po nie pójść.

Usłyszawszy to, „króliki” były poruszone i próbowały zaprzyjaźnić się z kobietą. Nie miały pojęcia, ile mają wspólnego z czeską matką. Zniszczenie jej wioski i zabicie rodziny, a także ich własne okaleczanie przez lekarzy z SS były bezpośrednimi skutkami śmierci Reinharda Heydricha.

<sup>251</sup> Kilka tygodni przed eksperymentami Kurowska „jakby wiedziona jakimś instynktem, wymykała się z różnymi drużynami roboczymi poza lager. [...] Kazia nielegalnie dołączała się do drużyn pracujących poza obozem, przedłużając dni swojego młodego życia. Nadszedł jednak krytyczny dzień. Przerażona Kazia jak strwożona sarenka biegała od jednej do drugiej kolumny roboczej, byleby wydostać się do pracy na zewnątrz obozu. Ale tym razem pilnowano bacznie, pochwycono ją przy bramie i przemocą odprowadzono do rewiru” (Wspomnienie Marii Grabowskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 78).

[252](#) Mączka, Lund 228.

[253](#) Wspomnienie Stefanii Łotockiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 226.

[254](#) Polska lekarka Zofia Mączka opowiadała później, iż pewnego dnia podsłuchiła, jak Oberheuser przyznaje, że „w operacjach była przynajmniej jedna dobra rzecz: poduczyłam się chirurgii i mam teraz szansę na stanowisko w Hohenlychen”.

[255](#) Cyt. za: Mitscherlich i Mielke, *Death Doctors*. Keith Mant, brytyjski patolog zajmujący się zbrodniami wojennymi, podczas przygotowywania materiałów do spraw norymberskich zorientował się, że Himmler miał manię na tle eksperymentów. „Podczas czytania dokumentów SS w Norymberdze w ramach przygotowań do procesów odkryłem, że [Himmler] osobiście czytał i sygnował każdy dokument dotyczący eksperymentów na ludziach, jaki znajdował się w aktach kwatery głównej SS”. Notatka w aktach, Atkins.

[256](#) Mitscherlich i Mielke, *Death Doctors*.

[257](#) Tamże.

[258](#) Zeznanie z Norymbergi, cyt. za: tamże. Szczegóły eksperymentów również w: Mączka, Lund 228 i raport Manta, WO 309/416.

[259](#) Wspomnienia Izabeli Rek w: *Ponad ludzką miarę*, s. 411 i nast.

[260](#) Wspomnienia Marii Grabowskiej w: tamże, s. 78 i nast.

[261](#) Wspomnienia Eugenii Mikulskiej w: tamże, s. 277 i nast.

[262](#) Wspomnienia Marii Grabowskiej w: tamże, s. 83.

[263](#) Wspomnienia Stefanii Łotockiej w: tamże, s. 230.

[264](#) Wspomnienia Stefanii Łotockiej w: tamże, s. 230–231.

[265](#) Mordowanie zastrzykami było powszechne we wszystkich obozach koncentracyjnych, a także szeroko stosowane do zabijania istot bezwartościowych w niemieckich sanatoriach w ramach tak zwanego programu eutanazji.

[266](#) Housková, BAL B162/455.

[267](#) *Dictators*.

[268](#) Jesienią 1942 roku kobiety z Ravensbrück nadal nie wiedziały jeszcze, co dzieje się w Auschwitz, ale wieści napłynęły z grupą „ekstremistycznych” badaczek Pisma Świętego, które wysłano z Ravensbrück do Auschwitz za sprawianie problemów, a które kilka tygodni później wróciły – bezsensownie – i zostały stracone. Grecie Buber-Neumann udało się porozmawiać z jedną z nich i usłyszała: „Nie uwierzycie, wiem, ale tam ludzi wrzuca się żywcem do ognia, małe dzieci też. Głównie Żydów”. Grete jej nie uwierzyła. Myślała, że kobieta majaczy. Musiała oszaleć. Zob. *Dictators*. W tym samym czasie, kiedy w październiku 1942 roku Żydówki wywieziono do Auschwitz, Emma Zimmer, naczelniczka, została przeniesiona tam do pracy; powiedziała, że jej praca polegała na nadzorowaniu kwater esesmanów (WO 309/1153).

[269](#) Hoffmann, zbiory Buchmann.

[270](#) Przeprowadzono co najmniej dziesięć „eksperymentów specjalnych”, twierdzi Zofia Mączka (Lund 228).

[271](#) Mitscherlich i Mielke, *Death Doctors*.

[272](#) Tamże. Mączka, Lund 228.

[273](#) Wspomnienie Stanisławy Czajkowskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 53 i nast.



## Rozdział 15

### Leczenie

Ostatnią rzeczą, jaką jedna z operowanych pamięta sprzed swej pierwszej narkozy, jest widok rudych liści za oknem rewiru. Kiedy w pełni się ocknęła wiele tygodni później, dostrzegła płatki śniegu opadające na to samo okno. Był początek grudnia, a ona zaczynała zdrowieć. Oddział „królików” po raz pierwszy wydawał się spokojny. Nawet Krysia, uczennica w okularach, przestała łkać.

Krysia należała do ostatniej grupy więźniarek z Lublina wezwanych do operacji z zakażeniami bakteryjnymi; potem nie krzyczała, tylko płakała. Stefania Łotocka, na sąsiednim łóżku, słyszała Krysię noc za nocą. Nastolatka majaczyła, a „nogę miała tak spuchniętą, że wydawało się, iż lada moment pęknie naciągnięta błyszcząca skóra”. Nawet jeśli wtedy dziewczyna nie krzyczała, to płakała „rozpaczliwie, jak małe skrzywdzone dziecko, wzywając na ratunek mamusię...”. Łotocka wspominała: „w pewnym momencie ujęłam jej zwisającą z łóżka rękę i pocałowałam. O dziwo! Krysia przestała płakać”<sup>274</sup>.

Eksperymenty się nie zakończyły. Kilka kobiet wciąż przechodziło kolejne operacje. Rzadko jednak wzywano nowe polskie „króliki”, a te, z którymi skończono, porzucono „jak zapomnianych rannych”. Pozostawione pielęgniarce, starannie wyciskały ropę, wydobywając ciała obce niczym ze składowiska rupieci – odłamki porcelany, pasma filcu, kawałki szkła, drzazgi.

Pomagały też sobie nawzajem. Kiedy Izabela Rożek zakrztusiła się i posiniała, przyjaciółki rozwarły jej usta widelcem i wyciągnęły język. A Polki spoza rewiru założyły komitet pomocy; każdemu „królikowi” przydzielono „polską matkę”, która miała o niego dbać. Zwykle „matka” pracowała w kuchni lub w kantynie i miała dostęp do dodatkowych racji, które szmuglowano do szpitala.

Kobiety zauważyły, że ich młoda skóra się goi; pocięte mięśnie zamknięte gipsem zrastały się same. W połowie grudnia Eugenii Mikulskiej wrócił apetyt. Ktoś zastukał w okno i podał jej filiżankę maślanki, którą wypła. „Ach, jak ona mi smakowała”<sup>275</sup>. Ośmieliła się pomyśleć, że najgorsze już za nią. Irena Krawczyk odkryła, że może stanąć na operowanej nodze – „dla koleżanek i dla mnie była to najradośniejsza chwila, jedno z wielkich przeżyć”<sup>276</sup>.

Kobiety rozmawiały nawet o tym, jak dotrą do pociągu do Polski o kulach. Inne mówiły, że będą miały dość szczęścia, jeśli dotrą do swojego bloku, a co dopiero do Polski. Barak wydawał się światem odległym od rewiru. Gdy tylko ktoś otworzył okno, lodowaty podmuch wpadał do środka, a one wszystkie z całej siły oddychały świeżym powietrzem niczym eliksirem.

Izabela Rek zaczęła marzyć o powrocie do bloku, do „normalnego” życia obozowego. Wszystkie rozumiały, co ma na myśli, chociaż wiedziały też o okrucieństwach, które rozgrywały się na zewnątrz. Egzekucje nigdy nie ustały.

Jedna z pacjentek rewiru przez okno dostrzegła dziewczynkę, która waliła pięściami w drzwi *Effektenkammer* i wołała matkę. Tego ranka matka Kazimiery Pobiedzińskiej została wezwana *nach Vorne* i posłana po rzeczy. Nastolatka dowiedziała się, co się stało, i pobiegła do magazynu, ale jej matkę już rozstrzelano. Krążyły plotki, że Johanna Langefeld – która niedawno wróciła do obozu – próbowała pomóc<sup>277</sup>.

W październiku 1942 roku, po sześciu miesiącach na stanowisku kierowniczkii obozu kobiecego Auschwitz, Johanna Langefeld wróciła do Ravensbrück i podjęła na nowo obowiązki *Oberaufseherin*. Powód jej przeniesienia jest intrygujący. W czasie lipcowej wizyty Himmlera w Auschwitz nie było mowy o jej wyjeździe. Przeciwnie, chociaż sama Langefeld prosiła o przeniesienie, motywując je niechęcią Hössa do uznania jej władzy, prośbę odrzucono. Ze swej strony Höss poprosił Himmlera o wymianę kłopotliwej Langefeld, ale Reichsführer odparł, że ona musi zostać.

Według autobiografii Hössa, po lipcowej wizycie Himmlera w Auschwitz sytuacja w obozie kobiecym zmieniła się ze złej w bardzo złą, a to w dużej części z powodu nowej władzy, jaką sam Reichsführer przyznał kapo. Wówczas nakazał, by zachęcono je do wyładowywania się na więźniarkach.

Po tym, wspomina Höss, jak obóz kobiecy się rozrósł, „przebiegłe i bezwzględne” kapo „właściwie rządziły”, ustanawiając „samorząd więźniarek”<sup>278</sup>.

W pierwszych dniach października brutalność kapo osiągnęła szczyt w sposób, jakiego ani Höss, ani Himmler sobie nie wyobrażali. Mała wieś Budy, około 6 kilometrów od Auschwitz, została przekształcona w podobóz. Czterysta kobiet, w tym wiele francuskich inteligentek, nauczycielek i artystek żydowskiego pochodzenia, a także Rosjanek i Ukrainek, mieszkało w opuszczonej szkole i pracowało przy oczyszczaniu stawów. Strzegły ich kobiety zwerbowane w Ravensbrück. Warunki były odrażające; codziennie strażnicy z SS prowokowali kapo, żeby biły Żydówki. Jedną z kapo, dawną prostytutkę Elfriede Schmidt, zesłaną do Ravensbrück w 1939 roku, miała romans z esesmanem i była przywódczynią „sadystek”.

W pierwszych dniach października 1942 roku w Budach doszło do buntu i masakry. Oficer SS Pery Broad opisał widok, który zastał na miejscu:

Na placu za szkołą leżą w nieładzie tuziny okaleczonych i okrwawionych ciał kobiecych. Mają na sobie tylko nędzne koszule więźniarskie. Między trupami wije się kilka półtrupów. Jęki ich mieszają się z brzęczeniem olbrzymich chmur much, krążących nad lepкими kałużami krwi i zdruzgotanymi czaszkami. To właśnie powoduje owo specyficzne brzęczenie, którego przybysz nie umiał początkowo zdefiniować<sup>279</sup>.

Höss przyjechał na inspekcję. „Do dziś mam przed oczami rzeź w Budach – napisał. – Nie przypuszczam, żeby mężczyźni byli zdolni do takiego bestialstwa, aby zachować się tak jak «zielone» więźniarki, które mordowały francuskie Żydówki; rozrywały je, zabijały siekierami, dusiły. Było to straszne”<sup>280</sup>. Broad sugerował, że masakrę urządziły kapo, aby zatrzeć ślady bicia, w którym posunęły się za daleko. Według innej wersji więźniarki, uznawszy, że mają szansę ucieczki, skoro znajdują się poza obozem, wszczęły rozpaczliwy bunt w Budach, który został stłumiony.

Bez względu na przyczynę masakra wywołała skandal w szeregach SS. Chociaż w owym czasie ponad 1000 więźniarek ginęło co tydzień w komorach gazowych Auschwitz-Birkenau, niezaplanowane zabicie 150 kobiet poza bramami obozu, w Budach, uznano za nieakceptowalne w SS złamanie rozkazu, i to złamanie przez kobiety. Höss potrzebował kozłów ofiarnych i sześć kapo z Bud natychmiast stracono.

Langefeld nie było w obozie, gdy doszło do masakry; później twierdziła, że w tamtym czasie dochodziła do zdrowia po urazie. Warto jednak zauważyć, że jej usunięcie ze stanowiska *Oberaufseherin* w obozie kobiecym Auschwitz i powrót do Ravensbrück nastąpiły w ciągu kilku dni po masakrze w Budach. Według Danuty Czech, autorki *Kalendarium wydarzeń w KL Auschwitz*, do masakry w Budach doszło 5 października 1942 roku. 8 października „nastąpiła zamiana na stanowisku naczelniczki (*Oberaufseherin*) między KL Auschwitz a KL Ravensbrück. [...] Langefeld, wskutek sporu z Hössem, powróciła na swoje poprzednie stanowisko do KL Ravensbrück, a funkcję *Oberaufseherin* we *Frauenkonzentrationslager Auschwitz* objęła Maria Mandl”<sup>281</sup>.

Strach przed buntem w obozach koncentracyjnych sięgał głęboko i Budy być może wreszcie przekonały Himmlera, by wysłuchać protestów Hössa, iż Langefeld nie nadaje się do Auschwitz i powinna ją zastąpić kobieta odpowiedniejsza do tego zadania. Tą kobietą była Maria Mandl, którą w Ravensbrück znano już jako „bestię”.

Po powrocie w październiku 1942 roku Langefeld odkryła, że w Ravensbrück wiele się zmieniło. Pod jej nieobecność Max Koegel wyjechał do obozu na Majdanku i nastąpiła nowa ekipa SS. Komendant Fritz Suhren przybył z Sachsenhausen. Szczupły, wytworny, jasnowłosy i piegowaty, wówczas trzydziestoczteroletni, urodził się niedaleko Oldenburga w Dolnej Saksonii i pracował jako kupiec tekstylny. W SS znany był jako chłopak od czarnej roboty, który lubił robić wszystko według podręcznika<sup>282</sup>. Przybył również nowy szef Gestapo, Ludwig Ramdohr. Jego pierwszym zadaniem w Ravensbrück miało być zbadanie korupcji wśród esesmanów, szczególnie sprawy okradania warsztatów kuśnierskich, nienawidzili go więc na równi więźniowie i esesmani<sup>283</sup>. Obóz się rozrósł – powiększony wskutek napływu niewolnic ze Wschodu. Na całym terenie trwało kopanie i budowanie, gdyż drużyny kobiece i męskie wznosiły nowe baraki dla sektora przemysłowego na tyłach oraz nowe baraki mieszkalne koło południowego muru.

Najbardziej uderzająca musiała być dla Langefeld obecność zaraz za murami Siemenslagru, jak nazywano nową fabrykę Siemens. Pod nieobecność *Oberaufseherin* jakieś 800 metrów za południowym murem wyrósł na płaskowyżu bardzo nowoczesny zakład. Ukończona zaledwie w dziesięć tygodni fabryka zebrała śmiertelne żniwo wśród setek więźniów, z których

wielu przywieziono z Buchenwaldu specjalnie do budowy Siemenslagru. Aby dotrzymać uzgodnionego z Siemensem terminu, popędzano ich i bito, gdy latem ścinali drzewa, dragowali rowy i dźwigali kamienie. Terminu dotrzymano, ale 300 budowniczych zginęło, a kolejnych 300, zbyt wycieńczonych, by mogli zrobić więcej, posłano do Dachau w transporcie chorych<sup>284</sup>.

Kiedy 25 sierpnia 1942 roku pierwsze kobiety rozpoczęły pracę w barakach, Siemens & Halske dołączyło do trzech innych wielkich niemieckich przedsiębiorstw – IG Farben w Auschwitz, Steyr-Daimler-Puch w Mauthausen i Heinkla w Sachsenhausen – wykorzystujących niewolników z obozów koncentracyjnych. Firma była tak zadowolona z nowej fabryki w Ravensbrück, że Rudolf Bingel z Siemens, członek kręgu przyjaciół Himmlera, napisał do Reichsführera SS z ciepłymi podziękowaniami. Uprzejmość Himmlera wobec Siemens napawa go „szczególną radością”, pisał Bingel, który obiecał odwdziżyć się Himmlerowi w dowolnym czasie.

Kiedy w październiku wróciła Langefeld, około 200 kobiet już pracowało u Siemens, a wszyscy w Ravensbrück znali widok drużyny fabrycznej wymaszerowującej co rano za bramę i skręcającej w lewo, ku wzgórzom. W porze obiadu kobiety wracały na zupełną, potem znów wychodziły i zjawiały się pod koniec dnia.

Większość więźniarek ekscytowała się możliwością pracy w nowej fabryce. Po miesiącach harówki przy pchaniu i ciągnięciu wagoników „niczym konie” widok jasnego, czystego, ogrzewanego budynku „odebrał mi dech”, powiedziała Rita Sprengel, niemiecka komunistka. Wewnątrz *Halle*, jak nazywano baraki fabryczne, stały szeregi czystych stołów z błyszczącymi maszynami, gdzie kobiety miały nawijać cienki drut miedziany na cewki, siedząc na regulowanych krzesłach z oparciami i podłokietnikami. „Oczywiście – wspominała Rita – wygoda nie została stworzona z myślą o więźniarkach”. Rozumiała, że bez tych pomocy nawijaczki pracowałyby mniej wydajnie, a druty należy przechowywać w temperaturze pokojowej, aby były dość giętkie i łatwo się nawijały na cewki. Mimo to takie luksusy dawały radość i „opóźniały nasz koniec”.

Co więcej, początkowo dyscyplina u Siemens była mniej surowa. Chociaż w każdej *Halle* służbę pełniły nadzorkynie SS, odpowiedzialność za utrzymanie porządku dzieliły z kierownikami, których większość przyjechała z głównej siedziby Siemens w Berlinie i nie miała bezpośredniej styczności

z obozami koncentracyjnymi. W rezultacie strażniczki czuły się nieco skrępowane i, przynajmniej w zakładowych barakach, wykazywały mniejszą skłonność do bicia, chociaż z powodu frustracji część z nich biła mocniej niż zwykle, gdy tylko więźniarki znalazły się na zewnątrz. Czekając z towarzyszkami na wymarsz do obozu, Georgia Tanewa, dziewiętnastoletnia Bułgarka, próbowała przeczytać starą gazetę, którą owinięto części zapasowe złożone na półce. „Na chwilę zapomniałam, gdzie jestem, kiedy strażniczka nagle uderzyła mnie i rozbiła mi twarz”.

Zadowolony z pierwszych danych o produkcji, Siemens od razu zażądał więcej kobiet. Pierwsze wybierano młode, o ile miały dobry wzrok i przeszły sprawdzian. Jeden z cywilnych majstrów Siemensa, Richard Lombacher, objaśniał Ricie Sprengel, na czym polegały te próby, gdy maszerował z więźniarkami do pracy.

Powiedział, że używa szczypiec, żeby sprawdzić, czy kobieta umie nawijać cienki drut. Albo jego ludzie wzywają cały blok i każą wyciągnąć więźniarkom ręce. Potem majster przechodzi wzdłuż szeregów, patrzy na więźniarki, żeby sprawdzić, czy są młode i sprawne, a także sprawdza ich ręce, by upewnić się, że się nie trzęsą. Szukają gładkiej, suchej skóry i szczupłych, prostych palców.

Siemens poszukiwał też kobiet o umiejętnościach administracyjnych do pracy w sekretariacie i księgowości. Jedną z pierwszych zatrudnionych była Grete Buber-Neumann, która pracowała dla samego dyrektora fabryki Ottona Gradego. Zaczął on pracę u Siemensa w wieku 19 lat jako czeladnik, a teraz, w wieku 38 lat, wspinał się po firmowej drabinie i uzyskał poważny awans oraz znaczącą podwyżkę, kiedy mianowano go szefem zakładu w Ravensbrück. W biurze Gradego Grete szybko zauważyła cechy, które zapewniły mu stanowisko: obliczał co do feniga, czy więźniarki pracują dość ciężko, by usprawiedliwić swoją „płacę”. „Produkcja każdej więźniarki była starannie zliczana, a płaca zależała od wyniku”, wspominała Buber-Neumann<sup>285</sup>.

Oczywiście, jak wyjaśniała Grete, Siemens nie płacił więźniarkom, które nic nie dostawały. Pieniądze zarobione przez kobiety przekazywano bezpośrednio SS, od którego wynajmowano niewolnice. Zgodnie z warunkami umowy Siemens płacił SS około 40 fenigów za każdą przepracowaną godzinę. Mimo to firma chciała odzyskać pieniądze, opracowała więc system zachęt. Jeśli więźniarka nawinęła więcej cewek, niż przewidywała norma, dostawała talon

o wartości jednej marki, który mogła zrealizować w obozowym sklepiku; jeśli nie wykonała wyznaczonej normy, Grade rozkazywał strażnicze uderzyć ją w ucho. Jeśli to nie zadziało, wysyłał raport do obozowego wydziału zatrudnienia z informacją, że kobieta jest bezużyteczna i powinna zostać wymieniona. W rezultacie robotnicę odsyłano i osadzano w bunkrze albo dawano 25 batów, albo jedno i drugie, a następnego dnia wysyłano nową pracownicę.

Każdą odrzuconą więźniarkę Grade odnotowywał w miesięcznym raporcie, rozliczeniu fluktuacji więźniarek, który wysyłano do siedziby Siemens w Berlinie. Raport wymieniał takie kobiety jako „nieodpowiednie” albo „odesłane przez główne biuro obozowe”. Grade nie miał skrupułów, przygotowując takie raporty, mówiła Grete. Był poganiaczem niewolnic i marionetką SS. Kierowała nim obawa, że zostanie wysłany na front. „Gdyby okazał się skutecznym zarządcą, utrzymującym wysoką produkcję, Siemens wystarałby się dla niego o zwolnienie i Grade nie zostałby powołany”.

Pod koniec roku Grade naprawdę robił dobrą robotę, ponieważ fabryka Siemens znów się rozbudowywała, a ze swego okna w biurze dyrektora Grete obserwowała komando więźniów prowadzących prace. Warunki bytowe budowniczych były tak koszmarne, że kilku mężczyzn próbowało uciec. „W krótkim okresie mojej pracy dla Gradego słyszałam o pięciu egzekucjach przy próbie ucieczki, a chodziło tylko o ludzi z jednej drużyny roboczej”.

\*\*\*

Grete pracowała dla Siemens bardzo krótko, ponieważ niedługo po powrocie Johanna Langefeld zażądała, by więźniarka przeszła do pracy dla niej. Do obozu napłynęło pod jej nieobecność tyle Rosjanek, że Langefeld potrzebowała w biurze osoby znającej rosyjski i dobrej stenografistki. Po przeniesieniu do biura *Oberaufseherin* Buber-Neumann mogła jeszcze dokładniej ją obserwować i zauważyła, że po powrocie z Auschwitz Langefeld była „w złym stanie”.

„Miała wszelkiego typu nerwicowe odruchy – wspominała Grete. – Zanim się odezwała, musiała raz czy dwa odchrząknąć i bez ustanku wygładzała sukienkę albo odgarniała nieistniejący pukiel włosów z oczu. Czasami milkła w pół zdania i przez minutę wpatrywała się w okno”.



Jako główna nadzorkczyni znów musiała asystować przy chłóście, którego to obowiązku nienawdziła tak samo jak przedtem.

Po powrocie jednak Langefeld najbardziej zdawały się niepokoić okrucieństwa doktora Rosenthala i Gerdy Quernheim, które opisała jej Grete. Znała ona szczegóły rosnącego skandalu, ponieważ co wieczór Milena Jesenská wracała ze swego biura w rewirze na siennik, który dzieliła z Grete w bloku 1., i opisywała to, co widziała. Pewnego razu Milena usłyszała płacz nowo narodzonego dziecka za drzwiami – otworzyła je i zobaczyła zdrowego noworodka „wierzgającego między nogami matki”<sup>286</sup>. Quernheim przebywała poza szpitalem, a zdrowe, donoszone dziecko urodziło się żywe – rzadki przypadek – wkrótce jednak jego płacz ustał, gdyż Quernheim utopiła noworodka w wiadrze. Potem na początku grudnia sama Quernheim zaszła w ciążę z Rosenthalem, który dokonał aborcji.

Gdy rok zbliżał się ku końcowi, Milena zyskiwała coraz większą pewność, że Rosenthal, z pomocą Quernheim, zabijał więźniarki i sprzedawał złoto z ich zębów. „Ogarnięta zgrozą” Milena błagała Grete, żeby powiadomiła Langefeld, w nadziei że *Oberaufseherin* zainterweniuje. Grete „zebrała się na odwagę” i powtórzyła te opowieści Langefeld, która krzyczała na cały głos: „Lekarze z SS są równie wielkimi zbrodniarzami jak komendant i jego ludzie!”.

Grete zapytała z wahaniem: „Skoro pani tak myśli, to dlaczego pani tu jest?”, na co Langefeld odparła, iż została, „żeby zapobiec najgorszemu”.

Jednak mimo to, jak zauważyła Grete, Langefeld nie miała skrupułów, nawet wtedy, gdy przygotowywała nowe listy Żydówek do wysyłki na Wschód, chociaż lepiej od wszystkich wiedziała, co się z nimi stanie. Odkąd Langefeld poprzednio pracowała w Ravensbrück, obóz całkowicie „oczyszczono” z Żydówek, posłanych do Auschwitz, tak że blok żydowski zamknięto. Mimo to nieliczne Żydówki – pojedynczo bądź grupami – wciąż przybywały od czasu do czasu, zapewne z innymi transportami. Te również posyłano prosto do Auschwitz, więc Ravensbrück stało się czymś w rodzaju obozu tranzytowego dla Żydówek.

Langefeld zajmowała się wypełnianiem list tych transportów żydowskich, a gdy odczytywała nazwiska, „jej twarz się wykrzywiała, a głos był pełen nienawiści”, wspominała Grete. Langefeld powiedziała jej pewnego dnia: „Auschwitz jest najstraszliwszym miejscem, jakie ludzki umysł mógł



wymyślić”, ale nie wspominała o zbrodniach na Żydach, mówiąc: „Nigdy nie pogodzę się z tym, że zginęły tam badaczki Pisma Świętego, które ze sobą zabrałam. Ale przynajmniej Teege i Mauer ocalały”.

Po powrocie z Auschwitz Langefeld wciąż podziwiała Führera, podobnie jak Reichsführera SS, ale równocześnie nie kryła się z nienawiścią do ich podwładnych esesmanów, a nowa załoga Ravensbrück wydawała się jej gorsza niż poprzednia. SS obwinało ją teraz o wszystko, co poszło źle. Zimą uciekły dwie Polki pracujące w kuchni, ukrywając się w koszach na odpadki, które załadowano na ciężarówkę i wywieziono. Jedną schwytano, przywieziono z powrotem i wsadzono do bunkra, podczas gdy drugą podobno zastrzelono podczas przekraczania granicy. Ramdohr obwinał Langefeld o brak zabezpieczenia kuchni, w której „rządziły brudne Polki”.

Langefeld była „dziwną kobietą – mówiła Grete – która potrafiła okazać czułe serce”. Kiedy przyszła do niej po pomoc Cyganka, którą знаła jeszcze z czasów Lichtenburga, Langefeld rozmawiała z nią „pocieszająco i z wielką uprzejmością”. Grete zauważyła także, że Langefeld, w przeciwieństwie do esesmanów, ulegała argumentom, a to mogło być przydatne. Pewnego razu do biura przyprowadzono aspołeczną, zgłoszoną do raportu za kradzież rzepy, co w razie udowodnienia groziło bunkrem.

– Czy ukradłaś rzepę? – spytała kobietę Langefeld.

– *Frau Oberaufseherin*, byłam taka głodna, naprawdę – padła odpowiedź z tłumionym łkaniem.

– Ale gdyby wszyscy kradli rzepę, nie zostałyby nic dla pozostałych – stwierdziła Langefeld i odprawiła więźniarkę.

Grete powiedziała Langefeld, że kobieta, którą znała, nie przeżyje bunkra, i że nie jest to zły człowiek. „Pani Langefeld rozważała sprawę przez chwilę, gdy jej twarz drgała nerwowo. Nagłym gestem podarła raport i wrzuciła go do kosza”.

*Oberaufseherin* nadal największą sympatią darzyła Polki. Po powrocie z Auschwitz szczególnie martwiła się o *Kaninchen*, których niedola zyskała im współczucie w całym obozie.

Pod koniec 1942 roku więźniarkom powiedziano, że mogą otrzymywać paczki żywnościowe od rodzin. Nowiny wywołały euforię. Do tej pory pewne uprzywilejowane więźniarki mogły dostawać paczki od rodzin, nigdy jednak

nie pozwalano przekazywać żywności. Pomysł rzucił Himmler. Jeśli więźniarki mają pracować na rzecz wysiłku wojennego, potrzebują lepszego jedzenia; sensowne więc było, żeby rodziny je zapewniły. Himmler, jak zwykle, wywarł osobiste piętno na rozkazie. Zawartość paczek należało zjeść w ciągu dwóch dni albo zostanie ona skonfiskowana (zapewne dla uniknięcia robactwa). Esesmanów okradających paczki czekała kara śmierci.

Polskie „króliki” dowiedziały się o paczkach, kiedy koleżanki zaczęły im przekazywać smakołyki i ciepłą odzież. Czeska przyjaciółka przyniosła Marii Grabowskiej nieco cukru, którym posypała jej chleb. W połowie grudnia Pelagia Maćkowska dostała własną paczkę z domu – z ciepłym swetrem wydzierganym przez siostrę. Oberheuser i pielęgniarki przyszły oglądać te „cuda”<sup>287</sup>.

Paczki nie tylko zawierały delicje w rodzaju domowego chleba, ciastek i cukru, ale również ukryte listy i nawet fotografie dzieci niewidzianych od lat. Teraz myśli „królików” o domu odżyły na nowo, szczególnie że zbliżało się Boże Narodzenie.

W Wigilię zupę rozdano wcześniej, gdyż dozorcynie, podobnie jak niemiecki personel, zeszyły ze służby, by świętować. Rozmowy obracały się wokół Bożego Narodzenia w domach. Ktoś zapukał do okna i nagle wśród kobiet znalazła się ich przyjaciółka Halina, rozdając całusy, przytulając zimne policzki do ich twarzy. Ledwie Halina zniknęła, odkryły, że zostawiła małe ciasto zrobione z chleba, margaryny i marmolady. Na wierzchu widniał królik z marmolady. Operowane ucieszyły się z tego pomysłowego prezentu gwiazdkowego, ale podniecenie doprowadziło do podwyższenia temperatury. Jedna z więźniarek z trudem zeszła z łóżka w swoich gipsowych „butach”, żeby roznieść wodę, ale gdy się poruszyła, gips zniemacka się zaczerwienił, a ona z trudem opadła na łóżko, płacząc i pozostawiając krwawe ślady na podłodze.

Po Nowym Roku kilka „królików” poczuło się na tyle dobrze, że wróciły do swych bloków, wśród nich Stefania Łotocka, której oddano ubrania, kule i kazano wyjść. Stefania jakoś zdołała wykuścić z rewiru, ale za drzwiami uderzyło ją mroźne powietrze i poczuła się słabo, osuwając się na ziemię. „Widząc beznadziejność mojej sytuacji, zaczęłam przemyśliwać, jak by ułożyć się wygodniej, gdy poczułam, że ktoś nachyla się nade mną...” Postać wzięła ją ostrożnie na ręce i zniosła do bloku. Była to Rozetta, blokowa z polskiego

baraku<sup>288</sup>.

W połowie stycznia nadeszło obwieszczenie, którego pragnęły polskie „króliki”: Herta Oberheuser ogłosiła, że nie będzie więcej operacji eksperymentalnych. Dwa dni później komendant Fritz Suhren przyszedł osobiście, by potwierdzić nowinę i wygłosić kolejny komunikat: dwie kobiety, Maria Gnaś i Janina Pajączkowska, wyjdą na wolność. Mówił z błyszczącymi oczami, jakby więźniarek nie było w sali, i wyszedł. Wszystkie wpatrywały się w Marię i Janinę, których rany ledwo zaczęły się goić, i wszystkie, włącznie z dwiema wymienionymi, rozumiały, że nie ma szansy, żeby wróciły do domu. Wtedy weszła jedna z sekretarek Langefeld z dokumentami stwierdzającymi, że kobiety są wolne i mogą wyjechać prosto do domu, do Lublina.

– Ale my nawet nie możemy chodzić – powiedziała Janina z niepokojem.

Kilka dni później obie zabrano – najwyraźniej zwolniono, choć Dziuba Sokulska wkrótce usłyszała coś innego. Dziuba skontaktowała się z Polką ze *Schreibstube*, która widziała papier z nazwiskami obu kobiet; przy każdym postawiono krzyżyk. Jako przyczynę śmierci podano zator płucny, ale wszyscy wiedzieli, że je rozstrzelano.

Kiedy Dziuba przyniosła nowinę do bloku 15., nie zapadła cisza, ta złowieszcza cisza, którą Wanda już niegdyś próbowała tłumaczyć. „Cisza, która nagle zapadała, była wyrazem strachu [...]. Lęk przed bólem fizycznym i przed upokorzeniem, lęk, którego nigdy nie umiałyśmy się wyzbyć”. Tym razem egzekucja wywołała „gorączkowe podniecenie”<sup>289</sup>. Nikt nie ma zamiaru odsyłać ich do domu. Lekarze z SS chcieli śmierci dwóch „królików”, ponieważ żywe stanowiły dowód ich zbrodni.

Przebrała się miara gniewu. Nikt nie wiedział, czemu Maria i Janina zostały pierwsze wyznaczone do stracenia, nikt też nie mógł się domyślić, kto umrze następny. Pojawił się strach: to może być każda z nich, w dowolnym momencie.

Dziuba Sokulska pierwsza zaprotestowała. A potem, jako rasowa prawniczka, oznajmiła, że wszystko musi być formalnie: należy zacząć od krótkiego listu do komendanta z pytaniem o wyjaśnienie. Zaniósł petycję. Suhren nie wyszedł do nich. Jego milczenie jednak podsyciło tylko oburzenie kobiet i pobudziło je.

Pierwsze protesty były skromne – głównie indywidualne akty

nieposłuszeństwa – i niemal niezauważalne, ale sygnalizowały zmianę nastrojów. Na przykład Eugenia Mikulska pewnego razu, stojąc o kulach pod ścianą rewiru, zauważyła Oberheuser i Fischera, którzy patrzyli w jej stronę i śmiali się. Poczła wściekłość. „Doszłam do miejsca, gdzie kończył się nasz szereg, i podparta obiema kulami stanęłam tyłem do obserwujących nas i śmiejących się zbrodniczych lekarzy. Widocznie zrozumieli ten mój gest pogardy, bo momentalnie odeszli”<sup>290</sup>.

Esesmani wiedzieli, że „króliki” mają coraz większe wsparcie w obozie, zaczęli więc rozpuszczać pogłoski, że ich rodziny w Polsce otrzymują duże sumy pieniędzy w zamian za cierpienie swych córek, że ich ojcom, braciom i mężom obiecano wcześniejsze zwolnienie z więzień.

Nieliczne, które uwierzyły w te kłamstwa, wkrótce zmieniły zdanie, gdy ujrzały powykrzywiane postacie tych niegdyś gibkich i zdrowych dziewcząt, kuśtykające od strony szpitala do swych bloków. Kiedy „króliki” usłyszały, co się o nich opowiada, dyskusje o akcji protestacyjnej stały się jeszcze gorętsze. W bloku wiele rozmawiano i planowano. Nie mogły wychodzić do pracy i siedziały w baraku, robiąc na drutach i szyjąc.

„Widok tyłu kalek [...] w jednym bloku, poczucie łączności, robiły swoje. Czuliśmy się grupą [...], rosłyśmy w jakąś nie wiadomo skąd czerpaną siłę”<sup>291</sup>. Grupki „królików” zaczynają wychodzić na powietrze i w słoneczne dni gromadzą się w osłoniętym miejscu pod ścianą bloku. Pelagia Maćkowska zapamiętała „widok ogromnie bolesny” tych „młodych dziewcząt w obramowaniu nienaturalnie wzniesionych na kulach ramion”, których twarze „zwracają się ku słońcu po ratunek, po zdrowie”<sup>292</sup>.

Największe napięcia wywołują dalsze egzekucje Polek. W tamtym czasie nie zabito żadnych „królików”, ale inne Polki zabierano raz lub dwa razy w tygodniu. Goniec wyczytywała numery, a kobiety miały wstać i wyjść. Wieczorem słychać było strzały.

W lutym 1943 roku wezwano dwie ośmioosobowe grupy dzień po dniu, a gdy drugiego wieczoru rozległy się salwy, cały blok aż zawrzał. Wybuchły spory, gdyż przywódczynie „królików” wzywały do działania, podczas gdy inne, starsze i bojące się reperkusji, twierdziły: „Poszłyście bez oporu, jak barany, prawie na ochotnika”<sup>293</sup>.

Wśród „królików” zapanowała brawura, niektóre mówiły o strajku głodowym albo masowym proteście na Lagerstrasse lub nawet o ucieczce.

Bardziej ostrożne – zwykle starsze – mówiły, że masowy protest o kulach jest śmiechu wart, a ucieczka – niemożliwa. Ale młodsze przywódczynie odpowiadały, że nie zamierzają umierać na próżno, ich głosy zaś stawały się coraz silniejsze w miarę, jak kolejne ofiary opuszczaly szpital i wracały do „domu”, do baraku.

Szwagierka Marii Gnaś, jednej z zamordowanych pacjentek, naprawdę uciekła. Jakoś pokonała mur i poszła przez pola za nim. Opowiadano, że była niczym w transie. Złapano ją od razu i odstawiono do komendanta, który zapytał, dlaczego uciekła. „Odpowiedziała, iż wie, że ją rozstrzelają”<sup>294</sup>.

Rozgorączkowane kobiety zastanawiały się, jak przeszła przez mur. Niektóre twierdziły, że raczej wolą uciec i zginąć, niż pójść niczym owce na rzeź. Inne mówiły, że popełnią samobójstwo, zanim na nowo zaczną się eksperymenty. A chociaż wiele z nich wciąż było w strasznym stanie, wszystkie powoli zdrowiały, wspomagane przez paczki, które dodawały sił – i fizycznych, i duchowych.

W styczniu Krysia też wróciła do bloku 15. i pod opieką Wandy stan jej zdrowia szybko się poprawiał. Dzielily siennik, jak wcześniej, a na sąsiedniej pryczy spały siostry Iwańskie, Janina i Krystyna, także z Lublina. Wspólnie ta czwórka rozważała rozmaite warianty – ucieczkę, samobójstwo, strajk głodowy – aż wreszcie Krysia wysunęła plan „powiadomienia świata”<sup>295</sup>. Powinny przekazać informacje o zbrodniach lekarzy na zewnątrz. Gdyby tylko mogły powiadomić polski ruch oporu o tych okrucieństwach, organizacja przekazałaby wieści do Londynu. Polski rząd na uchodźstwie znalazłby dojścia do wpływowych osób.

Kobiety miały świadomość, że wszyscy – przynajmniej w Polsce – już wiedzą o obozach koncentracyjnych, o tym, że giną tam ludzie. Ale miały też pewność, że nikomu się nawet nie śniło, że będzie się przeprowadzać eksperymenty na zdrowych młodych kobietach, które potem zostaną stracone. Gdyby wpływowi ludzie o tym wiedzieli – Krysia miała na myśli rządy w Londynie i Waszyngtonie, Międzynarodowy Czerwony Krzyż, papieża – z pewnością zabraliby głos i wszystko by ustało, stwierdziła, a inne jej przytaknęły. Rozmawiały więc, jak przekazać swoją opowieść, i to prawdopodobnie Janina Iwańska podsunęła pomysł z pisaniem atramentem sympatycznym.

Wszystkie cztery należały w przeszłości do harcerstwa i wszystkie uczyły się

o niewidocznym piśmie z wykorzystaniem soku z cytryny, mleka lub soku z cebuli jako atramentu sympatycznego. Ale czego teraz mogły użyć? Krystyna zasugerowała mocz. Jej matka kiedyś powiedziała, że używała go podczas służby w armii podczas pierwszej wojny światowej. Ktoś zapytał: „Ale czego użyjemy zamiast papieru? I jak przesznujemy listy na zewnątrz?”.

Maria Bielicka przemyślała informacje poza obóz kilka miesięcy wcześniej dzięki swym kontaktom w magazynie odzieżowym, ukrywając zapiski w paczkach odzieżowych, ale Maria należała do grupy warszawskiej; żadna z lublinianek nie wiedziała o jej wyczynie ani nie miała znajomości w *Effektenkammer*. Jedyнным ich kontaktem ze światem był comiesięczny oficjalny list cenzurowany przez SS, w którym nie mogły napisać wiele więcej niż *Ich bin gesund und fühle mich wohl* („Jestem zdrowa i dobrze się czuję”).

Piszmy między wierszami i na marginesach listów, zasugerowała Krysia. Ponieważ tak robiła jej matka, wiedziała, że należy wyprasować listy, aby pokazało się ukryte pismo. Krysia rozwiązała również kolejną kwestię: aby dać znać krewnym, że list zawiera dodatkowe informacje, postanowiła umieścić wskazówki w niemieckim tekście.

W dzieciństwie z bratem, Wiesławem, czytali przygodowe powieści Kornela Makuszyńskiego. Ich ulubioną był *Szatan z siódmej klasy*, w której bohater wysyła w liście zaszyfrowane informacje. Pierwsze litery każdego wersu, czytane z góry na dół, dawały rozwiązanie. Krysia postanowiła zawrzeć w swym następnym oficjalnym liście aluzję do Makuszyńskiego. Rodzina miała wyczuć, że coś jest na rzeczy, a brat zrozumieć wskazówkę.

Dziewczęta zgodziły się, że plan może wypalić. Wspólnie napiszą cztery listy, a nikt spoza grupy nie może o niczym wiedzieć. Kiedy przyszedł dzień pisania listów, ukryły się na strychu baraku; miejsce to wykorzystywały już palaczki, które „organizowały” papierosy z magazynów. Tu przygotowały pierwszy tajny list.

Najpierw zapisały oficjalne zdania po niemiecku, a w nich Krysia przypomniała Wiesławowi, jak podziwiali pomysłowość *Szatana z siódmej klasy*. Ustawiła wersy tak, by pierwsze litery tworzyły słowa „list moczem”. Potem, zanurzając patyczek w moczu, napisała na marginesach: „Zdecydowałyśmy napisać Wam całą prawdę”.

Pierwszy tajny list musiał być krótki, dodały więc tylko kilka zdań o operacjach. Na końcu Krysia napisała, że dalsze informacje nastąpią, i podała, jakich słów ma użyć rodzina w liście, by potwierdzić odczytanie.

List został wysłany, ale część kodu sygnalizującego ukrytą zawartość została przeoczona przez krewnych Krysi, więc niewiele brakowało, żeby wybieg się nie udał.

Wiesław Czyż, młodszy brat Krystyny, pamięta nadejście pierwszego tajnego listu do Lublina. Jak zawsze, gdy przychodziła korespondencja od siostry, jego ojciec, Tomasz, czytał ją na głos piętnastoletniemu Wiesławowi i swojej żonie Marii. Za każdym razem próbowali znaleźć między wierszami jakąś wskazówkę o położeniu Krystyny, ale formalna treść była niezmienna. Potem, pewnego dnia na początku 1943 roku, list wspomniał powieść Makuszyńskiego: „Wydawało się to bez związku – mówi Wiesław. – Ale ponieważ wciąż byłem młody, pamiętałem dobrze książkę i to, że kluczowym momentem było wysyłanie przez dzieci tajnych wiadomości ukrytych w tekście. Szybko więc zgadłem, co nam próbowała przekazać. Krystyna była cichą dziewczyną, ale mądrą i zawsze pełną błyskotliwych pomysłów”<sup>296</sup>.

Wiesław z rodzicami odcyfrowali kod, ale z powodu brakujących liter odczytali instrukcję jako „list mocz”, a nie „list moczem”. Spryskiwali więc papier wodą, co ujawniało tajne pismo, ale zdążyli jedynie je odczytać, a potem zniknęło. Zrozumiawszy pomyłkę, zanieśli list do zaufanego chemika i zapytali, jak ujawnić tekst pisany moczem. Doradził im użycie gorącego żelazka.

– To było niezwykle dostać informacje od siostry z obozu koncentracyjnego – powiedział Wiesław. – Tylko nas troje uczestniczyło w prasowaniu: moja matka, ojciec i ja. Rozmawia pani z ostatnim żyjącym świadkiem.

Spytałam, czy martwili się ryzykiem podejmowanym przez Krysię.

– Tak – odparł Wiesław – ale nikt tego nie kwestionował. Wiedzieliśmy, że robi to, co musi – podtrzymuje opór. To było instynktowne. Wszyscy to robiliśmy. Trudno to dziś zrozumieć, że w tamtym czasie opór nas podtrzymywał. Żyliśmy pod okrutnymi i brutalnymi rządami. Dla nas liczył się tylko bunt.

Po pierwszym liście nadeszły kolejne, z dodatkowymi informacjami o obozie, chociaż lata później Wiesław nie pamiętał szczegółów. Jego matka, jako major lubelskiej Armii Krajowej, przekazywała raporty swym przełożonym: „Wysyłając wiadomości, Krystyna wiedziała, że dzięki matce trafią natychmiast do polskiego podziemia”.

Wiesław wiedział, że dowódcy lubelskiej konspiracji wysyłali informacje

do Warszawy, która z kolei nadawała je przez radio do Szwecji, skąd, jak miała nadzieję rodzina, trafiały do rządu na uchodźstwie w Londynie, chociaż nikt nigdy nie odkrył, czy tak się faktycznie stało.

Czy Krystyna była szczególnie odważna? Nie bardzo, uważa Wiesław.

Była po prostu normalną dziewczyną, jak inne. Jedyne, co można powiedzieć o Krystynie, to to, że była szczególnie niewinna. Rozumie pani, bardzo młoda. W chwili aresztowania знаła tylko szkołę i swój patriotyzm. Jej przyjaciółki były takie same. Ale ona w jakiś sposób była młodsza. Bardziej niewinna.

Po wojnie siostra nigdy nie rozmawiała o listach: „Kiedy Krysia w 1945 roku wróciła do domu, chciała o wszystkim zapomnieć i wrócić do szkoły. Zawsze odmawiała rozmów o obozie”.

Kiedy rozmawiałam z Wiesławem w 2008 roku, Krysia jeszcze żyła u swej córki Marii w Lublinie. Maria mogła wiedzieć, gdzie są listy, sądził Wiesław, choć sama Krysia straciła pamięć i nie mogła mówić.

Córka Krysi, Maria Wilgat, nie wiedziała nic o zachowanych listach i niewiele o obozie, ponieważ po wojnie Krysia również z nią o tym nie rozmawiała. Ale Maria zaoferowała pomoc. Dwadzieścia lat po wojnie jej matka zgodziła się napisać relację o tajnych listach, gdyż miało to dla niej szczególne znaczenie. „To jedyna historia, jaką chciała opowiedzieć”, powiedziała Maria i przesłała mi kopię relacji<sup>297</sup>.

Listy powstały, napisała Krysia, aby powiedzieć światu o „haniebnych czynach lekarzy niemieckich” i w nadziei, że jeśli świat zacznie o nich mówić, Niemcy przerwą zbrodnie. „Wskutek operacji kilka z naszego grona umarło, wiele zostało kalekami, zaś u wszystkich, bez względu na stopień zniszczenia zdrowia, operacje pozostawiły niezatarte ślady w psychice”<sup>298</sup>.

Od samego początku plan traktowano z największą powagą.

Po otrzymaniu znaku od rodziny, że pierwszy tajny list został odczytany, niebezpieczna gra pochłonęła nas całkowicie. Zaczęliśmy pracować nad udoskonaleniem i rozszerzeniem korespondencji.

Przede wszystkim zerwałyśmy z pisaniem między wierszami. Wykorzystywałyśmy natomiast wnętrza koperty obozowej. W ten sposób zyskiwałyśmy miejsce, bo na pustym papierze można było zagęścić wiersze. Niewątpliwie był to także system bezpieczniejszy. Każdą kopertę w pierwszym okresie korespondencji opatrywałyśmy kolejnym numerem, żeby rodziny w Polsce łatwiej mogły kontrolować, czy otrzymują wszystkie pisane przez nas listy.



Aby przekazywać dłuższe wiadomości, dziewczęta postanowiły wysyłać po kawałku każdego listu do czterech rodzin, które miały się potajemnie spotykać i odczytywać je. Przekazano wskazówkę o tej zmianie. Wspólne listy nie były traktowane jako osobiste, ponieważ miały je czytać inne rodziny. Cała czwórka uzgadniała treść listów, zwykle redagowały je co najmniej dwie osoby. Ulepszono też system, prosząc rodziny o potwierdzanie odbioru poprzez wkładanie do wysyłanych paczek żywnościowych na przykład nici określonego koloru lub umieszczanie numeru otrzymanego listu na puszcze.

Kiedy zorientowałyśmy się, na czym polega kontrola paczek żywnościowych w łagrze (esesmanka dokonywała rewizji w obecności więźniarki), otrzymywałyśmy nawet „grypsy” od rodzin, zwykle ukryte w tubce z pastą do zębów. Stąd w listach częste wzmianki o „paście”.

Później dziewczęta dostawały produkty żywnościowe zawijane w kartki książek. „W ten sposób rodziny przemyciły dla nas *Pana Tadeusza* i *Echa leśne Żeromskiego*”, wspominała Krysia. Po pewnym czasie grupa rozszerzyła się o kolejne cztery więźniarki, między innymi Dziubę Sokulską, prawniczkę z Lublina, i warszawską studentkę Wojciechę Buraczyńską. Była też grupa, która wiedziała o pisaniu listów i pomagała, ale nie robiła tego bezpośrednio.

Dla Krysi pisanie listów stało się misją, której się poświęciła, planując, co i gdzie napisać i jak podzielić wiadomości, wymyślając znaki i starając się ukryć ślady przed wejściem na strych późną nocą, by po cichu zebrać mocz – chociaż o tym nie wspomina – i pisać. Co więcej, fakty musiały być jak najdokładniejsze, sprawdzone raz i drugi, ponieważ stanowiły świadectwo zbrodni z pierwszej ręki; nie tracono ani czasu, ani miejsca na próżne skargi na warunki czy ogólne opisy obozu.

W swej relacji Krystyna cytuje listy, żałując, że nie obejmują wszystkich nazwisk operowanych albo zawierają pomyłki w numerach obozowych. „Nieścistości te łatwo dają się zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę warunki, w jakich listy powstawały”. Wśród operowanych wymienionych jako żyjące znalazły się też te, które rozstrzelano, ale stało się to niedługo po wysłaniu listu. Przy przeglądaniu korespondencji Krystynę uderzyła ich naiwność: „Musimy pamiętać, że autorkami jej były młode dziewczęta. Ich wiek i brak perspektywy w stosunku do bezpośrednich przeżyć zaważyły na sposobie opisywania i interpretacji faktów”.

Skróciła nawet wybrane listy, by usunąć „optymistyczne akcenty,

niejednokrotnie mocno wyolbrzymione”. Chodzi o zdania, które miały „wynagrodzić rodzinom ciężkie przeżycia związane z lekturą listów”. Inne cytowane fragmenty także zostały skrócone, a z relacji wynikało, że gdzieś musiała się zachować większość oryginalnych listów.

W 2010 roku córka Krystyny, Maria Wilgat, powiedziała mi, że matka jest w stanie krytycznym i wkrótce umrze. Tak więc Maria spędzała więcej czasu w jej mieszkaniu i skorzystała z okazji, żeby się rozejrzeć. Odkryła tajne listy i inne dokumenty ukryte w starym wałku do ciasta jej babki i wydrążeniu w desce do krojenia. Kiedy ponownie się spotkałyśmy, Maria wyjęła listy – wszystkie dwadzieścia siedem, niektóre kruszące się, ledwo czytelne, i różnego kształtu, między innymi trójkątne. Niektóre ewidentnie napisano na odwrocie kopert, a na innych słowa biegły wokół tekstu. Wszystkie starannie przechowano.

Najwcześniejsze listy to głównie długie listy nazwisk kobiet straconych i operowanych, niekiedy oznaczonych krzyżykami; cztery rodziny w Lublinie musiały nad nimi ślęczeć, zanim przekazały dalej złe wieści. Są także szczegółowe opisy operacji, daty i kolejne nazwiska. 24 marca Krysia napisała:

Do dnia 16 I 43 r. zostało zoperowanych 70 osób ogółem. Z tego 56 z lubelskiego transportu wrześniowego, w tym 36 operacji zakaźnych (3 bez cięcia), 20 kostnych. [...] Od 15 I 1943 nie wzięto nikogo na operację. [...] Przy operacjach kostnych każde cięcie jest kolejno drugi raz otwierane.

Potem następuje niemal kompletny spis dat operacji, z obozowymi numerami kobiet: „Zakaźne. 1 VIII 42: Wojtasik Wanda 7709, Gnaś Maria 7883, Zielonka Maria 7771...”. Są też nazwiska lekarzy, którzy w tamtej właśnie chwili wciąż operowali i ukrywali się za prześcieradłami.

Oprócz prof. Gebhardta wykonują operacje jego dwaj asystenci, Fischer i Stumpfegger. Na znak, że odczytaliście ten list, przyślijcie mi w paczce niebieskie nici. [...] możecie w podwójnym dniu puszkę przysłać gryps. Napiszcie choć raz, opiszcie sytuację polityczną. Czekam na to! Dalszy ciąg u Duśki i Janki Iwańskiej.

W wielu listach Krysia pisze, że chętnie by się dowiedziała, czy ich listy docierają do Londynu i reszty świata.

Podczas lektury natrafiamy na „optymistyczne dopiski”, które Krysia

zamieszczała dla pociechy rodziców<sup>299</sup>. „Nie jest źle. Jesteśmy wszystkie razem”, napisała. „U nas wszystko w porządku. Wstajemy rano, więc jestem wdzięczna tacie, że od dziecka nas do tego przyzwyczajają”. W innym liście: „Mamy okazję się umyć, a zimna woda jest zdrowa i naprawdę całkiem przyjemna”.

Później, przeglądając listy uważniej, znalazłam kilka, których Krysia nie wspomniała w swej relacji. Jeden zaczyna się tak:

*Kochana Mamo,*

*od wczoraj jestem przygnębiona i nie mogę tego znieść, więc zwierzam Ci moje myśli i wyobrażam sobie, że jesteśmy blisko i że mogę Cię poczuć obok. Czuję, jak to miło, i zaczynam płakać. Czasem jest tak źle, że muszę porozmawiać z Tobą w myślach lub napisać albo zacząć myśleć o czymś innym, ponieważ inaczej bym się załamała.*

Inny list, którego data wyblakła, ale prawdopodobnie napisany pod koniec marca lub na początku kwietnia, ma całkowicie odmienny ton; opowiada, jak zaczął się pierwszy prawdziwy protest w obozie: „Pierwsze przeciwstawienie bezprawiu... [...] 12 III [1943 roku] wezwano znów 5 zdrowych na operację. Te wezwane postawiły opór. Rękoczynów w stosunku do nich nie użyto. [...] Zofia Sokulska stawiała kategorię opór”.

We wcześniejszym liście Krysia napisała rodzicom, że od 15 stycznia 1943 roku „nie wzięto nikogo na operację”, ale zanim dostali tę wiadomość, była ona już nieaktualna. W pierwszych dniach marca w rewirze nakazano przygotować się do kolejnych operacji, a gniew znów osiągnął punkt wrzenia. Wezwano pięć kobiet operowanych już raz lub dwa razy, wśród nich Dziubę Sokulską.

Wydarzenia w bloku 15. rozgrywały się szybko. Jak to później ujęła Wanda Wojtasik: „[...] rozstrzelanie dwóch spośród nas dało nam potężną broń do ręki: odwagę straceńców, ludzi, którym dziś wszystko wolno, bo jutro przestaną żyć. [...] Bez umowy, bez dyskusji, gdzieś w nas samych zapadło postanowienie: dość!” I znów na pierwszy ogień poszła Dziuba. Wezwana na operację 13 marca, powiedziała, że nie pójdzie. „Postawiono ją przed komendantem. Powtórzyła to samo, dodając, że wie, co to znaczy, bo była dwukrotnie operowana i ma dość operacji. [...] Wróciła do bloku. To pierwsze

głośne powiedzenie «nie!» przywitane zostało z entuzjazmem. Kochaliśmy niemal Dziubę za to odważne «nie pójdę»<sup>300</sup>.

Niemal w tym samym czasie inna z pięciu wezwanych, Zofia Stefaniak, leżała w rewirze, wciąż dochodząc do siebie po poprzedniej operacji. Z trzema dziurami wywierconymi w kości leżała dłużej niż inne i była świadkiem niektórych z najgorszych późniejszych okrucieństw, zabiegów Stumpfeggera. Kobieta była tak przerażona, że kiedy usłyszała, iż ma być ponownie operowana, zniecka znalazła siły, by zwlec się z łóżka i uciec przez okno.

– Tak się bałam operacji, że tym razem musiałam uciec – powiedziała Zofia.  
– Pomyślałam, że tym razem odetną mi nogi. Widziałam Rosjanek z odciętymi nogami. Więc po prostu wyskoczyłam na trawę.

Zofia uciekła po wieczornym apelu, toteż nikt jej nie zauważył. Jakoś doszła do bloku 15., gdzie usłyszała, że Dziuba również się sprzeciwiła. Koleżanki ukryły ją na strychu.

Buntowniczeki czekały na odpowiedź SS, ale nic się nie stało. Wyglądało na to, jakby cała esesmańska załoga udawała, że eksperymentów nigdy nie było. „Zachowywali się, jakbyśmy nie miały z nimi nic wspólnego”, wspominała Jadwiga Kamińska.

Impas trwał, aż następnego dnia z rewiru nadeszła kolejna lista pięciu nazwisk. Nikt się nie zgłosił. W bloku 15. któraś, prawdopodobnie Jadwiga, zasugerowała marsz protestacyjny i tym razem pomysł nie został wyśmiany. „Jeżeli komendant zamierza udawać, że w obozie nie prowadzi się eksperymentów medycznych, chodźmy, stańmy przed nim i pokażmy mu”, mówiła jedna z przywódczyń. „Jak mają nas rozstrzelać, to po co mają nas przedtem krajać”, wspominała Eugenia Mikulska<sup>301</sup>.

Ktoś zasugerował, że lepiej byłoby pójść do biura Langefeld, a nie Suhrena, gdyż wreszcie mogłaby usłyszeć, co się dzieje. Powinny wziąć petycję podpisaną przez każdą z nich, powiedziała Dziuba Sokulska. Halina Chorążyna, inżynier chemik, zaoferowała, że napisze krótki tekst. Jadwiga Kamińska i Zofia Baj zostały wybrane na rzeczniczki protestujących. Miały wyruszyć następnego dnia. Wszystkie gotowe były okazać jedność. Silniejsze miały zanieść te zbyt ranne, aby iść o własnych siłach. Inne miały iść o kulach lub kuśtykać.

Źródła podają sprzeczne daty, ale Krysia stwierdza w liście w swym

charakterystycznym rzeczowym tonie: „14 III stawiły się przed Główną Dozorczynią [*Oberaufseherin*] wszystkie operowane, żądając wyjaśnienia, na jakiej podstawie dokonuje się operacji na więźniach politycznych, czy są one przewidziane w specjalnych wyrokach”<sup>302</sup>.

Prawdopodobnie było przed południem, gdy pochód wyruszył, ponieważ na Lagerstrasse panowały pustki. Kobiety powoli ustawiły się pod blokiem i procesja ruszyła. „Droga wydawała nam się długa – 300 metrów lub więcej. A ziemia była bardzo nierówna”, wspominała Wojciecha Buraczyńska<sup>303</sup>.

Pelagia Maćkowska tak zapamiętała tę scenę: „Widok był makabryczny: grupa kobiet kalek, wspartych na kulach lub kijach albo niesionych przez zdrowe koleżanki, posuwała się powoli w stronę biura obozu. Obraz ten nigdy nie zatrze się w mej pamięci”.

Na czele pochodu szły najbardziej poszkodowane. „Ja jeszcze nie chodziłam, więc zdrowe koleżanki wzięły mnie na ręce i niosły na przodzie, a milczące młode kaleki postępowały za nami”, relacjonowała Mikulska. Kolumna przeszła całe 300 metrów w zupełnym milczeniu, poza stukaniem kul na Lagerstrasse. Każda robiła krok, a potem zbierała siły do kolejnego. Zdawało się, że trwa to wieki.

Pierwsze metry były najgroźniejsze, gdyż musieli pojawić się strażnicy, ale nikt nie próbował zatrzymać więźniarek ani w żaden sposób im przeszkadzać. Komanda robocze, wracające wcześniej z pracy, po prostu stanęły zaskoczone. Inne, wewnątrz baraków, patrzyły przez okna, lecz wciąż nie pojawił się żaden strażnik.

„Doszliśmy bez przeszkód na plac główny, przy którym mieściła się kancelaria obozu”, stwierdziła Pelagia, chociaż świadome były, że są obserwowane z komendantury. Pochód dotarł do celu i ktoś kazał kolumnie stanąć. Dwie kobiety niosące Eugenię Mikulską przechodzą na przód i stawiają ją na ziemi.

„Przed schreibstubą zostawiły mnie na ziemi, a same wróciły do szeregu, który zatrzymał się jakieś 50 metrów w tyle. Nie mogłam stać, więc przykucnęłam na zdrowej nodze z wyprostowaną chorą, bo nie mogłam jej zginać”.

Gdy wszystkie protestujące się zebrały, ich rzeczniczki, Jadwiga Kamińska i Zofia Baj, podeszły do biura Langefeld. Wtedy pojawiła się strażniczka. Powiedziały jej, że chcą się zobaczyć z *Oberaufseherin* Langefeld.

Nadzorczyńni weszła do budynku i przez dłuższy czas nic się nie działo.

„Jesteśmy przygotowane na najgorsze” – wspominała Pelagia. Mija jeszcze chwila. „Cisza wokoło, na ulicach obozowych ani żywej duszy”. I dodawała: „W głębokim milczeniu patrzymy uparcie w jedno tylko miejsce, w drzwi biura”.

W oczekiwaniu na Langefeld Jadwiga Kamińska „przepowiada po cichu słowa protestu: «My, więźniarki polityczne, protestujemy kategorycznie przeciw dokonywaniu na naszych zdrowych ciałach operacji doświadczalnych...»”.

Wciąż nie zjawia się Langefeld ani Suhren, ani nikt inny. Kobiety więc nadal stoją, patrząc przed siebie. Kwitły ogniste szałwie, świeciło południowe słońce. Jadwiga ponownie wygłasza oświadczenie, tym samym cichym głosem: „My, więźniarki polityczne, protestujemy kategorycznie przeciw dokonywaniu na naszych zdrowych ciałach operacji doświadczalnych...”.

Wciąż tylko cisza.

Po chwili, według jednej z kobiet, pojawiła się urzędniczka z kancelarii i powiedziała Jadwidze i Zofii, że *Oberaufseherin* „o operacjach nic nie wie”, że to „historyczne» wymysły bab”<sup>304</sup>. Wezwane do rewiru miały mieć jedynie mierzoną temperaturę. Teraz wszystkie mają spokojnie wrócić do bloku.

Krysia jednak zanotowała w liście do domu, że Langefeld przekazała coś innego. „Główna dozorczyńni poleciła sprawę oddać do dyrektora lagru”. Wiele protestujących zapamiętało też, że Johanna Langefeld na krótko się im pokazała. „Wyszła i patrzyła na nas przez chwilę” – wspominała jedna z więźniarek. „Wyglądała na zawstydzoną – dodała inna. – Wyglądała na sparaliżowaną i skrępowaną, jakby ją coś bolało”. Wszystkie jednak zgadzają się, że Langefeld nie odezwała się, obróciła się i szybko wróciła do biura.

Grete Buber-Neumann, wówczas osobista sekretarka Langefeld, rozczarowująco milczy o tym epizodzie – być może tego dnia nie była w biurze. Opowiada nam jednak dość o nastroju Langefeld, byśmy się domyślili, co ją „sparaliżowało”, gdy spoglądała na szeregi „królików”. Mniej więcej w tym czasie Langefeld opowiadała Grete, że ma koszmary.

Pewnego ranka weszła do biura zmęczona i przygnębiona. Miała sen, który chciała mi opowiedzieć, bym go mogła wyjaśnić. We śnie na obóz spadały bomby, nadjechały obce czołgi i zdobyły Ravensbrück. Powiedziałam bez wahania: „*Frau Oberaufseherin*. Boi się pani, że

Niemcy przegrają wojnę” i dodałam po chwili: „A Niemcy przegrają wojnę”.

Za to powinnam trafić od razu do bunkra. Ale ona tylko spojrzała na mnie z przestachem i nie odezwała się. Od tej chwili wiedziałam, że ta kobieta nigdy mnie nie skrzywdzi.

Grete opowiada, że pozycja Langefeld w tamtym czasie była coraz bardziej zagrożona. Esesmani już ją oskarżyli o sympatyzowanie z polskimi więźniarkami, a Suhren zbierał przeciwko niej dowody z pomocą Ramdohra. Grete obszernie relacjonuje, że na początku 1943 roku Langefeld była coraz bardziej „rozdarta” między dobrem a złem. A sama Grete przypisuje sobie zasługę zmiany perspektywy Langefeld, by zaczęła postrzegać sprawy z punktu widzenia więźniów. „Nie tylko zatrzęślam jej wiarą w niemieckie zwycięstwo, ale także sprawiłam, że spojrzała na system obozu koncentracyjnego oczami ofiar”, mówi.

Bez wątplenia Grete miała znaczący wpływ na Langefeld. Jednak jej pozycja sekretarki Langefeld również była wystawiona na ciosy. Jej gorliwość w przypisywaniu sobie po latach „nawrócenia” Langefeld może równie dobrze służyć zatuszowaniu faktu, że siedząc w biurze z *Oberaufseherin*, była najbardziej uprzywilejowaną z więźniarek.

A bez względu na to, jak rozdarta była Langefeld, od powrotu z Auschwitz nie zrobiła nic, żeby powstrzymać mordy i okrucieństwa popełniane w Ravensbrück. Nawet teraz, w obliczu protestu „królików”, po prostu zrzuciła odpowiedzialność na komendanta, jak relacjonowała Krysia Czyż. Suhren nie miał pojęcia, co robić; na jego biurku nie leżała instrukcja, jak zdławić bunt kobiet o kulach. Tak więc spoglądając jednym okiem na tłum za oknem, komendant chwycił za słuchawkę, by uzyskać wskazówki z Berlina.

Manifestantki tymczasem poczuły ból i nie mogły dłużej czekać na odpowiedź, więc ich przywódczyni dała sygnał powrotu do bloku. Eugenia wciąż kuciała z zagipsowaną nogą. Później wspominała: „Znowu podeszły do mnie koleżanki i wzięwszy mnie na ręce, zaniósły do bloku i położyły do łóżka”. Pozostałe obróciły się i poszły do baraku. „Poczułyśmy się zwartą grupą, przygotowaną na opór i skutki oporu, grupą, która stanowi już pewną siłę”, stwierdziła Pelagia Maćkowska.

Protesty jednak się nie skończyły. Następnego dnia, wciąż nie mając odpowiedzi od Suhrena, kobiety postanowiły napisać ponownie. „Do Komendanta Obozu! Więźniarki polityczne operowane [wymieniono nazwiska]

zwracają się do p. Komendanta z zapytaniem, czy jest mu wiadomo, że w obozowym rewirze dokonywane są na politycznych Polkach, bez ich zgody, operacje doświadczałne, które powodują ciężkie okaleczenia ciała. [...] chcielibyśmy wiedzieć, czy operacje te są przewidziane przez nasze wyroki, których treści nie znamy. Zwracamy się z prośbą o udzielenie nam posłuchania lub odpowiedzi”<sup>305</sup>.

Nadeszła odpowiedź – nie od Suhrena, ale z rewiru. Aby udowodnić, że wezwania były „nieporozumieniem”, ogłoszono, że poszukuje się ochotniczek, którym w szpitalu będzie mierzona temperatura. Nikt się nie zgłosił. Pięciu kobiet wezwanych wcześniej na nowe operacje nie niepokojono, a protesty się rozszerzyły.

Bez wątpienia ośmielone buntem „królików” i brakiem reakcji SS „zdrowe” Polki „wystąpiły kontra energicznie”, jak to ujęła Krysia. I znów „władze zaniepokojone zajściem nie stosowały żadnych represji”, napisała w liście do domu.

Protest zdrowych Polek odbył się trzy dni później<sup>306</sup>. Do wystąpienia doszło, kiedy na początku wieczornego apelu dziewięć kobiet, wszystkie z Warszawy, wezwano zniemacka do *Effektenkammer*. Najwyraźniej oznaczało to egzekucję. Być może z powodu napiętej atmosfery po proteście operowanych albo dlatego, że kobiety stanowiły szczególnie silną grupę, obwieszczenie to wywołało niezwykle podniecenie. Przyjaciółki ofiar, rozgniewane tym, że nie dano im nawet czasu na pożegnanie, wyłamały się z szeregów i ruszyły spontanicznie w stronę magazynu odzieżowego, by po raz ostatni choć spojrzeć na skazane.

Helga Gallinat, jedna z dozorczyń, wyczuła, co się dzieje, i zaczęła ścigać więźniarki, wrzeszcząc i bijąc. Kobiety zaskoczyły Gallinat, oddawały jej ciosy i niemal ją zlinczowały. Inne dozorczyńie ruszyły jej na pomoc – i również zostały zaatakowane. Gdy wybuchło zamieszanie, tłumaczka Langefeld, Polka Helena Korewina, wykorzystała swoje możliwości i uruchomiła syrenę wzywającą nocną zmianę do pracy. Na ten sygnał tysiące kobiet z nocnej zmiany wyległy na Lagerstrasse, zamęt ucichł i w obozie wrócił porządek.

Jednak w Ravensbrück wszyscy wiedzieli, że tylko minuty dzieliły więźniarki od buntu. Nastrój jeszcze bardziej się zaognił i Fritz Suhren miał dodatkowe dowody przeciwko Langefeld, gdyż zamieszki pokazały, że nie



sprawuje już ona kontroli nad obozem.

To jednak inny incydent, wkrótce po tych zamieszkach, wystawił lojalność Langefeld i cierpliwość Suhrena na ciężką próbę. Ponownie wmieszane weń były „króliki”. Grete Buber-Neumann, która przy tej okazji stała u boku Langefeld, podaje szczegóły. Według niej Langefeld była szczególnie przerażona losem „królików”, ponieważ zostały one zamiane obietnicą, że w zamian za zgodę na operacje wrócą do domu; zamiast tego „wykorzystane” ofiary rozstrzelano.

Dopiero jednak na początku kwietnia prawda o tym oszustwie dotarła do Langefeld. Tego dnia Grete pracowała z *Oberaufseherin* w jej biurze, gdy przyszła notatka z biura Gestapo z poleceniem, by dziesięć Polek z numerami między 7000 a 10 000 stawiało się *nach Vorne*. Grete widziała pismo i wiedziała, co ono oznacza, podobnie jak Langefeld. Goniec przyprowadziła kobiety z ich bloków. Grete wspominała:

Siedziałam przy maszynie do pisania i wyglądałam przez okno. Gdy grupę prowadzono przez plac apelowy, zauważyłam, że dwie kobiety idą o kulach.

– *Frau* Langefeld! – wykrzyknęłam. – Zamierzają zastrzelić „króliki”. Prowadzą je.

Langefeld zerwała się, rzuciła okiem za okno, złapała za słuchawkę i zażądała rozmowy z komendantem.

Siedziałam, słuchając z niepokojem.

– *Herr Lagerkommandant* – powiedziała. – Czy ma pan zezwolenie z Berlina, żeby rozstrzelać „króliki”?<sup>307</sup>

Grete nie słyszała odpowiedzi Suhrena. Langefeld rozłączyła się i zwróciła do Grete, mówiąc jej, żeby wyszła i cofnęła dwie więźniarki o kulach do bloku.

Po czterech latach na stanowisku naczelnej nadzorczyńi w obozie kobiecym i po sześciu miesiącach w Auschwitz Johanna Langefeld wreszcie wybrała między dobrem a złem, otrząsnęła się z niezdecydowania i ruszyła na ratunek dwóm Polkom. Grete, świadoma, że Langefeld nie podporządkowała się rozkazom SS, a tym samym naraziła się na wielkie ryzyko, posłuchała polecenia szefowej i kazała „królikom” wracać do baraku.

Dwa tygodnie później Grete znów siedziała w biurze i obserwowała, jak Langefeld odbiera telefon od Suhrena. Tym razem Langefeld słuchała w milczeniu, potem odłożyła słuchawkę i wyszła bez słowa.

Wskutek decyzji sprzed dwóch tygodni o wstrzymaniu egzekucji kalekich

kobiet Johanna Langefeld została zdymisjonowana. Tę decyzję zatwierdził sam Himmler. Za to – i szereg innych „przestępstw” jej przypisanych – postawiono jej zarzut złamania dyscypliny, za co groził sąd SS. Na początku kwietnia 1943 roku Johanna Langefeld po raz ostatni opuściła Ravensbrück.

[274](#) Wspomnienia Stefanii Łotockiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 228.

[275](#) Wspomnienia Eugenii Mikulskiej w: tamże, s. 283.

[276](#) Wspomnienia Ireny Krawczyk w: tamże, s. 167.

[277](#) Wspomnienia Marii Grabowskiej w: tamże, s. 84, i Falkowska, Raport dla komisji historycznej, Instytut Pamięci Narodowej, Polska.

[278](#) Höss, *Autobiografia*, s. 136.

[279](#) Wspomnienia Pery Broada w: *Oświęcim w oczach SS*, tłum. J. Rawicz, Katowice 1985, s.141.

[280](#) Höss, *Autobiografia*, s. 133.

[281](#) D. Czech, *Kalendarium*, s. 262.

[282](#) Szef wyszkolenia SS uznał Suhrena za „nieco niepewnego i skrępowanego”, pozbawionego „ducha wojskowego”, jednak jego zachowanie było „nienaganne”, podobnie jak narodowosocjalistyczne przekonania. Zob. Strebel, *Ravensbrück*. Niemiecka więźniarka Isa Vermehren zauważyła jego „towarzyskie wyrobienie” (TNA TS/895).

[283](#) Tak zwane śledztwo Ramdohra skupiało się na okradaniu przez SS warsztatu kuśnierskiego, ale według Elli Pietsch, szczególnie bystrej dozorczyń, była to jedynie przykrywka. Kluczowy świadek – esesman niższej rangi Verchy – został zastrzelony, zanim złożył zeznanie. Ramdohr powiedział Pietsch, że Verchy „zmarł śmiercią naturalną”, ale nie uwierzyła mu (BAL B162/981).

[284](#) Liczba zmarłych za: Strebel, *Ravensbrück*.

[285](#) *Dictators*. Zob. też miesięczne raporty w SA, które pokazują fluktuację „bezużytecznych” robotnic i liczby odrzuconych z powodu „śmierci”. W *Siemens* Feldenkirchen notuje, że kierownictwo uznało produkcję za „imponującą” wskutek „wzorcowego” wyposażenia warsztatów i „porządku, jaki panował w miejscu pracy”.

[286](#) *Dictators*. Helena Strzelecka, Lund 192, opisała kilka „pijackich orgii” w rewirze. Quernheim urządziła „makabryczne przedstawienia” dla tych, które zamierzała zabić. Najpierw je kąpała i dekorowała wannę kwiatami, a potem czesała im włosy.

[287](#) Wspomnienia Marii Grabowskiej i Pelagii Maćkowskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 85, 240.

[288](#) Wspomnienia Stefanii Łotockiej w: tamże, s. 232.

[289](#) *I boję się snów*, s. 115, 117.

[290](#) Wspomnienia Eugenii Mikulskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 285.

[291](#) *I boję się snów*, s. 117.

[292](#) Wspomnienia Pelagii Maćkowskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 243.

[293](#) *I boję się snów*, s. 119.

[294](#) Tamże, s. 118.

[295](#) Wspomnienia Krystyny Czyż-Wilgatowej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 55 i nast. (tu informacja, że pomysł pisania listów wyszedł od Janiny Iwańskiej – przyp. tłum.) oraz wywiady autorki z Wandą Półtawską z d. Wojtasik i Wojciechą Zeiske z d. Buraczyńską. Zob. też *I boję się snów*, s. 134.

[296](#) Wywiad autorki.

[297](#) Wywiad autorki.

[298](#) Wszystkie cytaty za wspomnieniami Krystyny Czyż-Wilgatowej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 56 i nast.

[299](#) Dopisków tych i cytowanego niżej osobistego listu nie ma w tomie *Ponad ludzką miarę* (z przyp. tłum.).

[300](#) *I boję się snów*, s. 119–120.

[301](#) Wspomnienia Eugenii Mikulskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 286.

[302](#) Wspomnienia Krystyny Czyż-Wilgatowej w: tamże, s. 64.

[303](#) Marsz przedstawiła mi Wojciecha Zeiske; inne relacje, szczególnie Pelagii Maćkowskiej i Eugenii Mikulskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 243–244, 286–287.

[304](#) Pierwszy cytat ze wspomnień Pelagii Maćkowskiej, s. 244, drugi za *I boję się snów*, s. 244. (Wanda Półtawska napisała, że protestujące chciały się widzieć z komendantem, nie z Langefeld – przyp. tłum.).

[305](#) Wspomnienia Leokadii Kwiecińskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 195.

[306](#) Wspomnienia Krystyny Czyż-Wilgatowej w: tamże, s. 64–65; W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 179.

[307](#) *Dictators*.

## Część trzecia

## Rozdział 16

### Armia Czerwona<sup>308</sup>

Walentyna Samojłowa, studentka medycyny z Kijowa, świętowała koniec semestru, jedząc lody na brzegu Dniepru, kiedy w czerwcu 1941 roku wojsko Hitlera wkroczyło do Związku Radzieckiego. „Rozświetliło się niebo i padł rozkaz mobilizacji – wspominała. – Na początku śpiewaliśmy pieśni, a potem zawyły syreny i chłopcy pożegnali swoje dziewczyny. Tej nocy widzieliśmy płonące samoloty na niebie i ranne konie na ulicach. Musieliśmy pracować przy zbieraniu ciał. Patrzyliśmy, jak wszystko zmierza ku końcowi”<sup>309</sup>.

Podobnie działo się w całym Związku Radzieckim. Wojna wybuchła po zakończeniu egzaminów na uniwersytetach. Anna Stiekolnikowa, wykładowca z Orła koło Moskwy, świętowała koniec roku, kiedy głos radzieckiego ministra spraw zagranicznych Mołotowa ogłosił przez głośniki, że zaczęła się wojna.

Kazali nam zebrać się na uczelni, gdzie uczyliśmy się detonować bomby zapalające. Potem chłopaki wyjechali na front i nigdy już ich nie zobaczyliśmy. Potem nagle wszyscy musieliśmy się wynieść. To był 2 lipca 1941 roku i przyszedł rozkaz, żeby personel medyczny ewakuował szpital. Studenci właśnie zdali egzaminy, ale wezwani zostaliśmy wszyscy.

W Odessie lekarki i pielęgniarki dostały wojskowe mundury, przydział do medycznych jednostek marynarki i wysłano je do opieki nad rannymi na froncie, który przybliżał się do miasta. „Nie zastanawiałyśmy się ani chwilę. Ledwo przestałyśmy być dziećmi, ale kochałyśmy nasz kraj i chciałyśmy go bronić” – mówi Maria Własenko, pielęgniarka z Odessy, którą szrapnel zranił w oko i nogę.

Kiedy w listopadzie 1941 roku padła Odessa, medyczną jednostkę Marii ewakuowano z wojskiem na plażę Morza Czarnego, skąd popłynęła statkami

do Sewastopola, by bronić Półwyspu Krymskiego. Sewastopol już legł w gruzach i były niewielkie nadzieje na zatrzymanie niemieckich postępów, ale rozkaz Stalina brzmiał: walczyć do śmierci. „Nie ma radzieckich jeńców wojennych, są tylko zdrajcy”, powiedział żołnierzom zepchniętym na kraniec cypla, gdzie z jednej strony otaczali ich Niemcy, a z trzech morze. Statki zabrały wyższych oficerów Armii Czerwonej w bezpieczne miejsce, ale pielęgniarki i lekarze zostali na krymskich klifach, by opiekować się rannymi.

Powiedzieli, że przyplynie po nas statek lub okręt podwodny, ale nikt się nie pojawił. Przeszliśmy do ostatniej zatoki – Zatoki Piaszczystej – gdzie wszędzie dookoła leżeli ranni. Przesunęliśmy ich pod sam klif, żeby statki ratunkowe mogły ich zabrać, ale żaden nie przyplłynął. Używaliśmy wszystkiego, aby im pomóc – starych prześcieradeł i koszul. Szyny robiliśmy z porąbanych taboretów. Zamiast morfiny dawaliśmy im alkohol. Ale wiedzieliśmy, że jesteśmy odcięci. Zostaliśmy odcięci z rannymi na tym cyplu, który zaraz miał upaść. Ciała wpadały do wody, gdzie puszczały bąbelki i pękały. Całe morze zrobiło się czerwone. Potem na półwysep spadła bomba.

Gdy Maria Własenko opowiada, cała rodzina zjeżdża się do jej malutkiego domku w zakurzonej wsi na brzegu Morza Czarnego. Siadają po turecku na podłodze i słuchają. Nigdy wcześniej nie słyszeli jej opowieści.

Maria i podobne jej kobiety stały się w większości anonimowymi ofiarami Ravensbrück. Kobiety z Zachodu po wojnie wspominały „zdyscyplinowane” kobiety z Armii Czerwonej, które przyjechały do obozu, ale nikt zbyt wiele o nich nie wiedział, a kiedy opadła żelazna kurtyna, kobiety te całkowicie zniknęły z pola widzenia. Ocalałe więźniarki radzieckie podobnie anonimowe pozostały we własnym kraju, gdzie do milczenia zmuszano je zastraszaniem.

Zastraszał sam Stalin. Kiedy ocalałe radzieckie więźniarki wróciły do ojczyzny po latach cierpień w niemieckich obozach, Stalin dowiódł prawdziwości swych słów i potraktował własnych żołnierzy jak zdrajców tylko dlatego, że dali się wziąć do niewoli i nie zginęli w walce. Wśród tych, którzy wrócili, znalazło się 800 tysięcy kobiet, które zgłosiły się na ochotnika lub zostały zwerbowane do pracy w wywiadzie, powołane jako telegrafistki, lekarki i pielęgniarki<sup>310</sup>. Sam fakt, że znalazły się w obcym kraju i zadawały się z cudzoziemkami – choćby takimi samymi więźniarkami jak one – oznaczał, że zostały skazane faszyzmem.

Po powrocie do Odessy Maria Własenko i jej towarzyszkę zostały przesłuchane przez Smiersz, radziecki kontrwywiad wojskowy. W najlepszym przypadku trafiały na czarną listę i nie dostawały zgody na pracę.

W najgorszym razie stawiano im sfirowane zarzuty i czekał je proces przed tajnym sądem. Funkcjonariusze zmuszali ich towarzyszki torturami, przekupstwem lub szantażem do składania obciążających zeznań, po czym „winne” wywożono na Sybir lub rozstrzeliwano.

Po śmierci Stalina w 1953 roku atmosfera nieco złagodniała i zesłane na Syberię mogły wrócić, jednak strach przed prześladowaniami pozostał, a relacje z pobytu w nazistowskich obozach nadal podlegały surowej cenzurze. Dopiero po zjednoczeniu Niemiec w 1990 roku, gdy Berlin po raz pierwszy zaproponował niewielkie rekompensaty dla osób z dawnego bloku wschodniego, ofiary zaczęły się zgłaszać, aby otrzymać pieniądze, chociaż w tym czasie żyła ich już tylko garstka.

Po zakończeniu zimnej wojny władze rosyjskie zapewniły również ograniczony dostęp do swoich archiwów, a ich zawartość rzuciła nieco więcej światła na skalę stalinowskich prześladowań, w tym powojenne procesy. Na przykład w 1949 roku w Symferopolu na Krymie pięć kobiet z Armii Czerwonej – lekarek i pielęgniarek – zostało skazanych za „kolaborację” z „faszystami” w Ravensbrück. Podczas procesu jedna z oskarżonych została „przekonana” i złożyła zeznania przeciwko koleżankom. Druga powiesiła się w celi. Pozostałe trzy sąd uznał za winne i zesłał na Syberię.

Maria Własenko zna sprawę. Jej przyjaciółka Łusia Małygina, lekarka Armii Czerwonej, była jedną z tych trzech uznanych za winne współpracy i zesłanych na Syberię. Ale nie będzie o tym mówić – „To mroczna historia”. Obok mieszka jej koleżanka Elena Barsukowa, może ona wie coś więcej<sup>311</sup>.

„Małygina była piękną kobietą i bardzo dzielną – opowiadała Elena Barsukowa. – Uratowała w obozie wiele istnień. I próbowała nas również uchronić przed trafieniem do niewoli”.

Kiedy w lipcu 1942 roku lekarze i pielęgniarki Armii Czerwonej zostali odcięci na krańcu cypla, potrzebny był ochotnik, który popłynie przez zatokę z informacją od dowódcy sił krymskich, generała Iwana Pietrowa, do oficerów po drugiej stronie. „Wiadomość adresowana była do Stalina – mówiła Elena. – Na ochotnika zgłosiła się Łusia Małygina. Ukryła jakoś przy sobie tajny dokument i popłynęła. Myśleliśmy, że jest jeszcze dla nas szansa na ratunek”.

Jednak w miarę jak Niemcy się zbliżali, osaczeni zrozumieli, że ich



porzucono i że jedyną alternatywą dla niewoli jest skok do morza lub zejście po klifie do jaskiń znajdujących się na dole. „Próbowaliśmy również przeciągnąć do jaskiń rannych, ale większość już umarła, więc zeszliśmy do jaskiń i ukryliśmy się w nich. Spędziliśmy tam pięć dni bez jedzenia. Niemcy byli tuż nad naszymi głowami i wiedzieli, że głodujemy. Rzucili więc liny”.

Niemcy czekali na szczycie. „Zdjęliśmy buty i wylałyśmy z nich wodę – ciągnęła Ilena Barsukowa. – Potem dowiedziałyśmy się, że siedemdziesięciu jeden naszych dowódców zabrał okręt podwodny, żeby nie wpadli w ręce wroga. Dopiero wtedy zaczęliśmy płakać”.

Schwytani lekarze i pielęgniarki wraz z ocalałymi żołnierzami maszerowali 50 kilometrów w głąb lądu do punktu przejściowego w Bachczysaraju. Podczas marszu nie dostali wody do picia, a temperatura przekraczała 40 stopni. Miejscowi oferowali pomoc, ale Niemcy zabijali od razu każdego, kto próbował napić się ze stawu lub zerwać jabłko z drzewa. Ich szlak „znaczyła krew” i wszyscy bali się, co ich czeka dalej. Rozeszły się wieści, że Niemcy mordują wziętych do niewoli czerwonoarmistów. „Widziałam, jak jeden mężczyzna sięgnął do buta, wyjął nóż i poderżnął sobie gardło”, opowiadała Maria Własenko.

Czerwonoarmistki wiedziały o gwałtach i okrucieństwach popełnianych na kobietach z innych jednostek. Niemieccy żołnierze zostali nakarmieni propagandą, że radzieckie kobiety w mundurach to „odrażające babochłopy”, i stwierdzeniami w rodzaju: „Oto co bolszewizm zrobił z kobietami”. Są to „zdeprawowane istoty”, które „zdradziły swoje rodziny”<sup>312</sup>.

W Bachczysaraju zaczęły się rozstrzeliwania Żydów. Wziętych do niewoli żołnierzy, lekarzy i pielęgniarki Niemcy ustawili w szeregu przed wielkim rowem przeciwczołgowym z przerzuconą nad nim deską. Dookoła zgromadzili się niemieccy żołnierze z karabinami i psami, po czym wybierali więźniów i kazali im przechodzić. „To zawsze byli Żydzi”, powiedziała Elena Barsukowa. Takie same sceny rozgrywały się na całym radzieckim terytorium opanowanym od początku inwazji.

Najpierw wywoływali mężczyzn, ale wyłącznie dlatego, że łatwiej było ich zidentyfikować. „Pamiętam takiego, który błagał: «Nie jestem Żydem, jestem Ukraińcem», a oni kazali mu opuścić spodnie. Powiedzieli: «Ach, rzeczywiście nie jesteś Żydem» i puścili go”, powiedziała Elena.

W przypadku kobiet Niemcy nie mieli pewności, więc kazali innym jeńcom

pomagać sobie w wyszukiwaniu Żydów. Nie-Żydzi wskazywali Żydów skinieniem głowy lub ruchem kija. „Może liczyli na zgodę na osiedlenie – mówi Elena Borsukowa. – Może tym informatorom zaproponowali łóżka lub jedzenie w zamian za pomoc. Nie wiedzieliśmy”.

Jako pierwszą wskazali Rosę Markową i Niemcy kazali jej wystąpić. „Nie wyglądała na Żydówkę – mówiła Elena Barsukowa. – Miała włosy splecione w warkocz. Ale i tak ją wzięli”. Następny był Siemion Adler. Potem z szeregu wystąpiła Anna Brin. „Myślę, że kiedy zobaczyła, że zabierają innych Żydów, postanowiła pójść z nimi. Powiedziałyśmy do Anny: «Nie musisz iść, nie wskazali cię». Ale ona się uparła”. Po czym cała trójka wzięła się pod rękę i podeszła do deski, gdzie zginęli od strzału w potylicę i wpadli do rowu.

Z Bachczysaraju jeńcy pomaszerowali do Symferopola, kolejne 40 kilometrów na północny zachód. Upał jeszcze się nasilił. Z żeńskiej jednostki przy życiu zostało tylko 200 kobiet, a wiele z nich było rannych. Niemcy strzelali do tych, które upadły.

Kobiety maszerowały teraz w innej kolumnie niż mężczyźni, a kiedy tak szły, słyszały instrukcje przekazywane szeptem od jednej do drugiej. Pochodziły od „przewodniczki”, która szła na czele. Na początku instrukcje brzmiały po prostu: „Miejcie odwagę”. Przewodniczka była „stara i wiele wiedziała”. Będzie o nas dbać, mówiono. Niektóre nawet ją znały. Była to nauczycielka z Odessy. Walczyła w wojnie domowej.

„Bądźcie silne”, przyszła kolejna wiadomość. „Troszczcie się o siebie nawzajem. Wiercie w radzieckie zwycięstwo”. Potem napłynęły dalsze informacje: „Zna języki. Rozumie, co mówią Niemcy”. Potem ludzie zaczęli sobie przekazywać szeptem jej nazwisko: Jewgienia Łazariewna Klemm. „Byłyśmy wtedy bardzo młode i niewiele wiedziałyśmy – mówiła Elena Barsukowa. – Ale poczułyśmy się silniejsze, no, wiadomo. Wiedziałyśmy, że ta Jewgienia Łazariewna Klemm jest doświadczona i powie nam, co mamy robić”.

W Symferopolu Niemcy stłoczyli je w małym więzieniu, gdzie upał i brud wywoływał choroby. Na dziedzińcu Jewgienia Łazariewna wmieszała się w grupę kobiet i zobaczyły ją po raz pierwszy: wysoka kobieta około czterdziestki o jasnobrązowych włosach. „Diewoczki [dziewczęta] – powiedziała. – Dla tych, które mnie nie znają: jestem Jewgienia Łazariewna Klemm. Co u was? Wszystko będzie dobrze. Jesteście w Armii Czerwonej. Zostałyśmy jeńcami wojennymi. Pamiętajcie o tym”.

„I uwierzyliśmy jej – powiedziała Elena Barsukowa. – Nie wiedzieliśmy, o co chodzi z tymi «jeńcami wojennymi», ale rozumieliśmy, że w świecie zewnętrznym ma to jakieś znaczenie i nam pomoże, więc dawało nam to jakąś nadzieję”.

Jewgienia Łazariwna wybrała lekarki na swoje pomocniczki. W nogę Marii Własenko wdało się zakażenie, więc współpracownica przysłała zmienić opatrunek, ale strażnik zobaczył to, kazał Marii wstać i uderzył ją. Pomocniczka Klemm krzyknęła po niemiecku: „Nie bij tej kobiety, nie widzisz, że jest ranna?!”, więc strażnik zdarł jej bandażę i pobił jeszcze bardziej, tak, że wybił jej zęby. „Potem strażnik odszedł i wrócił z zupą i kawałkiem chleba, powiedział: *essen* [jeść] – i znowu odszedł”.

Wkrótce kobiety znowu maszerowały dalej na zachód. Dzień później załadowali je do bydłych wagonów. „Wyglądałyśmy przez dziury w ścianie wagonu i widziałyśmy wielką tablicę z napisem „Kijów”. To był mój dom”, wspominała Tamara Czajało, która studiowała medycynę w Kijowie.

Wiele godzin później dojechali do miasteczka garnizonowego Sławuta, gdzie przemaszerowały do rozległego obozu zorganizowanego przez armię niemiecką dla wziętych do niewoli żołnierzy radzieckich. Było tam bardzo brudno. Kobiety chorowały na tyfus, dyzenterię, syfilis i gruźlicę, a kilka zmarło. „Kazali nam obciąć włosy, żeby pozbyć się robaków – opowiadała Elena Barsukowa. – Musiałyśmy gotować ubrania w kotłach. Niemcy najbardziej bali się tyfusu, więc trzymali się z daleka. Jewgienia Łazariwna powiedziała nam, że jeśli przeżyjemy trzy tygodnie, to przetrwamy, i miała rację. Jeśli któraś zachorowała, Jewgienia pilnowała, żeby zawsze przyjaciółka trzymała ją za rękę”. Lekarka Tamara Czajało prawie umarła w Sławucie, ale Jewgienia Łazariwna pielęgnowała ją i uratowała. „Powiedziała mi, że jest odporna na tyfus, bo przechorowała go podczas wojny domowej”.

Klemm miała teraz kilka pomocniczek. Wśród nich znajdowała się Łusia Małygina, lekarka, która przepłynęła krwiste wody morza, i jeszcze jedna lekarka, Luba Konnikowa. Luba była Żydówką, ale do tej pory nikt jeszcze na nią nie doniósł. „Łatwo wpadała w gniew” – wspominała Maria Własenko. Elena Barsukowa zapamiętała, że Luba miała „stalowe nerwy”.

W Sławucie Niemcy rozstrzelali kolejnych Żydów. Inna starsza kobieta

z Odessy, Nadia Nakonieczna, wspominała, że jej koleżankę Żydówkę, lekarkę Annę, wydał kolega lekarz o nazwisku Jusefa. „Ci dwoje toczyli spór jeszcze w szpitalu w Odessie – powiedziała Nadia. – Anna była pewna, że Jusefa powie Niemcom o jej żydowskim pochodzeniu”.

Inna kobieta z Odessy, która przeżyła wojnę, Sofia Sawiełowa, mówiła o lochu, „wielkiej czarnej dziurze”, gdzieś w Sławucie. „Żydów wpakowali do tej dziury na kilka tygodni i trzymali ich tam w ciemnościach. Nie dawali im nic do jedzenia i nikt nie wiedział, co się z nimi stało, przeżyli czy nie. Pewnego dnia do cel wrzucono mundury nieżyjących kobiet, żeby dziewczęta je założyły, gdyby się do czegoś nadawały”. Do tej pory mundury kobiet były już brudne i poszarpane, ale Jewgienia Łazariwna nie pozwalała ich się pozbywać, ponieważ stanowiły dowód, że są jeńcami wojennymi.

Następny przystanek nastąpił w Równem, niedaleko niedawnej granicy niemieckiej. Tutaj wywołali Raisę Wiertiennikową i rozstrzelali ją z powodu kręconych włosów. Kobiety, oburzone tym, że wśród nich znajdują się zdrajczynie, zaczęły walczyć między sobą, ale Jewgienia Łazariwna powiedziała, że trzeba powstrzymać zdradę. „Wszystkie należymy do armii radzieckiej. Dbajmy o siebie, a przetrwamy”. Kilka tygodni później – była już późna jesień – kobiety znów zagnano do bydłowych wagonów.

Z pociągu wysiadły w grudniu 1942 roku. Znajdowały się w drodze już pięć miesięcy. Temperatura spadła do minus 40 stopni. Ubrane nadal w wojskowe mundury ustawiły się piątkami. Nie wiedziały tego jeszcze, ale znajdowały się już w Niemczech, w Soest w Westfalii. Tutaj spotkały inne kobiety z Armii Czerwonej, telegrafistki lub agentki wywiadu, albo też, tak jak one, lekarki i pielęgniarki, które również służyły na froncie – w Kijowie, Stalingradzie, Rostowie i Leningradzie. Maria Klugman, doświadczona chirurg, operowała na froncie w Czernihowie.

Walentyna Samojłowa – ta, która jadła lody w Kijowie – dostała przydział jako armijny lekarz do Stalingradu, gdzie jej jednostka broniła mostu pod oblężonym miastem. Podczas ostatecznej rozpaczliwej próby obrony oddział został otoczony i Walentyna oraz jej towarzyszkę zamaskowały się, smarując ciała rzecznym błotem, ale most upadł i wszystkie dostały się do niewoli. Walentyna została postrzelona w nogę i porzucona na śmierć, ale Niemcy zabrali jej ciało, nadal wysmarowane błotem, i wrzucili do wagonu towarowego pełnego zwłok. Na następnej stacji dźwig zabierał trupy i Walentyna zawisała na ogromnym haku. „Wtedy zaczęłam wierzcąc

i zobaczyli, że żyję. Ktoś powiedział: «Patrzcie, on żyje», bo myśleli, że jestem chłopcem, ale podszedł niemiecki lekarz i zobaczył, że jestem dziewczyną, więc wsadzili mnie do pociągu na zachód. Padał śnieg i było bardzo zimno, ale wreszcie przyjechałyśmy do Soest”.

Od razu zorientowałyśmy się, że obóz w Soest różnił się od innych; znajdowała się tam hala sportowa, a w pobliżu mieścił się wielki węzeł kolejowy. Strażnikami byli gestapowcy, a nie żołnierze. Miejsce niedawno przekształcono w obóz przejściowy dla tysięcy przymusowych robotników sprowadzanych ze Wschodu. Dzień w dzień z pociągów wypływały strumienie rosyjskich i ukraińskich cywilów i maszerowały do hali sportowej<sup>313</sup>.

Wiele kobiet cywilów zgarnęły przypadkowo nazistowskie oddziały przechodzące przez wschodnią Ukrainę. Jewdokia Domina pracowała w polu, kiedy została złapana przez niemieckich żołnierzy i wsadzona do pociągu. „Matka nie wiedziała nawet, że zniknęłam”. Aleksandra Dziuba z przyjaciółkami dała się zwabić do wiejskiej świetlicy, gdzie Niemcy obiecali pokaz filmowy, ale kiedy przyszły, wszystkie zostały aresztowane. „Ojciec ruszył konno za pociągiem, żeby mnie odbić na następnej stacji, ale Niemcy pobili go kolbami karabinów”.

W hali sportowej niemieccy pracodawcy ze szpicrutami – majstrzy z fabryki – przeszli między kobietami i wybrali sobie wedle woli – niektóre do prac rolnych, ale większość do fabryki zbrojeniowej. Patrząc na te selekcje, nowo przybyłe na początku nie zorientowały się, że one również będą musiały pracować przy produkcji broni dla wroga. Do tej pory Niemcy zabijali wszystkich radzieckich jeńców lub zamykali ich w jeszcze gorszych warunkach. Ostatnio jednak, w obliczu ogromnego zapotrzebowania na siłę roboczą, polityka zmieniła się i radzieccy jeńcy również zaczęli być wykorzystywani do pracy niewolniczej.

„Kiedy próbowali zabrać nas do pracy, w pierwszej chwili nie rozumialiśmy, co się dzieje, i pierwsza piętnastka wybranych zaczęła iść – opowiadała Tamara Czajało. – Ale Jewgienia Łazariewna dała im znak, żeby się zatrzymały. «Stójcie – powiedziała. – Nie wolno nam tego robić». A one wróciły i stanęły z resztą z nas w szeregu. Myślałyśmy, że zaraz zginiemy, ale byłyśmy na to przygotowane”.

Tamara zapamiętała słowa Jewgienii Klemm: „Powiedziała nam, że jesteśmy jeńcami i zgodnie z międzynarodowym prawem wróg nie może wykorzystywać

nas do pracy niewolniczej w zakładach zbrojeniowych. Kobiety przekazały sobie tę wiadomość i zastosowały się do niej. Niemcy zagrozili nam biciem i nasłali na nas szefa Gestapo, który kazał nam stać w celach przez trzy dni. Ale nie skarżyłyśmy się i śpiewałyśmy pieśni wojskowe”.

Kiedy przyszła kolej Jewgienii, by stanąć przed szefem Gestapo, powiedziała mu prosto w twarz, że na podstawie konwencji genewskiej nie ma prawa zmuszać jeńców do pracy przy produkcji broni na rzecz wrogiego państwa. Przez całą drogę z Krymu opowiadała kobietom, jak żołnierze cierpieli w przeszłości. Sama służyła jako pielęgniarka Czerwonego Krzyża w czasie I wojny światowej i знаła zasady traktowania jeńców wojennych zgodnie z konwencją genewską.

„Pamiętajcie, dziewczęta, jesteście jeńcami wojennymi”, powtarzała kobietom raz po raz i nalegała, aby dbały o mundury „najlepiej, jak można, ponieważ jest to jedyny dowód statusu jeńca. „Macie swoje prawa”, mówiła im, ale musiała wiedzieć, że to nieprawda. Stalin odmówił podpisania konwencji genewskiej, więc jeśli chodziło o Niemców, żołnierze armii radzieckiej nie mieli żadnych praw<sup>314</sup>.

A jednak Klemm zapewne uważała, że nawet Gestapo zastanowi się dwa razy, zanim rozstrzela pięćset umundurowanych kobiet, lekarzy i pielęgniarek, przebywających na terytorium niemieckim. W każdym przypadku musiała mieć pewność, że wiele z tych kobiet odmówi wykonania rozkazu bez względu na konsekwencje. Luba Konnikowa nie znała się na prawach wojennych, ale wiedziała, że nie po to przeszła całą tę drogę z Krymu, żeby „robić karabiny, które będą zabijać moich towarzyszy na froncie”. Kiedy zatem *Meister* stanął przed Lubą, wzięła kawałek metalu i rzuciła nim w psa strażniczego, ale strażnik nic nie powiedział. Klemm powiedziała później Lubie, żeby „nie okazywała gniewu”, wspominała Maria Własenko. „Zawsze napominała osoby wybuchowe”.

I napominała również kobiety ze Stalingradu, chociaż jeszcze nie znała nazwiska Walentyny Samojłowej. Walentyna wspominała:

Zebrali nas grupami w jakiejś hali sportowej i powiedzieli: „Wy idziecie do tej fabryki, wy do tamtej”. Zapytałam jednego mężczyznę: „Czy pańska fabryka produkuje materiały wojskowe?”. Właściciel fabryki odpowiedział, że tak. Odparłam więc: „Jesteśmy jeńcami wojennymi, nie możemy pracować przy produkcji broni” i przez pół dnia wszyscy próbowali nas zmusić, ale odmawialiśmy. Myślałyśmy, że wszystkie nas zabiją.

Nawet umazana błotem Walentyna zachowała mundur i kiedy przyszła jej kolej stanąć przed szefem Gestapo, patrzył na nią przez dłuższą chwilę. „Byłam blondynką o jasnej skórze, więc spytał, czy jestem Niemką. Powiedziałam po niemiecku: «Nie, jestem Ukrainką». Zapytał mnie: «Dlaczego nie pracujesz?». Odparłam, że jestem dobrym pracownikiem, ale nie będę pracować w niemieckiej fabryce zbrojeniowej. Kopnął mnie tak mocno, że upadłam na podłogę”.

W hali sportowej Walentyna zauważyła, że ktoś z grona czerwonoarmistek daje sygnały, jak wszystkie mają się zachować:

Podeszła do mnie nieznajoma kobieta i powiedziała, żebym zachowała spokój. Była starsza. Słyszałam, że pochodzi z Odessy. Była to Jewgienia Łazariwna, ale wówczas jeszcze jej nie znałam. Posłuchałam jej rady. Powiedziała: „Jesteście jeszcze młode. Nie potrzebujemy ofiar. Potrzebujemy bojowników”. Powiedziała, że mam czekać na sygnał od niej, zanim zrobię coś więcej. Musimy wszystkie być jak jedna, tak brzmiało jej przesłanie.

Autorytet Jewgienii Łazariwny wkrótce rozszerzył się poza grupę krymską, na wszystkie żołnierki Armii Czerwonej. Jeśli mamy protestować, musimy być „jak jedna”, wspominała Walentyna:

Powiedziała, że nie możemy „wyłamywać się z szeregu”. Zawsze używała tego sformułowania. Nikt nie mógł „wyłamywać się z szeregu”. Musimy stać za sobą murem i wszystko będzie dobrze. I nagle nabrałyśmy poczucia, że wcale nas nie zabijają. Był to załączek naszej organizacji. I śpiewaliśmy radzieckie pieśni. „Będziemy walczyć za Stalina”. To zamknęło usta Niemcom. Nie wiedzieli, co z nami zrobić. Wyglądało na to, że nie dostali żadnych rozkazów. Mieli nas wysłać do pracy, ale my odmówiliśmy, a oni byli zaskoczeni. Nie mieli odwagi nas rozstrzelać.

Trzy noce po rozpoczęciu protestu Niemcy wycofali rozkazy pracy w fabrykach zbrojeniowych. Rosjanki przemaszerowały do czekającego pociągu i wcisnęły się do bydłych wagonów. W środku stały wiadra; drzwi wagonu zostały zabite gwoźdźmi i obwiązane drutem kolczastym. Jechały pięć dni i pięć nocy z krótkimi przystankami, kiedy przez otwór podawano im wodę i chleb. Nocą w środku panowały kompletne ciemności, ale za dnia przez szczeliny ukosem wpadało światło, które oświetlało ciała przytulone mocno do siebie, żeby było cieplej. Temperatura na zewnątrz rzadko podnosiła się powyżej zera. Wiele kobiet zachorowało na tyfus i gruźlicę. Nikt nie wie, ile z nich zmarło, gdy pociąg wtoczył się na stację w Fürstenbergu. Był 23 lutego 1943 roku, a Walentyna skończyła dwadzieścia cztery lata. Dziewczyna, którą

wyciągnięto na haku z wagonu z trupami w Stalingradzie, przyjechała do Ravensbrück w swoje urodziny.

[308](#) Spisując historię kobiet z Armii Czerwonej, przeprowadziłam wywiad z ponad trzydziestoma żyjącymi uczestniczkami wydarzeń, skorzystałam też z innych wywiadów, przede wszystkim niemieckiej historyk Loretty Waltz, która jako pierwsza autorka na Zachodzie stworzyła historię obozu na podstawie ustnych relacji.

[309](#) Wywiad autorki. Zob. też: Szejner, *Plen*, i Miednikow, *Dola bessmiertia*.

[310](#) Cyt. za: Strebel, *Ravensbrück*.

[311](#) Relacja z ostatniej bitwy na klifach Krymu, przepłynięciu, marszu na zachód i rozstrzelaniu Żydów została sporządzona na podstawie moich wywiadów oraz relacji Leonidy Bojko w: Miednikow, *Dola bessmiertia*, i relacji Konnikowej, GARF. Zob. też: Czajało, Relacja dla Muzeum Medycyny Wojskowej, Sankt Petersburg.

[312](#) Cyt. za: Strebel, *Ravensbrück*. Zob. także: Szejner, *Plen*.

[313](#) Wywiady autorki. Zob. też: Czajało, Raport dla Muzeum Medycyny Wojskowej, Sankt Petersburg; Szejner, *Plen*.

[314](#) Klemm musiała również znać konwencję haską z 1907 roku, którą ZSRR podpisał i która chroniła jeńców wojennych oraz ograniczała ich wykorzystywanie do pracy niewolniczej. Jednak Hitler i Stalin w równym stopniu drwili z „zasad wojny”, czy to podpisanych, czy nie. Niemcy podpisały konwencje genewską i haską, ale wojska niemieckie wymordowały około 3,5 miliona wziętych do niewoli radzieckich żołnierzy.



## Rozdział 17

### Jewgienia Klemm

Przez chwilę panowały egipskie ciemności. Nagle za drzwiami wagonu wybuchło zamieszanie, a po ich otwarciu ciała zaczęły parować w nocnym powietrzu. Kobiety spoglądały na światła, ale zanim zdążyły się poruszyć, do wagonu wskoczyły postacie w czapkach. Zaczęły szarpać je za ręce i nogi, krzyczeć, kopać i wypychać na zewnątrz. Wszędzie były psy. Niektóre przyjezdne twierdziły, że na ziemi leżał śnieg. Z pewnością nie padało i było bardzo zimno. Walentyna Samojłowa wspominała:

Z pociągu maszerowałyśmy piątkami. Byłam słaba i ktoś wziął mnie za rękę. Myślałam, że chce mi pomóc, ale zostałam uderzona. „Ruskie świnię! Ruskie bandytki!” Żadna z nas nie rozumiała, dlaczego jest bita. Nie wiedziałyśmy jeszcze, że oni robili to tak po prostu. Jakby spodziewali się, że coś im zrobimy. Pewnie dlatego, że nadal nosiłyśmy mundury<sup>315</sup>.

Fakt, że wszystkim kobietom udało się zachować mundury, nawet w tych warunkach, wydaje się czymś nieprawdopodobnym, ale nic nie było droższe ich sercom niż ten prosty strój – spódnica lub spodnie i kurtka z pagonami symbolizującymi przynależność do jednostki medycznej lub batalionu oraz czerwona gwiazda na zielonej czapce, identyfikująca je jako żołnierki Stalina.

Od czoła przysłała wiadomość, że mają się dostosować, ale te z tyłu nie miały pojęcia, co dzieje się na froncie. Nad nimi paliły się jeszcze jaśniejsze światła; nigdy nie widziały takiego światła w Związku Radzieckim i były zdumione. Walentyna pamięta, że kazali jej iść do światła i wtedy zorientowała się, że zacierają w stronę gigantycznej bramy. Jeśli któraś upadła, zabijali ją strzałem. Wszystko wydawało się takie duże. Kobiety w czarnych czapkach były olbrzymkami.

Za bramą obozu esesman wykrzyczał rozkazy i wskazał na budynek, ale

niewiele z nich rozumiało po niemiecku. Nagle pchnęli je naprzód, aby przechodziły przez otwarte okna. „Pomyślałyśmy więc, że do tego miejsca wchodzi się przez okna, ale nie miałyśmy zbyt wiele czasu na myślenie, ponieważ za chwilę kazali nam się rozebrać i złożyć mundury na jeden stos. Chcieli nam zabrać wszystko, co było nam najdroższe”. Ale Walentyna zachowała swoją legitymację komsomolską, wciskając ją między zęby. „Potem nas obszukali i kazali się położyć”.

Wszystkie kobiety zostały dokładnie sprawdzone, wkładali im ręce do środka, szukali, a esesman obserwował i krzyczał: „Brudne dziwki, ruskie kurwy!”. Wśród esesmanów stali Fritz Suhren i jego zastępca, obersturmführer Edmund Bräuning. Najwyżsi rangą oficerowie w obozie przyszli do łaźni wczesnym rankiem, aby rzucać obelgi i gapić się na radzieckie kobiety przywiezione z Leningradu, Stalingradu i innych miast, które poniosły upokarzającą klęskę.

Ludmiła Wołoszyna mówi, że esesmani śmiali się, kiedy znajdowali biżuterię ukrytą w pochwach, ale wszyscy wiedzieli, że sami to zaaranżowali. Niektóre opowiadają, że dali im do połknięcia jakieś pigułki. Walentyna swoją wypluła.

Potem poszły pod prysznic, spryskano je lepkiem środkiem dezynfekującym i spłukano. Włosy im obrabali, nie ostrzygli – obrabali nożycami, tak, że zostały kępki. Rozejrzały się za mundurami, ale te zniknęły. Esesman śmiał się, że mundury poszły do spalenia, a teraz nie mają wyboru i muszą założyć obozowe pasiaki. „Patrzyłam na inne z kępkami włosów na głowie i wyglądały jak kwiaty na łądzyce – opowiadała Walentyna. – Któraś powiedziała, że Walentyna też wygląda jak kwiatek. Byłyśmy takie młode”.

Gdy kobiety maszerowały do bloków, były bite i kopane. Jekatierina Bojko mówi:

Jedna wysoka blondynka zdjęła pas i uderzyła mnie nim w głowę, a pies mnie ugryzł. Upadłam i wstałam cała mokra i nie wiedziałam, dlaczego to wszystko mnie spotyka. Ustawiliśmy się w szeregu i wywołali numer, a kobieta z tym numerem stała obok mnie. Powiedziałam „Ej, to twój numer”, ale było za późno i zaczęli ją bić, i bili dotąd, aż straciła przytomność, a ja stałam i patrzyłam, a w środku się gotowałam.

Patrząc wstecz, Maria Własenko myśli: „To było tak, jakbyśmy miały rogi”. Esesmani z Ravensbrück z pewnością przygotowali się na kłopoty i to właśnie

dlatego Suhren sprowadził kobiety z Armii Czerwonej do obozu nocą i zmusił je do wspinania się do łaźni przez okna na tyłach, aby nikt nie zobaczył radzieckich mundurów, po czym podstępem je ich pozbawił.

Wybieg Suhrena prawie na pewno został przeprowadzony na rozkaz z góry. Jak pokazało zmieszanie Niemców w obliczu protestu czerwonoarmistek w Soest – i na co liczyła Jewgienia Klemm – niektóre osobistości z kręgów nazistowskich mogły być wyczulone na niebezpieczeństwo zignorowania konwencji genewskiej w przypadku kobiet jeńców. Nie wzdragali się przed rzezią mężczyzn jeńców, szczególnie na Wschodzie. Ale te umundurowane weteranki – na dokładkę z personelu medycznego – znajdowały się na terytorium niemieckim i pogwałcenie ich statusu jeńców byłoby trudniej wytłumaczyć, gdyby Genewa się nimi zainteresowała.

Do tej pory Himmler z łatwością odbijał pytania mieszczącego się w Genewie Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża o obozy, a sam Komitet nie chciał się mieszać, argumentując, że więźniowie są cywilami i nie ma upoważnienia, żeby się nimi zajmować. Jednak obecność czerwonoarmistek mogła sprowokować pytania ze Szwajcarii. Himmler sobie tego nie życzył, więc Suhren dostał instrukcje, by zamaskować sytuację, pozbawiając kobiety ich statusu jeńców<sup>316</sup>.

Gdy czerwonoarmistki dotarły do Ravensbrück, jedynym dowodem na ich „status jeńców” były mundury, więc Suhren zorganizował pozbycie się ich zaraz po przybyciu kobiet do obozu.

Jednak potem Suhren poczynił interesujące ustępstwo – również na rozkaz. Kiedy kobiety z Armii Czerwonej dostały numery do przyszywania (już powyżej 17 000), razem z czerwonymi trójkątami klasyfikującymi je jako „polityczne” powinny dostać jeszcze literkę „R”, oznaczającą „Rosjanki”, podobnie jak inne Rosjanki w obozie. Zamiast tego żołnierki dostały litery „SU” – *Sowjetunion*, Związek Radziecki, co pozwalało im uważać, że ich specjalny status jest uznawany i że nadal będą traktowane jako jeńcy wojenni. Z pewnością reszta obozu zawsze nazywała kobiety z literami „SU” jeńcami wojennymi.

Pomimo prób ukrycia przyjazdu żołnierki z Armii Czerwonej więźniarki z nocnej zmiany w biurach wszystko widziały i następnego dnia rozpuściły wiadomość, że do obozu przyjechały Rosjanki z armii, bardzo zjednoczone i z podniesionymi głowami. Na pewno są pod komendą potężnego wodza,

mówili wszyscy. Nie tylko przyjechały w mundurach, ale też niektóre wciąż leczyły rany z frontu.

Rosjanki dostały specjalne baraki, oddzielone od reszty obozu drutem kolczastym. Ich bloku pilnowała nowo utworzona „policja obozowa” – *Lagerpolizei* (LAPO) – złożona z więźniarek uzbrojonych w pejczy i pałki. Rosjanki przeszły też dwa razy dłuższą kwarantannę. Cały obóz obserwował ich kwatery. U zwykłych Rosjanek sprowadzonych tu do pracy niewolniczej obecność tych „oficjalnych” Rosjanek wywoływała nerwowość<sup>317</sup>. Niektóre próbowały przemycać w wiadomościach pochwały Stalina, podając swój numer obozowy i proponując pomoc.

Dla komunistycznych przywódczyń w obozie – Czeszek, Niemek, Austriaczek i innych – przybycie czerwonoarmistek było doniosłym faktem, więc kobiety planowały nawiązanie kontaktów. „Pochodziły z kraju, który niósł nadzieję – powiedziała Dagmar Hájková, czeska komunistka<sup>318</sup>. Inna Czeszka, Helena Palevková, zgłosiła się na ochotnika do odwszawiania, licząc na to, że uda jej się powitać radzieckie towarzyszki.

Pod wrażeniem były nie tylko więźniarki. Johannę Langefeld, wciąż sprawującą swoją funkcję w chwili przybycia czerwonoarmistek, przepelniał podziw dla ich „dyscypliny”, a zachowanie komendanta i jego ludzi w łaźni nazwała „niegodziwym”<sup>319</sup>. Langefeld powiedziała również, że kobietami najwyraźniej kierowała jakaś ważna osoba, ale ani ona, ani esesmani nie odkryli, kim ta „przywódczyni” była – ani tego, że nie miała żadnej rangi.

Po raz pierwszy usłyszałam o Jewgienii Klemm, gdy w kwietniu 2008 roku siedziałam na ławce nad Schwedtsee za obozowym murem Ravensbrück. Kobieta w ciepłej wełnianej czapce naciągniętej na uszy rzucała czerwone róże do jeziora dla upamiętnienia straconych koleżanek. Przyjechała tu uczcić wyzwolenie. Nie chciała rozmawiać, ale kiedy zapytałam, kim była przywódczyni czerwonoarmistek w obozie, popatrzyła na mnie i powiedziała: „Jewgienia Łazariewna Klemm. To dzięki niej przetrwałyśmy”. Potem odeszła. Trudno było dowiedzieć się czegoś więcej.

Żyjące do dziś żołnierki z Armii Czerwonej były za młode, żeby znać całą historię Jewgienii Klemm, starsze pokolenie już nie żyło, a ich oficjalne zeznania zostały ocenzurowane, jak dowiedziałam się od Marii Własenko, pielęgniarki z Odessy. Maria wyciągnęła napisany przez siebie artykuł do

gazety z początku lat siedemdziesiątych, w którym opisała swoje wojenne dzieje. Byłby interesujący, stwierdziła, „ale dużo wycięli”.

– A co wycięli? – spytałam.

– Prawdę – odparła. – Kiedy pisałyśmy o obozie, nie mogłyśmy nawet sugerować, że faszyci nie byli źli przez cały czas. Nie wolno było wspominać o wolnych niedzielach, o łyżce marmolady w weekendy. Mogłyśmy pisać o prawdziwym cierpieniu. Zawsze musiałyśmy stawiać mu czoło i być dzielne. Wszelkie oznaki słabości wycinali.

Najboleśniej ze wszystkich powojenna cenzura dotknęła Antoninę Nikiforową, lekarkę Armii Czerwonej, która przyjechała do Ravensbrück w marcu 1944 roku<sup>320</sup>. Antonina pracowała jako patolog w rewirze i zbierała w obozie materiały, które chowała, aby potem wykorzystać w książce. Po wojnie jednak Smiersz skonfiskował materiały oraz rękopis i do dziś nie udało się ich odnaleźć w radzieckich archiwach.

Jednak Antonina nigdy się nie poddała. Niedługo po konfiskacie rękopisu poprosiła koleżanki, żeby spisały dla niej swoje wspomnienia. Z pomocą ich listów zaczęła pisać od nowa, ale jej pracę ponownie okroiła cenzura. Jednak Antonina zachowała listy, chociaż nie chciała dać ich nikomu do przeczytania aż do śmierci, która nastąpiła w 1994 roku. Dopiero niedawno trafiły do obozowego archiwum w Ravensbrück i czekały na przeczytanie. Z czterech dużych pudeł popłynęły głosy kobiet, których relacje w oficjalnych tekstach wydają się pozbawione wyrazu – gawędzące, płaczące, wspominające, kłamliwe, oskarżycielskie, śmiejące się i opowiadające historie, które skaczą w przód i w tył, jak w liście Anny Munkiny, która straciła na froncie rękę i w obozie pracowała przy myciu podłóg. Anna ucieszyła się z wiadomości od Antoniny po wojnie:

Płaczę z radości, tak chciałabym się z tobą spotkać, uściskać i porozmawiać o obozie koncentracyjnym. Wasza praca była straszna – myślę dużo o tobie, szczególnie w tym lochu, ty i ciało przed tobą, a musisz pracować bez maski. Za dnia każda idzie w swoją stronę, a ja łapię za miotłę i sprzątam dziedziniec, szukam kawałka brukwi lub ziemniaka. Wieczorem w barakach jest przytulnie – wszystkie starają się ogrzać atmosferę sercem. Słuchałam, jak Jewgienia Łazariewna czyta gazetę. Miło zasypiać po tym, jak słuchało się jej głosu, jest mniej przerażająco. Wkrótce oddzielili mnie od koleżanek i wysłali do Bergen-Belsen. Było to prawdziwe zagłębienie wszy i zaraziłam się tam tyfusem i dyzenterią. Nie miałam nadziei, że jeszcze zobaczę słońce.

Elena Wasiliewna (nie podała nazwiska) pisze Antoninie: „Nie noszę urazy,

że mnie nie pamiętałaś, było nas tak wiele. Pomogłaś mi i dwóm innym Polkom wyjść do pracy. Dzięki temu jeszcze żyję”. Im głębiej się kopie, tym więcej wspomnień o Klemm. „Wyleczyła mnie z tyfusu, nacierając korą”. Kuzynka Klemm napisała w liście, że kiedy Jegienia Łazariewna wróciła po wojnie do Odessy, nie chciała już nigdy rozmawiać o obozie. „Denerwowała się na każdą wzmiankę, więc starałam się unikać tematu. Ale raz słyszałam, jak mówiła, że w obozie zakładali ludziom gumowe majtki i bili ich. I robili tam rzeczy tysiąc razy gorsze”.

Dzięki nazwiskom i adresom od Antoniny udało się znaleźć więcej kobiet, które znały Jewgienię Klemm, i ustalić więcej szczegółów na temat jej życia. Urodziła się w Odessie około 1900 roku<sup>321</sup>. Jej ojciec prawdopodobnie był Serbem, a matka Rosjanką. Niektórzy twierdzą, że była Żydówką, inni, że nie. W szkole rozwinęła pasję do historii i kształciła się w Odessie na nauczycielkę historii. Na początku lat dwudziestych przyłączyła się do rewolucji bolszewickiej i służyła w szpitalach polowych, głównie na polskim froncie, gdzie opiekowała się rannym Łotyszem, Robertem Klemmem. Zakochali się w sobie i po powrocie pobrali, ale niedługo potem Robert zmarł na gruźlicę. Być może mieli syna, ale tego nikt nie był pewien.

W latach trzydziestych Klemm została wykładowcą w odeskim studium nauczycielskim i zdobywała najwyższe wyróżnienia. Studenci ją uwielbiali. Olga Chochrina wyjaśniła dlaczego:

Na zajęciach rysowała dla nas obrazki z przeszłości z własnymi opisami i tworzyła wspaniałe materiały, więc zatopiłyśmy się w historii. Pamiętam jedno zajęcie o wielkiej Rosji, na których wykorzystwała materiały o Tatarach i Kozakach w taki sposób, że studentki się rozplakały. Była też lekcja o mongolskiej inwazji, kiedy opisała wydarzenia w tak liryczny sposób, że słuchaczki siedziały z otwartymi ustami. Mawiała nam, że wiedza daje siłę i zrozumienie. Wzbudzała miłość i szacunek. To był dar.

– Jaka była? – zapytałam.

Bardzo skromna. Sprawiała wrażenie, że nie interesuje jej materialne bogactwo. Często zapraszała studentki do swojego mieszkania i rozgrzewała je szklanką herbaty. Było tam bardzo zimno, a ona była bardzo uboga.

Myślę, że była idealistką, która chciała odegrać swoją rolę. Opowiedziała mi, że kiedy pielęgnowała chorych podczas wojny domowej, zapadła na tyfus i prawie umarła. Kiedy wybuchła II wojna światowa, nie musiała znowu zgłaszać się na ochotnika, ponieważ wszyscy nasi nauczyciele zostali ewakuowani w bezpieczne miejsce, ale ponownie poszła na front.

Zastanawiałam się, jakim typem komunistki mogła być Klemm. „Romantycznym”, powiedziała Jewgienia Władimirowa, inna była studentka:

Sądzę, że jako młoda kobieta prawdopodobnie była oddana sprawie, ale w ludzki sposób. Podobnie jak wielu innych młodych Rosjan prawdopodobnie dała się odurzyć bolszewickiemu marzeniu. Uważała zapewne, że to sposób na zbudowanie lepszego świata. Myślę, że na początku wielu ludzi tak uważało. Słyszałam, że podobno kiedy umarł Lenin, godzinami grała Liszta.

W pierwszych tygodniach pobytu w Ravensbrück przymioty Jewgienii Łazariewnej były bardzo potrzebne. Pozostałym kobietom z obozu bardzo zaimponowała radziecka dyscyplina, ale w bloku wybuchł tyfus<sup>322</sup>. Esesmani rozstrzelali kilka więźniarek, aby zapobiec epidemii. Pozostałe były przerażone. Jedna z korespondentek Antoniny Nikiforowej napisała:

Obóz wydał mi się tak upiorny, z ciemnymi alejkami, dozorczykami w czarnych płaszczach i wściekłymi psami, rozkazami, że wszystkimi tymi kobietami w pasiakach i z ogolonymi u większości głowami, że nawet nie próbuję opisać tego na papierze. Nasze przerażenie – moje przerażenie – na początku zwiększał fakt, że nie rozumiałyśmy języka i nie wiedziałyśmy nawet co oznacza *Konzlager* [obóz koncentracyjny]<sup>323</sup>.

Przynajmniej skończyła się podróż. Po przybyciu do bloku Tamara Czajało dostała siennik obok Jewgienii Łazariewnej i natychmiast zasnęła. Znalazły się pod jednym dachem i próbowały leczyć swoje rany. Późną nocą Jewgienia Łazariewna przeszła się między nimi i pokazała, w jakiej pozycji leżeć, żeby złagodzić ból. Wybrała sobie również pomocnice do opieki nad potrzebującymi, wśród nich Aleksandrę Sokową, poetkę i nauczycielkę, oraz Marię Klugman, chirurga z Kijowa. Znaczące było, że przynajmniej dwie pomocniczki Klemm – Sokowa i Klugman – były Żydówkami, podobnie jak Luba Konnikowa, i że kilka innych radzieckich Żydówek również nie zostało zidentyfikowane przez SS.

Zdrady z ostatnich sześciu miesięcy nie zostały zapomniane. SS już pozbyło się własnych szpiegów: kobiety z Armii Czerwonej, które podczas podróży wskazały Żydówki do rozstrzelania, poszły do innej brudnej roboty. Ale gorycz pozostała. Jedna z kobiet napisała do Antoniny: „Nie widziałam więcej Łusi i nie chciałam jej widzieć, to samo dotyczy Wiery Bobkowej, szczególnie kiedy myślałam sobie, jak złapały ubrania Żydówek w Sławucie po ich



śmierci”<sup>324</sup>.

W bloku Klemm nakłaniała kobiety, aby leczyły również te rany. „Nie pozwólcie, żeby faszyci nas podzielili. Oni właśnie tego chcą. Bądźmy czyste i schludne, na ile to możliwe w najgorszych warunkach. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi”. Część kobiet nadal miesiączkowała. „Nic nam nie dali, nawet majtek. Był to wielki problem dla niektórych dziewcząt, ale wkrótce żadna z nas go nie miała. Obmywałyśmy się odrobiną zimnej wody, to wszystko”, opowiadała Jekatierina Goriewa.

Żołnierki z Armii Czerwonej pozostawały odcięte od zewnętrznego obozu, więc Klemm próbowała zbierać informacje. Kobiety szmugłowały wiadomości przez polską blokową, która miała kontakty z komunistkami. Czeskie lekarki, wysłane do bloku w celu wykrycia chorych na tyfus, przedstawiły się jej. Czeszki opisały, kto jeszcze znajduje się w obozie – narodowości i liczby – jak obóz jest zorganizowany i w jaki sposób odbywa się praca niewolnicza. Przeszmugłowały im nawet niemiecką gazetę.

Nocą Jewgienia Łazariewna gromadziła wokół siebie dziewczęta grupkami i czytała im gazetę. Z przetłumaczonych nazistowskich informacji wynikało, że Armia Czerwona przełamała front pod Moskwą, a Niemcy ponieśli wysokie straty. Opowiedziała im, czego dowiedziała się o obozie: będą za ogrodzeniem przez kilka tygodni, ale później każą im pracować. Kobiety tutaj szyją mundury dla niemieckiej armii. Jest tu też ogromna fabryka produkująca części do broni – Siemenslager.

Klemm powiedziała, że podczas kwarantanny wszystkie muszą nauczyć się niemieckiego. „Dziewczęta – rzekła. – Na razie otacza nas drut kolczasty, ale pewnego dnia Niemcy zdejmą drut i będziemy musiały żyć z kobietami innych narodowości. Musicie znać ich język. To pomoże wam w nadchodzącej walce”.

Klemm poprosiła o podniesienie ręki wszystkie więźniarki władające niemieckim i zorganizowała blok w osiem grup po trzy lub cztery więźniarki każda, z przywódczynią, która codziennie pobierała lekcje u Klemm. Na zatłoczonych pryzkach zaczęła się nauka. „I powiedziała Wierze Bobkowej: «Wiero, pamiętaj, że niemieckie zdanie zbudowane jest tak i tak», a Wiera przekazywała wszystko szeptem swojej małej grupie”, wspominała Elena Barsukowa.

Klemm zaprzyjaźniła się również z młodzietkami dziewczętami, niektórymi



szesnasto- lub siedemnastoletnimi. Wypytała, skąd pochodzą i przez co przeszły, czy ich rodzice żyją. „Będziemy trzymać się razem, dziewczęta. Wy i ja”. Zapamiętała ich historie. Od razu wiedziała, które były córkami komisarzy, a które kułaków, albo czyj ojciec służył carom, rozumiała różne obozowe „rodziny”, jak same się nazywały – rodzina moskiewska, rodzina leningradzka, rodzina odeska.

Czasem pytała dziewczyny o ich ulubione przepisy i opowiadała im o swoich. A potem przeczytała wiersz napisany przez Aleksandrę Sokową i rozmawiały o nim. Albo też mówiła im o kobietach, które były więzione za cara, jak bardzo cierpiały, ale przeżyły. „Opowiadała historie z przeszłości, żebyśmy zapomnieli o teraźniejszości”, powiedziała Tamara Czajało.

Łusia Małygina, lekarka, która płynęła przez Morze Czarne, zorganizowała grupę dbającą o samą Klemm. Była starsza od większości, nogi jej puchły, a przebyty wiele lat wcześniej tyfus pozostawił po sobie częściowe niedowidzenie w jednym oku. Pomocnice opatrywały jej rany i robiły miejsce w umywalni. Niektóre twierdzą, że te kobiety stanowiły wybrany komitet, ale większość twierdzi, że po prostu chciały o nią zadbać i pomóc. „Uważałam ją za matkę, której tak mi brakowało”, mówiła Tamara Czajało.

Gdy okres kwarantanny dobiegał końca i kobiety próbowały wyglądać przez druty, zauważyły nową budowlę wzniesioną za murem: ogromny komin. Widziały, jak codziennie rano przejeżdżał ciągnięty przez sześć kobiet wózek wypełniony ciałami. I widziały nowo przybyłe maszerujące do sąsiednich bloków kwarantanny. Nadały własne nazwy dozorczyńcom, „czarnym krukami”, które miały „nadmierzanie piękny ubiór”, z pasem i butami „z najlepszej skóry”. Jedna dozorczyńca przychodziła ciągle do bloku i krzyczała na nie. Luba Konnikowa, „ta wybuchowa”, nazywała tę dozorczyńcę „przepiękną blondynką”<sup>325</sup>.

Więźniarki z zewnątrz wciąż obserwowały blok radziecki i widziały, że czerwonoarmistki zawsze „wysoko trzymają” ogolone głowy<sup>326</sup>. Czasem słyszały ich śpiew. Patrząc później wstecz, wiele kobiet, które przeżyły, powie – wiele będzie się przy tym wręcz upierało – że podczas pobytu w obozie żołnierki Armii Czerwonej nosiły mundury. Być może na tle coraz większego bałaganu panującego na zewnątrz porządek wśród żołnierek bardziej rzucał się w oczy.

Zima z 1942 na 1943 roku była ciężka i długa, zostawiła kobiety wyczerpane i schorowane. Na początku roku władze wprowadziły dłuższe zmiany. 20 stycznia 1942 roku Richard Glücks, nowy szef urzędu do spraw obozów koncentracyjnych, napisał do wszystkich komendantów, aby „sięgnęli po każdy sposób, aby zachować zdolność więźniów do pracy”. Brak niemieckiej siły roboczej osiągnął punkt krytyczny. Chociaż przywożono niewolników ze Wschodu, było ich za mało. Nawet więźniarki z Ravensbrück za stare lub zbyt chore, żeby pracować, dziergały skarpety dla żołnierzy.

Himmler obiecał przemysłowcom, że wypełni braki robotnikami z obozów koncentracyjnych. Zaplanowano sieć podobozów, każdy z fabryką, w której pracowałiby więźniowie.

W Ravensbrück, zaprojektowanym na 3 tysiące więźniarek, przebywało 18 tysięcy kobiet i codziennie przybywały nowe<sup>327</sup>. Przyjeżdżały nie tylko ze Wschodu, ale też z Zachodu. W kwietniu pojawiła się grupa 250 Francuzek, które dostały numery ponad 19 000.

Budowano nowe baraki, ale za wolno, żeby pomieścić wszystkie nowo przybyłe; z każdym kolejnym transportem więźniarki upychano jeszcze ściślej. Kiedy skończył się piasek, alejki wysypywano żuzłem. Powstało komando malarskie i szare bloki przemalowano na zielono. Kanalizacja przepełniła się, powstało więc komando hydrauliczne, jak również nowe komando odwszawiające. W całym obozie wisiały plakaty z napisem „Wszy = śmierć”. Więźniarki regularnie musiały stać nago na zewnątrz, nawet na śniegu, gdy ubrania i koce palono, a bloki odkażano gazem.

Kiedy Langefeld straciła pracę, jej ulubione blokowe – doświadczone funkcyjne, które potrafiły zaprowadzić porządek – zostały wtrącone do bunkra, w tym Grete Buber-Neumann, która dostała kilka tygodni aresztu w „ciemnicy”<sup>328</sup>. Po odejściu tych kobiet Ramdohr, szef Gestapo, zaprowadził własną formę kontroli i rozmieścił informatorki, które miały penetrować baraki. Niemiecka komunistka Maria Apfelkammer opowiadała, że Ramdohr potrafił wejść do bloku i zapytać: „Czy kogoś interesuje wolność?”, a wtedy jedna lub dwie kobiety wyłamywały się z szeregu i szły za nim – jako jego nowe *Lagerspitzel* (obozowe donosicielki). „Nikt nie chciał z nimi więcej rozmawiać”, opowiadała Maria<sup>329</sup>.

Nowe informatorki nie wracały jednak do własnych bloków; kierowano je do innych i tam szpiegowały. Więźniarki pracujące w obozowej kancelarii

wiedziały, kim są donosicielki, ponieważ wypełniały dokumenty. Staraly się ostrzegać kobiety w nowym bloku, ale biura również były penetrowane, więc niosło to ze sobą niebezpieczeństwo. *Spitzel* donosiły na wszystko, szczególnie na „organizowanie”. W związku z załoczeniem podkradanie kwitło, a brakowało wszystkiego – słomy do sienników, misek na zupę, a nawet ubrań.

Wczesnym latem 1943 roku w całym obozie zabrakło pasiaków. Zastąpiły je ubrania zamordowanych kobiet. Co tydzień zajeżdżały ciężarówki z Auschwitz z ubraniami Żydów, którzy je zdjęli przed pójściem do komory gazowej. Odzież tę przekazywano nowym więźniarkom w Ravensbrück i to dlatego, kiedy Grete Buber-Neumann wyszła w końcu z bunkra, zauważyła, że więźniarki „paradują w tę i z powrotem po obozowych alejkach w kolorowych ubraniach wszelkiego rodzaju, a nie w pasiakach”. Zauważyła też, że „regulaminowy krok, którego wdrożenie kosztowało esesmanów tyle problemów, również zniknął”<sup>330</sup>.

Dla więźniarek najgorszym skutkiem przeludnienia był coraz większy koszmar apelu. Kiedyś wstawały o szóstej, teraz musiały być na placu o czwartej, żeby przejść procedurę liczenia, trwającą trzy godziny lub więcej. A obóz rozrósł się już do takich rozmiarów, że nowa główna nadzorczyńi często pojawiała się na Lagerstrasse na rowerze z powiewającą z tyłu czarną peleryną. Była to „piękna bestia”<sup>331</sup>. Rosjanki wkrótce dowiedzą się, że nazywa się Dorothea Binz.

Jakiś czas po awansie Binz złożyła w rodzinnej wsi wizytę wózkiem zaprzężonym w konia<sup>332</sup>. Mieszkanka wsi, Ilse Halter, zapamiętała, jak pojawiła się na głównej ulicy z powiewającą za plecami czarną peleryną, z psem i szpicrutą.

– Myślała, że jest bardzo ważna – opowiadała Ilse. – Myślę, że wróciła pokazać nam, jak dobrze jej się powodzi. Odtąd ludzie się jej bali.

– Dlaczego się jej baliście? – zapytałam.

– Ponieważ oni wszyscy robili tam takie straszne rzeczy. – Ilse przerwała na moment. – Wie pani, co robili? Czytała pani o tym? Podrzucali do góry dzieci i strzelali do nich. – Zrobiła rękami gest podrzucania.

Spytałam, gdzie Ilse o tym słyszała. Czy wierzyła w to?

– Tak sędzę – odparła. – O tak, wierzyłam.

W połowie kwietnia 1943 roku strażnicy zdjęli drut kolczasty otaczający blok czerwonoarmistek i kobiety po raz pierwszy pomaszerowały na apel. „Była czwarta rano. Padał śnieg. Ustawiliśmy się po dziesięć w szeregu i starałyśmy się trzymać blisko siebie jak stado owiec na zimnie”, napisała Tamara Limachina, jedna z korespondentek Antoniny<sup>333</sup>.

Rosjanki ponownie ustawiły się w szeregu do przydziału do komand roboczych i bały się, że mogą trafić do produkcji broni w Siemensie, ale podobnie jak wszystkie nowo przybyłe przed nimi poszły do *Sandgrube*. Aby posłać Rosjanki do jakiejś pożytecznej pracy, najpierw należało złamać ich ducha, a najlepszym miejscem do tego było wybierzysko piasku. Pierwszego dnia Nina Charłamowa poślizgnęła się, jej wózek pełny mokrego piasku utknął w błocie i przewrócił się, więc dozorczyńni stała nad nią z pałką, dopóki nie napełniła go ponownie. Ale i tym razem wózek utknął i przewrócił się, a Nina została skopana i pobita.

Rosjanki pracowały na dłuższych zmianach niż pozostałe więźniarki i nie wolno im było wejść do bloku wcześniej niż po wieczornym apelu, więc po dwunastu godzinach pracy musiały stać na zimnie i deszczu, dopóki nie zapadł zmrok, a mokre ubrania przyklejały im się do ciała<sup>334</sup>.

Kiedy pozwolono im wrócić, Klemm i poetka Aleksandra Sokowa już na nie czekały. Tak jak starsze więźniarki w bloku robiły na drutach skarpetki. Jewgienia Łazariwna znalazła strzępy materiału, żeby owinać rany i pęcherze Niny, i powiedziała kobietom, żeby troszczyły się o siebie nawzajem: „Nie wystawiajcie się na niebezpieczeństwo. Szukajcie drobnych sposobów, aby ulżyć nam wszystkim. Jeśli strażnik je śniadanie, ukradnij gazetę i przynieś nam”. I powiedziała też, żeby nie wierzyć Niemcom, kiedy mówią im, że przegraliśmy bitwę pod Stalingradem. „Wiedziała jeszcze przed nami wszystkimi, że wygraliśmy”, mówiła Nina Charłamowa.

Lekarki Armii Czerwonej harowały w wybierzysku wiele tygodni, ale inne Rosjanki wkrótce poszły pracować do szwalni, gdzie spotkały Gustava Bindera, którego nazywały Żyrafą. „Nagle od maszyny do maszyny przeskakiwał szept: «Żyrafa idzie» i wszystkie kobiety trzęsły się, bladły i pochylały niżej nad maszyną”, napisała Tamara Limachina, wspominając scenę dla Antoniny Nikiforowej.

Zapada kompletna cisza. Słychać tylko terkot maszyn. Wtedy na progu pojawia się ten wysoki esesman z długą żyrafą szyją. Powoli sprawdza wszystkie pracujące kobiety, przechodząc od

stolika do stolika, podchodzi do stołu, gdzie leży stos gotowych ubrań, bierze parę spodni i uważnie je bada, a serca wszystkich kobiet łopoczą jak ptak w klatce i każda myśli o tym samym: a teraz którąś pobije. Nagle krzyczy: „*Kolonnenführerin* [kierowniczką komanda], co to ma być?!”, i pokazuje spodnie.

Drobna kobieta o bladej, niezdrowej cerze powoli, ale stanowczo, nie okazując strachu, podchodzi do stołu. Nikt nie może jej obronić. Wszyscy wiedzą, że zostanie pobita. Może prawie na śmierć. „Co to jest?” I patrzy na nią z twarzą czerwoną od nienawiści. „Co to jest?”, i zaczyna ją bić pięściami i kopać podkutymi butami. Ona próbuje osłonić twarz i bronić się, ale to jeszcze bardziej rozwściecza potwora i czerwony z wściekłości, z pianą na ustach, bez przerwy uderza ją po plecach, twarzy i klatce piersiowej. Kobieta jest bezwładna jak trup i leży na podłodze, krwawiąc z nosa i ust, a on chwyta jej stołek i teraz już nikt nie szyje. Wszystkie kobiety stoją i patrzą na scenę z nienawiścią i przerażeniem. W duchu dławią je łyzy nienawiści, bezsilności i upokorzenia, wewnętrznego bólu. A wtedy z podłogi dobiega krzyk, rozdzierający serce krzyk kobiety, która nie potrafi się już dłużej opierać, i potwór, kompletnie zaskoczony, przestaje bić i odstawia stołek. Badawczo patrzy na wszystkie kobiety, kopie ofiarę ostatni raz i krzyczy: *Arbeit schnell!* I wychodzi. Takie sceny rozgrywały się często. A my, dziewczyny, które walczyły pod Stalingradem, mogłyśmy tylko patrzeć<sup>335</sup>.

Binz często pojawiała się pod szwalnią, kiedy kobiety czekały w kolejce do wyjścia, i biła je – szczególnie żołnierki Armii Czerwonej – krzycząc: „Ruskie świnie, macie wasz ruski marsz, teraz maszerujecie dla nas, wy ruskie świnie!”. Pewnego dnia uderzyła pejczem Elenę Barsukową, pielęgniarce z Odessy. „Uderzyła mnie po głowie i plecach, ale nie krzyknęłam. Zmusiłam się, żeby nie krzyknąć – nie tutaj, pod warsztatem. Potem, kiedy wróciliśmy do bloku, Jewgienia Łazariwna czekała na mnie. Już do niej dotarło. Wiedziała. I gdy tylko ją zobaczyłam, zaczęłam płakać. A potem wszystkie zaczęłyśmy płakać. Ona też płakała<sup>336</sup>. Powiedziała mi, że bym w przyszłości unikała wzroku esesmanów. A potem zebrałyśmy się w grupie i zaplanowałyśmy drobne akty sabotażu, na przykład zaszycie otworów na rękawy lub nacięcie materiału tak, żeby ubranie się podarło, ale żeby nikt tego nie zauważył, co było najłatwiejsze w przypadku białych strojów kamuflażowych”.

Niedługo potem moskiewska rodzina napisała wiersz o Binz. Anna Stiekolnikowa zachowała kopię i wyjęła ją z szuflady w małym mieszkaniu na ostatnim piętrze moskiewskiego bloku, gdzie ukrywała ją przez siedemdziesiąt lat. Anna powiedziała, że wiersz napisała jej koleżanka Lidia Gradziłowa, i odczytała go:

„*Piękna blondynka*”  
*Taka jesteś piękna,*

*Masz błyszczące oczy i loki,  
Ale gdybyśmy tylko mogły, wdarłybyśmy się do twej duszy  
I zmiażdżyły żądne krwi serce.  
Jacqueline, dziewczyna, którą chłostałaś, pamiętasz?  
A jak zdeptałaś Polkę, Wandę?  
A jak torturowałaś Rosjanę, Weronikę? Ty i twój pies.*

Spytałam Annę, czy rzeczywiście Binz nazywano w obozie Piękną Blondynką, a ona odparła:

– Raczej piękną suką. Ale faktycznie była piękna, wysoka i elegancka.  
– Była sadystką?  
– Wiedziałyśmy, że nienawidzi nas, Rosjanki. Ukrainki traktowała obojętnie, ale Rosjanki stały na straconej pozycji. Tak, myślę, że była sadystką, prawdziwą sadystką. Jej oczy płonęły, kiedy biła ludzi.

Pewnego dnia jednak Binz oszczędziła życie Anny, odwołując psa.

Wykopywałam piasek z dna jeziora, a potem wracałyśmy piątkami do obozu, ktoś zapytał mnie o coś i poruszyłam ustami. Binz zobaczyła to, wywołała mój numer i kazała stać przez kilka godzin na małym wzgórku za szpitalem. Zawsze tam wiało i było przeraźliwie zimno, więc dziewczyny z mojego baraku wzięły dla mnie jedzenie, ale potem przyszła Binz z psem i pies skoczył na mnie i łapami przewrócił na ziemię. Upadłam, a on zaczął mnie atakować, ale Binz go odciągnęła. Tak jakby mnie pożałowała i krzyknęła do mnie: *Weg!*, idź stąd. Niedługo potem pies zdechł, a Binz pochowała go tam, gdzie padł, przed blokiem, a miejsce to obsadziła kwiatami.

Olga Gołowina wymienia uścisk dłoni z siłą młodej kobiety, a potem opowiada więcej o Binz i moskiewskiej rodzinie.

„W bloku zawsze trzymałyśmy się razem, ale było ciężko – powiedziała, strząsając popiół z papierosa do doniczki z zakurzoną rośliną. Głos miała chropawy, włosy blond i zaondulowane. Olga była w wywiadzie. Zrzuciono ją ze spadochronem za niemieckimi liniami. Nigdy wcześniej nie skakała ze spadochronem, nie przeszła szkolenia. Dla amortyzacji przy lądowaniu miała korę przywiązaną do stóp. Wyjmuje fotografie przyjaciółek z Armii Czerwonej. „W baraku wszystkie miałyśmy przydomki. Ja byłam «Puszkinem» z powodu kręconych włosów. Była jeszcze «Kot», Wiera Samojłowa była «Niedźwiedziem», ponieważ lubiła gderać. Aleksandra Sokowa była «Hrabią», ponieważ z jakiegoś powodu nosiła spodnie i była taka poważna. Spotykałyśmy się wieczorami”.

W pewnym okresie Olga ciągnęła *Kesselkolonne*, ogromny wózek kuchenny, z kuchni do bloku. Raz, gdy zmagaly się z ciężarem, wózek przechylił się, a gorąca kawa wylała się na nogi jej przyjaciółki Nadii, parząc skórę, ale Nadia doszła aż do baraku, świadoma, że jeśli Binz o tym usłyszy, wszystkie wylądują w bunkrze. Innym razem dziewczęta wepchnęły wózek w stos ciał, ułożonych jak kłody. „Wszystkie pospadały”.

Wspomniała o Łusi Małyginie: „Musi pani napisać o Łusi – takiej pięknej i odważnej, Łusia wielu ludziom ocaliła życie. Pracowała w szpitalu i zamieniała nazwiska, żeby ocalić nas przed listami śmierci”. Czy Olga wie o procesie w Symferopolu, zapytałam, mając na myśli proces, w którym tajna stalinowska policja oskarżyła Łusię Małyginę i inne o kolaborację. Przynaknęła i zapytała, co wiem.

Pokazałam jej list, który znalazłam w pudłach Antoniny. Napisała go Maria Klugman, chirurg czerwonoarmistka, jedna z oskarżonych. To jedyny pisany ślad procesu, jaki wyszedł na światło dzienne; Maria wymienia w nim nazwiska oskarżonych oraz oskarżycielek, a także trzy inne.

Olga poprosiła o list, przeczytała go i wydawała się wstrząśnięta. Zawsze krążyły plotki, że coś takiego się stało, powiedziała, „ale nikt nie miał pewności”. Wyszła na kolejnego papierosa.

„Ale w obozie nie było zdrajców – opowiadała po powrocie do pokoju. – Nikogo, kogo bym znała. W obozie byłyśmy silne – my, dziewczęta radzieckie”. I wspomniała rocznicę rewolucji październikowej, kiedy Łusia Małygina „zeskoczyła ze swojej pryczy i tańczyła”, a jakaś Francuzka śpiewała arię<sup>337</sup>. „Jewgienia Łazariwna chodziła wkoło i mówiła «Wesołego święta, dziewczęta». Zawsze zachęcała nas do świętowania w taki sposób, w jaki mogliśmy”.

Jesienią 1944 roku do obozu przybyła Rosa Thälmann, żona słynnego niemieckiego komunisty Ernsta Thälmana, rozstrzelanego w Buchenwaldzie w sierpniu tegoż roku. „Więc Jewgienia Łazariwna powiedziała: «Zróbmy dla niej ciasto». I zrobiłyśmy. Dostawałyśmy w niedzielę 25 gramów margaryny i łyżeczkę marmolady, więc jakoś wymieszałyśmy je z okruskami chleba i zrobiłyśmy to ciasto. Udekorowałyśmy je kwiatami skradzionymi z grobu psa Binz”.

Latem 1943 roku Suhren wydał nowe zarządzenie, że w niedziele wszystkie więźniarki muszą maszerować, a nie spacerować po Lagerstrasse, aby



odbudować dyscyplinę i porządek, utracone wskutek wyjazdu Langefeld. Rosjankom – dotąd wykluczonym z pojawiania się na Lagerstrasse w niedziele – również kazano maszerować.

„Nasze piękne blondynki uznały to za okazję, by się pokazać – relacjonowała Olga ze śmiechem. – Uprasowały sukienki, wkładając je pod sienniki, i starały się wyglądać elegancko. Nawet umyły włosy kawą. Potem wszystkie maszerowałyśmy niczym na defiladzie i wszyscy się gapili”.

Dagmar Hájková, naczelną czeska komunistka, w swej powojennej relacji dała bardziej dramatyczny opis. „Cały obóz pokrywał czarny żużel. Wyglądało to, jakby wszystko spowijała krepą. Kilka tysięcy kobiet w pasiastych łachmanach, w drewniakach lub boso, maszerowało piątkami w tumanach czarnego pyłu”.

Kobietom kazano śpiewać niemieckie piosenki. Część Czeszek próbowała śpiewać swoje narodowe pieśni, ale strażniczki im przerwały, więc kobiety zamilkły. „Tylko proletariuszki [aspołeczne] nadal śpiewały – opowiadała Dagmar – najpopularniejsze piosenki o błękitnych oczach, czerwonych ustach i pocałunkach. To było żałosne widowisko. Same młode dziewczęta, niepodobne niemal do ludzi – ubrudzone, bose lub w drewniakach, potykające się ze zmęczenia. To nie przypominało prawdziwego marszu. Część kulała. Wszyscy wypatrywali końca”<sup>338</sup>. Potem nagle podniósł się krzyk po obozie i wszyscy się odwrócili. Ujrzeni pięćset Rosjanek maszerujących na plac apelowy, ustawionych według wzrostu i maszerujących piątkami idealnym krokiem defiladowym.

Z kuchennych schodów komendant i jego załoga patrzyli na to w osłupieniu. Z placu apelowego tysiące oczu więźniarek z całej Europy także patrzyły na Sowietki. Kiedy dotarły do środka placu, wszystkie zaczęły śpiewać bojową pieśń Armii Czerwonej. Śpiewały czystymi i donośnymi głosami, młode twarze, głowy ogolone na znak hańby, ale z czołami wysoko podniesionymi: wszyscy zamarli. Szły, jakby defilowały na placu Czerwonym w Moskwie, a nie w nazistowskim obozie koncentracyjnym.

Dalsze wypadki wydają się jedynie pobożnym życzeniem Dagmar Hájkovej. Inne więźniarki, twierdzi, stały się ich gwardią honorową. „Tysiące rąk je pozdrawiało. Czerwonoarmistki śpiewały *Pieśń partyzancką*, a teraz przyłączył się do nich cały obóz”. Olga Gołowina powiedziała po prostu, że Rosjanki „dały popis”.

Esesmani byli tak zaskoczeni, że przez parę minut nie zareagowali. „Binz



stała i czekała na sygnał – powiedziała Hájková. – Nigdy nie spotkali się z takim zuchwalstwem. Chwilę zajęło im zapędzenie więźniarek do baraków. W tamtą niedzielę nie pozwolono nam więcej wychodzić z bloków. Ale nie ukarano wszystkich. Esesmani nie poinformowali Berlina o tym incydencie. Nie chcieli, by o tym wiedziano. A my już nigdy więcej nie musiałyśmy maszerować w niedzielę”.

[315](#) Wywiad autorki. Zob. też: Konnikowa, GARF; Czajało, raport dla Muzeum Medycyny Wojskowej, Sankt Petersburg; Łosowaja, ARa; dokumenty Nikiforowej.

[316](#) Wywiady autorki; zob. też dyskusję w: Strebel, *Ravensbrück*, i Favez, *The Red Cross and the Holocaust*.

[317](#) *Dictators*. Wspomnienia Grete Buber-Neumann, wydane w RFN w 1949 roku, zostały uznane za Wschodzie za dzieło faszystowskiego zdrajcy i do dziś nie zostały przetłumaczone na rosyjski.

[318](#) Hájková, „Ravensbrück”, Praga 1960, ARa.

[319](#) *Dictators*.

[320](#) Na temat walki Nikiforowej z cenzorami przeprowadziłam wywiady ze Stellą Nikiforową (z domu Kugelman) i Bärbel Schindler-Sajewkow.

[321](#) Historia życia Klemm została odtworzona na podstawie relacji ocalałych więźniarek i dokumentów Georga Loonkina, w tym artykułu napisanego w 1968 roku do „Komunistycznego Sztandaru”. Artykuł był przełomowy, ponieważ wychwalał bohaterstwo radzieckich kobiet w czasie, kiedy jeńcy Hitlera z Armii Czerwonej nadal traktowani byli w Związku Radzieckim jak zdrajcy.

[322](#) Chociaż zabójcza zaraza szerzyła się w obozie, więźniarki rzadko się przeziębiały lub chorowały na grypę. Podczas ucieczki przed Niemcami na froncie wschodnim Ida Grinberg, lekarka Armii Czerwonej, spała na gałęziach jodłowych leżących na śniegu. „Wtedy też nie łapałyśmy przeziębień”. Ida zauważyła również, że mężczyźni zwykle są o wiele słabsi fizycznie i „moim zdaniem mają słabszą wolę niż kobiety”.

[323](#) Jekatierina Ołowiannikowa, dokumenty Nikiforowej.

[324](#) Anna Fiedczenko, dokumenty Nikiforowej.

[325](#) List z dokumentów Nikiforowej.

[326](#) Hájková, „Ravensbrück”, Praga 1960, ARa.

[327](#) Wiele relacji z tego okresu opisuje coraz większe zatłoczenie w obozie; na przykład zob. Moldenhawer, Lund 420. Zob. też album zdjęć SS przedstawiający prace budowlane (ARa) i Plewe, Köhler, *Baugeschichte Frauen-Konzentrationslager Ravensbrück*.

[328](#) Wśród blokowych zwolnionych ze stanowiska i zesłanych do bunkra po oddaleniu Langefeld znalazły się też Rosa Jochmann, austriacka działaczka związków zawodowych, oraz Polka Helena Korewina.

[329](#) Liczne relacje w zeznaniach procesowych z Hamburga i BAL. Zob. Apfelkammer BAL B162/9818 oraz zeznania Ramdohra WO 309/416.

[330](#) *Dictators*.

[331](#) Nie wiadomo, kiedy dokładnie Binz oficjalnie została główną nadzorczynią. Na początku dzieliła stanowisko z nowo przybyłą do obozu Anną Klein-Plaubel, ale Klein-Plaubel nie wywarła większego wrażenia na więźniarkach, a na powojennym przesłuchaniu twierdziła, że nie miała bezpośredniego kontaktu z więźniarkami (WO 309/115). Od 1943 roku większość więźniarek uważała, że jedyną naczelniczką jest Binz; z pewnością dysponowała największą władzą.

[332](#) Wywiad autorki z Ilse Halter, znajomą Binz z dzieciństwa.

[333](#) Dokumenty Nikiforowej.

[334](#) Konnikowa, GARF. Ciągłe wynajdowano nowe formy tortur. Anna Stiekołnikowa wspominała, że musiały wykopywać mokry piasek z dna jeziora, stojąc po pas w wodzie. Wywiad autorki.

[335](#) Dokumenty Nikiforowej.

[336](#) Relacja Barsukowej przedstawia rzadki obraz płaczących kobiet w obozie. „Nie widywałam w obozie zbyt wielu łez. Z jakiegoś powodu kobiety nie płakały”, powiedziała Anna Stiekołnikowa.

[337](#) Czajało, w raporcie dla Muzeum Medycyny Wojskowej w Petersburgu, twierdzi, że była to aria z *Carmen*. Anisa Girard wspominała, że śpiewała tę arię z Rosjankami, kiedy mieszkały w tym samym bloku.

[338](#) Hájková, *Ravensbrück*, Praga 1960, ARa, oraz wywiad autorki z Galiną Gorbocową.

## Rozdział 18

### Doktor Treite

Czerwonoarmistki nie musiały się obawiać wysłania do Siemenslagru. Ich jeniecki status oznaczał, że nie mogły być posłane do pracy poza murami; nie mogły też pracować w przemyśle zbrojeniowym, ponieważ prawdopodobnie by zaprotestowały. Siemens nie chciał wicherzycielek w swym zakładzie, który w lecie 1943 roku funkcjonował wyjątkowo dobrze. Szef firmy Rudolf Bingel był tak zadowolony z wyników w Ravensbrück, że 1943 roku przekazał 100 tysięcy marek dla „kręgu przyjaciół” Himmlera<sup>339</sup>.

Otwarta rok wcześniej fabryka powiększyła się trzykrotnie, a ponad 600 kobiet pracowało teraz na dwunastogodzinnych zmianach, włącznie z nocną. Nawijały miedziany drut na cewki, wykonywały przełączniki, mikrofony, osprzęt telefoniczny i kondensatory, które sływały z taśmy produkcyjnej i trafiały do wykańczalni, a potem były pakowane i ładowane do wagonów kolejowych. Kobiety nie miały pojęcia, do czego są wykorzystywane te elementy. „Zastanawialiśmy się, czy to do samolotu, czy do działa”, wspominała bułgarska więźniarka Georgia Tanewa.

Przez las pobiegły tory, łącząc zakład Siemensu z molo nad jeziorem i główną linią przez Fürstenberg. Planowano również połączyć fabrykę z zakładem poprawczym dla niepełnoletnich dziewcząt, umieszczonym w pobliżu, w lesie zwanym Uckermark. W prowadzonym przez policję kryminalną Jugendlager Uckermark przebywało do 400 dziewcząt, ponoć moralnie lub seksualnie zdeprawowanych<sup>340</sup>. Więźniarki z Ravensbrück mówiły, że większość dziewcząt popełniła drobne wykroczenia: wiele po prostu wyrzucono z pociągów za brak biletu. Młode i silne, miały być dobrymi niewolnicami, więc Siemens zawarł umowę na budowę filii fabryki w obozie dla młodocianych. Po roku w Ravensbrück kierownictwo przedsiębiorstwa i SS działały ramię w ramię. W fabryce pojawiali się dostojnicy w cywilnych

ubraniach, włącznie z dyrektorem naczelnym Siemens, Gustavem Leiferem, kolejnym członkiem SS, który odwiedzał Fritza Suhrena w jego biurze, Suhren natomiast bywał w biurach Siemens w Berlinie. Otto Grade, dyrektor fabryki w Ravensbrück, był w doskonałych stosunkach z Suhrenem i często widywano go w głównym obozie. Pod jego kierownictwem pracowało mnóstwo cywilnych pracowników Siemens: techników, kierowników i instruktorów.

Nie wszystko w zakładzie szło gładko. Kierownictwo ukróciło kontakty między personelem cywilnym a więźniarkami. Austriacka komunistka czeskiego pochodzenia Anni Vavak, zatrudniona u Siemens, próbowała rozmawiać z cywilami, żeby powiadomić ich o okrucieństwach. „Bardzo chciałam pozostawać w kontakcie z tymi cywilami – mówiła Anni. – Chciałam, by ci niemieccy pracownicy przekazali dalej to, co im mówiłam, żeby ludzie w Niemczech dowiedzieli się, co się dzieje w obozie”<sup>341</sup>.

Garstka wyższego personelu wydawała się przyzwoita. Pewien człowiek zwykł ukrywać gazetę pod stołem, żeby więźniarki mogły ją znaleźć, a inny proponował wysyłanie listów. Jednak większość pracowników Siemens była „szorstka” i z „odrazą” odnosiła się do więźniarek, więc Anni nie zdołała nikogo przekonać. Największą grupę stanowili zagorzali naziści. Szef *Spulerei* (nawijalni) Lombacher był „i nazistą, i sadystą”; nie stanowił wyjątku. Nawet życzliwsi zmieniali nastawienie po nowych dyrektywach kierownictwa Siemens, zakazujących wszelkich kontaktów. Jedna z takich wytycznych trafiła w ręce Anni: „zmięłam ją w garści i powiedziałam sobie, że więźniarki polityczne wyrastają ponad ten motłoch”.

Anni nie opowiedziała, co zawierało pismo, ale znamy inną notatkę szefostwa o brataniu się, zachowaną w aktach. Sfrustrowany przestojami, wywołanymi brakiem części, kierownik uskarżał się: „To niezrozumiałe, aby poniekąd płacić więźniarkom za grzanie się i odpoczywanie w naszych czystych halach produkcyjnych. W tych przypadkach współczucie jest niestosowne i każdy musi je w sobie nieustannie dławić”<sup>342</sup>.

Kierownicy Siemens skarżyli się też na „uczucia sympatii” okazywane przez Herthę Ehlert, jedną z pierwszych strażniczek w fabryce, która dawała więźniarkom żywność; została więc usunięta i posłana przez SS do pracy w obozie na Majdanku<sup>343</sup>. U Siemens Ehlert zastąpiła Christine Holthöwer, znana z bicia i szpiegowania dla Ludwiga Ramdohra.

Gdy obóz Siemens się rozrastał, werbowano nowych nadzorców

z berlińskiego personelu firmy. Zwabieni obietnicami podwyżek i dodatkowych przydziałów żywnościowych, niektórzy tęsknili za domem i nienawidzili nowego miejsca. „Chciałam od razu wracać – wspominała jedna z kobiet – ale powiedzieli, że podpisałam i muszę zostać. Na początku było trudno. Przez pierwsze osiem dni nie mogłam nic przełknąć. Ale potem się przywykało”<sup>344</sup>.

Podupadające zdrowie więźniarek, skutek okropnej diety obozowej i zatłoczonych baraków, oznaczało wysoką fluktuację robotnic, ale nic z tym nie można było zrobić, ponieważ na mocy umowy między Siemensem a SS to SS ponosiło wyłączną odpowiedzialność za wyżywienie i zakwaterowanie kobiet. Jak ujął to urzędnik firmy: „Ponieważ kwatery i jedzenie zapewniał obóz, wszelkie środki z naszej strony były zbyteczne”<sup>345</sup>. Siemens nie przejmował się też zdrowiem pracownic: na mocy kontraktu z SS firma miała prawo skreślać z list wszystkie chore, podobnie jak nieodpowiednie kobiety, które niewłaściwie się zachowywały lub nie wyrabiały norm. Otto Grade, dyrektor fabryki, dbał, żeby liczba odrzuconych robotnic zawsze znajdowała się w jego comiesięcznych raportach dla Berlina, podobnie jak liczba nowych uzupełnień.

Zdrowie robotnic nadwierały również długie marsze do fabryki i z powrotem, które odbywały się cztery razy dziennie. Odległość od bram do drutów kolczastych okalających fabrykę Siemensu wynosiła około półtora kilometra, ale więźniarki odczuwały ją jako o wiele dłuższą. W źle dopasowanych drewniakach maszerowały najpierw po mokrym piasku i błocie nad brzegiem jeziora, potem wchodziły w las, a następnie wspinały się po zboczu, gdzie stopy zapadały się w piasek i ślizgały na mokrych liściach. Na śniegu i lodzie kobiety traciły równowagę i upadały.

Pracownice Siemensu wychodziły z obozu – po odstaniu apelu – po wypiciu jedynie kawy na śniadanie. „Docierałyśmy do Siemensu zmarznięte i zaczynałyśmy pracę ze sztywnymi palcami, zawsze pustymi brzuchami i senne”, opowiadała Anni Vavak. Co gorsza, kiedy docierały więźniarki, cywile często właśnie jedli śniadanie. „Na naszych oczach, wiedząc, że głodujemy, wyjmowali wszystkie przysmaki, których już nawet nie umiałyśmy nazwać”, wspominała Minny Bontemps, inna robotnica u Siemensu<sup>346</sup>.

Po powrocie na obiad kobiety miały zaledwie tyle czasu, by złapać miskę wodnistej zupy z brukwi z dwoma lub trzema ziemniakami, ale nacisk na

realizację norm oznaczał, że strażniczki wyganiały je, zanim zdołały zjeść, pędząc je na wzgórze i krzyząc: „Opuścić ręce, mordy w kubeł, idiotki, brudne leniwe dziwki!”. Pod koniec dnia wyczerpane robotnice wracały, a gdy zapadał mrok, zaczynała się nocna zmiana u Siemens, która pracowała od 22.00 do 6.00 bez choćby kromki chleba.

Pracownice zakładów cierpiały ogromnie z powodu czyraków, opuchniętych nóg, biegunki i gruźlicy, ale długie godziny powtarzania tych samych czynności i nieustanny nacisk na wyrabianie norm wywołały też swoistą chorobę: nerwowe drgawki. „Po trzech miesiącach kobiety były kłębkim nerwów i nie dawały rady – wspominała Irma Trksak, więźniarka austriacka czeskiego pochodzenia. – Wiele zaczęło marzyć o kopaniu piasku czy choćby rowów”<sup>347</sup>. Cierpiące na nerwowe drgawki wkrótce spisywano jako nienadające się do pracy i usuwano z list robotnic.

Selma van de Perre (z domu Velleman, znana w obozie jako Margareta van der Kuit<sup>348</sup>), holenderska więźniarka, która trafiła do Siemens rok później, twierdziła, że wiele kobiet w zakładach przechodziło załamanie nerwowe. „To była jedna z najstraszniejszych rzeczy – szaleństwo. Często to widywałam – zaczynało się tak... – i moja rozmówczyni mruga i drga powieką – a potem pojawiał się dziwny śmiech”<sup>349</sup>.

Jedną z chorych była młoda Holenderka Jacqueline van der Aa, która przybyła ze swoją matką, Bramine. Matka i córka pochodziły z klasy wyższej; zostały aresztowane za wspieranie ruchu oporu, opowiadała Selma. „W chwili przyjazdu były doskonale zdrowe. Jacqueline była piękna, ze wspaniałymi długimi włosami, ale ostrzygli ją – jako jedyną z naszej grupy. Płakała i płakała”. Kilka miesięcy po rozpoczęciu pracy u Siemens Bramine zmarła na tyfus po wypiciu wody z jednego z kranów z fabrycy. Potem Jacqueline zaczęła objawiać symptomy choroby nerwowej. „Zauważyłam, że często te z dobrych rodzin nie dawały rady. Nie były przyzwyczajone do warunków – wspominała Selma, która знаła wiele takich przypadków, włącznie z Benno Hoenicke. – Przed wojną była radcą prawnym w ministerstwie żywności. Pamiętam, że pewnego dnia ukradła mój chleb. Potem zaczęła mieć tiki. To był fenomen. Zawsze dostrzegałam, kiedy się to zaczynało”.

Spytałam, co się z nimi stało. „O, strażniczki szybko zauważyły, zostały odesłane do obozu i zabite”.

Jak zauważyła Selma, zabijanie „szalonych” i innych „darmozjadów” nigdy

nie ustało<sup>350</sup>. W rewirze wciąż wykonywano śmiertelne zastrzyki. Po wielkich transportach, które zabierały kobiety na śmierć w Bernburgu na początku 1942 roku, od czasu do czasu przeprowadzano mniejsze selekcje; nocą przyjeżdżały ciężarówki i zabierały nawet do 50 kobiet do gazowania, prawdopodobnie w Auschwitz.

Szczegółów dotyczących tych mniejszych transportów śmierci, które stały się znane jako „czarne” – albo *Himmelfahrt* (do nieba) – jest niewiele, ale Gerhard Schiedlausky, lekarz obozowy, ujawnił na procesie w Hamburgu, jak one przebiegały. Czarne transporty ukrywano pod nazwą „eutanzja” na mocy tego samego rozkazu 14f13, który nakazywał gazowanie w Bernburgu. Lekarze obozowi badali wyselekcjonowanych, zeznał, a samych więźniów poddawano testowi na inteligencję, by sprawdzić, czy są „szaleni”, czy nie<sup>351</sup>.

Wiosną i latem 1943 roku na placu apelowym w Ravensbrück pojawiało się coraz więcej ważnych mężczyzn w cywilnych ubraniach. Byli to majstrowie od Heinkla, Daimlera-Benz a i z innych fabryk zbrojeniowych, którzy wybierali robotnice. Na wieść o sukcesie przedsięwzięcia Siemens a – i za zachęta Himmlera – oni również wynajmowali niewolnice do swoich zakładów zbrojeniowych. W przeciwieństwie jednak do Siemens a przedsiębiorcy ci nie mieli ochoty lokować swych fabryk tak blisko obozu koncentracyjnego; budowali je jako obozy „satelickie” bądź „podobozy”, umieszczone w pewnej odległości od Ravensbrück, chociaż czerpiące siłę roboczą z obozu macierzystego.

Studentka Maria Bielicka została wybrana do pracy w pierwszym podobozie Ravensbrück. W marcu z wieloma innymi wezwano ją na plac apelowy, gdy *Meister* kroczył między szeregami i przyglądał się kobietom. Potem, wraz z mniej więcej pięćdziesiątką innych, Maria wyjechała 600 kilometrów dalej, do Neurolau (Nová Role) koło Karlsbadu (Karlowych Warów) w Czechach, gdzie w fabryce porcelany wyrabiały miski dla żołnierzy. Wkrótce w Neurolau podobóz wybudował też Siemens, a Maria produkowała części do samolotów Messerschmitt. „Było bardzo ciężko. Pamiętam schodzącą skórę, gdy musiałyśmy wkładać elementy do gorących pieców”.

Wyjazd do Neurolau wywołał poruszenie w obozie macierzystym. Kryśia wspomniała o tym w tajnym liście do domu: „25 III wyjechało także kilkadziesiąt Polek do Karlsbadu – fabryka porcelany”. Pisała też: „30 IV



zostało rozstrzelanych 5 dalszych pod pozorem transportu do Oświęcimia”. Poprosiła również o słownik francuski, gdyż do obozu przybyła duża grupa Francuzek.

W grupie francuskiej znalazły się Micheline Maurel, nauczycielka literatury z Tulonu, oraz Denise Tourtay, studentka z Grenoble, obie schwyte w przypadkowych obławach na członków ruchu oporu. Zaraz po kwarantannie ich grupa również stanęła na placu apelowym, gdzie oglądał je majster. Potem czekały jednaście godzin bez jedzenia, aż przyjadą lekarze, by zbadać ich ręce i stopy z powodów, których nie rozumiały.

„Wybierali nas jak krowy na targu – wspominała Micheline. – Kazali nawet otwierać usta i oglądali zęby”. Potem rozległo się *Schnell, schnell!*; wrzaskiem i biciem zagnali nas na dworzec, gdzie wtłoczyli nas do bydłych wagonów i wywieźli do Neubrandenburga, jakieś 50 kilometrów na północ – „do opuszczonej i zapomnianej placówki, gdzie nikt by nas nigdy nie odnalazł”<sup>352</sup>.

Wprowadzenie podobozów było najnowszym krokiem w planach Himmlera, żeby przekształcić jego obozowe imperium w ośrodek produkcji zbrojeniowej. Minister uzbrojenia Albert Speer miał powiedzieć później, że Himmler po prostu próbował zagarnąć więcej wpływów i pieniędzy – „by zbudować państwo w państwie” przez przesunięcie produkcji do swych obozów. Reichsführer z pewnością chciał, żeby zwróciły mu się zainwestowane pieniądze.

Tak jak w przypadku Siemensu koszt wynajmu niewolniczej siły roboczej do obozów satelickich został starannie obliczony przez przemysłowców i SS. Różnica polegała na tym, że ponieważ podobozy leżały w dużej odległości od obozu macierzystego, firmy zapewniały zakwaterowanie i wyżywienie, a ich koszt odejmowano od opłaty za wynajem robotników.

Umowy były tak szczegółowe, że w kontrakcie między Ravensbrück a przedsiębiorstwem Filmfabrik Agfa znalazła się klauzula, że SS zapewni kobietom odzież, podczas gdy firma zadba o chustki na głowę<sup>353</sup>. Niekiedy przewidywano pewną elastyczność; na przykład gdyby kobiety wyprodukowały więcej, mogły liczyć na lepsze jedzenie. A tak jak w przypadku Siemensu, kiedy jakaś kobieta została uznana przez kierownictwo za zbyt wyczerpaną, „szaloną” albo chorą do pracy, umowa stwierdzała, że robotnica zostanie automatycznie odesłana do obozu głównego, a SS zastąpi ją



inną.

Pojawienie się majstra na placu apelowym w pierwszej połowie 1943 roku zwiastowało prawdopodobnie największą zmianę w codziennym życiu obozu, odkąd otwarto go cztery lata wcześniej. Od teraz o każdej porze mogło paść polecenie, by więźniarki ustawiły się w szeregach, a potem czekała je wywózka w nieznaną. Kobiety wracające z codziennej pracy w komandach do swych bloków odkrywały, że ich przyjaciółki, siostry, matki i córki zniknęły z obozu, często więcej o nich nie słyszano.

Jak szybko odkryły jednak niektóre więźniarki, praca w podobozach miała też swoje zalety.

Od pewnego czasu „króliki” szukały lepszych sposobów szmuglowania swoich listów na zewnątrz. Od masowego protestu w marcu lekarze Karla Gebnharda zajęli się eksperymentami na psach – zabite zwierzęta przywożono do rewiru i wywożono z niego – a doświadczenia na Polkach wydawały się zakończone; „operacje zupełnie wstrzymane, odbywają się teraz tylko na psach, które przywożą do rentgena”, napisała Krysia<sup>354</sup>. Kobiety jednak wciąż miały wiele do opowiedzenia światu, a miejsce w innych tajnych listach było ograniczone, szczególnie dla Krysi, która zaczęła pisać bieżące komentarze do wydarzeń w obozie i podawać nazwiska przestępców wojennych.

„Szpitalem rządzą: dr Rosenthal, dr Szydlauski [sic] i lekarka Oberheuser – napisała maczkiem na odwrocie koperty w maju 1943 roku. – Jest on miejscem zbrodni: dzieci rodzące się w lagrze oprócz niemieckich (oboje rodzice Niemcy) są zabijane, osoby dotknięte szokiem nerwowym lub chorobą umysłową zostają zastrzykiem wykańczane, z naszego transportu Teodozja Szych 7908”. W innym liście wcisnęła litery dookoła brzegu koperty: „Wybudowali krematorium za murami obozu, więc nie będzie dowodów, jak w Katyniu”<sup>355</sup>. Było to odniesienie do masakry 20 tysięcy Polaków w lesie opodal Katynia w 1940 roku, która, jak się potem okazało, była dziełem Rosjan, a nie Niemców.

Ze wszystkich jej listów jasno wynika, że najbardziej Krysia bała się nieuchronnej egzekucji wszystkich „królików”, „żeby nie było dowodów” eksperymentów. Wciąż nagliła rodzinę, by opowiedziała wszystko światu, a w maju 1943 roku zaproponowała nowy sposób: „Rzeczą, która może nam pomóc, jest nadawanie przez londyńskie radio wszystkiego, co się tu dzieje.

Jedyną rzeczą, która mogłaby ich powstrzymać, jest wyjawienie tajemnicy. [...]trzymać się będziemy na pewno do końca, byleby oni chcieli nas jeszcze trzymać. Znak: ołówek w paczce”.

Wzmianka Krysi o „londyńskim radiu” wskazuje, że w maju 1943 roku wiedziała, że takie audycje są możliwe. Niemal na pewno autorki tajnych listów wiedziały o radiostacji Świt, nadającej z Anglii do Polski i na cały świat<sup>356</sup>. Świt został założony w październiku 1942 roku przez Polaków, którzy uciekli do Wielkiej Brytanii, i miał związki z Polską Sekcją BBC, choć był od niej niezależny. Miał umożliwiać komunikację komórkom podziemia w Polsce i łączyć je ze światem.

Radiostacja zbierała wiadomości z Polski od kurierów, którzy docierali drogą lądową, oraz zakodowane depesze z polskiej podstacji w Szwecji, która przekazywała raporty polskiemu rządowi na uchodźstwie w Londynie. Po przejściu przez brytyjską cenzurę wiadomości radia Świt przekazywano do studia nagraniowego w Milton Bryan, koło Bletchley Park, rządowego centrum kryptologicznego w Buckinghamshire. Pracownicy Świtu codziennie nadawali wiadomości do Polski; przekazywano też informacje o przebiegu wojny na świecie.

Wiedza Krysi o „londyńskim radiu” niemal na pewno pochodziła od Polek świeżo przybyłych do Ravensbrück. Przed aresztowaniem słuchały one audycji Świtu i przekazywały wiadomości koleżankom w obozie.

W kolejnym liście, z lipca, Krysia obwieściła, że „króliki” odkryły lepszy sposób przekazywania informacji. Na początku lata dwie z nich zostały wyznaczone, by raz w tygodniu jeździć do podobozu Neustrelitz, około 20 kilometrów na północ od Ravensbrück. Miały zabierać specjalne paczki żywnościowe pozostawiane tam dla oficerów SS z Ravensbrück i przywozić je do obozu. Podczas tych wizyt kobiety odkryły, że obok podobozu Neustrelitz znajduje się oflag pełen polskich podchorążych. Tygodniami próbowały nawiązać kontakt. Mężczyźni, którzy jako jeńcy wojenni mogli przysyłać listy przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, zaoferowali wysyłanie również listów „królików”. Na początku przekazywali listy więźniarek do innego obozu jenieckiego na terenie Polski, skąd mogły je odbierać rodziny.

Krysia napisała do domu na kopercie wyjaśnienie kombinacji i przedstawiła sposób odbierania listów, dodając:

Chłopcy wysłali do jednego oflagu w kraju listę operowanych, rozstrzelanych, wiersze Grażyny

Chrostowskiej, jej rysunki i inne. Zażądamy od nich adresu, skąd to można odebrać. Poza tym może są Wam potrzebni – to odpowiedzialni ludzie. [...] Chłopcom mamy dużo do zawdzięczenia – prócz tych najważniejszych spraw wysyłają nam listy i zdobyli kilka książek polskich dla nas<sup>357</sup>.

W nadchodzących miesiącach chłopcy z oflagu przesłali dalej kilka długich listów, a kobiety zaczęły dostawać odpowiedzi, podobnie jak książki i inne rzeczy. Zofia Pociłowska, jedna z autorek planu, wyjaśniała jego działanie:

Kiedy pierwszy raz nawiązałyśmy kontakt, zobaczyli nas i spytali: „Jesteście Polkami?”; tak to się zaczęło. Zauważyli, że przyjeżdżamy do Neustrelitz co poniedziałek, i zaczęli zostawiać dla nas rzeczy w kryjówkach, na przykład za toaletami. A my zostawiałyśmy im listy i opowiadałyśmy, co się dzieje i czego potrzebujemy. Dostałam nawet okulary. I tak, dostawałyśmy książki – wspaniałe<sup>358</sup>.

Był tam chłopak, Eugeniusz Świdorski zwany Niusiem. „Był łącznikiem. Czasem nawet się spotykaliśmy, ale zwykle zostawiałyśmy listy w słoiku w dziurze za toaletą, a kiedy wracałyśmy, były tam listy dla nas”. Potem Zofia ukrywała listy w ubraniu i modliła się, żeby przed wejściem do obozu nie było rewizji. Pewnego dnia kobiety odkryły, że Niuś zostawił im hostie.

Spytałam Zofii, czy się nie bała.

Nie bałyśmy się zbytnio – byłyśmy młode. Myślałyśmy tylko o tym, żeby świat dowiedział się, co się z nami dzieje. Czasem nawet spisywałyśmy wszystko, co się działo, i zakopywałyśmy w obozie, w nadziei, że da się to wykopać później. Miałam wiarę i optymizm, że nie zostanę złapana, dlatego się nie bałam. A nie sądzę, żeby strażnicy coś podejrzewali choćby przez chwilę. Z powodu donosicielek nikomu nie powiedziałyśmy, co robimy.

Gdy powiedziałam, że słyszałam pogłoski o romansie między Zofią a Niusiem, roześmiała się. Lata później spotkała Niusia na spotkaniu w Warszawie zorganizowanym przez jedną z ocalałych. „Nie, to nie był romans. Ludzie droczyli się ze mną. Nazywali go Apollinem”.

Pod koniec lata 1943 roku Ravensbrück miało dwadzieścia kolejnych podobozów i plac apelowy regularnie przekształcał się w targowisko niewolnic. Według Lotte Silbermann, kelnerki w kantynie SS, Fritz Suhren „wydawał przyjęcie” za każdym razem, gdy przedstawiciele firm przyjeżdżali do obozu.

Binz i Bräuning oraz cała reszta zawsze tam byli. Spożywano wielkie ilości jedzenia i picia, wino, szampan i schnaps łąły się strumieniami. Zanim kierownicy wybrali więźniarki, zawsze pili na umór w kantynie. Bałyśmy się ich przy tych okazjach, gdy się upijali, pili bruderszaft i przyglądali się kelnerkom<sup>359</sup>.

Przez cały ten czas czerwonoarmistki obserwowały ten targ niewolnic i zastanawiały się, kiedy zostaną wybrane. Jeśli tak się stanie, uzgodniły, odmówią pracy w przemyśle zbrojeniowym, tak jak w Soest. Kiedy pewnego dnia strażniczka weszła i wywołała nazwiska kilku lekarek, bały się, że nadeszła ich kolej wyjazdu do podobozów, ale kobietom powiedziano, że mają się zgłosić w obozowym szpitalu. Zamiast pracować jako niewolnice, miały utrzymywać niewolnice przy życiu.

Chociaż lekarki więźniarki pracowały w rewirze od samego początku, nie pozwalano im leczyć. Teraz jednak lekarzy w obozach koncentracyjnych brakowało, zarówno więźniów, jak i niewięźniów. Powód był prosty: pilne zapotrzebowanie na przymusową siłę roboczą, która miała produkować broń, zwróciło uwagę SS na to, że obozy zabijały więźniów po prostu potwornymi warunkami. Ponieważ strumień robotników przymusowych ze Wschodu miał wyschnąć, zważywszy na odmianę losów wojny, Himmler w grudniu 1942 roku rozkazał, że „śmiertelność [w obozach] musi zostać bezwzględnie zredukowana”. Tak więc na początku 1943 roku do komendantów dotarły polecenia, by poprawić higienę i wybudować więcej lepszych bloków. Muszą się polepszyć nie tylko warunki w obozie, ale również szpitale, liczba lekarzy musi zaś wzrosnąć.

W obliczu faktycznej sytuacji pomysł Himmlera, żeby poprawić zdrowotność więźniów, wydaje się absurdalny. W Auschwitz-Birkenau otwarto nowe krematoria z komorami gazowymi, tworząc kombinat śmierci. Pod koniec kwietnia do użytku oddano nowe krematorium w Ravensbrück; widok komina wyrastającego nad południowym murem obozu stanowił jawny dowód, że zabijanie ma przyspieszyć.

Jednak zarówno intensyfikacja zabijania, jak i pracy były logiczne; po prostu zasady były jaśniejsze niż wcześniej. Dopóki więźniowie mogli pracować, mieli żyć. Gdy stawali się bezużyteczni, musieli zginąć, aby nie marnować zasobów na ich żywienie i zakwaterowanie. Zasada nie stosowała się do

obozów zagłady – Sobiboru, Treblinki, Bełżca – których jedynym zadaniem było zabijanie Żydów. Mimo to w 1943 roku potrzebowano tyle przymusowej siły roboczej, że coraz więcej Żydów wysyłanych do Auschwitz cofano sprzed komór gazowych i przeznaczano do pracy, o ile uznano ich za odpowiednich.

Lekarzy obarczono teraz bezpośrednią odpowiedzialnością za utrzymanie przy życiu większej liczby więźniów. Richard Glücks, szef inspektoratu obozów Himmlera, na początku 1943 roku napisał nawet bezpośrednio do wszystkich lekarzy SS, skarżąc się, że umiera zbyt wielu więźniów – ze 136 tysięcy przybyłych do obozów nie żyje już 70 tysięcy. „Przy tak wysokiej śmiertelności nigdy nie uzyskamy liczby więźniów wymaganych [jako robotnicy] przez Reichsführera”<sup>360</sup>. 27 kwietnia 1943 roku Himmler wydał kolejne instrukcje, wzywając do ograniczenia śmiertelności; w przyszłości zabijani mieli być jedynie chorzy psychicznie albo, jak czytamy w rozkazie, „komisja lekarska ma wybierać w kontekście operacji 14f13 jedynie cierpiących na choroby psychiczne. Wszyscy inni więźniowie niezdolni do pracy (z gruźlicą, obłożnie chorzy itd.) są co do zasady wyłączeni z tej operacji. Obłożnie chorym należy przydzielać pracę, którą można wykonywać na leżąco. Rozkazu Reichsführera należy skrupulatnie przestrzegać”<sup>361</sup>.

Zachowywanie przy życiu większej liczby więźniów wymagało, oczywiście, większej liczby lekarzy, a ponieważ coraz więcej medyków SS odsyłano na front, rozsądne wydawało się wykorzystanie wykwalifikowanych więźniów, co tłumaczy, dlaczego nagle wezwano lekarki z Armii Czerwonej. Jednak lekarki czerwonoarmistki w Ravensbrück nie miały pewności, czy powinny podjąć tę pracę; nie tylko Polki uważały rewir za „miejsce zbrodni”. Luba Konnikowa oświadczyła, że ona odmówi. „Nie chciałam tego robić – opowiadała później. – Wiedziałyśmy, że Rosenthal i Schiedlausky kopali kobiety buciorami”<sup>362</sup>. Jewgienia Klemm powiedziała im jednak, że istnieje wiele powodów, aby wzięły tę pracę; powinny wykorzystywać swoje umiejętności, żeby ratować ludzkie życie i przemycać lekarstwa. W szpitalu będą mogły nawiązać kontakty z całym obozem i zbierać informacje.

Zresztą latem 1943 roku warunki w szpitalu nagle się poprawiły. W odpowiedzi na zarządzenie Himmlera w rewirze pojawiło się więcej lekarzy, rozbudował się też on z dwóch bloków do sześciu. Niedługo po tym, jak czerwonoarmistki zaczęły tam pracować, znienawidzeni lekarze Schiedlausky i Oberheuser opuścili Ravensbrück, a doktor Rosenthal został

zwolniony i postawiony przed sądem za kontakty seksualne z więźniarką, położną Gerdą Quernheim, u której przynajmniej dwukrotnie przeprowadził zabieg aborcji<sup>363</sup>.

Pod koniec sierpnia przyjechał do Ravensbrück nowy lekarz. Mówiono, że ten woli leczyć niż zabijać.

Percival Treite nie wykazywał zwykłych cech lekarza w obozie koncentracyjnym; nosił biały fartuch zamiast esesmańskiego munduru i stetoskop zamiast pejcza lub kija. Miał trzydzieści dwa lata, był jasnowłosy i smukły. Nie bił i nie kopał pacjentek, rzadko tracił czas na obelgi. Treite roztaczał nawet odpowiednią i rzeczową aurę – właściwszą dla wydziału lekarskiego Uniwersytetu Berlińskiego, gdzie właśnie zakończył studia, niż dla rewiru w obozie koncentracyjnym. Wydawało się również, że jest zainteresowany doskonaleniem swoich umiejętności.

Postawa Treitego wynikała w większym stopniu z jego pochodzenia niż wykształcenia zawodowego<sup>364</sup>. Jak na esesmana wywodził się z niezwyklej rodziny: w drzewie genealogicznym wykonanym dla SS pojawiła się gałąź angielska. Niezwykłe było również jego wychowanie: jako członek Armii Zbawienia od najwcześniejszego dzieciństwa maszerował w armii Boga.

Angielskie powiązania rodzina zawdzięczała niemieckiemu dziadkowi Percy'ego, żarliwemu baptyście Carlowi Treitemu. W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku mieszkający w Niemczech Carl zakochał się w Angielce, Louise Foot z Southampton, która pracowała w Niemczech jako guwernantka. Jak twierdził później Carl, „Bóg zaprowadził mnie do Anglii”, gdzie wzięli ślub. Para osiadła w Lewisham na południowy wschód od Londynu i znalazła się pod wpływem Williama Bootha, założyciela quasi-militarnej Armii Zbawienia. Booth nosił mundur, kiedy wygłaszał kazania dla ubogich przed pubem Pod Ślepym Żebrakiem i wkrótce Carl Treite również nakłaniał bezdomnych, aby „cierpieli w imię Pana”.

Carl i Luisa, teraz z trójką małych dzieci, w tym Percivalem seniorem, zapragnęli nieść przesłanie do ojczyzny Carla i wrócili do Niemiec, gdzie kazania Carla o cnocie dyscypliny i grzechu alkoholu na początku piętnowano. Jednak w chwili jego śmierci Armia Zbawienia miała filie w wielu niemieckich miastach i Percival Treite senior osiadł w Kilonii, gdzie został podpułkownikiem i założył pierwszą orkiestrę dętą niemieckiej Armii

Zbawienia. Młody Percy i jego siostra Lily grali z orkiestrą i kierowali się wszystkimi zasadami wiary, które w czasach przed Hitlerem głosiły pacyfizm i świętość ludzkiego życia.

W połowie lat trzydziestych matka i siostra Percy'ego wyjechały z Niemiec i zamieszkały w Szwajcarii, gdzie ich wuj założył kolejną misję Armii Zbawienia, ale Percy postanowił zostać w Berlinie i kontynuować karierę w medycynie. Wstąpił do NSDAP i SS – faktycznie poniewczasie – i zaczął specjalizację ginekologiczną na Uniwersytecie Berlińskim. Jako pierwszorzędny chirurg – miał „dobrą rękę” – Treite następnie dużo podróżował i uczył się pod okiem najwybitniejszych profesorów w Pradze i Brnie. W 1943 roku był bliski zdobycia stopnia profesora medycyny w Berlinie, ale zanim zdążył zakończyć niezbędną praktykę chirurgiczną, rozkaz skierował go na stanowisko w Ravensbrück. Posada ta pokrzyżowała nieco jego karierę, ale objął ją z entuzjazmem i przystąpił do reorganizacji rewiru<sup>365</sup>.

Treite z miejsca założył blok zakaźny dla chorych na tyfus, szkarlatynę i dyfteryt oraz osobny blok chorób skórnych i dyzenterii. Poprosił nawet, aby przy głównym bloku rewiru zbudowano laboratorium patologiczne i kostnicę, argumentując, że poznanie przyczyn śmierci ma ogromne znaczenie. System punktów opatrunkowych w blokach stanowił próbę rozwiązania narastającego problemu opuchniętych nóg i pęcherzy oraz zmniejszenia kolejek w głównym rewirze.

Aby zracjonalizować wykorzystanie szpitalnych łóżek, Treite wprowadził system *Bettkarten*, kart łóżek. Osoby stojące w kolejce na wizytę do lekarza mogłyby otrzymywać *Bettkarte* na określoną liczbę dni. W nogach łóżka wisała karta temperatury ze strzałkami skierowanymi w górę lub w dół, co jasno sygnalizowało, czy pacjentka jest w stanie wrócić do pracy. Kolejną innowacją był system różowych kart: kobiety zbyt stare lub delikatne do ciężkiej pracy mogły wystąpić o różową kartę, która pozwalała im pracować w bloku. System sformalizował status „dziewiarek”, które już wcześniej mogły pracować w swoich blokach, i realizował najświeższe instrukcje Himmlera, żeby zamiast zabijać, wykorzystywać przykute do łóżek więźniarki do użytecznej pracy.

W ciągu kilku tygodni od przybycia Treitego rewir bardzo się zmienił. Obowiązki objęła nowa *Oberschwester* (naczelną pielęgniarka) Elisabeth



Marschall, a zespół obozowych pielęgniarek, ubranych w brązowe mundurki i białe chustki, miał zadbać o wygląd. Treite nakazał przeszkolić wszystkie pielęgniarki w technikach mycia rąk i noszenia termometru na sznurku na szyi.

Pod wrażeniem była nawet Milena Jesenská z biura rewiru. Treite od początku zaprzyjaźnił się z Mileną; rozpoznał nazwisko, ponieważ studiował chirurgię jamy ustnej pod kierunkiem jej ojca, profesora Jana Jesensky'ego na Uniwersytecie Karola. Wkrótce Treite leczył samą Milenę, która zachorowała latem 1943 roku i była pewna, że umrze. „Po chorobie obejrzała twarz w lustrze w izbie chorych i oświadczyła, że wygląda jak mała chora mała należąca do kataryniarza, który stawiał wózek pod jej domem w Pradze”, powiedziała Grete Buber-Neumann – od powrotu z bunkra nadal dzieliła z Mileną siennik w bloku 1.<sup>366</sup>

W sierpniu czeskie koleżanki Mileny wydały na jej cześć wspólnie przyjęcie urodzinowe w swoim bloku, „jakby one również myślały, że będą to jej ostatnie urodziny”. Stół w pokoju blokowej zastawiły prezentami. „Były tam wszystkie, które uwielbiałam – czeskie tancerki, pisarki, muzyczki – i dały jej w prezencie małe chusteczki z wyhaftowanymi numerami obozowymi i maleńkie serduszka z materiału z imieniem Milena. Bardzo już osłabiona Milena zalała się łzami”.

Niedługo potem Milena powiedziała Treitemu o chorobie. Grete opisała to tak:

Natychmiast przystąpił do leczenia Mileny z największą życzliwością, zbadał ją i zdiagnozował owrzodzenie nerek, i powiedział, że musi operować, co też zrobił, bardzo umiejętnie, i na jakiś czas odzyskała siły. Ufała mu, kiedy jej powiedział, że podczas studiów w Pradze uczył się na wykłady do jej ojca i teraz przejął swój szacunek z ojca na córkę.

Pod kierunkiem Treitego rewir szybko stał się najbardziej międzynarodowym miejscem w obozie. Czeska pielęgniarka Hanka Housková służyła za „cudownego tłumacza”, ponieważ mówiła w sześciu językach. Radzieckie lekarki pracowały na kilku oddziałach, a Czeszki prowadziły aptekę. Pracownię rentgenowską prowadziły polskie radiolożki, a Jugosłowianki objęły laboratorium patologii. Wśród więzińskiego personelu znajdowała się też belgijska położna i francuska pielęgniarka. Nawet *Oberschwester* Marschall mówiła po francusku.

Treite zawsze wyszukiwał nowe talenty. Czasem po przybyciu nowego



transportu spacerował po placu apelowym i prosił lekarki o podniesienie ręki. Jeśli kobieta wywarła na nim dobre wrażenie, jak na przykład Zdenka Nedvedová, czekał, aż przejdzie kwarantannę, po czym szedł po nią do bloku i sprowadzał do rewiru, zanim przeniesiono ją do podobozu.

Zdenka Nedvedová przyjechała w sierpniu z jedną z pierwszych grup więźniarek przeniesionych z Auschwitz do Ravensbrück, gdzie miały pracować w nowym podobozie. Córka wybitnego czeskiego muzyka i filozofa również studiowała w Pradze, gdzie wyspecjalizowała się w pediatrii. W 1940 roku została aresztowana za działalność antyfaszystowską i wysłana do Auschwitz razem z mężem, który zmarł tam na gruźlicę.

Chociaż współwięźniarki do tej pory sporo wiedziały już o Auschwitz, pojawienie się na Lagerstrasse więźniarek stamtąd wywołało przerażenie. Wiele przeszło ostatnią epidemię tyfusu, która zdziesiątkowała kobiecą sekcję Auschwitz. „Nawet esesmani patrzyli na nas w milczeniu, wstrząśnięci naszym wyglądem – opowiadała później Zdenka. – Byłyśmy chude i łyse, z ogromnymi, przerażonymi, nieobecnyimi oczami”<sup>367</sup>. Jednak według Treitego fakt, że Zdenka przeszła tyfus, lepiej predysponował ją do jego szpitala: miała odporność i mogła pracować z chorymi.

Dla Zdenki Ravensbrück stanowiło miłe zaskoczenie. Ponad obozowym murem widziała czubki drzew. Wewnątrz obóz wyglądał czysto. „Był zupełnym przeciwieństwem nagiego Auschwitz. Pomyślałam: to nie obóz, to sanatorium”. Podczas kwarantanny kobiety przywiezione z Auschwitz zdziwiły się, że mają bieżącą zimną wodę i jedzenie „w rozsądnej ilości”. Jeszcze bardziej zdumiała je informacja, że starsze kobiety w swoich blokach robią na drutach wełniane skarpetki i że znajduje się tu salon fryzjerski i sklep z konfekcją dla esesmanek. Na pierwszy rzut oka stosowano tu o wiele mniej przerażające praktyki medyczne niż te, z jakimi zetknęły się w Auschwitz – takie jak eksperymenty ze sterylizacją<sup>368</sup>.

Jednak najbardziej zdumiewający ze wszystkiego był dla Zdenki obozowy rewir, a kiedy zobaczyła kwatery lekarek – więźniarek, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Treite nie tylko zreorganizował sam szpital, ale wymógł też najlepsze warunki dla personelu więziarskiego. Szczególnie higiena musiała spełniać najwyższe standardy, zwłaszcza że te kobiety miały pracować u jego boku. Zdenka wspominała:

Pościel regularnie prano, a leków nie brakowało. Miałam dwie zmiany bielizny i właściwą sukienkę, mogliśmy nawet brać ciepły prysznic. Wszystkie wyglądałyśmy elegancko w granatowych strojach z białymi cętkami i krótkimi rękawami, podczas gdy lekarze SS nosili białe fartuchy, a pielęgniarki białe chustki na głowach. Szpital był ogrzewany, spałyśmy na czystych połówkach, miałyśmy umywalnię, własną czystą jadalnię i ogródek, gdzie latem mogliśmy opaść się nago. To była przelotna radość.

Nie wszystkie lekarki więźniarki w ten sposób odniosły się do swych luksusowych kwater. Dla niektórych przepaść między ich przywilejami a nędzą na zewnątrz okazała się zbyt trudna do zniesienia. Odraza Luby Konnikowej z powodu tego kontrastu wyraźnie pokazała się na jej twarzy, gdyż *Oberschwester* Marschall oskarżyła ją o bezczelność, nazwała „bolszewicką krową” i przydzieliła brudniejszą robotę<sup>369</sup>. Marschall nie chciała nawet uznać, że w wieku 24 lat Luba w ogóle może być lekarzem; kazała jej myć podłogi w bloku chorych na dyzenterię i opróżniać nocniki, a kiedy skończy, przynieść obiad *Oberschwester*.

Chociaż reakcja Luby była zrozumiała, kiedy opowiedziała wszystko Jewgienii Klemm, starsza kobieta zachęcała ją, by nie traciła nadziei. Kompromis wymuszony na radzieckich lekarkach może przynieść korzyści, stwierdziła Klemm. Już samą pracą w rewirze ratują życie i mogą szmuglować leki do wykorzystania w bloku. Maria Klugman miała nawet okazję zszyć nogę jednemu z polskich „królików”, wykonując zabieg w narkozie i usuwając z rany duże odłamki kości.

Może nawet ważniejsze były informacje, jakie radzieckie lekarki zbierały i przekazywały Klemm. Poprzez sieć szpitalną Maria Klugman utrzymywała regularny kontakt z Marią Wiedmaier, niemiecką przywódczynią komunistyczną, która szmuglowała dla niej gazety, a Maria Pietruszyna, jedna z „moskiewskiej rodziny”, znalazła miejsce w komandzie hydraulicznym, które obok *Sturmkolonne* – drużyny stolarskiej Hanny Sturm – należało do najlepiej poinformowanych.

Rosnąca wiedza Klemm służyła całemu blokowi radzieckiemu, jak wyjaśniała Zoja Sawieliewa:

Mogła nam opowiadać, co dzieje się na froncie i kto ma przybyć do obozu. Przychodziła do nas nocą: wszystkie tłoczyły się koło niej, a ona wyciągała całą gazetę, jak gdyby za sprawą magii, i wyjaśniała nam artykuły. Czasem czytała z kart. Dziewczęta biegały do niej i prosiły: „No dalej, Jewgienio Łazariewno, pokażcie nam przyszłość”, a ona śmiała się i wróżyła.

- Czy wierzyła kartom? – spytałam.
- Być może. Wierzyła w wiele rzeczy – odparła Zoja. – Nie była prostolinijną osobą, wierzyła w Boga.
- Ale była komunistką?
- Tak, to też. Ale przede wszystkim wierzyła w wiedzę. Musi pani zrozumieć, że wiedza była dla nas wszystkim. Nie miałyśmy nic, a Jewgienia Łazariwna miała wiedzę i wiarę. Mówiła nam, że przeżyjemy i wrócimy do domu, i jak się to wszystko potoczy.

Bez względu na to, jakie rozterki miała część lekarek z powodu pracy dla SS, same więźniarki były zachwycone.

Inną zmianą, która uderzyła Grete Buber-Neumann, kiedy tego lata wyszła z bunkra, było to, że rewir stracił swoją grozę – głównie dlatego, że pracowały tam lekarki więźniarki. Chociaż część kobiet „bezwstydnie” faworyzowała chore rodaczki lub te o podobnych poglądach politycznych, „większość starała się robić, co w ich mocy, z wielkim oddaniem i w nadzwyczajnie trudnych okolicznościach”, relacjonowała Grete. Inka, czeska studentka medycyny, leczyła Buber-Neumann z czyraków. Grete początkowo bała się do niej iść, ponieważ była to zagorzała komunistka „i powinna uważać mnie za szumowinę”, ale Inka okazała się „wcieloną życzliwością” i zajęła się Grete z wielką troską.

„Warunki, w których pracowała, były odrażające. Nie miała odpowiedniego pomieszczenia, a bandaże piętrzyły się obok niej, gdy kobiety stały w kolejce między stłoczonymi pryczami”<sup>370</sup>. Inka i Grete dogadały się tak dobrze, że Grete wracała kilka razy, częściowo, by słuchać plotek Inki o obozowych komunistkach, a pewnego dnia Czeszka powiedziała Buber-Neumann, że w obozie jest nowa przywódczyni komunistek o imieniu Jewgienia, która, mówiąc słowami Grete, „nadała wszystkim linię partyjną”. Grete nigdy nie spotkała Jewgienii Klemm. Gdyby ją poznała, jej uprzedzenia mogłyby się rozwiązać.

Ze wszystkich lekarek zwerbowanych do rewiru przez Treitego latem 1943 roku najpopularniejsza stała się Zdenka Nedvedová. „Zdenka, gdzie jest Zdenka?”, rozbrzmiewało teraz po całym szpitalu, i to ona wyszła nocą, gdy nowo przybyła Francuzka upadła w swoim bloku. W ciągu roku liczba

Francuzek wzrosła, a w październiku wraz z grupą 50 kobiet z Paryża przyjechała Germaine Tillion. Od razu zachorowała, nie mogła jeść ani mówić. Blokowa zabrała ją do szpitala, gdzie czekała, rzucona na podłogę, dopóki lekarz w białym fartuchu, Percival Treite, jak się później dowiedziała, nie przyszedł i nie trącił jej nogą – nie brutalnie, ale żeby skłonić ją do wstania. „Spojrzawszy na mnie z roztargnieniem, powiedział: *Kein Scharlach – raus* [nie ma szkarlatyny – wyprowadzić]”; odesłano ją do bloku.

Blokowa Germaine skontaktowała się z czeskimi lekarkami i nocą zabrały ją do Zdenki – „miała młodą, poważną twarz i jasne włosy” – która zdiagnozowała dyfteryt. Kobiety nie zamieniły ani słowa, ale Czeszka podała francuskiej etnolożce – Germaine była znaną ekspertką od plemion afrykańskich – surowicę.

Germaine przyjęto do sali dyfterytowej w bloku zakaźnym. Później dotarło do niej, ile miała szczęścia, że trafiła tam w rzadkim momencie, gdy życie ludzkie można było ocalić. „Widać znaczenie grupek odważnych kobiet, które zdołały ocalić cudze życie, nie zamieniwszy choćby słowa z osobą, którą ratowały, ponieważ prawdopodobnie nie mówiły nawet w tym samym języku”.

W tamtych tygodniach napływały transporty z coraz to nowych krajów, włącznie z Norwegią. Przyjechała z nim pięćdziesięcioletnia Sylvia Salvesen, co prawda nie lekarka, ale żona znanego lekarza z Oslo. Podczas gdy Zdenka, przewieziona z Auschwitz, kilka tygodni wcześniej przeżyła przyjemne zaskoczenie na widok Ravensbrück, ten sam widok przeraził Sylvię, którą przesłano z norweskiego więzienia. Składając zeznania na procesie hamburskim w grudniu 1946 roku, Sylvia zrelacjonowała swe pierwsze wrażenia tak plastycznie, że poruszyła cały sąd:

Było to jak oglądanie obrazu piekła. Czemu używam tego słowa? Nie dlatego, że cokolwiek strasznego działo się w tamtym momencie, ale dlatego, że pierwszy raz w życiu widziałam ludzkie istoty, o których nie mogłam powiedzieć, czy są mężczyznami, czy kobietami. Włosy miały ostrzyżone, były chude, nieszczęśliwe i brudne. Ale nie to najbardziej mnie uderzyło. To był wyraz ich oczu. Miały, tak bym to nazwała, martwe spojrzenie<sup>371</sup>.

Sylvia stała w szeregu z innymi nowo przybyłymi, czekając na „badanie”, kiedy obok przejechał wózek z ciałem owiniętym w białe prześcieradło. Materiał się odchylił i dostrzegła twarz siedemnastoletniej Norweżki, która przyjechała wraz z nią. Dziewczyna zmarła na tyfus. To miejsce nie

przypominało „żadnego innego szpitala na ziemi”, pomyślała, postanawiając pomóc w jakikolwiek sposób, gdy pojawił się mężczyzna w białym fartuchu, a ona odważyła się zapytać, czy może dostać pracę<sup>372</sup>.

Treite zatrzymał się zaskoczony i powiedział: „Co za bezczelność”, ale Sylvia odparła: „Nie jestem bezczelna, jestem Norweżką i żoną lekarza. A skoro tu jestem, to chciałabym pomóc”. W tej wysokiej, eleganckiej kobiecie z dużymi niebieskimi oczami, siwymi włosami i posługującej się nienaganną niemiecką Treite rozpoznał więźniarkę z wyższych sfer. Polecił jej zameldować się *Oberschwester*, która przydzieliła ją do bandażowania ran.

Sprawdzając informacje o jej mężu, Treite odkrył, że doktor Harald Salvesen był lekarzem króla Norwegii Haakona VII, a rodzina miała bliskie związki z brytyjską arystokracją. Co więcej, wkrótce się okazało, że Sylvia ma też wysokie koneksje w Niemczech. Pewnego dnia przyjechała do niej w towarzystwie oficerów Gestapo oszałamiająca młoda kobieta; wśród strażników rozeszła się plotka, że zgodę na odwiedziny wydał sam Himmler.

Pochodzenie wpływało na decyzje Treitego również w przypadku innych nominacji. Niedługo po przybyciu Sylwii do Treitego przysłano na badanie Szwajcarce z bloku 10. – gruźliczego. Nazywała się Carmen Mory, więc zapytał: „Jest pani córką szwajcarskiego doktora Mory?”. Potwierdziła<sup>373</sup>. Treite powiedział Carmen, dziennikarce, że jej ojciec leczył jego matkę w Szwajcarii dwadzieścia lat wcześniej, i widząc, że Carmen niegdyś pracowała dla „Manchester Guardian”, wspomniał o swych związkach z Anglią. Leczył Carmen, a później użył swych wpływów, by zrobić z niej blokową w bloku 10., jednym z nowych baraków szpitalnych.

Interesowały go nawet koneksje rosyjskie. Kiedy Antonina Nikiforowa, patolog z Armii Czerwonej, przyjechała kilka miesięcy później, Treite był pod wrażeniem jej umiejętności dokonywania autopsji i zapytał, kto ją uczył. Studiowała w Leningradzie, odparła, a kiedy wymieniła nazwisko profesora, Treite zainteresował się: „Czy był Żydem?”<sup>374</sup>.

Treite zachęcał tę grupę podobnie myślących, inteligentnych kobiet, żeby gromadziła się wokół niego, i lubił, gdy pomagały mu w pracy. „Treite często wchodził do sali operacyjnej i mówił, że ma ochotę operować – mówiła Zdenka. – Obserwował rodzającą i bez ostrzeżenia wykonywał cięcia cesarskie, wykorzystywał kleszcze i inne narzędzia”<sup>375</sup>. Czasem zapraszał Sylwię

Salvesen do sali operacyjnej, by po prostu patrzyła, jak pracował. „Myślę, że to może panią zainteresować, Sylvio”, powiedział do niej pewnego razu<sup>376</sup>.

Dla reszty więźniarek pracownice rewiru stanowiły elitę. Nelly Langholm, młoda Norweżka przybyła równocześnie z Sylvią Salvesen, wspominała, że zwykle norweskie robotnice miały niewiele wspólnego z tymi, które pracowały w szpitalu. Sylvia, rodaczka i przyjaciółka króla, żyła „w arystokratycznej części obozu” i nigdy nie przychodziła do bloku norweskiego.

„Poza jednym dniem, kiedy przysłała z wielkim pudłem czekoladek – wspominała Nelly. – Leżałam na trzecim piętrze pryczy i pamiętam zapach tych czekoladek. Ale żadnej z nas nie poczęstowała”. Zapytałam, czemu Sylvia przyniosła te czekoladki, skoro nie chciała ich rozdać, na co Nelly zachnęła się i oznajmiła, że Sylvia zapewne „chciała nam pokazać, że je ma”. Prawdziwe czy nie, wyjaśnienie Nelly pokazuje, jak głęboka niechęć klasowa mogła przetrwać w obozie, nawet w obrębie małej grupy narodowej. „Myślę, że dostała je od jakiegoś wysoko postawionego gościa – stwierdziła Nelly – a moja przyjaciółka Margarethe była tak wściekła, że podeszła do niej i uderzyła ją w twarz”<sup>377</sup>.

Kobiety z rewiru z pewnością cieszyły się pewną protekcją Treitego; gdy personel SS opuszczał szpital, ekipa więziarska mogła nawet zebrać się i porozmawiać. Jedną z takich dyskusji odbyła się na początku jesieni 1943 roku, kiedy według czeskiej komunistki Synki Suskovej wybuchła zajadła kłótnia z udziałem Mileny. „Rozmowa zesłała na wojnę i zgadywanie, kto pierwszy dotrze do obozu, Amerykanie czy Sowieci, i który kraj zaoferuje ludziom lepszą przyszłość”. Synka wspominała dwie Polki, niekomunistki, „mówiące, że oczekują wyzwolenia przez Amerykanów, podczas gdy my, Czeszki, sądziłyśmy, że wolność przyniesie nam Związek Radziecki”<sup>378</sup>.

Pela [Polka] powiedziała: „Według nas, Polek, Hitler jest lepszy niż Stalin”, na co Hanka Housková odparła:

- Ale to jest niemożliwe – i wszystkie zgodziłyśmy się z nią i zaprotestowałyśmy.
  - Kto zajął Europę, mordował i unicestwiał wszędzie, gdzie dotarł? Jak możecie mówić coś takiego tutaj, gdzie możecie wyraźnie zobaczyć, jaki jest Hitler? – Potem zaczęłyśmy krzyczeć, tak się wściekłyśmy, a wtedy Milena podeszła i rozdzieliła nas. Była biała i najwyraźniej znowu chora.
  - Dość tego. Przestańcie – powiedziała. – Jak *Oberschwester* i lekarki usłyszą, będą kłopoty.
- A potem któraś powiedziała:
- Mileno, jak możesz tak mówić? Czy to nie najważniejsza kwestia?

– Tutaj i teraz jest – odparła rzeczowo Milena.  
– Jak możesz być neutralna, Mileno? – powiedziała do niej Hanka. – Musisz opowiedzieć się po którejś stronie. Nie możesz stać pośrodku.  
– Och – cicho jęknęła Milena.  
Starsza towarzyszka próbowała uspokoić młodą Hanę.  
– Stronę? Stronę? Dlaczego musisz być po jednej lub drugiej stronie barykady? Nie, Haneczko. Nic nie rozumiesz.  
Ale Hanka nie chciała się uspokoić i pobiegła korytarzem, krzycząc:  
– Nie rozumiem! Czego niby nie rozumiem?! To ty niczego nie rozumiesz, Mileno, nie rozumiem cię! Do kogo należysz?! Po której jesteś stronie?! Powiedz mi! Powiedz nam! Do kogo należysz?!

Luba Konnikowa zawsze dokładnie wiedziała, po której jest stronie. Bez względu na to, jakie zmiany lepsze mógł wprowadzić Treite, Luba widziała tylko narastający horror; skoro rewir przeszedł reorganizację, aby ratować życie, dlaczego pacjentom na niektórych oddziałach pozwalano umierać? Na oddziale dyzenterii panował taki tłok, że te na górnej pryczy, zbyt chore, żeby się poruszać, musiały leżeć we własnych ekskrementach, dopóki nie spłynęły na kobietę poniżej.

Nie tylko Luba buntowała się przeciwko temu, co widziała w rewirze Treitego. Maria Klugman też obserwowała różne straszne rzeczy. Jako wykwalifikowany chirurg musiała leczyć ugryzienia psów i obrażenia po pobiciach. Przynoszono do niej kobiety po biciu na koźle z odbitymi nerkami lub krwotokami. Jednak Treite nigdy nie przebywał w szpitalu podczas szycia pobitych, ponieważ uczestniczył w samym biciu: podobnie jak w przypadku poprzedników, do jego obowiązków należało mierzenie pulsu ofiar i mówienie esesmanowi, ile batów jeszcze kobieta wytrzyma.

W 1943 roku sposób wymierzania kar cielesnych pogorszył się i wprowadzono nowy rodzaj *Bock* (kozła). Kobiety wkładano w specjalne gumowe kalesony, na wypadek gdyby oddały mocz, i kazano im leżeć na brzuchu na stole, który specjalnie był twardy, najeżony drzazgami i miał żelazne strzemiona na nogi poniżej kolan. Dwie więźniarki, zwykle z zielonymi lub czarnymi „łatami”, unieruchamiały nogi ukaranych w strzemionach i przypinały ofiarę skórzanym pasem poprowadzonym przez łopatki. Gdy zaczynało się bicie, trzymały mocno za gumowe kalesony, a esesman, lub inna więźniarka, bił ofiarę skórzanym batem. Pod koniec bicia kobiety zawsze traciły przytomność<sup>379</sup>. Wówczas więźniarki z zielonej kategorii wypinały ją z urządzenia i wyrzucały za drzwi, gdzie inne czekały na



swoją kolej, mdlejąc, i moczyły się z przerażenia<sup>380</sup>.

Wszystkie nowe procedury bicia zaaprobował sam Himmler. W późniejszych zeznaniach cały obozowy personel twierdził, że Reichsführer nalegał na zatwierdzenie każdej indywidualnej chłosty i sposobu, w jaki miała być wykonana. Dokument odnaleziony w aktach Głównego Urzędu SS przez śledczych w 1945 roku, zatytułowany „Chłosta więźniarek”<sup>381</sup>, pokazuje, że tak miało być. Potwierdza ustny rozkaz wydany przez Himmlera w lipcu 1942 roku, stwierdzający, że „rozkazy karania więźniarek powinny być mu przedstawiane do zaaprobowania”. Rozkazy „muszą być ponumerowane kolejno czerwonym ołówkiem w prawym górnym rogu”. Dla „zaoszczędzenia czasu” Himmler chciał także, żeby nazwiska i numery ukaranych chłostą spisywać na osobnej liście; dzięki temu mógłby informować o swej zgodzie, odnosząc się po prostu do numeru. W 1942 roku chłostę należało wykonywać „uderzeniami następującymi szybko po sobie pojedynczym batem; uderzenia należy liczyć. Obnażanie pewnych części ciała jest ściśle zabronione”. Z relacji Marii Klugman w rewirze i niezliczonych ofiar chłosty wynika, że w 1943 roku Himmler uaktualnił procedury, rozkazując bić w obnażone pośladki.

Podczas gdy Maria zajmowała się szyciem pacjentek, Łusia Maługina, ginekolog, asystowała przy aborcjach wykonywanych *Bettpolitische* oraz przy badaniach kobiet wybranych do pracy w burdelach w obozach męskich. Zanim kandydatki wyjechały, sprawdzała je pod kątem syfilisu i poprawiała ich wygląd, tleniąc włosy i maskując czyraki.

Nie tylko rosyjskie lekarki wzdrygały się na myśl o tym, co oglądały w rewirze. Zdenka Nedvedová też była pełna odrazy wobec eksperymentów Treitego, przy których musiała pomagać. Pewnego dnia Treite kazał Zdence zebrać karaluchy, które biegały po szpitalu, ugotować i podawać wywar trzy razy dziennie pacjentkom z opuchniętymi nogami. Doświadczenie było bezsensowne i niebezpieczne, więc kiedy Treite nie patrzył, Zdenka wylała płyn i podawała zamiast niego wodę.

Podczas innego eksperymentu Zdenka musiała zbierać mocz ciężarnych i wstrzykiwać go innej grupie ciężarnych, ale tym razem Treite złapał ją na oszukiwaniu. Wściekł się i krzyczał, groził, że pośle ją do bunkra po dwudziestu pięciu batach, ale Zdenka nie załamała się, mówiąc, że na Uniwersytecie Karola nauczono ją szacunku dla pacjentów. Treite ustąpił,



„być może dlatego, że zaskoczyła go moja nieustępliwość”, wspominała, chociaż zdawała sobie sprawę, że to raczej podanie jej do raportu mogłoby ujawnić jego tajną pracę naukową władzom obozu. Zdenka wiedziała, że operacje i eksperymenty Treitego służą przede wszystkim otrzymaniu profesury na Uniwersytecie Berlińskim i z pewnością nie chciał on, aby Ramdohr się o wszystkim dowiedział<sup>382</sup>.

Wszystkie więźniarki wiedziały, że Treite bał się szefa obozowego Gestapo. Kiedy Ramdohr żądał narkotyków do użytku podczas przesłuchań, Treite zdecydowanie się sprzeciwił – a w każdym razie tak mówił – ale był zbyt wielkim tchórzem, żeby odmówić.

Sylvia Salvesen również odczuwała rosnącą grozę rewiru Treitego. Niedługo po przyjeździe zobaczyła *Idiotenstübchen*, czyli „salę wariatów”. Był to zapewne skutek kwietniowego rozkazu Himmlera, iż tylko chorzy psychicznie powinni być w przyszłości wybierani na śmierć – albo, jak to ujął, „selekcjonowani w kontekście operacji 14f13” – że Treite postanowił wydzielić osobną salę dla „szalonych”. Być może stanowiło to też część planu reorganizacji, zważywszy rosnącą liczbę „idiotek”. Kiedy okresowo potajemnie przybywały ciężarówki, by je zabrać, praktycznie było mieć wszystkie kobiety w jednym miejscu.

W każdym razie Sylwię i inne więźniarki funkcyjne, które nocowały w rewirze, często budziły krzyki, dochodzące z sali obok kostnicy; miała kamienną podłogę, żadnych łóżek ani pościeli. Lekarka, Niemka Curt – „bezlitosna sadystka” – odpowiadała za pacjentki i kiedy rozlegały się wrzaski, szła i uspokajała je. Pewnej nocy doktor Curt wezwała Sylwię na pomoc.

„Wyszła, uzbrojona w kij od miotły”, wspominała Sylvia, która spytała, co Curt zamierza rozbić kijem, ale usłyszała, że ma się zamknąć. Lekarka wróciła chwilę później, mówiąc: „Wariatki wpadły w szal”, i poleciła Sylvii i innej więźniarce iść ze sobą.

Otworzyłyśmy drzwi i nigdy nie zapomnę widoku, jaki ukazał się moim oczom. Sześć kobiet – jeśli można nazywać je kobietami – walczyło wręcz. Leżały tam dwa sienniki pełne odchodów i miski ze starym jedzeniem na podłodze. Kobiety były w zasadzie szkieletami, okrytymi jedynie brudnymi koszulami, z czyrakami i siniakami na ciałach. Uroczą młodą dziewczyną, rosyjską chłopką z blond warkoczami, siedziała przerażona w kącie i krzyczała. To jej wycie nas obudziło. Siedziała tam jak jasna, histeryczna Madonna<sup>383</sup>.

Sylvia widziała już tę dziewczynę, ponieważ doktor Curt wrzuciła ją do sali dwa dni wcześniej, twierdząc, że jest chora psychicznie. Faktycznie, próbowała popełnić samobójstwo nożem w łaźni zaraz po przyjeździe i najpierw wysłali ją do rewiru. Tam pewnej nocy zaczęła śpiewać na pryczy, więc Curt wrzuciła Rosjankę do „tej niewyobrażalnej dziury”.

Widok Rosjanki, krzyczącej w tej strasznej salce, wprowadził doktor Curt we wściekłość; zaatakowała ją kijem od mioty, aż krew płynęła dziewczynie z nosa i ust. Próbowałam zatrzymać kij, ale dostałam taki cios w kark, że niemal zemdlałam. Wreszcie doktor Curt złapała chorą i nacisnęła tłoczek strzykawki. Ruszyła do wyjścia i próbowała zatrzasknąć mi drzwi przed nosem. Pomyślałam, że chce zamknąć mnie z szalonymi.

To oferta wypłacania żołdu przez SS za ich pracę ostatecznie przekonała Lubę Konnikową, że dłużej nie zniesie obozowego szpitala. W drugiej połowie 1943 roku SS zaczęło oferować po parę fenigów szpitalnemu personelowi więźniarskiemu, by zachęcić go do cięższej pracy. Francuzki i Polki już odmówiły przyjęcia zapłaty, a kiedy lekarki czerwonoarmistki dowiedziały się, że też mają zostać przekupione, Luba wypadła ze szpitala, mówiąc, że niczego nie przyjmie<sup>384</sup>.

Radzieckie lekarki zawsze czuły się zaniepokojone swoją pracą w szpitalu. Chociaż pewną pociechę stanowiło to, że nie produkowały broni dla wroga, ale wiedziały, że ich umiejętności są wykorzystywane, żeby utrzymać przy życiu robotnice nieprzyjacielskiego przemysłu zbrojeniowego, a teraz jeszcze miały za to otrzymywać zapłatę. Większość lekarek i pielęgniarek z Armii Czerwonej również odmówiła pieniędzy, a Jewgienia Łazariwna wspierała je, mówiąc: „Dziewczęta, musimy pokazać faszystom, że nie kupią nas za swoje marki”<sup>385</sup>.

Kiedy wieści o odmowie Rosjanek dotarły do Ramdohra, rozkazał je ukarać wysłaniem do podobozów i zmuszeniem do pracy przy produkcji broni. Luba Konnikowa wyjechała pierwsza, ale w podobozie Genthin, gdzie kobiety produkowały amunicję, odmówiła pracy. Dwa tygodnie przesiedziała w ciemnicy; potem wróciła do Ravensbrück, gdzie wychłostano ją na koźle, a Ramdohr ją torturował; wciąż jednak odmawiała pracy w przemyśle zbrojeniowym. Została więc zamknięta w bloku karnym.

Jewgienia Łazariwna Klemm dowiedziała się o wszystkim poprzez swe kontakty i przekazała wieści towarzyszkom podczas niedzielnego spotkania

w bloku. Kilka kobiet zapamiętało jej słowa:

Dziś dowiedzieliśmy się, że nasza przyjaciółka Luba dostała dwadzieścia pięć batów. Nigdy wcześniej jeniec wojenny, a szczególnie lekarz, nie dostał polecenia pracy w fabryce zbrojeniowej, by pracować na szkodę swojego kraju, zmuszony przyczynić się do śmierci swych braci. Dziś ukarali radziecką lekarzkę, więźniarkę, która odważnie odmówiła produkowania broni dla wroga. Naszą Lubę, naszą towarzyszkę<sup>386</sup>.

Klemm następnie zaproponowała, by blok przeszmygłował do Luby w bloku karnym list z wierszem ułożonym dla niej przez poetkę Aleksandrę Sokową. Spotkało się to z cichym aplauzem.

<sup>339</sup> Strebel, *Ravensbrück*.

<sup>340</sup> Obóz Uckermark budowano w tym samym czasie co zakład Siemens; zajmowali się tym również więźniowie z obozu męskiego. I znów żniwo śmierci było szokujące. Świadkowie opowiadali, że od 10 do 15 mężczyzn rozstrzeliwano co dnia, gdy upadali z głodu lub wyczerpania albo próbowali ucieczki.

<sup>341</sup> Vavak, „Siemens & Halske im Frauenkonzentrationslager Ravensbrück”, DÖW, Ravensbrück, k. 49.

<sup>342</sup> Nieopracowane akta SA cyt. w: Feldenkirchen, *Siemens*.

<sup>343</sup> Ehlert, BAL, B162/452.

<sup>344</sup> Strebel, *Ravensbrück*.

<sup>345</sup> Tamże.

<sup>346</sup> Bontemps, „Siemens-Arbeitslager-Ravensbrück”, ARa.

<sup>347</sup> Wywiad autorki.

<sup>348</sup> Selma była Żydówką, a po wstąpieniu do holenderskiego ruchu oporu przyjęła tożsamość Margarety van der Kuit, nieżydowskiej dziewczynki, która zmarła przy narodzinach. Nie poznamy nigdy liczby żydowskich więźniarek Ravensbrück, które nigdy nie ujawniły swej prawdziwej tożsamości, ale prawdopodobnie szła ona w setki.

<sup>349</sup> Wywiad autorki.

[350](#) Szwalnia również prowadziła listę „bezużytecznych”, WO 235/433.

[351](#) Schiedlausky, WO 235/309/ Zob. też Tillion, *Ravensbrück*, i jej relacja w Ratstatt, Archives diplomatiques du ministere des Affaires étrangères, Colmar, oraz Anise Postel-Vinay (z d. Girard), „Les exterminations par gaz à Ravensbrück” w: Tillion, *Ravensbrück*, III wyd.

[352](#) Maurel, *Ravensbrück*.

[353](#) Strebel, *Ravensbrück*; Speer, *The Slave State*.

[354](#) Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie listy podawane są za wspomnieniami Krystyny Czyż-Wilgatowej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 66 i nast. (tu i dalej list z maja 1943 roku).

[355](#) Z oczywistych względów tego zdania nie ma w drukowanych listach Krystyny Czyż (przyp. tłum.).

[356](#) Świt podlegał polskiemu Kierownictwu Walki Cywilnej. Z inicjatywy prawniczki Krystyny Marek powstała również sekcja kobieca radiostacji.

[357](#) Wspomnienia Krystyny Czyż-Wilgatowej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 70.

[358](#) Wywiad autorki. Polki kierowano też do pracy w klinice w Hohenlychen, skąd wysyłały listy zwykłą pocztą.

[359](#) Silbermann, „SS-Kantine Ravensbrück”, DÖW, Ravensbrück, k. 140.

[360](#) NI-10 815, Staatsarchiv Norymberga.

[361](#) Himmler, NO-1007, Staatsarchiv Norymberga.

[362](#) Konnikowa, GARF.

[363](#) Akta policyjne Rosenthala, kopia w ARa.

[364](#) Zob. roczniki Armii Zbawienia (różne wydania), „Jubilee Memories of Lt-Col K. Treite” oraz inne dokumenty w archiwach Armii Zbawienia w Londynie. Drzewo genealogiczne w aktach Percy’ego Treitego, BA.

[365](#) Zob. na przykład Maria Grabska, „Bericht über das Revier Frauenkonzentrationslager Ravensbrück”, ARa.

[366](#) *Dictators*.

[367](#) Tamże.

[368](#) W rzeczywistości masowe eksperymenty sterylizacyjne miały się rozpocząć w Ravensbrück latem 1942 roku. 10 lipca 1942 roku Rudolf Brandt w imieniu Himmlera napisał oficjalny tajny list do Carla Clauberga, eksperta od sterylizacji, z prośbą o wyjazd do Ravensbrück i „przeprowadzenie sterylizacji Żydówek pańską metodą”. Jednak Clauberg nie przyjechał i wybrał (chwilowo) eksperymentowanie w Auschwitz. Cyt. za: Mitscherlich i Mielke, *Death Doctors*.

[369](#) Konnikowa, GARF.

[370](#) *Dictators*.

[371](#) Salvesen, WO 235/305.

[372](#) Salvesen, *Forgive*.

[373](#) WO 309/149.

[374](#) Relacja Nikiforowej w zbiorze Buchmann.

[375](#) Nedvedová, zeznanie praskie.

[376](#) Salvesen, *Forgive*.

[377](#) Wywiad autorki.

[378](#) Hanka Housková, rękopiśmienne wspomnienie, ARa. Zob. też Jirasková, *Kurzer Bericht über drei Entscheidungen*.

[379](#) Elisabeth Thury, obozowa policjantka, twierdziła, że od 1943 roku więźniarki wymierzające kary cielesne mieszkały w specjalnym pokoju w bunkrze. WO 235/318.

[380](#) Wiele świadectw, na przykład Epker, WO 309/1150; Konnikowa, GARF.

[381](#) WO 309/217.

[382](#) Nedvedová, zeznanie praskie.

[383](#) Salvesen, *Forgive*.

[384](#) Konnikowa, GARF; o odmowie Francuzek zob. *Les Françaises à Ravensbrück*, a Polek w zeznaniach z Lund.

[385](#) Cyt. w: Miednikow, *Dola biessmiertija*.

[386](#) Dokumenty Nikiforowej.

## Rozdział 19

### Wyłom w szeregach

Od chwili przyjazdu do Ravensbrück Ludwig Ramdohr rozwinął własny model terroru<sup>387</sup>. Oficer obozowego Gestapo lubił pracować w pojedynkę i nie zadawał się z innymi esesmanami. Chociaż nominalnie był oficerem SS, rzadko nosił mundur, preferując ciemny flanelowy garnitur. Przesłuchiwał więźniarki w swym biurze i mógł tam stosować dowolną torturę, jaką chciał, prawdopodobnie po regularnej chłóście, którą wykonywano w pobliskim bunkrze.

Zadaniem Ramdohra było zmusić ludzi do mówienia. Nosił skórzany pas, wykonany według jego wskazówek, którym zwykł bić kobiety w twarz. Zmuszał też więźniarki do kładzenia się na brzuchu na stole, a potem, gdy głowa kobiety wisiała nad jedną krawędzią, chwycił ją za włosy i zanurzał w wiadrze wody, aż była bliska utopienia; powtarzał to po kilka razy.

Jeśli kobieta nadal odmawiała zeznań, mógł związywać jej ręce, włożywszy uprzednio ołówki między jej palce. Potem ścisnął ręce więźniarki tak mocno, że palce się łamały, o ile ofiara wpięrow nie zemdląła. Swe ulubione narzędzia tortur trzymał pod kluczem, włącznie z trumną z zamykanymi otworami wentylacyjnymi i pazurami – metalowymi ostrzami – które wbijały się w ciało.

Dużo częściej używał po prostu skózanego bata, a jeśli przesłuchiwana mimo to milczała, bił ją gołymi rękami i uderzał jej głową o ścianę biura. Ojcumiała Falkowska, polska tancerka, wspominała, że pewnego razu nawet Binz była zszokowana liczbą plam krwi na ścianach Ramdohra; stwierdziła, że takie bicie odbywało się bez zgody komendanta<sup>388</sup>. Ramdohra nie interesowała opinia komendanta; odpowiadał jedynie przed swymi zwierzchnikami z Gestapo w Berlinie. W rzeczywistości Ramdohr był niemal na równi znienawidzony przez innych esesmanów, jak i przez więźniarki: kiedy wysłano

go do Ravensbrück, kazano mu zbadać korupcję wśród personelu, szczególnie masową kradzież futer w warsztacie kuśnierskim. Ramdohr przypisywał sobie także zasługę ujawnienia „odrażających warunków”, jak to ujął, w rewirze<sup>389</sup>.

Ludwig Ramdohr nie zawsze był gorliwym narodowym socjalistą. Urodzony w 1909 roku w Kassel w środkowych Niemczech, najpierw wstąpił do SPD – partii socjaldemokratycznej, a jego kariera zaczęła się od wydziału śledczego policji, a nie elitarnej SS Himmlera.

Jako dziecko Ludwig nie wykazywał oznak okrucieństwa. Prosząc o ułaskawienie po skazaniu go na śmierć, rodzina i przyjaciele Ramdohra twierdzili, że brzydził się okrucieństwa wobec zwierząt. „Kiedy grzebał kanarka teściowej, czule ułożył ptaszka w pudełku, okrył różą i zakopał pod różanym krzakiem”, opowiadał przyjaciel rodziny<sup>390</sup>. Sędzia nie miał czasu na takie petycje. Słyszał zeznania, że dorosły Ramdohr lubił zamykać bezbronne kobiety w podziemnych celach – szczególnie w lochach pełnych wody i rojących się od szczurów.

Specjalnością Ramdohra jednak i z pewnością jego najcenniejszą bronią była osobista siatka obozowych szpiegów<sup>391</sup>.

Informatorki werbowano się bez trudu. Wystarczyła dodatkowa kromka chleba albo lepsza praca i znajdowały się kobiety, które donosiły Ramdohrowi o wszystkim – prawdę i nie. Te, które dobrze pracowały, dostawały czekoladki albo inne delikatesy skradzione z paczek więźniarskich. Jego faworytki mogły dostać futro – szczególnie jeśli uprawiały z nim seks.

Raz zwerbowana nowa donosicielka pozostawała na liście Ramdohra albo groziły jej tortury. Pewna kobieta została tak ciężko pobita po tym, jak próbowała wymknąć się z jego sideł, że podcięła sobie gardło; uratował ją doktor Treite. Każda kobieta pobita przez Ramdohra natychmiast stawała się podejrzana o to, że szpieguje. Po wojnie zaczęły się domniemania, kto dla niego pracował. Na procesie twierdził, że stworzył „ruch polityczny” w obozie, aby zdestabilizować i oszukać te organizacje, które już istniały, na przykład komunistki.

W drugiej połowie 1943 roku Ramdohr był u szczytu władzy. W obozie, jak twierdził, miał od 50 do 80 donosicielek; werbował je również w podobozach. Sam rozmiar obozu oznaczał, że wywiad Ramdohra był potrzebny jak nigdy przedtem, po prostu by utrzymać kontrolę. Co więcej, ponieważ zakłady zbrojeniowe stawały się coraz ważniejsze, szpiegdy musieli



donosić o sabotażystkach.

W ramach swych umów kierownicy zakładów domagali się, by SS dostarczało nie tylko zdrowych, ale też pewnych robotnic. Przy produkcji broni mogły wyrządzić dużo więcej szkód niż po prostu niszcząc mundury: mogły majstrować przy amunicji, fuszerować zapalniki albo montować spusty w odwrotną stronę. W zakładach Siemens robotnice niszczyły cewki, przecinając druty albo gubiąc zamówienia na nowe części. Szczególnie obawiano się kobiet. „Niełatwo kontrolować kobiety, ponieważ są lepszymi oszustkami niż mężczyźni i ponieważ kiedy uciekają, są lepsze w ukrywaniu się i znajdowaniu sposobów przetrwania”, powiedział pewien kierownik<sup>392</sup>.

Te zmartwienia pogłębiał narastający brak dobrych strażniczek. Gdy obóz się rozrastał, a sieć podobozów rozszerzała, ogłaszano nabór pracowników, ale większość nowych strażniczek stanowiły poborowe. „Były bardzo młode, podatne na wpływy i bardzo biedne, a wiele prosiło o odesłanie do domu zaraz po przyjeździe, chociaż większość się przystosowywała i zostawała”, wspominała Grete Buber-Neumann<sup>393</sup>. Według Lotte Silbermann, kelnerki w kantynie SS, jedna grupa, zwerbowana z linii produkcyjnej w Filmfabrik Agfa w Wolfen, wydawała się szczególnie nieodpowiednia do pracy.

Te rekrutki przyjechały w ubraniach w strasznym stanie. Musiały czekać z nami w kantynie, aż przyniosą im nowe mundury, a gdy czekały, zachowywały się gorzej niż najgorsze uliczne prostytutki. Musiałam stać i patrzeć, podczas gdy jedna z tych nowych strażniczek, która miała nami rządzić, leżała na stole i obsługiwała oficera SS<sup>394</sup>.

Lotte zapamiętała szczególnie Ilse Hermann, którą interesowało jedynie zdobycie męża i która zmuszała ją do odkładania najlepszego jedzenia w kantynie dla swych „konkurentów” spośród męskiego personelu. Hermann kazała też Lotte pisać ogłoszenia matrymonialne do gazet.

Rudolf Höss, komendant Auschwitz, którego obóz wciąż czerpał strażniczki z Ravensbrück, również zauważył upadek. „Te stare nadzorkynie przewyższały jednak o całe niebo te, które przyszły później – napisał w autobiografii – mimo gorliwego werbunku dokonywanego przez organizacje kobiece narodowosocjalistycznej zgłaszało się bardzo niewiele kandydatek do służby w obozie koncentracyjnym”<sup>395</sup>. Zamiast tego firmy zbrojeniowe, do których wysyłano więźniarki, były zobowiązane zapewnić własnych cywilnych pracowników jako strażników.

Nie trzeba mówić, stwierdzał Höss, że „firmy te nie oddawały najlepszego materiału ludzkiego. Nadzorcynie te były przez okres kilku tygodni «szkolone» w Ravensbrück i następnie przydzielane do obozów”. Wkrótce kradły, uprawiały seks z więźniami, wybuchła też „plaga miłości lesbijskiej”. W zewnętrznych komandach, gdzie kontrola była trudna, wszystkie nadzorcynie miały psy, ale szczuły je na więźniarki „dla zabawy”. Te popełniające wykroczenia strażniczki trafiały do bunkra albo dostawały dwadzieścia pięć batów, tak jak więźniarki. „Miałem zawsze wielki szacunek dla kobiet – ubolewał Höss. – W Oświęcimiu zrozumiałem jednak, że moje ogólne stanowisko musi ulec ograniczeniu”.

Höss skarży się też, że Ravensbrück zachowuje najlepsze kobiety dla siebie, chociaż trudno powiedzieć, co komendant Auschwitz rozumie przez „najlepsze”. Przynajmniej dwie strażniczki z Ravensbrück spisały się doskonale w Auschwitz. Irma Grese, córka rolnika, wyszkolona w Ravensbrück w 1942 roku, była główną dozorczynią w Birkenau. Maria Mandl, która przybyła do Ravensbrück na samym początku, została w 1942 roku mianowana *Oberaufseherin* w Auschwitz po odejściu Langefeld i wkrótce stała się najpotężniejszą kobietą w imperium Himmlera. Mandl – kobieta, która potrafiła zatracić się „w ekstazie”, grając na fortepianie – założyła kobiecą orkiestrę więźniarską w Auschwitz<sup>396</sup>.

Wczesną jesienią 1943 roku Ramdohr był zdecydowany rozszerzyć swą szpiegowską sieć jeszcze bardziej. Jedną z grup, których nie zdołał spenetrować, były czerwonoarmistki – ich jedność okazała się niemożliwa do złamania. Swoją szansę dostrzegł w decyzji o wysłaniu części kobiet do pracy w podobozach. Gdyby więźniarki rozrzucano po odległych placówkach i odcięto od przywódczyni, kimkolwiek była, ich jedność byłoby łatwiej nadwerężyć. Z pewnością wtedy miał już donosicielki we wszystkich podobozach.

Wcześniej w tym samym roku RAF zbombardował główne zakłady lotnicze Heinkla w Rostoku nad Bałtykiem. W pobliżu, nad brzegiem małej zatoczki w Barth, na północnym krańcu Niemiec, wzniesiono zakłady tymczasowe. Jesienią 1943 roku kierownictwo Heinkla zaczęło przyjeżdżać do Ravensbrück, by rekrutować kobiety do fabryki. Wiele lekarek i pielęgniarek z Armii Czerwonej wezwano *nach Vorne* i wybrano. Walentyna Samojłowa wyjechała zimą, jak opowiadała mi w swym przestronnym mieszkaniu

w centrum Kijowa.

Najpierw rozmawialiśmy o Stalingradzie, gdzie Walentyna walczyła, żeby w ostatnich dniach oblężenia utrzymać kluczowy most. „Jednego dnia to Niemcy trzymali most, drugiego Sowietci. Tak to wyglądało. Walka była bardzo krwawa”, opowiadała Walentyna, obecnie osiemdziesięciodziewięcioletnia. Potem mówiła o Barth. Wraz z innymi lekarkami czerwonoarmistkami pracującymi w rewirze Walentyna odmówiła przyjęcia pieniędzy od SS i od razu wiedziała, że zostanie ukarana. „Miałyśmy kontakty w kancelarii i powiedziały nam, że pojedziemy do miejsca zwanego Barth”.

Wysłane zostały również inne radzieckie żołnierki: Łusia Małygina, Maria Klugman, Tamara Czajało i inna lekarka, Zina Awidowa. Przed wyjazdem grupa potajemnie spotkała się z Jewgienią Klemm, by ustalić strategię.

Jewgienia Łazariwna powiedziała nam, że powinnyśmy protestować, jeśli każą nam produkować broń, tak jak zrobiliśmy w Soest, ale nie powinnyśmy protestować tak, żeby nas rozstrzelali. Powiedziała, to co zawsze mówiła: „Trzymajcie się razem. Nie łamcie szyku. Pamiętajcie o tym”. I rozmawialiśmy o tym, jak zostać z nią w kontakcie, szmuglując wiadomości, dokądkolwiek pojedziemy.

Kobiety załadowano do pociągu, który skierował się nie w stronę Bałtyku, ale niemal dokładnie na południe, czego się nie spodziewały.

Po jakichś dwóch dniach wysadzono nas w Buchenwaldzie. Dziwiłyśmy się, co tam robimy. Zwołano nas, a oficer SS przechodzi wzdłuż szeregu i wybiera dziesięć najlepiej wyglądających dziewcząt, prowadzi je na plac, a mężczyzna – niemiecki więzień – podchodzi i próbuje być miły, mówi: „Witajcie, jestem niemieckim komunistą”, ale my uważamy, że to prowokacja. Więc mówię do niego: „Zjeżdżaj”. Wtedy zaczyna się śmiać razem z esesmanem. A potem przychodzi inny więzień i rzuca nam kawałek chleba, wewnątrz ukryty jest gryps.

Gdy drugi więzień rozmawia ze strażnikami, czytamy list. To ostrzeżenie: „Przywieźli was tu jako prostytutki dla esesmanów”. Więc wychodzę w szeregu i mówię oficerowi, że raczej umrę, niż zgodzę się na coś takiego. Żaden esesman do mnie nie podejdzie. Inne mówią to samo. Ale oni nam nie wierzą. Jeszcze nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, więc zabierają nas do sali. Jest wielka. Każą nam zdjąć ubrania. Przyjdzie wielu mężczyzn, mówią.

Spoglądamy na siebie, potem podchodzi esesman, dotyka moich piersi i mówi, jaka jestem piękna. A ja spluwam na niego i odpycham go. Wszystkie znów mówimy, że raczej umrzemy, niż pozwolimy komukolwiek nas dotknąć. Za to nas biją. Potem wpychają nas z powrotem do pociągu i odjeżdżamy w przeciwnym kierunku.

Kilka dni później pociąg dociera do małej stacji i znów się zatrzymuje. Szczękają zasuwki i kobiety mogą wyrzucić. Na peronie stoją „wrony”, jak w Ravensbrück, ale to nie jest Ravensbrück. Powietrze było inne; domyślały się, że są blisko morza, ponieważ wiatr pachniał solą i mułem. Znalazły się w Barth. Gdy maszerowały, zaczął padać śnieg, więc kazano im biec. To było 23 lutego 1944 roku, w urodziny Walentyny. Kończyła 25 lat.

„Dziewczęta, patrzcie, to lotnisko”, szepcze któraś<sup>397</sup>. Bliżej światła małego obozu dostrzegają wysokie ogrodzenie pod napięciem, wieżyczki strażnicze i baraki, a potem, niedaleko, rozległe lotnisko. Zasy piętrem się wokół hangaru. Więc to prawda, mówią, przywieźli nas tu, żebyśmy budowały samoloty wojskowe. Wkraczają do przysadzistych ceglanych baraków. Panuje lodowate zimno, nie ma ogrzewania i śpią na trzypiętrowych pryczach pod jednym kocem.

Następnego ranka na apelu stoją na dworze w śniegu, kiedy starszy Niemiec w cywilnym ubraniu wywołuje numery z listy i mówi po rosyjsku: „Dostałyście ważną i odpowiedzialną pracę. Kierownictwo da dodatkowe porcje żywności tym, które będą dobrze pracować. Możecie nawet wyjechać do domu na święta. Ale niedbałą pracę będziemy surowo karać”. Podnosi palec i wywrzaskuje po wojskowemu: „W prawo zwrot, dwójkami marsz!”. Nikt się nie rusza.

Jugosłowianki i Czeszki odmawiają pierwsze. Młoda Czeszka po prostu wychodzi z szeregu i wygłasza krótkie oświadczenie, że ona i jej grupa „nie będą produkować bomb, które będą zabijały nasze rodziny”. Strażnicy ruszają na nią, kopią i biją, aż upada. Dwie Jugosłowianki idą jej na pomoc, ale psy rzucają się na całą trójkę. Kobiety zostają poważnie pokiereszowane i odciągnięte, zostawiając krwawy ślad na śniegu. Jedna na pewno nie żyje, może wszystkie trzy.

Teraz przychodzi kolej grupy radzieckiej. Robiły to wcześniej, mogą zrobić ponownie. „Nie łamcie szyku”. Tak brzmiały słowa Klemm i powtarzają je pod nosem. Mówią sobie, że w liczbie siła, a obok Rosjanek stoi duża grupa Ukrainek, głównie robotnic przymusowych, ale też niedawno przybyłych partyzantek. Czerwonoarmistki przekazują wiadomość wzdłuż ukraińskich szeregów: także muszą odmówić produkowania samolotów wroga. Ukrainki dają znak, że również odmówią. Kiedy więc pada rozkaz, żeby wystąpić, cały

szereg tkwi w miejscu, jak gdyby wmarznięty w lodowatym wietrze.

Teraz przychodzi komendant. Gruby, koło sześćdziesiątki, rozgniewany koniecznością wyjścia na mróz. Wrzeszczy, aż mu okulary zaparowują, czerwony na twarzy, szukając prowodyrek. Maro Laszki, jedna z Gruzinek, przyciąga jego wzrok. Krzyczy do niej, by wyszła z szeregu i stanęła na baczność. Dziewczyna odmawia. Niemiec krzyczy: „Jesteś oficerem! Żołnierzem! Okaż nieco szacunku innemu oficerowi!”.

„Nie widzę nikogo godnego szacunku” – odpowiada Gruzinka. „Ruska świnia!” – wrzeszczy komendant, rzuca się na nią i kopie kilka razy, aż Maro upada bezwładnie i zostaje odciągnięta od grupy.

Teraz kolej Walentyny Samojłowej, prawdopodobnie dlatego – jak to stało się w Soest – że wyróżnia się jako wysoka blondynka. Komendant pyta, dlaczego odmawia pracy, a ona odpowiada: „Bo to fabryka zbrojeniowa”.

– Tak. I co?

– Jesteśmy żołnierzami armii radzieckiej i odmawiamy produkowania broni do mordowania naszych towarzyszy. Według konwencji genewskiej nie możecie zmusić nas do takiej pracy.

Gruby oficer czerwienieje ze wściekłości i ryczy jak zwierzę:

– O, więc pamiętasz o konwencji genewskiej... to ja będę cię bił tak długo, aż o niej zapomnisz!

Zaczyna uderzać w jej zranioną pierś.

– A kiedy z tobą skończę, to nie będziesz pamiętała nawet własnego nazwiska.

Wkrótce jednak męczy się tym i odchodzi, zostawiając pięćdziesiąt cztery radzieckie żołnierki na placu na mrozie, póki nie zmienią zdania.

Nadchodzi wieczór, w barakach włączono światło. Grupy robotników przymusowych – mężczyzn i kobiet – przechodzą obok i pytają: „Kim są te kobiety?”.

„To Rosjanki. Odmówiły pracy”, wyjaśnia ktoś. „Brawo, Rosjanki”, mówią robotnicy i kawałek czekolady ląduje u stóp jednej z dziewcząt. Schyla się, by go podnieść, i dostaje w twarz od strażnika.

Zapada noc, a kobiety wciąż stoją. Jest prawie minus dwadzieścia. Dziewczęta mają cienkie bawełniane ubrania. Próbuje się opierać o siebie, żeby się ogrzać, ale ledwie która się ruszy, wyrasta obok postać w ciemnym płaszczu nieprzemakalnym. Bat świszczcze i pali twarz.

Nadchodzi ranek, a one wciąż stoją, chociaż kilka upadło i przysypuje je

śnieg. Potem pojawia się Ludwig Ramdohr. Szef obozowego Gestapo musiał zostać bladym świtem powiadomiony o proteście i popędził na północ, aby się z nim uporać. Podchodzi do znękanym postaci, każe się im rozebrać niemal do naga i porzuca je, podczas gdy temperatura dalej spada.

Po kilku następnych godzinach wraca niemiecki kierownik cywilny, zbliża się do Walentyny, dźga ją w pierś i mówi: „Ta”. Wskazuje jeszcze trzy najbliższe, włącznie z Łusią Małyginą. Zapala papierosa i mówi protestującym, że życie tej czwórki jest w ich rękach. Nie podnosi głosu. „Jeśli wciąż będziecie odmawiały pracy, ta czwórka zostanie rozstrzelana na waszych oczach”.

Zakładniczki zostają odprowadzone do bunkra, oczekując na rozstrzelanie, ale kobiety na placu nie mogą na to pozwolić: „Jewgienia Łazariewna powiedziała, żebyśmy się nie dały zastrzelić”. Dyskutują, co robić, i zgadzają się, że wszystkie mogą zginąć. Mimo wszystko muszą wziąć się do pracy, postanawiają, i maszerują do hangaru. Wszystkie wiedzą, że część umowy z Klemm brzmiała, że jeśli zostaną zmuszone do pracy, otworzą drugi front i będą sabotować niemieckie samoloty.

– Więc robiłyśmy samoloty, które wybuchwały w powietrzu – opowiada Walentyna.

Ze wszystkich podobozów otwartych w 1943 roku Barth z pewnością był najbardziej odizolowanym, umieszczonym na północnym krańcu Niemiec na skrawku wybrzeża smagany przez sztormy i często zalewany. Samo miasteczko nigdy nie służyło gościnności. Lokalne kroniki opowiadają, że przez wieki było niszczone przez najeźdźców, pustoszone przez cholere i czarną śmierć oraz nawiedzane przez czarownice. W 1693 roku spalono tu nawet na stosie trzy wiedźmy.

Dla więźniarek Barth szybko stało się piekłem gorszym niż Ravensbrück – minipiekiełkiem, mniejszym, bardziej odcięty, bardziej brutalnym. Rozkład dnia był w zasadzie taki sam jak w obozie macierzystym, ale warunki surowsze: było zimniej, a apel przypominał torturę. Jedzenie często było gorszej jakości. Pewna Rosjanka wspominała dzień, kiedy zupa dotarła z taką ilością robaków, że cały obóz zaprotestował<sup>398</sup>.

Rutyna była nieubłagana, ponieważ nie było pracy, lecz niekończące się zmiany fabryczne; dwanaście godzin dziennie monotonii przy lutowaniu

sprężynek, podczas gdy majster krążył między nimi ze stoperem, a strażnik siedział na końcu stołu z zaciśniętymi pięściami w gotowości. Inne przydzielono do pracy przy tokarkach bez okularów ochronnych; drobne opiłki albo stopniowo pozbawiały je wzroku, albo opary kwasu wyżerały płuca i ręce, albo jedno i drugie.

Wkrótce Ravensbrück wspomniano jako porządnie wyposażone. W obozie macierzystym baraki pomalowano na zielono, dokoła rosły drzewa, a tu pejzaż był szary lub czarny, a baraki z czarnej cegły. W głównym obozie zawsze dało się skombinować grzebień albo wełnianą koszulę z magazynów, a tu nie było magazynów. Więźniarki miały miskę i łyżkę, ale jeśli je straciły, nie wydawano nowych, więc kobiety grzebały w śmieciach w poszukiwaniu zardzewiałych puszek na zupę albo nie jadły. Chodziły ze sztuccami przywiązаныmi do pasa sznurkiem.

W podobozach pojawiała się więcej lokalnych mieszkańców, poruszających się na obrzeżach albo nawet pracujących obok więźniarek; niekiedy pomagali, szmuglując nieco jedzenia lub w inny sposób, ale w większości przechodzili obojętnie<sup>399</sup>.

Obóz Neubrandenburg, 40 kilometrów na południe, gdzie mniej więcej w tym samym czasie wywieziono nowo przybyłe Francuzki, funkcjonował podobnie, ale Francuzki znosiły to gorzej, ponieważ żadna nie zaznała boju ani głodu, jak ich słowiańskie towarzyszki. Micheline Maurel uczyła w szkole w Lyonie, kiedy Walentyna Samojłowa walczyła w Stalingradzie, a w ciągu pierwszych dni po przybyciu do Neubrandenburga myślała nie o proteście, ale po prostu o przeżyciu. Przyjaciółka Micheline, Denise Tourtay, studentka z Grenoble, miała słabe serce i nie dawała rady w pracy, więc odebrano jej racje zupy i została tak ciężko pobita w podobozie, że nie mogła nie tylko pracować, ale nawet stać. W ciągu kilku tygodni śmiertelnie zachorowała na dyzenterię, a potem na tyfus i zmarła w rewirze w Neubrandenburgu. „Odeszła jako pierwsza z naszego transportu – wspominała Micheline – Miała zaledwie 20 lat”<sup>400</sup>.

Blokowe wybierano ze względu na ich okrucieństwo. W Neubrandenburgu blokowa Charlotte Schuppe uwielbiała uderzać Francuzki chochlą do zupy, a rano budziła je wiadrzem lodowatej wody. Z Barth wszystkie Rosjanki zapamiętały blokową Julie Wolk, prędką do bicia, która kradła jedzenie więźniarkom, żeby oddać je swym faworytkom, i która męczyła kobiety bez

powodu.

Strażnicy wydawali się z początku nieco inni niż w Ravensbrück, a wkrótce zyskali przydomki – «Kat», «Baba Jaga», «Zezol». A mimo to jako grupa strażnicy ci byli bardziej niechlujni i zachowywali się w jakiś szczególnie barbarzyński sposób. Pewna Rosjanka widziała, jak strażnik bił kobietę ze szklanym okiem, dopóki jej nie wypadło<sup>401</sup>. Micheline Maurel obserwowała esesmana karmiącego psa kostkami cukru, podczas gdy opodał, przy korycie, dwie strażniczki trzymały więźniarkę pod wodą, aż utonęła.

Wydaje się, że nie było postaci podobnej do wszechpotężnej Binz, by nadzorowała te kobiety, chociaż później w Barth pojawiła się strażniczka zwana Blondyną, która miała podobną kontrolę, prawdopodobnie dlatego, że więźniarki wiedziały, iż pracuje dla Ramdohra. Była młoda, z „wysportowaną sylwetką” i „wspaniałymi włosami”<sup>402</sup>.

Więźniarki w podobozach cierpiały też bardziej niż ich towarzyszki w Ravensbrück z powodu rozdzielania z przywódczyniami, które często były starszymi kobietami i najprawdopodobniej zostawały w obozie macierzystym. Czerwonoarmistki zostały odcięte od Jewgienii Klemm, chociaż – jak wyjaśniała Walentyna – starały się ze wszystkich sił nie tracić kontaktu.

W Ravensbrück Klemm usłyszała o proteście w Barth i przekazała list za pośrednictwem kolejnego transportu. Nowe więźniarki nieustannie wyjeżdżały do Barth, gdy odsyłano chore i wyczerpane, często tymi samymi ciężarówkami. „Kontakt nigdy nie urywał się na długo i to nam pomagało. Wciąż mogła nam doradzać, co robić”, wspominała Walentyna<sup>403</sup>.

Ten pierwszy list zapewnił dziewczęta z Barth, że dobrze zrobiły, zdecydowawszy się na pracę, ale opór musi trwać w formie sabotażu. „I napisała, że musimy uczyć inne robić to samo, ale nie wolno nam być fanatyczkami. I musimy trzymać się razem – opowiadała Walentyna. – Tak zawsze brzmiała rada Jewgienii Łazariewny i to była dobra rada. W dzieciństwie uczono mnie tego samego. Jeśli jesteście razem, nikt was nie złamie”.

Kobiety potajemnie spotykały się w swym bloku, żeby planować sabotaż. Na przykład więźniarki pracujące przy jednej taśmie uzgodniły, że będą podłączać przewody w częściach silnika odwrotnie. Kobiety z innej grupy miały tak lutować połączenia, żeby się rozpadały. „To zawsze było ryzykowne, rzecz



jasna, bo kierownictwo fabryki mogło przeprowadzić kontrolę jakości – mówiła Walentyna. – Sabotaż oznaczał, że stałyśmy jedną nogą na szubienicy”. Jednak nadzorcy często byli nieuważni, a strażniczki znudzone albo flirtowały z tymi nadzorcami.

Niemieccy cywile, niekiedy też komuniści, pracowali w fabryce jako robotnicy wykwalifikowani i niektórzy próbowali pomagać więźniarkom. Kontakty z tymi ludźmi nie były łatwe, ale w chwilach przestojów można się było spotkać w ubikacjach albo przejść razem do bloków, by przekazać wiadomości.

Jeden z tych cywilów nauczył Walentynę sabotować samoloty tak, żeby „wybuchały w powietrzu”. Wiedział, jak zatrzymać silniki w trakcie lotu: należało wywiercić dziury w skrzydłach i wypełnić otwory opiłkami. Skrzydła służyły jako zbiorniki paliwa, więc opiłki wkrótce zatykały przewody paliwowe, a silnik gasł. Walentyna zbierała opiłki z podłogi do pudełeczka, które chowała w pochwie aż do chwili, gdy mogła je przekazać robotnikowi.

Nie wiemy, czy samoloty naprawdę wybuchały, ale wiara w to z pewnością dała czerwonoarmistkom siłę. Kiedy Ramdohr przyjechał na śledztwo, odmówiły zeznań. W Barth nie było bunkra, ale śledczy próbował wszystkiego, by zmusić je do mówienia. Tylko za „podejrzane zachowanie” kobiety wyciągano z szeregu i zmuszano w środku zimy do stania w strumieniach lodowatej wody, a potem inne więźniarki jeszcze oblewały je wodą z wiader. Jeśli kobiety nie chciały oblewać, czekała je ta sama kara.

Czasami kogoś karano dla przykładu. Lidia Rybałczenko, jedna z czerwonoarmistek, została pewnego dnia zabrana do piwnicy wykopanej pod ceglany barakiem. Było tam wypełnione wodą pomieszczenie, w którym mogły stać dwie osoby. Lidia stała po szyję w wodzie przez kilka godzin, ale wciąż nie chciała mówić i została wyciągnięta. „Opowiadała nam, że szczury przepływały jej koło oczu”, relacjonowała Walentyna.

W tym czasie Ramdohr badał nie tylko sabotaż w Barth; w podobozie Genthin młoda czerwonoarmistka Wiera Wanczenko, oficer wywiadu, psuła pociski do dział<sup>404</sup>. Wkładała spłonkę do łuski naboju odwrotnie i pokazała wszystkim kobietom ze swojej zmiany, jak to robić. Kiedy felerny nabój trafiał do sąsiedniej sali, gdzie wkładano pocisk do łuski, nie dało się już wykryć sabotażu. Wiera jednak nie wiedziała, że przed opuszczeniem fabryki jakość pocisków jest kontrolowana. Partia wybrana do sprawdzenia została

wyprodukowana przez nie, a kiedy wszystkie pociski okazały się niewypałami, Wierę wskazano jako przywódczynię i przewieziono do Ravensbrück na przesłuchanie przez Ramdohra.

Według więźniarki z sąsiedniej celi zabierano ją na przesłuchanie dziesięć razy. Odmawiała podania jakichkolwiek nazwisk i wracała z kolejnymi połamanymi kośćmi. Ostatecznie każda kość jej dłoni została złamana. Potem Wierę Wanczenko powieszono. Po sprawie z Genthin wydano rozkaz, żeby wieszać wszystkie sabotażystki. Teraz Jewgienia Klemm wysłała list z ostrzeżeniem, żeby kobiety nie narażały życia.

W Barth Ramdohr zwerbował więcej informaterek. Dozorczynie było zawsze trudniej zdobyć, a szpiedzy wychodzili tanio i stanowili najlepszą broń przeciwko sabotażowi lub zaniedbaniach w pracy. Wysoko postawiony urzędnik w ministerstwie uzbrojenia Alberta Speera uważał, że były lepsze sposoby na to, aby zmusić kobiety do pracy. „Sekret tkwi w psychologii – twierdził Karl Saur. – Te kobiety [...] muszą najpierw zrozumieć, że nie ma już nadziei na wyzwolenie. Wtedy z czystej nudy i rozpaczki skierują całe swe siły na pracę”<sup>405</sup>. Jednak w Barth brak nadziei sprawił, że trzynaście kobiet podjęło próbę ucieczki, a kilka innych popełniło samobójstwo, rzucając się na druty.

W Barth największym utrapieniem była donosicielka Blondyna. Nie minęło wiele czasu, a dozorczyń z „bujnymi włosami” uzyskała funkcję kierowniczkę tamtejszej siatki Ramdohra. Wszyscy wiedzieli, że werbowała własne informatorki wewnątrz bloków, więc kobiety nie miały już żadnego miejsca, gdzie czułyby się bezpieczne. W baraku radzieckim dla Blondyny pracowała znienawidzona blokowa, Niemka Julie Wolk, co niosło ze sobą duże niebezpieczeństwo, mówi Walentyna, „ponieważ Wolk obserwowała wszystko, co robiłyśmy. Teraz trzeba było uważniej ukrywać narzędzia do sabotażu – zakrzywione nożyki, stare śruby. W bloku nie wolno było nic planować”<sup>406</sup>.

Funkcjonowało to tak, mówi Walentyna. „Wolk zaczęła również werbować więźniarki na szpiegów w bloku. Wszystkie wiedziałyśmy, kiedy to się działo, ponieważ dziewczyna namówiona przez Wolk szła do pokoju Blondyny. Po powrocie jej zachowanie się zmieniało. Musiała usłyszeć jakieś straszne rzeczy, ponieważ od tej pory trzymała się od nas z daleka”. W ten sposób dało się zwerbować co najmniej pięć więźniarek, w tym jedna lub dwie

czerwonoarmistki, a mogło być ich więcej. „Ale to budziło w nas tylko jeszcze większą chęć sabotażu”.

Za każdym razem gdy Ramdohr pojawiał się osobiście, wszystkie podejrzewały donos od Blondyny. Zawsze wściekał się na sabotaż, wzywał wszystkie pracownice i żądał, by osoby odpowiedzialne same się przyznały. Jeśli nikt się nie zgłaszał, groził, że sam dotrze do przywódczyni i wrzuci je do piwnicy albo z miejsca rozstrzela. Pewnego razu żadna się nie przyznała, wszystkie stały i czekały, aż któraś z donosicielek Blondyny wskaże winnych, ale zamiast tego wystąpiła Wiera Sincowa, która nie miała z sabotażem nic wspólnego, i przyznała się do wszystkiego. To było samobójstwo, a Ramdohr zastrzelił ją przed wszystkimi, jednym strzałem w kark.

Wkrótce więźniarki otworzyły „drugi front”, opowiada Walentyna, która przedstawia wszystko, jakby toczyła pewnego rodzaju walkę za liniami wroga. Nowy ruch oporu miał swoje centrum w izbie chorych w Barth, która szybko zapełniała się chorymi na biegunkę, świerzb, dyzenterię i tyfus. Radzieckie lekarki – Maria Klugman, Tamara Czajało i inne – nie miały dostępu do żadnych leków. Młode Rosjanki i Ukrainki chore na gruźlicę miały konwulsje przy atakach kaszlu, ale Klugman i Czajało mogły tylko trzymać słoiki, do których tamte odkrztuszały krew. Inne więźniarki doznały obrażeń od alianckich bomb, które spadły blisko fabryki.

Stopniowo lekarki znalazły sposoby na przemykanie leków, ponieważ nawiązały kontakty z cywilami i jeńcami wojennymi z pobliskich obozów i dzięki przekazywaniu do głównego obozu wiadomości z prośbą o leki przez więźniarki przyjeżdżające ciężarówkami. Ciężarówki woziły teraz więźniarki w tę i z powrotem prawie codziennie. Zarządzający szpitalem zawsze skarżyli się, że placówka jest przepełniona, a chore nie zdrowiały wystarczająco szybko. Wtedy Blondyna przychodziła do szpitala i wybierała te, które miały wyjść. „Ty i ty” – wybierała i mówiła, że trafią do obozu dla rekonwalescentów. Nikt jej nie wierzył: z Ravensbrück dotarły wieści, że kiedy chore wrócą, zostaną wysłane do komory gazowej w Auschwitz lub innym miejscu. Lekarki z Armii Czerwonej próbowały przemycać kobiety z rewiru albo w ostatniej chwili podmieniać więźniarki, „ale donosicielki obserwowały nas bez przerwy”.

Valentyna w swej opowieści dotarła niemal do końca wojny, kiedy zbliżał się front wschodni, samoloty latały nad głowami, a więźniarki miały więcej nadziei niż kiedykolwiek. Ona i Łusia Małygina zaczęły rozprawdzać

w obozie ulotki, mówiące, że zwycięstwo jest blisko. W ostatnich tygodniach cywile chętniej pomagali, wspominała, choćby szmuglując papier i ołówki. „Wiedziałyśmy, że wygramy, to była tylko kwestia czasu”. Ramdohr wkrótce dowiedział się o ulotkach i w furii znów pojawił się w obozie. Żadna się nie załamała, chociaż wiele było na krawędzi.

Potem Zina Awidowa, jedna z lekarek, nie mogła wytrzymać i poszła na druty<sup>407</sup>. Walentyna była zaskoczona. Koniec był tak bliski. Zina miała 35 lat i troje dzieci. Jej najstarszy syn służył w armii. „Patriotyzm Ziny był bardzo silny”, mówi Walentyna.

Ale zaczęła się dziwnie zachowywać. Pewnego dnia po prostu już nie mogła więcej pracować w hangarze. Powiedziała „Moje dzieci i rodzina są w Leningradzie. Nie mogę produkować broni, która ich zabije”.

Wspierałyśmy ją. Przekonywałyśmy, żeby była spokojna. Pomyślałyśmy, że pójdzie za naszą radą i że się nie zabije. A następnego dnia stałyśmy tam, a syrena zaczęła wyć i gdy wszyscy ruszyli do baraków, ona pobiegła do ogrodzenia. Płot znajdował się 17 metrów od baraków i był pod napięciem. Nigdy nie zbliżyłyśmy się na mniej niż 10 metrów. Wszystkie widziałyśmy, co się stało. Wszystkie za nią pobiegłyśmy. Krzyknęła do nas...

Głos Walentyny się załamuje. „Zina Awidowa nie była jedyną”, mówi.

Niemal codziennie ludzie rzucali się na druty, ponieważ tak trudno było wytrzymać presję. Każdy miał jakiś punkt wytrzymałości. Ona była całkiem normalna. Nawet krzyknęła: „Do widzenia!”. Zostawili ją na płocie na całą noc. Widziałyśmy ją na drutach podczas porannego apelu. Wciąż. Potem, gdy zaprowadzili nas do pracy, zdjęli ciało.

Spytałam Walentynę, co Jewgienia Łazariewna sądziła o tych samobójstwach. „Była przeciwna, rzecz jasna – odparła. – Dyskutowałyśmy o tym wiele razy przed wyjazdem. Mówiła, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie powinnyśmy tego robić. Przysyłała listy mówiące, że samobójstwo pokazuje wrogowi naszą słabość”.

Kobiety podwoiły opór. Pewnego dnia zdołały przesznułować trochę czerwonej tkaniny i uszyły czerwoną flagę, którą wywiesiły na bloku. Tym razem Ramdohr po przyjeździe wznosił szubienicę na placu apelowym i powiesił na niej dwie pętle<sup>408</sup>. Zabrał Walentynę i Łusię Małyginę do ciemnej piwnicy, gdzie musiały stać ze szczurami, w stale podnoszącej się wodzie.

„Siedziałyśmy tam nie wiem jak długo”, opowiada Walentyna, której historię

odtąd trudno jest śledzić. „Było bardzo ciemno. Jakieś rzeczy zbliżały się do nas”. Potem przerywa i zaczyna mówić o innych sprawach, o młodości i patriotyzmie, a ja muszę pytać, co było dalej. W pierwszej chwili nie dostaję odpowiedzi. Relacje innych więźniarek opisują, że kiedy tamte dwie wsadzili do piwnicy, reszta usłyszała, że nie dostaną nic do jedzenia, dopóki Walentyna i Małygina się nie przyznają. Wszystkie widziały budowanie szubienic i obawiały się najgorszego.

Potem Walentyna podejmuje opowieść i mówi, że ją i Łusię zabrali z piwnicy do obozowego szpitala, gdzie zajęły się nimi przyjaciółki, Tamara Czajało i Maria Klugman. Nie wyjaśnia na początku, co doprowadziło do ich uwolnienia, ale potem mówi, że w pobliżu spadła amerykańska bomba i wiele osób odniosło obrażenia. W szpitalu potrzebni byli lekarze, więc Walentynę i Łusię wypuszczono, aby zajęły się rannymi. Szubienicę z dwoma stryczkami usunięto.

Opowieść Walentyny staje się nieskładna. Mówi, że po tych wydarzeniach Łusia dostała w obozie odpowiedzialną pracę; została główną blokową. Spytałam Walentynę, czy to prawda, że Łusia Małygina została donosicielką Blondyny, które to oskarżenie wyczytałam w powojennych dokumentach odnalezionych w rosyjskich archiwach.

„Nigdy w to nie wierzyłam – mówi Walentyna. – Dali jej ważną funkcję w obozie i liczyli, że wydostaną z niej informacje. Znałam ją, tak jak znam siebie. Była piękną dziewczyną z wielkimi brązowymi oczami”.

\*\*\*

Jakiś czas później, po spotkaniu z Walentyną, natrafiłam na wersję Blondyny. Nazywała się Ilse Hermann, była jedną z tych łatwowiernych, tęskniących za domem dziewcząt z fabryki Agfa, których przyjazd do obozu widziała Lotte Silbermann, kelnerka w kantine. To właśnie Hermann prosiła ją o pisanie ogłoszeń matrymonialnych.

Zaraz po wojnie Hermann, jak niezliczone inne strażniczki, uniknęła aresztowania i do lat pięćdziesiątych mieszkała na wolności w Niemczech Wschodnich, za żelazną kurtyną. Na początku lat sześćdziesiątych musiała już uwierzyć, że wymigała się od kary, gdy została aresztowana przez Stasi, wschodniemiecką tajną policję, która piętnaście lat po zakończeniu wojny

rozpoczęła własne śledztwa w sprawie nazistowskich zbrodniarzy i dążyła do postawienia ich przed sądem.

Pogardliwie odnosząc się do niewielkiej liczby skazanych na Zachodzie, Niemcy Wschodnie prowadziły procesy po części, żeby zyskać propagandową przewagę w walce z „faszystami”, ale także by wydobyć zeznania od części z tysięcy nazistowskich zbrodniarzy wojennych, którzy wówczas ukrywali się na Wschodzie.

Po oskarżeniu Hermann o zbrodnie przeciwko ludzkości śledczy Stasi wypytywali ją o *Spitzeltätigkeit*, działania szpiegowskie, Ramdohra<sup>409</sup>. Pięćdziesiąt stron przesłuchania robotnicy z fabryki Agfy daje poruszające świadectwo, jak zwykła młoda kobieta została oderwana od nawijania filmów, a potem skłoniona czekoladkami do terroryzowania więźniarek w prowincjonalnym piekle o nazwie Barth. Po wysłuchaniu relacji Walentyny zeznanie Blondyny szczególnie szokowało, gdyż powtarzało słowa Walentyny niemalże zdanie po zdaniu.

Nie jest całkiem jasne, kiedy Ludwig Ramdohr zaczął zabiegać o względy Hermann, ale prawdopodobnie wtedy, gdy miała zostać karnie przeniesiona do innego podobozu za złe zachowanie. Bała się powrotu do fabryki Agfy, więc powiedziała śledczemu ze Stasi, że Ramdohr był dla niej bardzo miły. Dawał jej papierosy i czekoladki, co ją dziwiło, bo od innych słyszała, jaki z niego brutal.

Kiedy poprosił, żeby szpiegowała więźniarki w Barth, od razu się zgodziła. Usłyszała, że radzieckie kobiety muszą zostać „wyplenione za wywołanie wojny”. Pierwszą troską Ramdohra był sabotaż w fabryce Heinkla; podejrzewał, że kierują nim czerwonoarmistki, ale potrzebował dowodu. Hermann powiedziała śledczym, jak trafiła do Barth, i szybko zwerbowała pomocnice – swoje dwie współlokatorki, a także niemiecką komunistkę Julie Wolk.

Spośród wycieńczonych więźniarek bez trudu dało się wyłuskać donosicielki. „Nie musiałam im płacić”, zeznała. Prawdopodobnie kandydatki były zapraszane do pokoju Blondyny, gdzie Wolk, która mówiła po rosyjsku, prowadziła rozmowę. Blondyna obserwowała też inne strażniczki i nawet esesmanów. „Musiałam trzymać oczy otwarte i patrzeć, kto siada z kim w kantine”. Sporządzała raporty i wysyłała je pocztą do Ramdohra. On nadał Hermann kryptonim złożony z dużych liter i cyfr. Wszystko miało być „ściśle

tajne”. Później miał przyjechać i ukarać winnych, chociaż Hermann twierdziła, że nie wiedziała jak.

Z raportów swych szpiegów Ramdohr dowiedział się, że opór w Barth kierowany jest ze szpitala obozowego. Maria Klugman i inne próbowały szmugłować do niego leki i zamieniać numery chorych wybranych do powrotu do obozu macierzystego z numerami zmarłych. Blondyna również o tym miała donosić, korzystając z informacji swej informatorki w szpitalu<sup>410</sup>. Wiedziała, dokąd zmierzają ciężarówki, ponieważ to ona wybierała „wykończone” kobiety. I wiedziała, że stanowiły pożywkę dla komory gazowej czy pożywkę dla Belsen, jak to ujmowała – „wiedziałam, że wybrane kobiety jadą na zagładę”<sup>411</sup>.

Zeznanie Hermann pokazuje, jak skuteczne stawało się „powstanie” czerwonoarmistek w Barth. Z pewnością niepokoiło Ramdohra, kazał więc Blondynie zwerbować więcej donosicielek. Śledczy polecili jej wskazać informatorki, podpowiadając takie imiona jak Kława, Chawa, Szura i Właja, ale Hermann nie pamiętała.

Wkrótce Blondyna i Ramdohr zrozumieli, że więźniarki dostają informacje o postępach frontu wschodniego. W jakiś sposób udawało im się rozpowszechniać ulotki z wiadomościami, jak blisko jest Armia Czerwona. „Powiedział, że bolszewickie wpływy objęły cały obóz”. Blondyna teraz pozyskiwała nowe informatorki, z którymi spotykała się „w kinie”, a Ramdohr dostarczał kolejne pudełka czekoladek.

Śledczy po raz kolejny wrócili do tożsamości szpiegów Blondyny. Dali jej do przeczytania oświadczenia byłych więźniarek czerwonoarmistek z Barth, w tym Marii Klugman, Tamary Czajało i Walentyny Samojłowej. Relacje, spisane w Moskwie i wysłane do NRD, miały pomóc w śledztwie i znalazły się w aktach Stasi dotyczących Blondyny.

W pewnym momencie, według protokołu przesłuchania, odczytano Hermann fragment zeznania Walentyny. Powiedziano jej, że Samojłowa złożyła oświadczenie, w którym „przyznaje, że została zwerbowana jako *agent provocateur* w Barth i że ona, Samojłowa, zasugerowała zwerbowanie Łusi Małyginy, również więzionej w Barth. Informatorkom w zamian za usługi często oferowano lepsze jedzenie”<sup>412</sup>. W oświadczeniu Walentyna dwukrotnie wymieniła Łusią Małyginę jako jedną z donosicielek Gestapo. „Wierzę, że obywatelka radziecka [...] Łusia Małygina pracowała dla Niemców”, miało

głosić zeznanie Walentyny odczytane Blondynie<sup>413</sup>.

Te rewelacje z dokumentów Stasi były niepokojące, szczególnie że zaprzeczały wszystkiemu, co powiedziała Samoźłowa o Łusi Małyginie. „Małygina nigdy nie była zdrajczynią, znałam ją tak jak siebie”, stwierdziła przy mnie. Jedno z wyjaśnień brzmiało, że świadectwa dawnych więźniarek zostały zmanipulowane przez Stasi, żeby wesprzeć ustawioną sprawę. Inne, że Walentyna i Łusia Małygina zostały tak sterroryzowane przez Ramdohra, szczególnie gdy wzniósł szubienicę, że w ostatnich tygodniach wojny nawet te dwie silne istoty faktycznie zostały donosicielkami.

Dalsze rewelacje z teczki Hermann wprowadzają kolejny zwrot w opowieści. Kiedy dawnej strażniczce pokazano zdjęcia Łusi Małyginy i zapytano, czy pamięta ją jako jedną z informaterek, Blondyna oświadczyła, że w ogóle nie pamięta Małyginy. Pytano ją kilkakrotnie, czy Małygina należała do tych, które zgodziły się współpracować, ale znowu zaprzeczyła, by znała więźniarkę. Jednak kiedy pokazano jej fotografię Walentyny, Hermann od razu stwierdziła, że Samoźłowa „mogła być więźniarką «Walą»” – jedną z jej informaterek w Barth.

Podczas naszego spotkania zapytałam Walentynę, czy była przesłuchiwana po wojnie w sprawie kolaboracji z faszystami; potwierdziła, chociaż nigdy jej nie oskarżono. „Widzieli, że mam blizny, więc nie mogli mnie oskarżyć o tchórzostwo – powiedziała. – Patrz: mam tylko jedną pierś, sama widzisz. Własną krwią udowodniłam swoją niewinność”. Wskazała na piersi i ranę otrzymaną w Stalingradzie. Potem wyszła i wróciła z pudełkiem pełnym medali przyznanych jej przez Stalina po wojnie.

Po przeczytaniu zeznania Hermann znów skontaktowałam się z Walentyną i zapytałam, jak może je wyjaśnić. Znowu powtórzyła, że pamięta przesłuchanie przez Niemców w latach sześćdziesiątych, ale nigdy nie mówiła nic przeciwko Małyginie. Zeznania spisano po niemiecku, którego nie zna, a tym samym nie mogła ich zweryfikować.

Tyle lat później nie da się dokładnie ustalić, co kryje się za domniemaniami w aktach Blondyny. Mimo to zasadniczy zarys historii Barth wydaje się jasny. Na peryferiach imperium Himmlera, odcięty od Jewgienii Łazariewny Klemm, krąg czerwonoarmistek się rozpadł. W Barth łamały się najsilniejsze, wiele z powodu głodu, chorób i rozpacz, a inne z powodu Ludwiga Ramdohra i Blondyny.



Jednak historia tu się nie kończy. Kiedy tajna policja Stalina po wojnie zaczęła oskarżać radzieckich jeńców wracających z nazistowskich obozów o „kolaborację z faszystami”, jej funkcjonariusze sondowali i szantażowali ocalonych w każdy możliwy sposób, by nastawić jednych przeciwko drugim. W wywiadach z ocalonymi miałam wiele przykładów tego zastraszania – przyjaciół nakłanianych do zdradzania przyjaciół i ocalonych, których oskarżono, osądzono, zesłano na Syberię i, w co najmniej jednym przypadku, rozstrzelano.

Z tych spraw najbardziej złowrogi był tak zwany proces lekarzy w Symferopolu na Krymie.

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, jakie dowody doprowadziły do oskarżeń symferopolskich. Prośby o udostępnienie oficjalnych protokołów procesu z archiwów rosyjskich pozostały bez odpowiedzi. Jednak list, który Maria Klugman napisała w 1959 roku do Antoniny Nikiforowej, daje rzadki wgląd w pracę stalinowskich sądów i w tragedie przez nie wywoływane.

W Symferopolu wraz z Marią Klugman oskarżone były Łusia Małygina, Anna Fiedczenko, Walentyna Czeczko i Lena Małachowa, wszystkie z Armii Czerwonej, lekarki i pielęgniarki w obozie. List Marii zaczyna się od prostego przedstawienia jej życiorysu.

„Urodziłam się w 1910 roku w Czernihowie, potem moi rodzice przeprowadzili się do Kijowa. Pochodzę z dużej rodziny. W 1931 roku wstąpiłam do instytutu lekarskiego w Kijowie”. Opisuje swoją karierę medyczną, pracę chirurga na froncie, schwytanie i doświadczenia z Ravensbrück, gdzie wraz z kilkoma innymi, po kilku miesiącach, pracowała jako lekarz w rewirze obozu macierzystego i w Barth. Po wojnie znów pracowała w Kijowie i w Moskwie jako lekarz, aż w 1949 roku została aresztowana, wtrącona do więzienia w Symferopolu i postawiona przez sądem wojskowym w Tawriczeskoje.

„Oskarżono nas o pomoc faszystom w likwidowaniu ludzi – napisała Maria. – Postawili mi zarzut wstrzykiwania ludziom śmiertelnych dawek pentotalu [anestetyk] i zakażanie nóg więźniarek bakteriami. O dawanie kobietom w łaźni klejnotów, by ukryły je w pochwach”. Za te przestępstwa sąd skazał kobiety na 25 lat łagru. Proces trwał szesnaście miesięcy, a gdy kobiety czekały na wyrok, jedna z nich, Lena Małachowa, powiesiła się w celi.

Maria potem wymieniła trzy oskarżycielki, wszystkie trzy towarzyszki z obozu: lekarki i pielęgniarki. Pierwsza z ich grupy aresztowanych –

Walentyna Czczko – była pierwszą oskarżycielką. Podczas przesłuchania Czczko „zacząła oskarżać siebie i nas o mordowanie ludzi”.

Dwie koleżanki pielęgniarki, Wiera Bobkowa i Biełolipiecka, także zeznawały przeciwko nim: „Przyjeżdżały kilka razy do Symferopola jako świadkowie”.

Maria opowiadała, że w sądzie przeciwstawiła się oskarżeniom: „Powiedziałam Czczko, że będzie musiała żyć z konsekwencjami tego, że córka Małachowej została przez nią sierotą. Zamknęli mnie za to w izolatce na cztery tygodnie. W grudniu 1950 roku wywieźli mnie do łagru pod Tajszetem w obwodzie irkuckim”.

Dziś żyjące czerwonoarmistki mówią, że nie wiedzą, dlaczego oskarżycielki zdradziły swe towarzyszki, tak odważne w obozie. Czczko „straciła głowę” podczas przesłuchania. Bobkowa bała się fałszywego oskarżenia, a mąż naciskał na nią, żeby zeznała cokolwiek, czego chce Smiersz. Bez wątpienia wiele Rosjanek zazdrościło lekarkom i pielęgniarkom specjalnych przywilejów w obozie. Powojenne korespondentki Antoniny niekiedy zdradzają swoje poglądy. Tatiana Pignatti napisała o podziwie dla Marii Klugman, którą widziała „przy stole operacyjnym wśród pożarów Czernihowa”, ale dodała, że w obozie część dziewcząt podejrzewała Klugman o zrobienie jednej z towarzyszek śmiertelnego zastrzyku, najwyraźniej by uwolnić ją od bólu<sup>414</sup>. Oskarżenie było fałszywe, napisała Pignatti, zastrzyk zrobiła esesmańska pielęgniarka – „ale tak ciężko oczyścić się z błota”. W obozie Klugman nie zrobiła nic złego, „ale dziewczęta nie lubiły jej z powodu jej dumy”.

Co do Łusi Małyginy, ona i Wiera Bobkowa były najlepszymi przyjaciółkami w obozie”, ale „Wiera była świadkiem na procesie, a Małygina została skazana”.

Pignatti nie widziała w tym sensu i mówiła Antoninie: „Musiałaś widzieć, jak sztorm wyrzuca na brzeg nieczystości. Życie oczyści tych ludzi, tak jak morze zabiera z powrotem brud”.

<sup>387</sup> Zeznanie Ramdohra na własnym procesie, WO 309/416. Co niezwykle dla esesmana, został skazany na podstawie zeznań swych kolegów z SS i ich również pogrążył. Treite mówił o brutalnych metodach Ramdohra, a Suhren zeznał, iż „słyszał o wielkim okrucieństwie Ramdohra”.Zeznanie Rastatt, Archives diplomatiques du ministère des Affaires étrangères, Colmar.

[388](#) Raport dla Komisji Historycznej, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa. Inne raporty o okrucieństwach zob. np. Anna Hand, WO 235/318, i Vermehren, *Reise durch den letzten Akt*.

[389](#) W zeznaniu Ramdohr powiedział później, że przysłała do niego Milena Jesenská i przedstawiła zbrodnie Rosenthala i Quernheim, włącznie ze śmiertelnymi zastrzykami i aborcjami. „Podczas przeszukania izby chorych osobiście odkryłem ludzki embrion w alkoholu, który, według oświadczenia Quernheim, należał do niej”. To wskutek śledztwa Ramdohra Rosenthala zdymisjonowano, a Quernheim trafiła do bunkra.

[390](#) WO 235/312. Podczas procesów nazistowskich zbrodniarzy kilku esesmanów przedstawiało dowody łagodności wobec zwierząt, by wesprzeć usprawiedliwienia swego okrucieństwa wobec ludzi.

[391](#) WO 309/416.

[392](#) Cyt. w: Strelbel, *Ravensbrück*.

[393](#) *Dictators*.

[394](#) Silbermann, „SS-Kantine-Ravensbrück”.

[395](#) Höss, *Autobiografia*, s. 136–139.

[396](#) Kiedy Mandl przybyła do Auschwitz w 1943 roku, istniała już orkiestra męska, więc chciała orkiestry kobiecej „dla prestiżu”. Oba zespoły całkowicie od siebie separowano; męska prezentowała dużo wyższy poziom. Wywiad autorki z Anitą Lasker-Wallfisch, jedyną wiolonczelistką w żeńskiej orkiestrze w Auschwitz.

[397](#) Opowieść o Barth oparta jest na moim wywiadzie z Walentyną Samojułową w Kijowie, z którego zaczerpnęłam jej komentarze, o ile nie wskazałam inaczej.

[398](#) Sabrodszkaja, ARa.

[399](#) Zob. Elga Kaletta w: Radau, *Nichts ist vergessen und niemand*.

[400](#) Maurel, *Ravensbrück*; zob. też *Les Françaises à Ravensbrück*.

[401](#) Jewdokia Domina, wywiad autorki o podoboże Genthin.

[402](#) O Ilse Hermann (później Göritz, pseudonim Blondyna) i metodach Ramdohra zob. zeznania trzech strażniczek na procesie w 1965 roku w NRD: Göritz (z d. Hermann), Fridy Wötzel i Ulli Jürss, w BStU.

[403](#) Wywiad autorki. Zob. też jej zeznanie w zbiorze Buchmann oraz Czajało, relacja dla Muzeum Medycyny Wojskowej w Petersburgu. Kontakt między Klemm a czerwonooarmistkami w różnych podobozach był wspominany w kilku wywiadach autorki.

[404](#) Dokumenty Nikiforowej, szczególnie listy Antoniny Choliny, więzionej z nią. Zob. także wywiad autorki ze Stellią Kugelman-Nikiforową.

[405](#) Cyt. za: Strebel, *Ravensbrück*.

[406](#) Zob. Anonim, „Raport o Julie Wolk”, Praga 1945, zbiór Buchmann.

[407](#) Dokumenty Nikiforowej i Pikuła, zbiory Buchmann.

[408](#) Dalsze wypadki zostały zrekonstruowane z kilku relacji, które różnią się szczegółami, ale ocalone zgadzają się, że wskutek protestu Samojłowa i Małygina zostały skazane na torturę wodną i zagrożono im powieszeniem, wskutek czego jedna, a być może obie porzuciły opór.

[409](#) Odpowiedzi Ilse Göritz (z domu Hermann vel Blondyny) na pytania Stasi rzucają światło nie tylko na to, co się działo, ale też na determinację śledczych, by odkryć szpiegowską siatkę Ramdohra. Göritz została przesłuchana osiemnaście razy między 6 marca 1964 a 25 maja 1965 roku w więzieniu w Rostoku i za każdym razem podawała kolejne szczegóły (zob. BStU, ZUV 1). Zeznania Göritz należy czytać w uwzględnieniu zimnowojennego kontekstu i ze świadomością, że jej śledczy chcieli, by podkolorowała wojenne zbrodnie nazistów; zob. Angelika von Meyer, *„Ich wollte eine Uniform tragen“: der „Rostocker Prozess“ in den Unterlagen des Ministeriums für Staatssicherheit [w:] Im Gefolge der SS*, red. Erpel. Jednak podawane przez nią szczegóły codziennej służby, o wykonywaniu rozkazów Ramdohra w celu złamania radzieckich więźniarek, połączone z odpowiednimi relacjami więźniarek, dają ważny obraz eksterminacji niewolniczej siły roboczej w podobozach oraz rozpaczliwego oporu czerwonooarmistek w Barth.

[410](#) Szpiegiem w rewirze była szwajcarska więźniarka Carmen Mory, w tym czasie przeniesiona z obozu macierzystego, gdzie pełniła funkcję blokowej bloku 10., by w ostatnich miesiącach wojny pracować jako jeden ze szpiegów Ramdohra w Barth.

[411](#) Przesłuchanie Göritz, 16 kwietnia 1964, BStU, ZUV 1.

[412](#) Przesłuchanie Göritz, 18 grudnia 1964, BStU, ZUV 1.

[413](#) Kiedy rozmawiałam z Samojłową, nie znałam jeszcze jej „wyznania” dla Stasi z przyznaniem się do bycia szpiclem. Skontaktowałam się z Walentyną ponownie i poprosiłam o odpowiedź. Walentyna powtórzyła, że pamięta przesłuchanie dla Stasi, ale nigdy nie powiedziała nic przeciwko Małyginie; a ponieważ nie zna niemieckiego, nie mogła sprawdzić, co zostało wówczas zapisane.

[414](#) List z 1956 roku, dokumenty Nikiforowej. Sama Tatiana Pignatti była podejrzewana przez kilka towarzyszek, włącznie z Antoniną Nikiforową, o pracę po wojnie „dla organów” (tj. dla Smiersza). Antonina powiedziała Stelli Kugelman-Nikiforowej, że Pignatti należała do tych, które denuncjowały ludzi. „Musisz uważać z Pignatti – powiedziała Stella, kiedy spotkałyśmy się w Petersburgu. – W obozie zachowywała się w porządku, ale potem się odmieniła. Może była prześladowana i zachorowała. Kto wie”.

## Rozdział 20

### Czarny transport

Tą „oszałamiającą” kobietą, która późnym latem 1943 roku pojawiła się w Ravensbrück w odwiedzinach u norweskiej więźniarki Sylvii Salvesen, była norweska studentka Wanda Hjort. Blondynka o niebieskich oczach, dwudziestojednoletnia Wanda od prawie roku odwiedzała norweskich więźniów w męskim obozie w Sachsenhausen koło Berlina. Tamtejsi więźniowie znali ją jako „dziewczynę od placka z ziemniaków”, ponieważ przywoziła im w plecaku ciasto przygotowywane przez swoją matkę<sup>415</sup>.

Wizja cudzoziemki, szczególnie z wrogiego państwa, stojącej pod bramą obozu koncentracyjnego, żeby odwiedzać więźniów, wydaje się niewiarygodna. Żaden niemiecki cywil nie ośmielił się choćby przejść w pobliżu, Międzynarodowemu Komitetowi Czerwonego Krzyża zakazano wstępu. Jedynymi odwiedzającymi byli niemieccy dygnitarze, a nawet im nie pozwalano wykraczać poza blok pokazowy. Rzecz robi się jeszcze bardziej nadzwyczajna, ponieważ sama Wanda była więźniarką nazistów: mieszkała w Niemczech z rodziną objętą rzadką formą aresztu domowego.

Niezwykły status Wandy był skutkiem aresztowania w Norwegii trzy lata wcześniej jej ojca. Gdy siły niemieckie najechały, a potem okupowały kraj od kwietnia 1940 roku, Johan Hjort, wpływowy norweski prawnik, podważył prawne podstawy okupacji. W tym czasie tysiące norweskich członków ruchu oporu wyłapywano i wysyłano do obozów koncentracyjnych, ale Hjort został wtrącony do niemieckiego więzienia, z którego wkrótce wyszedł; umieszczono go jednak w areszcie domowym.

Hjort miał potężnych krewnych w Niemczech. Do najbardziej wpływowych należał jego szwagier Rudiger von der Goltz, prawnik Josepha Goebbelsa. Kiedy Hjort znalazł się w więzieniu, jego szwagier zawarł układ: Johann Hjort będzie mógł żyć w areszcie domowym, pod warunkiem że jego rodzina będzie

przy nim. Pomysł niemal na pewno wyszedł od samego Himmlera. W czasie swych studiów nad starożytnymi zwyczajami germańskimi Reichsführer odkrył praktykę *Sippenhaft*, w ramach której plemiona germańskie kazały odpowiadać wszystkim członkom klanu za zbrodnię popełnioną przez jednego z nich<sup>416</sup>.

Wanda, charyzmatyczna i wyjątkowo uparta, wściekła się na wieść, że ma zostać uwięziona – chociaż jedynie w areszcie domowym – w nazistowskich Niemczech. W momencie aresztowania ojca już współpracowała z ruchem oporu i odwiedzała Norwegów przetrzymywanych w nazistowskim obozie w Grini, w górach niedaleko Oslo. Z początku odmówiła wyjazdu do Niemiec, ale niepokój o ojca kazał jej zmienić zdanie; wraz z matką, młodszym bratem i siostrą Wanda zamieszkała w małej posiadłości pod Poczdamem zwanej Gross Kreuz. Już w Niemczech starała się znaleźć sposoby kontynuowania pracy z więźniami, zaczęła więc wyszukiwać Norwegów więzionych w obozach koncentracyjnych.

Pomimo aresztu domowego i nadzoru Gestapo Hjortowie dysponowali pewną swobodą. Dopóki Wanda za bardzo się nie oddalała, mogła korzystać z podmiejskich pociągów. Pewnego piątkowego poranka w towarzystwie młodszego brata, też błękitnookiego blondyna, wyruszyła do najbliższego obozu, w Sachsenhausen. Przy bramie, uwolniwszy jasne loki spod szala, podeszła do strażnika i swą najlepszą szkolną niemieczyzną oznajmiła, że chce zostawić paczki dla norweskich więźniów.

„Strażnik był równie młody jak ja. Popatrzył na mnie podejrzliwie i poprosił o wypełnienie formularza; stwierdził, że musi zapytać przełożonego, ale potem uśmiechnął się do mnie. Też się uśmiechnęłam w odpowiedzi”. Strażnik zapytał Wandę, skąd jest, a ona powiedziała, że z Gross Kreuz, co on zrozumiał jako Rote Kreuz, czyli Czerwony Krzyż. Ponieważ nie znał żadnej zasady, która by tego zabraniała, strażnik pozwolił jej zostawić paczki. Wanda spytała, czy może za tydzień odebrać pudełka, a strażnik się zgodził, ponieważ tego również nie zakazywał żaden przepis. Od tej pory co piątek Wanda Hjort pojawiała się przy bramie Sachsenhausen.

Przy każdej wizycie widziała maltretowanie zastraszonych szkieletów. Ewidentnie mężczyźni głodowali. Jeśli można zrobić dla nich tylko jedną rzecz, uznała, to zadbać, żeby otrzymywali porządne paczki żywnościowe od Czerwonego Krzyża.

Naziści niedawno udzielili Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi pozornej zgody w kwestii paczek dla więźniów obozów koncentracyjnych. Himmler zgodził się na początku 1943 roku, że paczki Czerwonego Krzyża mogą być, teoretycznie, przekazywane pewnym kategoriom więźniów. Międzynarodowy Czerwony Krzyż uruchomił nawet „służbę paczkową”, podobnie jak narodowe stowarzyszenia: szwedzkie, norweskie i duńskie. Jednak według przepisów SS przesyłki musiały mieć nazwisko odbiorcy, jego numer i nazwę obozu, w innym przypadku ich nie wydawano. Co więcej, odbiorca musiał podpisać pokwitowanie. W niewielkiej liczbie przypadków Czerwony Krzyż miał te dane – być może przekazane przez rodziny – ale tylko SS wiedziało, kto w jakim obozie przebywa, a prośby o takie informacje zawsze odrzucał Ernst Grawitz, szef nazistowskiego Niemieckiego Czerwonego Krzyża. To sprawiało, że „służba paczkowa” niemal od samego początku nie mogła działać.

Wanda Hjort jednak znalazła na to sposób. Postanowiła wyszukać jak najwięcej norweskich więźniów, aby stworzyć bazę nazwisk i adresów. Wieści o jej odwiedzinach rozeszły się wśród Norwegów w Sachsenhausen, którzy znaleźli sposób, by przekazać jej informacje: pozostawiając dane pod kamieniami lub szepcząc do niej po norwesku, gdy szła wzdłuż drutów.

Potem Wanda zaczęła nawiązywać kontakt z rodzinami więźniów w Norwegii. Hjortom nie było wolno wysyłać listów, a wszystko cenzurowano, lecz kiedy Wanda na próbę zabrała korespondencję na pocztę koło Gross Kreuz i poprosiła o wysłanie jej do Norwegii, odkryła, że poczmistrzynie nie miały żadnych instrukcji w kwestii zakazu i listy nadała jako zwykłe przesyłki. Wkrótce nadeszła fala odpowiedzi, nie tylko od rodzin, z którymi się skontaktowała, ale też od innych, które słyszały o jej pracy i rozpaczliwie pragnęły wiadomości o zaginionych bliskich; ich nazwiska zostały dodane do bazy.

Wanda poszukiwała także innych Skandynawów działających potajemnie w Niemczech, włącznie z grupą norweskich pastorów, którzy pracowali wśród norweskich marynarzy w hamburskim porcie. Podała im zebrane nazwiska i numery, a oni przekazali je Norweskiemu Czerwonemu Krzyżowi, który mógł teraz wysyłać więźniom paczki.

Przez cały czas przez swe kontakty w Sachsenhausen Wanda dowiadywała się o innych obozach, nieznanych poza Niemcami, dokąd wysyłano obywateli norweskich. Pojawiała się nazwa Ravensbrück, ale obóz kobiecy nie leżał



obok linii podmiejskich, a na początku 1943 roku tory wokół Berlina były często bombardowane, więc dotarcie tam okazało się niełatwe.

Latem 1943 roku Wanda dostała list z Norwegii z prośbą o skontaktowanie się z „ciocią Sylvią”. List podpisał „wujek Harald”. Przesyłka została ocenzurowana. Na początku Hjort nie miała pewności, kim jest wujek Harald, ale po rozmowie z rodzicami stało się jasne, że to norweski lekarz Harald Salvesen, którego żona, Sylvia, przebywała w Ravensbrück. Pokrewieństwo było dalekie, ponieważ brat profesora poślubił jedną z wielu ciotek Wandy, a ona sama nigdy nie spotkała ani Sylvii, ani wujka Haralda.

Teraz miała nowy powód, aby dostać się do Ravensbrück i przekazać paczkę Sylvii. Linie kolejową uruchomiono na nowo. Podróż jednak nadal była ryzykowna i długa, ale Wanda dotarła do stacji w Fürstenbergu. Do Ravensbrück poszła pieszo, padał śnieg, od Haweli wiał lodowaty wiatr. Przy bramie zastała znajomy już widok: zgarbione postacie i pasiaki, gołe stopy w drewniakach. Wanda była szczególnie wstrząśnięta, ponieważ wiedziała, że patrzy na kobiety. Niektóre ciągnęły ogromne walce, podczas gdy dozorkownicy trzaskały z batów. Inne więźniarki pracowały w polu.

Wanda podeszła do strażnika w bramie, ale to nie było Sachsenhausen: żołnierz się nie uśmiechał i chociaż przyjął paczkę dla Sylvii, szybko odesłał Wandę. Musiała wrócić i był tylko jeden sposób: zwrócić się do swojego „opiekuna” z Gestapo i powiedzieć, że chciałaby odwiedzić ciotkę. Wiedziała, że najprawdopodobniej wniosek zostanie przekazany samemu Himmlerowi, co niosło ze sobą ryzyko: nie tylko czekała ją zapewne odmowa, ale też prośba mogła zwrócić uwagę na całą jej tajną działalność. Z drugiej strony Wanda zamierzała skorzystać z każdej drogi, byle dostać się do kobiecego obozu, choćby przez samego Reichsführera.

Już wcześniej prosiła Himmlera o przysługę. Niedługo po przyjeździe do Niemiec czuła się tak nieszczęśliwa, że napisała bezpośrednio do niego z prośbą o zgodę na powrót do ojczyzny. Otrzymała grzecznie sformułowaną odpowiedź, że mogłaby wrócić, jeśli zgodzi się całkowicie wycofać z działalności politycznej, ale Wanda nie mogła zaakceptować tego warunku i została w Niemczech. Prośbę o odwiedziny u ciotki w Ravensbrück rozpatrzono jednak pozytywnie.

*Die Salvesen, nach vorne, aber schnell* – „Salvesen, na zewnątrz, tylko szybko” – w ten sposób Sylvia dowiedziała się, że ma gościa<sup>417</sup>. Dostała

mydło, kazano jej się umyć, potem zaprowadzono do biura komendanta. Strażnik polecił jej mówić po niemiecku i nie wspominać o warunkach panujących w obozie. Przed nią stała grupa esesmanów i ładna, dobrze ubrana młoda kobieta w cywilu.

Gdy Sylvia patrzyła na esesmanów, nieufnie oczekując na komendy, kobieta zwróciła się do niej. „Patrzyłam w uśmiechnięte niebieskie oczy, a młody głos odezwał się po norwesku: «Dzień dobry, ciociu Sylvio»”, na co strażnicy rzucili, że kobiety mają mówić po niemiecku.

Wanda obawiała się głównie tego, że Sylvia będzie podejrzewała pułapkę i zaprzeczy, że się znają. W końcu nigdy wcześniej się nie widziały.

– Mama przesyła pozdrowienia – ciągnęła i na widok zdumionej miny Sylvii wytłumaczyła: – Mama dostała wiadomość od ciotki Ellen. Widziała się ze stryjem Haraldem i wszyscy w domu są zdrowi.

Na dźwięk tych imion Sylvia uświadomiła sobie, że Wanda musi być córką Johana Hjorta, dalekiego krewnego. Słyszała przed aresztowaniem, że Hjort przebywa w areszcie domowym w Niemczech. Widząc, że Sylvia nie pamięta jej imienia, co mogłoby wydać się dziwne niemieckim strażnikom, Wanda dodała:

– Mam na imię Wanda. Nie widziałyśmy się, ciociu Sylvio, tak dawno, że mogłaś zapomnieć jak mam na imię.

– Tak, bardzo się zmieniłaś – odparła Sylvia, która teraz rozumiała, jak ważne jest przemyślenie wiadomości o tym, co dzieje się w obozie.

Wanda pomogła jej, mówiąc:

– Mama prosiła o przekazanie, że prześlemy ci wszystko, czego potrzebujesz.

Sylvia spojrzała nerwowo na Niemców i rzekła:

– Nie wiem, czy na to pozwolą, ale przydałyby się ze dwie pizamy i trochę bielizny.

Wanda opowiedziała nieco na temat swojej sytuacji. Spytała ciotkę, czy „dobrze sypia”, a Sylvia odparła, że tak, „biorąc pod uwagę, że śpię z czterema lub pięcioma setkami innych kobiet”. Tutaj wtrącił się strażnik:

– Nic o obozie.

Próbując przekazać więcej za pomocą wzmianek i spojrzeń, Sylvia schyliła się, by poprawić drewniaki, i wyszeptowała: „Tu jest okropnie”, ale nie miała pojęcia, czy Wanda usłyszała. Gdy Sylvia wychodziła, z przerażeniem zobaczyła, że za nią stoi Ludwig Ramdohr i „pożera” Wandę oczami. „Może

wydawała mi się młodsza, bardziej niewinna i urocza niż w rzeczywistości, ale przybyła jako wysłannik ze świata, o którym już prawie zapomniałam, jak promyczek nadziei w ciemności”. Potem Wandę odprowadzili do wyjścia; zostawiła paczkę z chlebem i prawdziwym masłem. „Nigdy nic nie smakowało rozkoszniej”, wspominała Sylvia.

Wanda uzyskała od Sylvii bardzo skąpe informacje, ale nawiązała rzeczywisty kontakt z Ravensbrück i szybko dowiedziała się o tym obozie więcej niż o innych. W miarę jednak jak rosła jej wiedza, narastała też frustracja, że świat ignoruje to, co dzieje się w obozach. Tłumaczyła mi w swoim mieszkaniu w Oslo:

Nikt, kto zobaczyłby to, co ja widziałam, nie mógłby tego zignorować. Za każdym razem czułam się bardziej winna, jak mało mogę zrobić. Byłam ja, dobrze odżywiona i dobrze ubrana, i patrzyłam na to straszliwe cierpienie. Myślę, że każdy patrzący na to musiał czuć się tak samo. A ponieważ czułam się winna, ciągle tam wracałam. Do dziś dręczy mnie to, co tam widziałam. I do dziś czuję się winna.

Wszystko to uchodziło mi na sucho tylko dlatego, że byłam młoda, naiwna i nikt nie traktował mnie poważnie. Ale potem uświadomiłam sobie też, że właśnie z tego powodu spoczywa na mnie odpowiedzialność, żeby dowiedzieć się tyle, ile mogę, i opowiedzieć o tym światu.

Jesienią 1943 roku Wanda postanowiła poszukać pomocy w berlińskiej misji Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża. Pojechała pociągiem i znalazła biuro w luksusowej willi położonej na zamożnym przedmieściu Wannsee.

Zadzwoiłam do drzwi, zdenerwowana, czy będą chcieli mnie wysłuchać. Ale musiałam im powiedzieć, co widziałam na własne oczy. Czerwony Krzyż musi zainterweniować. Musiałam wszystko opowiedzieć, bo to prawda. W mojej niewinności czułam pewność, że nie mogą wiedzieć, jak tam jest okropnie, inaczej próbowaliby pomóc i sami zawiadomili świat<sup>418</sup>.

Od pierwszych dni po przejęciu władzy przez Hitlera Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża z siedzibą w Genewie niechętnie reagował na okrucieństwa rozgrywające się w nazistowskich obozach koncentracyjnych i nie nagłaśniał swoich informacji o nich. Przedstawiciele, którzy przeprowadzali inspekcje niektórych obozów przed wojną, dali się nabrać i ocenili panujące w nich warunki jako dopuszczalne; inni zdawali się

popierać szerszą działalność Hitlera. Carl-Jacob Burckhardt, jeden z najbardziej uznanych przedstawicieli komitetu, wybitny profesor historii, odwiedził pierwsze obozy, został również zaproszony na objazd po obiektach w całej Rzeszy. Po powrocie napisał osobiście do Hitlera z podziękowaniem za „wspaniałą gościnność” i przyznał, jak wielkie wrażenie wywarł na nim „radosny duch współpracy” i „towarzyska życzliwość”, jakich doświadczył. List podpisał: „Szczерze oddany, pełen szacunku i głęboko wdzięczny Carl Burckhardt”<sup>419</sup>.

Później, gdy rosła liczba dowodów na okrucieństwa, dwudziestu trzech członków komitetu – wszyscy z najstarszych i najbogatszych genewskich rodzin, filantropi i w większości protestanci – opowiadało się za „cichą dyplomacją”, która przyjęła formę pochlebnych listów do Ernsta Grawitza<sup>420</sup>.

Polityka nieingerencji trwała podczas zagazowań w ramach programu eutanazji, rosnących prześladowań Żydów, zatrzymywania aspołecznych, Cyganów i homoseksualistów i budowy kobiecego obozu koncentracyjnego.

Gdy wybuchła wojna, MKCK zajął ograniczone stanowisko: że nie jest upoważniony wspierać cywilów w obozach koncentracyjnych – czy obozach zagłady – ponieważ do niego należy wspieranie umundurowanych jeńców wojennych. Nie będzie paczek Czerwonego Krzyża dla więźniów obozów koncentracyjnych ani prób inspekcji. Wszelkie propozycje w tej kwestii Berlin odrzucał od razu.

Jednak MKCK niepodważalnie, co zostało potwierdzone na kolejnych zgromadzeniach całego Czerwonego Krzyża, miał obowiązek „protestować przeciwko okrucieństwom wojennym” i robić wszystko, co w jego mocy, aby „łagodzić mordercze zapędy”. Innymi słowy, nawet tam, gdzie komitet nie mógł działać, był prawnie upoważniony, aby przynajmniej reagować słownie. I w tym zawiódł, a jest to tym bardziej szokujące, jeśli weźmie się pod uwagę jego ówczesną wiedzę na ten temat. Jako najważniejsza światowa organizacja humanitarna, mająca kontakty na każdym terytorium i we wszystkich stolicach, MKCK otrzymywał więcej dowodów na rozgrywającą się tragedię niż jakakolwiek inna organizacja.

Najbardziej przerażający materiał dowodowy zaczął napływać do komitetu od chwili uzgodnienia „ostatecznego rozwiązania” na konferencji w Wannsee w styczniu 1942 roku. Raporty Światowego Kongresu Żydów, polskiego podziemia i innych ruchów oporu, dyplomatów, uciekinierów, Kościołów,

prasy i krajowych towarzystw Czerwonego Krzyża przedstawiały drastyczny obraz ludobójstwa. Najnowsze dowody, szczególnie z Polski, były tak obciążające, że przywództwo aliantów – dotąd sceptycznie odnoszące się do twierdzeń Żydów – postanowiło wydać wspólną deklarację rozwiewającą wszelkie wątpliwości, że Hitler rozpoczął eksterminacją europejskich Żydów „z zimną krwią” i w „bestialski” sposób<sup>421</sup>. Podobna deklaracja ze strony MKCK, strażnika konwencji genewskich, mogła nadać mocny, niezależny moralnie autorytet protestowi aliantów i dać odwagę innym – nawet w Niemczech – aby przemówili.

Podczas posiedzenia kryzysowego w listopadzie 1942 roku komitet genewski miał historyczną szansę ogłosić taką deklarację<sup>422</sup>. Dyskutowany miał być wniosek, by wydać bezprecedensowy publiczny apel, ujawnić światu informacje i wezwać do zaprzestania zbrodni. Rzecznicy deklaracji argumentowali, że łamane są w tym przypadku najbardziej fundamentalne prawa człowieka. Margaret Frick-Cramer, prawnik, pierwsza kobieta w Komitecie, oświadczyła, że milczenie byłoby tchórzostwem. Inni jednak powtarzali argumenty, które od początku paraliżowały Komitet Czerwonego Krzyża.

Carl Burckhardt, który w 1936 roku pisał pochlebco do Hitlera, a teraz był *de facto* przewodniczącym komitetu z powodu choroby przewodniczącego Maxa Hubera, dowodził, że „zakulisowymi działaniami” i „rozsądnymi listami” można osiągnąć więcej niż publicznymi apelami. Po długiej dyskusji komitet odrzucił propozycję publicznego apelu. Za apelem opowiadała się tylko Margaret Frick-Cramer, która oświadczyła, że milczeniem komitet „odrzuca moralne i duchowe wartości, na których został założony”. Ostrzegła, że uchylenie się od działań w tym momencie będzie „aktem niekorzystnym” i zagrozi istnieniu samego MKCK.

Mimo tego komitet zdecydował się na milczącą politykę, o czym dowiadywał się każdy, kto od tej chwili zaapelował do organizacji.

Kiedy Wanda – nieproszony gość – zapukała pierwszy raz do eleganckiej wili MKCK w Wannsee, była zdeterminowana, żeby wysłuchano tego, co miała do powiedzenia, i była pewna, że gdy przedstawiciele dowiedzą się o wszystkim, natychmiast podejmą działania, aby zatrzymać horror. Ktoś poprosił ją, żeby usiadła i zaczęła, a w końcu skierowano ją szerokimi schodami do dużego pomieszczenia.

Wszyscy, którzy tam siedzieli – sami mężczyźni w ciemnych garniturach – gapili się na mnie. Powiedziałam, że jestem z Norwegii i nawiązałam kontakt z więźniami w obozach koncentracyjnych. Zauważyłam, że są całkiem młodzi. Wydawało się, że słuchają uważnie. Kiedy skończyłam mówić, na chwilę zapadła cisza.

Cisza oznaczała prawdopodobnie, że mężczyznom w garniturach zabrakło słów. Nawet najstarszemu z nich, delegatowi Rolandowi Martiemu, nie udało się dostać do żadnego obozu koncentracyjnego, nie mówiąc już o przekazaniu żywności – czego dokonała ta młoda kobieta. A o kilku miejscach, o których opowiedziała im Wanda, nigdy nie słyszeli. Dowiedziała się nawet o obozie Natzweiler w Alzacji, tak tajnym, że o jego istnieniu nie wspominały nazistowskie dokumenty, a ona dostała o nim informację od więźniów z Sachsenhausen. Natzweiler był obozem typu NN – *Nacht und Nebel*, „noc i mgła” – co oznaczało, że kierowani tam więźniowie mieli zniknąć<sup>423</sup>.

W końcu odezwał się Roland Marti. „Powiedział mi, że wiedzą o problemach w obozach i są w kontakcie z norweskim przedstawicielem w Genewie. Powiedział, że są zainteresowani moimi informacjami, ale nie mogą ich upublicznić i nie chcą wiedzieć, jak udało mi się je zdobyć”.

Tego samego lata do genewskiego biura Czerwonego Krzyża dotarł apel jeszcze bardziej przejmujący niż opowieść Wandy Hjort, również od młodej kobiety. Ten apel został spisany za murem obozu Ravensbrück i potajemnie przemycony na zewnątrz.

Mijało właśnie osiem miesięcy od chwili, kiedy Krysia Czyż i pozostałe „króliki” zapoczątkowały własną kampanię, aby poinformować świat o zbrodniach dokonywanych w Ravensbrück, a od tego czasu metody robiły się coraz bardziej wyszukane. „Króliki” wiedziały, że informacje docierają do ich rodzin w Lublinie, ponieważ odbierały tajne ustalone sygnały zwrotne – niebieska wstążka lub zadrapanie na puszcze – ale nie miały pewności, że istnieje możliwość przekazania wiadomości dalej, na co miały nadzieję, do Londynu i Genewy, które mogły wszcząć alarm.

Jeszcze długo po wojnie trudno było ustalić, ile dokładnie informacji wywiadowczych, przekazywanych przez polski ruch oporu do Londynu na temat wszystkich obozów koncentracyjnych, dotarło do celu. Kiedy w 1945 roku władzę w Polsce objęli komuniści, większość materiałów podziemia z czasu wojny zniszczono, a tysiące polskich bojowników ruchu oporu trafiły

do więzień.

Mimo to udało się ocalić depesze z czasu wojny dzięki decyzji o zachowaniu dokumentacji polskiego podziemia w Londynie; akta do dziś przechowywane są w Studium Polski Podziemnej z siedzibą w segmencie na londyńskim przedmieściu Ealing. Wśród niezliczonych dokumentów znajduje się teczka zawierające zaszyfrowane depesze przesyłane do Londynu przez Szwecję. W tej teczce znajduje się wiadomość datowana na lipiec 1943 roku, zawierająca szczegóły eksperymentów medycznych przeprowadzanych w Ravensbrück.

Najważniejszym zachowanym dokumentem jest zaszyfrowany telegram, lakoniczne podsumowanie długich listów Krysi w siedmiu liniach. Matka Krysi, major AK, najwyraźniej przekazała informacje z listów córki swym przełożonym w Warszawie. Stamtąd szczegóły trafiły do polskiej komórki w Szwecji, skąd telegrafista wystukał wiadomość do Londynu. Tekst depeszy brzmi: „W obozie koncentracyjnym dla kobiet w Ravensbrück od lipca 1942 do lipca 1943 roku niemieccy lekarze pod kierunkiem profesora Gebhardta przeprowadzali przymusowe eksperymenty na Polkach, w postaci chirurgicznych operacji na nogach, mięśniach i kościach oraz zakazania ran gruźlicą, tężcem i zgorzelą gazową”<sup>424</sup>. Telegram podawał liczbę ofiar, 75, z czego pięć już zmarło.

Ta wyblakła, cienka kartka jest świadectwem odwagi lubelskich studentek, które przemyciły do świata zewnętrznego informacje o najbardziej szokujących niemieckich zbrodniach medycznych z czasu wojny i ujawniły je zaledwie kilka tygodni po wydarzeniach. Telegram – prawdopodobnie nie pierwszy, który zawierał informacje od „królików” – podawał nawet nazwisko odpowiedzialnego za okrucieństwa nazisty – Karla Gebhardta.

Jednak powiązana korespondencja pokazuje, jak „świat”, na którego pomoc liczyły, po prostu je zignorował. Przerażeni „okrutnymi” i „niewyobrażalnymi” praktykami w Ravensbrück przedstawiciele rządu polskiego w Londynie od razu napisali do MKCK w Genewie i do Watykanu, wzywając do „interwencji przeciwko tej masakrze”. Eksperymenty „nie tylko godziły w moralność wyznawców chrześcijaństwa, ale też w etykę medyczną, która pozwala, by do celów doświadczalnych wykorzystywano jedynie zwierzęta”. Ponadto eksperymenty łamały konwencję haską z 1907 roku.

Polska korespondencja zawiera następnie odpowiedź Genewy:



Co się tyczy eksperymentów w obozie koncentracyjnym Ravensbrück, gdzie przetrzymywanych jest kilkaset Polek, ministerstwo spraw zagranicznych podjęło kroki, by nakłonić Międzynarodowy Czerwony Krzyż do zbadania sprawy i interwencji, ale nie uzyskało pozytywnych rezultatów. MKCK wytłumaczył, że władze niemieckie nie dopuszczają ich przedstawicieli do tego typu instytucji i upierają się, że obozy nie podlegają zasadom konwencji genewskiej z 1929 roku<sup>425</sup>.

Pod tym pretekstem Genewa odmówiła nie tylko interwencji w Niemczech, lecz także opublikowania posiadanych informacji, przedstawienia sprawy rządowi Sprzymierzonych lub też nowej Komisji Zbrodni Wojennych, która wówczas intensywnie gromadziła już dowody w Nowym Jorku.

Reakcja Czerwonego Krzyża szokuje podwójnie, biorąc pod uwagę, że nie tylko mieli informacje o zbrodniach, ale też nazwisko ich wykonawcy, Karla Gebhardta, człowieka, którego dobrze znali jako bliskiego znajomego Ernsta Grawitza, przewodniczącego Niemieckiego Czerwonego Krzyża i najpotężniejszego człowieka świata medycyny w Trzeciej Rzeszy. Komitet musiał już zrozumieć, że Grawitz, ich główny rozmówca w Berlinie, który odmówił im wstępu do obozów koncentracyjnych, to ten sam człowiek, który wydał zgodę na okrutne medyczne eksperymenty opisane w polskich depeszach.

Kilka tygodni po tym, jak rewelacje Krysi dotarły do Genewy, Grawitz wydał zgodę na dalsze eksperymenty. Z początkiem lata 1943 roku Polki w Ravensbrück miały podstawy do mniemania, że eksperymenty już się zakończyły, nikt jednak nie był tego pewny, kiedy więc dziesięć „królików” otrzymało ponowne wezwanie, rzekomo do pracy w podobozie, wszystkie rozpoznały pułapkę. Koleżanki ze *Schreibstube* dały znać i kobiety odmówiły stawienia się w wyznaczonym miejscu.

Dorothea Binz pojawiła się zatem w bloku osobiście i kazała kobietom wyjść, ale one ponownie odmówiły. Każda po kolei powiedziała Binz, że wiedzą, iż chodzi o dalsze eksperymenty, i odmawiają wyjścia z bloku, nawet jeśli będzie to oznaczało egzekucję.

Według Dziuby Sokulskiej, prawniczki z Lublina, która kierowała wcześniejszym protestem i której nazwisko znalazło się na liście dziesięciu kobiet, Binz „dała słowo honoru”, że kobiety czeka wyjazd do fabryki i powinny stawić się w jej biurze, gdzie uzyskają potwierdzenie szczegółów.



„Zdecydowałyśmy się pójść, ale pod warunkiem że uciekniemy, jeśli będą próbować wziąć nas siłą”, opowiadała później Dziuba.

Kiedy stały przed biurem Binz koło rewiru, polskie koleżanki ostrzegły je, że idą po nie esesmani i strażniczki z psami. „Słyszałyśmy silniki motocykli i szczekanie psów zza muru. Zaczęłyśmy biec przez obóz jak szczute zwierzęta, żeby pokazać wszystkim więźniarkom, co się dzieje. Gdy wróciłyśmy do bloku, ukryłyśmy się między innymi”<sup>426</sup>.

Binz wezwwała posiłki. Oprócz esesmanów miała do dyspozycji grupę więźniarek policjantek, które zaciągnęły kobiety do biura pracy, „bijąc i popychając nas, po czym zaciągnęły nas do bunkra”. Nowy atak na „króliki”, sam w sobie przerażający, pogorszyła jeszcze brutalność więźniarek pracujących jako „policja”. Ze wszystkich kobiet, które objęły funkcje zaofiarowane przez SS, ta nowo utworzona grupa stała się naturalnie najbardziej znienawidzoną przez zwykłe więźniarki. Gdy „policjantki” zaciągnęły i zamknęły „króliki” w bunkrze, „zabarykadowały” pozostałe mieszkanek bloku 15., zamknęły okiennice i zostawiły je bez jedzenia i oświetlenia. Każda, która zechce odciąć się od tej dziesiątki, może być wypuszczona z dusznego bloku, zapowiedziała Binz, jednak żadna nie chciała. Nawet czeskie blokowe i sztabowe zadeklarowały pomoc. Barak był zamknięty przez cztery dni<sup>427</sup>, otoczony przez policjantki. „Policjantki te za miskę «judaszowej soczewicy» pełniły swoją funkcję gorliwie i wywiązywały się z niej znakomicie wobec władz obozowych”, napisała Stanisława Młodkowska, jedna z zamkniętych<sup>428</sup>.

W bunkrze jedna z zagrożonej dziesiątki „królików”, Bogna Bąbińska, rzuciła pomysł, aby popełnić zbiorowe samobójstwo w proteście przeciwko eksperymentom medycznym, a Dziuba ją poparła, jednak inne się sprzeciwiły i pomysł upadł. Po dwudziestu czterech godzinach w bunkrze jedną piątkę zabrano do innej celi, gdzie kolejno przesłuchiwał je lekarz SS, którego nie rozpoznały. Odgrywając dziwaczną komedię, zważywszy wcześniejsze okrucieństwa, doktor pytał kobiety, czy zgodzą się na „małą operację”. Wszystkie odmówiły, gdyż już były operowane. Esesman powiedział wtedy kobietom, że to nieprawda. Nawet gdy pokazały mu blizny, nie przyjął tego do wiadomości; twierdził, że blizny nie są skutkiem operacji.

Przyszło pięciu kolejnych esesmanów i lekarzy, obezwładniło Polki i przytrzymywało je, gdy kopały i krzyczały, po czym zostały uciszone eterem

wylewanym im na twarze, dopóki nie usnęły. Gdy obudziły się następnego dnia, okazało się, że ich nogi, brudne i czarne od kurzu, zostały ponownie zmasakrowane, gdy one leżały na pryczach w celi. Wszystkie przeniesiono do rewiru i zamknięto na oddziale. Szczególnie okaleczona była Helena Piasecka; w szpik kostny wstrzyknięto jej płyn, przez co noga wyglądała jak zmiądzona. Gdy kilka tygodni później Helena próbowała chodzić, piszczel się złamała<sup>429</sup>.

Zbliżała się zima i ponownie nadchodziło zabijanie. Mimo że wcześniej w tym roku wydano rozkazy, żeby zabijać jedynie „szalonych”, nadeszły nowe instrukcje, by oszczędzać na żywności „darmozjadów”, szczególnie tych, którzy nie przetrwają zimy. W Ravensbrück szła zabijania ujawnił się najpierw w rewirze, gdzie znów powszechne stały się śmiertelne zastrzyki na polecenie Treitego, co zaobserwowała Sylvia Salvesen, gdy zachorowała jej przyjaciółka Emma Brundson, pielęgniarka Norweskiego Czerwonego Krzyża. Cierpiała na marskość wątroby; Treite wprawdzie okazywał jej współczucie i próbował nawet operacji, żeby ją uratować.

Sylvia, wciąż pełna nadziei, że przyjaciółka przeżyje, została pewnego dnia wezwana do *Stübchen* i znalazła Emmę „bezwładną w łóżku, jakby ktoś ją brutalnie pobił”. Była „martwa, choć jeszcze ciepła”<sup>430</sup>. Sylvia podwinęła Emmie rękaw i zauważyła ślad po zastrzyku, z którego wypływały krew i śluz. Pielęgniarka więźniarka powiedziała jej, że widziała jedną z pielęgniarek, jak wychodziła ze *Stübchen* ze strzykawką do zastrzyków podskórnych.

Treite wezwał Sylvię. „Emma nie żyje, Salvesen – powiedział. – Tak jest lepiej, czyż nie?” Sylvia naliczyła dwanaście kobiet zamordowanych tego dnia zastrzykami w *Stübchen*. „Emma była trzynasta”<sup>431</sup>.

Pod koniec roku liczba zmarłych wzrastała nie tylko w szpitalu, ale też w całym obozie<sup>432</sup>. W piaskarni kobieta, która nie mogła dłużej pracować, była zabijana na miejscu strzałem. Szalała gruźlica; dotknęła wiele pracownic szwalni, ale szczególnie szybko rozprzestrzeniła się w obozie Siemens. Więźniarki opowiadały, że pięć par noszy, które znajdowały się u Siemens do transportowania chorych z fabryki do obozu macierzystego, nie wystarczało<sup>433</sup>. Richarda Mertinkata, nowego cywilnego kierownika, zszokował „żałosny” i „opłakany” stan zdrowia kobiet. „Siemens powinien interweniować, domagając się lepszego wyżywienia i porządných baraków dla kobiet. Ale ci dobrzy panowie z Siemens nie zawracali sobie głowy liczeniem

zmarłych”<sup>434</sup>.

Rita Sprengel, sekretarka w *Spulerei*, wspominała: „Wiele kobiet skreślono z list jako nieuleczalne. Wiele zmarło, zanim wykreślono je z list – zwykle na gruźlicę”<sup>435</sup>. Zgodnie z kontraktem z Siemensem każdą kobietę skreśloną z listy musiała zastąpić zdrowa, ale tych nie było za dużo, a panowało już takie przepełnienie, że nawet kiedy przyjeżdżały nowe transporty robotnic, nie było dla nich miejsca.

Od września 1943 roku znowu zaczęły przyjeżdżać Żydówki. Niektóre były „mieszaniami” skierowanymi z Auschwitz do pracy. Inne należały do tak zwanych chronionych Żydów – z niemieckich krajów sojusznicznych lub neutralnych, które sprzeciwiały się gazowaniu swoich obywateli. Na początku stycznia spodziewano się dużej ich liczby z Francji. Potrzeba powiększenia przestrzeni stawała się coraz bardziej nagląca, więc SS powzięło radykalne kroki, aby pozbyć się „darmozjadów”.

Treite ogłosił, że nie będą wydawane bandaże dla starszych kobiet z poranionymi nogami ani leki dla chorych na gruźlicę. Kobiety od dawna przebywające w obozie, pamiętające transporty z początku 1942 roku, odczytały sygnały i wiedziały, że prawie na pewno planowane są zorganizowane morderstwa „przez puszczenie większej grupy z dymem”.

Od likwidacji bezużytecznych więźniarek przez zagazowanie w 1942 roku trwały „czarne transporty”, czyli *Himmelfahrt* („do nieba”), w ramach których od czasu do czasu ciężarówki zabierały małą grupę tak zwanych wariatek lub inne „bezużyteczne” więźniarki, prawdopodobnie do Auschwitz.

Blokowa dziesiątki, Carmen Mory, wiedziała już od grudnia 1943 roku, że planowany jest kolejny, dużo większy czarny transport, i słyszała, że również skierowany zostanie do Auschwitz. Mory często miała dobre informacje, być może jako stronniczka Treitego, ale bardziej prawdopodobnie dlatego, że ostatnio została szpiegiem Ramdohra.

Kobiety w podobozach również wiedziały o tych planach. W rewirze w Neubrandenburgu więźniarki całkiem otwarcie selekcjonowano na śmierć, a w styczniu 1944 roku Micheline Maurel prawie udało się uciec. Po osiemnastu miesiącach w Neubrandenburgu podupadła na zdrowiu i skierowano ją do małego lazaretu obozowego, ponieważ miała wysoką gorączkę i ropiejące rany. Odczuła ulgę, gdy nie musiała wychodzić na śnieg i wkrótce zaprzyjaźniła się z innymi kobietami w izbie chorych.

Na sąsiednim łóżku leżała młoda Polka, Irenka; dochodziła do siebie po durze brzuszny, po którym została jej sparaliżowana noga. Znajdowała się tu też grupa Rosjanek, które błąkały się od pryczy do pryczy, wymieniając przepisami, po czym dostawały ataków kaszlu i pluły krwią do słoików. Lekarka Armii Czerwonej, więźniarka, dokuczała Micheline z powodu jej „kapitalistycznych butów” (miały wyższe obcaszki)<sup>436</sup>. I nawet te, które nie rozumiały po francusku, słuchały wierszy Micheline, spisanych na kawałkach papieru dostarczonych przez zaprzyjaźnioną blokową, przebywającą tu już od tak dawna, że miała numer w okolicach 3000.

W połowie stycznia Micheline zobaczyła, że do rewiru wchodzi główna nadzorczyńca Neubrandenburga z lekarką więźniarką oraz blokową. „Ta wskazywała chore kobiety mówiąc: «Ta, i ta, i ta». Popatrzyła na moje rany, odwróciła się z obrzydzeniem, ale pokazała na pryczę Irenki, mówiąc: «I ta», po czym wyszła”.

Blokowa wytłumaczyła wskazanym, że zostaną wysłane do obozu rekonwalescencyjnego. „Nie będziecie już musiały pracować”. Tej nocy przyjechała ciężarówka z plandeką. „Załadowano do niej małe rosyjskie gruźliczki, kulawą Irenkę i sporo innych. Brezent został przymocowany i ciężarówka odjechała, ślizgając się lekko na śniegu”. Potem blokowa usiadła na pryczy Micheline i zaczęła płakać. „Irenka. Biedna Irenka”. Micheline zapytała, czemu się smuci, skoro Irenka pojechała w lepsze miejsce, na co blokowa spojrzała na Francuzkę „beznadziejnie, bez słowa”.

W obozie macierzystym SS również próbowało maskować to, co miało się wydarzyć. Według Carmen Mory Treite posłał po nią i powiedział, że kobiety z jej baraku, bloku gruźliczego, zostaną wysłane do domu dla rekonwalescentów, ale Mory wiedziała, że to kłamstwo i że wskazano już tysiąc osób do transportu *Himmelfahrt*, włącznie ze zdolnymi do pracy, ale również gruźliczkami, epileptyczkami, syfilityczkami i innymi chorymi, w tym wieloma „uleczalnie”<sup>437</sup>.

Wiedząc to, Carmen poszła znów porozmawiać z Treitem. „Zapytałam go, czy to prawda, że ten transport pojedzie do komór gazowych w Auschwitz. Treite odparł, że oszalałam. W Auschwitz nie ma komór gazowych, powiedział”<sup>438</sup>.

Mniej więcej w tym samym czasie Germaine Tillion, francuska etnolożka, potajemnie widziała, jak doktor Treite osobiście wybrał małe dziecko na

śmierć. Germaine leżała w sali dla chorych zakaźnie, zdrowiejąc po dyfteryście, kiedy ku jej zaskoczeniu pojawił się Treite. Esesmani rzadko wchodzili na oddział, bojąc się zarażenia, ale Treite się nie bał i zbliżył się do kojca, w którym leżało dwuletnie żydowskie dziecko. Chłopiec, Duńczyk, prawdopodobnie rozdzielony z rodzicami, przybył z ostatnim transportem; dbała o niego jedna z pomocnic Zdenki. Treite delikatnie uniósł malucha, żeby go zbadać. Myślał, że nikt go nie obserwuje, „okazał więc chłopcu czułość i nawet dał mu jabłko”, ale następnego dnia dziecko zniknęło i Germaine później dowiedziała się, że Treite tego samego dnia wpisał jego nazwisko na listę transportu do Auschwitz<sup>439</sup>.

W obozie macierzystym wkrótce już wszyscy wiedzieli, że transport kierował się do Auschwitz, kiedy więc rozeszły się wieści, że posiadaczki różowych kart, bez względu na wiek, zostaną wyselekcjonowane, wybuchła panika i więźniarki, które błagały o różowe karty, teraz krzyczały, że chcą je oddać.

„Króliki” były tak pewne przeznaczenia transportu, że ponownie postanowiły przekazać światu wiadomość. Tym razem ich informacje zostały przeszmugłowane na zewnątrz, zanim jeszcze opisywane zbrodnie zostały popełnione. 28 stycznia Krysia napisała do domu: „[...] znowu przygotowują transport chorych, prawdopodobnie do komory gazowej”. Po raz kolejny prosiły o przekazanie informacji dalej, by mogły zostać nadane przez radio.

„Lista jest już zamknięta, 1000 osób”. Czyż podała nawet kategorie więźniarek przeznaczonych do zabicia, w tym badaczek Pisma Świętego, żydowskich dzieci, chorych wenerycznie i dużej liczby pracujących, włącznie z wyczerpanymi. Na liście znalazły się wszystkie narodowości, w tym Francuzki, Rosjanki i Polki. „Wyreklamowanie od transportu jest niemożliwością”, podkreśliła Krysia, chociaż wiele próbowało<sup>440</sup>.

W ostatnich dniach przedstawicielki poszczególnych narodowości próbowały ratować się na własną rękę. Sylvia Salvesen prosiła sekretarkę Treitego, żeby skreśliła z listy wszystkie Norweżki albo nakleiła na ich nazwiskach kartkę i wpisała na niej inne dane, ale sekretarka odmówiła i kazała jej rozmawiać z samym Treitem.

Poszłam do Treitego i błagałam go, by je oszczędził. Zbył mnie, mówiąc, że nie ma z tym nic wspólnego i że to *Oberschwester* decyduje. Poszłam więc do niej, a ona zapytała mnie, jaką pracę wykonywały te trzy. Odparłam, że robiły na drutach. „Wszystkie dziewiarki jadą bez

względu na wszystko”, powiedziała i kazała mi odejść. Od tego momentu nikt nie chciał robić na drutach<sup>441</sup>.

Niemieckie komunistki sprzymierzyły się z Austriaczkami i Czeszkami i ostrzegły zaufane partyjne blokowe, co się święci. Zdołały wykreślić z list 50 komunistek z różowymi kartami. „Należało podjąć trudne decyzje, kogo ocalić i kogo wysłać w zamian”, wspominała jedna z Niemek, Hildegard Boy-Brandt<sup>442</sup>. Kiedy Niemki w rewirze poprosiły Treitego o usunięcie nazwisk, odparł, że 800 i tak musi wyjechać bez względu na wszystko, i zasugerował, by spróbowały zastąpić niektóre wytypowane „elementami społecznymi”. „To była straszliwa odpowiedzialność”, opowiadała Hilde.

Ludzie przychodzili z nazwiskami starszych kobiet albo idiotek, albo kryminalistek i prosili lekarzy o zamianę. Więc my też robiłyśmy tę ponurą rzecz i jedyne, co nas usprawiedliwia, to to, że uratowałyśmy kilka cennych istnień. Gdybyśmy tego nie zrobiły, nieszczęście byłoby dużo większe. Ale mimo to trudno opisać, jak się czułyśmy. W korytarzach rewiru rozgrywały się rozpaczliwe sceny. Wśród wyselekcjonowanych było wiele Cyganki i ich krewne przychodziły i prosiły, by wysłać je z nimi. A my myślałyśmy: na litość boską, nie możemy pozwolić na wyjazd tych zdrowych istot! Ale one błagały tak rozdzierająco: „Proszę, pozwólcie mi jechać” – puśćcie mnie z moją córką, ciotką i tak dalej. Kiedy to wszystko się skończyło, byliśmy w bardzo złym stanie.

Kończył się czas na zamknięcie list, ponieważ transport miał wyjechać pod koniec stycznia, więc Treite i Marschall pospiesznie wypełniali braki, niekiedy po prostu wyciągając kobiety z nowo przybyłych transportów. „Doktor Treite wydawał się dokonywać selekcji wbrew swej woli, ale Marschall wyraźnie się tym napawała”, relacjonowała Sylvia Salvesen. Carmen Mory obserwowała, jak Treite i więźniarka Eugenia von Skene dyskutowali, jak uzupełnić listę, na której brakowało jednej osoby, ponieważ właśnie usunęli nazwisko Czeszki. „Więc Treite powiedział: «Wpiszmy jedną ze starych kryminalistek» i poszedł do kartoteki, wyciągnął kartę, przeczytał historię choroby syfilitycznej Niemki i stwierdził: «Ta będzie dobra»”.

Na Lagerstrasse rozgrywały się straszne sceny. Germaine Tillion wspominała: „Pewnego dnia kobieta, którą nazywałyśmy Wercyngetoryksem [od galijskiego wodza], została wybrana, kiedy stała tuż obok mnie”<sup>443</sup>. Następnego dnia Germaine wyjrzała przez okno bloku 27. i zobaczyła, że strażnik wyprowadza z bloku 28. walczącą z nim kobietę. „Trzymała ręce nad



głową, jak postać na greckiej wazie”. Przyjaciółka Germaine, Anise Girard, widziała, jak policjantki wywlekają z obozu bardzo młodą Rosjankę, „dosłownie rozdartą z rozpaczy”. Inną Rosjankę, Marinę Smielanską, koleżanki widziały, jak biegnie w stronę baraków czerwonoarmistek, krzycząc, że wybrano ją do czarnego transportu. Olga Gołowina wspomina, że wciągnęła Marinę do bloku i zafarbowała jej włosy sokiem z marchwi, „żeby mniej wyglądała na Żydówkę”, powiedziała Olga. „Potem ukryłyśmy ją w bloku na stryszku. Nocą przysłała i spała między mną i Katią Goriewą. Tuż przed świtem wróciła na stryszek”<sup>444</sup>.

W rewirze lekarki Armii Czerwonej uzyskały wiadomość, że w ostatniej chwili na listę trafiło dziesięć radzieckich nazwisk, w tym Zoi Sawieliewej. Teraz to Zoja biegła do bloku, krzycząc, a gdy Jewgienia Klemm dowiedziała się, że na liście są inne czerwonoarmistki, postanowiła działać. Zebrała kobiety z bloku radzieckiego i zaczął się protest przeciwko selekcji.

„Najpierw ustawiliśmy się w szeregu przed blokiem i poszliśmy na przód obozu. Niosłyśmy ze sobą nasze chore i szłyśmy razem – opowiadała Olga Gołowina. – Krzyczałyśmy: «Nie chcemy, żeby nasze chore poszły do transportu!»”. Niektórzy twierdzili, że czerwonoarmistki zagnano z powrotem do bloku, gdzie się zabarykadowały. „Wszystkie stałyśmy tam, ramię w ramię, a wywołane numery nie ruszały się z miejsca”, opowiadała Leonida Bojko. Esesmani z karabinami i wszystkimi dozorczykami wyważyli drzwi. „Bili nas i policzkowali”, ciągnęła Leonida:

W końcu udało im się wyciągnąć „wywołane” kobiety, a reszta zaczęła skandować, by przyszedł komendant obozu. Ten w końcu się pojawił i spytał, kto mówi po niemiecku. „Ja”, powiedziała Klemm. „Nie możecie nas tak traktować. Jesteśmy jeńcami wojennymi. Żadne prawo na świecie nie pozwala zabijać lub palić żywcem chorych i słabych istot ludzkich. Protestujemy przeciwko czarnemu transportowi”<sup>445</sup>.

Fritz Suhren wydawał się zaskoczony, potem kazał kobietom wyjść z baraków, „zanim zastrzelę was jak psy”. Wtedy więźniarki wyszły, ale zorganizowały trzydniową głodówkę, kontynuując swój protest. Większość z listy esesmani zabrali, ale Zoja Sawieliewa została w kryjówce na najwyższej pryczy.

Protest Rosjanek nie powstrzymał transportu, ale z pewnością doprowadził do jego opóźnienia: odjazd odłożono o osiem dni. Cel transportu zmienił się

być może również z powodu protestu, ponieważ teraz esesmani mówili więźniarkom, że transport odjedzie do Lublina, a nie do Auschwitz. „Daję wam słowo honoru oficera, że transport jedzie do Lublina”, powiedział Treite Carmen Mory. W Lublinie kobietami „zajmie się Polski Czerwony Krzyż”<sup>446</sup>.

Na Lagerstrasse na Suhrena naskoczyła Niemka i powiedziała mu, że straciła na froncie sześciu synów, „a teraz chcecie mnie zagazować”. Suhren dał jej „słowo honoru”, że wyjeżdżające kobiety trafią do lepszego miejsca w Lublinie, a w ich miejsce przybędą młodsze pracownice. „Będzie pani mogła nawet napisać do rodziny i poinformować, dokąd pani jedzie”, powiedział. Ani Treite, ani Suhren nie mówili, że tym lepszym miejscem był obóz koncentracyjny Majdanek na przedmieściach Lublina, w styczniu 1944 roku nadal funkcjonujący jako obóz zagłady.

3 lutego 1944 roku około 900 wyselekcjonowanych kobiet wreszcie zgromadzono na placu apelowym. Większość nie miała pojęcia, że wybrano je do czarnego transportu, ani nie znała przyczyn. Francuska nauczycielka z Bretanii, Yvonne Le Tac, została wybrana tego ranka z drużyny roboczej – wypełniającej sienniki słomą – i kazano jej iść na stację<sup>447</sup>. Yvonne nigdy nie dowiedziała się dlaczego, ale prawdopodobnie chodziło o jej siwe włosy; miała 62 lata. Kobiety niebędące w stanie chodzić przeniesiono na noszach. Rita Sprengel wspomina, że kilka pracownic Siemensu „wysłano do Lublina z transportem chorych”<sup>448</sup>.

Niektóre kobiety zemdlały w drodze na dworzec. Dwie więźniarki pomagały je przenieść, a kiedy wróciły, opowiedziały, że kobiety zapakowano po 60 na bydłęcy wagon, bez jedzenia, wiadra ani innej formy toalety. Wagony zostały zaplombowane, a pociągi odjechały w śnieżycę do Majdanka.

Tydzień później raport Krysi o transporcie został dostarczony pocztą jej rodzinie. Z tego, co napisała, wynika, że więźniarki z obozu nie były pewne, czy celem był naprawdę Lublin, ani też nie wydaje się, żeby Krysia wiedziała już o Majdanku. Oto jej raport:

Dn. 3 II 44 odszedł międzynarodowy transport 945 osób starych, chorych i niezdolnych do pracy rzekomo do Lublina (sprawdzić). Żydówki, dzieci i idiotki nie zostały dołączone. Polek było ponad 110 (kilku nazwisk nam brak), 1 z naszego transportu, 8 z transportu warszawskiego. Dołączono kilka Rosjank (plennowojenne), w tym 2 były inwalidami wojennymi. Na próbę protestu Armii Czerwonej zagrożono im zdziesiątkowaniem [...]. Wiele było zdrowych i zdolnych do pracy – wzięto je tylko ze względu na wiek (ponad 65 lat). Olbrzymia większość gruźliczek także do uleczenia. Znikomą część Polek udało się skreślić z listy. [...] Odjechały po 30 w wagonach



towarowych, dostały na 3 dni żywność, 2 wiadra kawy i 2 beły słomy. Kilka najciężej chorych zostało. Część chorych niesiono na noszach, wiemy o 40 wypadkach zemdleń na stacji<sup>449</sup>.

Krysia wymieniła jedną z Polek z transportu, Rozalię Kiryło (nr 7702), która przed wyjazdem poprosiła o przekazanie wiadomości jej rodzinie w Lublinie. Krysia dała adres Rozalii i dodała: „Była ona poważnie, ale uleczalnie chora”.

W ciągu kilku następných tygodni do Ravensbrück dotarły informacje o losie odesłanych kobiet. Niedługo potem wróciło dwóch strażników, którzy odwozili więźniarki i poinformowali, że podróż trwała przynajmniej trzy dni, a pociąg musiał się kilka razy zatrzymywać z powodu śnieży. Kiedy na Majdanku otwarto wagony, okazało się, że wiele kobiet zmarło, niektóre zamarły na podłodze wagonu. Nie wiadomo, ile więźniarek nie przeżyło podróży ani ile zostało przy życiu.

Później dotarły kolejne wiadomości, niektóre od kobiet, które przeżyły transport i zostały odesłane z powrotem do Ravensbrück. Pewna więźniarka dowiedziała się od jednej z nich, co stało się z jej matką. Opowiadała:

Najgorsza ze wszystkiego dla mojej matki i innych kobiet była podróż. Przez całą drogę śnieg wpadał do wagonów. Kiedy pociąg musiał się zatrzymać, kobiety szły pieszo w głębokim śniegu. Nie miały nic do jedzenia. Po długim i wyczerpującym marszu dotarły do Lublina. Moja matka była u kresu sił. Zabili ją od razu zastrzykiem<sup>450</sup>.

Nadchodziły kolejne raporty informujące, że po kilku tygodniach na Majdanku więźniarki, które przeżyły podróż pociągiem, zostały przewiezione do Auschwitz, gdzie większość znikła, prawdopodobnie zagazowana. Niewielka grupa, oceniona jako dostatecznie sprawna do pracy, ocalała i pracowała w Auschwitz; jedna lub dwie z tej grupy także wróciły, zatoczywszy pełne koło, do Ravensbrück. Kobiety te potwierdziły, że większość ich towarzyszek z pociągu do Majdanka została zagazowana w Auschwitz.

W tym czasie docierały różnego rodzaju informacje dotyczące transportu do Majdanka. Co tydzień z Polski ciągle przyjeżdżały nowe więźniarki, głównie działaczki ruchu oporu. Kobiety te opowiadały koleżankom w obozie, że w angielskim radiu słyszały o transporcie kobiet z Ravensbrück, wysłanych pociągiem do zagazowania. Audycję nadała rozgłośnia radiowa Świt.

Wieści o powstaniu tej rozgłośni zelektryzowały cały obóz, szczególnie autorki tajnych listów. W listach do domu Kryścia Czyż błagała, aby jej informacje o „tych zbrodniach” przekazać do angielskiego radia, i oto miała dowód, że tak się właśnie stało. Ponieważ było wiadomo, że niemiecki wywiad monitoruje stacje radiowe, niektóre Polki sądziły, że audycja Świtu mogła wpłynąć na decyzję SS o opóźnieniu transportu i zmienić jego cel z Auschwitz na Majdanek, aby zmylić świat zewnętrzny.

Dokładna data audycji nie jest znana, nie udało się też odnaleźć jej zapisu. Jednak ostatnio w brytyjskich archiwach odkryto małą liczbę zapisów rozgłośni Świt zakwalifikowanych po wojnie jako tajne. Wśród nich znalazły się inne informacje dotyczące Ravensbrück, w tym audycja nadana dwa miesiące po transporcie do Majdanek. Materiał o Ravensbrück opierał się jak zwykle na informacjach przemyconych przez „króliki” i został nadany ze studia Świtu we wsi Milton Bryan w Buckinghamshire dla polskiego podziemia, nasłuchującego w sekrecie.

3 maja 1944 roku o 19.10 Świt nadał w wiadomościach dziesięć pozycji. Numer trzeci na liście brzmiał tak: „Telegram Roosevelta: «Roosevelt w telegramie do prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej oświadczył, że zdecydowana walka Polaków z najeźdźcą stanowi inspirację dla wszystkich narodów wojujących o lepszy świat»”. Pozostałe punkty dotyczyły neutralności Hiszpanii i nowych doniesień o „niszczeniu przez Niemców polskiej kultury”. Punkt numer osiem został zapowiedziany: „Wiwisekcja w Ravensbrück”:

W obozie koncentracyjnym dla kobiet w Ravensbrück Niemcy dopuścili się kolejnych zbrodni. Kobiety z tego obozu są poddawane eksperymentom medycznym i operowane jako króliki doświadczalne. Władze sporządziły listy wszystkich kobiet, które poddano tym operacjom. Istnieje obawa, że listy te przechowywane są, aby zamordować te kobiety w celu zatarcia śladów zbrodni. Obawy te potwierdza fakt, że obóz otaczają okopy i stanowiska karabinów maszynowych. Obecnie w obozie w Ravensbrück przetrzymywane są 3 tysiące Polek.

Doniesienia były kontynuowane w „Ostrzeżeniu dla zbrodniarzy”:

Za los kobiet w obozie koncentracyjnym Ravensbrück odpowiedzialni są wszyscy Niemcy: oficerowie SS i lekarze administracji obozowej. Największą odpowiedzialność spoczywa zatem na komendancie obozu, hauptsturmführerze Suhrenie; jego adiutancie obersturmführerze Bräuningu; kriminalassistentce Ramdbehrze [sic] oraz naczelniczce Binz. Wszystkich wymienionych pragniemy ostrzec, że jeśli nadal dochodzić będzie do masowych morderstw lub

eksperymentów medycznych, zostaną obciążeni odpowiedzialnością za nie – oni i ich rodziny. Ustalimy ich tożsamość i dowiemy się wszystkiego o ich rodzinach. Niech zapamiętają, że ich dni są policzone. Znajdziemy ich, choćby ukryli się pod ziemią. Żaden oplacany zbrodniarz z Ravensbrück nie umknie przed sprawiedliwością. Wywrzemy taką zemstę, że popamiętają ją przyszłe pokolenia. Zbrodnie zostaną pomszczone gorącym żelazem<sup>451</sup>.

[415](#) Wywiad autorki z Wandą Heger (z d. Hjort), Nelly Langholm i norweskiimi ocalonymi. Zob. też Heger, *Tous les Vendredis*, oraz Persson, *Escape from the Third Reich*.

[416](#) Padfield, *Himmler*.

[417](#) Salvesen, *Forgive*.

[418](#) Wywiad autorki.

[419](#) Cyt. za: Moorehead, *Dunant's Dream*.

[420](#) Favez, *The Red Cross and the Holocaust*.

[421](#) Wspólną deklarację aliantów wydaną 17 grudnia 1942 roku poparły nie tylko Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, ale też osiem rządów na uchodźstwie i francuski Komitet Wolnej Francji generała de Gaulle'a. Dyskusję zob. Gilbert, *Auschwitz and the Allies*.

[422](#) Dokładna relacja z tego posiedzenia w: Moorehead, *Dunant's Dream*.

[423](#) Wanda prawdopodobnie jako jedna z pierwszych, o ile nie pierwsza, przekazała na Zachód informację o rozkazie *Nacht und Nebel*. Wywiad autorki.

[424](#) Studium Polski Podziemnej, Notatka 3.16 z 30 lipca dotycząca depezy otrzymanej 29 lipca 1943 roku. (Informacje o Ravensbrück już wcześniej pojawiły się w meldunkach o sytuacji w okupowanej Polsce. W depezy z 20 grudnia 1942 roku, odebranej w Londynie 31 marca 1943 roku, czytamy: „Z koncentracyjnego obozu kobiet Frauenkonzentrationslager w Fürstenbergen, Meklemburg, Ravensbrück otrzymaliśmy wiadomość, że władze niemieckie poddają m.in. kobiety Polki, umieszczone w powyższym obozie, doświadczalnemu szczepieniu, które dokonywa się zwykle na zwierzętach jak króliki, myszy, świnki”, zob. *Armia Krajowa w dokumentach*, t. 2, Londyn 1973, s. 387 – przyp. tłum.).

[425](#) Studium Polski Podziemnej 3.16, notatka z 8 maja 1943 roku. Zob. też notatkę z 22 maja 1943 roku z tego samego zbioru, która informuje, że 20 marca apel do papieża wysłała również polska ambasada w Watykanie z prośbą o interwencję Jego Świątobliwości w imieniu kilkuset Polek uwięzionych w Ravensbrück.

[426](#) Sokulska, Lund. Zob. też U. Wińska, *Zwyciężyły wartości*, s. 306–309; W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 203; Dąbrowska, BAL B162/9813.

[427](#) O czterech dniach zamknięcia pisze W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 203; wspomnienia opublikowane w: U. Wińska, *Zwyciężyły wartości*, s. 306–307, mówią o trzech dniach (przyp. tłum.).

[428](#) Wspomnienia Stanisławy Młodkowskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 333 (tu też wzmianka o trzydniowym zamknięciu – przyp. tłum.).

[429](#) Sokulska, Lund.

[430](#) Salvesen, *Forgive*.

[431](#) Pracownicy rewiru zauważyły, że pacjentki Treitego umierały również z powodu błędów podczas operacji, gdyż lekarz wykorzystywał coraz mniej doświadczonych asystentek. Jedną dała operowanej jedną dziesiątą wskazanej dawki anestetyku, a inna dawkę dziesięć razy silniejszą niż właściwa. Obie pacjentki zmarły. Božena Boudová wspominała też o wzroście zużycia śmiertelnej substancji: „Widziałam doktora Treitego w aptece, napełniającego strzykawkę tym środkiem”.

[432](#) Śmiertelność była także wysoka wśród kobiet, u których przeprowadzono późne i nieudane aborcje; zapadały one na gruźlicę. Również nowo przybyłe były w daleko gorszym stanie niż wcześniej. Polka przybyła w 1943 roku była skuta podczas transportu, ale ręce miała tak chude, że „kajdanki spadły”, a drewniaki wydane w obozie okazały się „tak ciężkie, że nie mogłam podnieść nogi” (Cieplak, Lund 143).

[433](#) Sprengel, *Wie Siemens an Häftlingen verdiente*.

[434](#) Cyt. w: Strebel, *Ravensbrück*.

[435](#) Sprengel, ARA; zob. też: Strebel, *Ravensbrück*.

[436](#) Maurel, *Ravensbrück*.

[437](#) Część z najbardziej wiarygodnych relacji Mory, szczególnie dotyczących czarnych transportów, pochodzi ze szczegółowego przesłuchania przeprowadzonego przez Belgijską Komisję Badania Zbrodni Wojennych w 1946 roku; kopia w: WO 309/419.

[438](#) Tamże.

[439](#) Tillion, *Ravensbrück*.

[440](#) Wspomnienia Krystyny Czyż-Wilgatowej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 72.

[441](#) Salvesen, *Forgive*. Szczegóły selekcji i roli Treitego zob. też zeznania i protokoły procesu w: WO 235/317 i 318 oraz raport Mant, WO 309/416.

[442](#) Boy-Brandt, „Überblick über Revertätigkeit von März 1942–Ende 1945”, zbiory Buchmann.

[443](#) Tillion, *Ravensbrück*.

[444](#) Wywiad autorki.

[445](#) Cyt. za: Miednikow, *Dola biessmiertia*.

[446](#) Mory, WO 309/419.

[447](#) Zeznanie w: Fonds (zbiór) Tillion, Musée de la Résistance et de la Déportation, Besançon.

[448](#) Sprengel, ARa.

[449](#) Wspomnienia Krystyny Czyż-Wilgatowej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 73.

[450](#) Zofia Daniejel-Osojnik, raport, ARa. Anna Hand, polska więźniarka, sekretarka, twierdziła, że w transporcie do Majdanka panował taki chaos, że nikt nie wiedział, które „z ośmiuset” ostatecznie dotarły, więc dozorczyńni Laurenzen musiała pojechać do Majdanka, żeby to sprawdzić. „Z makabryczną bezwzględnością odesłała raport, że z 800 więźniarek 16 zmarło podczas transportu w bydłych wagonach. Wagony stały nieotwarte na bocznicę przez kilka dni. Kobiety nie miały koców, tylko odrobinę słomy, nie dostały jedzenia ani wody. Nie miały gdzie się załatwić”. WO 235/318.

[451](#) FO 371/39396.

## Część czwarta

## Rozdział 21

### *Vingt-sept mille*

1 lutego 1944 roku tłum kobiet zgromadzonych na peronie dworca na obrzeżach Paryża czekał na pociąg. Było zimno, ale kobiety miały na sobie wełniane płaszcze lub narciarskie kombinezony; niektóre nawet futra.

Denise Dufournier, młoda paryska prawniczka, niosła zwinięty koc zabrany z więziennej celi, związany plecionym sznurkiem. Jej przyjaciółki Suzanne Hugounencq i Christiane de Cuverville miały torby zrobione z płótna wyciętego z sienników. Część kobiet wypełniła bagaże koronkowymi piżamami, puderniczkami i wodą kolońską, przeschumowanymi do więziennych cel przez rodziny. Denise i jej przyjaciółki zabrały kiełbasę, ser i chleb na drogę. Ta trójka zaprzyjaźniła się podczas długich miesięcy w więzieniu Fresnes. Teraz stały na peronie i zgadywały, kiedy wrócą do domu.

Najpóźniej w maju należało się spodziewać lądowania aliantów, z pewnością więc wrócą do 14 lipca, Dnia Bastylji, powiedziała Christiane. Córka generała, bez wiedzy rodziców w wieku 17 lat wstąpiła do ruchu oporu; kiedy jej matka dowiedziała się o aresztowaniu Christine, wmaszerowała do siedziby paryskiego Gestapo ze słowami: „Moja córka nie jest terrorystką. Chcę ją z powrotem”.

Ani jej, ani innym nie dano szansy porozmawiać z najbliższymi przed wyjazdem do Niemiec. Denise straciła oboje rodziców we wczesnym dzieciństwie, a pierwszą połowę wojny przeżyła ze swym bratem Bernardem, francuskim dyplomatą, w neutralnej Portugalii; w 1942 roku nagle postanowiła – wbrew jego radom – wrócić do Francji i przyłączyć się do ruchu oporu. Wraz z kilkoma innymi kobietami stojącymi na peronie pracowała w Linii Komety, konspiracyjnej sieci pomagającej zestrzelonym aliantom wydostać się z Francji, zwykle przez Pireneje. Została aresztowana latem 1943 roku.

Chociaż pełne niepokoju, nie były ponure. Kobiety cieszyły się z opuszczenia więzień, a najgorsze, czego oczekiwały w Niemczech, to ciężka praca – miały nadzieję, że na świeżym powietrzu. Obserwator mógłby pomyśleć, że wyglądają bardziej jak szczęśliwa gromada wyruszająca na biwak niż grupa więźniarek zmierzająca do obozu koncentracyjnego. Większość nie miała pojęcia o obozach, a te, które coś wiedziały, naturalnie nie wierzyły, że trafią do takiego miejsca.

Śpiewaczka operowa z Orleanu zaczęła szkocką balladę i nawet *groupe de comtesses* poczuła *esprit de corps*, chociaż kilka z nich ze zgrozą patrzyło na tłum francuskich prostytutek zebranych na peronie. Kobiety aresztowano za zakazanie oficerów Gestapo chorobami wenerycznymi, powiedziały hrabiny.

Gdy czekały, pojawiły się kolejne kobiety. Była wśród nich Geneviève de Gaulle, bratanica przywódcy Wolnej Francji. Elegancka, skryta młoda kobieta pracowała dla podziemnej gazety w Paryżu, gdy została aresztowana, chociaż generał, rzecz jasna, nic o tym nie wiedział. Dziewczęta ledwo po szkołach klasztornych, głównie obserwatorki i łączniczki ruchu oporu, stały obok starszych sióstr, które przejeżdżały dziennie do 80 kilometrów na rowerze, by dostarczać tajne wiadomości. Było tu kilka członkiń grupy „Prosper”, prowadzonej z Londynu przez SOE – Special Operations Executive, Kierownictwo Operacji Specjalnych – ale zinfiltrowanej przez Niemców i zdziiesiątkowanej.

Stała też grupa pielęgniarek Francuskiego Czerwonego Krzyża, nauczycielka z Normandii, bibliotekarka z Dzielnicy Łacińskiej i znana, siwowłosa historyk sztuki Emilie Tillion. Została aresztowana ze swą córką, Germaine, etnolożką, zabraną do Niemiec już w październiku, chociaż Emilie nie miała pojęcia, co się z nią stało.

Część zgromadzonych na peronie została ostrzeżona o ryzyku, zanim podjęły pracę konspiracyjną. Cicely Lefort z SOE, która wylądowała we Francji nocą na pokładzie małego samolotu Lysander, dowiedziała się od swych przełożonych na Baker Street, że w razie aresztowania zostanie zastrzelona. Większość jednak nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia, a kilka, schwytanych w przypadkowych obławach Gestapo, nie miało nawet pojęcia, dlaczego się tu znalazło.

Kiedy nadjeżdżała lokomotywa, ciągnęła wagony towarowe, a nie pasażerskie. Na drzwiach wagonów widniały słowa: „40 ludzi, 8 koni”. Do każdego wagonu załadowano po 60 kobiet. Strażnik stawiał pośrodku blaszany



nocnik, a potem zatrząskiwiał drzwi i zamykał każdy wagon sztabą z ołowianą plombą. Denise, Christiane i Suzanne, ściśnięte razem w końcu wagonu, usłyszały, jak Geneviève de Gaulle i jej grupa zaintonowały piosenkę *Ce n'est qu'un au revoir mes frères* – a potem wszystkie zaśpiewały *Marsyliankę*. Przez szpary w drzwiach dostrzegły kolejarzy na torach i wyrzuciły pożegnalne liściki. Cicely Lefort napisała adres swego męża w Bretanii – był francuskim lekarzem – i słowa: „Wyjeżdżam do Niemiec C”.

W drodze do granicy niemieckiej pociąg przystawał od czasu do czasu i żołnierze otwierali drzwi, żeby opróżnić wiadra. Kobiety były spragnione i poobijane. Smród przyprawiał o mdłości. Na granicy niemiecki oficer ze szpicrutą kazał wszystkim wyjść. Denise zauważyła, że „nie śmiał patrzeć nam w oczy z obawy, by nie dostrzec w nich wiary w nasze pewne zwycięstwo”.

Na następnym postoju rozdano zupę, a żołnierze krzyczeli: *Arbeit, Arbeit!* i śmiali się; kobiety też się śmiały. „Wciąż myślałyśmy, że jedziemy na Śląsk do pracy, a potem skręciłyśmy na północ i uznałyśmy, że wcale nie”, wspominała Christiane.

Po kolejnych dwóch dniach, 3 lutego o drugiej w nocy, ktoś krzyknął: „Jesteśmy na miejscu!”. Gdy wyszły z wagonów na poły oszołomione, z głębokim niedowierzaniem patrzyły na strażników i psy. Opis przyjazdu Francuzek brzmi inaczej niż w przypadku innych więźniarek. Chociaż szokowała je brutalność, to do dziś pamiętają swą niezdolność do uwierzenia w to, co ujrzały. „Rzeczywistość była tak brutalna i ciężka, że ledwo ją pojmowałyśmy”, opowiadała Denise Dufournier. Część ocalonych wspominała później, że naprawdę sądziły, iż trafiły w to miejsce przez pomyłkę. Inne mówiły, że po prostu nie chciały dostrzec tego, co widziały. „Dokoła pachniało zdrowo żywicą, a powietrze zostawiało słoność na wargach”, mówiła Denise. „Jak dobrze było odetchnąć powietrzem znad Bałtyku”, relacjonowała Michèle Agniel.

Kobiety wspominały, że były „na poły we śnie”, gdy dowlekły się do bramy obozu; wiele potykało się i upadało. „Nasze zawiniątka, tak starannie przygotowane, ale zbyt pospiesznie zapakowane, bardzo nam przeszkadzały”, stwierdziła Denise. Przy bramie przeszły „nagle z głębokiej ciemności w oślepiające światło”. Wtedy któraś powiedziała: „No to przyjechałyśmy do obozu koncentracyjnego”. Inne wykrzyknęły: „Nie! Zwariowałaś?! To nie może być prawda!”.

„Za bramą dostrzegłyśmy ten *stupeur des visages* [otępiełe twarze]. To na

pewno było miejsce, gdzie się umierało. Miałyśmy poczucie, że weszliśmy do rzeźni. Naprawdę tak było. Ale nigdy nie pomyślałyśmy, że tu zostaniemy”, opowiadała Anise Girard. „Widzisz – mówiła Christiane de Cuverville – byłyśmy *jeunes filles bien élevées* – dobrze wychowanymi młodymi damami – i pomyślałyśmy, że to nie dla nas. To pomyłka. Ktoś zaraz przyjdzie i zabierze nas gdzie indziej”.

W drodze przez obóz zauważyły dziwne, na poły zagłodzone postacie, jak wizerunki ze średniowiecza, noszące kadzie, więc wtedy pomyślały, że zwariowały. „Zjedzcie swoje jedzenie, wszystko wam zabiorą”, powiedziała postać, która wysforowała się naprzód.

W łaźni kazano im się rozebrać. „A wtedy młode damy musiały stać *nues devant leur mère*. To było najgorsze. W tamtych dniach dla młodych Francuzek stanąć nago przed własnymi matkami było straszliwym upokorzeniem”. Podczas golenia głów strażniczki plądrowały torby w poszukiwaniu wody kolońskiej. „Między nogami przeszukiwały nas szczoteczkami do zębów”, wspominała Amanda Staessart, Belgijka, która przyjechała ze swoją matką.

Po prysznicu na resztę nocy trafiły do bloku kwarantanny, upchnięte z „dziwnymi, na poły zagłodzonymi istotami”; część kobiet tak się przeleżała szkieletów, że krzyczały do strażniczek, by „trzymały te potwory z daleka”, inne natomiast dzieliły się z nimi ostatkami jedzenia. Przywiezione kilka miesięcy wcześniej Francuzki dowiedziały się, że w nowej grupie są przyjaciółki lub krewne, i próbowały przekazywać im wiadomości. Germaine Tillion, przywieziona w październiku, usłyszała o przyjeździe swej matki Emilie.

O świcie pojawiły się kobiety z kotłem zupy z buraków, ale Francuzki nie przyjęły do wiadomości, że jedzenie jest też dla nich. Jedna wykrzyknęła: „No przecież nie możemy tego jeść, weźmy swoje jedzenie i zrobmy sobie piknik!”. I urządziły piknik, siedząc w śniegu na torbach i jedząc resztki sera i chleba. Rozglądały się, kto ośmieli się im zabronić, ale strażniczki i obozowe policjantki były tak zaskoczone, że nikt nie zareagował. Przechodzące więźniarki szeptały: *Franzosen* – i patrzyły.

W baraku kwarantanny Francuzki wciąż nie chciały uwierzyć w rzeczywistość dookoła i mówiły sobie, że zostaną zabrane, gdy tylko władze dowiedzą się o pomyłce. Tymczasem opowiadały sobie historie, recytowały wiersze i próbowały odgadnąć datę zakończenia wojny. Nadawały przydomki *Aufseherinnen* – czy *officerines*, jak nazywały dozorczyńnię. „Będziemy żyły,

jeśli nie zjemy zupy”, mówiła Christiane, która już miała skurcze brzucha z powodu surowej brukwi. Któraś wyjrzała przez okno i ujrzała więźniarki, które klęcząc, dzieliły się kawałkiem chleba, i postacie na drodze wyglądające jak kobiety ubrane po męsku. Blokowa nazwała je *les Jules*.

A gdy przygnębienie wzrastało, wystarczyło, żeby jedna powiedziała: „Dziewczęta, ostatniej nocy śniły mi się buty, co musi oznaczać, że wkrótce wrócimy”, i migiem rozchodziła się wiadomość, że będą wolne na Dzień Bastylli, wszystkie wiwatowały i się śmiały.

„Tak, zawsze próbowaliśmy się śmiać – mówiła Christiane. – A ponieważ nie wierzyliśmy, to pomagało się śmiać. Pamiętam, że po ostrzyżeniu włosów któraś powiedziała: «*Mais dis donc*, hej, Christiane – do twarzy ci». Inne grupy były dużo poważniejsze. Polki były bardzo poważne. Pamiętam dzień wkrótce po naszym przyjeździe, gdy polska blokowa kazała nam sprzątać, ponieważ Himmler miał przyjechać na inspekcję. Ale my, Francuzki, nie ruszyliśmy się. Więc bardzo się rozgniewała i powiedziała: «Himmler przyjeżdża i cały obóz się trzęsie, a wy, Francuzki, tylko się śmiejecie»”.

Inspekcja Himmlera, z której śmiały się Francuzki, nie jest wpisana do jego oficjalnego dziennika, ale niemiecka więźniarka Klara Tanke pamięta wizytę Himmlera na początku 1944 roku, ponieważ zarządził jej zwolnienie po „czterech latach, sześciu miesiącach i czternastu dniach w obozie”. Szukał kobiet do pracy w swym berlińskim biurze, które straciło personel w ostatnich bombardowaniach. Klara wspominała: „Wskazał osiem dużych blondynek, a ja byłam jedną z nich”<sup>452</sup>.

Moment wizyty Himmlera niemal na pewno wiązał się z wizytą u Häschen, która spodziewała się drugiego dziecka. Bardzo potrzebował przerwy od wojennych problemów, szczególnie na froncie wschodnim. Według Felixa Kerstena, jego masażysty, od stycznia Reichsführer nie był w dobrym zdrowiu. Po sesji leczniczej Kersten zanotował 15 stycznia 1944 roku, że Himmler „podupadł zarówno pod względem nastroju, jak i zdrowia”<sup>453</sup>. Zdaniem masażysty przygnębiały go sprawy rozmnażania się – zarówno zwierząt, jak i roślin – które nie szły tak, jak niegdyś miał nadzieję.

Pomimo masowych mordów populacja Rosji wciąż rosła o trzy miliony rocznie. Przypominała „Hydrę z greckich mitów. Jeśli odetniesz jej głowę, w jej miejsce urośnie siedem nowych”. Co więcej, skarżył się Himmler,

Rosjanie wyhodowali nowy gatunek zboża, odpornego na skrajne mrozy, a to pozwoliło im wykorzystać więcej ziemi na północy i zbierać więcej zboża na wyżywienie wojska.

To jednak nie tylko dalekosiężne strategiczne kwestie rozmnażania, zdaniem Kerstena, kłopotowały Himmlera; myślał także o bardziej konkretnych kwestiach rozrodczych. Na przykład za mało oficerów SS żeniło się i płodziło dzieci. Reichsführer SS zażądał też raportu, w jaki sposób płodzić więcej chłopców niż dziewczynek. Jeśli niemieckie kobiety spędzą za wiele czasu w schronach przeciwlotniczych, w ogóle nie będzie prokreacji, powiedział Kerstenowi.

Komentarze Himmlera pokazują, że na początku 1944 roku nawet on zaczął akceptować – przynajmniej prywatnie – ograniczenia, a być może nawet szaleństwo, nazistowskiego planu. Zaczął też dopuszczać możliwość klęski, gdy mówił Kerstenowi o potrzebie wysondowania Amerykanów i Brytyjczyków, którzy „wkrótce dostrzegą zagrożenie rosyjską dominacją na kontynencie” i będą chcieli zawrzeć odrębny pokój z Niemcami. Himmler poprosił nawet Kerstena, by udał się do Szwecji i poszukał ewentualnych partnerów do negocjacji w Waszyngtonie i Londynie. Aby go nagrodzić, Himmler dał swemu lojalnemu masażystce posiadłość niedaleko Ravensbrück wraz z kilkoma więźniarkami – badaczkami Pisma Świętego – by w niej niewolniczo pracowały.

Pomimo tych prywatnych wątpliwości publicznie jednak Himmler, podobnie jak jego wódz, okazywał absolutną wiarę w niemieckie zwycięstwo. W serii przemówień wygłaszanych przed partyjnymi oficjelami i generałami SS w Poznaniu zimą z 1943 na 1944 rok wychwalał osiągnięcia Führera, szczególnie jego sukcesy w „wykorzenieniu plagi żydostwa”. W tej sferze, twierdził Himmler, faktycznie mógł kontrolować rozrodczość. Wyjaśnił nawet, z bezprecedensowymi szczegółami, dlaczego koniecznością było podjęcie „trudnej decyzji” o zamordowaniu żydowskich kobiet i dzieci tak samo jak mężczyzn; zrobiono to, powiedział, aby zapobiec wyrosnięciu nowego pokolenia mścicieli.

Dochodzimy do pytania: co z kobietami i dziećmi. Doszedłem nawet tutaj do całkowicie jasnego rozwiązania. To znaczy nie uważam za usprawiedliwione likwidowanie mężczyzn – czyli zabijanie ich lub wydawanie rozkazów zabijania – i pozwalanie, by dla naszych synów i wnuków dorosli mściciele pod postacią dzieci. Należało podjąć trudne decyzje i sprawić, żeby ten *Volk* zniknął z powierzchni ziemi.

Himmler asekurował się nawet wtedy, gdy mówił o zwycięstwie. Zaczął gromadzić zakładników i przetrzymywać ich w swych obozach jako karty przetargowe, gotowe na moment rozpoczęcia jego tajnych negocjacji. Część tych „kart” znalazła się w Ravensbrück.

Rozdźwięk między teorią a rzeczywistością był na początku 1944 roku równie widoczny w obozie, jak i w każdym innym miejscu imperium Himmlera. Reichsführer nakazał obniżyć śmiertelność, by utrzymać przy życiu dobre robotnice, ale zamiast tego liczba zgonów rosła i trzeba było wybudować nowy piec krematoryjny, aby sprostać potrzebom.

Dietetyczne teorie Himmlera za każdym razem wprawiały w zakłopotanie. Niedawno wydał nowe zasady żywienia, by zwiększyć produkcję. Do 50 procent warzyw dodawanych do więziarskiej zupy miało być surowych i dorzucanych krótko przed wydaniem posiłku; porcja w południe miała wynosić od ćwierć do półtora litra zupy – nie czystej, lecz przecieranej. Himmler nalegał również, by więźniowie mieli czas na zjedzenie i „spokój” w trakcie posiłku; dzięki temu mogli właściwie trawić. Jednak jak wyraźnie świadczyły wychudzone ciała w obozie, surowe warzywa korzeniowe powodowały spustoszenie, wywołując świerzb i czyraki. Co do spokoju w porze posiłków, bloki wówczas były tak zatłoczone, że brakowało miejsca do siedzenia. Robotnice Siemens, które maszerowały z fabryki do obozu na obiad, ledwo miały czas, żeby wszystko zjeść.

Inne rozkazy wydane przez Himmlera miały poprawić higienę, a tym samym produkcję, ale również okazały się daremne. Więźniarki powinny mieć czas na mycie włosów, zapewne by zapobiegać wszawicy, ale jakiegokolwiek mycie było niemożliwe, a w odzieży wracającej z komór gazowych niezmiennie roiło się od wszy. Jako nagrodę za dobrą pracę wciąż proponowano kupony do zrealizowania w obozowym sklepie, ale sklep był pusty, a kupony wywołały protest, ponieważ więźniarki nie zgadzały się na przekupstwo.

Dwie inne premie wymyślane przez Himmlera – darmowy tytoń i wizyta w burdelu – nie dotyczyły Ravensbrück. Kobietom zakazano palenia, a to więźniarki z obozu stanowiły personel domów publicznych. Na początku 1944 roku Reichsführer nakazał otwarcie burdeli w kolejnych trzech obozach męskich, z prostytutkami jak zwykle zapewnianymi przez Ravensbrück.

Nawet klasa prostitutek się obniżała, co Himmler ewidentnie zauważył, ponieważ nakazał wprowadzenie środków dla poprawienia ich wyglądu. Początkowo polegał na Ravensbrück, wierząc, że będzie zapewniać stały

dopływ profesjonalistek do jego obozowych burdeli, nie tylko dlatego, że niemieckie „aspołeczne” były często przywożone prosto z funkcjonujących domów publicznych i wiedziały, czego się od nich żąda. Jednak nawet niemieckie nowo przybyłe kryminalistki były „gorszej jakości”, co nie mogło dziwić, ponieważ zwykle były po prostu bezdomnymi schwytanymi za włóczenie się po ulicach zbombardowanych miast. Himmler tym samym rozkazał, by SS wypróbowały je, zanim zostaną wynajęte.

Jednak dużo większe problemy wisiały w powietrzu. Na przykład, co obóz zrobi w przyszłości z rosnącą liczbą kobiet, z których nie ma żadnego pożytku. Ostatni transport 850 „darmozjadów” opuścił Ravensbrück 3 lutego i pojechał na Majdanek, ale siły radzieckie zbliżały się do Majdanka i wkrótce tamtejszy obóz miał być zlikwidowany.

A co miało Ravensbrück zrobić z rosnącą liczbą cięż? Niełatwo było odsiać ciężarne przed przyjazdem, a lekarze po prostu nie mogli dokonać aborcji wszystkim, szczególnie że główny specjalista od aborcji Rolf Rosenthal siedział w więzieniu. Rosenthal usłyszał wyrok ośmiu lat pozbawienia wolności po tym, jak w ciążę – co najmniej dwa razy – zaszła z nim więźniarka położna Gerda Quernheim, a on przeprowadził zabieg przerwania ciąży. Himmler przeglądał jego prośbę o łaskę i znał kłopotliwe szczegóły.

W swej apelacji Rosenthal próbował tłumaczyć się ze związku z więźniarką Quernheim tym, że gdy pracował w obozie, jego małżeństwo przeżywało kłopoty, a on i żona nie mogli mieć dzieci. Według Quernheim, której zeznanie Himmler również czytał, zostali kochankami w sali operacyjnej podczas nocnych dyżurów. Przy tych okazjach ona proponowała mu herbatę, „ponieważ powiedział mi, że jego żona nigdy nie gotowała obiadów i nie dbała o niego”. Rosenthal, mówiła, był dla niej szczególnie miły tego wieczoru, gdy dowiedziała się, że jej matka została ranna podczas nalotu.

Kiedy Gerda odkryła, że jest w ciąży, nie miała innego wyjścia poza aborcją, więc Rosenthal ją przeprowadził. Gerdą jednak zabieg wstrząsnął. Pragnąc zatrzymać płód, przechowywała go w butelce z alkoholem w rewirze. Z pewnością żaden inny obraz nie symbolizuje lepiej absurdalności nazistowskich prób kontrolowania procesu reprodukcji, chociaż wątpliwe, by Himmler postrzegał to w ten sposób.

Himmler uznał jednak, że w tym przypadku istnieją czynniki łagodzące, i zmniejszył wyrok Rosenthala z ośmiu do sześciu lat w więzieniu w celi policyjnej w Dachau. Quernheim została wkrótce wysłana do Auschwitz, gdzie

miała pracować jako położna, ale najpierw odbyła odsiadkę w bunkrze w Ravensbrück.

Idąc z powrotem do bramy, Himmler lubił przeprowadzić inspekcję bunkra, który od kilku miesięcy służył nie tylko do karania więźniów, ale też jako dogodne miejsce do przetrzymywania tajnych zakładników i innych znaczących jeńców, którzy w przyszłości mogliby się okazać użyteczni. W marcu 1944 roku wśród *Prominente* znajdowała się kochanka byłego francuskiego premiera, amerykański pilot, polska hrabina i niemiecka tancerka kabaretowa.

Pilot skoczył ze spadochronem z zestrzelonego samolotu i wylądował w pobliżu, więc sprowadzono go do obozu. Christiane Mabire, elegancka paryżanka, była prywatną sekretarką Paula Reynauda, ostatniego francuskiego premiera przed wojną. Tancerką była Isa Vermehren, słynna z występów kabaretowych dla niemieckich żołnierzy. Isa została aresztowana z powodu niegrzecznego zachowania wobec Führera, chociaż dopiero kiedy jej brat, niemiecki dyplomata, zbiegł do Wielkiej Brytanii, sprowadzono ją do Ravensbrück<sup>454</sup>.

Najwybitniejszą postacią spośród *Prominente* był prawdopodobnie Helmuth von Moltke, prawnuk pruskiego bohatera wojennego Helmutha von Moltkego seniora. Wykształcony w Oksfordzie przywódca niemieckiej grupy oporu „Kreisauer Kreis” (Krąg z Krzyżowej), von Moltke junior od dawna był cierniem w oku Führera, chociaż Himmler musiał wiedzieć, że nie stanowił on większego zagrożenia. Najgorszą rzeczą, jaką zrobił von Moltke, była próba wpłynięcia na niemiecką świadomość poprzez kampanię na rzecz oporu bez przemocy i egzekwowania w obozach koncentracyjnych konwencji genewskich. Przekazywał również informacje o nazistowskich zbrodniach wojennych do znajomych z brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych i oferował im wszelkie wsparcie, ale ci odtrącili go, prosząc o czyny, nie słowa.

W bunkrze przetrzymywano również tajemniczego brytyjskiego majora Franka Chamiera, który nie chciał podać nazwiska Isie Vermehren i przedstawił jej się tylko jako „Frank z Upwey 282”, co okazało się numerem jego telefonu domowego.

W tym momencie najcenniejsza z zakładników w Ravensbrück była hrabina Karolina Lanckorońska, znany historyk sztuki. Wykładała w Polsce na Uniwersytecie Lwowskim, kiedy w 1939 roku nastąpił atak radziecki. W 1940

roku dołączyła do polskiego ruchu oporu, działając na początku przeciwko Sowietaom, potem Niemcom, aż wreszcie została aresztowana w 1942 roku i na początku stycznia 1943 roku wysłana do Ravensbrück. Jednak Himmlera interesowało nie to, co Karolina robiła, ale to, co wiedziała. Kiedy została aresztowana, do Reichsführera SS apelowała o jej uwolnienie nie tylko włoska rodzina królewska, ale też, w największym sekrecie, przewodniczący Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie Carl Burckhardt, wieloletni przyjaciel hrabiny, według niektórych miłości jego życia<sup>455</sup>.

Biorąc pod uwagę odmowę MKCK udzielenia pomocy Żydówkom i innym więźniarkom obozu, apel Burckhardta o uwolnienie osobistej przyjaciółki był kompromitujący, więc po wojnie usunął swe listy z dokumentacji MKCK. Jednak zachowały się niektóre odpowiedzi Himmlera; pokazują, że Burckhardt zwracał się do Reichsführera w sprawie Karoliny co najmniej trzykrotnie. Latem 1942 roku zapytał Himmlera, gdzie jest przetrzymywana Lanckorońska, na co Reichsführer odparł, że się dowie. Jesienią 1942 roku Burckhardt nawet poprosił Himmlera o spotkanie, by omówić jej sprawę. Ta interwencja pokazuje szczególną hipokryzję Burckhardta, zważywszy, że dokładnie w tym samym czasie doradzał kolegom z Czerwonego Krzyża na przełomowym spotkaniu w listopadzie 1942 roku, żeby milczeli o więźniach z obozów.

W rezultacie listów Burckhardta Himmler na pewno zdał sobie sprawę, że Lanckorońska jest cenną zakładniczką, i od chwili gdy na początku stycznia 1943 roku dotarła do Ravensbrück, dbał o to, by traktować ją wyjątkowo dobrze<sup>456</sup>. Jej celę wyposażono w najlepszą białą pościel i ozdobiono świeżymi kwiatami. Karolina miała być znana w obozie jako „Frau Lange”; pozwolono jej wypożyczać książki z biblioteki SS i chodzić po bunkrze oraz ogrodzie poniżej jej celi i prowadzić rozmowy z więźniarkami i strażnikami. To dzięki temu ostatniemu przywilejowi Lanckorońska, osoba barwna i kontrowersyjna, mogła później opisać życie w bunkrze w Ravensbrück<sup>457</sup>.

Wśród pierwszych więźniarek, które spotkała, znalazły się dwie „prorokinie”, które ukarano za przepowiadanie przyszłości esesmanom, a w pobliskiej celi siedziała Gerda Quernheim. Wydała się ona Karolinie „łagodną i dobrze wychowaną Niemką”, która „na widok jedzenia [z paczek] serdecznie mnie polubiła i opowiadała absolutnie wszystko, co wiedziała”. Quernheim odpowiedziała nawet na pytania Lanckorońskiej o aborcje, przyznając, że to „temat przykry”.



Karolina poznała też dwie niemieckie strażniczki, jedną uwięzioną za kradzież odzieży więźniarek z *Effektenkammer*, a drugą za „lesbizm”, który, jak wspominała Karolina, był „rozpowszechniony wśród Niemek w obozie”. Ta sama lesbijka opowiedziała Lanckorońskiej o specjalnych więźniarkach Ramdohra, zamkniętych bez światła i jedzenia, plotkowała też o dozorczyńni z bunkra Margarete Mewes, która miała „trzech synków, każdego z innego ojca”, i o Dorothei Binz, która „jest bardzo w obozie potężna”, ale tylko dlatego, że ma romans z zastępcą Suhrena, Bräuningiem. Tych dwoje często widywano, jak trzymali się za ręce, podczas gdy więźniarki chłostano na koźle, relacjonowała, dodając, że jedwabna bielizna, która suszy się za bunkrem, należy do Binz i została ukradziona więźniarkom; strażniczka wiedziała nawet którym, ale nie chciała powiedzieć. Inna ze strażniczek bunkra, „o postawie niczym Walkiria”, okazała się współczująca i pomagała Karolinie szmuglować jedzenie uwięzionym w lochu i dwóm wróżkom.

Suhren zwykł dość często wpadać i pytać, czy pani hrabina sobie czegoś życzy; proponował, by zamawiała książki z biblioteki dla SS, chociaż Karolina odparła, że przedkłada Wordswortha i Tacyta nad nazistowskie traktaty o obozach, więc komendant zdobył jej te publikacje<sup>458</sup>.

Podczas spacerów wokół małego kwietnika na zewnątrz Karolina widziała wieżę kościoła w Fürstenbergu i rozmyślała nad „katastrofą moralną Niemiec”. Jej przyjemność zawsze psuł smród z komina, który, jak wyjaśniła jej niemiecka lesbijka, pochodził z palonych włosów.

W ogrodzie rozmawiała o kulturze klasycznej z Christiane Mabire, często obserwowana przez Dorotheę Binz, rozłożoną na leżaku opodal. Ton, w jakim Lanckorońska pisze o Binz, różni się od tonu przyjmowanego przez inne więźniarki. Dla hrabiny nie stanowiła ona zagrożenia, wydawała się niemal samotna i odnosiła się do „Frau Lange” Himmlera służalczo. Gawędziły o tym i o owym; pewnego dnia opowiedziała Polce, że z zawodu jest kucharką, mieszka w okolicy i ma 22 lata.

Karolina nie tylko nie bała się Binz, nie przerażał jej również pies Niemki. Wydawał się Polce smutnym i mizernym kundlem, a nie potwornym ogarem opisywanym przez inne więźniarki. Zawsze wyglądał na głodnego, gdy przechodziła Lanckorońska, i skakał na nią, węsząc uparcie w jej kieszeni w nadziei, że znajdzie coś do jedzenia. „Czy to nie miłe, że ten pies tak panią lubi?”, powiedziała pewnego dnia Binz z uśmiechem.

Nie wiemy, czy Polka kiedykolwiek poznała Himmlera podczas jego wizyt, ale opisuje, jak patrzył na nią z portretu na ścianie bunkra „lodowatym spojrzeniem przez binokle”. Reichsführer polecił, by codziennie do jej celi dostarczano jego okazowe pomidory.

Gdy Himmler wyjeżdżał z obozu, obserwował więźniarki zebrane na apelu. Mógł zauważyć, jak międzynarodowe ostatnio stało się Ravensbrück – litery wypisane na więźniarskich trójkątach wskazywały na 22 państwa. Musiał też dostrzec wielką liczbę żółtych gwiazd.

Piętnaście miesięcy wcześniej Himmler chwalił się Hitlerowi, że Niemcy i wszystkie tamtejsze obozy koncentracyjne są *judenfrei* – wolne od Żydów. Ale teoria i praktyka znów się rozeszły, ponieważ na placu apelowym Ravensbrück w szeregach stało co najmniej czterysta Żydówek: kobiety o mieszanym pochodzeniu z Auschwitz oraz „chronione” Żydówki – obywatelki krajów sojusznicznych Niemiec lub neutralnych – ocalone od komory gazowej, przynajmniej tymczasowo<sup>459</sup>. Większość „chronionych” stanowiły Węgierki, Rumunki i Turczynki z pochodzenia, mieszkające w Holandii lub Belgii. Nie tylko Żydówki z tych państw stały na apelu, ale również ich dzieci – ci sami „mściciele”, którzy „zniknęli”, jak twierdził Himmler w poznańskim przemówieniu. Jednym z tych „mścicieli” była Stella Kugelman, czterolatka z wielkimi czarnymi oczami.

Stella mało pamięta z przybycia do obozu, poza tym, że nastąpiło ono nocą, a jej matka Rosa upadła zaraz po wyjściu z pociągu. Stella ma również mgliste wspomnienia z samego obozu. Paradoksalnie jednak wie dużo o pierwszych czterech latach swego życia, przed Ravensbrück, a to dzięki dziennikowi matki, w którym Rosa opisywała niemal każdy dzień z życia Stelli: od urodzenia do przyścia gestapowców.

Rosa Kugelman (z domu Klionski) pochodziła z Litwy, a jej mąż Louis Kugelman – z Hiszpanii; oboje byli Żydami. W latach dwudziestych Rosa i Louis mieszkali w Londynie i tam się poznali. Potem przenieśli się do Antwerpii, gdzie miesiąc przed wybuchem wojny, 29 lipca 1939 roku, urodziła się Stella. Osiemnaście miesięcy później do drzwi zapukali gestapowcy – to pierwsze wydarzenia, jakie zapamiętała Stella. Wspomina przyjazd samochodu i „policjantów, którzy każą nam się spakować i wyjść.

Pamiętam, że był słoneczny dzień”.

Najpierw rodzinę wysłano do obozu w Belgii, gdzie Rosę i Stellę oddzielono od Louisa. On trafił do Buchenwaldu, podczas gdy one pociągiem pojechały do Ravensbrück. Stella uważa, że pamięta, jak mówiła do matki w pociągu: „Ucieknijmy”. Matka była już poważnie chora na gruźlicę i za słaba, by próbować ucieczki, więc głaskała długie, czarne warkoczki Stelli i zmuszała się do uśmiechu.

To widok psów po przybyciu do Fürstenbergu kazał Rosie krzyknąć, uważa Stella. A kiedy pałka trafiła jej matkę na peronie, Rosa upadła i została natychmiast zabrana. Stella nie wiedziała dokąd.

Samotną dziewczynkę ktoś musiał wziąć za rękę i poprowadzić, ponieważ jakiś czas później znalazła się w bloku. Warkoczyki jej obcięto. Były tam inne dzieci, w tym wiele ciężko chorych. Zajmowały się nią starsze kobiety. A Stella pamięta, że gdy włosy jej odrosły, jakaś Francuzka je czesała.

[452](#) Tanke, BAL B162/472.

[453](#) Kersten, *Memoirs*.

[454](#) Brat Isy, Erich, po dotarciu do Anglii zaczął nadawać w BBC wiadomości przeciwko Hitlerowi, pisał też ulotki propagandowe zrzucone nad Niemcami z brytyjskich i amerykańskich samolotów. „Skutkiem tego – opowiadała Isa – aresztowali mnie i wysłali do Ravensbrück. Ojciec, matka i drugi brat również zostali aresztowani i wywiezieni do Sachsenhausen”.

Relacja Isy o ucieczce brata i okolicznościach jej aresztowania została przedstawiona w długim oświadczeniu złożonym brytyjskim śledczym na Capri w maju 1945 roku. Isa znalazła się na Capri razem z grupą pozostałych alianckich zakładników (*Prominente*), którzy zostali przemyceni z Niemiec do Austrii pod eskortą SS w ostatnich dniach wojny, tam uwolnieni przez Brytyjczyków i przewiezieni na Capri w celu przesłuchania. Zob. oświadczenia Vermehren, TNA TS 26/895.

[455](#) List Himmlera do Burckhardta datowany na 21 lipca 1942 roku, w odpowiedzi na list Burckhardta z 1 czerwca 1942 roku, znajduje się w archiwach ITS (TID 800 176). Późniejsza korespondencja zob. Favez, *The Red Cross and the Holocaust*.

[456](#) Wskutek panującego bałaganu przybycie Lanckorońskiej do obozu umknęło uwadze władz obozowych, więc przez jakiś czas mieszkała w zwykłym bloku i poznawała życie w Ravensbrück. Do bunkra trafiła dopiero na początku marca (przyp. tłum).

[457](#) Wszystkie cytaty za: Karolina Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, Kraków 2001, s. 246 n.

[458](#) Kiedy przysłano dla Lanckorońskiej książkę, Binz poinformowała ją, że komendant skonfiskował ją jako zawierającą „modlitwy katolickie”. Zaskoczona Karolina poprosiła o pokazanie książki, która okazała się sonetami Petrarki. Wyjaśniła Binz, że to nie modlitewnik, tylko wiersze miłosne, i pozwolono jej zatrzymać tomik. „Tak się skończyło jedyne zapewne spotkanie pani Binz z Petrarką – skomentowała później Lanckorońska. – Chyba tylko zwrot *Madonna mia* mógł być powodem tej pomyłki...”.

[459](#) O „chronionych” Żydówkach zob. Buber Agassi, *Jewish Women Prisoners of Ravensbrück*.

## Rozdział 22

### Upadek

*Raus, raus, Franzosensäue! Links-rechts!, links-rechts!*, wrzeszczą strażnicy, ale Francuzki nie umieją maszerować. Tylko Christiane, córka generała, się stara, większość nawet nie próbuje. Po zakończeniu kwarantanny kobiety są zaganiane do nowych bloków na tyłach obozu. *Links rechts!, links rechts!* Maruderka dostaje kopniaka. „Są tu *maquis*”, mówi Denise, gdy dochodzą do bloku 27. Niektóre nazywają ten szereg baraków – od 27. do 31. – rudalami. Z obłazącą farbą i wybitymi szybami, stoją daleko, zbudowano je na piasku.

Po wejściu kobiety wzdrygają się. Ręce pokryte czyrakami wyciągają się po wieczorną zupę. Podczas kwarantanny Francuzki początkowo odmawiały zupy. Cztery tygodnie później chwytają miski razem ze wszystkimi. Suzanne ktoś zabrał miskę. Skarży się Polce wydającej posiłek, która pyta po francusku: „Z czego więc będziesz jadła?”. Suzanne zostaje odsunięta na bok. „Typowa Słowianka – stwierdza Denise. – Tylko dlatego, że jest tu już cztery lata, a my nie”.

Ktoś krzyczy na złodziejkę, Rosjankę, która odkrzykuje: *Nie ponimaju, nie ponimaju!* Francuzka rzuca się na Rosjankę. „Sama się *nie ponimaju*, ty małpo”, ale ktoś wyjaśnia, że *nie ponimaju* to po rosyjsku „nie rozumiem”.

„To nie jest zabawne”, mówi Christiane. Sztubowa każe Suzanne przejrzeć śmietnik w poszukiwaniu puszki przysłanej w paczce żywnościowej. „Więc inne dostają paczki?”

Francuzka rozgląda się, a jakaś mieszkanka rudery wpatruje się w nią: „Miska za kromkę chleba?”.

*Du Scheisse Franzosen!* – krzyczy ktoś w tłumie. „Miłe powitanie”, szepce Christiane, nie dostrzegając, że kobieta w męskim stroju przygląda jej się głodnym wzrokiem. To jedna z *Jules*, o których słyszały podczas kwarantanny. Belgijka Amanda Staessart bierze matkę za ramię, obiecując, że zostaną razem.

Mają kolejne numery, więc nie mogą zostać rozdzielone.

Denise wykrzykuje: „Spójrz tam!”, gdy zauważa inną grupę odrażających istot; te mówią jakąś odmianą francuskiego. *Jeunes filles bien élevées* nazywają takie *les volontaires* – francuskimi ochotniczkami do pracy w Niemczech. *Les volontaires* trafiały do Ravensbrück oskarżone o „przestępstwo” – kradzież chleba albo seks z Niemcem – albo, co bardziej prawdopodobne, jako robotnice przymusowe w podobozach. „Więc jesteśmy też razem z francuskimi bandytkami”, stwierdza Denise.

W sąsiednim bloku – numer 26 – kobiety również stoją w kolejce po zupę, kiedy wchodzi strażniczka, młoda, ładna blondynka z kijem. „Dobrze wygląda”, mówi jedna z Francuzek, a wtedy strażniczka krzyczy: *Ruhe du alte Sau, ruhig toi, cochon!*, „Zamknij się, stara świnio, milcz, świnio”. Ładna blada twarz wykrzywia się, a kij spada na jedną z „ochotniczek”. Dziewczyna próbowała upiąć włosy w węzeł na czubku głowy.

*Französiner?* Uderzona kiwa głową. „Kto to jest?”, pyta blond strażniczka swoją tłumaczkę, więźniarkę, która podaje nazwisko, a potem, trzęsąc się, wyjaśnia po francusku, że włosy należy zaczesywać do tyłu i gładko, a każda, która się nie posłucha, zostanie załuczona na śmierć. Obserwując, jaki efekt wywarły te słowa na Francuzkach, dozorkczyni odwraca się i wychodzi. Polska blokowa krzyczy: *Achtung, alle ins Bett!* – „Uwaga, wszystkie do łóżek”.

Prycze są tak ciasno wypakowane, że aby wspiąć się na trzeci poziom, trzeba wdrapywać się jak małpa. Nocą nie da się dotrzeć do ubikacji bez przejścia przez setki śpiących, ale wiele kobiet nie zawraca sobie tym głowy, jeśli sędzić po smrodzie.

Denise, Suzanne i Christiane dzielą jeden siennik. Mają jeden koc i leżą w dołku pozostawionym w słomie przez nocne robotnice, które śpią tu za dnia. Nos Christiane niemal dotyka dachu. Jeśli wyprostuje ramię, dotyka francuskiej chłopki na sąsiedniej pryczy, która wykrzykuje imię swej córki.

Następną rzeczą, jaka do nich dociera, jest krzyk blokowej: *Raus, raus, achtung!* – i syrena zwołująca na poranny apel.

Obóz jest teraz tak wielki, że syrena obwieszcza pobudkę już o trzeciej rano. Wygonienie tych wszystkich kobiet pół godziny później z prycz i łazienek na zewnątrz wymaga silnej ręki. Dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć nowo przybyłych Francuzek stoi w szeregach ze swoimi towarzyszkami: Paryż,

Montluc, Fresnes, Dijon i Tulon czekają nieruchomo pod gwiazdami na policzenie. Ich trójkąty są czerwone, dla więźniarek politycznych, a numery zaczynają się od 27 030, a kończą na 27 988. Nie dano im jednak „F” jak Francuzki, chociaż Polki mają „P”, Rosjanki „R”, a czerwonoarmistki „SU”. To celowo, mówią. Niemcy chcą złamać narodową dumę Francuzek. Ale grupa jest tak duża, że wkrótce dostaje własną nazwę *vingt-sept mille*, odnoszącą się do numerów przydzielonych temu transportowi, wszystkich powyżej 27 tysięcy.

„Dziwki”, szepcze jedna z Francuzek, gdy pojawiają się dozorcynie w grubych czarnych pelerynach, z blond lokami idealnie ułożonymi nawet o tej porze.

Jest zimno i robi się jeszcze zimniej. Christiane jest na tyle wysoka, że widzi Lagerstrasse ponad głowami 18 tysięcy innych, tego stojącego w szeregach tłumu zjaw. Annie de Montfort ma ogoloną głowę, nieosłoniętą i błyszczącą od cienkiej warstewki lodu. Czerwony płomień z krematoryjnego płomienia pali się na końcu Lagerstrasse.

– *Die Nase nach vorne, Franzosensäue!* – wrzeszczy strażniczka. – Nosy przed siebie, francuskie świnię.

– *Les vaches!* – odpowiadają „ochotniczki”. – Krowy!

Nadzorcynie biją te, które przytupują dla rozgrzewki. Powiew mroźnego powietrza przenika cienką odzież więźniarek, potem szept przechodzi wzdłuż szeregów: „Stać bez ruchu, *les françaises*”, ale kogoś brakuje i liczenie zaczyna się od nowa, gdy szereg ciał przewraca się kolejno, „niczym kręgle uderzone jakąś niewidzialną kulą”. Wśród tych, które upadły, jest bibliotekarka z Dzielnicy Łacińskiej.

Zaginiona więźniarka zostaje wreszcie znaleziona. Wszystkie patrzą, jak broni się, wymachując ramionami przed korpulentną postacią z czerwoną opaską na ramieniu, która chwyta ją za włosy, odwraca, wyciąga bat i wymierza jej cztery ciosy w plecy. Kobieta nie rusza się. Czy umarła? Postać znika w ciemności.

„To Thury. Thury? Czy to strażniczka? Nie, to więźniarka”. Kobiety są przerażone odkryciem, że pilnują ich też więźniarki. Austriaczka Elisabeth Thury jest szefową „policji obozowej”. *La vache*, mówi Francuzka, patrząc na Thury<sup>460</sup>.

Z innej strony nadjeżdża „wrona” na rowerze. Pedalując, dostrzega kobietę,

która pokazuje jej język. To stara francuska chłopka, która krzyczy w dialekcie pirenejskim, niezrozumiałym nawet dla innych Francuzek. Wrona zsiada i kopie więźniarkę. Ta upada. *Alte Sau. Franzosensau.*

Na Lagerstrasse pojawia się biurko, przy którym siedzi Binz i sprawdza stan liczebny. Wreszcie, gdy *vingt-sept mille* wracają do bloku, są zeszywniałe i milczące. Rozlegają się szlochy. Stara kobieta prosi Denise, by delikatnie rozmasowała jej obolałe ręce. Amanda Staessart zauważa, że jej matka zupełnie osiwiła.

Ledwo wypijają „kawę”, a już muszą znów wyjść i dołączyć do *Verfügs*, robotnic bez stałego przydziału, na apelu roboczym.

Paryskie trio trafia do szufłowania piasku. Denise sugeruje, żeby budowały zamki z piasku dla zabawy, a gdy wracają pod koniec dnia, czują się na tyle dobrze, że maszerują wokół bloku „wyłącznie po to, żeby się pokazać”. Inne więźniarki obserwują Francuzki z zadziwieniem. *Franzosen*, mamroczą.

Zawsze w obozie były jakiegoś rodzaju „rudery” – bloki bardziej zatłoczone i brudniejsze od innych, zwykle na tyłach, zajmowane przez aspołeczne, Cyganki i inne z samego dołu hierarchii. Na początku 1944 roku obszar ruder stał się tak duży, że uznano go oficjalnie. Bloki od 27. do 31. ogrodzono drutem kolczastym. Blok 27., wybudowany dla 200 więźniarek, teraz mieścił ich 600, a każdego dnia przybywały nowe.

Większość Rosjanek i Ukrainek przydzielano do ruder, podobnie jak Żydówki, które znów przywożono do obozu. Wszystkie Francuzki kierowano tam automatycznie. Bez wyjątków: hrabiny, nauczycielki, córki generałów, „ochotniczki” i prostytutki wszystkie były *Franzosensäue*.

Suhren dbał o to, by blokowymi i sztabowymi Francuzek mianować Polki, uznając, że nienawidzą Francji za pozostawienie Polski bez pomocy w 1939 roku. Cztery lata wcześniej to Polki znajdowały się na dole hierarchii, nienawidzone i pogardzane, ale w miarę upływu czasu wiele z nich wyrwało się z ruder i teraz to Francuzki nienawidzono – może nawet bardziej niż Polki wcześniej.

Prawdziwa obozowa arystokracja trzymała się z daleka od ruder z powodu brudu i chorób, ale także z powodu grup samoobrony<sup>461</sup>. Nawet strażniczki w większości wycofały się z tego terenu, pozostawiając go w rękach obozowej policji. W blokach jednak często rządziły wszystkim potężne



*Puffmutter* (burdelmamy), takie jak „Tryprowa” Wanda<sup>462</sup>.

Anja Lundholm, niemiecka więźniarka wysłana do Ravensbrück w 1944 roku, napisała później o kobiecie nazywanej Tryprową Wandą, że przed wojną pracowała w wojskowym burdelu i słynęła w obozie z zarażenia całego oddziału żołnierzy rzeżączką. Jednak Wandy nie aresztowano za szerzenie choroby, ale za uduszenie nowo urodzonego syna, wrzucenie go do śmietnika i okrzyki: „Oto twój prezent, *mein Führer!*”.

Postacie takie jak Wanda przydawały się władzom jako donosicielki oraz do pomocy w znajdowaniu kobiet do burdeli. Kazano jej wypatrywać nowo przybyłych, „zdrowych i dobrze odżywionych”. Według Anji Lundholm Tryprowa Wanda była „anemiczna, z nabrzmiałą twarzą i odpychającym wyglądem, zawsze otoczona przez gromadę uległych kobiet – samych Niemek z czarnymi lub zielonymi trójkątami, którymi dyrygowała”.

Takie uległe kobiety, które Wanda mogła brać pod swe skrzydła, co tydzień przyjeżdżały do obozu; zwykle niemieckie „aspołeczne”, które utraciły domy wskutek bombardowań. Jedną z nich była Lydia Thelen. Aresztowana przez policję w 1943 roku za wałęsanie się po poczekalni dworca kolejowego w Kolonii, powiedziała na przesłuchaniu, że jej mąż służył podczas ofensywy w Kraju Sudeckim, a teraz stacjonuje we Francji. Oznajmiła, że ich mieszkanie uległo zniszczeniu podczas bombardowania i straciła wszystko, co miała. Żyła z zasiłku z biura do spraw ofiar wojny. Jednak policja miejska podejrzewała Lydię o prostytutkę. Orzeczono, że stanowi zagrożenie dla *Volk*, i zesłano do Ravensbrück, gdzie zmarła w październiku 1944 roku.

Nocą Tryprowa Wanda zbierała swoją grupę wokół siebie, by kobiety opowiadały jej historie, wspominała Anja Lundholm. „Wanda lubiła być zabawiana opowieściami miłosnymi, o seksie albo zbrodni”; sama Anja stała się jedną z opowiadaczek. Była w tym tak dobra, że Wanda nagradzała ją odrobiną jedzenia, co sprawiło, że inne więźniarki nienawidziły Anji i zazdrościły jej.

Córka francuskiego generała Christiane de Cuverville, która mieszkała wspólnie z takimi osobniczkami w bloku 27., a dziś mieszka w luksusowej XVI dzielnicy Paryża, widocznie się wzdraga, gdy wspomina postacie w rodzaju Tryprowej Wandy. „Tak, były tam podobne kobiety – *quelle horreur*”. To był *la pagaille* – dom wariatów – stwierdza, a potem podwija nogi, śmieje się i opowiada o *Jules*.

„Gdy po raz pierwszy *Jules* mnie nagabnęła, zaproponowała mi kawałek czekolady. Miały spodnie i marynarki i chodziły dokoła z papierosami w ustach, wyglądając bójkami albo seksu. Blok 27. był niemożliwy – *affreux*, straszliwy. Nie może sobie pani wyobrazić tego tłumy – Rosjanki, Cyganki i kryminalistki z niemieckich więzień, *les Jules, les Charlies*”.

Po kilku pierwszych dniach pracy przy piasku ręce paryżanek stwardniały, a ich skóra poszarzała – odzież, menażki, sienniki pełne były piasku. Wiele z piaskarek cierpiało na biegunkę, ponieważ ich żołądki po prostu nie mogły strawić zupy z surową brukwią, która według Denise Dufournier była „żółtawą cieczą wydającą obrzydliwy zapach”. Szerzyło się też zapalenie pęcherza moczowego, ponieważ brakowało wody do picia – jedyny napój stanowiło „czarne coś zwane kawą”.

W ciągu kilku tygodni niemal wszystkie Francuzki z *vingt-sept mille* pokryły czyraki, a kilka zapadło na gruźlicę. Te, które po przyjeździe twierdziły, że nie będą miały wszy, są pokryte rozdrapanymi wrzodami.

Część wierzyła, że jeśli dostaną pracę pod dachem, ich sytuacja się poprawi. Wszystkie wiedziały, że wybrane do Siemensa były lepiej karmione, by wycisnąć z nich więcej, ale nie wyglądały dużo lepiej; z nocnej zmiany wracały „niczym duchy o świcie”. Dla trzech paryżanek – Denise, Christiane i Suzanne – pomysł produkowania broni dla Niemców był najgorszym horrorem, więc spuszczały głowy i trzymały się kopania piasku.

Inne po prostu nie mogły znieść tortury apelu. Pewnego ranka kobieta stojąca obok Amandy Staessart upadła. Kiedy dozorczyńni poszczuła psem zboliałą więźniarkę, Amanda krzyknęła: „Co robisz, ty sadystko!” – więc trafiła do bloku karnego i wybierała ekskrementy z latryn razem z hrabiną Yvonne de la Rochefoucauld.

Hrabina pracowała w rewirze jako pielęgniarka, kiedy dostała polecenie, którego nie zrozumiała, więc odkrzyknęła: „Anglicy nadchodzą, lepiej naucz się angielskiego! Niemcy przegrali wojnę!”. Mogło się skończyć na ciosie pięścią, ale Carmen Mory, informatorka Ramdohra, podsłuchiwała i doniosła. Francuzka mówiła, że Mory wyglądała jak postać z obrazów Hieronymusa Boscha.

Mroźna zima przeszła w zimną, deszczową wiosnę. Woda lała się z dachów

runder, a w pracy mokry piach oblepiał stopy. Denise, Christiane i Suzanne znienawidziły piasek i jezioro. Ich nogi pokryły czyraki, ale nie mogły pójść do szpitala. Widziały lekarza – nowego, nazwiskiem Orendi – zaraz po przyjeździe i nie chciały go oglądać nigdy więcej. Ewidentnie nienawidził Francuzek. Kiedy po przybyciu zjawily się na badaniu, kazał im się rozebrać i stać na dojmującym zimnie, „jakby najnaturalniejszą rzeczą w świecie było rozbierać się w miejscu publicznym, pod gołym niebem, w temperaturach poniżej zera”, napisała Denise. Esesmański dentysta Martin Hellinger szukał złotych zębów, „by móc je później wydobyć”.

Wszystkie Francuzki przestały miesiączkować, a część zauważyła objawy wczesnej menopauzy. Przeprowadzono badania ginekologiczne pod kątem chorób wenerycznych, a tych samych instrumentów używano bez mycia przy kolejnych kobietach, więc wiele zaraziło się od innych. Niektórym kazano przełknąć substancję, od której pokryły się wysypką.

Starsze kobiety i ciężko chore trafiły do szpitala w daremnej nadziei na wyleczenie. „Gdzie pracujesz?”, pytał je Orendi, a jeśli któraś pracowała dla Siemensu albo w szwalni, mogła dostać *Innendienst*, zezwolenie na pracę pod dachem<sup>463</sup>.

Zwykle jednak podczas swego „dyżuru” w rewirze Orendi mijał chore albo je wyrzucał. *Es ist für das Reich. Sie müssen arbeiten gehen, krank oder nicht* („To dla Rzeszy. Muszą wracać do pracy, chore czy nie”)<sup>464</sup>. Innego dnia przechodził wzdłuż kolejki chorych, odwrócił się i wyszczerzył zęby. Wyciągnął pistolet z kabury, udawał, że celuje i strzela. Roześmiał się i krzyknął: „Byłoby lepiej, gdybym kilka zastrzelił!”. Kobiety zaczęły krzyczeć, a on znów wrzasnął: „Czemu nie?! I tak umrzecie!”.

Kiedy Amanda Staessart została jako chora zabrana z komanda czyścicielek latryn, usłyszała, że w rewirze jest jej matka.

Któraś powiedziała: „Chodź i zobacz matkę, bardzo z nią źle”. Zaprowadziły mnie do niej, a ona powiedziała, że wyzdrowieje, jeśli dostanę trochę mleka. A potem zmarła. Zostałam przy niej. Trwałam godzinami. Przyszła pielęgniarka i powiedziała: „Zabierz stąd matkę”. Musiałam zawlec ją do umywalni.

Tak, sama to zrobiłam. Musiałam ją ciągnąć. Nie wiem, jak to zrobiłam. I zostałam z nią w umywalni, póki nie przyjechała ciężarówka wypełniona trzydziestoma ciałami. A oni położyli

moją matkę, nagą, na wierzchu i wywieźli<sup>465</sup>.

Chyba wszystkie narodowości w obozie zauważyły, jak szybko zaczęły podupadać Francuzki. Niektóre mówiły, że to ich wyłączna wina. Czeszki gderały, że gdyby Francuzki nauczyły się myć, uniknęłyby świerzbu, opuchniętych nóg i czyraków. Francuzki bały się myć w zimnej wodzie, powiedziała pewna Czeszka, „ale my, Czesi, nie znaleźliśmy nic lepszego przed wojną”. Francuzki nawet gdy zachorowały, udawały, że nic się nie dzieje, i twierdziły, że cierpią z braku witamin.

Lekarka z Armii Czerwonej Ida Grinberg zauważyła, że Francuzki „były bardzo emocjonalne i dużo krzyczały”<sup>466</sup>. Inne mówiły, że Francuzki spędzały za wiele czasu na upiększaniu się poprzez smarowanie twarzy tłuszczem albo na wiązaniu kokard ze szmat czy przerabianiu strojów na modniejsze. Rosjanki zapamiętały, że często udawało im się wyglądać „całkiem szykownie”. Część najstarszych stażem stwierdzało, że Francuzki nie miały organizacji, przywództwa. W każdym razie nie miały czasu, by się zorganizować, zanim ich zdrowie zaczęło podupadać, a potem było już za późno.

Po przybyciu Francuzki nie miały wsparcia: żadna francuska blokowa się nimi nie opiekowała, nikt z kuchni nie przemycał im dodatkowego jedzenia. Nie miały żadnych wpływów; przybyły za późno, kiedy wszystkie dobre stanowiska były rozdzielone. A poza tym i tak nie chciały stanowisk od Niemców i gardziły więźniarkami, które pracowały dla SS, jak hrabina Karolina Lanckorońska, blokowa w bloku 27.

Po kilku miesiącach w uprzywilejowanym bunkrze Karolina Lanckorońska zażądała przeniesienia do normalnego obozu, uważając, że jej miejsce jest z innymi Polkami, ale zamiast tego została wyznaczona wpierw jako blokowa Rosjanek, a potem Francuzek. Początkowo oczekiwała spotkania z kobietami „reprezentującymi kulturę”, gdyż takie Francuzki znała. Zamiast nich zastała gromadę kobiet, które „skarżyły się, lamentowały prawie wszystkie i same siebie w ten sposób osłabiały moralnie”<sup>467</sup>.

Co rano grupa z każdego bloku szła do *Brotkammer* (magazynu chleba), by zabrać bochenki dla baraku, lecz Francuzki nigdy nie docierały tam na czas. „Trzeba je było dosłownie z bloku wyrzucać, bo inaczej nie tylko one, ale też ich koleżanki, które ciężko pracowały, pozostawały bez chleba”, wspominała

Lanckorońska, chociaż przyznawała, że pojemniki były ciężkie, a francuskie więźniarki słabe. „Ale wyjścia nie było”.

Co więcej, Francuzki przysparzały też innych kłopotów. Wyprowadzenie ich na apel było „potwornym [...] przedstawieniem”, ponieważ francuskie „agitatorki” celowo przeszkadzały w liczeniu, szepcząc: *Faites neuf rangs, faites onze rangs!*, mimo iż doskonale wiedziały, że szeregi mają liczyć po dziesięć osób. Binz lub inna strażniczka odwracała się wtedy i mówiła do Lanckorońskiej: *Natürlich die Französinnen!*, i wymierzała za karę dwie godziny stania po apelu, co wywoływało zapalenie płuc.

Żadna z więźniarek nie obserwowała pilniej przyjazdów nowych Francuzek niż Germaine Tillion, etnologa, i jej przyjaciółka Anise Girard, które spędziły w obozie cztery miesiące, zanim przyjechały ich rodaczki z *vingt-sept mille*. „Kiedy wkroczyły do obozu, ich widok był tak optymistyczny i radosny, że dał nam nadzieję – były jak bania tlenu – wspominała Anise Girard. – Ale równocześnie gnębiły nas obawy. Przyjechały z myślą, że wojna się skończyła. Były nieprzygotowane. Potem wydarzyła się tragedia”.

Na początku 1944 roku Germaine i Anise znajdowały się jednak w gorszym zapewne położeniu niż nowo przybyłe. W lutym obie zostały przydzielone do tajemniczego nowego bloku, numer 32. Znajdował się na samych tyłach obozu, koło ruder, ale był jeszcze bardziej odizolowany pod murem. Bez ostrzeżenia do bloku 32. wybrano około 300 kobiet. Usłyszały, że muszą się podporządkować całkowicie nowym, drakońskim zasadom.

Nie pozwalano się kontaktować z mieszkankami baraku 32.; zakazano zbliżania się doń i otoczono osobnym ogrodzeniem z drutu kolczastego. Więźniarek nie wypuszczano poza mury obozu, zakazano im wysyłania i odbierania poczty. Żadna z nich nie miała pojęcia, że oznaczono je jako NN – *Nacht und Nebel* – co znaczyło, że dosłownie miały zniknąć w mroku i mgłę, a nikt nie miał wiedzieć gdzie.

Norweżka Wanda Hjort po raz pierwszy odkryła istnienie tej złowieszczej kategorii w 1943 roku, kiedy usłyszała, że norwescy więźniowie przetrzymywani w Natzweiler w Alzacji zostali oznaczeni jako NN; przekazała tę informację Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi. Nikt jednak nie wiedział, że w styczniu 1944 roku został w Ravensbrück otwarty blok NN dla kobiet.

Hitler wydał tak zwany dekret „Noc i Mgła” w 1942 roku z zamiarem sterroryzowania i powstrzymania ruchu oporu w krajach zachodniej Europy. W pierwszych latach nazistowskiej okupacji stracono przywódców konspiracji, ale Hitler uznał, że to kreuje męczenników. Na mocy dekretu NN niebezpieczni konspiratorzy mieli być wysyłani do obozów koncentracyjnych i traceni potajemnie; ich nazwiska i miejsca pobytu zamierzano ukryć na zawsze. W ten sposób, uznał Hitler, ich rodziny i przyjaciele również będą cierpieć, żyjąc w wiecznej niepewności.

W jakimś momencie zimy 1944 roku te same rozkazy zastosowano do niewielkiej grupy kobiet w Ravensbrück, głównie więźniarek z Francji, Belgii, Holandii i Norwegii, jak również nielicznych Jugosłowianek i Polek. W bloku NN zamknięto też czerwononoarmistki i polskie „króliki”.

Ani Germaine, ani Anise nie rozumiały, dlaczego nagle zmieniły się zasady ich uwięzienia. „Wszystko wydawało się przypadkowe – powiedziała Anise. – Dlaczego strzygli jedną głowę po drugiej? Dlaczego rozstrzelowali jedną kobietę jednego dnia, a drugą następnego? Nie miałyśmy pojęcia. Ostatecznie zrozumialiśmy, że w ich postępowaniu nie ma żadnej logiki. Nasze historie nie różniły się zbyt od losów innych przywiezionych Francuzek”.

Matka Germaine, Emilie Tillion, która przyjechała wraz z *vingt-sept mille*, nie trafiła do NN, chociaż ona i córka działały w tej samej komórce ruchu oporu. Germaine z przerażeniem dowiedziała się, że jej matka trafiła do Ravensbrück, a teraz sama nie mogła wyjść z zamkniętej strefy, by ją zobaczyć.

Początkowo kobiety NN się bały. „Rozumialiśmy, że chcą nas trzymać w zamknięciu, żebyśmy były pod ręką w razie egzekucji”, wspominała Anise. Ale potem niewiele się działo i odkryły korzyści ze swego statusu. Wszystkie więźniarki były „polityczne” i silnie zmotywowane, zdolne utrzymać porządek w bloku – „nikt nam nie musiał mówić, jak sformować kolejkę po jedzenie”. A na dodatek oszczędzono im najcięższej pracy. Germaine Tillion znalazła nawet czas na kontynuację badań etnologicznych: zamiast studiować plemiona afrykańskie zaczęła badać obóz.

„Musi pani wiedzieć, że Germaine miała *une énorme tête* [nadzwyczajny umysł]”, twierdziła Anise, która poznała Germaine na peronie Gare du Lyon, gdy obie czekały na transport do Niemiec.

Weszłam na peron i zobaczyłam tę niską kobietę z bardzo dużą torbą – niczym worek ziemniaków. Powiedziała mi, że ma w niej swoją rozprawę o plemionach afrykańskich.

Planowała pracować nad nią w Niemczech, ale oczywiście nie miała pojęcia, dokąd jedziemy, więc oznajmiła, że się dowie, i wskazała jednego z niemieckich strażników. Powiedziała: „Spójrz, Anise, pokażę ci, jak się należy odnosić do dzikusa. Zapytam go, dokąd nas powiozą. Niemcy kochają naturę i zwierzęta. Zamierzam pokazać mu uroczą fotografię fenka i zobaczysz, jak się rozgada”. Podsunęła zdjęcie Niemcowi. Naturalnie, nic nie wiedział i kazał jej odejść – koszmarnie mówiła po niemiecku. Ale spodobał mu się fenek. I nie był zły. Zaproponował nawet, że weźmie list do mojej matki, i jak się potem dowiedziałam, dostarczył go<sup>468</sup>.

Anise planowała, że tego dnia ucieknie. „Sprawdziłam, czy mam buty dobre do biegania i bilet na metro. Mogłam to zrobić”. Zastanawiałam się, czy nie żałuje, że nie spróbowała.

Do ucieczki potrzeba wiele odwagi. Opuścić grupę i zaryzykować. A ja bałam się, że zabiorą moich braci. Wiedziałam, że jeśli uciekniesz, to zabierają twoją rodzinę. Ale tak, miałam poczucie winy, że tego nie zrobiłam. A potem Germaine też. Byłam duża i silna. Ona bardzo mała. Nie nadawała się do ucieczki. Była myślicielką, nie biegaczką.

Tak więc Anise pomogła Germaine wnieść papiery do pociągu, a kiedy znalazły się w bloku NN, znów jej pomogła. Po zapadnięciu na dyfteryt po przyjeździe Germaine utykała. „Więc opierała się na mnie. To wtedy zaczęły nazywać nas Don Kichotem i Sancho Pansą”.

Od razu po przybyciu wyniki badań Germaine nad plemionami afrykańskimi zostały skonfiskowane, ale wkrótce pochłonęły ją studia nad Ravensbrück. Niemal od razu zauważyła, że większość słabych i odizolowanych więźniarek była bardziej *déracinées*, wykorzeniona, niż znała to z Afryki. Przepaść między posiadającymi a nieposiadającymi – *Schmuckstücke* – była większa niż między królową Anglii a londyńskim ulicznikiem.

Wkrótce Germaine zaczęła zbierać dane na temat przyjazdów i wyjazdów oraz próbowała oszacować liczbę zmarłych – oraz „żywych trupów”, jak opowiadała Anise. Szybko zrozumiała, że to miejsce powolnej eksterminacji. Wiedziała, że wyjazd transportu na Majdanek 3 lutego został celowo wyznaczony tak, żeby zwolnić miejsce dla *vingt-sept milles*, które przyjechały później tego samego dnia. „Byłyśmy świeżym towarem”, wspominała Anise.

Germaine słyszała także, że czarne transporty wciąż opuszczają obóz. Niemcy regularnie opróżniali salę w rewirze zwaną *Idiotenstübchen*. Nocą po „idiotki” przyjeżdżały ciężarówki, ale nikt nie wiedział, dokąd jadą ani kim są chore.

Kilka więźniarek pracujących w szpitalu w tym czasie też zbierało

informacje o czarnych transportach. Opowiadały o półnagich kobietach rzuconych na ciężarówkę, z fioletowymi numerami wypisanymi na plecach. Kierunek tych transportów okrywała większa niż zwykle tajemnica. Majdanek, cel ostatniego wielkiego transportu śmierci, został już ewakuowany.

Po oburzeniu wywołanym przez transport na Majdanek konwoje organizowano w większej tajemnicy. Te małe czarne transporty zostały tak zakamuflowane, że nawet dziś niewiele wiadomo o miejscach ich przeznaczenia. Niemiecka pielęgniarka Gerda Schröder, która przyjechała w kwietniu 1944 roku, zeznała później: „Wiedziałam, że umyślowo niedorozwinięci idą do transportu i że są eksterminowani. Uważam, że miejsce eksterminacji znajdowało się niedaleko Ravensbrück”. Obozowa donosicielka Carmen Mory zasugerowała podczas przesłuchania, że część czarnych transportów nawet nie opuszczała obozu.

Pewnej lutowej nocy Mory siedziała w celi w bunkrze i podsłuchiwała rozmowę strażników. „Z mojego okna w bunkrze widziałam komin krematorium, który nagle zaczął dymić”, opowiadała. Usłyszała, jak esesman mówił do strażniczki na temat dymu: „Zabijają kobiety z *Idiotenstübchen*”<sup>469</sup>. Dozorczyńni spytała, jak to wygląda. Esesman opowiedział, że co wieczór do *Idiotenstübchen* podjeżdża ciężarówka, a wybrane więźniarki są wiezione do krematorium. Tam są zabijane „w jakiś sposób” i palone.

Mory wydało się to nowiną, że kobiety zabija się na miejscu w obozie. Próbowała zweryfikować to po powrocie do bloku. Spytała swą koleżankę, donosicielkę Giolanthę Prokesch, co się działo. Według Mory Prokesch potwierdziła większość historii i stwierdziła, że zanim ofiary wyjadą, zbiera się komisja lekarska w celu przeprowadzenia selekcji: „Najpierw ofiary badał zespół lekarzy, włącznie z doktorem Treitem, jego szefem, doktorem Trommerem, i psychiatrą z Berlina. Przez ponad sześć godzin lekarze wybrali sześćdziesiąt osób, stawiając czarny krzyżyk przy nazwisku”.

Prokesch opowiedziała Mory, że przez dziesięć dni lutego ciężarówka przyjeżdżała co wieczór i zabierała po siedem lub osiem upośledzonych; niekiedy zjawiała się dwa razy podczas wieczoru. Kiedy Mory spytała, jak ginęły kobiety, Prokesch stwierdziła, że ponoć pierwsze grupy były bite na śmierć, a potem palone. Ale Suhren martwił się, że bicie wywołuje za dużo hałasu, więc resztę zabito zastrzykami, a potem spalono. Listy ofiar szybko niszczone<sup>11.470</sup>



W kwietniu Francuzki umierały szybciej niż jakakolwiek inna narodowość. Germaine Tillion miała później powiedzieć, że powód był prosty: nie mogły jeść, więc traciły siły, a wraz z nimi chęć do życia. Karolina Lanckorońska zauważyła, że sposób, w jaki Francuzki nagle zaczęły umierać, był „rzeczą potworną”:

Gasły bez walki, bez agonii, nieraz we śnie. Coraz częściej rano, tuż przed apelem, przybiegała sąsiadka: „Madame XY umarła!”. – „Kiedy?” – „Nie wiem, rano jeszcze rozmawialiśmy, potem wstałam, a teraz zastałam ją stygnącą!”

[460](#) Elisabeth Thury, socjaldemokratka i dziennikarka, została aresztowana w Wiedniu pierwszego dnia walki z działalnością antynazistowską. W Ravensbrück pracowała przy porządkowaniu kartoteki w magazynie odzieżowym, a w 1943 roku awansowała na szefową policji obozowej. Isa Vermehren, zakładniczka z bunkra, wspominała, że Thury „była żądna władzy i wulgarna” i że kobiety „bały się jej ciosów”. Miała „dużą głowę, siwe włosy obcięte po męsku” i niekiedy dyrygowała obozowym chórem „z gwałtowną sentymentalnością”. Inne relacjonowały, że Thury w pewnym stopniu starała się chronić więźniów przed brutalnością SS.

[461](#) Jedną z takich grup było „Komando Ducha Świętego”. Według więźniarki Joanny Baumann, pięcioosobowa grupa „rozprawiała się z więźniarkami, które okradały lub zdradzały inne”. Pobito na przykład prostytutkę z Dortmundu, która kazała innym wykonywać swoją ciężką pracę. Zob. Baumann, BAL 162/448.

[462](#) Lundholm, *Das Höllentor*.

[463](#) Poziom zachorowań w lutym 1944 roku w zakładach Siemensa był tak wysoki, że Richard Trommer, naczelnny lekarz, złożył bezprecedensową wizytę w fabryce, chociaż nie po to, by leczyć chore, ale by wybrać najsłabsze kobiety przed przybyciem ważnych gości. Dwa dni po inspekcji Trommera przyjechała z Berlina delegacja wysokiego szczebla, żeby obejrzeć zakłady Siemensa. Zob. Miesięczny raport Siemensa, 23 lutego 1944, SA.

[464](#) WO 309/416.

[465](#) Wywiad autorki.

[466](#) Wywiad autorki.

[467](#) K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 283 i nast.

[468](#) Wywiad autorki.

[469](#)<sup>0</sup> WO 309/149.

[470](#)<sup>11</sup> Germaine Tillion zeznała na procesie w Rastatt, że od obozowych sekretarek dostała informację, iż w 1943 i 1944 roku około 60 małych „czarnych transportów” opuściło obóz. Tillion, „Procès verbal”, 11 czerwca 1949 roku, Tribunal General de Rastatt, akta przechowywane w Archives diplomatiques du ministère de Affaires étrangères w Colmar.

## Rozdział 23

### Siła przetrwania

Dopiero na początku kwietnia meklemburskie słońce dało nieco ciepła, ale nawet wtedy w podoboziu Neubrandenburg odczuwało się je dopiero w godzinach popołudniowych. „Nadal marzyliśmy godzinami rano w sukienkach bez rękawów, stojąc na wietrze – wspominała Micheline Maurel – ale później było ciepło i bezchmurnie. A Neubrandenburg ma rzeczywiście piękne niebo, było cudowne”.

Najbardziej nasłonecznione miejsce znajdowało się za barakami odwszalni. Kucając tam, gdzie ciepło ściany spotykało się z ciepłem ziemi, przyjaciółka Micheline, Odette, stwierdziła: „Faktycznie, zaczynam do tego przywykać. Myślę, że teraz mogłabym nawet wytrzymać przez dwa miesiące, w razie potrzeby”.

Niedaleko kobiety znalazły grzyby, które zebrały i połączyły ze szczawiem i mleczem, a potem zjadły, wyobrażając sobie dodatek oliwy. Obserwujące to Rosjanki dziwiły się francuskiemu delikatesowi, więc zerwały wszystkie grzyby, a kiedy Francuzki wróciły po więcej, nic nie znalazły – Rosjanki sprzedawały je za chleb.

Rozmowę o dwóch miesiącach wywołały nowo przybyłe, które stwierdziły, że wtedy Amerykanie i Brytyjczycy wylądują we Francji.

Wiosną 1944 roku więźniarki napływały do Ravensbrück w zaskakującej liczbie. Tylko w marcu do obozu trafiły 4052 kobiety – trzy razy więcej niż rok wcześniej – co zwiększyło populację do 20 406, do rozmiarów sporego miasta. Polki zgarnięte przed nadejściem Armii Czerwonej nadal stanowiły największą grupę, a jeśli potrzebny był dowód, że Rosjanie postępują, pojawił się wraz z przybyciem w marcu więźniarek z Majdanka koło Lublina. Armia Czerwona znalazła się tak blisko, że Hitler nakazał ewakuację tego obozu i przeniesienie więźniów dalej na zachód.

W kwietniu z Pragi dotarł duży konwój, 500 osób. Ponownie nowo przybyłe przywiozły nadzieję, że Amerykanie i Brytyjczycy lada dzień wylądują na kontynencie – kolejna „bania tlenu”. Świadomość, że alianckie armie zbliżają się od wschodu i od zachodu, dała części więźniarek nową siłę, by wytrzymać.

Micheline Maurel pamięta, że życzliwość obcej osoby pomogła jej znaleźć wolę przetrwania. Pewnego wieczoru, kiedy więźniarkom wydawano zupę z kaszą manną, którą, w przeciwieństwie do zupy z kapusty, mogła pić – podeszła do niej kobieta i powiedziała: „«Micheline, myślę, że tę zupę możesz zjeść. Weź też moją». I przelała mi swoją porcję do miski, a tego dnia nic nie jadła”. Więźniarka знаła imię Micheline, ale Micheline nie znała jej, wiedziała tyle, że była „francuską prostytutką – z grupy, która trzymała ze sobą”.

Również Denise Dufournier wytrwała dzięki pomocy nieznajomej. Denise dwa razy uniknęła selekcji do podoboju, ale trzecim razem opuściło ją szczęście; wezwano ją na przegląd lekarski, którego nie powinna przejść. Gdy czekała na wyniki w rewirze, belgijska pielęgniarka szepnęła: „Nie co dzień można zrobić dobry uczynek, ale wykreślę twoje nazwisko z listy. To będzie pierwszy raz, kiedy coś takiego zrobię”. Pielęgniarka, od niedawna w obozie, dodała: „Ale nic nie mów, bo to może mieć dla mnie poważne konsekwencje”.

Denise martwiła się o moralną stronę uniknięcia swej kolejki, gdyż zamiast niej mógł być wysłany ktoś słabszy. Ale nie martwiła się długo i wróciła ze swymi przyjaciółkami, Suzanne i Christiane, do wydobywania piasku, co nagle nie wydało się takie złe: przynajmniej nie robiły broni dla Niemców. Co ważniejsze, belgijska pielęgniarka nauczyła Denise, że w systemie są luki. Nawet w obozie koncentracyjnym można łamać zasady.

Kobiety, które były w obozie znacznie dłużej niż Denise, zauważyły, że wiosną 1944 roku zasady dawało się łamać dużo łatwiej. Przeludnienie oznaczało, że porządek się sypał: brakowało dozorczyń, nowo powołane było łatwiej oszukać, a podczas nalotów, które zdarzały się coraz częściej, całe SS rozpraszało się w strachu.

Więźniarki podejmowały większe ryzyko. W marcu dwie kolejne Polki uciekły, tym razem z zewnętrznego komanda. Później wysłały pocztówkę do komendanta, życząc mu „dalszych sukcesów w pracy”.

W liście do domu z początku 1944 roku Krysia Czyż opowiadała rodzinie o „zmianach na lepsze”. „Wcześniej szło się do bloku karnego za cokolwiek – albo do bunkra – ale teraz wiele uchodzi płazem. I tyle rzeczy można

przeprowadzić”, napisała. Jak zwykle nie starczało lekarstw dla jej okaleczonych przyjaciółek: „Czy moglibyście przysłać propidon na nogę Niny?”.

Pomimo mile widzianej zmiany Kryśka miała nowe obawy. Jej listy z początku 1944 roku tchną lękiem, że przesuwanie się frontu wschodniego doprowadzi do zerwania wszelkiej łączności z Polską – legalnej i nielegalnej. Już w styczniu myślała o nowych sposobach utrzymania komunikacji, gdy Armia Czerwona dotrze do Lublina. Moze „listonosz” Nius „pomógłby Wam”, pisała 28 lutego. W czerwcu była pewna, że jej list jest ostatnim. „Jeśli możecie, przyslijcie także preparat wapniowy jako «mleko w proszku». [...] Jeśli będzie adres Niusia u Was, przyslijcie pastę. Boimy się bardzo zbliżającego się do Was frontu. Myślimy o wszystkich”.

Denise Dufournier i jej paryskie przyjaciółki po raz pierwszy próbowały złamać zasady podczas apelu dla więźniarek bez przydziałów do grup roboczych (*Verfügs*). Wraz ze wzrostem liczby więźniarek liczba robotnic bez przydziału często przewyższała popyt, więc w pewne dni dziewczętom udawało się w ogóle nie chodzić do pracy.

Odkryły też, jak przejść do lepszych komand. Najpopularniejsze były drużyny zajmujące się ogrodnictwem i przeprowadzkami, ale do nich trudno się było dostać, a jeśli nie miały się na baczności, cała trójka trafiała do najgorszych robót, usuwania śmieci albo rozładowywania barek z węglem. Grupy zajmujące się odwszawianiem bądź noszeniem trupów już były obsadzone, więc nie miały szans, by do nich trafić. Najbardziej się obawiano komanda opałowego; jego członkinie wchodziły do ogromnej piwnicy zawałonej po sufit węglem, wspinały się na szczyt i szuflowały, podczas gdy na kobiety niżej schodziły lawiny opału.

Paryżanki wkrótce poznały sztuczki pozwalające uniknąć również najgorszych komand. Jedna z nich polegała na ukryciu się w zawsze długiej kolejce chorych pod rewirem albo między nocnymi robotnicami Siemensa, które były zbyt wyczerpane, by cokolwiek zauważyć, gdy czekały na powrót do bloków i sen. Albo też dziewczęta owijały głowy szalami skradzionymi z magazynu odzieżowego i kuśtykały jak stare kaleki, podczas gdy kapo wybierały silniejsze kobiety.

Inny wybieg stanowiło ukrycie się między coraz większą grupą „różowych

kart” – kobiet, którym pozwolono pracować w blokach. Podczas apelu roboczego więźniarki te stały w wydzielonym miejscu, a najślabszym pozwalano siedzieć na stołkach. Według Denise Dufournier, istniały nawet „lipne” różowe karty, które udawały inwalidztwo, i kiedy selekcja się kończyła, takie cwaniary „zabierały stołki i odchodziły”.

Pewnego dnia paryskie *Verfügs* zostały wybrane do drużyny ogrodniczej. Uzbrojone w widły i motyki, kopały wokół domu Edmunda Bräuninga, kochanka Binz, i obserwowały, jak jego synowie idą do szkoły w Fürstenbergu z raketami tenisowymi i książkami.

Komando przeprowadzkowe było najlepsze ze wszystkich z powodu swej mobilności, więc kiedy zostały do niego wciągnięte, nie pozwoliły nikomu się stamtąd wypchnąć. W tamtym okresie cały obóz był w ruchu, więźniarki zmieniały bloki, sekretarki przenosiły biura, a strażnicy – baraki; jak zwykle, by zrobić miejsce dla nowo przybyłych. Ekipa przeprowadzkowa miała mnóstwo roboty, przenosiła prycze i piece, szafy na akta i baseny – wszystko, co tylko zmieściło się na ich drewniany wózek, który pchały w tę i z powrotem podczas niekończących się kursów. Często wydawało się, że przewożą te same rzeczy w kółko, po kilka razy w tygodniu, ale przynajmniej oznaczało to możliwość zobaczenia nowych miejsc, o których istnieniu nawet nie śniły.

Z przodu obozu zaglądały do bloków 1., 2. i 3., gdzie uprzywilejowane więźniarki żyły „jak królowa Anglii”, jak to ujęła Germaine, z pojedynczymi siennikami, schludnie złożonymi prześcieradłami, poduszkami i dwoma biało-niebieskimi kocami. W *Schreibstube* widziały dobrze odżywione sekretarki, które mieszkały w tych elitarnych blokach, w pasiakach niepokalanych w porównaniu ze szmatami z Auschwitz, wydawanymi zwykłym więźniarkom. Według nowych zasad wszystkie więźniarki noszące ubrania cywilne musiały mieć wielki czarny krzyż wymalowany na plecach, żeby zapobiec kolejnym ucieczkom.

Przechodząc obok obozowej kuchni, pracownicy komanda dostrzegały lśniące maszyny i kucharki, które „zdawały się zajęte wszystkim, tylko nie garnkami i patelniami”, ale jedna z nich, Katia, polubiła Denise i spytała paryżankę, czy nauczy ją francuskiego. Mijały psie kojce, również tłoczne, ponieważ zwiększono liczbę przewodniczek psów – kolejne posunięcie w celu powstrzymania ucieczek.

Najwspanialszy ze wszystkiego był widok *Bekleidungswerk*, magazynu odzieżowego, który Christiane nazwała „Galeries Lafayette”. W magazynie

składowano rzeczy odebrane kobietom po przyjeździe. Było tam wszystko, o czym tylko można zamarzyć, wspominała Christiane: bielizna, buty, srebra, książki, lekarstwa, często francuskiego lub polskiego pochodzenia, z czego wszystko chętnie „organizowały” zatrudnione tam więźniarki.

Ostatnim przystankiem komanda przeprowadzkowego zwykle były baraki szpitala, gdzie często wpadały na wózek z ciałami, który rozpoczynał swoją rundę. Ekipa grabarska najpierw zabierała zwłoki z rewiru, potem szła do bunkra i kolejnych baraków, zbierając więcej trupów, które układała niczym kłody pod murem krematorium, obok kupy prochów.

W ciągu kilku tygodni paryżanki obejrzały każdy zakątek obozu. Pewnego dnia wysłano je, żeby przewiozły meble do nowych baraków dla dozorczyń, gdzie mogły rzucić okiem na życie nowo zwerbowanych kobiet. Te nowe baraki nie przypominały dobrze wyposażonych kwater oferowanych wcześniej rekrutowanym ochotniczkom; przypominały raczej te zamieszkałe przez więźniarki, z dwoma szeregami trzypiętrowych prycz. W jednym z baraków Francuzki zauważyły prycze stłoczone niemal jak w ich własnym bloku oraz stoliki zaśmiecone czerstwym chlebem, niedopałkami papierosów i żelazkami do karbowania włosów.

Następnym razem, gdy komando posłano do baraków dozorczyń, zadanie polegało na przesuwaniu szaf tak, by do pomieszczeń dało się wcisnąć jeszcze więcej poborowych. Tym razem Francuzki z przyjemnością przetrząsały rzeczy Niemek, otwierając szuflady i wyrzucając zawartość – „pospolite ubrania i tanie perfumy” – na podłogę.

Trudno powiedzieć, kim były te niemieckie strażniczki, ponieważ większość ich akt osobowych została zniszczona w ostatnich tygodniach wojny. Zachowała się jednak karta Elfriede Huth, którą zatrudniono w Ravensbrück jako przewodniczkę psa w czerwcu 1944 roku. Huth mieszkała przy Holzhauserstrasse 36 w Lipsku i – co ważne, zważywszy, że Lipsk zrównały z ziemią alianckie bomby – budynek ten stoi do dziś. Osiemdziesięcioośmioletnia Leonore Zimmermann podchodzi do drzwi jednego z mieszkań i wspomina przyjazny uśmiech Elfriede Huth.

„O tak, Elfriede była miłą dziewczyną – nie wyjątkową pod żadnym względem – ale zawsze miłą. Pызata, z rudoblond włosami, zwykła zatrzymywać się przy naszym mieszkaniu, żeby w drodze do pracy porozmawiać. Zawsze pytała, czy potrzebujemy czegoś ze sklepu. Jej ojciec

był stolarzem – ale bez grosza, jak pamiętam”<sup>471</sup>.

Leonore opowiada, że przed wojną Elfriede pracowała jako szwaczka dla żydowskiego handlarza futrami; potem, w 1942 roku, lipskich Żydów popędzono ulicami i wywieziono do obozów śmierci w Treblince i Auschwitz. „Patrzyliśmy, jak wyjeżdżają – mówi Leonore, która wie, iż Elfriede też to widziała. – Ale nie mieliśmy pojęcia dokąd – coś tam jednak podejrzewaliśmy”.

Gdy handlarz futrami zniknął, Elfriede rzuciła szycie. Jej akta pokazują, że zaczęła pracę jako nadzorczyńi w jednej z miejskich fabryk zbrojeniowych, która zatrudniała robotnice przymusowe z Ravensbrück. Stąd została powołana do Ravensbrück. Po kilku dniach szkolenia zaczęła pracę jako przewodniczka psa.

Komando przeprowadzkowe nie było jedyną grupą więźniarek pogardzających nowymi dozorczyńiami, które zjawiły się w obozie w 1944 roku. Krysia Czyż już w czerwcu 1943 roku napisała rodzinie, że nowe nadzorczyńie są coraz słabiej wykwalifikowane:

[...] dozorczyńie kradną przy każdej sposobności, np. potrafią z kopca kraść szparagi w majątku, w kolumnie jabłkowej kradną jabłka koszami. Dobijają się o co lepsze kolumny, podstawiają sobie stolki, żrą się. Dozorczyńie pracujące w warsztatach posuwają się do kradzieży kromek chleba (rozdawanych o północy) chorych więźniarek.

Więźniarki słyszały, jak strażniczki rozmawiają o utracie domów podczas bombardowań albo o braciach i ojcach na froncie. Przyjeżdżały nawet ciężarne nadzorczyńie, wspominała Edith Sparmann, więźniarka fryzjerka, która obserwowała, jak ciężarna rekrutka podczas apelu wyciągnęła z szeregu Żydówkę i skopała ją do nieprzytomności. Potem ta sama strażniczka przyszła do Edith i zażądała czesania.

„Czasami po prostu przychodziły, znajdowały mnie i prosiły o czesanie – mówiła Edith. – Ale tej dziewczynie odmówiłam. Powiedziałam jej, że nie podobało mi się to, co widziałam, i że powinna pomyśleć o tym, jak jej czyn wpłynie na nienarodzone dziecko, jego fizyczny i moralny stan. Bardzo się zdenerwowała i zaczęła płakać”<sup>472</sup>.

Lotte Silbermann, kelnerka w kantynie, zauważyła również pogorszenie w zachowaniu esesmanów. Zaczęły się pijackie orgie zawsze po tym, jak pluton egzekucyjny – Pribill, Pfab, Schäfer i Conrad – przychodził do kantyny



po dodatkowe racje żywnościowe, czyli zwykle ogromny sznycel, wino, wódkę i papierosy „do woli”.

Obsługujący ich personel był przerażony, mówiła Lotte, która wspominała, jak pewnego razu Pribill wszedł za kontuar, wyjął mały rewolwer „i przyłożył go do karku mojej przyjaciółki Lottie Guttman, mówiąc: «Czy mam pociągnąć za spust?». Wyszli i zaczęli pić w drugiej sali. Otworzyli okno i kolejno wymiotowali na trawę pod nim. Musiały przyjść badaczki Pisma Świętego i posprzątać”<sup>473</sup>.

Edmund Bräuning, zastępca Suhrena, urządzał w kantynie własne orgie ze swymi ulubionymi strażniczkami – szczególnie z Rosel Laurenzen i Dorotheą Binz, które „gorąco rywalizowały o jego uczucia”, jak twierdzi Lotte. „A my musiałyśmy to wszystko oglądać. Palili, pili i jedli tylko to, co najlepsze. Musiałyśmy dyskretnie przynosić alkohol, żeby inni esesmani nie zauważyli. Dlatego okrywałyśmy wszystko płótnem”.

Pewnego niedzielnego poranka Bräuning poszedł do bunkra po grupę więźniów, których trzymano tam w oczekiwaniu na powieszenie. Bräuning zaprowadził mężczyzn do zielonej ciężarówki, potem sam się na nią wspiął. W tym momencie „nadbiegła Binz, krzycząc: «Poczekaj na mnie, poczekaj na mnie, chcę to zobaczyć!»”.

Raz w miesiącu odbywał się *Kameradschaftsabend* – wieczór koleżeński dla esesmanów. Suhren otwierał imprezę, mamrocząc kilka słów, „ale nie umiał mówić, więc przewodzenie ceremonii na resztę wieczoru przejmował Bräuning; jednak wkrótce upijał się do nieprzytomności przez chodzenie od stolika do stolika, zawsze w towarzystwie Binz, ponieważ była tak zazdrosna – a przecież Bräuning miał żonę i dzieci”. Większość wyższych rangą esesmanów przyprowadzała na takie okazje swoje małżonki, ale nie Bräuning.

Wkrótce wszyscy byli pijani i tracili kontrolę. „My, kelnerki, przy takich okazjach byłyśmy narażone na odrażające rzeczy. Suhren wychodził, ale inni pili aż do rana”.

Po dniu pracy francuskie komando przeprowadzkowe wracało jak zwykle do swego baraku, gdzie wczesną wiosną narastało bezprawie, a banda Ukrainek zagarnęła terytorium za stosem szafek, które niszczały w słońcu. W bloku słoma wystawała z sienników, przez co prycze „wyglądały jak chlew”, ale dla ożywienia wnętrza *groupe de comtesses* powiesiła czerwone szmaty na

powybijanych oknach. Nawet tu pogarszanie się warunków miało swoje dobre strony.

W bloku panował taki tłok, że żadna dozorczyńca nie mieściła się między pryczami, rzadko więc przeprowadzały kontrole i Francuzki mogły bezpiecznie trzymać swoje skarby – szal, ziemniak od Katii, ołówki... – w siennikach. Przed snem siadały po turecku jedna za drugą, iskając się nawzajem i plotkując przy rozgniataniu wszy paznokciami.

Starsze Francuzki również zaczęły się organizować i wyłoniła się grupa inteligentek, z Emilie Tillion, matką Germaine, która ze swej pryczy wygłaszała wykłady z historii francuskiej sztuki i kultury. Tymczasem Annie de Montfort (z domu Arthémise Deguirmendjian-Shah-Vekil; jej rodzice uciekli przez masakrą Ormian dokonywanymi przez Turków w 1915 roku) prowadziła seminarium z historii Polski. W 1919 roku Annie założyła w Paryżu towarzystwo francusko-polskie, a podczas niemieckiej okupacji prowadziła – wraz z mężem, Henrim de Montfortem – podziemny magazyn „La France continue”, co doprowadziło do jej aresztowania. Francuskie inteligentki połączyły siły z wykształconymi Polkami i stworzyły „międzynarodowe stowarzyszenie”, mające promować więzi kulturalne między wszystkimi grupami więźniarek. Chaos pozwolił kobietom stworzyć większe poczucie wspólnoty niż kiedykolwiek wcześniej, opowiadała Maria Moldenhawer, jedna z organizatorek stowarzyszenia. „Delegatki” z każdego kraju robiły plany kontynuowania pracy po wojnie, „ale z powodu śmierci najbliższych osób w grupie i z innych powodów okazało się to niemożliwe”<sup>474</sup>.

Ewidentnie – i wbrew oczekiwaniom Suhrena – Polki nie czuły niechęci do Francuzek, chociaż te jako grupa narodowa wciąż zadziwiały inne więźniarki. Nawet frankofilka Maria Moldenhawer zdawała się nie wiedzieć, co o nich myśleć. Część Francuzek stanowiły „najgorsze typy uliczne”, mówiła, podczas gdy francuskie więźniarki polityczne „pochodzące z narodu, który nie znał niewoli, często bardzo śmiało, chociaż nierozsądnie, sprzeciwiały się rozkazom władz, i to z wielką brawurą”.

Maria Moldenhawer mogła mieć na myśli Jacqueline d’Alincourt, jedną z *groupe de comtesses*, która wczesnym latem 1944 roku miała „śmiałość” sprzeciwić się próbom władz wysłania francuskich więźniarek do pracy w burdelach.

Latem 1944 roku zaczęły działać trzy nowe obozowe burdele Himmlera, ale dotkliwy był brak pracowników; niemieckie „aspołeczne” przybywające do Ravensbrück okazywały się zbyt wyniszczone do tej roboty. W grudniu Polki zaprotestowały przeciwko próbom werbunku<sup>475</sup>, podobnie jak grupy Rosjanek i Ukrainek. Krążyły tak straszliwe opowieści o tym, co dzieje się w obozowych domach publicznych, że niewiele kobiet dawało się skusić, nawet jeśli oznaczało to wyrwanie się z Ravensbrück, a nikt nie wierzył w kłamstwa, że ochotniczki zostaną zwolnione po sześciu miesiącach.

Kobieta, która wróciła w 1944 roku po sześciu tygodniach w burdelu, opowiedziała Anji Lundholm o grozie gwałtów i molestowania. „Co rano prostytutki musiały wstać i dać się wykapać strażniczkom. Po kawie przychodzili esesmani i zaczęli gwałcić i molestować kobiety. Trwało to po szesnaście godzin dziennie, z dwuipółgodzinną przerwą na obiad i kolację”<sup>476</sup>.

Fredericka Jandle, Austriaczka pracująca w *Schreibstube*, miała przyjaciółkę z Wiednia, która zgłosiła się na ochotnika. „Wierzyła, że ją zwolnią, jeśli się zgodzi. Próbowałam ją powstrzymać, ale powiedziała mi: «Nie mam nic do stracenia». Wróciła sześć miesięcy później. Była wykończona. Całkowity wrak. Zniszczona. Powiedziała, że żałuje, że mnie nie posłuchała”<sup>477</sup>.

Nowo przybyłe Francuzki jednak nie poznały jeszcze prawdy, więc wśród *volontaires* i prostytutek przywiezionych z domów publicznych esesmani znaleźli chętnie ochotniczki.

„Początkowo nic nie rozumiały, te kobiety” – mówiła Jacqueline d’Alincourt. Zaledwie dziewiętnastoletnia w chwili przybycia do obozu, wysoka, elegancka arystokratka ze zgrozą odkryła, że dzieli barak nie tylko z „brutalnymi rosyjskimi chłopkami i cygańskimi złodziejkami”, ale też „z całym burdelem z Rouen”. „Były niewykształcone”, powiedziała mi.

Nie miały czego się trzymać – żadnej religii, żadnych wartości. Pamiętam jedną z tych nieszczęśnic leżących na sienniku i pytających: „Czemu tu jestem, czemu tu jestem?”. My, z ruchu oporu, przynajmniej to wiedziałyśmy. Górowałyśmy duchem, rozumie pani. Nie chciałyśmy umierać w Niemczech i pragnęłyśmy znów zobaczyć Francję. Ale te istoty nie miały pojęcia, skąd się tu wzięły. To była kwestia ducha.

Więc my, polityczne, zebrałyśmy się i postanowiłyśmy zrobić listę wszystkich, które się zgłosiły do wyjazdu. I powiedziałyśmy im, żeby zrezygnowały z tej pracy. Powiedziałyśmy: *Non! Ce n'est pas question de ça!* [Nie ma o tym mowy]. Byłyśmy bardzo zdecydowane. I uważnie obserwowałyśmy, co zrobią<sup>478</sup>.

Spytałam Jacqueline, z którą spotkałam się w jej mieszkaniu niedaleko Łuku Triumfalnego, czy znała nazwiska francuskich prostytutek – może tych z Rouen – ale wyglądała na zdziwioną taką sugestią i odparła, że nie. „Te kobiety nie spisywały swoich wspomnień – mówiła. – A po wojnie z pewnością nikt ich nie zapraszał do żadnych stowarzyszeń deportowanych. Nie działały w ruchu oporu”<sup>479</sup>.

Francuskie prostytutki z Ravensbrück są równie dokładnie zapomniane, jak niemieckie; żadne z opublikowanych francuskich wspomnień nie zawiera ani jednego nazwiska prostytutki czy *volontaires*, chociaż zapewne były ich tysiące. Relacje działaczek ruchu oporu mogą zawierać świadectwa aktów życzliwości czy nawet odwagi ze strony „prostytek”, ale nawet wtedy żadna nie spytała kobiety o nazwisko ani go nie zapamiętała.

Jedynym wyjątkiem jest nauczycielka Marie-Thérèse Lefebvre. Wspomina spotkanie z prostytutką nazywaną Simone (nie było to jej prawdziwe imię), która przyjechała do Ravensbrück w połowie 1944 roku. Razem z Marie-Thérèse Simone została posłana do podobozu Zwodau, gdzie pracowała w pralni i szmuglowała dodatkową odzież dla więźniarek, żeby było im cieplej. Wiemy o tym tylko dlatego, że pewnego dnia dała ciepłą kamizelkę Marie-Thérèse, a ta była tak wdzięczna, że zamieniła kilka słów z Simone. Odkryły, że obie pochodzą z Hawru. Marie-Thérèse wspominała:

Spytałam ją, za co tu trafiła, a ona odpowiedziała, że została aresztowana nie za prostytutkę, ale za ukrywanie amerykańskich pilotów w burdelu, w którym pracowała. Nad kabaretem znajdował się pokój, gdzie ukrywano Amerykanów, podczas gdy niemieccy oficerowie zabawiali się z kobietami w pokoju obok. Opowiedziała mi też, że zakochała się w jednym z pilotów, który obiecał, że wróci i znajdzie ją, gdy już będzie po wszystkim.

Po wojnie Simone nie miała ochoty opowiadać swojej historii w Hawrze z obawy, że zostanie napiętnowana jako prostytutka. A przecież wiemy dziś, że prostytutki odgrywały kluczową rolę w działalności konspiracyjnej, głównie w obsłudze szlaków uciezkowych. Alianccy lotnicy często ukrywali się w burdelach, gdy uciekali z Francji, szczególnie w miastach portowych takich jak Hawr i Rouen, oraz w Tuluzie, niedaleko Pirenejów. Takie kobiety ryzykowały tyle samo co inne konspiratorki, chociaż nie były uważane za członkinie ruchu oporu. Część z nich nawet poznała w ten sposób przyszłych mężów.

Wkrótce po powrocie do Francji po wojnie Marie-Thérèse wpadła w Hawrze na Simone i usłyszała, że amerykański pilot wrócił, by ją odnaleźć. „Powiedziała mi, że Amerykanin poprosił ją, żeby z nim wyjechała do Ameryki i wyszła za niego. Co powinna zrobić? Odparłam: «Musisz jechać, oczywiście. Jedź do Ameryki i zacznij nowe życie!»”. Dokumenty przechowywane w ratuszu w Hawrze pokazują, że Simone tak właśnie postąpiła. Latem 1946 roku poślubiła żołnierza, któremu ocaliła życie, i wyjechała z nim za ocean.

W kwietniu 1944 roku liczba więźniarek znowu wzrosła, gdy zarejestrowano 4355 nowych, a miesięczny odsetek zgonów w głównym obozie osiągnął poziom 90 procent. Wśród przybyłych znajdowała się kolejna grupa ewakuowanych z Majdanka, w tym lekarki i pielęgniarki Armii Czerwonej, oraz 473 Cyganki przeniesione z Auschwitz. Były tu włoskie partyzantki, Słowenki, Greczynki, Hiszpanki i Dunki, a także 3 Egipcjanki i 7 Chinek, które, być może z powodu małżeństwa lub podróży albo dlatego, że ochotniczo wspierały antynazistowski ruch oporu, zostały schwytane i sprowadzone do Ravensbrück. Przyjechały dwie kolejne Brytyjki. Mary O’Shaughnessy, pracowała jako niania u rodziny w Prowansji, kiedy została aresztowana za pomoc w ukrywaniu alianckich pilotów. A Julia Barry, pochodzenia węgierskiego, została aresztowana na wyspie Guernsey na kanale La Manche za przesyłanie do Londynu informacji o ruchach wojsk niemieckich.

Pod koniec miesiąca obóz mieścił 21 narodowości, a na Lagerstrasse rozlegał się wielojęzyczny gwar; więźniarki nie rozumiały się nawzajem; dozorcynie z całą pewnością nie rozumiały więźniarek, a więźniarki dozorczyń. Niezdolność dozorczyń do zrozumienia wyjaśnień więźniarek mogła tłumaczyć, dlaczego w połowie 1944 roku więźniarki częściej doświadczały bicia, w tym ciosów w twarz.

Niedługo po przyjeździe Mary O’Shaughnessy została wywołana za blok przez dozorczynię, która przemówiła do niej po niemiecku, „czego kompletnie nie rozumiałam, a potem uderzyła mnie mocno w twarz i złamała mi kilka zębów. Potem przyszła do mnie jeszcze raz, kiedy jeszcze jako tako się trzymałam, i walnęła mnie pięścią w twarz, łamiąc nos. Widziała wiele więźniarek smaganych biczami po twarzy przez esesmanki”. Mary dodała, że bicie więźniarek przez dozorczynię i strażników „było zjawiskiem zbyt

powszechnym w owym czasie, aby w ogóle o nim wspominać”<sup>480</sup>.

Do obozu trafiało też coraz więcej dzieci, co najbardziej zmieniło atmosferę.

Wczesnym latem 1944 roku dzieci na placu apelowym stanowiły zwyczajny widok, „często ubrane jak lalki”, opowiadała Maria Moldenhawer. Niektóre przyjechały z ostatnim cygańskim transportem z Auschwitz; inne były dziećmi „chronionych” Żydów – w sumie 64 – którzy przyjechali z Belgii i Holandii. W tygodniu dzieci pozostawały głównie w blokach, ale w niedziele bawiły się na zewnątrz, w rzucanie kamieniami albo w berka. Czasem dołączali do nich strażnicy. Maluchy te mogły leżeć z matkami, obserwowane ze smutkiem przez inne matki, stęsknione za pozostawionymi w domach własnymi dziećmi.

Poetka Micheline Maurel pisała dla matek wiersze, by pomóc im znosić smutek. Pewna kobieta, która zostawiła we Francji dwoje malutkich dzieci, poprosiła ją o wiersz o swej miłości do nich i płakała nad każdym słowem. Inną młodą matkę więźniarki zastały zapłakaną, ściskającą w ręce inny wiersz Micheline i cierpiącą z tęsknoty za córką.

Niektóre zrozpaczone matki adoptowały w obozie sieroty i stawały się ich „obozowymi matkami”, ubierały je w piękne ubranka i biżuterię „organizowane” z magazynu. Francuska więźniarka Odette Fabius adoptowała osieroconą Cyganek o czarnych jak węgiel włosach i dzieliła z nią pryczę. Belgijka Claire van den Boom adoptowała Stellę Kugelman, czarnowłosą dziewczynkę, która przyjechała z Antwerpii w styczniu, chociaż Stella miała też kilka innych obozowych matek. Później wspominała co najmniej cztery.

Na początku lata 1944 roku Claire zabrała Stellę do jej matki, przebywającej od przyjazdu w szpitalu, teraz umierającej. „Był ponury dzień, jak dziś”, opowiadała Stella, która obecnie mieszka na przedmieściach Sankt Petersburga. Jej małe, skromne mieszkanie zapełniają lalki.

Pamiętam, jak pewnego dnia przyszła po mnie Claire. Spytała mnie: „Chciałabyś zobaczyć mamę?”, i wyprowadziła mnie do innego bloku, gdzie za oknem siedziała mama. Dobrze ją widziałam. Wyglądała według mnie tak samo, tylko miała napuszone włosy.

Zrobiła dla mnie dwie małe zabawki z kawałków folii. Nie mogliśmy rozmawiać przez okno, ale uśmiechała się. Oczywiście tak do końca nie rozumiałam, co się dzieje, ale byłam bardzo szczęśliwa.

Widziałam ją jeszcze raz. Tym razem było inaczej. Ktoś przyszedł po mnie – chyba znowu Claire – zaprowadził mnie na plac apelowy, a kiedy stałyśmy, powiedziała: „Spójrz, tam jest twoja mama”. Tym razem żadna z osób mi jej nie przypominała – może sylwetkę.

Stella uważa teraz, że tę ostatnią sytuację zorganizowano, aby matka mogła po raz ostatni zobaczyć swoją córeczkę, zanim zmarła. „Przypomina mi się, jak później Claire powiedziała: «Wiesz, twoją mamę spalili»”.

Claire została potem wysłana do podobozu i o Stellę przez jakiś czas dbała inna obozowa matka, Rosanne Lascroux. Stella lubiła Rosanne. „Pochodziła z Paryża”. Później Rosanne spisała wspomnienia o ich przyjaźni i przesłała Stelli kopię, którą ta mi odczytała:

Claire była główną obozową matką Stelli. Kochała małą dziewczynkę i spędzała z nią cały czas, ale nie mogła z nią zostać, ponieważ skierowano ją do pracy w śląskich kopalniach. To wtedy Stella zaczęła jeść i spać na naszej pryczy.

Pamiętam, jak myliśmy jej buzię i zaplatałyśmy włosy. Nigdy nie płakała i wydawało się, że wszystko rozumie.

Była wyjątkowo inteligentna na swój wiek. Mówiłam do niej po francusku, a ja rozumiałam hiszpański. Pewnego razu powiedziała mi, że już nigdy więcej nie chce widzieć Niemców, bo zabili jej rodziców.

Jak wszystkie dzieci bała się dozorczyń, szczególnie Binz i policjantki Knoll<sup>481</sup>, która zawsze gniewnie krzyczała na dzieci.

Stella mówi, że większości tych rzeczy nie pamięta. Prawie wszystko, co wie o sobie w obozie, pochodzi z opowieści innych.

Czyta krótki liścik, który jej matka napisała z obozu do przyjaciela, pana Lepage'a z Belgii. Pan Lepage zachował go, razem z różańcem Rosy Kugelman, i długo po wojnie obie rzeczy przekazał Stelli. List z pewnością został przemycony z obozu, nie został napisany na obozowym papierze. Nosił stempel pocztowy z Fürstenbergu, a w nagłówku Rosa napisała swój numer, 25 622, i numer Stelli, 25 621.

Stella odczytuje go: „Przesyłam pozdrowienia. Mam nadzieję, że mój list zastanie cię w dobrym zdrowiu. Do listu załączam przesyłkę i proszę cię o wielką przysługę” – reszta listu niestety uległa uszkodzeniu i nie da się jej odczytać. Stella nie wie, co zawierała przesyłka ani o co prosiła matka. Ale data listu wskazuje, że napisany został tuż przed jej śmiercią, 14 lipca 1944 roku.

<sup>471</sup> Wywiad autorki.

<sup>472</sup> Wywiad autorki.

[473](#) Silbermann, „SS-Kantine Ravensbrück”, DÖW, Ravensbrück, k. 140.

[474](#) Moldenhawer, Lund 420.

[475](#) Według Wandy Wojtasik, *I boję się snów*, s. 111, kiedy Polki z bloku 15 ustawiono w szeregach i zachęcono do zgłaszania się, „zapanowała głęboka cisza”, a gdy wystąpiła ochotniczka, zawodowa prostytutka, „przywitały ją gwizdy całego bloku”. Polki wysłały delegację z protestem do komendanta, który „zglupiał, właściwie nie wiedział chyba, jak się zachować”, wreszcie odciął cały blok od paczek. Tymczasem Irena Dragan i dziewięć innych – głównie „królików” – obcięło włosy ochotniczce i pobiło ją. „Trzymałam nożyczki”, wspominała Irena. Cztery sprawczynie pobicia dostały po 25 batów za „ukaranie” ochotniczki.

[476](#) Lundholm, *Das Höllentor*.

[477](#) Wywiad autorki.

[478](#) Wywiad autorki.

[479](#) Wywiad autorki.

[480](#) Zeznanie Mary O’Shaughnessy, Atkins.

[481](#) Znienawidzona kapo Käthe Knoll wstąpiła wówczas do obozowej policji.



## Rozdział 24

### Wzajemne poszukiwania

Wczesnym latem 1944 roku Bernard Dufournier zaczął tracić nadzieję, że odnajdzie Denise. Minął prawie rok od aresztowania jego siostry, a on nadal nie miał pojęcia, dokąd trafiła. Ponieważ oboje rodzice nie żyli, prawdopodobnie czuł się szczególnie odpowiedzialny za jedyną siostrę i uruchamiał wszystkie znajomości, żeby ją odnaleźć.

Jako dyplomata Bernard był dobrze ustosunkowany; udało mu się nawet zagadnąć o Denise pełniącego obowiązki przewodniczącego Międzynarodowego Czerwonego Krzyża Carla Burckhardta, który odpisał, że nic nie wie o miejscu pobytu Denise, ale dodał: „Jesteśmy w kontakcie z Niemieckim Czerwonym Krzyżem i jeśli czegoś się dowiemy, damy panu znać”<sup>482</sup>.

Biorąc pod uwagę to, co dziś wiadomo na temat Carla Burckhardta, MKCK i Holokaustu, ta dwuwersowa odpowiedź dla Bernarda Dufourniera jest mrożąca. Najwyraźniej nie zamierzał wystosować specjalnej prośby w imieniu Bernarda, chociaż Burckhardt wykorzystał własną wyjątkową pozycję, aby zaapelować bezpośrednio do Himmlera o uwolnienie przyjaciółki, Karoliny Lanckorońskiej. O wiele bardziej niepokojąca jest gotowość Burckhardta, nawet wówczas, aby odnosić się tak ufnie do Niemieckiego Czerwonego Krzyża jako poważnej organizacji, z którą MKCK może prowadzić sprawy.

Latem 1944 roku, pod coraz silniejszą presją międzynarodową, aby poszerzyć pole działania, MKCK próbował intensywniej wysyłać paczki dla więźniów obozów koncentracyjnych, ale próby te Himmler i tym razem z łatwością zablokował: tylko 250 paczek dotarło do Ravensbrück, wszystkie zostały splądrowane przez esesmanów. Jedynym obozem, do którego wpuszczono przedstawicieli MKCK na inspekcję, był tak zwany pokazowy

obóz w Theresienstadt. Tutaj opiekunowie z Niemieckiego Czerwonego Krzyża pokazali szwajcarskim wizytatorom bloki i pozwolili porozmawiać z więźniami, po czym zadbali o to, aby entuzjastyczne raporty trafiły do głównej siedziby w Genewie.

Tymczasem MKCK był przez przerażonych krewnych z całej Europy zasypywany prośbami o pomoc. Zbliżająca się inwazja w Normandii nasiliła obawy, że po wylądowaniu aliantów Hitler może odegrać się na wszystkich więźniach i nawet ich wymordować. Jednak piszące do Genewy z prośbą o informacje rodziny ciągle dowiadywały się tego samego: Genewa nie ma dla nich żadnych wiadomości.

Tak jak rodziny próbowały dotrzeć do zaginionych krewnych, kobiety w Ravensbrück coraz usilniej próbowały do nich dotrzeć. W obozie wszystkie wiedziały już, że dni Hitlera są policzone i że zbliża się wyzwolenie, ale nigdy nie bały się bardziej.

Nowo przybyłe z Polski przywiozły dobre nowiny o ewakuacji wschodnich obozów przed nadejściem frontu wschodniego. Jednak te same więźniarki mówiły też o okrucieństwach, jakich Niemcy dopuszczali się przed ewakuacją obozów<sup>483</sup>. Polka, która przyjechała z Majdanka, była świadkiem, jak w listopadzie naziści rozstrzelali jednego dnia 17 tysięcy Żydów. Cyganki przywożone z Auschwitz opowiadały o spaleniu całego cygańskiego obozu i wymordowaniu 20 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

Więźniarki o wiele lepiej niż świat zewnętrzny rozumiały, że kiedy Hitler poczuje nadchodzący koniec, również i je wymorduje lub przetrzyma jako zakładniczki. A jeśli to nastąpi, będą pozostawione same sobie, ponieważ nikt nie wie, gdzie się znajdują.

Każda grupa narodowa szukała informacji z własnego frontu; kobiety podsłuchiwały strażników lub starały się zaglądać do niemieckich gazet. Ojcumiała Falkowska, tancerka z Polski, dostała nową pracę przy gotowaniu dla niemieckich urzędników ewakuowanych z Berlina i przeniesionych do tymczasowych biur w lasach Ravensbrück. Tutaj mogła wysłuchać strzępów wiadomości BBC, włączanych przez Niemców, i przekazać uzyskane informacje dalej.

Te, które miały szczęście dostawać listy od rodzin, szukały aluzji w ocenzurowanej korespondencji<sup>484</sup>. Micheline Maurel pisała do ojca

w Tulonie co miesiąc od przybycia do obozu w 1943 roku, ale nigdy nie dostawała odpowiedzi. Potem w maju 1944 roku przyszła do niej koperta nadana w Tulonie, ale po otwarciu zobaczyła, że cenzor wyciął tyle, że został tylko jeden róg listu ze słowem: „Papa”.

Potem jedna po drugiej przyszły dwie paczki z jedzeniem z domu dla Micheline. Pierwsza została otwarta, zanim trafiła w jej ręce, i została w niej tylko mała puszka mielonki i kilka czekoladowych batonów. Mielonką podzieliła się z przyjaciółkami, a batony schowała w torbie pod materacem, żeby zjeść je następnego dnia, ale torba zniknęła. W następnej paczce przyszło sześć jajek, z czego tylko jedno niepotłuczone, więc razem z przyjaciółką podzieliły je i zjadły na surowo.

Inne więźniarki dowiedziały się, że teraz mogą dostawać paczki z Czerwonego Krzyża, o ile organizacja będzie знаła ich nazwiska i numery. Grupie Polek udało się przemycić nazwiska i numery przez zaprzyjaźnionych jeńców wojennych, których poznały, wychodząc do pracy na zewnątrz. Nadeszły paczki adresowane do nich, niestety wszystkie przetrzebione, zanim do nich dotarły. Więźniarki widywały dozorcynie jedzące czekoladę z Czerwonego Krzyża i palące amerykańskie papierosy.

Jednak większość kobiet wiedziała, że i teraz nikt nie zna miejsca ich pobytu. W obliczu zbliżających się frontów nawet oficjalna korespondencja wkrótce zostanie przerwana, a rodziny pomyślą po prostu, że zniknęły. To była ich największa obawa, więc czekając na nowiny, więźniarki jednocześnie szukały sposób, aby zachować swoje historie. Wiele próbowało zakopać w obozie cenne przedmioty z notatkami i zdjęciami, w nadziei, że pewnego dnia ktoś je znajdzie, albo opowiadały swoje historie przyjaciółce, licząc na to, że może ona przeżyje, jeśli im się nie uda.

Milena Jesenská powierzyła swoją historię Grete Buber-Neumann na długo przed tym, gdy sobie uświadomiła, że wkrótce umrze. Zimą z 1943 na 1944 rok zdrowie Mileny nadal podupadało; potem w kwietniu zdiagnozowano u niej owrzodzenie nerki. Doktor Treite przeprowadził kolejną operację, ale było za późno. Pewnego dnia Milena powiedziała, że chce wstać i iść do swojego gabinetu w szpitalu, aby ostatni raz popatrzeć na wolność widoczną za bramą obozu, ale była już za słaba, żeby się poruszać. Wtedy przestała działać również druga nerka. „Spójrz na moje stopy. To stopy osoby umierającej – powiedziała do Grete. – Będę dalej żyć za twoim

pośrednictwem”<sup>485</sup>.

Z czeskimi przyjaciółkami i z Grete u boku Milena zmarła 17 maja 1944 roku. Dostała trumnę, a kiedy pojawiła się ekipa grabarska, Grete pozwolono na odprowadzenie ciała do krematorium w mżącym deszczu. Tutaj więźniowie, obaj „o twarzach pomocników kata”, zabrali ciało i powiedzieli do Grete: „Nie przejmuj się, że ją zabieramy, ona już nic nie czuje”. Doktor Treite napisał później do profesora Jesenskiego, że zorganizuje przesłanie prochów Mileny do Pragi.

Największe powody do obaw, że znikną bez śladu, miały więźniarki przetrzymywane w bloku NN. Wyraźną intencją Hitlera było, by ci więźniowie „zniknęli w mroku i we mgle”. Jednak paradoksalnie – być może właśnie z powodu tej wiedzy, że prawdopodobnie nie przeżyją – kobiety te zrobiły więcej niż inni, żeby ocalić swoje historie i historię samego obozu. Wiele kobiet z NN – czerwonoarmistki, Jugosłowianki, Belgijki i Holenderki – zbierało informacje i próbowało je analizować. Germaine Tillion kontynuowała swoje badania, jakby stanowiły element studiów etnologicznych.

Przez kilka miesięcy Germaine zbudowała w obozie szeroką siatkę informatorów. Nie dokonałaby tego bez pomocy Anise Girard, która służyła Germaine nie tylko jako podpora fizyczna, ale też ułatwiała jej kontakty i usuwała przeszkody. Anise, płynnie władająca niemieckim i sympatyzująca z komunizmem, zyskała sobie zaufanie najpotężniejszej w obozie „arystokracji” z dostępem do tajemnej wiedzy – sekretarek. Niektóre z tych kobiet siedziały już od tak dawna, że uważano je niemal za esesmanki, a one tak się też zachowywały, zbyt skupione na przetrwaniu, aby przemycać informacje. Ale inne obserwowały esesmanów „jak stare szczury” i przekazywały dalej wszystko, czego się dowiedziały: listy przybyłych, wyjeżdżających, zmarłych oraz chorych. Germaine z kolei chomikowała zdobyte informacje w zakamarkach, których położenia nie zdradzała nawet Anise. „To był wielki sekret, ale odkryłam jedną kryjówkę, pod oblużowaną deską w dachu nad pryczą”, mówi Anise.

Nie minęło wiele czasu, gdy Germaine zorganizowała system, dzięki któremu codziennie dostawała od „starych szczurów” i pracowników szpitala listy więźniarek, a ona wszystkie je opisywała, analizowała i ukrywała.

Najpierw dostawała listę kobiet policzonych na porannym apelu oraz aktualną liczbę wszystkich więźniarek w obozie, która równała się numerowi ostatniej przybyłej kobiety. Na przykład pewnego dnia w czerwcu 1944 roku Germaine dowiedziała się, że w obozie jest 30 849 kobiet, a najnowsza zarejestrowana kobieta otrzymała numer 42 158. Różnica między tymi liczbami oznaczała prawdopodobnie liczbę kobiet wysłanych do podobozów lub przeniesionych. Ale ponieważ Germaine nie miała możliwości uzyskać informacji o tym, ile kobiet faktycznie wyjechało do podobozów, nie mogła mieć pewności.

Druga porcja list, jedna z rewiru i druga z biura, podawała liczbę zmarłych, ale liczby te również nigdy się nie zgadzały. Na przykład jednego dnia w maju kontakty ze szpitala podały liczbę 151 zmarłych, a obozowe biuro informowało o 191. Germaine wydedukowała, że ta rozbieżność musi dotyczyć 40 egzekucji, ponieważ szpital nie rejestruje egzekucji – ale znów, skąd mogła mieć pewność?

A co ze zgonami w bunkrze? Podobno ich liczba znowu wzrosła. „Stare szczury” nie miały list kobiet z „czarnych transportów”. Aby ustalić te liczby, Germaine musiała polegać na plotkach z rewiru, gdzie mówiono, że *Idiotenstübchen* „czyszczono” prawdopodobnie raz na dwa tygodnie.

Do tego czasu Germaine Tillion zaczęła umacniać swoją reputację intelektualistki, więc zapragnęły ją poznać inne szanowane w obozie kobiety, w tym Grete Buber-Neumann. Podobnie jak Milena Jesenská przed śmiercią powierzyła swoją historię Grete, tak Grete chciała przekazać wszystko, co wiedziała, zaufanej osobie i wybrała Germaine.

Tuż przed lądowaniem w Normandii na najwyższej pryczy, z Anise Girard wciśniętą między nimi jako tłumaczką, spotkały się dwie obozowe „mędrzynie”. Grete mówiła pierwsza i wiele godzin opowiadała Germaine o horrorze stalinowskiego komunizmu i syberyjskich łagrów, którego doświadczyła. Potem kobiety porównały przeżycia Grete z tym, co działo się w Ravensbrück. W związku ze swymi komunistycznymi sympatiami Anise nie wierzyła, że stalinowskie obozy były tak straszne, jak przedstawiła to Grete. „Ale Germaine była przekonana, że Grete mówi prawdę, i zapamiętała każde jej słowo”.

Grete zrelacjonowała swoją historię „akapit po akapicie”, powiedziała Germaine, wspominając spotkanie już po wojnie. „I podobnie jak wiele z nas dręczyła ją potrzeba, by zadbać o zachowanie całej swojej wiedzy”.

Żadna z tych grup nie dorównała mistrzostwu polskich „królików” w staraniach o przetrwanie wiedzy, jednak wiosną 1944 roku operowane zaczęły się obawiać, że świat nie dostaje przekazywanych przez nie informacji. Kobiety z pewnością wiedziały, że niektóre elementy ich historii dotarły już do Anglii, ponieważ nowo przybyłe do obozu Polki słyszały doniesienia o okrucieństwach w Ravensbrück w audycjach tajnej rozgłośni Świt dla polskiego podziemia.

Jednak Krysia nadal niepokoiła się, które dokładnie informacje się wydostały i kto mógł je otrzymać lub nie. W listach pytała rodzinę: „Czy macie wszystkie kolejne numery kopert? Których brak – powtórzmy”.

Powód niepokoju nie jest zupełnie jasny, ale wskazówkę zawiera list z końca lutego 1944 roku, w którym po raz pierwszy Krysia wspomina o możliwości otrzymywania paczek Czerwonego Krzyża. Krysia, podobnie jak wszystkie więźniarki, zorientowała się, że niektóre kobiety w Ravensbrück dostają paczki przesyłane przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie. Wiedziała również, że może to nastąpić, tylko jeśli Genewa dysponuje ich nazwiskami i numerami.

Szczególnie zainteresował ją fakt, że inna grupa Polek – niebędących królikami – otrzymywała te paczki. Tak jak „króliki” kobiety te nawiązały kontakt z jeńcami wojennymi z pobliskiego oflagu, którzy zaproponowali przesłanie ich nazwisk i numerów do Genewy, prawdopodobnie za pośrednictwem własnej poczty Czerwonego Krzyża. Krysia napisała do rodziny: „na razie dostają te, których nazwiska podają oflagi”<sup>486</sup>.

Krysia dobrze rozumiała, że dotarcie tych paczek dowiodło nie tylko więźniarkom, ale też SS, że Międzynarodowy Czerwony Krzyż dysponuje listą kobiet przebywających w obozie. Spisy te stanowiły pewnego rodzaju zabezpieczenie przed „zniknięciem”. Od razu nasuwało się pytanie, dlaczego polskie „króliki” nie dostają paczek. Przekazały informacje z nazwiskami i numerami ponad rok temu. Czy te listy nie dotarły? Czy nie zostały przekazane do Genewy? Najważniejszą rzeczą było ich przekazanie, pisze Krysia 28 lutego 1944 roku, i tłumaczy dlaczego:

Gdyby się dało podać tam nazwiska operowanych, to byłaby dla nas bardzo znaczna pomoc – nie chodzi tu zupełnie o jedzenie, ale o moralne znaczenie tego. Te paczki są starannie kwitowane i gdyby przychodziły do wszystkich operowanych, wywarłyby na pewno wrażenie na naszych

opiekunach – no i wyglądałoby, że tam mają naszą listę, co mogłoby wpłynąć na nasz los. Bo ciągle wydaje nam się, że będą chcieli nas zlikwidować jako żywe dowody.

Następnie Krysia pisze do rodziny, aby nawiązała kontakt z Niusiem („Apollinem”), pośrednikiem z obozu jenieckiego, który mógł dostarczyć kolejną kopię listu i upewnić się, że nie zaginęła. Niuś „ma także naszą listę”, pisze, i wydaje jej się, że Niuś ma możliwość przesłać list prosto do Genewy, co chłopcy z oflagu zrobili dla innych Polek. Krysia napisała na zakończenie: „Jeśli projekt z paczkami jest do przeprowadzenia, napiszcie «zachcianki dziewczynek można spełnić» lub odwrotnie, jeśli nic z tego”<sup>487</sup>.

Istniała pilna – niemal paniczna – potrzeba uzyskania odpowiedzi, ponieważ Armia Czerwona zbliżała się już do Lublina i Krysia podejrzewała, że lada moment łączność pocztowa zostanie zerwana.

Jednak ponownie Krysia odkrywa, że komunikacja nie została odcięta, ponieważ przychodzi odpowiedź z pozytywnymi wiadomościami, a w kwietniu ona odpisuje i wspomina o tajemniczej „kuzynce ze Szwecji”. Pisze: „Naprawdę się cieszę, że dostaliście listy [...] od Niusia [...]. Korespondencja z kuzynką ze Szwecji dała nam jeszcze więcej radości”<sup>488</sup>. Krysia wie, że Armia Krajowa wykorzystuje Szwecję jako bazę łącznościową. Jej aluzja wskazuje na to, że upewniła się, iż Warszawa przekazuje informacje do Szwecji, skąd wędrują do polskiego rządu w Londynie, a stamtąd z kolei zostaną przesłane do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie.

Po czerwcu 1944 roku korespondencja Krysi z rodziną urywa się na dobre, ale przynajmniej teraz wie, że jej informacje niemal na pewno trafiają do właściwego miejsca i paczki nadejdą. Jednak nic nie przychodzi z Czerwonego Krzyża – ani latem, ani później. Dlaczego?

Wiemy, że MKCK dostał informacje, więc nie w tym leżał problem. Co więcej, dotarły do niego nie tylko informacje od Polek za pośrednictwem polskiego rządu w Londynie (i zapewne bezpośrednio od Niusia), ale też własny przedstawiciel MKCK w terenie uzyskał teraz potwierdzenie informacji o okrutnych medycznych eksperymentach w Ravensbrück i przekazał je do Genewy.

W 1944 roku Roland Marti i jego współpracownicy z berlińskiej misji MKCK gromadzili coraz więcej danych o nazistowskich zbrodniach wojennych. Do ich najlepszych źródeł należeli alianccy jeńcy wojenni

przetrzymani w obozach jenieckich rozsianych po całym Niemczech i Polsce. Jeńców wojennych coraz częściej wykorzystywano do pracy niewolniczej i zdarzało się, że pracowali w fabrykach razem z więźniami obozów koncentracyjnych. Zbierali od nich informacje i przekazywali przedstawicielom Czerwonego Krzyża, którzy zgodnie z postanowieniami konwencji genewskiej regularnie odwiedzali ich obozy.

Pewnego razu jeniec powiedział Rolandowi Martiemu, że w Ravensbrück przeprowadza się sterylizację żydowskich dzieci, a inny informator doniósł mu o eksperymentach medycznych. W wyniku tego w raporcie napisanym do szefów w Genewie z 12 czerwca 1944 roku Marti napisał, że właśnie dowiedział się, że warunki w Ravensbrück są „tragiczne”. Przynajmniej „przeprowadzają operację usuwania kości i mięśni z nóg Polek. Wiele z nich może pokazać blizny. Te kobiety pod byle pretekstem są rozstrzeliwane, a ostatnio stracono co najmniej dziesięć Ukrainek”<sup>489</sup>.

Jeńcy wojenni, którzy przekazywali informacje, najwyraźniej założyli, że zostaną one wykorzystane albo co najmniej przekazane alianckiemu wywiadowi, ale się mylili. Marti z pewnością przesłał je do Genewy, lecz wiedział, że nigdy nie zostaną upublicznione. „Informacje wydają się pewne – napisał w raporcie dla przełożonych – ale bezużyteczne. Przekazuję je do waszych akt i może pomogą rzucić światło na sytuację”.

Mimo tego w połączeniu z informacjami napływającymi od Polaków w Londynie najwyraźniej narastała presja na Genewę, aby w jakiś sposób zareagować na sprawę „królików” w Ravensbrück, ponieważ w drugiej połowie 1944 roku Komitet zdecydował, żeby przynajmniej przeanalizować sprawę, a jedną z kwestii do rozważenia było to, czy wysłać poszkodowanym kobietom paczki Czerwonego Krzyża. Biorąc pod uwagę, że dysponowano nazwiskami i numerami kobiet, było to możliwe i pożądane, szczególnie że – jak to ujęła Krysia – wysłanie paczek wszystkim siedemdziesięciu „królikom” zrobiłoby „wrażenie na naszych opiekunach” i „mogłoby wpłynąć na nasz los”.

A jednak Komitet podjął decyzję, by nie wysłać paczek, prawie na pewno dlatego, że MKCK pragnął wyrzucić na nadzorcach kobiet dokładne przeciwne wrażenie: zachowanie „neutralności” jest ważniejsze. Być może w komitecie zasiadały osoby, które bały się, że wysłanie paczek urazi Ernsta Grawitza, przewodniczącego Niemieckiego Czerwonego Krzyża. W każdym przypadku decyzja o niewysłaniu paczek okazała się trudna do przyjęcia dla



prawniczki Komitetu, Margaret Frick-Cramer.

Frick-Cramer była tak sfrustrowana groteskową absurdalnością stanowiska Komitetu, że zaproponowała – może ironicznie, a może nie – żeby najpoważniejsza organizacja humanitarna na świecie wysłała kobietom środki, które mogłyby położyć kres ich życiu, a tym samym cierpieniom. „Jeśli nic nie da się zrobić – powiedziała – to trzeba tym nieszczęśnikom wysłać środki umożliwiające popełnienie samobójstwa; będzie to pewnie bardziej humanitarne niż wysłanie im żywności”.

Jednak podczas gdy Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża wyciszał sprawę „królików”, Polacy z rozgłośni Świt w Milton Bryan w Buckinghamshire robili wszystko, co mogli, by powiadomić świat o losie kobiet. Nie tylko nadawano wiadomości o okrucieństwach z Anglii do Polski, ale też przesyłano tłumaczenia audycji innym tajnym siatkom we Francji, Niemczech i innych krajach.

Wieczorem 19 maja 1944 roku o 19.10 ekipa rozgłośni Świt ponownie nadała na antenie ostrzeżenie dla niemieckich „zbrodniarzy wojennych”. Po krótkim raporcie o roli Polaków w ostatniej ofensywie włoskiej i „marionetkowym związku polskich patriotów” rozgłośnia obwieściła, że „dotarły kolejne ponure szczegóły z kobiecego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück”. Treść raportu, najwyraźniej opartego na przesłanej w tajnym liście relacji Krysi o życiu codziennym w obozie, brzmiała:

Dzień zaczyna się o trzeciej rano. Po trzech godzinach musztry na zewnątrz następuje wymarsz do pracy na resztę dnia z półgodzinną przerwą na obiad. Praca polega głównie na tłuczeniu kamieni na drogi. Kobiety są rozstrzeliwane na podstawie uprzednio przygotowanych list. Ostatnio rozstrzelano 176 Polek. Kobiety są poddawane eksperymentalnym operacjom chirurgicznym, takim jak sterylizacje i iniekcje. Kiedy kilka tygodni temu, opisując warunki w tym obozie, ostrzegaliśmy niemiecki personel, zaapelowaliśmy do wolnego świata, aby wygłosił to ostrzeżenie. Brytyjskie radio już ostrzegło niemieckich zbrodniarzy, w wielu językach. W obliczu faktu, że zbrodnie trwają nadal, powtarzamy nasz apel. Niemcy zareagują tylko na siłę i groźbę, a powtórzenie ostrzeżenia może spęta ręce zbrodniczemu personelowi i chirurgom w Ravensbrück<sup>490</sup>.

Po wcześniejszych audycjach Polki, które niedawno przyjechały do obozu, poinformowały, że przed aresztowaniem słyszały raporty „angielskiego radia”. Po tej ostatniej audycji przywiezione do Ravensbrück Francuzki również

stwierdziły, że słyszały doniesienia francuskich służb w „angielskim radiu”. Wanda Wojtasik, lubelska koleżanka Krysi, wspominała, że na początku nowe francuskie więźniarki nie wierzyły w to, co usłyszały na antenie, a po przybyciu do obozu prosiły „króliki” o przedstawienie dowodów.

„Oglądając nasze okaleczone nogi, ze zdumieniem przecierały niedomyte oczy i cmokały ze zgrozy czy podziwu dla chirurga: – *Oh lá lá!* – Słyszały, ale nie wierzyły”<sup>491</sup>.

Prawdopodobnie wiadomość o lądowaniu aliantów jako pierwsza w obozie przekazała Ojcumiła Falkowska. Usłyszała o inwazji w BBC o piątej rano 6 czerwca 1944 roku, kiedy przyrządzała śniadanie dla ewakuowanych berlińskich urzędników przebywających w tymczasowym obozie w lasach Ravensbrück<sup>492</sup>.

Karolina Lanckorońska napisała, że doktor Treite rano w bloku chirurgicznym obwieścił, „wołając na cały głos”, że zaczęła się inwazja aliantów. Wygłosiwszy to oświadczenie, stuknął obcasami i wrócił na salę operacyjną<sup>493</sup>.

W podobozie w Zwodau grupa francuskich więźniarek dowiedziała się o lądowaniu od polskiej blokowej, której mąż służył w armii polskiej. Francuska nauczycielka Marie-Thérèse Lefebvre, która mieszkała na wybrzeżu Normandii, wspominała: „Zawołała nas i powiedziała: «Mam dla was, panie, bardzo ważne wieści, ale musicie zachować je dla siebie. Alianci wylądowali we Francji»”<sup>494</sup>.

W Neubrandenburgu nowiny nadeszły w czasie bombardowania lotniska przez RAF, a wybuchy wydawały się tak bliskie, że drżały i kłękotały prycze Francuzek i któraś zażartowała: „*Mon Dieu!* Alianci już tu są”. Następnego dnia kobiety z Neubrandenburga pomaszerowały na ruiny lotniska, a kiedy tam pracowały, miejscowi gapili się na nie, a dzieci pluły. Nagle wydało się, że Normandia leży na innej planecie.

Radosne podniecenie z powodu nowin o lądowaniu nie trwało długo. Dla większości Polek większym powodem do świętowania było zdobycie w maju przez Polaków Monte Cassino. A Rosjanki bardziej interesowało śledzenie postępów Armii Czerwonej, nacierającej teraz przez Białoruś.

W szpitalu słowa doktora Treitego również poszły w zapomnienie. „Zaczynałyśmy zdawać sobie sprawę, że niejedna z nas już bardzo długo nie

wytrzyma, że siły fizyczne zaczynają się kończyć”, wspominała Karolina Lanckorońska, której przyjaciółka, Francuzka Dora Dreyfus umierała na zapalenie płuc. Dora usłyszała wieści, ucieszyła się i „mówiła o Francji i zapraszała do siebie na odpoczynek – opowiadała Karolina. – [...] Nie minęła doba, a już jej nie było między nami”<sup>495</sup>.

Grete Buber-Neumann wspominała, że wiadomość o lądowaniu przyszła jak „pierwszy prawdziwy zwiastun wolności – nie posiadałyśmy się z radości”. Gdyby tylko Milena mogła tego dożyć. „Przez tyle lat miałyśmy wspólne marzenia i plany na przyszłość. Teraz nocą płakałam w poduszkę”.

Francuskie komando przeprowadzkowe ucieszyło się z nowin, ale kobiety postanowiły odłożyć prawdziwe świętowanie do czasu, gdy alianci dotrą do Paryża. W tej chwili, podobnie jak reszta obozu, skupiały się bardziej na zdobywaniu jedzenia.

Ravensbrück bardziej niż kiedykolwiek stało na krawędzi głodu, ale gorzej było w podobozach, ponieważ tam nie docierała żywność. W Neubrandenburgu Micheline Maurel stała na apelu za nowo przybyłą „pulchną” Czeszką. „Widok tej masy mięsa przede mną doprowadzał mnie do rozpacz. Trzęsły mi się ręce”. W niektóre dni obozowe kuchnie w ogóle nie miały jedzenia i nikt nic nie dostawał. W innych dniach wydawano suszone produkty, od których niektóre kobiety chorowały lub dostawały biegunki. Prawdziwą obozową arystokracją stały się teraz bez wątplenia te, które otrzymywały paczki żywnościowe; stały bardziej wyprostowane, a ich skóra błyszcząca. Wiele z nich dzieliło się zawartością swoich paczek, a delikatesy w rodzaju czekolady lub sera kruszyły na „kawałki wielkości orzecha”.

Po lądowaniu aliantów było więcej osób do nakarmienia, ponieważ liczba nowych stale rosła, a obóz stawał się coraz bardziej przepełniony. Z klozetów i latryn korzystało tyle osób, że instalacje nie wytrzymały. Kobiety z kancelarii nie dawały rady rejestrować tylu przybywających naraz, więc zniesiono wieczorny apel, a kwarantannę skrócono do dwóch tygodni, aby zwolnić więcej przestrzeni.

Na początku lipca przybyły kolejne transporty Francuzek, a nie wszystkie przywiezione przez nie wieści były dobre: w Normandii toczyły się gwałtowne walki, a Amerykanom i Brytyjczykom nie udawało się przebić. Z frontu wschodniego również docierały mieszane informacje. W szwalni

znajdywano namacalne dowody rzezi w Polsce, ponieważ więźniarki donosiły, że w rękawach żołnierskich kurtek, sprowadzanych do reparacji i odświeżenia, znajdowały odcięte palce Niemców, a czasem nawet całe ręce.

W Ravensbrück pojawiła się też węgierska Żydówka, która poinformowała, że Hitler zaczął zupełnie nowy etap zagłady i schwytał wszystkich węgierskich Żydów. Gemma La Guardia-Gluck została zatrzymana w Budapeszcie, gdzie jej nazwisko zwróciło uwagę Adolfa Eichmanna, głównego koordynatora zagłady Żydów. Eichmann zidentyfikował Gemmę jako siostrę Fiorella La Guardi, burmistrza nowego Jorku<sup>496</sup>.

Rodzeństwo urodziło się w Nowym Jorku jako dzieci włoskich imigrantów, ale Gemma wyszła za mąż za węgierskiego Żyda Hermanna Glucka i w latach trzydziestych przeniosła się do Budapesztu. W 1934 roku Fiorella La Guardia wygrał wybory na burmistrza Nowego Jorku, a w jednym z pierwszych przemówień ostrzegł, że Hitler zamierza zgładzić Żydów. Dziesięć lat później sześćdziesięcioletnia siostra Fiorella uniknęła zagłady, ponieważ nosiła jego nazwisko.

Gdy Himmler dowiedział się o aresztowaniu Gemmy, natychmiast wydał dyspozycje, aby traktować ją jako zakładnika, więc po przyjeździe do Ravensbrück została przydzielona do bloku 2., jednego z najbardziej uprzywilejowanych, gdzie nie musiała ciężko pracować i miała własną prycze. W prawie wszystkich pozostałych blokach więźniarki spały teraz po trzy na sienniku, a prycze były tak stłoczone, że kobiety musiały przejść przez kilkadziesiąt ciał, zanim znalazły lukę, by ześlizgnąć się na dół. Prycze ustawiono teraz również w pokojach dziennych, więc kobiety nie miały gdzie jeść i rozmawiać.

W sierpniu znowu zaczęły napływać kobiety z Auschwitz, i to w dużych grupach – zwykle młode Żydówki, oszczędzone do niewolniczej pracy przed komorą gazową. Z jednym sierpniowym transportem z Auschwitz przybyło również 50 Francuzek – tylko tyle przetrwało z 250 nie-Żydówek, które osiemnaście miesięcy wcześniej wysłano z Paryża do Auschwitz. W grupie tej znalazła się sławna francuska komunistka Marie-Claude Vaillant-Couturier, która przedstawiła najbardziej przerażającą do tej pory relację z Auschwitz<sup>497</sup>.

Miała wyjątkowo dobrą pozycję do prowadzenia obserwacji. W latach trzydziestych Marie-Claude Vaillant-Couturier pracowała jako fotoreporterka dla francuskiej gazety „L’Humanité” i była jedną z pierwszych dziennikarek,

która pisała o obozach Hitlera i potajemnie fotografowała zza drutów Dachau i Sachsenhausen. Kiedy wybuchła wojna, została aresztowana za pracę przy podziemnych publikacjach komunistycznych i trafiła jako więźniarka do Auschwitz. Świadczenie Marie-Claude uznano za tak cenne, że została wezwana jako świadek do Norymbergi.

Po przyjeździe do Ravensbrück opowiedziała Francuzkom, iż ich rodaczki, które przyjechały z nią z Auschwitz, najpierw uniknęły komory gazowej, ponieważ nie były Żydówkami, ale wiele z nich tak szybko słabło, że wkrótce trafiły do kategorii „darmozjadów”. Najpierw pozbawiono je jedzenia i wody, a potem, jeśli głód nie zabił ich dostatecznie szybko, trafiały do gazu. Wkrótce Ravensbrück zalały podobne straszliwe historie z Auschwitz, a niektóre więźniarki dostrzegały znajome schematy, które zapowiadały, że zanim nastąpi koniec, do podobnych okrucieństw może dojść i tutaj.

Nie tylko kobiety przyjeżdżające z Auschwitz lub innych obozów na wschodzie niosły przedsmak nadchodzących wydarzeń. Louise (Loulou) Le Porz, lekarka z Bordeaux, przyjechała do Ravensbrück w czerwcu, zahaczając w podróży o męski obóz Neue Bremm, gestapowski obóz karny. Tutaj transport zatrzymano na kilka dni, a w tym czasie kobiety często przechodziły obok obozu męskiego, gdzie – jak się wydaje celowo – pozwalano im obserwować brutalne traktowanie więźniów. Między innymi nagich mężczyzn skuwano parami i kazano skakać dookoła placu, a strażnicy chłostali ich dotąd, aż wszyscy zakrwawieni upadali. Potem dalej ich bili i zmuszali, aby skakali, dopóki na koniec kilku padło martwych.

Loulou opowiadała później, że nigdy nie zapomni szoku, jaki przeżyła w Neue Bremm, ponieważ odkąd zobaczyła, co tam się dzieje, zawsze bała się, że w przyszłości to samo spotka więźniarki w Ravensbrück.

Niedługo po przybyciu grupa Loulou stanęła w szeregu na placu apelowym do selekcji; tego dnia kierownicy fabryki z Lipska wybierali kobiety do pracy niewolniczej. Kuzynka Loulou, Françoise Couëron, aresztowana razem z nią w Bordeaux, stała obok niej, kiedy zjawił się mężczyzna w białym fartuchu i spytał, czy wśród obecnych są lekarze. Loulou w pierwszej chwili nie podniosła ręki, ponieważ nie chciała, żeby ją rozdzielili z Françoise, a Lipsk wydawał się lepszym rozwiązaniem. Również lekarz nie przypadł jej do gustu. „Ale pomyślałam, że mimo wszystko może mogłabym w jakiś sposób pomóc. Podniosłam więc rękę”<sup>498</sup>.

Pierwszym zadaniem Loulou w rewirze było zbadać przybyłe z Auschwitz pod kątem chorób zakaźnych, a na liście ze zdumieniem zobaczyła nazwisko Vaillant-Couturier. Rodzina Marie-Claude była przed wojną znana we Francji, nie tylko dlatego, że jej przedstawiciel był twórcą słonia Babara. A ona sama zasłynęła dzięki swoim fotografiom jako „dama z rolleiflexem”.

Poważna młoda katolicka lekarka Loulou miała z pewnością niewiele wspólnego z zagorzałą komunistyczną intelektualistką Marie-Claude. Ale kiedy w rewirze skrzyżowały się ich ścieżki, zamieniły kilka słów i wkrótce nawiązały nić porozumienia. Jednak zanim zdążyły scementować przyjaźń, Loulou została wysłana do bloku karnego za atak na dozorczynię, która uderzyła ją za to, że przebywała na zewnątrz podczas nalotu. Dozorczyńni oskarżyła też Loulou, że jest „zbyt dumna”.

Wysoka i silna Loulou dostała przydział do pracy przy rozładunku cegieł i węgla. „Pamiętam małą Francuzkę, Raymonde Sauvage, która nie miała już siły. Powiedziałam jej, żeby złapała mnie za pasek, a ja ją pociągnę, tak też zrobiła, ale co dziwne, w ogóle nic nie poczułam. Była lekka jak piórko”.

Gdy letni żar zaczął lać się z nieba jeszcze intensywniej, w niektórych obozowych kręgach, głównie wśród niemieckich więźniarek politycznych, zapanowało niewytłumaczalne ożywienie. Było to związane z przecuciem – i na początku niczym więcej – że zanim nadejdą armie wyzwolenicze, koszmar może się nagle skończyć.

Niemcy niepokoiili się coraz bardziej. Średnia długość przetrwania żołnierza na froncie wschodnim wynosiła mniej niż trzy miesiące; prawie każda rodzina straciła synów, braci lub ojców. Naloty rujnowały kraj, a kobiety i dzieci musiały się ewakuować z Berlina. Braki żywności były dotkliwe i nastał czas, że kobiety musiały pracować przy sprzątaniu gruzów w miastach. W Fürstenbergu miejscowi otwarcie mówili o tym, co się stanie, kiedy Armia Czerwona opanuje miasto, i wiele osób planowało już przenosiny.

Obozy koncentracyjne również nie uniknęły ogólnego poczucia paniki i niepokoju. Za drutami huczało od rozmów strażników i cywilnych pracowników o jakimś załamaniu. Syreny przeciwlotnicze wyły prawie codziennie, a więźniowie zostali skierowani do budowy okopów wokół obozu.

Wieści z niemieckiej ulicy przynosili nie tylko strażnicy. Wśród nowo

przybyłych było wiele więźniarek niemieckich – kobiet, które uraziły Führera lub skarżyły się, że wojna trwa za długo, albo aspołecznych zatrzymanych w łapankach. Od tych kobiet niemieckie więźniarki polityczne dowiadywały się mnóstwa rzeczy, a najlepiej ustosunkowane spośród nich przekazywały dalej pogłoski, że wiele osób z wewnętrznego kręgu Hitlera również dręczy niepokój.

Z początkiem lata 1944 roku Grete Buber-Neumann otrzymała zaszyfrowany list od wysoko postawionego krewnego, że doszło do próby zabójstwa Hitlera. Grete regularnie korespondowała ze szwagrem, Berhnardem, który od lat trzydziestych również był więźniem obozu koncentracyjnego i wiedział, jak oszukać cenzorów. Liczne sygnały przekonały kobiety, że w armii lada moment wybuchnie rebelia przeciwko Hitlerowi. Bernhard najwyraźniej wyczuł na podstawie doniesień z kręgów wojskowych i dyplomatycznych, że bunt przeciwko Führerowi osiąga szczyt.

20 lipca 1944 roku Claus von Stauffenberg brał udział w naradzie sztabowej z Führerem w kwaterze na Wschodzie, w Wilczym Szańcu, i umieścił teczkę z bombą pod stołem, jak najbliżej Hitlera; jednak solidna noga stołowa osłabiła siłę wybuchu i Hitler przeżył; odniósł tylko drobne obrażenia i doznał szoku.

Jako małe uzupełnienie tego wydarzenia, w klinice w Hohenlychen, kilka kilometrów od Ravensbrück, niedługo przed próbą zamachu przyszła na świat Nanette Dorothea Potthast – a fakt ten miał pewien związek ze spiskiem. Nanette, córka Heinricha Himmlera i Hedwig Potthast, urodziła się 3 czerwca. Jednak to nie data jej urodzenia miała historyczne znaczenie, lecz data i miejsce rejestracji – 20 lipca w Hohenlychen – oraz fakt, że przy czynności musiał być obecny ojciec. Wielu snuło spekulacje na temat miejsca pobytu Himmlera rankiem dnia, w którym o mało nie zginął Hitler; niektórzy sugerowali nawet, że jego nieobecność na scenie wydarzeń świadczyła o jego udziale w spisku. Akt urodzenia Nanette stanowi mocny dowód na to, że tego dnia Himmler był w Hohenlychen i uczestniczył w rejestracji narodzin córki<sup>499</sup>.

Himmler wkrótce miał kolejny powód, by wrócić w tę okolicę. Powierzono mu prowadzenie śledztwa w sprawie spisku z 20 lipca, a centrum operacyjne policji mieściło się w ośrodku szkoleniowym SS w Drögen, oddalonym tylko o 8 kilometrów od Ravensbrück. Bunkra w Ravensbrück używano nawet do



przetrzymania spiskowców poddawanych przesłuchaniom. Więźniarki zapamiętały „wielkie zamieszanie”, kiedy winowajcy przyjeżdżali do obozu autami z zasłoniętymi oknami<sup>500</sup>.

Isa Vermehren, śpiewaczka kabaretowa, która od dziewięciu miesięcy zajmowała w bunkrze uprzywilejowaną celę, obserwowała spiskowców czekających na swój los. Jako pierwszego zobaczyła hrabiego Wolfa-Heinricha von Helldorfa, szefa berlińskiej policji, który organizował wygnanie stołecznych Żydów. Hitler był tak wściekły z powodu zdrady von Helldorfa, że zmusił go do patrzenia, jak wieszani są jego dwaj współkonspiratorzy, zanim sam hrabia zawisł na szubienicy. Wcześniej Isa zauważyła go na małym wewnętrznym podwórzu. „Siedział na krześle w słońcu, bardziej martwy niż żywy, z wyrazem nieskończonego smutku na twarzy”<sup>501</sup>.

Niedługo potem aresztowane i rozstrzelane zostały żony, siostry i córki von Stauffenberga i jego krewnych. Dalsze krewnie trafiły do Ravensbrück. Pod koniec lipca jeden z najstarszych generałów Hitlera, Franz Halder, przyjechał do bunkra razem z żoną. Chociaż parę więziono w osobnych celach, pozwalano im spotykać się na „dzień dobry” i „dobranoc”.

W tym czasie Helmuth von Moltke, inny zakładnik z bunkra, doszedł do wniosku, że jego również czeka koniec. Chociaż nie był bezpośrednio zaangażowany w spisek – przebywał w bunkrze od lutego w związku z odrębnymi zarzutami zdrady – mimo wszystko wiedział, że śledztwo Himmlera powiąże go ze spiskowcami. Kiedy omawiał swoją przyszłość z Isą, powiedział, że nie jest rewolucjonistą i nie popierał zabójstwa. „Był na tyle mądry, aby rozumieć, że udane zabójstwo nie da lepszych rezultatów niż nieudane – wspominała Isa. – Uważał, że Hitler sam zniszczył swój system, aby nie pozostawić innym narodowym socjalistom żadnych argumentów na ich obronę”.

Von Moltke powiedział również Isie, że solidaryzuje się z więźniarkami, ale boi się o ich przyszłość. „Nadzieja to nie moja cecha”, oznajmił kiedyś.

W ostatnich dniach lipca Isa z zainteresowaniem obserwowała, jak „sprowadzili trzy kobiety z rodziny Hoepnerów – wszystkie ubrane w czysto poczdamskim stylu”. Generał Erich Hoepner, który poprowadził natarcie na Moskwę w ramach operacji „Barbarossa”, już był przesłuchiwany w Drögen. „Ciotka powiedziała mi, że strasznie ją zirykowało, że stało się to akurat teraz,



kiedy dostała z mężem potwierdzenie rezerwacji na trzy tygodnie w ich ulubionym sanatorium. A teraz to, wszystko przez jej brata”.

Córka Hoepnera zastanawiała się, czy znalazłby się jakiś sposób, aby dostarczyć ojcu pistolet, żeby mógł sam odebrać sobie życie. Został skazany 7 sierpnia, po czym następnego dnia został powieszony – a Hitler również i tę egzekucję obejrzał na filmie.

Następnie ciotka Hoepnera została uwolniona, ale córka z matką trafiły na cztery tygodnie do bloku karnego. Matka bardzo ucierpiała z tego powodu i kiedy Isa zobaczyła ją po raz kolejny, kobieta była ogolona, blada i chuda. „Plotka głosiła, że mąż podczas przesłuchania bardzo ją obciążył”.

Jednak pani Hoepner znalazła sobie w bloku karnym przyjaciółki, w tym Loulou Le Porz, lekarkę z Bordeaux. Do tego czasu Loulou nawiązała już tam liczne przyjaźnie, przede wszystkim z Francuzką nazywaną Madame Lelong i polską hrabiną Marią Grocholską. Maria płynnie władała francuskim i niemieckim, więc kiedy panie Hoepner pojawiły się w bloku, służyła za tłumacza, gdy spotykały się na pryczy Loulou przed pójściem spać.

Patrząc wstecz, mówi Loulou, to w bloku karnym znalazła swoje najlepsze *camarades*. Ogólnie w obozie przyjaźnie między kobietami różnych narodowości stanowiły rzadkość, ale w bloku karnym stały na porządku dziennym, być może dlatego, że blok był odcięty od reszty obozu:

Na zewnątrz kobiety czasem wyróżniały się wykształceniem, ale niknęły w masach. W bloku karnym kobiety często poznawały swoje nazwiska i potrafiły się w jakiś sposób zlokalizować. Dowiedziałam się, że Maria Grocholska była córką polskiego księcia. A mąż Madame Lelong pracował z de Gaulle'em. Madame Hoepner również była zachwycająca. Tworzyłyśmy spółkę odswawiającą. Wybierały wszy z moich włosów i ze mnie oraz z rąbków ubrań. Wówczas myślałam, że nikt nigdy mi nie uwierzy. Hrabina i dwie żony generałów obierały mnie z wszy<sup>502</sup>.

Pewnego dnia panie Hoepner opuściły blok karny i Loulou nie wiedziała, dokąd się udały. „Ale wyglądało na to, że są gdzieś w obozie. Nigdy nie było pewności. Ktoś mógł cię nagle klepnąć w ramię i nigdy nie wiadomo było, co może się wydarzyć”.

Na początku sierpnia niepewność dręczyła cały obóz. Polki rozpaczliwie wyglądały wieści z Warszawy, gdzie podobno wybuchło powstanie, a Francuzki usłyszały, że lada dzień Paryż może zostać wyzwolony, ale nie

miały pewności. Denise Dufournier i jej paryska grupa przewodząca – z której kilka więźniarek przeniosło się tymczasowo do grupy malarskiej – zostały wysłane do innego bloku, gdzie panował tak wielki tłok, że musiały spać po cztery na sienniku i wdrapywać się na swoją pryczę przez cztery poziomy, a tam jeść zupełnie, leżąc płasko na brzuchach.

Pod koniec sierpnia nadszedł kolejny duży konwój z Francji i rozeszła się wieść, że Paryż w końcu został wyzwolony. Weteranki z *vingt-sept mille* obserwowały nowo przybyłe Francuzki z fascynacją. Były radosne i nosiły „absurdalne sukienki, które musiały jakoś same wykombinować”. Jedna miała nawet szal od Hermès, a inna puderniczkę, którą przesmuglowała przez łaźnię.

„To było tak, jakby odrobina naszego dawnego życia wdarła się nielegalnie do obozu. Powiew Francji – opowiadała Denise. – A my pomyślałyśmy: co znaczy nasz dalszy los, skoro nad Paryżem znów powiewa trójkolorowa flaga?”<sup>503</sup>.

<sup>482</sup> Dokumenty rodzinne rodziny Dufournierów, dzięki uprzejmości Caroline McAdam Clark.

<sup>483</sup> Falkowska powiedziała, że przeniesiono tu „duże biuro Eichmanna”; innymi słowy personel części słynnego wydziału Eichmanna do spraw żydowskich, 1VB4 RSHA, ewakuowano do lasów Ravensbrück. Raport dla komisji historycznej, Instytut Pamięci Narodowej, Polska.

<sup>484</sup> Maurel, *Ravensbrück*.

<sup>485</sup> *Dictators*.

<sup>486</sup> Wspomnienia Krystyny Czyż-Wilgatowej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 74.

<sup>487</sup> Tamże, s. 74.

<sup>488</sup> Tego listu nie ma w wydaniu korespondencji (przyp. tłum.).

<sup>489</sup> Przypis w: Favez, *The Red Cross and the Holocaust*.

<sup>490</sup> FO 371/39395.

<sup>491</sup> *I boję się snów*, s. 140. Zob. też W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 208 n.

- [492](#) Falkowska, Raport dla Komisji Historycznej, Instytut Pamięci Narodowej.
- [493](#) K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 293.
- [494](#) Wywiad autorki.
- [495](#) K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 292–293.
- [496](#) La Guardia Gluck, *Fiorello's Sister* oraz przypisy w jej dokumentacji ITS.
- [497](#) Vaillant-Couturier, zeznanie z Norymbergi, postępowanie z 28 stycznia 1946 roku, Staatsarchiv Nürnberg.
- [498](#) Wywiad autorki.
- [499](#) Bundesarchiv Koblenz, N 1126/38.
- [500](#) Schinke, BAL B162/9817.
- [501](#) Vermehren, *Reise durch den letzten Akt*.
- [502](#) Wywiad autorki.
- [503](#) Dufournier, *La Maison des Mortes*.

## Część piąta

## Rozdział 25

### Paryż i Warszawa

8 sierpnia 1944 roku, gdy siły amerykańskie znajdowały się zaledwie o 160 kilometrów na zachód od Paryża, trzy Brytyjki zabrano z cel miejskiego więzienia Fresnes i ciężarówką powieziono na Gare de l'Est. Violette Szabo, Denise Bloch i Lilian Rolfe zostały skute kajdankami w kostkach i wsadzone do pociągu do Niemiec. W oddzielnym wagonie tego samego pociągu jechali skuci po dwóch Brytyjczycy.

Na stacji kobiety i mężczyźni rozpoznali się nawzajem. Wszyscy byli agentami SOE (Special Operations Executive – Kierownictwa Operacji Specjalnych) i wszyscy zostali zrzućeni ze spadochronem na terenie Francji, gdzie mieli współpracować z ruchem oporu. Violette Szabo dostrzegła Harry'ego Peulevé, Brytyjczyka, którego poznała na szkoleniu. Denise Bloch zauważyła przywódcę siatki i swojego kochanka, Roberta Benoista, francuskiego kierowcę rajdowego. Niemcy schwyćtali agentów w przeddzień lądowania w Normandii i zamknęli we francuskich więzieniach. Agenci liczyli, że lada dzień uwolnią ich Amerykanie. Zamiast tego wraz z tysiącami uwięzionych francuskich bojowników ruchu oporu, przetrzymywanych w całej Francji, zostali wywiezieni do niemieckich obozów koncentracyjnych na kilka dni przed wkroczeniem aliantów do Paryża.

Kiedy Niemcy wycofywali się z terytorium Francji, Führer wezwał ich, aby wszystkich schwyćtanych francuskich działaczy podziemia wysłać do niewolniczej pracy w fabrykach Rzeszy. Z dnia na dzień exodus nabierał szybkości; w ciągu trzech tygodni od dnia lądowania aliantów do Niemiec wywieziono pociągami 6 tysięcy Francuzów. Podróż trwała cztery dni z powodu alianckich bombardowań torów i zbierała okrutne żniwo. Tak zwany *train de la mort*, pociąg śmierci, dotarł do Buchenwaldu w lipcu z 530 martwymi Francuzami<sup>504</sup>. Podczas długich postojów podusili się w upale lub

stratowali nawzajem, gdy próbowali przepchnąć się do wyjścia.

Pociąg wiozący Violette Szabo, Denise Bloch i Lilian Rolfe powoli zbliżał się do niemieckiej granicy, ponieważ bombardowania powodowały częste przystanki. Podczas jednego długiego postoju Violette pojawiła się w oknie męskiego wagonu i zaproponowała wodę. Wdrapała się po ścianie wagonu, ciągle przykuta do Denise Bloch, kiedy niemieccy strażnicy schronili się przed nalotem. Gdy pociąg znalazł się przy granicy w Soissons, naczelnik stacji i pielęgniarki Francuskiego Czerwonego Krzyża próbowali przekonać maszynistę, żeby zawrócił, ale ten ich zignorował.

W obozie przejściowym w Saarbrücken kobiety spotkały Yvonne Baseden, również agentkę SOE. Sześć tygodni wcześniej w górach Jury jej siatka odebrała pierwszy dzienny zrzut broni z amerykańskiej „latającej fortecy” i ukryła broń w gospodarstwie mlecznym za stosami wielkich serów. Kiedy nadszedł niemiecki patrol, dwudziestojednoletnia Yvonne również się tam ukryła, ale Niemcy znaleźli ją i aresztowali. Ponieważ połączenia kolejowe do Paryża nie funkcjonowały, wsadzili ją w bezpośredni pociąg z Dijon do Saarbrücken. Jechała razem z francuskimi hrabinami, które nie miały pojęcia, za co zostały aresztowane, grupą „kłótliwych komunistek” i „apodyktyczną” Brytyjką w mundurze Francuskiego Czerwonego Krzyża.

Po odjeździe tych pociągów tysiące więźniów zostało w paryskich więzieniach. Z obawy, że Niemcy w ostatnich dniach wszystkich ich zabiją, przywódcy ruchu oporu zaczęli nawoływać do powstania, zanim nastąpi wyzwolenie przez aliantów. Raoul Nordling, szwedzki konsul w Paryżu, jako przedstawiciel kraju neutralnego próbował negocjować z Niemcami, aby francuskie więzienia umieścić pod ochroną Szwecji, i wezwał do przerwania deportacji. W owym czasie w mieście nie działała już elektryczność, francuscy maszyniści kolejowi ogłosili strajk, a alianckie bomby zniszczyły Gare de l'Est. Ale pociągi nadal wyjeżdżały. Sprowadzono maszynistów z Niemiec, a pociągi odjeżdżały z podmiejskiej stacji Gare de Pantin.

15 sierpnia Virginia Lake, trzydziestoczteroletnia Amerykanka, wyruszyła zatłoczonym autobusem przez Place de la Concorde. Miesiąc wcześniej pomagała dostać się do bezpiecznego miejsca angielskim pilotom, ale teraz, razem z innymi bojowniczkami ruchu oporu, jechała konwojem na Gare de Pantin. Kierowca, Francuz, powiedział Virginii, że przewozi więźniów na stację cały dzień i ma już dość. Wygląda to tak, jakby właśnie tego dnia ewakuowano wszystkich, co do jednego, więźniów w Paryżu, powiedział.

– A alianci? Gdzie są? – spytała go.

– Już blisko – odparł. – W Rambouillet – miał na myśli miasto położone zaledwie 45 kilometrów od Paryża<sup>505</sup>.

Na Gare de Pantin więźniów załadowano po 60 osób na wagon. Pracownicy Czerwonego Krzyża przekazali paczki i zapewnili ich: „Nie dojedziecie do Niemiec. To niemożliwe. Wcześniej zostaniecie wyzwoleni”. Gdy pociąg wiozący w sumie 400 kobiet i 2200 mężczyzn, w tym 168 alianckich pilotów, wytaczał się ze stacji, na tory sfrunęła chmura liścików, które pozbierali przechodnie.

Postoje i objazdy były tak częste, że więźniowie mieli nadzieję, iż nie dotrą do granicy. Podczas jednego z przystanków kazano im wyjść z pociągu i przejść pieszo kilka kilometrów wzdłuż strzaskanych torów. Młoda francuska bojowniczką ruchu oporu Nicole de Witasse dostrzegła szansę na ucieczkę i zanurkowała w stóg siana, jednak strażnicy szybko ją znaleźli, pobili i sprowadzili z powrotem.

Mieszkańcy wsi krzyczeli: *Bon courage! Vive la France!* Ponownie wzywali maszynistów, aby się zatrzymali, ale bez skutku. Wkrótce wyglądający przez szpary między deskami więźniowie zobaczyli niemieckie napisy i wpadli w rozpacz. Strażnicy się rozluźnili. Cztery godziny później pociąg zatrzymał się w Weimarze. Mężatkom kazano pożegnać się z mężami, którzy odjeżdżali do Buchenwaldu. Niedługo potem kobiety zapakowano do pociągu na północ, do Ravensbrück, gdzie dotarły 21 sierpnia 1944 roku. 25 sierpnia Paryż został wyzwolony.

Słońce mocno grzało, gdy więźniarki maszerowały do obozu. Przez bramy zobaczyły rzędy kobiet wyglądających jak gnomy i ogromne butelkowozielone baraki stojące w czarnym pyle.

Podróżowały w zatłoczonych wagonach przez 50 godzin i były bardzo spragnione, ale usłyszały, że nie ma wody. „Tyfus, tyfus”, mówiły dziwne istoty: nie można pić wody. Wydano po małym kubku namiastki kawy, ale kubków nie dawano, więc nowo przybyłe rzuciły się do plecaków szukać kubków czy butelek albo pośpiesznie opróżniały słoiczki z dżemem lub cukrem i podstawiały je, by dostać trochę brązowego płynu. Miejscowe więźniarki padły na kolana szukać resztek cukru i dżemu i próbowały wskrobać je z ziemi.

Zapadła noc, a nowo przybyłe nadal nie zostały przydzielone do bloków. W obozie panował chaos, a kobiety tłoczyły się w wąskiej uliczce i pchały do rzędu otwartych latryn. Virginia spojrzała w górę na druty i zobaczyła znak ze skrzyżowanymi kośćmi, ostrzegający przed wysokim napięciem. Dławiący smród unosił się z dołu: stała nad kostnicą.

W uliczce zgromadzono wiele innych kobiet, słychać było okrzyki w różnych językach: holenderskim, rumuńskim, węgierskim, greckim, serbskim, chorwackim i innych. Gdy zaczął zapadać zmrok, wszystkie je zapędzono w głąb obozu. Nowo przybyłe zobaczyły przed sobą coś, co wyglądało jak kopuła ogromnego namiotu.

Uliczką szła nowa grupa kobiet, niektóre w futrzanych paltach, po czym padały wyczerpane na ziemię i cicho pojękując, leżały. Inne – matki z dziećmi – siadały na drogich skórzanych walizkach i rozglądały się z niesmakiem dookoła siebie lub lamentowały. Rozeszła się pogłoska, że to Polki. Francuzki wpatrywały się w Polki, a Polki wpatrywały się we Francuzki. Jedna czy dwie znały język drugich. Polki przyjechały z Warszawy, dowiedziały się Francuzki, a Polki dowiedziały się, że Francuzki przywieziono z Paryża. Paryż lada moment będzie wyzwolony, powiedziały Francuzki. Warszawa została spalona, poinformowały je Polki.

Na początku sierpnia, gdy Francuzi czekali, aż Amerykanie wyzwolą Paryż, polski ruch oporu dostrzegł szansę dla siebie i Warszawę ogarnęło powstanie, które jednak zostało stłumione. Wkroczyły oddziały SS i spaliły miasto, mordując wszystkich po drodze. W uliczce była siedemnastoletnia Krystyna Dąbrowska; trzy tygodnie wcześniej patrzyła, jak płonie jej dom w Warszawie. Ojciec Krystyny, lekarz, uciekł kanałami; brat został zastrzelony. Ona z matką została wpakowana do pociągu i wysłana z tysiącami innych na zachód, gdzie miały przymusowo pracować dla Hitlera<sup>506</sup>.

Pierwszej nocy w Ravensbrück Krystyna w końcu znalazła sobie miejsce do spania: zeszła po kilku schodkach i zwinęła się w kłębek w ciepłym miejscu. Kiedy obudziła się rano, zobaczyła, że spała w kostnicy. Inne Polki z transportu Krystyny z Warszawy spędziły pierwszą noc w ogromnym namiocie.

Namiot wydawał się nieszkodliwy, kiedy pojawił się w połowie sierpnia. Jego czyste białe płótna łopotały na wietrze. Denise Dufournier i drużyna



malarska ze zdumieniem obserwowały, jak go rozbijano. Czy to będzie cyrk, czy jakieś centrum wystawowe? – żartowały. Nikt nie podejrzewał, że będą mieszkały w nim więźniarki. Tak naprawdę był to stary namiot wojskowy i Suhren twierdził później, że znalazł ostatni w całych Niemczech – takie było na nie zapotrzebowanie w innych zatłoczonych obozach. Kiedy namiot przyjechał, Suhren osobiście pomagał nawet wbijać paliki.

Namiot został rozstawiony na kawałku pustej ziemi między blokami 24. i 25. Zimą robiło się tam bagno, a latem wysypisko śmieci rojące się od wszy. Potem rozeszła się pogłoska, że będzie to tymczasowe schronienie dla nowo przybyłych, i z pewnością było ono potrzebne, ponieważ obecnie wykorzystywany był każdy centymetr przestrzeni w obrębie murów. W większości bloków kobiety spały po trzy na pryczy, ale w dużych, najędźniejszych blokach tłoczyły się po siedem na dwóch złączonych siennikach. Jadalnie pełne były więźniarek, które leżały na stołach, ławach i na podłodze. W bloku cygańskim kobiety kucaly nad miednicami jak „kury na grzędzie”, opowiadała Sylvia Salvesen. W kostnicy zawsze zalegało tyle zwłok, że ciała leżały jedno na drugich w blokowych umywalniach, dopóki nie zabrał ich specjalny wózek.

Gwałtowny napływ nowych więźniarek trwał i zaczął jeszcze przyspieszać na długo przed przyjazdem warszawianek. Gdy Rosjanie postępowali w głąb Polski, Hitler nakazał opróżnienie wszystkich obozów leżących na ich drodze: żaden więzień Rzeszy nie może wpaść w ręce wroga. Wskutek tego tysiące więźniów Niemcy pakowali w pociągi i wysyłali na zachód, za niemieckie linie, a wszystkie obozy pękały w szwach od przyjezdnych. Chociaż Rosjanie znajdowali się jeszcze wiele kilometrów od południowej Polski, ewakuacyjne transporty z Auschwitz już się zaczęły, Niemcy oczyszczali też żydowskie getta i przetrzymywanych w nich Żydów wysyłali na zachód.

W tym samym czasie do Ravensbrück nadal trafiały gromady Niemek – gospodynie domowe powątpiewające w niemieckie zwycięstwo, prostytutki błakające się po ruinach Drezna, *Bettpolitische*. Potem przyjechały transporty z Francji, wysłane tuż przed alianckim wyzwoleniem. Spodziewano się również wkrótce ewakuowanych z obozu koncentracyjnego w Vught w południowej Holandii.

Przez całe lato Fritz Suhren próbował zorganizować więcej przestrzeni: budował nowe bloki, zagęszczał więźniarki tu i ówdzie, ale w połowie sierpnia obozowa infrastruktura nie wytrzymała tłoku. Nie miał nawet

personelu do zajęcia się przybyłymi. Zgodnie z surowymi obozowymi zasadami żadna więźniarka nie mogła być przyjęta bez wypełnienia formularzy i opatrzenia numerem, i to z tego powodu Francuzki i inne kobiety musiały czekać w uliczkach na przeprowadzenie odpowiednich procedur.

Potem, kiedy zaczął się napływ warszawianek, obozowa biurokracja ostatecznie się załamała. Namiot zaspokoił najpilniejsze potrzeby, ale był za mały, aby pomieścić całą żeńską społeczność miasta. W ciągu kilku tygodni od sierpnia do października 1944 roku ponad 12 tysięcy warszawianek z dziećmi wysłano w podróż do Ravensbrück.

Pod koniec sierpnia Suhren odmówił nowych przyjęć. Oczekujące na rejestrację gromadziły się w postaci kłębiącego tłumu pod bramami, wycieńczone, głodne i chore. Teren, na którym siedziały i leżały, wkrótce stał się polem błota, ekskrementów i ludzkich szczątków.

Polki z niecierpliwością oczekiwały na wieści z ojczyzny od nowo przybyłych, a Krysia Czyż i Wanda Wojtasik, obecnie dość silne, by chodzić, zostały przydzielone do pilnowania nowych rowów przeciwlotniczych, wykopanych dookoła obozu dla chronienia się przed bombami. Stąd mogły obserwować przybywające warszawianki, które odnajdywały w rozpaczliwym stanie. Po wielogodzinnej podróży w bydłących wagonach nowo przybyłe siedziały teraz w pełnym słońcu, bez jedzenia i picia. Krystyna i Wanda zanosily im w wiadrach czystą wodę i pytały<sup>507</sup>. „Gdy pytałyśmy o to, co się dzieje w Warszawie, otrzymywałyśmy odpowiedź jedną jedyną: «Warszawy nie ma». «Jak to nie ma? Co to znaczy?» «Proszę pani, Warszawa się pali, cała w ogniu, stamtąd nikt żywcem nie wyjdzie, to już nie jest miasto, to są gruzy. Warszawy nie ma»”<sup>508</sup>.

Przyjeżdżały całe rodziny i wkrótce wszędzie były dzieci, biegały po lesie lub próbowały zdobyć jedzenie z domów esesmanów. Ciągłe docierały nowe transporty, a każdy stanowił coraz większy kłopot. Kobiety siedziały na stosach rzeczy, popakowanych walizkach, pudłach lub olbrzymich kufrach.

Na pytanie, dlaczego zabrały ze sobą tyle rzeczy, kobiety odparły, że Niemcy kazali im „zabrać wszystko” i obiecali przewóz w bezpieczne miejsce. Inne obrabowały bogatsze od siebie. Przyjechały więźniarki jednego całego więzienia razem z zakonniceami z kilku klasztorów. Niektóre kobiety zabrały ze sobą zwierzątka domowe, a Grete Buber-Neumann dostrzegła nawet jedną

z kanarkiem w klatce. W miarę jak warunki się pogarszały, SS obawiało się szerzenia chorób, dlatego zwiększono wysiłki, aby wszystkie kobiety szybciej znalazły się w środku, a tam, po dezynfekcji, mogły czekać na rejestrację w namiocie. Jednak biorąc pod uwagę liczbę przybywających i ilości bagażu, zwykłe procedury prysznicowa i dezynfekcji były niemożliwe.

W pierwszej kolejności kobiety szybko przeszukiwano pod kątem posiadania cennych przedmiotów, po czym kierowano do namiotu, tam poddawano je obserwacji, czy nie próbują zakopać czegoś w ziemi lub ukryć biżuterii i innych kosztowności w różnych dziurach. Najbardziej luksusowe sztuki odzieży i biżuterii zdarli już z kobiet strażnicy, ale przybyłe miały ze sobą tyle dobytku, że ogromne stosy rzeczy osobistych piętrzyły się pod łaźnią.

„Teraz zaś transporty warszawskie przywoziły taką ilość rzeczy, że nieomal każdy przechodzący przed łaźnią po kąpielii transportu mógł coś sobie wybrać – opowiadała Karolina Lanckorońska. – Leżały tam ryngrafy i puderniczki, zegarki i suknie wieczorowe, książki do nabożeństwa i garnki kuchenne, łyżki srebrne i całe sztuki cennych materiałów, lustra, kołdry puchowe i skrzypce, piękna jedwabna bielizna i chustki chłopskie – wszystko razem, potworny, makabryczny fragment minionych dni stolicy”<sup>509</sup>.

Gdy pierwsza grupa stłoczyła się w namiocie, usłyszały, że przynależą do bloku 25. Podobnie jak w pozostałych blokach, dostały własną blokową i dwie sztubowe – obie weteranki z polskiego obozu. Namiot został opasany kordonem i był pilnie patrolowany przez obozową policję. Ponieważ skoro wszystko, co działo się w obozie, było tajne, to namiot stał się najściślej strzeżonym sekretem ze wszystkich. Wkrótce brązowy płyn zaczął sączyć się spod płótna, a nocą rozlegały się krzyki i jęki.

Jedna z namiotowych sztubowych, Halina Wasilewska, naszkicowała rzut namiotu, sporządzała notatki, jak to wszystko wyglądało, i opracowała wykaz, kto i kiedy przyjechał. Dawniej namiot należał do armii, miał około 10 na 40 metrów i 3 metry wysokości, a wspierał się na dwóch centralnie ustawionych masztach, co oznaczało, że ściany opadały coraz niżej. W środku nie było oświetlenia ani ujęcia wody. Z powodu braku dostępu do latryn i toalet dookoła obrzeży namiotu ustawiono drewniane skrzynie z wiadrami wstawionymi do środka<sup>510</sup>. Pierwsze 900 mieszkanków przyjechało 23 sierpnia. Problemy zaczęły się od razu, ponieważ nie umyły się najpierw w łaźni.

Wszystkie były brudne i zawszone i musiały spać w tych samych ubraniach, w których podróżowały bydlęcymi wagonami i czekały pod bramą obozu.

Kobiety były wygłodniałe, ale wydawanie żywności było bardzo trudne, ponieważ nie dotarł jeszcze obozowy sprzęt; musiały więc jeść z własnych naczyń, o ile jakieś miały – często słoiki lub puszki – ale nie miały jak ich umyć, więc niedługo wszystko pokryły zjełczałe resztki jedzenia.

Dopiero po dwóch dniach kobiety zabrano do łaźni i teraz wszystkie przedmioty, które udało im się zachować, zostały im odebrane, a one same musiały założyć bawełniane obozowe sukienki. Ale potem odesłano je z powrotem do namiotu, gdzie siedziały i leżały na tej samej śmierdzącej słomie. Codziennie przychodzili esesmani i dalej szukali cennych rzeczy; zabierali ostatnie różańce, zdjęcia i obrączki. W połowie września nadal panował duszny upał, choć noce stawały się coraz zimniejsze. Deszcz zaczął wlewać się przez otwarte boki namiotu, wiatr szarpał tyczkami, a konstrukcja kiwała się i cały namiot prawie się kładł.

Chociaż namiot miał być dla reszty obozu strefą zakazaną, pozostałe więźniarki patrzyły na niego z rosnącą odrazą i mówiły: „Robota dla komanda grabarskiego”, chociaż wiele innych próbowało pomóc. Kiedy rozeszła się wieść, że kobiety w namiocie głodują, więźniarki z kuchni i biur próbowały dostać się do nich z zupą i chlebem. Austriaczkę Annę Hand przeraziło to, co tam zastała. „Silniejsze wrywały chleb słabszym i wiele więźniarek nie dostało nic. Było tam z tysiąc kobiet, stłoczonych jak sardynki na przestrzeni tak małej, że wiele mogło tylko kucać. Niektóre już zostały zdeptane na śmierć”<sup>511</sup>.

Przez cały ten czas przez bramy napływały kolejne Polki ze stolicy, a także różne transporty z innych miejsc. Grupa z łódzkiego getta trafiła do namiotu razem z niedobitkami z Auschwitz. Nadal najszybciej napływały warszawianki; wydawało się, jakby przyjeżdżały mieszkanki dzielnicy po dzielnicy, w miarę jak metodycznie wyciągano je z pożogi i przenoszono tutaj. Wydawało się, jakby Niemcy przewieźli tu całą Warszawę – bogate i biedne, wykształcone i niewykształcone, kobiety z domów starców, dzieci z sierocińców, nauczycielki, hrabiny i wiele innych; wszystkie plątały się wokół i szukały matek, sióstr i dzieci, które trafiły do innych ciężarówek lub, co bardziej prawdopodobne, zginęły w płonącej Warszawie.

Zachowanie niektórych rodaczek przeraziło polskie więźniarki polityczne.

Wanda i Krysia zauważyły, że wiele nadskakiwało Niemcom, wierząc, że naprawdę je tu przywieźli, aby zapewnić im ochronę. „Z narażeniem własnej skóry starałyśmy się pomagać wszystkim, ale czasem.. ręce opadały”, napisała Wanda<sup>512</sup>. Z ostatnim kontyngentem przyjechały wozy z dobytkiem zrabowanym przez Niemców z warszawskich domów, kościołów i biur. Łup był tak obfity, że za murami obozów wzniesiono specjalne magazyny i wyznaczono więźniarki do sortowania rzeczy. Jedna kobieta rozpoznała zaślony ze swojego warszawskiego mieszkania.

Widok warszawianek wywoływał coraz większy niesmak u innych więźniarek, szczególnie Rosjanek. Antonina Nikiforowa patrzyła z niedowierzaniem na futra i walizki pełne złota.

Zabrały ze sobą wszystko, ponieważ Hitler obiecał im domy. Oddały się pod opiekę faszystów i uważały, że nie mają z nimi nic wspólnego, więc patrzyły na nas z pogardą.

Widziałam zakonnice w długich powłóczystych habitach ze złotymi krzyżami połyskującymi na piersi [...]. Leżały na ziemi ze skrzyżowanymi ramionami i nie dawały ich sobie zdjąć. Ale wkrótce cały obóz dowiedział się, jak zdejmuje się habit i krzyż z zakonnice. Esesman podnosił je do pionu kopniakiem i zrywał strój. Kilka dni później nie dało się ich już odróżnić od innych więźniarek. Tylko raz czy dwa razy dziennie można było zauważyć kobietę, która wznosiła oczy do nieba i mamrotała modlitwę, nieomylny znak, że to „siostra”.

W późniejszych transportach z Warszawy coraz więcej kobiet przyjeżdżało z niemowlętami i dziećmi. Widok kobiet z dziećmi w obozie rozwścieczył niektórych esesmanów. Pewnego ranka Sara Honigmann, polska więźniarka, widziała grupę warszawianek czekających przed łaźnią. Jedna z nich trzymała małe dziecko. „Zastępca komendanta obozu podszedł do kobiety, wyrwał jej dziecko z ramion i rzucił nim o obozowy mur. Matka upadła na ziemię z płaczem”. Wtedy inny esesman rzucił się z protestem do tego pierwszego, który wyciągnął broń, i sam komendant musiał wkroczyć, żeby ich rozdzielić.

Karolina Lanckorońska uzyskała pozwolenie od Dorothei Binz na poruszanie się wśród tłumów i znalazła tam kobiety tak przygnębione swoją sytuacją, że nie potrafiły nawet odpowiadać na pytania. Często musiały zostawić dzieci lub widziały ich śmierć. Pewna kobieta powiedziała, że musiała zostawić dwoje dzieci, gdyż Niemcy zabrali ją bez nich. Inna wyszeptwała Karolinie, że widziała, jak syn tej kobiety zginął od wybuchu bomby.

Dla Suhrena przybycie dzieci oznaczało kolejny problem logistyczny. Od zimy 1943 roku, kiedy przyjechała specjalna grupa żydowska z Belgii

i Holandii, w obozie stale przebywały małe dzieci, a w lipcu z transportem cygańskim przybyły kolejne. Przeważnie jednak dokładne sprawdzanie pociągów zapobiegało transportowaniu dzieci do Ravensbrück, ponieważ nie nadawały się do pracy.

Grupa więźniów żydowskich przewiezionych tutaj z Auschwitz została prześwietlona najdokładniej ze wszystkich: wszystkie małe dzieci z całą pewnością zostały wyselekcjonowane na rampie w Auschwitz zaraz po przyjeździe i wysłane do komór gazowych, prawdopodobnie przez Josefa Mengele, lekarza słynnego z eksperymentów na bliźniakach.

We wrześniu do obozu przyjechała szesnastoletnia Pola Wellsberg, polska Żydówka. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej miała do czynienia z Mengele w Auschwitz. Została uwięziona w łódzkim getcie, rodzice i czterej bracia trafili do obozu zagłady w Chełmnie, a Pola z młodszą siostrą Chają uratowały się, ponieważ wysłano je do warsztatu w getcie produkującego żołnierskie buty. Kiedy w sierpniu 1944 roku getto zostało zlikwidowane, razem z siostrą trafiły do Auschwitz, gdzie każda osoba z Łodzi musiała stawić się u doktora Mengele. Ten przydzielał każdego do jednej z grup: na lewo ci do komory gazowej, na prawo wybrani do pracy. Pola i Chaja miały iść na lewo, „ale w ostatniej chwili zostałam wyciągnięta”, opowiada Pola. Uznano ją za zdolną do pracy i dlatego znalazła się w Ravensbrück<sup>513</sup>.

Regina Minzburg przed wywiezieniem do Auschwitz również przebywała w Łodzi, ona też została wyselekcjonowana do życia: „Byłyśmy już w drodze do komory gazowej, kiedy nagle postanowili wyciągnąć 500 z nas do pracy. Miałam czternaście lat, ale uznali mnie za zdolną do pracy”. Jednak większość warszawianek nie przeszła tej preselekcji. Kobiety te często wyszły prosto z domów, z rzeczami, dziadkami i dziećmi – a wiele z nich do tego było w ciąży.

W obliczu tego rozrastającego się tłumu – a w nim mnóstwa kobiet, które nie nadawały się do pracy – Fritz Suhren miał ograniczone możliwości. Do innych obozów również tysiącami napływali warszawiacy. Komendant obozu w przepełnionym przez nowo przybyłych Stutthofie, Richard Glücks, dostał 14 sierpnia 1944 roku rozkaz z inspektoratu obozowego, żeby nie przyjmować warszawianek z dziećmi poniżej 14. roku życia – nie wolno ich „wpisywać na listy”. Rozkaz prawie na pewno oznaczał, że przybywających do Stutthofu rozstrzelowano<sup>514</sup>. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że Fritz Suhren

otrzymał podobny rozkaz.

Suhren rozwiązał problem przepełnienia, posławszy po większy namiot. Według raportu Haliny, nowy miał 20 metrów szerokości i 50 długości, dwa razy tyle, co pierwszy, boki wysokie na 3 metry oraz dwuspadowy dach. Miał też rynny i oświetlenie, ale nie posiadał doświetlenia naturalnego, przez co w środku panował większy mrok, szczególnie że światło elektryczne było słabe i ledwo rozjaśniało jeden koniec. Rynna przeciekała przy pierwszych deszczach. Przeciekała mniej więcej pośrodku, tworząc stałe bajoro o powierzchni stu metrów kwadratowych. Halina kilkakrotnie meldowała o przeciekających rynnach, ale nigdy nikt ich nie naprawił.

W drugim namiocie od początku brakowało dla wszystkich słomy, a nowo przybyłe nadal nie miały się gdzie umyć ani opłukać naczyń. Urządzenia sanitarne znajdowały się na zewnątrz, ale więźniarki musiały do nich chodzić grupami i pod strażą. Wkrótce toalety nie wytrzymały przepełnienia. Przy mieszkającej w namiocie setce dzieci w wieku poniżej dwunastu lat warunki stały się trudne do opisania. W środku stało dwadzieścia wiader, a opróżniało się je do wykopanych tuż przy namiocie dołów, z których wkrótce zaczęło się przelewać.

Na początku października noce stały się wilgotne i zimne. Chore nie uzyskiwały pomocy medycznej. Personel namiotu przynosił wodę z innych bloków do mycia dzieci, ale było to prawie niemożliwością. Dzieci przybywało coraz więcej i więcej i dochodziło do walk o przestrzeń. W czasie gdy wznoszono nowy namiot, co najmniej dwie kobiety urodziły.

Co noc pozostałe więźniarki słyszały przerażające krzyki dochodzące z namiotu. Pewnego dnia rano widziano, jak wyszła z niego kobieta i od razu przykucnęła. Anja Lundholm zobaczyła postać z głową opartą na drewnianej żerdzi.

Długie, potargane włosy spływały jej z głowy na ramiona. Pierwotnie prawdopodobnie blond, teraz były szare z brudu. W chudych ramionach kobieta coś trzymała, ale nie widać było co. Powoli, ostrożnie podniosła głowę i zobaczyła nas, idące z czajnikiem i patrzące na nią. Kiwnęła głową i wyciągnęła ku nam zawiniątko z euforycznym uśmiechem na twarzy. To było niemowlę. Czy raczej, było to ciało niemowlęcia<sup>515</sup>.

<sup>504</sup> *Livre Mémorial*.

<sup>505</sup> Litoff (red.), *An American Heroine in the French Resistance*.

[506](#) Krystyna Dąbrowska, wywiad autorki i niepublikowane wspomnienie *Przez obóz koncentracyjny na wolność*.

[507](#) Wywiad autorki z Wandą Półtawską oraz *I boję się snów*, s. 148–149.

[508](#) K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 296.

[509](#) Tamże, s. 297.

[510](#) Wasilewska, opis namiotu, „Blok 25, Zelt”; Lund 434.

[511](#) Hand, BAL B192/9819.

[512](#) *I boję się snów*, s. 148.

[513](#) Wellsberg i Minsburg, wywiady autorki; zob. też zeznanie w YV.

[514](#) Archiwa Obozu Stutthof, AMSt. I-IIB-7, cyt. za: Hördkler, *Ordnung und Inferno*.

[515](#) Lundholm, *Das Höllentor*.



## Rozdział 26

### *Kinderzimmer*

Karolina Lanckorońska jako jedna z pierwszych zauważyła, jak wiele przyjeżdżało warszawianek w ciąży. Niektóre z nich miały ze sobą także starsze dzieci. Inne oczekiwały pierwszego. Niektóre urodziły za obozową bramą. Karolina spytała Binz, czy może zanieść mleko ciężarnym kobietom, które „nie są jak my zbrodniarkami”, a Binz – może w odruchu litości – powiedziała, że tak<sup>516</sup>.

Obecność tak wielu kobiet wśród tysięcy przybywających z Warszawy nie zaskakuje, podobnie jak obecność dzieci. Te kobiety reprezentowały przekrój warszawskiej ludności, więc to naturalne, że wiele znajdowało się na różnych etapach ciąży. Nie istniała możliwość wyłowienia spośród nich ciężarnych przed załadowaniem do pociągów. A jednak duża liczba ciężarnych szczególnie zwracała uwagę. Karolina zauważyła, że wiele wymiotowało. Wiele z nich nie miało jeszcze pewności, że są w ciąży, ale obawiały się tego, ponieważ podczas niemieckiej rzezi w Warszawie zostały zgwałcone.

W tłumie dużo kobiet mówiło o gwałcie, co słyszała przechodząca wśród nich Lanckorońska. Jedna z kobiet czekająca pod bramą krzyczała całe noce. Kiedy Karolina spytała, co jej się stało, ta opowiedziała jej, że jej dom został splądrowany, a żołnierze Własowa zgwałcili przy niej jej córkę. Andriej Własow był radzieckim generałem, który przeszedł na stronę Niemców i który na rozkaz Himmlera poprowadził swoją brygadę na Warszawę, gdzie jego żołnierze zgwałcili tysiące kobiet, w tym zakonnice i uczennice [Żołnierzy różnych rosyjskich jednostek kolaboracyjnych nazywano potocznie „własowcami”, ale pomimo że nosili oni często naszywki ROA (Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej), generał Własow faktycznie nimi nie dowodził. W tłumieniu powstania warszawskiego uczestniczyła natomiast brygada RONA (Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej) pod dowództwem

Bronisława Kamińskiego, konkurenta Własowa – przyp. red.]

Po przyjeździe do Ravensbrück wiele ciężarnych warszawianek trafiło do namiotu, ale z przerażeniem myślały o tym, co je czeka. Osiemnastoletnia Stasia Tkaczyk, w drugim miesiącu ciąży, z łatwością ukryła swój stan i skorzystała z szansy wydostania się do drużyny roboczej pracującej w podobozie<sup>517</sup>. Kobiety bliższe terminu rozwiązania nie mogły wychodzić na zewnątrz.

I nie tylko z Warszawy przyjeżdżały kobiety w ciąży. Badanie nowo przybyłych ogólnie było teraz mniej gruntowne, a ciążę wśród przyjeżdżających powszechniejsze. Bretonka, która urodziła na Lagerstrasse, doznała zakażenia i wykrwawiła się na śmierć. Coraz częściej ciążę przydarzały się w samym obozie; więźniarki miały teraz więcej możliwości kontaktów z mężczyznami, szczególnie w podobozach, gdzie często razem z nimi pracowali niemieccy cywile i jeńcy wojenni.

Mimo tego to przybycie warszawianek podniosło liczbę ciąż w obozie do niespotykanego poziomu. Według pracowniczek komendantury jedna na dziesięć Polek, które stanęły u bram we wrześniu, była w ciąży. W sumie z Warszawy do początku października przyjechało 12 tysięcy kobiet, co oznacza, że w obozie w ciągu kilku następnych miesięcy miało się urodzić 1200 dzieci.

SS musiało zareagować na rosnącą liczbę ciężarnych; esesmani też widzieli wszędzie kobiety i słyszeli płacz dzieci. W październiku więźniarki zaczęły rodzić na placu apelowym, w łaźni, w namiocie. Kiedy Leokadia Kopczyńska poczuła skurcze podczas porannego apelu i upadła, dozorcynie zamiast ją skopać, pozwoliły przyjaciółkom odprowadzić ją do rewiru<sup>518</sup>.

Być może to upadek Leokadii na placu apelowym skłonił Suhrena do skontaktowania się z Richardem Glücksem z inspektoratu obozowego w sprawie dalszych instrukcji – albo też nowe instrukcje już nadeszły. W każdym razie wiadomo, co głosiły nowe rozkazy, na podstawie tego, co działo się potem: po raz pierwszy w historii obozu wydano pozwolenie, aby mogły się w nim rodzić dzieci. Władze wyznaczyły w rewirze pomieszczenie i skierowały tam akuszerki.

„Zabrali mnie do izby porodowej w rewirze, gdzie urodziłam”, wspominała Leokadia. Akuszerka, Polka, zajęła się Leokadią i poprosiła, żeby nadała dziecku imię. „Powiedziałam, że nazwę ją Barbara”, a ona wzięła dziecko pod

kran i rzekła: „Ja ciebie chrzczę tą wodą i nadaję ci imię Barbara”.

Decyzja dopuszczająca porody w Ravensbrück stanowiła wielki zwrot polityczny<sup>519</sup>. Jedną z najważniejszych dotychczasowych zasad od zawsze był zakaz porodów w obozie. Na początku kobiety w ciąży odsyłano na czas rozwiązania w inne miejsca, po czym dzieci zabierano i oddawano na wychowanie do nazistowskich domów. Później, gdy liczba ciężarnych rosła, dokonywano aborcji. Każde urodzone żywe dziecko mordowano. W tym samym czasie władze robiły wszystko, aby nie dopuścić do sytuacji, w której kobiety zesłane do obozów koncentracyjnych mogły się rozmnażać. Kobiety całkowicie oddzielano od mężczyzn z obozów męskich, a esesmanów czekały dotkliwe kary za kontakty z więźniarkami. Jakby zakazu porodów było mało, kobiety z Ravensbrück służyły też jako króliki doświadczalne w eksperymentach nad sterylizacją.

Ogromna liczba ciężarnych kobiet u bram obozu w październiku wymusiła zmianę tej polityki. Było za dużo ciąż do przerwania. Już teraz Percival Treite połowę czasu spędzał na przeprowadzaniu aborcji, a obóz miał ograniczoną liczbę miejsc. Prawdopodobnie na początku października Treite ogłosił zmiany w rewirze. Instrukcje brzmiały, że wszystkie więźniarki lekarki i położne mają się zająć przygotowaniem do porodów.

Wśród pierwszych wezwanych znalazła się czeska lekarka Zdenka Nedvedová, która miała zorganizować przygotowania. Biorąc pod uwagę, że Zdenka była doskonałym pediatrą wykształconym na Uniwersytecie Karola w Pradze, przyszłe matki nie mogły znaleźć się w lepszych rękach. Treite początkowo zachęcał do profesjonalnego podejścia i były oznaki, że popierał cały pomysł.

Kiedy nadeszła zgoda, pielęgniarki i lekarki przystąpiły do pracy. „Dostałyśmy wolną rękę w przygotowaniach”, wspominała Zdenka. W krótkim czasie czysta i dobrze wyposażona sala porodowa była gotowa, a w niej dostateczna ilość czystych prześcieradeł i dostęp do ciepłej wody, jak również papierowe pieluszki, dobre oświetlenie i inne potrzebne utensylia. W pobliżu w razie konieczności znajdowała się sala operacyjna.

Ze świadectw nie wynika, czy Barbara faktycznie była pierwszym urodzonym dzieckiem. Według Antoniny Nikiforowej, lekarki Armii Czerwonej, jako pierwsza w nowej sali porodowej urodziła się nie Polka, lecz Rosjanka, Wiktorja. Sylvia Salvesen, Norweżka, która pracowała

w rewirze jako pielęgniarka, zgadza się, że pierwsze urodzone dziecko było pochodzenia rosyjskiego, ale twierdzi, że był to chłopiec, Nikołaj. Nowiny o narodzinach rozeszły się po obozie, wywołując wielką radość. „Kobiety wszędzie o tym rozmawiały: «W Ravensbrück urodziło się dziecko, ma na imię Nikołaj»”.

W grudniu 1946 roku Sylvia Salvesen złożyła zeznanie przed hamburskim sądem: „Nikołaj był traktowany jak księżę – mówiła. – Ubrany w piękne ubranka, ofiarowane przez kobiety, które przyjechały do obozu z dziecinnymi ubrankami i jeszcze im ich nie odebrano”.

Potem nastąpiły kolejne „cudowne” narodziny. Zdenka uznała za cud, że chore i niedożywione kobiety rodziły zdrowe dzieci o wadze trzech i więcej kilogramów. Polka z Warszawy, Hanna Wasilczenko, zemdląca na placu apelowym po trzech godzinach stania, po czym wydała na świat w rewirze czterokilogramowego Witolda Grzegorza. Według austriackiej więźniarki Ilse Reibmayr, zwerbowanej do pracy akuszerki, „to był cud”, że akuszerki w rewirze mogły wykąpać matki.

Robiliśmy to w wielkiej miednicy przechowywanej w sali operacyjnej. Rozbierałyśmy je do naga i wsadzałyśmy do miednicy. Myłyśmy je ściereczką, namydlałyśmy i splukiwałyśmy od stóp do głów. Oporządzałyśmy im stopy i ubierałyśmy w białe koszule. Dostarczały nam ich kobiety ze szwalni, gdzie wszystkie chciały pomóc. To było cudowne, że nagle pozwolono nam pomóc tym kobietom. Wszystkie szyły pieluszki i koszule dla nas. Oczekujące dziecka matki były przygotowywane na poród jak w najlepszym sanatorium.

Więźniarki lekarki martwiły się, że mimo dobrej wagi urodzeniowej dzieci będą chorowite, ale przez pierwsze dni życia noworodki rozwijały się zupełnie normalnie. Z powodu słabego odżywiania, co oznaczało wysoki poziom wody w tkankach, dzieci były podpuchnięte, a tym samym wyglądały szczególnie zachwycająco. „Wyglądały ślicznie – wspominała Ilse Reibmayr – ale oczywiście wiedziałyśmy, że to tylko złudzenie”.

Złudzenie czy nie, większość tak rozpaczliwie próbowała w to wierzyć, że odsuwały od siebie wszelkie złe podejrzenia. Faktycznie, kiedy czyta się wspomnienia, uderza fakt, jak niewiele więźniarek obawiało się skutków tego wszystkiego lub zastanawiało się, dlaczego tak nagle władze obozu zgodziły się na porody. Sylvia mówi, że kobiety zastanawiały się, „co to oznacza”, ale szybko wmawiały sobie, że SS robi to dla „dobrej propagandy”, żeby wraz z nadchodzącym końcem wojny „pokazać, że są normalni”.

W każdym przypadku obozowe więźniarki lekarki nie miały czasu, aby wybiegać myślą naprzód: były zbyt zajęte niesieniem pomocy. Jak Sylvia Salvesen powiedziała przed sądem, po pierwszym dziecku przyszły następne: „Jedno, dwoje, troje... dwadzieścioro w ciągu następnych dni i na początku wszystkie były traktowane bardzo dobrze”. Wówczas pozwalano matkom pozostawać przy dzieciach, chociaż nie mogły z nimi być nocą, kiedy pokój noworodków zamykano i nikt nie mógł do niego wchodzić.

Na początku Treite pozwolił podawać matkom zaraz po porodzie szklanekę mleka i przez jakiś czas przymykał nawet oko, kiedy więźniarki z kuchni szmugłowały do rewiru owsiankę do mleka. Nie sprzeciwiał się też, gdy personel medyczny ruszał także do nagłych porodów w różnych miejscach obozu.

„Pracowałyśmy dniem i nocą – opowiadała Sylvia. – Zawsze nosiłam nożyczki i nici w kieszeni. Mając je ze sobą, mogłam uratować życie kobiecie i dziecku”. Pewnej nocy wezwano ją i Zdenkę do łaźni, gdzie młoda Polka urodziła na gołej podłodze. „Musiałyśmy zostawić tam matkę. Dziecko owinęłyśmy w kocyk i zabrałyśmy do rewiru”.

Cud narodzin nie trwał jednak długo – Sylvia kontynuowała zeznanie przed sądem w Hamburgu. „Pamiętam, jak lekarz powiedział mi, że dwoje dzieci umarło w nocy, ponieważ nocą nie było przy nich pielęgniarki, obróciły się i udusiły na śmierć”. W tym momencie rozprawę przed sądem przerwano, ponieważ jeden z obrońców, doktor von Metzler, zgłosił protest w związku z tłumaczeniem słów Sylvii. Prawnik twierdził, że tłumaczenie jest błędne, ponieważ sugeruje, że dzieci zostały „świadomie zamordowane”, gdyż nie mogły się ruszać, podczas gdy świadek powiedziała, że „nie mogły oddychać”.

Główny oskarżyciel Stephen Stewart próbował wyjaśnić kwestię i powiedział sądowi: „Świadek powiedziała, jeśli mogę powtórzyć, że dzieci nocą obróciły się, a ponieważ nie było przy nich pielęgniarki, zmarły, podczas gdy tłumacz na niemiecki powiedział, że nie mogły się ruszyć i dlatego zmarły”. Stewart kontynuował: „Czy to pana satysfakcjonuje, panie von Metzler?”, a w tym momencie wszystkie oczy zwróciły się na człowieka, który najwyraźniej również wierzył w złudzenia; ponieważ bez względu na to, jaki błąd popełnił tłumacz, wszyscy w sądzie – najwyraźniej z wyjątkiem von Metzlera – wiedzieli, że dzieci urodzone w Ravensbrück świadomie mordowano, z tego prostego powodu, że dzieci nie mogły tam przebywać.

Himmler to wiedział. Reichsführer od dawna interesował się

wychowywaniem niemowląt, nawet wydawał własne instrukcje w kwestii doglądania i karmienia aryjskich dzieci urodzonych w jego specjalnych domach opiekuńczych *Lebensborn*. Na przykład na początku 1944 roku, aby dostosować się do nowego systemu racjonowania żywności, Himmler rozkazał, aby dzieci karmiono owsianką na wodzie zamiast mleka.

Himmler interesował się również bardzo wychowywaniem własnych dzieci, szczególnie tej dwójki, którą miał z Hedwig Potthast. Na początku października 1944 roku, pomimo napiętego grafiku, znalazł czas, żeby spędzić cały dzień z Hedwig i dziećmi, którzy przeprowadzili się do domu w Berchtesgaden w Bawarii, alpejskim letnisku nazistowskich przywódców. Następnego dnia Himmler powiedział prywatnemu sekretarzowi Hitlera, Martinowi Bormannowi, że nie będzie odbierał żadnych telefonów, i „spędził cały dzień na wieszaniu obrazów, oporządzaniu domu i zabawie z dziećmi”<sup>520</sup>. Chłopczyk, Helge, miał teraz dwa lata, a dziewczynka, Dorothea, cztery miesiące. Gerda Bormann, żona Martina Bormanna i sąsiadka Hedwig Potthast w Berchtesgaden, napisała w tamtym czasie w liście, że córeczka Hedwig i Heinricha jest „śmieszka jak ojciec” i urosła „duża i mocna – i jest taka słodka!”.

Kilka dni po pierwszych porodach w Ravensbrück Treite dostał rozkaz, aby wstrzymać dodatkowe mleko i owsiankę z kuchni, więc odtąd matki karmiące dostawały tylko zwykłą wodnistą zupę z brukwi i kromkę chleba. Bardzo szybko wszystkie straciły pokarm i dzieci zaczęły głodować.

Świadome głodzenie dzieci było tradycyjną nazistowską techniką mordowania<sup>521</sup>. Po raz pierwszy zastosowano ją w ramach programu eutanazji, kiedy fizycznie lub psychicznie upośledzone dzieci świadomie pozostawiano na śmierć. Hermann Pfannmüller, nazistowski lekarz i jeden z pierwszych propagatorów dzieciobójstwa przez zagłodzenie, oświadczył w 1939 roku, że głodzenie jest „prostszy i bardziej naturalny” sposobem niż trucizna lub zastrzyk<sup>522</sup>. Opracował metodę, według której dzieci nie pozbawiano pożywienia nagle, lecz powoli redukowano racje. Właśnie tę praktykę zastosowano w Ravensbrück: chociaż matki miały bardzo mało mleka, personel zachęcał je do kontynuowania karmienia, choćby kilkoma kroplami.

Gdy tylko kobiety uświadomiły sobie, że nie są w stanie dostatecznie wykarmić dzieci, wybuchło szaleństwo, gdyż matki błagały i krzykiem

wzywały o pomoc dla dzieci. Niektóre znajdowały chwilowe sposoby na rozwiązanie problemu. Leokadia Kopczyńska mówi, że kiedy zorientowała się, że nie ma mleka, wymieniała swoją dzienną rację chleba na czystą wodę z kuchni. „Nalewałam wodę do butelki i próbowałam ją pić”. Ale, oczywiście, dziecko chciało mleka, nie wody, i nie chciało pić; coraz bardziej się odwadniało i traciło na wadze.

Jak tłumaczyła Ilse Reibmayr, sama ciąża wyczerpywała organizmy matek. Warszawianki w podróży do obozu cierpiały niedostatek, a wiele musiało mieszkać w namiocie lub ciężko pracować fizycznie, otrzymując przez cały czas głodowe racje żywnościowe. „Płód musiał pozyskiwać pożywienie z organizmu znajdującego się na krawędzi życia i kobiety same odczuwały taki głód, że popadały w szaleństwo”. Kiedy matki musiały wytwarzać mleko, oczywiście nie mogły. Dla wielu było to pierwsze dziecko i nie miały doświadczenia. „Niektóre miały odrobinę mleka, ale większość wcale”, opowiadała Ilse, a matki popadały w coraz większą rozpacz i krzyczały: „Ratujcie moje dziecko, ratujcie moje dziecko!”.

Po dwóch tygodniach w rewirze znajdowało się ponad dwadzieścioro noworodków i więcej już nie dało się tu pomieścić, więc „salę porodową” przeniesiono do bloku 11., gdzie w jednym z baraków zbudowano z pomocą stolarza z Fürstenbergu, Helmuta Kuhna, tak zwany *Kinderzimmer*, pokój dziecięcy. Treite zwerbował nowe akuszerki do pracy w *Kinderzimmer* i „opieki” nad dziećmi. Miał problem z wyborem odpowiednich kobiet, a wśród nich znalazła się młoda Francuzka, Marie-Jo Wilborts.

W chwili wybuchu wojny Marie-Jo z rodzicami ukrywała w swoim domu w Normandii brytyjskich żołnierzy, którzy zostali po ewakuacji Dunkierki. Cała trójka została aresztowana; ojciec Marie-Jo trafił do Buchenwaldu, a latem 1943 roku ona z matką przyjechały do Ravensbrück. Na początku Marie-Jo pracowała w fabryce Siemens, ale we wrześniu 1944 roku została przeniesiona do rewiru, gdzie chciała pracować dla pożytku więźniarek. „Koleżanki pomogły mi się umyć i poprawić wygląd”, opowiadała Marie-Jo w pokoju dziennym swojego domu w Antony na przedmieściach Paryża, gdzie na półkach stały zdjęcia jej dzieci i wnuków.

Kiedy Marie-Jo przyszła do rewiru, kazano jej się zgłosić do gabinetu, gdzie za biurkiem siedzieli Treite i Marschall. „Treite był szczupłym blondynem, dość przystojnym, i nosił biały fartuch. *Oberschwester* Marschall także miała na sobie biały fartuch. Treite musiał już przeczytać moją teczkę, ponieważ

powiedział: «Widzę, że pani ojciec jest pediatrą. Już wkrótce pojedzie pani do domu i spotka się z nim», ale ja wiedziałam, że mój ojciec zmarł w Buchenwaldzie”.

Zabrali Marie-Jo do nowego *Kinderzimmer* w bloku 11. Był to wyłożony deskami po sufit pokój – około 4 na 2,5 metra – w środkowej części bloku, z jednym oknem i piętrowymi pryzkami. W tym czasie matki nadal rodziły w rewirze, ale dzieci przenoszono prosto do *Kinderzimmer*, gdzie zadaniem Marie-Jo było układanie ich na pryzkach. Razem z trzema innymi więźniarkami – Dunką, Holenderką i Jugosłowianką – miały o nie dbać najlepiej, jak potrafiły. Codziennie przychodziła Zdenka, czeska lekarka. Nad wszystkim czuwała pielęgniarka z SS, „siostra Helen”.

Dzieci leżały na materacach na przemian głowami i nogami, po pięć w każdą stronę, Marie-Jo opisuje, wspomagając się gestem – „jak sardynki”. Jednak w przeciwieństwie do szpitala, gdzie dzieci przychodziły na świat, teraz dostawały za mało koców do przykrycia. Sylvia Salvesen, która również tam bywała, opowiada: „Musiałyśmy kraść różne gałgany, żeby owijać dzieci. Miałyśmy po jednym gałganie na dziecko”. Pielęgniarki również zamiast pieluszek używały szmat i prały je jak mogły najlepiej w blokowej umywalni, ale nie było możliwości ich wysuszyć. Czasem matki próbowały prać dziecinne szmatki w wodnistej kawie, którą dostawały co rano, i suszyć je na brzuchach, kiedy przychodziły próbować nakarmić dziecko.

Na początku matki mogły spać w tym samym baraku co dzieci – obok chorych – ale po tygodniu musiały wrócić do własnych bloków i tylko cztery razy dziennie mogły przychodzić spróbować nakarmić dziecko, czekając na korytarzu na zewnątrz do wyznaczonej pory. jednak biorąc pod uwagę, że często wysyłano je z powrotem do pracy, wizyty te były utrudnione i matki żyły w ciągłym strachu, że tracą czas.

Podobnie jak we wcześniejszych przypadkach matki prawie wcale nie miały mleka, ale nadal przychodziły codziennie i ustawiały się w kolejce na korytarzu, popłakując, gdy czekały, aż zobaczą swoje dziecko i spróbują je nakarmić. „Śliczne małe twarzyczki, jakie matki znały na początku, szybko zmieniały się w twarze staruszków – mówiła Marie-Jo. – Ciałka pokrywały się wrzodami i ranami. Matki były bezsilne, nic nie mogły z tym zrobić”.

Francuska więźniarka z bloku 11. opisuje, jak słyszała matki, które przychodziły zobaczyć swoje dzieci w *Kinderzimmer* i próbowały je rozpoznać wśród innych. „Liczyły je we wszystkich językach. Stawały przy



pryczy i liczyły: «Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, tu go, ją, zostawiłam, więc to moje». I we wszystkich językach wyrażały rozpacz». Matka opisywała, jak położyła rękę na swoim martwym dziecku. Inna wspominała, jak przez pomyłkę podniosła nieżywe dziecko. „Nigdy nie zapomnę dotyku lodowatej twarzyczki. Czegoś takiego nie da się zapomnieć”<sup>523</sup>.

Zachowano zasadę, że nocą nikt nie może przebywać z dziećmi, i zawsze zamykano je w *Kinderzimmer*. Siostra Helen, pielęgniarka z SS, upierała się, żeby zostawiać szeroko otwarte okno, nawet zimą. Hanna Wasilczenko, matka Witolda Grzegorza, była przerażona, kiedy dowiedziała się, że nocą dzieci zostają same, więc ukradła klucz do *Kinderzimmer* – prawdopodobnie z pomocą Zdenki – i pewnej nocy weszła do pokoju, żeby zobaczyć synka. „Widok był przerażający. Na początku było całkiem ciemno, ale kiedy udało mi się zapalić światło, zobaczyłam wszelkiego rodzaju robactwo skaczące po łóżkach i wążące dzieciom w nosy i uszy. Większość dzieci leżała nago, ponieważ wykopały się z koca. Płakały z głodu i zimna, a na ciałkach robiły im się odleżyny”<sup>524</sup>.

W tych warunkach dzieci przeżywały kilka dni, niektóre miesiąc. Witold Grzegorz zmarł po szesnastu dniach na zapalenie płuc. Po trzydziestu dniach pierwsze sto urodzonych w obozie dzieci już nie żyło. „Umierały bez płaczu. Po prostu umierały”, mówiła Marie-Jo<sup>525</sup>. Tymczasem w rewirze Zdenka informowała Treitego o warunkach w *Kinderzimmer* i codziennie błagała o mleko dla dzieci; sugerowała, żeby sam je zobaczył, ale lekarz nigdy do pokoju dziecięcego nie poszedł.

Gdy liczba zgonów dzieci rosła, więźniarki oskarżały jednak nie Treitego, lecz *Oberschwester* Marschall o narastający horror. Od dawna wprowadzała w rewirze atmosferę szczególnej nienawiści. Według Sylvii, która знаła ją najlepiej ze wszystkich, Marschall należała do tych osób, „które zaakceptowały bez zastrzeżeń pogląd, że wszystkie kobiety w obozie są ciężarem dla ojczyzny. Niemcy były dla niej wszystkim, a Führer zamierzał sprawić, że Niemcy zapanują nad światem”.

Jednocześnie, opowiadała Sylvia:

*Oberschwester* ze swoimi okrągłymi kształtami i ładną twarzą, pulchnymi, zadbanymi dłońmi i w schludnym uniformie, przybierała maskę życzliwości i sprawiała wrażenie starszej i dobrodusznej pielęgniarki. Zaskoczyłam ją raz, jak trzymała na rękach małego Nikołaja, Rosjanina, więc odwiecznego wroga Niemców. Ale teraz szczebiotała do dziecka, które

oczywiście oprócz przyjaznego tonu nic nie rozumiało. Nikolaј uśmiechnął się i siostra przełożona Marschall odpowiedziała uśmiechem.

W październiku 1944 roku rozeszła się wieść, że Marschall przechowuje zapas mleka w proszku w prywatnej szafce w rewirze – mleka skradzionego z paczek Czerwonego Krzyża dla więźniarek. Wiadomość wywołała wściekłość położnych i pielęgniarek. Każda więźniarka wiedziała, że SS przetrząsało paczki Czerwonego Krzyża, które docierały do obozu, ale Zdenka Nedvedová odkryła, że to Marschall zgromadziła zapas mleka w proszku, kaszy manny i płatków owsianych, który mógłby uratować życie wielu dzieciom.

Gdy pogłoski się rozeszły, Zdenka zebrała się na odwagę i poprosiła Marschall o mleko dla umierających dzieci, ale ta odmówiła. Nie chciała też pójść do *Kinderzimmer* i przekonać się, jak wygląda sytuacja, ponieważ, jak stwierdziła, za to odpowiada siostra Helen. Marie-Jo twierdziła, że siostra Helen uwielbiała noworodki i regularnie przychodziła sprawdzać, jak się mają dzieci. „Nosiała białą chustkę na głowie i zawsze powtarzała, jak śliczne są maleństwa, ale kiedy dzieci chudły, a ich skóra się marszczyła, coraz bardziej przypominały starych ludzi. Powiedziałyśmy jej pewnego razu, że szczury atakują dzieci, i poprosiłyśmy o trutkę. Roześmiała się tylko i wyszła”.

Późną jesienią 1944 roku wydano nieco mleka w proszku dla noworodków. Zdenka i pielęgniarki nie posiadały się z radości, ale ilość mleka okazała się tak mała, że sytuacja tylko się pogorszyła. Co więcej, nie było sposobu, żeby dzieciom mleko podać. Pracownicy Czerwonego Krzyża kompletujący paczki nie pomyśleli o karmieniu noworodków, więc nie dołożyli smoczków. Kobietom udało się przeschmugłować tylko dwie butelki i jeden smoczek z obozowego magazynu. A było co najmniej czterdzieścioro dzieci do wykarmienia.

Zdenka wpadła na pomysł, żeby ukraść gumowe chirurgiczne rękawice Treitemu. „Po czym obcięłyśmy im palce i przerobiłyśmy na smoczki – opowiadała Marie-Jo – a kiedy matki przychodziły karmić, musiały tylko poczekać”. Ilse Reibmayr powiedziała, że kiedy matki dowiedziały się o szansie na uzyskanie mleka w proszku, „zaczęły zachowywać się jak dzikie bestie”, a kiedy udało się wymieszać porcję mleka, „biły się, walczyły i krzyczały. To nie była ich wina. Kazano im obserwować, jak ich dzieci słabną; kazano im patrzeć, jak umierają”.

Spytałam Marie-Jo, jak ona i inne pielęgniarki to wytrzymały, a ona tylko się uśmiechnęła. „Widzi pani, wierzyłyśmy, miałyśmy nadzieję, że może uda nam się niektóre z nich uratować. Myślałyśmy, że wojna szybko się skończy, i musimy tylko utrzymać dzieci przy życiu do tej chwili”. Wzięła starą książkę przemyconą z obozu i powiedziała, że pokaże mi „coś strasznego”. Była to księga narodzin prowadzona przez Zdenkę. Odnotowała w niej każde narodziny i śmierć w *Kinderzimmer*.

W każdym przypadku śmierci dziecka należało przestrzegać ustalonej procedury, wyjaśniła Marie-Jo. Po pierwsze, ona lub Zdenka musiały zanieść ciało do kostnicy, mieszczącej się w podziemiu i „okropnej”. „Wie pani, Niemcy byli zindoktrynowani. Uważali nas za robactwo”. Po wyjściu z kostnicy musiały wypełnić akt zgonu. „Potem Zdenka brała kartki i spisywała nazwiska w książce, zanim odniosła formularze do obozowego biura”.

Otworzyła książkę narodzin i przesunęła palcem po stronie, wskazując nazwiska urodzonych dzieci. W sumie od września 1944 do kwietnia 1945 roku przyszło na świat ponad 600 dzieci. Przeżyło czterdzieścioro, „ale większość z nich w lutym 1945 roku zabrano do Belsen, gdzie także zmarły”.

Na koniec Zdence udało się przeschmuglować książkę i kilka formularzy. Zielone były dla zmarłych, niebieskie dla deportowanych. „Ale nie wszystkie umarły – powiedziała Marie-Jo. – Dzieci rodziły się do samego końca i kilkoro uratowałyśmy. Uratowałyśmy trójkę dzieci francuskich. Kilkoro polskich i rosyjskich także przeżyło”.

[516](#) K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 298.

[517](#) Wywiad autorki.

[518](#) Relacja L. Kopczyńskiej w: *Die Frauen von Ravensbrück* (1980), film reżyserowany przez Loretę Walz. Zob. też: *Ravensbrückerinnen* (Berlin 1995).

[519](#) Szczegóły narodzin pochodzą z moich wywiadów z Marie-Jo Chombart de Lauwe (z domu Wilborts); Nedvedová, zeznanie praskie i WO 235/317; Sylvia Salvesen, WO 235/305 i *Forgive*, Ilse Reibmayr, wywiad z Loretą Walz i w DÖW; zeznania Anny Weng Seidermann w: WO 235/318 oraz Nikiforowa, *Plus Jamais*.

[520](#) Himmler, *The Himmler Brothers*.

[521](#) Zob. Friedländer, *The Origins of Nazi Genocide*.

[522](#) Tamże.

[523](#) Cyt. za: *Les Françaises à Ravensbrück*.

[524](#) Cyt. za: Strebel, *Ravensbrück*.

[525](#) Wywiad autorki.

## Rozdział 27

### Protest

Po szoku wywołanym przyjazdem do obozu, po wielogodzinnym oczekiwaniu w śmierdzącej uliczce Francuzki, które przyjechały z Paryża pod koniec sierpnia, spędziły dziesięć dni w bloku kwarantanny. Wraz z nimi tymi samymi pociągami przyjechało pięć brytyjskich agentek SOE oraz Amerykanka Virginia Lake. Na stłoczone wraz z innymi 600 kobietami różnych narodowości Francuzki wrzeszczały „służalcze Niemki i Polki, które chciały zachować przywileje!”, jak Virginia Lake wspominała blokowe z bloku kwarantanny.

Kilka spośród nowo przybyłych Francuzek próbowało podbudować morale i zachęcały grupę, aby pozostała silna. Młoda Francuzka Jeannie Rousseau powiedziała im, że wkrótce zostaną uwolnione. „Zna pani to uczucie, kiedy przychodzą dobre wieści? To było właśnie tak – powiedziała, patrząc wstecz. – Przyjechałyśmy prosto z Paryża z nowiną, że wojna wkrótce się skończy”<sup>526</sup>.

Już w bloku kwarantanny Violette Szabo mówiła o ucieczce, jak ją nauczono na szkoleniu SOE. Wszystkie agentki SOE starały się trzymać w tle, ukrywały tożsamości, nikomu nie ufały, podawały pseudonimy. Wiedziały, że jeśli niemiecka policja zidentyfikuje je jako tajne agentki lub „komandosów”, zostaną rozstrzelane, ale jeśli wmieszają się w tłum zwykłych francuskich bojowniczek ruchu oporu, będą miały większą szansę na przeżycie.

Jedną z Brytyjek, Yvonne Rudellat, rozpoznały po przyjeździe Francuzki z podziemnego kręgu „Prosper”, z którym współpracowała we Francji. Koleżanki dostrzegły, że z Yvonne nie jest dobrze – jej włosy całkiem posiwiały<sup>527</sup>. Próbowały nawiązać kontakt i proponowały pomoc, ale ona udawała, że ich nie zna, i twierdziła, że nazywa się inaczej. Po zakończeniu kwarantanny wysłano je do szufłowania piasku. Dozorczynie polały je wodą z węża, więc trzęsły się z zimna w mokrych letnich ubraniach. Lilian Rolfe,

inna agentka SOE, ledwo mogła utrzymać łopatę w rękach. Inne zauważyły, że „łatwo się zniechęcała” i była fizycznie wycieńczona.

Więźniarki z dłuższym stażem obserwowały tę grupę z lękiem. Wiedziały, że paradoksalnie najpóźniej przybyłe więźniarki były prawdopodobnie najgorzej wyposażone, żeby przetrwać w obozie. Panował taki chaos, a warunki we wrześniu 1944 roku tak się pogorszyły, że nowo przybyłym coraz trudniej było zdobyć przyczółek. Wytrzymałość fizyczna nigdy nie miała większego znaczenia. Instruktorka wojskowa, Polka Maria Moldenhawer – pięć lat w obozie – wspominała później: „W owym czasie Ravensbrück podzieliło się na dwa światy: te, które przebywały w obozie od dawna i miały czas poprawić swój los, i te, które przyjechały teraz i żałośnie walczyły, aby utrzymać głowę nad powierzchnią wody”<sup>528</sup>.

Maszerując do i z pracy, paryżanki z niedowierzaniem patrzyły na wózki z ciałami, „muzułmanki” czołgające się koło bloku kuchennego oraz dym unoszący się z pieców krematorium.

Najbardziej zaskoczyła je scena na placu apelowym, gdzie gruby esesman na rowerze krążył codziennie między stojącymi rzędami kobietami i walił je szpicrutą. Był to Hans Pflaum, nowy nadzorca pracy niewolniczej. Więźniarki nazywały go handlarzem bydła, a to był jego targ, gdzie wybierał więźniarki do obozów satelickich. W grupie pojawiły się głosy, że one też wkrótce trafią do podobozów; większość traktowała to jak szansę, myśląc, że wszystko będzie lepsze niż to.

W poprzednim roku siatka podobozów Ravensbrück rozrosła się prawie dwukrotnie. W październiku 1944 roku obóz kobiecy wysyłał więźniarki do pracy niewolniczej do 33 ośrodków rozrzuconych po dużym obszarze Niemiec<sup>529</sup>.

Niegdyś położone na peryferiach obozowego imperium Himmlera Ravensbrück teraz nabrało znaczenia i stało się kluczowym ośrodkiem niemieckiej wojny obronnej, zapewniając siłę roboczą najcenniejszym zakładom zbrojeniowym Rzeszy. Niektóre z satelitów znajdowały się tak daleko, że podlegały administracji obozów męskich w Buchenwaldzie, Dachau i Flossenbürgu, ale Ravensbrück nadal zapewniało kobiety do pracy i dozorcynie. Właśnie do pracy w tych podobozach sprowadzono Francuzki, wraz z napływającymi ze wszystkich stron innymi robotnicami przymusowymi.

W połowie września do obozu dotarł świeży transport robotnic

przymusowych; w grupie przeważały blondynki i wszystkie nosiły schludne niebieskie kombinezony i pasujące do nich niebieskie chustki na głowę. Były to holenderskie więźniarki z obozu koncentracyjnego w Vught. 4 września, gdy wojska kanadyjskie lada moment miały wyzwolić obóz, Niemcy wsadzili kobiety do pociągów do Niemiec. Po „kwarantannie” w namiocie wiele Holenderek zostało wybranych do podobozu w Dachau, a pozostałe do fabryki Siemens w Ravensbrück.

Ze wszystkich zakładów zbrojeniowych Siemens & Halske zawsze pozostawały najważniejsze. Jesienią 1944 roku Siemens zatrudnił 2300 kobiet z Ravensbrück w głównej obozowej fabryce oraz 150 cywilów i nieznaną liczbę robotnic przymusowych również w podobozach. We wrześniu fabryka znów szukała nowych robotnic w miejsce tych, które się wyczerpały; Siemens zawarł kontrakt na produkcję części do „cudownej broni” V-2, która, jak obiecał Hitler, wygra wojnę. Jak zawsze potrzebne były młode kobiety ze smukłymi palcami. Przez wiele miesięcy Siemens zatrudnił również nastoletnie więźniarki oraz nieletnie kryminalistki z pobliskiego Jugendlager Uckermark, gdzie na początku 1944 roku kompania zbudowała filię zakładu.

Z targu bydłęcego w głównym obozie również rozchwytywano piętnastolatki i starsze nastolatki. Niektóre szły pracować do Siemens z siostrami i matkami, inne straciły matki, a wiele zabierano od matek wprost z placu apelowego i kazano maszerować na wzgórze. „Widziałyśmy, jak cicho płaczą, wołając mamy”, opowiadała Anni Vavak, austriacko-czeska więźniarka, wówczas starsza kapo w Siemensie.

Nowy transport holenderski również zawierał wiele zwinnych rąk. Niektóre dziewczęta miały nawet doświadczenie, ponieważ pracowały już wcześniej w fabryce Philipsa koło Eindhoven, więc one również od razu zostały wybrane do fabryki. Holenderkom Siemens z pewnością jawił się jako lepsze miejsce pracy, szczególnie że zbliżała się zima, więc bystra dziewiętnastolatka Margareta van der Kuit zgłosiła się na ochotnika.

Umiejętności Margarety szybko docenił *Meister* z Siemens, który awansował dziewczynę do prac biurowych u swojego boku. Podobnie jak wcześniej inne więźniarki Margareta próbowała opowiedzieć Niemcowi – cywilowi o nazwisku Seefeld – o okrutnym losie więźniarek w głównym

obozie, w nadziei, że może zorganizuje jakąś pomoc.

Popatrzył na mnie i rzekł: „Ale wy wszystkie zrobiłyście coś złego, coś niezgodnego z prawem. Dlatego tu jesteście”, jakby to usprawiedliwiało wszystko. Powiedziałam mu więc: „Herr Seefeld, nie, nie zrobiłyśmy nic złego”, ale on nie rozumiał. Ale to nie był zły człowiek. Powiedział mi: „Wiesz, van der Kuit, kiedy już będziesz wolna i pojedziesz do Berlina, mów, że ja cię przysłałem, i dostaniesz dobrą pracę”.

Wśród Holenderek wybranych we wrześniu do fabryki Siemens'a znalazły się Corrie ten Boom i jej siostra Betsie. Córki zegarmistrza z Haarlemu, obie gorliwe chrześcijanki, zostały aresztowane za ukrywanie Żydów. Corrie miała 52 lata, a Betsie – 59, kiedy przyjechały do Ravensbrück; Betsie niedomagała na zdrowiu. Na początku siostry cieszyły się, że trafiły do tak zwanej brygady Siemens'a, ponieważ oznaczało to wyjście za żelazne bramy, „do świata drzew, trawy i otwartego horyzontu”.

Biorąc pod uwagę, że w fabryce preferowano młode kobiety, może dziwić fakt, że wiekowe holenderskie siostry zostały wybrane do Siemens'a, ale kompania potrzebowała też pracowników poza halą, więc zamiast nawijać drut pod dachem, przez jedenaście godzin dziennie Corrie i Betsie musiały pchać żelazny ręczny wózek wyładowany metalowymi płytami po torach kolejowych. Kiedy wieczorem wracały do głównego obozu, słabsza Betsie ledwie mogła chodzić z wyczerpania. Po wieczornej zupie siostry kładły się na zawieszanej pryczy i po cichu czytały przeschmugłowaną do obozu Biblię. Gdy Betsie i Corrie tłumaczyły holenderskie wersety na niemiecki, słyszały, jak ich słowa przekazywane są dalej po francusku, polsku, rosyjsku, czesku i z powrotem po holendersku. Grupa katoliczek recytowała *Magnificat*.

Kiedy paryżanki stanęły na targu bydłowym, niektóre z nich również trafiły do Siemens'a, ale przyszło także zamówienie z fabryki Heinkla w Torgau, 360 kilometrów na południe, i większość Francuzek została wysłana tam. Kobiety chciały jechać, „szczególnie że wszystko wyglądało na skalkulowane tak, by ludzie umierali bez zabijania”, wspominała Virginia Lake. Na początku września znalazły się w pociągu wyjeżdżającym z Ravensbrück i modliły się, żeby tu nigdy nie wrócić.

W drodze do Torgau, ładnego miasta nad Łabą, spędziły w bydłowych wagonach trzy dni. Podczas marszu do podobozu Lilian Rolfe zasłała, więc



zaprzyjaźniona z nią Francuzka, Jacqueline Bernard, wzięła ją pod ramię i prowadziła. Kobiety z Ravensbrück ze zdumieniem przechodziły przez obóz jeniecki, gdzie przebywało tysiące Francuzów. Wyglądali na zdrowych i zadowolonych, co ucieszyło kobiety. „Już niedługo! – krzyczeli mężczyźni. – Przekroczyliśmy granicę. Alianci są w Niemczech i postępują”. Na te nowiny nowa fala radości przetoczyła się przez szeregi więźniarek. Niektóre mówiły, że to kwestia tygodni, inne, że może dni. Hitler skapituluje lada dzień, teraz wie, że wszystko jest stracone.

Za bramami obozu baraki wydawały się czyste i dobrze wyposażone. Każda miała swój siennik i we wszystkich blokach było centralne ogrzewanie i bieżąca woda. Pierwszej nocy dostały nawet po kocu. Następnego dnia trwało pasmo miłych niespodzianek. Na placu apelowym komendant zwracał się do kobiet grzecznie dobrym francuskim. „Wkrótce otrzymacie wszystkie potrzebne rzeczy”, powiedział. Wieczorem wydzielono świeży chleb, kapustę kiszoną i po kawałku kiełbasy. Widząc, jak lekko kobiety są ubrane, oficer pozwolił im owinąć się na placu apelowym kocami. Lilian trafiła do szpitala, zaopatrzonego nawet w leki.

Jednak w grupie panował niepokój. W Torgau z całą pewnością mieściły się zakłady zbrojeniowe, więc niektóre kobiety mówiły o buncie. Virginia twierdziła, że to atmosfera czystości i poważania wywołała u kobiet „nową świadomość własnych praw”. Sporządziły listy, kto jest za, a kto przeciw protestowi. „Nawet naziści nie mają prawa zmusić nas do pracy w zakładach zbrojeniowych”, twierdziły kobiety.

Niedługo potem Jeannie Rousseau, która wróciła z bloku kwarantanny, powiedziała im, że wkrótce będą wolne, i ponownie objęła przywództwo, twierdząc, że powinny odmówić pracy przy produkcji broni. Jeannie, energiczna dwudziestodwulatka z Bretanii, miała być może więcej powodów niż inne więźniarki, aby odczuć ten problem. Na początku wojny pracowała jako tłumaczka niemieckich generałów we Francji. Była w tym tak dobra, że zaskarbiła sobie ich zaufanie i uczestniczyła w rozmowach na najwyższym szczeblu o niemieckiej rakiecie V-2. Zwiedziła nawet wnętrza zakładów w Peenemünde. Wszystko, czego się dowiedziała, przekazała brytyjskiemu wywiadowi, który uznał ją za tak cenną, że w maju 1944 roku zaplanowano przerzucenie jej do Londynu na odprawę; została zabrana z bretońskiego wybrzeża małą łódką. Jednak zdrajcy udaremnili ucieczkę i Gestapo aresztowało Jeannie.

Kiedy w Torgau Rousseau wzywała do protestu, nie miała jeszcze pojęcia, że zakłady produkują części do V-2, ale wiedziała dość, by powiedzieć tamtejszemu niemieckiemu dowódcy, że nie będzie dla niego pracowała. „Poszłam do niego i oznajmiłam moim przepięknym niemieckim: «Składamy sprzeciw. Nie możemy zaakceptować pracy przy produkcji broni». Powiedziałam mu, że będziemy pracować, ale nie przy broni”, wspominała Jeannie, która mówiła „równie przepięknym angielskim”. Mieszkała na Quai de Grenelle na brzegu Sekwany. „A ten oficer odparł po prostu: «W porządku, to się da załatwić. Jeśli odmawiacie pracy w fabryce, odeślemy was z powrotem do Ravensbrück»”.

W tym momencie protest się załamał. Nikt nie chciał wracać do obozu. Kobiety wpisywały się na listy, kto zostaje, a kto jedzie. Koniec wojny jest tak rychły, że wyprodukowana broń nie zdąży być użyta, mówiły niektóre. Inne twierdziły, że Ravensbrück je zabije, jeśli tam wrócą. „Z ciężkim sercem wpisałam się na listę do Ravensbrück, ale pół godziny później ktoś przekonał mnie, że to szaleństwo, i wykreśliłam moje nazwisko”, wspominała Virginia Lake.

Jeannie przemówiła do tłumu.

– Stałam przed nimi i powiedziałam: słuchajcie, mamy za sobą tak trudne lata. Teraz, po całym naszym wysiłku, po raz pierwszy możemy stawić czoła Niemcom. Myślałam, że to nasza szansa. Czułam się, jakbym stała na czele ich wszystkich. Widzi pani, byłam przekonana, że ktoś musi coś zrobić. Ktoś musi się sprzeciwić. Postanowiłam, że to zrobię.

– Dlaczego pani?

– Ponieważ tam byłam. I tyle. – Wyciągnęła papierosa. – I dlatego że byłam bardzo młoda.

Osiemdziesięciodziewięcioletnia Jeannie, obecnie Jeannie de Clarens, nie straciła uroku, ale głos jej się łamał, kiedy opowiadała o tamtym dniu w Torgau. Wiedziała, że dużo kobiet – w tym wiele Francuzek – zmarło w okropnych okolicznościach wskutek protestu, który zorganizowała. Wiedziała, że koleżanki obwinały ją wtedy, a niektóre obwiniają do dziś.

– To było bardzo dziecinne. Nie znałam jego nazwiska, tego człowieka. Pamiętam, że był oficerem i zarządzał fabryką. I byłyśmy my, tysiąc kobiet stojących na baczność. Uznałam, że to właściwy moment, żeby wystąpić otwarcie. Powiedziałam, że najwyraźniej nie wiecie, kim jesteśmy. Jesteśmy takie i takie, i powiedziałam mu, co zrobiłyśmy. Powinnyśmy podlegać

ochronie konwencji genewskiej, powiedziałam.

– Jaki on był?

Zapamiętałam wrażenie, że można z nim rozmawiać. Nazywam się tak i tak i mówię w imieniu koleżanek. Nie będziemy wykonywać tej pracy. Wiele milczało, wiadomo. Wiele powiedziało „nie”.

A ja ciągnęłam: „Pójdziemy zbierać wasze ziemniaki, ale nie będziemy produkować waszych bomb”. I kiedy to powiedziałam, wrzucił mnie do karnej celi, a nie była to zbyt przyjemna karna cela. Stał jak słup ze zdziwienia. Nie docierało do niego, że coś takiego mogło się wydarzyć. A przez dłuższy czas nie wiedział, co zrobić z innymi. Wysłał mnie do tej celi, a jednocześnie próbował się dowiedzieć, co zrobić z resztą. Siedziałam tam trzy tygodnie. Co rano wstawiali mnie pod lodowatą wodę. I bili. A potem wsadzali z powrotem do celi. I tak codziennie.

– Miała pani wtedy jakieś wątpliwości?

– Nie, żadnych. Wiedziałam, że to nasza szansa. Wówczas nie wiedziałyśmy, że spędzimy tam jeszcze kolejną zimę.

Kiedy Jeannie siedziała w celi, robotnice poszły pracować do fabryki zbrojeniowej, w której zastały fatalne warunki. Większość z nich pracowała przy łuskach pocisków, wsadzanych dźwigami do kadzi z kwasem, który palił im ręce i ubrania, a smród siarki wywoływał kaszel. Inne pracowały w podziemiach połączonych z powierzchnią torami kolejki. Te, które odmówiły pracy przy broni, posłano do kuchni i w pole, a komendant obozu próbował uzyskać instrukcje, co ma z nimi zrobić. Miały o wiele lepiej niż te w fabryce i często wychodziły na świeże powietrze.

Virginia wspominała, że były tam wszystkie Angielki i Amerykanki. Nie znała prawdziwych nazwisk wszystkich angielskich więźniarek, ponieważ ciągle używały pseudonimów, ale opisy kobiet w jej dzienniku pozwoliły zidentyfikować trzy „spadochroniarki”, wśród których niewątpliwie znajdowała się Violette Szabo. „Była młoda, pełna wdzięku i atrakcyjna. Zawsze przeciągała się jak kot na pryczy, niedaleko od mojej”.

Była tam też Denise Bloch – „bardzo zakochana w swoim francuskim mistrzu wyścigowym”<sup>530</sup>. A także Lilian Rolfe, która opuściła już izbę chorych: „Czasem traciłyśmy do niej cierpliwość. Staraliśmy się ze wszystkich sił, żeby zjadała swój niewielki przydział żywności, a ona nie chciała, bo jej nie lubiła. Od początku skazywała się na śmierć”.

Sama Virginia była jedyną Amerykanką z pochodzenia, ale trafiły tu jeszcze dwie Amerykanki przez małżeństwo. Charlotte Jackson, Szwajcarka, wyszła za

amerykańskiego lekarza, który w chwili wybuchu wojny pracował w szpitalu w Neuilly w Paryżu; została aresztowana razem z mężem i synem. W grupie znalazła się też Francuzka Lucienne Dixon, żona amerykańskiego inżyniera, który również pracował we Francji.

Pozostałe dwie agentki SOE, które późnym latem przyjechały z Paryża – siwowłosa Yvonne Rudellat i radiotelegrafistka Eileen Nearne – też na początku wyjechały do Torgau, ale nie zostały tu. Rudellat wróciła do Ravensbrück, prawdopodobnie zbyt chora, żeby pracować. Nearne dołączyła do protestu w Torgau, ale potem została wybrana do innego podobozu koło Lipska i wyjechała.

Siedem Brytyjek i Amerykanek, które zostały w Torgau, poszło do pracy w piwnicy z warzywami za murem obozowym, gdzie ponownie nawiązały kontakt z francuskimi jeńcami wojennymi. Mężczyźni zostawiali w kryjówce w lesie wiadomości i podarki – aspirynę, ołówki, papier i modlitewniki. Jeńcy mieli o wiele lepsze warunki niż kobiety w obozie koncentracyjnym. Pewnego dnia wyprawili przyjęcie z paczek Czerwonego Krzyża – ser Kraft, rodzynki Sun-Maid, cukier Jack Frost. Powiedzieli kobietom, że zbudowali potajemnie radionadajnik, i zaproponowali, że prześlą wiadomości do Londynu. Violette, Lilian i Denise podały im numery i kryptonimy, aby skontaktowali się z ich kwaterą przy londyńskiej Baker Street. Nie wiedziały, czy przesłanie wiadomości jest naprawdę możliwe.

W tym czasie Violette znów zaczęła mówić o ucieczce. „Noc w noc jej plan się krystalizował – wspominała Virginia – ale nigdy nie został zrealizowany, chociaż godzinami czekała na szansę”. Potem, na początku października, angielsko-amerykańską grupę zabrano z piwnicy i kobiety zaczęły się niepokoić, że oznacza to odesłanie do Ravensbrück, ale zamiast tego zostały oddelegowane do kopania ziemniaków. Robiło się coraz chłodniej, ale one cieszyły się, że mogą wychodzić na zewnątrz. Las stał się żółty, czerwony i pomarańczowy. A potem pojawiły się pogłoski o powrocie do obozu macierzystego, jednak rozkaz brzmiał: kopać szybciej, nadchodzą mrozy.

Podczas gdy grupa wykopkowała z Torgau ryła w zamrożonej ziemi, druga grupa Francuzek i Brytyjek stanęła u bram Ravensbrück. Był to mały transport, około pięćdziesięciu kobiet, a wśród nich Yvonne Baseden, agentka SOE schwytana w wytwórni sera koło Dijon, oraz jej starsza towarzyszka podróży,

apodyktyczna Angielka w mundurze Francuskiego Czerwonego Krzyża. Nazywała się Mary Lindell, chociaż była też hrabiną de Milleville, ponieważ wyszła za belgijskiego hrabiego.

W czasie przyjazdu grupy Yvonne i Mary przy bramie panował taki chaos, że mogły się błąkać po obozie niepostrzeżenie. Zapadł zmrok i potykając się, przeszły przez ogromny namiot. Mary Lindell twierdziła, że był pusty i „wypełniony grubą warstwą słomy i stosem koców”<sup>531</sup>. Ktoś powiedział im, że nie mogą tam spać, ponieważ lada moment spodziewany jest transport Polek, więc musiał to być drugi, większy namiot, ustawiony w pierwszym tygodniu września. Mary i Yvonne widziały go przed wpuszczeniem tam więźniarek, więc jeszcze był czysty.

Mary weszła do środka, chwyciła naręczę koców i rozdała koleżankom. Kiedy Mary upewniła się, że Yvonne ma ciepło – Mary wzięła młodą kobietę pod opiekę – usiadły na ziemi. Panowała wilgoć, a od jeziora ciągnęła mgła, ale były tak zmęczone, że zasnęły.

Podeszli do nich oficer, wyglądający na ważną osobistość, i dozorczyńni – i zerwali z nich koce. Oficer przez tłumaczkę spytał, kto pozwolił im wziąć koce. Mary zerwała się i powiedziała: „Ja. Kto dał wam prawo kazać kobietom spać na zewnątrz w tym stanie? Jesteśmy jeńcami wojennymi. Te kobiety spały w bydłowych wagonach przez czternaście dni i życzą sobie widzieć je pod kocami w nocy”.

Zachowanie Mary musiało zaskoczyć wszystkich obserwatorów, ale Yvonne wcale się nie dziwiła, gdyż już przywykła do aroganckich zagrywek koleżanki. Czterdziestopięcioletnia Mary Lindell nigdy nie należała do osób okazujących strach. Od początku I wojny światowej pracowała na ochotnika jako pielęgniarka Czerwonego Krzyża i organizowała punkty opatrunkowe blisko linii frontu. W okresie międzywojennym wyszła za mąż za belgijskiego hrabiego i zajmowała się rodziną, a potem w 1939 roku znów zgłosiła się na ochotnika jako pielęgniarka Francuskiego Czerwonego Krzyża. Następnie zwerbowały ją brytyjskie służby ewakuacyjne, MI9, które zajmowały się sprowadzaniem alianckich żołnierzy z południowo-zachodniej Francji. Teraz, w nazistowskim obozie koncentracyjnym, bez zastanowienia obsztorcowała komendanta z SS.

„Zawsze uważała, że wie najlepiej – mówiła Yvonne Baseden. – Była nieznośna i w normalnych okolicznościach nikt by jej nie polubił. Ale

w obozie potrzebowaliśmy kogoś takiego”<sup>532</sup>.

Jednak Fritz Suhren nie poczuł się wcale obrażony przez *die Engländerin*, jak nazywał Lindell. Zainteresował się jej mundurem z diagonalu. Kiedy Angielka skończyła się skarżyć, pochylił się i dotknął kłapy marynarki, po czym zwrócił się do Dorothei Binz: *Das ist schön*. Binz również pomacała materiał. Po chwili dalszej rozmowy grupa dostała zgodę na zachowanie koców na noc. Następnego dnia Mary nadal protestowała, że ona i Yvonne są jeńcami wojennymi, ale wkrótce kobiety wysłano pod zwyczajowy prysznic. Mary musiała zdjąć mundur i dostała w zamian brudną żółtą sukienkę w kwiaty, a Yvonne przypadła czerwona spódnica i koszula.

Podeszła do nich kobieta z czerwoną opaską na ramieniu z czarną literą „P”. „Też jestem Angielką”, powiedziała. Przedstawiła się jako Julia Barry, z obozowej policji. Wy tłumaczyła, że wybrali ją na tę funkcję dlatego, że włada kilkoma językami. Yvonne i Mary nie miały pojęcia, co o niej myśleć. Wyglądało na to, że obozem zarządzały więźniarki, a jedna z nich, ta „Angielka”, Julia Barry, trzymała pałkę i bat.

A jednak Julia Barry wyraźnie chciała pomóc. Ukryła medal Croix de Guerre z I wojny światowej należący do Mary i zasugerowała, żeby Mary postarała się o pracę w rewirze, gdzie są lepsze warunki. Lekarz SS miał nawet angielskie powiązania. Julia Barry powiedziała, że w obozie jest nieco Angielek, i kilka opisała. Niektóre ewidentnie były agentkami SOE, których tożsamość Yvonne odgadła, mimo że używały pseudonimów. Ale Julia wymieniła też inne, które nie miały z SOE nic wspólnego.

Podczas przesłuchań po wojnie Fritz Suhren zaprzeczył, by w Ravensbrück przebywały Angielki. Było to jedno z jego wielu rażących kłamstw: wiedział, że we wrześniu 1944 roku w obozie znajdowało się co najmniej 20 brytyjskich więźniarek lub Brytyjek przez małżeństwo. I nie tylko *die Engländerin* Mary Lindell przyciągnęła jego uwagę, zainteresował się również Odette Sansom, która miała ponoć powiązania z Winstonem Churchillem.

Odette Sansom, Francuzka z urodzenia i żona Anglika, też była agentką SOE. Po tym, jak w 1942 roku została schwytana w południowej Francji w łóżku z innym agentem SOE, twórcą kręgu Peterem Churchillem, bardzo dalekim krewnym brytyjskiego premiera, powiedziała Niemcom, którzy ją aresztowali, że jest „panią Churchill” – w nadziei, że poprawi to jej sytuację. Kłamstwo na

początku zapewniło jej ochronę, ale po przyjeździe do Ravensbrück w lipcu 1944 roku Suhren wypytał ją o koligacje rodzinne. „Powiedziałam mu, że «mój mąż» jest dalekim krewnym premiera, ale myślę, że uznał, iż to pokrewieństwo było bliższe”, opowiadała. Suhren umieścił Odette w „uprzywilejowanej” celi bunkra, z łóżkiem, kocami i jedzeniem z kantyny SS. Regularnie też ją odwiedzał i sprawdzał, czy ma się dobrze<sup>533</sup>.

Brytyjka w Ravensbrück w 1944 roku z pewnością nie zdarzała się codziennie, ale też nie była niczym niezwykłym. Nie było ich tu wiele, ponieważ Wyspy Brytyjskie nie znalazły się pod okupacją. Nigdy nie doszło tam do masowych deportacji. Mimo tego kilkaset Brytyjek i Brytyjczyków znalazło się w obozach Hitlera. Ci, o których wiemy, zostali aresztowani z powodu współpracy z ruchami oporu w okupowanych krajach na kontynencie, należeli albo do brytyjskiego wywiadu, albo do partyzanckich komórek w rodzaju tych organizowanych przez SOE.

Mniej wiadomo o setkach zwyczajnych Brytyjczyków, mężczyzn i kobiet, którzy po prostu przypadkiem znajdowali się na kontynencie w chwili wybuchu wojny i zostali aresztowani. Wiele Brytyjek – zakonnice, pielęgniarek, guwernantek – Niemcy schwyтали we Francji, Belgii i Holandii, gdzie kobiety mieszkały i pracowały, niekiedy jako żony Francuzów. Te wywiezione do Ravensbrück często wspomagały lokalne komórki ruchu oporu i trafiły do aresztu razem z innymi bojownikami.

Po wojnie przesledzono losy agentek SOE zabranych do Ravensbrück, ale większość pozostałych Brytyjek w obozie pozostała anonimowa. Aluzje do nich pojawiają się od czasu do czasu w zeznaniach innych ocalałych, w listach, czasem w powojennych raportach wypełnianych przez alianckich urzędników zajmujących się obozami. Jeden z takich raportów pokazuje, że wśród różnorodnej zbieraniny Brytyjek znalazła się była mistrzyni golfa Pat Cheramy, która działała w ewakuacyjnej siatce podziemnej, sześćdziesięcioletnia szkocka pielęgniarka Mary Young oraz urodzona w Irlandii guwernantka Mary O’Shaughnessy, która miała sztuczną rękę i pochodziła z Leigh w Lancashire. Nieco luźniej z brytyjską grupą trzymały się dwie irlandzkie zakonnice, które ukrywały w klasztorach alianckich pilotów.

Pojawiały się również kobiety, które twierdziły, że są Brytyjkami, co przypuszczalnie było nieprawdą. Jedną z nich, Ann Sheridan, mającą koneksje

ze Szwajcarią, nie cieszyła się zaufaniem grupy, ponieważ była „zbyt blisko związana z Niemcami”<sup>534</sup>. Z drugiej strony Julia Barry, obozowa policjantka, której twierdzenia, że pochodzi z Wielkiej Brytanii, uznawano za wątpliwe, była lubiana, a inne kobiety uważały ją za „pogodną” i „wielką patriotkę Guernsey”.

Julia Brichta była córką węgierskiej Żyda i Amerykanki. W latach trzydziestych wyszła za Anglika nazwiskiem Barry i zamieszkała na Wyspach Normandzkich, gdzie kilkakrotnie występowała o brytyjski paszport, ale zawsze spotykała się z odmową. W 1942 roku wspierała wywiad brytyjski, wysyłając do Londynu depesze o ruchach floty niemieckiej na kanale La Manche, za co została aresztowana i wysłana do Ravensbrück.

Po wojnie historię Julii udało się zestawić bardziej szczegółowo, po części dzięki jej zeznaniom na procesie w Hamburgu. Jako obozowa policjantka mogła zostać oskarżona o kolaborację z SS, ale Barry zrobiła dobry użytek z funkcji policjantki i wykorzystała ją do roznoszenia wiadomości po różnych częściach obozu. Jednocześnie dała się poznać innym Brytyjkom, ponieważ jako jedyna z ich grupy próbowała zadbać o pozostałe. Zwykle łatwo można było zidentyfikować przywódczynię innych grup narodowych w obozie, ale z powodu małej liczby Brytyjki zwykle się dzieliły i rozpraszały. Wśród nich tylko Julia Barry zdawała się wykazywać „brytyjską solidarność” i starała się sprawdzać, co dzieje się z innymi.

Na przykład: Julia szybko dowiedziała się, że Pat Cheramy, mistrzyni golfa, została pogryziona przez dozorczynię; Pat przysłała nawet do Julii, „aby pokazać ślady zębów”. Julia usłyszała o Brytyjce, Sylvii, która została pobita tak mocno, że całą twarz miała we krwi. A kiedy Mary O’Shaughnessy od uderzenia w twarz straciła przednie zęby, Julia też zaraz o tym wiedziała. Wiedziała również, że po tym, jak Mary została pierwszy raz powalona na ziemię i wstała, kolejne ciosy znowu ją obaliły i doprowadziły do złamania nosa.

Jako obozowa policjantka Julia Barry wiedziała także, kiedy Brytyjki przyjeżdżają lub wyjeżdżają z obozu. Wiedziała, że w połowie września agentki SOE wyjechały do Torgau, a 6 października widziała, jak wracają Violette, Denise i Lilian. Te trzy wróciły z Amerykanką Virginią Lake oraz dużą grupą Francuzek, które dołączyły do protestu w Torgau. Spodziewano się, że spotka je kara, ale nikt nie wiedział jaka.



Przekraczanie bramy Ravensbrück za drugim razem było o wiele gorsze. Kobiety traktowano, jakby „już tu przynależały”, i wszystko było ponuro znajome<sup>535</sup>. W ciągu miesiąca warunki jeszcze się pogorszyły. Dozorczynie wydawały się brutalniejsze, szarpały za włosy, biły batami i „zabrały nasze żalotne węzłki, w które zapakowałyśmy wszystko, co mogłyśmy”. Racje żywnościowe się zmniejszyły i dawano mniej chleba. Poranny apel również stał się o wiele gorszy. O czwartej rano w połowie października było o wiele zimniej niż na początku września, a kobiety nie miały okryć wierzchnich. Taka jedna „czarnowłosa Cyganka” – wiedźma – „kopała i wypychała je na zimno”. Po kilku dniach niektóre młodsze kobiety dostały palta, a starsze nadal trzęsły się bez niczego, „ale przytulałyśmy się do siebie nawzajem”, wspominała Virginia.

Norweżka Nelly Langholm pamięta, jak w październiku poznała Violette, kiedy razem z innymi Norweżkami została wysłana do pracy w fabrycznym magazynie. „Opowiadała o swojej córeczce, była taka piękna, wesoła i pełna życia”. Przyszła dozorczyńni i zabrała Violette, ale zanim poszła, kazano jej zdjąć numer i trójkąt, „co wszystkie nas przeraziło, ponieważ tak postępowano z więźniarkami, które miały być rozstrzelane”, powiedziała Nelly<sup>536</sup>.

Yvonne Baseden również widziała powrót kobiet w październiku. Te trzy znalazły Yvonne w bloku, prawdopodobnie za wskazówką Julii Barry, i powiedziały jej, że wyjeżdżają do innego podobozu. To miało tłumaczyć, dlaczego Nelly widziała, jak Violette usuwa numer. Więźniarki zawsze dostawały nowe numery w innych podobozach. Violette, Denise i Lilian opowiedziały też Yvonne o pobycie w Torgau:

Powiedziały, że wzięły udział w proteście. Powiedziały, że spotkały się z jeńcami wojennymi, i podały wszystkie nazwiska, a jeńcy obiecali przekazać je do Londynu, więc Londyn dowie się, gdzie jesteśmy. Były zadowolone, że jadą do podobozu. Miały szczęście w pierwszym i liczyły na szczęście również i tym razem.

<sup>526</sup> Wywiad autorki.

<sup>527</sup> Zeznanie Anne-Marie de Bernard w archiwach Loir et Cher, 55.j.4, oraz Marguerite Flamencourt, HS 6/440. de Bernard i Flamencourt należały do siatki „Prosper”.

<sup>528</sup> Moldenhawer, Lund 420.

[529](#) Zob. Tillion, *Ravensbrück*, o coraz liczniejszych transportach do obozów satelickich.

[530](#) Chodzi o Roberta Benoista, agenta SOE, aresztowanego razem z Denise we Francji. Benoist trafił do Buchenwaldu, gdzie został stracony w październiku, kilka tygodni po przyjeździe Denise do Ravensbrück. W październiku w Buchenwaldzie razem z nim straconych zostało pozostałych ośmiu Francuzów z sekcji SOE, którzy jechali jednym pociągiem z agentkami SOE.

[531](#) Wynne, *No Drums, No Trumpets*.

[532](#) Wywiad autorki.

[533](#) WO 235/318. Odette w obozie nadano przybrane nazwisko „Suhrey”, prawdopodobnie, jak uważała, „żeby inne kobiety nie wiedziały, że w obozie jest ktoś ważny”.

[534](#) FO 371/50982. Zob. też Julia Barry w tych aktach oraz jej zeznanie w: Atkins i WO 235/318. Opowieści o „Brytyjkach” – w tym o Sheridan – wypłynęły również w listach pisanych po wojnie do Aubrey Radnall Davis, kolekcjonerki autografów.

[535](#) Litoff (red.), *An American Heroine in the French Resistance*.

[536](#) Wywiad autorki.

## Rozdział 28

### Pierwsze interwencje

Jeśli ktoś w Londynie odebrał wiadomości przesłane przez francuskich jeńców wojennych w imieniu trzech agentek SOE, mogła to być Vera Atkins, również agentka SOE, która uczestniczyła w ich szkoleniu i wyprawianiu do Francji<sup>537</sup>. Ale po zniknięciu kobiet w pokoju łączności SOE przy Baker Street panowała cisza.

Niedługo po wyzwoleniu Paryża Vera Atkins przemierzyła całą Francję wojskowym samolotem, żeby szukać zaginionych. Przetrzęsła francuskie więzienia, gdzie przetrzymywano wcześniej kobiety, i obejrzała napisy wyskrobane na ścianach cel – *Vive la France* – oraz kalendarze ze skreślanymi datami, ale nie znalazła żadnych tropów. Tylko w jednym przypadku pojawił się ślad. Latem 1944 roku mąż Cicely Lefort dostał od żony notatkę z adresem: „Konz Lager, Ravensbrück, Fürstenberg, Meklemburgia”. Vera słyszała rozmowy o Ravensbrück, ale kiedy zapytała gabinet wojenny w Londynie, co wiedzą o obozie, dostała odpowiedź: „Stosunkowo niewiele wiemy o Ravensbrück i nie dysponujemy żadnymi dowodami, że w Brandenburgii przebywają obecnie internowani brytyjscy cywile”.

Gdyby przedstawiciele gabinetu wojennego chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o Ravensbrück, musieliby tylko przejść za róg ulicy, gdzie 4 października 1944 roku w sali zebrań Westminsteru grupa liderek kobiecych wysłuchała raportu „dostarczonego do kraju osobiście” i zakwalifikowanego jako pilny, a dotyczącego wszystkich aspektów funkcjonowania obozu<sup>538</sup>. Międzynarodowy Komitet Organizacji Kobiety, reprezentujący prawniczki, mediatorki, pielęgniarki, lekarki i inne, dowiedział się o okrutnych eksperymentach medycznych – „ropa jest zbierana w szczelne naczynia” – i kierujących nimi osobach – „dwóch profesorach z Berlina i lekarzu obozowym, kobiecie”. Dowiedziano się o egzekucjach i torturach: „Kobiety

skazywane są na czterdziestodwudniowe pobyty w ciemnej celi oraz są bite metalowym prętem”.

Polska prawniczka Barbara Grabińska przedstawiła raport, ale nie ujawniła, kto go przywiózł do kraju. Być może była to Aka Kołodziejczak, Amerykanka polskiego pochodzenia, uwolniona w grudniu 1943 roku<sup>539</sup>. Aka urodziła się w Stanach Zjednoczonych, a w chwili wybuchu wojny przebywała z rodziną w Bydgoszczy i została aresztowana podczas próby ucieczki. Do jej uwolnienia doszło prawdopodobnie w ramach wymiany więźniów, do której doprowadził dzięki swoim kontaktom ojciec Aki, przedwojenny przedsiębiorca w Polsce i Stanach Zjednoczonych. Kiedy Aka wyjeżdżała, obiecała towarzyszkom, że świat dowie się o obozie, i wczesną jesienią 1944 roku wyruszyła przez Londyn do Stanów Zjednoczonych.

Po przeczytaniu raportu Międzynarodowy Komitet Organizacji Kobietych wysłał telegram do MKCK, wyrażając przerażenie tym, czego dowiedział się o Ravensbrück, i zaapelował do Czerwonego Krzyża, aby „zapewnić więzionym tam kobietom wszelką możliwą ochronę”. MKCK odpowiedział, że nie ma dostępu do obozu i nie może interweniować; zasady nie pozwalają nawet na opublikowanie apelu kobiet<sup>540</sup>.

Minęły właśnie dwa lata od chwili, gdy MKCK zdecydował się milczeć o okrucieństwach w nazistowskich obozach. Minęły również dwa lata, odkąd alianccy przywódcy w grudniu 1942 roku stanowczo opowiedzieli się przeciwko „barbarzyńskiej eksterminacji”, jednak za tymi słowami nie poszły żadne czyny, aby zapewnić ochronę ofiarom. Reakcją aliantów miało być oczywiście przygotowanie się do zadania Hitlerowi klęski militarnej, ale minęły dwa lata, zanim udało się wprowadzić armie na kontynent, a w tym czasie naziści w samym Auschwitz zagazowali prawie milion Żydów i zgładzili setki tysięcy innych ludzi.

Mało prawdopodobne, by szersza wiedza o rozgrywającym się horrorze doprowadziła do interwencji na rzecz więźniów. Przez cały 1944 rok dowody stawały się coraz bardziej przerażające i liczniejsze. Postępujące przez Polskę i Ukrainę wojska radzieckie wyzwoliły obozy zagłady i odkryły komory gazowe. Na Majdanku żołnierze znaleźli tysiące na wpół spalonych ciał oraz góry ludzkich włosów i butów. Wiosną i latem 1944 roku Adolf Eichmann zaczął akcję wyłapywania i gazowania węgierskich Żydów; akcję tę obserwowały żydowskie organizacje, szwedzcy wysłannicy i prasa

zagraniczna, a raporty trafiały do alianckich stolic. Redaktorzy z tajnej rozgłośni Świt dostawali nowe, obrazowe doniesienia z Auschwitz, ale kierownictwo zakazało ich publikacji, ponieważ „informacje są tak okropne, że nikt w nie nie uwierzy”<sup>541</sup>. Churchill uwierzył we wszystko i nazwał eksterminację „prawdopodobnie największą i najbardziej przerażającą zbrodnią w całej historii świata”<sup>542</sup>. Żydowskie organizacje opowiadały się za bombardowaniami komór gazowych Auschwitz jako jedynym sposobem na przerwanie koszmaru. Churchill rozważał ten pomysł, ale Waszyngton sprzeciwił się, argumentując, że należy skupić się wyłącznie na głównym celu: wygraniu wojny.

Jednak w innych europejskich stolicach zastanawiano się, jak pomóc więźniom. Kilka tygodni po tym, jak Vera Atkins poszukiwała w Paryżu zaginionych agentek, do francuskiej stolicy przyleciał wiceprzewodniczący Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Hrabie Folke Bernadotte z Wisborga, wnukowi króla Oskara II, ostatniego monarchy, który panował w Norwegii i Szwecji, nie powiodło się jako przedsiębiorcy, ale doskonale sprawdził się w działalności humanitarnej, a jego najśłynniejszym osiągnięciem były udane negocjacje z Niemcami w sprawie uwolnienia alianckich pilotów.

Zadowoleni z jego poczynań Amerykanie w październiku 1944 roku zaprosili Bernadotte’a do Paryża, aby spotkał się z najbardziej zajęтым i najpotężniejszym człowiekiem na planecie, generałem Dwightem D. Eisenhowerem. Kilka tygodni po wyzwoleniu Paryża przez aliantów w kwaterze głównej Eisenhowera w Wersalu panowała pełna entuzjazmu i radości atmosfera, jak opisywał Bernadotte. Eisenhower pokładał ogromne zaufanie w powodzeniu gargantuicznego zadania, jakie stało przed jego armiami przygotowującymi się do opanowania Niemiec. Jednak Bernadotte zauważył, że wojenne plany generała nie uwzględniały losu więźniów, kwestii, którą Szwecja obecnie energicznie dyskutowała.

Po wizycie u Eisenhowera Bernadotte udał się z wizytą do starego przyjaciela, Raoula Nordlinga, szwedzkiego konsula w Paryżu, żeby omówić sprawę ratowania szwedzkich więźniów. Cały Paryż przyklaskiwał próbom Nordlinga powstrzymania deportacji Francuzów tuż przed wyzwoleniem, a on nadal interesował się losem wywiezionych.

Podczas gdy dla Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych był to odległy problem, Francja straciła w obozach koncentracyjnych wielu obywateli.

W październiku francuskie gazety opublikowały wywiad z kobietą uwolnioną z Ravensbrück w ramach wymiany. Opowiedziała, że więźniarki umierają tam z głodu, karmione zupą i kapustą. Dniem i nocą ciała palone są w krematorium. „Wokół bloków rosną piękne kwiaty, aby oszukać świat”.

Francuskie rodziny, milczące pod niemiecką okupacją, teraz domagały się informacji i poprzez swoją prywatną siatkę Bernard Dufournier dokonał przełomu i w październiku dowiedział się, że Denise przebywa w Ravensbrück. Hiszpański dyplomata z Berlina wysłał jej paczkę i przekazał Bernardowi: „Z mojego doświadczenia wynika, że najbardziej pożądane artykuły to szczotka i pasta do zębów, mydło, czekolada, ovaltine i skondensowane mleko oraz witaminy”.

Bratanica generała de Gaulle’a, Geneviève, zniknęła, a teraz jej ojciec, a brat generała, Xavier, francuski konsul generalny w Genewie, dołączył do tysięcy Francuzów, którzy żądali informacji od MKCK. Wszczęto również poszukiwania przez odleglejsze placówki. W Brixton, na południe od Londynu, ojciec Violette Szabo, taksówkarz, poprosił gabinet wojenny o informacje na temat córki, ale niczego się nie dowiedział, więc napisał do Brytyjskiego Czerwonego Krzyża, który przekazał jego prośbę do Genewy.

Matka Virginii Lake, Eleanor Roush, napisała do amerykańskiego sekretarza stanu Cordella Hulla z informacją o zniknięciu Virginii we Francji, gdy „wykonywała cenną pracę dla aliantów”, i w nadziei, że sprawa zostanie potraktowana „priorytetowo”. „Virginia jest gojką – dodała – co mogło okazać się dla niej korzystne według standardów niemieckich”. Eleanor Roush zwróciła się też z zapytaniem do MKCK. Ale na wszystkie pytania Genewa udzielała tej samej odpowiedzi: komitet nie ma dostępu do obozu i nie może interweniować.

Jednak Szwedzi przyjęli inny punkt widzenia. Kiedy Folke Bernadotte i Raoul Nordling spotkali się w październiku 1944 roku w Paryżu, rozmawiali nie tylko o możliwości interwencji Szwecji, ale też o tym, jak wysłać do Niemiec grupę operacyjną, by ratowała więźniów z obozów<sup>543</sup>.

Zaangażowanie Szwecji w tę późną interwencję humanitarną poniekąd służyło jej własnym celom. Neutralna od początku wojny Szwecja w 1944 roku uznała, że neutralność nie jest wygodna w takich okolicznościach. W owym czasie zwycięstwo aliantów pozostawało już tylko kwestią czasu,

a rozmiar niemieckich zbrodni wojennych coraz wyraźniej wychodził na jaw. Uczestnicząc w szybkiej akcji pomocy dla więźniów, Sztokholm chciał odeprzeć zarzuty, że nie odegrał roli w wybawieniu świata od Hitlera i jego nazistowskiej maszyny. Ponadto mogło to pomóc w zbudowaniu porozumienia z sąsiadami. Zarówno Norwegia, jak i Dania zostały napadnięte i znalazły się pod okupacją nazistowskich sił, poniosły olbrzymie straty, a obecnie norwescy dyplomaci silnie naciskali na Sztokholm, aby znalazł sposób na wydostanie więźniów, zanim dojdzie do jeszcze brutalniejszych aktów.

Istniały jeszcze inne przyczyny interwencji<sup>544</sup>. Szwedzcy przywódcy chętnie odnieśliby sukces tam, gdzie nie powiodło się Genewie, a Sztokholm znajdował się na doskonałej pozycji, aby stanąć na czele nowej inicjatywy. Nie tylko szwedzka stolica była idealnym miejscem dla dyskretnych kontaktów dyplomatycznych; Szwecja dysponowała też dostępem do cennych informacji o obozach koncentracyjnych, głównie dzięki norweskiej komórce wywiadowczej kierowanej przez Wandę Hjort.

Latem 1944 roku rodzina Hjortów, zamieszkująca w Gross Kreutz koło Poczdamu, dysponowała już rozbudowaną i udoskonaloną siatką gromadzącą informacje o obozach Hitlera. Ich grupę zasilili młody norweski lekarz Bjørn Heger i profesor Arup Seip, rektor uniwersytetu w Oslo, obaj przetrzymywani w Niemczech w areszcie domowym na tych samych podstawach, co ojciec Wandy, Johan Hjort. Grupa nawiązała też kontakt ze szwedzką ambasadą w Berlinie i przesyłała do Sztokholmu szczegółowe cotygodniowe raporty pocztą dyplomatyczną.

Od lądowania aliantów na kontynencie latem 1944 roku norweska komórka zaczęła natrafiać na coraz silniejsze sygnały, że Hitler planuje likwidację obozów. Arup Seip, który utrzymywał kontakty z niemieckim podziemiem, dowiedział się o przygotowaniach do wysadzenia niektórych obozów, zanim armie sojusznicze dotrą do Berlina. Wczesną jesienią doniesienia te napływały coraz liczniej, więc Szwedzi zaczęli rozważać różne sposoby pomocy.

Jeśli miała zostać ustalona jakaś ogólna forma pomocy, musiał się na nią zgodzić Heinrich Himmler, bez którego wiedzy w obozach koncentracyjnych nic nie mogło się wydarzyć. I tutaj ponownie Szwecja wykazała się dobrym wywiadem, tym razem nie na temat tego, co działo się w obozach Himmlera, ale tego, co chodziło po głowie samemu Reichsführerowi.

Felix Kersten, masażysta i zaufany człowiek Himmlera, przez pewien czas



mieszkał w Sztokholmie i regularnie jeździł do Niemiec, aby uśmierzyć nieustające bóle brzucha swojego pracodawcy. Kersten przeprowadził się do Sztokholmu po części po to, aby w imieniu Himmlera i przez szwedzkich pośredników badać grunt na Zachodzie. W drugiej połowie 1944 roku przesłanie Kerstena dla Szwedów było wyraźne: Himmler wie, że wojna jest przegrana, i szuka możliwości nawiązania kontaktu z Waszyngtonem i Londynem. Oczywiście, kontakty te należało nawiązać za plecami Führera.

Później Kersten twierdził we wspomnieniach, że podczas sesji leczniczej we wrześniu 1944 roku Himmler oświadczył nieoczekiwanie: „Za dużo poleło się krwi”. Himmler uważał, pisał Kersten, że Churchill i Roosevelt będą woleli dogadać się z Niemcami, niż wpuścić Stalina do Berlina i otworzyć bolszewizmowi drogę do Europy. Oczywiście sam Führer nie dopuszczał żadnej dyskusji o klęsce, ale podczas tych tajnych negocjacji Himmler chciał, aby w przyszłości wiadomo było – kiedy Führer straci już władzę – że to on, Himmler, jest osobą, z którą należy omawiać warunki porozumienia.

Waszyngton i Londyn z miejsca odrzuciły podchody Kerstena w imieniu pracodawcy i nalegały na całkowitą kapitulację. Churchill rzekł kategorycznie: „Żadnych rozmów z Himmlerem”<sup>545</sup>. A jednak dla szwedzkich rozmówców Kerstena było jasne, że masażysta wierzy, iż jego pracodawca naprawdę chce, aby jego wiadomość przekazano, i dla okazania dobrej woli Himmler może zgodzić się na uwolnienie części więźniów. Szwedzi nie widzieli powodu, żeby nie wykorzystać takiej okazji i nie doprowadzić do uwolnienia tylu więźniów, ilu się uda, nawet jeśli główny cel Himmlera – doprowadzenie do pokoju separatystycznego – spali na panewce. Pierwszy sygnał, że Himmler rozważa porozumienie, pojawił się jesienią 1944 roku, kiedy za pośrednictwem Kerstena zgodził się negocjować uwolnienie norweskich policjantów i studentów.

Jesienią 1944 roku Himmler myślał też o uwolnieniu wyższych rangą więźniów, ale tego rodzaju uwolnienia nie interesowały Szwedów. Wśród tych ważnych osobistości znajdowały się trzy zakładniczki przetrzymywane w Ravensbrück; każda kobieta miała potężnego krewnego (albo Himmler tak uważał) w Paryżu, Londynie albo Nowym Jorku.

Od przyjazdu do obozu z *vint-sept-mille* w lutym 1944 roku Geneviève de Gaulle była traktowana jak każda francuska więźniarka. Mieszkała



w załoczoną nędznym bloku 27. i dzieliła siennik z Brytyjką, Pat Cheramy. Pat powiedziała później, że przez długi czas esesmani nie wiedzieli, kim jest – albo jeśli wiedzieli, to tego nie okazywali. Podczas gdy Niemcy nadal okupowały Francję, nie miały potrzeby szczególnie zajmować się bratanicą wygnanego generała, jednak jesienią Charles de Gaulle stał się kandydatem na prezydenta Francji, a jego bratanica – użytecznym pionkiem.

Obecnością Geneviève Himmler niemal na pewno zainteresował się wskutek pytań ze strony Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który wkrótce po wyzwoleniu Paryża rozpoczął poszukiwania w imieniu jej ojca. W ciągu kilku dni Reichsführer nakazał Suhrenowi lepiej traktować kobietę i na wypadek zwolnienia zadbać o jej wygląd.

Po dziewięciu miesiącach w obozie Geneviève schudła o połowę, a jej wygląd zaskoczył nawet Suhrena, gdy stanęła przed nim w jego gabinecie. „Wydawał się zdenerwowany moim żalnym stanem – wspominała później. – Spytał, czy mam jakieś skargi na warunki i sposób, w jaki jestem traktowana”. Nie chcąc myśleć tylko o sobie, Geneviève wykorzystała okazję, by w imieniu całego obozu zaprotestować przeciwko „ohydnej sposobowi” traktowania więźniarek, a Francuzek w szczególności<sup>546</sup>.

„Moje protesty wywołały zakłopotanie komendanta, który telefonicznie natychmiast wydał *Aufseherin* Binz następujące rozkazy: przenieść mnie do jednego z bloków promienckich; dać mi pracę w kancelarii rewiru; zorganizować badanie lekarskie przez doktora Treitego”. Mimo iż Geneviève sarknęła na te przywileje, zauważyła, że cały personel Suhrena zajął się nią, jakby poprawa stanu jej zdrowia nie mogła poczekać. Natychmiast podano lepszą zupę, podczas gdy Treite przyjął ją do najlepszego bloku szpitalnego. „Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam w obozie dobrze traktowane chore”.

Dopiero później Geneviève poznała przyczyny tego pośpiechu. Tego dnia, gdy wezwano ją do Suhrena, 3 października 1944 roku, Himmler zaproponował jej stryjowi zwolnienie Geneviève w zamian za Niemca przetrzymywanego we Francji.

Zaledwie dwa dni po wizycie Geneviève u Suhrena Odette Sansom – którą SS znało jako Churchill – również zaproponowano lepsze warunki. Odette od przyjazdu w lipcu 1944 roku trzymano w celi dla uprzywilejowanych, jednak cela ta, w piwnicy bunkra, była wilgotna i ciemna. Kobieta cierpiała z powodu powiększonych węzłów chłonnych, a włosy wypadały jej garściami.

5 października Odette w jej celi odwiedziła pielęgniarka. Tak jak w przypadku Geneviève, pojawiła się nagle potrzeba poprawienia jej zdrowia. Zabrano ją do rewiru, gdzie prześwietlenie wykazało gruźlicę. Kilka dni później przyszedł Suhren i oznajmił, że Sansom zostanie przeniesiona do celi na parterze. Lekarz specjalista zbada ją w kwaterze komendanta, gdzie również co tydzień będzie naświetlana promieniami ultrafioletowymi, co zapobiegnie wypadaniu włosów, i promieniami podczerwonymi na płuca.

Podczas gdy Geneviève i Odette dogadzano z myślą o możliwym zwolnieniu, trzeci bardzo wartościowy zakładnik Himmlera, Gemma La Guardia-Gluck, trafiła do uprzywilejowanego bloku 2. W przeciwieństwie do pozostałych dwóch nie była jednak w październiku 1944 roku traktowana przez SS ze szczególną atencją. Być może nie wiązano z nią żadnych planów. Co bardziej prawdopodobne, wskutek mieszkania w uprzywilejowanym bloku jej zdrowie mniej ucierpiało. W każdym razie, bez względu na to, co zamierzał Himmler, ani jeden plan nie wypalił i żadna z tej trójki nie została zwolniona. Same kobiety tego nie oczekiwały. Nie miały też żadnych złudzeń, że lepsze traktowanie może zwiastować wcześniejszy koniec koszmaru Ravensbrück; tak jak wszystkie inne widziały, że warunki pogarszają się z dnia na dzień.

Podczas gdy Geneviève dochodziła do siebie w rewirze, w październiku sześć jej francuskich towarzyszek zabrano z bloków i rozstrzelano. Kilka dni przed przeniesieniem do lepszej celi w bunkrze Odette zauważyła dwanaście kobiet stłoczonych w pobliskiej celi, gdzie zostawiono je bez jedzenia na tydzień. „Widziałam Rosjankę wynoszoną z celi przez towarzyszki; sama skóra i kości”. Przez okno nowego pomieszczenia na parterze Odette widziała co noc płomień buchający na trzy metry z komina krematorium; mogła nawet słyszeć huczenie ognia. „Było mnóstwo czarnego dymu i nieznośny smród. Kiedy otwierałam okno, mój pokój wypełniał czarny popiół”<sup>547</sup>.

Pogłoski o zwolnieniu zakładniczek i ewentualnych wymianach z pewnością nie przyniosły nadziei zwykłym więźniarkom, które nie widziały ani śladu tego, że ktoś na zewnątrz interesuje się nimi lub próbuje pomóc. Przeciwnie, kobiety w Ravensbrück nigdy nie czuły się bardziej samotne niż w październiku 1944 roku. Przede wszystkim wysechł strumień paczek, obcięto racje żywnościowe, zabrakło korespondencji. Nadchodziła zima, a armie wyzwolicieli się nie zbliżyły. Nadzieje z lata, że Niemcy mogą się poddać, teraz wydawały się absurdalne. Zamiast tego napływały więźniarki

z Węgier, namiot był pełniejszy niż kiedykolwiek, kostnicę rozszerzono, rozbudowywano też fabrykę Siemens, z nowymi robotnikami wynajmowanymi każdego dnia i odsyłanymi w coraz większej liczbie do obozu głównego.

W październiku Betsie i Corrie ten Boom, holenderskie siostry w starszym wieku, zostały skreślone z list Siemens i odesłane do równania ziemi za obozowym murem. Betsie zaczęła kaszleć krwią i mogła przerzucać tylko niewielkie ilości ziemi; dozorcynie kpiły z niej, wydzierając jej łopate i drwiąco nazywając „panią baronową”. Więźniarki też się z niej śmiały<sup>548</sup>.

Ku zdziwieniu Corrie Betsie też się śmiała. „Albo pozwolicie mi kuśtykać z moją łyżeczką, albo będę musiała w ogóle przestać”, powiedziała, na co dozorczyńi strzeliła pejczem, zostawiając ślady na karku Betsie. „Nie patrz na to, Corrie – stwierdziła Betsie. – Lepiej spójrz na Jezusa”.

<sup>537</sup> Zob. Sarah Helm, *A Life in Secrets: The Story of Vera Atkins and the Lost Agents of SOE*, Londyn 2005.

<sup>538</sup> Z akt Liaison Committee Women’s International Organization, IISH.

<sup>539</sup> Szczegóły dotyczące Aki Kołodziejczak pochodzą od jej siostry Ireny Lisiecki z Michigan oraz Marii Bielickiej.

<sup>540</sup> Protokoły w aktach komitetu Międzynarodowego Komitetu Organizacji Kobiety, HSH.

<sup>541</sup> Protokoły ze 133. zebrania kierownictwa polskiej rozgłośni w sprawie przedyskutowania audycji BBC/polskich.E.I.I.148, Poland, BBC Written Archives, Caversham.

<sup>542</sup> Churchill do Anthony’ego Edena, 11 lipca 1944 roku, faksymile, Churchill papers, Churchill Archives Centre, Cambridge.

<sup>543</sup> F. Bernadotte, *The Fall of the Curtain*.

<sup>544</sup> O pierwszych krokach interwencyjnych zob. też Persson, *Escape from the Third Reich*.

<sup>545</sup> Tamże.

<sup>546</sup> De Gaulle, WO 235/318.

[547](#) WO 235/318; zob. też Tickell, *Odette*.

[548](#) ten Boom, *The Hiding Place*.

## Rozdział 29

### Doktor Loulou<sup>549</sup>

W połowie listopada 1944 roku kobiety, które przyjechały ostatnim transportem z Paryża, układały płaty darni na śniegu w oddalonym podobozie Königsberg, 240 kilometrów na wschód od Ravensbrück. Osłonięta piwnica na ziemniaki w Torgau, prezenty z cukru Jack Frost wydawały się snem. Większość straciła już nadzieję na koniec wojny. „Zamiast tego wypatrywałyśmy końca zimy, ponieważ na to mogłyśmy liczyć”, opowiadała Virginia Lake, która prowadziła dziennik<sup>550</sup>.

W Königsbergu budowały lotnisko, ale bryły ziemi nie chciały układać się płasko na śniegu; a gdy przymarzły, nie dało się ich oderwać. Niekiedy trafiała się odwilż i płaty musiały układać w wodzie. Brnęły w błocie, aby zrobić to dobrze. Potem znowu wszystko zamarzało, a one wyrąbywały lód. Była to praca nie do wykonania. Wszyscy wiedzieli, że grunt nigdy nie będzie równy.

Umierały z głodu i zimna. Zaledwie trzy miesiące po opuszczeniu Paryża organizmy kobiet wciąż miały niewielkie rezerwy tłuszczu, chociaż te szybko znikały. Kiedy maszerowały na lotnisko, porywy lodowatego wiatru przenikały ich cienkie ubrania. Wyjmowały słomę z sienników i wpychały sobie jej całe garście pod swetry.

W podobozie Neubrandenburg, 80 kilometrów na północ od Ravensbrück, Micheline Maurel po prawie dwuletnim pobycie w obozie nie miała na sobie ani grama tłuszczu. Ona też prowadziła dziennik. W notatce z 29 października czytamy: „Niedziela. Mój chleb skradziony w umywalni”. 13 listopada: „Pierwszy śnieg, nic nie jadłam”. 14 listopada: „Bardzo zimno. Mróz. Taki smutek”. Potem dziennik urywa się na dobre, a ona zaczyna się modlić do Boga, by pozwolił jej umrzeć. Micheline stale cierpi na dyzenterię i nic nie je. „Chciałabym sobie pójść i całkiem zniknąć. Na miejscu. Wołałam matkę. Nie mam ciała, skóra wisi mi w suchych fałdach na kościach”<sup>551</sup>.

Wszystkie podobozy zabijały, ale Königsberg stał się nowym „obozem karnym”; zabijał szybko. Jesienią 1944 roku więźniarki były już świadome, że Königsberg oraz nowe podobozy w Rechlinie i Malchow to wyjątkowo paskudne miejsca. Wysyłane tam kobiety nie pracowały w dobrze wyposażonych zakładach zbrojeniowych jak w Torgau. Przydzielano je do najcięższych zadań najgorszego rodzaju, a więźniarki miały je wykonywać do ostatniego tchu, a potem umrzeć.

Jedno spojrzenie na Königsberg wystarczało, aby kobiety przekonały się, że miejsce to nie wróży długiego życia. Baraki klekotały na wietrze, a dozorkynie wyglądały marnie, jakby również były zbędne. Niemcom być może wcale nie chodziło o to, aby prace na lotnisku zostały zakończone. Może miały służyć tylko złamaniu kobiet, które je wykonywały.

Wydawało się, że rozumie to nawet cywilny brygadzysta. W najgorszy mróz, widząc, że kobiety są na skraju wytrzymałości, zlitował się i pozwolił im rozpalić na lotnisku ognisko. Mogły się przy nim ogrzewać po pięć minut na zmianę, ale znalazły się takie, które nie chciały od ognia odejść. „I chociaż brygadzysta groził, że je uderzy, nigdy tego nie zrobił, co najwyżej gasił ogień. A to był najgorszy cios, jaki mógł zadać”, opowiadała Virginia.

Wkrótce do Königsbergu zawitał prawdziwy głód. Dziewczyna upadła, kiedy szybko wracała od wózka z zupą i wylała cały swój obiad. Wszystkie wiedziały, co to oznacza; każda oddała jedną, dwie, trzy łyżki własnej zupy, „ponieważ dawała życie”. Oczy mętniały, policzki się zapadały, skóra szarzała, a kończyny traciły krągłość. „Mina, piękna, młoda silna Szwajcarka, w ciągu dwóch miesięcy stała się pomarszczoną, zgarbioną i wynędzniałą staruszką; straciła resztki morale i trzeba ją było prowadzić jak małe dziecko”, mówiła Virginia.

Twardsze Słowianki przetrwały dłużej. Trafiły do Königsbergu, ponieważ w fabrykach były nadwyżki robotnic w stosunku do zapotrzebowania i często takie kobiety szybko przenoszono. Niektóre wysyłano do Königsbergu za karę. Francuzki, kilka Amerykanek i Brytyjek musiały zapłacić za dołączenie do protestu w Torgau. Większość kobiet zesłanych do obozów karnych została wcześniej wyeksploatowana w szwalni i u Siemensów. Teraz musiały oszczędnie gospodarować resztkami sił przy kopaniu, wycinaniu i rąbaniu. Wśród około pięciuset kobiet w Königsbergu znalazła się duża grupa z powstania warszawskiego, którą wycieńczył wcześniej pobyt w namiocie.

Wiele najpierw straciło rozum. Zanim spadł śnieg, na końcu lotniska

znajdowało się małe pole ziemniaków i czasem udawało się ukraść kilka bulw. Pewnego dnia strażnik wypatrył skradającą się tam Polkę i kazał jej zawrócić. „Albo nie usłyszała, albo już częściowo oszalała. W każdym razie strzelił jej w plecy, a ona zginęła na miejscu”, wspominała Virginia.

Więźniarki niespełna rozumu dołączano do beznadziejnie chorych, które wywożono na śmierć. Micheline Maurel wspomina pewną „szaloną” Francuzkę. Siostry Marin prowadziły w Lyonie małą kawiarenkę. Jedna z nich zmarła w podobozie, a druga „oszalała” i została odesłana z powrotem do Ravensbrück.

W obozie głównym więźniarki często widziały ciężarówki przyjeżdżające z podobozów. Zmarłe, półmartwe i „szalone” wyrzucano przy rewirze, gdzie następowało sortowanie. Francuska lekarka Loulou Le Porz po raz pierwszy zobaczyła to, kiedy stała razem z koleżanką Violette Lecoq, pielęgniarką Francuskiego Czerwonego Krzyża.

Była noc i nagle zapaliło się elektryczne światło. Znajdowałyśmy się przy wielkiej bramie [...]. Powiedziałam do Violette: „Jeśli ktoś kiedyś nakręci film, musi umieścić w nim tę scenę. Tę noc. Ten moment”. Ponieważ byłyśmy tam – drobna pielęgniarka z Paryża i młoda lekarz aż z Bordeaux. Była ciężarówka, która nagle przyjeżdża i skręca w naszą stronę. I unosi się kłapa, a spod niej wysypuje się stos zwłok. Byłyśmy tam po to, żeby zabrać do kostnicy jedno ciało. A tu nagle stanęłyśmy przed całą górą ciał. A gdybyśmy opisały ten dzień, powiedziałyśmy do siebie, nikt by nam nie uwierzył. I nie uwierzył. Kiedy wróciłyśmy, nikt nie chciał o tym wiedzieć<sup>552</sup>.

Martwe odjeżdżały wózkami do krematorium, a na wpół martwe często trafiały do bloku Loulou, bloku 10. Wiele z nich umarło w jej ramionach.

Zanim Loulou weszła do bloku 10 rozumiała już, że to nie blok szpitalny, lecz coś w rodzaju kostnicy. Kiedy zaczynała pracę, *Oberschwester Marschall* powiedziała jej:

„Nie marnujemy lekarstw na gruźliczki” i nie dała mi ich. A kiedy weszłam i rozejrzałam się, zobaczyłam 400 umierających lub zmarłych kobiet leżących na stłoczonych w bloku siennikach. I stałam nad nimi; lekarz, który nie mógł ich leczyć. To było obrzydliwe. Poczekalnia do śmierci. Widzisz, oni nazywali to blokiem szpitalnym, ale to był teatr – teatr marionetek, a my, pracowniczkami, byłyśmy ich marionetkami. Jeszcze nie używali gazu, ale wiedziałyśmy, że te kobiety zostały wyselekcjonowane na śmierć.

Obozowy szpital zawsze odgrywał podwójną rolę, leczenia i zabijania, ale jesienią 1944 roku, podobnie jak w przypadku podobozów zaklasyfikowanych jako „obozy karne”, zapadła decyzja o rozdzieleniu regularnych bloków rewiru, gdzie więźniarki mogły być leczone z chorób, od tych, gdzie więźniarki pozostawiano na śmierć. Bloki regularne nazywano teraz blokami pracowniczymi. Pozostałe bloki rewiru nie miały nazwy, ale ludzie znali ich numery i wiedzieli, że to bloki śmierci. Na procesie w Hamburgu w 1946 roku oskarżenie nazwało to, co działo się w tych blokach, „zabójstwem przez zaniedbanie”<sup>553</sup>. Bez względu na nazwę świadome zabijanie zapoczątkowane jesienią 1944 roku było nową i wprowadzoną ogólnie metodą masowej zagłady.

To, że blok gruźliczek stał się pierwszym blokiem śmierci, nie stanowiło zaskoczenia: naziści zawsze obawiali się gruźlicy i łączyli ją z brudem i degeneracją. A jednak, skoro celem była śmierć, dlaczego skierowali tam do pracy więźniarkę, lekarza specjalistę od gruźlicy?

Louise „Loulou” Le Porz była pogrobowcem: jej ojciec zginął w pierwszych dniach I wojny światowej. Wychowana przez matkę na katoliczkę Loulou wiedziała od wczesnego dzieciństwa, że chce zostać lekarzem, a wybierając specjalizację, zdecydowała się na zakaźną, aby opiekować się biednymi. Kiedy w 1940 roku Niemcy wkroczyli do Bordeaux, dużo myślała o ojcu. Przyjaciel, chirurg z tego samego szpitala, spytał, czy chciałaby pomóc, i skontaktował ją z komórką ruchu oporu, która zbierała informacje dla Brytyjczyków o ruchach na morzu w rejonie Bordeaux. Po aresztowaniu trzy miesiące spędziła w izolatce w gestapowskim więzieniu, po czym została wysłana do Ravensbrück. Kiedy przyjechała tam w czerwcu 1944 roku, miała dwadzieścia dziewięć lat.

Loulou nie miała pojęcia, dlaczego wybrano ją do pracy w bloku 10. „Mówili, że taki nakaz otrzymały wszystkie obozy, ale to nie było to. Bardzo szybko dotarło do mnie, że tak naprawdę często powzięte kroki nie miały sensu. W obozie wszystko było nieprzewidywalne. Trzeba o tym pamiętać”. Miała własne podejrzenia: być może dostała tę pracę, ponieważ chciała ją zwerbować tamtejsza blokowa Carmen Mory. Istnieją powody potwierdzające podejrzenia Loulou.

Jesienią 1944 roku Mory była zapewne najpotężniejszą więźniarką



w obozie. Budziła też największy strach i zyskała sobie wiele przezwisk, na przykład *Schwarzer Engel* – czarny anioł – czy wiedźma. Władza niegdysiejszej protegowanej Treitego wzrosła jeszcze za czasu Ramdohra.

Mory urodziła się w 1906 roku koło Berna, a jej ojciec był bogatym, dobrze ustosunkowanym lekarzem. Matka zmarła, gdy Carmen miała trzy lata. Była utalentowanym, ale przedwcześnie rozwiniętym dzieckiem. Uczyła się w różnych szkołach z internatem, władała płynnie kilkoma językami, a jako dwudziestokilkulatka pomieszkiwała w różnych europejskich stolicach, zanim w latach trzydziestych osiadła w Berlinie i zajęła się dziennikarstwem jako wolny strzelec. W 1938 roku zwerbował ją niemiecki wywiad i wysłał do Francji, gdzie szpiegowała niemieckich komunistów na wygnaniu. Aresztowana przez Francuzów, została skazana przez sąd paryski na śmierć pod zarzutem przekazywania tajnych informacji za Linie Maginota, jednak karę śmierci zamieniono jej na więzienie. Kiedy w maju 1940 roku Niemcy zajęli Francję, uwolnili ją i odesłali do Berlina, ale Mory musiała zdrzeć ze swoimi mocodawcami, ponieważ w 1941 roku znalazła się w Ravensbrück, gdzie Ramdohr uznał ją za bezcenną.

Nawet Binz się jej bała, przede wszystkim dlatego, że patron Mory był zaprzysięgłym wrogiem i stałym rywalem kochanka Binz, Edmunda Bräuninga, zastępcy Suhrena. Binz z kolei próbowała okiełznać Carmen Mory: co najmniej raz posłała ją na kozioł, gdzie wymierzono jej dwadzieścia pięć batów, a nawet na jakiś czas do bunkra. Kiedy została „zwolniona”, Treite i Ramdohr wsparli jej kandydaturę na blokową w bloku 10. Z punktu widzenia Treitego była dobrą kandydatką, ponieważ sama chorowała na gruźlicę, a tym samym nabyła odporność. Dla Ramdohra byłaby bardziej użyteczna jako donosicielka, gdyby pełniła funkcję blokowej.

W październiku 1944 roku Mory jako blokowa miała taką władzę, że mogła nawet rekrutować własny personel. Preferowała Francuzki, po części, jak się wydaje, dlatego że siła rywalki opierała się na Polkach i Austriaczkach, których Carmen nienawidziła, właśnie dlatego, że też miały wpływy<sup>554</sup>. W październiku 1944 roku załatwiła pracę w bloku 10. trzem Francuzkom, ale chciała ich zatrudnić więcej; szczególnie pożądała wysokiej, francuskiej blondynki oskarżanej przez strażniczki o dumny wygląd, a o której z akt Ramdohra wiedziała, że jest lekarką.

Loulou doskonale pamięta, kiedy Carmen Mory próbowała ją zwerbować po

raz pierwszy; leżała w baraku dla zakaźnie chorych, odzyskując siły po szkarlatynie.

Pewnego pięknego dnia Mory pojawiła się w oknie koło mojego łóżka i zaczęła ze mną rozmawiać. Nie powiedziała wiele, ale ewidentnie mnie sprawdzała. Już wiedziałam, kim jest – wszyscy wiedzieli. Była bardzo charakterystyczna i atrakcyjna na swój sposób – rzucająca się w oczy, z brązowymi włosami, zawsze zakręconymi, i ciemną skórą – wyglądała nieco orientalnie. Nic nie powiedziałam. Nie ufało się nikomu w obozie. Nigdy nie było wiadomo, jak to się może skończyć. A ludzie mówili, że Mory była niemieckim szpiclem.

Pierwsza próba zwerbowania Loulou przez Mory spaliła na panewce, prawdopodobnie z powodu choroby Francuzki, ale pod koniec października Loulou w pełni wyzdrowiała – należała do więźniarek, których silny organizm opierał się chorobie i nawet głodowa dieta nie była w stanie podkopać jej zdrowia. „Więc Mory ponownie do mnie przyszła i tym razem powiedziała, że załatwiła mi funkcję lekarza w bloku 10.”, opowiadała Loulou.

Mory potrzebowała Loulou do podpisywania formularzy. Zgodnie z nowymi zasadami każdy blok szpitalny – nawet bloki śmierci – musiał mieć lekarkę więźniarkę, choćby tylko do podpisywania aktów zgonu. Zabójstwo przez zaniedbanie też należało oficjalnie rejestrować jak inne zgony, a zmarłych było teraz tyle, że medycy z SS nie nadążali z podpisywaniem formularzy. Mory zwerbowała już inną więźniarkę, młodą Szwajcarce, lekarce Anne Spoerry, która powinna podołać temu zadaniu, ta jednak, jak się okazało, nie miała pełnych kwalifikacji. Córka szwajcarskiego potentata włókienniczego studiowała w Paryżu medycynę, ale została aresztowana za działalność w ruchu oporu, zanim złożyła egzaminy końcowe. W rezultacie SS uznało, że nie może ona podpisywać dokumentów.

Mimo to Mory chciała zatrzymać Spoerry w bloku. Starsza Szwajcarka przywiązała się do Anne, dzieliły siennik w należącym do Mory pomieszczeniu blokowej. Szczupła Anne Spoerry z krótko ostrzyżonymi włosami była uważana przez Francuzki za samotnicę i wzbudzała niepokój towarzyszek, chodząc za Mory i każąc nazywać się „Claude”. Więźniarki uważały, że „Claude” była zadurzona w Mory, chociaż ona sama stwierdziła później, że została „zauroczona”. Loulou, która wciąż nazywa Spoerry obozowym przydomkiem, mówi, że od początku nie ufała „Claude”. „Widziałyśmy, jak blisko jest z Mory, więc wiedziałyśmy, że jakiegokolwiek

kontakty są niebezpieczne”.

Tym samym Mory zwerbowała Francuzkę, bo młodsza lekarka nie mogła podpisywać aktów zgonu. „Chociaż mogły być też inne powody – dodaje Loulou. – Mory zawsze mówiła tylko część prawdy, a reszta była tym, czym chciała, żeby była. Być może wrażenie zrobił na niej mój tytuł: doktor medycyny. Odkryłam później, że jej ojciec był lekarzem w Szwajcarii – mówiono, że zabił jej matkę, ale nikt nie wiedział tego na pewno”. Bez względu na przyczynę, to dzięki Carmen Mory Loulou, poważna młoda specjalistka od gruźlicy z Bordeaux, zaczęła pracę w pierwszym bloku śmierci w Ravensbrück.

Kiedy Loulou zaczęła pracę w bloku 10., były tam już dwie francuskie pielęgniarki: Violette Lecoq i Jacqueline Héreil. Po wybuchu wojny Violette opiekowała się żołnierzami na froncie z ramienia Francuskiego Czerwonego Krzyża, potem wstąpiła do ruchu oporu, a po aresztowaniu spędziła rok w izolatce w więzieniu Fresnes. Przybyła do Ravensbrück z *vingt-sept mille*. Jacqueline Héreil, także zawodowa pielęgniarka, pomagała przy organizowaniu ucieczek; przyjechała w maju. Teraz te trzy dzieliły pryczę: Loulou w środku, Violette poniżej, a Jacqueline na górze, z „chorymi wszędzie dokoła”. Od razu się zaprzyjaźniły i przystąpiły do organizowania opieki nad mieszkankami bloku. Prywatny „pokoik” Mory i Spoerry znajdował się pośrodku bloku, oddzielony zasłonami. „Początkowo rzadko je widywałyśmy. Krążyły po obozie albo przesiadywały w swym pokoju. Nie wiem, co tam robiły – co im się podobało. W każdym razie nie niepokoiły nas. Musiałyśmy zajmować się naszymi chorymi i zmarłymi”.

Bez lekarstw czy innych środków niewiele mogły zrobić, „poza obserwowaniem małej Niemki, która dostarczała zupeę, i sprawdzaniem, żeby jej nie kradła”.

Ale oczywiście miałyśmy ręce, oczy i uszy. Więc ich używałyśmy. Podzieliłyśmy blok i każdego ranka odwiedzałyśmy nasze pacjentki, słuchałyśmy ich i rozmawiałyśmy. Nie miałyśmy wspólnego języka – wiele pacjentek to były Polki i Rosjanki – ale często znajdowałyśmy tłumaczkę. I miałyśmy rodzaj języka gestów. Mówiłyśmy im, że jesteśmy lekarkami i pielęgniarkami, a to zdobywało ich zaufanie, chociaż nie miałyśmy żadnych dowodów na to, poza Violette, która na sznurku na szyi nosiła termometr.

*Oberschwester* powiedziała jej, że jeśli go zgubi, pójdzie do bunkra, więc nosiła w kieszeni też kilka zapasowych. Zresztą i tak, bez względu na to, ile kobiety miały temperatury, nie mogłyśmy

im nic dać. Pewnego dnia Violette rozbiła wszystkie termometry i wybuchnęła śmiechem, pytając, co teraz zrobi z nią *Oberschwester*. Ale Marschall nigdy nie przyszła do bloku, więc się nie dowiedziała. Nikt z SS nie wchodził do bloku 10., ponieważ bali się choroby. To była nasza przewaga.

A nasze pacjentki widziały, że się ich nie boimy, co im w pewien sposób pomagało. Nasze chore nie musiały stać na apelu, bo nie mogły. To była kolejna przewaga. Kiedy dozorcynie przychodziły co rano i pytały o liczby, podawaliśmy je przez drzwi.

Interesowały się tylko liczbami – zawsze nas liczyły. Ale miałyśmy własne listy nazwisk. Jacqueline zwykła chodzić co rano i spisywać nazwiska wszystkich pacjentek w księdze, w której notowałam też diagnozy. Gdy któraś zmarła, zanosiłyśmy ciało do umywalni, by czekało na wóz, ale Jacqueline próbowała zawsze odciąć pukiel włosów naszej zmarłej przyjaciółki, zanim ją zabrali. Trzymała je starannie razem ze swoją księgą, by przekazać je rodzinom, jeśli wrócimy do domu.

Nie zawsze dawało się odciąć pukiel, ponieważ wtedy ciała piętrzyły się w umywalni bardzo wysoko. Księgę odebrali Jacqueline przed samym końcem.

Tymczasem jednak sama Loulou magazynowała niezliczone nazwiska chorych i zmarłych we własnej głowie. Potrafi je wymienić nawet teraz, wraz z imionami mężów i dzieci oraz diagnozami. Chociaż twierdziła, że nic nie mogła zrobić, robiła bardzo wiele. Diagnozowała stan każdej chorej i kontaktowała ze swą przyjaciółką radiolożką w sprawie wykonywania zdjęć rentgenowskich. Szmugłowała też leki z pomocą jugosłowiańskiej aptekarki, która odbierała medykamenty przeznaczone dla SS i odkładała część dla Loulou.

„Mogłabym pomóc dużo więcej”. Pochyliła się i nagle rozjaśnia, gdy wykrzykuje, że w jej bloku były kobiety „tak odważne, że sobie nawet nie wyobrażasz!”. Na przykład znakomita pianistka Geneviève Tillier, *une femme adorable*, z raną palca. „Wiedziałyśmy, że nigdy więcej nie zagra, chociaż bez trudu dałoby się ją wyleczyć”. I Anne-Marie Cormerais, która miała „poprzeczne zapalenie rdzenia kręgowego, ale bez rany, więc na pewno by wyzdrowiała”.

Loulou wspominała „uroczą małą Bretonkę” Simone Jezequel – „zmarła na gruźlicę w moich ramionach”. Była też mała Holenderka. „Jej bracia odwiedzili mnie, gdy wróciłam, ponieważ słyszeli, że z nią byłam. Pamiętam, że płakali”. Loulou znała również w bloku Rosjanki i Polki, chociaż trudniej jej było przypomnieć sobie nazwiska. Szczególną więź nawiązała z lekarką z Armii Czerwonej Marią Czerniczuk, która cierpiała na gruźlicę. „Nie mogłyśmy rozmawiać, rzecz jasna, ale rozumiwałyśmy się jak lekarka z lekarką”.

Urodzona w Armenii Annie de Montfort była „drogą przyjaciółką”; zmarła z wycieńczenia, „a tuż przed śmiercią poprosiła Violette, żeby odebrała z magazynu przy Rue de Rivoli jej futra”<sup>555</sup>. A Loulou zachowała wiele wspomnień o madame Van den Broek d’Obrenan, „kobiecie w pewnym wieku”, która była niezwykle bogata: „Widziałam ją w wieczór, kiedy umarła. Powiedziała, że pragnie jedynie, aby jej ciało zabrano do Francji [...]. Do obozu przyjechała z pokojówką, która też umarła, chyba jeszcze wcześniej niż jej pani”.

Ulubienicą Loulou była chyba jednak *mademoiselle* Zimberlin, nauczycielka angielskiego z Cluny w Burgundii, która w ruchu oporu pomagała *les parachutages* – przy odbieraniu spadochroniarzy z Anglii – ale była „bardzo dyskretna”, więc Loulou nie dowiedziała się szczegółów<sup>556</sup>. Faktycznie pięćdziesięciosześcioletnia Marie-Louise „Zim” Zimberlin wykorzystywała znajomość angielskiego (którego nauczyła się w Szkocji) do tłumaczenia przesyłanych z Anglii wiadomości przed lądowaniem spadochroniarzy, a następnie przekazywała je komórkom ruchu oporu w okolicy Cluny. Loulou poznała Zim w bloku szkarlatyny.

„Była to starsza kobieta, bardzo słaba, ale silnego ducha. Nie chciała *baissé les bras* [podać się], więc zaaranżowałam jej przeniesienie do bloku 10. Tam przynajmniej znalazła schronienie przed najgorszymi aspektami obozu i mogliśmy się nią zaopiekować”.

Pod koniec dnia trzy francuskie lekarki wspinały się na najwyższą pryczę i rozmawiały o Zim, pani de Montfort i innych chorych.

A potem tworzyliśmy receptury i wspominałyśmy rodziny. Dowiedziałam się wszystkiego o bracie Violette, Jacques’u, a Jacqueline opowiadała o siostrze. Całkowicie sobie ufałyśmy; ale nigdy nie mówiłyśmy o tym, co robiłyśmy w ruchu oporu, nawet wtedy. To było niebezpieczne. Nigdy nie wiadomo było, kto słucha.

Mory i Spoerry były w pobliżu, ukryte za zasłonką. Czasem nie widywały Mory przez cały dzień, ale bywało, że pojawiała się z batem, a jeśli akurat była zdenerwowana, chłostała chore po rękach albo odmawiała im jedzenia. Szczególnie nienawidziła kobiet, które brudziły łóżka, a chociaż francuskie pielęgniarki starały się je czyścić najlepiej jak mogły, niewiele mogły zrobić: na cały blok miały tylko dwa baseny. Gdy mijały kolejne tygodnie, coraz więcej i więcej pacjentek umierało na dyzenterię i inne choroby, a nie na

gruźlicę.

„Mory budziła strach u każdego”, opowiadała Loulou.

Jacqueline powiedziała, że boi się jej nawet Treite. Ale muszę przyznać, że w stosunku do mnie zawsze zachowywała rezerwę. Ja trzymałam się od niej z daleka, a ona ode mnie. To było zagadkowe. Bardzo dziwne. Nigdy osobiście mnie nie skrzywdziła. W moje urodziny podpisała się nawet na kartce, którą narysowała Violette.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego się tak wobec mnie zachowywała, ponieważ nie miałam żadnej władzy w obozie, to ona miała władzę. W stosunku do innych zawsze zachowywała się bardzo agresywnie, szczególnie wobec Żydówek. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego tak się zachowuje.

Mory i Claude najgorzej ze wszystkich odnosiły się do „wariatek”, mówi Loulou. Francuskie trio nie miało dostępu do *Idiotenstübchen* w bloku 10., gdzie niepodzielnie rządziła Mory, chociaż blokowa często wysyłała Claude, by uciszyła kobiety. „Claude nie robiła nic dla Mory, myślę, że była bardzo wystraszona – bała się wszystkiego w obozie. Niektórzy przerażeni ludzie reagują w ten sposób. Stają się łatwą zdobyczą. A nie zapominajmy, że Mory miała władzę i urok osobisty”.

Loulou mówi, że sama nigdy nie odczuwała w obozie tego rodzaju strachu. Rozmawialiśmy w słonecznej oranżerii jej domu w Bordeaux. Spytałam ją dlaczego. „Może lepiej znałam życie. Widziałam wcześniej, jak umierają ludzie”. Przerwała. „I miałam moją wiarę. Ale muszę powiedzieć, że w obozie zdarzały się dni, kiedy trudno było mi się modlić”.

Loulou zachowała kartkę podpisaną przez Carmen i inne więźniarki: „Dla doktor Loulou za uśmiech i optymizm dla wszystkich pacjentek, na tym skrawku papieru dajemy ci kawałki naszych serc”. Na kartce widniał podpis: „Violette, Jacqueline, Carmen i Claude”.

Najpierw *Idiotenstübchen*, opisana przez Sylwię Salvesen, znajdowała się blisko głównego rewiru. Nowa, w bloku 10., powstała prawdopodobnie latem 1944 roku, kiedy blok stał się „blokiem śmierci”. Sylvia widziała sześć kobiet w pierwszej „sali wariatek”; obecnie było ich co najmniej pięćdziesiąt. Treite wybierał kobiety do tej sali, ale nigdy nie pokazywał nikomu dokumentów, więc nazwiska „idiotek” rzadko przenikały do wiadomości, chyba że któraś więźniarka funkcyjna z bloku 10. je poznała. Na przykład Carmen Mory wspominała, że Belgijka Nelly Decornet została umieszczona w sali wariatek

tylko z powodu nerwowego tiku.

Treite przeprowadzał eksperymenty, żeby przekonać się, dlaczego ludzie „wariują”. W jednym przypadku przeprowadził autopsję kobiety, która popełniła samobójstwo, rzucając się na druty. Norweżka Nelly Langholm wspomina inny rodzaj eksperymentu, który prawdopodobnie również przeprowadził Treite. W swoim bloku Nelly zaprzyjaźniła się z młodą Polką, która płynnie mówiła po norwesku.

Miała na imię Joanna i w Polsce studiowała literaturę i język norweski. Była młoda i bardzo, bardzo bystra. Bardzo się więc ucieszyła, kiedy nas poznała, prawdziwe Norweżki. Rozmawialiśmy o Ibsenie i bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Pewnego dnia zabrali ją do rewiru i wróciła bez włosów, z wielką, wielką blizną. Nie mogła mówić ani jeść. Była bardzo, bardzo inteligentna. Myślę, że robili jakiś eksperyment, żeby dowiedzieć się, co czyni mózg dobrym, a potem zabrali ją i zabili<sup>557</sup>.

Czasem więźniarki dostrzegały, że przyjaciółka zaczynała „wariować”, a potem nagle znikwała. Micheline Maurel pamiętała, że przytrafiło się to bliźniaczkom, Marie i Henriette Leger. Micheline zaprzyjaźniła się z tymi kobietami po trzydziestce, kiedy przyjechały razem do Neubrandenburga, prawdopodobnie wiosną 1944 roku. Powiedziały Micheline, że zostały aresztowane za pisanie książki wychwalającej francuską armię. „Były trochę dziwne i żadna nie potrafiła nic zrobić bez drugiej, ale najbardziej zależne były od przyjaciółek. Jedna z nich zwariowała i odesłali ją do Ravensbrück. Potem rozum straciła też druga, więc ją też odesłali”<sup>558</sup>.

Pierwsza do Ravensbrück trafiła Henriette; wiadomo to, ponieważ jej obozowa karta zdrowia zachowała się jako jedna z nielicznych, zostało w niej odnotowane, że zmarła 7 czerwca 1944 roku na gruźlicę, prawdopodobnie w bloku 10. Jej bliźniaczka Marie, która „nie potrafiła nic zrobić bez siostry”, została później umieszczona w bloku 10. w „sali wariatek”, a tam widziała ją Loulou Le Porz, która dobrze zapamiętała Marie:

Marie i jej bliźniaczka były córkami notariusza z Normandii. Potem mieszkały w Fontainebleau. Ta dziewczyna nie była szalona. Może nieco dziwnie się zachowywała. Ludzie żyjący w takich warunkach niekiedy zachowywali się w dziwny sposób. Ale zawsze mnie zaskakiwało, że w obozie nie było więcej przypadków problemów psychicznych. Ruch oporu dawał kobietom silny charakter, może stąd się to brało.

Na procesie Treite twierdził najpierw, że *Idiotenstübchen* w bloku 10. była podzielona na dwie części, jedną dla „niebezpiecznych obłąkanych” i drugą dla reszty, ale w czasie kiedy umieszczono tam Marie Leger, było już tyle „idiotek”, że przepierzenie usunięto, aby zrobić więcej miejsca; lecz liczba dalej rosła, więc salę przeniesiono znowu, tym razem do części zajmowanej przez Mory i Spoerry. Mory nie była zadowolona i zażądała przeniesienia, ponieważ *Idiotenstübchen* naruszała jej przestrzeń, chociaż nadal zajmowała powierzchnię trzy na cztery metry, a musiało się tam pomieścić 50 kobiet.

*Idiotenstübchen* miała jedno zamknięte okiennicą okno, nie było tam żadnych mebli i nic nie leżało na podłodze. Więźniarki dostawały tu o połowę mniejsze racje niż reszta. Karmiono je dwa razy dziennie, ale dużo zupy się rozlewało. Miały ogolone głowy. Co rano personel wypuszczał je pojedynczo do umywalni i latryn, pod okiem obozowych policjantek, zwykle obserwowanych przez Mory i Spoerry. Na spóźnialskie spadały bity i ciosy. Przez resztę dnia i nocy kobiety przebywały w zamknięciu; załatwiały się tam, gdzie siedziały lub stały. Codziennie rano personel wynosił i rzucał prosto na wózek dwa lub trzy ciała, a co dwa tygodnie grupę „wariatek” zabierała ciężarówka.

Ciągle dochodziło do różnych zajść. Jeśli hałas stawał się zbyt duży, Mory wywlekała winne, chłostała je i domagała się kaftanów bezpieczeństwa. Jacqueline Héreil, Violette Lecoq i Loulou Le Porz wspominały również, jak w październiku 1944 roku Mory wyciągnęła Polkę pokrytą ekskrementami. Zawlokła ją do umywalni i trzymała tak długo pod lodowatą wodą, że następnego dnia kobieta zmarła. Anne Spoerry pomagała Mory w tym wszystkim. „Claude zawsze trzymała się spódnicy Mory”, opowiadała Loulou.

W zeznaniu przed sądem Mory stwierdziła, że to Treite nakazał wydawanie połowy racji żywnościowych i to on kazał ogolić głowy psychicznie chorym<sup>559</sup>. Powiedziała, że nigdy nie chciała zajmować się wariatkami, ponieważ nie ma możliwości zapanować nad pięćdziesięcioma kobietami na tak małej przestrzeni. To dlatego żądała kaftanów bezpieczeństwa, ale nie dostała ich. Pewnego razu próbowała „związać kobiety kocami, żeby nad nimi zapanować”, ale to nie zadziałało i zaczęły toczyć pianę z ust. W swoim zeznaniu Treite przyznał, że Mory protestowała przeciwko powierzeniu jej wariatek. „Wielokrotnie prosiła o przeniesienie”, powiedział. Spytałam Loulou, jak naprawdę było w sali, a ona zamilkła. „Kobiety były w straszliwym stanie. To było obrzydliwe. Stan kompletnej, niewyobrażalnej



nędzy. Nie mogły wyjść z pomieszczenia. Inne przynajmniej poruszały się po bloku, ale kobiety z sali wariatek nigdy nie wychodziły – tylko do ciężarówek, które zabierały je na zawsze. Widziała pani rysunki Violette?” Otworzyła szkicownik leżący na biurku, który rozchylił się na „robactwie i gryzoniach”.

Widzi pani, jakie wielkie były szczury. Przychodziły nocą do umywalni, gdzie piętrzyły się zwłoki. Próbowaliśmy je przepędzać, ale wracały bardzo szybko. Pewnego razu jedna ze zmarłych wróciła do życia. Ktoś zabrał ją za szybko i Violette przybiegła z umywalni, krzycząc: „*Mais dis donc!* W umywalni siedzi zmarła i mówi”. Zdarzały się tak groteskowe sytuacje, że musiałyśmy się śmiać. Ale nie byliśmy *tranquilles*.

Pociera palcem wskazującym o kciuk. „Kiedy z komina wydobywał się dym, czułyśmy pył w powietrzu. Wie pani, bardzo drobny. Odwracałyśmy się do siebie i mówiłyśmy: «Nasze towarzyszki znów są z nami»”.

Pod koniec listopada 1944 roku trzydzieści sześć „idiotek” równocześnie tłoczyło się od ściany do ściany, więc przyjechała ciężarówka i znów opróżniła pokój. Loulou pamięta, że jakiś czas potem Mory przyszła z grupą słowackich Żydówek. Kobiety właśnie przyjechały i było jasne, co się stanie, ponieważ strażniczki nie zawracały sobie nawet głowy przydzieleniem im obozowych ubrań. „Zamierzali dać im umrzeć, w tym pokoju, z głodu i pragnienia. Tak wtedy wyglądała rzeczywistość”.

Nie opłacało się transportować ich gdziekolwiek ani marnować na nie jedzenia. Ale Mory kazała mi je zbadać, ponieważ na formularzach musiał być podpis lekarza. Tak więc stałam przed pięćdziesięcioma słowackimi babciami, które miały umrzeć, i pomyślałam, że wariuję. Co ja tu robię? Nie mogłam z nimi porozmawiać – mówiły tylko w jidysz. Wszystkie miały powyżej siedemdziesiątki.

Prosiłyśmy o zgodę na podawanie im jedzenia lub picia, ale odmówiono nam. Było zimno, a one nic nie miały. Nie pozwolono nam pójść do sali, umierały jedna po drugiej. W ciągu tygodnia wszystkie zmarły. A ja pomyślałam: po co je badałam? Na co? Powinnam po prostu napisać: «To staruszki i zostaną porzucone na śmierć». To moje najbardziej odrażające wspomnienie. Nawiedza mnie.

Gdy mijały tygodnie, niepokoje w sali chorych psychicznie narastały, a świadkowie pamiętają kilka horrorów, które w ich świadectwach zdają się zlewać w jedną wielką grozę, gdyż schematy niemal się nie zmieniały. Według Jacqueline Héreil pewnego ranka francuskie trio odkryło, że „szalone” atakowały się w nocy nawzajem i jedna ma twarz pociętą w strzępy<sup>560</sup>. Być może przy okazji tego samego incydentu Mory powiedziała, że kiedy pewnego

ranka otworzono drzwi, znaleziono kobiety uduszone; pozabijały się między sobą. Innym razem, opowiadał ktoś, pięć znaleziono nieżywych. Mory wspominała, że pokierowała „buntem”, mówiąc Treitemu, że „to nie może tak trwać i warunki powinny ulec poprawie”.

Loulou i francuskie pielęgniarki zapamiętały dzień, kiedy po zamieszanu w „sali wariatek” Mory uznała, że wszystkie chore psychicznie należy zabić. Poprosiła Loulou, Jacqueline i Violette o pomoc. W tym przypadku, wspominała Violette, cały blok został obudzony w nocy przez straszliwe krzyki. „Wstałyśmy, podobnie jak Carmen Mory i Anne Spoerry, a kiedy weszłyśmy, okazało się, że krzyczy prawdopodobnie Rosjanka, która walczyła z inną wśród powalonych ciał. Tamtej nocy w pokoju było 67 kobiet. Mory biła je skórzanym pejczem, ale nie zdołała ich uspokoić”. Według Mory Anne Spoerry przyszła do niej pewnego ranka i powiedziała, że Polka „Paulina”, która odznaczała się „herkulesową siłą”, zabiła jedną z pacjentek, uderzając jej głową o ścianę. Mory poszła do Treitego i powiedziała: „Znalazłam w sali kolejne dwie martwe”, na co Treite roześmiał się i odparł: „Lepiej dwie mniej niż dwie więcej”.

Innym razem, jak opowiadała Mory, Spoerry zebrała wszystkie funkcyjne z bloku, żeby obejrzały kolejne zwłoki w sali chorych psychicznie. Były straszliwie okaleczone i miały ślady na szyi. Część głowy „została dosłownie oskalpowana, z wielkimi niebieskimi śladami wszędzie”. Spoerry spojrzała na ręce Pauliny i pod paznokcie, znajdując ślady krwi. *Oberschwester* Marschall przyszła i „uznała, tak samo jak my, że sytuacja jest odrażająca”.

Violette wspominała, że Mory poprosiła grupę Francuzek o wsparcie, mówiąc, że obłąkane należałoby raczej zabić, niż dać im żyć w takich warunkach, „Nie zgodziłyśmy się”. Według Jacqueline potem pojawił się Treite i kazał Mory wybrać najbardziej obłąkane, ponieważ zamierzał dać im zastrzyk. „Mory wybrała kobiety, a one zniknęły”.

Loulou nie pamiętała oskalpowanej głowy ani śladów krwi, ale wspominała Paulinę, która miała „znakomity głos” i śpiewała głośno przez całą noc. „Żyła wśród jakichś halucynacji, delirium”. Następnego ranka Mory przyszła do Loulou ze strzykawką z płynem. „Powiedziała: «Nie możemy zwlekać, musimy ją stracić». Odparłam, że nie mogę tego zrobić. Straszyła mnie. Zagroziła mi. W tym momencie Claude zgłosiła się na ochotnika. Anne Spoerry wzięła strzykawkę, zrobiła Paulinie zastrzyk prosto w serce, a ta zmarła natychmiast”.

Wkrótce po uśmierceniu Pauliny *Idiotenstübchen* została oczyszczona ponownie, ale tym razem wywieziono nie tylko „idiotki”, ale też wiele pacjentek doktor Loulou. Jak zwykle to urzędniczki z kancelarii dowiedziały się pierwsze o nowym czarnym transporcie, kiedy sporządzono listy i potajemnie planowano przyjazd komisji medycznej z Berlina, która miała nadzorować selekcje. Te zaczęły się w bloku 10. i musiał w tym uczestniczyć cały więziarski personel medyczny.

Jak zwykle miejsce przeznaczenia otaczała głęboka tajemnica, ale tym razem było więcej znaków zapytania. Nie mógł to być Majdanek, dokąd odszedł ostatni transport do gazu – teraz znajdował się w rękach Rosjan. Ani Auschwitz, gdzie komory gazowe rozmontowano przed ewakuacją. Sekretarkom kazano przy nazwiskach wybranych napisać po prostu „przeniesiona do nowego obozu”.

Gdy sporządzono listy, odbyła się ostateczna selekcja. Violette Lecoq została wezwana do jednej z dużych sal w głównym bloku szpitalnym, gdzie umieszczono wielki stół, za którym stanęli doktorzy Trommer, Treite i Orendi oraz „psychiatra z Berlina”. Jak wspominała, obecni byli także „*Oberschwester* Marschall, Carmen Mory, doktor Le Porz, Jacqueline Héreil, Anne Spoerry i ja”.

Więźniarki wywoływano po nazwisku. „Zaczął się przemarsz, podczas którego prostym gestem kobiety włączano do transportu albo kierowano z powrotem do bloku”, opowiadała Violette. Personel bloku 10. dobrze znał wiele nazwisk, między innymi Francuzki Marie Leger. Loulou próbowała przekonać Claude, by użyła swego wpływu na Mory w celu skreślenia Marie z listy – znalazła się na niej tylko „dlatego, że Mory jej nienawidziła”. Claude odmówiła jednak pomocy<sup>561</sup>.

Julia Barry, „brytyjska” policjantka obozowa z Guernsey, została wyznaczona do pilnowania kobiet w *Idiotenstübchen* rankiem przed ich wyjazdem, a później wspominała, że jedna z nich była Angielką. „Kiedy przechodziły, młoda dziewczyna odezwała się do mnie po angielsku. Powiedziała, że odjeżdża i wkrótce będzie w domu. Spytałam, czy jest Angielką, a ona odparła: «Oczywiście». To wszystko, nigdy więcej jej nie widziałam”<sup>562</sup>.

Według Violette Lecoq wybrane pozostały na noc w bloku, a następnego ranka, o siódmej, „zaczęłyśmy je ubierać”. O czwartej rano Bräuning i Binz

pojawił się w bloku z szefową policji obozowej Elisabeth Thury i kilkoma strażniczkami, które zaczęły zaganiać kobiety i ładować je do ciężarówek. Violette, razem z Carmen Mory, rozkazano towarzyszyć transportowi aż do dworca.

Na stacji Violette obserwowała, jak kobiety są ładowane do bydłych wagonów, „pustych, nie licząc garści słomy”, po pięćdziesiąt, pod nadzorem uzbrojonych esesmanów. W tym samym czasie wyruszał konwój Cyganek. Chociaż nikt wtedy nie wiedział na pewno, dokąd zmierzają więźniarki, to Mory miała więcej informacji niż reszta: powiedziała *Oberschwester Marschall*, iż słyszała, że jadą do Linzu w Austrii.

W zeznaniach na procesie w Hamburgu w 1946 roku Percival Treite twierdził na początku, że kobiety skierowano do sanatorium w Turynii. Przesłuchany ponownie powiedział: „Podejrzewaliśmy, że jadą do szpitala psychiatrycznego w Linzu, ale później pielęgniarka powiedziała mi, że był to transport do komory gazowej”. Gdzie dokładnie w Linzu doszło do zagazowania więźniarek, nie było wiadomo, dopóki zeznań nie złożyli kierownicy ciężarówek SS podczas oddzielnego procesu, dotyczącego obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Kierowcy byli przesłuchiwać w sprawie gazowania więźniów w zamku Hartheim koło Linzu.

Zamek Hartheim był jednym z pierwszych ośrodków gazowania w ramach programu eutanazji; został uruchomiony w 1939 roku, a działał jako ośrodek gazowania do 1944 roku<sup>563</sup>. Kierowca SS Georg Bloser zeznał, że woził do komory gazowej na zamku Hartheim i kobiety, i mężczyzn. Zabierał ich z miejscowej stacji. „Byli zawsze w okropnym stanie. W Hartheim przejmował ich tamtejszy personel. Czasem wpuszczali mnie do poczekalni i częstowali herbatą”.

Karl Wassner, pracownik krematorium w pobliskim obozie koncentracyjnym w Gusen, również odprowadzał więźniów do zamku Hartheim i pewnego razu, kiedy czekał, widział wewnątrz komory gazowej. „Zerknąłem przez judasza. Widziałem, że więźniowie pokładają się już w tym pomieszczeniu. Była to komora gazowa, oświetlona w środku. Zauważyłem, że w środku jest o wiele więcej ludzi, niż my przywieźliśmy z Gusen. Dostrzegłem też, że znajdowały się wśród nich kobiety”.

W grudniu 1944 roku, gdy do Austrii zbliżał się front wschodni, zamek Hartheim został zamknięty na rozkaz Führera, a instytucja wznowiła

działalność jako zwykłe sanatorium. Zadanie zniszczenia dowodów gazowania powierzono grupie więźniów z Mauthausen, w tym Adamowi Gołembskiemu, który opisał wygląd zamku od środka.

Od wejścia, opowiadał, wchodziło się do wnętrza twierdzy. Na końcu wchodziło się do pomieszczenia fotografa, skąd prowadziła droga do pomieszczenia, które „wyglądało jak łazienka; żelazne drzwi miały dookoła gumowe uszczelki, a na środku judasza”. W środku znajdowało się sześć przyszniców. Stąd lekarz poprowadził do następnego pomieszczenia, gdzie przechowywano butle z gazem i inny sprzęt. Z tyłu ukrywało się jeszcze jedno pomieszczenie, najwyraźniej jakieś laboratorium z wielkim stołem. Gdy Gołembski wszedł tam, znalazł dokumenty, które wyglądały jak raport z badań przeprowadzonych na zwłokach. Stamtąd lekarz poprowadził ich do krematorium z dwoma piecami.

Po wyjściu na zewnątrz po lewej stronie od drzwi Gołembski zauważył kopiec popiołów z kośćmi, „dość duży, by zapełnić sześćdziesiąt kubłów”. Znalazł też elektryczny młynek do miażdżenia kości, które się nie dopaliły. Na koniec w zamkowej powozowni „znaleźliśmy ubrania dzieci, kobiet i mężczyzn, tyle, że zmieściłyby się na czterech konnych wozach”.

Nie sposób dowiedzieć się, ile czarnych transportów z Ravensbrück przyjechało do zamku Hartheim, ale transport 120 kobiet – w większości z bloku 10. – z listopada 1944 roku był prawdopodobnie największy. Personel Ravensbrück musiał też wiedzieć, że ten transport był ostatnim do zamkowej komory gazowej, która miała zostać teraz rozebrana.

W większości ofiary zamku Hartheim pozostały anonimowe, ponieważ prawie wszystkie dokumenty niemieckie dotyczące zamku zostały zniszczone, podobnie jak obozowa dokumentacja transportów. Na pewno znana jest tylko tożsamość więźniarek z Ravensbrück, których nazwiska zapamiętały Loulou Le Porz i inne „pracowniczkę” bloku 10.

W 2012 roku próbowałam ustalić więcej szczegółów na temat kobiet zapamiętanych przez Loulou. Jedną z nich była Marie Leger, a syn Loulou, Jean-Marie Liard, pomógł mi w badaniach i przestudiował kopię książki, która doprowadziła do aresztowania Henriette i Marie Leger. Znalazł ją w Bibliothèque Nationale w Paryżu. *Les Voix du Drapeau* („Głosy flagi”) to zbiór ballad patriotycznych napisanych na cześć francuskich bohaterów wojennych z przeszłości, zadedykowany „wszystkim tym, których głos agonii i chwały przemawia do nas przez lata”. Wstęp napisany przez bliźniaczki

mówi o „tych, którzy użyźnili naszą ziemię świętością swej krwi – bohaterach okopów spod Ypres i Furnes” i prosi czytelników o pamięć o „wszelkich okrucieństwach i zdradach Wielkiej Wojny i przerażającym fakcie użycia w tej wojnie gazów”. Marie i Henriette zadedykowały książkę „tym, których stopy przeszły «szlakiem krwi»”.

[549](#) Do opisanie historii bloku 10. wykorzystałam kilka długich wywiadów z doktor Louise Liard (z d. Le Porz) przeprowadzonych w jej domu w Bordeaux, a także jej relację i prywatne archiwum. Materiały procesu hamburskiego, głównie WO 235/317, WO 235/318 i WO 309/416, zawierają wiele informacji o bloku 10.

[550](#) Litoff (red.), *An American Heroine in the French Resistance*.

[551](#) Maurel, *Ravensbrück*.

[552](#) Wywiad autorki. Loulou nie była jedyną więźniarką, która mówiła o nakręceniu filmu. Wiele innych, w tym Käthe Leichter, Antonina Nikiforowa i Milena Jesenská, uważało, że film byłby jedynym sposobem na to, żeby ludzie uwierzyli w to, co wydarzyło się w Ravensbrück.

[553](#) Raport Mant, WO 309/416.

[554](#) Mory szczególnie nienawidziła Elisabeth Thury, która jako kierowniczka obozowej policji była jedyną więźniarką z realną władzą. Podczas powojennego przesłuchania Mory obszernie atakowała Thury, sugerując jej udział w „aferze z francuską biżuterią” – kradzieży biżuterii więźniarek – na której Thury obłowiła się bardziej od Mory.

[555](#) Germaine Tillion powiedziała później, że tuż przed końcem Annie de Montfort wzywała „wymagowanego szofera”.

[556](#) Podobnie jak w przypadku Polek, dużą grupę francuskich więźniarek stanowiły nauczycielki, prawdopodobnie dlatego, że pełniły w podziemiu użyteczną funkcję kurierów – mogły się poruszać bez przeszkód i miały dobre kontakty.

[557](#) Wywiad autorki.

[558](#) Maurel, *Ravensbrück*.

[559](#) Zeznania z procesu Mory (głównie przed belgijską komisją, WO 309/419); zob. też Spoerry, Lecoq i Héreil w: WO 235/318, oraz raport Spoerry z maja 1945 roku dla MKCK.

[560](#) Zob. Le Porz. Héreil, Lecoq i Mory, WO 235/317 i 318.

[561](#) WO 235/318.

[562](#) Barry, WO 309/417, i list, Atkins.

[563](#) Szacuje się, że w zamku Hartheim zagazowanych zostało 18 200 inwalidów i chorych psychicznie Niemców oraz Austriaków. Jedną z pierwszych ofiar w zamku był Hans Rosenberg, brat cioteczny Very Atkins, agentki SOE, który został zabrany do Hartheim w 1940 roku ze szpitala psychiatrycznego w Wiedniu.

## Część szósta



## Rozdział 30

### Węgierki

W październiku 1944 roku Eva Fejer była w szkole w Budapeszcie, kiedy ogłoszono, że wszystkie Żydówki z jej klasy mają iść kopać okopy, ponieważ nadchodzą Rosjanie. „Zabrali nas na pole i musiałyśmy kopać. Spałyśmy na odkrytym boisku. Kilka dni później kazali nam maszerować na zachód”<sup>564</sup>.

Październikowy rozkaz wydało biuro Adolfa Eichmanna, wysłanego na Węgry sześć miesięcy wcześniej, po niemieckiej inwazji, w celu realizacji ostatniej fazy ostatecznego rozwiązania – schwytania 750 tysięcy Żydów z tego kraju i posłania ich do Auschwitz. Czas naglił: zbliżała się Armia Czerwona.

Kiedy pod koniec marca 1944 roku rozpoczęły się obławy na Węgrzech, większość Żydów była nieprzygotowana. Wiedzieli o masakrze innych europejskich Żydów, ale aż do teraz Węgry, sojusznik Niemiec, były chronione. Ojciec Ewy Fejer, wpływowy prawnik, powiedział rodzinie: „Tutaj to się nie stanie. Węgierskie prawo na to nie pozwoli”. Franz Fejer był węgierskim patriotą, i niemieckim także. Cała rodzina mówiła po niemiecku; Eva miała nianię Niemkę i w wieku dziesięciu lat płynnie mówiła po niemiecku. Rodzina nie przedsięwzięła żadnych środków ostrożności. „Myślę, że moi rodzice po prostu nie chcieli tego przyjąć do wiadomości. A ojciec nie chciał straszyć rodziny, więc nas nie ostrzegł. Chciał, żebyśmy mieli tyle dzieciństwa, ile się dało”.

Tym razem jednak świat zewnętrzny rozpoznał zwiastuny. W chwili gdy Hitler wszczął inwazję, wyszło ostrzeżenie do zachodnich stolic, że węgierscy Żydzi również zostaną eksterminowani. Berlin nie silił się, żeby to ukryć. Szwedzi wysłali przedstawicieli, żeby zapewnić Żydom paszporty i dokumenty dla ochrony, a Międzynarodowy Czerwony Krzyż próbował przekazać odzież i żywność uwięzionym w obozach przejściowych, ale już wtedy dziesiątki tysięcy Żydów zapędzono do pociągów do Auschwitz,

a jednym z pierwszych był ojciec Ewy. „Miał 61 lat, ale był bardzo sprawny – opowiada Eva – liczyliśmy więc, że przeżyje. Doskonale jeździł na łyżwach i znakomicie grał na pianinie. Czasem miało się nadzieję, że ktoś zniemacka się pojawi, ale nikt z jego transportu nie wrócił”.

W lipcu 1944 roku naziści już wyłapali i wysłali 430 tysięcy z 750 tysięcy węgierskich Żydów do Auschwitz, gdzie wszystkich poza 100 tysiącami zagazowano. Deportacji do Auschwitz uniknęli tylko uznani za zdolnych do pracy w przemyśle zbrojeniowym; przekazano ich do obozów koncentracyjnych w Niemczech. Transporty węgierskie do Auschwitz również przesiewano pod kątem użytecznych robotników przymusowych.

W lipcu 1944 roku, cztery miesiące po rozpoczęciu przez Eichmanna obław na Węgrzech, deportacje wstrzymano. Miklós Horthy, nazistowska marionetka w Budapeszcie, przeszedł na stronę aliantów i odmówił dalszego udziału w deportacjach Żydów. Wydawało się, że 200 tysięcy pozostałych Żydów – głównie w Budapeszcie – ocaleje, włącznie z Ewą Fejer i jej matką. Na początku października rząd Horthy’ego jednak upadł, a Eichmann wznowił akcję. W tym czasie alianckie bombardowania zniszczyły linie kolejowe i tabor na Węgrzech i w Polsce: nie dało się już używać pociągów. Co więcej, front wschodni przesuwał się tak szybko, że nawet Auschwitz w południowej Polsce szykowało się do ewakuacji; komory gazowe miały zostać zamknięte, a obóz nie przyjmował kolejnych Żydów.

Zaprzestanie obław nie wchodziło jednak w grę; Hitler rozkazał, by przed nadejściem Armii Czerwonej usunąć z Węgier wszystkich Żydów. Eichmann mógł to osiągnąć, jedynie zmuszając pozostałe 200 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci do marszu z Budapesztu w stronę granicy austriackiej, odległej o 320 kilometrów.

Był 16 października i przymrozek ściał ziemię, kiedy kobiety i dziewczęta w wieku od 16 do 40 lat odebrały rozkaz wymarszu. Eva zdołała spakować do swojego skautowskiego plecaka – z naszywką z Jamboree z 1939 roku – jedzenie i zapasową odzież, przeschmuglowane przez swą niemiecką nianię. Nie zdołała jednak zobaczyć się z matką przed wyruszeniem.

Eva, jak wspomina, nie cierpiała w czasie marszu tak jak większość. Umiała udzielić pierwszej pomocy, była wysportowana i silna. „Mój ojciec nauczył mnie, bym robiła wszystko sama. Za pierwszym razem naprawiał mój rower, ale musiałam się przyglądać i następnym razem zrobić to sama”. Znała też trasę, ponieważ rodzina jeździła nią przed wojną w odwiedzinach do krewnych

przy granicy. Maszerowała cały dzień, a nocowała na boiskach. Było zimno, ale Eva nosiła spódnicospodnie i miała w plecaku zapasowe spodnie narciarskie.

Większość maszerowała rodzinami albo w małych grupach. Margit Nagy upierała się, by iść z córkami, Roszą i Marianne. „Wydaje mi się, że uważała, iż możemy umrzeć, i chciała, byśmy były wszystkie razem. Całą drogę trzymałyśmy się za ręce”, wspominała Rosza. Samotne dziewczęta były „adoptowane” przez inne rodziny, ale Eva wolała iść sama. Strażnicy z faszystowskiej organizacji strzałokrzyżowców bili maruderów. Przechodnie gapili się, a czasem proponowali coś do jedzenia. Pewnego dnia obok Evy szedł mężczyzna, który zadawał pytania o jej ojca.

Powiedział mi, że był ordynansem ojca podczas pierwszej wojny światowej i że mój ojciec był dla niego dobry. Powiedział: „Chodź ze mną, a ja zadbam, żeby wszystko było dobrze”. Mogłam iść, bo nikt naprawdę nie pilnował. Ale pomyślałam, że idziemy tylko do obozu pracy, a ja jestem na to dość silna. Wierzyłam w swoje siły. To była trudna decyzja, ale martwiłam się o matkę; nie chciałam, by cokolwiek się jej przytrafiło, gdybym źle postąpiła.

Gdy ordynans ojca wyładował jej plecak pigwą, pomaszerowała dalej.

Kilka dni później maszerujący dotarli do Dunaju i przeszli po trapach na promy. „Ludzie tracili równowagę i spadali z desek. Widzieliśmy ciała utopionych w wodzie, ale szłam i nie spadłam”. Gdzieś koło Wiednia Żydów załadowano do pociągów, zamknięto w wagonach i składy ruszyły na zachód. „Strażnik spytał, czy ktoś mówi po niemiecku, więc szybko przytaknęłam i zostałam jego tłumaczką. Siedziałam na parapecie i mogłam wyglądać na zewnątrz. Umiałam określać położenie na podstawie słońca, więc mówiłam innym, w jakim kierunku jedziemy”.

Kiedy pociąg wtoczył się do Jeny, na południowy zachód od Lipska, mężczyźni wysiedli i odjechali do Buchenwaldu, ale kobiety zostały. „Minęłyśmy średniowieczny zamek i pomyślałam, że po wojnie muszę tu przywieźć rodziców”. Dwa dni później pociąg wjechał na małą stację Ravensbrück. „Słyszałam o Auschwitz, Dachau i Mauthausen, ale nie o Ravensbrück”<sup>565</sup>.

Po wyruszeniu konwoju Evy z Budapesztu ostatnia faza przymusowych wymarszów z Węgier przyśpieszyła. Pogoda się pogorszyła i z wielu tysięcy kobiet maszerujących do Ravensbrück co najmniej jedna trzecia zginęła.

Wysłannik Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który miał obserwować exodus, był przytłoczony: „Stać tam, bezradnie, nie mogąc nic zrobić, było nie do zniesienia”, napisał w raporcie dla Genewy.

Deportacje z innych krajów wschodnich graniczących z Rzeszą również nabrały rozpędu. Hitler korzystał z ostatniej sposobności, by opróżnić obozy i getta przed nadejściem Rosjan. Żydów nadal transportowano pociągami przecinającymi resztki okupowanych przez nazistów terytoriów, często stojącymi wiele dni na bocznicach, ponieważ tory zostały zbombardowane lub linie zerwane. Jednym z pociągów jechała dziewiętnastoletnia Basia Zajązkowska, która przetrwała kieleckie getto, ponieważ pracowała w fabryce prochu<sup>566</sup>. Przed nadejściem Sowietów robotników wysłano do Auschwitz. Basia uciekła do lasu, ale Niemcy ją złapali i skierowali do Ravensbrück, ponieważ obóz Auschwitz był już zamknięty.

2 listopada 1944 roku Himmler przerwał gazowanie w Auschwitz, ale w chaosie, jaki zapanował, część pociągów i tak tam dojechała, w tym jeden ze Słowacji, którego pasażerowie przybyli skrajnie przerażeni, ponieważ otrzymali dokładną relację, czego mają się spodziewać – od dwóch Słowaków, którzy uciekli z Auschwitz i po powrocie do ojczyzny opowiedzieli im o komorach gazowych tuż przed wyruszeniem transportu. Po przybyciu do Auschwitz pewna Słowaczka zapytała nawet esesmana, gdzie są komory gazowe. Odparkł: „Już nie działają. Nie zostaniecie zagazowani”.

Słowaczki wsadzono do innego pociągu, który 10 listopada dotarł do Ravensbrück, gdzie kobiety również spodziewały się zagazowania. Zostały zagnane do namiotu w obozie, ale nie chciały wejść do środka. „Wchodzące do namiotu kobiety były przekonane, że wchodzi do komory gazowej – opowiadała Halina Wasilewska, sztabowa w namiocie. – Wiele prosiło personel namiotu, aby powiedzieć im prawdę – czy zostaną zagazowane? – i nie wierzyły zapewnieniom, że w Ravensbrück nie ma komór gazowych. W tamtym czasie rzeczywiście nie było komór gazowych w Ravensbrück”<sup>567</sup>.

Późną jesienią 1944 roku, po przybyciu tysięcy Żydówek, Ravensbrück znowu stało się zatłoczone; brud i choroby szerzyły się na niewyobrażalną skalę. Na początku wszystkie nowo przybyłe personel zaganiał do namiotu, gdzie już nie dostawały ani słomy, ani koców, więc kobiety, które

maszerowały w śniegu, teraz spały na zimnych i mokrych betonowych płytach. Większość tych, które szły z Budapesztu, zachorowała po drodze na zapalenie płuc, gangrenę lub doznała odmrożeń. Wiele miało również objawy tyfusu i cierpiało na gorączkę, wymioty i biegunkę<sup>568</sup>.

Nieczystości przelewały się z wiader. Namiotowe płótno śmierdziało. Matki próbowały karmić dzieci i siebie. Pośród tego horroru tyfus szerzył się na niespotykaną tu dotąd skalę. SS rozpaczliwie próbowało opanować zabójczą zarazę, szczepiąc nie tylko własny personel, ale też kluczowe więźniarki – pielęgniarki i pracownice kancelarii, lecz niektóre z nich były za słabe, żeby wytrzymać szczepienie: łapały tyfus i umierały. Władze wprowadziły zasadę, że dziennie do rewiru może udać się tylko 30 pacjentek z namiotu, ale to było za mało i resztę odsyłano na śmierć. Martwe leżały razem z żywymi i niełatwo było je usunąć. Potem, kiedy do namiotu przychodziło komando grabarskie, nie chciało zabierać zwłok, ponieważ nie znało numerów. W namiocie wielu kobiet jeszcze nie zarejestrowano i umarły, zanim przydzielono im numer.

Halina opowiada, że w namiocie pojawił się nowy fenomen – „gorączkowe dyskusje wzburzonych kobiet, które skarżą się, walczą o miejsce do spania, jęczą i krzyczą z choroby, wrzeszczą do siebie w tłumie, co tworzyło stały ogłuszający zgiełk, non stop, dniem i nocą”. Jednak „blok” namiotowy mimo tego musiał stawać się na apelu jak wszystkie pozostałe. Więźniarki, które nie mogły stać, układano do liczenia na plecach w rzędach po dziesięć.

Po kilku dniach spędzonych w namiocie pierwsze Węgierki zostały przeniesione do bloków; najzdrowsze poszły pracować do zakładów zbrojeniowych w podobozach. Od razu potem z Auschwitz przyjechała nowa grupa tysiąca Polek (tym razem Aryjek, odnotowała Halina) i zapełniła namiot. Sytuację stale pogarszał fakt, że z obozów satelickich wracało coraz więcej chorych kobiet. A chore kobiety odsyłały nie tylko podobozы Ravensbrück; chore (i ciężarne) kierowały tu także inne odległe obozy od dawna podlegające administracji męskich obozów, na przykład w Buchenwaldzie. Obozy te przez wiele miesięcy kierowały wycieńczone pracowniczki do Auschwitz, ale tego rozwiązania nie można już było zastosować.

Pobliski Siemens również odsyłał coraz więcej niezdolnych do pracy kobiet do obozu macierzystego. Kilka zachowanych miesięcznych raportów podających ruch więźniarek wykazuje niezwykle wzrost ich liczby w 1944 roku. W październiku fabryka przekazała do głównego obozu 50 niezdolnych

do pracy kobiet z samej wykańczalni, w porównaniu ze średnio trzema powrotami z tej samej małej sekcji przed osiemnastoma miesiącami.

Kobiety odrzucone przez Siemens trafiły prosto do rewiru lub dołączały do komand pracujących na zewnątrz. Betsie ten Boom, odesłana w październiku, przez kilka tygodni pracowała przy równaniu gruntu, a potem trafiła do szpitala, gdzie zmarła na początku grudnia. Corrie widziała nagie ciało siostry na sienniku: „jak wyrzeźbione w starej kości słoniowej, przez skórę widziałam zarys zębów”. Potem znów zauważyła ciało Betsie, leżące na stosie innych zwłok pod ścianą łaźni rewiru, „z oczami zamkniętymi jak we śnie, ślady głodu i choroby po prostu zniknęły. Nawet włosy ułożyły się ładnie, jakby jakiś anioł je uczesał”<sup>569</sup>.

Kierownictwu Siemensu było trudniej niż kiedykolwiek zastępować wyczerpane kobiety, ale teraz do obozu zaczęły napływać młode Żydówki, niektóre jeszcze zwinne i dość silne do pracy. Siemens zatrudniał Żydówki w berlińskich zakładach na początku wojny, przed masowymi deportacjami, i cenił sobie ich umiejętności, więc Basia Zajązkowska z kieleckiego getta błyskawicznie trafiła „z rynku bydła” do zakładów produkujących oprzyrządowanie elektryczne.

Przez listopad i grudzień ze wschodu przyjeżdżało coraz więcej Żydówek; większość musiała walczyć o życie w namiocie. Nastoletnia Sarah Mittelman zastała w nim „kobiety napadające na siebie i walczące między sobą. Żadna nie miała miejsca, żeby się wyciągnąć”<sup>570</sup>. Przyjechał nowy transport polskich Żydówek mówiących w jidysz, którego węgierskie Żydówki nie rozumiały. Selma Okrent, młoda Węgierka, zapamiętała odór namiotu. Kiedy stała w kolejce po zupe, któraś powiedziała: „Jak nie będziesz się starać, też będziesz tak śmierdziała”.

Zabrały moje ubranie i połamały kolczyki, żeby je wyjąć z uszu. Dostałam czerwony trójkąt i numer 79 706, kazały mi uważać na zielone trójkąty, bo to złodziejki. Miałam pracować przy przeciąganiu kamieni, czasem musiałam taszczyć zwłoki. Dostałam spódnicę i bawiłam się jej rąbkami, kiedy poczułam, że coś w nim jest, i znalazłam czyjąś ślubną obrączkę<sup>571</sup>.

Selma i Sarah zapewniły sobie pracę w lepszych komandach, kombinując tak, żeby *Meister* wybrał je jako pierwsze. Podobnie zrobiła Eva Fejer niemal zaraz po przyjeździe do obozu. Mężczyzna z Daimlera-Benza pstryknął na nią

palcami. „Zapytał, czy mówię po niemiecku, a ja odpowiedziałam, że tak. On na to: «Tak, nadasz się» i zostałam jego tłumaczką w fabryce w Berlinie”. Zanim Eva wyjechała z Ravensbrück, zauważyła, że następnym transportem z Budapesztu przyjechała jej najlepsza przyjaciółka, więc krzyknęła do niej: „«Martha, zrób wszystko, żeby się stąd wydostać!», ale ona mi nie uwierzyła i umarła”.

Roszy i Marianne Nagy również udało się „wydostać” do zakładów zbrojeniowych koło Chemnitz, ale w ostatniej chwili ich matka Margit, która była z nimi razem od samego Budapesztu, musiała zostać. „My wsiadłyśmy na pakę ciężarówki i odjechałyśmy, widziałyśmy ją wtedy po raz ostatni”<sup>572</sup>.

Zwykle nowo przybyłe patrzyły z niedowierzaniem na wyniszczone kobiety w obozie. Teraz było odwrotnie. Loulou Le Porz zobaczyła grupę nowych Węgerek. „Jedna podbiegła do mnie i błagała: *Bitte Schwester, bitte Schwester*. Po jej twarzy poznałam, że umiera, więc uciekłam, ponieważ nie byłam w stanie jej tego powiedzieć”.

Opisując ten okres, więźniarki, które przeżyły, wspominały o grupach nowo przybyłych, zwykle Żydówek, płaczących się – prawdopodobnie po odłączeniu się od transportu – po całym obozie. Pewnego dnia Nelly Langholm spotkała taką grupę, kiedy wracała z kuchni, gdzie poszła po wodę dla kobiet w fabrycznym warsztacie. Odkąd wybuchła epidemia tyfusu, kuchnia stanowiła jedyne źródło bezpiecznej wody.

Napełniłam dzbanek i szłam z powrotem, kiedy zobaczyłam te kobiety – może Węgierki albo Polki. Były w okropnym stanie i musiały właśnie skądś przyjechać, wyraźnie nie jadły i nie piły od wielu dni. Zobaczyły dzbanek i otoczył mnie, więc większość wody się wylała, a one padły na ziemię i próbowały chociaż dotknąć wilgoci wargami. Cofnęłam się i patrzyłam na nie.

Kiedy chciałam odejść, zobaczyłam na ziemi kobietę. Właśnie rodziła dziecko, właśnie tutaj, a ja patrzyłam. Miałam tylko dwadzieścia lat i nigdy nie widziałam, jak rodzi się dziecko, a ona je urodziła wprost na brudnej obozowej ulicy.

Nelly nie widziała potem tych kobiet i nie wie, dokąd poszły. „Ale dziecko nie poszło nigdzie. Dziecko tam umarło. Tego jestem pewna”<sup>573</sup>.

Mniej więcej w tym samym czasie Violette Lecoq natknęła się na grupę Żydówek, kiedy szła do rewiru po karty chorobowe.

Na dziedzińcu zobaczyłam pięć tacek, których zwykle używano do rozwożenia nawozu; w każdej znajdowała się kobieta. To były Żydówki, które padły z wycieńczenia w drodze



powrotnej od Siemens, pobite prawie na śmierć przez nadzorujące je *Aufseherinnen*. Potem zmusiły ich towarzyski, żeby je zaprowadziły do obozu. *Oberschwester* zabroniła wszystkim ich dotykać. Dwie już nie żyły, kiedy je zobaczyłam, pozostałe konały<sup>574</sup>.

W grudniu zaczął padać śnieg i przyjechała grupa kobiet owiniętych tylko w słomę. Więźniarki patrzyły się na przybyszki; były przerażone ich widokiem i trzymały się od nich z daleka. Nawet Percival Treite przeżył wstrząs na widok kobiet ubranych w słomę i powiedział później, że stan tych 1300 nowo przybyłych był najgorszy ze wszystkiego, co do tej pory widział. W większości były to węgierskie Żydówki deportowane na początku roku, zabrane najpierw do Auschwitz, a stamtąd do podoboju Frankfurt Walldorf na zachodzie Niemiec, gdzie w strasznych warunkach pracowały przy budowie lotniska. Kiedy w listopadzie 1944 roku do Frankfurtu zbliżyły się wojska amerykańskie, władze zamknęły obóz, a wycieńczone kobiety wysłały do Ravensbrück.

Jedną z więźniarek, które z bliska widziały „kobiety w słomie”, była Julia Barry. Opisała je, składając zeznania na procesie zbrodniarzy wojennych w Hamburgu. Patrolowała okolice bramy, kiedy je zobaczyła. „Przyjechały kobiety ubrane tylko w słomę przywiązaną do ciała”. Julia widziała je wiele razy. „Ciągle któraś umierała w obozie. One po prostu padały i umierały”. Zauważyła też, że na kobiety regularnie napadały dwie niemieckie więźniarki – nie dozorkynie – i zadała sobie trud, żeby zbadać sprawę. Jak się okazało, jedną z nich była Polka, Anita.

Miała jakieś dwadzieścia sześć lat, była lesbijką ubraną jak mężczyzna i miała po męsku obcięte włosy. Druga to była Niemka, Gerda. Gruba dwudziestodwulatka miała około metra sześćdziesięciu wzrostu i wyglądała bardzo pospolicie. Obie kobiety okrutnie brutalnie odnosiły się do nowo przybyłych Żydówek i biły je bez litości kijami i wszystkim, co im wpadło w rękę.

W przeciwieństwie do innych więźniarek Julia Barry – sama węgierska Żydówka – zamiast bać się przybyszek, wyciągała do nich rękę. „Poznałam węgierską damę, panią Sebestyn. Po przyjeździe miała nogi w strasznym stanie przez mrozy, jakie panowały, kiedy opuszczała Węgry”. Pani Sebestyn dostała rozkaz wyjścia do pracy i „zaprotestowała, że nie może chodzić”. Mimo tego musiała iść, a „później straciła obie stopy i zmarła w szpitalu”.

Zeznania Julii Barry zawsze są niezwykle szczegółowe i szczerze, po części dlatego, że jako policjantka potrafiła wychwycić wiele rzeczy i również



dlatego, że w przeciwieństwie do innych obozowych policjantek bardzo pragnęła opisać wszystko, co widziała, a w ostatnich miesiącach 1944 roku była to głównie śmierć. Julia miała pewność, że wydarzenia rozgrywające się na jej oczach „są wyraźnie skierowane na sianie śmierci”. Na przykład w szpitalu lekarze z SS „kładli w jednym łóżku pacjentkę z raną stopy z drugą, chorą na gruźlicę lub tyfus albo inną chorobę zakaźną, co nieuchronnie prowadziło do dwóch zgonów”.

Julia wszędzie widziała zwłoki, właściwie to sama ich szukała. W celi śmierci widziała ciała czekające na transport do pieca. Koło krematorium widziała złote zęby wyrwane martwym. Trochę później zauważyła wśród nowo przybyłych z Węgier ciotkę swojego męża. Kiedy dowiedziała się, że krewną zabrano do bloku śmierci, gdzie porzucano bez jedzenia więźniarki chore na dyzenterię, poszła to sprawdzić. „Próbowałam się z nią zobaczyć, ale blokowa nie wpuściła mnie do środka. Nigdy więcej nie widziałam już ciotki męża”.

Julia również słuchała i przekazywała to, co mówili ludzie. „Pamiętam, jak kobieta opowiadała mi, że jej nowo narodzone dziecko zjadły szczury w bloku 11.”. Innym razem patrolowała okolice krematorium i podsłuchiwała wysokiego rangą esesmana, którego nie знаła. Widywała go raz po raz, czasem z innym oficerem, również nieznanym w obozie.

Pamiętam dwóch wysokich oficerów. Jeden z nich nazywał się Höss i kiedyś słyszałam, jak mówił, że szkoda węgla na palenie ciał więźniarek albo coś w tym sensie. Ten Höss, wysoki szczupły mężczyzna w wieku od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, zawsze nosił palto z futrzanym kołnierzem. Nie był taki zły, jak ten drugi, którego nazwiska nie zapamiętałam. Ten był wysoki, tęgi, między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt lat – przystojny i dobrze ubrany. Był jednym z najbrutalniejszych i okrutnych ludzi, jakich spotkałam w obozie.

Niedługo potem Julia zauważyła w Ravensbrück dwóch innych nieznanomych – tym razem byli to lekarze, którzy, jak się dowiedziała, przyjechali „z Auschwitz”<sup>575</sup>.

<sup>564</sup> Wywiad autorki.

<sup>565</sup> W 1944 roku linię kolejową wydłużono z Fürstenbergu do Ravensbrück, gdzie otwarto małą stację, bliżej obozu.

[566](#) B. Zajączkowska, Lund 50.

[567](#) H. Wasilewska, Lund.

[568](#) Zob. Nedvedová, zeznanie praskie. Nedvedová mówi również o epidemii błonicy, kiedy przeprowadzano szczepienia. W niektórych przypadkach błonica wywoływała paraliż: „Zlecono mi wykonywanie iniekcji ze strychniny, więc przypadki błonicy z paraliżem również zostały wyleczone”.

[569](#) C. ten Boom, *The Hiding Place*.

[570](#) Mittelman, YV.

[571](#) Wywiad autorki.

[572](#) Wywiad autorki.

[573](#) Wywiad autorki.

[574](#) Lecoq, WO 235/318.

[575](#) Barry, WO 235/318.

## Rozdział 31

### Przyjęcie gwiazdkowe

Rudolf Höss, komendant Auschwitz, przeniósł się do Ravensbrück kilka tygodni po zamknięciu komór gazowych w Auschwitz. Dowodzi tego wyciąg bankowy: 30 listopada 1944 roku „Höss Rudolf” złożył 50 marek w banku w Fürstenbergu<sup>576</sup>.

Höss nie był jedynym wyższym rangą esesmanem z Auschwitz przeniesionym do Ravensbrück pod koniec 1944 roku. Julia Barry widziała też drugiego, a był to „jeden z najbrutalniejszych i okrutnych ludzi, jakich spotkałam w obozie”, zapewne ekspert od gazowania Otto Moll, także obecny w owym czasie, choć mogłoby też chodzić o Alberta Sauera, innego eks-komendanta obozu zagłady.

Jednym z lekarzy SS widzianych przez Julię Barry był prawdopodobnie Franz Lucas, wcześniej pracujący na rampie w Auschwitz; inni to Carl Clauberg, który zorganizował dla Himmlera eksperymenty ze sterylizacją w Auschwitz. Obaj przybyli do Ravensbrück zimą z 1944 na 1945 rok. Nagłe pojawienie się w obozie kobiecym grupy doświadczonych zabójców źle wróżyło, chociaż do pewnego stopnia wyjaśnienie było banalne: stracili pracę. Ich obozy leżały na wschodzie i albo zostały już zdobyte przez Rosjan, albo wkrótce miało to nastąpić. Program ludobójstwa w Auschwitz przerwano 2 listopada; Armia Czerwona miała dotrzeć do obozu na początku stycznia.

Doktor Franz Lucas został na początku 1944 roku przeniesiony z Auschwitz do obozu Stutthof koło Gdańska, ale Stutthof także wkrótce miał wpaść w ręce wroga. Obóz Ryga-Kaiserwald, gdzie funkcję komendanta sprawował Albert Sauer, Armia Czerwona opanowała w październiku, kiedy zajęła Łotwę.

Jest prosty powód, dla którego posłano tylu bezrobotnych esesmanów do Ravensbrück: po prostu nie zostało już wiele obozów do wyboru. Pozostałymi kierowali wysocy rangą oficerowie, którzy nie chcieli bezczynnych kolegów

na swym terytorium. Fritz Suhren, średniej rangi komendant obozu kobiecego, nie miał tak mocnej pozycji, by się skarżyć, chociaż nawet on zdawał się zirytowany ich przybyciem<sup>577</sup>.

Najważniejszy powód, dla którego wysłano tych ludzi do Ravensbrück, był jednak skrajnie złowieszczy: jako eksperci od masowej zagłady, byli niezbędni, by rozpocząć nowy program eksterminacji. To nie przypadek, że przed przybyciem tych ludzi Himmler wydał nową dyrektywę, żądając natychmiastowego, gwałtownego skoku liczby mordów i budowy komory gazowej dla osiągnięcia tego celu.

Tak jak wiele innych rozkazów SS ostatni edykt Himmlera dla Ravensbrück nie przetrwał zniszczenia nazistowskich dokumentów i nieco czasu zabrało odkrycie szczegółów. Kiedy w 1946 i 1947 roku w Hamburgu odbywały się pierwsze i najważniejsze procesy zbrodniarzy wojennych z Ravensbrück, pewne fakty o eksterminacji ujrzały światło dzienne, ale nie pokazano dowodu, że rozkaz ludobójstwa wyszedł bezpośrednio od Himmlera<sup>578</sup>.

Treść dyrektywy całkowicie przepadłaby dla historii, gdyby nie Anni Rudroff, austriacka lekarka, która czytała rozkaz, gdy pracowała jako sekretarka Edmunda Bräuninga w komendanturze obozu. W 1948 roku, kiedy przygotowywano ostatni proces w sprawie Ravensbrück, Anni została odnaleziona w radzieckim sektorze Berlina przez brytyjskiego śledczego poszukującego dowodów przeciwko Arturowi Conradowi z plutonu egzekucyjnego, którego znała z biura. W krótkim, lecz obciążającym zeznaniu Anni opisała rolę Conrada w rozstrzeliwaniu Polek. Po namyśle wspomniała o rozkazie Himmlera.

Od 5 stycznia do 16 grudnia 1944 roku pracowałam w komendanturze. W październiku przyszedł rozkaz od Himmlera, który *Schutzhaftlagerführer* Bräuning zostawił na biurku i który osobiście przeczytałam. Rozkaz był skierowany do komendanta i głosił: „W pańskim obozie, z półroczną mocą wsteczną, musi ginąć miesięcznie 2 tysiące osób; Reichsführer SS”. *Schutzhaftlagerführer* Bräuning dostał rozkaz wybudowania komór gazowych<sup>579</sup>.

Zeznanie Anni Rudroff jest zapewne najważniejszym elementem świadectw dotyczących Ravensbrück, pokazującym, że w tych ostatnich miesiącach wojny Himmler osobiście rozkazał rozpoczęcie programu masowej eksterminacji w obozie kobiecym. Być może dlatego, że relacja Anni wyszła na światło dzienne na późnym etapie dochodzeń, lub dlatego że została zaprezentowana

bez rozgłosu albo dlatego że ona sama wkrótce zniknęła – podobnie jak Edmund Bräuning – rewelacja ta nie przyciągnęła większej uwagi. Nie ma powodu, by nie wierzyć w jej prawdziwość. Brytyjski śledczy, który odebrał zeznanie od Anni, był ewidentnie pod jej wrażeniem. „Podpisała je – czy raczej uroczyście potwierdziła, ponieważ nie wyznawała żadnej religii”, stwierdził major Józef Liniewski<sup>580</sup>.

W każdym razie więźniarki wiedziały, że taki rozkaz musiał zostać wydany, gdyż jeszcze zanim rozpoczęło się gazowanie, widziały ogromne nasilenie mordów.

Co więcej, ponieważ Himmler zarządzał każdym etapem rozwoju obozu, było całkowicie naturalne, że osobiście wyda rozkaz rozpoczęcia eksterminacji. Żadna więźniarka nie mogłaby wymyślić tych zdań. Himmler chciał, żeby zabijano dużo więcej niż 2 tysiące osób miesięcznie, ale dla ukrycia skali planowanej rzezi zakamufłował fakty z typową dla siebie biurokratyczną pedanterią, nakazując zabijanie „z półroczną mocą wsteczną”.

Powód, dla którego Himmler nakazał eksterminację, jest też aż nazbyt jasny. Ravensbrück wmykało się spod kontroli; szerzyły się choroby, zagrażając SS i okolicznym mieszkańcom. Rozkaz musiał być wykonany, zanim zacznie się wielki napływ kobiet ewakuowanych z Auschwitz, co miało nastąpić w ciągu kilku tygodni. Jak można było przywrócić kontrolę bez uciekania się do masowych mordów? Nie dało się już dłużej wysyłać „darmozjadów” na zewnątrz, do komór gazowych: Majdanek i zamek Hartheim zostały zamknięte, podobnie jak komory gazowe w Auschwitz.

W innych obozach, zlikwidowanych z powodu postępu Rosjan – na przykład w Stutthofie – masowych mordów dokonano przez rozstrzelania lub zatopienie w Bałtyku. W Ravensbrück jednak, z ludźmi pokroju Hössa pod ręką, eksterminacji zamierzano dokonać gazem. Wiele obozów koncentracyjnych w Rzeszy – choćby Sachsenhausen – w przeszłości dysponowało własnymi komorami gazowymi stacjonarnymi albo mobilnymi, ale Ravensbrück stało się teraz jedynym takim obozem, w którym komora gazowa miała służyć masowej eksterminacji w ostatnich miesiącach wojny.

Wszystko, co się wtedy wydarzyło, jasno wynikało z rozkazu, który widziała Anni Rudroff. Zwiększono przepustowość krematorium. Uprzątnięto miejsce, gdzie miały być trzymane ofiary; wybrano Jugendlager Uckermark, niecały kilometr od obozu, ukryty wśród drzew. Na początku grudnia obóz

młodzieżowy ewakuowano, a nastolatki i młode kobiety albo zwolniono, albo wysłano do Ravensbrück.

W tym samym czasie zaczęła się budowa nowych baraków mieszkalnych dla robotnic Siemens; w przyszłości miały nocować w samej fabryce. Było to niezbędne, ponieważ nie mogły maszerować obok komory gazowej ulokowanej przy krematorium pod południowym murem – innymi słowy, tuż obok drogi, którą chodziły do pracy.

Źródła nie podają, kto konkretnie odpowiadał za zainstalowanie komory gazowej i kiedy dokładnie to nastąpiło. Istnieje dowód sugerujący, że już w październiku 1944 roku – mniej więcej w czasie, gdy nadszedł rozkaz Himmlera o zabijaniu – powstał plan skomplikowanej betonowej komory gazowej. Elektryk Walter Jahn, więzień obozu męskiego, powiedział, że powierzono mu projekt. Komora miała stać pod północnym murem, udając *Neue Wäscherei* – nową umywalnię<sup>581</sup>. Jahn, niemiecki komunista aresztowany w 1941 roku, wydawał się nieprawdopodobnym architektem komory gazowej, ale był utalentowanym elektrykiem, którego zdolności SS wykorzystywało już wcześniej, na przykład przy serwisowaniu aparatów radiowych w samochodach Oswalda Pohla. To podczas zeznań na procesie Pohla opisał plan komory gazowej, której budowa jednak opóźniała się, najwyraźniej z powodu braku materiałów, trudnych do zdobycia na tym etapie wojny<sup>582</sup>.

Toczyły się też debaty, kto z SS powinien nadzorować budowę<sup>583</sup>. Innym interesującym faktem ujawnionym przez Anni Rudroff było to, że Edmund Bräuning odmówił wykonania rozkazu Himmlera zorganizowania gazowań – a wiemy, że w styczniu opuścił obóz w nielasce, kiedy sama Anni siedziała w bunkrze, prawdopodobnie dlatego, że wiedziała za wiele. Tym samym to niemal na pewno Rudolf Höss, Albert Sauer i Otto Moll między sobą wybrali nowe miejsce koło krematorium i zgodzili się – w każdym razie tymczasowo, póki budowana była *Neue Wäscherei* – wznieść prostą konstrukcję, która nie wymagała wielu materiałów. Ta tymczasowa komora gazowa miała bazować na starej szopie na narzędzia. Hanna Sturm wznosiła ścianki działowe i wbijała gwoździe<sup>584</sup>. Podczas pracy widziała puszkę z cyklonem B, złożone obok szopy<sup>585</sup>.

Gdy Hanna skończyła pracę, weszło komando malarskie, jak wyjaśniła Francuzka Suzanne Hugounencq. „Przeszliśmy przed krematorium, gdzie leżały

ciała czekające na spalenie – wspominała. – Tego ranka kręciło się dokoła paru bardzo ważnych esesmanów, głośnych i z dużymi brzuchami, z arogancją ludzi o wielkiej władzy”. Cywilny kierownik komanda malarskiego odebrał instrukcje od tłustego mężczyzny – „bardzo pokornie i z lękiem” – a zadanie pomalowania szopy przypadło Suzanne i dwóm Niemkom<sup>586</sup>.

Wewnątrz stały wielkie beczki z chemikaliami używanymi do mieszania farby. „Kiedy esesmani odeszli, zapadła złowieszcza cisza. Musiałyśmy brać się do roboty. Musiałyśmy opróżnić budynek ze wszystkich tych materiałów. Miał 4 metry szerokości i 6 metrów długości, wielkie drzwi i okno na lewej ścianie, które wpuszczało światło. Na zewnątrz miał dwie okiennice. Przypominał garaż dla samochodów”.

Kobiety wróciły następnego dnia, kiedy to okiennice zostały zabite deskami, a coś przymocowano do ściany. Trzej ważni szefowie przybyli na inspekcję. „Jeden zasugerował wywiercenie dwóch otworów około pięciocentymetrowej średnicy, dwa otwory zostały także wywiercone w ścianie. Na dachu umieszczono hermetyczne pokrycie, by mieć pewność, że wszystko zostało uszczelnione. Naszym zadaniem było wypełnienie wszystkich szpar i dziur mastyksem, co nie było łatwe, ponieważ pracowałyśmy w całkowitej ciemności”.

Po malowaniu ta „tymczasowa” komora gazowa została na chwilę porzucona. Być może Höss i jego ekipa wciąż oczekiwali na wzniesienie betonowej budowli Jahna. Bardziej jednak prawdopodobne, że chcieli najpierw wypróbować inną metodę masowego zabijania – metodę, którą również dobrze znali.

Chociaż przez poprzednie cztery lata rozstrzeliwanie więźniarek było powszechne w Ravensbrück, liczba zabitych w ten sposób miesięcznie rzadko przekraczała czterdzieści, a zwykle też były to egzekucje planowe, ponieważ ofiary otrzymały „wyroki śmierci” za „zbrodnie”. Teraz rozstrzeliwanie rozpoczęło się na zupełnie inną skalę – po pięćdziesiąt co noc. Nazywało się zabijaniem, a nie egzekucją, i przeprowadzano je w takiej tajemnicy, że do dziś wiele pytań zostaje bez odpowiedzi. Wszelkie wiarygodne detale znamy częściowo dzięki doktorowi Percivalowi Treitemu, który jako obozowy lekarz musiał być przy tym obecny.

Przed swym procesem, w 1946 roku, Treite otwarcie mówił

o rozstrzeliwaniach, ale jedynie dla własnej korzyści: po obserwowaniu rozstrzeliwań pewnego razu odmówił obecności i miał nadzieję, że zaskarbi mu to życzliwość sędziów.

Zeznanie Treitego o rozstrzelaniach pojawiało się w trzech fazach. W zeznaniu złożonym siłom brytyjskim 4 maja 1945 roku – pięć dni po trafieniu do niewoli – powiedział, że eksterminacja w Ravensbrück zaczęła się od masowych rozstrzeliwań zimą z 1944 na 1945 rok.

„Najpierw po pięćdziesiąt więźniarek dziennie rozstrzeliwano przed krematorium strzałem w tył głowy” – mówił. Lekarz musiał być obecny, ponieważ „pocisk nie zawsze zabijał więźniarkę od razu”<sup>587</sup>. W drugim zeznaniu, 14 sierpnia 1946 roku, opisywał, że ofiarami były nie tylko stare i chore, ale też „młode zdolne do pracy”, które przyprawiano w pobliżu krematorium i zabijano za pomocą *Genickschuss* – strzału w kark z małokalibrowego pistoletu z bliskiej odległości<sup>588</sup>.

Egzekucje zawsze przeprowadzano bardzo wczesnym rankiem, opowiadał Treite. „Świt wystarczał egzekutorom, by widzieli, co robią”<sup>589</sup>. Potem dwaj więźniowie z męskiego obozu zaciągali ofiary do krematorium, gdzie czekał Treite, „by wykonać mój obowiązek poświadczenia zgonu”. Hellinger wyjmował złote zęby i korony, a „ciała palono”. W kolejnym zeznaniu, z 2 października 1946 roku, Treite opowiedział o przypadku, gdy z Jugendlagru przyprawiono pięćdziesiąt więźniarek i rozstrzelano je z karabinów po dwie naraz.

Treite twierdził, że nie pamiętał, kto wydał rozkazy, ale z pewnością był to człowiek z Auschwitz, Otto Moll. Członkowie plutonu egzekucyjnego z Ravensbrück mówili, że Moll dowodził i nawet przyprawził własny zespół zabójców, co rozgniewało miejscowych. Walter Schenk, kierownik krematorium w Ravensbrück, skarżył się, że w czasie egzekucji grupa z Auschwitz „spala w moim krematorium”.

Moll i jego towarzysze z SS z pewnością wybrali *Genickschuss* jako preferowaną metodę rozstrzeliwania. Praktykowali ją już wcześniej – w najbardziej znanym przypadku, by zabić setki tysięcy radzieckich jeńców wojennych. Była szybka i skuteczna – więźnia strzałem w tył głowy można było zabić co mniej więcej trzydzieści sekund, potem ciało zabierano do spalania. System był czystszy niż masowe rozstrzeliwania z karabinu i tańszy pod względem zużycia amunicji.



Treite wyraźnie stwierdził, że rozstrzeliwania odbywały się „obok krematorium”. Egzekucje poprzez strzał w tył głowy prawdopodobnie przeprowadzano w tak zwanej alei straceń. Aleja, około 20 metrów długości i 2 metrów szerokości, biegła między dwoma murami – jednym tworzonym przez tył bunkra, a drugim przez przylegające warsztaty. Jeden kraniec alejki otwierał się na krematorium. Miejsce to wykorzystywano wcześniej do egzekucji na mniejszą skalę i ewidentnie miało ono zalety; wysokie mury pozwalały się nie martwić ryzykiem trafienia przypadkowych przechodniów i eliminowały ryzyko ucieczki. Odcinały też świadków, jak również tłumiły odgłosy, co wyjaśnia po części, dlaczego nikt w obozie nie słyszał żadnych strzałów.

Istnieje dowód sugerujący, że gdy załoczenie rosło, części przybyłych – na przykład tych z Węgier lub z podobozów – nigdy nie rejestrowano w Ravensbrück, ale zabierano na rozstrzelanie albo czasowo przetrzymywano w świeżo opróżnionym Jugendlagerze, a potem rozstrzeliwano.

Taki system wyjaśniałby też, dlaczego sekretarki, wiarygodne źródła, niewiele mówiły o wczesnych masowych rozstrzelaniach, chociaż wszystkie słyszały, jak Conrad, członek plutonu egzekucyjnego, chełpił się tym, jak „zwalął kobiety kolbą swego pistoletu”. W każdym razie bliżej Bożego Narodzenia sekretarki w biurach i inne prominentne więźniarki miały co innego na głowie.

Na początku grudnia 1944 roku wpływowe więźniarki planowały gwiazdkowe przyjęcie dla dzieci. Pomysł narodził się wśród Niemek i Czeszek, ale szybko się rozpowszechnił. W poprzednich latach chrześcijanki, podobnie jak ateistki, a nawet Żydówki, skromnie świętowały Boże Narodzenie, śpiewając w blokach czy przygotowując dekoracje. Tylko Sowietki ignorowały obchody, a wiele najwyraźniej zupełnie nie wiedziało o tym „święcie obchodzonym pod koniec roku”<sup>590</sup>.

W 1944 roku planowane obchody były dużo szerzej zakrojone niż kiedykolwiek wcześniej, głównie dlatego, że w obozie przebywało tyle dzieci. Rok wcześniej znajdowało się w Ravensbrück jedynie 64 dzieci poniżej 12. roku życia, głównie z Belgii i Holandii, z „chronionych” rodzin żydowskich i kilkoro przypadkowych. Potem pojawiło się więcej cygańskich dzieci z Auschwitz, polskie dzieci napłynęły po powstaniu warszawskim, a jesienią

dotarły dzieci węgierskich i słowackich Żydów. Były też niewielkie grupy dzieci rosyjskich, rumuńskich, jugosłowiańskich, francuskich i greckich – łącznie 400 lub 500. Wiele było Żydami, ale zdarzały się też nieżydowskie, ściągnięte tu ze wszystkich stron.

Zimą 1944 roku dzieci widywało się w całym obozie, bawiące się cicho w kątach baraków, uciekające ze strachem od strażniczych psów albo kucające w błocie; wszystkie – jak ostatnio przybyli dorośli – miały czarny krzyż wymalowany na plecach, identyfikujący je jako więźniów. Cygańskie dzieci zachwycały wszystkich i mogły swobodnie wałęsać się po Lagerstrasse i handlować – papierosami ukradzionymi z kieszeni esesmanów, jedwabnymi szalami z „Galeries Lafayette”, odpadkami z kuchni. Pewnego dnia francuskiej więźniarce zaoferowały egzemplarz *Mizantropa* Moliera; sprzedawczyni powiedziała, że pochodzi z Lille. Polskie nauczycielki zorganizowały lekcje w blokach dla ponad 70 Polek w wieku szkolnym, blokowe zaś szmuglowały dodatkowe jedzenie<sup>591</sup>.

W grudniu 1944 roku blokowa bloku 27. Anna Sheridan doliczyła się pod swoim dachem 40 dzieci, a także 17 ciężarnych kobiet<sup>592</sup>. Sheridan była tajemniczą „Brytyjką”, którą ocalone po wojnie krytykowały za zbyt bliskie kontakty z Niemcami. Nigdy nie wyjaśniono, co miały na myśli, ale z własnej relacji Anny wynika, że dobrze wykorzystywała swe wpływy. Co dzień przekonywała personel kuchni, by dawał dzieciom z jej bloku dodatkową porcję mleka, „choćby matki czasem wypijały je same”.

Dzieci mieszkaly w blokach ze swymi matkami, jeśli je miały, albo z przybranymi matkami obozowymi. Kobięca słabość wobec starszych chłopców nie zawsze miała macierzyńskie podłoże. Menachem Kallus, dziesięcioletni Żyd, który przyjechał w styczniu 1944 roku z Holandii z „chronionymi” Żydami, wspominał, jak czerwonoarmistki w swoim bloku interesowały się chłopcami w jego wieku: „Byliśmy jedynymi mężczyznami. Przychodziły i zabawiały się z nami. To było nasze pierwsze doświadczenie seksualne. Nieszkodliwe. Uczyły nas. Ale Niemcy zobaczyli, co się dzieje, i przenieśli nas do obozu męskiego”<sup>593</sup>.

Przyjazdy coraz większej liczby dzieci zachęcały kolejne kobiety do stawania się „obozowymi matkami”; trwała rywalizacja o adoptowania najładniejszych dzieci. Rosjanka Jekatierina Spieranska wspomina opiekę cioci Nastazji. „Nie pozwalała mi rozmawiać z nikim innym, mogłam tylko

oddychać. Spałyśmy razem na najniższej pryczy”. Jekatierina uważa, że ciocia Nastazja najprawdopodobniej miała w domu swoje dzieci „albo jakoś je straciła”.

Obozowe macierzyństwo nigdy nie trwało długo; w grudniu 1944 roku Stella Kugelman miała piątą opiekunkę. Często chorowały, wysyłano je do podobozów, jak zdarzyło się holenderskiej pielęgniarce Claire van den Boom, chyba ulubionej obozowej matce Stelli. Claire została przewieziona do podziemnej fabryki zbrojeniowej w Berndorfie we wrześniu, po tym, jak Carmen Mory złożyła raport, że szmugluje żywność dla pacjentów bloku 10. Od tamtej pory Stellą zajmowała się pani Strassner, żona dawnego przewodniczącego wiedeńskiego Sądu Najwyższego, z pomocą Karoliny Lanckorońskiej. Pomagała Stelli pisać listy do ojca, który – jak odkryły – przebywał w Buchenwaldzie.

Widok dzieci podsunął pomysł na przyjęcie, chociaż jak wspominała Sylvia Salvesen, „nie przypominały zwykłych dzieci – głód, cierpienie, szok i terror odbiły się na nich wszystkich”<sup>594</sup>. Dorośli nie potrafili określić ich wieku. „Dzieci, które wyglądały na cztery lata, miały osiem, a dwunastolatki wyglądały na osiem”, mówiła Sylvia. Wiele nie znało swych dat urodzenia ani nawet nazwisk. Mała Rosjanka Nadia Bolanow, schwytana razem z babcią, została już sama na świecie, gdy trafiła do Auschwitz, a potem do Ravensbrück. „Była jak małe zwierzątko, bardzo przerażona”, wspomina.

W drugim tygodniu grudnia planowanie gwiazdkowego przyjęcia było w toku; zaangażowały się w nie więźniarki z biur, bloki i szpital. Niemiecka komunistka Hildegard Boy-Brandt reżyserowała przedstawienie kukiełkowe, podczas gdy belgijska pielęgniarka Emmi Gorlich organizowała paczki, a Czeszki tworzyły dziecięcy chór. Przewidziano „Gwiazdora” jako świeckiego Mikołaja, aby nie izolować komunistek.

W miarę jak przygotowania postępowały, zacieśniały się nowe więzy między różnymi grupami narodowymi, a komitet organizacyjny skupił przedstawicielki jedenastu nacji. Podniecenie było tak duże, że dołączyły się też inne grupy, w tym Polki i Francuzki. Każda starała się pomóc, przygotowując zabawki i szyjąc dekoracje. Organizatorki liczyły, że przyjęcie stanie się symbolem współpracy i pojednania – „symbolem na przyszłość”.

Zimą 1944 roku rozmowy o potrzebie pojednania po wojnie dały się słyszeć w całym obozie, szczególnie wśród niemieckich komunistek, które wiedziały,

że nowe więźniarki napływające z zagranicy często ich nienawidzą z powodu pochodzenia. Grete Buber-Neumann wspomina, że dla cudzoziemek „wszyscy Niemcy byli tacy sami jak SS, a oni nienawidzili SS, więc nienawidzili wszystkich Niemców”. Grete zauważyła, że w późniejszych latach cudzoziemskie komunistki w obozie często podzielały ten pogląd. „Uznawały, że niemieckie komunistki stoją po przeciwnej stronie barykady, a niemieckie komunistki nie próbowały się bronić”.

Takie rozdzwięki mogły po części spowodować konflikt, jaki wybuchł w Komitecie organizującym przyjęcie. Polkom nie podobało się, że komenderują nimi niemieckie komunistki, i dość szybko postanowiły się wycofać i urządzić własną imprezę innego dnia. Inne grupy też się wyłamały i przygotowały osobne wydarzenia.

Pomimo jednak nieporozumień główna grupa uzgodniła datę w okolicach Nowego Roku, a Dorothea Binz – ku zaskoczeniu wszystkich – zezwoliła organizatorkom na zajęcie całego bloku 22. na zabawę. Zastrzegła tylko, że wstęp mają mieć jedynie dzieci i dwadzieścia organizatorek. Żadne matki ani opiekunki nie mogły brać udziału.

W ostatnich dniach trwały gorączkowe przygotowania. Czeska artystka wykonywała kukielki, a komando leśne zorganizowało choinkę, dekorowaną cynfolią dostarczoną przez robotnicę od Siemens. Francuzki szyły zabawki ze szmatek, a każde dziecko miało dostać małą paczkę i wielki talerz chleba z masłem zorganizowany przez kuchnię. Paczuszki miały zawierać po pięć kostek cukru, którym podzieliły się Norweżki i Belgijki – jedyne więźniarki w owym czasie dostające paczki – owiniętych w koperty z magazynu. Od trzech tygodni Sylvia Salvesen spędzała każdy wieczór na rysowaniu na każdej paczce norweskiego dziecka na nartach, w czapeczce z czerwonym chwościkiem, przed domkiem otoczonym sosnami. Jakimś sposobem zdobyła czerwoną, żółtą i niebieską kredkę.

Jednak gdy tylko przyjęcie się zaczęło, wszystko poszło źle. Sylvia stała przy drzwiach i wpuszczała dzieci. „Większość stanowiły zagłodzone szkielety, niektóre tak słabe, że trzeba było zanieść je na krzesła”. Maluchy usadzono przed sceną. Bräuning powiedział kilka słów i razem z Binz został na odśpiewanie *O Tannenbaum*, podczas którego dzieci zaczęły płakać. Gdy płacz nie ustawał, Binz i Bräuning wypadli na zewnątrz.

Podczas przedstawienia kukielkowego dzieci nie miały pojęcia, co robić. „Nie miały siły się śmiać. Zapomniały, jak się śmiać”, powiedziała Sylvia,

a wiele bało się kukiełek, szczególnie psów. „Jedno czy drugie zakwiliło cicho ze strachu, kiedy Punch, z dzwoneczkami na czapce, pojawił się na scenie. Jedno czy drugie krzychało histerycznie i zostało wyniesione. Starsze klaskały po każdej scenie, ale najmłodsze ze strachem reagowały na dźwięk, który bez wątpienia przypominał im o razach, jakie otrzymały”.

Potem, kiedy rozdano jedzenie, dzieci rzuciły się na nie „jak wilki”, ale nie mogły go jeść, ponieważ ich żołądki go nie tolerowały. „Większość zdołała przełknąć tylko kilka kęsów. Łzy leciały po ich chudych policzkach, pozostawiając jaśniejsze smugi na brudnej skórze”.

Chociaż po wojnie organizatorki zostawiły wspomnienia o przyjęciu, nie znamy opinii dzieci. Większość z małych uczestników nie przeżyła dłużej niż dwa miesiące. Z garstki tych, które opuściły obóz żywe, nieliczne w ogóle mówiły o przyjęciu. Te zaś miały zupełnie inne wspomnienia niż organizatorki. Naomi Moscovitch miała wtedy siedem lat. Było przyjęcie, wspominała. I znalazła się na nim, ponieważ śpiewała w dziecięcym chórze.

Naomi Moscovitch należała do 64 żydowskich dzieci, które przyjechały do Ravensbrück z Holandii zimą z 1943 na 1944 rok. Mieszka dziś w Netanii na północ od Tel Awiwu – charakterystyczna postać, z długimi czarnymi lokami, w powiewnej szacie w stylu orientalnym i z otwartym, przyjacielskim uśmiechem. Jej siostra Chaja, młodsza i jaśniejsza, też przyszła na rozmowę, ale nic nie pamiętała, miała zaledwie rok w chwili przybycia do obozu.

Matka dziewczynek była Słowaczką, a ojciec Węgrem. Przed wojną był kantorem w synagodze w Bratysławie – „miał cudowny głos”<sup>595</sup> – a w 1938 roku został wybrany na kantora w wielkiej nowej synagodze w Amsterdamie, więc cała rodzina się tam przeniosła i tam została aresztowana. „Ponieważ mój ojciec miał węgierskie dokumenty, a Węgry stały po stronie Niemiec, byliśmy w porządku”, opowiada Naomi, mając na myśli to, że nie załadowano ich do pociągu do obozu zagłady. Faktycznie jednak jej ojciec trafił do Buchenwaldu, a Naomi, Chaja i ich brat Jair, wówczas jedenastoletni, wraz z matką pojechali do Ravensbrück w tym samym czasie, co Stella Kugelman.

Chociaż byli pierwszą większą grupą dzieci w obozie, wspomina Naomi, potraktowano ich tak jak wszystkich innych więźniów.

Jedyna różnica polegała na tym, że mieliśmy miskę i dwie łyżki – jedną dodatkową, ponieważ było nas czworo. Pamiętam pierwsze wejście do bloku; zapytałam matkę, kim są ci wszyscy ludzie, bo nigdy nie widziałam nikogo bez włosów.

Matka musiała być taka odważna i silna. Miała 37 lat. Nazywała się Frieda Moscovitch i dbała o nas. Stała z dzieckiem w ramionach godzinami na apelu, a w tym wieku dzieci zębują i płaczą. Jedzenie było okropne, kromka chleba na cały dzień i miska zupy, ale jakoś zdobywała dodatkową owsiankę, a kiedy chorowałam na tyfus, dała mi jabłko. Nigdy się nie dowiedziałam, skąd je wzięła. Mój brat tak wychudł, że pewnego dnia powiedział: „Patrzcie, mogę patrzeć przez moje ręce”.

Kiedy Naomi złapała tyfus, trafiła do bloku szpitalnego i pamięta Żydówkę w łóżku obok, wykrzykującą po niemiecku: „Zabiję każdego, kto się do mnie zbliży!”. Naomi, która trochę mówiła po niemiecku, próbowała ją uspokoić. „Kobieta po drugiej stronie mojej pryczy zmarła. Obudziłam się pewnego ranka, a ona była sztywna. Martwa. Ale przywykliśmy do tego. Nie martwiło mnie to ani nie nawiedzało. Po prostu ktoś tu był, a potem był martwy”.

Dzieci bawiły się w bloku, „głównie wyskakując przez okno, takie rzeczy. Nie mieliśmy zabawek. Bawiliśmy się na placyku, koło ogrodzenia, a oni mówili nam, żebyśmy nie pochodzili za blisko. Ale ktoś rzucił się na druty i zginął, i potem już nam nie wolno było się tam bawić”.

Naomi pamięta kilka wielkich wydarzeń: przybycie Cyganek latem, na przykład, i wieść, że są złodziejkami. „Weszły do naszego bloku, a ja pomyślałam, że są bardzo ciemne. My byliśmy ciemni, ale one ciemniejsze. Nie wiem, czy naprawdę kradły, ale moja matka zrobiła małą torbę, by trzymać w niej naszą miskę i łyżki; ukrywała ją pod poduszką”.

Jesienią 1944 roku przyjechały Węgierki i wszyscy byli zaskoczeni stanem, w jakim się znajdowały. „To był okropny widok – nie miały przygotowania, w przeciwieństwie do nas. Byłyśmy w obozie, zanim tu trafiłyśmy – w Holandii – ale je przywieźli prosto z domu albo z getta. Były zszokowane i brudne”. Chaja przerywa, by zapytać o coś z obozu, i wyjaśnia, że zawsze dowiaduje się nowych rzeczy, „ponieważ wtedy nic nie wiedziałam – tylko że byłam tam, ale gdzie konkretnie? Pamiętam tylko siedzenie na podłodze. Kiedy wyszłam, nie znałam normalnych rzeczy. Ludzie zawsze śmieli się ze mnie i mówili: no wiecie, ona jest taka z powodu obozu”.

Kiedy zaczęły przybywać duże grupy z Węgier i Słowacji, ich matka, Słowaczka mająca męża Węgra, chodziła sprawdzać, czy kogoś zna, „i oczywiście mówiła po węgiersku”. Pewnego dnia znalazła w namiocie szwagierkę, ciocię Chaję (Chaja ma imię po niej).

Matka powiedziała cioci, że nie możemy jej wyciągnąć, ale że przyniesiemy jej rzeczy, kiedy

będziemy mogli. Pewnego dnia przychodzi mój brat i mówi: „Myślę, że zabijają ciocię Chaję”. Więc matka poszła popatrzeć; ponieważ ciocia próbowała się wydostać z namiotu, pobili ją mocno, a my jakoś ją wyciągnęliśmy. Nie pytałem jak. Nie wiem, jak moja matka zdołała to załatwić, ale ciocia Chaja przyszła do bloku i żyła z nami, więc od tej pory staliśmy się rodziną.

Po dłuższej wypowiedzi Naomi umilkła i popatrzyła na mnie, jakby chciała powiedzieć coś szczególnego. Potem spytała, czy wiem o chórze dziecięcym. Nie wiedziałam.

Byłam w tym chórze. Kończył się czterdziesty czwarty rok i zrobili baraki dla dzieci. Powiedzieli, że w Boże Narodzenie pójdziemy tam, i uczyliśmy się kolęd po niemiecku. Oboje z bratem byliśmy w tym chórze. Oboje dobrze śpiewaliśmy, jak nasz ojciec. Poszliśmy do tego baraku i stała tam wielka choinka; powiedzieli, że po śpiewaniu wydadzą przyjęcie i coś nam dadzą. Więc śpiewaliśmy przed Niemcami i kobietami z psami.

Gdy śpiew się skończył, przyszła moja matka i stanęła za oknem. Nie pamiętam dokładnie, jak to się stało, ale musiała krzyknąć do mojego brata, a my odpowiedzieliśmy, że już idziemy, ponieważ to nie była nasza wiara i nie mogliśmy zostać i świętować. Musieliśmy wracać z nią do bloku.

Brat wziął mnie za rękę i wyszliśmy przez okno. Potem mówili, że wszystko wybuchło i nie było już baraku. Tak nasza matka nas ocaliła. W miejscu gdzie stał barak, następnego dnia była zamrznięta woda. Nie myślałam o tym, tyle że w miejscu baraku nic nie było. Kiedy lata później spotkałam inne dzieci, opowiadałam, że byłam w chórze, a one pytały, jak to możliwe, że wciąż żyję. Ci inni mówili mi, że Niemcy wrzucili granaty przez okno, bo tak chcieli wykończyć wszystkie dzieci.

Spytałam Naomi, czy jej zdaniem to wydarzyło się naprawdę, że wysadzili dzieci w baraku podczas gwiazdkowego przyjęcia. „Tak zapamiętałam to, co się stało, i to, co mówili ludzie. Nie umiem tego wyjaśnić i to wszystko, co wiem. A w Belsen też było strasznie”. Opowiadała, co się działo z dziećmi z Ravensbrück, które wywieziono do Belsen kilka tygodni po przyjęciu. „Było zimno, a my leżeliśmy w workach na podłodze, bez łóżek, bez niczego. Wszędzie umierali ludzie. Pamiętam, że matka miała tyfus, a ciotka powiedziała: patrz, mamy troje dzieci i każdy, kto wywlecze trupa z bloku, powinien dostać dodatkowy chleb”.

Zastanawiałam się, czy Naomi opowiadała o wysadzeniu baraku po powrocie do Holandii po wojnie. Większość ludzi tam nie była w obozach, odparła, „i nie rozmawiało się o tym z rówieśnikami. Wiele osób nie chciało rozmawiać o tym, co działo się w obozach. Mój brat nigdy o tym nie rozmawiał nawet ze mną, teraz też nie zechce”.

Relacja Naomi Moscovitch o wysadzeniu gwiazdkowego przyjęcia w Ravensbrück nie jest potwierdzona przez żadną pisemną relację, a mimo to

kilkoro ocalonych dzieci pamięta coś podobnego. Stella także wierzy w prawdziwość tej historii.

Sama Stella nie uczestniczyła w przyjęciu z powodu choroby i nie mogła iść. Jej informacje pochodzą od ostatniej obozowej matki, Rosjanki, cioci Olimpiady, która pomagała Stelli w ostatnich dniach. Ciocia Olimpiada nigdy nie miała syna, ale „straciła go od bomby”<sup>596</sup>. Stella więcej nie wiedziała, ale jest pewna, że opiekunka miała na myśli bombę podczas przyjęcia.

Po wojnie Stella spotkała kilka dorosłych organizatorek imprezy, włącznie z niemiecką komunistką Eriką Buchmann<sup>597</sup>. „Erika powiedziała mi: «Stello, przecież musisz pamiętać, że dałyśmy wam na przyjęciu chleb i wszystko», ale ja tego w ogóle nie pamiętałam”.

Ponieważ nie zachowały się żadne pisemne dowody wybuchu, a dorośli o tym nie rozmawiali, trudno uwierzyć w tę historię, a jednak dzieci tak zapamiętują zdarzenia, dla nich to najwyraźniej prawda. Groza, jaką przeżyły te dzieci w następnych tygodniach, była dużo gorsza i lepiej udokumentowana. Zaczęło się kilka dni po gwiazdkowym przyjęciu.

W ostatnich dniach grudnia więźniarki w rewirze zaczęły rozmawiać o kolejnym nowym przybyszu z Auschwitz, jednym z dwóch lekarzy. Był to „niski człowiek zwany profesorem”, wspomina Sylvia Salvesen, i wkrótce po jego przyjeździe cygańskie dzieci zaczęto wzywać na zabiegi sterylizacji<sup>598</sup>. Ich rodzicom powiedziano, że jeśli zgodzą się na operację, zostaną zwolnieni. Lekarzem tym był Carl Clauberg, któremu na wcześniejszym etapie wojny Himmler polecił znaleźć metody masowej sterylizacji w ramach planu stworzenia rasy panów. Przez trzy lata Clauberg eksperymentował w Auschwitz, okaleczył i zabił setki kobiet, ale wszystkie jego próby zawiodły. Teraz, w ostatnich miesiącach wojny, znów chciał eksperymentować na nowym „materiale” z Ravensbrück.

W rewirze rozeszła się wieść, że Treite ma przeprowadzać operacje pod nadzorem Clauberga. Według Sylwii Salvesen, sekretarka Treitego, Belgijka Emmi Gorlich, nagle „zbladła jak śmierć, z ciemnymi obwódkami wokół oczu – wiedziała, co się stanie”. Personel więziński szpitala powiedział Emmi, by poprosiła Treitego, żeby nie współpracował z Claubergiem. „Przez cienką ściankę słyszałyśmy, jak go błaga. Głosy się podnosiły, drzwi otworzyły. Wypadł z nich doktor Treite i powiedział: «Rozkazy z Berlina»”.



Emmi Gorlich relacjonowała później, że sterylizacja zaczęła się od dzieci w wieku od ośmiu do dziesięciu lat.

Wszystkie Cyganki zebrały się w holu. To były małe dzieci. Wezwali mnie, gdy przechodziłam. Próbowałam znaleźć dla nich nieco cukru; nie rozumiały, co się stanie. Moja przyjaciółka, austriacka lekarka, często asystowała przy operacjach. Zmuszali ją do tego. Powiedziałam jej, że nie wolno tego robić, że ją zabiją. Wróciła zielona na twarzy, mówiąc, że doktor Treite ją odesłał<sup>599</sup>.

Według Zdenki Nedvedovej Clauberg przeprowadzał sterylizację, wstrzykując do macicy substancję pod ciśnieniem i obserwując jej wpływ na jajowód na ekranie rentgena.

Sylvia zapamiętała dwie Cyganki przychodzące do szpitala, w wieku ośmiu i dziesięciu lat – obie o imieniu Elisabeth. „Zapytały: «My już jesteśmy wysterylizowane, dlaczego nas wezwano?». Umieścili je w pokoju za moim, a ja prosiłam doktora Treitego, by dzieciom już nic więcej nie robił. Doktor Treite znów powiedział: «To bezcelowe. Rozkazy z Berlina». Dziecko wyszło, płacząc histerycznie”. Zdenka opowiadała, że ośmiolatka krzyczała jeszcze dwie godziny po operacji.

Gdy coraz więcej dzieci sterylizowano, więźniarki z sąsiednich bloków także słyszały krzyki i płacz. Więziński personel medyczny coraz rozpaczliwiej pragnął znaleźć sposób ich uspokojenia, a niemiecka pielęgniarka Gerda Schröder, która niedawno dołączyła do załogi, zaoferowała pomoc. „Prosiłyśmy ją, by dała im chociaż coś przeciwbólowego, a ona to zrobiła”, opowiadała Zdenka.

Potem zabraliśmy dzieci z gabinetu rentgenowskiego i położyliśmy do łóżka w małym gabinecie zabiegowym, gdzie leżały, krwawiąc z macic. Ich biedne małe dziewczęce ciała stanowiły przygnębiający widok, a co najmniej dwie z małych męczennic zmarły. W tym przypadku obie dziewczynki cierpiały potem z powodu zapalenia otrzewnej, co oznaczało, że zmarły w męczarniach.

Według danych odkrytych później w niemieckich aktach między Bożym Narodzeniem 1944 a lutym 1945 roku w Ravensbrück wysterylizowano 500 Cyganek, w tym 200 dziewczynek.

<sup>576</sup> Kopie w ARA. Höss został też szefem Biura D WVHA (inspektorat obozów Głównego Urzędu

Gospodarki i Administracji SS), którą to funkcję sprawował równocześnie z pomaganiem w Ravensbrück.

[577](#) Zob. trzy zeznania Suhrena z 1946 roku, WO 235/318. Suhren twierdził, że na kilka tygodni na początku 1945 roku przekazał kierownictwo Ravensbrück Sauerowi, gdy musiał wyjechać i uporać się z rozwiązaniem podobozów. Mógł tak twierdzić, ponieważ Sauer już nie żył, zabity podczas walk o Berlin. Bezpośredni udział Suhrena w eksterminacji przedstawił Johann Schwarzhuber – zob. zeznania z 15 i 30 kwietnia 1946 roku, WO 235/309 – a ujawnił proces w Rastatt.

[578](#) Na przykład Schwarzhuber, WO235/309.

[579](#) WO 309/693 i WO 235/526.

[580](#) WO 235/526.

[581](#) Jahn złożył zeznanie o obozach męskim i kobiecym, włącznie z komorą gazową, przed amerykańskimi śledczymi już 9 maja 1945 roku. NARA, Memorandum, Walter Jahn, Zbrodnie popełnione w obozie koncentracyjnym Ravensbrück. Jego późniejsze zeznanie o murowanej komorze gazowej – włącznie z planem – zob. Staatsarchiv Norymberga NO-3109.

[582](#) Charlotte Müller, niemiecka więźniarka, została nawet posłana do Berlina, by przywiozła szmaty i szmatowe cegły.

[583](#) W swym zeznaniu z 1946 roku Suhren znów zrzucił winę na Sauera, stwierdzając, że to on zainstalował komorę gazową pod jego nieobecność na rozkaz Augusta Heissmeyera, wyższego administratora SS.

[584](#) Sturm, *Die Lebensgeschichte einer Arbeiterin*.

[585](#) W *Schreibstube* wiele wówczas rozmawiano o zamówieniu na cyklon B, chociaż nikt nie miał pewności, czy miał służyć do zabijania ludzi, czy do gazowania wszy. „Conrad określił ilość i podpisał zamówienie”, powiedziała więźniarka sekretarka (WO 235/526).

[586](#) Cyt. za: Anise Postel-Vinay (z d. Girard), *Les exterminations par gaz à Ravensbrück* [w:] Tillion, *Ravensbrück* (III wydanie).

[587](#) Zeznanie Treitego, 5 maja 1945 roku, WO 235/309.

[588](#) WO 235/309.

[589](#) Tamże.

[590](#) Notatka w dokumentach Nikiforowej.

[591](#) W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 280–281.

[592](#) Według Gerdy Schröder, obozowej pielęgniarki, od grudnia odbywało się około stu porodów miesięcznie. Większość niemowląt zmarła z powodu zapalenia płuc. WO 235/318.

[593](#) Wywiad autorki.

[594](#) Salvesen, *Forgive*; zob. też o przyjęciu Müller, *Die Klempnerkolonne*.

[595](#) Wywiad autorki.

[596](#) Wywiad autorki.

[597](#) Erika została zwolniona w 1941 roku, ale rok później znów trafiła do obozu, ponownie oskarżona o „zdradę”. Po powrocie najpierw była blokową bloku karnego, a potem dziesiątki.

[598](#) Salvesen, *Forgive*.

[599](#) Istnieją inne obszerne źródła dotyczące sterylizacji dzieci. Zob. raport Manta, WO 309/416, i Winkowska (sekretarka Treitego), Lund 285. W ostatnich dniach prowadzono także inne formy eksperymentów medycznych na więźniarkach. Zob. relację o dokonanej przez doktora Trommera masakrze radzieckich jeńców wojennych w piwnicy komendantury (WO 235/526). Kilka kobiet z Warszawy twierdziło później, że przeprowadzono na nich eksperymenty ginekologiczne, a Treite mówił o doświadczeniach z cyjankiem (WO 235/317), ale prawdziwej skali eksperymentów nigdy nie poznamy.

## Rozdział 32

### Marsz śmierci<sup>600</sup>

Grete Buber-Neumann powiedziała, że zawsze mogła wskazać, które kobiety przybyły do Ravensbrück z Auschwitz, ponieważ miały w sobie szczególny hart – szczególnie te, które przeżyły marsz śmierci ze stycznia 1945 roku. Żydówki znajdujące się wśród 20 tysięcy kobiet pozostałych w Auschwitz pod koniec wojny miały dość „szczęścia” i były dostatecznie młode i w dobrej formie, aby po przyjeździe zostać wybranymi do pracy. Allegra Benvenisti miała osiemnaście lat, gdy przyjechała z Salonik w Grecji do Auschwitz z rodzicami, siostrami, braćmi i kuzynami. Podczas pierwszej selekcji esesman skierował ją w jedną stronę, a prawie całą resztę rodziny w drugą, do komory gazowej.

Jak zorientowała się Allegra, wiele z tych zdrowych dziewcząt po dwóch lub trzech tygodniach umarło z powodu chorób. Ona również zachorowała i prawie umarła, ale pielęgniarka, Ukrainka, uratowała ją, wyciągając po kryjomu z bloku szpitalnego tuż przed tym, jak ciężarówka zabrała wszystkich chorych – „martwych lub żywych”. Susi Bachar, inna Greczynka, również została wybrana do pracy, razem z dwiema siostrami. Jedna z nich szybko umarła na tyfus, a druga na dyzenterię.

Przez całe lato 1944 roku Susi, Allegra i inne „pracujące” więźniarki obserwowały, jak Auschwitz osiąga szczyt „rozwoju” i w ciągu zaledwie dwóch miesięcy eksterminuje 400 tysięcy Węgrów. Jednak jesienią pociągi przywożące ofiary na rzeź zaczęły kursować coraz rzadziej w miarę, jak zbliżały się wojska radzieckie i obóz rozpoczął przygotowania do ewakuacji. W październiku więźniowie z Auschwitz zaczęli po cichu mieć nadzieję, że może uda im się przeżyć, szczególnie że 2 listopada piece przestały dymić. Lydia Vago zapamiętała, jak cywilny szef w fabryce, gdzie pracowała, szepnął do niej: „Wygląda na to, że wrócisz do domu, nie ma już kominów”. Dom

Lydii znajdował się w Gheorgheni, górskim miasteczku w rumuńskim Siedmiogrodzie, gdzie jej ojciec był lekarzem, a matka dentystką. Cała rodzina – z pochodzenia węgierscy Żydzi – została aresztowana w 1944 roku i dwudziestoletnia Lydia razem z młodszą siostrą Aniko trafiła do Auschwitz.

Pod koniec roku bloki i uliczki w Auschwitz pustoszały, w miarę jak więźniów przewożono do obozów w Niemczech. Wyjechała również większość najbardziej znenawidzonych strażników, w tym Irma Grese, córka rolnika wyszkolona w Ravensbrück, która w Birkenau awansowała na główną dozorczynię. Obecnie Grese i kilka dozorczyń z jej kohorty z Ravensbrück zostały przeniesione do Belsen.

Po odjeździe większości dozorczyń Maria Rundo, studentka z Polski, wspomina późną jesień w Auschwitz jako „idylliczny okres”, kiedy więźniarki cieszyły się większą swobodą poruszania i w pewnym stopniu zostały pozostawione same sobie. Słabe, stare i chore poszły do dawnego obozu cygańskiego, gdzie Maria dostała pracę pielęgniarki. „Ratowałyśmy chore własnymi rękami; gotowałyśmy im zupę, kąpałyśmy i czesałyśmy, iskałyśmy z wszy”. Rodziły się tu nawet dzieci i można było się nimi opiekować.

Zaczęły zacierać się podziały między Żydami i nie-Żydami. Lekarka polsko-żydowskiego pochodzenia, Alina Brewda, wspominała, że mieszkała w mieszanym bloku z Żydówkami i „Aryjkami”. „Funkcjonowała ściśle przestrzegana zasada, żebyśmy przebywały oddzielnie, ale teraz mieszkaliśmy już razem”. Burdele zostały zamknięte, a pewna prostytutka poprosiła Alinę o leczenie, bo umierała. W zamian dała jej wełnianą czarną sukienkę, walonki i ciepły żakiet, które przydały się podczas marszu.

W styczniu 1945 roku Rosjanie znajdowali się już o kilka dni marszu od Auschwitz i SS zaczęło gorączkowo przygotowywać się do ewakuacji. Wkrótce stało się jasne, że każdy, kto daje radę chodzić, będzie musiał iść, a wszyscy za słabi muszą zginąć. Gdy nadszedł czas, strażnicy zaczęli dobijać strzałami chorych i konających. Przygotowali się też do wysadzenia obozu. Lydia Vago, która zachorowała, leżała w izbie chorych i pamięta, jak pielęgniarka krzyknęła do niej, żeby szybko uciekała. Lydia wyszła z rewiru i odeszła na bok, po czym zobaczyła, że ciężarówka zabrała na rozstrzelanie zbyt słabych, żeby iść.

18 stycznia obóz funkcjonował normalnie, trwała nawet budowa nowego bloku. Gdy zapadła noc, przyszło wezwanie do opuszczenia Auschwitz. Maria Rundo zapamiętała, że w jej szpitalu zgasły wszystkie światła, potem

z powrotem się zapaliły, esesman rozkazał pielęgniarkom zebrać wszystkie karty chorych i zabrał je. Na Lagerstrasse ludzie krzyčili, że zdolni do marszu mają wrócić do swoich bloków, ponieważ zaczyna się ewakuacja. Padał śnieg, a kiedy więźniowie zdolni do marszu wrócili do bloków, ci zbyt chorzy, aby iść, spanikowali. „Nie było wątpliwości, co ich czeka, ponieważ SS nie dopuściłoby do wyzwolenia chorych”, powiedziała Lydia Vago.

Niektóre nie chciały wyjść, licząc na radzieckich wyzwolicieli. Alina Brewda, żydowska lekarka, ukryła się wśród chorych, ale esesman znalazł ją i wyciągnął. Niektórzy poszli do magazynu i pozabierali ciepłe rzeczy – koce, palta, swetry. Allegra z Salonik pracowała na nocnej zmianie w fabryce, kiedy wywołali jej nazwisko. Nie miała czasu nic zjeść ani zdobyć ciepłych ubrań i poszła prosto do kolumny formującej się przy bramie. Lydia Vago zdążyła wkraść się do apteki małego fabrycznego szpitala i zabrała do torby zrobionej z niebieskoszarej kurtki od munduru aspirynę i bandaż. Razem z siostrą Aniko zapakowały w węzółki dodatkowe ubrania i koce i mocno zacisnęły ręce na sznurkach.

W wieczór ewakuacji więźniowie wybrani do opuszczenia obozu zebrali się przy bramie: mężczyźni, kobiety, Żydzi i nie-Żydzi, kapo i nie-kapo. Dzieciom zabroniono iść, ale i tak niektóre przyszły. Tuż przed otwarciem bram strażnicy wręczyli każdemu więźniowi bochenek chleba i kazali stanąć w szeregu, kobiety z tyłu.

Nie był to pierwszy marsz śmierci. W pierwszych latach wojny naziści zmuszali Żydów do marszów do gett, a żołnierzy Armii Czerwonej do obozów. Latem i jesienią 1944 roku tysiące Węgrów maszerowały do Niemiec. Jednak ten przymusowy marsz 60 tysięcy wycieńczonych i przerażonych więźniów Auschwitz, w tym 20 tysięcy kobiet, który wyruszył w nocną śnieżycę spod bram obozu, wśród huku radzieckiej artylerii słyszalnej z odległości zaledwie 5 kilometrów, był najbardziej przerażający ze wszystkich.

Lydia mocno trzymała się Aniko. Najważniejsze było nie dać się rozdzielić, kiedy tłum wyruszył. Strażnicy krzyčili: *Alles antreten!* – „Do szeregu, zbiórka! Ruszać!”. Psy szczekały. Zabrzmiały syreny alarmu przeciwlotniczego i na kilka minut zgasły światła, a obóz pogrążył się w ciemności. Ludzie myśleli, żeby się pochować, ale co będzie, jeśli obóz zostanie wysadzony? Gdy więźniowie wyruszali, wiedzieli, że Armia Czerwona jest blisko, ponieważ widzieli daleko na niebie salwy „organów Stalina” – radzieckich katiusz.

Kolumna przebijiała się zaśnieżoną drogą, mężczyźni z przodu, kobiety na końcu, eskortowana ze wszystkich stron przez esesmanów z karabinami. Temperatura spadała. Alina Brewda zapamiętała, że strażnicy kazali im biec i szturchali bagnetami. Niektórzy biegli, inni się potykali. Szybko zobaczyły pierwsze zwłoki w śniegu, zastrzelonych lub tych, którzy upadli. Wkrótce pojawiły się też zastrzelone kobiety. Allegra ślizgała się, gdyż śnieg wpadał jej do drewniaków. Kiedy Alina nie mogła już utrzymać się na nogach, silniejsze biegaczki podtrzymały ją z obu stron pod ramiona i niosły, więc „biegła” między nimi, ledwo dotykając stopami ziemi.

Teraz trochę zwolnili. Esesmani uspokoili się, kiedy zwiększyła się odległość między nimi a Rosjanami. Strażnicy zaczęli wyprzedzać kolumnę na motocyklach lub w samochodach. Grupa robotnic z fabryki próbowała trzymać się razem, ale wkrótce zmieszały się z liczną kolumną z Birkenau. Siostry, kuzynki, przyjaciółki bały się rozdzielenia. Wiedziały, że samotne pozostanie w mozolnie maszerującym tłumie oznacza śmierć.

Pierwszego dnia strażnicy pozwolili na kilka odpoczynków i załatwienie potrzeb fizjologicznych na poboczu drogi. Ale one bały się, że zasną, upadną na ziemię i zamarzną. Zjadły już swój chleb i wszystko, co zabrały przed wyjściem. „Jadłyśmy więc śnieg”, opowiada Maria Rundo, która koło miejsca postoju zauważyła kilka ciał mężczyzn w pasiakach. „Mieli czaszki rozbite na czubku głowy i mózg na wierzchu. Podejrzewałyśmy, że esesmani zrobili to długimi kijami z przymocowaną na końcu drewnianą kulą”. Po tym Maria starała się w ogóle nie patrzeć na ziemię. „Udawałam, że to wszystko jest bajką, i patrzyłam na wschody i zachody słońca”.

Za plecami co jakiś czas słyszały strzały, kiedy esesmani dobijali maruderów. Teraz maszerujący deptali po leżących przy drodze zwłokach zastrzelonych, którzy poślizgnęli się i upadli. Lydia zobaczyła pod nogami niebieskookiego chłopca i dała nad nim krok. Pewna dziewczynka z matką niosła wyczerpaną młodszą siostrę, aż w końcu nie były w stanie nieść jej dalej. „Poświęciłyśmy więc ją i umarła”. Wiedziały, że strażnik ją zabił, ponieważ parę sekund później usłyszały strzał.

Po trzech dniach straciły poczucie czasu. Maszerujące w grupie pracownic fabrycznych Lydia i Aniko zorientowały się, że z pięciuset zostało ich trzysta. Czasem wędrowały w wielotysięcznym tłumie, a czasem w małej grupie, która na chwilę oddzieliła się od skłębionej cizby.

Większość próbowała przespać się nocą w stodołach, ale często nie było

tam dość miejsca i wiele osób kładło się na drodze, gdzie zamarzało na śmierć. Niektórym udało się uciec do pobliskich gospodarstw, a tam ukrywali ich Polacy. Innych strażnicy znaleźli i rozstrzelali. Raz strażnicy skierowali Lydię i Aniko do małej stodoły z suchym sianem, gdzie przespały kilka godzin. Myślały, żeby ukryć się w sianie i poprosić chłopów o schronienie, ale rankiem przyszli Niemcy, dźgali siano bagnietami i zastrzelili wszystkich, których znaleźli. Innym razem odpoczęły w oborze, gdzie rolnicy doili krowy. Dali maszerującym skopki pełne ciepłego świeżego mleka.

Allegra zapamiętała noc, kiedy esesmani wprowadzili ich do stodoły, gdzie jeden z nich trzymał kanister benzyny. Wszyscy myśleli, że zamierzają ich tam spalić, „ale byłam zbyt zmęczona, żeby się martwić”. Położyła się więc w stodole i ku swemu zdumieniu odkryła, że obok leży jej kuzynka Berry, której nie widziała od chwili przyjazdu do Auschwitz. Berry pracowała w „Kanadzie”, magazynie, gdzie przechowywano rzeczy należące do zagazowanych. Dała Allegrze trochę ciepłych ubrań zabranych z „Kanady”.

„Obiecałyśmy sobie, że teraz już nie damy się rozdzielić, i przez następne dni maszerowałyśmy razem, trzymając się mocno”. Coraz więcej i więcej maruderów ginęło od strzałów. Raz Allegra powiedziała Berry, że nie może dalej iść – „Niech mnie zastrzelą”. Berry pociągnęła ją dalej. Jakiś czas później role się odwróciły i to Allegra motywowała Berry. W pewnym momencie do dziewcząt dołączyła koleżanka, Diamante, i przez jakiś czas podtrzymywała Berry.

Po dwóch lub trzech dniach esesmani rozdzielili kolumnę i mężczyźni pomaszerowali inną drogą, do Mauthausen, Buchenwaldu i Gross-Rosen. Kobiety szły dalej do Ravensbrück, prawie 700 kilometrów na północny zachód od Auschwitz. Jednak esesmani często błędzili na polskich bezdrożach. Wiadomość o chaosie na drogach dotarła do kwatery głównej SS w Berlinie, więc wysłano Rudolfa Hössa, byłego komendanta Auschwitz, aby pokierował ewakuacją.

W swoich wspomnieniach Höss napisał, że zaskoczyło go, iż szpice radzieckie rozchodziły się promieniście na wschód od Odry, podczas gdy na zachód od rzeki zastał więźniów brodzących w głębokim śniegu bez jedzenia. Najpierw pojechał do mężczyzn prowadzonych do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. „Podoficerowie prowadzący te kolumny żywych trupów przeważnie nie mieli pojęcia, dokąd mają się udać”. Pierwszej nocy mijał niezliczone ciała



więźniów, którzy zostali zastrzeleni i jeszcze krwawili<sup>601</sup>.

Grupa Allegry i Berry maszerowała dalej 400 kilometrów na zachód i potem na północ, omijając Pragę i wchodząc na terytorium niemieckie, gdzie ostrzał był intensywniejszy. Jedną noc spędziły na polu z trupami ludzi i koni, a następnego dnia strażnicy zagnali je do wagonów kolejowych. Tuż przed odjazdem pociągu:

Zauważyłam bochenki chleba na ziemi. Nie wiem, skąd znalazłam w sobie siły, aby podbiec, ukraść dwa i wrócić do Berry. Zdjęłam koc z nieboszczyka i wspięłyśmy się na odkryty wagon, ukrywając chleb. Owinęłyśmy się kocem i nocą, kiedy pociąg przebiegał przez śnieżycę, jadłyśmy chleb i śnieg zbierany z koca. Jechaliśmy tak całą noc, a następnego dnia po południu dotarłyśmy do Ravensbrück.

Alina Brewda, Żydówka i lekarka, trafiła do krytych wagonów, które pojechały na północny zachód przez Hamburg, a potem skręciły do Berlina, gdzie więźniarki kilometr po kilometrze obserwowały ruiny i „cieszyły się”. Strażnicy zapakowali w Wodzisławiu Śląskim grupę Lydii i Aniki do odkrytych wagonów bydłowych, w których kobiety mogły tylko stać. Aniko zakażenie wdało się w ranę od sznurka samodzielnie wykonanej torby, który wrzynał jej się w ciało.

„Byłyśmy przysypane śniegiem – wspominała Lydia. – Stałyśmy ściśnięte jak sardynki. Nie mogłyśmy nawet upaść, chociaż nie czułyśmy już zdrętwiałych i zmarzniętych nóg, które nie miały siły nas dźwigać. Słyszeliście o ludziach umierających na stojąco? Tak właśnie działo się w pociągach śmierci”.

Lydia i Aniko stały z przodu wagonu, gdzie na ławce siedział esesman z owczarkiem niemieckim u stóp. Pies stał, więc Lydia wczołgała się pod jego brzuch i skuliła, żeby się ogrzać. Była pewna, że strażnik poszczuje na nią psa albo ją zastrzeli. Ale on tylko stwierdził: „Mój pies nie ma miejsca” i kazał jej się odsunąć. „Jechaliśmy tak całą noc i dopiero następnego dnia po południu pociąg dotarł do Ravensbrück”.

Kobiety z Auschwitz dojeżdżały do Ravensbrück różnymi grupami w kilku ostatnich dniach stycznia 1945 roku. Walter Schenk, kierownik krematorium, wspominał, że wśród nich było tak wiele martwych, że piece nie nadążały ich palić, więc wykorzystano również krematorium w Fürstenbergu. Przyjeżdżały kolejne transporty.

„Na wpeł zamarznięte, padające ze zmęczenia kobiety wysypywały się

z wagonów”, opowiadała Lydia o swoim transporcie. Wiele z nich nie żyło i zabierano je prosto do spalenia. U bram strażnicy przeprowadzali coś, co Lydia i Aniko początkowo uznały za selekcję. Ale okazało się, że zamiast tego „mała brzydka kobieta przy stoliku, o policzkach i wargach umalowanych szminką, kierowała kobiety w różne miejsca”. Lydia opowiada: „Zastanawialiśmy się, czy nas zagazują, czy rozstrzelają”. Siostry bały się, że rana Aniko jest teraz tak zainfekowana, że z pewnością dziewczyna zostanie zabita. „Chcę do mamy”, szlochała.

Na początku prawie wszystkie kobiety strażnicy zagnali do namiotu, gdzie kucali w błocie. Allegra wkrótce dostała przydział do baraku i „pryczę” z czterech wąskich desek. Czowała, „że jeśli każą mi siedzieć w błocie jeszcze chwilę dłużej, to umrę”. Przynieśli chleb, Allegra zagapiła się na ułamek sekundy i jakaś dziewczyna złapała jej kawałek. „Zaczęłam bić tę dziewczynę, wrywać moją kromkę i krzyczeć na nią: «Nie chcę umrzeć!». Berry [...] krzyczała na mnie: «Zabijesz ją!». A ja powtarzałam: «Nie chcę umrzeć»”.

Wśród tych nowo przybyłych, które musiały spać na śniegu, znalazła się Alina Brewda. Zdenka Nedvedová, obozowa lekarka, która sama przyjechała z Auschwitz sześć miesięcy wcześniej, przysła spojrzeć na uczestniczki marszu śmierci.

Kiedy wchodziły, wszystko było białe od śniegu, było ich tysiące; tak dużo, że strażnicy nie potrafili ich rozdzielić od więźniarek, które wchodziły między nie i pytały, co się stało, lub szukały zaginionych przyjaciółek. Tamte opowiadały o straszliwej podróży oraz że po ich odejściu Auschwitz spłonął. Kiedy poszliśmy spać, one ciągle tam stały, a kiedy wstałyśmy, stały tam nadal – z aureolą zamrożonego powietrza przy twarzach.

Lydia i Aniko zostały „zapakowane” do namiotu, gdzie Lydia próbowała zasłaniać przed skłębionym tłumem zakazaną rękę Aniko przy rozdawaniu zupy. Chochla zupy została nalana do miski przyczepionej do sznurka, którym Lydia była obwiązana w pasie, i dziewczęta podzieliły się posiłkiem.

Teraz Aniko była bliska śmierci od ropnia, a dozorcynie i kapo trzymały się od niej z daleka z powodu odoru wydzielanego przez ranę. Ktoś wysłał ją do rewiru, gdzie przeszła zabieg, i wróciła z czystym bandażem, ale namiot był tak brudny, że wkrótce dziewczęta oblażyły wszy, „jak w Birkenau”.

Po kilku dniach, kiedy myślały, że porzucono je na śmierć, nagle Lydia i Aniko zostały wezwane do rejestracji. Już nie martwiły się, że to selekcja na

śmierć, ponieważ w tym przypadku esesmani na pewno wybraliby je przy bramie. Lydia musiała stanąć przy miarce. „A czemuż to nagle zapragnęli wiedzieć, ile mam wzrostu?” Potem dziewczęta dostały nowe obozowe numery na kawałku białego materiału: 99 626 dla Lydii i 99 627 dla Aniko.

Niedługo potem esesman wysłał Aniko i Lydię do miejsca w lesie nazywanego *Jugendlager*, obóz dla młodzieży, i skierował do pracy przy napełnianiu sienników słomą. „W tym *Jugendlagerze* było coś dziwnego, czego nie potrafiliśmy pojąć”, stwierdziła Lydia.

Jakieś małe kobietki ubrane na szaro poruszały się szybko i w milczeniu. Kim były i czym się zajmowały? A ponieważ nie pilnowano nas jakoś ściśle, z ciekawości otworzyłam drzwi. W dużym pomieszczeniu kobiety siedziały stłoczone na podłodze. Spytałam, skąd pochodzą, a jedna odparła, że z Budapesztu. Rozejrzałam się przerażona, myśląc o babci, którą zostawiłam w Budapeszcie. Podbiegłam i otworzyłam następne drzwi, i zobaczyłam małeńki pokój, w którym leżało kilka nagich zwłok.

Lydia i Aniko tylko przez kilka dni zostały w *Jugendlagerze*, gdzie codziennie dostawały dodatkową miskę zupy. Wiele lat później Lydia dowiedziała się, że wypełniały słomą sienniki dla nowego obozu zagłady w Ravensbrück.

[600](#) Kilka kobiet, które widziały ostatnie dni w Auschwitz, a potem wyruszyły w marszu śmierci do Ravensbrück, złożyło relacje w Yad Vashem, w tym Lydia Vago i Allegra Benvenuti. Relacja Marii Rundo znajduje się w Lund 189. Historia Aliny Brewdy jest wspomniana w *I Shall Fear No Evil* R.J. Minneya. Relacja Rudolfa Hössa pochodzi z jego *Autobiografii*. Rozmawiałam też z ocalonymi, w tym z Białorusinką Walentyną Makarową.

[601](#) Höss, *Autobiografia*, s. 165–166.

## Rozdział 33

### Jugendlager<sup>602</sup>

Kiedy Lydia Vago patrzyła na kobiety umierające w Jugendlager Uckermark, Cicely Lefort i Mary Young usłyszały plotki, że nowy obóz jest o wiele lepszym miejscem, z dobrze wyposażoną izbą chorych, gdzie więźniów traktuje się lepiej. Niektóre nawet nazywały go sanatorium. Sylvia Salvesen, Norweżka pracująca w rewirze, i inne kobiety powiedziały, że słyszały już wcześniej rozmowy na ten temat; każda zmiana w Ravensbrück zawsze oznaczała pogorszenie sytuacji. Potem pojawiły się nowe pogłoski; w ruderach mówiono, że w nowym obozie nie będzie nawet trzeba pracować ani stać na porannych apelach. W połowie stycznia, kiedy temperatura spadała do 30 stopni poniżej zera, kobiety gotowe były iść na ochotnika w nowe miejsce.

Cicely Lefort i Mary Young pojawiły się pod oknem Sylvii w rewirze. Chciały porozmawiać. Wpisały nazwiska na listę do nowego obozu, oznajmiły. Sylvia wiedziała, że obie mieszkały w jednym z najbardziej zatłoczonych bloków. Norweżka niedawno zaprzyjaźniła się z nimi, szczególnie z Mary, która była bardzo delikatna. W wieku sześćdziesięciu dwóch lat miała już sylwetkę bardzo zgarbioną z wycieńczenia, opuchnięte nogi, męczyła ją wysoka gorączka.

Cicely, agentka SOE, niegdyś sportsmenka, wysoka i muskularna, teraz również wyglądała jak zgarbiony szkielet. Jesienią Treite wyleczył ją z wrzodów żołądka i spuchniętych nóg, ale teraz cierpiała na ostrą biegunkę. Słyszały „wspaniałe” nowiny o nowym miejscu; gdyby tylko mogły uniknąć apeli, może resztę jakoś by przetrzymały. Teraz to tylko kwestia tygodni, prawda? Czy Sylvia uważa, że to dobry pomysł iść tam? – spytała Cicely. „Wyrzuciła to wszystko z siebie szybko, nerwowo i z entuzjazmem. Jej oczy rozszerzyły się ze strachu i moja odpowiedź ją zdenerwowała”<sup>603</sup>.

Sylvia próbowała je ostrzec, ale one nie chciały słuchać, podobnie jak setki innych, które uważały Jugendlager za jedyną szansę, by dotrzeć do wyzwolenia. W połowie stycznia 1 Front Białoruski marszałka Żukowa zdobył już Warszawę i Łódź, a 2 Front Białoruski generała Konstantina Rokossowskiego, idący przez Prusy Wschodnie wzdłuż bałtyckiego wybrzeża, znajdował się 600 kilometrów od Ravensbrück. Na zachodzie alianci zmiażdżyli kontratak Wehrmachtu w bitwie o Ardeny i parli w kierunku Renu. Kobiety najbardziej bały się śmierci w tych ostatnich tygodniach przed wyzwoleniem.

W Ravensbrück mnożyły się oznaki bliskiego końca. Ktoś skombinował radio i nocą między blokami podawano sobie informacje. Naloty stały się częstsze, strażnicy żyli w napięciu, a czerwonoarmistki chodziły dumnie wyprostowane, gotowe na przyjście swoich.

Racje żywnościowe ponownie zostały zmniejszone. W niektóre dni wydawało się, że zupa przygotowywana jest z pokrzyw lub majeranku i kilku ziemniaków. Potem znów pojawiły się plotki: w Jugendlagerze ziemniaki będą „dwa razy dziennie”.

To nie zbieg okoliczności, że kiedy zaczęły krążyć opowieści o Jugendlagerze, na Lagerstrasse pojawiła się wysoka szczupła postać Johanna Schwarzhubera. Schwarzhuber, kolejny oficer z Auschwitz, przyjechał do Ravensbrück na początku stycznia, aby wykonać rozkazy, których realizacji odmówił Bräuning.

Później w zeznaniach Schwarzhuber pomylił nazwiska i daty i załagodził wiele wydarzeń. Jednak jego zeznanie wyjątkowo obfitowało w szczegóły, jak na esesmana: był bardziej skłonny od swych towarzyszy, aby przedstawić realny przebieg wydarzeń. Na przykład rozmowa z Fritzem Suhrenem na temat rozpoczęcia gazowania, którą przytacza, nosi wszelkie znamiona prawdy.

Niedługo po przyjeździe do obozu, powiedział obersturmführer Schwarzhuber, razem z głównym lekarzem Richardem Trommerem zostali wezwani do gabinetu komendanta. „Suhren powiedział nam, że otrzymał rozkaz od Reichsführera Himmlera, żeby zabić wszystkie kobiety chore lub niezdolne do chodzenia”. Do tej pory egzekucje w obozie wykonywano przez rozstrzelanie na rozkaz Molla. „Ta metoda nie była zbyt szybka jak na potrzeby komendanta. Powiedział w mojej obecności: «To idzie za wolno, musimy użyć innych metod»”<sup>604</sup>.

Artur Conrad, dowódca obozowego plutonu egzekucyjnego, to samo oznajmił kolegom w komendanturze. „Powiedział: «Kobiety umierają za wolno. Coś trzeba z tym zrobić»”, wspominała Karla Kampf, austriacka sekretarka.

Treite powiedział później, że również słyszał opinię, iż przyczyną wprowadzenia gazowania było to, że „rozstrzeliwania idą za wolno”. Jednak nikt nie sugerował, że egzekucje należy wstrzymać – raczej należało wykorzystywać obie metody eliminacji jednocześnie. Pracownik krematorium, więzień Horst Schmidt, wspominał, że kiedy zaczął pracować w krematorium pod koniec stycznia, co wieczór rozstrzeliwano 50 kobiet i przynoszono ich ciała do spalenia – ta sama dzienna norma, jaką podał Treite. „Czasem niektóre ofiary jeszcze żyły i trzeba było je dobić przed kremacją. Obecnych było dwóch lekarzy, a jeden z nich usuwał złote zęby”.

Schmidt oszacował, że od końca stycznia do końca lutego 1945 roku rozstrzelano co najmniej 600 kobiet. Nie wiedział, jak przebiegały rozstrzeliwania w lutym – pracował tu tylko dwa tygodnie – ale wspominał, że niedługo po jego odejściu z krematorium przyszedł do niego inny pracownik i powiedział: „Teraz mamy gaz”<sup>605</sup>.

Tymczasem Walter Schenk, dowódca komando krematorium, dostał od Schwarzhubera konkretne instrukcje. „Powiedział mi: «Zaczynamy operacje». Spytałem: «Jakiego rodzaju?»». Odpowiedział: „«Dowiesz się, jak zaczniemy gazować». Powiedziałem, że już teraz mam mnóstwo pracy. Odparł, że bym nie był głupi. Nie będzie mnie to dotyczyć. «Przyjedzie z Auschwitz zespół do gazowania i palenia»”.

Schwarzhuber zeznał na procesie, że kiedy uświadomił sobie, co oznaczają „inne metody”, początkowo próbował stawić opór. „Powiedziałem komendantowi obozu, że z radością opuściłem Auschwitz i nie chcę brać w tym udziału po raz drugi”.

Johann Schwarzhuber, syn drukarza z Bawarii, wstąpił do SS w wieku 21 lat. W bezwzględności szkolił się w Dachau, a „dyplom” uzyskał w Theresienstadt i Auschwitz. Od 1942 roku nadzorował cały program gazowania w fabryce zagłady Birkenau.

Schwarzhubera, o wysokich kościach policzkowych i opadających powiekach, kobiety nazywały „esesmańskim zbereźnikiem z uśmiechem”, chociaż był szczęśliwie żonaty, a jego dwóch synków często biegało po

Auschwitz. Kiedy pewnego dnia jeden z nich zniknął, Schwarzhuber bał się, że zabrano go do komory gazowej. Od tej pory chłopcy nosili na szyi oznaczenia, że są „synami Schwarzhubera z SS”<sup>606</sup>.

Współpracownicy mówili, że Schwarzhuber nie był tak bezwzględny jak inni oficerowie SS. Pomógł więźniom założyć orkiestrę i zachęcił rosyjskich jeńców do wykonywania tańców ludowych, podczas gdy jego rodzina patrzyła zza ogrodzenia. Lubił Cyganów i dużo z nimi rozmawiał.

Pewien esesman wspominał, że słyszał, jak Schwarzhuber powiedział Rudolfowi Hössowi prosto w twarz, że „nie wstąpił do SS, żeby zabijać Żydów”. Höss nie napomyka o tym incydencie w autobiografii z 1947 roku, ale pamięta, że Schwarzhuber bardzo przeżywał zagazowanie Cyganów z Auschwitz. „Schwarzhuber opowiadał mi, że żadna likwidacja Żydów nie była dotychczas tak ciężka jak tych Cyganów, szczególnie dla niego, ponieważ znał ich wszystkich dokładnie i pozostawał z nimi w dobrych stosunkach, oni zaś byli tak ufnymi jak dzieci”<sup>607</sup>. Inny strażnik z Auschwitz twierdził, że często widywano Schwarzhubera „pijanego i płaczącego”, kiedy więźniowie szli do komory gazowej.

Bez względu na to, jak przykre były dla niego te obowiązki po raz drugi w Ravensbrück, musiał przyznać, że istniały ogromne różnice między operacją w Auschwitz a tutejszą. Liczba dwóch tysięcy zgonów miesięcznie w Ravensbrück, założona przez Himmlera w październiku 1944 roku („z mocą wsteczną”), była niewielka w porównaniu z liczbą zagazowanych w Auschwitz, szacowaną dziś na ponad milion. Miejscowe instalacje wydawały się zaś prymitywne w porównaniu z wyszukany kompleksem zagłady Birkenau.

W Auschwitz większą część zagazowanych stanowili Żydzi. W Ravensbrück ofiarami w większości były nie-Żydówki, kobiety chore lub niezdolne do chodzenia, wybierane zgodnie z instrukcją Suhrena. Żydówki z pewnością podpadały pod tę kategorię, szczególnie że ostatni transport ewakuowanych z Auschwitz i Węgerek zwiększył ich liczbę ze średnio jednej na dziesięć do jednej na pięć w całej populacji, która w połowie stycznia wynosiła około 45 tysięcy więźniarek. Jednak w tym czasie bycie Żydem nie było powodem wybrania podczas selekcji, tak jak wcześniej w Auschwitz i innych obozach śmierci.

Faktycznie cały kontekst gazowania w Ravensbrück był nowością. Po raz

pierwszy nazistowska eksterminacja nie opierała się na celu ideologicznym; SS nie mogło przekonywać siebie ani innych, że ma to służyć oczyszczeniu puli genetycznej, by zapewnić lepszy rozwój rasy panów. W Ravensbrück zagłada gazem w ostatnich miesiącach wojny służyła zrobieniu miejsca i oszczędzeniu jedzenia oraz zmniejszeniu liczby więźniarek, które mogły wpaść w ręce wroga. Każdy, kto był w stanie maszerować, mógł zostać ewakuowany na czas; reszta miała zostać zagazowana. Ponadto gazowanie miało się odbywać w obozie koncentracyjnym na terytorium Niemiec.

A ponieważ program eksterminacji w Ravensbrück miał inne cele, postawił jego realizatorów przed innymi problemami. Prawdopodobnie głównym problemem Johanna Schwarzhubera było zachowanie spokoju wśród kobiet prowadzonych do komory gazowej. Himmler i esesmani rozumieli, że gazowanie na dużą skalę może się udać tylko wtedy, gdy ofiary pozostaną nieświadome swojego losu i będą spokojne.

W Auschwitz spokój było łatwo zachować. Większość prowadzonych na śmierć Żydów do samego końca nie wiedziała, co ich czeka. Przyjechali z gett lub innych obozów i od razu oddzielano ich od zdolnych do pracy i prowadzono do komory gazowej, nie pozostawiając czasu na zadawanie pytań, co ma się wydarzyć.

Natomiast w Ravensbrück niełatwo było oddzielić kobiety wyselekcjonowane do gazu od reszty obozu. Nie pochodziły ze świeżo przybyłych konwojów dowiezionych pociągami, jak w Auschwitz, ale zostały wybrane spośród miejscowego tłumu. Co więcej, ofiary w Ravensbrück można było gazować tylko małymi grupami, co zajmowało więcej czasu, ponieważ tymczasowa komora gazowa miała ograniczoną wydajność, więc gdyby wyselekcjonowane dowiedziały się, co je czeka, mogłyby wybuchnąć panika.

Wcześniejsze selekcje w Ravensbrück do czarnych transportów, które zabierały więźniarki na zagładę w innym miejscu, udawało się przeprowadzać we względnym spokoju; ale te wcześniejsze selekcje były mniejsze i wymierzone w pewne określone grupy – tak zwane wariatki, ciężko chore, Żydówki – grupy, które dawało się oddzielić od reszty. Inne, „zwykłe” więźniarki mogły sobie powiedzieć, że same nie podpadają pod czarny transport, więc nie ma czego się obawiać. Nawet w Ravensbrück tego rodzaju selekcje władze kamuflowały, a kiedy przygotowania słabo zamaskowano – jak w przypadku transportu śmierci do Majdanka – wybuchła panika.



Ze wszystkich tych powodów Schwarzhuber dostrzegał konieczność zachowania bardzo starannego kamuflażu. Dlatego przed rozpoczęciem selekcji rozpuścił w obozie plotki i kłamstwa, żeby najbardziej narazone uwierzyły, że pojedą w lepsze miejsce. Zdesperowane kobiety tak łatwo dawały się oszukać, że wkrótce Schwarzhuber przekonał setki, aby ustawiły się w kolejce i dobrowolnie poszły na śmierć.

Jednak zanim to wszystko się zaczęło, potrzebował personelu – mężczyzn i kobiet, którym mógł zaufać. Z pewnością mógł zaufać *Sonderkommando*, grupie specjalnej, która działała w samej komorze gazowej, ponieważ sprowadził ze sobą z Auschwitz tę grupę jedenastu więźniów. Więźniowie ci twierdzili później, że przywiózł również ze sobą z Auschwitz elementy komory gazowej.

Do współpracy z komandem od gazowania potrzebował też wsparcia z Ravensbrück, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. W Auschwitz-Birkenau lubił zatrudniać ludzi, którzy w obozie przebywali od niedawna, bez „obsesji” i bliskich relacji z innymi więźniami. Tę taktykę zastosował także w Ravensbrück.

W kilka dni od przyjazdu Schwarzhuber zwerbował Ruth Neudeck, zarekomendowaną przez Alberta Sauera, który według Schwarzhubera był wtedy zastępcą komendanta. Neudeck, wysoka trzydziestodwuletnia blondynka, przyjechała do Ravensbrück trzy miesiące wcześniej. Najpierw pracowała w obozowej kancelarii, ale po krótkiej chorobie została wyznaczona na blokową bloku 27., gdzie zwróciła na siebie uwagę Sauera. Zauważył, że lubiła bić, więc dał jej w prezencie szpicrutę ze srebrną rączką. Loulou Le Porz opisała ją później: „Duża. Pospolity wygląd. Wulgarna. Trzymała się prosto. Słyszałam, że była wdową. Bezdzienna. Mieszkała z matką”.

Neudeck została świeżo awansowana do bloku karnego, a kiedy Schwarzhuber poobserwował, jak pracuje, zwerbował ją do swojego zespołu. Do pomocy przydzielił jej kilka innych dozorczyń oraz dwóch sanitariuszy esesmanów ze szpitala – prawdopodobnie również z Auschwitz – Koehlera i Rappa<sup>608</sup>. Grupa została zatrudniona w nowym podobozie, Jugendlager. Neudeck miała zostać naczelniczką żeńskiego personelu.

Kiedy Lydia Vago, uczestniczka marszu śmierci z Auschwitz, została

w połowie stycznia 1945 roku wysłana do pracy w Jugendlagrze, odkryła, że tak naprawdę jest to miejsce zagłady. Skierowane tu Węgierki z całą pewnością porzucono na śmierć. Na tym etapie nowy obóz nie realizował jeszcze swojego zadania; na razie prawdopodobnie wykorzystywano go jako tymczasowe miejsca dla nadmiaru więźniarek, sprowadzonych tu, aby umarły lub po prostu zostały rozstrzelane. Jednak pod koniec stycznia Johann Schwarzhuber nakreślił dokładniej swój plan eksterminacji i rozdzielił role, jakie odgrywać miał Jugendlager oraz nowy personel.

Biorąc pod uwagę, że priorytetem było uniknięcie paniki, nie tylko rozpuszczono plotki i kłamstwa o wyjazdach do sanatorium, ale powstał też plan, najprawdopodobniej opracowany przez Schwarzhubera, który miał polegać na tym, że kobiety do zagazowania nie będą wybierane w głównym obozie. Zamiast tego selekcja miała przebiegać etapami.

Po pierwsze, kobiety wybrane do „sanatorium” lub „lepszego obozu”, jak również inne wybrane przez SS miały być gromadzone po dwieście przy blokach na tyłach kompleksu. Ten fragment obozu – gdzie znajdowały się bloki rudery – był już ogrodzony, ale teraz ogrodzenie poprawiono i wkrótce więźniarki zaczęły nazywać ten obszar „strefą śmierci”. Bez względu na to, czego obawiały się zgromadzone tam kobiety, nie mogły kontaktować się z pozostałymi w obozie.

W wyznaczonym momencie wyselekcjonowane kobiety wychodziły ze strefy śmierci przez bramę w dolnym prawym rogu i pokonywały około kilometra w głąb lasu do Jugendlagru. Tutaj zatrzymywały się na jakiś czas. Stopniowo dołączały do nich kolejne grupy. W Jugendlagrze dochodziło do kolejnej fazy selekcji i więźniarki wybrane w drugiej turze szły do gazu. Wiązało się to z kolejną podróżą, tym razem ciężarówką, do komory gazowej umieszczonej koło krematorium pod południowym murem. W istocie chodziło o to, że ofiary zataczały koło, co miało je zmylić i pozwolić na przeprowadzenie selekcji do gazu nie na widoku.

Przeprowadzanie selekcji na uboczu miało też uśmierzyć obawy reszty personelu obozowego, który nie musiał być informowany o wszystkim, przynajmniej na początku, aby nie dopuścić do wybuchu niezadowolenia również w jego szeregach. Obozowi lekarze i pielęgniarki w blokach szpitalnych stanowili najbardziej prawdopodobne źródło protestu, ponieważ już teraz przerażeni byli perspektywą kolejnych czarnych transportów. Lekarze SS wykazywali już oznaki buntu: Percival Treite odmówił uczestnictwa

w masowych rozstrzeliwaniach, które Otto Moll nadal przeprowadzał; odmówił również nowy lekarz, Franz Lukas, który przyjechał w grudniu.

Aby omamić personel medyczny – więźniarski i esesmański – Schwarzhuber wymyślił farsę z prawdziwymi aktorami i rekwizytami. Przed przybyciem pierwszej grupy więźniarek wysłał do Jugendlagru więźniarkę lekarzkę Dorę Revier i dał jej lekarstwa oraz zestaw fikcyjnych instrukcji do założenia izby chorych. Razem z nią poszły dwie pielęgniarki. Teraz rozeszły się pogłoski, że w nowym obozie faktycznie będzie mieściło się sanatorium. Rzeczywiście, ostatnimi działaniami udało się na początku oszukać najbardziej doświadczony personel rewiru, w tym Loulou Le Porz, lekarzkę z bloku 10., i Erikę Buchmann, niemiecką komunistkę, która teraz przejęła po Carmen Mory funkcję blokowej.

Według Buchmann Treite również wydawał się wierzyć w tę farsę. Pewnego dnia rano przyszedł do bloku 10. i poprosił o listę najbardziej chorych więźniarek, tłumacząc, że zostaną „przeniesione w inne miejsce, gdzie otrzymają lepszą pomoc”<sup>609</sup>. Prawie na pewno miał na myśli pierwszą wysyłkę więźniarek do Jugendlagru. Zeznania podają różny czas tej rozmowy. Erika Buchmann twierdziła, że Treite przyszedł z tą prośbą 20 stycznia, więc pierwsze kobiety musiały opuścić obóz niedługo potem.

Erika opracowała listę od razu, „bez najmniejszych obaw, co to może oznaczać, biorąc pod uwagę straszne warunki w bloku 10.”. W tym samym czasie dozorcynie zaczęły wywoływać więźniarki z różowymi kartami i przeprowadzać wśród nich selekcję do nowego obozu.

W kancelarii sekretarki „stare szczury” – „sekretarki śmierci”, jak je nazywano w Auschwitz – bez skrupułów zestawiały te listy. Z pewnością musiały wiedzieć więcej, ponieważ sporządziły tak wiele list do czarnych transportów od 1941 roku. Austriacka komunistka Hermine Salvini wspominała, jak powiedziano jej, by przy nazwiskach kobiet z pierwszej grupy odnotowała: „przeniesiona do innego obozu”. Powiedziała, że sekretarki nie miały pojęcia o warunkach panujących w tym obozie. „Byłyśmy nawet zadowolone, że starsze kobiety idą do miejsca z lepszymi warunkami, gdzie będą tylko robić na drutach, bez żadnej ciężkiej pracy”.

Jednak belgijska pielęgniarka Renée Govers od początku miała pewne obawy. Kiedy chore zostały zabrane z głównego rewiru i dołączone do grupy, chciała dać pewnej kobiecie cieplejszy płaszcz, ale strażnik Schwarzhubera

krzyknął na Renée: „Ty idiotko! Nie będzie go teraz potrzebować!”.

Kilka dni po odejściu pierwszej grupy zaczęły kiełkować podejrzenia. Sylvia Salvesen uzyskała informacje o warunkach w Jugendlagrze od badaczki Pisma Świętego, którą wysłano tam w jakiejś sprawie i która wróciła z nowinami o zagłodzonych więźniarkach, pozbawionych ubrań i porzuconych w temperaturze bliskiej zera. Dora Revier, francuska lekarka, i jedna z pielęgniarek, która z nią poszła, wróciły po tygodniu w stanie szoku, niosąc bezużyteczne lekarstwa. Tak zwany rewir stanowiły puste baraki bez sienników i bieżącej wody. Dora od razu poskarżyła się Treitemu, który odparł, że nie odpowiada za Jugendlager. To działka Schwarzhubera.

Sylvia poszła znaleźć Cicely i Mary, żeby je zatrzymać w obozie, ale było już za późno, znajdowały się za drutem kolczastym w strefie śmierci na końcu obozu, czekając na wyjście. Była z nimi trzecia Brytyjka, Mary O’Shaughnessy.

Mary O’Shaughnessy wiedziała, że pójdzie do Jugendlagru, gdy tylko dozorczyńni zaczęła wywoływać wszystkie posiadaczki różowych kart; miała taką kartę z racji sztucznej ręki. Mary, irlandzka imigrantka wychowana w Leigh koło Wigan, nauczyła się żyć z kalectwem od najwcześniejszego dzieciństwa. Jako nastolatka wyjechała do Francji pracować jako guwernantka, przeżyć przygodę i zyskać niezależność. Po francuskiej kapitulacji w czerwcu 1940 roku Mary zaproponowała pomoc lokalnej komórce ruchu oporu, ukrywała brytyjskich żołnierzy, którzy utknęli we Francji, i kierowała ich na trasy ucieczkowe przez Pireneje. W Ravensbrück jej sztuczna ręka ciągle ściągała na nią ciosy dozorczyń, ale oszczędziła najbardziej wyczerpującej pracy i po dziewięciu miesiącach w obozie nadal była w lepszym stanie zdrowotnym niż jej dwie brytyjskie koleżanki.

Mary Young, pielęgniarka ze Szkocji, wciąż słabła. Delikatna i drobna, była córką sklepikarza z Aberdeen. W 1909 roku wyjechała do Francji jako prywatna pielęgniarka, a potem służyła w szpitalach polowych na froncie. Zamieszkała w Paryżu, gdzie w 1942 roku została aresztowana pod zarzutem pomocy brytyjskim pilotom, a w lutym 1944 roku zesłana do Ravensbrück.

Najbliższą przyjaciółką Mary w obozie była Cicely Lefort, czterdziestosześcioletnia agentka SOE, która przyjechała tym samym transportem z Paryża. W latach trzydziestych Cicely, uznana żeglarka,

przyjechała do Francji szukać przygód i zakochała się we francuskim lekarzu, Alexie Lefortcie. Lefort miał swój jacht, którym pływał u wybrzeży Bretanii. Para pobrała się, a kiedy wybuchła wojna, Alex nakłonił Cicely, żeby wróciła do Anglii i zgłosiła się do SOE, gdzie mogła się przydać jej znajomość Francji i francuskiego wybrzeża. To Alex Lefort jako pierwszy zgłosił SOE w Londynie, że Cicely przebywa w Ravensbrück, po tym jak dostał od niej list z adresem obozu. W pierwszych miesiącach pobytu w obozie Cicely utrzymywała kontakt z mężem przez obozową pocztę, ale latem 1944 roku dostała od Alexa list z prośbą o rozwód. Załamana Cicely znalazła sposób, żeby w obozie zmienić testament i wydziedziczyć małżonka; postarała się nawet, żeby obozowy lekarz poświadczył dokument<sup>610</sup>. Grupa czekająca na przeniesienie do Jugendlagru z Brytyjkami – prawdopodobnie już druga – stanowiła mieszaninę niemal wszystkich narodowości i grup wiekowych. Romana Szweda, polska nauczycielka, była jedną z pierwszych Polek w Ravensbrück i pracowała przy budowie pierwszych dróg. Na początku 1945 roku zachorowała i trafiła do rewiru, gdzie esesmani wyselekcjonowali ją do Jugendlagru.

Na opuszczenie obozu czekało też kilka niemieckich więźniarek z długim stażem. *Frau* Rissel z Wiesbaden miała zostać uwolniona w styczniu, ale dozorkynie kazały jej stać pod kancelarią w mróz przez kilka godzin, gdy czekała na zaświadczenie o zwolnieniu. Odmroziła sobie twarz i zamiast w domu znalazła się za drutem kolczastym. *Frau* Thüringer, która straciła na froncie trzech synów, została niedawno aresztowana pod zmyślnym zarzutem, że wyrzekła na Hitlera; mogła zostać wyselekcjonowana z powodu siwych włosów, która nosiła zaplecione w warkoczyki. Inna Niemka, Gisela Krüger, miała artretyzm w nodze, którą doktor Treite – zupełnie niepotrzebnie – postanowił amputować. Ją również wybrano do Jugendlagru.

Ostatnie przybyszki z Węgier też wciągnięto na listę, włącznie z Klarą Hasse, która straciła prawą stopę podczas przymusowego marszu z Budapesztu. Wśród 70 Holenderek znajdowało się kilka, które pracowały dla Siemens, zanim ciężko zachorowały. Były tu też liczne warszawianki, podobnie jak ocalone z marszu śmierci z Auschwitz, wyszarpięte z namiotu w Ravensbrück.

Kobiety z tej samej rodziny na ochotnika zgłosiły się do Jugendlagru, żeby ich nie rozdzielono. Były wśród nich francuskie siostry Tambour,

współpracowniczkę związanej z SOE siatki o kryptonimie „Prosper” w okolicach Paryża. Madeleine Tambour była śmiertelnie chora, a kiedy ją wybrano, jej siostra Germaine postanowiła do niej dołączyć, usłyszawszy pogłoski o lepszym jedzeniu i warunkach.

Nawet teraz nowe plotki o dodatkowych kocach i pojedynczych siennikach krążyły wśród więźniarek kierujących się do Jugendlagru i wzbudzały niejaką nadzieję. Już sama perspektywa opuszczenia głównego obozu i przejścia się wśród drzew przynosiła kobietom nieco radości. Neeltje Epker, położna z Holandii i weteranka Ravensbrück, ujęła to tak: „Chociaż z doświadczenia wiedziałyśmy, żeby nie wierzyć w takie rzeczy, nigdy nie mogłyśmy sobie wyobrazić, że mówią takie rażące kłamstwa albo że mogą być aż tak okrutni. Nigdy sobie nie wyobrażałyśmy, że zamierzają nas wymordować”<sup>611</sup>.

Irma Trksak, austriacko-czeska więźniarka w grupie, wspominała ten sam nastrój nieśmiałej nadziei: „Widzi pani, tak bardzo chciałyśmy wierzyć. A naszą jedyną szansą była wiara w cud”<sup>612</sup>. W każdym razie większość wiedziała, że nie ma najmniejszej szansy na skreślenie z listy; wybrane kobiety nie miały żadnych wpływów w obozie.

Ilse Gohrig, kolejna Holenderka, po prostu pogodziła się z losem, podobnie jak wiele innych: „Wysłali mnie do Jugendlagru, ponieważ byłam dziewiarką. Nie byłam kapo. Nie zostałam nią, bo wiedziałam, że kapo to najgorsze typy. Zostałam tam wysłana. Nie próbowałam tego unikać, ponieważ postanowiłam poddać się temu, co Bóg wskazał jako mój los”.

Padł rozkaz, by ustawić się piątkami. Otworzyła się brama na tyłach obozu. Przed nią droga prowadziła głęboko w las. „Później nazwałyśmy go «laskiem śmierci» [*Todeswäldchen*]”, wspominała jedna z Polek, Janina Habich. Zdolne do chodzenia deptały śnieg, niektóre pchały lub ciągnęły wózki z kobietami po amputacjach i innymi niesprawnymi. Ponad godzinę zajęło przejście niecałego kilometra do Jugendlagru. Kiedy wreszcie się ukazał, to skupisko pięciu przysadzistych baraków otoczonych drutem wydawało się niepokojąco małe, ale sosny pobłyskujące od śniegu na wielu zrobiły przyjemne wrażenie.

Po dotarciu na miejsce Cicely i dwie Mary trafiły do jednego z mniejszych bloków wraz z siedemdziesięcioma kobietami; brakowało miejsca, żeby usiąść lub się położyć. Strażniczki dały do zrozumienia, że to tylko tymczasowa kwatera, na czas przygotowywania stałej. Ale zostały tam przez

trzy dni. Przez pierwsze dwa dni nie zapewniono jedzenia ani picia, nikt też nie mógł wyjść za potrzebą; mocz i ekskrementy wkrótce pokryły podłogę.

Alina Brewda, żydowska lekarka, która przybyła z marszem śmierci z Auschwitz, wspominała, że sięgała za okno i zgarniała śnieg, by zaspokoić pragnienie i umyć się. Mary O'Shaughnessy powiedziała, że podczas tych pierwszych 48 godzin co najmniej trzy kobiety w jej bloku zmarły, a ich ciała pozostały tam, gdzie upadły. Kolejne 70 kobiet zamknięto w przyległej sali, skąd Mary słyszała obłąkańcze krzyki, dopóki uwięzione nie zemdlały, „prawdopodobnie z wyczerpania”<sup>613</sup>.

Trzeciego dnia strażnicy wydali po chochli wodnistej zupy i kawałku chleba, zanim przeprowadzili kobiety do większego baraku wraz kilkuset innymi więźniarkami. Znajdowały się tam prymitywne legowiska – deski przymocowane do ścian. Strażnicy dali każdej po kocu i sienniku nasiąkniętym wodą od leżenia na śniegu. Gdy ciepło ciał wysuszyło materace, zaroiło się w nich od wszy. Nadal nie było się gdzie umyć, a latryny okazały się otwartym rowem długości 12 metrów na najdalszym skraju obozu.

Neeltje Epker, holenderska położna, zapamiętała kobiety śpiące po cztery albo pięć na każdej pryczy, gdy Jugendlager rozrósł się do około 800 więźniarek. Odległość między jednym poziomem prycz a drugim była tak mała, że więźniarki ledwo się mogły tam wcisnąć. „Każda miała 30 centymetrów przestrzeni”. Do jedzenia dawano połowę racji z obozu macierzystego: pół litra wodnistej zupy z kapusty lub brukwi na obiad i 100 gramów chleba.

Jednym z bodźców do przeniesienia się do Jugendlagru była obietnica braku apeli, ale czwartego dnia kobiety obudzono o wpół do czwartej rano i zmuszono do stania na mrozie przez sześć godzin. Część upadła i zmarła. Następnego nocy dozorcynie odebrały więźniarkom koce, a potem płaszcze i kurtki na apelu o trzeciej rano. Bez okryć stały w zamieci, jak zapamiętała Neeltje Epker. Leonarda Frelich, inna przybyszka z Auschwitz, wspominała stanie przez siedem godzin. „Wiele zemdlało, ale grupie nie pozwolono wrócić do bloków”.

Kiedy wreszcie więźniarki wpuszczono do baraków, strażniczki otworzyły okna na oścież. Kobiety szybko podupadały na zdrowiu, pojawiały się poważne biegunki i opuchlizna wywołane głodem i wyczerpaniem. Nieliczne miały siły, by dotrzeć do śmierdzącej latryny, ale Stijntje Tol z Amsterdamu się udało i zobaczyła stos skonfiskowanej odzieży na tyłach bloku. „Kiedy



stałyśmy na apelu, miałyśmy na sobie tylko cienkie sukienki, w temperaturach sięgających minus 25 stopni”. Przez cały czas z głównego obozu docierały nowe kobiety. Pięć drewnianych baraków szybko się wypełniało, podczas gdy w ostatnim bloku, używanym jako kostnica, piętrzyły się zwłoki.

Około 5 lutego główna dozorczyńca Ruth Neudeck zarządziła specjalny apel. Zamiast jak zwykle ustawić więźniarki w szeregiach, wywoływała numery z listy trzymanej w ręku, rozkazując kobietom wystąpić. Neudeck smagała pejcem z posrebrzaną rączką każdą, która nie dość szybko zareagowała, albo też sanitariusze Koehler i Rapp wywlekali więźniarkę do przodu. Neudeck powiedziała później, że na tym etapie nie wiedziała, dokąd pojedą wywołane ofiary. Schwarzhuber wręczył jej listę i napisał u góry: *Schonungslager Mittwerda* – obóz dla ozdrowieńców Mittwerda<sup>614</sup>.

Te „listy Mittwerdy”, jak przeszły do historii, zawierały nazwiska więźniarek przeznaczonych do komory gazowej. Komedialna przygotowana przez Schwarzhubera oznaczała, że kobiety i być może sama Neudeck podzielały przelotną iluzję, że istnieje obóz dla rekonwalescentów zwany Mittwerda.

W biurach obozu macierzystego nowe listy wywoływały wielkie zaskoczenie wśród sekretarek. W przeciwieństwie do poprzednich list czarnych transportów te musiał podpisać Suhren. Sekretarki używały eufemizmów w stylu „przeniesione do innego obozu”, uznając odniesienie Schwarzhubera do Mittwerdy za mylące. Rozkaz był tak specyficzny, że niektóre uznały, iż faktycznie oznacza jakieś lepsze miejsce. Potem ktoś pomyślał o sprawdzeniu na mapie. „Mittwerda” znajdowała się ponoć daleko na wschód od Ravensbrück, na Śląsku, i już wpadła w ręce Rosjan. Schwarzhuber – o przydomku „kochający Bóg Ravensbrück” – musiał wiedzieć, że jego najnowsze kłamstwo zostanie odkryte przez więźniarki z komendantury i że Ruth Neudeck, podobnie jak wszyscy inni, dowie się wkrótce, co to oznacza.

Pejcz z posrebrzaną rączką – niektóre nazywały go laską lub szpicrutą – to pierwsza rzecz, jaką ludzie kojarzyli z Neudeck, chociaż Leonarda Frelich wspominała również, że dzierżąca go kobieta była elegancka i piękna. Przechadzała się z tym pejcem sztywnym krokiem wzdłuż szeregów, a zakrzywioną rączką wyciągała za szyje wyselekcjonowane więźniarki. Wszelki opór kończył się biciem; rzucała oporną na ziemię i kopała. Frelich zapamiętała również, że zwykle u boku Neudeck znajdowali się dwaj



mężczyźni, z których jeden zawsze był pijany.

Zazwyczaj Neudeck przynosiła listę, ale jak zauważyła Mary O'Shaughnessy, czasami sama z esesmanami po prostu wybierała kobiety, które wydawały jej się słabsze, „patrzyła na nogi, czy nie są spuchnięte, i w oczy, czy tli się w nich jeszcze jakieś życie. Jeśli więźniarki nie poruszały się dość szybko, biła je szpicrutą, którą zawsze trzymała w ręce”.

Janina Habich zapamiętała, jak Neudeck paradowała wzdłuż szeregów „z tym cienkim czarnym czymś ze srebrną rączką i łapała tym więźniarki za szyję, krzycząc *Links!* [na lewo]”. Kilka innych więźniarek po wojnie zeznawało podobnie, często dodając: „Widziałam to na własne oczy”. Jednak nie istniało niebezpieczeństwo, że ktoś poda w wątpliwość zeznania ocalałych kobiet, ponieważ w przeciwieństwie do większości dozorczyń Ruth Neudeck od razu przyznała się do wszystkiego, o co ją oskarżano, i jeszcze więcej.

„Musiałam raz po raz bić więźniarki, ponieważ brakowało im dyscypliny – powiedziała. – Zawsze zadawałam im jedno lub dwa uderzenia pejczem. Nie mogłam bić ich ręką, bo zawsze były zawszone. W bloku karnym też biłam więźniarki trzy lub cztery razy dziennie, ponieważ nie chciały pracować”.

Adwokaci Neudeck próbowali w pewnym momencie kontynuować obronę, powołując się na błędną tożsamość, sugerując, że to ktoś inny, nie ona, nosił pejcz z posrebrzaną rączką. Neudeck nie zgodziła się na to. Powiedziała przed sądem: „W drugiej połowie stycznia otrzymałam od sturmbannführera Sauera łaskę ze srebrną rączką. Nigdy jej nikomu nie pożyczałam i nie przypominam sobie, żeby ktoś w obozie miał podobną lub ze srebrną rączką”.

Po wezwaniu wyselekcjonowana grupa miała stanąć po jednej stronie, a potem udawała się do dużego bloku nazywanego salą gimnastyczną; blok służył jako sala gimnastyczna, kiedy w obozie mieszkały nastoletnie dziewczęta, ale teraz stał się przechowalnią przed skierowaniem do komory gazowej. Niewiele wiadomo, co się działo w środku, ale kapo i pracowniczki kancelarii mówiły o „rozgrywających się tam straszliwych tragediach”. Kapo przejęły większość codziennych obowiązków w Jugendlagrze w zamian za przywileje, podobnie jak w głównym obozie.

Jedna z kapo, Józefa Majkowska-Kruszyńska, która latem poprzedniego roku przyjechała z Auschwitz-Birkenau, dostała pracę w komandzie grabarskim w Jugendlagrze, „przypominającym nieco *Sonderkommando* z Birkenau”. Czasem szły do sali gimnastycznej zabrać ciała kobiet, które zmarły, zanim trafiłyby do gazu. Pewnego razu kazali jej wyciągnąć zmarłej złote zęby, ale

odmówiła i zrobiła to inna kobieta, nazywana doktor Verą. Esesman Rapp był zawsze pijany, mówiła Józefa, a Lotte Sonntag, więźniarka pełniąca funkcję gońca, zawsze biła, najgorsza jednak była Neudeck.

Zwykle tuż przed zapadnięciem zmroku Neudeck rozkazywała zatrzymanym w sali gimnastycznej wyjść i ustawić się w szeregu. Pomimo śniegu musiały rozebrać się do naga. Mary O'Shaughnessy czasem oglądała tę scenę przez dziurę w ścianie baraku. Gdy więźniarki się rozebrały, do grupy podchodziła młoda, ciemnowłosa kobieta w białym fartuchu. „Doktor Vera” wypisywała obozowy numer kobiety nieścieralnym atramentem na lewym przedramieniu lub na piersi.

Następnie dozorcynie pozwalały więźniarkom włożyć z powrotem jedną sztukę odzieży – zwykle cienką koszulę lub bawełnianą sukienkę. Stały na zewnątrz kolejne dwie lub trzy godziny, dopóki nie zrobiło się zupełnie ciemno. Wówczas podjeżdżała ciężarówka prowadzona przez Josefa Bertla, szefa transportu. Koehler i Rapp kopali każdą kobietę, która stawiała opór; Neudeck wrzeszczała i smagała pejczem albo kopała winną wojskowymi buciorami.

Takie oto sceny rozgrywały się przez większość nocy. Neeltje Epker patrzyła, kiedy zabierali pierwszą holenderską grupę i losowo wykrzykiwali numery więźniarek.

Było to kobiety, które znałyśmy z Hagi, Brabancji, Fryzji. Nie mogły zabrać nawet kawałka chleba. Widziałyśmy je całkiem nagie na placu, gdzie musiały oddać koszule, sukienki, majtki i buty. Po południu wrzaskami i biciem pasami esesmani zaganiali je na otwarte ciężarówki, którymi wyruszały w ostatnią podróż. Nadal pamiętam twarze niektórych – pani Dessauvagie, pani Zandstry, dwóch sióstr Gorter, pani Storm i pani Grinsveen. Jedna krzyknęła do nas i poprosiła o zawiadomienie rodziny, co się stało, i żeby opowiedzieć światu, że „nie żałują popełnienia tej, jak to nazwali Niemcy, zbrodni”.

Innej nocy Niemka Gisela Krüger widziała, jak zabrali młodą Rosjankę, Galinę Czerniczenko: „Wykuśtykała z grupy i odmówiła ruszenia się z miejsca. Esesman pobił ją więc pasem, aż w końcu wrzucili ją na ciężarówkę i odjechała”. Romana Szweda widziała, jak zabierają polską dziewczynkę z amputowaną ręką i nogą. „Neudeck złapała dziewczynę za głowę i wrzuciła ją na ciężarówkę. Rapp i Koehler zawsze tam byli i pilnowali, żeby wszystkie ofiary zostały zapakowane, a doktor Vera wypisała właściwe numery na przedramionach”.

Doktor Vera naprawdę nazywała się Vera Salvequart, miała dwadzieścia sześć lat i była córką Czeszki oraz Niemca. Ją również wybrał Schwarzhuber. Po przyjeździe do Ravensbrück w grudniu 1944 roku Salvequart pierwsze trzy tygodnie spędziła w nędzy namiotu. Treite podczas wyszukiwania spośród więźniarek lekarzy i pielęgniarek odkrył, że studiowała medycynę na Uniwersytecie Karola, i wysłał ją jako pielęgniarkę do bloku tyfusowego, gdzie umierało 1500 kobiet. Potem Schwarzhuber dostrzegł ją i wysłał do Jugendlagru razem z Dorą Revier i jeszcze jedną pielęgniarką. Zostawił ją tam samą, gdy dwie pozostałe wróciły do głównego obozu.

Historia życia Salvequart przypomina nieco losy Carmen Mory. Przed przyjazdem do Ravensbrück posługiwała się kilkoma pseudonimami i równie dobrze mogła być szpiegiem, jak i prostytutką; w różnych momentach poszukiwała jej policja we Francji, Danii, Polsce i Austrii. Dla celów Schwarzhubera jej największym atutem były prawdopodobnie ujmujący uśmiech i łagodne zachowanie: mogła więc łatwo zdobywać zaufanie ofiar.

Sama Salvequart twierdziła, że nie chciała pracy w Jugendlagrze, ale towarzyszki więźniarki powiedziały, że przyjęła ją z radością, szczególnie że Schwarzhuber przysyłał jej co tydzień paczkę Czerwonego Krzyża i pozwalał na wypadki do pobliskiego obozu męskiego. Salvequart twierdziła również, że od początku Koehler i Rapp obserwowali ją i zakazali jej opowiadać o tym, co widziała, „albo zostaną zastrzelona”<sup>615</sup>.

Jako jedyna przedstawicielka personelu medycznego w Jugendlagrze „doktor Vera” na początku mieszkała sama w jednej części rewiru, później dołączyły do niej pomocniczki. Szpital był zwykłym drewnianym barakiem podzielonym na dwie części. Znajdowało się w nim coś w rodzaju umywalni i szopa nazywana ambulatorium. Druga strona, nazywana pokojem dziennym, stała pusta. Obowiązki doktor Very w pierwszych dniach realizacji programu zagłady były proste: musiała wypełniać akty zgonu wszystkich zmarłych i liczyć ciała. Pewnego razu liczba się nie zgadzała i musiała liczyć je od nowa.

Doktor Vera zajmowała się też powiadamianiem, jeśli to było możliwe, najbliższych krewnych i proponowaniem odbioru prochów zmarłej za opłatą. Wyjmowała zmarłym złote koronki i plomby za pomocą specjalnych szczypców i przekazywała je Koehlerowi i Rappowi. Zadania te wypełniały jej większość czasu, ponieważ od początku w Jugendlagrze umierało dziennie

od trzydziestu do czterdziestu kobiet, z głodu, zimna lub od chorób. Potem zaczęło się gazowanie i wieczorami chodziła do sali gimnastycznej wypisywać więźniarkom na przedramionach numery nieścieralnym atramentem i sprawdzać je z listą, zanim ofiary odjechały ciężarówką.

Tymczasem w obozie macierzystym Suhren – wciąż usiłujący sprostać wyznaczonemu przez Himmlera celowi – powiedział, że mordowanie odbywa się za wolno. Ciągłe trwały masowe rozstrzeliwania przez Molla i jego ludzi, ale nie dawali rady przyśpieszyć. Ponieważ komora gazowa miała ograniczoną wydajność, szukano teraz innych sposobów na przyśpieszenie procesu zabijania.

Nie wiadomo dokładnie, co działo się przez kilka kolejnych tygodni, ale gdzieś pod koniec stycznia lub na początku lutego 1945 roku Schwarzhuber wydał nakaz głodzenia: wszystkie więźniarki w Jugendlagrze, już teraz będące na głodowej diecie, miały odtąd otrzymywać po pół racji. Doprowadziło to do nowej fali biegunek i dyzenterii, a liczba zgonów wzrosła z czterdziestu do sześćdziesięciu dziennie. Mniej więcej w tym czasie pokój dzienny w rewirze stał się salą głodzenia: zamykano w nim bliskie śmierci więźniarki bez jedzenia i wody. Dozorczynie właczały tam po siedemdziesiąt i osiemdziesiąt kobiet z jednym wiadrem do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Więźniarki leżały na podłodze, a okresowo Koehler i Rapp sporządzali notatki, aby sprawdzić, po jakim czasie następuje zgon. Pewnego dnia Salvequart przyprowadziła z wizytą *Oberschwester* Marschall z „przyjaciółką” Ragną Fischer. Vera zeznała, że korzystając z okazji, poprosiła o możliwość odejścia z Jugendlagru, ale Marschall odparła, że jeśli jeszcze raz poruszy ten temat, zostanie rozstrzelana. „Powiedziała, że to obóz koncentracyjny, nie sanatorium”.

Z wizytą przyszedł również Treite, ale według Very uciekł, kiedy pokazała mu salę głodzenia. Na procesie Treite potwierdził, że w Jugendlagrze „kobiety dostawały pół racji i musiały stać po sześć godzin na zewnątrz. Działania te wyraźnie miały na celu wykończenie jak największej liczby więźniarek”<sup>616</sup>. Szacował, że dziennie umierało w ten sposób pięćdziesiąt kobiet.

Tak jak w Jugendlagrze wprowadzono głodzenie, tak doktor Trommer wprowadził jako kolejny środek zabijania masowe trucie, ale według zeznania Salvequart to Koehler i Rapp podawali truciznę, nie ona. Powiedziała, że

pierwszy raz trucie zastosowano, kiedy z głównego obozu przybyła grupa nowych więźniarek. O trzeciej po południu, „kiedy jak zwykle przybył transport zagłady”, Rapp nagle rozkazał Verze nie spisywać nazwisk, lecz czekać. Wspominała: „Ustawili kobiety w kolejce przez cały korytarz rewiru, a wtedy Koehler przeszedł wzdłuż szeregu i wskazywał: «Ta zbyt słaba, ta bezużyteczna», jakby szukali kogoś, kto ma jeszcze w ogóle jakieś siły”.

Mężczyźni wybrali wysoką Polkę, Irenę Szykowską, która cierpiała na puchlinę nóg, niezbyt ciężką chorobę. Koehler i Rapp wysłali Irenę, żonę polskiego generała, do rewirowej umywalni i oddali listę przyjęć Verze, aby kontynuowała sprawdzanie. Koehler udał się następnie do zabiegowego, wziął kubek i łyżkę. „Widziałam, jak bierze łyżeczkę białego proszku i wraca do umywalni”. Kilka minut później zawołali Verę do umywalni. Irena leżała na plecach, a Koehler klęczał jej na nogach i przytrzymywał ręce. Mężczyźni kazali Verze zacisnąć Irenie nos, aby otworzyła usta. Vera twierdzi, że odmówiła i uciekła, a Szykowska wołała: „Dlaczego chcecie mnie zamordować?!”. Więźniarki stojące na zewnątrz słyszały krzyki Ireny.

Vera twierdziła, że poszła do Neudeck, żeby zgłosić wydarzenie i ponownie poprosić o przeniesienie, ale Neudeck odparła, że nic nie da się zrobić. Salvequart wróciła do umywalni, gdzie Rapp kazał jej obserwować Irenę i informować, co się dzieje. „Było około dziesiątej wieczorem i poszłam jej pilnować. Mówiła do mnie, że jej mąż był w obozie w Niemczech, i prosiła mnie, bym przekazała jej synowi, redaktorowi szwajcarskiej gazety, jak umarła”.

Całą noc Irena miała konwulsje i nie mogła oddychać. „Piana ciekła z jej ust i uszu. Zmarła po jakichś trzech godzinach. Byłam z nią sama przez cały ten czas. Jedynym środkiem, jaki mogłam jej podać, była herbatka z rumianku”. Według Very Rapp wrócił o poranku i zabrał ciało. Koehler włożył resztę trucizny, około 35 gramów, do swojej prywatnej apteczki. „Zachowałam odrobinę, żeby popełnić samobójstwo, gdyby powiedziano mi, że nie wyjdę z obozu żywa”.

Salvequart twierdziła na swoim procesie, że gdy tylko poskarżyła się na wydarzenia, była karana, na przykład „poleceniem wyjmowania złotych zębów bez rękawiczek”. Zaprzeczyła też, że przyjmowała paczki od Schwarzhubera; powiedziała, że rozmawiała z nim tylko trzy razy, „pierwszy raz, by poskarżyć się na plagę szczurów w kostnicy, ale on nie pomógł”.

Protestowała, że podejrzewa się ją o trucie więźniarek, gdyż była jedyną

osobą, którą widywano, jak wchodzi do rewiru i z niego wychodzi, i ponieważ nosiła biały fartuch lekarski. Rozumiała, dlaczego nikt jej nie ufał: „Ponieważ mieszkałam tam, gdzie zabijano ludzi [...]. Ale nigdy nikomu nie mówiłam, że jestem lekarzem. Mówiłam tylko, że przez rok studiowałam medycynę. Nie ma świadków tego, że zabijałam ludzi”.

Gisela Krüger, niemiecka więźniarka, której Treite amputował nogę, była jednym z wielu świadków tego, że Vera zabijała. Gisela prowadziła dziennik, którym opisywała wydarzenia w rewirze zupełnie inaczej niż Salvequart. Według niej ona i 25 innych inwalidek trafiły do rewiru w Jugendlagrze zaraz po przybyciu na początku lutego. Wkrótce potem pojawił się Suhren i skomentował: „Dobry opał do krematorium. Zaoszczędzimy drewna”.

7 lutego Gisela zanotowała: „Brakuje jedzenia, nie ma lekarstw, tylko Vera ma proszek, zapewne na biegunkę – ale te, które zażyły «proszek», usnęły i nigdy się nie obudziły. Bardzo się martwię. Boli mnie w prawym boku, ale nic nie mówię z powodu «proszku»”. 8 lutego zapisała: „Wszystkie po amputacji muszą wyjechać z transportem. Mój Boże, dokąd? Pokłóciłam się z esesmanem Rappem. Jestem na liście inwalidek”. Gisela opowiada, że esesman skreślił ją z listy kalek, być może dlatego, że był „prostolinijny”, albo ponieważ Vera go poprosiła. „Vera wstawiła się za mną”, stwierdziła Gisela.

Kobiety, które nie chciały przyjąć proszku Very, często były bite tak długo, aż otworzyły usta, a „ona wsypała w nie” substancję. Innym razem „zajmowała się nimi za pomocą śmiertelnych zastrzyków”. Koehler i Rapp zastrzelili dwie chore, które trzykrotnie odmówiły przyjęcia proszku.

Gisela opisała też, jak pani Thüringer, niemiecka matka, która straciła trzech synów na froncie, krzyczała do jakiegoś cywila z fabryki Siemens; zauważyła go, gdy przechodził obok Jugendlagru, a ona szła w stronę rowu na nieczystości. „Pomóż nam, pomóż, zabiją nas tutaj”, błagała. Robotnik poszedł swoją drogą, a następnego dnia *Frau* Thüringer nie żyła, zamordowana w korytarzu obok latryny. „Rozpoznano ją po długich warkoczykach”. Nazajutrz przyszedł do niej list od męża, który pisał: „wojna wkrótce się skończy i wszyscy znów będziemy razem”.

Niekiedy matki i córki mordowano razem. Gisela wspomina pewną matkę, inwalidkę z rewiru, z siedemnastoletnią córką, głuchoniemą. Vera obu podała proszek. Matka zmarła dość szybko. Córka męczyła się 48 godzin i dostała drugą dawkę. Mimo to nadal żyła. Salvequart zrobiła jej więc śmiertelny zastrzyk w serce, mówiąc, co słyszała Gisela: „Ta mi działa na nerwy”.

Inną „ulubienicą” Very była Francuzka Irène Ottelard, niepełnosprawna do tego stopnia, że podczas selekcji do Jugendlagru na początku lutego musiała być pchana na wózku po błotnistej drodze wraz z szesnastoma innymi chorymi. „Dotarcie tam zajęło mnóstwo czasu – zeznała przed hamburskim sądem – ponieważ droga była bardzo zła, padało i było bardzo zimno”. Po przybyciu Irène umieszczono w zwykłym bloku, gdzie „większość więźniarek miała dyzenterię, więc nie mogły się wcale ruszać i miały po prostu umrzeć. Pozostawiono je bez żadnej, choćby najmniejszej, pomocy”<sup>617</sup>.

Irène przeniesiono do rewiru z jakimiś trzydziestoma innymi. Spała na pryczy ze swą przyjaciółką, madame Gabianuit, i wspominała, że szpital miał umywalnię „z uroczą porcelanową umywalką”. Ale kiedy weszła do łazienki, ujrzała trzy lub cztery kobiety leżące na podłodze. „Były całkiem nagie, jęczały i zawodziły. Pomyślałam, że to Polki. Słyszałam tylko «wody», ale to wszystko”. Później Irène dowiedziała się, że Salvequart robiła kobietom zastrzyki. „Widziałam, jak wchodziła do umywalni ze strzykawką. Wyciągała jakiś biały proszek”.

Irène poświadczyła w Hamburgu, że Salvequart mówiła chorym, że potrzebują proszku, by odzyskać siły, ponieważ wyjadą „w konwoju”. „Duża większość tych, które go wzięły, zasypiała i chrapała, a około trzeciej czy czwartej rano były martwe. Nawet moja przyjaciółka, madame Gabianuit, zażyła biały proszek i widziałam, jak umiera u mojego boku”. Przyjaciółka Irène, madame Ridondelli, cierpiała mocno z powodu dyzenterii i usłyszała, że jeśli jeszcze raz zabrudzi posłanie, dostanie zastrzyk. Nie mogła zapobiec kolejnej wpadce. „Później słyszałam, jak krzyczy: «Irène, zabiją mnie!», i nigdy więcej już jej nie widziałam”.

Wiele innych więźniarek, szczególnie kapo, gońcy i sekretarki, widywały, jak doktor Vera zabija. Lotte Sonntag, austriacka goniec, wspominała, iż Salvequart wyznała jej, że dziennie było wykonywanych 50 śmiertelnych zastrzyków. Potem pokazała jej proszek. Kiedy rozeszła się wieść, że biały proszek oznacza śmierć, Salvequart znalazła nowe sposoby, aby nakłonić więźniarki do przyjęcia trucizny. Dawna więźniarka Auschwitz Gerda Backasch opisywała nieznaną członkinię personelu, podającą jej pewnego ranka kromkę chleba z masłem i miodem. Zaskoczona, Gerda zaproponowała połowę przyjaciółce. W tym momencie Salvequart, która znajdowała się na zewnątrz, zapukała w okno i ostrzegła Gerdę, żeby nie jadła chleba, ponieważ

jest zatruty.

Członkini komando zajmującego się zwłokami, Józefa Majkowska-Kruszyńska, poszła pewnego dnia zabrać ciała z rewiru i znalazła zwłoki swej szwagierki Stanisławy Pozłotko. Józefa odkryła, że Stanisławę nakarmiono chlebem z masłem i miodem, który zawierał biały proszek.

Potem się już pilnowałam i nie jadłam chleba przygotowanego przez inne. Ostrzegłam też moje chore koleżanki. Żadna z nich nie chciała mi wierzyć. Pewnego dnia podano nam chleb z miodem i dwanaście kobiet włącznie ze mną odmówiło jedzenia i tylko te dwanaście przeżyło. Pozostałe zostały otrute i zmarły.

Kiedy Vera zobaczyła, że przeżyliśmy, przyniosła nam chleb, miód i margarynę w oryginalnych opakowaniach. Powiedziała, że to dodatkowe racje za ciężką pracę, którą wykonałyśmy. Byłam okropnie głodna, szczególnie patrząc na jedzenie, które leżało przede mną. Wreszcie odkroiłam sobie kromkę chleba i posmarowałam margaryną i miodem. Moje koleżanki zrobiły to samo. Wkrótce potem zachorowałam. Miałam gorączkę, cała się trzęsłam. Dwie moje koleżanki, które też jadły chleb, toczyły czerwoną pianę z ust. Przyglądające się więźniarki zasugerowały, żebym napiła się własnego moczu. Przełamałam wstręt i tak zrobiłam. Potem powtórzyłam tę terapię i mój żołądek wkrótce się opróżnił. Ktoś dał mi trzy kubki mleka. Moje przyjaciółki, które jadły chleb, zmarły tej nocy<sup>618</sup>.

Gdy trucie trwało, urządzano też selekcje do gazu i Mary O'Shaughnessy zaczęła żyć w ciągłym strachu przed laską Neudeck. Zważywszy jej różową kartę i protezę ramienia, była przekonana, że wkrótce zostanie wybrana, jednak po mniej więcej dwóch tygodniach padł numer Cicely Lefort. Najwyraźniej jej nazwisko pojawiło się na „liście Mittwerdy” na ten dzień.

„Stałyśmy na apelu, kiedy przyszło dwóch esesmanów z listą. Była przy tym Neudeck. Rozmawiała z esesmanem, a on wezwał Cicely. W jej przypadku nie było podstaw do selekcji. Nie miała różowej karty ani żadnego szczególnego kalectwa. Fizycznie wyglądała lepiej niż większość”.

Tak jak wiele innych więźniarek w Jugendlagerze Mary O'Shaughnessy zrozumiała już, że listy sporządzano w większości losowo. Neudeck sama wybierała ludzi, ponieważ to lubiła.

Kiedy zaczęły się selekcje, nikt nie wiedział, dokąd jadą pociągi, ale słyszano rozmowy. Strażnicy i kapo mówili: „Wkrótce nie będzie nic czuła” albo „Nie będzie potrzebowała koca tam, dokąd jedzie”. Holenderka Stijntje Tol pewnej nocy szła do latryny, kiedy spotkała Jugosłowiankę, która pracowała w sali gimnastycznej. „Powiedziała mi: «Dziś wieczorem zabrali około pięciuset». Rozmawiałyśmy po niemiecku. Zapytałam, dokąd je



wywieźli, a ona odparła: *Zur Himmelfahrt* [do nieba]”. Już wkrótce jednak, i na długo zanim wybór padł na Cecily Lefort, wszyscy wiedzieli, że niebem jest komora gazowa, ponieważ cały obóz o tym mówił, włącznie ze strażnikami.

Podczas niemieckich śledztw prowadzonych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ci sami strażnicy wypierali się jakiegokolwiek wiedzy albo trzymali się legendy o „Mittwerdzie”, by wyjaśnić swoją ignorancję; uciekali się też do innych kłamstw. Na swym hamburskim procesie Josef Bertl, szofer ciężarówki, oznajmił, że „nie interesował się” tym, co działo się z więźniarkami z Jugendlagru, i „nie pytał”.

Ruth Neudeck jednak wskazała Bertla jako kierowcę, mówiąc, że Schwarzhuber rozkazał mu codziennie trzymać w gotowości ciężarówkę dla Uckermark i „codziennie jechać do obozu o 18.00”. Bertl musiał wiedzieć, że transporty zmierzają do komory gazowej, oznajmiła Neudeck, z powodu tego, co powiedział mu Schwarzhuber. „Słyszałam, jak pewnego dnia Schwarzhuber powiedział mi: «Bertl, wiesz o gazowaniu, dziś wieczór znowu»”.

Neudeck opisywała, co działo się z jej punktu widzenia, kiedy ciężarówka przyjeżdżała do Jugendlagru. „Najpierw stawałam przy niej, żeby policzyć więźniarki, żeby nie było ani za dużo, ani za mało. To się zdarzało, gdy córka chciała pojechać z matką lub *vice versa*”. Neudeck zeznała, że ona, Rapp i Koehler zwykle musieli biciem zapędzać kobiety na ciężarówkę. „Rapp i jego przyjaciel też często siadali z tyłu auta, żeby żadna więźniarka nie wyskoczyła”.

Samochód jechał potem w stronę obozu macierzystego, wioząc więźniarki, Neudeck, inne dozorki oraz Rappa i Koehlera. Skręcał w lewo w stronę krematorium i komory gazowej, zawsze zatrzymywał się 50 metrów od celu. Rapp przyjaźnił się z Alfredem Cottem, który prowadził krematorium; on i Cott zwykle przeprowadzali po dwie kobiety każdy do budynku. Neudeck i jej nadzorki zostawały przy ciężarówce, dopóki nie wyprowadzono ostatniej więźniarki. Podczas jednej z pierwszych podróży Rapp opowiedział jej, co dzieje się dalej.

„Byłam w Uckermark trzy lub cztery dni, zanim Rapp powiedział mi, że wyselekcjonowane kobiety są gazowane w krematorium w Ravensbrück. Kiedy z powodu małej liczby ofiar [wybranych danego dnia] nie opłaca się ich gazować, kobiety po prostu rozstrzeliwuje się w krematorium”. Przy takich okazjach, ciągnęła Neudeck, „ja i inne dozorki słyszałyśmy strzały.

Ogólnie jednak większość więźniarek zabijano przez zagazowanie”.

W typowym dla siebie szczerym stylu Neudeck powiedziała sądowi, że „Mittwerda” była „wymysłem Schwarzhubera, żeby więźniarki nie wiedziały, że zostaną zagazowane”. Nie mogła zeznać, co działo się w komorze gazowej, ponieważ nie pozwalano jej się tam zbliżyć, co chyba ją denerwowało. Ale sam Schwarzhuber złożył podczas procesu niezwykle szczegółową relację. Chociaż minimalizował liczbę ofiar, jego zeznania było zasadniczo prawdziwe. Mówił:

Komora gazowa miała około 9 metrów na 4,5 metra i mogła pomieścić około 150 osób. Znajdowała się jakieś 5 metrów od krematorium. Więźniarki musiały się rozebrać w salce położonej 3 metry od komory gazowej, a stamtąd były prowadzone do komory przez mały pokój. Byłem obecny przy gazowaniu. Wpychali jednocześnie 150 kobiet do komory gazowej. Hauptscharführer Moll kazał im się rozbierać i mówił, że je odwszemy. Więzień w masce przeciwgazowej wchodził na dach i zrzucał puszkę z gazem przez otwór, który bardzo szybko zamykał. Słyszałem jęki i płacz. Po około dwóch, trzech minutach w pomieszczeniu zapadała cisza. Nie wiem, czy kobiety były martwe, czy oszołomione. Nie było mnie przy otwieraniu drzwi.

[602](#) Opis Jugendlagru i gazowania pochodzi z materiałów procesu hamburskiego, ale najważniejsze źródła znajdują się w aktach pierwszego procesu (seria rozpoczynająca się od WO 235/305), w którym oskarżeni byli Schwarzhuber i Salvequart, oraz procesu Ruth Neudeck (WO 235/516a). Sięgnęłam też do zeznań z Rastatt i tych złożonych niemieckim śledczym w latach siedemdziesiątych, kiedy podjęto nowe dochodzenie w sprawie Jugendlagru. Zob. BAL B162–9810. Większość zeznań i wspomnień ocalałych z tego okresu zawiera opisy selekcji i gazowań. Co ważne, kilka więźniarek przeżyło Jugendlager i wróciło, by dać świadectwo. Rozmawiałam z jedną z nich, Irmą Trksak.

[603](#) S. Salvesen, *Forgive*.

[604](#) WO 235/309.

[605](#) WO 309/421.

[606](#) Langbein, *People in Auschwitz*.

[607](#) Höss, *Autobiografia*, s. 125.

[608](#) Niewiele wiadomo o tych mężczyznach. Franz Koehler był Słowakiem, Rapp (którego imienia nigdzie nie podano) pochodził z Jugosławii. Obaj zniknęli po wojnie.

[609](#) WO 235/318.

[610](#) Atkins.

[611](#) WO 235/318.

[612](#) Wywiad autorki. Inne relacje kobiet z tej grupy zob. Lund, BAL i TNA.

[613](#) Relacja Mary O'Shaughnessy o Jugendlagrze należy do najcenniejszych. Zaczęła ją spisywać niemal natychmiast po wyzwoleniu, a potem złożyła serię zeznań na procesie hamburskim. Najżywiej odmalowane detale znalazły się w jej sześciostronicowej, ręcznie spisanej relacji (WO 235/516a). Zob. też WO 309/417 i Atkins.

[614](#) WO 235/516a.

[615](#) WO 235/317.

[616](#) Zeznanie z 5 maja 1945 roku, WO 235/309.

[617](#) WO 235/317.

[618](#) BAL B162/9814.

## Rozdział 34

### W ukryciu

Odkąd sprawy w Jugendlager Uckermark toczyły się gładko, esesmani niewiele robili, by zapobiec szerzeniu okropnych wieści w obozie macierzystym. Gońcy kursowali między Ravensbrück a Jugendlagrem, przenosząc wiadomości i listy zabitych lub wybranych do zabicia. Zakrwawiona odzież rozstrzelanych piętrzyła się nieustannie w *Effektenkammer*. Badaczki Pisma Świętego, zawsze chętne do załatwiania spraw, zdobyły zapas tranu i dostarczyły go do rewiru w Uckermark. Wróciły z opowieściami o białym proszku i truciu.

SS żądało od blokowych w Jugendlagrze przekazywania stanu zliczonego podczas apeli do sekretarek w głównym obozie, które wtedy porównywały dane ze swoimi informacjami. Do połowy lutego, gdy selekcje się nasiliły, zagazowano już 1500 kobiet. „Kiedy sprawdziliśmy liczby zmarłych, zdałyśmy sobie z odrazą sprawę z tego, co się tam działo”, wspominała Hermine Salvini, Austriaczka zajmująca się zliczaniem stanu osobowego<sup>619</sup>. Więźniarki w ruderach, które stały pod wewnętrznym, południowym murem głównego obozu, mogły słyszeć ciężarówki podjeżdżające pod krematorium, położone po drugiej stronie. Najpierw więźniarki zastanawiały się, czemu silniki na tak długo pozostawiano uruchomione, potem ktoś powiedział, że to dla zagłuszenia krzyków z komory gazowej.

Bunkier, dokładnie za murem krematorium, był teraz często wypełniony śmierzącym dymem, który kłębił się w celach. Kalefaktorka bunkra powiedziała pewnego dnia Geneviève de Gaulle, że jeden z pieców tak ciasno wypełniono ciałami, że zapalił się komin. Walter Schenk, szef krematorium – przed wojną strażak – dał inne wyjaśnienie pożaru. Aby spalić wciąż rosnący stos trupów, podkręcono temperaturę, a w rezultacie nocą 25 lutego zapalił się dach krematorium.

Schenk stwierdził, że nie da się określić, ile ciał spalono w tamtym czasie, ponieważ odpowiadał za palenie zwłok tylko za dnia, a nie były to ciała zagazowanych. „Zwłoki zagazowanych palono w nocy. Robiła to ekipa z Auschwitz. Musiałem zamawiać koks do palenia. W lutym 1945 roku zużycie wzrosło”<sup>620</sup>.

Plan ukrycia tego, co się działo, przed kobietami z Siemensa poprzez przeniesienie ich baraków do fabryki, również zawiódł. Robotnice cieszyły się czystymi nowymi kwaterami: jedzenie z kuchni fabrycznej było lepsze, zakład miał własnego lekarza i izbę chorych; wszystkie były zadowolone, że nie będą musiały codziennie maszerować tam i z powrotem. Ponieważ jednak fabryka stała na wzniesieniu, zapewniała więźniarkom widok na wszystko, co działo się poniżej. Nawet bez opuszczania Siemensa słyszały ciężarówki jeżdżące w obie strony po błotnistej drodze. A te, którym chciało się popatrzeć poprzez drzewa – bezlistne zimą – widziały w oddali małe drewniane wieżyczki strażnicze Jugendlagru i ciężarówki, wyładowane półnagimi kobietami, kierujące się w stronę komory gazowej.

U stóp wzgórza Siemensa ciężarówki zakręcały w stronę murów obozu głównego i zatrzymywały się pod komorą gazową i krematorium, położonymi zaledwie około 300 metrów dalej. „Często stałam i liczyłam pojazdy wyładowane zwłokami; jechały jeden za drugim, zawsze tą samą trasą – wspominała Anni Vavak. – Mówiliśmy o tym strażnikom w obozie Siemensa, którzy ukrywali te fakty przed cywilnymi pracownikami, a włosy stawały im dęba ze strachu”<sup>621</sup>.

Yvonne Useldinger, Luksemburka, która zaczęła pracę w fabryce w styczniu 1945 roku, prowadziła dziennik. 29 lutego zanotowała: „Przez nasz obóz przejechał transport śmierci do Uckermark. Słońce świeciło jasno”<sup>622</sup>. Kobiety od Siemensa otrzymywały też wiadomości o selekcjach od swych kontaktów w obozie macierzystym, gdzie więźniarki były lepiej poinformowane. Polka Irena Dragan zgłosiła się nawet na ochotnika, żeby załatwić sprawę w Jugendlagrze, chcąc sprawdzić wszystko osobiście.

Irena była studentką z Warszawy. Po czterech latach w Ravensbrück, włącznie z pobytem w bunkrze, była doświadczona i odporna. Oznaczona numerem w okolicach 7000, sama nazywała siebie „honorowym verfuigem”, co oznaczało, że wykręcała się od pracy, niemal nie zwracając na siebie

uwagi, szczególnie w chaotycznych ostatnich miesiącach wojny.

„Czasami udawałam robotnicę nocnej zmiany – wspominała. – Nie przejmowałam się niczym, bo uważałam, że i tak umrę”.

Pewnego dnia na początku marca 1945 roku, gdy Irena siedziała w swoim bloku, przyszła kapo i spytała o ochotniczki, które miałyby pójść z wózkiem i przywieźć koce z Jugendlagru. Irena podniosła rękę. Ścieżka przez las zaprowadziła ją do bramy; od razu zauważyła grupę kobiet stojących przed barakami. „Trzęsły się z zimna, a obok nich na ziemi leżał stos koców, zabranych trzy tygodnie wcześniej. Nie pozwolono im ich dotykać, więc spały bez przykrycia”.

Irena zaczęła rozmawiać z kobietami, które spytały jej, ile jedzenia dostają w głównym obozie. „Wykrzykiwały, że są głodne. Wcisnęły mi skrawki papieru z nazwiskami osób, które znały w obozie, aby im pomogły. Na jednym świstku któraś napisała, że chce chleba, ponieważ jest głodna, ale nie dodała nazwiska”.

Irena udała się na poszukiwanie polskiej blokowej, która – jak wiedziała – pracowała w Jugendlagrze. Znajoma powiedziała jej, że większość przybyłych z pierwszymi transportami już nie żyje. Te, które mieszkają w jej bloku, są niemal nagie, a ona nie ma dla nich żadnych ubrań. „Owiję je więc w papier i słomę z sienników. Widziałam tak ubraną kobietę, która przypominała rybę złapaną w sieć”.

Gdy Irena rozmawiała z blokową, pojawiła się Neudeck i zapadła cisza. „Uśmiechała się i miała w ręku kij z wygiętą niklowaną końcówką. Podeszła do kobiet ustawionych przed blokiem i zaczęła na nie wskazywać”. Blokowa spytała, dlaczego wybiera kobiety teraz, ponieważ to nie była zwykła pora.

Neudeck odparła, że będą robić na drutach, i kazała im się ustawić pod drzewem, na którym już wisiała nieżywa kobieta, przypominająca bardziej grudę niż człowieka... w oddali widać było inne ciała, niemal nagie.

Gdy Neudeck wybierała, część więźniarek próbowała się do niej uśmiechać, a ona powiedziała:

„Czemu się uśmiechacie do mnie?” – i kazała im stanąć pod drzewem wraz z innymi<sup>623</sup>.

Gdy Irena ładowała koce na wózek, dostrzegła inną znajomą Polkę, która pracowała w Jugendlagrze, i odezwała się do niej. „Powiedziała mi, że nocą był nalot, a ona pobiegła za kuchnię, żeby znaleźć nieco obierek z ziemniaków do zjedzenia. Widziała tam ciężarówkę i przykucnęła. Zobaczyła, jak esesmani

wysiedli i poszli do rewiru. Widziała, jak wyprowadzali stamtąd młode dziewczyny z obandażowanymi stopami i głowami”.

Znajoma wyjaśniła, że dziewczęta były więźniarkami z podobozów, mocno poszkodowanymi podczas bombardowań i nieprzydatnymi do pracy. Ich kierownicy odesłali je na śmierć do Ravensbrück. Niemal na pewno nie zarejestrowano ich w obozie macierzystym i zostaną zabite tutaj w ciężarówce specjalnie przystosowanej do gazowania. Polki wiedziały o tych ruchomych komorach gazowych, których Niemcy powszechnie używali w Polsce podczas pierwszych lat okupacji. Znajoma Ireny opisała, jak działały one w Jugendlagerze:

Młode dziewczęta w bandażach esesmani wyginali z rewiru na ciężarówkę. Kiedy samochód był pełny, zamykano drzwi. Ciężarówka była całkowicie zabudowana. Esesman wrzucał do środka puszkę przez małe okienko koło silnika i dawał się słyszeć tylko grzechot puszką uderzającej w coś. Trwało to około minuty. Zapadała śmiertelna cisza. Było kilka takich ciężarówek.

Irena musiała w pośpiechu opuścić Jugendlager, ponieważ jej koleżanka zebrała ubrania z krematorium i czekała na nią. „Na odzieży było tyle wszy, że wyglądała, jakby ktoś je sypnął szufelką”. Po powrocie do Ravensbrück Irena opowiedziała wszystkim w bloku, co widziała. Wkrótce wieści obiegły obóz.

Mijały cztery miesiące, odkąd Himmler nakazał zamknięcie komór gazowych w Auschwitz – bądź, jak ujął to Höss, „wstrzymanie zagłady Żydów”. Koniec funkcjonowania obozów zagłady na Wschodzie nie oznaczał jednak całkowitego „wstrzymania” gazowań: w połowie lutego 1945 roku co najmniej 1500 kobiet, Żydówek i nie-Żydówek, zostało zagazowanych w najnowszym obozie zagłady Himmlera na niemieckiej ziemi.

To, że te masowe mordy powinny trwać, nie było żadnym zaskoczeniem dla tych, którzy bezpośrednio zetknęli się z nazistowską machiną. W swym zeznaniu w Norymberdze Marie-Claude Vaillant-Couturier, więźniarka i Auschwitz, i Ravensbrück, opisała program eksterminacji w Ravensbrück jako „systematyczne i nieustępliwe dążenie do wykorzystania istot ludzkich jako niewolników i do zabicia ich, kiedy już nie będą mogli pracować”. Rudolf Höss, dawny komendant Auschwitz, mówił o „nieustępliwym dążeniu do zabijania”. Gdy oczekiwał na egzekucję, napisał, że dążenie to było tak długo podsycane w nazistowskiej mentalności, że ostatecznie nabrało własnej

woli, niemożliwej do wykorzenia.

W przypadku kobiet głównym celem zabijania było zniszczenie dowodów tego, co działo się przed przybyciem aliantów. Niektóre więźniarki bały się, że do tego czasu zostaną zagazowane. Inne mówiły, że to niemożliwe. Na wieść o tym, co stało się w obozie Stutthof, gdzie kilka tygodni wcześniej 5 tysięcy mężczyzn i kobiet wpędzono na bałtycki lód i rozstrzelano z karabinów maszynowych, niektóre przypuszczały, że zostaną rozstrzelane nad morzem.

A mimo to, chociaż ten pęd do eksterminacji wtrącił obóz w nowe otchłanie rozpacz, równocześnie części więźniarek przyniósł falę odwagi i nadziei. To unicestwienie nie pozostawiało wątpliwości, że Niemcy wiedzą, iż koniec wojny jest blisko, są więc wszelkie powody, by próbować przetrwać. Te, które miały jeszcze resztki sił, wiedziały, że wciąż mają szansę ocaleć, dopóki będą mogli przeciwstawić się głodowi, chorobom i ślepemu okrucieństwu.

Było jasne, iż esesmani i strażniczki wiedzieli, że wojna jest przegrana. Grete Buber-Neumann czasami zakradała się do biur SS przed apelem i oglądała powieszoną na ścianie mapę Europy w dużej skali. Małe chorągiewki na niej oznaczały sytuację na frontach – już nie na podstawie oficjalnych raportów niemieckich, ale według wiadomości pochodzących z wrogich radiostacji. „Za dnia mogliśmy czytać na ich twarzach, jakie były nowiny, a im gorsze były, tym bardziej stawali się przygnębieni”, wspominała Grete.

Dyscyplina wciąż podupadała. Można było nawet wymigać się od apelu, jeśli się znało sposób, a stojące na nim kobiety często rozmawiały albo czytały gazetę. Kiedy rozlegała się syrena przeciwlotnicza, strażnicy biegli do schronu. „Porządek w obozie całkowicie się załamał”, opowiadała Maria Moldenhawer, polska instruktorka wojskowa, która niemal zdawała się tęsknić za dawnymi dniami ścisłej dyscypliny. Germaine Tillion mogła nawet wystawić operetkę, którą potajemnie pisała od kilku miesięcy. Parodia *Orfeusza w piekle*, która według autorki miała pomóc więźniarkom „wytrwać dzięki śmiechowi”, miała tytuł *Le Verfügbar Aux Enfers* („Verfüg w piekle”) i została w tajemnicy wystawiona na tyłach baraku. Chór verflugów śpiewał o „wzorowym obozie ze wszystkimi wygodami, wodą, gazem, prądem – a przede wszystkim z gazem”.

U Siemensza zaczęły się poprawiać stosunki z cywilami. „Współczuli nam bardziej, ponieważ ich też zmuszano do pracy. Oni też nie mieli jedzenia”, wspominała ocalała z getta kieleckiego Basia Zajązkowska. Po obozie



w ogóle kręciło się mniej strażniczek i chętniej pozwalały zajmować się wszystkim więźniarkom: blokowym, kapo i obozowym policjantkom. Elisabeth Thury, austriacka szefowa obozowej policji, zdobyła jeszcze większe wpływy; Dorothea Binz gdzieś zniknęła.

W tych ostatnich miesiącach w najbardziej dramatyczny sposób zmieniło się zachowanie nowego doktora SS Franza Lucasa<sup>624</sup>. Podobnie jak wielu innych nowych przybyszów z SS poprzednio służył między innymi w Auschwitz i jak inni miał bliskie związki z okrucieństwami, włącznie z selekcjonowaniem więźniów do gazu. Loulou Le Porz nie widziała powodu, by ufać Lucasowi, kiedy pojawił się po raz pierwszy: „Nosił taki sam esesmański mundur, taką samą czapkę”. Ale Loulou wkrótce zauważyła, że Lucas szybko zaczął się zachowywać inaczej niż inni lekarze. „Przynosił nam leki i czasami zbadał pacjentkę. Treite zwykł dotykać je butem”.

Pewnego dnia Lucas zbadał młodą Holenderkę cierpiącą na gruźlicę, która na dodatek była w ciąży. „Okazał prawdziwą troskę małej Holenderce, a kiedy urodziła dziecko, przyniósł też dla niego mleko. Biedaczka urodziła, ale zmarła wkrótce potem i nigdy nie poznałyśmy jej nazwiska. Dziecko też szybko zmarło”.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Vera Salvequart w Jugendlagrze rozdawała biały proszek, eksperyment z trucizną był prowadzony w bloku 10. obozu macierzystego. Siostra Martha Haake kazała Loulou i nowej blokowej Erice Buchmann pójść ze sobą do części baraku, gdzie leżały śmiertelnie chore. Haake powiedziała, że ma specjalny proszek, który pomoże chorym zasnąć, i spytała o ochotniczki. Loulou instynktownie wiedziała, że Haake zamierza otruć kobiety. Próbowwała dać sygnał, żeby nikt się nie zgłosił, ale bez skutku; część pacjentek wzięła nawet podwójną dawkę proszku. Wtedy Haake wyszła, prosząc Loulou, by obserwowała ich reakcje. Pół godziny po zapadnięciu w sen chore zaczęły wymiotować czerwonym śluzem. Następnego ranka Loulou i Erika odkryły, że pięć kobiet zmarło. Inne jęczały bliskie śmierci, a krew ciekła im z ust, nosów i uszu.

Wezwano Lucasa, który był wściekły. Więźniarki w głównej części rewiru słyszały, jak protestował w obliczu Marschall, Trommera i Treitego. Później powiedział Loulou i Erice, że eksperymenty „nakazał Berlin”, a on nic o nich nie wiedział.

Sylvia Salvesen również zorientowała się w gotowości Franza Lucasa do pomocy. W styczniu lekarz poinformował ją, że jej młoda norweska „krewna” Wanda Hjort i jej ojciec znów odwiedzili obóz. Nie pozwolono im zobaczyć się z Sylwią, ale zostawili paczki z lekami. Lukas przekazał medykamenty Sylvii i zaoferował się jako pośrednik między nią a Hjortami.

Między więźniarkami a światem zewnętrznym otworzyło się więcej kanałów komunikacji. Polki otrzymały list od Aki Kołodziejczak, przyjaciółki zwolnionej na początku 1944 roku, a teraz znajdującej się w Ameryce. Dowiedziały się, że Aka próbuje nagłośnić ich losy w Stanach Zjednoczonych<sup>625</sup>.

Wreszcie spora liczba więźniarek dostawała paczki. Denise Dufournier otrzymała przesyłkę od swego brata Bernarda – załatwioną przez jego przyjaciela, hiszpańskiego dyplomata w Berlinie<sup>626</sup>. Ten sam Hiszpan wykorzystał swe wpływy w Niemieckim Czerwonym Krzyżu, żeby dostać się do obozu. Pewnego styczniowego dnia, ku swemu zaskoczeniu, Denise została wezwana *nach Vorne* i usłyszała, że ma gościa. Był to przyjaciel brata, który przekazał potem Bernardowi, że jego siostra jest przynajmniej żywa. Także „króliki” niespodziewanie zaczęły dostawać małe paczki, z sardynkami i medalikami – niektóre uważały, że pochodzą od papieża i są odpowiedzią na ich tajne listy. W rzeczywistości paczki wysyłały raczej katolickie misje w neutralnej Portugalii, które dowiedziały się zapewne o niedoli kobiet od polskich misjonarzy, a ci zdobyli wiadomości z rozgłośni Świt.

Na początku 1945 roku rozeszły się po Ravensbrück plotki, że prominentne więźniarki mogą być wymienione za niemieckich jeńców z obozów alianckich. Sekretarki z biura widziały dokumenty przechodzące przez biurko komendanta. Szeptano, że Geneviève de Gaulle i Gemma La Guardia Gluck mogą wkrótce wyjść na wolność.

Sygnaly wciąż były bardzo różne. Elisabeth Thury, szefowa obozowej policji, powiedziała pewnego dnia Sylvii Salvesen, że dostała polecenie zestawienia listy obozowych inteligentek, które da się wykorzystać jako zakładniczki. Z tego planu chyba nic nie wyszło. Kilka dni później grupa prominentnych zakładników, od pewnego czasu trzymanyh bunkrze, została wyprowadzona na rozstrzelanie<sup>627</sup>. Wśród nich znalazł się Helmuth von Moltke, niemiecki pacyfista i przywódca konspiracyjnego Kręgu z Krzyżowej.

Tymczasem Suhren wezwał do swego gabinetu Karolinę Lanckorońską.

Komendant wypytywał o jej zdrowie, pytał, czy ma dość jedzenia i odzieży. „Zachowywał się jak sklepikarz, który proponuje towar. Powiedziałam, że niczego mi nie trzeba, Zniecierpliwił się i powtórzył pytanie. Wreszcie mnie znów wyprowadzono”.

Poczucie, że świat zewnętrzny rzuca koła ratunkowe do Ravensbrück, mimo iż selekcje w Jugendlagrze się nasiliły, podbudowało morale części więźniarek i zachęciło je do podejmowania większego ryzyka. Czerwonoarmistki protestowały przed Suhrenem, gdy usłyszały, że do obozu na stracenie przybyła grupa rosyjskich dzieci. Komendant pozwolił dzieciom żyć, dopóki będą przebywać w bloku radzieckim.

Kiedy w bloku 10. odbyła się kolejna runda selekcji, Loulou Le Porz i jej przyjaciółki Marie-Claude Vaillant-Couturier i Jacqueline d'Alincourt dyskutowały, czy też powinny złożyć protest u Suhrena. Wszystkie trzy spotkały się na niedzielnym spacerze na Lagerstrasse i rozmawiały, co robić. Loulou wspominała:

Byłyśmy zszokowane. Zaczęłyśmy pojmować, że chcą unicestwić wszystkie nasze chore i nas pewnie też. Jacqueline chciała pójść prosto do komendanta i zaprotestować; poszłaby do Suhrena, powiewając francuską flagą, gdyby mogła. Ale ja pomyślałam, co się stanie, gdy pójde do bloku karnego i nie będę mogła zajmować się moimi pacjentkami. Marie-Claude też była ostrożna. Postanowiłyśmy nie protestować, ale pomóc naszym więźniarkom na własny sposób.

W bloku NN część „królików” ośmieliła się nawet mieć nadzieję, że mimo wszystko wrócą do domu, po prostu dlatego, że jeszcze nie zostały rozstrzelane. Bardziej niż którakolwiek inna grupa „króliki” zawsze miały powód, żeby wierzyć, że zostaną zabite, ponieważ były żywymi dowodami. Na wszelki wypadek jedna z nich ostatnio zdobyła aparat na obozowym czarnym rynku i przekonała Germaine Tillion, by zrobiła zdjęcia ich nóg jako dowód, gdyby nastąpiła ostateczna rozprawa.

Wanda Wojtasik jednak wierzyła, że gdyby SS chciało je rozstrzelać, już dawno by to zrobiło. „Coraz częściej pozwalałyśmy sobie na zuchwałą myśl o wolności”. A Krysia Czyż, która nie mogła już pisać tajnych listów do domu, wypełniała czas rysowaniem misternych map, pokazujących szlaki, którymi zamierzała dotrzeć do domu, do Lublina<sup>628</sup>.

Kiedy więc 4 lutego przybyła goniec z informacją, że wszystkie „króliki” mają zostać w bloku aż do odwołania – oznaczało to wyrok śmierci

i wszystkie o tym wiedziały – szok był dużo gorszy niż w sytuacji, gdyby nie obudziła się w nich nadzieja.

„Takiej ciszy jak po jej [gońca] wyjściu nie było nigdy”, wspominała Wanda Wojtasik. Spojrzała na twarz Krysi, która była szara. „Nie blada, ale szara”. W kilka sekund wieść rozeszła się po całym bloku i inne, które nie były operowane, załamały się, wykrzykując o niesprawiedliwości. Lodzia, dziewczyna ze wsi, zaczęła szlochać, czym zaraziła pozostałe, i wszystkie płakały.

„Czuło się bliski koniec wojny. Teraz gra szła o to, kto wytrzyma do końca. [...] Bogna nie pozwalała mówić o wyjściu. Twierdziła kategorycznie, że nas przed wyjściem i tak rozstrzelają”, wspominała Wanda. Tego wieczoru rozeszły się pogłoski, że zostaną ewakuowane do Gross-Rosen, a nie stracone, ale wszystkie wiedziały, że to kłamstwo, bo Gross-Rosen było już wyzwolone<sup>629</sup>.

Całą noc w bloku trwały gorączkowe narady, co robić; napływały wyrazy wsparcia z całego obozu. Niektóre w oczekiwaniu na śmierć pisały listy do najbliższych i wręczały je koleżankom do wysyłki. Inne „króliki” śpiewały patriotyczne piosenki.

Jedna z grup planowała sprzeciwić się wszelkimi możliwymi sposobami. Obejmowała ona niezłomne z poprzednich protestów – Wandę, Krysię i Dziubę Sokulską – oraz wiele innych. Przywódczyniami były Jadwiga Kamińska i Zofia Baj, które zaproponowały dwuetapowy plan. Po pierwsze, do Suhrena miała się udać delegacja i skłonić go do przyznania, że sugestia o transporcie do Gross-Rosen była kłamstwem. Miały wtedy zażądać odczytania im wyroków śmierci przed egzekucją.

Po drugie, „króliki” miały zrobić wszystko, żeby nie dać się złapać i rozstrzelać, co oznaczało ukrywanie w całym obozie. Jeden ze sposobów polegał na dołączeniu do grup „zugangów” – nowo przybyłych – które nie miały jeszcze obozowych numerów.

Wiedziały z doświadczenia, że pierwsza próba wyłapania ich nastąpi zapewne podczas porannego apelu, miały więc tylko kilka godzin na przygotowania. Aby plan się powiódł, „króliki” potrzebowały ochotniczek, które zajęłyby ich miejsce w szeregach, podczas gdy one by się ukryły. Od razu posłano wiadomość zaprzyjaźnionym blokowym, a gdy o czwartej zawyły syreny, ochotniczki były gotowe. Wsparcia udzieliły czerwonoarmistki, też

z bloku 24., które oddały „królikom” swe racje zupy, mówiąc: „Wam teraz, dziewczęta, potrzeba sił”. Szura, rosyjska elektryk, obiecała, że zgasi światła podczas apelu, żeby ukryć brak „królików”. Dwie inne czerwonoarmistki odnalazły Lanckorońską i szepnęły jej: „Pani Karlo, «królików» nie damy”.

„Stała się niezwykła, niesłychana rzecz – cały obóz postanowił, że zostaniemy ocalone”, powiedziała Dziuba Sokulska<sup>630</sup>. Jednego „królika” miała zastąpić radziecka lekarka, innego Jugosłowianka. Norweżka Bjorg powiedziała swej operowanej koleżance, że pójdzie na egzekucję zamiast niej. „Ty musisz żyć – mówiła – musisz pokazać światu, co oni tu robili. Ja jestem starsza, ja mogę zginąć”. Wiele Polek też się zgłosiło. Starsza kobieta, Władka, tłumaczyła Wandzie, że ma raka, więc i tak wkrótce umrze. Jeśli nie może zastąpić Wandy, to zastąpi Krysię; upierała się, że któraś z nich musi przeżyć i opowiedzieć o wszystkim. Ani Wanda, ani Krysią się nie zgodziły.

Dwanaście „królików” miało się ukrywać i o czwartej rano one i ich zastępczynie były gotowe. Gdy rozpoczął się apel, ta dwunastka wymknęła się, a ich zastępczynie stanęły w szeregach, zanim dozorcynie zaczęły liczyć. Podczas apelu z tylnych rzędów zaczął się rozchodzić szept: „Idą po nie! Idą po nie!”<sup>631</sup>. Waława Jędrzejak w oddali dostrzegła Suhrena, otoczonego przez strażników z psami, idącego Lagerstrasse. Jedna z dozorczyń niosła listę nazwisk. Syrena jeszcze nie zawyła, ale okrzyki *Arbeitsappell!* rozległy się od strony szeregów, które się rozpadły. Niektóre krzyczały: „Nie damy wam ich zabrać!”. Strażnicy próbowali odzyskać kontrolę, ale w tym momencie elektrotechnik z Armii Czerwonej wyłączyła prąd i cały obóz pograżył się w ciemnościach<sup>632</sup>.

Kolumny więźniarek zderzały się ze sobą po omacku, podczas gdy „króliki” zostały poukrywane w różnych blokach. Strażnicy się wycofali, czekając, aż wróci porządek. Suhren najwyraźniej rozkazał, żeby nie strzelać. Gdy weszło słońce, zamieszanie było całkowite. Komanda robocze zaczęły się formować w innym składzie niż zwykle, kilku królikom udało się dołączyć do nienumerowanych „zugangów”. Inne zamieniały numery, uniemożliwiając strażnikom śledzenie ruchu więźniarek.

Kiedy Lagerstrasse wreszcie opustoszała, tylko dwie liderki „królików”, Jadwiga Kamińska i Zofia Baj, wróciły do swego właściwego bloku, by koordynować opór. Przekazywały wiadomości między ukrywającymi się i pełniły funkcję rzeczniczek grupy, równocześnie uruchamiając drugą część

planu. Zofia i Jadwiga stanęły przed Suhrenem, żeby skłonić go do przyznania, że informacja o wysłaniu ich do innego obozu była kłamstwem. Trzymając się scenariusza, kobiety oznajmiły, że jeśli „króliki” mają zostać stracone, to „z honorami”. Suhren odmówił ustępstw i rozkazał zebrać wszystkie więźniarki. Zofia i Jadwiga poleciły koleżankom, by zostały w ukryciu.

Codziennie podczas apelu te same zastępczynie stawały w miejsce brakujących „królików”; codziennie Szura wyłączała prąd, gdy zaczynało się liczenie. Komendant żądał kolejnych apeli, przeszukiwania obozu i ścisłej obserwacji wyjść, ale na próżno. Część „królików” wyjechała z „zugangami” do fabryk zbrojeniowych daleko od Ravensbrück, reszta rozproszyła się po całym terenie. Jedną z operowanych, Maria Cabaj, ukrywała się w szpitalu wśród chorych i umierających. Wciąż straszliwie obolała po swojej „operacji”, bała się, że szybko ją znajdą, ponieważ nie mogła się ruszać; bała się też, że zostanie żywcem wrzucona do pieca krematoryjnego. Znalazła nową energię – „skąd w tym bólu, cierpieniu brało się tyle odwagi, energii, nie wiem, wiem tylko, że mimo wszystko nie chciałam umierać”.

Antonina Nikiforowa, lekarka czerwonoarmistka, ukrywała Wacławę Andrzejak na oddziale tyfusowym, pod numerem Węgierki, która niedawno zmarła. Wacława przeleżała przerażona dwa dni, tracąc przytomność. Kiedy mogła się rozejrzeć, zobaczyła gorsze rzeczy niż w bloku „królików”. „W bloku chorych na tyfus działy się rzeczy trudne do opisanego. Leżały tam poza chorymi na wszelkie odmiany tyfusu również kobiety szkielety chore na biegunkę [...] Na sali panował trudny do zniesienia odór. Śmiertelność była zastraszająca. Przeciętnie w ciągu doby umierało 40–50 kobiet”.

Początkowo Wacława bała się chodzić do łazienki. Wreszcie zebrała się na odwagę i odkryła, że w łazience piętrzyły się zwłoki. „Z zupełną obojętnością myłam się wśród nagich, wychudłych do ostateczności trupów kobiet, które zmarły na biegunkę bądź też na tyfus. Trupy nie robiły już na mnie najmniejszego wrażenia”.

Cały czas nowe chore trafiały na oddział, gdzie też regularnie przeprowadzano selekcje do gazu. „Dłużej ukrywać się tam nie mogłam ze względu na selekcje. Zresztą przebywając tam dłużej, postradałabym zmysły”. Wacława wróciła więc do swojego bloku i ukrywała się „w lukach fundamentowych”<sup>633</sup>. Maria Cabaj była równie przerażona warunkami w szpitalu. „Pewnego dnia, nie mogąc już wytrzymać nerwowo, wyskoczyłam



przez okno z rewiru i poszłam do swego dawnego baraku. Niech już raz będzie koniec, pomyślałam”<sup>634</sup>.

Wanda Wojtasik porównała manewry królików do „strasznej gry w chowanego”. „Hasło «króle łapią» stało się powszechnie zrozumiałe i wiele razy w ciągu dnia podnosił się alarm”<sup>635</sup>. Leokadia Kwiecińska, inna operowana, z perspektywy czasu patrzyła na te ostatnie miesiące w obozie jak na „jakiś dziwny, niepojęty sen. Sen tragiczny i mający zarazem jakieś akcenty komiczne”.

Zwykle „króliki” czerpały dumę ze swej „schludności”. W tym czasie, „jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki”, wszystko to zniknęło. „Należało jak najbardziej upodobnić się do całej otaczającej nas masy kobiet, zatracić się w niej. Ukrywać chore, charakterystycznie okaleczone nogi”. Joanna Szydłowska obcięła swe wspaniałe włosy. Wanda i Krysia przebrały się za *Goldstücke*, zawiązując „chustkę pod brodę, jak Ukrainki”, zaplatając warkocze nad czołem i grzebiąc w poszukiwaniu jedzenia.

Krysia nagle zaczęła wyglądać zupełnie inaczej. „Pamiętam Krysię Czyż bez okularów, co nadawało jej miłej, drobnej twarzy wyraz jakiejś niepewności i nadmiernej powagi”, wspominała Leokadia. Ponieważ ona sama nie umiała się obejść bez okularów, osłaniała twarz czarnymi chustami<sup>636</sup>.

Przez następne dwa tygodnie, gdy „króliki” żyły jak ścigana zwierzyna, żadna z nich nie została zdradzona ani schwytana. Część więźniarek zauważyła, że strażnicy nie przykładali się do poszukiwań, może dlatego, że – jak wspominała Wanda – „koniec wojny był już tuż”.

Wtedy Suhren wystąpił z nową inicjatywą. Najwyraźniej doprowadzony do ostateczności wezwał jedną z operowanych, Marię Brole-Plater, „i dał jej do podpisania kartkę, która głosiła: «Ja, niżej podpisana, stwierdzam, że blizna na mojej nodze pochodzi od wypadku przy pracy». Za podpisanie kartki miała iść na wolność”. Odmówiła. Później na rozmowę wezwano Jadwigę Kamińską i Zofię Baj. „Jadźka, zawsze odważna, czasem aż do bezczelności, powiedziała, że o tych operacjach wie cały świat”. „Dla niego samego mogłoby być okolicznością łagodzącą, że dzięki niemu «króle» wyszły żywe...”.

Suhren przerwał jej, mówiąc, „że on sam nic nie może, że to Berlin, ale że on może się porozumieć”, i odesłał więźniarki do bloku<sup>637</sup>.

Według innej relacji, Janiny Iwańskiej, to w wyniku tego spotkania

z Suhrenem dziewczęta dowiedziały się, że listę kobiet przeznaczonych do stracenia komendant otrzymał bezpośrednio od Karla Gebhardta, z poleceniem, żeby je zagazować. Złość Suhrena z powodu wtrącania się Gebhardta była w owym czasie oczywista dla „królików”, wynika to też z jego powojennych zeznań. Suhren wyraźnie miał Gebhardtowi za złe używanie „jego” więźniarek do eksperymentów, co czyniło go współwinnym i niszczyło mu opinię. Teraz, wykorzystując przyjaźń Reichsführera, Gebhardt nadużył stanowiska i nakazał Suhrenowi zagazowanie kobiet, czego ten wcale nie miał ochoty uczynić<sup>638</sup>.

Karolina Lanckorońska stwierdziła, że Kamińska i Baj skutecznie nastraszyły władze obozowe: „Binz, której nazwisko również miało być wymienione [w audycjach radiowych], była w każdym razie przerażona”<sup>639</sup>.

Tymczasem inne „króliki” pozostawały w ukryciu, rozpaczliwie mając nadzieję, że Rosjanie wkroczą, zanim znajdą je esesmani.

<sup>619</sup> WO 235/318.

<sup>620</sup> WO 235/526.

<sup>621</sup> Vavak, „Siemens & Halske im Frauenkonzentrationslager Ravensbrück”, DÖW, akta Ravensbrück 49.

<sup>622</sup> Dziennik Useldinger, ARa.

<sup>623</sup> Dragan, Lund 239.

<sup>624</sup> Kilka więźniarek mówiło o pomocy Lucasa, szczególnie Loulou Le Porz i Salvesen, *Forgive*.

<sup>625</sup> Kiedy Aka wreszcie dotarła do Stanów Zjednoczonych pod koniec 1944 roku, udzieliła wywiadów kilku gazetom i rozgłoszonym radiowym; opisywała w nich szczegółowo warunki w Ravensbrück i eksperymenty medyczne. Wywiady z nią dla „Time’a” i Hearst Press nosiły tytuły w stylu *Krzyczała poprzez noc*. W wywiadzie radiowym w styczniu 1945 roku Akę zapytano: „Czy wszystko, co słyszeliśmy o okrucieństwie Niemców wobec kobiet i dzieci, to faktycznie prawda?”. O liście Aki do koleżanek w obozie zob. wywiad autorki z Marią Bielicką oraz K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 317.

<sup>626</sup> Informacja z jej autobiografii *La Maison des Mortes*. Kopię tego tekstu przekazała mi jej córka Caroline McAdam Clark.



[627](#) Frank Chamier – „Frank z Upwey 282” – był prawdopodobnie w tym czasie torturowany i został stracony. Chamier był jedynym agentem MI6, o którym wiadomo, że został zrzucony ze spadochronem nad Niemcami. Schwyty przy lądowaniu, był przesłuchiwany w kwaterze Sipo w Drogen, 8 kilometrów od Ravensbrück, co tłumaczy, dlaczego przetrzymywano go w obozie. O historii Chamiera, jego niemieckim oprawcy i ukrywaniu przez Brytyjczyków jego śmierci po wojnie zob. Sarah Helm, *The Wartime Hero Abandoned by MI6*, „Observer”, 21 maja 2005, oraz *A Nazi in Her Majesty's Secret Service*, „Sunday Times”, 7 sierpnia 2005.

[628](#) *I boję się snów*, s. 151. Rysunki Krysi znajdują się w Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem” w Lublinie.

[629](#) *I boję się snów*, s. 151–152; U. Wińska, *Zwyciężyły wartości*, s. 310.

[630](#) Dalszy opis oparty jest na relacji Sokulskiej (WO 235/318), *I nie boję się snów*, s. 152 i nast., oraz innych wspomnieniach Polek.

[631](#) Zamieszanie najlepiej opisuje W. Kiedrzyńska, *Ravensbrück*, s. 210; K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 316.

[632](#) Lanckorońska stwierdza, że „obrona «królików» w najbardziej krytycznym momencie była ze strony krasnoarmiejek niewątpliwie aktem wysoce etycznym, lecz również pierwszorzędnym posunięciem propagandowym; zyskała im sympatię całego obozu” (*Wspomnienia wojenne*, s. 316). Zob. też dramatyczne opisy w *Ponad ludzką miarę* oraz *I boję się snów*. Te same źródła zawierają informacje o „nowej inicjatywie” Suhrena i jego odwróceniu.

[633](#) Wspomnienia Waławy Andrzejak w: *Ponad ludzką miarę*, s. 34–35.

[634](#) Wspomnienia Marii Cabaj w: tamże, s. 46–47.

[635](#) *I boję się snów*, s. 155.

[636](#) Wspomnienia Leokadii Kwiecińskiej w: *Ponad ludzką miarę*, s. 202–203; *I boję się snów*, s. 156.

[637](#) *I boję się snów*, s. 162–163; K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 317–318.

[638](#) W swym powojennym zeznaniu Suhren powiedział, że pewnego razu odmówił przekazania Gebhardtowi „materiału ludzkiego” do eksperymentów, a wskutek tego Gebhardt „obrzył go”, zagroził, że porozmawia o tym z Reichsführerem, i komendant zostanie wyrzucony. „Zdenerwowany i nieco przestraszony” Suhren przeprosił Gebhardta i został zmuszony do „dostarczenia mu ludzi” (WO 235/318).

[639](#) K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 317. Stwierdziła ona również, że „celem rozmowy był

wywiad na temat Aki Kołodziejczak”. Wiedziały, że Aka mówiła o eksperymentach w Stanach Zjednoczonych i że przekazała nazwiska esesmanów. Nowo przybyłe do obozu znały sprawę, gdyż „wspominano o «królikach» w audycjach radiowych” (aluzja do audycji rozgłośni Świt).

## Rozdział 35

### Königsberg<sup>640</sup>

W małym obozie Königsberg nad Odrą<sup>641</sup> Violette Szabo, brytyjska agentka SOE, również trwała w nadziei. Mówiła koleżankom z bloku o córeczce, Tani. „Za kilka miesięcy znów będę ją trzymać w ramionach”.

Mijały właśnie prawie trzy miesiące od chwili, kiedy kobiety, które przyjechały razem z Paryża we wrześniu 1944 roku, zostały zesłane do obozu karnego – w wyniku odmowy pracy przy produkcji amunicji w Torgau. Po pracy na zamrzniętym lotnisku teraz kopały rów pod kolejkę wąskotorową i kładły tory. Podnoszenie ciężkich stalowych szyn odmrożonymi rękami i potykanie się na zamrzniętych stopach to było więcej, niż większość z nich mogła znieść. Strażnicy umieszczali silniejsze Polki i Rosjanki na czele szeregu, ale Francuzki i niewielka grupka Brytyjek i Amerykanek nie mogły dotrzymać im kroku.

Przynajmniej w niedziele mogły odpocząć w bloku i rozmawiać, dzięki czemu Violette zaprzyjaźniła się z Christiane Le Scornet, siedemnastoletnią Francuzką. „Violette traktowała mnie jak młodszą siostrę – wspominała Christiane. – Wykazywała się wyjątkową lojalnością i odwagą”.

Wszystkie agentki SOE mieszkały w bloku Christiane. Wspominała, że Lilian Rolfe była okropnie chuda i szokująco blada, a Denise Bloch cierpiała straszliwie od ran z niedożywienia. Przebywały tu też trzy Amerykanki – Charlotte Jackson, Lucienne Dixon i Virginia Lake – oraz jeszcze jedna Angielka, Jenny, która jednak zachowywała się powściągliwie i nie lubiła mówić o swoim brytyjskim pochodzeniu. W tej grupie Violette była w najlepszym stanie zdrowia i wszystkie próbowała zabawić. „Często opowiadała o Tani. Mówiła: «Jest w Londynie z moimi rodzicami, kochana i bezpieczna»”. Była pewna, że wkrótce spotka się z córeczką i zastanie ją w dobrym zdrowiu”.

W Boże Narodzenie kobiety przystroiły blok sosnowymi gałązkami, a gdy Violette zaintonowała *God Save the King*, Christiane do niej dołączyła. Christiane opisała, jak zwróciła się do innej Francuzki, Mathilde, i powiedziała: „Teraz twoja kolej, no, dawaj, Mathilde, śpiewaj!”. Ale Mathilde odparła: „Zaśpiewam, kiedy znajdę moje dzieci i męża”. Kiedy Christiane dalej na nią naciskała, Violette z oczami pełnymi łez rzekła: „Zostaw ją, Criss. Rozumiem ją, naprawdę nie może”.

„Violette właśnie taka była – opowiadała Christiane. – Zawsze znajdowała czas dla tych, które cierpiały bardziej od niej, i próbowała dać im odwagę swoją delikatnością i uśmiechem”. Christiane zapamiętała również „absolutne przekonanie” Violette, że Niemcy przegrają wojnę. „Cały czas mówiła o tym, że alianci nadejdą lada dzień. «Musimy wszystkie wytrzymać, musimy być silne», powtarzała”.

Violette i wszystkie jej koleżanki więźniarki wiedziały, że z powodu położenia podbozu będą pierwszymi wyzwolonymi kobietami z Ravensbrück. Königsberg znajdował się 6 kilometrów na wschód od Odry i bezpośrednio na trasie marszu Armii Czerwonej. W styczniu 1945 roku 1 Front Białoruski zaczął główne natarcie, które miało dojść do Berlina. Drogi wokół Königsbergu zapełniły się już uchodźcami uciekającymi na zachód, a cywile pracujący na lotnisku też zaczęli się pakować i wyjeżdżać.

Styczeń był najzimniejszym miesiącem w Königsbergu. Co rano na placu apelowym kobiety mdlały na śniegu. Jeśli przyjaciółki nie zniosły ich do izby chorych, zostawały tam, gdzie upadły. Te, które jeszcze trzymały się na nogach, skupiały się na ratowaniu siebie. „Pierwszą reakcją było: «Nie ruszę się, nikomu nie pomogę, jestem taka słaba, że muszę zachować te resztki sił, żeby samej nie upaść»”, opowiada Virginia Lake. Jacqueline Bernard mówiła, że większość po prostu słabła coraz bardziej, bez świadomości, że umierają. „Większość, która umarła w ten sposób, nigdy nie trafiła do baraku szpitalnego i musiały stać co rano na apelu w mróz. Wiele zmarło, zanim skończył się apel”.

Pewnego ranka Lilian Rolfe upadła na apelu w ataku kaszlu. Denise Bloch nie mogła pomóc, ponieważ sama strasznie cierpiała z powodu zakażenia stopy. Violette i Virginia Lake, najsilniejsze z małej grupy, pomogły zanieść Lilian do szpitala, który i tak był już pełny.

Suzanne Guyotat, młoda Francuzka, która kuliła się na podłodze obok Lilian,

wspominała, że szpital przypominał bardziej chlew niż szpital<sup>642</sup>. Nie było tam wyposażenia medycznego, żadnego ogrzewania, koców, jednak więźniarki na zewnątrz tęskniły za rewirem, gdzie można było się chociaż schronić przed mrozem. Przyjaciółka Virginii, Janette, znajdowała się wśród nich i w końcu została przyjęta, z temperaturą 38 stopni, a potem wyrzucona, kiedy gorączka jej spadła.

Chore kobiety, które nie mogły zostać w rewirze, upychano w zwykłych blokach; ich nogi pokrywały zaognione rany, serca i płuca ledwo funkcjonowały, więc wyraźnie nie mogły pracować. Komendant Königsbergu wysłał wiele tych bezużytecznych więźniarek ciężarówkami z powrotem do Ravensbrück, a potem do podobozu dotarły wieści, że wszystkie nie żyją. Wściekły z powodu liczby chorych w swoim obozie komendant kazał pozostałym stać na placu apelowym w śniegu przez pięć godzin, tak jak w Jugendlagrze. Uśmiercanie poprzez apel stało się teraz ulubioną metodą również w kilku innych podobozach.

Te, które utrzymały się na nogach, szły do pracy. Najśłabsze padały w śnieg: Suzanne Guyotat zauważyła brak jednej z koleżanek i znalazła jej ciało przymarzniete do ziemi. Innego dnia Virginia odkryła, że jej przyjaciółka Janette kuca za stosem darni i łka: „Chcę umrzeć. Nie wytrzymam dłużej. Chcę umrzeć”.

Virginia wspominała, że niektóre Angielki i Amerykanki sugerowały, że ich grupa powinna na ochotnika zgłosić się do pracy w lesie, gdzie byłoby mniej zimno, ponieważ drzewa osłaniałyby przed wiatrem. Długi marsz prowadził przez zasy, tak ubite, że tworzyły śnieżne platformy, na których łatwo było skrócić nogę. W stopę Denise wdała się gangrena, co uniemożliwiało chodzenie, więc została w bloku.

Praca w lesie oznaczała ściąganie ściętych wcześniej pni i wykopywanie korzeni. Cała szóstka trudziła się przy jednym wielkim drzewie, znikając, w miarę jak kopały i piętrzyły ziemię wokół siebie. To była wyczerpująca harówka, ale dawała osłonę i mogły rozmawiać, atakując zmarznięty grunt. Kilka Francuzek zapamiętało, jak Violette pracowała wśród korzeni i gawędziła z nimi. Jeannie Rousseau, inspiratorka protestu w Torgau, powiedziała, że Violette wciąż myślała o ucieczce, ale nie mogła wymyślić sposobu. „Ta dziewczyna nigdy się nie skarżyła. Wydawało się, że praca jej nie szkodzi, w przeciwieństwie do jej dwóch przyjaciółek, które znajdowały

się w okropnym stanie”.

W południe kobiety nasłuchiwały odległego warkotu auta z zupą. Jego przyjazd oznaczał walkę o miejsce w kolejce ze „stadem dzikich Polek i Rosjanek”. Dozorczynie o przydomku *La Vachère* (Dojarka) często kopała garnek tak, że zupa się wylewała. Po powrocie do pracy rozmawiały o jedzeniu: „Jak gęsta była dziś twoja zupa? Czy oszczędzimy ziemniaki, żeby zrobić kanapkę wieczorem? Czy lepiej jest jeść powoli? Ciekawe, jaka zupa będzie jutro”. Potem zastanawiały się, czy uda im się wyrwać kilka buraków cukrowych w drodze powrotnej do obozu.

Pewnego dnia kobiety w drodze powrotnej spotkały francuskich jeńców wojennych; mężczyźni wkrótce szmuglowali dla nich podarunki – herbatniki i czekoladę – jak w Torgau.

W połowie stycznia Violette, Lilian i Denise zostały wezwane i usłyszały, że wracają do Ravensbrück. Lilian, która wciąż przebywała w rewirze, dowiedziała się, że ma wyjechać następnego dnia o piątej rano. „Była wtedy bardzo chuda i słaba”, wspominała jej przyjaciółka Jacqueline Bernard. Christiane Le Scornet mówi, że poprzedniego wieczoru również Violette dostała ostrzeżenie. Szabo mówiła: „«To król Jerzy się za nami wstawił. Pojadę się z nim zobaczyć, kiedy wrócę, i zażądam samolotu. Wrócę i sama was uratuję». Violette wierzyła szczerze, że wraca, żeby doczekać wyzwolenia. Wyjechała z Lilian i Denise. Bardzo się cieszyłam z ich powodu”.

Według Jeannie Rousseau, *La Vachère* wyczytała nazwiska Brytyjek podczas porannego apelu, a Violette, Lilian i Denise pomaszerowały do oczekującej ciężarówki. Jeannie zapamiętała też, że wszystkie trzy sądziły, że dotrwią do wyzwolenia. Violette naprawdę mogła wierzyć, że wiadomość, którą przekazała znajomym jeńcom w Torgau, dotarła do Londynu, a ten wynegocjował wymianę więźniów z Niemcami. Wiedziała, że jej towarzyszka z SOE Odette Sansom jest przetrzymywana w bunkrze jako zakładniczka, razem z Geneviève de Gaulle. A od początku nowego roku z pewnością toczyły się rozmowy o wymianie jeńców, w tym francuskich spadochroniarek więzionych w obozie macierzystym. Informacje o tych negocjacjach mogły dotrzeć do Königsbergu za pośrednictwem nowo przybyłych więźniarek.

Jeannie Rousseau pamięta, że mówiły o organizowanej wymianie. „Sądziły, że najpierw pojadą do Szwajcarii, ale ja nie byłam taka pewna. Z Ravensbrück przyjechało paru mało przyjemnych mężczyzn, by się nimi

zająć. Nie podobali mi się. I pomyślałam, że one zostaną rozstrzelane”.

Julia Barry z Guernsey widziała Violette, Lilian i Denise zaraz po ich powrocie do Ravensbrück, ponieważ strażnicy zaprowadzili je prosto do bloku karnego, gdzie miała służbę. „Były całe czarne i w szmatach – opowiadała. – Lilian ledwo szła i była bardzo chora. Podobnie Denise; tylko Violette trzymała się lepiej. Od tygodni nie jadły ani się nie myły”<sup>643</sup>.

Kobiety przetrzymywano w potwornie zatłoczonym bloku karnym, gdzie siedem więźniarek przypadało na dwa zawieszane sienniki. Julia Barry robiła, co mogła, dla Brytyjek. Przyniosła ubrania, mydło i ręczniki ze swojego bloku i poprosiła Mary Lindell z rewiru o lekarstwa. Mary z kolei zaalarmowała Yvonne Baseden, inną agentkę SOE, która cierpiała na gruźlicę i leżała w szpitalu. Yvonne słyszała, że po wyjeździe do podobozu szczególnie Lilian „bardzo się zmieniła i ciężko chorowała”. Ona też wywnioskowała, że kobiety miały nadzieję na wymianę albo przynajmniej na przeniesienie do innego obozu.

Jednak Yvonne, bardziej niż inne, miała powody, by spodziewać się, że jej przyjaciółki spotka najgorsze. Masowe rozstrzeliwania stanowiły część programu eksterminacji, kontynuowano też jednak regularne egzekucje „niebezpiecznych” więźniarek na rozkaz Gestapo z Berlina. Zaledwie kilka dni przed powrotem brytyjskich dziewcząt w Ravensbrück stracono cztery Francuzki, zapewne przez powieszenie. To również były tajne agentki; pracowały dla podziemnej organizacji de Gaulle’a, BCRA (Bureau Central des Renseignements et d’Action) i zostały zrzucone ze spadochronami nad Francją z baz francuskich w Afryce Północnej. Ich sprawy zawsze były ściśle powiązane ze sprawami Brytyjek z SOE; nawet skuto je razem na czas transportu pociągiem do Ravensbrück.

Po przyjeździe Brytyjki zabrano do podobozów, podczas gdy francuska czwórka pozostała w Ravensbrück, gdzie Yvonne zaprzyjaźniła się z jedną z nich, Jenny Silvani. Podobnie jak Brytyjki Francuzki oczekiwały, że zostaną rozstrzelane jako szpiedzy, ale nic się nie stało. Potem, na początku stycznia, być może wskutek rosnącego optymizmu związanego z końcem wojny, postanowiły poskarżyć się na traktowanie. Jenny odwiedziła Yvonne w szpitalu i powiedziała jej, że Suzanne Mertzisen była u Suhrena i zażądała prawa do otrzymywania paczek Czerwonego Krzyża. Suhren przybrał ton kurtuazyjny. „Zrozumiałam, że została bardzo dobrze przyjęta przez oficera SS

i że powiedzieli, iż zobaczą, co da się zrobić”, wspominała Yvonne.

Dwa dni później Suzanne wezwano do Suhrena, tym razem z Jenny Silvani, która wróciła do Yvonne pełna optymizmu. Po raz kolejny zostały „bardzo dobrze przyjęte, a Jenny powiedziała mi, iż wydawało się, że esesman otrzymał z Berlina odnoszące się do nich rozkazy w błękitnej depeszy, która leżała na jego biurku; nie miała jednak pojęcia, jak te rozkazy brzmiały. Powiedziano im, że ich prośby zostaną rozpatrzone i że usłyszą więcej, ale powinny czekać na wezwanie”.

Tydzień później Jenny znów odwiedziła Yvonne i poinformowała, że wezwano je po raz trzeci. „Wtedy widziałam ją po raz ostatni. Dzień później usłyszałam, że cztery dziewczyny stały w pasiakach przed komendanturą, pilnowane przez uzbrojonego esesmana, co było bardzo niezwykle. Zabrano je ciężarówką i słyszałam później, że je powieszono”<sup>644</sup>.

Chociaż nikt nie widział egzekucji, została ona „mniej lub bardziej potwierdzona”, stwierdziła Yvonne, kiedy wróciły ubrania straconych. Wśród hałd odzieży w *Effektenkammer* ktoś znalazł szary pulower Suzanne Mertzen. Nie było na nim śladów kul ani krwi. Niemka pracująca w magazynie rzuciła okiem i pokazała ręką na kark, co oznaczało „powieszenie”.

W szpitalu Yvonne rzecz jasna wszystkim tym się mocno interesowała, ponieważ wiedziała, że podzieli ich los, jeśli ktokolwiek odkryje jej związki z SOE. Sądziła, że do egzekucji doprowadziła prośba Francuzek o lepsze traktowanie. Pójście do Suhrena przyciągnęło jego uwagę do obu spraw. Decyzje o egzekucji, które kurzyły się w Berlinie albo uległy zniszczeniu w jakimś zbombardowanym biurze Gestapo, zostały sprawdzone i wznowione. Yvonne tak to widziała: „Wierzę, że uniknęłam ich losu, ponieważ przybyłam do obozu z innym transportem z Dijon i w innych okolicznościach, a podczas całego pobytu starałam się nie rzucać w oczy”.

Julia Barry wspominała, że Brytyjki przebywały w bloku karnym przez trzy dni, a potem obozowa policjantka wezwała je do biura. Były zbyt chore, żeby się ruszać. Violette mogła pójść, pozostałe dwie – nie. Kilka minut później ta sama policjantka wróciła z pomocniczką; Lilian i Denise zostały zaniezione na noszach, ale nie do komendantury, lecz do bunkra. Violette szła. Wsadzono je nie do cel dla zakładników, gdzie przebywały Odette i Geneviève de Gaulle, ale do cel karnych w piwnicy. W swej relacji Barry twierdzi, że nie widziała



więcej żadnej z tych trzech, „ale następnego dnia przysły do mnie kobiety z bunkra i powiedziały, że rozstrzelano je dzień wcześniej”. Lilian i Denise zanesiono na miejsce egzekucji na noszach.

Pomimo twierdzeń Barry, że je zastrzelono, dowody zebrane przez Francuzów po wojnie sugerują, że podobnie jak ich francuskie towarzyszki Brytyjki mogły zostać powieszono. Co ciekawe, nie ma śladu, że ich odzież wróciła, pokrwawiona bądź nie. Ale Francuzi uznali, że skoro francuskich „szpiegów” powieszono, to dlaczego to samo nie miało spotkać kilka dni później Brytyjek. Co więcej, na rozkaz Himmlera wieszanie stało się wówczas preferowaną metodą traceniasabotażystów i szpiegów, zapewne, by oddziaływać odstraszająco.

Rok po wojnie Johann Schwarzhuber został aresztowany przez Brytyjczyków; pod kątem losu kobiet z SOE przesłuchiwała go Vera Atkins, ich oficer sztabowa, poszukująca dziewcząt od chwili ich zaginięcia we Francji. Schwarzhuber powiedział Verze, że nazwiska trzech kobiet figurowały na liście egzekucyjnej sporządzonej przez Gestapo z Berlina. Stwierdził, że odwołał je z Königsbergu. Pewnego wieczoru pod koniec stycznia 1945 roku zostały zabrane na małe podwórko koło krematorium i rozstrzelane. „Suhren odczytał rozkaz egzekucji, a zastrzelił je kapral Schultz, strzałem w tył głowy z małokalibrowego pistoletu. Obecni byli doktor Trommer i doktor Hellinger, dentysta”. Więźniarki ze *Schreibstube* słyszały, że Dorothea Binz też przy tym była.

Schwarzhuber zeznał, że odzież kobiet spalono z ciałami. Nie naciskano go, by wyjaśnił, dlaczego ubrań nie zwrócono do *Effektenkammer* w celu ponownego wykorzystania, jak zwykle. „Wszystkie trzy były bardzo dzielne – stwierdził – i byłem głęboko poruszony. Postawa tych kobiet zrobiła wrażenie też na Suhrenie. Denerwował się tym, że Gestapo samo nie przeprowadziło rozstrzelania”.

Komentarze Schwarzhubera miały, rzecz jasna, odmalowywać egzekucje jako właściwie przeprowadzone, według jakiejś wojskowej procedury – „Suhren odczytał rozkaz egzekucji”<sup>645</sup>. Tragiczne fakty o ostatnich dniach tych kobiet były jednak aż nazbyt jasne. Co najmniej trzech wysokich rangą esesmanów patrzyło, jak te znękanne istoty są zwlekane z noszy i rozstrzeliwane albo wieszane. Obok Lilian i Denise stała Violette, która zaledwie trzy dni wcześniej powiedziała, że ma nadzieję być uwolniona przez „króla Jerzego”.

W Königsbergu w ostatnim tygodniu stycznia „obserwowałyśmy, jak umieramy”, opowiadała Virginia Lake. Kobiety wracały z lotniska z dzikim i nawiedzonym wyrazem twarzy. „Walczyły, żeby nie stracić zmysłów. Wyglądało, jakby walczyły, żeby wytrzymać [...] nieco dłużej, póki nie nadejdzie ratunek”.

30 stycznia Armia Czerwona znajdowała się tak blisko Königsbergu, że w obozie słychać było działa. Cały cywilny personel spakował się nocą i wyjechał, podczas gdy na drogach wokół lasu tłoczyli się uchodźcy. Niemieccy strażnicy stawali się coraz bardziej nerwowi, podczas gdy więźniarki – szczególnie Rosjanki – uradowane. Rosjanki rozmawiały o przyjęciu radzieckich żołnierzy girlandami; Francuzki planowały wystawny obiad na cześć wyzwolenia. Przyszły wieści, że francuscy jeńcy z sąsiedztwa zostali ewakuowani i pomaszerowali na zachód przed rosyjską ofensywą. Być może strażnicy zamierzali ewakuować również kobiety z podobozu, mówiły niektóre.

31 stycznia naczelniczka wyjechała autem z wielkimi walizami i młodym oficerem z obozu lotników. Komendant również zniknął, podobnie jak strażnicy. Później tej samej nocy Rosjanki wyrwały się i podpaliły obóz lotniczy. Polki, Ukrainki i Rosjanki tłoczyły się w obozie, plądrując. Francuzki obserwowały, zastanawiając się, co robić, a potem się przyłączyły. Więźniarki wszystkich narodowości grabiły kwatery esesmanów, chwytaly wszystko w oszalałej żądzy łupów. Virginia i jej grupa znalazły drewno i węgiel, by napalić w bloku. Kobiety cisnęły się w kuchniach, odkrywały pomieszczenia po suficie wypełnione skrzynkami, puszkami i workami jedzenia. Sporadycznie do obozu wpadały patrole niemieckich żołnierzy i próbowały mało energicznie zaprowadzić porządek, ale grabież trwała. Francuzki i Amerykanki zasiadły do posiłku złożonego z chleba posmarowanego margaryną i marmoladą.

1 lutego pojawili się francuscy jeńcy i oznajmili, że Rosjanie znajdują się zaledwie o 16 kilometrów od obozu. Według Francuzów Niemcy planowali w ostatniej chwili ewakuację wszystkich więźniarek. W izbie chorych Suzanne Guyotat słyszała, że chore nigdzie nie pójda, a barak zostanie wysadzony. Inne wydrwiły pomysł, że Niemcy będą sobie teraz zawracać głowę ich ewakuacją. Tamtego wieczoru Francuzki urządziły „bankiet wyzwolenia” i zaprosiły nań dwóch francuskich jeńców. „Obudziłam się o drugiej lub trzeciej w nocy. Byłam zbyt szczęśliwa, żeby spać, a za każdym razem, gdy się budziłam, zjadałam nieco marmolady i herbatników”, wspominała Virginia. Następnego

ranka kobiety dowiedziały się, że podczas bankietu przyjechał niemiecki patrol i zastrzelił obu jeńców przy stole.

Tamtego dnia więźniarki wypuściły się dalej i znalazły kwatery strażników, gdzie panował kompletny chaos – puste butelki po wódce, kosmetyki, mapy i ubrania walały się wszędzie. 2 lutego rozeszła się wieść, że Rosjanie są zaledwie 4 kilometry od nich. Virginia próbowała zrobić naleśniki z produktów, które skradła, ponieważ był to *Jour des Rois*, francuskie święto, ale Janette miała okropną dyzenterię i nie mogła jeść. Na dworze kobiety kopały groby dla zastrzelonych Francuzów, kiedy wybuchło nowe zamieszanie. Dziewczęta biegały z ostrzeżeniem: „To Niemcy. Esesmani z Ravensbrück. Przyjechali po nas, kazali ustawić się na zewnątrz”.

Więźniarki ujrzały ludzi z Ravensbrück miotających się jak szaleni. Spędzili kobiety, ale przerażeni perspektywą schwytania przez Rosjan, odreagowywali swoje przerażenie na więźniarkach. Jeden z nich zastrzelił młodą dziewczynę o imieniu Monique, gdy wracała do bloku po zapomnianą rzecz. Inni strzelali po prostu za zbyt wolne przechodzenie w stronę bramy. Kobiety, które ustawiły się w szeregach, oddalały się teraz od rosyjskiej ofensywy i kierowały do Ravensbrück, ponad 300 kilometrów na zachód, ale niektóre zostały w tyle.

Suzanne Guyotat, jak około dwudziestu innych z rewiru, nie mogła dołączyć do marszu. Tak jak obawiała się Suzanne, esesmani próbowali wysadzić szpital, ale w panice zrobili to źle; większość kobiet ocalała. Przez dwa kolejne dni „leżałyśmy tam, biedne, marznące, jęczące, trzęsące się i umierające – opowiadała Guyotat. – Pewnego pięknego poranka, 3 lutego, przed naszym blokiem pojawiło się trzech Rosjan. Skąd się wzięli ci zwycięzcy w swych wspaniałych futrzanych czapkach? Poruszali się ostrożnie, prowadząc rowery”. Przez następne dni Rosjanie dbali o chore, karmili je, ogrzewali i uspokajali. Jeden nawet zrobił drewniany krzyż, by Suzanne mogła go umieścić na grobie zmarłej przyjaciółki.

Marsz śmierci z Königsbergu dotarł do Ravensbrück tydzień później, a świadkowie nigdy nie zapomną widoku tych zagłodzonych, umierających kobiet, plątaniny ciał, niektórych spuchniętych i zniekształconych, innych wycieńczonych i skurczonych. Wiele zmarło podczas podróży, a strażnicy strzelali do maruderek. Ciężarówki przywiozły ocalałe na ostatnim etapie

marszu, kursując w tę z i powrotem w ciągu dwóch dni.

Mary Lindell szła Lagerstrasse, kiedy zajęły dwie ciężarówki i strażnicy zrzucili ciała na ziemię. W pierwszej chwili zastanawiała się, dlaczego nie zabrali zwłok prosto do krematorium, a potem zobaczyła, że niektóre kobiety jeszcze żyją. Strażnicy chłostą zmuszali je do powstania. Następnego dnia przyjechała kolejna ciężarówka i wypadło z niej jakieś osiemdziesiąt kobiet. Żółta skóra oblekała ich kości, a oczy patrzyły bystro, drżały z zimna. Niektóre nie mogły iść bez pomocy. Virginia Lake – sama skóra i kości – popatrzyła na swoją koleżankę Janette i zobaczyła „bezkształtną kupkę leżącą we własnych nieczystościach, niezdolną, by mówić i niereagującą już na głód i zimno”.

Francuzki usłyszały, że ich rodaczki wróciły z Königsbergu, i przyszły zobaczyć się z dawnymi koleżankami, ale cofnęło je na widok „tego, co zostało z czarującego konwoju Francuzek”, jak to ujęła Denise Dufournier. Były to te same kobiety, które beztrudno wkroczyły do Ravensbrück sześć miesięcy wcześniej, wszystkie pełne optymizmu i eleganckie, w apaszkach od Hermès. Teraz „przeżyliśmy wstrząs na widok ich zapadniętych oczu”<sup>646</sup>.

Wiele zmarło na Lagerstrasse, ale to widok żywych wywołał największe przygnębienie. Loulou Le Porz z trudem rozpoznała przyjaciółkę, Nicole de Witasse, młodą szoferkę ambulansu Francuskiego Czerwonego Krzyża, której prawie udało się uciec podczas podróży pociągiem do Ravensbrück. „Poznałam ją jako młodą, odważną dziewczynę, teraz miałam przed sobą pomarszczoną staruszkę, która ledwo mogła chodzić i której zostało niewiele życia. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Jedyne pociecha w tym, że rodzice nigdy nie zobaczyli jej w tym stanie”.

Więźniarki dowiedziały się od nich, że Rosjanie prawie wyzwolili te kobiety z Königsbergu. Najsilniejsze opowiedziały, że słyszały radzieckie działa, gdy maszerowały, a kiedy się odwróciły, widziały łunę pożaru nad obozem. Teraz więźniarki z Ravensbrück zrozumiały, że czeka je ten sam los – przymusowa ewakuacja.

Wspomnienia twarzy z Königsbergu prześladowały kobiety w głównym obozie również z innego powodu. Do tej pory wszyscy już wiedzieli, że konwój francuski trafił do obozu karnego z powodu protestu przeciwko pracy przy produkcji broni w Torgau. Loulou Le Porz, podobnie jak część współwięźniarek, uważała, że Jeannie Rousseau popełniła tragiczny błąd w ocenie, rozpoczynając protest, który doprowadził do tak tragicznych

skutków. „Była wyjątkowa – impulsywna – opowiadała Loulou. – Oczywiście, to bardzo dobrze mieć odwagę, ale trzeba też umieć ją wykorzystać”.

Strażnicy zagnali kobiety, które przeżyły marsz z Königsbergu, do namiotu i porzucili je tam na śmierć. Virginia Lake zajrzała najpierw do namiotu po przyjeździe we wrześniu i raz po raz widziała ten horror z oddali po powrocie do Ravensbrück w październiku. Teraz, gdy znalazła się w obozie po raz trzeci, sama została zapakowana do śmierdzącego namiotu i musiała walczyć o skrawek miejsca dla siebie i Janette.

Przez ostatnie miesiące namiot się zmienił. Przez środek przebiegało teraz przepierzenie, na jednym końcu stały prycze, urządzono też latryny, ale brud i zatłoczenie były gorsze niż kiedykolwiek. Virginia i Janette próbowały zająć kącik w jednym rogu, ale podeszła blokowa, Polka, i zagarnęła ten kawałek dla siebie i swojej świty. Blokowa wykopała stamtąd Virginię i Janette.

Wszędzie leżały zwłoki, pokryte wszystkim, co możliwe. Wszystkie cierpiały na dyzenterię, a tylko nielicznym udawało się dotrzeć do latryn. Nocą sytuacja stawała się „przeróżająca, niewyobrażalna”. Kobiety, które potrzebowały skorzystać z wiadra, czołgały się w ciemności i wpadały na zwłoki. Zwykle nie zdążały do latryny i przy wejściu było brudno nie do zniesienia. „Niemcy kazali wykopać za namiotem doły o średnicy mniej więcej metra i często kilka kobiet kucą naraz nad jedną dziurą.

Virginia patrzyła, jak jej przyjaciółki słabną z dnia na dzień. „Wiedziałam, że ja wyglądam tak samo. Janette bez wątpienia umierała. Jej niegdyś rozdęte ciało teraz wyglądało jak strzep”. Virginia zgłosiła się do polskiej blokowej z prośbą o zgodę na zabranie Janette do rewiru. „Ta beznamiętnie brutalna kobieta” odmówiła, ale Virginia i inna Francuzka i tak zaciągnęły Janette do szpitala. Virginia pożegnała się z Janette leżącą na noszach w korytarzu w otoczeniu zwłok.

Smutek, tragedia i zgroza tego wszystkiego bardzo mną wstrząsnęły. Oczy Janette, które jeszcze niedawno były bez wyrazu, teraz promieniowały uwielbieniem, kiedy patrzyła mi w twarz. Wiedziałam, że mnie kocha. Zastanawiałam się, czy wie, że umiera. Teraz nie cierpiała. Nie było jej zimno i nie odczuwała już głodu.

Virginia powiedziała jej, że jest w szpitalu i teraz o nią zadbają, a niedługo wróci do domu z matką. „Dobranoc, śpij dobrze”, powiedziała i wróciła do namiotu.

Dni ciągnęły się jeden za drugim. „Byłyśmy słabe i ospałe, oszołomione otaczającą nas grozą”. Polska blokowa i jej ekipa blokowały innym dostęp do czegoś w rodzaju umywalni urządzonej w kącie namiotu, w której również znajdował się piecyk; funkcyjna patrzyła na inne mieszkanek namiotu, jakby były „niedotykalne, zawzione, brudne”. Jedna z jej towarzyszek okradała więźniarki, a kiedy podeszły za blisko, waliła je stalowym prętem, żeby nie załapać od nich wszy.

Pewnego dnia ta Niemka zauważyła ślubną obrączkę Virginii i kazała ją sobie oddać. Virginia tak mocno zaciskała palce, że tamta nie mogła jej zdjąć. Kobieta nękała ją, aż Virginia rozpląkała się i krzyknęła do jakiejś Austriaczki: „Jestem Amerykanką. Czy ona kradnie też obrączki Amerykankom?!”. Austriaczka powiedziała coś po niemiecku do złodziejki, a ta popatrzyła na Virginie, „jakby zobaczyła ją pierwszy raz w życiu”. Powiedziała, że Virginia może sobie zatrzymać obrączkę.

Kilka dni później dozorcynie przeniosły Virginie i grupę jej koleżanek z Königsbergu do normalnego bloku, gdzie po namiocie warunki wydały im się rajskie. Wysłano je nawet do łaźni, chociaż, w akcie ostatecznego upokorzenia, ogolono Virginii głowę.

Teraz nie było już wezwań do opuszczenia bloku ani apelu. Kobiety leżały apatycznie na pryczach i słabły z dnia na dzień. „Traciłyśmy przyjaciółki jedną po drugiej i byłyśmy na granicy życia i śmierci”, opowiadała Virginia. Próbowwały jakoś się trzymać, zmobilizować, żeby przynajmniej raz dziennie wstać, umyć się i iść poszukać czegoś do zjedzenia. Pewnego dnia koleżanka z czasów pierwszych dni w obozie przemyciła dla Virginii dodatkową zupę.

26 lutego, tydzień po przeniesieniu Virginii do nowego bloku, blokowa wrzasnęła: „Niech natychmiast przyjdzie Amerykanka, która była w Königsbergu!”. Virginia szczołgała się z pryczy, a kobieta dała jej nowe ubranie. Dwa dni później – 28 lutego – blokowa obwieściła, że Virginia d’Albert Lake „ma się stawić natychmiast”.

Przerażona Virginia poszła przez obóz do kancelarii w bunkrze. Za biurkami siedziały więźniarki, które pracowały jako sekretarki i uśmiechały się do niej z zainteresowaniem. Jedna zaproponowała, żeby usiadła. Weszła uśmiechnięta dozorczyń i wytłumaczyła jej coś po niemiecku. Virginia nie zrozumiała ani słowa. Esesman zaprowadził ją potem za bramę, do innej kancelarii, gdzie siedziały dwie kobiety w nazistowskich mundurach. Ku zdumieniu Virginii ta z wyższą rangą przemówiła do niej płynną angielszczyzną i poprosiła

o nazwisko i datę urodzenia. Młodsza powiedziała: „Wieczorem będzie pani szczęśliwa. Wyjeżdża pani”.

Virginię zaprowadzono do rewiru, gdzie przeszła krótkie badania, i do *Effektenkammer*, gdzie personel rzucał czyste ubrania Niemkom, które skrzętnie się rozbierały i ubierały. Pracowniczką magazynu kazała Virginii wrzucić brudne ubranie do pojemnika i założyć czyste, które jej wręczyła; odzież nie miała wielkich czarnych krzyży, które znajdowały się na obozowych ubraniach. Na zewnątrz strażnicy wezwali Niemki i Virginia zrozumiała, że te kobiety wychodzą na wolność. Potem znalazła się ponownie w kancelarii w bunkrze, razem z kobietą w nazistowskim mundurze mówiącą po angielsku. Kobieta zwróciła się do niej grzecznie:

– Proszę usiąść, nie tu, tutaj, przy piecyku. Musi pani trochę poczekać. Pani pociąg odchodzi o wpół do piątej.

– Ale dokąd jadę?

– Nie jestem pewna, ale chyba do obozu Czerwonego Krzyża nad Jeziorem Bodeńskim.

Niemka opowiedziała, że do niedawna była w Auschwitz i że bała się nadchodzących Rosjan. Powiedziała Virginii, że byłoby lepiej, gdyby to szli Amerykanie, i pogroziła pięścią portretowi Hitlera wiszącemu na ścianie.

– I pomyśleć, że za to wszystko odpowiada ten człowiek.

Virginia spytała, gdzie kobieta nauczyła się angielskiego.

– W Nowym Jorku – odpowiedziała. – Spędziłam tam kilka miesięcy u krewnych. Ameryka to wspaniałe miejsce.

Drzwi otworzyły się i weszła dziewczyna w eskorcie dwóch strażników. Była to Geneviève de Gaulle. Virginia widziała wcześniej Geneviève i rozpoznała ją po prostych, brązowych włosach, ciemnych oczach i spokojnym uśmiechu. Dowiedziała się, że będą podróżować razem. Zostały uwolnione w ramach wymiany na niemieckich jeńców wojennych.

Geneviève została wezwana wcześniej tego dnia z uprzywilejowanej celi w bunkrze i usłyszała, że wychodzi na wolność. Podobnie jak Virginia dostała nowe ubranie, w tym swój własny wełniany płaszcz z Paryża, który odebrano jej po przyjeździe do Ravensbrück prawie dokładnie rok temu. Geneviève opisała później, że podczas załatwiania pierwszych formalności w kancelarii spotkała tajemniczą kobietę w mundurze oficerskim, która powiedziała jej, że uwielbia Paryż, i poprosiła ją o podpisanie się w jej albumie fotograficznym.

Teraz w kancelarii w bunkrze Geneviève zobaczyła dwóch esesmanów oraz

„potwornie wyniszczoną kobietę, która wyglądała bardzo, bardzo staro”. Na ogolonej głowie kobiety tu i tam odrastały kępki włosów. „Wyglądała jak Gandhi pod koniec życia”<sup>647</sup>. Obie więźniarki wymieniły spojrzenia, ale nie odważyły się zamienić słowa. Potem Geneviève wzięła Virginie za rękę i razem zeszły po trzech schodkach z bunkra. Świtało. Pod eskortą dwóch esesmanów i dozorczyń wyszły przez bramę na wiatr i śnieg.

<sup>640</sup> Ostatnie tygodnie w Königsbergu opisałam na podstawie *American Heroine in the French Resistance*, pamiętnika Virginii Lake, listu Jacqueline Bernard z 1946 roku o Lilian Rolfe oraz listu wysłanego do mnie w 2008 roku przez Christian Cizaire, w którym wspominała przyjaźń z Violette Lecoq.

<sup>641</sup> Obecnie Chojna w woj. zachodniopomorskim (przyp. tłum.).

<sup>642</sup> Guyotat, *Königsberg sur Oder*.

<sup>643</sup> KV 2/98.

<sup>644</sup> Zeznanie Baseden na procesie hamburskim: była zbyt chora, żeby zeznawać osobiście (HS 437), oraz wywiad autorki. Szczegóły dotyczące francuskich spadochroniarek zob. Tillion, *Ravensbrück*, oraz relacja w Musée de la Résistance et de la Déportation, Besançon.

<sup>645</sup> Zeznanie Schwarzhubera w: Atkins i WO 235/309.

<sup>646</sup> Dufournier, *La Maison des Mortes*.

<sup>647</sup> G. de Gaulle-Anthonioz, *Dawn of Hope*.



## Rozdział 36

### Bernadotte

Godzinę po opuszczeniu obozu w Ravensbrück Geneviève i Virginia razem z esesmańską eskortą wsiadły do pociągu w Fürstenbergu, a wieczorem były w Berlinie i przebijały się przez tłące się miasto, chroniły w tunelach metra zablokowanych belkami, po czym wsiadły do pociągu jadącego na południe. Dwa dni później dotarły do Monachium. Była północ i mała grupa ponownie musiała przedzierać się między kraterami i ruinami i wypatrywać szkieletów budynków, rysujących się na nocnym niebie. Wkrótce wsiedli do pociągu do Ulm, ale naloty zatrzymały skład i grupa musiała iść pieszo kilka kilometrów, aby obejść zniszczone tory.

Na noc zatrzymali się w zajezdzie, gdzie Niemcy obsiedli radio. Virginia zapamiętała, że spiker obwieścił: „Formacja jest pod Ulm. Ulm zostało zbombardowane. Formacja opuszcza Ulm. Formacja...” i nagle budynkiem gwałtownie wstrząsnęło, krzesła się poprzewracały, a przerażeni ludzie rzucili się do drzwi. Virginia „nie wystraszyła się” i nie poruszyła. Wreszcie wstała i zobaczyła swoje odbicie w lustrze. „Co to za brzydkie stworzenie? – pomyślała. – Chyba kobieta, ale ani u niej bioder, ani piersi; wielkie pozbawione blasku oczy patrzyły obojętnie”. Po kilku dniach esesmańska eskorta stała się przyjaźniejsza, a jednej nocy esesmanka dzieliła pokój z Virginią i Geneviève. Pokazała im zdjęcia rodzinne. Nocą „zamknęła drzwi i schowała klucz pod poduszkę”<sup>648</sup>.

Po tygodniu podróży eskorta odstawiła kobiety do ośrodka dla internowanych w Liebenau nad Jeziorem Bodeńskim, gdzie cudzoziemców – głównie Amerykanki, Brytyjki i dzieci – przetrzymywano przez czas wojny. Mieszkali w ładnych budynkach na zboczach wzgórz, dostawali dobre jedzenie i opiekę. Virginia napisała do męża, Philippe’a: „Kochany, jak to dziwnie pisać do ciebie. Czerwiec ubiegłego roku wydaje się tak odległy, a ty i moje

dawne życie jawią się niczym sen”. Do Geneviève przyjechała delegacja z Genewskiego Czerwonego Krzyża, którą poprosiła o drobne artykuły „luksusowe”, takie jak „bielizna (nie wełniana), dopasowany kostium (nie za ciepły), kilkanaście chustek do nosa, sześć par pończoch, mydło, witaminy i papierosy”.

Nie wiadomo, czy wówczas kobiety wiedziały, dlaczego odzyskały wolność. Przeniesienie Virginii zorganizował sztab generała Eisenhowera w ramach wymiany za wziętych do niewoli Niemców. Błagania jej matki, Amerykanki, w końcu trafiły na biurko Eisenhowera, a kiedy została zawarta umowa o wymianie grupki alianckich jeńców za Niemców przetrzymywanych przez aliantów, nazwisko Virginii znalazło się na liście.

Geneviève została uwolniona na prośbę stryja, generała de Gaulle’a, obecnie tymczasowego prezydenta Francji. Później zawsze upierała się, że stryj nie miał nic wspólnego z jej uwolnieniem i nigdy „nie faworyzował członków rodziny”, ale korespondencja z archiwów Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża opowiada inną historię. Ojciec Geneviève, Xavier de Gaulle, brat Charles’a, pierwszy wszczął alarm w związku ze zniknięciem córki, ale generał dał do zrozumienia, że on również stara się o jej uwolnienie. W liście z 15 września 1944 roku urzędnik z MKCK w Genewie napisał do Niemieckiego Czerwonego Krzyża: „Komitet dostał informację od swojego delegata, że *Monsieur le Général* de Gaulle martwi się o bratanicę, *mademoiselle* Geneviève de Gaulle, więzioną w Ravensbrück, bloku 122. [sic], nr 27 372”. List zawierał prośbę o informację na temat stanu jej zdrowia oraz uwagę, że generał „dobitnie podkreśla, iż powinna zostać wysłana do Szwajcarii na kurację do sanatorium”<sup>649</sup>.

Nikt nie zgłosił się po dwie cenne zakładniczki Himmlera w Ravensbrück, Odette Churchill i Gemmę La Guardia Gluck. Nie ma dowodów, że Himmler próbował zawiadomić Brytyjczyków, że w Ravensbrück przebywa „krewna” premiera, ale nawet gdyby Winston Churchill dowiedział się o tym, nic by nie zrobił: Odette cały czas kłamała na temat swojego pokrewieństwa z rodziną Churchillów. Nie ma też dowodu na to, że Fiorello La Guardia wiedział wówczas, że Gemma jest w obozie. Nawet jednak gdyby o tym wiedział, wydaje się nieprawdopodobne, by starał się o jej uwolnienie. Nawet po wojnie, kiedy Gemma wiele miesięcy musiała czekać na możliwość powrotu do Stanów Zjednoczonych i mieszkała w fatalnych warunkach w Berlinie, brat

odmówił jej pomocy.

W tym czasie La Guardia kierował Administracją Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy (UNRRA). Wiedział, jakie okropieństwa musiała wycierpieć siostra oraz to, że jej mąż został zamordowany w Mauthausen. Mimo tego La Guardia napisał do Gemmy, że nie może przyspieszyć jej powrotu do domu, ponieważ nie może czynić wyjątków dla członka rodziny. „Jeśli potraktowałbym cię inaczej niż innych, przyszyłyby setki tysięcy żądań o takie samo traktowanie”<sup>650</sup>.

Przeniesienie Geneviève i Virginii do ośrodka dla internowanych w Liebenau stanowiło kolejną oznakę coraz większej gotowości Himmlera do ustępstw w przypadku niektórych więźniów w nadziei, że skłoni to Londyn i Waszyngton do wysłuchania jego nierealnych propozycji separatystycznego pokoju. Po przekazaniu dwóch kobiet z Ravensbrück adiutanci Himmlera finalizowali poprzez kontakty w Szwajcarii szczegóły o wiele ambitniejszej akcji uwalniania więźniów.

Zgodnie z instrukcją Himmlera Walter Schellenberg, szef wywiadu, zawarł w styczniu umowę ze szwajcarskim politykiem i nazistowskim sympatykiem, Jean-Marie Musym, że co miesiąc 1200 Żydów z mniej więcej 600 tysięcy przebywających nadal w nazistowskich obozach będzie przewożonych do Szwajcarii w zamian za 5 milionów franków szwajcarskich za każdy transport. Ponieważ Hitler gwałtownie sprzeciwiał się uwalnianiu więźniów, Himmler zastrzegł, że umowa musi zostać zachowana w sekrecie. I w tym przypadku jego celem była zmiana nastawienia opinii publicznej. „Celem tych działań było wywołanie korzystnej reakcji w międzynarodowej prasie, która miała później przedstawić Niemcy w lepszym świetle”, twierdził Franz Göring, adiutant Schellenberga i człowiek odpowiedzialny za realizację planu<sup>651</sup>.

W szczegółowym zeznaniu dla brytyjskich tajnych służb po wojnie Göring przedstawił złudzenia, jakie miało wielu nazistowskich przywódców i ich przyjaciół na tym etapie – że uda im się zataić własne zbrodnie lub przedstawić je światu w korzystniejszym świetle. Według Göringa (niespokrewnionego z Hermannem Göringiem) Musy zaproponował również Himmlerowi, żeby uwolnić kobiety z Ravensbrück – Żydówki i nie-Żydówki. Szwajcar rzekł: „Uwolnienie tych kobiet zrobiłoby wielkie wrażenie, które z biegiem czasu mogłoby obrócić się na korzyść Niemiec”.

Próby uwolnienia Żydów zaczęły się w pierwszych tygodniach 1945 roku, kiedy Göring zarekwirował pociąg ewakuacyjny i umieścił 1200 nazwisk na liście Musy'ego. Chociaż Göring należał do SS, był specjalistą od wywiadu zagranicznego, nie znał świata obozów i wydawał się naprawdę zaskoczony tym, co tam zastał. Ku jego zaskoczeniu wielu Żydów, których szukał, już nie żyło lub przypadło w trybach systemu albo komendanci obozu odmówili ich przekazania.

Göring nie dał się zniechęcić i znalazł dwie Żydówki z listy w Ravensbrück. W styczniu 1945 roku Charlotte Wreschner i jej siostra Margarete, przybyłe z Holandii w 1944 roku, usłyszały, że wychodzą na wolność. Razem z Żydówką z Turcji i jej córką oraz jeszcze jedną Żydówką wyjechały do obozu koncentracyjnego w Theresienstadt koło Pragi, gdzie zebrano wszystkie osoby z listy uwolnionych i skąd miał je zabrać pociąg do Szwajcarii.

Wówczas pojawił się nowy problem: według Göringa komendanci dostali instrukcje, że nie wolno im uwolnić nikogo, kto wie o komorach gazowych, ponieważ ich opowieści nie zapewniłyby „dobrej prasy”. Theresienstadt wybrano jako punkt zbiórki więźniów oraz jako obóz, z którego pochodziła większość osób z listy Musy'ego, właśnie dlatego, że w tym „obozie pokazowym” nie było komór gazowych. Chociaż żydowskich więźniów często zabierano stąd do Auschwitz na zagazowanie, ci, którzy zostali, prawdopodobnie nie wiedzieli o prawdziwym horrorze.

Jednak kobiety z Ravensbrück wiedziały doskonale o komorach gazowych, zarówno tych w samym Ravensbrück, jak i tych w Auschwitz, od innych więźniarek. Po przyjeździe do Theresienstadt Adolf Eichmann, główny organizator programu zagłady Żydów, osobiście przesłuchał siostry Wreschner i dokładnie sprawdził, ile wiedziały. „Stało się jasne, że będą nas trzymać w izolacji i nie wpuszczą nas do obozu z obawy, że wiemy za dużo i zaczniemy o tym opowiadać więźniarkom z Theresienstadt”, powiedziała Charlotte Wreschner w późniejszych zeznaniach. Kiedy siostry obiecały, że nic nie będą mówić, Eichmann pozwolił im przebywać z innymi więźniarkami z ostrzeżeniem, że jak zaczną gadać, same „pójdą z dymem”.

Coraz bardziej zdezorientowany Göring uświadomił sobie, że wiele innych więźniarek z jego listy również wie o komorach gazowych i dlatego nie mogą wsiąść do pociągu, który już czekał na sygnał do odjazdu. W związku z brakiem pasażerów Göring poprosił więźniarki z Theresienstadt, aby na ochotnika pojechały do Szwajcarii, ale żadna nie chciała, co go zaskoczyło.

Dopiero ktoś wyjaśnił mu, że więźniarki są przerażone, że pociąg tak naprawdę zawiezie je do Auschwitz. Dopiero kiedy pociąg Göringa zbliżył się do szwajcarskiej granicy, kobiety, które udało mu się przekonać, nieco się uspokoiły, „że już wkrótce zakończy się ich koszmar”.

Kilka dni po bezpiecznym przybyciu pierwszej grupy w szwajcarskiej prasie pojawiły się nagłówki, że w wyniku akcji dwustu czołowych nazistów dostało azyl. Być może historie te rozpowszechniał Ernst Kaltenbrunner, szef policji bezpieczeństwa Hitlera oraz przeciwnik Himmlera, aby zniweczyć plany Reichsführera. Jeśli tak było, to Kaltenbrunnerowi się udało. Hitler wpadł w gniew, gdy usłyszał o uwalnianiu więźniów przez Himmlera – za pieniądze, jak Himmler próbował usprawiedliwić swoje postępowanie przed Führerem. Hitler rozkazał wstrzymać akcję, co wykluczyło dalsze zwolnienia z Ravensbrück, które również omawiano ze Szwajcarami.

\*\*\*

Chociaż w styczniu 1945 roku szwajcarski plan został udaremniony, rozpędu nabrały szwedzkie plany pomocy dla więźniów. Jesienią poprzedniego roku Himmler zasygnalizował Szwedom przez Felixa Kerstena, że mogłby uwolnić norweskich policjantów. W grudniu uzgodniono szczegóły uwolnienia – i pięćdziesięciu norweskich funkcjonariuszy oraz pięćdziesięciu duńskich studentów przekazano Szwedom.

Te uwolnienia przekonały Szwedów, że Kersten wywierał prawdziwy wpływ na Himmlera, który może dałby się nakłonić do przyjęcia dużo szerszego planu uwolnienia więźniów, niż dyskutowano do tej pory. Przynajmniej warto było sprawdzić, szczególnie że po niepowodzeniu Szwajcarii w styczniu stało się jasne, że żaden inny rząd ani organizacja międzynarodowa nie będą chciały działać.

Kiedy alianci przygotowywali się do ostatecznego natarcia na Niemcy, Waszyngton i Londyn coraz bardziej uodporniały się na los więźniów. Wyraźnie wskazuje na to suche oświadczenie wydane w grudniu 1944 roku przez połączone dowództwo wojskowe zachodnich aliantów, Naczelne Dowództwo Alianckich Sił Ekspedycyjnych (SHAEF – Supreme Headquarters Allied Expeditionary Force). W oświadczeniu nakłaniano więźniów wszystkich narodowości, aby „pozostali na miejscu, czekali na przybycie

wojsk sojuszniczych i przygotowali się do zorganizowanej repatriacji po zakończeniu wojny”.

Każdemu, kto był świadomy rzeczywistości w obozach koncentracyjnych Hitlera, pomysł „pozostania na miejscu”, nie wspominając o „zorganizowanej repatriacji”, wydawał się w najlepszym razie nierealny, a w najgorszym – absurdalny. Już po wydaniu oświadczenia SHAEF w Ravensbrück liczba zgonów sięgnęła 200 dziennie, ponieważ przyspieszono gazowanie. W Belsen koło Hanoweru więźniowie umierali od chorób i głodu w tempie 300 osób dziennie. Jednak opinia wydana przez kwaterę główną aliantów oznaczała, że dopóki Niemcy nie skapitulują, więźniowie w obozach będą pozostawieni sami sobie.

Ponieważ jednak fronty przemieszczały się szybko, nic nie powstrzymało neutralnych Szwedów od pracy nad własnymi planami; w styczniu 1945 roku pomysły powzięte najpierw w Paryżu i Sztokholmie rozwinęły się w pełny plan ratunkowy, który zakładał wjazd autobusów i pojazdów wojskowych prowadzonych przez ochotników przez duńską granicę do Niemiec pod flagą Szwedzkiego Czerwonego Krzyża<sup>652</sup>.

W pierwszej kolejności celem było zebranie wszystkich więźniów pochodzących ze Skandynawii – głównie Duńczyków i Norwegów, prawdopodobnie w liczbie zbliżonej do 13 tysięcy – i odwiezienie ich do jednego obozu przy duńskiej granicy, pod szwedzką opiekę, a potem odtransportowanie do Szwecji, gdzie pozostaliby do końca wojny. Nie wykluczano ratowania w dalszej kolejności więźniów innych narodowości.

Pewni wysocy urzędnicy ze Sztokholmu wydrwili pomysł wysłania „ślicznej karawany Szwedów” do rozdartych wojną Niemiec, a na papierze pomysły przedstawiały się tak ambitnie, iż musiały się wydawać urojeniami”<sup>653</sup>. Jednak nowe sygnały od Kerstena o stanie umysłu Himmlera i wiadomości o sytuacji na miejscu pozwoliły Sztokholmowi uwierzyć, że plan może się powieść.

Kluczowa dla uratowania więźniów miała być dokładna wiedza, kto i gdzie przebywa; to wymagało szczegółowych informacji o położeniu obozów i nazwiskach oraz narodowości przetrzymywanych w nich osób, a te wiadomości posiadali tylko Szwedzi, głównie dzięki działaniom Wandy Hjort i grupy z Gross Kreutz.

W ostatnich miesiącach Wanda z Bjornem Hegerem, młodym norweskim lekarzem, i innymi członkami komórki ryzykowali życie, podróżując po

zbombardowanych Niemczech i gromadząc wszelkie możliwe szczegóły o więźniach. Wykorzystując informacje od norweskich kontaktów Wandy z Sachsenhausen, współpracując z siatką duńskich i norweskich pastorów oraz budując powiązania między komórkami niemieckiego komunistycznego ruchu oporu, w styczniu 1945 roku grupa dysponowała imponującą bazą danych o obozach. Zdobyła też leki od Duńskiego Czerwonego Krzyża i zdołała je dostarczyć do niektórych obozów za pośrednictwem zaufanych pośredników. Szwedzka ambasada w Berlinie zapewniła wsparcie: Wanda i Bjorn Heger korzystali z samochodu poselstwa, a informacje z Gross Kreutz docierały do Sztokholmu szwedzką pocztą dyplomatyczną<sup>654</sup>.

Przez cały ten czas grupa apelowała do Sztokholmu o wprowadzenie w życie planów ratunkowych, ponieważ nie ma czasu do stracenia. W jednym z raportów dla Szwecji przekazała konkretne informacje o nieuchronnej zagładzie obozów. Nowe doniesienia opierały się po części na wizycie Wandy Hjort i jej ojca, Johana Hjorta, w obozie koncentracyjnym, gdzie usłyszeli bezpośrednio od informatora z SS, że komendant planuje likwidację obozu „do ostatniego najdrobniejszego szczegółu”, gdy tylko alianci się zbliżą. Raport nie zawierał nazwy obozu, ale wiadomo, że w grudniu Wanda Hjort z ojcem odwiedziła Ravensbrück i miała kontakt z tamtejszym lekarzem SS Franzem Lukaszem oraz Sylwią Salvesen<sup>655</sup>.

Jednak jakkolwiek cenne były komórki wywiadowcze z Gross Kreutz, Szwedzi nic nie mogli zrobić bez zgody Himmlera. W styczniu Kersten zapewnił Sztokholm, że Reichsführer jest otwarty, szczególnie jeśli wyznaczy się pośrednika, któremu Himmler zaufa.

Oczywistym wyborem był hrabia Folke Bernadotte. Chociaż niektóre osoby w Sztokholmie uważały go za miernego polityka, hrabia miał silne niemieckie koneksje oraz wrodzony wdzięk dyplomaty. Co więcej, Himmlerowi na pewno zaimponowałaby błękitna krew Bernadotte'a i wiedział o jego bliskich powiązaniach z aliantami – hrabia miał żonę Amerykankę, a ostatnio w Paryżu spotkał się z samym Eisenhowerem. Bernadotte chętnie przystał na propozycję.

16 lutego poleciał do Berlina, gdzie ludzie budowali już barykady, ustawiali się w kolejkach po żywność, a śmierć i zniszczenie z dnia na dzień zbierały większe żniwo. Z pomocą szwedzkiego ambasadora próbował zorganizować spotkanie z Himmlerem. Czekał trzy dni i rozmawiał tymczasem z innym wysoko postawionym nazistą, zanim dostał odpowiedź, że Himmler się z nim

spotka. Na miejsce rozmowy wybrano klinikę SS Karla Gebhardta w Hohenlychen, 100 kilometrów na północ od Berlina i 8 kilometrów na północ od Ravensbrück.

Hohenlychen od dawna było jednym z ulubionych miejsc Himmlera na tajne spotkania i rozmowy. Zawsze mógł całkowicie zaufać Karlowi Gebhardtowi, a klinika miała dogodne położenie względem Berlina i jednocześnie pozostawała na uboczu.

Bernadotte wyjechał do kliniki 20 lutego. Pod zdobionym portykiem głównego budynku sanatorium przywitał go Gebhardt. Gdy czekali na Himmlera, Gebhardt powiedział Bernadotte'owi, że klinika jest pełna niemieckich dzieci, które czekają na amputacje po obrażeniach odniesionych w alianckich bombardowaniach.

Nagle stanął przed nim Himmler: „W mundurze Waffen-SS bez odznaczeń i w okularach w rogowej oprawie” wyglądał jak „zwykły, nic nieznaczący urzędnik”, z wyjątkiem „kształtnych, delikatnych, starannie wypielęgnowanych dłoni”<sup>656</sup>.

Bernadotte słuchał przez dwie i pół godziny, jak Himmler mówił o swej lojalności wobec Führera oraz „męstwie” brytyjskich i francuskich sił zbrojnych. Sytuacja militarna jest „ciężka, bardzo ciężka, ale nie beznadziejna”. Himmler powiedział Bernadotte'owi, że nigdy nie zrobiłby nic wbrew Führerowi, a Führer jest przeciwny uwolnieniu więźniów. Himmler skarżył się na „złą prasę” w Szwecji. Mężczyźni wymienili dowcipy. Bernadotte wręczył Himmlerowi siedemnastowieczną szwedzką rozprawę o skandynawskich inskrypcjach runicznych, która wielce „poruszyła” Himmlera.

W końcu Bernadotte dostrzegł furtkę i przedstawił propozycję uwolnienia więźniów. Na początku Himmler zareagował „gwałtownie”, ale Bernadotte był cierpliwy i urabiał go, więc pod koniec spotkania udało mu się uzgodnić plan wprowadzenia szwedzkiej misji, aby zabrała skandynawskich więźniów z obozów. Zanim Bernadotte wyjechał z Hohenlychen, Himmler upewnił się, że dyplomata ma dobrego kierowcę, i ostrzegł go, że drogi do Berlina są niebezpieczne z powodu pułapek na czołgi i barykad. Upewniwszy się w kwestii kierowcy, Himmler powiedział: „Dobrze, w przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć, że w szwedzkich gazetach pojawią się wielkie nagłówki: «Zbrodniarz wojenny Himmler zamordował hrabiego Bernadotte'a»”.



\*\*\*

Grudniowa wizyta Wandy Hjort z ojcem w Ravensbrück, wspomniana w raporcie dla Sztokholmu, miała głównie na celu dostarczenie leków z Danii, żeby Sylvia Salvesen je rozprowadziła. Ich kontaktem w Ravensbrück był lekarz SS Franz Lucas, który dowiedział się o powiązaniach Hjortów z Sylwią i zasygnalizował gotowość do pomocy.

O „zainteresowaniu” Lucasa pomocą dla więźniów już wiedziano w rewirze. Odmówił wzięcia udziału w selekcjach do Jugendlagru i zaprotestował przeciwko truciu białym proszkiem w bloku 10. Pewnego wieczoru pod koniec stycznia zabrał Sylwię Salvesen za rewir i zaproponował swoją pomoc. „Niech mi pani da adres Hjortów. Może uda mi się ich odwiedzić”, powiedział. Zaskoczona Sylvia usiadła i zapisała nasz adres. Następnego dnia Lucas znowu przyszedł do niej i powiedział, żeby napisała list do Hjortów, a on spróbuje go dostarczyć. Sylvia ma na to dziesięć minut, mówił, bo on wyjeżdża na zawsze. Bardzo zdenerwowana i podekscytowana Sylvia napisała wszystko, co mogła, potem ukryła list w pudełku, a kiedy Lucas zakaszlał na korytarzu, wyszła i wsunęła mu je do kieszeni. Obok stała także siostra Gerda Schröder<sup>657</sup>.

Lucas udał, że nie widzi Sylvii, i zwrócił się do Gerdy:

– Do widzenia, siostrze. Wyjeżdżam. Jestem żołnierzem i zamierzam walczyć z wrogiem, a nie z więźniami.

Po czym opuścił obóz po raz ostatni, rzucając Sylvii spojrzenie, które zdawało się mówić: „Możesz na mnie polegać”<sup>658</sup>.

Pomimo obietnicy Lucas nie dostarczył na czas listu, żeby pomóc Sylvii czy komukolwiek innemu. Jednak jakieś cztery tygodnie później zgłosił się do Gross Kreutz – z listem w dłoni – i błagał Hjortów o schronienie, ponieważ zbliżała się Armia Czerwona<sup>659</sup>. Mimo tego Sylvia bardzo szybko dostała szansę na napisanie drugiego listu do Hjortów, a tym razem dostarczenie go zaproponowała Gerda Schröder.

Więźniarki znały siostrę Gerdę dłużej niż Franza Lucasa, a wiele nie tylko jej ufało, ale wręcz nazywało przyjaciółką. Pomagała przy różnych okazjach, szczególnie podczas ostatnich sterylizacji dzieci, kiedy wbrew rozkazom SS podawała okaleczonym dziewczynkom środki przeciwbólowe. Gerda urodziła się w Bad Oeynhausen, gdzie przeszła szkolenie pielęgniarskie, następnie

pracowała w berlińskim szpitalu, a na początku 1944 roku przeniesiono ją do Ravensbrück. Kiedy przyjechał Lucas, para została kochankami i być może to Gerda nakłoniła go do pomocy więźniarkom. Dowody faktycznie wskazują na to, że rozmawiali o tym, aby pomóc Sylvii, dostarczając list do Gross Kreuz.

Kilka dni po tym, jak Lucas wyjechał z obozu z pierwszym listem, Gerda zaproponowała, żeby Sylvia napisała drugi, który ona, Gerda, przekaże osobiście. Tym razem Sylvia miała na pisanie całą noc, ale ciężko jej było wymyślić, co napisać ludziom z zewnątrz, którzy prawdopodobnie nic nie rozumieją, szczególnie że list może zostać przechwycony. Próbowła opisać na początku, jak obóz się rozrastał, jak zaczęła się praca niewolnicza, ale szybko spod pióra wypłynęła jej historia niedawnych okropności:

... dochodzi od 40 do 60 zgonów dziennie [...]. W obozie panują tyfus, zapalenie okrężnicy i błonica [...]. Więźniarki są zagłodzone i wszędzie bląkają się żywe szkielety [...]. Codziennie tysiąc więźniarek czeka nago, aż zostaną wybrane do pracy, ale skazane są na rychłą śmierć, a jeśli nie, trafią do obozu, którego okropieństwa nie da się opisać.

Sylvia na pewno zdawała sobie sprawę, gdy pisała, że Wanda musi wiedzieć o miejscu pobytu norweskich więźniarek. Kilka wysłano do Majdanka i Auschwitz, „obozu zagłady, gdzie w komorach gazowych życie straciło milion Żydów [...]. Jeśli możecie pomóc, mam nadzieję, że nastąpi to szybko”.

„Niektóre są ciągle bezpieczne w Ravensbrück”, napisała. „Pomogłam Kirsten Brunvold dostać pracę w szpitalu, a Solveig Smedsrud robi na drutach”. Jednak teraz większość kierowana jest do transportów. „Właśnie dostałam informację, że sześć Norweżek – Kate Johanssen, Maja Holst, Solveig Smedsrud, Live Carlmark, Singe Enger i Tora Jespersen – zostały wybrane do transportu”. Sylvia napisała, że udało jej się, właśnie tego wieczoru, wycofać cztery z konwoju. „Poszłam do bloków, gdzie spały, i ze wszystkimi porozmawiałam. Spróbuję porozmawiać z doktorem Treitem i ubłagam go o unieważnienie rozkazu”.

Ale Kate Johanssen i Maja Holts wyjadą do Bergen-Belsen:

chyba że uda nam się w ostatniej chwili wycofać je z listy. Dziś pojawiły się pogłoski, że w ciągu trzech tygodni cały obóz ma zostać ewakuowany, i wygląda na to, że zdarzyć się może wszystko. Być może to ostatni i jedyny sygnał, że żyję, który mogę przekazać, a jeśli by tak miało być, proszę, przekazcie ode mnie wiadomość Haraldowi i dzieciom. Powiedzcie, że wcale nie jestem zrozpaczona ani przygnębiona. Przekazcie, że tęsknota za nim i za dziećmi była najgorszą rzeczą do zniesienia. Druga to tęsknota za wolnością, za własnym życiem, bez zniewolenia przez innych,

i tęsknota za lasami i strumieniami Norwegii. I proszę przekazać moją wiadomość – być może ostatnią, mojemu ukochanemu mężowi, drogiej starej matce i ukochanym dzieciom. Dziękuję za wszystko. Żegnajcie.

Biorąc list od Sylvii, Gerda powiedziała, że następnego dnia wyjeżdża z obozu i już nie wróci. Doktor Trommer powiedział jej, że dostała przeniesienie do męskiego obozu koncentracyjnego w Mauthausen, ale Gerda odmówiła.

O czwartej rano Gerda wyjechała z listem i udała się do Poczdamu i Gross Kreutz. Dotarła do stacji Oranienburg na przedmieściach Berlina, ale opóźniły ją ostrzeżenia o nalotach. W Poczdamie ogłoszono kolejne objazdy i Gerda znalazła się w Gross Kreutz, dopiero gdy zrobiło się już ciemno. Naczelnik stacji nie wiedział nic o norweskiej rodzinie mieszkającej w okolicy, ale kiedy Gerda wspomniała o piątce jasnowłosych dzieci, wskazał jej dom. W kompletnych ciemnościach, z powodu groźby nalotów, znalazła dom i zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział. W torbie miała obciążający list.

Zawyły kolejne syreny obwieszczające alarm przeciwlotniczy, gdy pojawiła się dziewczynka. Gerda spytała, czy rodzina jest w domu. Dziewczynka zaprowadziła ją do piwnicy, gdzie przy świetle łojowej świecy siedziała pani Hjort, matka Wandy, oraz Joanna Seip, żona Arupa Seipa. Wandy z ojcem i innymi nie było. Obie kobiety bały się obcej Niemki, ale Gerda wyjęła list Sylvii i pokazała im długą listę nazwisk; wtedy zrozumiały sytuację.

Nie było czasu na rozmowę, ale kobiety napisały dla Gerdy kilka słów oraz prosiły przekazać Sylvii, że pomoc jest w drodze. Wyjaśniły, że hrabia Bernadotte ze Szwedzkiego Czerwonego Krzyża jedzie do Niemiec, aby uratować skandynawskich więźniów.

Ponieważ znowu rozległ się alarm przeciwlotniczy, Gerda zasugerowała, aby pani Hjort i Joanna Seip przekazały Sylvii jakąś paczkę, a one przygotowały buty, skarpety i kostkę mydła. Gerda wyszła z paczką i pojechała do Berlina. Dwie Norweżki studiowały list Sylvii. „Jeśli możecie pomóc, mam nadzieję, że nastąpi to szybko”.

[648](#) Litoff (red.), *An American Heroine in the French Resistance*.

[649](#) Note à l'intention de Monsieur Berber, 15 września 1944 roku, AMKCK, B G 44/CP-227 023.

[650](#) La Guardia Gluck, *Fiorello's Sister*.

[651](#) KV 2/98.

[652](#) Bernard Dufournier dowiedział się o tym planie. 11 stycznia dostał list od szwedzkiej misji w Paryżu, z którą skontaktował się w sprawie Denise, że wiceprzewodniczący Szwedzkiego Czerwonego Krzyża „jest w obecnej chwili bardzo zainteresowany, żeby zrobić coś dla kobiecego obozu w Ravensbrück. Pragnie przesłać paczki i wysłać tam przedstawiciela. Niczego nie mogę obiecać”, napisał szwedzki urzędnik.

[653](#) Cyt. za: Persson, *Escape from the Third Reich*.

[654](#) Zob. Persson, *Escape from the Third Reich*; Heger, *Tous les Vendredis*. Wanda Heger (z domu Hjort) opisuje, jak neutralni Szwedzi przez ambasadę w Berlinie okazali „niezwykłą gorliwość” w nawiązywaniu kontaktu między komórką z Gross Kreutz a norweską ambasadą w Sztokholmie. Norwescy urzędnicy zaczęli postrzegać komórkę jako własny „tajny komitet w Berlinie”.

[655](#) Johan Hjort, BAL B162/27217.

[656](#) Bernadotte, *The Fall of the Curtain*.

[657](#) Niemiecka obozowa pielęgniarka jest niejasną postacią. Była jedną z kilku Niemek zatrudnionych przez SS, którą więźniarki lubiły, a nawet szanowały. Nie została wezwana do złożenia zeznań w Hamburgu, ale złożyła oświadczenie Verze Atkins, że przed wojną pracowała jako pielęgniarka na sali operacyjnej i została „przymusowo” przeniesiona do Ravensbrück. Asystowała Treitemu przy operacjach eksperymentalnych, w tym sterylizacjach i aborcjach „na niezdrowych Niemkach i Cygankach”: WO 235/318. Listy pisane przez Gerdę po wojnie do Sylvii Salvesen, z którą się zaprzyjaźniła, świadczą o jej cierpieniach: „Nie byłam więźniarką, ale mnie zamykali. Miałam związane ręce, ale próbowałam pomagać”. Archiwum Salvesenów, Norges Hjemmefrontmuseet.

[658](#) Salvesen, *Forgive*.

[659](#) Johan Hjort powiedział, że Lukas zwrócił się do Gross Kreutz 23 kwietnia z prośbą o schronienie. Gdy dowiedział się, że Amerykanie stanęli nad Łabą, bał się wpaść w radzieckie ręce. Hjort ukrył Lucasa na kilka dni, a potem dał mu stary rower i lekarz SS odjechał. BAL B162/27217.

## Rozdział 37

### Emilie

Pomocy nie udało się dotrzeć na tyle szybko, aby powstrzymać transport do Belsen. Dzień po tym, jak Sylvia napisała drugi list, z Ravensbrück wyjechał pociąg z 3205 więźniarkami. Tuż przed jego wyruszeniem komendant Belsen, Josef Kramer, skontaktował się z główną administracją obozową: „Teleksem z 28 lutego '45 roku nakazaliście przyjęcie pierwszego transportu 2500 więźniarek z Ravensbrück. Przyjęcie niemożliwe. Więźniowie śpią na ziemi i mamy szybko rozprzestrzeniającą się epidemię tyfusu”<sup>660</sup>. Mimo to pociąg odjechał.

Celem transportu do Belsen miało być opróżnienie Ravensbrück ze wszystkich dzieci, matek i ciężarnych. Odesłano jednak tylko garstkę z 400 czy 500 dzieci obecnych na przyjęciu gwiazdkowym. Zanim transport odszedł, *Kinderzimmer* w bloku 11. został rozszerzony, z nowymi kojcami dla kolejnych umierających dzieci. Zdenka Nedvedová, czeska pediatra, wykrzyknęła pewnego dnia na ten widok boleśnie: „Polki, gdzie jest teraz wasz Bóg?!”. Obecnie blok został opróżniony.

Matkom wmawiano, że każda zmiana będzie lepsza dla ich dzieci, więc wiele zgłosiło się na ochotnika do transportu do Belsen. Inne też to zrobiły, na przykład operowana Polka Maria Cabaj, która przemyciła się do wagonu, uznawszy, że ma większe szanse przetrwania, jeśli wyjedzie z Ravensbrück.

Podróż do Belsen, 400 kilometrów na zachód, trwała siedem dni. Więźniarki zamknięto w bydlęcych wagonach bez jedzenia i wody; nie miały się też gdzie położyć. Zanim pociąg dojechał do Belsen, wszystkie dzieci już nie żyły. Kobiety wyładowano około 3 kilometrów od obozu i kazano iść przez pola. Te, które nie mogły maszerować, rozstrzeliwano. Gdy dotarły do ogrodzenia, matki ułożyły małe ciała w szeregu pod drutami kolczastymi; pokrył je śnieg. Do rana zniknęły. Maria Cabaj opowiadała:

Rozpacz matek była straszna. Ja byłam już otępiała, moje dzieci należały do przeszłości, nie pamiętałam już ich twarzy. Zastanawiałam się nieraz, czy miałam dzieci, dom, rodzinę [...] Widziałam masę szubienic, na których wisieli mężczyźni<sup>661</sup>.

Od transportu do Belsen zaczęła się ewakuacja Ravensbrück i porządku. *Kinderzimmer* w bloku 11. został wyszorowany i odmalowany. „[...] pod blokami sadzono drzewka. Patrzyliśmy na to wszystko z osłupieniem, tylko Holenderki uśmiechały się znacząco. «To dobrze, to bardzo dobrze – mówiły – to znaczy, że już niedługo. U nas w obozie w Holandii, tuż przed wkroczeniem aliantów, wybudowali blok dla dzieci i wymalowali sale scenami z bajek. Obrazy jeszcze były mokre, gdy nas ewakuowali»”<sup>662</sup>.

Na początku marca zniknął namiot i jego mieszkanki. Według Haliny Wasilewskiej przed rozbiórką zamieszkiwało go co najmniej 4 tysiące kobiet, chociaż ostatecznie nikt nie wiedział, ile ich tam było ani ile zmarło, ponieważ często nie miały numerów ani nie były zarejestrowane. Kiedy wreszcie blokowa namiotu zaprotestowała u esesmanów, że nie może wpuścić ani jednej kobiety więcej, kolejne pięćset wepchnięto do środka – „dosłownie – jedna z sekretarek wciskała je pod klapę swoim kolaniem”, wspominała Halina.

W swym opisie ostatnich dni namiotu Halina zamieściła takie obrazy:

Ciało nieznannej zmarłej kobiety leżące przez cztery dni przed wejściem w oczekiwaniu na identyfikację.  
Kobieta ze szkarlatyną, której skóra odchodziła płatami.  
Suzi Pereklino-Rudolphino, piękna, zdrowa osiemnastolatka, która oszalała po dwóch dniach w namiocie i trafiła do rewiru, gdzie zmarła<sup>663</sup>.

Gdy płótno namiotowe opadło, ukazała się połać ugoru i stosy śmieci. Wkrótce potem nad obozem przeleciał brytyjski samolot zwiadowczy i zrobił zdjęcia. Pokazują one puste miejsce, gdzie niegdyś stał namiot. W ciągu kilku dni posadzono tam młode drzewka.

Po transporcie do Belsen i rozebraniu namiotu esesmani z powrotem zajęli się zabijaniem. Doktor Lucas odszedł, doktora Treitego poproszono o przejęcie selekcji, ale on też odmówił, więc został zwerbowany dawny lekarz marynarki doktor Adolf Winkelmann, który służył w obozie Gross-Rosen, niedawno zdobytym przez Rosjan.

„Bardzo wysoki i bardzo gruby, z wielkim brzuchem, z niezwykle grubymi, bardzo długimi ramionami, nalaną twarzą, jasnymi oczami i karkiem, którego tłuste fałdy opadały na ramiona”, opisywała go Loulou Le Porz. Większość więźniarek nie mogła patrzeć mu w twarz, ale Loulou obserwowała go i wydała diagnozę: jej zdaniem cierpiał na mastocytozę, chorobę komórek tłuszczowych, która wywołuje na skórze guzy i narośle. „Wiem, że nie powinno się oceniać ludzi po twarzy – stwierdziła – *mais quand même!* Miał twarz zawodowego zabójcy. Przyszedł do obozu z karabinem na ramieniu”<sup>664</sup>.

Winckelmann nawet nie udawał lekarza. Wcisnął swoje cielsko przez drzwi bloku 10. w towarzystwie pielęgniarki SS, a potem usiadł za stołem i zażądał wykresów temperatury. „Ale wcale na nie nie patrzył”, wspominała Loulou.

W jego selekcji na śmierć nie było logiki. Wybierał Francuzki, które bez trudu mogły doczekać wyzwolenia. Decydował, jeśli nie spodobał mu się czyjś wygląd – nic więcej. Był głupcem i wpisał na swoją pierwszą listę nawet Niemki, długo po tym, jak przestali je gazować. Jeśli któraś z nas protestowała, odwracał się i spojrzeniem dawał do zrozumienia, że my będziemy następne. Miał małe, jasne oczka. Słyszałam, że miał dwoje dzieci i mieszkał z rodziną niedaleko obozu.

Wkrótce jednak więźniarki dostrzegły schemat w selekcjach Winkelmann. Julia Barry zauważyła, że zawsze patrzy w dół, na nogi. Denise Dufournier stwierdziła, że często pojawiał się z Hansem Pflaumem, „handlarzem bydła”, ale w przeciwieństwie do Pflauma, „również zwalistej bestii”, Winkelmann nie bił kobiet. „Po prostu stał i patrzył na ich nogi”. Loulou wspominała, że w bloku 10. niekiedy prosił pielęgniarkę o zdjęcie koca. „Potem odsuwał się, powoli obracał gruby kark, podnosił oczy i przez sekundę lub dwie omiatał wzrokiem straszliwą, wyciągniętą postać, szczególnie nogi”.

Winkelmann sprawdzał tylko nogi, ponieważ kryteria selekcji ograniczały się właśnie do tego: czy kobieta jest zdolna do chodzenia, a tym samym do uczestnictwa w marszu ewakuacyjnym? Führer upierał się, że żadni więźniowie nie mogą zostać w obozie, gdy nadejdą Rosjanie, ale teraz stało się jasne, że nie ma czasu na zagazowanie wszystkich, reszta musi więc wyruszyć w drogę. Ci, którzy nie mogą iść, mają trafić do gazu.

W ciągu tygodnia od przybycia Winkelmann sekretarki w *Schreibstube* zauważyły, że podwoił liczbę kierowanych do Jugendlagru z około 50–60 dziennie do 150, a nawet 180. Większość z nich miała opuchnięte kostki i łydki.

Przeprowadzał też selekcje w Jugendlagrze, nad którym kontrolę traciła Ruth Neudeck. Więźniarki walczyły, a kilka uciekło. Jakiejś Węgierce udało się dotrzeć do obozu głównego po tym, jak Salvequart zaproponowała jej biały proszek. Ukryła się w bloku i nigdy jej nie znaleziono. Według Hedwig Kuny, Niemki przydzielonej Neudeck jako tłumaczka, Adolf Winkelmann obwinił Neudeck o te incydenty. Zaraz po przybyciu do Jugendlagru oskarżył Neudeck o wybieranie do gazu kobiet, „które wciąż mają siłę stawić opór”.

Młoda warszawianka była na tyle silna, że po selekcji zdołała uciec z komory gazowej; pobiegła do Jugendlagru i opowiedziała, co widziała. Jak wspominała sztabowa Irma Trksak:

Powiedziała nam, że zabrali je do szopy, która miała otwór w dachu. Wszystkim kazano się położyć i iść spać, ponieważ to była noc, ale potem zauważyły, że gaz napływa przez otwór w dachu. Ale nie wszystkie kobiety zginęły od razu, a ponieważ ta Polka uniknęła śmierci, zdołała się wydostać, zanim inne zabrano do krematorium<sup>665</sup>.

Przerażona kobieta nie miała pojęcia, dokąd uciekać, i dlatego trafiła z powrotem do Jugendlagru, gdzie próbowała się ukryć. Strażnicy najpierw jej nie zauważyli, ale świadoma, że lada chwila ściągną psy, wskoczyła do rowu z ekskrementami i mokrą słomą. „Uznała, że jeśli się tam ukryje, pod słomą, psy jej nie wywęszą i będzie bezpieczna”, powiedziała Irma.

Początkowo psy faktycznie jej nie wyczuły, ale jeden stanął nad rowem, gdzie chowała się więźniarka. Inna czeska sztabowa widziała, co się stało potem.

Sztabowa krzyknęła: „Jest w rowie, podpalmy słomę!”. Więc Neudeck podpaliła słomę, co wykurzyło Polkę. Od razu ją zamknięto i następnego dnia wywieziono ciężarówką do komory gazowej. Gdy samochód odjeżdżał, krzyczała z tyłu: „To kłamstwo! Nie jedziemy do Mittwerdy, tylko do komory gazowej, a potem na spalenie!”.

Po tym wydarzeniu nawet najbardziej szalone więźniarki Jugendlagru nie wierzyły w kłamstwa o Mittwerdzie.

Na początku marca w Jugendlagrze rozeszły się pogłoski, że Winkelmann wybiera wszystkie o bladych twarzach, więc kobiety szczypały się w policzki albo malowały je czymś czerwonym. Coraz więcej więźniarek stawiało opór, krzycząc, kopiąc i drapiąc, zwykle podczas załadunku na ciężarówkę, często ze zmarłymi. „Rozgrywały się straszne sceny”, mówiła Hedwig Kuna. Pewnego



dnia młoda dozorczyń wróciła z eskortowania transportu do komory gazowej i cała się trzęsała. „Powiedziała mi, że to było straszne i że nie zrobi tego więcej”.

Przez cały ten czas Mary O’Shaughnessy żyła w strachu, że zostanie wyselekcjonowana z powodu protezy ramienia. Potem, na początku marca, szkocka pielęgniarka Mary Young usłyszała swój numer. Mary była bardzo słaba i niezdolna do protestu, wspominała O’Shaughnessy. „Tego poranka wszystkie mogłyśmy oszaleć. Kazali nam stać przed barakami. Przyszli esesmani i polecieli nam przemaszerować jakieś dwadzieścia metrów w szeregach po dziesięć. Gdy szłyśmy, esesmani wskazywali kobiety, które miały wystąpić. Przede mną szły Mary Ellen Young z Francuzką Tambour. Mary i ta Tambour zostały wskazane przez esesmanów”<sup>666</sup>.

„Ta Tambour” to Madeleine Tambour, która w okolicach Paryża współpracowała z brytyjską siatką „Prosper”. W Jugendlagrze była z siostrą Germaine, ale ona nie padła ofiarą selekcji. Mary O’Shaughnessy nie miała pojęcia, dlaczego tym razem wybrano Madeleine Tambour i Mary Young. „Nie było w tym logiki. Mary nie wydawała się słabsza niż inne”.

Po selekcji w Jugendlagrze Winkelmann wrócił do obozu macierzystego, który w marcu stał się głównym miejscem jego działalności. W pierwszej fazie gazowania wybierano kobiety z bloku 10. i kilku innych bloków śmierci, ale począwszy od końca lutego, wybierał również zwykłe „robotnice” z bloków chorych.

Germaine Tillion pisała wtedy dziennik – „podstawowe fakty; te, które wszystkich przerażały; zbyt ważne, by polegać tylko na pamięci” – równocześnie nadal zestawiając liczby dostarczane jej przez „stare szczury”<sup>667</sup>. Wkrótce po przybyciu Winkelmanna, po pierwszych transportach ewakuacyjnych, Germaine zauważyła, że liczebność Ravensbrück zaczęła po raz pierwszy spadać. Na początku lutego doliczono się 46 473 kobiet, co prawdopodobnie było wartością szczytową. Na początku marca więźniarek było tylko 37 699.

2 marca kobiety wezwano do kolejnego transportu ewakuacyjnego, tym razem do Mauthausen koło Linzu w Austrii. Wyjechać miały wszystkie Cyganki, duża liczba starych i chorych, a także wszystkie więźniarki NN. Dziennik Germaine podaje: „Tego wieczoru 1000 kobiet – z których wszystkie NN (poza tymi, które się ukrywały) i Cyganki z dziećmi – zamknięto w bloku

karnym”. Germaine nie wspomina „podstawowego faktu; tego, który wszystkich przerażał”, że również trafiła do bloku karnego, ponieważ jako NN ona i jej przyjaciółka Anise Gerard zostały wyznaczone do Mauthausen. Później wyjaśniła, że dzięki wpływowej czeskiej przyjaciółce, artystce Anisce Kapilovej, obie z Anise zostały skreślone z listy w ostatniej chwili. Ich miejsca zajęły inne, które następnego ranka zostały zamknięte w bydłych wagonach.

Informacje o tym, co działo się z wysłanymi do Mauthausen, pojawiły się dopiero po wyzwoleniu. Co najmniej 120 kobiet zmarło w drodze z pragnienia i uduszenia. Przy wyładunku te „wciąż konające”, jak to ujęła jedna z więźniarek, szybko „wykończono”. Idąc w stronę bram Mauthausen, Holenderka Sabine Zuur zauważyła przed sobą młodą kobietę z dzieckiem na ręku i trzymającą drugą ręką malucha.

Szła dwa szeregi przede mną. Była u kresu sił i potykała się. Kiedy esesman ją uderzył, kobiety idące za nią pomogły jej się podnieść, ale znów upadła. Esesman wyciągnął ją więc z szeregu i pobił, porzucając na końcu kolumny. Inne kobiety zajęły się dziećmi. Bałyśmy się, że gdy się potkniemy, zostaniemy tak samo pobite<sup>668</sup>.

Gdy Anise i Germaine zostały skreślone z listy do Mauthausen, ukryły się – Anise w bloku, gdzie przebywała matka Germaine, Emilie Tillion, a Germaine, chora, w zwykłym bloku rewirowym. Rozeszła się wtedy wieść, że następnego dnia odbędzie się *Generalappell*, czyli masowa selekcja, podczas której każdy mógł zostać wybrany do gazu, ale szczególnie stare albo te z chorymi nogami. W wieku 69 lat Emilie Tillion na pewno była zagrożona, podobnie jak Germaine: nie tylko chora, ale też wciąż poważnie kulejąca po przebytej dyzenterii. Podczas gdy Emilie została w bloku pod opieką Anise, przyjaciółka Germaine, Anicha, przeszmurowała ją do bezpieczniejszego bloku szpitalnego. Anicha wiedziała, że Grete Buber-Neumann leży chora w rewirze na „bezpiecznym oddziale”, przeznaczonym dla uprzywilejowanych więźniarek.

„Leżałam w izbie chorych, kiedy Anicha od zewnątrz otworzyła okno i powiedziała podekscytowana, że szykuje się generalny apel i trzeba znaleźć kryjówkę dla Germaine”, wspominała Grete<sup>669</sup>. Jedyna pacjentka w izbie leżała, bardzo chora, na sienniku poniżej Grete, więc Buber-Neumann mogła wziąć Germaine na swoją pryczę i ukryć ją pod kocami.

Na zewnątrz zawyła syrena na apel i ponad 30 tysięcy kobiet stanęło w szeregach przed blokami, podczas gdy Winkelmann, Suhren i grupy strażników oraz obozowych policjantek przechodzili wzdłuż nich. W tej grupie Zdenka Nedvedová zauważyła strażniczkę z czterdziestocentymetrową laską ze srebrną rączką. Każda więźniarka musiała się rozebrać i szybko przejść przed nimi. Każda z opuchniętymi nogami, siwymi włosami, pomarszczoną skórą i temu podobnymi musiała stanąć po jednej stronie.

Stałyśmy na nadzwyczajnym apelu na Lagerstrasse, gdy przed naszymi oczami z bloków szpitalnych wywlekano półnagie kobiety i zabierano ciężarówkami. Wśród zabranych pamiętam pisarkę Milenę Balcarovą-Fischerovą, która cierpiała na gruźlicę, matkę dwójki dzieci. Trafiła do komory gazowej. Stałyśmy bezradne i wstrząśnięte. Zabierane kobiety płakały i walczyły. Ciężarówki czekały opodal, by zabrać ofiary.

Na koniec wybrane więźniarki zabrano do innego bloku i ciężarówką do Jugendlagru. Chore na gruźlicę i „psychiczne” zawieziono prosto do komory gazowej. Widziałam je okryte wyłącznie koszulami, które piętrzyły się na ciężarówkach, a po godzinie obserwowałam płomienie buchające wysoko z kominów i gęsty, dławiący dym snujący się po obozie<sup>670</sup>.

Zdenka i inne więźniarki mówiły, że obozowe policjantki pomagały esesmanom zaganiać kobiety i polować na te, które się ukrywały. Pewna blokowa też pomagała. Francuzki później oskarżyły Karolinę Lanckorońską, blokową ich baraku, numer 27, o pomoc SS w wyłapywaniu kobiet.

Gdy masowa selekcja trwała, Grete i Germaine słyszały wrzaski strażników pod blokami i wiedziały, „że grupy poszukiwawcze przejdą przez cały obóz”, opowiadała Grete. „Słyszałyśmy ruszające ciężarówki, ich odjazd i różne inne dźwięki. Po godzinie w korytarzu pod naszym pokojem rozległy się kroki i Germaine ukryła się głębiej w pościeli. Weszło trzech mężczyzn – Treite, Trommer i Winkelmann”.

„Ile chorych jest w tej sali?”, spytał Treite. Grete odpowiedziała, że dwie. Treite spojrział na nią i na umierającą kobietę poniżej, potem obrócił się i wyszedł z pozostałymi. Wkrótce potem syrena ogłosiła koniec apelu. „Za oknem pojawiła się twarz Anise skamieniała ze zgrozy – opowiadała Grete. – Powiedziała: «Germaine, twoją matkę zabrali do komory gazowej», na co Germaine wyskoczyła z łóżka, łkając: «Moja matka, moja matka»”.

Selekcja się skończyła, a kobiety wracały do swoich bloków. Anise powiedziała Germaine, że próbowały się ukryć z Emilie, ale siłą ustawiono je w szeregu. Emilie została wskazana i trafiła na jedną z ciężarówek

Winkelmann. Więźniarki sądziły, że pojechała do Jugendlagru, a nie bezpośrednio do komory gazowej, więc Germaine miała nadzieję, że jest jeszcze szansa na uratowanie jej.

Germaine napisała liścik do matki i poprosiła Micky Poirier, koleżankę pracującą w biurze Hansa Pflauma, żeby zadbała o przekazanie wiadomości Emilie w Jugendlagrze. Jeśli ktokolwiek mógł dostarczyć list do Jugendlagru, to Micheline „Micky” Poirier, dziewiętnastolatka, która przybyła do Ravensbrück w lipcu 1944 roku i szybko stała się najbardziej wpływową Francuzką w obozie. Głównie dlatego, że płynnie mówiła po niemiecku, gdyż urodziła się w nadgranicznej Alzacji, ale również dlatego, że była sprawną administratorką, Micky została asystentką Pflauma, co oznaczało, że zna miejsce pobytu niemal każdej więźniarki w obozie.

Wiadomość Germaine dla matki brzmiała: „Dbaj o zdrowie i staraj się wyglądać na zadowoloną”. Pytała też matkę, czy widziała dwie Francuzki również wysłane do Jugendlagru – „Czy masz wieści o Evelyne lub madame Bailly?”. Wysłała też paczkę ze środkami przeciwbólowymi, odrobiną cukru i herbatnikiem. W następnych dniach Germaine przekazała również drugi i trzeci list dla matki, podobnie jak paczuszki z węglem na biegunkę. „Co do węgla, to musisz go bardzo drobno zeskrobać, żeby nie podrażnić jelit”, instruowała.

Germaine czekała całymi dniami na odpowiedź, ale żadna nie nadeszła. Tydzień później Micky oddała Germaine paczuszki i listy, stwierdzając, że jej matka poszła do komory gazowej. Zagazowanie Emilie Tillion zdruzgotało Francuzki i zapanowało powszechne współczucie dla Germaine, chociaż niektóre pytały, dlaczego Germaine nie została z matką. „Myślę, że poszłabym z moją matką do komory gazowej, czyż nie?”, powiedziała Loulou Le Porz, kiedy ją spytałam, co pamięta z tamtego dnia.

Inne winiły Karolinę Lanckorońską, że nie uratowała Emilie. Lanckorońska była jej blokową i miała wpływy u Binz i Suhrena. Mogła więc interweniować. Anise Girard obwiniła siebie. Obiecała Germaine, że zajmie się Emilie, z którą też była bardzo blisko.

Jeannie Rousseau, inicjatorka protestu w Torgau we wrześniu 1944 roku, przebywała w tamtym czasie w obozie macierzystym i mówi, że nikt nie mógł nic zrobić, żeby ocalić Emilie Tillion:

Germaine znajdowała się w rewirze i nic nie mogła zrobić. Anise przebywała z Emilie

i powiedziała jej: „Słuchaj, nie musisz iść. Ukryję cię”. Ale madame Tillion powiedziała Anise: „Zawsze patrzyłam życiu prosto w twarz. Chcę spojrzeć mojej śmierci w twarz”. Nie próbowała jej uniknąć. Nie chciała spróbować. „Moja chwila nadeszła i muszę stawić jej czoła”. Musiała iść i sprawdzić, jak to jest.

A Anise pozostała z poczuciem winy. Nie zapomniała o nim ani na sekundę. Zawsze gdy mówi o tamtych chwilach, szlocha. Szlocha. Szlocha. To dlatego nawet teraz nie chce odejść od Germaine.

Spotkałam się z Anise Girard dwa razy. Za drugim razem, w 2009 roku, w paryskim domu Germaine. Germaine miała sto lat i leżała, bardzo słaba, na piętrze. Anise nieustannie czuwała przy umierającej przyjaciółce. Portret Emilie wisiał na ścianie. Zapytałam, czy to prawda, że Karolina Lanckorońska nie pomogła zapobiec wyselekcjonowaniu Emilie.

Tak, uważam, że Karolina mogła ocalić Emilie. Należały w obozie do tego samego kręgu. Była historykiem sztuki, tak jak madame Tillion, i obie prowadziły wykłady o sztuce w bloku. Należały do grupy intelektualistek i żon ambasadorów – *milieu culturel*. Ale Lanckorońska uważała większość Francuzek w obozie za wstrętne. Francuzki zawsze odmawiały wykonywania jej poleceń, a ona miała wielki kij, biła nas nim i mówiła: „*Mesdames*, nie macie żadnej ogłady”. Tak, ona mogłaby pomóc. Stała koło nas, kiedy doszło do selekcji, ale nic nie zrobiła.

Anise zaczęła płakać. Nigdy nie mówiła o obozie, aż „do Faurissona”, stwierdziła. Robert Faurisson, brytyjski uczony, który wykładał na uniwersytecie w Lyonie, w latach siedemdziesiątych pisał artykuły kwestionujące istnienie nazistowskich komór gazowych i twierdził w nich, że w Ravensbrück nigdy nie było komory gazowej. Na poparcie tej tezy cytował dokumenty Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, które nie wspominały o komorach w Ravensbrück. Twierdzenia Faurissona wywołały oburzenie na całym świecie i ból wśród ocalonych z Ravensbrück, szczególnie tych, które widziały, jak ich krewne i przyjaciółki są zabierane na zagazowanie.

W latach siedemdziesiątych Germaine Tillion znów zajmowała się badaniem plemion afrykańskich, więc Anise Girard wzięła na siebie zadanie obalenia tez Faurissona. „Jako stare deportowane byłyśmy straszliwie zmęczone; chciałyśmy zapomnieć i wyprzeć to wszystko z naszego życia, ale kiedy czytałyśmy Faurissona, musiałyśmy coś zrobić”.

To, że akta Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, które widział, nie wspominają o komorze gazowej, nikogo nie zdziwiło: Himmler oszukiwał

MKCK w kwestii komory gazowej w Ravensbrück, tak jak i w wielu innych. Fakty potwierdzone zostały podczas powojennych procesów hamburskich. Johann Schwarzhuber, oficer SS, który kierował gazowaniem, opisał komorę gazową i wyjaśnił, jak przebiegało zabijanie.

Później wypłynęło więcej dowodów sprokurowanych przez SS. Fritz Suhren, który we wczesnych zeznaniach potwierdzał istnienie komory gazowej, ale zaprzeczał, aby osobiście był zaangażowany w eksterminację, uciekł tuż przed procesem w Hamburgu. Schwytany, pojawił się w 1949 roku przed francuskim sądem w Rastatt, gdzie jego rola została udowodniona. Suhrenowi okazano nawet „listę Mittwerdy” z jego podpisem u dołu. Listę, datowaną na 6 kwietnia 1945 roku, z nazwiskami 450 kobiet wybranych do zagazowania, zdobyły więźniarki i potajemnie przekazały na zewnątrz, aby posłużyła za dowód.

Na światło dzienne wyszły też relacje innych świadków, po części uratowanych z męskich obozów, którzy pracowali przy obsłudze komór gazowych. Ponieważ po wojnie ci ludzie żyli za „żelazną kurtyną”, ich świadectwa były początkowo niemal nieznane na Zachodzie, ale dodawały ważne nowe szczegóły. Anise odkryła relację Emanuela Kolařika, czeskiego więźnia, który wykonywał różne prace przy komorze gazowej – czyszczenie i usuwanie ciał. Powiedział, że podczas pracy często rozmawiał z ludźmi, którzy przeprowadzali gazowanie. Byli to żydowscy więźniowie z Auschwitz przywiezieni przez Schwarzhubera, żeby stworzyć *Sonderkommando* w Ravensbrück.

Na podwórzu obok budynku kobietom dawano mały ręcznik i kawałek mydła i wprowadzano do lewego skrzydła budynku, gdzie miały się rozebrać. Mówiono im, że muszą się dobrze umyć, ponieważ to ważne w obozie, do którego trafią. W komorze gazowej esesman krzyczał do nich: „Myjcie się dobrze, bez pośpiechu!”<sup>671</sup>.

Według Kolařika członkowie *Sonderkommando* wyciągali zwłoki z komory gazowej za pomocą haków. „Wiele zmarłych ewidentnie próbowało uciec lub wywalczyć sobie drogę do wyjścia do ostatniej minuty, ponieważ nieżywe kobiety miały zaciśnięte pięści, trzymające pasma włosów, a ciała tak kurczowo wczepione w siebie, że robotnicy nie mogli ich rozdzielić”.

Podczas dokonywania reperacji koło komory gazowej Kolařik widział żydowskiego robotnika wyciągającego trupy i układającego je koło

krematorium jak kłody gotowe do spalenia. Mężczyzna miał fartuch z worków dla ochrony, a w kieszeni nieco chleba. „Ten więzień był już tak znieczulony, że jadł chleb wyjęty z fartucha, gdy szedł zabrać kolejne ciało. Na ten widok zwymiotowałem”. Kolařík przywołał swego szefa – esesmana – żeby pokazać mu tę scenę, i ten też zwymiotował.

Anise odkryła również dowody sugerujące istnienie drugiej komory gazowej w Ravensbrück. Ona i Germaine zawsze zastanawiały się, jak prymitywna komora gazowa opisywana w Hamburgu przez Schwarzhubera i innych zdołała zabić aż tyle osób, mimo swej niewielkiej wydajności. Co więcej, drewniany budynek został podobno zniszczony w pierwszych dniach kwietnia, a mimo to przytłaczająca liczba świadectw mówi, że gazowania trwały dalej, nawet do końca kwietnia. Więc gdzie?

To Anise Girard jako pierwsza zwróciła uwagę na mało znaną relację Waltera Jahna, elektryka z Drezna i więźnia męskiego obozu w Ravensbrück, który zeznał na procesie Oswalda Pohla, że zaprojektował betonową komorę gazową dla Ravensbrück, ale budowa została opóźniona. Projekt Jahna różnił się całkowicie od prymitywnej drewnianej komory gazowej, o której wiemy. Jego komora, jak powiedział, zamówiona przez Schwarzhubera i Hössa, została usytuowana koło północnego muru i zamaskowana jako *Neue Wäscherei* – nowa umywalnia. Jahn stwierdził, że Höss, Suhren i Pohl przeprowadzili tam nawet inspekcję pod koniec lutego i ponownie w marcu; zasugerował, że instalacja działała.

„Sam wykonałem wyposażenie elektryczne, włącznie z sygnalizatorami”, zeznał Jahn. Wejście wyglądało całkiem niewinnie, „jak poczekalnia”, ale wewnątrz były dwie „sale kąpielowe” z około trzydziestoma główkami natrysków. Pośrodku znajdowała się rura wentylacyjna z wiatrakiem. Wyciągi oczyszczały zatrute powietrze. Ofiary zabierano i wrzucano do grobu, a ich rzeczy zabierała ciężarówka<sup>672</sup>.

Odkąd świadectwo Jahna ujrzało światło dzienne, zawsze wywoływało kontrowersje, ponieważ nigdy nie odkryto śladu takiej komory gazowej, a ocalone nie wspominają takiego budynku, co prowadziło do spekulacji, że albo Jahn kłamał, albo jego komory nigdy nie użyto. Istnieje wszakże możliwość, że kamuflaż był tak skuteczny, iż budynku nigdy nie zidentyfikowano jako komory gazowej. W tym miejscu nie przeprowadzono wykopalisk w celu odnalezienia budowli, nie przeprowadzono też sondaży



w celu odkrycia masowych grobów, o których mówił Jahn. Tym samym zeznania Jahna nie można odrzucać. A nawet jeśli jego komory gazowej nigdy nie użyto, to mogła stanowić część planu jeszcze intensywniejszego gazowania w Ravensbrück, niż dotąd przypuszczano.

Prawdopodobnie nigdy nie poznamy prawdy o komorze gazowej Jahna. Ale mamy przytłaczające dowody innych sposobów gazowania w obozie. Szczególnie w ostatnich tygodniach wiele więźniarek widziało ruchomą komorę gazową – opisywaną jako furgonetka, ciężarówka albo wręcz wagon kolejowy – słabo ukrytą między drzewami. Część świadków uważa, że była więcej niż jedna.

Karolina Lanckorońska pisze: „ukazał się w lasku pod Jugendlagrem «autobus» [...]. 100 osób «wsiadało» do niego, potem mały komin na dachu zaczął się kręcić – śmierć następowała natychmiast”<sup>673</sup>.

W raporcie dla Londynu, opartym na wywiadach z ocalonymi, przeprowadzonymi zaraz po wyzwoleniu, brytyjski dyplomata napisał, że przesłuchiwane mówiły o „dwóch komorach gazowych”<sup>674</sup> – jedną z nich był „przerobiony wagon kolejowy ściągnięty z Auschwitz”<sup>675</sup>. Niezliczone polskie ocalone mówiły o „samochodach gazowych” i „gazowych ciężarówkach”<sup>676</sup>. Najbardziej poruszająca była relacja Ireny Dragan o obandażowanych kobietach zagazowanych w ciężarówce w Jugendlagrze. Inne więźniarki stamtąd mówiły, że słyszały „nocami nieustanny warkot silników samochodowych [...] i rozpaczliwe krzyki”. Sekretarka Erna Cassens, niemiecka komunistka, opowiadała, że słyszała o używaniu ciężarówki, kiedy komora gazowa nie funkcjonowała dobrze. „Wiadome było, że kobiety ładowano do wagonów kolejowych na bocznicę przy lesie. Do zamkniętego wagonu wprowadzano gaz. Po pewnym czasie wagony otwierano, zwłoki wyładowywano i zabierano do krematorium”.

Mary O’Shaughnessy uważała, że ciężarówka gazowa była „wagonem kolejowym ustawionym na bocznicę gdzieś w lesie”. Natychmiast po wyzwoleniu czeska radiolożka Mlada Tauforová opisała znalezienie takiego wagonu wśród drzew i złożyła raport o tym władzom radzieckim. Maria Apfelkammer stwierdziła, że widziała wewnątrz „wagonu gazowego w kształcie długiego autobusu”. Hanna Sturm, austriacka cieśla, dostała polecenie rozebrania jednej z gazowych ciężarówek. Później powiedziała, że nie zdążyła i maszyna wpadła w ręce Rosjan. Zdenka Nedvedová także widziała gazowe



ciężarówki po odejściu SS: „Znalazłyśmy porzucone pojazdy koło Jugendlagru – coś jak furgony przeprowadzkowe – które miały mechanizm pozwalający wpompowywać do środka spaliny”.

Mamy inne powody, by sądzić, że używano samochodów do gazowania; choćby dlatego, że na miejscu byli eksperci. Szef transportu Josef Bertl nauczył się, jak gazować Żydów w ciężarówkach, kiedy służył w Lublinie na początku wojny. Wśród nowych szefów SS, którzy przyjechali do Ravensbrück zimą z 1944 na 1945 rok, znalazł się Albert Sauer, który również wykorzystywał w Polsce ciężarówki do gazowania. Suhren pełnił funkcję komendanta Sachsenhausen, kiedy prowadzono tam doświadczenia z wykorzystaniem ciężarówek do gazowania. Wszyscy ci ludzie znali się z poprzednich stanowisk i niemal na pewno połączyli pomysły, jak zabijać, szczególnie że w marcu i kwietniu liczba zmarłych wciąż nie była odpowiednio wysoka. Fritz Suhren powiedział koledze, że otrzymał rozkazy bezpośrednio od Führera, żeby „zlikwidować cały obóz”<sup>677</sup>.

By uzyskać najlepsze porady w sprawie gazowania w ciężarówkach, Suhren mógł się udać do sturmbannführera Herberta Langego, pioniera tej techniki. Lange, wysłany na początku wojny do Polski, by nadzorować mordowanie psychicznie chorych, operował flotą trzytonowych ciężarówek tak przebudowanych, że do stu ludzi mogło być zatrutowanych jednocześnie, gdy do kabiny z rury wydechowej napływał tlenek węgla. Langego później przeniesiono do Drögen, placówki policji bezpieczeństwa niedaleko Ravensbrück. W marcu 1945 roku on i Suhren mogli rozmawiać, jak najlepiej gazować kobiety w ciężarówkach. Być może Lange miał w Drögen kilka swoich maszyn. Ponoć sprzęt wrócił do Berlina, ale to nie było daleko.

W swym dzienniku z marca Germaine Tillion zanotowała: *la chasse, la chasse* (polowanie), a Loulou Le Porz pamięta, że tak to właśnie wyglądało. „Niebezpieczne stało się wychodzenie na Lagerstrasse. To było *la chasse à l'homme* [polowanie na ludzi]. Winkelmann albo Pflaum po prostu pojawiali się z ciężarówką, mówili *Allez hop* i byłaś złapana. Staraliśmy się jak najmniej wychodzić podczas *la chasse*”.

Po masowej selekcji 2 marca zasady *la chasse* się zmieniały. W pierwszym tygodniu marca nie tylko kobiety stłoczone w odgradzonej drutem strefie śmierci miały powód bać się selekcji. Teraz ciężarówki jeździły po

Lagerstrasse, zatrzymywały się pod blokiem, w którym Winkelmann przeprowadzał selekcję, a Neudeck, Koehler i Rapp wyskakiwali, żeby zaganiać jego ofiary bezpośrednio do samochodu. Blokowym i sztabowym kazano pomagać, gdy nie udało się złapać do pomocy nikogo przechodzącego obok.

Na początku marca trzy dziewczyny z komanda malarskiego, Denise Dufournier, Christiane de Cuverville i Claire Davinroy, mijają blok 11., gdzie ładowano kobiety na ciężarówkę. Na widok Francuzek strażnicy kazali im pomagać przenosić ofiary, a one nie odważyły się odmówić. Przerazone kobiety prosiły Francuzki, by powiedziały im, dokąd jedzie ciężarówka, ale wszystkie trzy oznajmiły, że nie wiedzą.

Gdy odsunęły się i ze zgrozą przyglądały wyładowanemu samochodowi, poczuły, że wzrok esesmana spoczął również na nich. „Wyczułyśmy coś niezwykłego – opowiadała Denise – jak gdyby strażnik nie mógł się oprzeć pokusie złapania nas również”. Zerkając na siebie, szybko odeszły<sup>678</sup>.

W połowie marca selekcje nie ograniczały się już tylko do baraków szpitalnych; zdarzały się też w zwykłych blokach, i to o każdej porze. Strażnik mógł po prostu skrócić przed blok, krzyknąć *Appell!*, a kobiety musiały się ustawić przed Winkelmannem, niekiedy ze Schwarzhuberem lub Pflaumem u boku. Selekcje przeprowadzano nawet w blokach dla uprzywilejowanych. Sześćdziesięcioletnia Gemma La Guardia Gluck, teraz siwa i słaba, została zabrana z bloku 2.; „krzyczała jak dziecko”, wołając: „Nie chcę wyjść przez komin krematorium!”<sup>679</sup>. Usłyszawszy ją, blokowa Gemmy przypomniała Fritzowi Suhrenowi, kim jest brat Gemmy, i kobietę skreślono z listy.

Selekcje odbywały się także w fabryce Siemens. Margareta van der Kuit pamięta oficera SS, który przychodził do nowych baraków mieszkalnych:

Wszystkie musiały stać na zewnątrz, a oficer wywoływał numery. Wybrane były często starymi kobietami, których córki również pracowały w obozie Siemens. Córki bardzo się martwiły, dokąd jada ich matki, więc oficer powiedział, że zostaną zabrane w miejsce, gdzie będą miały lepsze warunki i nie będą musiały tak ciężko pracować<sup>680</sup>.

Basia Zajączkowska, Żydówka, która ocalała z getta w Kielcach, relacjonowała: „Miałyśmy selekcję raz – rozdzielali starsze kobiety, które miały poranione nogi, od tych, które ogólnie wyglądały lepiej. Te wybrane zostały odesłane [z Siemens] do Ravensbrück do krematorium”<sup>681</sup>.

Jugosłowianka więźniarka Vida Zavrl opowiadała, że więźniarki Siemens musiały ustawić się w szeregach i podnieść spódnice przed komisją, która notowała numery wybranych. Każdej uznanej za niezdolną do pracy groziło zagazowanie, mówiła Yvonne Useldinger, Luksemburka z Siemens: „Siwowłose zaczęły farbować włosy, ale kiedy padało, podczas apelu farba spływała im na twarze”.

W ramach starań o opróżnienie obozu nasiliły się też selekcje do podobozów – tych dalej na zachodzie, odległych do frontu wschodniego. Wielkie grupy więźniarek zabierano również do podobozów podległych męskim obozom koncentracyjnym. Od stycznia do marca 2 tysiące kobiet z Ravensbrück przetransportowano do samych tylko podobozów Buchenwaldu, a kolejne trafiły do podobozów Dachau i Flossenbürga. Pflaum pewnego dnia wkroczył do bloku komanda malarskiego, zwołując wszystkie do wyjazdu do Berlina, gdzie miały kopać rowy przeciwczołgowe. Malarki wspięły się na strych baraków, inne powciskały się pod prycze, podczas gdy „handlarz bydła” szalał, biciem wypędzając więźniarki na zewnątrz. Niedobitki tego transportu wróciły po dwóch tygodniach, opowiadając, ile zginęło z wyczerpania albo podczas nalotów.

Zważywszy zagrożenie *la chasse*, wiele kobiet próbowało wyjechać do podobozów, gdzie, jak sądziły, byłyby bezpieczniejsze; przekonywały się jednak, że pod wieloma względami szanse przeżycia w tych obozach były mniejsze. Wanda Wojtasik i Krysia Czyż, polskie „króliki”, przejęły numery zmarłych i zdołały wśliznąć się do kolumny zmierzającej do małego podobozu Neustadt-Glewe, gdzie okazało się, że więźniarki umierają z głodu, a nie w komorze gazowej. Z powodu odcięcia od dostaw zaopatrzenia obóz nie otrzymywał racji żywnościowych, a więźniarki karmiono zupą na ziemniaczanych obierkach. „Nie miałyśmy łóżek, zresztą w ogóle nie rozbierałyśmy się. Na gołej podłodze – tłum stłoczony nieprzytomnie. Znowu rozmnożyły się wszy”<sup>682</sup>.

W Neubrandenburgu Micheline Maurel od wielu miesięcy powoli marła z głodu. W marcu znów zachorowała i trafiła do rewiru. „Cały ranek czekałyśmy na zupę. Koło prycz umierających te, które wciąż mogły jeść, leżały w zasadzce”. W podobozach także przeprowadzano selekcje. Nocami przyjeżdżały ciężarówki, wywoływano numery, kobiety wciągano na

samochody i zabierano do komory gazowej w Ravensbrück.

Pod koniec marca w Ravensbrück również kończyła się żywność. Posiłki wydawano o przypadkowych porach, a więźniarki same zorganizowały ochronę kolumn dostarczających żywność. Kanalizacja w zasadzie przestała działać, uliczki pokrywały ekskrementy, umywalnie w blokach dla chorych nie mogły pomieścić trupów, kostnica była przepełniona, a krematorium osiągnęło kres swych możliwości. Utworzono nowy blok śmierci, by pomieścić nadmiar zwłok. Patrolując w pobliżu, Julia Barry widziała wnętrze tego baraku, gdzie spiętrzone wysoko ciała „z oczami wychodzącymi z orbit”.

Pflaum, Winkelmann i cała ta grupa kręcili się po obozie, wybierając kobiety niemal na oślep, ale przynajmniej w chaosie łatwiej było się ukryć. Komando malarskie schowało się w bloku zakaźnym; położenie się na pryczy z chorą było najbezpieczniejszą ze wszystkich kryjówek.

Pod koniec marca wszystkie znały już kogoś wysłanego do Jugendlagru albo z innym transportem; matki, córki, przyjaciółki próbowały skreślić nazwiska z list albo wpisać je na lepszą listę, albo też znaleźć kryjówkę. Około połowy marca Mary Lindell usłyszała, że na liście znalazła się Yvonne Baseden. Ruszyła Lagerstrasse i dowiedziała się, że Yvonne już stoi w szeregu do wyjazdu, zapewne do Jugendlagru. Yvonne stała „chuda, z zapadniętymi oczami, posępna i bez nadziei”, więc Mary pobiegła do Micky, do biura Pflauma, po pomoc<sup>683</sup>. Mary w przeszłości szmuglowała Micky środki przeciwbólowe; teraz prosiła o przysługę. „Podaj nazwisko i numer”, rzuciła Micky i skreśliła nazwisko Yvonne.

Gdy Yvonne usłyszała, że została oszczędzona, błagała, żeby jej przyjaciółka, którą dziś pamięta jedynie jako Marguerite, też zniknęła z listy. Mary ponownie poprosiła Micky, która „pociągnięciem pióra” usunęła również nazwisko Marguerite i powiedziała do Mary: „Szybko, zabierz je. To twoje ryzyko”. Mary ukryła obie dziewczyny na bezpiecznym oddziale w rewirze, pod ochroną Treitego.

Stosunki Mary z Treitem zacieśniały się z każdym dniem. Pisała czule o nim w swym pamiętniku, opowiadając, jak pewnego razu, gdy leczył ją na zapalenie płuc, Treite wstrzyknął jej serum. „Wzdrygnęłam się, gdyż wszyscy wiedzieli, że zastrzyki w Ravensbrück zwykle są śmiertelne – napisała. – Ale Treite nachylił się i szepnął po angielsku: «Wszystko w porządku, królowo

Mario. Pieczęcie są nienaruszone»”.

Pod koniec miesiąca Violette Lecoq, pielęgniarka z bloku 10., zauważyła, że reguły *la chasse* znowu się zmieniły. Ciężarówka, która przyjechała do bloku 10., by załadować chore, wróciła pusta już po kilku minutach po nowy ładunek. Następnym razem, gdy pojawiło się auto, Violette użyła stopera, zorganizowanego w magazynie, i zmierzyła czas kursu. Zajął zaledwie siedem minut, czas dojazdu do komory gazowej i z powrotem, co potwierdziło podejrzenia Violette: że wybrane do zagazowania nie przechodzą już przez Jugendlager, ale prosto z łóżek jadą do komory gazowej.

Pod koniec w bloku 10. był „dom wariatów”, powiedziała Loulou Le Porz, która spędzała większość czasu na próbach wyniesienia chorych z tego bloku, żeby uniknęły selekcji. „Większość naszych pacjentek w ogóle nie miała sienników, brakowało bieżącej wody, nic nie działało. Myślałyśmy, że jesteśmy w piekle. Ale naszą strategią było skupienie się na bloku i pacjentkach. A nagle pewne rzeczy się udawały – zdarzały się rzeczy, które wcześniej się nie zdarzały. Pamiętam, że pewnego dnia dostałam cały bochenek chleba. To było niesamowite. Przyjechała ciężarówka i ktoś zapytał – chcesz chleb? Tak po prostu”.

Spytałam Loulou, czy miała pewność, że dotrwa do końca.

Nie wiedziałam. Dla mnie zawsze oczywiste było, że wygramy wojnę, ale kiedy? Widziałyśmy, że pozbywają się nas wszystkich. Zostałyśmy odizolowane i zapomniane przez cały świat. Ludzie nic o nas nie wiedzieli. Nie wiedzieli, gdzie jesteśmy.

– Myślałyście, że mogą was nigdy nie znaleźć?

Myślałyśmy, że możemy tam umrzeć, tak. Moje pacjentki umierały w moich ramionach. Madame de Lavalette-Montbrun powiedziała mi, że zawsze wiedziała, że nie wróci, ale wciąż się uśmiechała. Była fatalistką. Wszystkie wtedy byłyśmy. Claude Virlogeux była nauczycielką fizyki. Widziałam, jak mijała mnie pewnego dnia na ciężarówce, martwa. Próbowaliśmy pomóc ludziom się trzymać. Na jednym sienniku miałyśmy madame Tedesco, dobrze ustosunkowaną w świecie teatru, a ona żyła bardzo dobrze z naszą koleżanką Zim. Potem madame Tedesco zmarła z wyczerpania w moich ramionach, mówiąc, że wszystko zrobiłaby jeszcze raz. Powiedziałam Zim, że może jeszcze wytrzymać, to nie potrwa długo. I zgodziła się, żebyśmy ją przeszmygłowały do bezpieczniejszego bloku. Zim tak bardzo chciała żyć, że przekonałam ją do podjęcia ryzyka.

Pod koniec marca obóz przypominał „tajemniczą planetę – powiedziała Denise Dufournier – gdzie makabra, śmieszność i groteska ocierają się o siebie w fantastycznym, irracjonalnym chaosie”. Karolina Lanckorońska, obserwując co noc strzelające wysoko płomienie krematorium, przypominała sobie początek *Iliady*. Wciąż wygłaszała wykłady o Karolu Wielkim i sztuce gotyckiej, gdy dzieci z bloku 27. bawiły się w selekcję do gazu. W bloku czerwonoarmistek kobiety szyły czerwone flagi, by wywiesić je na powitanie wyzwolicieli, komando malarek zaś zostało skierowane do przyozdobienia bloku dla matek, gdzie według listy Zdenki w marcu urodziło się 135 dzieci, z czego 130 zmarło.

Służalcze dotąd blokowe stały się odważne i mogły znieśc zdecydować się na ocalenie całej kolumny więźniarek, wyprowadzając je z kolejki do komory gazowej pod pozorem, że są potrzebne do pracy. Tymczasem w całym obozie grupy znękanymi kobiet – twarze wcześniej niewidziane w Ravensbrück, być może przywiezione z podobozów – czekały na coś, a potem wymaszerowały. „Czasami widziałyśmy, jak obok naszego miejsca pracy przechodzi mała grupa kobiet, których nie znałyśmy – wspominała Grete Buber-Neumann. – Całkowicie zastraszone, mijały nas o jakieś 30 metrów. Przypuszczałyśmy, że idą wprost do komory gazowej”.

Moskwianka Anna Stiekolnikowa pamięta „kobiety stojące w kolejce do spalania, z węzełkami ubrań w rękach”. Panował taki chaos, że do marca nikt nawet nie próbował przydzielać numerów tym nowo przybyłym, a każda kobieta bez numeru mogła być po prostu złapana i posłana do gazu. Kiedy więc przyjechała niemiecka komunistka Anne Saefkow – przeniesiona pod koniec miesiąca z berlińskiego więzienia – przyjaciółka komunistka ze *Schreibstube* dała jej numer po zmarłej, 108 273. Był to ostatni numer przydzielony w obozie.

Gdy zbliżała się Wielkanoc, robiło się cieplej. Cyganki wieczorami siadywały przed swoimi blokami i śpiewały, a komando malarskie posłano, żeby wyciągnęło łódki wiosłowe z szopy na jezioro. Strażnicy chcieli sobie popływać w święta.

Do więźniarek dotarły nowiny o spowolnieniu postępów Rosjan, ale front zachodni zbliżał się szybko. „Wiedziałyśmy, że zwycięstwo jest w zasięgu

ręki. Myślałyśmy, że być może musimy już tylko wytrzymać parę dni”, wspominała Denise, którą nagle opuściły siły; jej cywilny szef robił uwagi na ten temat i dokarmił ją gotowanymi ziemniakami.

Plotki rozchodziły się i cichły. Obozowe sekretarki słyszały, że Francuzki mają zostać wymienione, ale w Jugendlagrze słychać było tylko o masowej selekcji. Zbliżała się Wielkanoc, a SS dążyło do ostatecznej czystki<sup>684</sup>. Kilka więźniarek zapamiętało kolejność wydarzeń.

28 marca, w środę, więźniarkom Jugendlagru kazano na bosaka ustawić się w szeregach. Neudeck i esesman przeprowadzili selekcję, badając twarze i nogi. Wybrane skierowano na jedną stronę. Wśród nich znalazła się Elise Rivet – znana jako matka Elżbieta od Eucharystii, matka przełożona z Lyonu, przywieziona do Ravensbrück za ukrywanie w klasztorze członków ruchu oporu. Ofiary rozebrano ze wszystkiego poza koszulami i załadowano na ciężarówki; ich buty i odzież pozostały na drodze. Co najmniej sześć kobiet zmarło w kolejce i wrzucono je na ciężarówki za nogi.

Dwa dni później, 30 marca, w Wielki Piątek, strażnicy ogłosili kolejną masową selekcję, tym razem w głównym obozie. Kobietom polecono ustawić się z odsłoniętymi nogami i torsami, a potem musiały „nałożyć bluzy”, ale „zdjąć buty”. Gdy czekały na selekcję, po raz pierwszy dało się słyszeć w oddali rosyjskie działa. Pojawił się Winkelmann. Na jego sygnał kobiety musiały szybko przejść przed nim, podczas gdy on zginał się wpół i oglądał ich nogi. Gdy podniósł rękę, więźniarkę odprowadzano do czekającej ciężarówki. Kiedy samochód był pełny, odjeżdżał do Jugendlagru. W bloku 10. polecono Violette Lecoq pomóc w ładowaniu kobiet bezpośrednio na ciężarówkę; potem ją samą zapędzono do samochodu i wywieziono. W Jugendlagrze jej nazwiska strażnicy nie mieli na liście, więc została odesłana.

Po napływie nowych więźniarek z obozu głównego tego samego popołudnia do Jugendlagru przyjechało siedem pustych ciężarówek. Każdy samochód wypełniono kobietami gotowymi do odjazdu do komory gazowej. Potem dotarły z obozu macierzystego jeszcze dwa auta, każde wyładowane około 250 kobietami. Gdy nadszedł wieczór, wszystkie dziewięć ciężarówek gotowych było do odjazdu, jedna po drugiej, do komory gazowej, ale nalot opóźnił wyjazd. Kiedy nadeszła godzina zaciemnienia, część wozów wyruszyła w ciemności, a reszta pozostała w Jugendlagrze i pojechała do komory

gazowej następnego dnia, w sobotę 31 marca. Kolejne gazowanie nastąpiło w Niedzielę Wielkanocną, a pod koniec świąt wszystkie więźniarki z tych samochodów – nawet 2500 – zginęły i trafiły do krematorium; powietrze wypełnił gryzący dym.

W obozie macierzystym w niedzielę świąteczną padł nowy rozkaz: wszystkie Francuzki następnego dnia mają się zebrać przy bramie. W grupkach dyskutowano, co to może oznaczać. Część wierzyła, że wyzwolenie. Inne bały się masowej eksterminacji, podczas gdy jeszcze inne sądziły, że chodzi o wymianę więźniów. Rozmawiano o autobusach w lesie, ale nie zielonych, tylko białych, należących do Czerwonego Krzyża.

Tamtego wieczoru, w Niedzielę Wielkanocną, francuskie więźniarki z Jugendlagru pomaszzerowały do obozu macierzystego. Kazano im dołączyć następnego dnia do pozostałych Francuzek na Lagerstrasse. Francuskim robotnicom Siemens'a także polecono zgromadzić się w poniedziałek.

Komando malarskie wróciło do swego bloku w niedzielę wieczorem i zauważyło dziwną atmosferę. „W wielkiej sali, przy świecach, pary tańczyły sennie przy dźwiękach akordeonu – wspominała Denise. – *Jules* pieściły swe dziewczęta, wszystkie ubrane, na kolanach. W powietrzu unosił się zapach śliskich uczuć, a w ciemniejszych kątach kochanki się całowały. To był nasz ostatni obraz z bloku 17”.

[660](#) Cyt. za: Strelbel, *Ravensbrück*.

[661](#) Wspomnienie Marii Cabaj w: *Ponad ludzką miarę*, s. 47–48. Relacje uczestniczek transportu do Belsen należą do najbardziej przerażających. Stanisława Michalik (tamże, s. 254) opowiadała: „[...] komendant obozu przywitał każdą piątkę laską grubości męskiej ręki. [...] Podczas rewizji bito nas, kopano. Ludzie po prostu dostawali pomieszania zmysłów. [...] Podczas podróży wymarły wszystkie małe dzieci”).

[662](#) K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 317.

[663](#) Wasilewska, Lund 434.

[664](#) Wywiad autorki.

[665](#) Wywiad autorki.

[666](#) WO 235/516a oraz powiązane zeznanie TNA.



[667](#) Tillion, *Ravensbrück*.

[668](#) Cyt. za: Strebel, *Ravensbrück*.

[669](#) *Dictators*, Tillion, *Ravensbrück*.

[670](#) Nedvedová, zeznanie praskie.

[671](#) Emanuel Kolařík, *Tàbor u jezera*, Roudnice 1945.

[672](#) Zeznanie Jahna, NO-3109–311, Staatsarchiv Nürnberg.

[673](#) K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 326.

[674](#) FO 371/50982.

[675](#) Barry, WO 235/318.

[676](#) Fragmenty zeznania o gazowaniu w ciężarówkach zob. Erna Cassens, BAL B162/9816; Dragan, Lund 239; O’Shaughnessy, WO 309/690; Tauforová, GARF; Sturm, *Die Lebensgeschichte einer Arbeiterin*; WO 309/416; oraz Nedvedová, zeznanie praskie.

[677](#) KV 2/98.

[678](#) Dufournier, esej autobiograficzny, rodzinne dokumenty Dufournierów.

[679](#) La Guardia Gluck, *Fiorello’s Sister*.

[680](#) Wywiad autorki.

[681](#) Zajązkowska, Lund 50.

[682](#) *I boję się snów*, s. 167.

[683](#) Wynne, *No Drums, No Trumpets*.

[684](#) Zob. liczne zeznania z dokumentów procesu w Hamburgu, np. WO 235/516a z procesu strażników z Jugendlagru. Zob. też: Tillion, *Ravensbrück*; Nedvedová, zeznanie praskie; zeznanie w Lund; *Les*

*Françaises à Ravensbrück; oraz Dufournier, La Maison des Mortes.*

## Rozdział 38

### Nelly

Gdy ciężarówki tłoczyły się w Wielkanoc pod komorą gazową w Ravensbrück, niewielki szwedzki samolot przeleciał nad niemieckim wybrzeżem, a potem zdawało się, że zamarł w powietrzu, gdy pilot zmniejszył obroty do minimum i zaczął krążyć nad Stralsundem. Alianci przeprowadzali dzienny nalot na Berlin i na horyzoncie wznosiła się wielka czarna chmura dymu.

Hrabia Bernadotte leciał na drugie spotkanie z Heinrichem Himmlerem w nadziei, że przekona go do rozszerzenia szwedzkiej misji ratunkowej, by objęła nie tylko Skandynawów, ale też inne narodowości. Wysoko na liście Bernadotte'a znajdowały się Francuzki z Ravensbrück. Bernadotte szczególnie przejmował się losami Francuzek, odkąd podczas jesiennego pobytu w Paryżu dowiedział się z pierwszej ręki o masowych deportacjach. Przyszły rząd de Gaulle'a również wywierał ogromny nacisk na Bernadotte'a, żeby pomógł francuskim więźniom<sup>685</sup>. Gdy tylko dym się podniósł, samolot Bernadotte'a poleciał dalej i wylądował na berlińskim lotnisku Tempelhof zaledwie pół godziny po odwołaniu alarmu bombowego.

Od 10 lutego, kiedy Himmler dał Bernadotte'owi zgodę na ratowanie Skandynawów i przeniesienie ich do prowadzonego przez Szwedów ośrodka w Neuengamme, wiele udało się osiągnąć. W drugim tygodniu marca ponad sto pojazdów, głównie należących do szwedzkiej armii – ciężarówek, autobusów, ambulansów i motocykli, obsadzonych przez 250 szwedzkich żołnierzy, lekarzy i pielęgniarek – opuściło południową Szwecję i przez Danię wjechało do Niemiec.

Zanim konwój wyjechał, o ekspedycji zostały poinformowane przedstawicielstwa brytyjskie, amerykańskie i radzieckie w Sztokholmie. Nie zgłosiły żadnych obiekcji, ale nie zaoferowały też żadnych gwarancji

bezpiecznego przejazdu, chociaż gdy kolumna zaczynała się ładować na pokłady promu w Malmö, Brytyjczycy w ostatniej chwili zażądali, by wszystkie pojazdy pomalować na biało, z czerwonymi krzyżami na dachach i bokach; dzięki temu alianccy lotnicy mogliby je łatwo zidentyfikować. Prace wykonano pośpiesznie na promie.

12 marca członkowie misji założyli swoją kwaterę główną we Friedrichsruh, 22 kilometry na wschód od Hamburga, i natychmiast przystąpili do zbierania więźniów. Pod koniec miesiąca niemal 5 tysięcy Norwegów i Duńczyków z Sachsenhausen, Dachau i obozów pod Dreznem przeniesiono do szwedzkiego ośrodka w obozie Neuengamme, niedaleko centrum we Friedrichsruh.

Misja musiała się zmierzyć z licznymi problemami, włącznie z niedostatkiem ludzi, pojazdów i paliwa. Fronty zbliżały się tak szybko, że autobusy – każdy z co najmniej jednym gestapowcem jako ochroną – mogły poruszać się jedynie po wąskim skrawku ziemi. Autobusy zostały ostrzelane przez alianckie samoloty, chociaż na razie nikt nie został ranny.

Wynikły też ostre konflikty moralne. Za każdym razem gdy Szwedzi docierali do obozu i wypełniali swe autobusy Skandynawami, pozostawiali więźniów innych narodowości. W Neuengamme znaleźli się w szczególnie niewdzięcznym położeniu, kiedy komendant obozu oznajmił, że tylko jeśli pomogą mu pozbyć się chorych i niepotrzebnych więźniów, zdołają uzyskać miejsce na pomieszczenie uratowanych Norwegów i Duńczyków. Po długich dyskusjach Szwedzi spełnili polecenie komendanta z SS i wywieźli jego „niechcianych” więźniów autobusami Czerwonego Krzyża do innego, dużo gorszego obozu, gdzie wielu z pewnością zmarło.

Przed misją stanął też inny dylemat. Przez cały marzec autobusy Bernadotte’a nie były w stanie ratować kobiet z Ravensbrück. Sylvia Salvesen przeszmygłowała na początku marca listy z informacją, że setki ciał płoną każdego dnia w obozie<sup>686</sup>. Sylvia ostrzegła też, że likwidacja może nastąpić „w ciągu trzech tygodni”. Droga z Hamburga była wciąż przejezdna; autobusy mogłyby zabrać z Ravensbrück przynajmniej Skandynawki. A mimo iż ratowali mężczyzn, kobiety musiały czekać do ostatniej chwili. Dlaczego?

Wspomnienia Bernadotte’a milczą na ten temat, podobnie jak dokumenty szwedzkiego ministerstwa spraw zagranicznych. Ale odpowiedzi prawie na pewno należy szukać w tym, że aby w ogóle móc przeprowadzić misję,

Bernadotte musiał przestrzegać warunków Himmlera, a ten nie dał jeszcze zezwolenia, by białe autobusy wjechały do Ravensbrück.

Nawet gdy Himmler i Bernadotte spotkali się po raz pierwszy 10 lutego w Hohenlychen, by omówić pierwszą fazę ewakuacji, gazowania w Ravensbrück, 8 kilometrów dalej, szły pełną parą. Pod koniec marca nastąpił szczyt eksterminacji. Każdy wchodzący do obozu w tamtym czasie czułby dławiący brązowy dym i widziałby ciężarówki wyładowane zwłokami. Miejscowi chłopcy skarżyli się nawet na popiół w jeziorze. W innych obozach odwiedzonych przez białe autobusy nie przeprowadzano gazowania, więc ewakuacja mogła się rozpocząć. Himmler jednak postanowił, że Bernadotte nie wjedzie do Ravensbrück, póki ostatnie ofiary nie trafią do komory gazowej.

Niejasne jest, czy Bernadotte był świadomy przyczyn tego odcięcia od obozu kobiecego; na pewno żadne źródła nie potwierdzają, że w pierwszych tygodniach naciskał na zgodę na wjazd do Ravensbrück. Jasne jest wszakże, iż w chwili gdy jechał do Hohenlychen na drugie spotkanie z Himmlerem 4 kwietnia, spadło tempo gazowania w obozie kobiecym. Prawdopodobnie wykorzystywano jedynie mobilne komory gazowe, które krążyły i bez trudu mogły się ukryć w lesie.

Początkowo szanse na nowe ustępstwa ze strony Reichsführera nie wyglądały dobrze. Kiedy pojawił się tym razem, Himmler był „nie tylko poważny, ale i zdenerwowany”, wspominał Bernadotte<sup>687</sup>. Znowu mówił o swej służbie dla Führera. W pewnym momencie wstał, by odebrać telefon, i wyszedł z pokoju. Wtedy Walter Schellenberg, który zawsze uczestniczył w tych spotkaniach, zwrócił się do Bernadotte'a i powiedział mu, co chodzi po głowie Reichsführerowi.

Himmler chciał, by hrabia działał jako pośrednik między nim a aliantami i pojechał bezpośrednio do Eisenhowera z przesłaniem, że Himmler chce negocjować zawieszenie broni na froncie zachodnim. Schellenberg oznajmił, że Himmler sam nie czuł się na siłach złożyć tę propozycję bezpośrednio Bernadotte'owi i zostawił mu to zadanie. Hrabia jasno podkreślił, że mocarstwa zachodnie nie będą negocjować z Himmlerem, a on nie może się zaoferować jako pośrednik.

Kiedy Reichsführer wrócił, Bernadotte dostrzegł szansę na uzyskanie ustępstw, jakich potrzebował, żeby ratować więźniów. Po pierwsze, poprosił

o zezwolenie na zabranie wszystkich Skandynawów przetrzymywanych w Neuengamme bezpośrednio do Danii. Himmler odparł, że to niemożliwe, ponieważ Hitler się dowie i postawi weto. Złożył własną ofertę: „Możliwe będzie przeniesienie mniejszych grup”. Bernadotte z kolei zaproponował zwolnienie wszystkich Norweżek i Szwedek – podobnie jak norweskich studentów i części Duńczyków – bezpośrednio do Danii. Himmler się zgodził.

Być może uznawszy, że Himmler ustąpił na tyle, na ile był chwilowo gotów, Bernadotte nie przeciągał struny: nie poprosił o zwolnienie również Francuzek, jak planował. Ale zrealizował ważne cele: przede wszystkim białe autobusy mogły teraz skierować się do Ravensbrück.

Bernadotte przekazał kierownikom swej misji nowiny i datę akcji ratunkowej w Ravensbrück ustalono na 7 kwietnia. Zanim jednak szwedzkie autobusy wyruszyły, nadeszła wiadomość, że Szwajcarzy jako pierwsi dotarli do obozu kobiecego. W kolejnym liście, przekazanym 4 kwietnia, Sylvia pisała o 400 Francuzkach „wyprowadzonych wczoraj przez szwajcarski Międzynarodowy Czerwony Krzyż”.

Zważywszy, że Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża przez sześć lat odmawiał zajęcia stanowiska w sprawie obozów koncentracyjnych, pojawienie się jego autobusów ewakuacyjnych pod Ravensbrück w początkach kwietnia było, jak powiedziałyby same więźniarki, „cudem”. Wynikało to, po części, z rywalizacji. Dowiedziawszy się, że ich neutralni konkurenci, Szwedzi, wyruszyli w dramatyczną misję ratunkową, Szwajcarzy nie chcieli zostać w tyle. Carl Burckhardt, przewodniczący MKCK, miał w pamięci swoją misję i zażądał spotkania z Himmlerem, by omówić sprawę obozów.

Interwencja dowodzi, jak szybko w ostatnich tygodniach wojny zmieniała się postawa Genewy. Raporty o tym, co Hitler zamierzał zrobić ze swymi więźniami w ostatnich tygodniach, wywarły ogromną presję na MKCK. W styczniu i lutym narodowe organizacje Czerwonego Krzyża – czeska, polska, jugosłowiańska, grecka, rumuńska, francuska, brytyjska i amerykańska – nagliły Międzynarodowy Czerwony Krzyż do objęcia przywództwa. Światowy Kongres Żydów naciskał najmocniej ze wszystkich, przerażony losem, jaki czekał Żydów pozostałych w obozach. Tymczasowy rząd de Gaulle’a we Francji również naciskał na MKCK, by podjął decyzję,

a amerykański Departament Stanu wzywał do „wykorzystania wszystkich środków, jakimi dysponuje”.

Większość kanałów łączności była odcięta, a drogi nieprzejezdne, ale skoro Szwedzi mogli, to dlaczego nie Szwajcarzy? Możliwość pojawiła się, kiedy Himmler – utrzymujący w grze zarówno Szwajcarów, jak i Szwedów – zaakceptował zasugerowaną przez Burckhardta wymianę więźniów: 300 Francuzek z Ravensbrück na niemieckich cywilów przetrzymywanych we Francji. Umowę zawarto na początku marca, ale w panującym chaosie okazała się trudna do zrealizowania. To, że do wymiany w ogóle doszło, jest w dużej mierze zasługą wpływów i kontaktów szwajcarskiego lekarza.

Trzydziestodwuletni doktor Hans Meyer, urodzony w Zurychu, został w styczniu 1945 roku mianowany delegatem MKCK w Niemczech. W ówczesnej sytuacji był właściwą osobą do nadzorowania wymiany więźniów, ale jego wcześniejsze miejsce pracy postawiło go przed szokującym wyborem. Przed przyłączeniem się do MKCK Meyer przez dwa lata pracował jako lekarz dla SS w klinice w Hohenlychen, gdzie jego szefem był Karl Gebhardt, człowiek, który – jak Komitet wiedział – dopuszczał się medycznych okrucieństw w Ravensbrück<sup>688</sup>.

Łatwiej zrozumieć, dlaczego, gdy wojna miała się ku końcowi, Meyer nagle opuścił klinikę SS, żeby objąć funkcję delegata MKCK, niż to, w jaki sposób człowiek zatrudniony jako lekarz SS mógł zostać mianowany delegatem Komitetu. Meyer musiał wiedzieć o zbrodniach Gebhardta, o ile wręcz nie brał w nich udziału. Teraz jednak Meyer gorliwie zajął się pomocą drugiej stronie, kiedy próbował doprowadzić do zwolnienia trzystu więźniarek z Ravensbrück, a jego kontakty w SS wkrótce okazały się niezastąpione.

Kiedy Meyer udał się do Ravensbrück, by poczynić ustalenia, stwierdził, że Suhren wyjechał i nikt nic nie wiedział o wymianie. W tym czasie postępy Armii Czerwonej miały wkrótce odciąć drogi do granicy szwajcarskiej. W związku z tym Meyer pojechał 8 kilometrów do Hohenlychen, aby sprawdzić, czy jego stary druh z SS może pomóc w przyspieszeniu sprawy. Tylko dzięki bezpośredniemu kontaktowi z Himmlerem – prawdopodobnie za pośrednictwem dawnego szefa Meyera, Gebhardta – Meyer mógł polecić szwajcarskim kierowcom, żeby podjechali do obozu, a Suhren ostatecznie wydał polecenia zwolnienia kobiet.

Jednak po przybyciu do Ravensbrück 1 kwietnia szwajcarscy kierowcy

wciąż musieli czekać. Jako przyczynę podawano to, że kobiety nie zostały jeszcze wybrane i właściwie przygotowane. Nie mówiono wszakże o tym, że należało dokończyć gazowanie i palenie zwłok. Tak więc autobusy Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża musiały zaparkować opodal wśród drzew i czekać przez trzy kolejne dni.

W dniu kiedy pojawiły się autobusy, wśród Francuzek rozeszła się wieść, że następnego dnia wszystkie mają się zebrać przy bramie, nikt tego jednak nie potwierdził. Przez całą noc podniecenie i strach na zmianę opanowywały francuskie bloki. Ktoś z biur widział autobusy Czerwonego Krzyża. Francuskie robotnice Siemensa zostały przyprowadzone do obozu macierzystego; sprowadzono też nieliczne żyjące jeszcze Francuzki z Jugendlagru.

Binz krążyła po obozie, próbując przywrócić porządek, „jak gdyby spodziewała się gości”. Kazała personelowi w rewirze pozamykać powybijane okna tak, by nie rzucały się w oczy brakujące szyby. „I zamknijcie *Schmuckstücke* w umywalniach!”, wykrzyknęła *Oberaufseherin*.

Marie-Claude Vaillant-Couturier zanotowała tego dnia w dzienniku: „Chore wczoraj posłano do komory gazowej, a dziś pobrałyśmy ich porcje owałtine jako wielkanocną ucztę!”<sup>689</sup>. W innym francuskim bloku więźniarki cały dzień plotkowały wokół pieca, grzejąc świąteczne napoje, podczas gdy obok przejeżdżały transporty zwłok. „Czy tamta to Francuzka?”, pytała któraś, być może rozpoznawszy twarz. „Nie, Polka”, padał odpowiedź. „No cóż, umiera się tylko raz”, podsumowała dziewczyna o imieniu Lily. „Ale nie trzeba umierać w Ravensbrück” – co do tego wszystkie się zgodziły.

Kiedy kobiety położyły się na pryczach, blokowa wykrzyknęła: „Jutro rano wszystkie Francuzki mają apel o dziewiątej!”.

Gdy Francuzki ustawiły się w szeregach, był to straszliwie znajomy widok. Nastąpiła selekcja prowadzona przez „handlarza bydłem”. Najpierw Pflaum wybrał 400 Francuzek i skierował je na jedną stronę. Potem tej samej grupie powiedziano, że ponownie przejdzie selekcję. Wtedy wskazano 200 – ale znowu nikt nie wiedział, czemu niektóre wybrano, a inne nie. Potem kolejne, niewybrane za pierwszym i drugim razem, usłyszały, że i tak przeszły selekcję, a ich liczba znowu wzrosła. Wśród niewybranych w ogóle pozostały najbardziej chore i słabe – najwyraźniej widok tych umierających kobiet nie przyniósłby Niemcom chluby. Również grupy NN nie zamierzano zwalniać.

Wiele z niewybranych poczuło ulgę, ponieważ wiedziały, że „selekcja”



prawdopodobnie prowadzi do czegoś gorszego. Kiedy zobaczyły, że wyselekcjonowane wchodzi do bloku 31., za ogrodzeniem, gdzie niegdyś więźniarki czekały na przeniesienie do Jugendlagru, takie obawy się pogłębiły. W baraku tym kobiety trzymano przez 48 godzin; musiały dwa razy wziąć prysznic, potem zostawiono je nagie i drżące na zimnie, „pełne obaw, strachu i nadziei”, dopóki nie dostały nowych zestawów niedopasowanych ubrań. Denise Dufournier odziedziczyła suknię wieczorową, którą – jak uznała – wykorzystywano w polskim kabarecie. Następnie musiały czekać w wilgotnym bloku przez trzy dni.

Trzeciego dnia, 3 kwietnia, przyszła nowa udręka: kobiety wywołano i Suhren odebrał apel, pod koniec którego wybrał więźniarki o arystokratycznych nazwiskach i kazał im wracać do bloków. Arystokratki mają zostać, ale reszta zostanie zwolniona następnego dnia, oznajmił.

Arystokratki, słusznie domyślając się, że będą przetrzymywane jako zakładniczki, poczuły gniew i trzyosobowy „komitet” protestacyjny – w składzie: Christiane de Cuverville, Colette de Dumast i Jacqueline d’Alincourt – udał się do Suhrena z prośbą o wyjaśnienie. Mówiła Colette, ponieważ najlepiej znała niemiecki. „Zapytała Binz, dlaczego nie pozwolono im wyjść, a Binz spojrzała, zaskoczona takim tonem”, wspominała Christiane. Naczelniczka położyła następnie na biurku kartkę. Jeśli utytułowane francuskie damy podpiszą dokument mówiący, że były „dobrze traktowane”, nie zostaną stracone, oznajmiła. „Byłyśmy przerażone. Colette powiedziała, że o czymś takim nie może być mowy”, wspominała Christiane. Po powrocie do bloku cała trójka dyskutowała, czy powiedzieć reszcie „arystokratek” o propozycji. „Colette stwierdziła, żebyśmy nie mówiły. Zgodziłyśmy się z nią, na wypadek gdyby znalazła się jedna lub dwie, które by podpisały”, relacjonowała Jacqueline d’Alincourt<sup>690</sup>.

Następnego ranka – w środę 4 kwietnia – tym, które wciąż znajdowały się na liście, kazano przygotować się do wyjścia, dodano też nowe nazwiska, by wypełnić luki po usuniętych (w tym garstkę z bloku 10.). Z pomocą Violette Lecoq Loulou odszukała Zim w bloku, gdzie się ukrywała, zdołała postawić ją na nogi i posłać na apel. W ostatniej chwili pojawił się Winkelmann i wyłączył z grupy wszystkie kobiety z opuchniętymi nogami albo ze świeżo ogolonymi głowami. Zim jednak została przeoczona i znalazła siły, żeby wraz z innymi podejść do bramy. Gdy kobiety – łącznie 299, wciąż ustawione

piątkami – wyszły, Suhren zamknął za nimi bramę i życzył grupie *bon voyage*<sup>691</sup>. Miał nadzieję, że nie będą miały „niemiłych wspomnień” z pobytu w obozie.

Kobiety patrzyły w dół drogi. Na wpół ukryte wśród sosen, jakieś 1,5 kilometra dalej, stały szeregi białych autobusów, każdy z wielkim czerwonym krzyżem. Uznały, że lepiej iść dalej, więc tak uczyniły, z wahaniem, wpatrując się przed siebie. Gdy podeszły bliżej, zauważyły żołnierzy stojących obok pojazdów. Wkrótce dostrzegły też słowo „Canada” na rękawach ich mundurów. Byli to kanadyjscy jeńcy wojenni, zwolnieni w ramach porozumienia przez Niemców, żeby prowadzili autobusy.

Francuzki wpatrywały się w autobusy i żołnierzy „nieruchome i osłupiałe”, wspominała Denise. „Pomyślałam, że śnię – powiedziała Loulou. – Naprawdę, nie wierzyłam. To było takie nierealne. Szłyśmy przed siebie i widziałyśmy żołnierzy – wydaje mi się, że Kanadyjczyków, a oni zaczęli krzyczeć na nasz widok. Kiedy zobaczyłam ich łzy, poczułam, że to prawda”.

Kobiety weszły do pojazdów z pomocą Kanadyjczyków. Wewnątrz każda dostała ciasta i duży kawałek kiełbasy. Pojazdy ruszyły. Kobiety usłyszały, że kierują się w stronę Jeziora Bodeńskiego i granicy szwajcarskiej.

Po odjeździe 299 Francuzek, te, które zostały, rozmawiały o tym, kto może być następny. Wiedziały, że czas na ratunek ucieka. Sekretarki doglądały codziennie ognisk, gdzie palono dokumenty i teczki. Front zbliżał się szybko, a ponieważ w Ravensbrück przebywało nadal 30 tysięcy więźniarek, rozkaz ewakuacji – lub wysadzenia obozu – mógł nadejść wkrótce.

Sylvia Salvesen straciła nadzieję. Minęło cztery tygodnie od wyjazdu pielęgniarki Gerdy Schröder z drugim listem Sylvii, który obiecała zawieźć do Wandy Hjort i norweskiej komórki w Gross Kreutz. „Wyjechała miesiąc temu, a w ciągu tych tygodni wydarzyło się wiele okropnych rzeczy”, wspominała Sylvia.

Potem, w dniu wyjazdu Francuzek do Szwajcarii – 5 kwietnia – pojawiła się Gerda. Nocą przyszła do pryczy Sylvii z paczką i nowinami. Sylvia była zdumiona i uradowana. Gerdę zdenerwował widok koleżanki, która przez cztery tygodnie zmarniała, osiwiiała i schudła. Dała Sylvii wiadomość od pań Hjort i Seip, ale Gerda miała już świeższe informacje. Wyjaśniła, że po wyjeździe z Ravensbrück na początku marca nie mogła wrócić do obozu

z powodu zniszczonych bombardowaniami torów kolejowych. Gerda próbowała wrócić do Gross Kreuz, ale linie do Poczdamu również zostały zbombardowane. Jednak w Poniedziałek Wielkanocny Gerdzie udało się dozwonić do Gross Kreuz i umówić się na spotkanie z Wandą Hjort w Berlinie.

Cudem, biorąc pod uwagę chaos w mieście, Gerda i Wanda się spotkały. Wanda przyprowadziła ze sobą norweskiego profesora, Arupa Seipa, głównego przedstawiciela komórki Gross Kreuz. Spotkali się w małej kawiarence koło Dworca Głównego, do którego nadal dojeżdżały pociągi, chociaż front obecnie był tak blisko, że w S-Bahn można było spotkać przewożonych rannych żołnierzy. Całe miasto oklejone były plakatami: „Berlin nigdy się nie podda”. Krążyły plotki, że Hitler ukrywa się w podziemnym bunkrze, powiedziała Gerda. Wszyscy wiedzieli, że koniec jest już bliski.

Arup Seip powiedział Gerdzie, że dzień wcześniej Bernadotte spotkał się drugi raz z Himmlerem w Hohenlychen. Powiedział też, że na spotkaniu „Himmler zgodził się, aby Czerwony Krzyż zabrał Norweżki i Dunki z Ravensbrück”. Sylvia wpadła w ekstazę. „Nigdy nie zapomnę tamtego wieczoru – napisała później. – Kazała mi napisać jeszcze jeden list z aktualną listą nazwisk, ponieważ profesor Seip obawiał się, że część więźniarek przeniesiono”.

Gerda poprosiła Sylvię o sporządzenie listy od razu, gdyż już jutro Wanda chce przyjechać do obozu, zabrać ją i przekazać szwedzkiej misji. Gerda nie miała pojęcia, jak Wanda zamierzała odbyć niebezpieczną podróż do obozu: tory zostały znowu zbombardowane już po tym, jak Gerda przejechała. Gerda nie wiedziała również, jak Wanda chce dostać się do obozu, ale poprosiła Sylvię, aby opisała Wandzie, jak ją znaleźć w kwaterach dla pielęgniarek, jeśli przedostanie się przez bramę.

Sylvia napisała zatem trzeci list do norweskich przyjaciółek. Jasno i wyraźnie, aby tym razem nikt nie zinterpretował błędnie tego, co ma do powiedzenia, napisała, że kobiety w Ravensbrück są gazowane.

Tysiące wybierają i wysyłają do komory gazowej. Wiele z nich choruje, ale dużo ma się całkiem dobrze, mimo wieku. Wystarcza po prostu, że mają siwe włosy. Rozgrywają się tu najsmutniejsze sceny. Niektóre kobiety farbują włosy pastą do butów lub sadzą. Cudem uniknęłam tego losu.

Podawała nazwiska 96 Norweżek i 20 Dunek wciąż przebywających w obozie.

W obawie, że podobnie jak w przypadku Francuzek władze nie pozwolą najslabszym na opuszczenie obozu, Sylvia błagała Szwedów, aby się upewnili, że nie zostawiają chorych niezdolnych do samodzielnego poruszania. Tego samego dnia uwolniona została grupa Francuzek, napisała, najwyraźniej w ramach wymiany na Niemców. Ale wiele francuskich „inteligentek i kobiet z dobrych rodzin” zostało w obozie, a Sylvia obawiała się, że ją spotka podobny los. „Jestem przerażona perspektywą, że zostanę tu sama, bez innych Norweżek”, napisała.

Sylvia podała też nazwiska wysłanych do Mauthausen norweskich NN, które udało jej się ustalić, ale nie była pewna, czy udało jej się zdobyć wszystkie. „Uważamy, że pojechały [do Mauthausen], ale dotarły do nas pogłoski, że połowę z nich wyselekcjonowano po przyjeździe i przeniesiono do innego obozu”. Inne NN z listy nadal przebywają w Ravensbrück, ciągnęła, i pracują w warsztatach, „więc są mniej zagrożone wysłaniem do komory gazowej”.

Sylvia dała list Gerdzie. Następnego dnia Gerda powiedziała Sylvii, że Wandzie udało się dostać do obozu, i zabrała jej list. Hjort przyniosła wiadomość, że autobusy Szwedzkiego Czerwonego Krzyża dotrą za kilka dni. „Musisz natychmiast spakować rzeczy. Musisz w to uwierzyć”, powiedziała Gerda Sylvii, na co Sylvia rzuciła się, by ją uściskać – „więźniarka, która miała śmiałość uściskać niemiecką pielęgniarkę”.

Wanda Hjort dostała się do Ravensbrück zaledwie kilka godzin wcześniej. Była to jej najodważniejsza ekspedycja. Bombardowania uszkodziły linię kolejową, więc Wanda przyjechała samochodem pożyczonym ze szwedzkiego poselstwa, z Bjornem Hegerem, norweskim lekarzem, członkiem komórki Gross Kreuz, za kierownicą. Para współpracowała już podczas kilku niebezpiecznych misji w ciągu ostatnich miesięcy – zostali też kochankami<sup>692</sup>.

Wanda i Bjorn otrzymali pomoc od misji MKCK w Berlinie, która przekazała im dokumenty Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża, aby mogli przejść przez bramę obozową. Esesman stojący na warcie wpuścił ich, przynajmniej do obozowej kancelarii, gdzie Bjorn poszedł zostawić przywiezione paczki. Kiedy nikt nie patrzył, Wanda wśliznęła się w boczną uliczkę, żeby znaleźć Gerdę w bloku esesmańskich pielęgniarek. Trudno było go znaleźć. Czują się podejrzanie w ciepłym palcie i dobrych butach. „Wokół kręciły się kobiety w łachmanach, ciągnące wózki, z bosymi stopami w drewniakach”.

Wanda szukała dalej i przypadkiem znalazła pokój Gerdy. Stało tam łóżko, krzesło i sztuczne kwiaty w wazonie. Nikogo w nim nie było i bała się, że zaraz ją złapią: „Jeśli będą mnie torturować, wszystko ze mnie wyciągną, nazwiska Gerdy i Sylvii również”. Jednak Gerda pojawiła się, list został przekazany, a Wanda ruszyła w stronę bramy. Bjorn czekał i próbował wyglądać spokojnie. Wanda ze wszystkich sił starała się nie pobiec. Kiedy wyszli, wartownik rzucił im spojrzenie, a Wanda odczytała w nim, że coś zrozumiał – „może teraz wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo” – i wypuścił ich.

Po powrocie do samochodu Wandzie puściły nerwy i zaczęła płakać. „Tym razem to było dla mnie za dużo – powiedziała później. – Te kobiety, głodne, upokorzone i bezbronne, wiele z nich w moim wieku”. Pojechali szybko, aby dostarczyć Szwedom listy nazwisk od Sylvii.

\*\*\*

„Sylvia wyjdzie na wolność”, powiedziała następnego dnia Zdenka w rewirze. Miała na sobie „zorganizowany” angielski tweedowy płaszcz i przytuliła przyjaciółkę. *Oberschwester* Elisabeth Marschall uścisnęła Sylvii rękę i zaczęła płakać. Norweżki w zwykłych blokach nie miały pojęcia, że ratunek jest tak blisko. Nelly Langholm i jej przyjaciółki ze Stavanger dowiedziały się dopiero, kiedy poprzedniego dnia wieczorem dostały rozkaz pójścia pod prysznic. „Ale nie uwierzyłyśmy w to”, opowiadała Nelly.

Następnego dnia wyszliśmy w nowych ubraniach i musieliśmy podejść do bramy. Zobaczyliśmy autobusy, a przy nich Szwedów w szarych mundurach z czerwonymi krzyżami na rękawach. Stali tak po prostu za bramą. Sądzę, że powiedzieli coś takiego: „Teraz wkrótce zobaczycie Szwecję – teraz będziecie wolne”. Zanim wyjechaliśmy, przyszedł wielki Niemiec i powiedział: *Meine Damen Sie sind frei* – „Moje panie, jesteście wolne”. Proszę sobie wyobrazić, Niemiec nazywający nas *Meine Damen*. Naprawdę mówili do nas? Nie mówiono do nas „panie” od tak dawna. *Meine Damen...*

I Nelly zaśmiała się. „Margarethe rzekła do mnie: «Osobiście wolałam, jak mówił *Meine Schweine*»”<sup>693</sup>.

Nelly wspominała, że inne więźniarki stały w obozie i patrzyły, jak odjeżdżamy. „Dostałyśmy na drogę chleb i zabrałyśmy go; nie wiedziałyśmy, kiedy znowu coś dostaniemy”,

- Co czuliście, zostawiając inne w obozie?
  - Myślę, że było nam przykro. Trudno to zrozumieć, ale kiedy człowiekowi przytrafia się coś dobrego, odczuwa jednocześnie jakiś smutek. Wielki smutek.
  - Mogłyście się pożegnać?
  - Nie, nie mogłyśmy, ponieważ prosto z budynku wyprowadzono nas do autobusów.
  - Myślałyście, że one też zostaną wypuszczone?
  - Nie pamiętam. Ale słyszałyśmy, że obóz został, to znaczy miał zostać, wysadzony.
- Ten odjazd autobusem był „prawdziwym cudem”, powiedziała Nelly.

Byłam razem z Margarethe, a w autobusie jechało z nami dwóch Niemców. Pomyślałyśmy więc, co oni tu robią? Co się dzieje? Kierowca był Szwedem, a dwóch innych jechało przed nami na motocyklu. Podróż przez Niemcy była straszna. Został jeszcze tylko miesiąc do końca i duże miasta, jak Hamburg, stanowiły szokujący widok. Nie sądzę, żebym zobaczyła jakiś budynek, to znaczy budynek w całości. Od zachodu słyszałyśmy huk – Amerykanie – a Rosjanie na wschodzie. Ale udało się znaleźć drogę w tych ruinach. W strasznych ruinach. Ponieważ Niemcy bardzo szybko naprawili drogi. Musieli mieć się jak przemieszczać.

Z Hamburga autobusy skierowały się do granicy z Danią. Nelly uśmiechnęła się do swoich wspomnień:

I zobaczyłyśmy trawę, zieloną trawę – a nie widziałyśmy zielonej trawy od dwóch lat. Margarethe i ja spytałyśmy więc, czy mogłybyśmy wyjść z autobusu na trawę. Chciało nam się siusiu. I chciałyśmy zrobić siusiu na trawę. Wypuścili nas więc, a my poszłyśmy na trawę i ściągnęłyśmy majtki. Nigdy nie zapomnę, jak dotknęłam tamtej zielonej trawy. Jej dotknięcie było tak piękne, chłodne i łagodne. Wolność – wiadomo.

Gdy Szwedzi przekroczyli duńską granicę 320 kilometrów na północny zachód od Ravensbrück, do szwajcarskiego Kreuzlingen, 880 kilometrów na południe, na granicy z Niemcami, dotarło 299 Francuzek, które wyjechały ze Szwajcarami. Wyruszyły trzy dni wcześniej, ale ich podróż przez Niemcy była dłuższa i trudniejsza. Loulou i Jacqueline Héreil, dwie z mieszkanki bloku 10., znajdowały się w autobusie, zajmowały się chorymi i współpracowały z Hansem Meyerem, lekarzem Czerwonego Krzyża. Violette Lecoq, ich koleżanka z bloku 10., sklasyfikowana jako „NN”, została w obozie. Całą drogę kobiety krzyczały: „Czy to już granica?!”, ale okazywało się, że to tylko postój z powodu nalotu. Zim powiedziała Loulou, że teraz zależy jej tylko na

tym, żeby przekroczyć granicę, by mogła umrzeć we Francji. Wiele innych mówiło to samo.

8 kwietnia w miasteczku Hof na drodze do Norymbergi bombardowanie zatrzymało konwój na cały dzień. O świcie autobusy ruszyły dalej, a z płonących ruin miasta wyłoniły się figurki ciągnące dwukółki i wózki. „Teraz ich kolej – rzekła jakaś Francuzka, patrząc na wynędzniałe twarze Niemców. – Teraz oni są więźniami. Zobaczą, jak to jest. A my jesteśmy wolne”.

O dziewiątej wieczorem autobusy zwolniły, a potem zatrzymały się przed zamkniętymi bramami i stanowiskami wartowniczymi w punkcie granicznym pod Kreuzlingen. W zimnej mżawce rozbłysły reflektory, kiedy kobiety wysiadały na ostatni apel, a niemieccy wartownicy sprawdzali dokumenty. Kontrola trwała ponad godzinę. Po drugiej stronie zapór w mroku zgromadziły się liczne postacie – pielęgniarki, samarytanie, dziennikarze, księża i zwykli ludzie – przyszli je powitać i pomóc. Okrzyki i wiwaty zamarły im na ustach na widok milczących duchów. Gdy bramy się otworzyły, Niemiec wykrzyczał komendę. Wtedy przez drogę przeszedł szwajcarski policjant, podniósł rękę i warknął: „*Non, Monsieur. Dość tego. Cofnąć się!*”. I uśmiechnął się do kobiet: „Jesteście już wolne”.

Znowu wsiadły do autobusów. Postacie zbliżyły się, pomagały, przytulały, proponowały podarunki i jedzenie. „Dostaniecie zupę i gorącą kąpiel”.

Tuż za granicą zatrzymali się na nocleg i kobiety zaprowadzono do ogrzanej sali gimnastycznej, gdzie czekała ciepła zupa i wiele, wiele więcej. Ludzie płakali, kiedy z autobusów wyciągali wyniszczone postacie owinięte bandażami. Sześć kobiet pojechało prosto do szpitala, a inne położyły się na siennikach wypchanych świeżą słomą, pokrytych wełnianą tkaniną i przyrzuconych kocami.

Następnego dnia rano przyjechali przedstawiciele MKCK z Genewy. Poradzili kobietom, żeby nie rozmawiały o obozie, gdyż może to być niebezpieczne. Potem oszacowali ich potrzeby. Lekarze już zdiagnozowali u nich dyzenterię, gruźlicę, tyfus, gangrenę i ciężkie niedożywienie, co zanotował przedstawiciel Czerwonego Krzyża. „Doktor Le Porz i cztery inne więźniarki o kwalifikacjach medycznych pomagają leczyć chore”, napisał. Kobiety przyjechały, nie mając nic, oprócz ubrań na sobie – „w dodatku niedopasowanych”. Nieliczne, które miały ze sobą jakiś dobytek, wiozły go w pudełkach Czerwonego Krzyża. „Mamy wśród nich kilka z całkowicie

ogoloną głową”<sup>694</sup>. Jedna z kobiet podniosła rękaw i pokazała numer wytatuowany na przedramieniu; inne wyciągnęły kawałki materiałów z wyszytymi numerami.

Z Genewy przyjechali szwajcarscy dygnitarze, a wśród nich kobieta, która zaczęła rozmowę z Loulou. „Była bardzo elegancka. Powiedziała, że należy do delegacji, która była w obozie, i mówiła o czarującym komendancie” – czyli o Suhrenie. Pułkownik ze Szwajcarii poradził Loulou, aby nie rozmawiała z tą kobietą. „Twoje przyjaciółki nadal są w obozie. Wszystko, co jej powiesz, przekaże Niemcom”. Wyjaśnił Loulou, że kobieta jest żoną „wysoko postawionego urzędnika w Genewie”<sup>695</sup>.

W południe kobiety wsiadły do pociągu do Francji. Według zapisków eskorty z Czerwonego Krzyża dzień wcześniej tym samym pociągiem wrócili do ojczyzny wymienieni Niemcy, ale nie zachowały się żadne źródła podające tożsamość tych ludzi. Wiadomo tylko, że było ich 450. Ponieważ w zamian uwolniono tylko 299 Francuzek, w pociągu było mnóstwo miejsca, ale brakowało wody, aby posprzątać toalety, „które były w opłakanym stanie, biorąc pod uwagę liczbę chorych na dyzenterię”, zanotował przedstawiciel Czerwonego Krzyża.

W Bernie z pociągu wyniesiono umierającą kobietę. W Annemasse, tuż za granicą, więcej kobiet odjechało do szpitala. Wśród nich znalazła się Zim. „W szpitalu odzyskała przytomność. Wiedziała, że jest we Francji”, opowiadała Loulou, która zachowała notatkę o śmierci Zim i odczytała ją: „«*Mademoiselle Marie-Louise Zimberlin. Zmarła 13.04.45*». Przeżyła dwa dni po przekroczeniu granicy Francji. Byłam zaskoczona, że wytrzymała tak długo. Była wycieńczona i bardzo, bardzo chuda. Ale zachowała bystrość umysłu”, powiedziała Loulou. Dwa dni później Le Porz i pozostałe kobiety wysiadły z pociągu w Paryżu. Zim została w szpitalu w Annemasse. Nie była mężatką, ale zawiadomiona została jej siostra Sophie, która przyjechała z Cluny, żeby przy niej być. Później Sophie napisała do Loulou, opisując ostatnie godziny Zim.

„Rankiem 13 kwietnia dostałam telegram z Annemasse z prośbą o jak najszybsze przybycie. Marie-Louise została repatriowana. Szaleliśmy z radości i poczyniliśmy przygotowania, aby sprowadzić ją do domu. Po południu dostaliśmy telefon. Nie można jej przewozić. Musimy przyjechać do Annemasse, pilnie”. Pociągi miały opóźnienia, więc Sophie wzięła taksówkę.



„Jechaliśmy jak szaleni. Gdy dotarłam na miejsce i weszłam do sali, rozpoznałam ją wyłącznie po kolorze oczu. Uśmiechnęła się lekko i powiedziała: «Moja siostra jedzie». Powiedziałam: «Jestem tu. Jestem. To ja, Mimi». Powiedziała: «To anioł». Wyjęłam rzeczy, które dla niej przywiozłam. Zrobiłam jej lemoniadę z pięknych cytryn. Dałam jej dwie łyżki. Nagle otworzyła oczy i poznała mnie. «Och, *chérie*, teraz widzę, że to ty» i objęła mnie chudymi, chudymi ramionami”.

„Powiedziałam jej: myślałam o tobie cały czas, gdy jadłam, gdy się ubierałam. Wzięła mnie za rękę i popatrzyła na mnie. Zrozumiałam, że nadeszła ostatnia minuta, więc zebrałam całą swoją odwagę i wygłosiłam wersety, które przysły mi do głowy: Bóg jest miłością, «nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich». Odmówiłam *Wierzę w Boga*. Spojrzała na mnie ze spokojem. Trwało to około dziesięciu minut, zanim pielęgniarka stwierdziła, że serce przestało bić”.

W czasie przejazdu przez Francję oficjele z Czerwonego Krzyża ponownie powiedzieli kobietom, żeby nie opowiadały o obozie, ale teraz nic już nie mogło powstrzymać rozpowszechnienia ich historii. W dniu, kiedy dotarły do francuskiej granicy – 11 kwietnia 1945 roku – amerykańska 3 Armia dowodzona przez generała George’a Pattona wyzwoliła Buchenwald. Był to pierwszy obóz oswobodzony przez zachodnich aliantów i Patton uznał, że dość już robienia tajemnicy z obozów koncentracyjnych; wezwał reporterów i fotografów, „żeby zebrali straszliwe szczegóły”.

Młody amerykański dyplomata wysłany, żeby złożyć raport o francuskich przybyszkach z Ravensbrück, zrelacjonował te szczegóły – a szok dźwięczy w każdym jego słowie. Opisał „konwój męczennic, straszliwie okaleczonych, podobnych do szkieletów – przerażające widowisko [...] Przerazenie i zgroza widoczne na twarzach lekarzy odpowiedzialnych za badania mówią więcej niż wszystkie słowa, których tajemnica lekarska zabroniła im wypowiedzieć”<sup>696</sup>.

Najbardziej znacząca relacja o Ravensbrück, jaka wyszła z tej grupy, pochodziła od jedynej nie-Francuzki: Karoliny Lanckorońskiej. Podczas negocjowania wymiany więźniów Carl Burckhardt, przewodniczący MKCK, ponownie zwrócił się do Himmlera o jej zwolnienie, a 2 kwietnia 1945 roku generał SS Ernst Kaltenbrunner napisał do Burckhardta, że Himmler zgadza się na to, pod warunkiem że hrabina będzie milczeć o obozie. Czy też, jak to ujął Kaltenbrunner, chodziło o to, żeby się „zachowała lojalnie wobec interesów

Rzeszy”<sup>697</sup>. Lanckorońska jednak nie miała zamiaru zachować milczenia. W dwudziestodwustronicowym raporcie napisanym w większości w czasie teraźniejszym przedstawiła Burckhardtowi i jego Komitetowi, co dokładnie widziała i, co ważniejsze, co wciąż działo się w Ravensbrück. W szczególności napisała o niebezpieczeństwie nadal grożącym polskim „królikom”: „Znajdują się pod stałą groźbą śmierci” i „pozostają w ukryciu, gdy to piszę”. „Króliki [...] są tym samym w skrajnym niebezpieczeństwie i interwencja MKCK w ich sprawie ma zasadnicze znaczenie”.

Karolina stwierdziła, że nawet w chwili gdy pisała, SS niszczyło dowody swych zbrodni. Tuż przed ewakuacją „rozebrana została komora gazowa i zniszczone wszystkie dowody tego, co się tam działo”. Opowiedziała też MKCK, że „tuż przed 5 kwietnia – dniem wyjazdu naszego transportu – pojawiła się machina przypominająca autobus i stanęła w lesie koło obozu. Była to ruchoma komora gazowa, pomalowana na zielono”<sup>698</sup>.

<sup>685</sup> Bernadotte osobiście interesował się Francją; napoleoński marszałek Jean Baptiste Bernadotte był jego bezpośrednim przodkiem, więc hrabia miał dużą domieszkę francuskiej krwi.

<sup>686</sup> Wanda Hjort mówi dzisiaj, że w tamtym czasie Bernadotte doskonale znał treść listów Sylvii. Wywiad autorki.

<sup>687</sup> Bernadotte, *The Fall of the Curtain*.

<sup>688</sup> O roli Meyera zob. jego raport i akta personalne, AICRC, BRH 1991 000.491/DP 4066; również wywiad autorki z Loulou Le Porz.

<sup>689</sup> Cyt. w: *Les Françaises à Ravensbrück*.

<sup>690</sup> Wywiad autorki.

<sup>691</sup> Według Denise Dufournier w *La Maison des Mortes*, zanim Suhren je pożegnał, niemiecki personel wręczył każdej wychodzącej pół funta masła, paczkę z ciastem i duży kawał kiełbasy.

<sup>692</sup> Heger, *Tous les Vendredis*. Wanda i Bjorn Heger pobrali się latem 1945 roku.

<sup>693</sup> Wywiad autorki.

[694](#) Zob. raporty eskorty MKCK, doktora Auguste'a Josta i panny Jung, którzy spotkali się z byłymi więźniarkami na granicy szwajcarskiej i odprowadzili je do pociągu do Francji, AMKCK, BRH 1991 000/390.

[695](#) Wywiad autorki.

[696](#) Specjalny agent Edward A. Chadwell służył w Lyonie, w amerykańskim oddziale dochodzeniowym zajmującym się zbrodniami wojennymi, kiedy posłano go, by złożył raport o więźniarkach Ravensbrück. Chadwell zanotował, że kobiety wspominały okropieństwa „całkowicie bez emocji i kobiecych sentymentów”. Pisał: „Nie można odczuć ich emocji, kiedy mówią o śmierci swych matek lub sióstr, które były z nimi, albo o śmierci mężów”. Wciąż są w szoku, stwierdzał, ale większość ma „znakomite morale i wciąż jest zdeterminowana walczyć o swój kraj; niektóre nawet pytały, jak mogą się zaciągnąć na ochotnika”. NARA, akta dotyczące zbrodni wojennych.

[697](#) List generała SS Ernsta Kaltenbrunnera do przewodniczącego MKCK, 2 kwietnia 1945 roku, tłumaczenie za: K. Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne*, s. 344.

[698](#) K. Lanckorońska, Raport o obozie Ravensbrück, AMKCK.

## Rozdział 39

### Masur

Zaraz po odjeździe szwedzkiego i szwajcarskiego konwoju więźniarki pracujące poza murami zerkały między drzewa, zastanawiając się, czy przyjedzie więcej białych autobusów. Żaden nie przyjechał. Zamiast tego kobiety zauważyły dodatkowe ciężarówki do gazowania, takie jak zielony autobus, który opisała Karolina Lanckorońska po przyjeździe do Szwajcarii.

Wiele więźniarek potwierdziło później podaną przez Karolinę datę zniszczenia głównej komory gazowej. Według Zdenki Nedvedovej ostatnimi zagazowanymi tam były kobiety z Lidic. Poszły na śmierć, śpiewając czeski hymn. „Po zniszczeniu komory gazowej i wyrównaniu miejsca pojawiła się wizytacja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża”, opowiadała Zdenka<sup>699</sup>. Hanna Sturm, austriacka stolarz, która pomagała przerobić szopę na komorę gazową, pomagała ją też rozebrać.

Suhren wiedział już, że nie uda się na czas zakończyć mordowania. W drugim tygodniu kwietnia Amerykanie dotarli do Łaby, 120 kilometrów na zachód od Berlina, podczas gdy Armia Czerwona marszałka Żukowa koncentrowała się nad Odrą, żeby zaatakować stolicę od wschodu. Na prawym skrzydle Żukowa siły generała Rokossowskiego zdobyły Gdańsk i maszerowały na zachód, więc Suhren miał zapewne tydzień lub dwa na usunięcie śladów eksterminacji, zanim Rokossowski dotrze do jego obozu.

Gazowanie jednak – chociaż ograniczone – nie ustało. Teraz przeprowadzano je w tych zielonych czy czarnych pojazdach, które da się zabrać, gdy nadejdzie rozkaz ewakuacji. Tymczasem przyspieszył proces zacierania śladów. Posadzono więcej drzew, więcej bloków pomalowano, wykopano też jamy, w których palono zwłoki, ponieważ trzy paleniska krematorium (i dwa w Fürstenbergu) nie mogły spopielić ich dość szybko.

Pod koniec marca i w kwietniu w trybie pilnym uporządkowano Jugendlager.

Ponieważ Jugendlager Uckermark zaczął pierwszy funkcjonować jako obóz zagłady, wysłano tam co najmniej 6 tysięcy kobiet, z których większość zginęła do początku kwietnia. Ograniczono nowe transporty. Według Very Salvequart, pielęgniarki z Jugendlagru, ostatnią grupę do eksterminacji sprowadzono na początku kwietnia. Zapamiętała to, ponieważ uciekła Rosjanka i wszyscy musieli czekać, aż Koehler ją znajdzie. Postawił ją przed innymi i bił na śmierć kawałkiem drewna.

Selekcje do gazu w Jugendlagrze trwały, podobnie jak głodzenie i trucie, ale ponieważ zabijanie trwało za długo, coraz więcej więźniarek przesyłano do podobozów lub odprowadzano do obozu głównego. Jak stwierdziła Neeltje Epker: „Wróg szybko się zbliżał, a oni nie mogli zrealizować swojego planu”.

Wiele Francuzek z Uckermark w Wielkanoc powróciło do Ravensbrück. Kilka dni później strażnicy z Jugendlagru spalili dokumenty i rejestry. Polskim więźniarkom w jednym z bloków kazano zniszczyć prycze, „co zrobiłyśmy z entuzjazmem”, wspominała Natalia Chodkiewicz. Wtedy została przeprowadzona selekcja i Natalia, wraz z dwiema setkami innych, trafiła do Ravensbrück. „Stałam z zamkniętymi oczami i miałam nadzieję, że dziś czarny personel głównego strażnika mnie wybierze – opowiadała Polka Janina Habich. – Ale pod koniec selekcji zostałam zawrócona do Ravensbrück”<sup>700</sup>.

Mary O’Shaughnessy codziennie oczekiwała, że zostanie wybrana. „W tym czasie myślałyśmy, że wszystkie oszalejemy. Mogłyśmy jedynie czekać na przegląd – czy raczej czekać na rozkaz śmierci”. Przeprowadzono kolejną selekcję, a wybrane kobiety zabrano do gazu albo na rozstrzelanie. Jednak Mary O’Shaughnessy została odesłana do powrotu do obozu macierzystego. Ostatecznie jej sztuczne ramię okazało się nieistotne w wyborze między życiem a śmiercią, ponieważ wszyscy dokonujący selekcji skupiali się wyłącznie na stanie nóg więźniarek.

Gdy Mary ustawiała się w kolumnie do powrotu, Ruth Neudeck przechodziła obok i uderzyła ją w usta swą okutą srebrem szpicrutą. „Bez powodu. Miałam już dwa wybite zęby”. Z grupą około dwustu kobiet skierowała się przez las do Ravensbrück, wciąż krwawiąc z ust.

Stan liczebny Jugendlagru wciąż się zmniejszał i zostali przysłani więźniowie z obozu męskiego, by uprzątnąć pozostałe ślady. Spalili rozkładające się zwłoki i przekształcili salę głodową w rewirze z powrotem w zwyczajną jadalnię.

Zanim w styczniu 1945 roku zostało ewakuowane Auschwitz, esesmani zastrzelili wszystkich kapo, którzy mogliby opowiedzieć o tym, co się tam działo. Całe *Sonderkommando* – więźniowie pracujący w komorach gazowych i krematorium Auschwitz – miało zostać stracone. Tuż przed egzekucją komando się zbuntowało. Chociaż władze zdławiły bunt, kilku ludzi uciekło. Prawdopodobnie aby zapobiec podobnym buntom w Ravensbrück, jedenastu mężczyzn z obsługi krematorium i komory gazowej zamknięto na początku kwietnia w bunkrze. Wtedy także Vera Salvequart dowiedziała się, że ma zostać rozstrzelana.

Salvequart powiedziała później, że to Rapp pierwszy oznajmił jej, że „nie wyjdzie stąd żywa”. Prawdopodobnie po tym jej zachowanie się zmieniło. Niemal na pewno dostała rozkaz wytrucia wszystkich pozostałych w rewirze. Zamiast tego zrobiła się dla nich miła i próbowała część ocalić.

„Kiedy pojawiły się pierwsze ciepłe promienie słońca, Vera powiedziała chorym, że mogą wyjść na dwór na słońce, i w dodatku załatwiła wyniesienie gruźliczek – opowiadała Irène Ottelard. – Chodziła nawet z pacjentkami na spacer, bez strażnika z SS”<sup>701</sup>. Wiele więźniarek doceniało „uprzejmość” Very i w jej urodziny – 12 kwietnia – dało jej prezenty. Salvequart miała kilka kobiet pomagających jej na różne sposoby, a *Frau Schaper* była jej krawcową.

„Zapraszała ludzi do swego pokoju i dawała im chleb i miód ze swoich paczek” – wspominała Irène – ale tym razem bez proszku w kanapkach. W desperacji Gisela Krüger powiedziała Salvequart pewnego dnia: „Jeśli ten strach i głód wkrótce się nie skończą, to najlepiej będzie zażyć proszek”, ale Vera odmówiła zabicia jej, mówiąc: „Możesz go dostać, ale wciąż kochasz życie”. Według Giseli pani Schaper miała dostać proszek przed końcem, ale nie skończyła szyć ubrań dla Very, więc została oszczędzona.

Salvequart ratowała też kobiety od śmierci, zamieniając nazwiska na listach egzekucyjnych. „Muszę powiedzieć, że zachowanie Very Salvequart było paradoksalne – twierdziła Irène. – Uratowała kilka kobiet, ale również dużą liczbę zabiła”. By kogoś uratować, zamieniała nazwisko potencjalnej ofiary na nazwisko zmarłej. Później mówiła, że w ten sposób uratowała wiele kobiet, ale Gisela Krüger uważa, że było ich raczej cztery czy pięć.

Własna relacja Salvequart z jej ostatnich dni w Jugendlagrze została zawarta w trzech obszernych zeznaniach, złożonych w 1946 roku przed wytrwałym brytyjskim łowcą zbrodniarzy wojennych Charlesem Kaiserem<sup>702</sup>. Ten

austriacki Żyd z SOE, zrzucony ze spadochronem za frontem, słynął z umiejętności zachęcania przesłuchiwanym do mówienia. Salvequart opowiedziała mu, że pod koniec ciąży przywożono do rewiru w Jugendlagrze na poród. Były to głównie Żydówki, a ich dzieci zabijał Rapp. Vera próbowała je ratować, jak mówiła, ukrywając je w umywalni. Część adoptowała sama i próbowała wychować, włącznie „z dzieckiem Żydówki Weinert – chłopcem – którego wychowywałam potajemnie”.

Jedzenie dla dziecka dawał jej więzień z obozu męskiego Franz Eigenbrodt. Salvequart zaprzyjaźniła się z nim, kiedy przyszedł ze swym komandem wykonać różne naprawy. O istnieniu dziecka dowiedziano się w męskim obozie i więźniowie szmuglowali mleko dla niego. „Ale Neudeck zabrała mi dziecko i wrzuciła na wózek rozwożący żywność, jak tobołek z ubraniami. Wózek był brudny od rozlanej zupy. Powiedziała też do mnie: «Mały Żyd pewnego dnia stanie się dużym Żydem»”. Vera przyznała się Kaiserowi, że po tym próbowała otruć Neudeck. Główna dozorczyńca przyszła do niej, skarżąc się na ból głowy, więc podała jej biały proszek, jednak zbyt mało, żeby zabić Neudeck.

Po zabiciu małego Weinerta wszystkie dzieci urodzone w rewirze Very zabierał Koehler, kolega Rappa. Salvequart stwierdziła, iż wiedziała wtedy, że jej dni są policzone, ponieważ Rapp kręcił się wokół niej i mówił, że *Oberschwester* podejrzewa ją o fałszowanie list egzekucyjnych.

Pewnego razu, zeznała, wybrano 180 kobiet do transportu do Belsen, ale linie kolejowe zostały zniszczone, więc więźniarki miały być zabite strzałem w głowę. Vera wykorzystała okazję, by podmienić kilka nazwisk z listy na nazwiska już zmarłych, a w rezultacie została wezwana przed *Oberschwester* Marschall i doktora Trommera w celu złożenia wyjaśnień. Podejrzewali Salvequart o przechowywanie oryginalnych list, z ich podpisami, a tym samym obciążającymi ich; kazali więc sobie je oddać. To wtedy podsłuchiwała, jak Trommer mówi: „Ta kobieta nie może wpaść w ręce wroga” – i postanowiła uciec.

Kolejne okropieństwo umocniło ją w decyzji. Według Salvequart w ostatnich dniach do Jugendlagru przyjechało czternaście polskich zakonnice. Jedną z nich była matka przełożona Izabela Możyńska. Salvequart powiedziała Kaiserowi, że pamięta jej nazwisko, ponieważ poprosiła o leki dla zakonnice, które cierpiały na biegunkę. Vera dała im tabletki i zasugerowała, żeby nie przychodziły więcej do rewiru, ponieważ to zbyt niebezpieczne. Matka

przełożona podziękowała jej i dała medalik, ze słowami: „Niech Cię Bóg chroni”. Vera powiedziała Kaiserowi, że dołączyła medalik do naszyjnika, który może obejrzeć, jeśli chce, ponieważ znajduje się on w depozycie w hamburskim więzieniu.

Następnego dnia przebywała w jednej z sal szpitalnych, sortując złote zęby. Weszli pijani Rapp i Koehler.

Rapp wyszedł, a Koehler, bardzo pijany, podszedł i próbował mnie pocałować. Opierałam się, [...] rzucił mnie na leżankę i próbował zgwałcić. Opierałam się ze wszystkich sił, gryzłam, drapałam i kopałam. Kopnęłam go w podbrzusze, co musiało mocno zabołeć, ponieważ poleciał w kąt pokoju.

Salvequart uciekła i powiedziała jednej z nadzorczyń, Ernie Kube, co się stało. Kube miała zabrać stos zawieszonych ubrań do prania w Ravensbrück, więc Salvequart spytała, czy mogłaby ją też zabrać. Podczas rozmowy Rapp wyciągnął 14 zakonnic i zaprowadził je do nieużywanej kuchni koło rewiru.

Nagle usłyszałyśmy strzały. Gdy wychodziłam z Kube, zawołał mnie Rapp. Kazał przynieść do kuchni szczypce do wyjmowania zębów. Kiedy weszłam do kuchni, zobaczyłam straszny widok. Część zakonnic nie żyła, ale kilka odniosło poważne rany i bardzo cierpiało. Wciąż pamiętam okropny obraz zakonnic z przestrelonymi oczami.

Vera uciekła, dołączyła do Kube i we dwie wróciły do Ravensbrück, gdzie Salvequart ukrywała się w bloku szpitalnym przez dwa dni, aż ktoś wydał ją Koehlerowi. „Właśnie podnosiłam zwłoki, kiedy wszedł Koehler, więc wyskoczyłam przez okno”. Więźniarki pomogły jej się ukryć, najpierw w króliczych klatkach, potem w bloku 19., gdzie blokowa pochodzenia szwajcarsko-amerykańskiego, Ann Seymour Sheridan, schowała ją na stryszku. Salvequart dała Annie porcję białego proszku do przeszmugłowania i poprosiła, aby ją przekazać aliantom jako dowód. Analiza próbki – cyjanku – została przedstawiona sądowi w Hamburgu.

Teraz Salvequart ścigali i Koehler, i Rapp. Koehler znalazł ją pierwszy i odprowadził do Jugendlagru. Niepokoił się próbą gwałtu. „Koehler panicznie się bał, że zgłoszę sprawę Schwarzhuberowi, i od razu spytał, czy widziałam się ze Schwarzhuberem, i próbował mnie przeprosić, twierdząc, że był pijany”. Ponownie wymknęła się Koehlerowi i tym razem uciekła do obozu męskiego. Jej przyjaciel Eigenbrodt przemycił dla niej przez grupę



więźniów, którzy czyścili rury w Jugendlagrze, męskie ubranie, więc Salvequart przebrała się za robotnika od kanalizacji.

Kiedy Kaiser spytał ją, czy wie, co się stało z Koehlerem i Rappem, Salvequart stwierdziła, że słyszała, iż Koehlera więźniarki powiesiły tuż przed wyzwoleniem, ale nie wiedziała nic o Rappie. Spytana, co stało się z zamordowanymi polskimi zakonnicami, Salvequart odparła, że, jak słyszała, „zajęła się tym” Ruth Neudeck.

„Zajęcie się” zamordowanymi zakonnicami musiało być jednym z ostatnich zadań Ruth Neudeck w Jugendlagrze, ponieważ po zabiciu ostatnich więźniarek czy też ich powrocie do obozu głównego w Ravensbrück podobóz zagłady został zamknięty. Neudeck dostała awans i wyjechała poprowadzić obóz w Barth. Salvequart nadal się ukrywała w męskim obozie w przebraniu i czekała na wyzwolenie.

Więźniarki z Jugendlager Uckermark, które prawdopodobnie pod koniec marca zaczęły przyjeżdżać do Ravensbrück, zostały powitane, jakby wróciły z grobu. Niektóre zaprowadzono do rewiru, o inne zadbały koleżanki. Irène Ottelard, która po powrocie ważyła 29 kilogramów, napisała później: „Nigdy nie sądziłam, że odczuję tak wielką radość, gdy znów zobaczę Ravensbrück. A kiedy znalazłam się w rękach francuskiej pani doktor, poczułam się jak w niebie”.

Inne nie miały tyle szczęścia. Mary O’Shaughnessy pomaszerowała prosto do bloków strefy śmierci za drutami. Warunki były tam nieco lepsze niż w Jugendlagrze, bo dostała przynajmniej koc. Metody zagłady z Jugendlagru wykorzystywano również i tutaj. Na początku kwietnia setki kobiet cierpiących na dyzenterię przeniesiono do bloku 22. Zostały tam zamknięte na trzy dni i trzy noce bez jedzenia i wody, ale też bez możliwości załatwiania potrzeb, w oczywistym założeniu, że wszystkie umrą. Brytyjka Julia Barry, policjantka obozowa, próbowała dostać się do bloku śmierci, ponieważ trafiła tam ciotka jej męża, która przyjechała do obozu z Węgier w grudniu. Julii nie wpuszczono do środka, „ale przez drzwi widziałam ciała spiętrzone jedno na drugim, może około trzydziestu. Zauważyłam, że w jednych zwłokach oczy zwisały z oczodołów, co zapewne było dziełem szczurów, których pełno było w tym bloku”.

Wkrótce Mary O’Shaughnessy ponownie spotkała się z Winkelmannem. Tysiąc pięćset chorych i umierających kobiet z jej bloku dostało rozkaz, aby rozebrać się do pasa i iść za nim. Ponieważ w tej sytuacji musiała

wyeksponować sztuczną rękę, była przekonana, że zostanie wyselekcjonowana, ale w ostatniej chwili uratowała ją blokowa, Ann Sheridan. Widząc zagrożenie, Ann zdołała wciągnąć Mary do baraku po odliczaniu, a wraz z nią kilka innych, i ukryć pod pryzkami w kącie bloku. „Podobną selekcję przeprowadzono trzy razy i za każdym razem uniknęłam jej dzięki pomocy Ann Seymour Sheridan”, powiedziała Mary O’Shaughnessy w powojennym zeznaniu.

Po powrocie do obozu głównego więźniarki, które ocalały z Jugendlagru, również stały się celem polowania „handlarza bydła”, Pflauma, który był zdeterminowany, żeby powysyłać je do podobozów, bez względu na to, jak bliskie śmierci były. Położna z Holandii, Neeltje Epke, zanotowała, że 25 z 79 Holenderek uratowanych z Jugendlagru znalazło się w transporcie do podobozu; 17 było tak słabych, że umarły w drodze.

Łapanki przybrały teraz „tragikomiczną” formę, zauważyła Maria Moldenhawer. „Pflaum osobiście wpadał do bloków, zaglądał pod łóżka i wspinał się na najwyższe prycze, a wszystkie chowały się, gdzie mogły, Winkelmann zaś przychodził i oglądał kobietom nogi”. Austriaczka Anna Hand, obozowa sekretarka, widywała w tamtym czasie Pflauma w biurze pracy i zauważyła, że „stale był pijany”. Widziała, jak czasem jeździł po obozie na rowerze, a kobiety na jego widok rozpierzchały się na wszystkie strony.

Obecnie o wiele rzadziej pojawiali się zwykli esesmani. „Nie byli idiotami – opowiadała Violette Lecoq. – Wiedzieli, że koniec jest bliski”. Jednak „oddział specjalny” Pflauma, esesmani z rewolwerami i szpicrutami, ciągle był obecny: esesmani mogli otoczyć blok w dzień lub w nocy albo wyprowadzić do podobozu całe kolumny kobiet wychodzących do pracy. Nie miało już teraz znaczenia, czy dotrą tam żywe, ponieważ odsyłano je dokądkolwiek, byle pozbyć się z Ravensbrück. Suhrenowi stale powtarzano rozkaz Hitlera: żadna więźniarka nie może wpaść w ręce Rosjan.

Wraz ze zbliżaniem się frontów co dzień kurczyła się liczba podobozów, do których Suhren mógł wysyłać kobiety. Znaleźli się w stale zwężającym się pasie, ponieważ Armia Czerwona postępowała od wschodu, Brytyjczycy od północnego zachodu, a Amerykanie od południowego zachodu.

15 kwietnia Belsen przestało być dostępne dla ewakuowanych z Ravensbrück, ponieważ do obozu dotarły siły brytyjskie i odkryły niewyobrażalną groźbę. W tym czasie Amerykanie zdobywali przyczółki za

Łabą, nasilały się też bombardowania, więc więźniarki załadowane do ciężarówek lub wagonów z pewnością zostałyby trafione przez bomby. Nawet gdyby kobiety dotarły żywe do podobozów, umarłyby z głodu, ponieważ dostawy zostały odcięte. Polka Janina Habich ze 150 innych wróciła z Jugendlagru i przez trzy dni kopała okop wokół Ravensbrück, po czym została załadowana na ciężarówkę i dwa dni jechała, pod bombami, do kopalni soli w Berndorfie. Tam wysłano je 200 metrów pod ziemię do produkcji części do rakiet V-2. „W tych pierwszych dniach kwietnia trzymali tam nas, 140 kobiet, przez dziesięć dni, a do jedzenia dawali tylko gnijącą marchew i brukiew”.

Eva Fejer, węgierska nastolatka, została wysłana do fabryki na południowym krańcu Berlina. Kiedy zakład został zbombardowany, więźniarki wysłano do porządkowania, „ale zamiast tego pochowałyśmy się w latrynach”. Tam podsłuchiwały esesmanów dyskutujących, czy wysadzić wszystko w powietrze razem z więźniarkami, czy raczej popędzić je znowu do Berlina. „Wsadzili nas w metro, a my oglądałyśmy nazwy wszystkich stacji, które znałyśmy z książek dla dzieci; strażnicy mówili: «Zostańcie z nami albo będziecie mieli kłopoty». Niektóre uciekły, ale ja się nie odważyłam. Pomyślałam, że skoro tyle wytrzymałam, to nie zaprzepaszczę tego teraz”. Załadowano je do pociągu do Oranienburga, na północnych obrzeżach Berlina, i zabrano do obozu Sachsenhausen.

Zaprowadzili nas do łaźni i wpuścili do środka całkiem nagie. Nie wiem, na jak długo nas tam zostawili. Pamiętam dziewczynkę, która zaczęła krzyczeć, i nigdy więcej jej nie widziałam. Siedziałam z głową w dłoniach, myśląc, że cokolwiek się stanie, niech stanie się szybko, a wtedy przyszedł esesman i otworzył drzwi. Krzyknął *Raus, raus!* i zostałyśmy załadowane na ciężarówkę i zawiezione do właściwej łaźni, gdzie wzięłyśmy kąpiel. Potem załadowali nas na kolejny samochód i odwieźli do Ravensbrück, a my widziałyśmy mnóstwo zamieszania, pakowanie mebli. Dali nam po pięciokilogramowej kanadyjskiej paczce.

Kobiety przetransportowano do Malchow, Barth i Torgau, trzech podobozów, które leżały najdalej od nacierających frontów, ale nawet gdy samochody odjeżdżały, do Ravensbrück napływały więźniarki z innych obozów, świeżo wyzwolonych. Wiele wspominało powrót ciężarówki z Rechlina, karnego obozu 50 kilometrów na północny zachód od Ravensbrück. Hermine Salvini, obozowa sekretarka, opowiadała:

Na ciężarówce leżały trupy, umierające i żywe więźniarki wymieszane razem. Zostały wyładowane, przeladowane i wywiezione za bramy. To wydarzyło się późnym wieczorem. Całą noc komin krematorium dymił. Rano, kiedy musiałam spisać dzienną siłę roboczą [stan więźniarek], dowiedziałam się, że wszystkie zmarły.

Transporty ewakuacyjne stały się nowym sposobem zabijania. Pociągi mijaly się, krążyły i zawracały pomiędzy coraz mniejszą liczbą obozów i podobozów pozostających jeszcze poza zasięgiem aliantów. Isabelle Donner dotarła do Ravensbrück w bydlęcym wagonie w grudniu 1944 roku i w lutym 1945 roku została wysłana na zachód w otwartym wagonie do obozu pracy Dachau. „Pociąg został zbombardowany, a dwa wagony miały oderwane dachy – było wielu zabitych”. Grupę wysadzono z pociągu i pognano na północ; znalazła się pod ostrzałem z powietrza, ale wciąż maszerowała na zachód, jak najdalej od frontu wschodniego. Helena Gawęda, Polka, w grudniu 1944 roku przysłała z Auschwitz do Ravensbrück, a lutym 1945 roku ciężarówką pojechała do podobozu Malchow na północy. W kwietniu 1945 roku została ewakuowana pociągiem na południe, do Lipska, a stamtąd pieszo przed siebie, jak najdalej od nacierających wojsk amerykańskich i radzieckich.

Krystyna Dąbrowska, siedemnastolatka z Warszawy, została ewakuowana z podobozu koło Hamburga, gdy zbliżyli się Brytyjczycy, i wsadzona do pociągu na południe, do Lipska. Siedziała w otwartym wagonie, obok wagonu wyładowanego amunicją.

Gdy nadlatywały alianckie samoloty, patrzyłyśmy w górę i myślałyśmy, że nasi przyjaciele zobaczą nas w tych otwartych wagonach – amerykańscy piloci nie zrzucą na nas bomb; ale zrzucili, nasz wagon został tak samo zbombardowany jak wagon z amunicją. Było tylu zabitych, że nikt ich nie liczył. Pamiętam kobietę, wciąż przytomną, ale bez nóg. Nic nie dało się zrobić. Próbowaliśmy uciec, ale sprowadzili nas z powrotem i pomaszerowałyśmy do innego pociągu<sup>703</sup>.

Rosza Nagy, jej młodsza siostra Marianne i ich matka Margit w październiku 1944 roku przemaszerowały niemal całą drogę z Budapesztu do Ravensbrück i przebywały razem w obozie aż do stycznia 1945 roku, kiedy dziewczęta odesłano pod podobozu Chemnitz pod granicą czeską.

„Kiedy matka obserwowwała nasz odjazd, nie płakała – mówiła Rosza. – Powiedziała po prostu: «Trzymajcie się razem, dziewczęta, a wszystko będzie dobrze»”<sup>704</sup>. W połowie kwietnia, gdy Rosjanie zbliżali się od wschodu,

a Amerykanie do zachodu, wsadzono je do zamkniętych bydłych wagonów i wywieziono do Mauthausen; trasa prowadziła dokładnie między frontami radzieckim i amerykańskim.

„W wagonie było ciemno i nie miałyśmy jedzenia. Siedziałyśmy stłoczone, po sześćdziesiąt na wagon, o tak” – Rosza przyciska kolana do piersi.

Cały czas było ciemno, ale trzymałam siostrę za rękę. Matka mówiła nam, żebyśmy nigdy nie puszczały swoich rąk. Potem ludzie zaczęli się poddawać i umierać. Próbowaliśmy układać zmarłych w jednym rogu wagonu. W drodze słyszałyśmy armaty. Pomyślałyśmy, że to prawdopodobnie bombardowanie Drezna, ponieważ musiałyśmy być blisko. Nie wiedziałyśmy, czy to Rosjanie, czy nie.

Po kilku dniach kolejne osoby zaczęły się poddawać i Rosza próbowała skłonić współpasażerki, żeby wytrzymały.

Powiedziałam, że będziemy żyć. Że wkrótce zostaniemy uwolnione. Próbowalam mówić do nich, żeby dać im siłę. Ale one już nie chciały żyć. Moja siostra się poddała. Miała tylko dwadzieścia lat i nie była tak silna jak ja. Byłam wysportowana, jeździłam na rowerze i grałam w tenisa. Moja siostra grała na wiolonczeli i miała piękny głos, ale w pociągu straciła siłę.

Po tygodniu w ciemnym wagonie pociąg wjechał do Czechosłowacji. Potem zwolnił i zatrzymał się. Drzwi się otworzyły.

Na zewnątrz stali ludzie, którzy chcieli pomóc, Czeski Czerwony Krzyż, ale my nie mogliśmy wysiąść. Ostatecznie wypełzłyśmy na łokciach i kolanach, ponieważ nie mogliśmy stać, wypełzłyśmy na łąkę i jadłyśmy trawę. W wagonie za nami zostały trupy i oni je wyciągali. Przez chwilę było cudownie, ponieważ mogliśmy oddychać. A słońce świeciło tak jasno i nas oślepiało. Cudownie było zobaczyć światło. Kiedy otworzyli drzwi, to było jak cud.

Kobietom kazano wrócić i pociąg jechał przez kolejny tydzień. W chwili przybycia do Mauthausen ponad połowa pasażerek nie żyła. Żywe stłoczono w namiocie. Marianne, siostra Roszy, zmarła w Mauthausen dwa dni później.

W Ravensbrück wszyscy wiedzieli, że zbliża się ostatni akt. 12 kwietnia robotnice z Siemensa zamknięto w ich barakach. Dwa dni później zakład w Ravensbrück został opróżniony, ostatnie więźniarki poszły do obozu macierzystego, gotowego na ewakuację, a cały sprzęt Siemensa załadowano na barki i odesłano poza linie ognia.

Część kobiet w obozie wciąż miała nadzieję, że to Amerykanie dotrą do

Berlina – a tym samym do Ravensbrück – jako pierwsi. Nie miały pojęcia, że 15 kwietnia Eisenhower oznajmił swoim osłupiałym dowódcom przyczółków za Łabą, żeby się tam zatrzymali. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Najwyższe Dowództwo Alianckie postanowiło pozwolić siłom Stalina zdobywać Berlin<sup>705</sup>.

16 kwietnia o trzeciej rano ostateczne radzieckie uderzenie na stolicę rozpoczęło się od zmasowanego ataku na tak zwaną Bramę do Berlina – Wzgórza Seelow, 90 kilometrów na wschód – a siła ognia była tak potężna, że dudnienie dochodziło nawet do Ravensbrück. Tego ranka trwały selekcje do ruchomych komór gazowych, a „stare szczury” wciąż wpisywały nazwiska więźniarek na listy transportowe, jednak dwa dni później, gdy dotarły wieści o przełamaniu niemieckiej obrony na Wzgórzach Seelow, personelowi *Schreibstube* rozkazano spalić listy.

Nadeszły nowe rozkazy, by zniszczyć najbardziej obciążające dowody – akta więźniarek, a wraz z nimi każdy ślad tego, co działo się w obozie. Najpierw więźniarkom polecono stworzyć żywy łańcuch, rozciągający się od komendantury do krematorium, a potem pudła z dokumentami przechodziły z rąk do rąk aż do paleniska.

Dozorczyńi odpowiedzialna za obozową bibliotekę, Irmgard Schröers, spaliła też wszystkie nazistowskie publikacje. Wyjaśniła swej pomocnicy, polskiej więźniarce: „Czasy się zmieniły, a Niemcy będą musieli dostosować się do innych. Ty zostaniesz uwolniona, a ja zamknięta. Najwyraźniej tak musi być”.

Personel *Effektenkammer* również dostał polecenie, żeby pozbyć się dowodów. Depozyty więźniarek – obrączki, fotografie, listy, starannie opisane i przechowywane pod kluczem od początku istnienia obozu – wyniesiono, załadowano na ciężarówkę i wywieziono. Suhren ujawnił później, że przewieziono je najpierw do twierdzy Doemitz nad Łabą, ale ponieważ zbliżali się Amerykanie, zabrano je i „umieszczono w pobliżu schroniska młodzieżowego” – chociaż nikt nie wie, czy rzeczy kiedykolwiek tam dotarły i co się z nimi stało<sup>706</sup>.

W swych blokach czerwonarmistki szykowały się na przyjście Rosjan – przygotowywały raporty o obozie, rysowały mapy okolicy, cokolwiek, co mogło się przydać radzieckim wyzwolicielom. Irma Dola miała brata w armii Rokossowskiego i mówiła o nim, że zjawi się za kilka dni i zrobi porządek

z SS. Antonina Nikiforowa mówiła o nakręceniu po wojnie filmu o tym wszystkim.

Wybuchły wzajemne oskarżenia. Szefowa obozowej policji Elisabeth Thury była oskarżana przez niektóre o podlizywanie się czerwonoarmistkom teraz, gdy ich zwycięstwo stało się pewne. Więźniarki uważnie obserwowały blokowe pozostające w zbyt zażyłych stosunkach z SS, a w razie potrzeby przycierały im nosa. Przyjechała nowa dozorczyń, Zetterman. Przeniesiono ją do Ravensbrück z Belsen tuż przed wkroczeniem Brytyjczyków. Zetterman chodziła po Ravensbrück z rewolwerem, kopała i biła; groziła kobietom, że użyje przeciwko nim metod z Belsen. Więźniarki pytały: „A co pani robi, kiedy przegracie wojnę?”, na co dozorczyń drwiąco odpowiedziała, że „na pewno się zastrzeli”. Po czym znów ruszyła w obóz, kopiąc i bijąc.

Większość dozorczyń jednak mówiła nie o zemście, ale o powrocie do domu. Plecaki stały się najbardziej poszukiwaną rzeczą w obozie, a strażniczki chciały płacić więźniarkom – które szyły je sobie same – chlebem i ziemniakami, byle jakiś zdobyć. Chętnie też wymieniały się na zawartość paczek Czerwonego Krzyża. Jedzenie w kantine dla personelu ostatnio było kiepskie, a w drugim i trzecim tygodniu kwietnia do obozu zaczęły napływać tysiące obfitych, pięciokilogramowych paczek od Kanadyjskiego Czerwonego Krzyża, pełnych czekolady i dżemów, kiełbasy i puszkowanego mięsa. Paczki przeznaczone były dla Francuzek, Żydówek i Polek.

A chociaż SS zawsze swobodnie plądrowało paczki więźniarek, wydawało się, że nadszedł tego kres. Suhren zniemacka zaczął kontrolować potwierdzenia odbioru, zaczęły się też negocjacje między więźniarkami a SS, jak powinna być dzielona zawartość paczek. Polki na przykład usłyszały, że póki będą kwitowały odbiór paczek, będą mogły zachować piątą część zawartości – w innym przypadku nic nie dostaną. Przedyskutowały propozycję i po kilku godzinach ją odrzuciły. Tymczasem „króliki” dostały po całej pięciokilowej paczce na osobę, ale tylko dlatego, że Suhren próbował je przekupić. Kiedy usłyszały, że ich rodaczki oszukano, „króliki” w ogóle odmówiły przyjęcia paczek. „I tyle uzyskałem, starając się, żeby króliki dostały swoje paczki”, miał powiedzieć Suhren. Mimo to zawartość paczek jakoś trafiała do części więźniarek. „Kradłyśmy nawet papierosy, które esesmani kradli z paczek, więc wszystkie chodziłyśmy po Lagerstrasse, pracowicie kopząc”, powiedziała Zofia Sokulska<sup>707</sup>.

14 kwietnia Marie-Claude Vaillant-Couturier zapisała w dzienniku rozmowę, w której *Oberschwester* ganiła pielęgniarkę za kradzież masła i czekolady z więźniarskiej paczki. Następnego dnia zanotowała, że Dorothea Binz okazała troskę o żydowską więźniarkę. Naczelną dozorczyńnię zapytała sztabową, dlaczego Żydówka jest taka blada i wygląda na chorą. „Sztabowa odpowiedziała, że kobiety niedawno wróciły z Jugendlagru i teraz co dnia pracują przy piasku, na co Binz odparła: «Ale to skandal zmuszać do pracy kobietę w takim stanie; musi odpocząć w bloku»”. „Jakąż odmianę może wywołać zbliżający się front”, zauważyła Marie-Claude<sup>708</sup>.

Z podobozów wciąż wracały ciężarówki z wyczerpanymi więźniarkami i ciałami do spalenia. Rozeszły się plotki, że w całym obozie rozmieszczono ładunki wybuchowe. Już dały się w pobliżu słyszeć eksplozje, gdy esesmani wysadzali okoliczne instalacje. Tłumy na Lagerstrasse przeredzały się szybko. 15 kwietnia Gemma La Guardia Gluck została wezwana do Fritza Suhrena i usłyszała, że zostanie zwolniona. 19 kwietnia grupę 50 więźniarek – głównie Niemek – poprowadzono na rozstrzelanie. Hermine Salvini, sekretarka, wypełniała formularze i pamięta, że były to przede wszystkim niemieckie kryminalistki i aspołeczne oraz Rosjanki. „Jedną chorą na tyfus przyniesiono z rewiru na noszach. Większość tych więźniarek przebywała w obozie od wielu lat”<sup>709</sup>.

Kilka dni później sama Hermine oraz 500 uprzywilejowanych niemieckich więźniarek pomaszzerowało do bramy i wyszło na wolność. Wśród nich znalazła się Grete Buber-Neumann. Zanim wyszła, Grete przekazała liścik dla swej przyjaciółki Germaine Tillion z listą zabitych i poprosiła Germaine, by przekazała spis aliantom, jeśli wyjdzie na wolność. Ponieważ Tillion i jej przyjaciółka Anise były NN, nie pozwolono im wyjechać z 299 Francuzkami do Szwajcarii. Mimo to Grete miała nadzieję, że wyjdą; słyszała od swych kontaktów w komendanturze, że w drodze jest więcej białych autobusów. Rozmawiano też o przybyciu młodego niemieckiego oficera i kłótni z komendantem, jaka wybuchła w obecności innych strażników.

Oficerem, który kłócił się z Suhrenem, był Franz Göring, człowiek Schellenberga. Göring należał do wąskiego kręgu czterech zaufanych osób Himmlera, które nocą 21 kwietnia dowiedziały się o trzecim tajnym spotkaniu hrabiego Bernadotte’a z Reichsführerem, podczas którego ten ostatni zgodził się przekazać tysiące kolejnych kobiet z Ravensbrück Szwedzkiemu



Czerwonemu Krzyżowi. Zaraz po spotkaniu Göringowi polecono przekazać Suhrenowi, by zaczął organizować zwolnienia, ale kiedy Göring przybył do obozu, Suhren odmówił.

Ostatnie spotkanie Himmlera z Bernadotte'em dotyczyło wznowienia kontaktów dyplomatycznych między szwedzkimi oficjami a adiutantami Reichsführera. Na zewnątrz Himmler wciąż okazywał absolutną lojalność wobec Hitlera, ale jego najbliżsi współpracownicy mieli nadzieję, że w tych ostatnich dniach wreszcie zerwie tę więź. Mając to na uwadze, Schellenberg rozpaczliwie próbował utrzymać otwarte kanały łączności z Zachodem; powtarzał Szwedom, że Reichsführer wkrótce będzie gotów omawiać separatystyczny pokój. Schellenberg podtrzymywał też zainteresowanie Szwedów sugestiami dalszych ustępstw w sprawie więźniów.

Felix Kersten tymczasem opowiadał swym kontaktom w Sztokholmie podobną historię, przechwalał się nawet, że uzyskał od Himmlera pisemne zapewnienie, iż powstrzyma wszystkie ewakuacje i zatrzyma marsze śmierci. Himmler dał Kerstenowi gwarancję – tak twierdził masażysta – że od teraz więźniowie w obozach będą trzymani w miejscach gotowych na „zdyscyplinowaną ewakuację” przez aliantów<sup>710</sup>. Posunął się nawet dalej: Himmler gotów był wręcz pomóc Żydom. Kersten wtedy złożył zaskakującą propozycję. Zasugerował Szwedom, że trzeba zorganizować spotkanie Reichsführera z wysokim przedstawicielem Żydów w celu przedyskutowania zwolnienia Żydów.

Chociaż Kersten mówił później, że sam wpadł na pomysł spotkania Himmlera z przedstawicielem Żydów, Szwedzi doskonale wiedzieli, że Kersten nie zasugerowałby go na poważnie bez zdecydowanego zalecenia Himmlera, iż powinien tak uczynić. Tym samym w Sztokholmie było to brane na serio od samego początku.

W tym wszystkim motywacja Himmlera, jak zawsze, była jasna: nawet teraz, gdy Trzecia Rzesza rozpadała się, nadal, co zdumiewa, zachowywał nadzieję, że alianci uznają go za człowieka, z którym będą negocjować, gdy tylko Führer odejdzie. W tej ostatniej godzinie Himmler miał wiele do stracenia, ale godząc się na dodatkowe ustępstwa, wyobrażał sobie, że jeszcze może coś ugrać. Dlatego manewrował bardziej rozpaczliwie niż dotąd, aby „zachować twarz” – do tego stopnia, że gotów był negocjować z przedstawicielem rasy, którą próbował unicestwić.

Wieści o tych propozycjach rozeszły się szybko ze Sztokholmu do żydowskich przywódców za granicą, którzy zaczęli wywierać coraz większą presję na Szwedów, żeby wykorzystali szansę i uratowali jak najwięcej ludzi. Droga ze Szwajcarii do Ravensbrück była już odcięta, co znaczyło, że Szwajcarzy nie wrócą do obozu, więc Francuzi zaczęli naciskać na Szwedów jeszcze bardziej, żeby podjęli działania, szczególnie w obliczu przerażających odkryć dokonanych w Belsen. Opis zmarłych kobiet w Belsen – z których część przewieziono tam z Ravensbrück – był najbardziej poruszający. Brytyjski oficer medyczny widział „ciała nagich kobiet w stosie długim na 60 do 80 metrów i szerokim na 30, a wysokim na ponad metr, dzieci też tam były. Rynsztoki pełne były zwłok. Ludzie szli do rynsztoków, żeby umrzeć. Tysiące umierało na tyfus, gruźlicę i dyzenterię”. Wspominano również o kanibalizmie. „Na zwłokach nie było mięsa, powycinano ze środka wątroby, nerki i serca”.

W dowództwie aliantów największy szok wywołało to ostatnie przerażające doniesienie. W kwietniu 1945 roku w obozach koncentracyjnych Hitlera przebywał prawdopodobnie co najmniej milion więźniów, wszystkim groziła rzeź w ostatnich dniach, a umierających czekał ten sam straszny los, co w Belsen i Buchenwaldzie. Mimo to, poza ograniczonymi misjami specjalnymi, nikt nie rozważał żadnej poważnej próby uratowania pozostałych więźniów<sup>711</sup>. Ryzyko dla życia alianckich żołnierzy było zbyt wysokie, a z punktu widzenia wojskowego akcja ratunkowa została uznana za niemożliwą. Decyzja Eisenhowera, żeby jego wojsko nie przekraczało Łaby – podjęta głównie dlatego, aby nie angażować amerykańskich żołnierzy w ostateczną bitwę – oznaczała, że obozy znalazły się nawet poza zasięgiem operacji powietrznych.

Alianci, nawet po Belsen, nie rozważali też wsparcia dla Bernadotte’a i nadal odmawiali zabezpieczenia przejazdu dla białych autobusów<sup>712</sup>. Brak chęci pomocy w przejeździe do Sztokholmu po części wynikał z obaw, że Stalin może podejrzewać zakulisowe podchody, jeśli dowie się o umowach aliantów ze Szwedami, ale bardziej prawdopodobnie chodziło o to, żeby skupić się na wygraniu wojny. Podczas ostatniej wizyty sam Bernadotte został ostrzelany przez alianckie samoloty i jego samochód musiał skryć się w rowie. Białe autobusy w terenie były podwójnie zagrożone, ponieważ Niemcy zaczęli kamuflować własne pojazdy białą farbą i czerwonym krzyżem. Jeden biały autobus został ostrzelany przez brytyjski

myśliwiec, zginął Szwed i Duńczyk. Kiedy Szwedzi zaprotestowali, Londyn odpowiedział, że do incydentu doszło „pechowo”, ale samolot leci z prędkością ponad 600 kilometrów na godzinę, więc pilot nie mógł zobaczyć oznaczeń Czerwonego Krzyża. „Jest jasne, że Szwedzi nie rozumieją, na czym polega współczesna wojna”<sup>713</sup>.

Jednak rząd szwedzki się nie zniechęcił. Jeśli w tym narastającym chaosie wyłoni się propozycja zwolnienia większej liczby więźniów, ktoś musi być na miejscu, żeby się nimi zająć, i nie było lepszego kandydata niż Bernadotte. W Sztokholmie uzgodniono zatem dwutorową strategię: po pierwsze, realizacja planu Kerstena – zaaranżowania spotkania Himmlera z żydowskim przywódcą, a po drugie, wysłanie Bernadotte’a z powrotem do Niemiec, aby wysledził Himmlera w płonących ruinach Berlina.

W pamiętniku Bernadotte napisał, że wyjechał ze Sztokholmu tym razem z zamiarem, po raz pierwszy od początku misji, aby zmusić Himmlera do uwolnienia nie-Skandynawów, w tym Żydów spoza Skandynawii. Ze szwedzkich źródeł ani ze wspomnień Bernadotte’a nie wynika, jakie dokładnie priorytety wyznaczono misji Bernadotte’a. Jednak wiadomo, że organizacje żydowskie, jak również francuskie i inne, wywierały większą niż kiedykolwiek presję, aby Szwedzi rozszerzyli zakres działań.

Bernadotte wyjeżdżał do kraju pogrążonego w kompletnym chaosie, o pozrywanej sieci komunikacyjnej i sytuacji zmieniającej się z godziny na godzinę. Pośród tych wszystkich chaotycznych wydarzeń było dla niego jasne, że bez względu na to, jakie dostał instrukcje, jedyne, co realnie może zrobić, to znaleźć Himmlera w ruinach, zaryzykować i spróbować wydostać możliwie jak najwięcej więźniów. Rosjanie znajdowali się o kilka dni od Berlina i miało to być z pewnością jego ostatnie spotkanie z Reichsführerem SS.

Lot do niemieckiej stolicy był teraz prawie niemożliwy, więc Bernadotte wsiadł w nocny pociąg do Malmö, stamtąd promem udał się do Kopenhagi i dojechał do bazy Szwedzkiego Czerwonego Krzyża na duńsko-niemieckiej granicy. Tutaj zatrzymał się na odprawę szefów misji białych autobusów i dowiedział się, że wszystkie połączenia z południowymi Niemcami są odcięte. Podczas ostatniej wyprawy na południe, do Theresienstadt w Czechach, 15 kwietnia, szwedzkie autobusy uratowały 450 duńskich Żydów, ale powrót tam był niebezpieczny, tak szybko zbliżały się teraz fronty. Obecnie wszystkich 4200 Skandynawów uratowanych w ciągu ostatnich sześciu tygodni

trzeba przetransportować przez duńską granicę w ramach akcji „w stylu ewakuacji Dunkierki” flotą pojazdów wysłanych przez Danię, składającą się z 94 autobusów, ambulansów, motocykli i ciężarówek oraz 10 dziesięciotonowych ciężarówek do przewozu ryb.

Po zakończeniu tej ewakuacji Szwedzi zamierzali spakować się i wrócić do domu, ponieważ szansa przeprowadzenia kolejnych misji ratunkowych wydawała się niewielka. Nawet droga na wschód do Ravensbrück była od dawna nieprzejezdna.

Bernadotte od razu ruszył do Berlina i dotarł do stolicy rano 20 kwietnia. Panowała chwilowa przerwa w nalotach i hrabia jadący do szwedzkiej ambasady patrzył na ciche, dopalające się miasto. Gdy schronił się w piwnicach poselstwa, skontaktował się z Schellenbergiem i poprosił o pilne spotkanie z Himmlerem, ale Reichsfücher zniknął. Faktycznie znajdował się na urodzinowym przyjęciu Hitlera w bunkrze Führera, razem z Göringiem i Goebbelsem oraz pozostałymi członkami wewnętrznego kręgu. Bernadotte czekał. Nocą doszło do kolejnych nalotów. Przyjęcie urodzinowe się skończyło, ale teraz Himmler i pozostali uczestniczyli w naradzie z Hitlerem i omawiali, co trzeba będzie zrobić, kiedy wszystkie drogi lądowe na południe zostaną odcięte, a to mogło nastąpić w każdej chwili. Führer powinien wyjechać, póki jeszcze może, nalegali obecni, ale Hitler ciągle odmawiał.

Bernadotte nadal czekał i wtedy odebrał kolejną wiadomość od Schellenberga: Himmler spotka się z nim tego dnia wieczorem w Hohenlychen. Hrabia wsiadł do samochodu ambasady i ruszył na północ. Podróż trwała długo, ponieważ drogi blokowali uciekający na zachód uchodźcy.

Po dwóch godzinach Bernadotte po raz kolejny przejechał tuż obok Ravensbrück. Słyszając wyraźnie radzieckie działa i widząc katusze rozświetlające niebo na wschodzie, musiał zrozumieć, że teraz największe niebezpieczeństwo groziło kobietom z pobliskiego obozu koncentracyjnego. Wiedział, że wszelkie ustępstwa Himmlera muszą dotyczyć Ravensbrück, nie tylko dlatego, że był to chyba jedyny obóz, do którego obecnie mogły dotrzeć białe autobusy. Akcje ratunkowe w Mauthausen i Theresienstadt, o ile jeszcze można się tam dostać, muszą podjąć Szwajcarzy, od południa.

Jednak ciężko powiedzieć, na co liczył Bernadotte w chwili, kiedy jechał na trzecie spotkanie z Himmlerem: sam Bernadotte dawał sprzeczne świadectwa. Fakt, że podczas przystanku w podróży na duńskiej granicy pozwolił wyruszyć

kilku konwojom białych autobusów z powrotem do Szwecji, sugerował, że nie oczekuje po nich wiele. Później twierdził, że wyczuwał jakieś znaczące wydarzenie, ale „nie tak doniosłe, jak się okazało”.

W Hohenlychen jeszcze nie było Himmlera. Bernadotte'a powitał za to Karl Gebhardt. Mężczyźni zjedli razem kolację, którą Bernadotte opisał później jako wesołą i przyjemną, co sugeruje, że jeszcze wtedy, gdy to pisał (miesiąc po wojnie), nie miał pojęcia o zbrodniach Gebhardta. Po kolacji Himmler nadal się nie pokazał, więc Gebhardt oprowadził Bernadotte'a po klinice, którą teraz wypełniali ranni żołnierze z frontu wschodniego. „Profesor Gebhardt poprosił nawet, abym był obecny przy operacjach kilku niemieckich żołnierzy”, napisał Bernadotte.

Potem przysłała wiadomość, że Himmler ma większe opóźnienie i dojedzie dopiero o szóstej rano. W obliczu alarmów przeciwlotniczych Bernadotte został na noc.

Po zakończeniu urodzinowego przyjęcia u Führera i przed spotkaniem z Bernadotte'em Himmler postanowił zatrzymać się na jeszcze jedno spotkanie, w posiadłości niedaleko Hohenlychen, Gut Hartzwalde. Posiadłość tę Himmler ofiarował Felixowi Kerstenowi, swojemu masażysty. Kersten również czekał na spotkanie z Reichsführerem, żeby przedstawić mu osobę, która zapewni mu kolejną możliwość porozumienia się z aliantami, niemieckiego Żyda, Norberta Masura, przedstawiciela Szwecji w Światowym Kongresie Żydów.

Przez ostatnich kilka dni negocjacje toczone równoległe przez Kerstena nie przyniosły rezultatów. Himmler zgodził się, żeby Kersten zorganizował spotkanie w Gut Hartzwalde z żydowskim pośrednikiem, któremu zagwarantował osobiste bezpieczeństwo na terytorium Niemiec. Himmler przekonał nawet Kerstena, że „jest gotów zakopać topór wojenny z Żydami”<sup>714</sup>.

Czekając na Himmlera, Masur rozmawiał z Schellenbergiem i innymi osobami ze świty Himmlera i uznał „tych dżentelmenów”, jak ich nazwał, za „uprzejmych i gotowych do pomocy”; szczególnie dobre wrażenie wywarł na nim Franz Göring, asystent Schellenberga, „bardzo skuteczny”<sup>715</sup>. Masur uznał, że współpracownicy Himmlera będą próbowali pomóc w zawarciu porozumienia. „Jesteśmy przekonani, że nie wykonają ewentualnych rozkazów Himmlera prowadzących do kolejnych aktów przemocy – napisał Masur. –

Deklarują, że rozumieją, iż każda krzywda – nawet wyrządzona Żydom – jest zbrodnią przeciwko przyszłym Niemcom”. Oprócz tego – zanotował – „to młodzi ludzie, którzy chcą żyć” i odpowiednio do tego się zachowywać.

Komentarze Masura znajdują się w raporcie ze spotkania z Himmlerem, który to dokument przygotował dla szwedzkiego rządu od razu następnego dnia i który jest dzięki temu zaskakująco świeży, bo pisany niemal na gorąco.

O drugiej w nocy pojawił się Himmler, „nienagannie ubrany w nieskazitelny mundur, obwieszony orderami”. Był „spokojny i opanowany”. Masur poczuł ulgę, gdy Reichsführer powitał go *Guten Tag*, a nie *Heil Hitler!*; mała grupa zasiadła przy herbacie i ciastkach przywiezionych ze Szwecji.

Himmler wdał się w długi monolog, omówił historię Niemiec i racjonalizował politykę „pozbycia się Żydów”, chociaż, jak się wydawało, nie poruszając tematu Zagłady. W pewnym momencie zaatakował „kłamstwa” opowiadane o Belsen. Zagraniczna prasa „obrzucała błotem”, skarżył się; krematoria w Belsen wybudowano, żeby pomóc w uniknięciu epidemii, a nie dla popełniania masowych mordów.

Masur wybrał stosowny moment i wręczył Himmlerowi listę nazwisk więźniów, których zwolnienia domagały się wpływowe żydowskie rodziny, ale którzy, jak musiał wiedzieć, byli już wtedy martwi albo nie do odnalezienia w obozowym chaosie. Masur wezwał do wstrzymania dalszej ewakuacji Żydów z obozów i dobrego traktowania ocalałych. W odpowiedzi, jak informował Masur, Himmler powiedział, „że nie będzie się rozstrzeliwać więcej Żydów” i że „wszystkie ewakuacje ustaną”.

Himmler złożył kolejną szczególną ofertę – jakiej nikt się nie spodziewał: zaproponował zwolnienie tysiąca Żydówek z Ravensbrück, „o ile zostaną natychmiast przejęte przez Czerwony Krzyż”. Propozycja zaskoczyła Masura. Na słowie Himmlera absolutnie „nie należało polegać”, napisał następnego dnia w raporcie, miał też świadomość, że „w ostatniej chwili może paść rozkaz masowego wymordowania wszystkich Żydów”. Masur dodał: „Niebezpieczeństwo dla nie-Żydów jest znacząco mniejsze, jest też mało prawdopodobne, by jakikolwiek nazistowski przywódca ośmielił się nakazać masowe mordy nie-Żydów z krajów wrogich Niemcom”.

Masur uznał za możliwe, że Himmler chciał „naprawdę coś zrobić w ostatnim momencie, pomyślałem więc, że wyda obiecane rozkazy”. W przypadku oferty ocalenia tysiąca Żydówek z Ravensbrück Masur miał szczególny powód, by sądzić, że to się uda, ponieważ „skuteczny” Franz

Göring powiedział mu, że tak się stanie. Göring już „pracował nad organizacją”, raportował Masur, a kobiety mogły się znaleźć w Szwecji w ciągu trzech dni.

Himmler opuścił Gut Hartzwalde tuż przed świtem i kazał szoferowi zawieźć się do Hohenlychen, gdzie o szóstej rano zasiadł do śniadania z Bernadotte'em. Według hrabiego Himmler wydawał się „bardzo zmęczony i znużony”. Nie mógł usiedzieć spokojnie i wciąż „postukiwał w zęby” – niezawodny znak, jak Schellenberg powiedział Bernadotte'owi, że był zdenerwowany<sup>716</sup>.

Po raz kolejny dyskusja skupiła się na zwolnieniu więźniów. Po tym jak Bernadotte wywalczył więcej ustępstw w sprawie Skandynawów, na tapecie znów znalazło się Ravensbrück. Bernadotte przedstawił propozycję zwolnienia Francuzek, a Himmler nie tylko do razu się zgodził, lecz także oznajmił, że Bernadotte może „zabrać wszystkie narodowości”.

Himmler właśnie potężnie rozbudował ofertę złożoną kilka godzin wcześniej Masurowi. Bernadotte mógł wysłać swoje białe autobusy, aby zabrały wszystkie pozostałe więźniarki Ravensbrück – Żydówki i nie-Żydówki. Wszystko to jest możliwe, stwierdził Himmler, po prostu „dlatego, że obóz ma zostać ewakuowany”.

Potem Himmler wyszedł, a Bernadotte skierował się do kwatery głównej swej misji we Friedrichsruhe, aby powstrzymać białe autobusy przed odjazdem do ojczyzny. Szwedzka misja miała się przerodzić w największą akcję ratowania więźniów podczas drugiej wojny światowej.

<sup>699</sup> Nedvedová, zeznanie praskie.

<sup>700</sup> BAL B162/9814.

<sup>701</sup> Ottelard, WO 235/310.

<sup>702</sup> WO 235/317.

<sup>703</sup> Wywiad autorki.

<sup>704</sup> Wywiad autorki.

[705](#) O Amerykanach nad Łabą zob. Beevor, *Berlin*.

[706](#) WO 235/318.

[707](#) Sokulska, WO 235/318.

[708](#) *Les Françaises à Ravensbrück*.

[709](#) Salvini, WO 235/318.

[710](#) Kersten, *Memoirs*.

[711](#) Misje przeprowadzały specjalne siły Operation Vicarage oraz oddziały SAARF (Special Allied Airborne Reconnaissance Force), które miały zrzuć komandosów na spadochronach do obozów, aby ostrzec SS, że alianci nadchodzą, w nadziei, że zapobiegną kolejnym tragediom. Jedna lub dwie takie misje przeprowadzone w obozach jenieckich odniosły ograniczony sukces. Zob. Foot i Langley, *MI9*.

[712](#) Szwedzi zaopatrzyli Brytyjczyków w opisy tras i czas przejazdu konwojów. 5 marca Brytyjczycy obiecali, że piloci samolotów dostaną instrukcje, aby nie atakować szwedzkich konwojów, ale nie mogli dać konkretniejszych gwarancji. 8 marca Brytyjczycy poinformowali Szwedów, że rząd „ogólnie zgadza się na akcje, ale nie jest w stanie dać gwarancji bezpieczeństwa”, dlatego wjazd Szwedów do Niemiec musiał odbyć się „na własne ryzyko”. Cyt. za: Persson, *Escape from the Third Reich*. Zob. też: korespondencja w FO 371/48047.

[713](#) Zob. Depesze FO 371/48047.

[714](#) Kersten, *Memoirs*.

[715](#) Raport Masura, 23 kwietnia 1945 roku, Central Zionist Archives, Jerozolima.

[716](#) Bernadotte, *The Fall of the Curtain*.



## Rozdział 40

### Białe autobusy

To Franz Göring, a nie Bernadotte, przywiózł pierwszy nowinę szwedzkim kierowcom. Skontaktował się z funkcjonariuszami Gestapo w autobusach w chwili, gdy mieli już przekraczać duńską granicę, rozkazał zawrócić i skierować się do Ravensbrück, gdzie było zadanie do wykonania. Göring, nadal przebywający w Berlinie, wyruszył potem do obozu. Według jego zeznania, złożonego po wojnie brytyjskiemu wywiadowi, opuścił Berlin „w ostatniej chwili”, wieczorem 21 kwietnia, gdy Rosjanie wdzierali się do miasta<sup>717</sup>. W drodze na północ dotarły do niego kolejne instrukcje od Schellenberga, że po przyjeździe do obozu ma „poinformować komendanta o decyzji Himmlera i poczynić przygotowania do wyprowadzenia kobiet”. Schellenberg oznajmił Göringowi, że „transfery będą kontynuowane na największą możliwą skalę, nawet jeśli rozkazy nakazywałyby coś odwrotnego”. Franz odkrył, że Suhren trzyma się rozkazów Hitlera.

Około południa 22 kwietnia Göring podjechał do bram Ravensbrück. Potem wywiązała się natychmiastowa i „dość długa” dyskusja, podczas której Suhren okazał „negatywną postawę wobec zwolnienia więźniarek” i odmówił nawet ujawnienia mu, ile kobiet przebywa w obozie, twierdząc, że „na rozkaz Führera zniszczył dokumenty i rejestry”.

Wiadomo było, że szwedzka ugoda ewakuacyjna nie obejmowała więźniarek niemieckich oraz Włosek, Rosjanek i innych kobiet z Europy Środkowej, Göring więc nie martwił się nimi zbytnio. Jednak dla zaplanowania transportów musiał wiedzieć, ile dokładnie więźniarek z Zachodu jest w obozie, a Suhren nie chciał mu tego powiedzieć. Komendant „nie miał pewności” w kwestii liczb i „unikał odpowiedzi”, ostatecznie stwierdzając, że jest około 9 tysięcy Polek, 1500 Francuzek, Belgijek i Holenderek, a także około 3 tysięcy Żydówek, chociaż Suhren wiedział, że jest ich dużo więcej.

Suhren był szczególnie mało konkretny, gdy padły pytania o dwie Francuzki, madame Buteau i madame del Marmol, Żydówki ze „specjalnej listy” Masura. „Kiedy wyjaśniłem, że Himmlera bardzo interesują te osoby i że wydał już rozkaz ich uwolnienia, Suhren bardzo się zdenerwował i po półgodzinie wyznał mi, że obie zmarły w obozie kilka tygodni temu”. Göring próbował na własną rękę organizować akcję ratunkową, ale komendant odmówił współpracy z nim. Kiedy Göring spytał o powód, Suhren odparł, że postępuje zgodnie z rozkazami Führera, żeby nie pozwolić kobietom opuścić obozu.

Poirytowany Göring dodzwonił się do Karla Brandta, osobistego sekretarza Himmlera, z prośbą o interwencję. Niedługo potem Brandt oddzwonił i powiedział Suhrenowi, że Himmler rozkazuje uwolnić więźniarki. Teraz Suhren zwrócił się do Göringa. „Suhren powiedział mi, tak między nami, że już nie wie, na czym stoi, bo dostał przez Kaltenbrunnera rozkazy od Führera, aby zatrzymać więźniarki w obozie i zlikwidować je wszystkie, kiedy nadejdą wrogie wojska”<sup>718</sup>.

Suhrenem „targała niepewność” i zwierzył się Göringowi, „między innymi rzeczami”, że ma jeszcze jeden dylemat. W obozie, powiedział, znajduje się specjalna grupa więźniów, którą zgodnie z rozkazem specjalnym ma zabić. Kobiety – 54 Polki i 17 Francuzek – były „poddawane eksperymentom”. Suhren miał na myśli „króliki”, chociaż nie wiadomo, o które Francuzki mu chodziło. Karl Gebhardt rozkazał wymordować „króliki” wiele tygodni wcześniej, ale Suhren go nie posłuchał. Göring zapytał, jakiego rodzaju były te eksperymenty, a komendant odparł, że kobiety przechodziły operacje kości i mięśni i miały wstrzykiwane bakterie.

Göring twierdził później, że nie mógł w to uwierzyć. „Zaraz potem wezwałem dwie kobiety, żeby uzyskać dowody”. Kiedy zobaczył pokryte bliznami nogi dwóch kobiet – Jadwigi Kamińskiej i Zofii Baj – powiedział Suhrenowi, że w żadnym wypadku ma ich nie zabijać, „dopóki nie otrzyma decyzji od samego Himmlera”. Göring twierdził później, że nie wiedział, iż to Himmler wydał rozkaz prowadzenia eksperymentów.

W każdym razie gdy obejrzał kobiety, jeszcze raz zadzwonił do biura Himmlera, oczekując decyzji, że „pod żadnym pozorem nie wolno zlikwidować tych kobiet, ponieważ inne, wcześniej uwolnione, wiedziały o eksperymentach”, a to oznaczało, że wie już o nich cały świat. Göringowi prosto w twarz powiedziała o tym Jadwiga.

Jadwiga i Zofia przedstawiły później pozostałym „królikom” własną wersję tego kuriozalnego spotkania, które Wanda Wojtasik tak wspominała:

W pokoju komendanta siedział nieznajomy mężczyzna w cywilu z teczką papierów. Komendant szepnął coś do niego, a potem wskazał na nogi kobiet i powiedział, że te jeszcze nie są takie złe, że inne są bardziej *schrecklich*. Mężczyzna milczał, nie powiedział przy nich ani słowa.

Jadzia, zawsze odważna, czasem aż do beczelności, powiedziała, że o tych operacjach wie cały świat, zaczęła się powoływać na paczki z Genewy, ze Szwecji, z Portugalii, które przychodziły tylko do operowanych, powołała się na błogosławieństwo papieża – wreszcie odważyła się powiedzieć, że wojna już się kończy, że byłoby łatwo nas teraz rozstrzelać, ale jakie byłyby tego konsekwencje [...].

Suhren wyglądał nieswojo i wymamrotał coś, „że to Berlin, ale że on może się porozumieć. Odesłał je”.

Niedługo potem Suhren zobaczył Jadwigę na Lagerstrasse i dał jej „słowo honoru”, że nic im się nie stanie. „Tym razem uwierzyliśmy słowu komendanta i «króle» zaczęły powoli wychodzić z nor”<sup>719</sup>. Faktycznie, Göring złożył prośbę o oszczędzenie ich, a Himmler cofnął rozkaz rozstrzelania. Polskie „króliki”, niegdyś pożywka dla lekarzy-rzeźników Himmlera, nagle stały się cennym wabikiem dla Zachodu.

W całym obozie kobiety wypełzały z dziur, gdy rozeszły się pogłoski, że kolejne białe autobusy są w drodze. Dokładnie w chwili kiedy Göring rozmawiał z Suhrenem, konwój ratunkowy złożony z 15 duńskich ambulansów – Duńczycy zaproponowali wsparcie misji – stanął u bram Ravensbrück. Ambulanse mogły zabrać maksymalnie 115 kobiet, a Hans Arnoldssen, szwedzki lekarz kierujący konwojem, dostał instrukcje, aby wywieźć najpierw chore, a potem wrócić po resztę. Jednak ku zdumieniu wszystkich Suhren wyszedł z biura i powiedział Arnoldssenowi, że może zabrać wszystkie więźniarki z Zachodu z obozu – zostało w nim 15 tysięcy kobiet – i to „od razu”.

Podczas rozmowy z Göringiem Suhren najwyraźniej zmienił zdanie w kwestii zwolnień, bez wątpienia pod wpływem nowin, że Armia Czerwona otacza już Berlin. Teraz to Szwedzi nie wiedzieli, co zrobić, ponieważ nawet gdyby zapełnili wszystkie pojazdy, którymi dysponowali, nie mogliby zabrać od razu tak wiele kobiet. Göring powiedział, że powinni spróbować zarekwirować pociąg, ale nikt nie wierzył, że to się uda, a poza tym ostrzegł Suhrena, że Sowieci mogli już do tej pory odciąć trasę do Berlina i wkroczyć

do obozu „za kilka godzin”.

Arnoldssen mógł jedynie zapakować pierwszych piętnaście ambulansów, prosząc, aby najpierw uwolnić chore. Gdy tylko pojazdy zaczęły wjeżdżać do obozu, wybuchł chaos, a kobiety dosłownie szturmowały auta. „Były szare, chude i zmęczone – zauważył – ale przynajmniej mogły chodzić”.

Tym razem pogłoski, że w pierwszej kolejności odjadą chore, wzbudziły niepokój w bloku 10., gdyż zwykle oznaczało to transport do gazu. Rano w dzień przyjazdu autobusów Erika Buchmann, blokowa, dostała listę 24 nazwisk (same ciężko chore) i rozkaz wyprowadzenia ich na zewnątrz. Zamiast tego Erika ukryła część z nich w bloku lub skłamała, że umarli, przez co lista skróciła się do siedemnastu.

Te siedemnaście poszło do kancelarii, gdzie kazano im czekać, co było niezwykle, więc Erika ośmieliła się mieć nadzieję, że mimo wszystko zostaną uratowane, szczególnie że widziała, jak zabierają do ambulansów chore ze zwykłych bloków rewiru. Jednak kiedy odjechał ostatni ambulans, siedemnastka z bloku 10. została. Niedługo potem, wspominała Erika, wróciły do bloku.

Przyszły zmarznięte i mokre od deszczu – ale przynajmniej wróciły. Teraz cały blok miał już nadzieję, że może to znak, iż naprawdę wrócą do domu w następnej kolejności, a same kobiety były o tym przekonane. Tej nocy nasze chore popadały na zmianę w stan największej nadziei i największej obawy, a my razem z nimi. Wszystkie rozumiałyśmy teraz, że cały obóz musi zostać ewakuowany przed nadejściem Armii Czerwonej. Niektóre Niemki już odeszły pieszo. Szwedzki Czerwony Krzyż zabrał część chorych. Czy zabierze też nasze?

O świcie następnego dnia, 23 kwietnia, kolejne więźniarki przygotowywały się do szwedzkiego transportu, a te same siedemnaście kobiet ponownie stało i czekało pod kancelarią. Po tym jak poprzedniego wieczora przemarzły, większość z nich stała teraz u progu śmierci, powiedziała Erika, ale nie wszystkie. Edith Glodschey, Niemka z Królewca, była jedną z najsilniejszych – „Po każdym ataku kaszlu z pluciem krwią stała dalej wyprostowana”. Niemiecka Cyganka Pfaus miała odnę opłucnej, ale poza tym wszystko było z nią w porządku. Marta Meseberg, Niemka, była w dobrym stanie, „a była z nami dopiero od dwóch dni”. Silvie Cernetic, jugosłowiańska partyzantka, również „całkiem nieźle się trzymała”.

Kiedy grupa po raz drugi wychodziła z bloku, towarzyszyła im pielęgniarzka Nadja Bunjac, co kobiety ponownie odebrały jako znak nadziei. Kiedy

wychodziły, świtało, ale po trzech godzinach Nadja wróciła sama. Szlochała z rozpaczy.

Powiedziała nam, że przez cały ten czas musiała czekać z pacjentkami na strasznym zimnie przed kancelarią. Chore leżały w swoich cienkich sukienkach na ziemi. Padało. Były w niewyobrażalnie złym stanie. Kiedy wreszcie przyjechała ciężarówka, esesmani nawet nie ukrywali faktu, że zamierzają je wszystkie zabić. Nadja musiała sama odnieść każdą chorą do ciężarówki. Strażnicy kazali jej wlec je po ziemi, żeby było jej łatwiej. A kiedy nie wytrzymała i krzyknęła: „To są istoty ludzkie, do tego chore!”, oni tylko się śmiali.

Teraz Erika czuła się głupio, że choć przez chwilę myślała, że ktoś z bloku 10. albo innych bloków dla chorych może zostać uratowany. W tym dniu Marie-Claude Vaillant-Couturier sporządziła kolejny wpis w dzienniku: „Tego dnia w rewirze wyselekcjonowali Francuzki do transportu Czerwonego Krzyża, a kobiety z gruźlicą miały iść do zagazowania. Szesnaście zabrano z bloku 10.”. To, że Marie-Claude doliczyła się szesnastu, a nie siedemnastu, jak podała Erika, oznaczało, że jedna musiała umrzeć przed przyjazdem ciężarówki.

Zgodnie z oczekiwaniami po piętnastu ambulansach szybko nadjechał drugi, większy konwój. Odprowadziwszy bezpiecznie ambulanse do Lubeki – wówczas szwedzkiej bazy – Hans Arnoldssen złapał Bernadotte’a telefonicznie, poprosił pilnie o więcej pojazdów i ostrzegł, że czas ucieka. Pośpiesznie zgromadzono kolumnę ciężarówek i autobusów, która ruszyła o świcie. Sytuacja stała się tym bardziej nagląca, że dotarły wieści o rozpoczęciu ewakuacji Sachsenhausen na północnych peryferiach Berlina. Himmler nie dotrzymał obietnicy o wstrzymaniu ewakuacji<sup>720</sup>.

Podobnie jak w styczniu, kiedy z Auschwitz wyruszyły marsze śmierci, Rudolf Höss doglądał „kolumn żywych trupów”, które ruszyły od bram Sachsenhausen w kolejnej „szaleńczej ewakuacji”, jak to ujął w swoich wspomnieniach. 40 tysięcy mężczyzn musiało iść 160 kilometrów na zachód, gdzie czekały ich tylko głód i śmierć. „Na szczęście było już cieplej i sucho, tak że kolumny mogły nocować na dworze” – zauważył. Jednak tym więźniom stale groziło niebezpieczeństwo „ze strony lotnictwa, które kontrolowało wszystkie drogi”<sup>721</sup>. Wśród uczestników marszu śmierci z Sachsenhausen znajdowało się co najmniej 2–3 tysiące kobiet, zesłanych tam w ostatnich tygodniach, wiele z Ravensbrück.

Aby zapobiec podobnym marszom śmierci z Ravensbrück, przedstawiciel

MKCK dostał polecenie, by dotrzeć do obozu i oficjalnie zażądać natychmiastowego przekazania Ravensbrück pod kontrolę Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Nie mógł się jednak dostać w pobliże obozu<sup>722</sup>. Na północ od Berlina jego samochód zablokowała masa uchodźców, ciężarówek, rowerów, zwierząt i dział polowych uciekających przed Rosjanami. Musiał zawrócić i szukać innej drogi, ale wiedział, że prawdopodobnie będzie za późno.

W obozie kobiety czekały na więcej szwedzkich białych autobusów. Holenderka Jean Bommezijn de Rochement mieszkała od tygodni w małej kryjówce na strychu, aby uniknąć selekcji do komory gazowej. Teraz poczuła się na tyle pewnie, żeby wyjść. W dzienniku zapisała:

Przyjeżdża Czerwony Krzyż, żeby nas zabrać. Kilka pozostałych Holenderek i Francuzek jest nieprzytomnych z podniecenia. Ale daleka jestem od wiary w plotki. Bardziej byłabym skłonna wierzyć w inną plotkę, a konkretnie tę, że nas rozstrzelają i że obóz jest otoczony przez postępujących aliantów, więc dostawy żywności zostaną odcięte. Jeśli to prawda, nic nie uda się zrobić<sup>723</sup>.

W całym obozie personel esesmański miał więcej pracy niż kiedykolwiek, czyszcząc, sprzątając, skrobiąc, malując i paląc, żeby wszystko było gotowe na nadejście Armii Czerwonej. Przed przybyciem Rosjan wszystko musiało wyglądać normalnie. Ciała usunięto z umywalni, z kostnicy i stosów wokół obozu, żeby spalić je w dołach, gdyż krematorium nie nadążało. W bloku 10., skąd wybierano chore do gazowania, strażnicy wymieniali wybite szyby, przez które przez całą zimę wpadały wiatr, deszcz i śnieg, pomagając w zabijaniu chorych.

W bunkrze zdemontowano i spalono koziół do wymierzania chłosty. Więźniarki przetrzymywane w celach dla uprzywilejowanych jako zakładniczki zostały uznane za niepotrzebny balast i rozstrzelane. Odette Sansom (*alias* Churchill) wciąż zajmowała uprzywilejowaną celę i obserwowała wyprowadzanie pozostałych; wiedziała, że wkrótce nadejdzie jej kolej. Wydawało się, że z pewnością żadna Brytyjka nie będzie uratowana przez Szwedów – żadne brytyjskie nazwisko nie pojawiło się na listach – więc Mary Lindell próbowała dowiedzieć się dlaczego. Spisała własną listę Brytyjek i poszła do biura Suhrena, by zapytać go, dlaczego one nie mogą zostać włączone do transportów ewakuacyjnych.

Suhren zwrócił się do Binz i powiedział ze znużeniem: „*Die Engländerin!* Mimo pobytu tutaj jest tak arogancka jak zaraz po przyjeździe”.

– Na jakiej podstawie nas pan tu przetrzymuje? – spytała Mary.

– Zdaje sobie pani sprawę, że wciąż mogę kazać panią rozstrzelać? – zadał pytanie Suhren, ale zanim Mary wyszła z gabinetu, zmienił ton i poprosił, żeby dała mu listę Brytyjek. Powiedział, że następnego dnia rano wszystkie kobiety mają się zebrać pod biurkiem Pflauma, a on zadba, żeby dostały dokumenty zwolnienia. Mary zrelacjonowała rozmowę z Yvonne Baseden. Yvonne wciąż przebywała w rewirze, chora na gruźlicę i zbyt słaba, by rozważyć, co może oznaczać oferta Suhrena. „W tym czasie przywykałam do myśli, że prawdopodobnie umrę”, wspominała<sup>724</sup>.

Kilka godzin po rozmowie z Suhrenem szefowa policji obozowej Elisabeth Thury przysłała do rewiru i ostrzegła Mary, iż komendant ma zamiar zabić Brytyjki. Jeśli przyprowadzi je jutro do biura Pflauma, jak zasugerował Suhren, zostaną rozstrzelane. Źródłem ostrzeżenia była Micky Poirier, Alzatka zatrudniona w biurze Pflauma. Zamiast tego, poradziła Thury, Mary powinna znów stanąć przed Suhrenem. Nie ma nic do stracenia, a Suhren, jak wszyscy teraz, był zainteresowany ratowaniem swojej skóry.

Mary więc ponownie weszła do gabinetu komendanta. *Ah so, die Engländerin!*, powiedział na jej widok. Mary odpaliła: „No i co? W Anglii słowo jest święte. Widać w Niemczech macie inne zasady”. Oficer, widząc, że poznała jego plan, przeprosił. „Bardzo mi przykro, ale z Berlina nadeszły rozkazy, że ostatecznie nie zostaniecie zwolnione”.

„Rozumiem – stwierdziła Mary. – A co zamierzacie z nami zrobić?” Suhren odparł, że Angielki zostaną w obozie, chociaż nie wspomniał o rozstrzeliwaniu ich, zasugerował natomiast, że staną się zakładniczkami, jak Odette. Podszedł do wielkiej szafy, otworzył ją i pokazał Mary stosy puszek z jedzeniem, najwyraźniej wykradzionych z paczek Kanadyjskiego Czerwonego Krzyża. „Na dowód mojej dobrej woli pozwalam pani zabrać to jedzenie dla Brytyjek i Amerykanek”.

„Jak mam zabrać tyle puszek?”, spytała Mary. Suhren dał znak Binz, która wyszła i wróciła z kilkoma policjantkami niosącymi wielkie kosze na pranie; miały one też odstraszać głodujące kobiety, które włóczyły się po obozie „jak dzikie zwierzęta”. Zanim wyszły z jedzeniem, Mary odłożyła kilka puszek na biurko komendanta, mówiąc: „Wkrótce pan też może potrzebować jedzenia dla



siebie”. Wziął jej rękę i ucałował. „To nie dla pana. To dla Anglii”.

Kiedy 23 kwietnia przybył następny konwój Czerwonego Krzyża, *Oberschwester* Elisabeth Marschall miała emblemat z czerwonym krzyżem na fartuchu. Więźniarki dostrzegły tyle ciężarówek i autobusów, że tym razem z pewnością będą one mogły zabrać setki – a niektóre mówiły, że tysiące kobiet. Holenderka Jean Bommezijn de Rochement musiała ustawić się z resztą swojego bloku w przejściu przed rewirem. Blokowa szepnęła im, że wyjeżdżają – opuszczają obóz – i prawdopodobnie zostaną zwolnione. Jean zanotowała w dzienniku:

Brzmi to za dobrze, żeby było prawdą, i nie wierzymy w to, wiemy lepiej. Kiedy czekałyśmy chwilę, pojawił się esesman Hans Pflaum i dozorczyńni. Usiedli za stołem i wyczytywali nasze numery z listy, która leżała przed nimi. Kiedy osoba z wywołanym numerem występowała naprzód, strażniczka zdierała numer i trójkąt z jej rękawa. Po raz pierwszy od przyjazdu stałyśmy, chociaż wciąż w obozowych łachmanach, jako jednostki, a nie jako numery<sup>725</sup>.

Z pejczem w dłoni Pflaum popędził kobiety naprzód. „Nędzna procesja stworzeń, które ledwo wyglądały na ludzi – zapisała Jean. – Ale dokąd idziemy?” Przerazone szły nie do bramy, ale w las. Po kwadransie kobiety zdały sobie sprawę, że kierują się do obozu męskiego, niemal opustoszałego, a blok, do którego trafiły, był brudny, śmierdzący i zniszczony. Simone Gournay, Francuzka, znajdowała się w tej grupie i dostrzegła „widma mężczyzn”, którzy próbowali rozmawiać z kobietami, ale zostali odpędzeni ciosami przez esesmanów<sup>726</sup>.

Jean Bommezijn de Rochement zauważyła „długi szereg mężczyzn, czy istot, które kiedyś były mężczyznami, bo teraz były tylko żywymi szkieletami, makabrycznym zbiorem. Powitali nas spojrzeniami. Przez moment coś na kształt radości rozjaśniło ich rysy, radość na widok towarzyszek w męczeństwie, sióstr w smutku”.

Tego samego popołudnia grupa więźniarek została z powrotem odprowadzona do obozu kobiecego. Jean nie było wśród nich, ale Francuzka Simone Gournay tak. „O czwartej rano pomaszerowałyśmy piątkami do wyjścia, bite i kopane podczas marszu”, wspominała Simone.

Esesmani wydawali się być w hysterii. Krzyczeli i kopali nas. Tuż przed bramą [obozu męskiego]



wyrwali nam wszystko, co jeszcze niosłyśmy – małe torebki, które same zrobiłyśmy, z pamiątkami po zmarłych przyjaciółkach. Minęłyśmy stos trupów. Stanowiłyśmy żaloszny widok. Nie myślałyśmy o wyzwoleniu. W ogóle o niczym nie myślałyśmy. Byłyśmy w transie.

Wróciły do obozu kobiecego i czekały w szeregach zaraz za bramą.

Teraz zauważyły wysokich blondynów w szarych i zielonych ubraniach. Kobiety wymaszerowywały, a oni próbowali pomagać, „ale my nie rozumiwałyśmy i odpychałyśmy ich”. Dopiero po chwili Simone zrozumiała, kim są ci mężczyźni, i że niebiesko-żółty emblemat na ich rękawach to barwy Szwecji. Osłupiała, weszła do jednego z autobusów. „Odjechaliśmy. W świetle dnia widziałyśmy wiejski krajobraz. Widziałyśmy linie wozów i ludzi niosących pudła i torby. To był niemiecki exodus. Raz musieliśmy się zatrzymać z powodu bombardowania, ale nikt nie został ranny. Potem dotarliśmy do Lubeki i zatrzymaliśmy się na piknik na trawie. Pierwszy raz poczułam wolność”.

Szwedzcy kierowcy także zapamiętali piknik. Jeden z nich wspominał: „Kiedy się zatrzymaliśmy, kobiety rozeszły się w poszukiwaniu ziół, które zebrały i zjadły. Szczególnie poszukiwane były liście mleczu, które właśnie zaczęły kiełkować w wiosennej pogodzie. Używając gałęzi, wykopywały rośliny z korzeniami, otrzepywały ziemię i jadły je”. Kierowcy zapamiętali też, że podczas „pikniku” kobiety opowiadały im o obozie i po raz pierwszy ratownicy usłyszeli o komorze gazowej i dowiedzieli się, że gazowanie wciąż trwało, co wzmocniło tylko determinację Szwedów, żeby wrócić do obozu najszybciej, jak się da.

W tym samym czasie do kwatery głównej w Lubece dotarła wiadomość, że Franz Göring rozpoczął z Reichsbahn negocjacje w sprawie pozyskania pociągu.

Kiedy pod bramami obozu pojawiły się kolejne białe autobusy, wybuchło zamieszanie, kto ma wyjechać tym razem. Jeden duży konwój z kilkunastoma kanadyjskimi i szwedzkimi kierowcami, pod przywództwem Dunki Gösty Hallqvist, przyjechał 24 kwietnia i odjechał wcześniej rano następnego dnia. Wśród ewakuowanych znalazła się Jean Bommezijn de Rochement.

Jean i jej przyjaciółka Toto nie spały poprzedniej nocy i zabijały czas, stojąc przed śmierdzącym barakiem i rozmawiając. „Denerwowałyśmy się bardzo, nawet jeśli udawałyśmy, że wcale nie – napisała. – Jak dwoje dzieci

bawiłyśmy się w udawanie, jak to będzie, gdy wrócimy do domu, kto nas powita, dokąd pójdziemy. Wróciłyśmy do baraku, który był okropny, z przytłaczającym smrodem”.

W porze obiadu kobiety wciąż znajdowały się w obozie, wydano im parę misek wodnistej zupy z brukwi i trochę chleba. „I czekałyśmy, zastanawiając się, co z nami będzie”. Około siedemnastej usłyszały gwizdek i kazano im ruszać.

Opuszczamy obóz i udajemy się w kierunku komory gazowej, a dla wielu z nas to za wiele. Kilka dopada atak nerwowy i musimy je uspokajać i ciągnąć z nami w kolumnie. To tylko parę minut, ale napięcie trwa godzinami, wreszcie bezpiecznie mijamy piec. Idziemy, nie śmiąc myśleć o wolności [...] bo jeśli nie przyjdzie po tym, jak na nią liczyłyśmy, to jesteśmy zgubione. Poruszamy się i widzimy tyły obozu – tu są magazyny, tam Siemens. Nasze towarzyski pojawiają się w oknach, za drutami, spoglądając na nas. Z ich twarzy czytam, że zastanawiają się, co się z nami stanie i dokąd nas zabierają. Wiedzą, że „transport” zwykle oznacza śmierć.

Grupa znajduje się na głównej drodze przed obozem, pośród kwater esesmanów. Z okien przypatrują im się twarze „i nagle wybucha pandemonium; krzyczymy, płaczemy i wiwatujemy, gdy na zakręcie drogi pojawia się biała ciężarówka z chorągiewką Czerwonego Krzyża. A ludzie w środku uśmiechają się do nas i machają”.

Wreszcie widzimy mężczyzn, którzy nas nie biją, nie krzyczą ani nas nie przeklinają. Ci ludzie są głęboko poruszeni naszym widokiem, a gdy się do nas odzywają, mają łzy w oczach. Musiałyśmy wyglądać okropnie mizernie, skoro ci mężczyźni, z pewnością przyzwyczajeni do widoku strasznych rzeczy, płakali przy spotkaniu z nami. Na drodze pojawia się coraz więcej samochodów, wszystkie ze znakiem Czerwonego Krzyża. Urzędnicy pytają nas, czy będzie nam przeszkadzać długa podróż, czy będziemy się denerwować albo bać. Nie wiedzą, że od lat co dnia patrzyłyśmy śmierci w twarz.

Nagle, gdy zaczynamy wsiadać do autobusów, wybucha zamieszanie, ponieważ kobiety walczą o miejsce, bo żadna nie chce zostać. Ale tylko kilka musiało zostać, a ludzie z Czerwonego Krzyża obiecują, że wrócą. Odjeżdżamy, obserwowani przez esesmanów i dozorczyńnię, z których kpimy w żywe oczy. Teraz możemy się z nich śmiać.

Gdy autobusy odjeżdżają, odwrócone kobiety z przerażeniem dostrzegają, jak to ujęła Jean, „wysokie ziemne umocnienia obsadzone karabinami i działami wycelowanymi w obóz”. Tak jak inne, które wyjechały wcześniej, pojmują, że SS naprawdę planowało zniszczenie obozu i wszystkich w nim.

Konwój Jean jedzie nocą. Kierowcy mówią kobietom, że możliwe są ataki

alianckich myśliwców: wiele niemieckich pojazdów wojskowych korzysta z dróg i wiele zostało trafionych. Po zapadnięciu zmroku pojazdy ewakuacyjne poruszały się bez świateł, ale szczęśliwie była pełnia. Dla bezpieczeństwa rozdzielili się: jedna grupa skierowała się na północ drogą na Wismar, druga zaś na południe przez Schwerin.

Jean znalazła się na drodze do Schwerin, a gdy konwój zbliżył się do linii frontu, rozeszła się wieść, że lada chwila mogą zostać zaatakowani. Autobusy zjechały do lasu, a kobiety obserwowały przejeżdżające szosą czołgi i działa. „Niebo było jasne jak za dnia i słyszałyśmy wybuchy bomb i huk dział, ale nic nam się nie stało, bo żyjemy i zbliżamy się do wolności”, napisała Jean. Gdy czekali w mroku, kobiety rozmawiały ze swymi duńskimi opiekunami, którzy powiedzieli im, że przyjazd autobusów Czerwonego Krzyża po nie wcale nie był taki pewny.

O świcie konwój znów wyruszył. Wszystko było w porządku. Myśliwce odleciały, a kilka godzin później musieli się ponownie zatrzymać, a tym razem kierowcy kazali kobietom szybko wysiąść i schować się w przydrożnych krzakach.

Nadlatują samoloty i zostaniemy zaatakowani. Jesteśmy zbyt powolne, żeby się schować, ponieważ tak naprawdę w to nie wierzymy. Przynaglają nas, mówiąc, że grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo, ale my jesteśmy sceptyczne, ponieważ zauważyliśmy, że zwykle bombardowane są fabryki, a nie obozy koncentracyjne. Czemu więc mamy się bać ataku na kolumnę Czerwonego Krzyża? Nikt nam nie powiedział, że Niemcy używają czerwonych krzyży dla ukrycia własnych transportów.

Pełznąć i pomagając sobie nawzajem, kobiety dotarły do krzaków. Jean leżała tam z dwiema towarzyszkami, a nieco dalej dostrzegła dwie kolejne ukryte, pod sąsiednim krzakiem. Pojawiły się samoloty i nurkowały coraz niżej i niżej,

aż nagle ostrzelały nas karabiny maszynowe. Przez ryk samolotów słyszałyśmy gwizd spadających na nas pocisków. Strzały padały tak blisko nas, że jeden musnął moje włosy. Przez chwilę smakowałam gorzką ironię śmierci z ręki własnych sojuszników na drodze do wolności, ale odlecieli i żyją. Rozglądając się, dostrzegłam straszną scenę. Za mną kobieta wykrwawia się na śmierć. Jasnoczerwona krew wypływa z niej strumieniami. Usta ma sinobiałe, a oczy wywrócone.

Inna kobieta ma małą dziurkę w sukience na piersi w miejscu, gdzie została trafiona. Są inne ofiary. Krew i kawałki ciał są wszędzie, ale jesteśmy ciche i spokojne. Żadnych krzyków czy płaczu. Musimy ruszać, i to szybko, bo kierowcy mówią, że samoloty wrócą i zaatakują nas

ponownie. I tak się dzieje, następuje kolejny atak, ale tym razem nie taki poważny. Kiedy jest po wszystkim, zbieramy ciała i ranne do jednej ciężarówki<sup>727</sup>.

Dalej konwój napotkał obóz francuskich jeńców wojennych, w którym białe autobusy mogły się bezpiecznie zatrzymać. Szoferzy i esesmani byli zszokowani, posłano po nowe pojazdy i kierowców. Kobiety czekały, rozmawiając z jeńcami, zaskoczonymi ich wyglądem; pytali, skąd jadą i dokąd się udają. Odpowiedziały, że do Szwecji ze Szwedzkim Czerwonym Krzyżem, a Francuzi się roześmiali. „Nigdy się wam nie uda. Jesteście otoczone ze wszystkich stron i skończycie ostrzelane przez swoich”.

Wiele godzin później dotarły nowe autobusy. Wczesnym rankiem konwój Jean przekroczył granicę duńską i kobiety ujrzały obóz Czerwonego Krzyża. „Ludzie uśmiechają się i machają do nas. Jesteśmy nieopisanie szczęśliwe. Karmią nas owsianką i gorącym mlekiem”. Duńska flaga jednak opuszczona jest do połowy masztu. Druga kolumna, która jechała drogą na Wismar, też została zaatakowana i zginęło co najmniej dziesięć kobiet.

Nikt nie wiedział, ile osób zginęło na szosie do Schwerin. Niektóre raporty mówią o dziewięciu, inne o siedemnastu. Jean Bommezijn de Rochement opowiadała, że mogło być dużo więcej. Kierowniczka duńskiego konwoju Gösta Hallqvist odniosła poważną ranę; zginął też kierowca, Kanadyjczyk Eric Ringman. Został pochowany w obozie Czerwonego Krzyża w Danii, a norweski pastor odmówił modlitwę na jego grobie. Potem kobiety, kierowcy i ich pomocnicy skierowali się do Szwecji. Po kolejnym szwedzkim proteście sir Victor Mallet, brytyjski ambasador w Sztokholmie, zatelegrafował do Londynu z meldunkiem o liczbie ofiar śmiertelnych w trzech atakach na konwoje Czerwonego Krzyża z Ravensbrück przypuszczonych tego dnia „przez nisko lecące brytyjskie samoloty”. „Nikt nie zna narodowości, ale możliwe, że wśród nich były Brytyjki i Amerykanki”<sup>728</sup>.

Więści o masakrze na szosie schwerińskiej dotarły do obozu, ale niewiele znaczyły dla tych, które wciąż miały nadzieję na wyjazd następnym szwedzkim konwojem: wolały ryzyko śmierci w ataku lotniczym niż perspektywę marszu śmierci.

Wokół obozu dawało się dostrzec sygnały grożącej ewakuacji. Suhren powiesił na ścianie gabinetu mapę, oznaczając trasę. Spalono ostatnie

dokumenty z biur, a w bunkrze wszystkie świeżo opróżnione cele wyszorowano, wyposażono w krzesła i lustra. W celach karnych trwało właśnie najważniejsze czyszczenie.

Od początku kwietnia, gdy ich praca się skończyła, członkowie *Sonderkommando* – jedenastu ludzi z komanda komory gazowej i krematorium – stopniowo trafiali do bunkra, gdzie pozostawali zamknięci, póki trwały ostatnie gazowania. Dokładna data zakończenia gazowania w Ravensbrück nie jest znana, ale Adolf Winkelmann zeznał przed hamburskim sądem, że wybierał kobiety do gazu do 24 lub 25 kwietnia.

Daty podane przez Winkelmanna zgadzają się z relacjami kilkunastu więźniarek, a także z tym, co Mina Lepadies, badaczka Pisma Świętego, opowiadała o wymordowaniu członków *Sonderkommando* podczas procesu hamburskiego w 1946 roku. Zabito ich, zeznała, 25 kwietnia. Opisała też okoliczności.

Mina pracowała w bunkrze pod kierunkiem Margarete Mewes, naczelnej dozorczyńi bunkra, której pomagała sprzątać i podawać kawę i posiłki. Wiedziała, że coś jest nie w porządku, gdy mężczyzn zamykano po dwóch w celach. Potem zniknął dzbanek na kawę. „Szukałam go wszędzie, a gdy nie znalazłam, zdobyłam drugi. Mewes przyszła z zaginionym dzbankiem i kazała dać im kawę”.

Początkowo Mina nic nie podejrzewała, ale część mężczyzn kawy nie wypila, zrobiła się więc podejrzliwa i przestała wydawać napój. Zajęła się tym Mewes, a ci, którzy wypili, zmarli. O dziesiątej rano ich ciała usunięto. W południe przyszedł esesman z zupą i kazał Minie podać ją tym, którzy jeszcze żyli. Odmówiła, więc sam się tym zajął. Dwóch mężczyzn, z celi 47., odmówiło zupy, ale dwóch z innej celi zjadło ją i do wieczora obaj zmarli. Tego wieczoru Minie polecono zanieść zupę do celi 47.

Spojrzałam więc na dwóch mężczyzn w celi 47. i spytałam, czy chcą jeść. Obaj powiedzieli: „Tak, jeśli to ty podasz”. Byli bardzo nerwowi i mówili, że i tak zostaną straceni. Następnego ranka ich cela była pusta. Wszystko stamtąd zabrano. Na stole leżał młotek, a na podłodze widać było plamę krwi, którą ktoś próbował zasypać ziemią, ale ławkę też pokrywały plamy, podobnie jak ściany<sup>729</sup>.

Minie rozkazano wysprzątać cele.

Również 25 kwietnia największy do tej pory konwój, złożony z 20

szwedzkich białych autobusów, wreszcie dotarł do Ravensbrück po więźniarki. Szwedzki szef misji, Åke Svensson, przewidywał, że będzie to ostatni kurs, ponieważ drogi były niemal nieprzejezdne. Autobusy znowu zostały ostrzelane po drodze. Tego dnia w Torgau, 320 kilometrów na południe, połączyły się siły radzieckie i amerykańskie, przecinając Niemcy na dwoje.

Dla więźniarek dzień zaczął się od apelu dla wszystkich obecnych Francuzek i Belgijek, sprowadzono również grupami Polki, w pierwszej kolejności matki z dziećmi. „Nagle kazali nam zabrać ubrane dzieci na obozowy plac”, relacjonowała Stefania Wodzyńska, która przyniosła swoją dwumiesięczną córeczkę, Wandę<sup>730</sup>. Kobietom powiedziano, że jadą do Szwecji, a pod bramą zobaczyły czekające już autobusy Szwedzkiego Czerwonego Krzyża.

Była tu również Stasia Tkaczyk, niosąca zaledwie dwunastodniowego Waldemara. Stasia, osiemnastolatka, podobnie jak wiele innych matek przyjechała do obozu we wrześniu ubiegłego roku po powstaniu warszawskim. Wówczas wiedziała już, że jest w drugim miesiącu ciąży, i postanowiła uratować siebie i dziecko, ukrywając swój stan. Wysłano ją do podobozu w Königsbergu, gdzie pracowała na zamrożonym pasie startowym. W lutym, w szóstym miesiącu ciąży, czego jeszcze nikt nie odkrył, szła w marszu śmierci z powrotem do Ravensbrück. Została wybrana do pracy w zakładach zbrojeniowych koło Berlina, przez dwanaście godzin dziennie. Jadły tam zupę z kapusty i spały w piwnicy, kiedy spadały bomby. W marcu zemdlą w pracy i odesłano ją z powrotem do Ravensbrück, gdzie zajęły się nią czeskie pielęgniarki w rewirze. 13 kwietnia urodził się Waldemar. Był bardzo chory i teraz Stasia trzymała go w ramionach, owiniętego w gałganki, czekając na autobusy.

Svensson, szef transportu, wspominał, że kiedy dzień mijał na kolejnych selekcjach do autobusów, robił się coraz większy bałagan, negocjacje wymykały się spod kontroli, więc w końcu „zabieraliśmy każdą bez pytania”<sup>731</sup>. Największy spór odbył się o „króliki”. Suhren nie posłuchał rozkazów i nie rozstrzelał ich, ale kiedy Szwedzi chcieli je zabrać, odmówił. Do autobusu udało się przesznuć trzy z nich, w tym lubelską prawniczkę, Zofię Sokulską.

Konwojem z 25 kwietnia odjechała też pierwsza duża grupa Żydówek z Ravensbrück. Cztery dni wcześniej, podczas rozmowy z Norbertem

Masurem, Himmler złożył spektakularną propozycję uwolnienia tysiąca Żydówek z Ravensbrück, po czym kilka godzin później przy śniadaniu z Bernadotte'em jeszcze rozszerzył ofertę i powiedział, że „wszystkie kobiety z Ravensbrück” mogą wyjść z obozu, co oznaczało Żydówki i nie-Żydówki.

Pierwsze polskie Żydówki dowiedziały się o tym dzień wcześniej, kiedy według robotnicy Siemensy Basi Zajączkowskiej padł rozkaz, że mają wystąpić wszystkie polskie Żydówki z obozu. „Umieścili nas w bloku karnym. Nie miałyśmy nic do jedzenia ani dostępu do toalet. Pobili nas strasznie podczas zbiórki. Podejrzewałyśmy, że wyślą nas do krematorium, pomimo pogłosek o wyzwoleniu”<sup>732</sup>. Erna Solewicz, inna polska Żydówka, wspominała, że nagle cały blok dostał rozkaz, „aby wszystkie Żydówki opuściły obóz”. Blokowa zabrała je *nach Vorne*, gdzie dostały po kawałku chleba i paczkę z Czerwonego Krzyża<sup>733</sup>.

Następnego dnia pierwsze grupy Żydówek poprowadzono do bramy. Strażnicy „zdzierali z nas oznaczenia i numery”, opowiadała Basia. Nie da się stwierdzić, ile dokładnie Żydówek odjechało transportami ewakuacyjnymi Bernadotte'a, ale musiało ich być o wiele więcej niż tysiąc zaproponowany przez Himmlera. Suhren powiedział Göringowi, że w obozie było „około trzech tysięcy Żydówek”, co oznaczało, że tak naprawdę było ich znacznie więcej. Świadczenia innych więźniarek sugerują, że połowę kobiet zabranych przez autobusy stanowiły Żydówki, a o wiele więcej poszło w ich ślady trzy dni później, kiedy Franz Göring oświadczył, że udało mu się – cudem – zarekwirować pociąg.

Tymczasem podczas przepychanek przy autobusach Polki nie-Żydówki skarżyły się, że Żydówki zajmują przydzielone im miejsca. „Żydówki szturmowały autobusy, co powodowało, że my nie mogłyśmy się dostać do środka”, narzekała jedna. Ze swojej strony Żydówki skarżyły się, że były „wypychane” z autobusów i musiały walczyć o miejsce. Frieda Zetler, polska pielęgniarka, która przeszła przez łódzkie getto i Auschwitz, miała wyruszyć z obozu jednym z pierwszych autobusów, ale dowiedziała się później, że pojazd, którym miała jechać, został zbombardowany. Odjechała więc dopiero 25 kwietnia.

Same Żydówki często nie wiedziały, czy inne więźniarki były Żydówkami, czy też nie. Aby ukryć uwalnianie Żydówek przed Hitlerem, Himmler rozkazał, żeby wszystkie udawały Polki. I, jak twierdziła Basia Zajączkowska, musiały

„zerwać trójkąty i numery” przed opuszczeniem obozu, więc kiedy kobiety wsiadały do autobusów, nie miały już trójkątów klasyfikujących do grupy żydowskiej czy innej.

Nikt też nie próbował ich policzyć po przyjeździe do Szwecji: żadna też nie chciała się przyznawać do żydowskiego pochodzenia po tym, co przeszły. Jak zwykle w obozie przebywało wiele, wiele kobiet, które z tych samych powodów nigdy nie przyznały się do pochodzenia. Na przykład Maria Rundo, młoda Polka, która przeżyła marsz śmierci z Auschwitz, wsiadła do białego autobusu razem z Margaretą van der Kuit, pół Holenderką, pół Żydówką, która ukrywała żydowskie pochodzenie od chwili aresztowania w 1943 roku.

Kiedy Basia ze swoją żydowską grupą wreszcie została wyprowadzona z obozu, każda z nich dostała paczkę Czerwonego Krzyża. „Na zewnątrz czekały białe autobusy Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Byłyśmy wolne. Nie mogłyśmy w to uwierzyć i upewnialiśmy się u kierowców, bo jeszcze w ostatnich minutach strażnicy wrzeszczeli na nas i wywoływali nasze nazwiska”.

Kiedy odjeżdżał ostatni z dwudziestu autobusów, nadal nie wywołano nazwisk dwudziestu Brytyjek, co nasiliło ich obawy, że grozi im zatrzymanie w charakterze zakładniczek. Potem, dosłownie w ostatniej chwili, Fritz Suhren znowu zmienił zdanie. Nagle wezwał Brytyjki, co rozbudziło ich nadzieje, że może zostaną uwolnione.

Relacje różnie przedstawiają następne wydarzenia, ale nie ma wątpliwości, że to francuska więźniarka Maisie Renault pierwsza zwróciła uwagę Szwedów na sprawę Brytyjek i Amerykanek. Maisie odjechała konwojem dzień wcześniej, ale przed wyjazdem obiecała przyjaciółce, Francuzce amerykańskiego pochodzenia Lucienne Dixon, która została w obozie, że przekaze jej nazwisko i nazwiska pozostałych Amerykanek i Brytyjek, żeby mogły zostać zabrane następnym kursem.

Dopiero kiedy Maisie przekazała listę, Szwedzi dowiedzieli się o obecności Brytyjek i Amerykanek w Ravensbrück<sup>734</sup>. Maisie zapamiętała tylko osiem z dwudziestu nazwisk. Kiedy Szwedzi wrócili następnego dnia i poprosili o te osiem kobiet, Suhren w pierwszej chwili zaprzeczył, że takie istnieją. Oficer łącznikowy Gestapo o nazwisku Danziger zaczął naciskać na Suhrena, żeby przyznał się i wydał kobiety. Jednak to nie Danziger przekonał Suhrena do



zmiany decyzji, lecz Percival Treite.

W ostatnich tygodniach wojny kilka więźniarek zauważyło, że Treite przypochlebiał się brytyjskim więźniarkom, prawdopodobnie w nadziei, że złożą zeznania na jego korzyść, gdy przyjdzie na to czas.

Jego hipokryzja zniesmaczyła większość Brytyjek. Nie zapobiegł wysłaniu Mary O'Shaughnessy do Jugendlagru, nie zapobiegł zagazowaniu Cicely Lefort i Mary Young. Ale podczas gdy większość traktowała Treitego z odrazą, Mary Lindell – jego „królowa Mary” – nie znalazła się wśród nich. Służalczość Mary wobec Treitego oraz sprośne plotki o tym, jakie wyświadczała mu przysługi, spowodowały jej izolację w grupie rodaczek w ostatnich dniach wojny. Z drugiej strony, jak podkreślała później Mary, czerpała z tego korzyści nie tylko dla siebie, szczególnie w przypadku Yvonne Baseden. Bez protekcji Treitego, wyproszonej przez Mary, bez wątpienia umierająca na gruźlicę Yvonne zostałaby zagazowana.

Kiedy przed Suhrenem stanęła kwestia uwolnienia Brytyjek, a Treite usłyszał wywołaną przez to awanturę, postanowił wykorzystać swoją szansę i zainterweniować, a przy tym wyświadczyć największą przysługę Mary i Brytyjkom. Wszedł do gabinetu Suhrena i przekonał komendanta, że wypuszczenie Brytyjek przysłuży mu się lepiej niż zatrzymanie ich jako zakładniczek. Być może, zasugerował, Mary Lindell mogłaby nawet szepnąć słowo za komendantem. Po wysłuchaniu Treitego Suhren posłał po Lindell<sup>735</sup>. Pod rewirem ktoś krzyknął: *Die Engländerin Marie, die Engländerin Marie!* Mary siedziała właśnie przy Yvonne, która kaszlała krwią przy każdym ruchu i ważyła zaledwie 35 kilogramów. Mary usłyszała wołanie i ruszyła do wyjścia. Yvonne próbowała ją zatrzymać, obawiając się najgorszego, ale Mary chciała sprawdzić, po co ją wołają.

Kiedy Lindell przysłała na plac apelowy, czekał tam na nią Suhren, żeby porozmawiać. Komendant pochylił się na rowerze. Zaczął od pytania:

– Ufasz mi?

– Właściwie to nie – odpaliła Mary.

Suhren powiedział Mary, żeby przyprowadziła do jego gabinetu wszystkie Angielki.

– Doktor Treite zasugerował mi, żebym uwolnił wszystkie Angielki i Amerykanki.

Mary przekazała informację grupie Brytyjek i wkrótce zgromadziły się pod

rewirem; pojęły, że zostaną zabrane białymi autobusami.

Według późniejszych relacji części ocalałych Brytyjek tylko dzięki szwedzkiemu kierownikowi, Svenowi Frykmanowi, nie zostały w obozie<sup>736</sup>. Frykman zauważył je i spytał, kim są. Gdy dowiedział się, że to Brytyjki i Amerykanki, zabrał je i wsadził do autobusu.

Mary Lindell przedstawiała nieco inną wersję wydarzeń. Twierdziła, że kiedy szły w stronę autobusów, Suhren ją odwołał. Najwyraźniej znów zmienił zdanie i powiedział Mary, że ma zostać. Widząc, co się dzieje, Yvonne powiedziała, że bez Mary ona nie jedzie.

– Nie bądź głupia, Yvonne – powiedziała Mary. – Jedź, na litość boską, zanim będzie za późno.

W tym momencie, opowiadała Mary, Yvonne poszła w stronę autobusu, zalewając się łzami. Treite zobaczył, że Mary została cofnięta do obozu. Wpadł w złość, osobiście zaprowadził Mary do białego autobusu i kazał jej wsiadać.

Również inaczej wspominała wydarzenia Yvonne. Pamięta, że Mary Lindell powiedziała jej, że ma wstać z rewirowego łóżka i iść do autobusu Czerwonego Krzyża. „Mówiła, że to nasza ostatnia szansa, że musimy spróbować się wydostać”. Yvonne podeszła do obozowej bramy i ustawiała się w kolejce z innymi. Była zbyt chora, żeby dokładnie zorientować się w sytuacji, i nie pamięta, czy obok stały inne Angielki, czy nie.

Pamiętam tylko, że Mary kazała mi iść do autobusu. I tak właśnie zrobiłam. Tak usilnie ciągnęłam do tych ludzi, że szłam, unikając strażników i wszystkich innych. Pamiętam, jak martwiłam się, że w każdej chwili ktoś może mnie zatrzymać. Bardzo się bałam, że nie dotrę do autobusów, ale mi się udało. Odjechaliśmy z dużą prędkością. Kierowcy martwili się, że się nie przedrzemy, ponieważ front był bardzo blisko. Później dowiedziałam się, że to był ostatni autobus<sup>737</sup>.

Dwadzieścia białych autobusów ruszyło w drogę, wioząc 934 kobiety, a kierowcy ponownie postanowili rozdzielić się dla ostrożności. Kilka pojazdów znalazło się w zasięgu radzieckiego ostrzału artyleryjskiego, ale tym razem nikt nie został ranny. Więźniarki dostały paczki Czerwonego Krzyża, a obecne pielęgniarki starały się zająć chorymi. Minęły dwa białe autobusy leżące w rowie, te, które dwa dni wcześniej zostały ostrzelane. W drodze przez Niemcy w jednym autobusie wykryto niemieckiego „szpiega”, w innym

urodziło się dziecko. Dziecko dostało imiona Per Albin na cześć szwedzkiego premiera.

Dla kierowców tego konwoju to był „jeden wielki koszmar”, gdyż musieli przebijać się przez wzbierające tłumy uchodźców. Ale w autobusach Polki zaczęły śpiewać, gdy patrzyły na niedolę Niemców; „wiwatowałyśmy i zawiesiliśmy małe polskie flagi w oknach – opowiadała Maria Rundo. – Kiedy autobusy zwolniły, młodzi Niemcy próbowali zerwać flagi i wygrażali nam pięściami”. Autobusy podjechały blisko niemieckiego pociągu szpitalnego – tak blisko, że można było rozmawiać z rannymi żołnierzami. „Prosilili nas o papierosy i czekoladę, dałyśmy im je z naszych paczek Czerwonego Krzyża. A kiedy przejechaliśmy koło Kilonii i zobaczyliśmy straszliwe zniszczenia, widok nappełnił nas radością”.

Yvonne niewiele zapamiętała z podróży przez Niemcy, ale wspomina, jak dojechali do duńskiej granicy, gdzie powitali ich członkowie duńskiej rodziny królewskiej. I dopiero wtedy, gdy bezpiecznie przekroczyli granicę, odkryła, że Mary mimo wszystko udało się dostać do autobusów.

Tak jak liczył Treite, Mary Lindell zeznawała później na jego korzyść na procesie i wystosowała prośbę o ułaskawienie, kiedy w lutym 1947 roku został skazany na powieszenie. Mary nie była jedyną więźniarką, która wstawiła się za Treitem. Zrobiła to też sama Yvonne Baseden. Jej prośbę złożoną w Hamburgu odczytali sędziowie:

Uważam, że to głównie dzięki doktorowi P. Treitemu udało się bezpiecznie ewakuować brytyjskie i amerykańskie więźniarki ostatnim konwojem Szwedzkiego Czerwonego Krzyża w kwietniu 1945 roku. Wydano rozkazy, że mamy być przetrzymywane jako zakładniczki, i tylko dzięki pomocy doktora P. Treitego oraz lagerführera zostałyśmy ewakuowane tym ostatnim konwojem. Ponadto podczas mojego pobytu w obozie od września 1944 do kwietnia 1945 roku dwukrotnie miałam do czynienia z doktorem P. Treitem jako pacjentką i za każdym razem leczył mnie uczciwie. Dlatego proszę o jego ułaskawienie<sup>738</sup>.

Spytałam Yvonne, jak to się stało, że wystąpiła z prośbą o ułaskawienie, a ona wyjaśniła mi, że była jeszcze zbyt słaba, żeby przyjechać na proces Treitego w Hamburgu w 1946 roku, ale kiedy Treite czekał na egzekucję, dostała od Mary list z prośbą o napisanie wniosku, który pozwoli mu uniknąć szubienicy.

– Mary z pewnością wierzyła, że Treite uratował jej życie – powiedziała Yvonne.

- Myśli pani, że uratował pani życie?
- Myślę, że sprawił, że znalazłam się w autobusie. W przeciwnym razie bym się nie wydostała. Byłabym już za słaba.
- Spytałam, czy naprawdę uważała, że Treite powinien zostać ułaskawiony.
- Widzi pani, w owym czasie nie wiedziałam zbyt wiele. W obozie byłam bardzo chora. Z wdzięczności dla Mary zrobiłam to, o co mnie poprosiła.
- Byłam ciekawa, jak Yvonne zareagowała na wiadomość, że Treite popełnił samobójstwo. Dwa tygodnie po odrzuceniu próśb o ułaskawienie podciął sobie żyły i znaleziono go martwego w celi.
- Yvonne przez chwilę milczała.
- Teraz rozumiem, że pomógł nam, aby ocalić własną skórę. Ale bez niego prawdopodobnie nie byłoby mnie tutaj.

[717](#) KV 2/98.

[718](#) Tamże.

[719](#) *I boję się snów*. s. 162–163. Nie wiadomo dokładnie, co wydarzyło się później; przebieg wydarzeń został zestawiony na podstawie relacji szwedzkich kierowców, przytoczonych w: Persson, *Escape from the Third Reich*, raportu Fritza Göringa dla MI5 (TNA KV 2/98) oraz zeznań więźniarek, w tym Buchmann, Vaillant-Couturier i Nedvedovej, jak również przedstawicieli MKCK i więźniarek zabranych przez autobusy.

[720](#) Anton Kaindl, komendant Sachsenhausen, ujawnił później, że gdy najpierw, 19 kwietnia, dostał rozkaz likwidacji obozu, wszystkich więźniów miał wtłoczyć na barki cumujące w porcie zachodnim w Berlinie i przeprowadzić je kanałami do Morza Północnego, po czym zatopić. Kaindl odmówił i zamiast tego kazał więźniom wyruszyć w marsz.

[721](#) Höss, *Autobiografia*, s. 167.

[722](#) Delegat Albert de Cocatrix ostatecznie dotarł do obozu i pozostawił surrealistyczny opis jego ostatnich dni, kiedy Suhren oprowadzał go po terenie i mydlił mu oczy bez najmniejszego trudu. „Przed opuszczeniem obozu pomyślałem, żeby poprosić Suhrena o pokazanie mi komory gazowej i krematorium. Nie poprosiłem”. Raport o wizycie w Ravensbrück między 20 a 23 kwietnia 1945 roku (dokładna data niejasna), AMKCK, G 44/13–0.02.

[723](#) Dziennik Jean Bommezijn de Rochement, IWM 06/25/1.

[724](#) Wynne, *No Drums, No Trumpets*.

[725](#) IWM 06/25/1.

[726](#) *Les Françaises à Ravensbrück.*

[727](#) W swym raporcie o atakach (i drugim, na szosie do Wismaru) kierownik szwedzkiej misji Sven Frykman napisał, że samoloty wykonywały loty zwiadowcze, a oba ataki były „całkowicie celowe, samoloty prawdopodobnie brytyjskie”. Frykman wzywał do wysłania Brytyjczykom, Amerykanom i Francuzom „energicznych protestów”. Cyt. w: Persson, *Escape from the Third Reich*.

[728](#) FO 371/48047. 1 maja Mallet napisał do Szwedów, wyrażając „ubolewanie” z powodu ataków „jakoby” brytyjskich i przypominając Szwedom o wcześniejszych ostrzeżeniach (że nie można zagwarantować bezpiecznego przejazdu). List do C. Günthera, 1 maja 1945 roku, SRA/UDA, HP 1619.

[729](#) Cyt. w: Tillion, *Ravensbrück*.

[730](#) Lund.

[731](#) Persson, *Escape from the Third Reich*.

[732](#) Lund.

[733](#) Tamże.

[734](#) Renault, *La Grande Misère*.

[735](#) Wynne, *No Drums, No Trumpets*.

[736](#) O roli Svena Frykmana w ustalaniu tożsamości i zgromadzeniu brytyjskich więźniarek, które w przeciwnym razie zostałyby w obozie, wspominają też raporty brytyjskich dyplomatów w: FCO 371/50982.

[737](#) Wywiad autorki.

[738](#) WO 235/308.

## Rozdział 41

### Wyzwolenie

Wszystko stoi w ogniu. Plądrowanie trwa w najlepsze. Z otwartych okien słychać krzyki kobiet”, napisał radziecki dziennikarz Wasilij Grossman o przekroczeniu przez Armię Czerwoną granicy niemieckiej i marszu na Berlin w pierwszych miesiącach 1945 roku<sup>739</sup>.

Grossman towarzyszył wojskom radzieckim od Stalingradu. Kolumny Armii Czerwonej stanowiły niezwykły widok: mieszanina współczesności i średniowiecza, czołgi z kierowcami w czarnych hełmofonach otoczone kozakami na koniach, chevroletami ciągnącymi moździerze oraz konnymi wozami wiozącymi łupy i zaopatrzenie, a nawet akordeonistami. Grossman obserwował, jak armie Stalina wypierają siły Hitlera, wyzwalają zniszczone miasta i obozy koncentracyjne, ujawniając ich makabryczne tajemnice.

Kiedy jednak Armia Czerwona wkroczyła do Niemiec, dyscyplina żołnierzy runęła. Podżegane wezwaniami do zemsty, miliony frontowców zaczęły plądrować, mordować i gwałcić. „Strasliwe rzeczy dzieją się niemieckim kobietom” – napisał Grossman, którego wyraźnie napawały odrazą gwałty akceptowane przez wielu wyższych oficerów.

Żołnierze gwałcili i gwałcili. „Wykształcony Niemiec wyjaśnia łamanym rosyjskim, że jego żona została już dziś zgwałcona przez dziesięciu mężczyzn”, pisze Grossman. Matka karmiąca piersią opowiada o zgwałceniu w stodole. „Jej krewni przyszli i prosili napastników, żeby zrobili sobie przerwę, ponieważ jej głodne dziecko płakało przez cały czas”. Czerwonoarmiści gwałcili nie tylko Niemki, ale też Polki, Francuzki, a nawet Sowietki, które znalazły się na drodze frontowców. zwykle były to młode robotnice przymusowe, przywiezione do pracy w niemieckich gospodarstwach i fabrykach.

W połowie kwietnia, gdy radzieckie kolumny ruszyły na zachód, przez

Fürstenberg przechodzili przerażeni uchodźcy, opowiadając, co widzieli, więc pod koniec miesiąca większość mieszkańców miasta też uciekła.

W Ravensbrück ewakuowano większość żon i rodzin esesmanów. Wielu esesmanów chodziło nieustannie pijanych i otwarcie mówiło o konieczności wyjazdu w stronę stosunkowo bezpiecznych linii amerykańskich albo, jeszcze lepiej, o zniknięciu. Większość już spakowała cywilne ubrania i wybrała cywilną tożsamość. Suhren jednak nie mógł się zdecydować, kiedy wydać rozkaz ewakuacji. Mając kilka tysięcy więźniarek w obozie, komendant był w rozterce.

Wyraźne instrukcje Führera nakazywały ewakuację wszystkich i zabicie tych, które nie mogły iść. Żadna więźniarka nie mogła wpaść w ręce wroga. Jednak gdy łączność z Berlinem została zerwana, a Hitler zamknął się w swym bunkrze, Suhren nie dostał nowych rozkazów. Jego przełożeni – Höss, Glücks i sam Himmler – uciekali przed zbliżającymi się frontami i nie było z nimi kontaktu. Jako komendant jednego z niewielu obozów, których jeszcze nie wyzwolono, był zdany sam na siebie. Los reszty kobiet z Ravensbrück leżał w jego rękach.

Szwedzkie białe autobusy zabrały już większość więźniarek z Europy Zachodniej, a także wiele Polek i Żydówek. Pozostały Rosjanki, Niemki, Austriaczki i mieszkanki Europy Wschodniej, wśród nich wciąż sporo Żydówek. Większość z nich przewidywała, że Suhren zarządzi masakrę. Inne sądziły, że obóz jest zaminowany albo że naprawdę pomaszerują ku wybrzeżu Bałtyku – jedyną drogą ucieczki – gdzie zostaną wpędzone na statki i zatopione. Poza tym Suhren wiele razy groził, że zastrzeli wszystkie kobiety za słabe, by iść< niezdolne do ewakuacji.

27 kwietnia nadeszły wieści, że siły 2 Frontu Białoruskiego zdobyły Prenzlau, 80 kilometrów na wschód. Armia niemiecka wysadzała teraz magazyny paliwa i bazy wojskowe wokół Fürstenbergu, gotowa do ostatecznego odwrotu. Ludzie Suhrena zaczęli podpalać warsztaty na tyłach ogrodzenia, podczas gdy Suhrena i Binz widywano „czarnych od sadzy i spoconych”, jak gorączkowo palili kolejne dokumenty. Hans Pflaum jeździł na rowerze po obozie, wybierając kolejne kobiety na zagładę. „Pflaum wypędzał słabe i chore z bloków i potem strzelał do nich na Lagerstrasse”, opowiadała Zdenka Nedvedová.

Trwały też inne mordy. Niemiecka więźniarka Anni Sinderman wspominała grupę ewakuowanych przyprowadzonych tuż przed końcem. „Leżały na

podłódze w umywalni, jęcząc i łkając”. Nie widziano ich więcej, twierdzi Anni. Prawdopodobnie zabito je w ruchomej komorze gazowej albo po prostu zastrzelono. Odette Sansom, wciąż trzymana jako zakładniczka w bunkrze, widziała więźniarki prowadzone do krematorium. „Słyszałam ich krzyki i odgłosy szamotaniny oraz odgłosy otwierania i zamykania drzwi pieców. Potem nikt już nie widział tych kobiet”<sup>740</sup>.

W kwestii ostatecznej masakry Suhren nie mógł się zdecydować, jak daleko się posunąć. Marie-Claude Vaillant-Couturier zanotowała w dzienniku, że rozkazy „zmieniały się co dwie godziny”. W jednej chwili esesmani oznajmiali, że wszystkie kobiety niezdolne do marszu zostaną zabite, a obóz opróżniony przed przybyciem Rosjan. Za minutę Suhren wydawał instrukcję, że chore zostają, a reszta wymaszerowuje.

Gdy Pflaum strzelał do kobiet na dworze, doktor Treite wezwał lekarki więźniarki do swego gabinetu. Spytał, kto zostanie po ewakuacji, żeby zająć się chorymi, póki nie przyjdą Rosjanie. Kilka kobiet odparło, że zostaną, włącznie z wpływowymi komunistkami Zdenką Nedvedovą, Antoniną Nikiforową i Marie-Claude Vaillant-Couturier.

Nawet jeśli Suhren zamierzał zabić wszystkie stare i chore, to jak na czas zdołałby pozbyć się zwłok? Führer rozkazał, żeby przed wkroczeniem nieprzyjaciela usunąć wszystkie dowody, ale krematorium nie zdążyłoby spalić ciała dość szybko, jak odkryła austriacka więźniarka, sekretarka Friederike Kierdorf, która tam zajrzała.

Friederike wciąż pracowała w *Schreibstube*, wypełniając do ostatniej minuty akta więźniarek.

Ale nagle kazali nam odłożyć dokumenty i spalić wszystko. Powiedzieli, że biuro zostanie zniszczone i musimy zanieść ostatnie akta w skrzyniach do krematorium, gdzie je spalą. W krematorium były trzy paleniska, które widziałyśmy teraz po raz pierwszy. Ale gdy stałyśmy tam ze skrzyniami, mężczyźni obsługujący piece powiedzieli: „Nie możemy palić papierów, bo palimy ludzi”. Jeden dodał: „Palimy szesnaście chudych albo cztery grube w jednym piecu”. Musiałyśmy więc zabrać dokumenty i spalić je w dołach.

Friederike wspominała, że nie widziała spalenia *Schreibstube*, ale budynku już nie było, kiedy wróciła do obozu po wojnie.

Przed podpaleniem warsztatów esesmani zagrabilili wszystko. Chwyтали bele tkanin, zanim ogarnął je ogień. Friederike była zaskoczona, kiedy wyższy rangą esesman wcisnął jej w ramiona belę drogiego czerwonego materiału.



„Powiedział, że lepiej, żebym ja ją miała, niż miałyby wpaść w ręce Rosjan. Chciał być opiekuńczy. Powiedział, że ma córkę w moim wieku – byłam bardzo młoda”. „Opiekuńczy” oficer wręczył jej potem cywilne ubranie i poradził dołączyć do pierwszego konwoju esesmanów i dozorczyń, który wieczorem 27 kwietnia szykował się do opuszczenia obozu. Suhren wreszcie podjął decyzję.

„Esesmani mieli wozy konne skradzione rolnikom, a jeden z oficerów wpuścił mnie na wóz – wspominała Friederike. – Było osiem albo dziesięć wozów, a bagaż esesmanów jechał na pierwszym”. Bała się przebywać z SS. „Wszyscy byli obładowani kradzionymi rzeczami – głównie biżuterią. Zapytali, czemu nie mam żadnej biżuterii. Nie mogli zrozumieć, dlaczego nic nie wzięłam”.

Gdy konwój wyjechał, Suhren ruszył za nim, krzycząc: „Jak najszybciej dotrzyjcie do Malchow!”. Komendant wybrał ten podobóz, około 70 kilometrów na północny zachód, ponieważ jeszcze przez kilka dni miał zostać niezdobyty i prawdopodobnie leżał na drodze Amerykanów – a w każdym razie tak myślał Suhren.

O świcie w sobotę 28 kwietnia rozpoczął się exodus z Ravensbrück. Dzień wcześniej, pół godziny po północy, Suhren odwiedził Odette w jej celi w bunkrze. „Stał w drzwiach i pokazywał gest podrzynania gardła”. Odette pomyślała, że nadeszła kolej na nią. „Powiedział mi, żebym była spakowana i gotowa do opuszczenia obozu następnego ranka”. O ósmej rano przyszedł esesman i kazał jej wyjść na Lagerstrasse. Pojawił się Suhren i wsadził ją do więźniarki, gdzie wśród prominentnych pasażerów znaleźli się dowódca włoskiej marynarki, litewski minister wojny, polski baron i dwie francuskie arystokratki. Grupa wyruszyła do Malchow, gdzie miała poczekać na przybycie Suhrena.

Przez cały następny dzień strażnicy gromadzili koło bramy duże grupy więźniarek. Personel kuchni i biur wymaszerował przed świtem, a za nimi podążyły zwykłe więźniarki. Każdą, która odmówiła, Pflaum ścigał z psami. Francuzkę znaną w kryjówce na strychu bloku pobito na śmierć młotkiem.

Kiedy austriacka nastolatka Fritzi Jaroslavsky dołączyła do jednej z kolumn, zobaczyła Suhrena przejeżdżającego samochodem i naglącego kobiety do marszu do Malchow. „Ale nie uszłyśmy daleko, bo gdy bardzo nisko nad nami

przeleciały rosyjskie samoloty, rozproszyliśmy się na wszystkie strony”. Fritzi i jej grupa dotarły do miasteczka, gdzie ukryły się w pustym domu. „Wtedy zrozumialiśmy, że jesteśmy wolne, więc zawróciłyśmy do Fürstenbergu, gdzie jak sądziłyśmy, będziemy bezpieczniejsze”.

Johanna Sultan z Kilonii wyruszyła z wcześniejszą grupą, którą również zaatakowały rosyjskie myśliwce. Wszyscy rzucili się do kryjówek – strażnicy, psy i więźniarki na równi. Skierowali się na polne drogi, próbując kryć się przed samolotami wśród drzew, ale nie miały one jeszcze liści i samoloty znów zaatakowały, gdy kobiety brnęły przez zaorane pola. Grupa się rozproszyła i poza jedną dozorczynią wszyscy esesmani uciekli. Potem dozorczyńni też uciekła i więźniarki zostały same. „Na polu spotkałyśmy ukraińskiego robotnika rolnego, który pokazał nam drogę do najbliższego gospodarstwa, gdzie dotarła też grupa więźniarek francuskich, również uciekinierki. Wszystkie schowałyśmy się tam i czekałyśmy na nadejście Rosjan lub Amerykanów”.

Wielu esesmanów uciekło z marszu do Malchow; po pospiesznym przebraniu się w cywilne ubrania skierowali się na północ. Mieli nadzieję wtopić się w tłum uchodźców albo przedrzeć się do granicy duńskiej. Dozorczyńni często po prostu ruszały do domów. Po porzuceniu kolumny Margarete Rabe z koleżanką strażniczką udały się do domu wuja Margarete w pobliskim Schwerinie.

W Ravensbrück więźniarki wypływały przez bramy. Maria Apfelkammer pozostała z 300 lub 400 więźniarkami ustawionymi piątkami. Szeregi esesmanów szybko topniały. Większość strażników w eskorcie stanowili „starzy mężczyźni z karabinami z muzeum”, jak ujęła to jedna z więźniarek. Należeli do Volkssturmu, milicji stworzonej w październiku poprzedniego roku. Artur Conrad, dowódca plutonu egzekucyjnego SS, zamykał kolumnę zmierzającą do Malchow. Mówił, że doprowadzi kobiety do amerykańskich linii. „Po około trzech godzinach miałyśmy krótki postój przy drodze. Dwie kobiety siedzące na kamieniach powiedziały, że nie mogą dalej iść, więc Conrad je zastrzelił. Potem zastrzelił jeszcze kilka innych maruderek”.

Maszerowali cały dzień, spali w stodole, maszerowali znów. Czeszka Stefanie Jokesch spędziła drugą noc w lesie. Nie pamięta strzałów, ale widziała kobiety, które „upadały i umierały”. Trzeciego dnia uciekła. „Ale nie było dokąd iść. Znajdowałam się pośrodku ziemi niczyjej, więc schowałam się wśród drzew”.

W tych ostatnich dniach kwietnia nie tylko obóz macierzysty wypływał swoje więźniarki; podobnie działo się w podobozach Ravensbrück, z których wiele znajdowało się na tym wciąż niepodbitym obszarze Niemiec. Trzysta dwadzieścia kilometrów na południe Eileen Nearne, brytyjska agentka SOE, więziona w podobozie koło Lipska, uciekła z kolumny ewakuacyjnej i również kryła się wśród drzew, zastanawiając się, jak daleko są Amerykanie. Jeszcze dalej na południe, za granicą czeską, Maria Bielicka, ewakuowana z podobozu Neurolau, maszerowała w kolumnie więźniarek przez Sudety. Miały nadzieję dotrzeć do linii amerykańskich, chociaż Maria bała się, że prędzej zostaną zastrzelone.

Rosjanie byli kilka kilometrów od nas na wschód, a Amerykanie kilka kilometrów na zachód, ale nikt nie wiedział, gdzie dokładnie. Wiele kobiet już zmarło po drodze, ponieważ nie mogły iść, a inne zastrzelono. Potem na noc ulokowali nas w olbrzymim składzie piwa. Esesmani nie wiedzieli, dokąd iść ani co z nami zrobić<sup>741</sup>.

W podobozach końcowa ewakuacja przebiegała często bardziej chaotycznie niż w Ravensbrück. W Neubrandenburgu 26 kwietnia strażnicy powiedzieli wszystkim, żeby przerwały pracę, ponieważ zbliżają się alianckie fronty. Francuzki siedziały przez dwa dni na swych tobołkach, zastanawiając się, czy pierwsi dotrą Amerykanie, czy Rosjanie, podczas gdy Rosjanki plądrowały kuchnie. „Wszędzie dokoła bloku rozlegały się odgłosy jedzenia – wspominała Micheline Maurel. – Na sąsiedniej pryczy Rosjanka jadła surowy makaron. Uśmiechnęła się szeroko i zaproponowała mi sporą garść”<sup>742</sup>.

Potem dowódca straży strzelał do kobiet kradnących worki z mąką i nagle rozległo się: *Raus, raus, schnell!* Przez okna wleciały pociski. Gdy kobiety wygnano na zewnątrz, Micheline stąpnęła na coś miękkiego, małą paczkę margaryny, i podniosła ją. „Zapadała noc. Padało i grzmiały działa, gdy otworzyła się brama zewnętrzna”. Złapała za rękę swoją przyjaciółkę Michelle i powiedziała, że chyba nie zdoła iść. „Dasz radę, pójdziesz”, odparła Michelle i faktycznie Micheline ruszyła, powtarzając sobie: „Idź, nie zatrzymuj się, nie rozglądaj, nie mów, nie myśl”.

O świcie Micheline wyjęła margarynę i zjadła ją razem z Michelle. Potem ruszyły i szły cały dzień. Padało, na horyzoncie widniała luna, a dozorczyń Edith Fraede zamykała kolumnę w ciężarówce z karabinem maszynowym. Tej nocy spały w mokrej stodole, gdzie zmarło kilkanaście wyczerpanych kobiet,

między innymi Marthe Mourbel, profesor filozofii z Angers. Przeżyłaby, gdyby została w tyle: dzień po ewakuacji samotny ambulans Szwedzkiego Czerwonego Krzyża przyjechał do Neubrandenburga i uratował kobiety pozostałe w izbie chorych.

Kolumny przecinały ziemię niczyją, wyczerpane i oszalałe z braku jedzenia i wody. „Matka przystanęła i zaczęła zrywać trawę do jedzenia – wspominała Lise Lesèvre. – Córka wyskoczyła z kolumny, żeby jej pomóc, i strażnicy zastrzelili obie”. Nieco dalej ciężarówka Czerwonego Krzyża rozdawała tej samej kolumnie paczki żywnościowe, nawet gdy rozległy się strzały.

Maszerujące mijają wiele innych ponurych scen mordów. Koło Rostoku na wybrzeżu Bałtyku grupa kobiet, które uciekły z kolumny, znalazła ciała wielu mężczyzn w pasiakach wiszące na gałęziach. Wzdłuż drogi do Malchow leżały dziesiątki kobiet zastrzelonych przez Conrada i jego podwładnych. Strzelano do tych, które weszły na pole po ziemniaki sadzeniaki, podobnie jak do grupy, która skradła chleb z esesmańskiego samochodu. Fritz Suhren zastrzelił kobietę, która zatrzymała się, żeby podnieść niedopałek papierosa.

Kobiety ewakuowane z podobozu pod Lipskiem maszerowały przez pole, na którym leżały szeregi martwych mężczyzn w pasiakach. Byli to więźniowie z podobozu Buchenwaldu, najwyraźniej prowadzeni tędy i zastrzeleni. „Musiałyśmy przechodzić nad ciałami, by dotrzeć do miejsca postoju po drugiej stronie pola – wspominała jedna z kobiet. – Nie dało się nie deptać po zwłokach”.

Nad głowami latały samoloty. Wszyscy się rozproszyli, ale samoloty zakołysały skrzydłami i zaczęły krążyć, zanim znów nabrały wysokości, „a nad naszymi głowami nastąpił rozbłysk kolorów, gdy w dół spłynęły flary, by dać nam znak, że nasi przyjaciele nas rozpoznali. Potem odmaszerowałyśmy”.

Pomimo grozy ziemi niczyjej, w tak niedalekiej odległości od aliantów szanse ucieczki wydawały się bardzo duże. Zapakowane do składu piwa w Sudetach Maria Bielicka i jej przyjaciółki postanowiły zaryzykować.

Wspięłyśmy się między puste skrzynki na piwo, żeby się ukryć, i czekałyśmy. Rano słyszałyśmy esesmanów krzyczących *Raus, raus, schnell, schnell!* i szczekanie psów. Potem wyszli, ale jeden wrócił z psem; miałam ucho przyciśnięte do piersi koleżanki i słyszałam, jak jej serce wali „bum, bum”. Pomyślałam, mój Boże, cały świat to słyszy, ale Niemiec wyszedł, zostawiając nas i wszystkie chore. Odczekałyśmy parę godzin; słyszałyśmy, jak chore wołają o wodę w każdym języku, wody, *Wasser, Wasser!* Było ich wiele i umierały. Potem przyszedł esesman i je zastrzelił.

SS nie znalazło Marii i jej koleżanek, które odczekały jeszcze parę godzin, ukryte między skrzynkami, a potem się wyczołgały.

W niektórych podobozach strażnicy uciekli jeszcze przed rozpoczęciem ewakuacji. W Genthin więźniarki, pozostawione same, wzięły odwet, mordując cywilnych kierowników fabryki. „Pamiętam dwóch cywilnych kierowników, którzy leżeli martwi, wciąż w białych fartuchach”, opowiadała Rosjanka Jewdokia Domina.

Indented text: Nie byli złymi ludźmi. Potem ktoś otworzył bramy i wyszliśmy. Znalazłyśmy sobie dom, a ktoś dał nam konia, ale nie umiałyśmy jeździć konno, więc poszłyśmy pieszo i widziałyśmy domy spalone i podpalone. Chciałyśmy kierować się na wschód. Wchodziłyśmy do opuszczonych domów i spałyśmy w sypialniach. Było tak miło z tymi prześcieradłami i kocami. Jadłyśmy i nigdy nie myślałyśmy o talerzy, po prostu brałyśmy kolejny<sup>743</sup>.

Wkrótce strażnicy uciekali przez ziemię niczyją szybciej niż więźniarki. Na poboczach leżały stosy mundurów porzuconych przez nadzorczyńnię i esesmanów, którzy przebierali się w cywilne ubrania i uciekali. Kolumny maszerujących rozglądały się dokoła i zniechęcały odkrywały, że są wolne. Jekatierina Spieranska była w grupie Rosjanek kierujących się na północ, kiedy jedna z nich wykrzyknęła: „«Dziewczęta?! Czy jesteście zwierzętami?! Po prostu bydlę?! Nie ma strażników, a wy wciąż maszerujecie!». Rozejrzałyśmy się i inne wykrzyknęły: «Hura, towarzyszyki, jesteśmy wolne!»”.

Jednak ta pierwsza „wolność” nie oznaczała wyzwolenia, jak miało się przekonać wiele kobiet. Co najmniej jedną grupę więźniarek zabił przez pomyłkę amerykański snajper, kiedy podeszły zbyt blisko do amerykańskich linii. Polki bały się wpaść na linie radzieckie. Krystyna Zajac jako jedna z pierwszych spotkała radzieckich żołnierzy.

Indented text: Nagle zobaczyli nas i rzucili się za nami w pogoń. Rosjanin powiedział, że chce ze mną zatańczyć. Potem próbowali nas zgwałcić. Próbowali nawet dopaść i zgwałcić moją matkę. Mówiłyśmy, że jesteśmy Polkami, nie Niemkami, że jesteśmy więźniarkami, ale nie słuchali. Potem w nocy zabili matkę, która broniła córki. W końcu schroniłyśmy się w niemieckim domu.

29 kwietnia nieliczne pozostałe w Ravensbrück więźniarki wciąż dostawały nowe rozkazy, w miarę jak zbliżała się Armia Czerwona. Treite znowu przyszedł do rewiru i naciskał na Zdenkę, aby uciekała, ale ona odmówiła. Powiedział potem Zdenka, że teraz odpowiada za wszystkie chore w obozie,

a decyzja ta doprowadziła do wściekłości Antoninę Nikiforową, która uważała, że to jej powinna przypaść ta funkcja jako wyższej rangą lekarce Armii Czerwonej.

Antonina z pozostałymi lekarkami i pielęgniarkami doliczyły się w obozie co najmniej 1500 kobiet, które były zbyt chore, aby iść, w tym wielu bliskich śmierci. Dwadzieścia dwie kobiety znalezione na tyłach bloku 32. „były ludzkimi strzępami”, zanotowała w dzienniku Marie-Claude. „Przeniosłyśmy je do rewiru, ale wątpię, że przeżyją”. Kamila Janowicz, polska pielęgniarka, powiedziała, że w tych dniach przed nadejściem Rosjan zmarła nieznaną liczbą kobiet, a ciała leżały wszędzie, obgryzane przez szczury, ale nie było czasu ich pochować.

Wyłączono prąd, więc więźniarki z rąk do rąk podawały do rewiru wiadra z wodą. W kuchni dowodzenie objęła Marta Baranowska, urzędniczka Polskiego Czerwonego Krzyża. „Tego ranka w kuchni pojawiła się Binz i spytała Martę, czy znalazłoby się trochę jedzenia dla strażników, którzy zostali i nie mieli co jeść – napisała Marie-Claude. – Marta powiedziała Binz, że wszystko, co mamy, jest dla chorych i Binz musi spytać w kantynie SS – tak się zmieniła sytuacja”.

Strażnikom zostało dość autorytetu, żeby rozkazać ostatnim więźniarkom wymarsz za bramy obozu, ale panowało takie zamieszanie, że kilka ukryło się w ostatniej chwili, włącznie z Rosą Thälmann, żoną niegdysiejszego przewodniczącego Komunistycznej Partii Niemiec. Niemieckie towarzyszki przeszmygłowały ją na zewnątrz i ukryły w domu w Fürstenbergu.

Ta ostatnia grupa ewakuowanych składała się głównie z Rosjanek i obejmowała wszystkie czerwonoarmistki, a także dzieci mieszkające w ich bloku. Olga Gołowina złapała wózek używany do przewożenia kotłów z zupą i wiozła w nim małe dzieci, wlokąc go przez bramę.

Stella Kugelman, pięcioletnia w chwili ewakuacji, mówi dziś, że nie pamięta dokładnie, jak ona i reszta dzieci wydostały się z obozu. Wspomina, że dzieci szybko rozdzieliły się z dorosłymi, może po ataku lotniczym. Potem zajęła się nimi kobieta, którą nazywa „ciocią Olimpiadą”. „Pamiętam, że nagle znalazłam się na drodze na zewnątrz i sądzę, że ciocia Olimpiada nas tam znalazła i postanowiła się nami zaopiekować. Nie znałam jej w obozie. Wsadziła nas z powrotem na wózek i pchała, a potem znalazła trochę jedzenia”.

Zamiast kierować się do Malchow, na północny zachód od Ravensbrück,

Volkssturm, wspierany przez kilku strażników z SS, poprowadził czerwonoarmistki na północ, ku morzu, bezpośrednio na linię radzieckiego natarcia. „Na drogach pełno było ludzi i wozów – opowiadała Jekatierina Bojko. – A kiedy zorientowałyśmy się, że idziemy w stronę Bałtyku, pomyślałyśmy, że zabiorą nas do Afryki jako niewolnice”.

Bułgarka Georgia Tanewa maszerowała blisko Jewgienii Łazariewny Klemm. W 1943 roku Klemm przekazywała polecenia wzdłuż kolumny, kiedy czerwonoarmistki maszerowały na zachód do Niemiec; teraz znów objęła funkcję dowódcy, gdy szły w stronę swych wyzwolicieli. „Nasi strażnicy byli tylko starymi mężczyznami, którzy wyglądali, jakby przebrali się na chwilę w mundury – mówiła Georgia, która mieszka dziś we wschodnim Berlinie. – Ale to Jewgienia Łazariewna naprawdę dowodziła. Mówiła: «Trzymajcie się razem, dziewczęta, róbcie, co mówię, po prostu maszerujcie». Więc maszerowałyśmy w naszych drewniakach. Stuk, stuk, stuk” – i Georgia uderza w stół, żeby naśladować odgłos.

W Fürstenbergu przechodziłyśmy obok pięknych pustych domów – zapomniłyśmy, co to cywilizacja. A potem pomyślałyśmy, co ci starcy [Volkssturm] zamierzają z nami zrobić? Nie zabiją nas w tym miasteczku. Wiedzieli, że wojna jest przegrana, i prawdopodobnie zastanawiali się, co zrobić z tą śmierdzącą gromadą zagłodzonych kobiet. Potem pomyślałyśmy, że mogą nas prowadzić do jakiegoś dużego więzienia. A kiedy pojęłyśmy, że idziemy na północ, pomyślałyśmy: „Aha! Prowadzą nas do morza, żeby utopić”.

### Czy Georgia wierzyła, że tak się może stać?

Tak właśnie myślałam. Morze było właściwie bardzo daleko, ale o tym nie wiedziałyśmy. Potem maszerowałyśmy kilka godzin i nagle rozejrzałyśmy się, a tu nie było żołnierzy, tylko nasze drewniaki wciąż stuknęły o drogę, stuk, stuk, stuk. Na drodze nie było nikogo poza nami. Rozglądałyśmy się i nic się nie działo. Nie wiedziałyśmy, gdzie się znajdujemy; były tylko te zaorane pola ciągnące się kilometrami.

Przednia połowa kolumny zeszała z drogi w nadziei znalezienia frontu. Te obok Jewgienii Łazariewny spytały ją, co robić. „Odpowiedziała, że musimy znaleźć las i się ukryć”, wspomina Georgia.

Biegłyśmy jak szalone po tym zaoranym polu, a potem był mur na skraju lasu i biegłyśmy po sosnowym igliwiu. Igły były wszędzie, a my znajdowałyśmy się w lesie, rozglądałyśmy się i dokoła nas rozbłysły oczy. Odkryłyśmy, że to oczy więźniów z Sachsenhausen, którzy się

ukrywali. Więc położyliśmy się na igliwiu, odpoczywaliśmy i to było cudowne.

Kiedy Georgia się obudziła, zobaczyła chłopca na drodze.

Mówiłam nieco po niemiecku, więc poprosiłam chłopca o wodę. Zaprowadził mnie do wioski, znalazłyśmy pompę i parę dzbanków. Przeszliśmy przez wieś, a ludzie chowali się w domach, jakbyśmy zamierzały ich zabić, ale to nam oczywiście nie przeszło przez myśl. Wszystko było puste. Kaput. Spytałyśmy chłopca, dokąd prowadzi droga, a on odpowiedział, że do Neustrelitz. Dodał, że armia radziecka jest w Neustrelitz, więc tam poszłyśmy.

Po drodze część kobiet znalazła się pod ostrzałem. „Leżałam na ziemi i dostałam szrapnelem”, wspominała Jekatierina Spieranska.

Potem pamiętam czołgi i mnóstwo ciał, a następnie usłyszałam rosyjski i zobaczyłam naszych żołnierzy. Kiedy podeszli bliżej, rosyjski kapitan powiedział: „Mój Boże, skąd jesteście? Wstałyście z grobu?”. A kiedy ruszyliśmy w naszych pasiakach, brudne i zmęczone, zaczęły się śmiać i płakać, i mówili „siostry”, powitali nas, dali jedzenie i tak doszłyśmy do Neustrelitz.

W południe 29 kwietnia ostatnie ewakuowane wymaszerowały z obozu macierzystego. Fritz Suhren jeździł wzdłuż kolumn, a potem wrócił do Ravensbrück, gdzie krążył nerwowo przy bramie. „Potem nagle rozkazał strażnikom: «Zamknąć bramy, rozstrzelać te w środku» – na własne uszy słyszałam to diaboliczne polecenie”, wspominała Elfriede Meier.

Jeśli Suhren wydał taki rozkaz, to nie został on wykonany. Zdenka pamiętała inny pożegnalny gest: „Przysłał mi dwa duże worki soli, kilka worków zatechłej mąki i koszyk bochenków chleba, którymi miałyśmy wyżywić chore”. Według Marie-Claude ostatnie instrukcje Suhrena brzmiały, że pozostające na miejscu więźniarki mają wykopać rów i pochować niepogrzebane ciała, „potem powinnyśmy go odpowiednio zasypać i oznaczyć krzyżem. Pomyśleć, że kilka dni wcześniej wciąż jeszcze gazowano kobiety”.

Wczesnym popołudniem Fritz Suhren i cała esesmańska załoga – w tym Binz – odjechali w ciężarówkach i samochodach, albo wozach konnych, do Malchow.

Gdy tylko esesmani zniknęli, kobiety zaczęły badać swój obóz. Znalazły stopy paczek Czerwonego Krzyża w piwnicach komendantury i w domach załogi; część splądrowano, część leżała nieotwarta. Jedną z piwnic wypełniał



cukier, mleko w proszku, owsianka, chrupki chleb, konserwy, mydło, pasta do zębów, wszystko ze szwedzkimi metkami, poza amerykańskimi papierosami. Później kobiety obejrzały krematorium, wypełnione niedopalonymi zwłokami, zajrzały do na poły zniszczonej komory gazowej, gdzie zauważyły puste puszki po chemikaliach o nazwie Cyklon. Znalazły też osiem skrzyń dokumentów, które odłożyły, by przekazać je Rosjanom.

Następnie w lesie kobiety odkryły resztki ruchomych komór gazowych, które Zdenka porównała do ciężarówek przeprowadzkowych z „mechanizmem umożliwiającym wtłoczenie do środka gazów spalinowych”. Znalezione je niedaleko Jugendlagru.

Doszedłszy do obozu męskiego, również ewakuowanego, znalazły około 400 chorych, których porzucono. „Nie mieli wody od tygodnia i umierali z głodu i pragnienia – napisała Marie-Claude. – Nie wyglądali jak ludzie, lecz jak duchy, a cierpienie doprowadzało ich do szaleństwa. Nikt, ale to nikt, nie mógłby tego opisać – nikt by w to nie uwierzył. Zrobiliśmy dla nich, ile się dało, ale same miałyśmy tak niewiele”.

30 kwietnia kobiety obudził huk rosyjskich dział, który narastał z godziny na godzinę, ogień artyleryjski tak blisko, że jarzyło się niebo nad murem zewnętrznym. „Kobiety biegały w panice po Lagerstrasse, a jedna z nich podniosła ramiona ku niebu, z włosami zmierzwionymi, i uklękła pośrodku drogi, modląc się na cały głos”, zapamiętała Zdenka. Mała grupa wyszła za bramy, żeby sprawdzić, jak daleko jest Armia Czerwona. Inne przygotowywały łóżka dla rannych rosyjskich żołnierzy i przygotowywały czerwony transparent do powieszenia na bramie, kiedy wyzwolenie stanie się faktem. Niektóre nadal spodziewały się, że Niemcy wysadzą obóz. „Wyszliśmy któregoś dnia i nie było syren, więc powiedziałyśmy: bądźmy gotowe na wysadzenie, pożegnajmy się”, wspominała Maria Własenko, jedna z pozostałych w obozie pielęgniarek z Odessy.

Pierwszym czerwonoarmistą, który wkroczył w bramy Ravensbrück, był młodzieniec na białym koniu, w złotej futrzanej czapce – a przynajmniej tak zapamiętała Zdenka Nedvedová. Zdaniem Marie-Claude, przyjechał na rowerze: „O wpół do dwunastej przyjechał zwiadowca Armii Czerwonej, a gdy ujrzałam pierwszego rowerzystę przejeżdżającego przez bramę obozu, oczy wypełniły mi się łzami. Przypomniałam sobie moje łzy wściekłości,

kiedy ujrzałam pierwszego niemieckiego motocyklistę przejeżdżającego przez Place de l'Opera pięć lat wcześniej”.

Antonina Nikiforowa również widziała rowerzystę. „Wszystkie, które mogły chodzić, wybiegły, by go powitać”. Potem Rosjanie wjechali przez bramę czołgami i samochodami. „Wybiegłyśmy i obsypałyśmy ich papierosami, aż kazali nam przestać. «Oszalałyście?! – krzyczeli. – Wystarczy nas ucałować!». Otoczyłyśmy ich, patrzyłyśmy i płakałyśmy. Pokrywał ich kurz, ale dla nas byli najcenniejsi na świecie”.

Maria Gorobcowa z Tbilisi mówi, że żołnierze „wyglądali na przerażonych, kiedy zobaczyli, w jakim stanie jesteśmy. Potem jeden powiedział: «Dziewczeta, zabijmy świnie i jedzmy»”<sup>744</sup>. Maria Własenko widziała, jak dowódca zeskoczył ze swego czołgu i podszedł do nich. „Zapytał nas, czy jest tu ktoś z Majkopu, jego rodzinnego miasta. Stracił siostrę, powiedział. A wtedy jego siostra wyszła naprzód. Ledwo ją poznał i płakał”.

Według raportu Armii Czerwonej pierwsi żołnierze przyjechali na motocyklach. Aleksander Miednikow, kapitan 2 Frontu Białoruskiego, informował, że patrol zwiadowczy przejeżdżał koło Fürstenbergu, kiedy minął wysoki mur zwieńczony rzędami drutu kolczastego. „Nasi strzelcy zeszli z motocykli, a jeden przypadkowo dotknął drutu ręką i doznał silnego uderzenia prądem [co sugeruje, że elektryczności wcale nie wyłączono], które przewróciło go na ziemię”<sup>745</sup>.

Kilku uzbrojonych ludzi, starszych mężczyzn z Volkssturmu, wciąż broniło obozu. „Gdy nasi ludzie jechali wzdłuż muru, znaleźli bramę, która była okręcona grubym kłębem drutu kolczastego. I nagle zza muru zaczął terkotać karabin maszynowy. Nasi ludzie już wiedzieli, co znajduje się za murem, i zdecydowali się wejść do środka, wtedy ludzie Hitlera uciekli i próbowali się ukryć za barakami”.

Kilka minut później nadjechał czołgiem Michaił Stachanow:

Po tym, jak walczyliśmy całą drogę przez Rosję i Polskę, wziąłem udział w wyzwoleniu kobiecego obozu w Ravensbrück. Przejechaliśmy czołgami przez zaskieki z drutu kolczastego i rozbiliśmy bramę obozu. A potem się zatrzymaliśmy. Nie dało się jechać dalej, ponieważ czołgi otoczył tłum; kobiety włożyły pod czołgi i wspinały się na nie, krzyczały i płakały. Napływały bez końca. Wyglądały okropnie, w pasiakach, przeraźliwie chude; nie wyglądały jak istoty ludzkie. Miały 3 tysiące chorych, tak chorych, że nie dało się ich zabrać, były za słabe<sup>746</sup>.

Było to prawdopodobnie dzień po przybyciu przedniej straży, kiedy Jakow Drabkin pojawił się w Ravensbrück. Drabkin wjechał przez bramę dżipem z megafonem, rozejrzał się szybko, po czym zatoczył koło i wyjechał; szukał kogoś.

Drabkin był młodym oficerem pochodzenia żydowskiego przydzielonym do 49 armii 2 Frontu Białoruskiego. Do jego zadań należało zbieranie informacji i produkowanie propagandy, która miała podkopać morale wroga. Pod koniec kwietnia Drabkin stacjonował w miasteczku Gransee, 16 kilometrów na południe od Fürstenbergu. „Pamiętam, że świętowaliśmy moje urodziny w dniu, kiedy przekroczyliśmy Odrę, więc o Ravensbrück musiałem usłyszeć kilka dni później. Wcześniej nie wiedzieliśmy o obozie kobiecym, chociaż przeszliśmy przez Auschwitz, Majdanek i inne obozy. Dla Żyda widok tych wszystkich rzeczy był oczywiście szczególnie trudny”<sup>747</sup>.

Na terytorium Niemiec Drabkin szukał informacji o rosyjskich i ukraińskich nastolatkach zabranych do pracy niewolniczej w gospodarstwach; teraz młodzież ta płynnie mówiła po niemiecku. „Przesyłały nam wiadomości, że ten a ten Niemiec jest dobrym człowiekiem, nie zabijajcie go, albo że ten źle nas traktował, zabijcie go”. Chłopcy wiele opowiadali Drabkinowi o Ravensbrück, a on przekazywał wszystko do kwatery głównej. Przełożeni nakazali mu udać się prosto do obozu i znaleźć Rosę Thälmann.

Sowieci wiedzieli już, że Ernst Thälmann, niegdyś przywódca Komunistycznej Partii Niemiec, został stracony w Buchenwaldzie. „Liczyli, że jego żona żyje, i chcieli sprawdzić, co wiedziała”, opowiadał Drabkin, siedząc w swoim obstawionym książkami moskiewskim gabinecie. Nie znalazł Rosy w Ravensbrück, więc pojechał do Fürstenbergu i wykrzykiwał jej nazwisko przez megafon, przejeżdżając pustymi ulicami.

Wszyscy Niemcy uciekli. Zajęło mi to kilka godzin, ale w końcu ją znalazłem. Ukrywała się w małym domu przy bocznej ulicy. Była w okropnym stanie – wycieńczona, na wpół żywa, jak wszystkie. Nadal miała na sobie obozowy strój. Wiedziała, że jej mąż nie żyje, a nade wszystko pragnęła dowiedzieć się, co dzieje się z jej córką.

Kilka tygodni wcześniej dwudziestosześcioletnia Irma Thälmann została zabrana do podobozu w Neubrandenburgu. Rosa nie miała pojęcia, czy jej córka żyje.

Zgodnie z instrukcjami miałem jej powiedzieć, że dowództwo cieszy się, że przeżyła, i zrobi wszystko, żeby jej pomóc. Chcieliśmy, żeby opowiedziała nam wszystko o obozie, partii, pewnych interesujących nas osobach. Ale ona nie była w stanie mówić, była zbyt przygnębiona. Była przerażona, że jeśli zacznie mówić, to jej córka znajdzie się w większym niebezpieczeństwie. Była małą, skurczoną figurką.

Jak Jakow zareagował na widok Rosy?

– Trudno powiedzieć – odparł poruszony wspomnieniami. – Pomieszenie współczucia i żalu.

Drabkin i reszta żołnierzy z radzieckiej przedniej straży ruszyli na zachód, obiecując, że jednostki tyłowe Armii Czerwonej przywiozą zaopatrzenie i lekarstwa. Czekając dwa lub trzy dni, kobiety wywiesiły przy wejściu do obozu czerwony sztandar, „aby ogłosić światu, że jesteśmy wolne”, opowiadała Antonina. Czeszki poprosiły Antoninę o „zgodę” na powieszenie na bloku flagi państwowej i wkrótce każda narodowość miała swoją flagę. Antonina opisała, jak wszystkie podwoiły wysiłki, aby pomóc chorym, sporządzały tabele kaloryczności, wyszukiwały jedzenie i sienniki, próbowały sprzątać. Nie wspomina o tym, że i w obozie, i poza obozem radzieccy żołnierze systematycznie gwałcili więźniarki i cywilne Niemki.

Świadkiem seksualnego szału Armii Czerwonej w Ravensbrück była Ilse Heinrich, niemiecka aspołeczna, która była zbyt słaba, żeby wstać z łóżka, kiedy nadjechała radziecka przednia straż. Kilka godzin później Ilse i inne przykute do łóżka więźniarki zobaczyły radzieckich żołnierzy, pijanych i skłonnych do gwałcenia nawet chorych i umierających kobiet. „A potem się zaczęło – powiedziała. – Myślałam wtedy tylko o jednym, żeby umrzeć, ponieważ byłam niczym żywy trup. Później, kiedy przybyli wyżsi rangą oficerowie i umieścili swoje kwatery w obozie, zapanował względny spokój i porządek. Ale najpierw musiałyśmy przez to przejść! To było najgorsze ze wszystkiego. A ja byłam na wpół żywa”.

Trudno podać liczbę gwałtów, do jakich doszło za murami obozu głównego: wiele ofiar – tak jak powiedziała Ilse Heinrich, na wpół żywych – nie przeżyło po wojnie na tyle długo, aby o tym opowiedzieć. Antonina, wyższa rangą czerwonoarmistka, która została w obozie, najwyraźniej nigdy o tym nie wspomniała, podobnie jak inne wysoko postawione komunistki. Tylko Zdenka zdecydowała się potem mówić i ujawniła, że żołnierze radzieccy gwałcili nie

tylko chore i umierające, ale też kobiety w obozowym bloku dla matek. Po ewakuacji w obozie zostało wiele kobiet w zbyt zaawansowanej ciąży, aby maszerować, i wiele kobiet z noworodkami; wszystkie umieszczone w jednym bloku. Niedługo po przybyciu wyzwolicieli z Armii Czerwonej jedna z tych kobiet przybiegła z krzykiem do Zdenki. „Krzyczała, że przyszli żołnierze, zamknęli się w bloku i próbują gwałcić kobiety”. Zdenka natychmiast pobiegła po pomoc do majora Siergieja Bułanowa – darzonego szacunkiem lekarza. Bułanow musiał szybko ustalić, że żołnierze posunęli się za daleko, ponieważ po krótkim czasie więźniarki usłyszały strzały. „A następnego dnia rano dowiedziałyśmy się, że żołnierzy rozstrzelano – wspominała Zdenka. – Wtedy pomyślałyśmy, że może zostali ukarani zbyt surowo”.

Chociaż wiele starszych Rosjank niechętnie mówiło o gwałtach, młodsze ocalałe kobiety dziś nie są już takie powściągliwe. Nadia Wasiljewna należała do pielęgniarek Armii Czerwonej osaczonych przez Niemców na klifach Krymu. Trzy lata później w Neustrelitz, na północny zachód od Ravensbrück, razem z innymi czerwonoarmistkami zostały ponownie osaczone, tym razem przez własnych radzieckich wyzwolicieli, pałających żądzą gwałtu.

Nadia znalazła się w grupie towarzyszącej Jewgienii Łazariewnej Klemm na drodze do Neustrelitz – grupie, która wpadła prosto na radzieckich żołnierzy. „Na początku witali nas jak siostry – opowiadała Nadia. – Pamiętam, jak żołnierze wychodzili do nas i mówili: «Już dobrze, pójdziecie z nami». Na widok naszych czołgów na drodze nie posiadałyśmy się z radości”.

Wkrótce zachowanie żołnierzy zaczęło się zmieniać. Było ciemno, gdy kolumna dotarła do Neustrelitz, a „oni zaczęli chodzić za nami, gonić nas i zaczepiać, i nie chcieli zostawić nas w spokoju. Zmienili się w dzikie bestie. Byli pijani”.

Stało się jasne, że w mieście kobiety nie mają gdzie spać.

Było tu wiele innych kobiet, nie tylko z Armii Czerwonej, więc zabrali nas do wielkiego budynku przypominającego magazyn. Zaprowadzili nas do wielkiej sali i cały czas nas napastowali, jednak byliśmy zmęczone i chciało nam się spać, więc poszłyśmy do sali. Znajdowała się na pierwszym piętrze. Żołnierze poszli za nami. Zamknęłyśmy drzwi, żeby nie mogli wejść. Jewgienia Łazariewna próbowała nas w środku zabarykadować. Krzyczeli, żebyśmy ich wpuściły. Żądali najmłodszych kobiet. To było straszne. Byłam jedną z najmłodszych w grupie. Potem wołali: „Niech wyjdą do nas wszystkie dziewice!”. Zaczęli dobijać się do drzwi i do okna i zobaczyłam, że jeden z nich chwije się w oknie i wpada do środka pijany. Zaczęli wyłamywać drzwi i Jewgienia Łazariewna robiła wszystko, co mogła, żeby nas ratować. Mówiła im, że jesteśmy czerwonoarmistkami, które walczyły na froncie pod Stalingradem, Leningradem i na Krymie.

Spędziłyśmy dwa lata w obozie koncentracyjnym. „Możecie mnie zabić, ale nie pozwolę tknąć dziewcząt”, powiedziała [748](#).

Inna pielęgniarka z Odessy, Elena Barsukowa, pamięta, że kobiety krzyczały i płakały, a Jewgienia Łazariewna nawoływała o spokój i próbowała przekonać żołnierzy. Ale nie udało jej się powstrzymać wszystkich i kilku wdarło się do środka.

Wtedy wszedł major i wyrzucił pijanych, a Jewgienia Łazariewna błagała go, żeby nas obronił przed własnymi żołnierzami. A on się zgodził. Potem rano przyjechał dowódca i zaprowadził porządek. Wszystkie dziewczęta zostałyby tej nocy zgwałcone w Neustrelitz, gdyby nie Jewgienia Łazariewna. Jewgienia Łazariewna broniła nas na wszelkie sposoby. Ale wiem, że nasi żołnierze zgwałcili wiele dziewcząt, nawet te, które pozostały w obozie, zostały zgwałcone, tylko nasza grupa nie [749](#).

Olga Gołowina, radiooperatorka Armii Czerwonej, obecnie mieszkająca w Moskwie, opisała, jak jej grupa, która oddzieliła się do kolumny Jewgienii Łazariewnej, znalazła się w opuszczonej wsi zajętej przez żołnierzy radzieckich.

Przydzielili nam dom, ale potem żołnierze zaczęli się do nas umizgiwać. Nie byli z kobietą od wieków. Moja przyjaciółka Masza była bardzo silna, jak mężczyzna, tak że obroniła nas i pobiła ich. Poszłyśmy na skargę do komendanta, a on dał nam dwóch żołnierzy dla ochrony. Na początku siedzieli na zewnątrz, ale potem zrobiło nam się ich żal i zaprosiłyśmy ich do środka, dałyśmy im herbatę. Rano powiedzieli nam, że teraz rozumieją, przez co przeszłyśmy. „Jedna z was śpiewała przez sen, druga krzyczała na głos, a jeszcze inna płakała. Jak tego słuchaliśmy, włosy stawały nam dęba”, mówili [750](#).

Inne kobiety nie usprawiedliwiały radzieckich gwałcicieli. „Żądali zapłaty za wyzwolenie – opowiadała Elena Barsukowa. – Niemcy nigdy nie gwałcili więźniarek, bo byłyśmy dla nich ruskimi świniami, ale nasi własni żołnierze nas gwałcili. Ich zachowanie było obrzydliwe. Stalin powiedział, że prawdziwi żołnierze nie dają się wziąć do niewoli, więc uważali, że mogą nas traktować jak śmieci”.

Podobnie jak Rosjanki, były więźniarki z Polski również przez wiele lat niechętnie rozmawiały o gwałtach czerwonoarmistów. „Nasi radzieccy wyzwoliciele przerażali nas – mówiła Krystyna Zając. – Ale później nie mogłyśmy o tym mówić, ponieważ władzę w Polsce objęli komuniści”. Mimo

to Polki, Jugosłowianki, Czeszki i Francuzki, wszystkie wyznały, że zostały zgwałcone, gdy tylko dotarły do radzieckich linii. Mówiły, że żołnierze „polowali” na nie, „chwytali” lub „osaczali”, a potem gwałcili.

W swoich wspomnieniach Wanda Wojtasik, „królik”, mówi, że nie dawało się spotkać Rosjanina i nie zostać zgwałconą. Kiedy ona, Krysia i ich lubelskie przyjaciółki wędrowały na wschód do domu, żołnierze atakowali je za każdym zakrętem. Czasem zaczepki zaczynały się od romantycznych podchodów „ślicznych” chłopaków, ale te podchody szybko przechodziły w molestowanie, a potem gwałt. Wanda nie mówi, czy sama została zgwałcona, ale opisuje sytuacje, w których żołnierze rzucali się na jej koleżanki lub napadali na nie w domach, gdzie szukały schronienia, albo wciągały w krzaki, skąd wychodziły, krzycząc i płacząc. „Od tamtej pory już nigdy nie siadałyśmy do aut. Słyszymy piechotę. I już nigdy nie ośmieliłyśmy się pokazać we wsi”. Kiedy spały, jedna stała na warcie<sup>751</sup>.

Izabela Rek, również „królik”, z okrutnie pokiereszowanymi nogami, nie miała nadziei na ucieczkę przed radzieckimi żołnierzami. Z pomocą przyjaciółek Izabela próbowała schronić się w lesie.

Nagle wyszliśmy nad rzekę i pojawiło się kilku radzieckich żołnierzy. Jeden powiedział do mnie, żebym się nie bała, ale inne zostały odciągnięte na bok i słyszałam ich krzyki, bardzo, bardzo blisko, płacz i krzyki. Potem napadli na nas wszystkie i zgwałcili, chociaż wiedzieli, że byłyśmy więźniarkami. Kiedy o tym, co się stało, powiedziałyśmy innej grupie żołnierzy, powiedzieli, że pójdą z nami i wezmą nas pod opiekę. Dwie dziewczyny poszły z nimi, ale nigdy już ich nie zobaczyłyśmy<sup>752</sup>.

Francuska nauczycielka Micheline Maurel, która pod koniec wojny ważyła zaledwie 35 kilo i była wyniszczona przez dyzenterię i świerzb, szczegółowo opisuje systematyczne gwałty. 1 maja Micheline zobaczyła pierwszego czerwonoarmistę. „Wielki, przysadzisty facet, wesoły i beztroski” wszedł na podwórze przed stodołę, gdzie ukrywała się z przyjaciółkami Michelle i Renée po tym, jak uciekły z marszu ewakuacyjnego z Neubrandenburga. „Od razu zgwałcił Michelle, a potem wszedł i ruszył przez pole, a pociski fruwały mu nad głową”<sup>753</sup>. Tego samego dnia, kiedy szukałyśmy jedzenia w płonącym miasteczku Waren, Michelle i Renée znowu kilka razy zostały zgwałcone przez Rosjan, którzy siedzieli w splądrowanych domach.

Drugiego dnia „wyzwolenia” trzy przyjaciółki nadal ukrywały się w tej

samej stodole, kiedy nadjechał oddział kozaków. „Wyglądali jak z obrazka, wspaniali mężczyźni w papachach, długich dopasowanych płaszczach i butach z ostrogami, wjechali na wybornych rumakach i paradowali po podwórzu. Przywieźli gramofon i włączyli muzykę taneczną. Poczęstowali nas wódką w dużych kubkach i to pomogło uśmierzyć nasze bóle”.

Micheline mówi, że uniknęła gwałtu tylko dlatego, że wmówiła żołnierzom, iż jej wrzody są śmiertelne i zaraźliwe. Ale jej przyjaciółka Michelle nie miała wrzodów. „Próbowałam jej bronić, ale to nic nie dało – mówiła Micheline. – Ani też tak naprawdę nie chodziło o ochronę, ponieważ Rosjanie nie mieli złych zamiarów, nie zachowywali się wrogo. Wręcz przeciwnie, przepełniała ich serdeczność, pomieszana ze współczuciem, co demonstrowali od razu: «Francuzki? Wy Francuzki, ja Rosjanin, to wszystko jedno! Jesteście mi jak siostry. Połóżcie się przy mnie»”.

Z dnia na dzień zdrowie trójki Francuzek się pogarszało; z dnia na dzień więcej Rosjan napastowało kobiety, gdy napotykali je na swojej drodze. Historia zawsze wyglądała tak samo. „Czy to byli wysocy blondyni z opadającym wąsem, mali żółci Mongołowie z krzywymi nogami, wspaniali smagli kozacy, wszystkim tłumaczyłyśmy to samo: «Dwa lata w obozie, jesteśmy wycieńczone, zostawcie nas w spokoju». Ale oni chcieli kochać się z francuskimi siostrami”.

Jeden Rosjanin, kiedy usłyszał, że kobiety są Francuzkami, które przeżyły obóz koncentracyjny, zerwał się na równe nogi i oświadczył: „Jesteście zwycięzcami, tak jak my, a śpicie na sianie, podczas gdy obok niemiecka rodzina śpi w łózkach”. Na to podniósł karabin do góry i powiedział: „Zabiję ich. Będziecie spać w ich łóżku”. Potem Rosjanin zaprowadził Francuzki do domu, gdzie niemiecka rodzina, w tym kilkoro dzieci, jadła kolację. Rosjanin pokazał na karabin i krzyczał do Niemców *Kaput, kaput!*, a Micheline tłumaczyła rodzinie jego słowa. Niemiecki rolnik wstał i zaprowadził kobiety do pokoju z łózkami. Potem Rosjanin wyszedł, uściskał Francuzki i zabrał ze sobą niemiecką dziewczynkę. „Późną nocą wróciła do gospodarstwa zapłakana”.

Nie ma wątpliwości, że największa przemoc dotknęła niemieckie kobiety. „Pamiętam, że mama mocno przyciskała do piersi moją małą siostrzyczkę, żeby ją chronić. Mówiła, że Rosjanie mają szacunek dla małych dzieci”, wspominał Wolfgang Stegemann, wówczas dwunastolatek z Fürstenberga. Godzinę wcześniej niemieccy żołnierze opuścili miasteczko. „Było bardzo



cicho, a potem rozległ się wielki hałas, gdy Rosjanie pieszo weszli do miasta. Wielu było pijanych, wchodzili do domów i wszystko niszczyli. Dochodziło do wielu okrucieństw. Wielu gwałtów”.

Rudolf Rehländer, który wychował się w tej samej oddalonej o 5 kilometrów wsi co Dorothea Binz, pamiętał, co stało się, kiedy Armia Czerwona weszła do Altglobsow. „Pierwsi żołnierze zdemolowali nasze domy. Wszystko splądrowali, buty, ubrania. Wychodzili ze wsi, mając po pięć, sześć zegarków na rękę. Potem zaczęli gwałcić. Pierwsi żołnierze byli najgorsi. To oni dopuścili się największych gwałtów. Prawie każda kobieta we wsi została zgwałcona, chyba że udało jej się ukryć”.

Zastanawiałam się, czy matka Dorothei nadal przebywała we wsi. Zdaniem Rudolfa tak, ponieważ jej rodzina prowadziła wiejską gospodę, gdzie piła Rose Binz. „Moim zadaniem było napełnianie kieliszków, a z kieliszkami Rose Binz nie nadążałem”.

Wszędzie wyglądało to tak samo, mówi Rudolf, a w owym czasie we wsi prawie nie było mężczyzn; albo walczyli na froncie, albo uciekli, albo popełnili samobójstwo. Rudolf, zaledwie siedemnastoletni, był jednym z najstarszych, którzy zostali, więc razem z innymi chłopcami musiał zajmować się grzebaniem ciał. Burmistrz i trzech inni wysoko postawieni naziści z miasteczka popełnili samobójstwo.

Pamiętam, że właśnie chowaliśmy burmistrza, kiedy ktoś krzyknął: „Chodźcie szybko!”, ponieważ znaleźli orstbauernführera [przewodniczący wsi]. Pobiegliśmy tam i zastaliśmy straszliwy widok. Oboje, on i żona, powiesili się, ale już ich odcięli, więc leżeli na ziemi. Kobieta była naga od pasa w dół i miała wetknięty w pochwę patyk. Leżała tam w lesie, a my musieliśmy ich pochować<sup>754</sup>.

Spytałam oficera politycznego Armii Czerwonej, Jakowa Drabkina, co myślał o okrucieństwach.

Tak, to wszystko się działo. Po tym, przez co przeszli nasi żołnierze, trudno było ich przekonać, żeby nie zabijali każdego Niemca napotkanego na drodze. Gdy wojna się skończyła, musiałem rozmawiać z niemieckimi mieszkańcami i tłumaczyć, że Armia Czerwona nie jest zła. Musiałem tłumaczyć się przed narodem niemieckim ze wszystkich naszych zbrodni, a w odpowiedzi zawsze słyszałem o gwałtach<sup>755</sup>.

Spytałam go o gwałty na więźniarkach z Ravensbrück. Na początku wyraził

zaskoczenie, że w ogóle do czegoś takiego doszło, „ponieważ one były w tak strasznym stanie”. Powiedział:

Należy pamiętać, że to była straszna, potworna wojna i każdy, kto przez nią przeszedł, zatracił ludzkie cechy. Żołnierze musieli przebić sobie drogę przez płonący Gdańsk. Płonęło całe miasto. Potem po prostu chcieli przeżyć i doczekać do końca. I proszę pamiętać, że w Fürstenbergu to jeszcze nie był koniec. Berlin jeszcze nie został wzięty. Zostało jeszcze kilka dni.

Na początku maja walczące wojska w większości minęły Ravensbrück, ale major Bułanow został, aby dopilnować porządku, i wprowadził się do willi Dorothei Binz. „Zachowywał się przyzwoicie” i starał się pomagać kobietom, ale w obozie panował teraz chaos, wszędzie włóczyli się więźniowie obu płci, plądrowali i niszczyli. Ani on, ani jego podwładni nie byli w stanie ustalić, ilu więźniów się tu znajduje ani kim są. Nie kontrolowali zgonów. „Po przybyciu Rosjan kobiety zaczęły umierać szybciej – opowiadała Kamila Janowicz, Polka, która została w obozie, żeby pomagać. – Myślę, że tak bardzo pragnęły wytrzymać do wyzwolenia, że kiedy się odprężyły – umarły”. Nie było ich jak spalić ani pochować, więc zwłoki nadal się piętrzyły. Wiele więźniarek umarło daleko od obozu, prawdopodobnie dlatego, że za dużo zjadły i wypiły, a ich wycieńczone organizmy tego nie wytrzymały.

Więźniarki błąkały się po Fürstenbergu. „Pamiętam, jak siedziały na ulicach i pod drzewami – opowiadał Wolfgang Stegemann. – Wydawały się bardzo spokojne. Bardzo nieśmiałe”. Major Bułanow wezwał miejscowych – obecnie głównie kobiety – aby przyszły do obozu i pomogły przy sprzątanii i grzebaniu zmarłych. „Kiedy moja matka wróciła, była bardzo smutna i przygnębiona, ale nigdy nie opowiedziała mi, co widziała”, wspominał Stegemann.

Sowieci przywieźli lepsze jedzenie, krew i leki, podłączyli też z powrotem elektryczność. Camilla Sovotna pamięta, że przyjechał francuski ksiądz, pojawiła się też Brytyjka o imieniu Pat, aby pomóc.

Pewnego dnia Marie-Claude poszła poszukać sienników w domach esesmanów i znalazła więźnia śpiącego w wielkim łóżku, „z głową na puchowej poduszce i pod różową atlasową kołdrą”. Innym razem weszła do domu Suhrena. Znalazła fortepian i grała na nim przez kilka godzin. „Poczułam, jak wzbierają we mnie nadzieje i pragnienia, pogrzebane już tak dawno”.

Osiemdziesiąt kilometrów dalej na północny zachód Fritz Suhren uciekał,

aby zacząć nowe życie.

Założenie Suhrena, że podobóz Malchow będzie ostatnim bezpiecznym schronieniem dla SS, obróciło się przeciwko niemu. 2 maja stało się jasne, że do Malchow zbliżają się nie Amerykanie, lecz Armia Czerwona, i że obóz padnie za kilka godzin. Odette, przetrzymywana tam jako zakładniczka przez ostatnie cztery dni, opisywała, że obóz usiany był zwłokami, a esesmani co jakiś czas otwierali ogień do więźniów.

Kiedy przybyło jeszcze więcej więźniów i rzeź się nasiliła, Odette poprosiła Suhrena, żeby otworzył bramy i pozwolił wszystkim wyjść. Swojej biografce opisała sceny rozgrywające się przed biurem Suhrena. Radio nadawało wiadomości o upadku Berlina, kapitulacji Niemiec we Włoszech oraz o zajęciu przez Brytyjczyków Lubeki. W środku zastała zapłakanego komendanta. „Adolf Hitler, Führer Niemiec, nie żyje. Zginął bohaterską śmiercią na pierwszej linii walki – powiedział jej. A usta drgały mu od nieopanowanego smutku”.

Suhren powiedział Odette, żeby wsiadła do jego czarnego mercedesa razem z dwiema Polkami, które pracowały dla niego w Ravensbrück, i żeby zabrały jego białego psa, Lotti. Odjechali pod eskortą esesmanów w samochodach z przodu i z tyłu. Po dwóch godzinach pojazdy zatrzymały się w lesie. „Suhren otworzył tylne drzwi, wysiadł z naręczem dokumentów, podszedł do skraju lasu i rozpałił ognisko. To była dokumentacja z Ravensbrück. Gdy papiery spłonęły, rozgarnął nogą popiół i upewnił się, że nic nie zostało”.

Potem Suhren odwrócił się do Odette i powiedział: „No i już. Jesteście głodne?”. Wyjął kanapki „owinięte w białą serwetkę”, słoik kandyzowanych wiśni i butelkę wina. Pokazał jej etykietę – Nuits-Saint-Georges – i rzekł: „Proszę. Prawdziwy francuski burgund”.

Konwój jechał dalej i po jakimś czasie Suhren powiedział Odette, że wiezie ich do Amerykanów. Nie uwierzyła mu i powiedziała, że gdy Amerykanie zobaczą eskortę SS, otworzą ogień i „wszyscy zginiemy”. Suhren odparł: „Masz rację”. Zatrzymał się i rozkazał pozostałym samochodom, aby zostały w tyle.

Gdy zapadł zmrok, dojechali do wsi Rostoff. Odette zobaczyła przy zężeniu drogi grupę żołnierzy w nieznanych jej mundurach. „Jeden z nich trzymał karabin, stał na środku drogi i krzyknął, żeby zatrzymać auto”. Łamaną angielszczyzną Suhren powiedział do amerykańskiego żołnierza: „To jest miss Churchill, krewna Winstona Churchilla, premiera Anglii”. Odette opowiadała,

że potem wysiadła z samochodu i dodała: „A to jest Fritz Suhren, komendant obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Weźcie go, proszę, jako jeńca”.

Gdy alianci parli naprzód, zagarniając każdy skrawek terytorium, więźniowie, którzy błakali się po ziemi niczyjej, natykali się na postępujące wojska amerykańskie, radzieckie, francuskie i brytyjskie. Do 5 maja wszystkie pozostałe podobozы zostały już wyzwolone, z wyjątkiem Neurolau w Sudetach. Tutaj, tego dnia, Maria Bielicka z polskimi koleżankami czekała na koniec wojny.

Po tym, jak esesmani zostawili je ukryte w magazynie piwa, Maria z grupką dziewcząt cofnęła się stamtąd drogą do Neurolau. Wiedziały, że kierownik fabryki porcelany, Niemiec, prawdopodobnie jeszcze tam jest, uznały natomiast, że wszyscy esesmani musieli już uciec. Neurolau wydawało się najbezpieczniejszym miejscem, by oczekiwać na wyzwolenie.

Za Sudetami, kilka kilometrów od Neurolau, toczyła się jedna z ostatnich bitew tej wojny w Europie. Siły amerykańskie otoczyły ponad 100 tysięcy niemieckich żołnierzy, w tym dwie dywizje pancerne, których dowódcy nie chcieli się poddać.

„Nie miałyśmy pojęcia, co się dzieje”, mówiła Maria.

Zastanawialiśmy się, czy ta wojna w ogóle się skończy. Potem pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że już po wszystkim, i krzyczałyśmy jak szalone; postanowiłyśmy, że nie będziemy tam dłużej siedzieć. Zorientowałyśmy się, że Rosjanie są tylko 14 kilometrów dalej, i nie chciałyśmy wpaść w ich ręce. Ale musiałyśmy działać szybko, żeby na czas dostać się do Amerykanów.

Poszłam więc do dyrektora fabryki i powiedziałam: „Potrzebuję na jutro ciężarówkę z kierowcą, 30 bochenków chleba i trzy worki ziemniaków”. Powiedział, że dobrze, ale musimy potem odesłać z powrotem ciężarówkę. Powiedział, że niedługo przyjdą Rosjanie, sprawdzą stan inwentarza i będzie miał kłopoty, jeśli ciężarówka zginie. Głupi, powinien był uciekać w tej ciężarówce, zamiast się o to martwić<sup>756</sup>.

Spytałam, co stało się z tym człowiekiem.

Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Pewnie go zastrzelili. Ale dostałyśmy ciężarówkę. A zanim wyruszyłyśmy w drogę, pokazał nam swoją najlepszą porcelanę. Pamiętam taki przepiękny serwis wykonany przed wojną dla naszego prezydenta, z wizerunkiem orła. Chciał udowodnić, że jest po naszej stronie. Potem życzył nam powodzenia i próbował ucisnąć moją rękę. Powiedziałam: „Nie”. Na to było już za późno.

Kierowca ciężarówki podwiózł kobiety 5 kilometrów, wysadził na skrzyżowaniu i wrócił po drugą turę. „Stałyśmy tam i nagle zobaczyłyśmy amerykańskiego żołnierza. Siedział sam na poboczu i palił, o tak”, Maria pokazała powolne zaciąganie się papierosem.

Podeszłyśmy, a on spytał: „Kim, u licha, jesteście?”. „Byłyśmy w obozie koncentracyjnym”, odpowiedziałyśmy. Spytał: „A co to takiego?”. Rozmawialiśmy po angielsku, ale wkrótce odkryłyśmy, że był to Polak z Chicago.

Powiedział: „O mój Boże, co ja z wami zrobię? Jesteście głodne?”.

Potem popatrzył na nas i rzekł: „Wiedzie, dziś nic dla was nie możemy zrobić. Mamy pełne ręce roboty. Właśnie wzięliśmy do niewoli milion Niemców”. Potem Amerykanin wstał i powiedział: „Chodźcie za mną kawałek”. Pomyślałyśmy, że to dziwne, a on zaprowadził nas na szczyt wzgórza i wskazał w dół, a my zobaczyłyśmy morze Niemców. Powiedział nam, że to cała 7 armia Hitlera. Właśnie się poddali. Było ich mnóstwo, wszędzie, jak okiem sięgnął. Leżeli, siedzieli lub stali. Widziałyśmy czołgi i góry amunicji. A my tam stałyśmy w naszych obozowych pasiakach i patrzyłyśmy na nich. I nie posiadałyśmy się z radości.

[739](#) Grossman, *Writer at War*.

[740](#) WO 235/318.

[741](#) Wywiad autorki.

[742](#) Maurel, *Ravensbrück*.

[743](#) Wywiad autorki.

[744](#) Wywiad autorki.

[745](#) Miednikow, *Dola biessmiertija*.

[746](#) „A la Guerre Comme à la Guerre”, wywiad z Michailem Iwanowiczem Stachanowem, obecnie emerytowanym pułkownikiem, przeprowadzony przez dziennikarkę Natalię Jeromienkową w: „Russkaja Gazieta” 2005, nr 17.

[747](#) Wywiad autorki.

[748](#) Wywiad autorki.

[749](#) Wywiad autorki.

[750](#) Wywiad autorki.

[751](#) *I boję się snów*, s. 174 i nast.

[752](#) Wywiad autorki.

[753](#) Maurel, *Ravensbrück*.

[754](#) Wywiad autorki.

[755](#) Wywiad autorki. Ucieczka Odette z Suhrenem opisana została w: Tickell, *Odette*, i w jej zeznaniu z maja 1946 roku (WO 235/318).

[756](#) Wywiad autorki.

## Epilog

28 kwietnia przy porywistym wietrze południowy prom z Kopenhagi przybił do nabrzeża w Malmö i pierwsze więźniarki uratowane z Ravensbrück przez białe autobusy Bernadotte'a zeszyły po trapie.

„Wszystkie w cienkich łachmanach, butach zrobionych z papieru i drewna”, napisał dziennikarz. Część zniesiono na noszach. Część ścisnęła pudełka z czerwonym krzyżem i małe pakunki z listami zmarłych. Ann Sheridan niosła buteleczkę trucizny przeschmuglowanej z Jugendlagru. Holenderka Anne Hendrix tuliła pudełko ze swoim śpiącym dwumiesięcznym dzieckiem.

Na lądzie kobiety dostrzegły szeregi namiotów, z których wyszli mężczyźni w białych fartuchach i poprosili, żeby się rozebrały; kobiety krzyknęły ze zgrozy. W namiotach spryskano je środkiem odkażającym i skierowano pod prysznice. „Pomyślałyśmy: co? Znowu ten sam koszmar?”, wspomina Yvonne Baseden.

Ze swej strony lekarze, którzy badali kobiety po przyjeździe, byli przerażeni tym, co widzieli. Jeden opowiadał, jak kobieta krzyczała ze strachu na jego widok – mężczyzny w białym fartuchu. Wykrzykiwała: „Nie chcę się spalić, nie chcę się spalić!”. Część pielęgniarek mdlała<sup>757</sup>.

Pierwszej nocy kobiety umieszczono w wyniosłej cytadeli w Malmö, której część mieściła muzeum; Yvonne spała pod dinozaurem.

Gdy George Clutton, drugi sekretarz ambasady Zjednoczonego Królestwa, przyjechał zameldować o przybyciu grupy brytyjskiej, kobiety odzyskały siły i powitały go z przywieszkami z Union Jackiem, które posłała im lady Mallet, żona ambasadora brytyjskiego w Szwecji. Część zakręciła włosy, wzięła torebki i biżuterię, ofiarowane przez mieszkańców. Dla młodego dyplomaty Brytyjki stanowiły zaskakujący widok. Julia Barry, policjantka obozowa, była „bardzo radosną damą i wzruszającą patriotką Wysp Normandzkich. Jej główną troską był powrót na jej wyspę i odnalezienie trzech butelek sherry, które ukryła w pianinie tuż przed aresztowaniem”, zanotował Clutton. Barbara

Chatenay „ewidentnie wiele przecierpiała”, ale była „wesoła i łagodna”. Dwa razy wybrano ją do gazowania, opowiedziała Cluttonowi, ale po protestach, że nie mogą zagazować Angielki, dwukrotnie została ocalona.

Najniezwyklejsza była hrabina Françoise de Laverney, która „spędziła sześć tygodni w izolatce, kiedy to karmiono ją tylko raz w tygodniu. Miała cenny diamentowy pierścionek, diamentową bransoletkę i diamentową broszkę, które ukrywała przed Niemcami, połykając je raz po raz”.

Clutton relacjonował, że kobiety okazywały „radość życia, jakiej nigdy nie spotkałem u istoty ludzkiej”, dodał też, że być może wynikało to z ich poczucia „triumfu nad śmiercią i złem” i świadomości, że ocalały dzięki łutowi szczęścia.

Zauważył, że inne Brytyjki nie miały tyle szczęścia. Pannę Jackson zamordowano w Jugendlagrze, a panią Gould z Jersey „zagazowano i spalono”. Clutton słyszał o Irlandce, „która zmarła z głodu w bloku 22”, podczas gdy mistrzyni golfa Pat Cheramy została „wysłana do Mauthausen. Los nieznan”. Mary Young, szkocka pielęgniarka, została „zabita w Jugendlagrze, za słaba, by stawić opór”. Wieści o zamordowaniu agentek SOE przekazano na Baker Street. Jedna z grupy SOE, Yvonne Rudellat, miała zostać wysłana ostatnim transportem do Belsen<sup>758</sup>.

Clutton dostał też polecenie przygotowania raportu o samym obozie, co okazało się trudne, ponieważ opowieściom kobiet brakowało perspektywy, ale znalazł „bardzo inteligentną Francuzkę Germaine Tillion”, na której informacjach mógł polegać. Germaine, która zaczęła przekazywać swoje analizy na temat obozu od razu, gdy znalazła się w bezpiecznym miejscu, złożyła Cluttonowi sprawozdanie o pracy niewolniczej, co oznaczało „dawanie więźniarkom tylko tyle jedzenia, by utrzymać je przy życiu na czas, kiedy będą użyteczne, a potem zabicie ich i zastąpienie nowymi”<sup>759</sup>.

Kiedy raport Cluttona wylądował na biurkach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Londynie, wywołał niewiele komentarzy o losie Brytyjek wyrwanych z Ravensbrück.

Dużo więcej mówiło się o tym, czy stosowne będzie prosić Skarb o wypłacenie wyrazu brytyjskiej wdzięczności Svenowi Frykmanowi, szwedzkiemu kierowcy, który odpowiadał za wydostanie Brytyjek. Ostatecznie po wymianie serii not ustalono, że najlepiej będzie wręczyć Frykmanowi złoty zegarek.



W Niemczech obóz szybko pustoszał. W połowie maja ostatnie ocalone udały się do domów – niektóre przeszły całą drogę do Pragi, Warszawy, a nawet do Wiednia, dołączając do milionów uchodźców, eks-więźniów i niemieckich jeńców na drogach Europy. Micheline Maurel i jej przyjaciółka Michelle zatrzymały przejeżdżający wóz z francuską flagą i zostały podwiezione. Po dotarciu do amerykańskiego obozu stanęły w długiej kolejce po zupę. Zauważył je amerykański żołnierz, wziął za ręce i zaprowadził do przodu, mówiąc: „Panie przodem”. Micheline próbowała mu podziękować, ale się rozplakała.

Matki w całej Europie płakały na widok córek, które zniemacka stanęły u drzwi, ale wiele ocalonych nie miało dokąd wrócić. Cyganki po dotarciu do Austrii odkrywały zniszczone wioski. Wielu czekało w domach, ale nikt z bliskich nie wrócił. Hiszpański Żyd Louis Kugelman, uwolniony z Buchenwaldu, dowiedział się, że jego żona zginęła w Ravensbrück, a pięcioletnia córka Stella zniknęła bez śladu; rozpoczął poszukiwania.

Rosjanki czekała najdłuższa droga powrotna. Wszystkie przez kilka miesięcy przetrzymywano w tak zwanych obozach filtracyjnych, gdzie przechodziły sprawdzenie przez Smiersz, który już zaczął szukać „zdrajców”. Antonina Nikiforowa była jedną z pierwszych ofiar. Gdy oczekiwała na repatriację, zbierała materiały do książki, ale gdy funkcjonariusze Smiersza usłyszeli o tym, odebrali jej notatki i rękopis i wykorzystali je do spreparowania oskarżenia lekarki o kolaborację z nazistami. Potem przekonali towarzyszkę Antoniny, Walentynę Czeczko, do oskarżenia jej. Czeczko złożyła Smierszowi 15 czerwca 1945 roku oświadczenie, że Antonina Nikiforowa „brała udział w selekcji ludzi na zagładę” w Ravensbrück i że „dwa razy podała chorym truciznę”<sup>760</sup>. Sama Walentyna również przyznała się do selekcjonowania więźniarek. Była to ta sama Walentyna Czeczko, która później stanie przed sądem w Symferopolu i oskarży inne koleżanki.

W innym obozie filtracyjnym Jewgienia Klemm pracowała jako tłumaczka rosyjskiego generała. Inne pracowały w radzieckim sądzie wojennym, przed którym toczył się proces strażników z Ravensbrück, chociaż kilku esesmanów zostało zliczowanych.

Pod koniec roku większość Rosjanek tłoczyła się w pociągach na wschód, wioząc ze sobą skrzynie, worki, torby wypełnione rzeczami zrabowanymi z opuszczonych niemieckich domów. Elena Barsukowa wspominała, że

Jewgienia Klemm wiozła więcej niż inne; jej bagaż wypełniały dzbanki, rondle, książki, koce, stare ubrania. „Wiedziała, że nie ma do czego wracać – wspominała Elena. – Moja matka miała krowę i kurę, więc przynajmniej miałybyśmy jedzenie, ale Jewgienia nie miała żadnej rodziny”.

Pod prąd fali europejskich uchodźców armia zwycięzców – inna niż siły zbrojne – wkraczała do Niemiec. Byli to mężczyźni i kobiety, cywile i żołnierze wyznaczeni do zorganizowania zarządu wojskowego, podzielenia Niemiec na strefy okupacyjne i wyłapania zbrodniarzy wojennych.

Fritz Suhren, schwytany na amerykańskim punkcie kontrolnym z Odette Sansom, był jednym z pierwszych przestępców z Ravensbrück, którzy wpadli w ręce aliantów. Na wieść o schwytaniu komendanta brytyjska oficer SOE Vera Atkins poleciała do Niemiec, żeby przesłuchać go w sprawie zaginionych agentek. W towarzystwie szkockiego majora Angus Fyffe’a Vera – w mundurze WAAF, żeńskiej służby pomocniczej RAF-u – weszła do pokoju przesłuchań w obozie dla internowanych w Paderborn i ujrzała eleganckiego niegdyś Suhrena w skarpetkach, bryczesach i koszuli. Suhren zsalutował, ale poza tym Atkins nic z niego nie wycisnęła; zaprzeczył nawet, by w Ravensbrück przebywały jakiegokolwiek Brytyjki poza Odette.

W ostatnich chaotycznych dniach obozu Suhren działał po omacku, odcięty od rozkazów, ale teraz najwyraźniej znów trzymał się wytycznych; polecenia te, rozpowszechniane wśród esesmanów w obozach dla internowanych, mówiły, że nikt nie powinien się do niczego przyznawać, aby nie obciążać kolegów.

Vera następnie przesłuchiwała dwie dozorkynie przetrzymywane w tym samym obozie. Według Angus Fyffe’a, jedna była „kobietą w średnim wieku o bardzo niskim poziomie umysłowym”, a druga wyglądała na „głupawą”. Dozorkownie potwierdziły, że Angielki przebywały w Ravensbrück, więc Atkins i Fyffe ponownie skonfrontowali się z Suhrenem; nadal się do niczego nie przyznawał, ale „zareagował lekko” na wzmiankę o krematorium. „O tej porze było już ciemno, a celę oświetlał fluorescencyjny pasek, który nadawał Suhrenowi chorobliwy wygląd”, wspominał Fyffe<sup>761</sup>.

Wkrótce potem Percival Treite poddał się sam na brytyjskim punkcie kontrolnym; oznajmił, że porzucił swoją funkcję w Ravensbrück 30 kwietnia, „aby uniknąć walki, gdyż jego ojciec był poddanym brytyjskim”.

Dorothea Binz – widziana ostatnio, jak na rowerze ucieka z podobożu Malchow – wkrótce też została złapana, a po kilku miesiącach trafiła do małego brytyjskiego więzienia w lasach koło Minden. W pobliżu więzienia Binz zasłabła ze strachu i musiała zostać zaniesiona do środka. Być może słyszała o losie swej koleżanki z Ravensbrück Irmy Grese, wychowanki Auschwitz i Belsen oraz Ravensbrück, niedawno powieszanej. Grese powiedziała tylko jedno ostatnie słowo do brytyjskiego kata Alberta Pierrepointa: *Schnell*. W więzieniu Binz dano dla uspokojenia robótkę na drutach.

Jesienią 1945 roku uwaga świata skupiła się na Norymberdze, gdzie alianci sądzili głównych zbrodniarzy nazistowskich: między innymi Göringa, von Ribbentropa, Hessa i Speera. Byli to „wielcy spiskowcy”, powiedział Robert H. Jackson, główny prokurator amerykański, „ludzie takich stanowisk i rang, że nie brudzili sobie własnych rąk krwią, ale wiedzieli, jak użyć pomniejsze jednostki jako swe narzędzia”. Celem trybunału wojskowego w Norymberdze było ukazanie, jak ewoluował nazistowski spisek. Realizowano „wielki plan”, jak to ujął Jackson, „osiągając jeden cel, aby potem przystąpić do osiągnięcia jeszcze bardziej ambitnego”.

Podczas gdy dwudziestu czterech mężczyzn najwyższych „stanowisk i rang” wyprowadzano z ławy oskarżonych w Norymberdze, szesnastu przedstawicieli „pomniejszych jednostek”, siedem kobiet i dziewięciu mężczyzn, wypełniło ławę oskarżonych w Sądzie Wojennym nr 1 w Hamburgu. Był 5 grudnia 1946 roku i obóz kobiecy w Ravensbrück po raz pierwszy miał skupić na sobie uwagę podczas pierwszego z sześciu procesów przygotowanych przez brytyjskich śledczych. Ponieważ Ravensbrück znajdowało się w radzieckim sektorze okupacyjnym, sprawę powinni sędzić Rosjanie, ale Moskwa nie była tym zainteresowana. Ponieważ Brytyjczycy mieli szczególną wiedzę, głównie dzięki poszukiwaniom agentek SOE przez Verę Atkins, Wielka Brytania zorganizowała rozprawę.

Sceneria – zasypane gruzem ulice i kratery po bombach – przypominała Norymbergę, ale w Hamburgu panowała zupełnie inna atmosfera: mniej podniosła, bardziej intymna, bardziej kobieca.

Oskarżone kobiety, w tym trzy kapo, jako pierwsze zasiadły na ławie

oskarżonych, potem podeszli mężczyźni i rozpoczęli ożywione rozmowy ze swymi prawnikami. Każdy więzień miał na szyi biały karton z czarnym numerem. Brakowało obu komendantów: Max Koegel powiesił się na pasie z koca. Fritz Suhren uciekł z celi kilka dni przed procesem. Inni również zniknęli. Mimo to osoby na ławie oskarżonych były reprezentatywne dla popełnionych w obozie zbrodni, szczególnie że ostatnio w ręce Brytyjczyków wpadł Johann Schwarzhuber, wyszkolony w Auschwitz specjalista od gazowania. Oskarżeni z pewnością mieli wiele krwi na rękach, chociaż te „pomniejsze jednostki” nie wyglądały jak masowi mordercy.

Minie kolejnych piętnaście lat, zanim w 1961 roku Hannah Arendt ukuje termin „banalność zła” w sprawozdaniu z jerozolimskiego procesu Adolfa Eichmanna, ale pisarz Jerrard Tickell, zasiadający w łoży prasowej, zauważył tu ten sam fenomen. Nadzorcynie w ławie oskarżonych „mogłyby wyjść z kolejki po chleb w dowolnym niemieckim mieście”, napisał<sup>762</sup>.

Binz zadała sobie nawet trud i zrobiła trwałą na tę okazję. Elisabeth Marschall „siedziała wyprostowana, jakby wykuta z granitu”, opisywał Tickell. Bardziej zauważalne były kapo: Carmen Mory, blokowa dziesiątki, skrzywiona i w futrze z lisów; Vera Salvequart – „doktor Vera”, „pielęgniarka” z Jugendlagru – z wyrazem „leniwej zmysłowości” i również w futrze, zdobytym, jak mówiono, dzięki sprzedaży złotych zębów, które trzymała w bagażniku samochodu przekazanego jej przez amerykańskich żołnierzy w czasie ucieczki<sup>763</sup>.

Mężczyźni również wyglądali zwyczajnie. Tylko Percival Treite się wyróżniał; wyglądałby „bardziej na miejscu w gabinecie lekarskim przy Harley Street”, stwierdził Tickell, co pewnie było wystudiowaną pozą dla podkreślenia angielskich korzeni.

Jednak to właśnie zwyczajność oskarżonych w Hamburgu czyniła ten dramat tak szokującym. W Norymberdze sędziowie słuchali o motywach „wielkich spiskowców”, ale tu dowiadywali się od miejscowych dziewcząt, Binz i Bösel, które przyjechały do pracy do Ravensbrück, że robiły, co im kazano.

Zapytana, czemu popełniła swoje zbrodnie, Grete Bösel odparła: „Zachowywałam się przyzwoicie, ale po dwóch tygodniach zmieniłam się i przyjąłam metody powszechnie wykorzystywane”. Kiedy spytano Dorotheę Binz, dlaczego nie powiedziała nikomu o okrucieństwach, których była świadkiem, odrzekła: „To nie miało sensu, bo wszyscy wiedzieli”.

Dziewiętnastoletnia w chwili rozpoczęcia pracy w obozie, Dorothea była czystą kartą. Życia uczyła się podczas sześciu lat jako nadzorczyńi w Ravensbrück; świat obozu wydawał się jej normalny.

Norymberga usłyszała o „zbrodniach przeciwko ludzkości”, podczas gdy tu sędziowie słuchali o zbrodniach przeciwko kobietom, a to wywoływało szczególnie szok – i bunt. Wiedzieli o tym prawnicy oskarżenia. Młodszy oskarżyciel John da Cunha, dwudziestotrzyletni, który ledwie zaczął swą prawniczą aktywność, rozchorował się, kiedy po raz pierwszy czytał relacje z Ravensbrück podczas przygotowywania procesu. „Po pewnym czasie się uodporniłem – powiedział mi. – Każdy się uodparniał”.

Sędziowie, chociaż sztywni w swych wojskowych mundurach, jeszcze nie byli „uodpornieni”, gdy Stephen Stewart, naczelny prokurator, wygłaszał swą mowę wstępną. „W Meklemburgii, około 80 kilometrów na północ od Berlina, znajduje się grupa jezior, nad którymi bogaci z tej niegdyś wielkiej stolicy zwykli spędzać wolne dni”, zaczął, zanim przeszedł do opowiadania o „niewymawialnych rzeczach robionych z ciałami kobiet”, jak gdyby próbował stonować szczególne okrucieństwa, o których miał mówić.

Już wkrótce „niewymawialne rzeczy” zostały nazwane, ale trudno je było opisać tym, którzy nie byli w obozie. W Norymberdze sądowi pomagały filmy, „od których przewracały się żołądki świata”, oraz tysiące przejętych nazistowskich dokumentów. W Hamburgu niemal nie używano fotografii, dokumentów też było niewiele, poza tymi, które przeszmygłowały same więźniarki. Oskarżenie więc przedstawiało rysunki więźniarki Violette Lecoq, „by unaocznic, jak musiało wyglądać Ravensbrück”; wśród nich był szkic piórkiem *Agonies Juives*: pięć taczek z ciałami kobiet, które upadły w drodze do fabryki Siemens. „Inteligencja sędziów przyjmuje dowód, ale ich wyobraźnia od niego ucieka”, skomentował Tony Somerhough, szef brytyjskiej jednostki do spraw zbrodni wojennych.

Germaine Tillion później skrytykowała procesy, ponieważ niemożliwe było osądzać zbrodnie „nienormalnego świata” obozów koncentracyjnych w ramach „normalnego” sądu. Te dwa światy musiały się zderzyć, ponieważ ani sędziowie, ani prawnicy nie mogli pojąć bezprecedensowej grozy obozów. Tylko oskarżeni i świadkowie rozumieli „nienormalny świat”, twierdziła Germaine, która wraz z nimi podzielała tę straszliwą wiedzę; reszta sądu tkwiła w ciemności. Na przykład prawdopodobnie nikt w sądzie nie mógł sobie wyobrazić, co działo się w *Idiotenstübchen*, ale Loulou Le Porz,

Violette Lecoq i Jacqueline Héreil dzieliły tę wiedzę z Carmen Mory, którą oskarżały z miejsca dla świadków, podczas gdy niegdysiejsza blokowa wpatrywała się w nie jadownicę i podsuwała swym adwokatom karteczki z oskarżeniami „tych francuskich kurew” o kłamstwo. Treite również wiedział o *Idiotenstübchen*; prowadził eksperymenty na mózgach „idiotek”, by sprawdzić, co czyni je „szalonymi”, najwyraźniej nieświadomy, w czym tkwiło prawdziwe szaleństwo.

Johann Schwarzhuber mógł to wiedzieć. Za radą prawników nigdy nie zajął stanowiska, ale często spoglądał z ławy oskarżonych i próbował złapać spojrzenie Johna da Cunhy. „Wyglądało na to, jakby chciał mi pokazać, że coś rozumiał”.

Często mówiono, że esesmani i ich podwładni bez trudu zabijali w obozach śmierci na terenie Polski, ponieważ nie mieli okazji poznać swych ofiar, takie było tempo i przemysłowa skala mordów. Ale w Ravensbrück, dużo mniejszym i istniejącym tak długo, często dobrze znali więźniarki.

Nienawiść Irène Ottelard do doktora Treitego była tak osobista, że z miejsca dla świadków Irène – niemal ślepa – poprosiła kogoś o podprowadzenie do ławy oskarżonych, żeby mogła mu spojrzeć w oczy. Odmowa leczenia chorej nogi przez Treitego doprowadziła do skierowania jej do Jugendlagru, „gdzie ludzie leżeli i umierali”. Zapytana, jak tam przeżyła, odparła: „Chciałabym myśleć, że takie było moje przeznaczenie, bo chociaż kilkoro świadków tego, co się działo, powinno wrócić, by powiedzieć prawdę. Dlatego przeżyłam”.

Podobnie jak w Norymberdze, tak i w Hamburgu pojawiły się oskarżenia o stosowanie „sprawiedliwości zwycięzców”: zbadano jedynie zbrodnie przeciwko narodom alianckim, co wzbudziło trwałą gorycz wśród ocalałych Niemców. Mimo to oskarżenie wiele osiągnęło. W krótkim czasie sąd poznał najważniejsze dowody i ustalił bez wątpliwości prosty fakt, że wszystko w Ravensbrück służyło zabijaniu. Z całkowitej liczby kobiet, które przeszły przez obóz – szacowanej w owym czasie na nawet 123 tysiące – około 90 tysięcy zmarło, usłyszeli sędziowie, chociaż później ta liczba była dyskutowana. W końcu, powiedział Stewart, obóz stał się „gigantyczną maszyną eksterminacji”, „najstraszliwszym obozem kobiecym w historii”.

Przesłuchania rzuciły też światło na odwagę więźniarek, nie tylko dlatego, że większość dowodów oskarżenia opierała się na materiałach przeschmuglowanych z obozu z narażeniem życia. W powiązanych norymberskich procesach lekarzy, gdzie osądzano Karla Gebhardta i jego

ekipę z Hohenlychen, sprawa opierała się w dużym stopniu na dokumentach zabezpieczonych w obozie przez Zofię Mączkę, polską radiolog.

Ale Zofia uczyniła więcej niż tylko pomoc w skazaniu winnych. Jej najbardziej pamiętny wkład w proces to płomienne zeznanie na temat polskich więźniarek. Mówiąc o nich, jakby wyszły zwycięsko z walki na froncie, Zofia stwierdziła, że „decydujące były ich heroizm, nadludzka nieustępliwość i wyjątkowa siła ducha, by przetrwać”. Eksperymenty nie wniosły nic do nauki, ale przyniosły coś ludzkości. „Żołnierze, którzy dostali Virtuti Militari, mogą z dumą stać na baczność przed Marią Kuśmierczuk”, oznajmiła Zofia. Maria prawie umarła, kiedy lekarze Gebhardta zakazili ją tężcem, ale wróciła do życia. Gebhardt po wojnie upierał się, że eksperymenty na polskich „królikach” były wymysłem Himmlera, a on jedynie wykonywał rozkazy, ale linia obrony poprzez twierdzenie o „wykonywaniu rozkazów” została już odrzucona podczas głównego procesu norymberskiego. W każdym razie stało się jasne, że wszyscy wykonywali rozkazy Himmlera – Reichsführer SS decydował o wszystkim, co działo się w obozach. W razie wątpliwości dowodził tego zaskakujący „rozkaz o chłości”, odkryty przez aliantów, który mówił, że każdą decyzję o chłości należy przedkładać bezpośrednio Reichsführerowi „do aprobaty”. Sam Himmler jednak nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie, ponieważ niedługo po aresztowaniu połknął kapsułkę z cyjankiem.

Procesy w sprawach Ravensbrück trwały przez dwa lata. W tym czasie stracono Binz, Schwarzhubera, Bindera, Ramdohra, Salvequart, Neudeck i Gebhardta. Kiedy Binz prowadzono na szubienicę, dała swój naszyjnik oficerowi i powiedziała ponoć: „Mam nadzieję, że nie uważacie nas wszystkich za złych ludzi”.

Carmen Mory została skazana na śmierć, na co zareagowała wściekłymi listami, tym razem do sędziego – „ty przebiegły, brytyjski hipokryta” – a potem wolała podciąć sobie żyły, niż zawisnąć. Treite również dostał wyrok śmierci. Załatwił sobie kilka próśb o ułaskawienie, w tym jedną od jego „Królowej Mary” (Mary Lindell) i drugą od Yvonne Baseden, ale wszystkie odrzucono, na co on również podciął sobie żyły.

W 1948 roku alianci stracili chęć karania nazistów i zarówno procesy zbrodniarzy wojennych, jak i proces denazyfikacji, w ramach którego zwolennicy nazizmu musieli się tłumaczyć i mieli zakaz zajmowania wysokich stanowisk, zostały zakończone. Były jednak wyjątki. Fritz Suhren został

ponownie schwytyany w 1949 roku i stracony, razem z Hansem Pflaumem, szefem zatrudnienia w Ravensbrück, po kolejnym procesie załogi obozu we francuskim Rastatt. Jednak od 1949 roku główny ciężar badania wojennych zbrodni nazistowskich spadł na nowe niemieckie sądy.

Powód, dla którego alianci zakończyli swoje procesy, był jasny: trwała zimna wojna, Niemcy właśnie rozpadły się na dwie części i priorytetem stała się pomoc w odbudowie Niemiec Zachodnich, aby mogły przystąpić do walki z komunistami. Najważniejszymi przestępcami, którym się upiekło, byli niemieccy przemysłowcy. Bez względu na ich współdziałanie w nazistowskim terrorze czy zyski czerpane z pracy niewolniczej, ich firmy były potrzebne do pomocy w prowadzeniu zimnej wojny. Ani jeden członek kierownictwa Siemensu czy też personel fabryki w Ravensbrück nie został nigdy oskarżony o zbrodnie wojenne w Ravensbrück ani w żadnym innym miejscu, gdzie przedsiębiorstwo wykorzystywało robotników przymusowych<sup>764</sup>. Jediną znaną akcją prawną przeciwko pracownikom Siemensu była sprawa denazyfikacyjna wszczęta w 1946 roku przez Brytyjczyków w Berlinie przeciwko Wolfowi-Dietrichowi von Witzlebenowi, szefowi kadr. Został oczyszczony z zarzutów o przestępstwa i związku z nazizmem. Sprawę wznowiono w 1948 roku, gdy komunistyczni świadkowie wnieśli nowe oskarżenia przeciwko Siemensowi i von Witzlebenowi. W 1949 roku, gdy nasiliła się radziecka blokada Berlina, oskarżenia oddalono – po części dlatego, że nie ufano motywom komunistów – i sprawę zamknięto.

Gdy procesy się skończyły, a ich protokoły przesłano do Londynu, gdzie utajniono je na trzydzieści lat, alianccy prokuratorzy nakłaniali historyków, żeby podjęli pracę tam, gdzie oni skończyli, aby zrozumieć nazistowskie zbrodnie. Ale historia wkrótce zapomniała o Ravensbrück.

Ocalone odkryły, że w domu nikt nie chce słuchać o obozie; z wielu powodów. W Londynie Special Operations Executive denerwowało się dowodami nieudolności i zdrady, które przyczyniły się do schwytania agentek SOE wywiezionych następnie do Ravensbrück. By wyciszyć skandal, weteranom SOE nie pozwolono więcej mówić o ich wojennej działalności, co oznaczało też milczenie o obozach.

Te Brytyjki, które na ochotnika zgłosiły się do pracy w ruchu oporu we Francji, również nie widziały zainteresowania swoimi historiami.



Guwernantka Mary O'Shaughnessy, która przeżyła Jugendlager, miała nadzieję napisać książkę o tym, co widziała, ale przyjaciel z Fleet Street powiedział jej, że brytyjscy czytelnicy nie będą chcieli tego czytać.

Po powrocie do domu w Stavanger w Norwegii Nelly Langholm próbowała opowiedzieć rodzinie i przyjaciołom o swych doświadczeniach, „ale siostra wzięła mnie na bok i powiedziała, że bym nie mówiła więcej takich rzeczy, bo ludzie pomyślą, że oszalałam”.

Dla Francuzów okrucieństwa popełniane na kobietach stanowiły szczególne tabu. Wiele pytano, czy zostały zgwałcone. Większość nie została, ale były mimo to traktowane jak ofiary zbiorowego gwałtu i wstydziły się. „Przed wojną byłam młodą dziewczyną, nie miałam męża i powinnam zachowywać czystość. Nie umiałam wyjaśnić, jak było, więc nic nie mówiłam. Tak było łatwiej. Nie byliśmy dumne z tego, co przeszliśmy”, wspominała Christiane de Cuverville.

Denise Dufournier pojechała do Szwajcarii na rekonwalescencję i spisała swoje wspomnienia, gdy wydarzenia miała jeszcze świeżo w pamięci, a Germaine Tillion zaczęła pracę nad swą pierwszą historią Ravensbrück, ale większość ich rodaczek zachowała milczenie. Część Francuzek uznała, że łatwiej jest zmyślić opowieść o tym, co się działo, wiedząc, że ludzie po prostu nie uwierzą w prawdę. Loulou Le Porz jednak musiała opowiedzieć prawdę w pierwszych tygodniach po powrocie do Paryża, ponieważ dostała zadanie przekazania informacji rodzinom szukającym zaginionych krewnych.

Pewnego dnia do Loulou przyszedł lekarz, który szukał siostry. „Zmarła w bloku 10. – kobieta około sześćdziesiątki. Powiedziała mi, że ukrywała w domu brytyjskich lotników, ale brat nie znał przyczyn aresztowania. Więc opowiedziałam mu wszystko. Był typowym staroświeckim człowiekiem, stał w sztywnym garniturze i meloniku. Gdy mówiłam, widziałam łzy w jego oczach”.

W powojennej Francji, która próbowała dojść do ładu z własną kolaboracją z nazistami, historie prawdziwych członków ruchu oporu – a ci, którzy wrócili z obozów, mogli tego dowieść lepiej niż większość – często były niemile widziane. „Ludzie, którzy nic nie zrobili, kroczyli dumnie po ulicach ze swymi orderami”, kpiała Loulou. Po powrocie do Paryża Michèle Agniel ledwo mogła stać, a w rezultacie dostała prawo do zakupów bez kolejki. „Ale kiedy tak zrobiłam, jakiś człowiek zaczął się skarżyć, więc powiedziałam, że właśnie wróciłam z obozu koncentracyjnego. Odparł: «*Mais quand même*, wiedzieli,

jak ustawiać kolejki w obozach, no nie?». Uderzyłam go”.

W Bordeaux Loulou Le Porz wróciła do praktyki lekarskiej i postanowiła uczcić „swoich zmarłych”, zachowując wspomnienia o nich dla siebie. „Patrzyłam, jak moje przyjaciółki umierają tak odważnie wśród robactwa i brudu, że nie mogłam rozmawiać o nich z tymi, którzy by nic nie zrozumieli”.

Jedyną osobą, o której jednak Loulou mówiła, była Anne Spoerry („Claude”), szwajcarsko-francuska lekarka, która została „zauroczona” przez Carmen Mory i pomagała bić i zabijać „wariatki” w bloku 10.<sup>765</sup> Spoerry odmówiła udziału w procesie hamburskim; zawarto z nią ugodę, na mocy której miała zostać osądzona w Szwajcarii, gdzie ją oczyszczono z zarzutów. Po procesie szwajcarskim Loulou, Violette Lecoq i inne Francuzki były zdecydowane nie dopuścić, by praktykowała medycynę we Francji, i uzyskały zakaz. Spoerry wyjechała do Kenii, gdzie żyła i pracowała jako latający lekarz; poświęciła resztę życia biednym i potrzebującym, szukając odkupienia i próbując zapomnieć o przeszłości.

Jewgienia Klemm nigdy nie zapomniała o przeszłości. Zaraz po powrocie do Odessy próbowała odbudować swoje życie. Zabrano jej mieszkanie, ale koleżanka nauczycielka użyczyła jej kąta; wróciła do starej pracy, do wykładania historii w studium pedagogicznym.

Wkrótce zaczęło się na nowo nękanie przez Smiersz. W marcu 1946 roku sześć więźniarek z Ravensbrück zostało uznanych przez sąd w Leningradzie za winne kolaboracji z „faszystami”; zesłano je na Syberię. Po tym wszystkie inne uratowane żyły w strachu. Stella Kugelman, pięcioletnia w chwili zakończenia wojny, została zabrana przez swą ostatnią obozową matkę, ciotkę Olimpiadę, do sierocińca pod Moskwą. Ciocia Olimpiada nigdy nie wróciła. „Nikt nie przychodził do mnie, bo kobiety nie chciały się przyznawać, że były w obozie, i nikt nie chciał mnie adoptować, bo byłam za chuda i żółta – wspomina Stella. – W sierocińcu nauczyli nas nie płakać ani nie krzyczeć i być możliwie cicho, żeby nic się nie stało, więc tak robiłam”<sup>766</sup>.

Terror osiągnął szczyt w 1949 roku, kiedy odbył się w Symferopolu proces lekarek, w wyniku którego trzy lekarki z Ravensbrück: Łusia Małygina, Maria Klugman i Anna Fedczenko, zostały uznane za winne współpracy z SS i zesłane do łagrów.

Podczas tego śledztwa Klemm często przesłuchiowano, ale nie została

oskarżona. Potem, na początku lat pięćdziesiątych, Stalin rozpętał kampanię przeciwko „kosmopolitom” – cudzoziemcom i Żydom – i po studium nauczycielskim zaczęły krążyć plotki, że Klemm musi być szpiegiem, ponieważ w czasie wojny przebywała na Zachodzie. W rezultacie odebrano jej prowadzenie zajęć. Przyjaciółki mówiły później o „podłych i niesprawiedliwych oskarżeniach pod adresem Klemm” wysuwanych przez towarzyszki, które „pracowały dla organów” – dla Smiersza.

W marcu 1953 roku zmarł Stalin i napięcie zaczęło spadać, ale w miejscu pracy nękanie Klemm się nasiliło i na początku września, w przeddzień nowego semestru, dostała informację, że w ogóle nie będzie mogła prowadzić zajęć. Następnego ranka – 3 września 1953 roku – Jewgienię znaleziono martwą. Powiesiła się w małej kuchni w mieszkaniu przyjaciółki. W liście pożegnalnym napisała, że odbiera sobie życie, ponieważ nie może już dłużej żyć i nikt nie zadał sobie trudu, by jej wyjaśnić dlaczego.

„Całe życie uczciwie pracowałam, wkładając w to całą duszę i energię. A do dziś nie wiem, co źle zrobiłam [...] Czy to dlatego, że faszyci wzięli mnie do niewoli w Sewastopolu i spędziłam niemal trzy lata w obozie śmierci? Czy naprawdę jestem taką kryminalistką, że nie warto ze mną rozmawiać? Nie mogę dłużej żyć”<sup>767</sup>. Przez wiele lat o samobójstwie Klemm nie wolno było mówić; większość jej towarzyszek nigdy się nie dowiedziała o jej śmierci. Ciało pochowano w anonimowym grobie.

Chociaż ich przypadek był najskrajniejszy, Rosjanki nie były jedynymi ocalonymi, które zmuszono do milczenia po wojnie. Spośród tych, które znalazły się za żelazną kurtyną, Czeszki musiały się pilnować, co opowiadają o Ravensbrück; na pewno nie mogły mówić o swej drogiej przyjaciółce Milenie Jesenskiej, napiętnowanej jako zdrajczynie komunizmu. Jej odwaga w sprzeciwianiu się nazistom przed aresztowaniem i odważny opór w obozie zostały wymazane z historii jej kraju.

Trzy lata po wojnie sam teren obozu, wówczas w radzieckiej strefie okupacyjnej, leżał opuszczony; stosy ludzkich prochów wznosiły się obok masowego grobu koło krematorium. Do głównych zabudowań wprowadził się radziecki pułk pancerny, niszcząc pozostałe baraki i plantując teren.

Grupa dawnych niemieckich więźniarek – „matki dla pokoju” – doprowadziła do wzniesienia pomnika ku czci ofiar, ale polityczna

rzeczywistość zimnej wojny oznaczała, że upamiętniono tylko komunistyczne bojowniczkę: tak jak inne obozy w NRD – Buchenwald i Sachsenhausen – Ravensbrück wkrótce stał się oficjalną komunistyczną świątynią. Głównym punktem była statua zwana *Tragende*, inspirowana historią Olgi Benario i mająca reprezentować „silną kobietę, świadomą, która pomaga słabszym towarzyszkom”. Był to pomnik dla „naszych bohaterek, które walczyły”; innymi słowy, komunistyczny ideał kobiecości. Fakt, że Olga była także Żydówką i została dlatego zamordowana, nie został wspomniany. Niekomunistyczne więźniarki – podobnie jak Cyganki, aspołeczne i inne Żydówki – również były w większości ignorowane przez wschodniemiecką historię obozu.

Jedną z głównych obozowych komunistek, Maria Wiedmaier, została przewodniczącą oficjalnej organizacji Ofiary Faszyzmu (VVN – Vereinigung der Verfolgten des Naziregimes), która mogła wskazywać, kto kwalifikuje się jako „prawdziwy bojownik przeciwko faszyzmowi” i kto powinien otrzymać pomoc i pieniądze<sup>768</sup>.

Mina Rupp, inna komunistka i obozowa weteranka, do nich nie należała. Po przybyciu do obozu Rupp została skazana na chłostę za kradzież połowy marchewki, a kiedy mianowano ją blokową, sama była więźniarką. W 1948 roku Maria Wiedmaier doniosła radzieckiej policji o obozowych zbrodniach Rupp. Na procesie przyznała się do wybierania więźniarek do gazowania i dostała wyrok 25 lat ciężkich robót w więzieniu w Dreźnie.

W połowie lat pięćdziesiątych Wiedmaier i kilka innych „matek dla pokoju” pracowało dla eneradowskiej tajnej policji, Stasi. W 1956 roku Wiedmaier, pod kryptonimem „Olga”, dostała 40 marek zachodniemieckich i przeszła przez granicę, żeby „obserwować nastroje ludności” na obszarach, gdzie szkoliły się oddziały NATO<sup>769</sup>.

W latach sześćdziesiątych Stasi schwytało strażników z Ravensbrück, którzy mieszkali na Wschodzie, i wszczęło własne procesy o zbrodnie wojenne, podczas których oskarżonych często skłaniano do wymyślania nowych okrucieństw, ponieważ wschodnie sądy chciały pokazać, że lepiej osądzają zbrodnie nazistowskie niż sądy na Zachodzie. Ich nastawienie było po części zrozumiałe; alianci nie tylko puścili wolno większość zbrodniarzy wojennych, ale też na początku lat pięćdziesiątych skrócili wyroki tym już skazanym. Herta Oberheuser, lekarka z Ravensbrück, nawet ponownie praktykowała jako

pediatra w Stocksee w Szlezwiku-Holsztynie.

Rola Siemensa w Ravensbrück i innych obozach pozostawała ukryta aż do lat sześćdziesiątych, gdy śledczy szukający rekompensat dla występujących z roszczeniami Żydów dokopali się faktów. Firma niechętnie wpłaciła niewielkie sumy na fundusz, ale nie wzięła na siebie odpowiedzialności, twierdząc, że działała pod przymusem<sup>770</sup>.

Późniejsze procesy prowadzone przed zachodnioniemieckimi sądami przyniosły niewiele wyroków skazujących, i to zwykle żałosnych<sup>771</sup>. W 1963 roku we Frankfurcie zaczął się głośny proces załogi Auschwitz; Franz Lucas, lekarz w Auschwitz i Ravensbrück, usłyszał wówczas oskarżenie o zbrodnie wojenne. Lucas pomagał więźniarkom w Ravensbrück i Loulou Le Porz czuła się zobowiązana zeznawać na jego korzyść; wspominała szczególnie, jak doktor Lucas przyniósł mleko dla ciężarnej kobiety, która potem zmarła przy porodzie w bloku 10. Ponieważ jednak proces ujawnił szczegóły wcześniejszych zbrodni Lucasa, włącznie z selekcjonowaniem Żydów do gazu w Auschwitz, jego humanitarność w Ravensbrück wyglądała wyłącznie jak próba ratowania własnej skóry. Mimo to Loulou mówi, iż nie żałuje, że wstawiła się za Lucasem; pomoc, jakiej udzielał pacjentkom bloku 10., była niepodważalna. Gdy Lucas został uwolniony, zaledwie cztery lata później przeciągnął strunę, prosząc Loulou o referencje, żeby mógł starać się o zwrot skonfiskowanego majątku. Odmówiła: „Powiedziałam nie. Wystarczy. Ta sprawa majątkowa nie miała ze mną nic wspólnego”.

Przez cały ten czas ocalone walczyły na Wschodzie i na Zachodzie o przekazanie swych wspomnień. W 1955 roku Antonina Nikiforowa wróciła z Syberii, gdzie adoptowała osieroconego chłopca, i natychmiast znów podjęła badania nad Ravensbrück, rozsyłając listy do ocalonych, prosząc o wspomnienia o obozie i próbując znaleźć sposób, by przemówić.

W 1957 roku bezzębna kobieta również wyraziła potrzebę mówienia. Johanna Langefeld zapukała do drzwi Grete Buber-Neumann we Frankfurcie, zdecydowana zrzucić z siebie ciężar swojej historii. Zanim jednak Langefeld wspomniała o swym wcześniejszym życiu i obozie, opowiedziała Grete o swej powojennej „odysei”, włącznie z wieloletnim ukrywaniem się w Polsce z pomocą dawnych więźniarek i Kościoła katolickiego.

Po wyrzuceniu z Ravensbrück w 1943 roku za pomoc polskim „królikom” Langefeld została oczyszczona z zarzutów dyscyplinarnych przez sąd SS i do

końca wojny mieszkała ze swą siostrą w Monachium. W 1946 roku została aresztowana; przesłuchiwali ją śledczy brytyjscy i amerykańscy, którzy odesłali ją do Polski, by zeznawała na procesie załogi Auschwitz w Krakowie w 1947 roku. Trzymana w polskim więzieniu, dowiedziała się od dyrektora, że Polki, dawne więźniarki obozu, wiedzą o jej uwięzieniu i są zdecydowane wydstać ją „z powodu tego, co zrobiła dla Polek w obozie”, powiedziała Grete.

Jednak kiedy Langefeld faktycznie uciekła, zrobiła to z własnej woli, a przynajmniej tak twierdziła. Była Wigilia w 1947 roku, a ją wyznaczono do mycia więziennych schodów. Dostrzegłszy szansę, wymknęła się przez frontowe drzwi na ciemne, zaśnieżone ulice Krakowa, a potem znalazła schronienie w klasztorze. Stamtąd została zabrana do innego bezpiecznego klasztoru w innym mieście.

Wiele dziś wiadomo o tym, jak Kościół katolicki pomagał nazistowskim przestępcom uniknąć schwytania, ale historia ucieczki Johanny Langefeld przybrała dziwny obrót: to dawne więźniarki Ravensbrück przekonały Kościół, by jej pomógł. Polskie ocalone odmawiają dziś ujawnienia szczegółów, ale niemal na pewno to one wyrwały ją z więzienia, a potem ukrywały przez następne dziesięć lat. W 1957 roku Langefeld zaczęła „tęsknić za domem”, jak powiedziała Grete, i chciała znów zobaczyć syna, więc polskie protektorki Langefeld przeszmużowały ją przez żelazną kurtynę. Dotarła do Niemiec Zachodnich i wtedy odszukała Grete Buber-Neumann, żeby „wyjaśnić swoje postępowanie”.

Po wysłuchaniu gościa Grete doszła do wniosku, że Langefeld była „złamanym człowiekiem, na którym spoczywa ciężkie brzemię poczucia winy”. Obie kobiety pozostały w kontakcie, a Grete raz odwiedziła Langefeld w Monachium, gdzie mieszkała. „Była za słaba, by zacząć życie na nowo. Powiedziała mi, że wolałaby siedzieć w więzieniu, co najmniej przez dwa lata, żeby zapłacić za swoje zbrodnie”. Langefeld zmarła w Augsburgu w 1975 roku.

W latach powojennych historycy głównego nurtu niewiele uczynili, żeby szczegółowo zbadać historię obozów, przedkładając nad to teoretyzowanie o nazistowskim przywództwie i jego dojściu do władzy, zamiast mówić, co się działo w rzeczywistości. Obóz dla kobiet – zawsze nisko w hierarchii SS –

w ogóle ich nie interesował, szczególnie że brakowało urzędowych dokumentów; nie ufano źródłom ustnym. Jednak po procesie Eichmanna w 1961 roku pojawiło się nowe zainteresowanie obozami zagłady dla Żydów i badania nad Holocaustem zaczęły rozkwitać. Tym razem zepchnęło to w cień obozy koncentracyjne umieszczone na terenie Niemiec. Pod koniec lat sześćdziesiątych historycy szukający nowych wersji wydarzeń zaczęli kwestionować istnienie komór gazowych w Ravensbrück<sup>772</sup>. Ocalone z obozu były w rozpacz.

Michèle Agniel siedziała w domu w Paryżu, kiedy jej matka, która straciła męża podczas wojny i zawsze mówiła o zbrodniach wojennych, weszła i rzuciła na stół przed córką gazetę. Wydrukowano w niej artykuł pewnego historyka. „Powiedziała: «A teraz popatrz. Mówią, że to się nigdy nie stało. Nie masz prawa dłużej siedzieć cicho». Miała rację. Wiele z nas czuło się winne, że nie mówiłyśmy wcześniej. Powinnyśmy mieć więcej odwagi”.

\*\*\*

W tym czasie dzieci ocalonych zaczęły zadawać pytania, ale większość z trudem uzyskiwała odpowiedzi. Gdy rozmawiałam z byłymi więźniarkami, ich dzieci i wnuki często przychodziły posłuchać; niewiele słyszało wcześniej, jak ich matki szczegółowo opowiadały o wojnie. Wielu przedstawicieli tego drugiego pokolenia zostało skrzywionych albo przez lata rozłąki, gdy matki przebywały w obozie, albo później, gdy ich matki cierpiały i nie chciały rozmawiać. Maria Wilgat, córka Krysi Czyż, autorki sekretnych listów, widziała, jak jej matka reaguje wściekłością na dźwięk języka niemieckiego albo na widok czerwonej szalwii, ale Krysia nigdy nie wyjaśniła córce przyczyn. Słyszałam o kilku osobach z drugiego pokolenia, które odebrały sobie życie. Mina Rupp, niemiecka komunistka, która odpowiadała przed radzieckim sądem za wybieranie więźniarek do gazowania, została ułaskawiona w 1954 roku. Jej córka otruła się gazem dwa miesiące przed zwolnieniem matki z więzienia w Dreźnie.

Naomi Moscovitch, jedno z żydowskich dzieci, które przybyły do obozu w 1943 roku, opowiadała o zupełnie odmiennej rodzinnej tragedii. Po wojnie wyjechała do Izraela, a kiedy się z nią tam spotkałam, przez wiele godzin mówiłyśmy o Ravensbrück, szczególnie o jej wspomnieniu bomby na



gwiazdkowym przyjęciu dla dzieci w 1944 roku. Gdy wychodziłam, rozmawiałyśmy o jej nowym życiu w Izraelu. Odparła, że było trudne. Spytała, czy wiem o zamachu bombowym na pizzerię Sbarro. 9 sierpnia 2001 roku palestyński zamachowiec samobójca i jego towarzyszka weszli do jerozolimskiej pizzerii, gdzie córka Naomi, jej mąż i ich troje dzieci jedli obiad. Wszyscy bliscy Naomi zginęli.

Na początku lat osiemdziesiątych pewna uczennica w RFN miała trudności, żeby dowiedzieć się czegoś o Ravensbrück; jej rodzice wspominali to miejsce, gdy mówili o dziadku dziewczynki, Walterze Sonntagu, jednym z pierwszych i najbardziej okrutnych lekarzy w Ravensbrück.

W obozie Sonntag ożenił się ze swoją koleżanką lekarką Gerdą Weyand; mieli córkę, Heidi. Clara<sup>773</sup>, córka Heidi, urodziła się w 1966 roku. Miała pięć lat, gdy po raz pierwszy wyczuła tabu otaczające jej dziadka; rodzice mówili, że pracował w obozie, a potem został wtrącony do więzienia, ale to z powodu pomyłonej tożsamości. „Nie mogłam dowiedzieć się więcej. W szkole uczyliśmy się o Belsen, Dachau i obozach zagłady, ale niewiele o Ravensbrück. A nauczanie nie pasowało do realnego życia. Nauczyciele musieli uważać na to, co mówią. Wiedzieli, że rodzice lub dziadkowie mogli brać w tym udział”. Tajemnica wokół dziadka unieszczęśliwiła Clare. Pojawiła się u niej wysypka na twarzy, która się nasilała, gdy poczucie tabu się pogłębiało. Gerda, babka Clary, wciąż żyła, ale trzymała się na dystans od córki i nic jej nie mówiła. „Więc moja matka została wychowana w tych wszystkich niedopowiedzeniach i próbowała zbudować sobie miły świat, wmawiając sobie, że jej ojciec nie był takim złym facetem”.

Jako nastolatka Clara zaczęła własne badania, ale nie wiedziała, gdzie się zwrócić. „Poszłam do Bundesarchiv, ale powiedzieli, że muszę mieć pozwolenie, żeby cokolwiek przeczytać. Niełatwo znaleźć coś, jeśli się nie wie jak. Szukałam w książkach, ale Ravensbrück nie było w indeksie”.

Koniec zimnej wojny przyniósł zmianę dla Ravensbrück. Zachodniemiecki dyrektor przyjechał zająć się miejscem pamięci, planowano pozbycie się komunistycznych eksponatów. Zaczęła się dyskusja, jak zachować to miejsce: jako cmentarz, scenę zbrodni czy jako ośrodek edukacji i badań naukowych? Zmiany zachodziły powoli; Rosjanie wynieśli się dopiero w 1994 roku, a do tej pory nikt nie mógł tam przyjeżdżać. Ale



w 1995 roku, w pięćdziesiątą rocznicę wyzwolenia, zaproszono ocalone i wiele z nich przyjechało z Zachodu po raz pierwszy. Tym, które na tak długo pogrzebały wspomnienia obozowe, powrót sprawił głęboki ból.

Gdy Loulou Le Porz spacerowała po terenie, widziała w pamięci ciała spiętrzone w umywalni bloku 10. i wysypujące się z kostnicy. Przemówienia i rozgadany tłum, który zebrał się na uroczystości rocznicowe, stanowiły śmieszne tło dla tych wizji umarłych i Loulou z ulgą się oddaliła. Michèle Agniel rozejrzała się dokoła i nie mogła sobie wyobrazić tej osoby – młodszej siebie – która niegdyś tu była. „Było tak, jakby chodziło o kogoś innego”.

Po ponownym zjednoczeniu Niemiec w 1990 roku ocalonym ze Wschodu wypłacono niewielkie rekompensaty, co zachęciło kobiety, które nigdy tego wcześniej nie robiły, do mówienia o obozie. Po raz pierwszy otworzyły się też archiwa w Rosji i bloku wschodnim, ujawniając nowe źródła. Na Zachodzie światło dzienne ujrzała również lawina nowych materiałów – listy dawnego esesmana znalezione w kominie, dzienniki matek, wcześniej nieczytane. Mnożyły się prace naukowe o obozach.

W Ameryce nowy komputer rejestrujący imigrantów pomógł poszukiwaczom zbrodniarzy wojennych namierzyć Elfriede Huth, obozową przewodniczkę psa, która nielegalnie wjechała do Stanów Zjednoczonych w 1959 roku. Mieszkała w Kalifornii, gdzie wyszła za Żyda Freda Rinkela, którego rodzice zginęli w Auschwitz. Elfriede została ekstradowana do Niemiec, ale szanse na proces były niewielkie. Z około 3500 dozorczyń, które przeszły przez Ravensbrück, jedynie ułamek stanął przed niemieckimi sądami, które nie spisywały nawet liczby oskarżonych. Było ich prawdopodobnie 25, a jeszcze mniej skazano. Wytropiłam Elfriede w porządnie urządzonej domu starców w Willich koło Düsseldorfu w nadziei, że porozmawiam z nią o obozie. Jej nazwisko widniało obok przycisku domofonu. „Proszę o tym zapomnieć. Nie mam nic do powiedzenia. Proszę zapomnieć”, warknęła do mikrofonu<sup>774</sup>.

Zakończenie zimnej wojny umożliwiło wnuczce doktora Sonntaga, Clarze, odwiedzenie obozu. „Martwiłam się, że pracownicy pokażą mnie oskarżycielsko palcem i powiedzą: czemu nie przyjechałaś wcześniej albo coś podobnego, ale byli bardzo mili”. Clara wiele dowiedziała się o dziadku i obozie; zauważyła, że wysypka ustąpiła. Chciała jednak wiedzieć więcej, więc udała się do Londynu, by przeczytać w National Archives zeznania z procesu Sonntaga. Zatrzymała się w pensjonacie niedaleko archiwum. „To

brzmi jak wariactwo, ale bałam się, że ktoś mógłby połączyć fakty i zrozumieć, kim jestem”.

Spytałam Clary, co chciała odkryć. Zawsze zastanawiał ją alkoholizm dziadka. „Mówili, że jeździł na rowerze dookoła stołu operacyjnego. Czasami wydaje ci się, że to nie może być prawda. Krew jest gęstsza niż woda, wie pani, a ja zawsze miałam uczucie, że coś z niego jest we mnie. Więc szukałam dla niego usprawiedliwień, jak sądzę. To znaczy, czy picie oznaczało, że miał sumienie? Czy był dupkiem, czy alkoholikiem? Potem, po przeczytaniu tego wszystkiego, wiedziałam, że to prawda”.

\*\*\*

W grudniu 2013 roku wróciłam do Ravensbrück. Fürstenberg wydawał się taki sam, odwrócony plecami do obozu za jeziorem. Miasto drogo zapłaciło za swe więzy z kobiecym obozem koncentracyjnym. Gdy czerwonoarmiści przechodzili tędy w 1945 roku, splądrowali domy i zgwałcili kobiety, a kiedy nastąpiło NRD, miejscowi musieli stać się komunistami i czcić nową komunistyczną świątynię w obozie. Gdy Rosjanie opuścili miasto, mieszkańcy starali się o pozwolenie na zbudowanie w tym miejscu supermarketu. Prośbę odrzucono.

W lesie nad jeziorem słońce roztapiało szron na gałęziach. Wiele się zmieniło: przygotowano nową wystawę, a nad jeziorem uruchomiono centrum dla odwiedzających. Ravensbrück obecnie przyjmuje 150 tysięcy gości rocznie, chociaż obóz w Sachsenhausen, bliżej Berlina, przyciąga ich dużo więcej – a przy okazji też więcej pieniędzy. „Zawsze byliśmy na marginesie historii”, zauważa Insa Eschebach, dyrektor miejsca pamięci.

Jest wiele pretekstów do marginalizowania obozu: był mniejszy niż wiele innych; nie pasuje do powszechnej narracji historycznej; jego dokumentacja została zniszczona; ukryty był za żelazną kurtyną; więźniarkami były tylko kobiety. A właśnie dlatego, że był obozem dla kobiet, Ravensbrück powinien wstrząsnąć sumieniem świata. Inne obozy pokazywały, co ludzie mogą zgotować ludziom. Obozy zagłady pokazywały, co ludzie mogą zrobić całej rasie. Ravensbrück pokazywało, co ludzie mogą zrobić kobietom. Nigdy wcześniej nie widziano takiej natury i skali okrucieństw popełnionych na kobietach. Ravensbrück nigdy nie powinno „na marginesie” walczyć o głos:

było – i nadal jest – historią jedyną w swoim rodzaju.

Naziści dopuścili się okrucieństw wobec kobiet również w innych miejscach: ponad połowę Żydów zabitych w obozach zagłady stanowiły kobiety, a pod koniec wojny kobiety więziono w wielu innych obozach. Ale tak jak Auschwitz było centralnym ośrodkiem zbrodni na Żydach, tak Ravensbrück było centrum zbrodni na kobietach. Głęboko w naszej zbiorowej pamięci, w literaturze każdego okresu i każdego kraju okrucieństwa wobec kobiet zawsze przerażały. Traktując zbrodnie, które się tutaj dokonały, jako marginalne, historia popełnia kolejną zbrodnię na kobietach z Ravensbrück i przeciwko wszystkim kobietom.

W miejscu pamięci dziś opowiada się historię pełniejszą niż kiedykolwiek. W nowych elementach wystawy – w większości pomijanych, gdy komuniści kontrolowali przekaz – pojawiły się aspołeczne, prostytutki, Cyganki i Żydówki, podczas gdy partie dotyczące komunistycznych bohaterek zostały stonowane, może nawet za bardzo. W XXI wieku retoryka zimnowojenna jest już nie na miejscu, ale niemieckie kobiety, które przeciwstawiły się Hitlerowi – w tym liczne komunistki – naprawdę były „bojowniczkami z faszyzmem” i nie należy im tego tytułu odbierać. Cieszyłam się, że *Tragende* wciąż stoi. Z wysuniętą stopą, jakby chciała przejść nad jeziorem, Olga Benario zasługuje na swoje miejsce jako „silna kobieta, która pomagała swym słabszym towarzyszkom”.

Wędrowałam w stronę krematorium. W pobliżu w masowym grobie odkryto niedawno więcej prochów. Po dyskusji, czy to nie zbeczcześci szczątków, wysunięto pomysł, by posadzić tysiące róż na szczycie grobu.

Nowe badania list ocalonych i danych liczbowych zrewidowały szacowaną liczbę zabitych w Ravensbrück, zmniejszając wielkość 90 tysięcy, podaną podczas procesów hamburskich, i od tamtej pory przyjmowanych przez większość historyków obozu, do dokładniejszych 28 tysięcy. Obliczenia brytyjskie były zbyt pobieżne i nie brały pod uwagę zwolnień dokonywanych co roku ani kobiet zwalnianych z podobozów. Konkretniejsze dane przyniosłyby raczej nie akademickie analizy, lecz wykopaliska – w pewnością ujawniłyby kolejne prochy, kolejne masowe groby.

Całe miejsce jest cmentarzem, samo jezioro – grobem. Prawdziwej liczby zabitych tutaj nigdy nie poznamy. Wielu ofiar – szczególnie w ostatnich miesiącach – nigdy nie wciągnięto do rejestrów obozowych. Nie próbowano zbadać gazowania w ciężarówkach i autobusach w ostatnich tygodniach ani

kopać w poszukiwaniu drugiej komory gazowej, zakamuflowanej jako *Neue Wäscherei*.

W rzeczywistości ponowne zbadanie liczb pokazuje, jak naprawdę niewiele wiemy o okrucieństwach, nawet dzisiaj. Czy wliczono te wywiezione w „czarnych transportach”? Jeśli tak, to ile? Nikt nie wie. Liczenie zmarłych w podobozach jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Czy wszystkie zamordowane dzieci wchodzi w zrewidowaną liczbę 28 tysięcy? Ile zginęło podczas ewakuacji, kiedy więźniarki włączano do pociągów ze świadomością, że zostaną zbombardowane przez aliantów? Kobiet, które straciły życie podczas marszów śmierci, też nie wliczono – ani tych, które wyszły z Ravensbrück, ani tych wychodzących z licznych podobozów. Zabite w białych autobusach trafionych alianckimi bombami nie zostały policzone – nikt nie wie, ile ich było.

Pierwotny szacunek 90 tysięcy ofiar był niemal na pewno zbyt wysoki<sup>775</sup>. Liczba między 40 a 50 tysiącami – zależnie od tego, jakie zgony uwzględniono – jest prawdopodobnie najbardziej zbliżona do prawdy. Ale czy dokładna liczba faktycznie ma znaczenie? Ocalone uważają, że nazwiska są dużo ważniejsze od liczb. „Niemcy zawsze nas liczyli – kpi Loulou Le Porz. – A teraz naukowcy liczą nas ponownie. Niektórzy badają nas jak mrówki”. Autorka „księgi pamięci”, Bärbel Schindler-Saefkow, także wierzy, że nazwiska znaczą więcej niż liczby. Jej *Gedenkbuch* obecnie zawiera 13 161 nazwisk, ale brak funduszy wstrzymał jej badania.

Przeszłam przez obóz Siemens, żeby sprawdzić, co tam się zmieniło, ale ścieżkę blokował drut kolczasty. Dostęp do informacji z siedziby firmy w Monachium również jest w większości zablokowany.

Kiedy po raz pierwszy zwróciłam się do Siemens o informacje na temat ich zaangażowania w Ravensbrück, otrzymałam błyszczącą broszurę o sukcesach przedsiębiorstwa. Później pocztą nadeszła oficjalna historia firmy wydana w 1998 roku. „Siemens czuł się zmuszony współpracować, chociaż niechętnie, z reżimem”, napisano we wstępie. W 2013 roku firma ogłosiła, że otwiera swe archiwa, ale nieliczne dokumenty dotyczące Ravensbrück nie zawierają ani jednego nazwiska więźniarki. Kiedy chciałam rozmawiać z dyrektorem Siemens o tym, jak przedsiębiorstwo obecnie ocenia swoje zaangażowanie w czasach Trzeciej Rzeszy, usłyszałam, że tylko zakładowy archiwista może

mówić o przeszłości, więc wysłałam mu swoje pytania.

A mimo to ze szczytu wzgórza Siemens, na które dostałam się tylną ścieżką, jasno widać przeszłość firmy w Ravensbrück. Wciąż stoi szkielet warsztatu, a poniżej biegną stare tory, którymi w tę i z powrotem wożono części. Widoczne są też wyłożone drewnem trakty, po których ciężarówki woziły do komory gazowej kobiety „zdjęte z list” jako zbyt słabe do pracy.

Podczas powojennego procesu denazyfikacyjnego prowadzonego przez Brytyjczyków przeciwko szefowi kadr Wolfowi-Dietrichowi von Witzlebenowi wysunięto zarzuty złego traktowania więźniarek oraz takie, że Siemens „produkował piece gazowe dla obozów koncentracyjnych”. Brytyjski sędzia zauważył, że oświadczenie obrony w tej sprawie było „raczej mętne”, ale ponieważ nie znaleziono żadnych dowodów na wsparcie oskarżenia, zarzuty odrzucono.

Trudno uwierzyć, szczególnie na szczycie wzgórza Siemens, że pracownicy firmy nie wiedzieli o istnieniu „pieców gazowych” ani o tym, że w ostatnim okresie wojny ich wyczerpane robotnice były gazowane w Ravensbrück. Komin krematorium wznosi się niecałe 300 metrów dalej; jego śmierdzący dym unosił się bezpośrednio nad fabryką Siemens. W styczniu 1945 roku komora gazowa znajdowała się obok krematorium. Więźniarka Anni Vavak opisywała, jak w ostatnich miesiącach wojny stała tu, obserwując ciężarówki wyładowane półnagimi kobietami, które jechały z Jugendlagru obok zakładu Siemens do komory gazowej. Kiedy Anni opowiedziała cywilnym pracownikom, co widziała, „wzdrygnęli się”. Selma van der Perre i inne ocalone wspominają selekcje do gazu przeprowadzane w fabryce w ostatnich miesiącach.

Kiedy ostatecznie dostałam odpowiedź od archiwisty Siemens, doktora Franka Wittendorfera, miała ona postać krótkiego oświadczenia, którego początek brzmiał: „Podczas II wojny światowej niemieckie przedsiębiorstwa przemysłowe zostały włączone przez narodowosocjalistyczną dyktaturę w system «gospodarki wojennej»”. Innymi słowy, Siemens stale powtarzał od dawna wysuwany argument, że został „zmuszony do współpracy” z Hitlerem od samego początku, a tym samym, nawet dzisiaj, nie bierze żadnej odpowiedzialności prawnej za swe działania. Oświadczenie zawierało informacje o wypłatach rekompensat przez lata, równocześnie podkreślając, że przedsiębiorstwo nie miało „prawnego obowiązku” ich wypłacania. Wspominało o „głębokim ubolewaniu” firmy, ale zapomniało dodać, nad czym

ona ubolewa.

Te pokrętnie słowa były niesmaczne i kontrastowały z odpowiedziami innych niemieckich instytucji, które, szczególnie w ostatnich latach, miały odwagę zmierzyć się ze swoją przeszłością. W okresie nazizmu uniwersytet w Heidelbergu cofnął tytuł doktora nadany socjolog Käthe Leichter, Żydówce z Austrii, uwięzionej w Ravensbrück i zagazowanej w Bernburgu. Kiedy jej syn Franz Leichter poprosił o jego przywrócenie, rektor doktor Stefan Maul napisał w odpowiedzi, że przypadek Käthe jest „wstrząsającym dowodem wstydlivej przeszłości naszego kraju i naszego uniwersytetu oraz wielu nieusprawiedliwionych i niewyobrażalnych zbrodni”. Odebranie doktoratu przez jego poprzedników było „rażącym pogwałceniem praw człowieka”. Dodał też: „Dziś, w 2013 roku, jesteśmy, czy tego chcemy, czy nie, spadkobiercami tych, którzy dopuścili się tej niesprawiedliwości, którzy pozwolili jej się stać i wyciszyli ją”. Zatrudnianie niewolnic przez Siemens z pewnością było dużo bardziej rażącym pogwałceniem praw człowieka, ale także jego naprawienie okazało się dużo bardziej kosztowne. Kiedy w 1993 roku więźniarka Ravensbrück Waltraud Blass próbowała wykorzystać nowe prawo wprowadzone po zjednoczeniu Niemiec, aby w monachijskim sądzie domagać się wypłaty utraconych poborów, Siemens odmówił przyjęcia odpowiedzialności i sprawa została odrzucona. Są jednak dowody, że niektórzy ludzie Siemens – poza archiwistą – są skłonni spojrzeć w przeszłość. Z inicjatywy zespołu edukacyjnego miejsca pamięci i związków zawodowych Siemens w muzeum prowadzone są warsztaty dla pracowników Siemens; w ich trakcie mogą poznawać obóz „w warunkach, które pozwalają im czuć się bezpiecznie podczas konfrontowania z ich przeszłością”, jak ujął to kierownik zespołu edukatorów. W grudniu 2013 roku dyrektor przedsiębiorstwa poprosił o spotkanie dwie ocalone, w tym Selmę van der Perre, i podobno mówił o „winie” swej firmy. Spotkanie jednak odbyło się za zamkniętymi drzwiami; wyznanie winy „wyciszono”. A podczas gdy pracownikom pomaga się „poczuć bezpiecznie”, gdy dowiadują się o przeszłości, na wzgórzu Siemens nie ma nawet „bezpiecznego” miejsca dla ocalonych, by mogły tu stanąć, ani schronienia dla osłony przed deszczem. Nie ma tu różanych rabat, żadnego pomnika ofiar Siemens. Nazwy przedsiębiorstwa też nigdzie nie widać. Wkrótce pozostałości Siemenslagru całkowicie zarosną.

Wyszłam z fabryki Siemens a i przecięłam pas nieużytków, żeby dostać się do Jugendlagru. Opadała mgła. I znów miałam trudności ze znalezieniem drogi. Zardzewiałe tory zniknęły między drzewami. Kawałek dalej znajdowała się polana z małą kapliczką zbudowaną z łusek pocisków przez berlińskie feministki z grupy Gedenkort dla upamiętnienia więzionych tu nastolatek, zanim Jugendlager stał się obozem zagłady, oraz późniejszych ofiar.

W pobliżu sterczą z gruntu brzydkie betonowe elementy i kawałki ocynkowanych blach. Może był to jeden z bloków.

Potem nagle między drzewami pojawia się sześć figur owiniętych drutem kolczastym<sup>776</sup>. Niczym duchy pochylają się do przodu, jakby mnie witały. Szacuje się, że od lutego do kwietnia 1945 roku z głównego obozu w Ravensbrück wymaszerowało do tego lasu 6 tysięcy kobiet. Mówiono im, że idą do miejsca, gdzie będą lepiej traktowane, ale zamiast tego trafiły tutaj i większość została zamordowana albo zabrana ciężarówką do komory gazowej i zagazowana albo rozstrzelana.

Na tym opuszczonym skrawku ziemi rozegrała się najpotworniejsza zbrodnia Ravensbrück. Jednak ktoś przechodzący obok nic by o tym nie wiedział. Nie ma zresztą powodu, aby tędy przechodzić; obszar ten, należący do kraju związkowego Brandenburgii (tak jak miejsce pod fabryką Siemens a), nie został włączony do głównego miejsca pamięci w Ravensbrück i leży na uboczu. Nikt nie chce się do niego przyznać, oprócz feministek z Gedenkort. Jako jeden z powodów odsunięcia Jugendlagru w zapomnienie podaje się brak pieniędzy. Dyrektor obozu proponował, aby nazwać były Jugendlager obozem zagłady, ale sprzeciwili się temu członkowie żydowskiej rady Niemiec, twierdząc, że nazwa ta zarezerwowana jest dla żydowskich obozów zagłady, zorganizowanych w ramach ostatecznego rozwiązania<sup>777</sup>. Jednak i w tym przypadku nikt nie myśli o tym, jak opowiedzieć historię Ravensbrück. Panuje powszechna niechęć, żeby to, co wydarzyło się tutaj, potraktować równie poważnie jak inne nazistowskie zbrodnie, więc miejsce to leży porzucone „na marginesie”.

Esesmani, którzy ukartowali ostateczną zagładę w Ravensbrück, z pewnością nazywali ją eksterminacją – taką samą jak ta, która doprowadziła do śmierci Żydów w Auschwitz. Byliby zadowoleni, wiedząc, że ich sekret jest tak dobrze strzeżony: siedemdziesiąt lat temu świadomie ukryli ten kobiecy obóz zagłady w lesie, żeby nikt się o nim nie dowiedział. Eksterminatorzy wymyślili

również nazwę dla tego miejsca, „Mittwerda”, i udawali, że to sanatorium.

Z pewnością eksterminacja przebiegała inaczej niż wcześniej: na mniejszą skalę, a żeby oszczędzić pieniądze, zabójcy próbowali zabić jak najwięcej kobiet, głodząc je lub każąc stać prawie nago na śniegu wiele godzin „bez włosów i bez nazwiska, z pustką w oczach i wyschłym łonem, jak zimowa żaba”, jak napisał Primo Levi, kiedy poprosił nas: „zastanówcie się, czy to jest kobieta”. Zachęcał czytelników: „Pomyślcie, że tak było: przekazuję wam te słowa. Wyrzycie je w swoim sercu [...] Powtórzcie je waszym dzieciom”. Levi napisał te słowa o Auschwitz, ale jego przesłanie jest uniwersalne.

Z pewnością powinniśmy „przekazywać” to, do czego tam doszło, jak również przyznać obozowi zagłady dla kobiet właściwe miejsce w historii. W Norymberdze Robert H. Jackson powiedział, że nazistowska konspiracja „osiągała jeden cel, aby potem przystąpić do osiągnięcia jeszcze bardziej ambitnego”. Ravensbrück, obóz funkcjonujący przez lata wojny, jest użytecznym pryzmatem, przez który można obserwować ewolucję tych celów. Obóz pomógł Hitlerowi zrealizować pierwsze plany: eliminację „aspołecznych”, kryminalistek, Cyganki i innych „darmozjadów”, w tym kobiet niezdolnych do pracy: pierwszą taką grupę zagazowano w Bernburgu, a o tym okrucieństwie dzisiejszy świat nie wie prawie nic. Obóz odegrał małą rolę w „ambitniejszym celu” – unicestwieniu Żydów, nie tylko przez zapewnianie dozorczyń i kapo dla kobiecego obozu w Auschwitz. Potem, w ostatnich tygodniach wojny, Ravensbrück przesunął się na pierwszy plan i obóz stał się sceną ostatniej wielkiej fali eksterminacji gazem, przeprowadzonej w nazistowskich obozach przed zakończeniem wojny.

Jednak w przeciwieństwie do wcześniejszych etapów eksterminacji ta ostateczna zbrodnia nie miała „celu”, ponieważ do tej pory upadł już pomysł stworzenia rasy panów. Dlatego więźniarki z Ravensbrück – stare, młode, bez względu na narodowość, pochodzenie żydowskie lub nieżydowskie, które łączyła tylko płeć – były zabijane, aby zrobić więcej miejsca. Potem były zabijane, ponieważ miały za słabe nogi, żeby iść w marszu śmierci. W rzeczywistości te ostatnie gazowania trwały tylko dlatego, że eksterminacji nie dało się zatrzymać. Nie były to okrucieństwa o marginalnym zasięgu; to tutaj właśnie kończył się nazistowski horror – na masowych morderstwach kobiet dokonywanych w najbardziej bestialski sposób, bez przykrywki ideologicznej, a co najgorsze – właściwie bez żadnego powodu.

Gdy odeszłam z polany, lunął deszcz. Minęłam ponownie postacie z drutu



kolczastego. Czy Ravensbrück tak uparcie trzymano „na marginesie” historii z powodu pewnego zbiorowego poczucia winy wobec ofiar – sióstr, matek, córek, żon – porzuconych tutaj, podczas gdy świat nie potrafił im pomóc? Albo może fakty są zbyt straszne, żeby się nad nimi zastanawiać – zbyt bolesne? Było takie świadectwo z Uckermarku, które uznałam za zbyt okropne, aby je opublikować.

A może lepiej by było zostawić te duchy w spokoju? Z pewnością trudną rzeczą jest upamiętnienie tego rodzaju miejsca, ale lepsze oznakowanie drogi przez las pomogłoby przynajmniej tym, którzy chcieliby odnaleźć pozostałości.

Wracając do obozu głównego, weszłam do budynku przy tylnej bramie, tej samej bramie, przez którą kobiety wychodziły do Jugendlagru i przez którą niektóre z nich wróciły w ostatnich tygodniach. W marcu 1945 roku zagłada rozciągnęła się na całe Ravensbrück. Po drugiej stronie obecnie pustej przestrzeni, obsadzonej lipami, przez kolejne tygodnie naziści dawali upust swojej „niepowstrzymanej żądzy zabijania”, jak to ujął Rudolf Höss.

Między drzewami, w czasie kiedy szła zabijania osiągnął punkt kulminacyjny, parkowały autobusy Czerwonego Krzyża. Czyż istnieje lepszy symbol bezsilności świata wobec rzezi dokonującej się w obozach Hitlera niż te autobusy, cierpliwie oczekujące, aż gazowanie się skończy, a zacznie akcja ratunkowa? A jednak misja Bernadotte’a była jedyną większą akcją ratowania więźniów podczas wojny.

W połowie kwietnia 1945 roku alianci szybko zbliżali się do Berlina; Amerykanie odkryli Buchenwald, a Brytyjczycy Belsen. Na tym etapie nie było już wątpliwości, jak wielki horror rozgrywał się w obozach, oraz że ten horror nadal trwał w kilku miejscach, które jeszcze nie zostały wyzwolone, także w Ravensbrück, gdzie kobiety wciąż stały w kolejce do gazowania. Jednak rzeczywistość polityczna i wojskowa przedstawiała się tak, że nie można było rozważać żadnej zmiany strategii, która w ostatnich tygodniach wojny pozwoliłaby ochronić pozostałe obozy.

Negocjacje z Himmlerem w sprawie obozów również nie wchodziły w grę. Zarządzenie Churchilla „żadnych układów z Himmlerem” oznaczało, że alianci nie narażą głównego celu, jakim było militarne zwycięstwo w wojnie, zmiążdżenie nazistów i wszystkiego, co reprezentowali. Nawet gwarancja bezpiecznego przejazdu dla białych autobusów Bernadotte’a była zbyt daleko posuniętym kompromisem, więc alianci odmówili.

A jednak nie można śledzić historii białych autobusów bez kibicowania im,

ponieważ misja Bernadotte'a świadczyła o tym, że w końcu ktoś potraktował życie więźniarek priorytetowo. Bernadotte z pewnością musiał iść na kompromis, aby w ogóle doszło do akcji ratunkowej, i dlatego prowadzono ją na warunkach Himmlera. Hrabia nie tylko musiał zobowiązać się, że zaczeka, aż przycichnie zabijanie w Ravensbrück, ale do ostatniej chwili nie mógł też ratować Żydówek. Jednak gdyby Bernadotte nie poszedł na ten kompromis, nie ocaliłby 17 tysięcy więźniów. Niewielkie otrzymał podziękowanie. Po wojnie pod jego adresem nadal padały oskarżenia, że nie ratował Żydów, chociaż ostatecznie uratował ich co najmniej 7 tysięcy. W 1947 roku Bernadotte został wybrany na mediatora ONZ w wojnie arabsko-izraelskiej. 17 września 1948 roku został zamordowany w Jerozolimie przez syjonistów z „bandy Sterna”.

W późniejszych latach były więźniarki bardziej niż kiedykolwiek chciały, aby ich relacje zostały nagłośnione i żeby ludzie w nie uwierzyli. Wiedziały, że jeśli następne pokolenia nie poznają faktów, nie odbiorą lekcji.

Antonina Nikiforowa wydała honorarium z pierwszej książki na zakup małej dachy koło Leningradu i osiadła tam na uboczu, aby pisać dalej. „Moje wspomnienia z obozu były tak silne, że mogłam je uciszyć tylko pisaniem książek”, napisała w liście do innej ocalałej więźniarki.

Inne zdecydowały się mówić po dziesięcioleciach milczenia. Niektóre powiedziały mi rzeczy, o których wcześniej nie wspominały – czasem zaskakujące.

Nelly Langholm, Norweżka ze Stavanger, ujawniła szczegóły swojego aresztowania. Kiedy w 1940 roku Niemcy zaczęli okupację Norwegii, Nelly, uczennica, pewnego deszczowego wieczoru przyszła do domu i zastała w nim Niemca grającego na fortepianie. „Powiedział: «Teraz zaczyna się baśń Grimma». Nazywał się Wolfgang Grimm i przyszedł się ze mną zobaczyć. Nie wiedziałam dlaczego, a on nie wyjaśnił. Ale rozmawiał ze mną, był taki uroczy i miły i grał na fortepianie. No i wrócił następnego dnia. I jeszcze następnego. Zakochałam się w nim”.

Wkrótce potem wuj Nelly zginął od niemieckiej bomby, a kuzyn został aresztowany. „Ostatecznie zrozumiałam, że tak nie może być. Napisałam do niego i oznajmiłam, że nie może już przychodzić do mojego domu, ponieważ jest wrogiem, i nie możemy się już widywać. A następnego dnia Gestapo przyszło do domu i mnie aresztowało. Oznajmili, że czytali list, w którym

przyznawałam, że jestem wrogiem Niemiec. Nie wiedziałam, czy to Wolfgang przekazał list Gestapo, czy to tylko cenzor”.

Nelly stwierdziła, że czuła, iż zesłanie do Ravensbrück „było w jakiś sposób słuszne”. „Zrobiłam tę straszliwą rzecz i zakochałam się w Niemcu, a Niemcy zabili naszą rodzinę. Uważałam, że powinnam zostać ukarana”.

Kiedy Nelly aresztowano, jeden z jej przyjaciół spytał matkę dziewczyny, czemu w ogóle wpuściła Niemca do domu. Matka oznajmiła, że chłopak wyglądał mizernie, był zmarznięty i przemoczony, więc nie mogła zostawić go na dworze. „Moja matka była taka piękna. Coś takiego było w jej stylu”, powiedziała Nelly.

W latach sześćdziesiątych, przy okazji wizyty w Berlinie, Nelly znów spotkała Wolfganga Grimma. „Szłam ulicą z przyjaciółką i nagle go zobaczyłam. Stał jak skamieniały i wpatrywał się we mnie. Przeszłam obok bez słowa. Nie było nic, co mogłabym powiedzieć”.

Słuchając głosów kobiet z Ravensbrück, szukałam wskazówek, dlaczego ta grupa przetrwała. Niemal słyszałam Marię Bielicką, która uderzała pięścią w stół, gdy próbowała wyjaśniać, dlaczego przetrwanie było we krwi każdej Polki, „przechodziło z matki na córkę”.

Jeannie Rousseau, Francuzka, która przekazała Churchillowi informacje o rakietach V-2, przeżyła, ponieważ tkwiła w niej niezgoda. W Torgau nie zgodziła się produkować broni dla Niemców. W obozie karnym w Königsbergu nie zgadzała się umierać na mroźnym lotnisku i uciekła do obozu macierzystego, gdzie ukrywała się w bloku tyfusowym. Kiedy przybył Bernadotte, Jeannie siedziała w bloku karnym, ale nie zgadzała się na pozostanie tam i przekonała blokową, żeby ją wypuściła.

– Możesz nie zgodzić się na to, co się dzieje. Albo za tym podążać. Ja siedziałam w obozie niezgody – powiedziała.

Zapytałam, skąd czerpała odwagę.

– Nie wiem. Byłam młoda. Pomyślałam, że jeśli to zrobię, to to zadziała. Po prostu nie można akceptować niektórych rzeczy. Pewnych rzeczy.

Wiele nie zgadzało się na inne sposoby; odmawiały przyjęcia do wiadomości, że unicestwiono to, co znały, modliły się, rozmawiały, pisały, czytały, nauczały, gdy tylko mogły – polskie nauczycielki uczyły swe młode uczennice w obozie tak dobrze, że te po powrocie do domu zdobywały

najwyższe oceny na egzaminach. Niektóre „odmawiały” poprzez oderwanie się od wydarzeń, co mogło je chronić. Natalia Chodkiewicz mówiła: „Przez cały czas w obozie było tak, jakbym miała podwójną osobowość. Moje prawdziwe ja zdawało się obserwować to, co działo się z moim fizycznym ja”.

Żadna nie przeżyłaby bez łutu szczęścia, szczególnie w sprawach zdrowotnych. Żadna nie przeżyłaby bez przyjaciółek, zastępczych rodzin, które pomagały nie tracić głowy. Takie rodziny łatwiej tworzyły się w obozach kobiecych niż w męskich. „Rodziną” Loulou był blok 10.; siedząc w jej oranżerii, poznałam wiele z nich. Loulou mogła być ponura: „Uważam za odrażające, że wciąż rozmawiamy o wojnie. Często myślę, że niczego się nie nauczyliśmy”. A potem zniecka rozjaśniała się na wspomnienie odwagi „jej chorych” i „jej zmarłych”.

Pomagało, stwierdziła Loulou, że miała rolę. „Jako lekarka mogłam ludziom nieco pomóc – przeżyć i umrzeć”. Kiedyś dała młodej Polce trochę morfiny, żeby nie zabrał jej Winkelmann. „Powiedziałam mu, że może umrzeć w każdej chwili, więc ją zostawił. Zmarła, ale dopiero kilka dni później. I zmarła na swoim sienniku z kimś u boku. To było ważne. Nie poszła do gazu”.

Po powrocie z obozu Loulou była bliska wstąpienia do klasztoru. „Nie wierzyło się już w dobro ludzkiej natury. Musiałam się tego nauczyć na nowo. I nauczyłam się”. Zamilkła. „Ale to zajęło wiele czasu”.

Wiele kobiet podczas naszych rozmów wybuchowało płaczem. Często się śmiały. Żadna nie była zgorzkniała. Myślę, że wiele nie wybaczyło; z pewnością żadna nie zapomniała. W pewien rocznicowy weekend znów spotkałam Wandę Wojtasik. Rozmawiałam wcześniej z Wandą, jedną z najmłodszych polskich „królików”, w jej mieszkaniu w Krakowie. Teraz rzucała róże na jezioro w Ravensbrück. Powiedziała mi, że jeden z lekarzy SS, Fritz Fischer, ostatnio skontaktował się z nią, prosząc o wybaczenie. „Odpowiedziałam, że nie mam mu nic do przebaczenia. Niech prosi o przebaczenie Boga”.

[757](#) Raport Manta, WO 309/416. Na widok przybyszy amerykański dyplomata wysłał depeszę do Waszyngtonu z opisem kobiet w „prerażającym stanie [...] zagłodzonych i pobitych. Nadal 5 tysięcy pozostało w Ravensbrück, a uchodźcy twierdzą, że Niemcy wymordują je masowo, gdy obóz będzie zagrożony. Wiele istnień da się uratować, jeśli obóz uda się zdobyć atakiem z zaskoczenia”. Depesza 1621 od S. Johnsona w Sztokholmie do sekretarza stanu w Waszyngtonie, odebrana 1 maja 1945 roku, NARA.

[758](#) Yvonne Rudellat, agentka siatki „Prosper”, zmarła w Belsen kilka dni po wyzwoleniu. Nawet 15 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zmarło w Belsen w ciągu dwóch tygodni od wyzwolenia, głównie na tyfus i z wygłodzenia. Wkrótce po przybyciu do Malmö Yvonne Baseden odpłynęła do Szkocji, stamtąd udała się pociągiem do Londynu, gdzie na dworcu Euston powitała ją Vera Atkins. Eileen Nearne, inna agentka SOE więziona w Ravensbrück, która w ostatnich dniach uciekła z kolumny ewakuacyjnej koło Lipska, dotarła do linii amerykańskich i wróciła do domu. Zmarła w Torquay w 2010 roku. O poszukiwaniu zaginionych agentek SOE zob. Sarah Helm, *A Life in Secrets. The Story of Vera Atkins and the Lost Agents of SOE*, Londyn 2005.

[759](#) FO 372/50982.

[760](#) Czeczko, GARF.

[761](#) Wywiad autorki i dzienniki Fyffe’a. Rozmawiałam z Angusem Fyffe o Verze Atkins w jego domu w Szkocji w 2003 roku. Odczytał mi także fragmenty ze swych obszernych dzienników, wspominając z cierpkim humorem, jak jako młody major tropił przestępców wojennych w gruzach powojennych Niemiec. Dzienniki znajdują się obecnie w IWM.

[762](#) Tickell, *Odette*. W dzienniku prowadzonym podczas przesłuchań Sylvia Salvesen opisuje Winkelmana „siedzącego z głową w dłoniach” i Marschall okazującą „wściekłość i rozpacz”, podczas gdy Carmen Mory „wygląda bezczelnie i czasem śmieje się histerycznie”. Archiwa Salvesen, Norges Hjemmefrontmuseet.

[763](#) Niezwykła historia kręta Salvart podczas ucieczki przed tropicielami zbrodniarzy wojennych w ogarniętych chaosem powojennych Niemczech (włącznie ze zdobyciem pracy w amerykańskim kontrwywiadzie i szantażowaniem podejrzanych nazistów – zob. dokumenty Atkins) ma odpowiednik jedynie w eskapadach Carmen Mory. Mory została zwerbowana przez brytyjski wywiad i wysłana jako informatorka do obozu ONZ dla uchodźców, dopóki młody brytyjski śledczy Hugh Trevor-Roper nie odkrył jej prawdziwej tożsamości, opisując ją jako „faktycznie bardzo niepożądaną jednostkę”. Akta śledcze TNA.

[764](#) Dwaj dyrektorzy Siemens, obaj członkowie SS, popełnili samobójstwa w 1945 roku, bez wątplenia w przewidywaniu procesów zbrodniarzy wojennych. Otto Grade, kierownik zakładu Siemens w Ravensbrück, zniknął bez śladu. Prezes Siemens Hermann von Siemens został aresztowany w 1945 roku przez Amerykanów i siedział w więzieniu do 1948 roku, chociaż aresztowanie nie miało związku z jego funkcją u Siemens, ale z jego stanowiskiem w Deutsche Banku. Został zwolniony bez oskarżenia.

[765](#) Według rękopiśmiennej notatki w aktach procesu hamburskiego, Hélène Roussel, francuska ocalała, należała do „sądu honorowego” w Paryżu w 1946 roku, który w trybie doraźnym osądził Sperry. WO 235/317.

[766](#) W wieku osiemnastu lat Stella opuściła sierociniec i odnalazła ojca, który ożenił się ponownie i mieszkał w Brazylii. W tym czasie Antonina Nikiforowa zaprzyjaźniła się z dziewczyną, która poślubiła

adoptowanego syna Antoniny, Arkadija. Mieszkała z Arkadijem w leningradzkim mieszkaniu Nikiforowej, które zresztą zajmuje do dziś.

[767](#) Papiery Georga Loonkina.

[768](#) Rupp i Wiedmaier, akta BStU.

[769](#) Stasi gromadziło też materiały o Grete Buber-Neumann. Jej przełomowa książka *Als Gefangene bei Stalin und Hitler* (Więżniarka Stalina i Hitlera) pokazywała dokładniej niż inne współczesne publikacje grozę stalinowskiego gułagu i była zakazana na Wschodzie. Do dziś książka nie została przełożona na rosyjski.

[770](#) Benjamin Ferencz, dawny prokurator w Norymberdze, opisuje walkę z Siemensem o wypłaty w *Less Than Slaves*.

[771](#) Między 1949 a 1989 roku w Niemczech Zachodnich nie odbył się żaden proces o zbrodnie popełnione przez dozorcynie SS w Ravensbrück. Kilka strażniczek zostało skazanych w procesie załogi Majdanka w Düsseldorfie między 1975 a 1981 rokiem. Jedna, Hermine Braunsteiner, wysłędzona w Nowym Jorku przez łowcę nazistów Szymona Wiesenthala, skazana została na dożywocie, ale z powodów zdrowotnych zwolniono ją w 1996 roku. Zmarła w 1999 roku.

[772](#) W 1968 francuska historyczka Olga Wormser-Migot napisała studium o nazistowskich obozach, w którym stwierdziła, iż nie ma dowodów na to, że komory gazowe funkcjonowały gdziekolwiek na terenie Niemiec.

[773](#) Imię zmienione; chciała zachować anonimowość.

[774](#) Zob. Sarah Helm, *The Nazi Guard's Untold Love Story*, „Sunday Times Magazine”, 5 sierpnia 2007 roku.

[775](#) Sposób uzyskania przez brytyjskich oskarżycieli liczby 90 tysięcy ofiar omówiony jest w raporcie o śledztwie w sprawie Ravensbrück, WO 235/316.

[776](#) Gedenkort wykonał również te figury, nazywane Maszami, i umieścił w tym miejscu.

[777](#) Centralny ośrodek niemiecki dla badania zbrodni nazistowskich w Ludwigsbergu również niedawno ustalił, że Ravensbrück „nie był obozem zagłady”. Z tego powodu ośrodek przestał badać zbrodnie popełnione przez strażników i esesmanów w Ravensbrück; zajmuje się tylko badaniem zbrodni w obozach zagłady. Te nedorzeczne zasady sprawiły, że nie zostaną zbadane żadne zbrodnie powiązane z Ravensbrück. W przypadku jednak dozorczyń z Ravensbrück przeniesionych do pracy w „obozie zagłady” popełnione tam przez nie zbrodnie można badać i główny ośrodek prowadzi śledztwo w sprawie

zbrodni popełnionych przez grupkę dozorczyń z Ravensbrück w czasie, kiedy pełniły swoje obowiązki w Majdanku.

## Podziękowania

Pisałam tę książkę, aby opowiedzieć historię Ravensbrück przede wszystkim głosami samych kobiet, a czas uciekał. Moim pierwszym zadaniem było odszukanie ostatnich ocalałych. Potrzebowałam do tego przewodników i moje pierwsze podziękowania składałam właśnie im.

Ocalone z Rosji i Wschodu były najtrudniejsze do odnalezienia, nie tylko dlatego, że znane było niewiele nazwisk.

Najpierw spotkałam się z doktor Bärbel Schindler-Saefkow na jej słonecznej działce w Berlinie Wschodnim, rzut kamieniem od Karls\_horst, gdzie 9 maja 1945 roku nazistowskie wojska poddały się Armii Czerwonej. Córka ocalonej komunistki, Bärbel, dorastała w NRD, oddychając historią Ravensbrück, a ocalone z Europy Wschodniej stały się jej „rodziną”. Ich opowieści najpierw dotarły do mnie przy stole w ogrodzie Bärbel, a stamtąd wyruszyłam po śladach do Moskwy, Petersburga, Kijowa i Doniecka. Bärbel pomagała mi na wiele sposobów do ostatnich dni moich poszukiwań.

Polki poznałam za pośrednictwem Wandy Półtawskiej, która zaprosiła mnie na rozmowę do Krakowa i skontaktowała z innymi ocalonymi, włącznie z „królikami”, które znalazłam w Gdańsku, Lublinie i Warszawie. Pomagała mi w tym tłumaczka, towarzyszka i przewodniczka Anna Pomianowska. Polska historyk Eugenia Maresch przekazała nazwiska polskich ocalałych w Wielkiej Brytanii, a później odkryła bezcenne źródła w National Archives.

Pierwszy kontakt z francuskimi więźniarkami nawiązałam dzięki doktor Annette Chalut, przewodniczącej Międzynarodowego Komitetu Ravensbrück, i Denise Vernay, sekretarz generalnej francuskiego stowarzyszenia ocalałych, L'Association nationale des anciennes déportées et internées de la Résistance (ADIR), co doprowadziło mnie do dziesiątków francuskich ocalałych. Szczególnie wdzięczna jestem Anise Postel-Vinay, Christiane Rème, Michèle Agniel, François Robin i Marie-Jo Chombart de Lauwe za ich gościnność, rady i polecenie mnie innym, oraz Richardowi de Courson.



W Izraelu poznałam Irith Dublon-Knebel, która nie tylko pomagała odnaleźć żydowskie ocalone, ale też pokazała mi miejsce Ravensbrück w historii Holocaustu. W Holandii wsparła mnie Joke van Dijk-Bording. Selma van de Perre, dawna więźniarka obozu i moja sąsiadka w zachodnim Londynie, pomogła w niezliczonych kwestiach, szczególnie dotyczących Siemensa. Za kontakty z austriackimi ocalonymi i pomoc zobowiązana jestem Brigitte Halbmayr i Heldze Amesberger, których badania nad Sinti i Roma z Burgenlandu miały szczególną wartość nie tylko dlatego, że najtrudniej było dotrzeć do tych grup. Gerhard Baumgartner udzielił mi cennych rad w kwestii historii Austrii, podobnie jak Gerhard Unger z Dokumentationsarchiv des österreichischen Widerstandes w Wiedniu.

Od początku i na każdym kolejnym etapie bezcenna była pomoc pracowników miejsca pamięci Ravensbrück. Jestem szczególnie wdzięczna dyrektor Insie Eschebach za wsparcie, Alyn Bessman za jej znakomite badania i niezmordowane odpowiadanie na pytania oraz Matthiasowi Heylowi za sugestie tematów do sprawdzenia. Chciałabym też podziękować Sabine Arend, Monice Herzog, Corduli Hundertmark, Jannie Lölke, Britcie Pawelke i Monice Schnell za wprowadzenie w archiwa i zbiory muzeum oraz Sigrid Jacobeit, poprzedniej dyrektor, za jej rady.

Poszukując ocalonych i świadectw, współpracowałam z wieloma lokalnymi przewodnikami i tłumaczami, którzy okazali się równie zafascynowani tematem jak ja. Luba Winogradowa, rosyjska dziennikarka i pisarka, wspinała się na najwyższe piętra moskiewskich bloków i zanurzała w labirynt petersburskiego metra, gdy szukałyśmy rozmówczyń i źródeł. Marina Sapricki (teraz Nahum) tłumaczyła i pomagała, gdy przemierzałyśmy zakurzone wioski nad Morzem Czarnym, by znaleźć starsze panie, które nie wiedziały o naszym przyjeździe, ale witały nas, zastawiały stoły i rozmawiały o Ravensbrück, często po raz pierwszy. Ilena Izugrafowa jeździła ze mną nocnymi autobusami po Ukrainie, a potem czekała pod zamkniętymi drzwiami, pewna, że w końcu się otworzą – i faktycznie tak się działo. Na wiele osób natrafiałam przy okazji, na przykład na Wiaczesława Gorlinskiego, osiemdziesięcioletniego eks-więźnia Buchenwaldu, który zajmował się przekazywaniem niewielkich płatności ocalonym z okolic Odessy, więc znał nazwiska i adresy kobiet. Chciałabym też podziękować Wowie Czaplinowi z Muzeum Żydowskiego w Odessie, który badał dla mnie miejskie archiwa i cmentarze, a nawet odnalazł grób Jewgienii Klemm. Mam wielki dług wobec

Georga Loonkina, dawnego radzieckiego dziennikarza, który zbadał życie Klemm i przekazał mi swoje materiały na temat tej jednej z najbardziej niezwykłych kobiet w obozie. William Bland wykonał ogromną pracę, tłumacząc rosyjskie archiwalia.

W Niemczech korzystałam z usług kilku tłumaczy i współpracowników, w największym stopniu Henninga Fischera, który pomagał mi od początku do końca przy każdym aspekcie opowieści, nie tylko tłumacząc, ale też wyszukując, doradzając, robiąc korekty i odpowiadając na niezliczone pytania. Wytrwałe poszukiwania i wnikliwość Beate Smandek były nieocenione na wczesnym etapie pracy. Helmut Ettinger tłumaczył przy wielu okazjach i zawsze robił więcej, dopełniając tło i kontekst oraz otwierając drzwi. Za pomoc z materiałem polskim jestem wdzięczna Barbarze Janic, która poświęciła swój czas na czytanie i przekład książek oraz relacji. Nie uwzględniłabym elementów polskich bez Barbary, która także czytała ostatnią korektę. Wiele innych osób uprzejmie oferowało mi swą pomoc na różnych etapach: Andrew Smith, Tanja Röckemann, Sophia Schiederat, Tomasz Małkuszewski, Agnes Fedorowicz, Zachar Iszow, Daniel Knebel i Ester Hecht – wszyscy oni tłumaczyli i pomagali tropić ślady. Chciałam też podziękować Nikicie Pietrowowi i jego pracownikom z moskiewskiego Memoriału oraz Lenowi Bławatnikowi i Eugeniuszowi Smolarowi za rekomendacje, odpowiednio na Ukrainie i w Polsce.

Nikt szerzej i wnikliwiej nie podążał dla mnie za śladami Ravensbrück niż historyk drugiej wojny światowej Stephen Tyas. Z niezawodnym instynktem przeszukiwał archiwa w Niemczech i Wielkiej Brytanii, odkrywając źródła często wcześniej nieznanne. Nie tylko grzebał w archiwach, ale też w poszyciu meklemburskiego lasu, gdy chodziliśmy po polach w poszukiwaniu domu Himmlera w Brückenthin albo przemierzaliśmy odludne lasy w Uckermark, zanim przejechaliśmy prawie 1300 kilometrów do Calais, by złapać nocny prom do domu.

Wielu moich pomocników było dziećmi lub krewnymi ocalonych. Anita Leocadia Prestes, córka Olgi Benario, udzielała rad i pokazała mi listy matki. Judit Buber Agassi rozmawiała o swej matce, Grecie Buber-Neumann, i zapewniła wgląd w historię Żydów, Tania Szabo zaś podzieliła się wspomnieniami o swej matce, Violette, i swoimi własnymi materiałami. Jestem też wdzięczna Marlene Rolf, córce Ilse Gostynski, Caroline McAdam Clark, córce Denise Dufournier, Franzowi i Kathy Leichterom, synowi

i wnuczce Käthy Leichter, oraz Irenie Lisiecki, siostrze Aki Kołodziejczak. Maria Wilgat, córka Krysi Czyż, i brat Krysi, Wiesław, opowiadali mi o tajnych listach, a Maria przekazała mi kopie wszystkich listów matki.

Jestem zobowiązana wnuczce lekarza SS Waltera Sonntaga, która zgodziła się porozmawiać o nim i własnym życiu oraz przekazała mi jego listy.

Jean-Marie Liard, syn doktor Louise Liard-Le Porz, nie tylko doradzał i tłumaczył, ale poświęcał też czas, by prowadzić poszukiwania, czytał również pierwszy szkic książki, poprawiając błędy i dając sugestie, za które jestem mu ogromnie wdzięczna.

Dziesiątki pomocników pojawiały się na różnych etapach pracy: Wolfgang Stegemann i Wolfgang Jacobeit rozmawiali o Fürstenbergu; Keith Janes pomógł znaleźć kobiety z sieci „Kometa”; Anna-Jutta Pietsch mówiła o Oldze Benario, a Michael Pinto Duschinsky o Siemensie. Nikołaj Borodatin próbował, bardzo zrećnie i bez zwłoki, objaśniać życie w okresie stalinowskich czystek. Chciałabym też podziękować Davidowi Coulsonowi, Helli Pick, ojcu Edwardowi Corbouldowi, Martynowi Coxowi, Michaelowi Hegglinowi, Johnowi Hemingwayowi i Łukaszowi Krzysiakowi. Ian Sayers i Peter Hore podzielili się informacjami o brytyjskich ocalonych, a Fiona Watson z NHS Grampian Archives i Richard Hunter z Edinburgh City Archive pomogli wytropić Mary Young, zagazowaną w Ravensbrück. Informacje o Mary, podobnie jak o innych mniej znanych Brytyjkach, były szczególnie trudne do odnalezienia. Ten brak uznania dla ich odwagi i cierpienia powinien być źródłem wstydu dla ich kraju.

Za opowieści o ofiarach z SOE i szerszym kontekście wdzięczna jestem profesorowi Michaelowi Footowi, Duncanowi Stuartowi, Gillian Bennett, Francisowi Suttillowi i Timowi Mantowi, którzy pomagali mi przy książce o Verze Atkins. Wykorzystałam materiały, fotografie i wspomnienia Johna da Cunhy, który należał do zespołu prokuratorskiego w Hamburgu. Moje wcześniejsze rozmowy z Johnem pod wieloma względami zainspirowały tę książkę.

Było niezwykle przyjemnością poznać Wandę Hjort, która niosła pomoc więźniarkom Ravensbrück i odegrała kluczową rolę w misji szwedzkich białych autobusów kierowanej przez hrabiego Bernadotte. Za tło historii białych autobusów jestem też zobowiązana szwedzkiemu historykowi Sune Perssonowi, Ricki Neumann i Bertilowi Bernadotte.

Kilkoro niemieckich historyków doradzało mi w kwestii specyficznych

aspektów historii obozu. Wyczerpujące studium Bernharda Strebela o Ravensbrück było szczególnie źródłem. Jestem szczególnie wdzięczna Stefanowi Hördlerowi, którego praca o SS w Ravensbrück, Lichtenburgu i innych obozach koncentracyjnych miała przełomowe znaczenie i który chętnie wysyłał materiały, korespondował i spotykał się ze mną. Johannes Schwartz, Simone Erpel, Christa Schikorra, Linde Apel, Loretta Walz, Irmtraud Heike, Susanne Willems i Grit Philipp to inni historycy, którzy mi pomagali.

Za szerszy kontekst historyczny wdzięczna jestem sir Martinowi Gilbertowi, którzy znalazł czas na rozmowy i zgłosił wiele sugestii. Chciałabym też podziękować Anne Applebaum, Antony'emu Beevorowi, Davidowi Cesaraniemu, Richardowi Evansowi, Peterowi Longerichowi i Nikolausowi Wachsmannowi za ich rady.

Lord Weidenfeld przekazał mi swe unikatowe wspomnienia, a Anita Lasker-Wallfisch, ocalona z Auschwitz, zechciała porozmawiać ze mną o swym pobycie w obozie.

Cenię sobie wsparcie dziennikarza Andrew Gimsona, felietonistki Joan Smith, profesora anglistyki Philipa Davisa, biografki Nancy Wood oraz polityka i pisarza Denisa MacShane'a. Niezliczone inne osoby pożyczały mi książki, szukały odnośników, przekazywały nazwiska i relacje znalezione podczas poszukiwań do własnych książek lub po prostu dodawały mi odwagi w trudnych chwilach. Trudno tu wyliczać wszystkich, ale bardzo im dziękuję.

Materiał zaczerpnęłam z archiwów i bibliotek w kilkunastu krajach i mam dług wobec archiwistów za rady i pomoc. W Wielkiej Brytanii szczególnie polegałam na pracownikach National Archives, London Library, Weiner Library, Imperial War Museum, Studium Polski Podziemnej, Instytutu Polskiego i Muzeum im. Sikorskiego oraz BBC Written Archives w Caversham. We Francji wspomagał mnie zespół Musée de la Resistance w Besançon, Bibliothèque de Documentation Internationale Contemporaine (BDIC) w Paryżu, a w Niemczech Bundesarchiv w Ludwigsbergu, archiwów Stasi w Berlinie oraz Landesarchiv Nordrhein-Westfalen. Chciałabym też podziękować Frankowi Wittendorferowi z archiwum Siemens w Monachium i Barbarze Oratowskiej z Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem” w Lublinie.

W ITS (International Tracking Service) w Bad Arolsen wspomógł mnie Reto Meister i jego pracownicy, a w MKCK w Genewie główny archiwista Fabrizio Bensi. W Jerozolimie cennych rad udzielił mi Alexander Avram z Yad Vashem. Wyrazy wdzięczności kieruję również do Brigitty Lindholm

z biblioteki uniwersyteckiej w Lund, do pracowników Hjemmefrontmuseet w Oslo i do Gro Kvanviga ze Stiftelsen Arkivet w Kristiansand.

Moja wdzięczność wobec samych ocalonych z Ravensbrück jest, rzecz jasna, bezbrzeżna. Dziękuję nie tylko za ich wspomnienia, cierpliwość i inspirację, ale też za ich gościnność i przyjaźń, gdy wypytywałam je – niekiedy wielokrotnie – o bolesną przeszłość.

Spotkałam kobiety, które walczyły w Stalingradzie, broniły Krymu, skakały ze spadochronem nad okupowaną Francją, patrzyły Himmlerowi w oczy, robiły trwałą ondulację Dorothei Binz i maszerowały w proteście do komendanta obozu koncentracyjnego. Miałam zaszczyt je poznać; każda z ich historii wzbogaciła moje życie.

Chciałabym wyrazić szczególne podziękowania Yvonne Baseden, z którą spotykałam się wielokrotnie i której skromność w kwestii własnej nadzwyczajnej odwagi pozostawiła głębokie wrażenie. Anise Postel-Vinay (z d. Girard) zapewniła najwnikliwszą analizę reżimu SS i grupy francuskiej. Spadochroniarka z Armii Czerwonej Olga Gołowina rozmawiała z humorem, ale trzymała moją rękę w żelaznym uścisku. Loulou Liard-Le Porz była nie tylko wyrocznią w sprawach Ravensbrück, ale także przyjaciółką, i potwierdzała, że humanizm może pokonać największe upokorzenie. Jeannie de Clarens (z d. Rousseau) zapamiętam za jej czystą odwagę. Nie zapomnę łez w oczach Zofii Cisek (z d. Kawińskiej), gdy wspominała śmierć przyjaciółek – „królików”, niezdolności Stelli Nikiforowej (z d. Kugelman) do uśmiechu ani czystej radości Nelly Langholm z tego, że uszła z życiem. Wszystkie poświęciły mi wiele, wiele godzin.

Chociaż wdzięczna jestem za pomoc w badaniach, wsparcie podczas pisania też było cenne. Chciałabym podziękować tym, którzy doradzali na etapie wstępnych szkiców: Katrinie Barnicoat, Tony’emu Rennellowi i Bernardo Futscherowi Pereirze. Szczególnie zobowiązana jestem za sugestie i wsparcie Richardowi Tomlinsonowi, który dawał rady na wstępnym etapie pisania, poczynał wiele wspólnych uwag i zawsze był pod ręką, by pomóc.

Dążyłam do perfekcji, ale w tekście mogą zdarzyć się błędy. Mam nadzieję, że czytelnicy powiadomią mnie o nich, bym mogła wprowadzić poprawki.

Chciałabym podziękować mojej agentce Natashy Fairweather za nieustające wsparcie i moim redaktorowi w Little, Brown – Ursuli Mackenzie i Timowi Whitingowi, którzy czekali cierpliwie, oferując mi pomoc na każdym etapie. Jestem także wdzięczna Ronit Wagman, mojej redaktorce w Doubleday, oraz

Zoe Gullen w Little, Brown za sugestie i zachętę. W ostatnich miesiącach Zoe wzięła na siebie reagowanie finalnego tekstu, co zrobiła z nadzwyczajną sprawnością, rozsądkiem i cierpliwością.

Wiele zawdzięczam mojej rodzinie. Zawsze będę wdzięczna mojemu ojcu, lekarzowi na polach bitew Normandii, którego ciekawość świata i miłość do literatury popchnęły mnie do pisania, oraz mojej matce, która służyła jako Wren w Royal Navy. Moje córki Jessica i Rosamund pomagały, jak tylko mogły.

Pisanie nie jest łatwe i słowa nie trafiłyby na strony bez pomocy mojego męża Jonathana, który omawiał ze mną całą historię, czytał wiele razy każdy rozdział, redagował, doradzał i zachęcał. Szczerze wątpię, by jakikolwiek inny autor miał takie wsparcie swego partnera. Składam mu najgłębsze podziękowania.

## Wykaz skrótów

AMKCK – Archiwum Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, Genewa

ARa – Archiv Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück

Atkins – papiery Very Atkins, Imperial War Museum, Londyn

BA – Bundesarchiv Berlin

BAL – Bundesarchiv Ludwigsburg

BStU – archiwa Stasi, Berlin

*Dictators* – Margarete Buber-Neumann, *Under Two Dictators: Prisoner of Stalin and Hitler*

Dokumenty Nikiforowej – papiery Antoniny Nikiforowej, Archiv Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück

DÖW – Dokumentationsarchiv des österreichischen Widerstandes, Wiedeń

FO – akta Foreign Office w National Archives

GZJ – Geschichtstarchiv Zeugen Jehovas, Selters/Taunus

HS – akta Special Operations Executive w National Archives

*I boję się snów* – Wanda Póltawska, *I boję się snów*, Częstochowa 2001

IISH – International Institute for Social History, Amsterdam

ITS – International Tracing Service, Bad Arolsen

IWM – Imperial War Museum, Londyn

KV – akta Służby Bezpieczeństwa w National Archives

LAV NRW – Landesarchiv Nordrhein-Westfalen

Lund – akta Polish Research Institute, Uniwersytet w Lund. Są to szczegółowe relacje polskich ocalonych, które przybyły do Szwecji w 1945 roku

NARA – National Archives and Records Administration, Waszyngton

*Ponad ludzką miarę – Ponad ludzką miarę. Wspomnienia operowanych z Ravensbrück, Warszawa 1972*

SA – archiwa Siemens, Monachium

TNA – The National Archives, Kew

WL – Wiener Library, Londyn

WO – akta War Office w National Archives

YV – Yad Vashem, Jerozolima

Zbiory Buchmann – zbiory Eriki Buchmann, Archiv Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück



# Bibliografia

## ARCHIWA

### *Niemcy*

Archiv Mahn- and Gedenkstätte Ravensbrück

Archiv Gedenkstätte Buchenwald

Archiwa Siemens, Monachium

Archiwa Stasi

Bundesarchiv Berlin

Bundesarchiv Ludwigsburg

Geschichtsarchiv der Zeugen Jehovas

International Tracing Service, Bad Arolsen

Landesarchiv Nordrhein-Westfalen

Staatsarchiv Nürnberg

Studienkreis Deutscher Widerstand 1933–1945

### *Austria*

Dokumentationsarchiv des österreichischen Widerstandes

### *Szwajcaria*

Archiwum Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża

### *Wielka Brytania*

BBC Written Archives, Caversham

Imperial War Museum

Instytut Polski i Muzeum im. Sikorskiego, Londyn

Stodium Polski Podziemnej

The National Archives

Wiener Library

*Francja*

Archives diplomatiques du ministère des Affaires étrangères, Colmar

Archiwum Stowarzyszenia Francuskich Więźniarek Ravensbrück

Bibliothèque de Documentation International Contemporaine

Archiwum miejskie Bordeaux

Archiwum miejskie Hawru

Musée de la Résistance et de la Déportation, Besançon

*Stany Zjednoczone*

National Archives and Records Administration

United States Holocaust Memorial Museum

*Szwecja*

Polish Research Institute, Uniwersytet w Lund

*Polska*

Muzeum Historii Polski, Warszawa

Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem”, Oddział Muzeum Lubelskiego w Lublinie

Archiwum Muzeum Stutthof

*Rosja*

GARF

Biblioteka Historyczna, Moskwa

Biblioteka Memoriału, Moskwa

*Izrael*

Central Zionist Archives

Yad Vashem

*Holandia*

International Institute for Social History

*Norwegia*

Hjemmefrontmuseet

## ŹRÓDŁA PUBLIKOWANE

- „...und wenn ich lebenslang in einem KZ bleiben müßt...” *Die Zeuginnen Jehovas in den Frauenkonzentrationslagern Moringen, Lichtenburg und Ravensbrück*, red. Hans Hesse i Jürgen Harder, Essen 2001.
- A Holocaust Crossroads: Jewish Women and Children in Ravensbrück*, red. Irith Dublon-Knebel, Londyn 2010.
- Amesberger Helga, Halbmayr Brigitte, *Vom Leben and Überleben – Wege nach Ravensbrück: das Frauenkonzentrationslager in der Erinnerung*, t. 2, Wiedeń 2001.
- An American Heroine in the French Resistance: The Diary and Memoir of Virginia d’Albert-Lake*, red. Judy Barrett Litoff, Nowy Jork 2006.
- Applebaum Anne, *Gułag*, tłum. Jakub Wybieralski, Warszawa 2005.
- Applebaum Anne, *Za żelazną kurtyną. Ujarzmienie Europy Wschodniej 1945–1956*, tłum. Barbara Gadomska, Warszawa 2013.
- Arendt Hannah, *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, tłum. Adam Szostkiewicz, Kraków 2010.
- Arndt Ino, *Das Frauenkonzentrationslager Ravensbrück*, „Studien zur Geschichte der Konzentrationslager: Schriftenreihe der Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” 1970, t. 21.
- Beckett Francis, *Stalin’s British Victims*, Stroud 2004.
- Beevor Antony, *Berlin 1945*, tłum. Józef Kozłowski, Kraków 2009.
- Beevor Antony, *D-day. Bitwa o Normandię*, tłum. Magdalena Komorowska, Kraków 2012.
- Beevor Antony, *Druga wojna światowa*, tłum. Grzegorz Siwek, Kraków 2013.
- Bernadac Christian, *Le Camp des Femmes: Ravensbrück*, Paryż 1970.
- Bernadotte Folke, *The Fall of the Curtain: Last Days of the Third Reich*, tłum. Eric Lewenhaupt, Londyn 1945.
- Bock Gisela, „No Children at Any Cost”: *Perspectives on Compulsory Sterilization, Sexism and Racism in Nazi Germany* [w:] *Women in Culture and Politics: A Century of Change*, red. Judith Friedlander, Alice Kessler-Harris, Carroll Smith-Rosenberg, Blanche Wiesen Cook, Bloomington 1986.
- Borowski Tadeusz, *Utwory wybrane*, oprac. Andrzej Werner, Wrocław 1997.
- Bower Tom, *Blind Eye to Murder: Britain, America and the Purging of Nazi Germany – A Pledge Betrayed*, Londyn 1981.
- Breitman Richard, *The Architect of Genocide: Himmler and the Final Solution*, Londyn 1991.
- Broszat Martin, *The Concentration Camps, 1933–1945* [w:] *Anatomy of the SS State*, red. Hans Buchheim, Martin Broszat, Hans-Adolf Jacobsen, Helmut Krausnick, Nowy Jork 1965.
- Brown Daniel Patrick, *The Beautiful Beast: The Life and Crimes of SS-Aufseherin Irma Grese*, Ventura 1996.
- Buber Agassi Judith, *Jewish Women Prisoners of Ravensbrück*, Oksford 2007.
- Buber-Neumann Margarete, *Die erloschene Flamme: Schicksale meiner Zeit*, Frankfurt 1991.
- Buber-Neumann Margarete, *Milena*, tłum. Ralph Manheim, Londyn 1989.

- Buber-Neumann Margarete, *Under Two Dictators: Prisoner of Stalin and Hitler*, tłum. Edward Fitzgerald, Londyn 2008.
- Busch Johann Rainer, *Kupferdreh und seine Geschichte (mit Byfang und Dilldorf)*, Essen 2008.
- Černa Jana, *Kafka's Milena*, tłum. A.G. Brain, Londyn 1987.
- Chombart de Lauwe Marie-Jo, *Toute une vie de résistance*, Paryż 2002.
- Chrostowska Grażyna, *Jakby minęło już wszystko*, red. Alojzy Leszek Gzella, Lublin 2002.
- Concentration Camps in Nazi Germany: The New Histories*, tłum. Jane Caplan i Nikolaus Wachsmann, Abingdon 2010.
- Czech Danuta, *Kalendarium wydarzeń w KL Auschwitz*, Oświęcim 1992.
- Davies Norman, *Boże igrzysko. Historia Polski*, tłum. Elżbieta Tabakowska, Kraków 2006.
- de Gaulle-Anthonioz, Geneviève, *The Dawn of Hope: A Memoir of Ravensbrück*, tłum. Richard Seaver, Nowy Jork 1999.
- Delbo Charlotte, *Auschwitz and After*, tłum. Rosette C. Lamont, New Haven 1995.
- Der „gesäuberte“ Antifaschismus: Die SED und die roten Kapos von Buchenwald. Dokumente*, red. Lutz Niethammer, Berlin 1994.
- Der Dienstkalender Heinrich Himmlers 1941/42*, red. Peter Witte, Michael Wildt, Martina Volgt, Dieter Pohl, Peter Klein, Christian Gerlach, Christoph Dieckmann, Andrej Angrick, Hamburg 1999.
- Die Sprache des Gedenkens: Zur Geschichte der Gedenkstätte Ravensbrück 1945–1995*, red. Insa Eschebach, Sigrid Jacobeit i Susanne Lanwerd, Berlin 1999.
- Documents relating to the work of the International Committee of the Red Cross for the benefit of civilian detainees in German concentration camps between 1939 and 1945*, Genewa 1975.
- Duesterberg Julia, *Von der „Umkehr aller Weiblichkeit“: Charakterbilder einer KZ-Aufseherin [w:] Gedächtnis und Geschlecht: Deutungsmuster in Darstellungen des Nationalsozialistischen Genozids*, red. Insa Eschebach, Sigrid Jacobeit, Silke Wenk, Frankfurt 2002.
- Dufournier Denise, *La Maison des Morts: Ravensbrück*, Paryż 1947.
- Eckler Irene, *Die Vormundschaftsakte 1935–1958: Verfolgung einer Familie wegen „Rassenschande“: Dokumente und Berichte aus Hamburg*, Schwetzingen 1996.
- Elling Hanna, *Frauen im deutschen Widerstand, 1933–1945*, Frankfurt 1981.
- Erpel Simone, *Zwischen Vernichtung und Befreiung: Das Frauen-Konzentrationslager Ravensbrück in der letzten Kriegsphase*, Berlin 2005.
- Evans Richard J., *Trzecia Rzesza u władzy*, tłum. Mateusz Grzywa, Oświęcim 2016.
- Fabius Odette, *Un lever de soleil sur le Mecklembourg: mémoires*, Paryż 1986.
- Favez Jean-Claude *The Red Cross and the Holocaust*, tłum. John i Beryl Fletcher, Cambridge 1999.
- Feldenkirchen Wilfried, *Siemens 1918–1945*, Monachium 1995.
- Ferencz Benjamin, *Less than Slaves: Jewish Forced Labor and the Quest for Compensation*, Bloomington–Indianapolis 1984.
- Foot M.R.D., Langley J.M., *MI9: The British Secret Service that Fostered Escape and Evasion, 1939–1945, and its American Counterpart*, Londyn 1979.
- Foot M.R.D., *SOE in France: An Account of the Work of the British Special Operations Executive in*

- France, 1940–1944*, Londyn 1966.
- Forschungsschwerpunkt: Ravensbrück. Beiträge zur Geschichte des Frauenkonzentrationslagers*, red. Sigrid Jacobeit i Philipp Grit, Berlin 1997.
- Frauen in Konzentrationslagern: Bergen-Belsen, Ravensbrück*, red. Claus Füllberg-Stolberg, Martina Jung, Renata Reibe i Martina Scheitenberger, Brema 1994.
- Friedländer Henry, *The Origins of Nazi Genocide: From Euthanasia to the Final Solution*, Chapel Hill 1995.
- Friedrich Mennecke. *Innenansichten eines medizinischen Taters im Nationalsozialismus. Eine Edition seiner Briefe 1935–1947*, t. 1–2, red. Peter Chroust, Hamburg 1987, 1988.
- Fürstenberg/Havel – Ravensbrück, t. 2: Wechselnde Machtverhältnisse im 20. Jahrhundert*, red. Wolfgang Jacobeit i Wolfgang Stegemann, Berlin 2004.
- Garnett David, *The Secret History of PWE: The Political Warfare Executive, 1939–1945*, Londyn 2002.
- Gilbert Martin, *Auschwitz and the Allies*, Londyn 2001.
- Gilbert Martin, *Druga wojna światowa*, tłum. Jerzy Kozłowski, Kraków 2011.
- Gilbert Martin, *The Holocaust: A History of the Jews of Europe during the Second World War*, Nowy Jork 1985.
- Goldhagen Daniel Jonah, *Gorliwi kaci Hitlera. Zwyczajni Niemcy i Holocaust*, tłum. Wiesław Horabik, Warszawa 1999.
- Götz Aly, Chroust Peter, Pross Christian, *Cleansing the Fatherland: Nazi Medicine and Racial Hygiene*, tłum. Belinda Cooper, Baltimore 1994.
- Greayer Agneta i Sjostrand Sonja, *The White Buses: The Swedish Red Cross Rescue Action in Germany during the Second World War*, red. Martin Wikberg, tłum. Annika i Peter Hodgson, Sztokholm 2000.
- Grossman Wasilij, *Pisarz na wojnie. Wasilij Grossman na szlaku bojowym Armii Czerwonej 1941–1945*, tłum. Maciej Antosiewicz, Warszawa 2006.
- Guyotat S., *Königsberg sur Oder*, Paryż 1946.
- Haag Lina, *How Long the Night*, Londyn 1948.
- Hany-Lefebvre Noemi, *Six Mois à Fresnes*, Paryż 1946.
- Hautval Adelaide, *Médecine et Crimes Contre l'Humanité*, Arles 1991.
- Heger Wanda, *Tous les Vendredis Devant le Portail*, tłum. Luce Hinsch, Montford-en-Chalosse 2009.
- Heike Irmtraud, *Johanna Langefeld: Die Biographie einer KZ-Oberaufseherin*, Hamburg 1995.
- Heike Irmtraud, *SS-Aufseherinnen und weibliche Funktionshäftlinge in der Konzentrationslagern Ravensbrück und Bergen-Belsen*, niepublikowana rozprawa doktorska, Uniwersytet w Hanowerze 1991.
- Herbermann Nanda, *The Blessed Abyss: Inmate #6582 in Ravensbrück Concentration Camp for Women*, tłum. Hester Baer, red. Hester Baer i Elizabeth R. Baer, Detroit 2000.
- Herz Gabriele, *The Women's Camp in Moringen: A Memoir of Imprisonment in Germany 1936–1937*, tłum. Hildegard Herz i Howard Hertig, red. Jane Caplan, Oksford 2006.
- Hilberg Raul, *The Destruction of the European Jews*, Nowy Jork 1985.

- Himmler Katrin, *The Himmler Brothers: A German Family History*, Londyn 2007.
- Himmler's *Diary 1945: A Calendar of Events Leading to Suicide*, red. Peter Witte, Michael Wildt, Martina Volgt, Dieter Pohl, Peter Klein, Christian Gerlach, Christoph Dieckmann, Andrej Angrick i Stephen Tyas, Stroud 2014.
- Hördler Stefan, *Before the Holocaust: Concentration Camp Lichtenburg and the Evolution of the Nazi Camp System*, „Holocaust and Genocide Studies” 2011, t. 25.
- Hördler Stefan, *Ordnung und Inferno: Das KZ-System im letzten Kriegsjahr*, Getynga 2014.
- Höss Rudolf, *Autobiografia Rudolfa Hössa, komendanta obozu oświęcimskiego*, tłum. Wiesław Grzymski, Warszawa 1989.
- Housková Hanka, *Monolog*, Berlin 1993.
- Hozaková Vera, *Und es war dock... To přece bylo*, Berlin 1995.
- „*Ich grüße Euch als freier Mensch*”, red. Sigrid Jacobeit i Simone Erpel, Berlin 1995.
- Im Gefolge der SS: Aufseherinnen des Frauen-KZ Ravensbrück: Begleitband zur Ausstellung*, red. Simone Erpel, Berlin 2007.
- Jermoluk L.I., Zinowkina N.W., *Siedyje diety wojny: wospominanija bywszych uźnikow faszystskich kontslagieriej*, Kaługa 2003.
- Jirásková Marie, *Kurzer Bericht über drei Entscheidungen. Die Gestapo-Akte Milena Jesenská*, Frankfurt 1996.
- Kershaw Ian, *Hitler 1889–1936. Hybris*, tłum. Przemysław Bandel, Poznań 2001.
- Kershaw Ian, *Hitler 1936–1945. Nemezis*, tłum. Przemysław Bandel, Poznań 2002.
- Kersten Felix, *The Kersten Memoirs, 1940–1945*, Londyn 1956.
- Kiedrzyńska Wanda, *Ravensbrück. Kobiety obóz koncentracyjny*, Warszawa 1965.
- Klier Freya, *Die Kaninchen von Ravensbrück: Medizinische Versuche an Frauen in der NS-Zeit*, Monachium 1994.
- Kogon Eugen, Langbein Herman i Ruckerl Adalbert, *Les chambres à gaz, secret d'État*, Paryż 1984.
- Kogon Eugen, *The Theory and Practice of Hell: The German Concentration Camps and the System Behind Them*, Nowy Jork 1950.
- Koonz Claudia, *Mothers in the Fatherland: Women, The Family, and Nazi Politics*, Nowy Jork 1987.
- La Guardia Gluck Gemma, *Fiorello's Sister: Gemma La Guardia Gluck's Story*, red. Rochelle G. Saidel, Syracuse 2007.
- Lanckorońska Karolina, *Wspomnienia wojenne*, Kraków 2001.
- Langbein Hermann, *Against All Hope: Resistance in the Nazi Concentration Camps, 1938–1945*, tłum. Harry Zohn, Londyn 1994.
- Langbein Hermann, *People in Auschwitz*, tłum. Harry Zohn, Chapel Hill 2004.
- Le Tac, Monique, *Yvonne Le Tac: Une Femme dans le Siecle: de Montmartre a Ravensbrück*, Paryż 2000.
- Leo Annette, „*Das ist so'n zweischneidiges Schwert hier unser KZ (...)*”. *Das Frauenkonzentrationslager Ravensbrück in der lokalen Erinnerung*, „Dachauer Hefte” 2001, t. 17.

- Les Françaises à Ravensbrück*, Paryż 1965.
- Levi Primo, *Czy to jest człowiek*, tłum. Halszka Wiśniowska, Kraków 1978.
- Lichtenburg: Ein deutsches Konzentrationslager*, red. Stefan Hördler i Sigrid Jacobeit, Berlin 2009.
- Lidice: Ein böhmisches Dorf*, tłum. Uwe Naumann, Frankfurt 1983.
- Lifton Robert Jay, *The Nazi Doctors: Medical Killing and the Psychology of Genocide*, Nowy Jork 1986.
- Livre-Mémorial*, Paryż 2004.
- Longerich Peter, *Himmler. Buchalter śmierci*, tłum. Sebastian Szymański, Jarosław Skowroński, Warszawa 2014.
- Lundholm Anja, *Das Hölentor: Bericht einer Überlebenden*, Hamburg 1988.
- MacDonald Callum, *The Assassination of Reinhard Heydrich*, Edynburg 2007.
- Mant Keith, *The Medical Services in the Concentration Camp of Ravensbrück*, „Medico-Legal Journal” 1949, t. 18.
- Marzac Jacques i Jouenne Denise Rey, *Irma Jouenne: Disparue à Ravensbrück*, Jaunay-Clan 1995.
- Maurel Micheline, *Ravensbrück*, Londyn 1959.
- Miednikow A.M., *Dolja biessmertija*, Moskwa 1973.
- Minney R.J., *I Shall Fear No Evil: The Story of Dr Alina Brewda*, Londyn 1966.
- Mitscherlich A. i Mielke F., *The Death Doctors*, tłum. James Cleugh, Londyn 1962.
- Moorehead Caroline, *Dunant's Dream: War, Switzerland and the History of the Red Cross*, Londyn 1998.
- Morais Fernando, *Olga*, tłum. Ellen Watson, Londyn 1990.
- Morrison Jack G., *Ravensbrück: Everyday Life in a Women's Concentration Camp*, Princeton 1999.
- Müller Charlotte, *Die Klempnerkolonne in Ravensbrück: Erinnerungen des Häftlings Nr. 107 87*, Berlin 1987.
- Müller Monika, „Die Oberaufseherinnen des Frauenkonzentrationslagers Ravensbrück: Funktionsanalyse und biographische Studien”, niepublikowana praca doktorska, Uniwersytet we Fryburgu 2001.
- Nikiforowa Antonina, *Plus Jamais: Ravensbrück*, Moskwa 1957.
- Nordling Raoul, *Sauver Paris: Mémoires du consul de Suède (1905–1944)*, Paryż 2002.
- Opfer und Täterinnen: Frauenbiographien des Nationalsozialismus*, red. Angelika Ebbinghaus, Nordlingen 1987.
- Padfield Peter, *Himmler. Reichsführer SS*, tłum. Stefan Baranowski, Warszawa 2002.
- Paul Christa, *Zwangsprostitution: Staatlich errichtete Bordelle im Nationalsozialismus*, Berlin 1994.
- Persson Sune, *Białe autobusy. Pakt z Himmlerem i niezwykła akcja ratowania więźniów obozów koncentracyjnych*, tłum. Zofia Kunert, Warszawa 2012.
- Philipp Grit, Schnell Monika, *Kalendarium der Ereignisse im Frauen-Konzentrationslager Ravensbrück 1939–1945*, Berlin 1999.
- Plewe Reinhard, Kohler Jan Thomas, *Baugeschichte Frauen-Konzentrationslager Ravensbrück*, Berlin 2001.

- Ponad ludzką miarę. Wspomnienia operowanych w Ravensbrück, Warszawa 1972.
- Półtawska Wanda, *I boję się snów*, Częstochowa 2001.
- Prestes Anita Leocadia, Prestes Lygia, *Anos Tormentosos Luiz Carlos Prestes – Correspondência da Prisão (1936–1945)*, t. 3, Sao Paulo 2002.
- Radau Helga, *Nichts ist vergessen und niemand: Aus der Geschichte des Konzentrationslagers in Barth*, Kuckenshagen 1995.
- Rees Laurence, *Auschwitz. Naziści i „ostateczne rozwiązanie”*, tłum. Paweł Stachura, Warszawa 2005.
- Renault Maisie, *La Grande Misère*, Paryż 1948.
- „Rosane” (Renée Lascroux), *Terre de Cendres: Ravensbrück et Belsen, 1943–1945*, Paryż 1946.
- Russell of Liverpool Lord (Edward Russell), *Pod biczem swastyki*, tłum. Stanisław A. Majewski, Warszawa 1956.
- Saidel Rochelle G., *The Jewish Women of Ravensbrück Concentration Camp*, Madison 1999.
- Saint-Clair Simone, *Ravensbrück: l'enfer des femmes*, Paryż 1945.
- Salvesen Sylvia, *Forgive – But Do Not Forget*, tłum. Evelyn Ramsden, Londyn 1958.
- Schikorra Christa, „ist als Asoziale anzusehen” – *Frauen im Zugriff der Kölner Kriminalpolizei [w:] Wessen Freund und wessen Helfer? Die Kölner Polizei im Nationalsozialismus*, red. Harald Buhlan, Werner Jung, Kolonia 2000.
- Schikorra Christa, *Kontinuitäten der Ausgrenzung: „Asoziale” Häftlinge im Frauen-Konzentrationslager Ravensbrück*, Berlin 2001.
- Schikorra Christa, *Prostitution of Female Concentration Camp Prisoners as Slave Labor: On the Situation of „Asocial” Prisoners in the Ravensbrück Women’s Concentration Camp [w:] Dachau and the Nazi Terror 1933–1945, t. 2: Studies and Reports*, red. Wolfgang Benz, Barbara Distel, Dachau 2002.
- Schindler-Saefkow Bärbel, Schnell Monika, *Gedenkbuch für die Opfer des Konzentrationslagers Ravensbrück 1939–1945*, Berlin 2005.
- Schindler-Saefkow Bärbel, *14 f 13 – Ravensbrück – Bernburg – Das Geheimnis um die Massenvernichtung in Bernburg [w:] Gedenkbuch für die Opfer des Konzentrationslagers Ravensbrück 1939–1945: Vorläufiger Zwischenbericht*, red. Sigrid Jacobeit, Wolfgang Schade i Bärbel Schindler-Saefkow, Berlin 2000.
- Schoppmann Claudia, *Days of Masquerade: Life Stories of Lesbians during the Third Reich*, Nowy Jork 1996.
- Schwartz Johannes, *Geschlechtsspezifischer Eigensinn von NS-Täterinnen am Beispiel der KZ-Oberaufseherin Johanna Langefeld [w:] Frauen als Täterinnen im Nationalsozialismus*, red. Viola Schubert-Lehnhardt, Gerbstedt 2005.
- Schwartz Johannes, *Handlungsoptionen von KZ-Aufseherinnen. Drei alltags- und geschlechtergeschichte Fallstudien [w:] NS-Täter aus interdisziplinärer Perspektive*, red. Helgard Kramer, Monachium 2006.
- Sebag Montefiore Simon, *Stalin. Dwór czerwonego cara*, tłum. Maciej Antosiewicz, Warszawa 2004.
- Segev Tom, *Siódmy milion*, tłum. Barbara Gadomska, Warszawa 2012.
- Sereny Gitta, *Albert Speer: His Battle with Truth*, Londyn 1995.



- Sereny Gitta, *Into That Darkness: From Mercy Killing to Mass Murder*, Londyn 1974
- Shirer William L., *Berlin Diary: The Journal of a Foreign Correspondent, 1934–1941*, Nowy Jork 1941.
- Social Outsiders in Nazi Germany*, tłum. Robert Gellately, Nathan Stoltzfus, Princeton 2001.
- Sofsky Wolfgang, *The Order of Terror: The Concentration Camp*, tłum. William Templer, Princeton 1999.
- Sommer Robert, *Das KZ-Bordell: sexuelle Zwangsarbeit in nationalsozialistischen Konzentrationslagern*, Paderborn 2009.
- Sommer Robert, *Warum das Schweigen? Berichte von ehemaligen Häftlingen über Sex-Zwangsarbeit in nationalsozialistischen Konzentrationslagern [w:] Krieg und Geschlecht: Sexuelle Gewalt im Krieg und Sex-Zwangsarbeit in NSKonzentrationslagern*, red. Insa Eschebach i Regina Mühlhauser, Berlin 2008.
- Speer Albert, *The Slave State: Heinrich Himmler's Masterplan for SS Supremacy*, tłum. Joachim Neugroschel, Londyn 1981.
- Stratton Smith T., *The Rebel Nun*, Londyn 1967.
- Strebel Bernhard, *Das KZ Ravensbrück: Geschichte eines Lagerkomplexes*, Paderborn 2003.
- Sturm Hanna, *Die Lebensgeschichte einer Arbeiterin: Vom Burgenland nach Ravensbrück*, Wiedeń 1982.
- Szabo Tania, *Young, Brave and Beautiful*, St John 2007.
- Sznejer Aron, *Plen. Sowietkije wojennoplennyje w Giermanii, 1941–1945*, Moskwa 2005.
- Tatort KZ: Neue Beiträge zur Geschichte der Konzentrationslager*, red. Ulrich Fritz, Silvija Kavčič i Nicole Warmbold, Ulm 2003.
- ten Boom Corrie, Sherrill John i Elizabeth, *The Hiding Place*, Londyn 1972.
- The Drowned and the Saved*, London 1988.
- The Journalism of Milena Jesenska: A Critical Voice in Interwar Central Europe*, red. Kathleen Hayes, Nowy Jork 2003.
- The Ravensbrück Women's Concentration Camp: History and Memory. Exhibition Catalogue*, red. Alyn Bessmann i Insa Eschebach, Berlin 2013.
- Turner Erika, *National Socialism and Gypsies in Austria*, red. i tłum. Gilya Gerda Schmidt, Tuscaloosa 1998.
- Tickell Jerrard, *Odetta: The Story of a British Agent*, Londyn 1949.
- Tillion Germaine, *Fragments de vie*, Paryż 2013.
- Tillion Germaine, *Le Verfügar aux enfers. Une operette à Ravensbrück*, Paryż 2005.
- Tillion Germaine, *Ravensbrück*, Paryż 1946.
- Tod oder Überleben? Neue Forschungen zur Geschichte des Konzentrationslagers Ravensbrück*, red. Werner Rohr i Brigitte Berlekamp, Berlin 2001.
- Topography of Terror. Gestapo, SS and Reich Security Main Office on Wilhelm-and Prinz-Albrecht-Straße. A Documentation*, Berlin 2008.
- Toulouse-Lautrec Beatrix de, *J'ai eu vingt ans à Ravensbrück: La victoire en pleurant*, Paryż 1991.

- Trevor-Roper H.R., *Ostatnie dni Hitlera*, tłum. Kazimierz Fudakowski, Poznań 1966.
- Trial of Josef Kramer and Forty-Four Others: The Belsen Trial*, red. Raymond Phillips, Londyn 1949.
- Tusa Ann i Tusa John, *The Nuremberg Trial*, Nowy Jork 1999.
- Tuvel Bernstein Sara, Thornton Louise Loots, Samuels Bernstein Marlene, *The Seamstress: A Memoir of Survival*, Nowy Jork 1999.
- „...und dennoch blühten Blumen: Dokumente, Gedichte und Zeichnungen vom Lageralltag 1939–1945, red. Helga Schwarz, Gerda Szepansky, Poczdam 2000.
- United Nations Information Organisation, *Women under Axis Rule*, Londyn 1943.
- Vermehren Isa, *Reise durch den letzten Akt. Ravensbrück, Buchenwald, Dachau: eine Frau berichtet*, Hamburg 1946.
- „Voix et Visages, Bulletin de l'Association nationale des anciennes déportées et internées de la Résistance Paris”.
- VVN Westberlin, *Olga Benario: Das Leben einer Neuköllner Antifaschistin*, Berlin 1984.
- Wachsmann Nikolaus, *Hitler's Prisons: Legal Terror in Nazi Germany*, New Haven 2004.
- Wagnerová Alena, *Milena Jesenská*, Frankfurt 1997.
- Walz Loretta, „Und dann kommst Du dahin an einem schönen Sommertag”: *Die Frauen von Ravensbrück*, Monachium 2005.
- Weindling Paul Julian, *Nazi Medicine and the Nuremberg Trials: From Medical War Crimes to Informed Consent*, Basingstoke 2004.
- Werner Ruth, *Olga Benario: Die Geschichte eines tapferen Lebens*, Berlin 1961.
- Werner Ruth, *Sonya's Report*, tłum. Renate Simpson, Londyn 1990.
- Wiesen S. Jonathan, *West German Industry and the Challenge of the Nazi Past, 1945–1955*, Chapel Hill 2001.
- Wińska Urszula, *Zwyciężyły wartości. Wspomnienia z Ravensbrück*, Gdańsk 1985.
- Wood Nancy, *Germaine Tillion, une femme-mémoire: D'une Algérie à l'autre*, Paryż 2003.
- Wynne Barry, *No Drums, No Trumpets: The Story of Mary Lindell*, Londyn 1961.



Plan Ravensbrück sporządzony przez francuską artystkę France Audoul, która należała do *vingt-sept mille* – największej grupy francuskich więźniarek, które przybyły do obozu 3 lutego 1944 roku.



Plan pokazuje główne zabudowania na brzegu jeziora z bramą, łaźnią i budynkiem kuchni oraz placem apelowym. Widać też komorę gazową (*gas*) i krematorium. Pod południowym murem znajduje się obóz SS; dokładnie za nim są Siemenslager i magazyny (*marchandises volées*, gdzie sortowano i składowano rzeczy skradzione więźniarkom). Widać też dokładnie *Camp d'Extermination* w Uckermark, podobnie jak stanowiska karabinów maszynowych na północy. Nad jeziorem znajdują się ruiny małego fortu (*fortin*) i *marais* – piaszczyste wybrzeże.

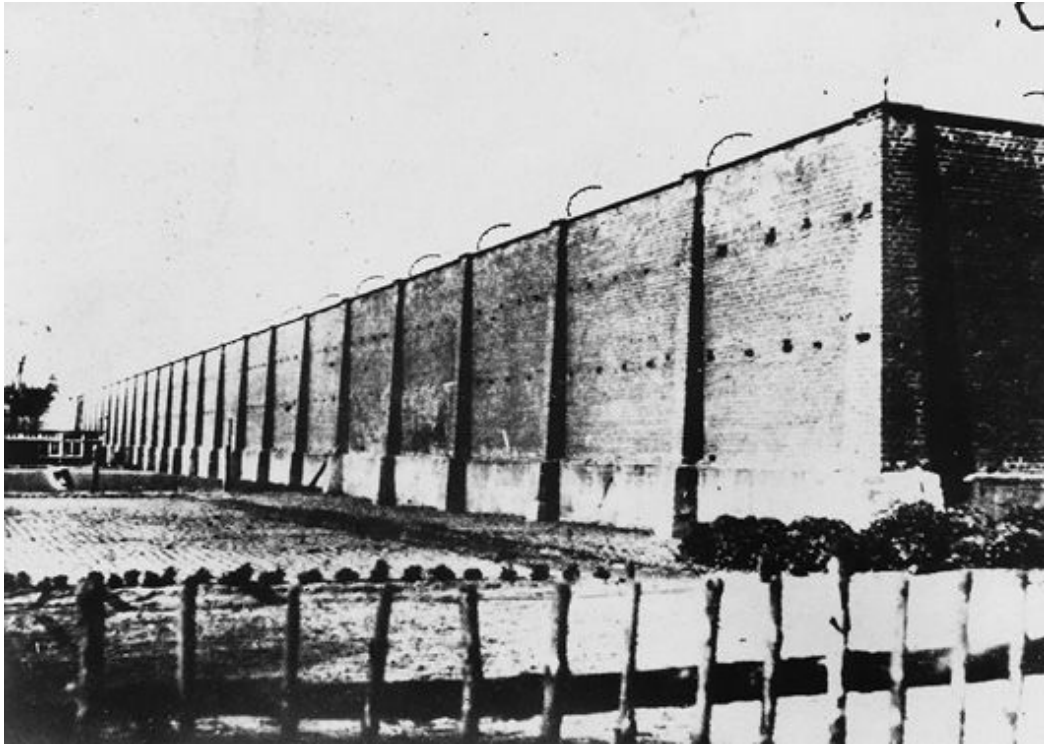
*Za: Ravensbrück: 150,000 femmes en enfer. 32 croquis et portraits faits au camp 1944–1945, 22 compositions et textes manuscrits de France Audoul.*

# Ilustracje



Zdjęcie lotnicze Fürstenbergu i Ravensbrück z późnych lat trzydziestych pokazuje Schwedtsee i miejsce, gdzie na najdalszym brzegu jeziora wybudowano obóz.

Zbiory Roberta H. Wiesego, Eppelheim.



Mur obozu sfotografowany od zewnątrz przez czeską więźniarkę Hankę Houskovą, wkrótce po wyzwoleniu w 1945 roku.

Hanka Housková; kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.





Widok z dachu komendatury na obóz. Zdjęcie zrobione w 1940–1941 roku zamieszczono w „oficjalnym” albumie fotograficznym obozu używanym do celów propagandowych.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Himmler ze swą żoną wkracza do obozu w styczniu 1940 roku podczas jednej z wizytacji. W tle widoczny budynek komendantury.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Himmler dokonuje inspekcji nadzorczyń w towarzystwie Maxa Koegla. Za Koeglem idzie generał SS Karl Wolff, szef sztabu Himmlera. Z prawej, na skraju, Johanna Langefeld. Za postacią Himmlera wznosi się ściana łaźni i bloku kuchennego.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Johanna Langefeld, główna nadzorkzyni od maja 1939 do marca 1943 roku.  
Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Fritz Suhren, komendant obozu od lipca 1942 do kwietnia 1945 roku.

dokumenty Atkins, Imperial War Museum.



Max Koegel, komendant obozu od maja 1939 do lipca 1942 roku.

kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Dorothea Binz, nadzorczyńi z Ravensbrück, a później naczelna dozorczyńi. Fotografia z lat trzydziestych, pochodzenie nieznane.

Kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Dozorczyńi Herta ze swym psem Greifem w podobozie Grüneberg. Z tyłu zdjęcia napisała: „Na pamiątkę wspaniałego czasu mojej pracy w Grünebergu, kochanym Rodzicom – Wasza Herta. 24.03.1944. To mój wierny mały Greif”.

Kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.





Studyjny portret Franziski Buchinger, nadzorczyńi, zrobiony w maju 1940 roku przez fotografa z Fürstenbergu A. Rudolpha.

Kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.

**Fr. - Konzentrationslager Ravensbrück**



**Ausweis**

Nr. 656

Frl.

Hildegard Schatz

Ist Angehörige des Fr.-Konzentrationslagers  
Ravensbrück. Alle öffentlichen Organe werden  
ersucht, ihr Schutz und Hilfe zu gewähren.

Der Lagerkommandant

SS-Hauptsturmführer.

*Hildegard Schatz*

E9101

Legitymacja nadzorczyńi Hildegard Schatz.

Kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Przedwojenny portret niemieckiej Żydówki, komunistki Olgi Benario.

Kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Doris Maase, niemiecka lekarka i komunistka, zwolniona w 1942 roku. Zdjęcie z 1944 roku.

Za zgodą Kaspara Maase.



Ilse Gostynski, niemiecka Żydówka i komunistka, sfotografowana w Berlinie w latach dwudziestych.

Za zgodą Marlene Rolfe.



Jožka Jabůrková, česká komunistka i bojowniczką o prawa kobiet.

Kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Anna Sölzer, aresztowana w Kolonii za prostytutkę i wysłana do Ravensbrück jako „aspołeczna”.

LAV NRW R BR 0234/83.



Käthe Leichter, austriacka Żydówka, socjolog, nad kanałem Dunaju koło Klosterneuburga, gdzie przed wojną wraz z mężem Ottonem spędzali wakacje.

Za zgodą Franza i Kathy Leichter.





Grete Buber-Neumann, więźniarka Stalina i Hitlera, przemawia na wiecu Europejskiej Organizacji Młodzieży w Berlinie w czerwcu 1952 roku.

Niemiecka Biblioteka Narodowa. Archiwum Uchodźstwa Niemieckiego 1933–1945, Frankfurt n. Menem.



Herta Cohen, niemiecka Żydówka uwięziona za współzycie płciowe z Niemcem.

LAV NRW R RW-58/54910.



Wanda Wojtasik (później Półtawska), jeden z lubelskich „królików”.

Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem” w Lublinie – oddział Muzeum Lubelskiego.



Milena Jesenská, czeska dziennikarka, niegdyś przyjaciółka Franza Kafki.

© INTERFOTO/Alamy.



Krystia Czyż, polski „królik” i autorka sekretnych listów. Portret narysowany przez współwięźniarkę Grażynę Chrostowską podczas pobytu w zamku lubelskim.

Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem” w Lublinie – oddział Muzeum Lubelskiego.



Siostry Grażyna (siedzi) i Pola Chrostowskie na wsi niedaleko rodzimego Lublina, lata trzydzieste.

Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem” w Lublinie – oddział Muzeum Lubelskiego.



Kopanie piasku. Fotografia z albumu SS.

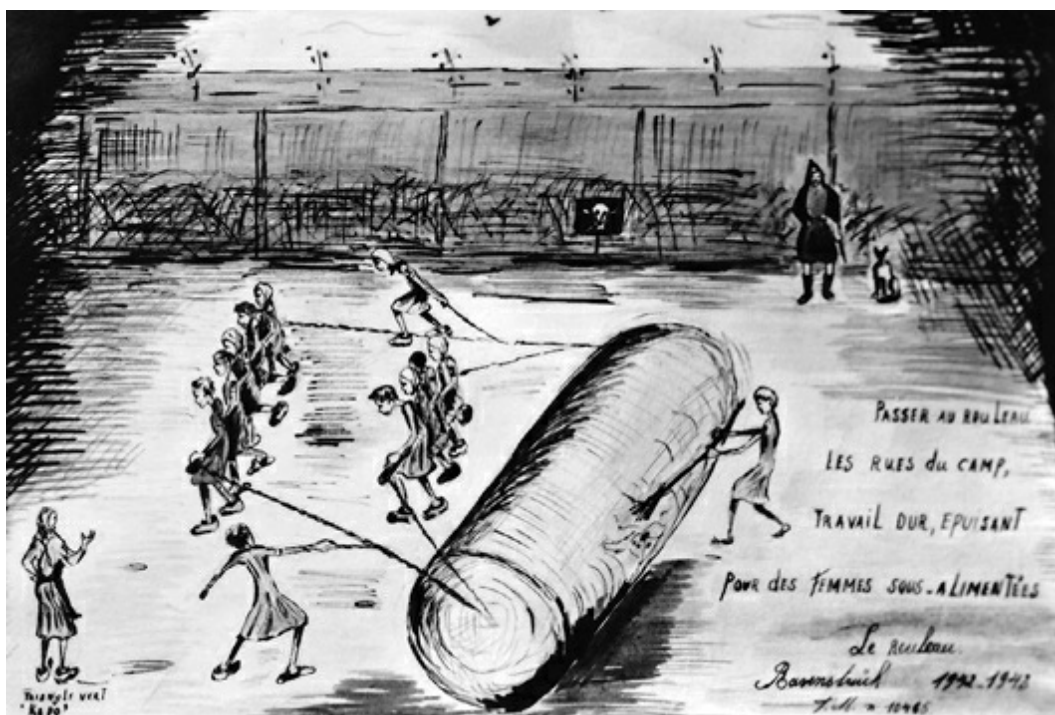
Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Robotnice fabryki Siemens. Powojenny obraz, prawdopodobnie niemieckiego artysty Rudolfa Lipusa, został umieszczony na pierwszej obozowej ekspozycji w 1959 roku, kiedy otwarto miejsce pamięci.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.







Dozorczyńi Maria Enserer z innymi nadzorczyńiami i kolegami z SS. Z tyłu fotografii Enserer napisała: „Urlap w Hohenlychen”, odnosząc się do pobliskiego miasteczka nad jeziorem, gdzie mieściła się klinika SS.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Dozorczyńi Hilde Hulan.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Nadzorzynie (od lewej) siostry Maria i Anna Enserer i Otilie Kaiser ze swymi psami strażniczymi Gundo i Castorem. Fotografia z 1940 roku; z tyłu odręczny dopisek: „Niedzielnny poranek wśród kwitnących wrzosów”.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



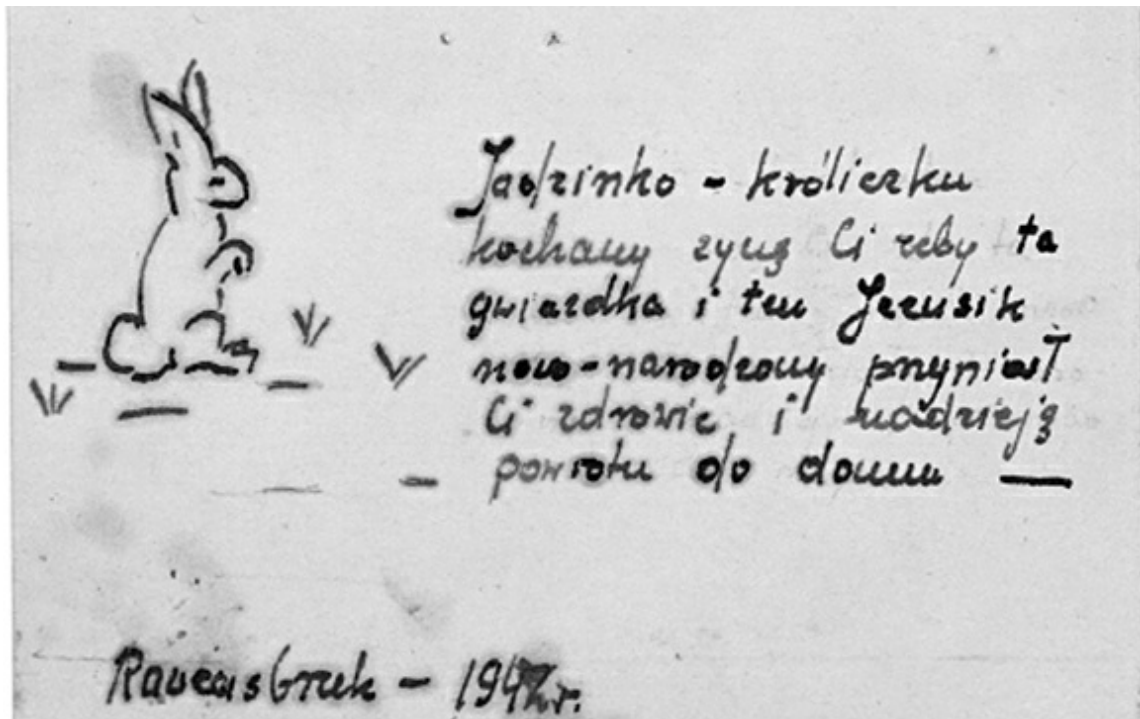
Dozorkynie Helene Massar, Marga Löwenberg i ich nieznana koleżanka podczas przejażdżki łódką po Schwedtsee.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Polski „królik” Maria Kuśmierczuk pokazuje zniekształconą nogę, w którą wstrzykiwano bakterie zgorzeli gazowej. Zdjęcie wykonane potajemnie za blokiem przez polską więźniarkę Joannę Szydłowską.

United States Holocaust Memorial Museum, za zgodą Anny Hassy Jarosky i Petera Hassy.



Kartka bożonarodzeniowa dla „królika” Jadwigi Dzido od koleżanki. Napis brzmi: „Jadzieńko – króliczku kochany, życzę Ci, żeby ta gwiazdka i ten Jezusik nowo narodzony przyniósł Ci zdrowie i nadzieję powrotu do domu” (1942 rok).

United States Holocaust Memorial Museum, za zgodą Anny Hassy Jarosky i Petera Hassy.

Koperta  
nr 5  
na życzenie po  
dajemy warunki  
życia codziennego.  
Wstajemy o godz. 5<sup>30</sup>.  
o 6<sup>00</sup> apel liczebny, później  
apel roboczy odprawianie ko-  
lumn do pracy. Przerwa obiadowa  
12<sup>00</sup> - 12<sup>30</sup> apel roboczy. Koniec pracy  
godz. 18 i apel liczebny. Kolacja. Sen  
od 21<sup>00</sup> do 5<sup>00</sup>. Operowane miały zwolnie-  
nie z apelów, nie pracowały. Dni 25 i lekar-  
ka Oberkiser umiała nas zażądać do pra-  
cy. Nawet dostało zwolnienie. My oczywiście  
jestemmy zupełnie zdrowe a Janka i Peia  
mają jeszcze 2 dni. Zettkarty. Delaki. Bloko-  
we będziemy robić nonczochy na drutach  
w bloku. Jest to najłżejsza praca tylko dzieł-  
na. Przeważnie operowane miały spacerować  
w podziemiach przy szkieletach przed blokiem  
Teraz od tygodnia jest to zabronione. W sta-  
nionym miejscu do metekusa pracujących na te-  
renie lagru. Możemy spacerować podczas  
przerwy obiadowej i po apelu wieczornym.  
Jadrowe jedzenie: kawa, porcja chleba, ugotowa-  
nie i przemygotowane, kilka ziemniaków w  
tutelnach. Kolacja i śniadanie w sobotę i nie dziele-  
nie. W sucha kolacja do chleba margaryna, kilka  
marmolady, ser, porcja kielbasy. Żywność  
z paczek mamy tyle że prawie niejemy blo-  
kowego jedzenia. W polskich blokach delek-  
nackom nie ma głodu, ale Ukraina i Irina  
głodują i często leżą pod naszymi oknami.  
Przepraszacie znaki w naczekach. Teraz  
jako znak L na puszcze w naczce. Czy ma-  
cie wszystkie kolejne numery kopert  
których brak powinniśmy. Otrzymać  
Tam oba listy - Krystyna -  
Te które wjeżdżają do majątków  
do pracy utrzymują kontakty z  
metekusami z sąsiednich  
pobliż. Też Francuzi  
z majątków oddają  
duże usiłują napisać  
sądowca ten  
lit.  
nr 5

Koperta nr 5 to jeden z tajnych listów pisanych moczem przez polskiego „królika” Krysię Czyż. W tym liście donosi rodzinie w Polsce, że ocalałe „króliki” mogą odpoczywać w bloku i robić skarpetki na drutach.

Za zgodą Marii Wilgat.





Doktor Leo Alexander bada nogę Jadwigi Dzido podczas norymberskiego procesu lekarzy w grudniu 1946 roku.

© Ullstein Bild/Topfoto.

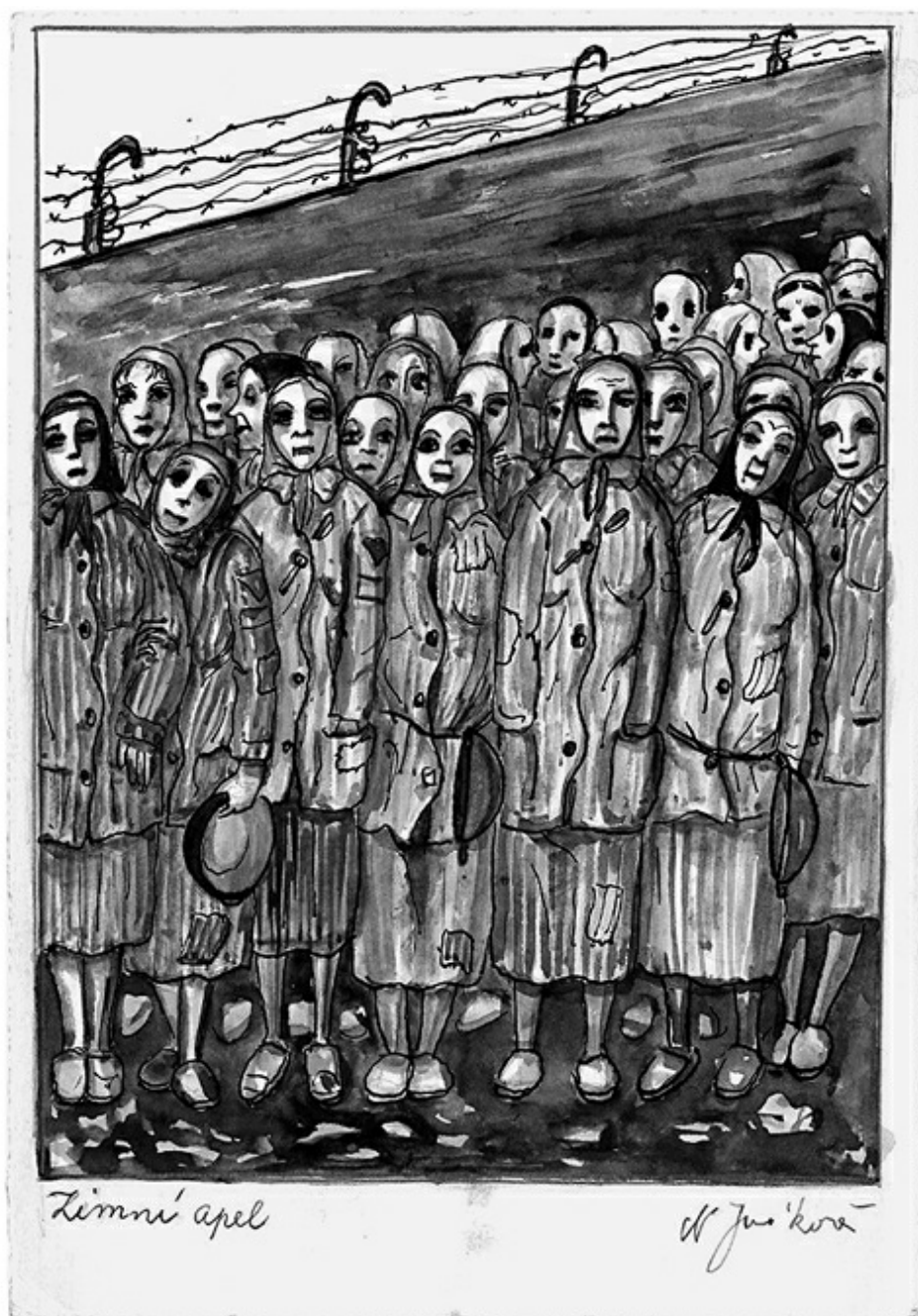


Doktor Karl Gebhardt, autor medycznych eksperymentów w Ravensbrück, z rannymi weteranami I wojny światowej i sportowcami w klinice SS w Hohenlychen w latach trzydziestych.

*Z Verhandlungen des Historischen Vereins für Niederbayern. Za zgodą Stadtarchiv Landshut.*



Gwiazdkowe przyjęcie dla dzieci, 1944 roku. Obraz Ceiji Stojki, austriackiej Romki, która jako dziecko przebywała w obozie, przywieziona z Auschwitz w 1944 roku. Widać czarne krzyże na plecach dzieci, które w razie ucieczki identyfikowały je jako więźniów.



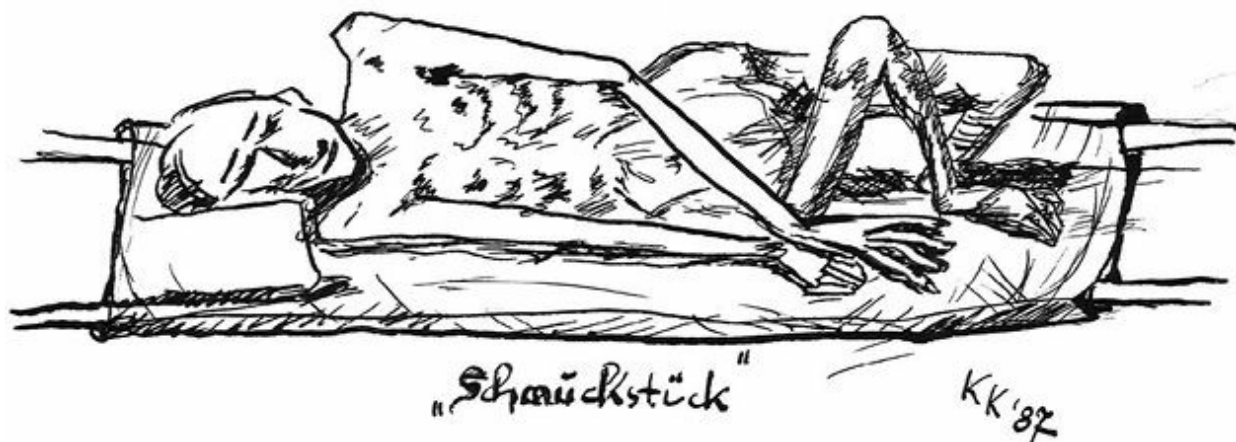
Zimni Apel (Zimowy apel), rysunek czeskiej więźniarki Niny Jirsikovej.

Miejsce Pamięci Terezin.



Nourritures terrestres, rysunek Violette Lecoq.

za zgodą Richarda Lecoq'a.



Schmückstück, rysunek Kathariny Katzenmaier, katolickiej zakonnicy, która widziała tę umierającą kobietę w bloku 10.

Kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Antonina Nikiforowa jako młoda lekarka w mundurze Armii Czerwonej.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Zdenka Nedvedová, czeska lekarka. Zdjęcie prawdopodobnie z połowy lat trzydziestych.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.





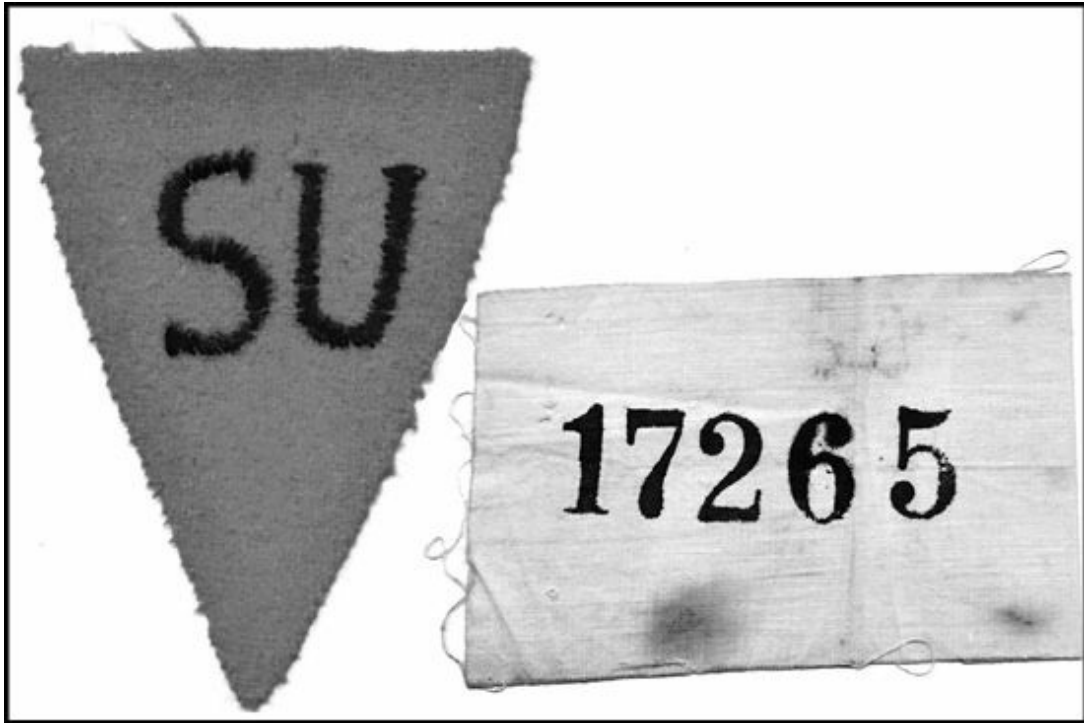
Belgijka Stella Kugelman miała cztery lata, kiedy trafiła do Ravensbrück ze swoją matką.

Za zgodą Stelli Kugelman-Nikiforowej.



Jewgenia Klemm, przywódczyni czerwoarmistek w obozie. Zdjęcie prawdopodobnie z 1912 roku, kiedy Jewgenia była nastolatką.

Za zgodą Georga Loonkina.



Numer i czerwony trójkąt Jewgienii Klemm.

Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Loulou Le Porz, francuska lekarka z bloku 10. Fotografia z 1940 roku, zrobiona niedługo przed aresztowaniem.

Za zgodą Jean-Marie Liard.



Yvonne Baseden, brytyjska agentka SOE, po wstąpieniu do WAAF na początku lat czterdziestych.

Dokumenty Atkins, Imperial War Museum.



Brytyjska agentka Violette Szabo po wstąpieniu do SOE, początek lat czterdziestych.

Dokumenty Atkins, Imperial War Museum.



Mary Young, szkocka pielęgniarka aresztowana w Paryżu za pomoc ruchowi oporu. To zdjęcie, przypuszczalnie wykonane, gdy szkoliła się na pielęgniarkę na początku XX wieku, ukazało się w „Aberdeen Journal” 27 września 1945 roku i jest jedynym znanym jej wizerunkiem.

„Aberdeen Journal”.



Norweska więźniarka Sylvia Salvesen w 1957 roku.

Imperial War Museum.





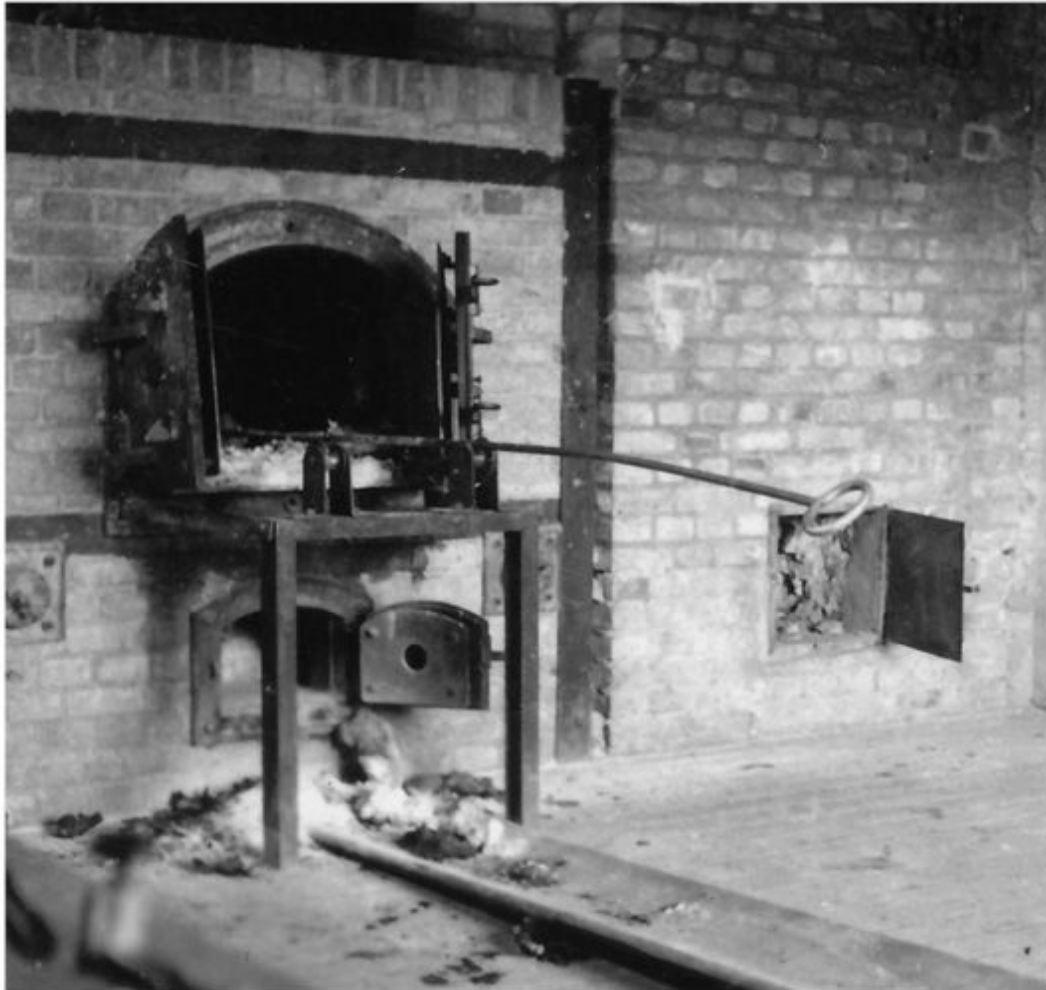
Marie-Louise Zimmerlin, bojowniczką francuskiego ruchu oporu, jako młoda nauczycielka  
w Cluny, Francja.

Lycée la Prat's de Cluny.



Karolina Lanckorońska w 1938 roku na tarasie pałacu w Rozdole, głównej posiadłości rodziny.

Archiwum Nauki PAN i PAU, sygn. K III-150, fot. nr 337, 329.



Krematorium. Widać dwa z trzech pieców. Zdjęcie wykonane przez czeską więźniarkę Hanke Houskovą kilka godzin po wyzwoleniu obozu.

Hanka Housková; kopie w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Ciała sfotografowane przez Hanę Houskovą wkrótce po ucieczce esesmanów 29 kwietnia 1945 roku. Stosy zwłok leżały w całym obozie. Później przysłano okolicznych mieszkańców, by pomogli je pochować.

Hanka Housková; kopie w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Ukraińskie i rosyjskie matki z dziećmi w „bloku macierzyńskim”, sfotografowane przez Hankę Houskovą tuż po wyzwoleniu. Napis na odwrocie mówi, że jedna z tych kobiet została zgwałcona przez czerwonoarmistów, którzy wyzwolili obóz.

Hanka Housková; kopie w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Kobiety uratowane przez białe autobusy Bernadotte'a na pokładzie promu do Malmö.

Nordiska museet.



Folke Bernadotte (w środku) omawia ewakuację z lekarzem SS i norweskim pastorem.  
Hamburg, marzec 1945 roku.

Nordiska museet.



Nieznana Francuzka uratowana z Ravensbrück przez Szwedzki Czerwony Krzyż,  
sfotografowana w duńskim szpitalu w maju 1945 roku przez Tage Christensena.

Photothèque CICR (DR).





Ruth Closius (wcześniej Neudeck), główna nadzorkczyni w Jugendlagrze Uckermark. Fotografia zrobiona w brytyjskim obozie internowania w Paderborn w 1947 roku, przed postawieniem jej przed sądem w Hamburgu.

Kopia w Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück/Stiftung Brandenburgische Gedenkstätte.



Johann Schwarzhuber, Ludwig Ramdohr, Gustav Binder i Heinrich Peters (oficer SS w obozie męskim) na ławie oskarżonych podczas procesu hamburskiego, który zaczął się w grudniu 1946 roku.

John da Cunha, The National Archives.



Doktor Herta Oberheuser wysłuchuje wyroku podczas norymberskiego procesu lekarzy, 20 sierpnia 1947 roku.

The National Archives.



Fritz Suhren, komendant obozu od 1942 do 1945 roku. To cywilne ubranie miał prawdopodobnie na sobie, gdy z Odette Sansom jechał do linii amerykańskich, by się poddać.

© Topfoto.



Dorothea Binz, Margarete Mewes, Grete Bösel, Vera Salvequart (w tylnym rzędzie) i Eugenia von Skene na ławie oskarżonych podczas procesu hamburskiego.

John da Cunha, The National Archives.



Nouritures terrestres, rysunek Violette Lecoq.

John da Cunha, The National Archives.



Carmen Mory, szwajcarska więźniarka i blokowa bloku 10, ze swym adwokatem, doktorem Zippelem.

John da Cunha, The National Archives.



Tragende Willa Lammerta.

© Stephen Tyas.





Ten znak – „Nie jesteście zapomniane” – został ustawiony przez grupę ocalałych w pobliżu zarośniętego miejsca po Jugendlager Uckermark.

© Sarah Helm.



Widok na Tragende z wnętrza obozu, za jeziorem widoczny Fürstenberg.

© Sarah Helm.

## Spis treści

### Prolog

### Część pierwsza

Rozdział 1. Langefeld

Rozdział 2. Sandgrube

Rozdział 3. Blokowe

Rozdział 4. Wizyta Himmlera

Rozdział 5. Dar Stalina

Rozdział 6. Else Krug

Rozdział 7. Doktor Sonntag

Rozdział 8. Doktor Mennecke

Rozdział 9. Bernburg

### Część druga

Rozdział 10. Lublin

Rozdział 11. Auschwitz

Rozdział 12. Szwalnia

Rozdział 13. „Króliki”

Rozdział 14. Eksperymenty specjalne

Rozdział 15. Leczenie

### Część trzecia

Rozdział 16. Armia Czerwona

Rozdział 17. Jewgienia Klemm

Rozdział 18. Doktor Treite

Rozdział 19. Wyłom w szeregach

Rozdział 20. Czarny transport

### Część czwarta

Rozdział 21. Vingt-sept mille

Rozdział 22. Upadek

Rozdział 23. Siła przetrwania

Rozdział 24. Wzajemne poszukiwania

### Część piąta

Rozdział 25. Paryż i Warszawa

[Rozdział 26. Kinderzimmer](#)

[Rozdział 27. Protest](#)

[Rozdział 28. Pierwsze interwencje](#)

[Rozdział 29. Doktor Loulou](#)

[Część szósta](#)

[Rozdział 30. Węgierki](#)

[Rozdział 31. Przyjęcie gwiazdkowe](#)

[Rozdział 32. Marsz śmierci](#)

[Rozdział 33. Jugendlager](#)

[Rozdział 34. W ukryciu](#)

[Rozdział 35. Königsberg](#)

[Rozdział 36. Bernadotte](#)

[Rozdział 37. Emilie](#)

[Rozdział 38. Nelly](#)

[Rozdział 39. Masur](#)

[Rozdział 40. Białe autobusy](#)

[Rozdział 41. Wyzwolenie](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Wykaz skrótów](#)

[Bibliografia](#)